

James Clavell.

OPERACJA WHIRLWIND

KSIĘGI 1-2

Przekład Michał Jankowski

Bo iż wiatr siali,
wicher też żać będą

Ozeasz.8:7

KSIĘCA PIERWSZA

W GÓRACH ZAGROS, ZACHÓD SŁOŃCA.

Słońce dotknęło horyzontu. Jeździec, zadowolony, że nadszedł czas modlitwy, ściągnął wreszcie cugle wierzchowca.

Hosejn Kowissi, silnie zbudowany, trzydziestoczte-roletni Irańczyk, zawinięty był w ciemne, przybrudzone po podróży szaty. Miał jasną skórę, czarne oczy i brodę, na głowie biały turban, a na ramieniu kałasznikowa. Od zimna chroniła go kamizelka z nie wyprawionej kozłej skóry i mocno już sfatygowane buty. Kroczący za nim, obładowany wielbłąd szarpnął niecierpliwie postronkiem; był głodny i chciał odpocząć. Hosejn zaklął odruchowo i zsiadł z konia. Ponieważ turban zasłaniał uszy, Irańczyk nie słyszał odgłosu silnika turbo zbliżającego się helikoptera.

11

Na wysokości dwóch tysięcy czterystu metrów powietrze było przejrzyste i zimne, bardzo zimne; wiatr uformował zasy śnieżne, droga stała się śliska i zdradliwa. W dole mało uczęszczany szlak wił się w kierunku odległych dolin aż do Isfahanu, skąd przybył jeździec. Z przodu ścieżka wspinała się niebezpiecznie na turnie, a potem biegła ku innym dolinom, obniżającym się w kierunku Zatoki Perskiej i miasta Kowiss, w którym mężczyzna się urodził, w którym teraz mieszkał i od którego wziął swe nazwisko, gdy został mułłą. Nie przejmował się niebezpieczeństwem ani zimnem. Niebezpieczeństwo było dla niego jak powietrze.

To tak, jakbym znów był nomadą, pomyślał. W dawnych czasach prowadził nas mój dziad. Wtedy wszystkie nasze szczepy Kaszkajów mogły przenosić się z zimowych pastwisk na letnie. Każdy mężczyzna miał konia i karabin, i stada, których bronił; niezliczone owce, kozy i wielbłądy, kobiety z odsłoniętymi twarzami. Nasze szczepy były wolne, tak jak nasi przodkowie przez dziesiątki stuleci. Nikt nami nie rządził oprócz woli boskiej, myślał coraz bardziej gniewnie. Stare czasy skończyły się zaledwie sześćdziesiąt lat temu przez Rezę Chana, żołnierza parweniusza, który z pomocą nędznych Brytyjczyków uzurpatorsko zajął miejsce na tronie, nazwał się Rezą Szachem, pierwszym z szachów Pahlawich, a następnie ze swym regimentem Kozaków wziął nas w karby i spróbował zrobić z nami koniec. Dzięki Bogu za to, że Reza Szach został upokorzony i wygnany przez swych plugawych brytyjskich panów, aby umrzeć w zapomnieniu. Dzięki Bogu za to, że Mohammad Szach

KSIĘGI 1-2

Przekład Michał Jankowski

Bo iż wiatr siali,

wicher też żać będą

Ozeasz.8:7

KSIĘCA PIERWSZA

W GÓRACH ZAGROS, ZACHÓD SŁOŃCA.

Słońce dotknęło horyzontu. Jeździec, zadowolony, że nadszedł czas modlitwy, ściągnął wreszcie cugle wierzchowca.

Hosejn Kowissi, silnie zbudowany, trzydziestoczteroletni Irańczyk, zawinięty był w ciemne, przybrudzone po podróży szaty. Miał jasną skórę, czarne oczy i brodę, na głowie biały turban, a na ramieniu kałasznikowa. Od zimna chroniła go kamizelka z nie wyprawionej koziej skóry i mocno już sfatygowane buty. Kroczący za nim, obładowany wielbłąd szarpnął niecierpliwie postronkiem; był głodny i chciał odpocząć. Hosejn zaklął odruchowo i zsiadł z konia.

Ponieważ turban zasłaniał uszy, Irańczyk nie słyszał odgłosu silnika turbo zbliżającego się helikoptera.

11

Na wysokości dwóch tysięcy czterystu metrów powietrze było przejrzyste i zimne, bardzo zimne; wiatr uformował zasy śnieżne, droga stała się śliska i zdradliwa. W dole mało uczęszczany szlak wił się w kierunku odległych dolin aż do Isfahanu, skąd przybył jeździec.

Z przodu ścieżka wspinała się niebezpiecznie na turnie, a potem biegła ku innym dolinom, obniżającym się w kierunku Zatoki Perskiej i miasta Kowiss, w którym mężczyzna się urodził, w którym teraz mieszkał i od którego wziął swe nazwisko, gdy został mułłą.

Nie przejmował się niebezpieczeństwem ani zimnem. Niebezpieczeństwo było dla niego jak powietrze.

To tak, jakbym znów był nomadą, pomyślał. W dawnych czasach prowadził nas mój dziad.

Wtedy wszystkie nasze szczepy Kaszkajów mogły przenosić się z zimowych pastwisk na letnie. Każdy mężczyzna miał konia i karabin, i stada, których bronił; niezliczone owce, kozy i wielbłądy,

kobiety z odsłoniętymi twarzami. Nasze szczepy były wolne, tak jak nasi przodkowie przez dziesiątki stuleci. Nikt nami nie rządził oprócz woli boskiej, myślał coraz bardziej gniewnie. Stare czasy skończyły się zaledwie sześćdziesiąt lat temu przez Rezę Chana, żołnierza parweniusza, który z pomocą nędznych Brytyjczyków uzurpatorsko zajął

miejsce na tronie, nazwał się Rezą Szachem, pierwszym z szachów Pahlawich, a następnie ze swym regimentem Kozaków wziął nas w karby i spróbował zrobić z nami koniec.

Dzięki Bogu za to, że Reza Szach został upokorzony i wygnany przez swych plugawych brytyjskich panów, aby umrzeć w zapomnieniu. Dzięki Bogu za to, że Mohammad Szach 1

został kilka dni temu zmuszony do ucieczki. Dzięki Bogu za to, że Chomeini powrócił, aby przewodniczyć rewolucji. Z łaski bożej jutro lub pojutrze zostanę męczennikiem; boska burza wymiecie z Iranu zdrajców i nadejdzie dzień rozrachunku z wszystkimi sługusami Szacha i cudzoziemcami.

Helikopter był już bliżej, Kowissi jednak nadal go nie słyszał; odgłos silnika ginął w zawodzeniu wichru. Mułła wyjął z juków swój modlitewny dywanik i roz-12

postarł na śniegu. Plecy bolały go jeszcze od razów bicia. Nabrał garść śniegu; w rytualnym geście obmył dłonie i twarz, przygotowując się do czwartej modlitwy dnia. Potem zwrócił się na południowy zachód, w kierunku Mekki, która leżała o tysiące kilometrów dalej, w Arabii Saudyjskiej. I skierował swoje myśli ku Bogu.

- Allahu Akbar, Allahu Akbar. La ilaha illallah - powtarzał szahadę i bił pokłony, pozwalając, aby te arabskie słowa nim zawładnęły: Bóg jest największy, Bóg jest największy.

Zaświadczam, że nie ma innego Boga, a Mahomet jest Jego prorokiem. Bóg jest największy, Bóg jest największy. Zaświadczam, że nie ma innego Boga, a Mahomet jest Jego prorokiem...

Zrobiło się jeszcze zimniej, a wiatr spotęźniał. Mimo to mułła dosłyszał wreszcie pomruk odrzutowego silnika. Hałas narastał, wdzierał się do czaszki, odpędzał spokój i niszczył

skupienie. Hosejn gniewnie otworzył oczy. Helikopter leciał zaledwie sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Zbliżał się do niego.

Pomyślał zrazu, że to maszyna wojskowa, i przestraszył się, iż szukają jego. Potem rozpoznał

brytyjskie kolory: czerwony, biały i niebieski, oraz wyraźne oznaczenie S-G, otaczające czerwonego lwa Szkocji, wymalowanego na kadłubie - znak tej samej spółki helikopterowej, która prowadziła operacje z bazy lotniczej w Kowissie i całym Iranie. Opuścił go strach, ale gniew pozostał. Patrzył na helikopter, nienawidząc wszystkiego, co się z nim wiązało.

Maszyna zmierzała prosto na niego, ale nie była niebezpieczna - nie sądził, aby załoga mogła go w ogóle zauważyć. Mimo to sprzeciwiał się całym swym jestestwem wdzieraniu się w jego spokój i zakłócaniu modłów. Gniew wzrastał wraz z rozdzierającym uszy rykiem silnika.

- La ilaha illallah...

Usiłował powrócić do modłów, ale podmuch mielonego rotorem powietrza sypnął mu śniegiem w twarz. Koń przeraził się, zarżał i próbował stanąć dęba; pęta sprawiły, że zaczął się ślizgać. Równie przestraszony wielbłąd szarpnął rzemień, obrócił się i zatoczył, par-13

skął, skakał kulawo na trzech nogach, potrząsając swym ładunkiem i płacząc postronem.

Gniew eksplodował.

- Niewierny! - ryknął Hosejn pod adresem helikoptera, który wyłaniał się właśnie zza krawędzi góry. Zerwał się, chwycił karabin, odbezpieczył go i wystrzelił. Potem wycelował

staranniej i opróżnił cały magazynek. - Szatan! - wrzasnął w ciszy, która nagle zapadła.

Gdy pierwsze pociski uderzyły w śmigłowiec, młody pilot, Scot Gavallan, gapił się przez chwilę jak sparaliżowany na dziury, które się pojawiły w plastikowej szybie.

- Boże wszechmogący... - zdołał tylko wykrztusić. Nigdy przedtem do niego nie strzelano.

Na szczęście,

obok siedział człowiek, którego reakcja była szybka i po wojskowemu precyzyjna. "W dół!" zahuczało w słuchawkach.

- W dół!

Tom Lochart krzyknął po raz drugi do mikrofonu umieszczonego w hełmie lotniczym, a potem chwycił rękę pilota i pokierował nią tak, że popchnęła drążek, zmniejszając nagle siłę ciągu. Helikopter zatoczył się jak pijany, gwałtownie tracąc wysokość. Wtedy posypała się następna seria pocisków. Z góry i z tyłu rozległy się złowieszcze trzaski, a w innym miejscu pociski zagrzechotały o metal. Silnik zakaszłał. Maszyna zniknęła z nieba.

2

Był to jet ranger 206. Mieścił pilota, czterech pasażerów, w tym jednego z przodu, a trzech z tyłu, i wszystkie miejsca były zajęte. Godzinę wcześniej Scot odbywał rutynowy lot. Zabierał

w Szirazie z lotniska, położonego o jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód, kolegów wracających z miesięcznego urlopu. Teraz rutyna zmieniła się w koszmar. Przed helikopterem wyrastała góra, którą cudem chyba ominęli, po czym runęli w przepaść, co dawało możliwość uzyskania z powrotem siły ciągu i częściowego opanowania maszyny.

14

- Uważaj, na rany Chrystusa! - krzyknął Lochart. Scot także dostrzegł niebezpieczeństwo, ale nie tak szybko. Dygocący helikopter w ostatniej chwili ominął nawis skalny; lewa płoza podwozia lekko uderzyła o skałę i protestująco zajęczała, a oni jeszcze raz oddalili się od przeszkody, nurkując zaledwie metr nad poszarpanymi skałami i drzewami.

- Nisko i szybko - pokrzykiwał Lochart. - Tędy, Scot, nie, tamtędy, środkiem parowu...

Dostałeś?

- Nie, chyba nie. A ty?

- Też nie. Już w porządku, opadaj do wąwozu. Teraz! Szybko!

Scot Gavallan posłusznie przechylił maszynę; poleciał zbyt nisko i zbyt szybko; jego umysł

nie funkcjonował jeszcze normalnie. Nadal czuł w gardle wielką kulę, a serce waliło jak młotem. Zza ścianki odgradzającej kabinę pasażerów dochodziły krzyki i przekleństwa, przebijające się przez ryk silnika, nie mógł jednak zaryzykować i odwrócić się, rzucił więc niespokojnie do interkomu:

- Tom, czy ktoś z tyłu jest ranny?

- Zapomnij o nich, skoncentruj się, uważaj na grań. Ja się nimi zajmę! - polecił nagłym tonem Tom Lochart, rozglądając się na wszystkie strony. Miał czterdzieści dwa lata, był

Kanadyjczykiem, służył kiedyś w RAF-ie, potem był najemnikiem, a teraz głównym pilotem ich bazy, Zagros Trzy. - Uważaj na grań i bądź gotów do nowego uniku. Trzymaj stałą wysokość, nisko. Uważaj!

Grań była nieco nad nimi i zbliżała się zbyt prędko. Dokładnie na drodze maszyny Gavallan ujrzał szczyt poszarpane zęby skały. Ledwie zdążył ją ominąć, gdy gwałtowny podmuch wiatru rzucił ich niebezpiecznie blisko pionowej ściany wąwozu. Przesadził ją, poprawiając kurs, i usłyszał w słuchawkach ordynarny komentarz; odzyskał kontrolę nad maszyną. Potem wyłoniły się drzewa i skały. Wąwóz nagle się skończył, a on wiedział już, że się zgubili.

15

Wszystko zaczęło przebiegać wolniej.

- Chryste...

- Z lewej... uważaj na skałę!

Scot poczuł, że ręce i stopy są mu posłuszne; zobaczył, że helikopter ostrym zakrętem mija skały o centymetry, zawadza o drzewa, przelatuje nad nimi i ucieka ku wolnej przestrzeni.

- Siadaj tutaj, najszybciej, jak możesz.

Spojrzał nieprzytomnie na Locharta. Nadal był roztrzęsiony.

- Co?

- Siadaj. Lepiej go obejrzymy, sprawdźmy - powiedział niecierpliwie Lochart, wściekły, że to nie on trzyma drążek. - Słyszałem, że coś poszło.

- Ja też, ale co z podwoziem? Może być rozwalone!

- Po prostu zdejmij z niego ciężar. Wskoczę i zobaczę. Jeśli jest w porządku, to usiądziemy i szybko wszystko posprawdzam. Lepiej niczego nie zaniedbać; Bóg jeden wie, czy pociski nie przecięły dopływu oleju albo nie trafiły w przewód paliwowy. - Lochart zobaczył, że Scot odwraca się, żeby zerknąć na pasażerów.

- Do diabła z nimi, do cholery, ja się tym zajmę - rzucił ostrym tonem. - Skoncentruj się na lądowaniu.

3

Zauważył, że pilot zacisnął wargi, ale posłuchał. Sam, próbując przezwyciężyć mdłości, odwrócił się, oczekując, że ujrzy rozbryzganą krew, wnętrzności, i kogoś krzyczącego - krzyk tonie w hałasie silników

- i że nie będzie mógł niczego zrobić, dopóki nie dolecą w bezpieczne miejsce i nie wylądują; zawsze trzeba myśleć przede wszystkim o bezpiecznym lądowaniu.

Z niemal bolesną ulgą stwierdził, że trzech mężczyźni zajmujący miejsca z tyłu - dwóch mechaników i jeszcze jeden pilot - są cali i zdrowi, choć skuleni z przerażenia, a Jordon, mechanik, siedzący zaraz za Scotem, ma zbielełą twarz i trzyma się oburącz za głowę.

Lochart odwrócił się z powrotem.

Byli teraz na wysokości jakichś piętnastu metrów, na dobrym podejściu, i schodzili szybko.

Powierzchnia widoczna przez szybę była twarda, biała i płaska, po-16

zbawiona kęp roślinności, otoczona zaspami. Nieźle. Jest miejsce na manewr i lądowanie. Jak jednak ocenić głębokość śniegu i konfigurację przykrytego nim gruntu? Lochart wiedział, że mógłby tego dokonać, gdyby to on kierował maszyną. Ale nie kierował. Nie był w tym locie kapitanem, choć był starszy.

- Z tymi z tyłu wszystko w porządku, Scot.

- Dzięki Bogu - odparł Scot Gavallan. - Jesteś gotów do wyjścia?

- Co sądzisz o powierzchni?

Scot usłyszał ostrzegawczą nutę brzmiącą w głosie Locharta, błyskawicznie wstrzymał

lądownie, dodał mocy i wzbił się nieco wyżej. Chryste! Pomyślał, prawie wpadając w panikę po odkryciu, jak głupio się zachował. Gdyby Tom mnie nie ostrzegł, usiadłbym tutaj, a cholera wie, jak głęboki jest śnieg i co jest pod spodem!

Zawisł na wysokości trzydziestu metrów i badał wzrokiem zbocze.

- Dzięki, Tom. A tam?

Nowe lądowisko było mniejsze, znajdowało się kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie doliny; obniżało się, dając dobrą drogę ucieczki, gdyby jej potrzebowali, i było osłonięte od wiatru. Mało śniegu, grunt nierówny, ale znośny.

- Wygląda lepiej. - Lochart zsunął słuchawkę z jednego ucha i obejrzał się do tyłu. - Hej, Jean-Luc - zawołał przekrzykując hałas silnika. - W porządku?

- Aha. Słyszałem, jak coś poszło.

- My też. Jordon, nic ci nie jest?

- Jasne, w porządku - odrzyknął skwaszonym głosem Jordon. Szczupły, twardy Australijczyk potrzasał głową jak pies. - Tylko walnąłem pieprzonym łbem, to nic, prawda?

Cholerne, pieprzone pociski! Wydawało mi się, iż Scot powiedział, że wszystkie pieprzone sprawy lepiej się ułożą, gdy ten pieprzony Szach się wyniesie, a Chomeini wpieprzy się tu z powrotem. Lepiej? Teraz ci zasrańcy do nas strzelają! Nigdy przedtem tego nie robili. Co się tu dzieje, do cholery?!

17

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? To chyba jakiś świr, który lubi sobie postrzelać. Siedź spokojnie, a ja się rozejrzę. Jeśli podwozie jest w porządku, usiądziemy, a ty i Rod wszystko posprawdzacie.

- Co z pieprzonym ciśnieniem oleju? - krzyknął Jordon.

- Na zielonym. - Lochart usadowił się przodem do kierunku lotu, zerkając odruchowo na wskaźniki, lądowisko, niebo; w lewo, w prawo, do góry i w dół. Schodzili gładko, mając do pokonania sześćdziesiąt metrów. Usłyszał mruczenie Gavallana. - Świetnie ci poszło, Scot.

- Gównu poszło - odparł młodszy mężczyzna, starając się, żeby zabrzmiało to rzeczowo. -

Wyrznąłbym w coś. Zbaraniałem, kiedy trafiły nas kule. Gdyby nie ty, nie dałbym rady.

- To także moja wina. Popchnąłem ci dźwignię bez ostrzeżenia. Przepraszam. Musiałem szybko zdjąć

maszynę z linii strzału tego sukinsyna. Nauczyłem się tego na Malajach. -

4

Lochart spędził tam rok w siłach brytyjskich prowadzących walkę z komunistycznymi powstańcami. - Nie miałem czasu, żeby cię ostrzec. Siadaj tak szybko, jak możesz.

Popatrzył z aprobatą na Gavallana, który zataczał koła, starannie badając wzrokiem teren.

- Czy widziałeś, kto do nas wygarnął, Tom?

- Nie, ale wtedy się nie rozglądałem. Gdzie chcesz lądować?

- Tam, w pewnej odległości od tego zwałonego drzewa. W porządku?

- Dla mnie tak. Zrób to najszybciej, jak możesz. Trzymaj go pół metra nad ziemią.

Podejście udało się bezbłędnie. Zawisli niecały metr nad ziemią. Maszyna była stabilna jak omiatane wiatrem skały pod nimi. I wtedy Lochart otworzył drzwiczki. Zmroziło go nagle zimno. Zapiął suwak pikowanej kurtki lotniczej i wysliznął się ostrożnie na zewnątrz, schylając nisko głowę, w bezpiecznej odległości od wirującego śmigła.

Przód płozy był paskudnie naderwany i trochę skręcony, ale nity mocujące ją do podwozia trzymały mocno. Sprawdził szybko z drugiej strony, spojrzął jeszcze raz na uszkodzenie płozy i podniósł kciuk do góry. Gavallan przesunął dźwignię dławika, zmniejszył obroty i posadził maszynę tak miękko, jakby była puszką dmuchawca.

Trzej mężczyźni z tyłu natychmiast wysypali się na zewnątrz. Jean-Luc Sessonne, francuski pilot, odsunął się z drogi, żeby dwaj mechanicy mogli rozpocząć oględziny: jeden z lewej strony, drugi z prawej, od dziobu do ogona. Wiatr wytwarzany przez rotory smagał ich i szarpał ubraniami. Lochart był pod helikopterem; szukał wycieków oleju i paliwa, a gdy nie znalazł, wstał i ruszył za Rodriguesem. Rodrigues był Amerykaninem i bardzo dobrym mechanikiem. Od roku obsługiwał jego helikopter 212. Właśnie odłączył pokrywę i zaglądał

do środka; przyprószone siwizną włosy powiewały na wietrze, a ubranie łopotało.

Standardy bezpieczeństwa S-G były najwyższe w całym Iranie, tak więc wiązki kabli, rur i przewodów paliwowych, schludne i czyste, rozplanowano racjonalnie. Nagle Rodrigues znieruchomiał. Zauważył, że kar-ter silnika jest wgnieciony w miejscu, w które uderzył

pocisk. Ostrożnie zbadali ślad. Mechanik skierował snop światła latarki na gąszcz rur i przewodów. Jeden z przewodów olejowych był uszkodzony. Gdy Rodrigues cofnął rękę, stwierdzili, że cała ocieka olejem.

- Cholerne gówno - powiedział.

- Wyłączyć go, Rod? - krzyknął Lochart.

- Lepiej nie. Może być więcej takich wesołych strzelców i nie bardzo chciałbym tu nocować.

- Rodrigues wyciągnął kawał zapasowego przewodu i klucz. - Sprawdź ogon, Tom.

Lochart zostawił go i rozejrzał się niespokojnie, poszukując jakiegoś schronienia na wypadek, gdyby musieli jednak przenocować. Po przeciwnej stronie lądowiska Jean-Luc z papierosem w ustach odlewał się na zwalone drzewo.

18

19

- Hej, Jean-Luc, nie odmroź sobie! - zawołał i zobaczył, jak jego kolega zmienił z wrażenia kierunek strumienia.

- Hej, Tom.

To Jordon dawał mu znaki. Natychmiast zanurkował pod ogon helikoptera, żeby przyłączyć się do mechanika. Serce zabiło mu trochę mocniej. Jordon zdjął również płytę. W kadłubie, o centymetry nad zbiornikiem paliwa, widniały dwie dziury po kulach. Jezu, ułamek sekundy i zbiorniki by eksplodowały, pomyślał. Gdybym nie przesunął dźwigni, już by było po nas.

Absolutnie. Bylibyśmy rozmazani na skałach. Ale dlaczego?

Jordon trącił go i wskazał miejsce na linii pocisków. Kolumna rotora została trafiona.

- Niech mnie szlag, jeśli wiem, dlaczego nie trafił w te pieprzone śmigła - krzyknął.

Czerwona, wełniana czapka, którą zawsze nosił, zsunęła mu się na uszy.

- Widocznie nie było nam sądzone...

- Co?

5

- Już nic. Znalazłeś coś jeszcze?

- Na razie niczego pieprzonego. Z tobą w porządku, Tom?

- Jasne.

Rozległ się trzask. Zamarli, ale to tylko ogromna gałąź pękła pod ciężarem śniegu.

- Espece de eon - powiedział Jean-Luc.

Spojrzał na niebo, świadom uciekającego światła, potem wzruszył ramionami, zapalił

następnego papierosa i odszedł, przytupując dla rozgrzewki.

Jordon nie znalazł po swojej stronie już nic niepokojącego. Minuty upływały. Rodrigues nadal pomrukiwał i przeklinał, w niewygodnej pozycji sięgając ręką do wnętrza helikoptera. Inni stłoczyli się jak najdalej od huku rotorów. Było hałaśliwie i niewygodnie, resztki światła dziennego jeszcze wystarczały, ale już nie na długo. Zostało im do pokonania trzydzieści kilometrów, a nie dysponowali w tych górach żadnym systemem 20

naprowadzania poza małym urządzeniem w bazie, które czasem działało, a czasem nie.

- Szybciej, na rany boskie - zamruczał ktoś. Tak, pomyślał Lochart, ukrywając niepokój.

W Szirazie spotkali wyjeżdżającą załogę, którą mieli zastąpić. Dwaj piloci i dwaj mechanicy pomachali im w pośpiechu na pożegnanie i ruszyli do należącego do firmy 125 -

ośmiomiejscowego, dwusilnikowego odrzutowca transportowego, służącego do specjalnych frachtów, tego samego, którym Lochart i jego ludzie przylecieli z międzynarodowego lotniska w Dubaju. Właśnie wrócili z miesięcznego urlopu, który Lochart i Jordon spędzili w Anglii, Jean-Luc we Francji, a Rodrigues na polowaniu w Kenii.

- Dlaczego, u diabła, tak się spieszą? - zapytał Lochart, gdy w małym odrzutowcu zamknięto drzwi i rozpoczęto kołowanie.

- Lotnisko działa tylko częściowo, wszyscy nadal strajkują, ale nie martw się - powiedział

Scot Gavallan.

- Muszą wystartować, zanim ten drobny idiota na wieży, który uważa, że jest darem Boga dla Irańskiej Kontroli Lotów, unieważni ich zezwolenia na start. My też lepiej się stąd wynośmy, zanim zacznie się przypier-dalać. Ładujcie swoje kłamoty.

- A co z celnikami?

- Ciągle jeszcze strajkują, staruszk. Razem ze wszystkimi innymi. Banki też są zamknięte.

Nie szkodzi, za jakiś tydzień wszystko wróci do normy.

- Merde - powiedział Jean-Luc. - We francuskich gazetach piszą, że Iran to une catastrophe; z Chomeinim i jego mułłami, z wojskiem gotowym do zamachu stanu, z komunistami zwijającymi wszystkich, z bezsilnym rządem Bachtalara wojna domowa jest nieunikniona.

- Co oni wiedzą tam, we Francji, staruszk? - rzucił lekko Scot Gavallan, gdy ładowali swój ekwipunek.

- Frań...

- Francuzi wiedzą, mon vieux. We wszystkich gazetach można przeczytać, że Chomeini nigdy nie

pójdzie na współpracę z Bachtialem, gdyż Bachtiaar mianował

21

Szach, a każdy, kto się choć otarł o Szacha, jest skończony. Skończony. Stary napaleniec powtórzył pięćdziesiąt razy, że nie będzie współpracować z żadnym człowiekiem Szacha.

- Trzy dni temu widziałem się w Aberdeen z Andym - odezwał się Lochart. - Wygadywał, że teraz, gdy Chomeini wrócił, a Szach wyjechał, w Iranie się uspokoi.

Scot się uśmiechnął.

- Sam widzisz. Jeśli ktoś wie, to Staruszek. Co u niego słyhać, Tom?

Lochart odwzajemnił uśmiech.

- Jak zwykle, jest w dobrej formie. - Andy, czyli Andrew Gavallan, ojciec Scota, był

przewodniczącym i dyrektorem zarządzającym S-G. - Andy powiedział, że Bachtiaar ma 6

armię, marynarkę, lotnictwo, policję i SA-VAK, więc Chomeini musi się z nim jakoś dogadać. To, albo wojna domowa.

- Jezu! - wtrącił się Rodrigues. - Co my tu jeszcze robimy?

- Chodzi o szmal.

- Pieprzone merdel

Wszyscy się roześmiali, bardziej z powodu wrodzonego pesymizmu Jean-Luca niż z tego wyrażenia, a potem Scot powiedział:

- Co cię to obchodzi, Jean-Luc? Nikt nam tu dotąd nie zawracał głowy, prawda? Wszystkie te kłopoty nas nie dotyczą. Mamy umowy z IranOil, który należy do rządu. A czyjego?

Bachtiaara, Chomeiniego czy czort wie kogo! Niezależnie od tego, kto zdobędzie władzę, będzie musiał szybko przywrócić normalność. Każdy rząd desperacko potrzebuje petrodolców, to znaczy nas. Przecież, do cholery, oni nie są głupcami!

- Nie, ale Chomeini to fanatyk. Nie obchodzi go nic poza islamem, a ropa to nie islam.

- A co z Saudyjczykami? Z Emiratami, OPEC? Wyznają islam, ale znają cenę baryłki.

Zresztą do diabła z tym! Posłuchajcie - rozpromienił się Scot. - Guerny Aviation wycofała się z gór Zagros i redukuje swoje wszystkie operacje irańskie do zera. Do zera!

22

To przyciągnęło uwagę wszystkich. Guerny Aviation był wielkim amerykańskim przedsiębiorstwem helikopterowym i ich głównym konkurentem. Bez Guerny będzie dwa razy więcej pracy, a cały personel cudzoziemski w Iranie otrzymywał premie zależne od zysków.

- Jesteś pewien, Scot?

- Całkowicie, Tom. Jest o to wielka draka z IranOil. Skończyło się na tym, że IranOil powiedział: "Chcecie odejść, to wolna droga, ale wszystkie maszyny są przez nas wynajęte i muszą zostać. I części zamienne". Więc Guerny odrzekł, żeby się wypchali, posypał

maszyny naftaliną, zamknął bazę w Gaszu i się wyniósł.

Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Jean-Luc. - Guerny musiał tu mieć z pięćdziesiąt helikopterów na kontrakcie; gdyby nawet chcieli, nie stać ich na spisanie tego na straty.

- Jeśli nawet, to już załatwiliśmy w zeszłym tygodniu trzy loty, na które Guerny miał wyłączność.

Jean Luc uciszył wiwaty.

- Dlaczego Guerny się wycofał, Scot?

- Nasz Nieustraszony Przywódca w Teheranie uważa, że dostali cykora, i nie mogli, albo nie chcieli, wytrzymać nacisku. Stawmy temu czoło. Chomeini chce wypalać kwasem siarkowym przede wszystkim Amerykanów i amerykańskie spółki. McIver uważa, że próbują zmniejszyć swoje straty, i że my na tym wygramy.

- Santa Madonna. Jeśli nie mogą zabrać swoich maszyn i serwisu, to naprawdę mają kłopoty.

- Nie jesteśmy od myślenia, staruszk, tylko od roboty i latania. Jak długo trzymamy się tutaj, mamy ich kontrakty i przynajmniej podwójne zarobki tylko w tym roku.

- Tu en parles mon cul, ma tete est malade!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nawet Jordon wiedział, co to znaczy: boli mnie głowa, mów do mojego tyłka.

- Nie ma się czym przejmować, chłopie - powiedział Scot.

23

Lochart oderwał się od tych myśli; chłód panujący na zboczu jeszcze go nie przeniknął. Andy i Scot mieli rację, wszystko wróci do normy, bo musi, stwierdził. Angielskie gazety były zgodne co do tego, że sytuacja w Iranie szybko się unormuje. Pod warunkiem, że Sowieci nie zrobią jakiegoś jawnego ruchu. A ostrzeżono ich. Ręce precz, Amerykanie i Sowieci, żeby Iran mógł teraz sam zajmować się swoimi sprawami. To prawda, że każda władza potrzebuje 7

spokoju; i dochodów - a to oznacza ropę. Tak. Wszystko będzie w porządku. Jego Szahrazad wierzy w to, i wierzy, że po obaleniu Szacha i powrocie Chomeiniego wszystko będzie wspaniałe. Dlaczego ja miałbym nie wierzyć?

Och, Szahrazad, jak za tobą tęsknię.

Nie można było zatelefonować do niej z Anglii. W Iranie telefony nigdy nie działały dobrze; były przeciążone z powodu zbyt szybkiej industrializacji. Ale podczas ostatnich ośmiu miesięcy, od kiedy zaczęły się kłopoty, niemal ciągle strajki pracowników telekomunikacji coraz bardziej pogarszały sytuację, a teraz łączność telefoniczna właściwie już nie istniała.

Lochart, przebywając w Kwaterze Głównej w Aberdeen na obowiązujących co pół roku badaniach lekarskich, wysłał do Szahrazad teleks, co zajęło mu osiem godzin. Wysłał go pod adresem Duncana McIvera w Teheranie, gdzie teraz przebywała. W teleksie nie można powiedzieć za dużo; tylko: spotkamy się niebawem, tęsknię, Kocham.

Już niedługo, Kochanie, i...

- Tom?

- O, Jean-Luc? Co takiego?

- Zaraz zacznie padać śnieg.

- Tak.

Jean-Luc miał pociągłą twarz, duży, galijski nos i brązowe oczy. Był szczupły jak wszyscy piloci, którzy przechodzili co sześć miesięcy poważne badania lekarskie, podczas których nie było żadnego wytłumaczenia dla nadwagi.

- Kto do nas strzelał, Tom?

24

Lochart wzruszył ramionami.

- Nikogo nie widziałem. A ty?

- Ja też nie. Mam nadzieję, że to był jakiś czubek. - Jean-Luc świdrował go wzrokiem. -

Przez chwilę wydawało mi się, że znowu jestem w Algierii, te góry tak bardzo się nie różnią, i że znowu jestem w lotnictwie i walczę z fellahami i FLN, niech Bóg przeklnie ich na wieki. -

Zgasił papierosa o podeszwę. - Brałem już udział w jednej wojnie domowej i nie znosiłem tego, choć wtedy miałem przynajmniej bomby i karabiny maszynowe. Nie chciałem być wplątany w następną i polegać tylko na tym, jak szybko mogę uciec. -

- To był tylko jakiś samotny maniak.

- Chyba będziemy mieli do czynienia z całym tłumem maniaków, Tom. Już gdy opuszczałem Francję, miałem jakieś złe przeczucia, a teraz jest jeszcze gorzej. Byliśmy na wojnie, ty i ja, a większość pozostałych nie. Mamy nosa, ty i ja, i czujemy, że pakujemy się w duże kłopoty.

- Nie. Po prostu jesteś zmęczony.

- To prawda. Czy Andy istotnie uważa, że to wszystko dobrze się skończy?

- Tak. Przesyła pozdrowienia i mówi, żeby tak trzymać.

Jean-Luc zaśmiał się i stłumił ziewnięcie.

- Santa Madonna, umieram z głodu. Co Scot zaplanował na nasz przyjazd?

- Wywiesił nad hangarem transparent z napisem: "Witajcie".

- Na kolację, mon vieux. Na kolację.

- Scot powiedział, że on i paru ludzi ze wsi urządzili polowanie. Mają udziec z dziczyzny i kilka zajęcy. Upieką to wszystko tak, żeby było kruche.

Oczy Jean-Luca błysnęły.

- Dobra. Posłuchaj, kupiłem brie, czosnek, cały kilogram, wędzoną szynkę, anchois, cebulę, parę kilo makaronu, puszki przecieru pomidorowego, a żona dała mi nowy przepis na amatriciana od Gianniego z St. Jean, podobno świetny. I wino.

25

Lochart poczuł głód. Gotowanie było prawdziwą pasją Jean-Luca, a gdy naprawdę tego chciał, spływało na niego natchnienie.

8

- Mam ze sobą puszki ze wszystkim, o czym pomyślałem, z Fortnums; i trochę whisky. Hej, stęskniłem się za twoim gotowaniem.

I towarzystwem, pomyślał. Gdy spotkali się w Du-baju, wymienili uścisk dłoni, a on zapytał:

- Jak urlop?

- Byłem we Francji - oświadczył Jean-Luc uroczyście. Lochart zazdrościł mu. W Anglii nie było dobrze.

Pogoda, jedzenie, urlop, dzieci, ona, Boże Narodzenie - po dziurki w nosie. Nic nie szkodzi.

Wróciłem i wkrótce będę w Teheranie.

- Ugotujesz coś dzisiaj, Jean-Luc?

- Oczywiście. Jak mógłbym przeżyć bez prawidłowego odżywiania?

Lochart zaśmiał się.

- Tak, jak cała reszta świata.

Patrzyli na Rodriguesa, który nadal ciężko pracował, smagany wiatrem wytworzonym przez rotory. Dźwięk silnika zmieniał barwę. Lochart uniósł kciuk w kierunku Scota Gavallana, czekającego cierpliwie w kokpicie. Scot powtórzył ten znak i wskazał niebo. Lochart skinął

głową, wzruszył ramionami i spojrzął z powrotem na Rodriguesa, wiedząc, że nie może pomóc i musi czekać ze stoickim spokojem.

- Kiedy lecisz do Teheranu? - zapytał Jean-Luc. Lochartowi mocniej zabiło serce.

- W niedzielę, jeśli nie będzie padał śnieg. Mam raport dla McIvera i pocztę. Wezmę 206; jutro trzeba będzie wszystko sprawdzić. Scot powiedział, że musimy trochę poczekać z rozpoczęciem pełnych operacji.

Jean-Luc wlepił w niego wzrok.

- Czy Nasiri powiedział, że będą pełne operacje?

- Tak. - Nasiri był ich irańskim łącznikiem i szefem bazy, pracownikiem IranOil - monopolu rządowego, będącego właścicielem całej wydobytej i nie wydobytej ropy - który planował

wszystkie loty i dawał na nie

26

zezwoleń. S-G pracowała na mocy umowy z jego firmą; prowadziła badania, dowoziła personel, dostawy i wyposażenie do punktów wierceń rozrzuconych po całych górach i zajmowała się nieuniknionymi działaniami CASEVAC - ewakuacjami w razie wypadków - i innymi nagłymi akcjami. - Wątpię, czy w przyszłym tygodniu będziemy dużo latać. Chodzi o pogodę. Chyba jednak będę mógł jakoś się wydostać na 206.

- Aha. Będziesz potrzebował przewodnika. Polecę z tobą.

Lochart się zaśmiał.

- Nie ma mowy, przyjacielu. Przez najbliższe dwa tygodnie masz dyżur i dowodzisz.

- Ale nie będę potrzebny. Na trzy dni, co? Spójrz na niebo, Tom. Muszę sprawdzić, czy z

mieszkańcem jest wszystko w porządku. - W normalnych, spokojnych czasach wszyscy piloci mieszkaliby z rodzinami w Teheranie; dwa tygodnie lotów, tydzień wypoczynku. Wielu pilotów wolało dwa miesiące latania i jeden w domu, zwłaszcza Anglicy. - To dla mnie bardzo ważne. Muszę się dostać do Teheranu.

- Jeśli chcesz, sprawdzę twoje mieszkanie, a jeśli obiecasz, że będziesz gotować trzy razy w tygodniu, dam ci po cichu dwa dni wolnego, gdy wrócę. Właśnie przyjechałeś z miesięcznego urlopu.

- Ale byłem w domu. Teraz muszę pomyśleć o mon amie. Beze mnie jest w Teheranie samotna; nie widziała mnie przez cały miesiąc. Oczywiście... - Jean-Luc obserwował

Rodriguesa. Potem spojrzał w niebo. - Możemy poczekać jeszcze dziesięć minut, Tom, a potem musimy przygotować biwak, póki jest jeszcze widno.

- Tak.

- Ale wracając do ważniejszych spraw, Tom, co...

- Nie.

9

- Madonna, bądź Francuzem, a nie Anglosasem. Weź to pod uwagę: cały miesiąc bez uczuć!

Rodrigues umocował pokrywę i wytarł ręce.

- Wynosimy się stąd - zawołał i wsiadł do helikoptera. Za nim szybko wskoczyli pozostali.

Zapinał jeszcze

27

pas, bolały go plecy i kark, gdy byli już w powietrzu i pędzili w stronę bazy. Potem zobaczył, że Jordon wpatruje się w niego. - Co z tobą, Effer?

- Jak przyczepiłeś tę pieprzoną rurkę? Była całkiem do dupy!

- Gumą.

- Co?

- Gumą do żucia. Jasne, do cholery. Działała, skubana, w Wietnamie, to będzie, skubana, działać i tutaj. Może. Bo to był cholernie mały kawałek, ale większego nie miałem, i możesz już zacząć te swoje pieprzone modlitwy, żebyśmy nie spadli. Czy mógłbyś, na Boga, przestać kłąć?!

Gdy wylądowali w bazie, zaczął padać śnieg. Personel naziemny włączył na wszelki wypadek światła lądowiska.

Baza składała się z czterech kontenerów, kuchni, hangaru dla 212 - czternastomiejsowego helikoptera pasażerskiego lub frachtowego, zależnie od potrzeb - dwóch 206 i lądowisk. Były jeszcze szopy mieszczące części zamienne do urządzeń wiertniczych, worki cementu, pompy, generatory i wszelką aparaturę do wierceń, włącznie z rozmontowanym wiertłem. Wszystko to leżało na małym wzniesieniu na wysokości dwóch tysięcy metrów, zalesionym i bardzo malowniczym. Wzniesienie otaczały pokryte śniegiem szczyty, które wyrastały na wysokość ponad trzech tysięcy metrów i więcej. Pół kilometra dalej leżała wioska Jazdek. Wieśniacy należeli do małego wędrownego szczepu Kaszkajów, który osiedlił się sto lat temu wokół

skrzyżowania dwóch szlaków karawan, dzielących Iran na trzy części chyba od tysiąca lat.

S-G miała tu bazę od siedmiu lat, na podstawie umowy z IranOil, na początku po to, by dokonywać pomiarów przy budowie rurociągu i sporządzać topograficzne mapy terenu, a następnie po to, by pomagać we wznoszeniu i utrzymywaniu wież wiertniczych na bogatych polach naftowych położonych w okolicy. Było

28

to samotne, dzikie i urocze miejsce, a loty ciekawe i dobre; wylatywanie godzin było łatwe, gdyż przepisy obowiązujące w całym Iranie nie zezwalały na latanie w nocy. Latem panowały upały. Przez większą część zimy tonęli w śniegu. W pobliżu znajdowały się krystalicznie czyste rybne jeziora i lasy pełne zwierzyny. Stosunki z mieszkańcami wioski Jazdek układały się znakomicie. Zwykle nie potrzebowali niczego poza przesyłkami pocztowymi, które dochodziły regularnie. Nadto, co było ważne dla nich wszystkich, od Kwatery Głównej w Teheranie dzielił ich kawał drogi; poza kontaktowaniem się za pomocą radia pozostawieni byli samym sobie, co było wszystkim, czego potrzebowali do szczęścia.

Gdy tylko rotory zatrzymały się i silnik przestał pracować, Rodrigues i Jordon znowu zdjęli pokrywę. Byli przerażeni. Podłoga przedziału maszynowego tonęła w oleju. Towarzyszył

temu ciężki odór benzyny. Rodrigues przez chwilę grzebał w przewodach trzęsącymi się rękami, a potem zapalił latarkę. Na jednym ze spojeń baku ukazało się maleńkie pęknięcie, którego nie wykryli na zboczu góry. Wyciekał z niego cienki strumyczek benzyny i mieszał

się z olejem na dole.

- Jezu! Spójrz na to! To jest pieprzona bomba zegarowa - zaskrzeczał Rodrigues nieswoim głosem. Stojący za nim Jordon mało nie zemdlał. - Jedna iskra i... Effer, daj mi wąż. Spuszczę benzynę teraz, zanim znowu polecimy...

- No, no - powiedział Scot, a potem dodał z namysłem: - Tym razem się udało.

- Widocznie jesteś w czepku urodzony, kapitanie

- stwierdził Rodrigues, czując się bardzo niedobrze.

10

- W czepku urodzony. Ten helikopterek...

Urwał nagle i zaczął nasłuchiwać. Nasłuchiwali wszyscy - Lochart i Jean-Luc, Nasiri i pół

tuzina Irańczyków z obsługi naziemnej, kucharzy i robotników. Było bardzo cicho. Potem, od strony wioski, doszedł ich klekot karabinu maszynowego.

- Cholera! - mruknął Rodrigues. - Po kiego czorta wracaliśmy do tej parszywej dziury?

29

ABERDEEN, SZKOCJA - LOTNISKO HELIKOPTEROWE McCLOUD, 17:15. Ogromny helikopter

wyłonił się z mroku, młóćąc śmigłem powietrze, i wylądował obok rollsa zaparkowanego przy splukanych deszczem stanowiskach latających maszyn. Na lądowisku panował duży ruch; inne helikoptery przylatywały lub odlatywały, unosząc brygady monterów, personelu i ładunki. Na wszystkich maszynach i hangarach pysznił się znak S-G. Drzwi kabiny otworzyły się; dwaj mężczyźni ubrani w lotnicze kombinezony i maewestki zeszli po składanych stopniach, pochylając się, aby zrównoważyć siłę siekącego deszczem wiatru. Gdy podeszli do samochodu, szofer w uniformie otworzył przed nimi drzwiczki. - Dobrze nas wytrzęsło, co? -

powiedział z zadowoleniem Adrew Gavallan, wysoki silny mężczyzna, świetnie się trzymający jak na swoje sześćdziesiąt cztery lata. Zrzucił zręcznie kamizelkę, strząsnął wilgoć z kołnierza i usiadł w samochodzie obok swego kolegi. - Jest wspaniały, ma wszystko, czego trzeba. Czy mówiłem ci już, że jesteśmy pierwszymi ludźmi z zewnątrz, którzy odbyli nim próbny lot?

30

- Pierwszymi czy ostatnimi, to nie ma dla mnie znaczenia. Rzuciło jak cholera i było cholernie głośno - odparł zirytowany Linbar Struan, uwalniając się od kamizelki. Miał

pięćdziesiąt lat, włosy koloru piasku, niebieskie oczy; był szefem Struana, ogromnego koncernu z bazą w Hongkongu, zwanego też Noble House. Koncern ten był cichym, ale ważnym udziałowcem S-G Helicopters i miał kontrolny pakiet akcji. - Nadal uważam, że to zbyt kosztowna inwestycja. Cena jednej maszyny jest dużo za duża.

- X63 jest tak ekonomiczny, jak tylko może być; będzie idealny na Morzu Północnym, w Iranie i wszędzie tam, gdzie mamy do przewożenia ciężkie ładunki. Zwłaszcza w Iranie. -

Gavallan udzielał cierpliwie wyjaśnień, nie chcąc, aby jego niechęć do Linbara zepsuła miłe wspomnienia doskonałego lotu próbnego. - Zamówiłem sześć.

- Jeszcze nie zatwierdziłem tego zakupu - wybuchnął Linbar.

- To nie jest konieczne - odparł Gavallan z twardym wyrazem brązowych oczu. - Jestem członkiem Wewnętrznego Zarządu Struana; ty i zarząd zatwierdziliście w zeszłym roku ten zakup pod

warunkiem, że próbny lot wypadnie dobrze, i że ja to zalecę...

- Jeszcze tego nie zrobiłeś!

- Więc robię teraz i to zamyka sprawę! - Gavallan uśmiechnął się miło i opadł głębiej w siedzenie. - Za trzy tygodnie, na zebraniu zarządu, będziecie mieli umowy.

- To się nigdy nie kończy, Adrew. Ty i twoja cholerna ambicja, prawda?

- Nie stanowią dla ciebie zagrożenia, Linbar. Nie...

- Zgadzam się! - Linbar ze złością złapał słuchawkę interkomu, żeby wydać polecenie kierowcy, odgrodzonemu od nich dźwiękoszczelną szybą. - John, podrzuć pana Gavallana do biura, a potem pojedziemy do Castle Avisyard.

Samochód natychmiast ruszył w kierunku trzypiętrowego biurowca za hangarami.

31

- Co słyszeć w Avisyard? - zapytał Gavallan dziwnym głosem.

- Lepiej niż za twoich czasów. Przykro mi, że ty i Maureen nie zostaliście zaproszeni na święta. Może w przyszłym roku... - Linbar wydał usta. - Tak, znacznie lepiej. - Wyjrzał przez okienko i wycelował palcem w ogromny helikopter. - Nie nawal z tym. Albo z czymś innym.

Gavallan zeszywniał; przytyk pod adresem żony nie uszedł jego uwagi.

11

- Jeśli już mowa o nawalaniu, to co z twoimi katastrofalnymi inwestycjami w Ameryce Południowej, z twoimi głupimi awanturami z Toda Shipping o ich tankowce; co z utratą kontraktu na tunel w Hongkongu na rzecz Par-Con/Toda, co ze zdradzaniem naszych starych przyjaciół w Hongkongu przy twoich manipulacjach na gieł...

- Zdradzanie! Gównno! "Starzy przyjaciele"! Gównno! Są już dorośli. I co dla nas zrobili?

Szanghajczycy mają być od nas sprytniejsi? A Kantończycy, ci z kontynentu i wszyscy inni?

Sam powtarzałeś to miliony razy! To nie moja wina, że panuje kryzys naftowy, że na świecie jest zamieszanie, że w Iranie wszystko się chrzani albo że Arabowie chcą nas ukrzyżować, razem z Japończykami, Koreańczykami i Tajwańczykami. - Linbar aż dławił się gniewem. -

Zapominasz, że żyjemy już w innym świecie! Hongkong jest inny, cały świat jest inny!

Jestem tajpanem Struana, muszę dbać o Noble House, a każdy tajpan miał swoje kłopoty, nawet ten twój cholerny, wyklęty przez Boga sir Ian Dunross, a będzie miał jeszcze więcej ze swoimi przywidzeniami o bogactwie naftowym Chin...

- łan miał rac...

- Nawet Hag Struan miał gorsze okresy, nawet nasz cholerny założyciel, sam wielki Dirk, niech zgnije w piekle! To nie moja wina, że na świecie się gotuje. Myślisz, że poradziłbyś sobie lepiej?! - Linbar już krzyczał.

- Dwadzieścia razy! - odgryzł się Gavallan. Teraz Linbar trząsał się z wściekłości.

32

- Wywaliłbym cię, gdybym mógł! Ale nie mogę! Muszę mieć ciebie i całą twoją zdradzieckość, ty zużyty, staromodny idioto. Wzniełeś się do rodziny, nie jesteś naprawdę jej członkiem, ale jeśli jest Bóg w niebie, to sam się zniszczysz! Jestem tajpanem, a ty, klnę się na Boga, nigdy nie będziesz!

Gavallan załomotał w szklaną przegrodę, a gdy samochód stanął w miejscu, gwałtownie otworzył drzwiczki i wysiadł.

- Dew neh loh moh, Linbar! - wycedził przez zęby i ruszył w deszcz.

Ich wzajemna nienawiść zrodziła się w końcu lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych, gdy Gaval-łan pracował w Hongkongu dla Struana, zanim przybył tutaj na sekretne polecenie przyszłego tajpana, łana Dunrossa, brata zmarłej żony Gavallana, Kathy. Linbar był o niego wściekle zazdrosny, gdyż Andrew cieszył się zaufaniem Dunrossa, a Linbar nie, ale przede wszystkim dlatego, że Gavallana uważano zawsze za następcę tajpana, podczas gdy Linbar, w opinii innych, nie miał na to szans.

Starym obyczajem spółki Struana było to, że tajpan miał całkowitą i niepodważalną władzę oraz nie pogwałcone nigdy prawo do wyboru chwili swego wycofania się z interesów i ustanowienia następcy - który musiał być członkiem Wewnętrznego Zarządu, a zatem rodziny. Z chwilą podjęcia takiej decyzji pozbywał się całej władzy, łan Dunross rządził

mądrze przez dziesięć lat, a potem wybrał sukcesorem kuzyna, Davida MacStrua-na. Cztery lata temu David, zapalony himalaista, zginął w kwiecie wieku w wypadku w górach. Na krótko przed śmiercią, w obecności dwóch świadków, ku zdziwieniu wszystkich, mianował

Linbara swoim następcą. Policja - brytyjska i nepalska - prowadziła dochodzenie w sprawie jego śmierci. Okazało się, że ktoś majstrował przy linach i innych częściach jego ekwipunku.

Dochodzenie zakończyło się orzeczeniem: "wypadek". Góra, na którą David się wspinał, była odległa, upadek nagły i nikt - ani wspinający się, ani przewod-33

nicy - nie widział, co się naprawdę wydarzyło. Warunki były znośne, tak, sahib był w dobrej formie i był rozsądny, nie podejmował niepotrzebnego ryzyka. "Ale, sahib, nasze góry różnią się od innych. Nasze góry mają swoje duchy i gniewają się od czasu do czasu, sahib, kto może przewidzieć, co zrobią duchy?" Nikt nie wskazał na nikogo, przy sprzeczcie mógł nikt nie manipulować, po prostu musiał być źle utrzymany. Karma.

Poza przewodnikami Nepalczykami całą dwunastkę uczestników wyprawy stanowili ludzie z Hongkongu, przyjaciele i znajomi, Brytyjczycy, Chińczycy, jeden Amerykanin i dwóch Japończyków, Hiro Toda, szef Toda Shipping Industries - wieloletni osobisty przyjaciel Davida MacStruana - i jeden z jego znajomych, Nobunaga Mori. Linbara wśród nich nie było.

Ogromnie ryzykując, dwaj mężczyźni i przewodnik zeszli do miejsca wypadku i dotarli do Davida MacStruana, zanim zmarł. Dokonali tego Paul Choy, bogaty dyrektor Struana, i Mori.

Obaj zeznali, że przed śmiercią David MacStruan mianował formalnie Linbara Struana swym sukcesorem. Po powrocie wstrząśniętych członków wyprawy sekretarka wykonawcza MacStruana znalazła w jego biurku zwykłą kartkę maszynopisu podpisaną przez szefa i datowaną kilka miesięcy wcześniej oraz parafowaną przez Paula Choya, która potwierdzała słowa świadków śmierci Davida.

Gavallan pamiętał, jaki wstrząs wtedy przeżył, podobnie zresztą jak wszyscy inni, włącznie z Claudią Chen, której rodzina od pokoleń pełniła funkcję sekretarzy wykonawczych tajpanów, kuzynką jego własnej sekretarki, Liz Chen.

- To nie jest podobne do tajpana, panie Andrews

- oświadczyła. Była już starsza, ale nadal ostra jak igła.

- Tajpan nigdy by nie zostawił tutaj tak ważnego dokumentu; schowałby go w sejfie w Wielkim Domu razem z... wszystkimi innymi prywatnymi dokumentami.

David MacStruan jednak tak nie postąpił. Słowa umierającego i wspierający je dokument wystarczyły, by

Linbar Struan został tajpanem Noble House, i to kończyło sprawę. Ale... dew neh loh moh z Linbarem, jego ohydną żoną, jego diabelską chińską kochanką i jego podejrzanymi przyjaciółmi. Mogę postawić własne życie w zakład, że jeśli nawet David nie został

zamordowany, to jego śmierć i tak jest podejrzana. Ale dlaczego Paul Choy miałby kłamać albo Mori, dlaczego... Niczego by na tym nie zyskali.

Uderzył go nagły szkwał, tak że na chwilę stracił oddech i został wyrwany z zamyślenia.

Serce nadal biło mu szybciej niż zwykle; przeklinał się za to, że stracił panowanie nad sobą i pozwolił, aby Linbar powiedział to, co nie powinno zostać wypowiedziane. Jesteś cholernym głupcem, mogłeś nie dopuścić do tego wybuchu, musisz pracować jeszcze przez wiele lat; to także twoja wina! - powiedział na głos, a potem mruknął: Sukinsyn nie powinien zrobić tej uwagi o Maureen... Byli małżeństwem od trzech lat i mieli dwuletnią córkę. Jego pierwsza żona, Kathy, zmarła dziewięć lat temu na stwardnienie rozsiane.

Biedna, stara Kathy, pomyślał ze smutkiem. Nie miałaś szczęścia.

Przebijając wzrokiem ścianę deszczu, zobaczył, że rolls wyjeżdża przez bramę lotniska i znika. Cholerna szkoda z tym Avisyard. Kocham to miejsce, myślał, wspominając dobre i złe chwile, gdy mieszkał tam z Kathy i dwójką dzieci, Scotem i Melindą. Castle Avisyard było starą posiadłością Dirka Struana, pozostawioną przez niego dla kolejnych tajpanów.

Domostwo było szeroko rozrzucone i piękne, otoczone ponad tysiącem hektarów gruntu w Ayrshire. Szkoda, że nigdy tam nie pojedziemy, Maureen, ja i mała Electra, przynajmniej tak długo, jak długo Linbar jest tajpanem. Żal, ale takie jest życie.

- Nieszczęścia nie trwają wiecznie - powiedział do wiatru i poczuł się lepiej, słysząc te słowa.

Potem wszedł do budynku i do swego biura.

- Cześć, Liz - powiedział. Liz Chen była przystojną, pięćdziesięcioletnią Eurazjatką, która przyleciała

34

35

z nim w 1963 roku z Hongkongu i znała wszystkie sekrety Gavallan Holdings, jego początkowej działalności maskującej, S-G i firmy Struan. - Co nowego?

- Pokłóciłeś się z tajpanem, ale to nic.

Podawała mu filiżankę herbaty; miała dźwięczny, melodyjny głos.

13

- Cholera, rzeczywiście. Skąd, u diabła, o tym wiesz? - Gdy, zamiast odpowiedzi, zaśmiała się, roześmiał się także. - Szlag go trafił. Dodzwoniłaś się do Maca?

Chodziło o Duncana McIvera, szefa S-G w Iranie i jego najdawniejszego przyjaciela.

- Chłopak próbował od świtu do zmroku, ale linie w Iranie są ciągle zajęte. Teleks również nie odpowiada. Duncan na pewno też chciałby się z tobą porozumieć.

- Wzięła jego płaszcz i powiesiła na wieszaku w biurze.

- Dzwoniła twoja żona. Zabiera Electrę ze złości i chciałyby wiedzieć, czy wrócisz do domu na kolację. Powiedziałam jej, że chyba tak, ale że możesz wrócić późno; za pół godziny masz konferencję telefoniczną z ExTex.

- Tak. - Gavallan usiadł za biurkiem i upewnił się, że akta są przygotowane. - Sprawdź, czy teleks do Macą jeszcze działa, dobrze, Liz?

Zaczęła od razu wykręcać numer. Biuro było duże i schludne, z widokiem na lotnisko. Na

wysprzątanym biurku stała fotografia Kathy z Melindą i Scotem, gdy dzieci były jeszcze bardzo małe, i ogromnym Castle Avisyard w tle oraz inna, z Maureen trzymającą niemowlę.

Miłe twarze, uśmiechnięte twarze. Na ścianie wisiał tylko jeden obraz olejny, autorstwa Aristotle'a Quan-ce'a, przedstawiający korpulentnego chińskiego mandaryna - podarunek od Iana Dunrossa upamiętniający ich pierwsze udane lądowanie na platformie wiertniczej na Morzu Północnym, dokonane przez McIvera, oraz początek nowej ery.

- Andy - powiedział wtedy Dunross, rozpoczynając to wszystko. - Chciałbym, żebyś zabrał

Kathy i dzieciaki, opuścił Hongkong i wrócił do Szkocji. Chciałbym, 36

żebyś udawał, iż rezygnujesz ze Struana. Oczywiście, będziesz nadal członkiem Zarządu Wewnętrznego, ale to na razie pozostanie tajemnicą. Chciałbym, żebyś pojechał do Aberdeen i kupił po cichu jak najlepszą posiadłość, przystań, tereny fabryczne, małe lotnisko, coś, co może być lądowiskiem dla helikopterów. Aberdeen jeszcze leży na uboczu, więc będziesz mógł kupić tanio to, co najlepsze. To tajna operacja; wszystko pozostanie między nami. Kilka dni temu widziałem się z dziwnym facetem, sejsmologiem imieniem Kirk, który przekonał

mnie, że Morze Północne jest ogromnym złożem naftowym. Chciałbym, żeby Noble House było gotowe do dostaw sprzętu wiertniczego, kiedy tylko wszystko się zacznie.

- Mój Boże, Ian, jak możemy to zrobić? Morze Północne? Nawet jeśli jest tam ropa, co wydaje się niemożliwe, to chodzi o najbardziej złośliwe wody, przynajmniej przez większą część roku. Nie da się tam wydobywać ropy przez cały rok, a w każdym razie uniemożliwią to koszty! Jak damy radę?

- To twój problem, chłopcze.

Gavallan pamiętał, jak się wtedy roześmiali i, jak zwykle, rozbroiło go pokładane w nim zaufanie. Opuścił więc Hongkong, czym sprawił przyjemność Kathy, i zrobił wszystko, o co go poproszono.

Niemal od razu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wydobywanie ropy z dna Morza Północnego zaczęło rozkwitać, a największe firmy amerykańskie, z Ex-Tex, ogromnym koncernem naftowym z Teksasu, na czele, a także BP, British Petroleum, rzuciły się w wir ogromnych inwestycji. On sam był w świetnej sytuacji i mógł wykorzystać to nowe Eldorado.

Pierwszy zorientował się, że na tych burzliwych wodach jedynym sposobem obsłużenia powstających konstrukcji wiertniczych było użycie helikopterów. Pierwszy dysponował -

dzięki wpływom Dunrossa - ogromnymi funduszami niezbędnymi do wynajmowania helikopterów. Pierwszy skłonił dużych producentów helikopterów do produkcji maszyn odpowiedniej wielkości, bezpiecznych, dobrze

37

wyposażonych i osiągających parametry, o jakich przedtem nawet się nie śniło. Pierwszy dowiódł, że latanie nad tymi burzliwymi wodami jest możliwe przy każdej pogodzie. A 14

właściwie zrobił to za niego Duncan McIver, latając i rozwijając zupełnie nowe techniki lotów.

Morze Północne zaprowadziło ich do Zatoki Perskiej, Iranu, Malezji, Nigerii, Urugwaju i Południowej Afryki. Perłą w koronie był Iran, dysponujący ogromnym, bardzo zyskowym potencjałem, z dościami do ośrodka władzy, Dworu, co do którego partnerzy irańscy zapewniali, że pozostanie dostatecznie silny nawet po detronizacji Szacha. "Andy", powiedział wczoraj generał Dżawadah, starszy wspólnik urzędujący w Londynie. "Nie ma powodu do żałob. Jeden z naszych wspólników jest spokrewniony z Bachtiaem, a na wszelki wypadek utrzymujemy na wysokim szczeblu kontakty z bliskim otoczeniem Chomeiniego. Oczywiście, w tej nowej epoce wszystko będzie droższe niż dawniej" ...

Gavallan się uśmiechnął. Nie szkodzi. Pomimo dodatkowych wydatków i tego, że co rok wspólnicy będą coraz bardziej chciwi, zostanie jeszcze tyle, żeby Iran pozostał naszym okrętem flagowym, na pewno do czasu powrotu do normalności. Hazard lana opłacił się Noble House tysiącrotnie. Szkoda, że zrezygnował, ale prowadził wtedy Struana już od dziesięciu lat. To by było dość dla każdego, nawet dla mnie. Linbar nie myli się; rzeczywiście chce to prowadzić. Jeśli Bóg sprawi, że tego nie dostanę, dostanie Scot. A na razie naprzód i w górę? Maszyny X63 sprawią, że wyprzedzimy Imperial and Guernsey, i uczynią nas największą firmą helikopterową na świecie.

- Za parę lat, Liz, będziemy najwięksi - oświadczył z przekonaniem. - Uderzenie X63! Mac pięknie, gdy mu to powiem.

- Tak - przyznała i odłożyła słuchawkę. - Przykro mi, Andy, linia jest ciągle zajęta.

Zawiadomią nas, gdy będzie wolna. Czy przekazałeś tajpanowi inne dobre wieści?

38

- To nie był najważniejszy moment, ale nic nie szkodzi. - Oboje wybuchnęli śmiechem. -

Zostawiam to na zebranie zarządu.

Stary zegar okrętowy na biurku zaczął wydzwaniać szóstą. Gavallan sięgnął i włączył

wielozakresowy odbiornik radiowy stojący za nim, we wbudowanej w ścianę szafce. Rozległ się dźwięk Big Bena wybijającego godzinę...

TEHERAN, MIESZKANIE McIVERA. Ucichł dźwięk ostatniego uderzenia zegara. Odbiór był słaby, zakłócany trzaskami: "Tu Serwis Światowy BBC, 17:00 czasu Greenwich".

Odpowiadało to 20:30 czasu lokalnego w Iranie.

Dwaj mężczyźni odruchowo spojrzeli na zegarki. Kobieta pociągnęła łyk martini z wódką.

Cała trójka otaczała duże, akumulatorowe radio odbierające program na falach krótkich.

Sygnal odbioru był bardzo słaby, automatyczne strojenie nie radziło sobie z uciekającą falą.

Na zewnątrz panowały nocne ciemności. Z oddali dochodziły odgłosy strzałów; nie zwracali na to uwagi. Kobieta pociągnęła drugi łyk, czekała. W mieszkaniu było zimno; centralne ogrzewanie nie działało już od tygodni. Jedyne źródło ciepła stanowił mały, elektryczny kominek; podobnie jak przyćmione światła, pracował na pół mocy.

"...o 19:30 czasu Greenwich nadamy raport z Iranu "Od naszego specjalnego korespondenta"..."

- Dobrze - mruknęła kobieta, i wszyscy pokiwali głowami.

Miała pięćdziesiąt jeden lat, wyglądała młodo jak na swój wiek i atrakcyjnie; miała niebieskie oczy i jasne włosy; była zadbana i nosiła okulary w ciemnej oprawie. Nazywała się Genevere McIver, zdrobniale Genny.

"... ale najpierw wiadomości w skrócie: w Wielkiej Brytanii dziewiętnaście tysięcy robotników znów strajkowało o wyższe płace w zakładach British Leyland, największego producenta pojazdów w kraju. Negocjato-39

rzy związkowi reprezentujący pracowników sektora publicznego osiągnęli porozumienie w sprawie szes-nastoprocentowego wzrostu płac, choć labourzystow-ski rząd premiera 15

Callaghana chciał utrzymać osiem i osiem dziesiątych procenta. Królowa Elżbieta poleci w poniedziałek do Kuwejt, rozpoczynając trzytygodniową wizytę w krajach Zatoki Perskiej. W

Waszyngtonie prezy..."

Głos zanikł. Wyższy z mężczyzn zaklął.

- Cierpliwości, Charlie - powiedziała Genny łagodnie. - Zaraz będzie coś słycać.

- Tak, masz rację - odparł Charlie Pettikin. W oddali rozległy się salwy z broni palnej.

- Wysyłanie teraz królowej do Kuwejt jest trochę ryzykowne, nieprawdaż? - odezwała się Genny. Kuwejt był nieprawdopodobnie bogatym szejkanatem naftowym po przeciwnej stronie Zatoki Perskiej, graniczącym z Arabią Saudyjską i Irakiem. - Trochę głupie w dzisiejszych czasach, prawda?

- Cholernie głupie. Ten cholerny rząd chce przez cały czas trzymać podniesioną głowę - wtrącił jej mąż, Duncan McIver. - Przez całą cholerną drogę do Aber-deen.

Zaśmiała się.

- To całkiem długa droga, Duncan.

- Nie za daleka dla mnie, Gen! - McIver, krępy, pięćdziesięcioośmioletni mężczyzna, był

zbudowany jak bokser i miał siwe włosy. - Cholerna głupota Callaghana i...

Przerwał, nasłuchując słabego dudnienia ciężkiego pojazdu przejeżdżającego ulicą.

Mieszkanie położone było na ostatnim, czwartym piętrze nowoczesnego domu mieszkalnego na północnych przedmieściach Teheranu. Przejechał następny pojazd.

- Dudnią jak czołgi - zauważyła Genny.

- Bo są czołgami - wyjaśnił Charlie Pettikin. Miał pięćdziesiąt sześć lat, był dawnym pilotem RAF-u, pochodził z Południowej Afryki; pasma siwizny przeplatały jego ciemne włosy. Był

w Iranie starszym

40

pilotem i szefem programu helikopterowego szkolenia bojowego armii irańskiej, prowadzonego przez S-G.

- Może znowu szykuje się coś niedobrego - powiedziała.

Już od tygodni żaden dzień nie był dobry. Najpierw ogłoszono stan wojenny we wrześniu, z zakazem zgromadzeń i godziną policyjną od 21:00 do 5:00, co tylko podsyciło nienawiść do Szacha.

Zwłaszcza w stolicy, Teheranie, w porcie naftowym Abadan i w świętych miastach Kom i Meszhed. Było dużo zabójstw. Potem przemoc jeszcze wzrosła. Szach nagle zniósł

stan wojenny w końcu grudnia. Mianował premierem umiarkowanego, ustępliwego Bachtiaara, a następnie, w co trudno było uwierzyć, wyjechał z Iranu "na wakacje". Bachtiaar utworzył

rząd, a Chomeini - wtedy jeszcze na wygnaniu we Francji - potępił ten rząd i każdego, kto go popierał. Rozruchy wzmagaly się; śmierć zbierała coraz obfitsze żniwo. Bachtiaar próbował

negocjować z Chomeinim, który odmówił rozmów i spotkania. Ludzie się burzyli, armia się buntowała, zamknięto wszystkie lotniska przed Chomeinim, a następnie otwarto je dla niego.

Potem, w co było równie trudno uwierzyć, Chomeini powrócił pierwszego lutego, to znaczy osiem dni temu.

Od tego czasu było już bardzo źle, pomyślała Genny.

Wtedy, o świcie, ona, jej mąż i Pettikin znajdowali się na lotnisku międzynarodowym w Teheranie. Był czwartek, bardzo zimny, ale przyjemnie rześki, z rozrzuconymi tu i ówdzie plamami śniegu i lekkim wiatrem. Wschodzące słońce krwawo barwiło pokryte śniegiem wierzchołki gór Elburs. Cała trójka stała koło 212 przed hangarem, daleko od dworca lotniczego. Inny 212 znajdował się po drugiej stronie lotniska; był także gotów do startu i także wynajęty przez zwolenników Chomei-niego.

Ta strona lotniska była wyludniona, jeśli nie liczyć około dwudziestu pracowników, z których

większość nosiła półautomatyczne karabinki; czekali obok dużego, czarnego mercedesa i radiowozu z odbiornikiem na-41

16

stawionym na częstotliwość wieży. Było tu cicho, w przeciwieństwie do hałasu panującego wewnątrz dworca lotniczego i na obrzeżach ogrodzonego terenu. W hali przylotów oczekiwał

komitet powitalny, składający się z tysiąca specjalnie zaproszonych polityków, ajatollahów, mułłów, dziennikarzy oraz setek policjantów w mundurach i specjalnych strażników islamskich

- zwanych Zielonymi Opaskami, od opasek, jakie nosili

- którzy tworzyli nielegalną, prywatną armię rewolucyjną mułłów. Nikt inny nie miał wstępu na lotnisko, wszystkie drogi dojazdowe były pilnowane i zabarykadowane. Po drugiej stronie barykad kłębiły się dziesiątki tysięcy niespokojnych ludzi w różnym wieku. Większość kobiet miała na sobie czadory, długie szaty okrywające je od stóp do głów. Za nimi, wzdłuż szesnastokilometrowej trasy biegnącej do cmentarza Beheszt-e Zahra, gdzie Ajatollah miał

wygłosić swe pierwsze przemówienie, rozmieszczono pięć tysięcy uzbrojonych policjantów, za którymi, na balkonach, w oknach, na murach i ulicach, kłębił się największy w historii Iranu tłum, morze ludzi, głównie z Teheranu. W mieście i wokół niego mieszkało blisko pięć milionów osób. Wszyscy byli zdenerwowani, zaniepokojeni, że w ostatniej chwili może się jeszcze coś opóźnić lub że lotnisko zostanie ponownie zamknięte, lub że być może lotnictwo zestrzeli samolot na czyjś rozkaz albo bez rozkazu.

Na lotnisku nie było premiera, Szahpura Bachtara, przedstawicieli jego gabinetu ani też generałów. Celowo. Nie było też żadnych oficerów i żołnierzy. Ci ludzie czekali w swych barakach, na lotniskach lub statkach, równie zdenerwowani co chętni do akcji.

- Chciałbym, żebyś była teraz w domu, Gen - powiedział niespokojnie McIver.

- A ja bym chciał, żebyśmy wszyscy byli w domu

- dodał równie zaniepokojony Pettikin.

Tydzień wcześniej do McIvera zwrócił się jeden ze zwolenników Chomeiniego i poprosił o dostarczenie helikoptera, który przewiózłby Chomeiniego z lotniska do Beheszt-e Zahra.

42

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie jestem upoważniony - odparł osłupiały.

W ciągu godziny człowiek ten wrócił z ludźmi z Zielonych Opasek; biuro zapełniło się młodymi, twardymi, agresywnymi mężczyznami. Dwaj z nich mieli na ramionach automatyczne karabiny AK47 produkcji radzieckiej, a jeden - amerykański M16.

- Dostarczy pan helikopter, tak jak powiedziałem
- rzucił aroganckim tonem zwolennik Chomeiniego.
- Na wypadek, gdyby nie można było zapanować nad tłumem. Oczywiście, będzie tam cały Teheran, żeby pozdrowić Ajatollaha, niech Bóg go błogosławi.
- Bardzo chciałbym to zrobić, ale nie mogę - odparł ostrożnie McIver, próbując zyskać na czasie. Znajdował się jednak na straconej pozycji. Wprawdzie Chomei-niemu zezwolono na powrót, ale gdyby rząd Bachtara dowiedział się, że S-G daje jego arcywrogowi helikopter, aby umożliwić mu triumfalny wjazd do stolicy, byłby naprawdę niezłe zirytowany. A jeśli by nawet rząd wyraził zgodę, to w wypadku, gdyby coś poszło nie tak, jak trzeba, gdyby Chomeini został ranny, obwiniono by S-G, a życie jej pracowników nie byłoby warte funta kłaków. - Wszystkie nasze maszyny są wynajęte, a ja nie jestem upoważniony.[^]
- Dam panu odpowiednie upoważnienie w imieniu Ajatollaha - uciął ze złością mężczyzna i dodał podniesionym głosem: - Ajatollah jest w Iranie jedyną władzą.
- Zatem powinien pan dostać bez kłopotu helikopter armii irańskiej...
- Spokój! Spotkał pana zaszczyt. Zrobi pan to, co panu powiedziano. W imieniu Allacha, komitet postanowił, że dostarczy pan 212 wraz z najlepszymi pilotami. Zabiorą Ajatollaha tam, dokąd każemy, wtedy, gdy każemy, i tak, jak każemy.

McIver miał wtedy po raz pierwszy do czynienia z jednym z komitetów - małych grup młodych fundamentalistów - które od chwili wyjazdu Szacha wyrastały jak grzyby po deszczu w każdej wiosce, osadzie,

17

43

miasteczku i dużym mieście, aby przejmować władzę, atakować posterunki policji, wyprowadzać tłumy na ulice i przejmować kontrolę nad wszystkim, nad czym można było ją przejąć. Zwykle przewodzili im muł-łowie. Ale nie zawsze. Na polach naftowych w Abadanie komitety składały się z lewego skrzydła fedainów

- dosłownie: "tych, którzy są przygotowani na śmierć".
- Będzie pan posłuszny! - Mężczyzna potrząsał mu przed nosem rewolwerem.
- Jestem zaszczycony pokładaniem we mnie zaufaniem - odparł McIver; mężczyzna napierał na niego, roztaczając wokół siebie odór potu i nie pranych ubrań.
- Zwrócę się do rządu o zezwo...

- Rząd Bachtiaara jest nielegalny i nie uznawany przez lud - zaryczał mężczyzna. Inni natychmiast przyłączyli się do tych okrzyków i zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Jeden z mężczyzn zdjął z ramienia karabin automatyczny. - Zgodzi się pan albo komitet podejmie inne działania.

McIver wysłał teleks do Aberdeen, do Andrew Ga-vallana, który natychmiast wyraził zgodę, pod warunkiem zatwierdzenia tej decyzji przez irańskich wspólników S-G. Wspólników nie można było odnaleźć. Zdesperowany McIver skontaktował się z ambasadą brytyjską i poprosił o radę.

- Dobra, staruszkule, na pewno możesz zwrócić się formalnie albo nieformalnie do rządu, ale nie uzyskasz odpowiedzi. Nie jesteśmy nawet pewni, czy naprawdę zezwolili Chomeiniemu na lądowanie ani czy lotnictwo wojskowe nie weźmie spraw we własne ręce. Mimo wszystko ten cholerny facet jest rewolucjonistą i otwarcie wzywa do powstania przeciwko uznawanej przez wszystkich, także przez rząd Jej Królewskiej Mości, legalnej władzy. Tak czy inaczej, jeśli będziesz na tyle głupi, by zapytać, rząd na pewno nie zapomni, że zawracałeś mu głowę i będziesz spalony.

W końcu McIver wypracował całkiem rozsądny kompromis.

44

- Ostatecznie - zauważył z ogromną ulgą - byłoby bardzo dziwne, gdyby to brytyjski helikopter przywiózł waszego świętego przywódcę do miasta. Na pewno byłoby lepiej, gdyby to była maszyna irańska, prowadzona przez Irańczyka. Ja będę trzymał w pogotowiu nasz helikopter, właściwie nawet dwa, na wszelki wypadek. Z najlepszymi pilotami. Wystarczy przez radio wezwać CASEVAC, a zgłosimy się natychmiast...

A teraz był tutaj, czekając i modląc się, aby nie rozległo się wezwanie CASEVAC, na które musiałyby odpowiedzieć.

Z różowej mgiełki wyłonił się ogromny odrzutowiec Air France 747. Krążył przez dwadzieścia minut, czekając na pozwolenie lądowania.

McIver słuchał wieży przez radio zamontowane w 212.

- Nadal są jakieś problemy z bezpieczeństwem - poinformował pozostałą dwójkę. -

Chwileczkę... ma zezwolenie!

- No to jazda - mruknął Pettikin.

Patrzyli, jak schodził do lądowania. Maszyna była jaskrawobiała, pobłyskiwała kolorami flagi francuskiej. Zbliżała się do ziemi w pięknym, idealnym podejściu do lądowania; w ostatniej chwili pilot zwiększył moc silników i wzbił się wyżej.

- W co on, do cholery, gra? - zdenerwowała się Genny.

- Pilot mówi, że musi się lepiej przyjrzeć - wyjaśnił McIver. - Ja chyba też bym tak postąpił, po prostu po to, żeby się upewnić. - Spojrzał na Pettikina, który miał polecieć, gdyby komitet nadał

sygnał CASEVAC. - Mam nadzieję, że lotnictwo wojskowe nie zrobi niczego idiotycznego.

- Patrz! - krzyknęła Genny.

18

Odrzutowiec dotknął wreszcie płyty lotniska, koła podwozia wzbijały kurz, potężne silniki wyły, pracując wstecz i hamując rozpęd samolotu. Mercedes ruszył natychmiast, a gdy tylko wiadomość rozeszła się wśród

45

ludzi na lotnisku, za barykadami, na ulicach, tłum oszalał z radości. Rozległo się skandowanie: Allahu Akbar... Agha omad- Bóg jest wielki... Agha powrócił... Wydawało się, że upłynęły całe wieki do chwili, gdy podjechały ruchome schodki, otwarły się drzwi i brodaty starzec o surowej twarzy, w czarnym turbanie, zszedł na płytę lotniska w asyście dwóch francuskich stewardów. Przeszedł przed zebraną w pośpiechu strażą honorową, złożoną z kilku mułłów i członków załogi francuskiej; otoczyli go adiutanci i zdenerwowani przedstawiciele władz, szybko usadowili w samochodzie, który ruszył w kierunku dworca lotniczego. Powitał go oszalały, krzyczący tłum; ludzie walczyli między sobą, żeby jak najbardziej się do niego zbliżyć, dotknąć. Reporterzy z całego świata przepychali się, chcąc zająć jak najlepsze pozycje dla swych błyskających fleszami aparatów fotograficznych i kamer telewizyjnych; wszyscy krzyczeli, Zielone Opaski i policjanci chronili Ajatollaha przed zgnieceniem. Genny widziała go tylko przez chwilę - bożyszcze wśród oszalałego tłumu, który wkrótce go pochłonał.

Genny pociągnęła łyk martini i utkwiała wzrok w radiu, próbując zmusić je siłą woli do działania i wymazać z pamięci tamten dzień, gdy Chomeini przemawiał na cmentarzu Beheszt-e Zahra, wybranym dlatego, że spoczywało tam tak wiele ofiar masakry z Krwawego Piątku, męczenników, jak ich nazywał.

Wymazać z pamięci obrazy, które widzieli w telewizorze, wściekłe morze ciał otaczających kawalkadę samochodów, gdy - nie zwracając już uwagi na żadne wymogi bezpieczeństwa -

torowały sobie drogę wśród ciżby złożonej z dziesiątków tysięcy mężczyzn, kobiet i młodych ludzi, krzyczących, walczących ze sobą o to, żeby być jak najbliżej, oblepiających furgonetkę chevy, w której jechał, próbujących dotknąć Ajatollaha, siedzącego na przednim siedzeniu, wyraźnie zadowolonego, pozdrawiającego wzniesieniem rąk witające go tłumy. Ludzie wspinali się na maskę i na dach, płakali i krzy-

czeli, wołali do niego, usiłowali strącić innych; kierowca, nie widząc drogi, próbował

strząsnąć wielbicieli z samochodu, to hamując ostro, to nagle przyspieszając. Wymazać z pamięci wspomnienie kiepsko ubranego młodzieńca, który wdrapał się na maskę, ale nie mogąc znaleźć uchwytu, ześliznął się pod koła.

Było takich wielu. W końcu Zielone Opaski roztrąciły tłum, otoczyły samochód i wezwały helikopter;

pamiętała, jak pilot posadził maszynę na ziemi, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy tratowali się w ucieczce; wszędzie ciała, wszędzie ranni, a potem Ajatollah ruszył do helikoptera otoczony przez straż przyboczną, surowy, nieczuły; helikopter wzbił się w niebo wśród zawodzeń tłumu: Allahuu Akbar... Agha omad...

- Muszę się jeszcze napić - powiedziała i wstała, żeby ukryć drżenie ciała. - Przygotować ci drinka, Duncan?

- Dzięki, Gen.

Ruszyła do kuchni po lód.

- Charlie?

- W porządku, Genny, dziękuję.

Zatrzymała się, gdyż radio ryknęło: "...Chiny poinformowały o poważnych starciach na granicy z Wietnamem; traktują to jako dalszy dowód hegemonii sowieckiej. W Iranie..." -

sygnał znowu zanikł.

Po chwili odezwał się Pettikin:

19

- Po drodze tutaj wypilem drinka w klubie. Wśród dziennikarzy krąży plotka, że Bachtiar szykuje się do konfrontacji. Mówi się też o ciężkich walkach w Miesz-hedzie po tym, gdy tłum powiesił tam szefa policji i jego* sześciu ludzi.

- Straszne - powiedziała Genny, wracając z kuchni. - Kto panuje nad tymi tłumami, Charlie?

Kto je naprawdę kontroluje? Komuniści?

Pettikin wzruszył ramionami.

- Chyba nikt nie wie dokładnie, ale na przykład się do tego komunistyczna Tude, wsz-czy zdelegalizowana, czy nie. I wszyscy lev J&ż) cza mudzaheddini, którzy wierzą, że religi f 47

na pogodzić z Marksem, i którzy są sponsorowani przez Sowietów. Szach, Stany Zjednoczone i większość rządów zachodnich wiedzą, że to oni, wiedzą, że korzystają z pomocy radzieckiej, i że są przez Sowietów podjudzani na północ od granicy, co przyznaje cała prasa irańska. I nasi irańscy wspólnicy, choć trzęsą portkami i nie mają pojęcia, kogo popierać, starają się więc popierać i Szacha, i Chomeiniego. Chciałbym, żeby to wszystko się uspokoiło. Iran jest wspaniałym krajem i nie zamierzam się stąd ruszać.

- A prasa?

- Prasa zagraniczna wyraża różne poglądy. Niektóre gazety amerykańskie zgadzają się z Szachem co do tego, kogo należy obwiniać. Inne uważają, że to tylko Chomeini i że chodzi o sprawy czysto religijne: o niego i o mułłów. Są też tacy, którzy obwiniają lewe skrzydło fedainów albo twardej fundamentalistów z Braterstwa Muzułmanów. Ktoś wysunął też karkołomną tezę, że to Jasir Arafat i OWP... - Przerwał. Radio odezwało się, lecz zaraz powróciły trzaski. - To na pewno plamy na słońcu.

- Wystarczy, żeby się zachciało pluć krwią - powiedział McIver.

Podobnie jak Pettikin, był kiedyś pilotem RAF-u, potem pierwszym lotnikiem, który zatrudnił się w S-G, a teraz kierował operacjami w Iranie. Jednocześnie pełnił funkcję dyrektora wykonawczego IHC - Iran Helicopters Company - spółki, w której równe udziały należały do nich i przymusowych wspólników irańskich. S-G wynajmowała im helikoptery, załatwiała kontrakty, prowadziła interesy i przechowywała pieniądze, co w Iranie nie byłoby możliwe bez takiej spółki. Zmieniając zdanie, pochylił się, żeby dostroić radio.

- Odbiór zaraz powróci, Duncan - powiedziała zdecydowanie Genny. - Zgadzam się z tym, że Callaghan to idiota.

Uśmiechnął się do niej. Byli małżeństwem od trzydziestu lat.

- Niezła jesteś, Gen. Zupełnie niezła.

48

- Możesz z tej okazji wypić następną whisky.

- Dzięki, ale tym razem z wodą...

- "... nik Departamentu Energii stwierdził, że czter-nastoprocentowa podwyżka cen OPEC

będzie kosztowała USA dodatkowo 51 milionów dolarów za ropę importowaną w przyszłym roku. Także w Waszyngtonie prezydent Carter oświadczył, że z powodu zaostrzającej się sytuacji w Iranie lotniskowiec otrzymał rozkaz wyruszenia z Filip..."

Na głos spikera nałożyła się inna stacja, a potem obie zamilkły.

Napięci, czekali w milczeniu. Mężczyźni spojrzeli po sobie, starając się ukryć wrażenie, jakie wywarła na nich ta wiadomość. Genny podeszła do butelki whisky stojącej na kredensie, na którym, zajmując większość jego powierzchni, stał także aparat radiowy wysokiej częstotliwości, za pomocą którego McIver komunikował się z bazami helikopterowymi w całym Iranie - jeśli warunki na to pozwalały. Mieszkanie było duże i wygodne, z trzema sypialniami i dwoma salonikami. Przez kilka ostatnich miesięcy, od wprowadzenia stanu wojennego, gdy na ulicach nasilała się przemoc, Pettikin mieszkał razem z nimi - był już od roku rozwiedziony - i takie rozwiązanie odpowiadało im wszystkim.

W okna uderzyły podmuchy wiatru. Genny wyjrzała. Z domu naprzeciwko sączyło się przyćmione światło; na ulicy nie było latarni. Niskie dachy ogromnego miasta ciągnęły się w nieskończoność. Śnieg leżał na nich i na ziemi. Większość spośród pięciu czy sześciu milionów mieszkańców miasta żyła w nędzy i brudzie. Ten obszar, położony na północ od Teheranu, był najlepszym przedmieściem, dobrze chronionym przez policję; mieszkali tu cudzoziemcy i bogaci Irań-czycy. Czy to grzech mieszkać w dobrej dzielnicy, gdy kogoś na to stać? - zadała sobie w myślach pytanie. Jakkolwiek by na to spojrzeć, ten świat to dziwne miejsce.

Zrobiła lekkiego drinka z dużą ilością wody sodowej i przyniosła go do pokoju.

40

- Zanosi się na wojnę domową. Nie utrzymamy się tutaj.

- Damy sobie radę. Generał Carter nie pozwoli... Nagle zgasło światło i elektryczny kominek.

- Kurwa mać - powiedziała Genny. - Dobrze, że mamy kuchenkę gazową.

- Może to tylko chwilowe wyłączenie. - McIver pomógł jej zapalić świece, które były już przygotowane na taką ewentualność. Spojrzał na drzwi wyjściowe. Stał obok nich pięciogalonowy kanister z benzyną - zapas na czarną godzinę. Nie był zachwycony przechowywaniem benzyny w mieszkaniu, wszyscy nie byli, zwłaszcza gdy musieli zapalać świece. Ale już od tygodni na stacjach benzynowych oczekiwało się w kolejce od pięciu do dwudziestu czterech godzin, a było więcej niż prawdopodobne, że Irańczyk nalewający benzynę nie będzie chciał obsłużyć cudzoziemców. Wielokrotnie skradziono im paliwo z baku samochodu; nie pomagały żadne zamki. I tak byli w lepszej niż inni sytuacji, gdyż mieli dostęp do zapasów lotniska; dla zwykłych ludzi, zwłaszcza cudzoziemców, kolejki po benzynę były koszmarem. Na czarnym rynku litr paliwa kosztował 160 riali, to jest dwa dolary, co dawało 8 dolarów za galon, gdy miało się szczęście i udawało się tak kupić. -

Uwaga na żelazny zapas - zażartował.

- Mac, może postaw na nim świecę, przez pamięć dawnych czasów - zaproponował Pettikin.

- Nie kuś go, Charlie! Mówiłeś coś o Carterze?

- Kłopot polega na tym, że jeśli Carter wpadnie w panikę i wyśle trochę wojska albo samolotów, żeby wesprzeć akcję militarną, wszystko przepadnie. Wszyscy zaczną wyć jak koty obdzierane ze skóry, a Sowieci przede wszystkim, Amerykanie będą musieli zareagować i Iran stanie się kolebką trzeciej wojny światowej.

- Toczmy już trzecią wojnę światową, Charlie. Od czterdziestego piątego... - zauważył

McIver.

Przerwał, gdyż rozległy się trzaski, a potem powrócił głos spikera: "... ze złej pracy wywiadu.

Kuwejcki szef

sztabu sił zbrojnych poinformował, że Kuwejt otrzymuje dostawy broni ze Związku Radzieckiego"...

- Jezu - mruknęli zgodnie obaj mężczyźni.

- "... w Bejrucie Jasir Arafat, przywódca OWP, stwierdził, że jego organizacja będzie aktywnie wspierać rewolucję Ajatollaha Chomeiniego. Na konferencji prasowej w Waszyngtonie prezydent Carter ponownie zapewnił o amerykańskim poparciu dla irańskiego rządu Bachtara i "procesu konstytucyjnego". Wreszcie doniesienia z samego Iranu. Ajatollah Chomeini zagroził, że aresztuje premiera Bachtara, jeśli nie poda się on do dymisji; wezwał

naród do "zniszczenia straszliwej monarchii i jej nielegalnego rządu" oraz armię do

"powstania przeciwko oficerom ulegającym zagranicznym wpływom i uciezki z koszar z bronią". Na Wyspach Brytyjskich silne opady śniegu, wichury i powodzie dotknęły cały kraj; zamknięto lotnisko Heathrow; żaden samolot nie mógł wystartować. Na tym kończymy przegląd wydarzeń. Następne wiadomości nadamy o 18:00 czasu Greenwich. Słuchacie 21

państwo Serwisu Światowego BBC. A teraz doniesienie od naszego międzynarodowego korespondenta rolniczego "Ptactwo domowe i świ-nie". Zaczynamy"...

McIver wyłączył radio.

- Cholerne gównu. Cały świat się rozpada, a BBC serwuje nam świnie.

Genny roześmiała się.

- Co byśmy zrobili bez BBC, telewizora i futbolu? Wichury i powodzie. - Na wszelki wypadek podniosła słuchawkę telefonu. Jak zwykle, nie było sygnału.

- Mam nadzieję, że u dzieci wszystko w porządku.

- Mieli żonatego syna i zamężną córkę, Hamisza i Sarah; każde z nich dało im jednego wnuka. - Mała Karen tak łatwo się przeziębiała. A Sarah! Ma dwadzieścia trzy lata, a ciągle trzeba jej przypominać, żeby się ciepło ubierała! Czy ona nigdy nie dorośnie?

Pettikin zawtórował jej słowom:

- To straszne, że nie można zatelefonować.

- Aha. Tak czy inaczej, czas na jakiś posiłek. Na targu prawie niczego dzisiaj nie było, zresztą jak od trzech dni. Mogłam znowu kupić twardą baraninę i upiec ją z ryżem albo zrobić coś specjalnego. Wybrałam coś specjalnego i zużyłam ostatnie dwie puszki. Będzie marynowana wołowina, kalafior

zapiiekany w bułce, zapiekanka karmelowa i niespodzianka - hors d'oeuvre.

Wzięła świecę, wyszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

- Zastanawiam się, dlaczego zawsze jemy kalafiora w bułce? - McIver wpatrywał się w światło świecy, migocące za szybą drzwi kuchennych. - Nie znoszę tego paskudztwa! Tyle razy jej mówiłem... - Nagle jego uwagę przyciągnął nocny krajobraz. Podszedł do okna.

Miasto było ciemne z powodu wyłączenia prądu. Na południowym wschodzie jednak niebo zabarwiła czerwona luna. - Znowu Żaleh - powiedział.

Pięć miesięcy wcześniej, ósmego września, dziesiątki tysięcy ludzi wyległy na ulice Teheranu, aby zaprotestować przeciwko wprowadzeniu przez Szacha stanu wojennego. Było dużo zniszczeń, zwłaszcza w Żaleh - ubogiej, gęsto zaludnionej dzielnicy na przedmieściu -

gdzie palono ogniska i wznoszono barykady z płonących opon. Gdy przybyły oddziały bezpieczeństwa, agresywny, kłębiący się tłum skandował: "Śmierć Szachowi!" i nie chciał się rozejść. Starcie było wyjątkowo brutalne. Gaz łzawiący nie pomógł. Pomogła broń palna.

Śmierć zebrała obfite żniwo: według oficjalnego komunikatu zginęło 97 osób, według niektórych świadków - 250, a według grup walczącej opozycji - od dwóch do trzech tysięcy.

Po Krwawym Piątku podjęto akcję policyjną, w wyniku której aresztowano wielu opozycyjnych polityków, dysydentów i wrogów - później rząd przyznał, że było 1106

aresztowań - w tym dwóch ajatollahów, co jeszcze bardziej podburzyło tłumy.

McIver ze smutkiem obserwował lunę. Gdyby nie ajatollahowie, pomyślał, a zwłaszcza Chomeini, nic takiego by się nie wydarzyło.

52

Przed laty, gdy McIver po raz pierwszy przyjechał do Iranu, zapytał przyjaciela z ambasady brytyjskiej, co dokładnie oznacza słowo ajatollah.

- To słowo arabskie, ajat Allah. Oznacza "Znak Boga".

- Czy to ksiądz?

- Nie. W islamie nie ma księży. Nazwa ich religii oznacza po arabsku "poddanie", poddanie się woli Boga.

- Co?

- W porządku - odparł, śmiejąc się, przyjaciel.

- Wyjaśnię ci to, ale musisz cierpliwie słuchać. Przede wszystkim Irańczycy nie są Arabami, lecz

Aryjczykami, a większość z nich to muzułmanie szyici, niespokojna, często mistyczna sekta, która oderwała się od głównego pnia islamu. Arabowie są w większości 22

ortodoksyjnymi sunnitami - stanowią przeważającą większość wśród miliarda muzułmanów na całym świecie - ich sekty przypominają nieco naszych protestantów i katolików. Zwalczają się niemal równie złośliwie. Wszyscy jednak podzielają tę samą wiarę w to, że jest tylko jeden Bóg, Allah, co po arabsku znaczy Bóg, oraz że Mahomet, człowiek z Mekki, który żył

w latach 570-632, jest jego prorokiem, a słowa Koranu, wygłoszone przez Mahometa i spisane przez innych na przestrzeni wielu lat po jego śmierci, pochodzą bezpośrednio od Boga i zawierają wszystkie wskazówki, jakie potrzebne są człowiekowi i społeczeństwu do życia.

- Wszystkie? To niemożliwe.

- Dla muzułmanów to jest możliwe, Mac: dziś, jutro, zawsze. Lecz "ajatollah" to tytuł

występujący tylko u szyitów. Nadawany jest przez aklamację w meczecie - to inne arabskie słowo, oznaczające "miejsce spotkań" i tylko miejsce spotkań, absolutnie nie kościół

- mułom, którzy odznaczają się cechami najbardziej poszukiwanymi i podziwianymi wśród szyitów: nabożnością, ubóstwem, studiowaniem - ale tylko świętej księgi, Koranu i sunny - i przywództwem, zwłaszcza przywództwem. W islamie nie ma rozdziału pomiędzy 53

religią a polityką, nie może być, a szyiccy mułowie z Iranu od samego początku są fanatycznymi strażnikami Koranu i sunny, fanatycznymi przywódcami, a gdy trzeba -

walczącymi rewolucjonistami.

- Skoro ajatollah czy mułła nie jest księdzem, to kim właściwie jest?

- Słowo mulla oznacza "przywódcę", który prowadzi modlitwy w meczecie. Każdy może być mułłą, jeśli tylko jest mężczyzną i muzułmaninem. Każdy. W islamie nie ma kleru, nikogo pomiędzy człowiekiem i Bogiem; to jest piękne, ale nie dla szyitów. Szyici uważają, że po proroku ziemią powinien rządzić charyzmatyczny, na wpół boski przywódca, którego nie można obalić - imam. Jest on pośrednikiem pomiędzy tym, co ludzkie i boskie; na tym polega ogromna przepaść między sunnitami a szyitami; ich wojny były tak krwawe jak te, które prowadzili Plantageneci. Podczas gdy sunnici wierzą w konsensus, szyici przyjmą władzę imama, jeśli taki się znajdzie.

- Kto zatem wybiera imama?

- Na tym polega cały problem. Gdy zmarł Mahomet - nawiasem mówiąc, nigdy nie twierdził, że jest czymś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem, choć ostatnim z proroków - nie pozostawił

ani synów, ani wybranego następcy, kalifa. Szyici uważają, że przywództwo powinno pozostać w rodzinie proroka, a kalifem mógł być tylko Ali, kuzyn i zięć Mahometa, który poślubił Fatimę, jego ulubioną córkę. Ale ortodoksyjni sunnici, postępując według historycznych obyczajów szczepowych, które stosuje się nawet dziś, wierzą, że przywódca powinien być wybrany w drodze konsensusu. Byli

silniejsi, więc trzej pierwsi kalifowie pochodzili z wyboru. Dwóch zamordowali inni sunnici, aż wreszcie nadeszły czasy szytów i kalifem został Ali; wierzyli żarliwie, że jest pierwszym imamem.

- Uważali, że jest na wpół Bogiem?

- Że jest prowadzony przez Boga, Mac. Ali panował przez pięć lat, a potem i jego zamordowano. Szyici ogłosili go męczennikiem. Imamem został jego najstarszy

syn, ale obalił go uzurpator sunnita. Jego drugi syn, wielbny dwudziestopięcioletni Husajn, skierował armię przeciwko uzurpatorowi, lecz został zabity - zamęczony - wraz ze wszystkimi swymi ludźmi, włącznie z dwójką młodziutkich synów Alego, swym własnym pięcioletnim synem i oseskiem-niewiniątkiem. Stało się to w dziesiątym dniu muharramu, w roku pańskim 650, według naszej rachuby, a 61 według ich; nadal obchodzą rocznicę męczeństwa Husajna jako największe święto.

- To wtedy odbywają procesje, biczą się, wbijają w siebie haki i się umartwiają?

23

- Tak. Wariują, z naszego punktu widzenia. Szach Reza zakazał tych praktyk, ale szyici są religijnymi fanatykami, muszą okazywać publicznie swą pokutę i żalobę. Potrzeba męczeństwa jest u nich głęboko zakorzeniona i czczona w całym Iranie. Także rebelie przeciwko uzurpatorom.

- Więc przystępują do walki wierni przeciw Szachowi?

- O tak. Fanatyzm po obu stronach. Dla szytów mułła jest jedynym pośrednikiem i interpretatorem woli boskiej. To daje mu ogromną władzę. Jest interpretatorem, prawodawcą, sędzią i przywódcą. A najwięksi mułłowie są ajatollahami.

A Chomeini jest największym ajatollahem, pomyślał McIver, patrząc na czerwoną poświatę nad Żaleh. Jest nim i czy się to komuś podoba, czy nie, wszystkie zabójstwa, cały rozlew krwi, cierpienia i szaleństwo, wszystko to musi być złożone u jego stóp i nie jest ważne, czy ma to jakiś sens, czy nie...

- Mac!

- Och, przepraszam, Charlie - powiedział, wracając do rzeczywistości. - Trochę się zamyśliłem. Co?

Spojrzał na drzwi kuchni; nadal były zamknięte.

- Czy nie powinieneś zabrać Genny z Iranu? - zapytał cichym głosem Pettikin. - Naprawdę zaczyna tu trochę śmierdzieć.

- Za cholerę nie chce wyjechać. W kółko jej to powtarzam i w kółko ją proszę, ale jest uparta jak jakiś

55

cholerny muła, jak twoja Claire - także po cichu odpowiedział McIver. - Uśmiecha się tylko i mówi: "Wyjadę razem z tobą". - Dopił whisky, spojrzął na drzwi i pośpiesznie nalał sobie następną. Mocniejszą. - Charlie, ty z nią porozmawiaj. Ciebie posłucha.

- Guzik prawda.

- Masz rację. Cholerna baba. Cholernie uparta. Wszystkie są takie same. - Wybuchnęli śmiechem.

Po chwili Pettikin zapytał:

- Co z Szahrazad?

McIver się zastanowił. \

- Tom Lochart jest szczęściarzem.

- Dlaczego nie pojechała z nim na urlop i nie została w Anglii, dopóki w Iranie nie będzie spokojnie?

- Nie ma powodu, żeby wyjeżdżać. Nie ma tam ani rodziny, ani przyjaciół. Chciała, żeby spotkał się z dziećmi; święta i to wszystko. Powiedziała, że nie chce robić zamieszania.

Deirdre Lochart nadal nie zgadza się na rozwód. W każdym razie rodzina Szahrazad jest tutaj, a wiesz, jacy Irańczycy są rodzinni. Na pewno nie wyjedzie przed Tomem, a nie wiem nawet, czy ruszy się stąd razem z nim. A co do Toma, gdybym chciał go wysłać, złożyłby wymówienie. Zostanie tu na zawsze, tak jak ty. - Uśmiechnął się. - Dlaczego ty zostajesz?

- To była najlepsza praca, jaką kiedykolwiek miałem, dopóki było spokojnie. Wszystko, czego chcę, to móc latać, a do tego zimy na nartach, a w lecie żagle... Ale, musimy to zrozumieć, Mac, Claire nigdy się tu nie podobało. Przez te lata więcej czasu spędzała w Anglii niż tu, chciała być bliżej Jasona i Beatrice, jej rodziny i naszych wnuków.

Przynajmniej rozeszliśmy się jak para przyjaciół. Piloci helikopterów nie powinni mieć żon; za dużo podróżują. Jestem stworzony do życia poza krajem i taki już umrę. Nie chcę wracać do Cape Town - nawet już nie bardzo pamiętam, jak tam jest

- i nie mogę znieść tych cholernych angielskich zim.

- W mroku pociągnął łyk piwa. - In sha a Allah - powiedział na zakończenie. Jak Bóg pozwoli. - Ta myśl sprawiła mu przyjemność.

56

24

Nagle zaalarmował ich dzwonek telefonu. Przez wiele miesięcy nie można było polegać na telefonach, a przez kilka ostatnich tygodni łączność telefoniczna właściwie nie istniała; nie było możliwe dodzwonienie się gdziekolwiek, a jeśli już, to łączyło się zawsze ze złymi numerami. Sygnał

pojawił się czasem w cudowny sposób na dzień lub godzinę, a potem bez żadnego widocznego powodu znów zniknął.

- Zakład o pięć funtów, że to w sprawie rachunku za mieszkanie - powiedział Pettikin, uśmiechając się do Genny, która na dźwięk dzwonka wyszła z kuchni.

- Nie ma się o co zakładać, Charlie!

Banki strajkowały i były zamknięte od dwóch miesięcy w wyniku wezwania Chomeiniego do strajku generalnego, tak że nikt - człowiek, firma czy nawet rząd - nie mógł wydostać żadnej gotówki, a w Iranie nie posługiwano się czekami.

McIver podmósł słuchawkę, nie wiedząc, czego się spodziewać. Albo kogo.

- Halo?

- Dobry Boże, to cholera działa - odezwał się głos. - Słyszysz mnie, Duncan?

- Tak, tak. Słyszę dobrze. Kto mówi?

- Talbot. George Talbot z ambasady brytyjskiej. Przykro mi, staruszkule, ale to się pogłębia.

Chomeini mianował Mehdiego Bazargana premierem i wezwał Bachtara do rezygnacji albo jeszcze gorzej. Około miliona ludzi wyszło na ulice Teheranu i szuka kłopotów. Właśnie usłyszeliśmy, że zbuntowali się lotnicy w Do-szan Tappeh; Bachtiar oświadczył, że jeśli się nie uspokoją, wyśle tam Nieśmiertelnych. - Nieśmiertelni byli grupami uderzeniowymi fanatycznej Straży Cesarskiej, sprzyjającej Szachowi. - Rząd Jej Królewskiej Mości, razem z Amerykanami, Kanadyjczykami i całą resztą, zaleca, żeby wszyscy cudzoziemcy, którzy nie są niezbędni, natychmiast opuścili kraj...

McIver, próbując nie dać po sobie poznać, jak jest wstrząśnięty, szepnął:

- Talbot z ambasady.

57

_ ... Wczoraj Amerykanin z ExTex Oil i jakiś irański urzędnik naftowy wpadli w zasadzkę i zostali zastrzeleni przez "nieznanych sprawców" na południowym zachodzie, koło Ahwazu....

- Serce McIvera zabiło mocniej. - ... Wy jeszcze tam działacie, prawda?

- W pobliżu, w Bandar Dejlamie na wybrzeżu - odparł McIver spokojnym tonem.

- Ilu macie Brytyjczyków, nie licząc rodzin? McIver zastanawiał się przez chwilę.

- Czterdziestu pięciu spośród całego stanu sześćdziesięciu siedmiu, to jest dwudziestu sześciu pilotów, trzydziestu sześciu mechaników i inżynierów, i pięciu administratorów, którzy są dla nas bardzo ważni.

- Kim są inni?

- Czterech Amerykanów, trzech Niemców, dwóch Francuzów i jeden Fin - sami piloci.

Dwóch amerykańskich mechaników. Ale jeśli trzeba, traktujemy ich wszystkich jak Brytyjczyków.

- Rodziny?

- Cztery żony, dzieci nie ma. Trzy tygodnie temu ewakuowaliśmy wszystkie. Jest tu jeszcze Genny, jedna Amerykanka w Kowissie i dwie Iranki.

- Lepiej wyślij jutro obie Iranki do ambasad ich mężów. Ze świadectwami małżeństw. Są w Teheranie?

- Jedna. Druga jest w Tebrizie.

- Załatw im nowe paszporty, jak możesz najszybciej.

Zgodnie z prawem irańskim, wszyscy obywatele Iranu, powracający do kraju, muszą składać swe paszporty w biurze imigracyjnym od razu po przekroczeniu granicy. Żeby znowu wyjechać, muszą osobiście ubiegać się o zezwolenie na wyjazd w odpowiednim urzędzie, do czego potrzebują ważnego dowodu tożsamości, powodu wyjazdu satysfakcjonującego władze 25

oraz - jeśli lecą samolotem - ważnego, opłaconego z góry biletu na specjalny lot. Otrzymanie takiego zezwolenia trwa kilka dni albo tygodni. W normalnych okolicznościach.

- Dzięki Bogu, że nie mamy z tym problemów - powiedział McIver.

58

- Możemy dziękować Bogu, że jesteśmy Brytyjczykami - dodał Talbot i kontynuował: - Na szczęście nie mamy żadnych zatargów z Ajatollahem, Bachtiarem czy generałami. Wszyscy cudzoziemcy są jednak pod ostrzałem, więc zalecamy ci oficjalnie wysłanie z kraju rodzin, na pełny gaz, i zmniejszenie na razie personelu do minimum. Od jutra na lotnisku będzie niezły bałagan - szacujemy, że jest jeszcze w kraju około pięciu tysięcy cudzoziemców, głównie Amerykanów - ale poprosiliśmy British Airways o współpracę i zwiększenie liczby kursów dla naszych obywateli. Sęk w tym, że wszyscy cywilni kontrolerzy lotów nadal strajkują.

Rząd Bach-tiara wysłał kontrolerów wojskowych, a oni są jeszcze bardziej drobiazgowi, jeśli to w ogóle możliwe. Jesteśmy pewni, że znów przeżyjemy eksodus.

- O Boże!

Kilka tygodni wcześniej, po miesiącach nasilających się gróźb pod adresem cudzoziemców -

przede wszystkim Amerykanów, gdyż Chomeini atakował ciągle materializm amerykański jako "Wielkiego Szatana" - zrewoltowany, oszalały tłum zaatakował przemysłowe miasto Isfahan, w

którym mieściły się fabryki broni i helikopterów, ogromny kombinat metalurgiczny, rafineria ropy, i w którym mieszkała i pracowała większość spośród mniej więcej pięćdziesięciu tysięcy Amerykanów. Tłum palił banki - Koran zakazuje pożyczania pieniędzy w celu osiągnięcia zysku, sklepy z trunkami - Koran zabrania picia alkoholu, i dwa kina - przybytki "pornografii i zachodniej propagandy", które stanowiły zawsze ulubione cele ataków fundamentalistów, a potem zaatakował urządzenia przemysłowe, obrzucił koktajlami Mołotowa siedzibę Grumman Aircraft i spalił ją do gruntu. To wywołało "eksodus".

Tysiące ludzi wtargnęły na lotnisko w Teheranie, tarasując je, gdy niedoszli pasażerowie rzucili się, żeby zdobyć nieliczne miejsca w samolotach, jakie jeszcze pozostały, i zamienili lotnisko w coś, co przypominało obszar katastrofy; w hali odlotów i w korytarzach koczowali mężczyźni, kobiety i dzieci, obawiający się

59

utrąty miejsca w kolejce - miejsca było tak mało, że ledwie mogli stać - czekając cierpliwie, drzemiąc, popychając się, wzdychając, krzycząc lub popadając w odrętwienie. Nie było rozkładów lotów, nie było ustalonego pierwszeństwa, na każde miejsce w samolocie zrobiono dwadzieścia rezerwacji, nie było komputerów, tylko powolne, ręczne wypisywanie biletów przez kilku ślamazarnych urzędników, z których większość okazywała pasażerom otwartą wrogość i nie mówiła po angielsku. Lotnisko szybko pokryło się śmieciami.

Niektóre zdesperowane firmy czarterowały samoloty, żeby wywieźć swych pracowników.

Przybyły wojskowe transportowce amerykańskie, które miały zabrać rodziny oficerów.

Wszystkie ambasady próbowały zmniejszyć rozmiary ewakuacji, nie chcąc sprawiać dalszych kłopotów Szachowi, który od dwudziestu lat był ich niezłomnym sojusznikiem. Chaos zwiększały tysiące Irańczyków, mających nadzieję, że uciekną, póki można jeszcze uciec.

Pozbawieni skrupułów i bogaci, omijali kolejki. Wysocy urzędnicy wzbogacili się, a potem stali się jeszcze bardziej chciwi, a bogactwo ich rosło. Wreszcie kontrolerzy lotów zastrajkowali, co spowodowało zamknięcie lotniska.

Przez dwa dni nie było ani przylotów, ani odlotów. Tłum podzielił się: część zrezygnowała, część została na miejscu. Następnie niektórzy kontrolerzy wrócili do pracy i wszystko zaczęło się od nowa: pogłoski o lotach; szturmowanie lotniska z dziećmi i bagażem stanowiącym dorobek całych lat lub bez bagażu; czekanie na zarezerwowane miejsca, które tak naprawdę nie były zarezerwowane. Z powrotem do Teheranu: pięćsetosobowa kolejka na postój, a większość taksówek strajkuje; do hotelu, a pokój wynajęto już komuś innemu; wszystkie 26

banki zamknięte, więc nie ma pieniędzy, które można by wtykać w nieustannie wyciągnięte ręce.

W końcu wszyscy cudzoziemcy, którzy chcieli wyjechać, wyjechali. Ci, którzy zostali, aby nadal prowadzić interesy, obsługiwać pola naftowe, utrzymywać samoloty w powietrzu, elektrownie atomowe na chodzie, prze-60

mysł chemiczny w ruchu, tankowce na wodzie - żeby chronić swe ogromne inwestycje -

osiągali niższe zyski, zwłaszcza jeśli byli Amerykanami. Chomeini powiedział: "Jeśli cudzoziemcy chcą wyjechać, dajcie im wyjechać; amerykański materializm jest Wielkim Szatanem"...

McIver przycisnął słuchawkę mocniej do ucha, gdyż zaczął słabiej słyszeć; bał się, że połączenie może zostać przerwane.

- Tak, George? Co mówisz?

- Jak już powiedziałem, Duncan - ciągnął Talbot

- jesteśmy pewni, że wszystko się jakoś w końcu wyjaśni. To nie może przecież eksplodować.

Nieoficjalne źródła podają, że ubito już interes: Szach ma abdyko-wać na rzecz swego syna, Rezy - to kompromis popierany przez nasz rząd. Przejście do rządów konstytucyjnych może nie przebiegać całkiem gładko, ale nie ma się czym martwić. Przepraszam, że muszę namawiać was do ucieczki. Daj mi znać, co postanowisz.

Telefon zamilkł.

McIver zaklął, nacisnął widełki, żeby nie zablokować aparatu, po czym powtórzył Genny i Charliemu słowa Talbota. Genny uśmiechnęła się słodko.

- Nie patrz tak na mnie, odpowiedź brzmi: nie. Zga...

- Ale, Gen, Tal...

- Zgadzam się, że inni muszą wyjechać, ale ja nie. Zaraz będzie jedzenie.

Wróciła do kuchni i zamknęła drzwi, odcinając się od ewentualnych dalszych argumentów.

- Ona to musi zrobić, i już - stwierdził McIver.

- Założę się o roczną pensję, że nie; chyba że ty też wyjedziesz. Dlaczego, na Boga, tego nie zrobisz? Ja mogę się wszystkim zająć.

- Nie. Dziękuję ci, ale nie. - McIver uśmiechnął się w mroku. - To tak, jakbyśmy znowu byli na wojnie, prawda? Znowu to cholerne zaciemnienie. Nie przejmować się, trzymać się oddziału i słuchać rozkazów.

- McIver zmarszczył brwi nad swoją szklanką. - Talbot miał rację co do jednego: mamy cholerne szczęście, że

- Tak, ale chronisz nas wszystkich najlepiej, jak możesz.

- Mam nadzieję.

Gdy Szach wyjechał i zapanowała przemoc, McIver wydał wszystkim Amerykanom brytyjskie dokumenty. "Powinny wystarczyć, dopóki Zielone Opaski, policja albo SAVAK

nie porównają ich z licencjami". Zgodnie z ustawodawstwem irańskim wszyscy cudzoziemcy musieli mieć aktualne wizy, które trzeba było przed wyjazdem unieważnić, legitymacje z danymi na temat miejsca pracy, a wszyscy piloci odnawiane corocznie irańskie licencje lotnicze. Dalszym posunięciem McIvera, zmierzającym do zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim jego ludziom, było poproszenie szefa wspólników irańskich, generała Walika, o podpisanie firmowych legitymacji. Jak dotąd, nie było żadnych problemów. Amerykanom McIver powiedział: "Lepiej miejcie to przy sobie i pokazujcie w razie potrzeby". Wydał

rozkaz, aby cały personel nosił zdjęcia Chomeiniego i Szacha. "Jeśli zostaniecie zatrzymani, upewnijcie się, że wyciągacie właściwą fotografię!"

Pettikin spróbował wywołać przez radiostację Ban-dar Dejlam, ale nic z tego nie wyszło.

27

- Spróbujemy później - powiedział McIver. - Wszystkie bazy będą na nasłuchu o 8:30, zostaje nam trochę czasu na podjęcie decyzji. Chryste, to może być cholernie trudne. Co o tym sądzisz? Utrzymać status quo, poza rodzinami?

Pettikin zatroskał się. Wstał, wziął świecę i spojrział na wiszącą na ścianie mapę operacyjną.

Ukazywała położenie ich baz, liczebność załóg, personelu naziemnego i maszyn. Bazy były rozsiane po całym Iranie; w Teheranie i Isfahanie znajdowały się bazy szkoleniowe armii i lotnictwa wojskowego, w Zagrosie wysokogórski ośrodek wsparcia wierceń naftowych, na północnym zachodzie, w Tebrizie, ośrodek wycinania lasów, a koło granicy z Afganistanem zespół badawczy złóż uranu.

62

W kolejnych bazach zajmowano się pomiarami rurociągu kaspijskiego oraz operacjami związanymi z wydobywaniem ropy naftowej z zatoki i jej okolic. W tej chwili ze wszystkich tych baz działało tylko pięć: Lengeh nad cieśniną Ormuz, Kowiss, Bandar Dejlam, Zagros i Teb-riz.

- Mamy piętnaście 212, włącznie z dwoma odstawionymi do przeglądu po dwóch tysiącach godzin lotu, siedem 206 i trzy alouettes; wszystkie powinny być teraz na chodzie...

- I wszystkie są wynajęte. Żadnego kontraktu nie odwołano, choć za żaden także nie zapłacono - zauważył McIver. - Nie możemy trzymać ich wszystkich w Kowissie; nie możemy nawet legalnie wycofać żadnego z nich bez zgody zleceniodawcy lub bez zatwierdzenia tego przez naszych drogich wspólników; chyba że powołamy się na siłę wyższą.

- Jeszcze takiej nie ma. Musimy utrzymać status quo tak długo, jak się da. To, co powiedział

Talbot, brzmiało rozsądnie. Status quo.

- Chciałbym, żeby tak było, Charlie. Mój Boże! W zeszłym roku o tej porze mieliśmy na chodzie prawie czterdzieści 212, nie mówiąc już o wszystkich innych.

McIver nalał sobie następną whisky.

- Lepiej trochę wyhamuj - powiedział cicho Pettikin. - Genny będzie się pieklić. Wiesz, że masz zbyt wysokie ciśnienie i nie powinieneś pić.

- Traktuję to jako lekarstwo, Jezu. - Świeca zamigotała i zgasła. McIver wstał, zapalił

następną i ponownie utkwiał wzrok w mapie. - Myślę, że powinniśmy wycofać Azadeh i Latającego Fina. Jego 212 zrobiły tysiąc pięćset godzin, więc można go wycofać na parę dni.

- Chodziło o kapitana Erikkiego Yokkonena i jego irańską żonę, Azadeh, oraz o ich bazę koło Tebrizu w prowincji Wschodni Azerbejdżan na północnym zachodzie, przy granicy z ZSRR. -

Dlaczego by nie wziąć 206 i ich nie sprowadzić? To by im zaoszczędziło pięciuset sześćdziesięciu kilometrów koszmarnej jazdy samochodem, a nam pozwoliło podrzucić trochę części zapasowych.

63

Pettikin rozpromienił się.

- Dzięki, miałbym miłą wycieczkę. Wstawię się dzisiaj przez radio do planu lotów i wyruszę o świcie. Wezmę po drodze paliwo w Bandar-e Pahlawi i kupię nam trochę kawioru.

- Marzyciel. Ale to by się spodobało Gen. Wiesz, co ja o tym myślę. - McIver odwrócił się od mapy. - Jesteśmy bardzo odsłonięci, Charlie, gdyby rzeczy przybrały zły obrót.

- Tylko wtedy, jeśli fatalnie ułożą się karty.

McIver skinął głową. Jego wzrok spoczął na aparacie telefonicznym. Podniósł słuchawkę i usłyszał sygnał. Ożywił się i zaczął wybierać numer: 00 międzynarodowy, 44 Wyspy Brytyjskie, 224 Aberdeen w Szkocji, 765-8080. Czekał i czekał, aż nagle oczy mu rozbłysły.

- Chryste, dodzwoniłem się!

- S-G Helicopters, proszę czekać - powiedziała pracownica centrali, zanim zdążył jej przerwać i powiedzieć, żeby się pospieszyła. Był zły, ale czekał cierpliwie. - S-G Helico...

- Tu McIver z Teheranu, dawajcie Staruszkę.

28

- Rozmawia przez telefon, panie McIver - prychnęła dziewczyna. - Połączę pana z jego sekretarką.

- Cześć, Mac! - Liz Chen odezwała się niemal natychmiast. - Zaraz ci go dam. U was wszystko w porządku? Próbowaliśmy się dodzwonić przez wiele dni.

- Wszystko w porządku, Liz.

Po chwili rozległ się głos uszczęśliwionego Gaval-lana.

- Mac? Chryste, jak ci się udało uzyskać połączenie? Świetnie, że się odezwałeś; u nas chłopak wykręca twój numer bez przerwy przez dziesięć godzin dziennie. Dzwoni na przemian do domu i do biura. Jak się czuje Genny? Jak uzyskałeś połączenie?

- To tylko szczęśliwy traf, Andy. Jestem w domu. Lepiej powiem ci wszystko od razu, bo połączenie może się urwać.

McIver powtórzył prawie wszystkie informacje Tal-bota. Musiał je przedstawić oględnie, gdyż krążyły po-64

głoski, że SAVAK, irańska tajna policja, często podsłuchuje telefony, zwłaszcza cudzoziemców. W firmie przez ostatnie dwa lata przestrzegano zasady, że rozmawiając przez telefon, trzeba zakładać, iż ktoś podsłuchuje - SAVAK, CIA, MI 5, KGB, ktokolwiek. Na chwilę zapadła cisza.

- Przede wszystkim słuchaj zaleceń ambasady i natychmiast wyślij z Iranu wszystkie rodziny.

Naciskaj na ambasadę Finlandii w sprawie paszportu Azadeh. Tomowi Lochartowi powiedz, żeby wysłał Szahrazad, miał zresztą złożyć podanie już dwa tygodnie temu, na wszelki wypadek. A tak przy okazji, to on, no, ma dla ciebie jakąś pocztę.

Serce McIvera zabiło mocniej.

- Dobrze. Jutro tu będzie.

- Spróbuję załatwić w British Airways, żeby zapewnili nam miejsca. Wyślę też nasz firmowy 125. Ma odlecieć jutro do Teheranu. Gdybyś miał jakieś problemy z BA, wysyłaj nim, poczynając od jutra, wszystkie rodziny i tych pracowników, którzy nie są niezbędni. Lotnisko w Teheranie jeszcze działa?

- W każdym razie działało jeszcze dzisiaj - odparł ostrożnie McIver.

Usłyszał, jak Gavallan mówi równie ostrożnie:

- Dzięki Bogu, władze panują nad sytuacją.

- Tak.

- Mac, co radzisz w sprawie naszych irańskich operacji?

McIver wziął głęboki oddech.

- Status quo.

- Dobra. Wszystkie znaki na niebie i ziemi, także te pochodzące z najwyższego szczebla, mówią, że wkrótce będzie można normalnie prowadzić interesy. Trochę zyskaliśmy w Iranie.

A przyszłość... Słuchaj, Mac, potwierdziła się ta plotka o Guerneju.

McIver ożywił się.

- Jesteś pewien?

- Tak. Kilka minut temu dostałem teleks z IranOil; potwierdzili, że na początek dostajemy wszystkie kon-65

trakty firmy Guerneju na Chargu, w Kowissie, Zagrosie i Lengeh. Najwidoczniej polecenie przyszło z góry, a ja musiałem wpłacić hojny pizkesz do lewej kasy naszych wspólników. -

Słowo pizkesz oznaczało stary irański zwyczaj: podarunek dawany z góry za uprzejmość, która mogła nastąpić. Jawne i niemal oficjalne przyjmowanie pizkeszu przez urzędników było także starym irańskim obyczajem. Jakże inaczej by sobie poradzili? - Ale nie przejmuj się. Chłopie! Zwiększyliśmy czterokrotnie nasze irańskie zyski!

- To wspaniale, Andy.

29

- To jeszcze nie wszystko, Mac. Właśnie zamówiłem jeszcze dwadzieścia 212, a dzisiaj potwierdziłem zamówienie na sześć X63; są śliczne!

- Chryste, Andy, to fantastyczne! Musiałeś to jakoś przepchnąć, co?

- Iran może mieć... hmm... przejściowe trudności, ale cała reszta świata rozpaczliwie poszukuje alternatywnych źródeł ropy. Jankesi trochę się wkurzają, chłopie. - Zmienił ton. -

Właśnie potwierdziłem następny ogromny interes z ExTex; chodzi o nowe kontrakty w Nigerii, Arabii Saudyjskiej i na Borneo; i następny z All-Gulf Oil w Emiratach. Na Morzu Północnym jesteśmy tylko my, Guerneju i Imperial Helicopters. - Imperial Helicopters należała do Imperial Air, drugiej na w pół rządowej linii lotniczej po British Airways. - To wspaniale, że udaje ci się utrzymywać wszystko w Iranie; nasze kontrakty, maszyny i części zamienne są częścią zastawu przy zakupie nowego sprzętu. Trzymaj, na Boga, w ryzach naszych drogich wspólników. Co słyhać u tych drogich, miłych ludzi?

- Jak zwykle.

Gavallan wiedział, że oznaczało to: "kiepsko jak zwykle".

- Odbylem właśnie spotkanie z generałem Dżawa-dahem w Londynie. - Dżawadah opuścił

Iran rok temu, wraz z całą rodziną, zanim ujawniły się kłopoty. W ciągu ostatnich trzech miesięcy dwóch innych irańskich współników odwiedziło Londyn wraz z rodzinami 66

"z przyczyn medycznych", a dalszych czterech przebywało - także z rodzinami - w Ameryce.

Trzech innych pozostało w Teheranie.

- Andy, muszę mieć trochę pieniędzy. W gotówce. - McIver wrócił do ważniejszych spraw.

- Idź na pocztę.

Usłyszał gromki śmiech i zapalił się jeszcze bardziej do tematu.

- Obudź się, Chińczyku! - wykrzyknął. Nazywał tak prywatnie Gavallana, który przed przyjazdem do Aber-deen spędził większą część życia w Chinach, najpierw w Szanghaju, a potem w Hongkongu, w firmie Struana, gdzie spotkali się po raz pierwszy. McIver świadczył

wtedy usługi helikopterowe na drobną skalę. - Posłuchaj: zalegamy z płacami personelu naziemnego; wynagrodzenie pilotów pochłania całe fundusze, prawie wszystko trzeba kupować na... - W porę przerwał. Na wypadek, gdyby ktoś słuchał. Chciał powiedzieć, że na czarnym rynku. - Te cholerne banki są nadal zamknięte, a trochę gotówki muszę zostawić na heungyau. - Posłużył się słowem z dialektu kantońskiego, które oznaczało dosłownie

"pachnące smarowidło", czyli pieniądze do smarowania łap.

- Dżawadah obiecał, że generał Walik z Teheranu da ci jutro pół miliona riali. Otrzymałem teleks z potwierdzeniem.

- Ale to tylko sześć tysięcy dolarów, a mamy rachunki na dwadzieścia razy więcej.

- Wiem, chłopie, ale on mówi, że i Bachtiar, i Ajatollah chcą, by banki działały, więc ruszą w ciągu tygodnia. Przysięga, że gdy tylko zostaną otwarte, IHC wypłaci nam wszystko, co są nam winni.

- A na razie, czy zwolnił już zapas A?

McIver i Gavallan nazywali w ten sposób fundusze przechowywane przez IHC poza Iranem, prawie 6 milionów dolarów. IHC zalegała z płatnością niemal 4 milionów dolarów.

- Nie. Twierdzi, że musi uzyskać formalną zgodę współników. Na razie mamy sytuację patową.

67

Dzięki Bogu i za to, pomyślał McIver. Aby uruchomić ten rachunek, potrzebne były trzy podpisy - dwa współników i jeden przedstawiciela S-G. Żadna ze stron nie mogła naruszyć tego szczególnego funduszu bez zgody drugiej.

- To trochę ryzykowne, Andy. Zaliczka na nowe maszyny, opłaty leasingowe za nasz sprzęt tutaj, balansujesz na krawędzi, prawda?

- Całe życie balansuje na krawędzi, Mac. Ale za to przyszłość rysuje się różowo.

30

Tak, pomyślał McIver, na pewno dla usług helikopterowych. Ale tu, w Iranie? W zeszłym roku wspólnicy zmusili Gavallana do przekazania prawa własności wszystkich helikopterów S-G i części zamiennych IHC. Gavallan zgodził się pod warunkiem, że będzie to mógł w każdej chwili odkupić bez przeszkód z ich strony oraz że będą uiszczać opłaty leasingowe w terminie, a także załatwią sprawę nieściągalnych długów. Gdy rozpoczął się kryzys i zamknięto banki, IHC zaczęła zalegać z płatnościami, a Gavallan opłacał leasing wszystkich helikopterów w Iranie z funduszy S-G w Aberdeen - wspólnicy twierdzili, że to nie ich wina, iż banki są zamknięte. Dżawadeh i Walik zapewniali, że spłacą wszystko, gdy tylko sytuacja wróci do normy. "Nie zapominaj, Andrew, że załatwiliśmy ci na wiele lat najlepsze kontrakty; bez nas S-G nie mogłaby działać w Iranie. Gdy tylko sytuacja powróci do normy"...

- Nasze irańskie kontrakty są nadal bardzo zyskowne - mówił dalej Gavallan. - Nie możemy pod tym względem narzekać na wspólników, ale z Guerneyem znajdziemy się jak koty w worku.

Bez wątpienia, pomyślał McIver, nawet jeśli wyciskają z nas coraz więcej; nasze udziały maleją, a ich robią się coraz bardziej tłuste.

- ...Trzymają kraj w garści, zawsze trzymali, i przysięgają, że wszystko się uspokoi. Muszą mieć helikoptery, żeby obsługiwać swe pola naftowe. Wszyscy tutaj mówią, że to przeminie.

Właściwie, dlaczego nie? Szach robi, co może, żeby unowocześnić kraj, dochody rosną, 68

analfabetyzm m i • rzecz s^eL C,ągu sześ"u nuŁ c*8?*0 w°ci

"" • PMJ*I. CztenS*I (tm) ""*". To j"ż P ami za sw3 małą maszynę a Genny próbowała radzić sobie z dwójką nastoletnich dzieci w malutkim, hałaśliwym mieszkanku w Koulunie, gdzie rozruchy były największe.

- Na Boga, Gen, spójrz na to! List brzmiał następująco: Szanowny Panie Mcher. Być może pamięta Pan, że spotkaliśmy się raz czy dwa razy na wyścigach kilka lat temu, gdy pracowałem w firmie Struana; obstawiliśmy wtedy wałacha o imieniu Chiński Chłopak i wygraliśmy masę pieniędzy. Tajpan, Ian Dunross, poprosił, abym napisał ten list, gdyż musimy natychmiast skorzystać z Pańskiego doświadczenia. Wiem, że uczył go Pan pilotażu, a on ma do Pana ogromne zaufanie. Wiadomo już, że będzie się wydobywać ropę z dna Morza Północnego. Uważam, że jedynym sposobem zaopatrywania platform wiertniczych przy każdej pogodzie jest użycie helikopterów. Obecnie nie jest to możliwe. Myślę, że nazwałby Pan to Regulami Lotów Instrumentalnych, RLI. Możemy sprawić, że będzie to możliwe. Ja mam do pokonania pogodę, a Pan zyskał umiejętności.

Tysiąc funtów miesięcznie, trzyletni kontrakt próbny, premia od wykonania zadań, transport dla Pana

i Pańskiej rodziny do Aberdeen i skrzynka whisky Loch Vay na Boże Narodzenie.

Uprzejmie proszę, aby zatelefonował Pan tak szybko, jak tylko możliwe...

Genny bez słowa oddała mu list i wyszła z pokoju; przez okna dochodził nieustanny hałas wielkiego miasta: samochody, klaksony, uliczni sprzedawcy, statki, odrzutowce, dysonans chińskiej muzyki.

- Dokąd ty poszłaś, u diabła?

- Spakować się. - Wybuchnęła śmiechem, przybiegła z powrotem i objęła męża. - To dar niebios, Duncan. Zadzwoń, zadzwoń do niego od razu...

- Ale Aberdeen? RLI przy każdej pogodzie? Mój Boże, Gen, to się jeszcze nigdy nikomu nie udało. Nie ma w ogóle odpowiedniego sprzętu. Nie wiem, czy to moż...

- Dla ciebie tak, mój chłopcze. Oczywiście. A gdzie się podzieli Hanisz i Sarah?

70

- Jest sobota, poszli do kina...

Szyba pękła, gdyż trafił w nią kamień, na ulicy nasiliły się odgłosy rozruchów. Mieszkanie było na pierwszym piętrze, a jego okna wychodziły na wąską uliczkę w Mong Kok - gęsto 31

zaludnionej dzielnicy Koulunu. McIver odciągnął Genny w bezpieczne miejsce i ostrożnie wyjrzał przez okno. Na ulicy pięć do dziesięciu tysięcy Chińczyków, skandujących swe zawołanie bojowe: Mao, Mao, Kwai Loh! Kwai Loh! - Cudzoziemskie diabły!

Cudzoziemskie diabły! - waliło w kierunku odległego o sto metrów posterunku, gdzie mały oddział umundurowanej chińskiej policji i brytyjskich oficerów czekał w milczeniu za barykadą.

- Mój Boże, Gen, oni są uzbrojeni! - wydyszał McIver. Zwykle policja miała tylko pałki.

Poprzedniego dnia konsul szwajcarski i jego żona zginęli w płomieniach, gdy tłum przewrócił

ich samochód i go podpalił. Zeszłego wieczoru gubernator ostrzegł w radiu i telewizji, że rozkazał policji podjęcie niezbędnych kroków w celu położenia kresu wszelkim rozruchom. -

Na podłogę, Gen! Odsuń się...

Jego głos utonął wśród wzmocnionych głośnikami* słów; komendant wzywał demonstrantów w dialekcie kantoriskim i po angielsku do rozejścia się. Tłum nie zwracał na to uwagi i atakował barykadę. Kolejne wezwanie również zostało zignorowane. Potem rozległy się strzały i ci, którzy byli z przodu, wpadli w panikę; zaczęli tłoczyć się, szukając drogi ucieczki, tak jak pozostała część tłumu. Wkrótce na ulicy zrobiło się pusto, jeśli nie liczyć kilkunastu ciał rozrzuconych na zakurzonej nawierzchni. Tak samo było na wyspie Hongkong.

Następnego dnia w całej kolonii zapanował spokój; nie było już żadnych rozruchów, tylko nieliczne grupy Czerwonej Gwardii usiłowały jeszcze raz poderwać tłumy, lecz zostały schwytane i deportowane.

W ciągu tygodnia McIver sprzedał swój udział w przedsiębiorstwie helikopterowym, poleciał do Aberdeen i z upodobaniem rzucił się w wir nowej pracy. Genny została jeszcze przez miesiąc; spakowała rzeczy,

71

uregulowała rachunek za mieszkanie i sprzedała wszystko to, czego nie potrzebowali. Gdy przybyła do Szkocji, McIver znalazł już idealne dla nich mieszkanie niedaleko lądowiska McCloud, które jednak ona zdecydowanie odrzuciła.

- Rany boskie, Duncan, to jest o setki kilometrów od najbliższej szkoły. Mieszkanie w Aberdeen? Teraz, gdy jesteś tak bogaty jak Dunross, wynajmiemy dom, mój chłopcze...

Uśmiechnął się do siebie, myśląc o tych dawnych czasach; Genny była zachwycona powrotem do Szkocji

- nigdy nie lubiła Hongkongu, życie było tam trudne, pieniędzy mało, i dzieci do pilnowania.

On co prawda kochał swą pracę, uważał, że z Gavallanem współpracuje się świetnie, ale nie znosił Morza Północnego, zimna, wilgoci i bólów, które odczuwał na skutek przebywania w powietrzu przesiąkniętym solą. Te pięć lat było jednak tego warte; odnowił swoje kontakty w ciągle jeszcze małym światku międzynarodowych firm helikopterowych, w którym obracała się większość byłych pilotów RAF, RCAF, RAAF i USAF oraz wszystkich sił powietrznych państw sprzymierzonych, i zawierał nowe znajomości. Na każde Boże Narodzenie hojna premia, starannie odkładana na przyszłość, wraz ze skrzynką Loch Vay: "Andy, ten punkt umowy naprawdę do mnie przemówił!" Gavallan był przez cały czas siłą napędową tego wszystkiego i kierował się zawołaniem, które wymyślił dla firmy: "Bądź śmiały". We wschodniej Szkocji zwano Gavallana "dziedzicem"; działał od Aberdeen do Invernessu i dalej na południe aż do Dundee, a jego wpływy sięgały Londynu, Nowego Jorku, Houston

- wszędzie tam, gdzie zajmowano się ropą. Tak, stary Chińczyk jest wspaniały, może owinąć sobie wszystkich wokół małego palca, myślał McIver bez zawiści. Pomyśl tylko, jak się tu dostałeś...

- Posłuchaj Mac - powiedział Andrew Gallavan pewnego dnia pod koniec lat sześćdziesiątych. - Po-
72

32

znałem właśnie ważnego generała z Irańskiego Sztabu Generalnego. Na strzelnicy. Generał

Beni-Hasan. Świetny strzelec, miał dwadzieścia punktów, a ja piętnaście! Spędziłem z nim wiele godzin podczas weekendu i sprzedałem mu helikoptery dostawcze dla piechoty i wojsk pancernych

wraz z gotowym programem szkolenia armii i lotnictwa; a poza tym helikoptery dla przemysłu naftowego. Weszliśmy na rynek, chłopie. Jak Flynn.

- Ale nie mamy wyposażenia, żeby obsłużyć choćby połowę tego wszystkiego.

- Beni-Hasan to świetny facet, a Szach chce naprawdę pójść do przodu; ma rozległe plany modernizacji. Wiesz coś o Iranie?

- Nic, Chińczyku - odparł podejrzliwie McIver, wietrząc jakiś nowy'szalony pomysł. - A o co chodzi?

- Macie rezerwację na piątek. Do Bahrajnu. Ty i Genny... Poczekać chwilkę. Mac! Co wiesz o Sheik Aviation?

- Genny czuje się świetnie w Aberdeen. Nie będzie chciała się przeprowadzić; dzieci kończą szkołę, wpłaciliśmy już zaliczkę na dom. Nie przeprowadzimy się, a Genny cię zamorduje.

- Jasne - rzucił lekko Gavallan. - Sheik Aviation?

- To mała, ale dobra firma helikopterowa, która działa w zatoce. Mają trzy 206 i kilka maszyn dostawczych; mają bazę w Bahrajnie. Wszystko dobrze pomyślane; wykonują dużo pracy dla ARAMCO, ExTex i chyba IranOil. Prowadzi to właściciel, Jock Forsyth, były spadochroniarz i pilot, który założył przedsiębiorstwo w latach pięćdziesiątych razem z moim starym kumplem, Scragiem Scraggerem, Australijczykiem. Scrag jest rzeczywistym właścicielem, był w RAAF, AFC i Bar, DFC i Bar, a teraz jest fanatykiem helikopterów.

Najpierw działali w Singapurze i tam poznałem Scraga. My, no, byliśmy wstawieni i nie pamiętam, kto zaczął, ale inni powiedzieli, że był remis. Potem przenieśli się do zatoki razem z byłym pracownikiem ExTex, który miał wspaniały kontrakt i mógł ich tam zainstalować. A dlaczego pytasz?

73

- Właśnie ich kupiłem. Przejmujesz ten interes jako dyrektor wykonawczy. W poniedziałek.

Scragger i wszyscy ich piloci plus cały personel mogą zostać albo nie, jak będziesz chciał, ale sądzę, że potrzebujemy ich wiedzy. To fajne chłopaki. Forsyth jest zachwycony, bo może przejść na emeryturę i pojechać do Devon. To dziwne, ale Scragger nie wspomniał, że cię zna. Cóż... rozmawiałem z nim bardzo krótko, gdyż układałem się z Forsythem. Nazywamy się teraz S-G Helicopters Ltd. Chciałbym, abyś w przyszły piątek pojechał do Teheranu...

Słuchaj, na rany Chrystusa! W piątek, żeby założyć tam Kwaterę Główną. Umówiłem cię z Beni-Hasanem, żebyś podpisał dokumenty tej transakcji z siłami powietrznymi. Powiedział, że z przyjemnością przedstawi nas odpowiednim ludziom. Aha, masz dziesięć procent od wszystkich zysków, to znaczy dziesięcioprocentowy udział w nowej filii w Iranie, i jesteś dyrektorem zarządzającym na cały Iran, a na razie także na pozostałe kraje zatoki...

Oczywiście, McIver pojechał. Nigdy nie mógł oprzeć się Andrew Gavallanowi i nigdy tego nie

żałował, ale nie miał pojęcia, jak jego przyjaciel poradził sobie z Genny. Gdy wrócił wtedy do domu, przygotowała mu whisky z wodą sodową i uśmiechnęła się słodko.

- Cześć kochanie, czy miałeś miły dzień?

- Tak, a o co chodzi? - zapytał podejrzliwie.

- O ciebie. Andy powiedział, że mamy nowe, cudowne możliwości w jakimś mieście o nazwie Teheran, w jakimś kraju, Persji czy czymś talem.

- W Iranie, Persja to stara nazwa, Gen. Teraz to się nazywa Iran. Ja, wiesz, ja myślę...

- Jakie to podniecające! Kiedy wyjeżdżamy?

- No właśnie, Gen, myślałem, że to omówimy i że może mógłbym załatwić, żeby być dwa miesiące tam, a miesiąc tutaj...

- A co chciałeś robić przez te dwa miesiące wieczorami i w niedziele?

- Ja, no, będę pracował jak szalony i...

33

74

- Sheik Aviation? Ty i stary Scragger? Będziecie pić i rozrabiać na wschód od Suezu?

- Ja? Będzie tyle roboty, że my nie...

- Nie, mój chłopcze! Ha! Dwa tam i jeden tutaj? Onie. Albo, po bożemu, pojedziemy razem jako rodzina, albo nic z tego! -1 dodała łagodniej: - Zgadzasz się, kochanie?

- Posłuchaj, Gen...

Musieli w ciągu miesiąca zacząć wszystko od początku, było to jednak fascynujące i przeżyli wtedy najpiękniejsze chwile: spotkali mnóstwo interesujących ludzi, żartowali ze Scragiem i z innymi, znaleźli Charliego, Locharta, Jean-Luca i Errikiego, przekształcili spółkę w najskuteczniejsze i najbezpieczniejsze przedsiębiorstwo lotnicze w Iranie i nad zatoką, a wszystko w taki sposób, w jaki McIver chciał, żeby się odbyło. To było jego dziecko. Tylko jego.

Sheik Aviation był pierwszym z wielu zakupów i fuzji, jakich dokonał Gavallan.

- Skąd, u diabła, bierzesz tyle pieniędzy, Andy? - zapytał kiedyś Duncan.

- Z banków, a skąd by jeszcze? Jesteśmy szkockimi chłopcami do bicia, a nasz stopień ryzyka, to "potrójne A".

Dopiero później odkrył zupełnie przypadkowo, że "S" w ich nazwie oznaczało "Struan", z której to spółki pochodziły głównie ich zasoby finansowe i wywiad gospodarczy, i której S-G

było cichą filią.

- Jak na to wpadłeś, Mac? - zapytał Gavallan.

- Stary przyjaciel z Sydney, były pilot RAF-u, który zajmuje się teraz kopalniami, napisał do mnie, że usłyszał, iż Linbar trąjkocze, jakoby S-G należało do Noble House; nie wiedziałem o tym, ale wygląda na to, że Linbar prowadzi Struana w Australii.

- Próbuje. Mac, tak między nami, łan chciał, żeby udział Struana pozostał tajemnicą. David też tak sobie życzy, więc proszę cię, zatrzymaj to dla siebie - powiedział cichym głosem Gavallan.

75

David, o którym wspominał Gavallan, był Davidem MacStruanem, tajpanem.

- Oczywiście. Nie powiem nawet Gen. Ale to dużo wyjaśnia i daje mi poczucie bezpieczeństwa. Dobrze wiedzieć, że stoi za nami Noble House. Często zastanawiałem się, dlaczego stamtąd odszedłeś.

Gavallan uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- Oczywiście wie o tym Liz i Zarząd Wewnętrzny, ale poza tym już nikt.

McIver nigdy nikomu o tym nie powiedział. S-G świetnie prosperowała i rozwijała się razem z przemysłem naftowym. Rosły zyski. Rosła też wartość stanu posiadania w Iranie. Gdyby wycofał się po sześciu czy siedmiu latach, byłby bogaczem.

- Czy nie pora na emeryturę? - co rok pytała Genny. - Mamy już więcej pieniędzy, niż możemy potrzebować, Duncan.

- Nie chodzi o pieniądze - powtarzał zawsze.

McIver wpatrywał się w czerwoną łunę nad Żaleh. Była teraz jaśniejsza i zajmowała większy obszar. Czuł niepokój. To się może rozlać na cały Teheran, pomyślał.

Pociągnął łyk whisky. Nie ma powodów do zdenerwowania, myślał, to wszystko się uspokaja. Co chciał powiedzieć Chińczyk, gdy urwało się połączenie? Zawiadomi mnie, jeśli to ważne; nigdy jeszcze nie zawiódł. Straszna historia z tym Stansonem. To już trzeci Amerykanin zabity przez "nieznanych sprawców" w ciągu ostatnich miesięcy - dwóch było z ExTex i jeden z Guer-neya. Ciekawe, kiedy zabiorą się do nas. Irańczycy nienawidzą Brytyjczyków tak samo jak Jankesów. Skąd wytrzasnąć gotówkę? Nie możemy działać za pół

milionu riali tygodniowo. Muszę jakoś pożyczyć od współników, choć kręcą jak nikt inny na całym świecie

Dopił whisky. Bez współników leżymy, nawet teraz, po tych wszystkich latach. Tylko oni wiedzą, z kim trzeba rozmawiać, komu dać ile albo jaki procent, kogo posmarować z góry, a kogo z dołu. Znają język i mają kontakty. Chociaż... Chińczyk ma rację: ktokolwiek 76

wygra - Chomeini, Bachtiar czy generalicja - będzie potrzebować helikopterów...

W kuchni Genny mało nie płakała. Puszka haggis, którą przechowywała pieczołowicie przez pół roku i otworzyła właśnie teraz, była uszkodzona i zawartość nie nadawała się do jedzenia.

A Duncan tak to lubi. Jak w ogóle można to lubić?! Mieszanina siekanych serc baranich, wątroby, płuc i maki, cebuli, łoju i przypraw; wszystko to upchnięte w żołądku jakiejś biednej owcy i gotowane przez kilka godzin. - Szlag to trafił! - Poprosiła kiedyś w tajemnicy młodego Scota Gavallana, żeby przyniósł tę puszkę i przechowywał ją na jakąś szczególną okazję.

Dziś przypadała' ich rocznica ślubu; chciała zrobić Duncanowi niespodziankę. Pieprzyć wszystko!

To nie wina Scota, że to cholerstwo było uszkodzone, myślała w rozpacz. Ale nawet, skoro tak, to gównu, gównu, gównu! Od miesięcy planowała tę kolację, a teraz nic z tego. Najpierw ten cholerny rzeźnik niczego mi nie sprzedał, choć zapłaciłabym mu z góry podwójną cenę; pieprzyć to jego In sza'a Allah, potem te cholerne zamknięte banki i nie miałam pieniędzy, by przekupić jego konkurenta, niech go szlag trafi, żeby mi sprzedał udo jagnięcia, a nie starego barana, potem nagle strajk w sklepie, a potem..

Okno małej kuchni było uchylone. Usłyszała następną salwę z broni maszynowej. Tym razem bliżej. Potem wiatr przyniósł odległy, gardłowy pomruk tłumu. Allah-hhu Akbarr... Allahhu Akbarr... - powtarzało się bez końca. Zadygotała, gdyż brzmiało to dla niej jakoś złowieszco. Zanim zaczęły się kłopoty, nawoływanie muezzinów, wzywających do modlitwy pięć razy dziennie z minaretów, działało na nią uspokajająco. Ale nie teraz. Nie z gardeł tłumu.

Nienawidzę tego miasta, myślała. Nienawidzę broni i gróźb. W skrzynce znaleźli drugi list z pogrózkami, tak samo koślawo wystukany na maszynie, na papierze najtańszego gatunku: Pierwszego grudnia dałem tobie

11

i twojej rodzinie miesiąc na opuszczenie kraju. Jeszcze tu jesteście. Jesteście naszymi wrogami i będziemy z wami bezwzględnie walczyć. Podpisu nie było. Prawie wszyscy cudzoziemcy w Iranie dostawali takie listy.

Nienawidzę broni, nienawidzę zimna, a nie ma ani ogrzewania, ani światła; nienawidzę ich śmierdzących ubikacji i kucania jak zwierzę; nienawidzę całej tej głupiej przemocy i niszczenia tego, co było naprawdę miłe. Nienawidzę kolejek. Pieprzyć wszystkie kolejki!

Pieprzyć tego dziada, który zepsuł puszkę haggis; pieprzyć tę małą kuchenkę i zapiekankę z solonej wołowiny! Pojąć nie mogę, dlaczego mężczyźni to lubią. Śmieszne! Solone mięso z puszki, zmieszane

z gotowanymi kartoflami, cebula, masło i mleko, jeśli się je ma, na górze okruszki chleba i zapiekać, aż zrobi się brązowe. Uff! A co do kalafiora, to chce mi się rzygać od tego smrodu w czasie gotowania, ale czytałam, że pomaga na stany zapalne, a łatwo stwierdzić, że Duncan nie czuje się dobrze. Myśli, że może mnie oszukać. Czy oszukał

Charliego? Mam wątpliwości. A co do Clarie, co to za idiotka, że opuściła takiego dobrego człowieka! Zastanawiam się, czy Charlie zorientował się, że miała romans z tym pilotem z Guerneya. Nie byłoby w tym nic złego; trudno wytrzymać samotnie tak długo. Ale to dobrze, że rozstali się po przyjacielsku, chociaż to samolubna dziwka.

Dostrzegła swe odbicie w lustrze. Odruchowo poprawiła włosy i spojrzała dokładniej. Dokąd odeszła młodość? Nie wiem, ale na pewno odeszła. Przynajmniej moja. Duncan jest nadal młody, młody jak na swój wiek - gdyby tylko dbał trochę o siebie! Cholerny Gavallan. Nie, Andy jest w porządku. To dobrze, że ożenił się z taką miłą dziewczyną. Maureen utrzyma go w ryzach i mała Electra też. Tak bardzo się bałam, że poślubi tę swoją chińską sekretarkę.

35

Uff! Andy jest w porządku i taki był Iran. Był. Nadszedł czas, by wyjechać i cieszyć się zarobionymi pieniędzmi. Ale jak?

Roześmiała się głośno. Będzie, jak było. Chyba.

78

Ostrożnie otworzyła piecyk, zamrugała z powodu gorąca i niemiłego zapachu, i zamknęła go.

Nie znoszę zapiekanki z solonego mięsa, pomyślała zirytowana.

Kolacja była bardzo dobra, zapiekanka złocistobrązowa na wierzchu, taka, jaką lubili.

- Otworzysz wino, Duncan? Niestety perskie, ale to ostatnia butelka. - Zwykle byli dobrze zaopatrzeni w wina francuskie i perskie, ale tłumy spaliły sklepy z alkoholem, zachęcane przez mułłów, którzy przestrzegali ścisłych reguł Chomeiniego - picie alkoholu w jakiegokolwiek formie było zabronione przez Koran. - Ktoś powiedział mi na bazarze, że oficjalnie nie sprzedaje się nigdzie alkoholu, i że nawet w zachodnich hotelach jest to zakazane.

- To nie może trwać wiecznie. Ludzie nie zniosą tego ani fundamentalizmu przez dłuższy czas - powiedział Pettikin. - Na pewno nie w Persji. Historycznie rzecz biorąc, szachowie byli zawsze tolerancyjni. Dlaczego nie? Przez prawie trzy tysiące lat Persja słynęła z pięknych kobiet, spójrzcie choćby na Azadeh i Szah-razad, z winnic i win. A co z Rubaijjatami Omara Chajjama, czyż nie jest to hymn do wina, kobiet i śpiewu? Mówię wam, to jest właśnie wieczna Persja.

- "Persja" brzmi znacznie lepiej niż "Iran", Charlie, o wiele bardziej egzotycznie; była taka, gdy tu przyjechaliśmy, o wiele miłsza - powiedziała Genny. Urwała, słysząc strzały, a potem mówiła dalej, usiłując ukryć zdenerwowanie. - Szahrazad powiedziała mi, że oni sami zawsze używali nazw "Iran"

albo "Ajran". Słowem "Persja" posługiwali się starożytni Grecy, Aleksander Wielki i inni. Większość Persów ucieszyła się, gdy Szach zadekretował, że obowiązuje nazwa "Iran". Dziękuję, Duncan - rzekła i przyjęła kieliszek wina, podziwiając z uśmiechem kolor trunku.

- To wszystko jest wspaniałe, Gen - zauważył i objął żonę.

79

Wino miało przyjemny smak, zapiekanka także, ale nikogo to nie cieszyło, gdyż trudno było skupić się na jedzeniu i picu. Przejechały kolejne czołgi, rozległy się następne salwy.

Czerwona poświata rozszerzała się. Z oddali dochodziło skandowanie tłumu. Potem, w połowie deseru - białka z ciastem maczanym w winie, innej ulubionej potrawy McIvera -

wtoczył się do mieszkania jeden z ich pilotów, Nogger Lane; miał poszarpane ubranie i podrapaną twarz; podtrzymywał jakąś dziewczynę. Była wysoka, miała ciemne włosy i oczy, była rozczochrana, w szoku, mruzczała coś po włosku; jeden rękaw płaszcza prawie całkowicie wyrwany, brudne ubranie, twarz i dłonie, jakby wpadła do śmietnika.

- Dostaliśmy się pomiędzy... pomiędzy policję i jakieś skurwysyńskie tłumy - mówił

chaotycznie, niespójnie Lane. - Jakiś skurczybyk ściągnął mi benzynę z baku, więc... ale tłum, były ich tysiące, Mac. Na ulicy było spokojnie, a nagle wszyscy zaczęli biec i oni... tłumy.

Wyszli z bocznej ulicy, wielu miało broń... I to zaszrane skandowanie w kółko i w kółko Allahu Akbar, Allahu Akbar, aż cierpła skóra... Już nigdy... Potem kamienie, bomby zapalające, gaz łzawiący, od cholery tego, gdy pojawiła się policja i wojsko. I czołgi.

Widziałem trzy i myślałem, że sukinsyny chcą wygarnąć. Ktoś z tłumu zaczął strzelać, wszędzie były spluwy i... i na całym placu leżały ciała. Zaczęliśmy uciekać, ale chmara sukinsynów zobaczyła nas i zaczęła się wydzierać: "Amerykański szatan!" Zapędzili nas w ślepią uliczkę. Próbowałem powiedzieć, że jestem Anglikiem, a Paula Włoszką, ale napierali na nas i gdyby nie jakiś mułła, duży sukinsyn z czarną brodą i w czarnym turbanie, ten... ten skurczybyk ich odwołał i, Chryste, pozwolili nam odejść. Sklął nas i powiedział, żebyśmy spierdalali...

36

Pilot złapał podaną mu szklanekę whisky i wydudlił ją, próbując złapać oddech; trzęsły mu się ręce i kolana, ale nawet tego nie zauważał. McIver, Genny i Pettikin słuchali tej opowieści przerażeni. Dziewczyna cicho łkała.

80

- Nigdy, nigdy nie byłem w samym środku takiego koszmaru, Charlie - mówił dalej rozdygotany Nogger Lane. - Żołnierze byli takimi samymi gówniarzami jak ci z tłumu, robili w portki ze strachu. Noc po nocy te skandujące tłumy i rzucanie kamieni... Koktajl Mołotowa trafił żołnierza w twarz, biedak stanął cały w płomieniach i krzyczał przez ogień... A potem te sukinsyny nas otoczyły i zaczęły

szarpać Paulę, próbowali się do niej dobrać, obmacywali ją, darli na niej ubranie. Wściekłem się i walnąłem jednego, musiał dobrze dostać, bo wbiłem mu nos do czaszki i gdyby nie ten mułła...

- Uspokój się, chłopcze - powiedział zaniepokojony Pettikin, ale młodzieniec nie zwracał na niego uwagi i opowiadał dalej.

- ...gdyby ten mułła mnie nie wyciągnął, rozwaliłbym skurwysyna na miazgę. Chciałem mu wybić oczy, Chryste, próbowałem, ja wiem, wiem, że to zrobiłem! Jezu Chryste, nigdy nie zabiłem nikogo gołymi rękoma, nigdy nie chciałem, do dziś, ale dziś tak, chciałem i... -

Trzęsły mu się ręce, gdy odgarniał z oczu jasne włosy. Zaczął mówić ostrzejszym tonem i głośniej: - Te skurwysyny, oni nie mieli prawa nas dotykać, ale trzymali Paulę i... i... - Z oczu trysnęły mu łzy; bezgłośnie poruszał ustami, w kącikach pojawiła się piana. - I... i... zabić...

chciałem zabiiiiić...

Nagle Pettikin pochylił się i uderzył go na odlew w twarz, tak że pilot upadł na kanapę.

Pozostali, zaskoczeni, na chwilę zamarli w bezruchu. Lane był przez chwilę oszołomiony, a potem wstał i ruszył na napastnika.

- Stać, Nogger! - ryknął Pettikin.

Rozkaz osadził młodzieńca w miejscu. Stał z zaciśniętymi pięściami i gapił się ze zdumieniem na staruszkę.

- Co jest, do kurwy nędzy?! Prawie połamałeś mi szczękę, zasrańcu! - wykrzyknął w furii. Z

oczku przestały mu jednak płynąć łzy i odzyskał trzeźwe spojrzenie. - Co?

- Przykro mi, chłopcze, ale musiałem...

- Gównu musiałeś - rzucił Lane z groźbą w głosie.

81

Wracała mu świadomość, lecz wyjaśnienie, o co chodziło, i uspokojenie ich obojga zabrało jeszcze trochę czasu. Ona nazywała się Paula Giancani; wysoka dziewczyna, stewardesa z Alitalia.

- Paula, kochanie, lepiej zostań tu na noc - powiedziała Genny. - Jest już po godzinie policyjnej. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem, tak, znam angielski, myślą...

- Chodź, pożyczę ci jakieś ubrania. Nogger, będziesz spał na kanapie.

Dużo później Genny i McIver jeszcze nie spali; byli zmęczeni, lecz nie mogli usnąć. Od czasu do

czasu słycać było strzały albo skandowanie dochodzące gdzieś z nocy za oknem.

- Chcesz herbaty, Duncan?

- Dobra myśl. - Wstał razem z nią. - Choroba, zapomniałem. - Podeszedł do biurka i wyjął małe, nieumiejętnie opakowane pudełko. - Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy.

To nic wielkiego, tylko bransoletka z bazaru.

- Och, dziękuję, Duncan.

Rozpakowując pudełko, opowiedziała mu o haggis.

- Co za pech! Nic nie szkodzi. W przyszłym roku zjemy to sobie w Szkocji.

Bransoletka składała się z surowych ametystów oprawionych w srebro.

- Jest piękna! Właśnie taką chciałam mieć! Dziękuję ci, kochanie.

- Ja także ci dziękuję, Gen. - Objął ją ramieniem i leciutko pocałował.

37

Nie przejmowała się tym pocałunkiem. Ostatnio tak się właśnie całowali; to było jak poklepywanie ulubionego psa.

- Co się stało, kochanie?

- Nic, wszystko w porządku. Zbyt dobrze go znała.

- Czy to coś, o czym jeszcze nie wiem?

- Po prostu to się robi coraz bardziej dzikie. Z każdą godziną. Gdy ciebie i Pauli nie było w pokoju,

82

Nogger powiedział nam, że przyjechali z lotniska. Jej lot Alitalia był zarezerwowany przez rząd włoski; chodziło o ewakuację ich obywateli, a samolot czekał na lotnisku dwa dni.

Dostał zezwolenie na odlot, więc Nogger pojechał, żeby się pożegnać z Paulą. Oczywiście start opóźniał się coraz bardziej, jak zwykle, a potem, przed zmrokiem, lot odwołano i znowu zamknięto lotnisko, a pasażerom kazano odejść. Zniknął cały irański personel. Niemal natychmiast grupa dobrze uzbrojonych rewolucjonistów wysypała się na lotnisko. Większość miała zielone opaski, ale niektórzy na opaskach mieli litery IOWP, które Nogger widział po raz pierwszy. "Irańska Organizacja Wyzwolenia Palestyny".

- Och mój Boże - wyszeptała. - Więc to prawda, że OWP pomaga Chomeinemu?

- Tak. A skoro oni pomagają, to rozpoczęła się już zupełnie inna gra. Wybuchła wojna domowa, a my jesteśmy w jej samym cholernym środku.

W TEBRIZIE JEDEN, 23:05. Erikki Yokkonen był nagi, leżał w saunie, którą własnoręcznie zbudował, temperatura wynosiła 107 stopni w skali Fahrenheita; pocił się obficie, obok leżała jego żona, Azadeh, także ospała pod wpływem gorąca. Wieczór był wspaniały: dużo jedzenia i dwie butelki najlepszej rosyjskiej wódki, którą kupił na rynku w Tebrizie i wypił wspólnie z dwoma angielskimi inżynierami oraz zarządcą ich stacji, Alim Dajatim.

- A teraz do sauny - zaproponował przed północą. Oni jednak jak zwykle odmówili; z trudem dowlekli się do swoich kwater. - Chodź, Azadeh!

- Dziś nie, Erikki, proszę cię - powiedziała, ale on już porwał ją potężnymi ramionami, okrył futrem i wyniósł na dwór.

84

Powietrze było mroźne. Minał kępę sosen, niósł żonę bez trudu. Wszedł do malutkiej chatki przylegającej do tylnej ściany ich baraku, do rozgrzanego przedsionka, a potem, bez ubrania, do samej sauny. Teraz leżeli, Erikki odrężony, a Azadeh, nawet po roku małżeństwa, jeszcze nie całkiem przyzwyczajona do tego nocnego rytuału.

Leżał podparty jedną ręką i patrzył na żonę. Spoczywała na grubym ręczniku na ławce po przeciwnej stronie. Miała zamknięte oczy; widział, jak jej piersi podnoszą się i opadają w rytm oddechu, widział, jaka jest piękna - kruczoczarne włosy, aryjskie rysy, jakby wyczelowane, cudowne ciało i mlecznobiała skóra - i jak zwykle przepełniło go uczucie uwielbienia dla niej, tak małej w porównaniu z nim, prawie dwumetrowym olbrzymem.

Bogowie moich przodków, dziękuję wam, że daliście mi taką kobietę, pomyślał. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, w jakim języku to pomyślał. Znał cztery: fiński, szwedzki, rosyjski i angielski. Co za różnica? Poddał się działaniu ciepła i pozwolił, aby jego myśli szybowały wraz z parą buchającą z kamieni, które tak dokładnie poukładał. Fakt, że sam zbudował saunę, sprawiał mu ogromną satysfakcję - mężczyzna powinien to zrobić. Nosił

bale drewna, jak jego przodkowie nosili przez całe stulecia.

Była to pierwsza rzecz, jaką zrobił, gdy skierowano go tutaj przed czterema laty: wybrał i ściał odpowiednie drzewa. Jego koledzy myśleli, że zwariował. Wzruszał tylko ramionami.

- Bez sauny życie jest niczym. Najpierw buduje się saunę, a potem dom. Bez sauny dom nie jest domem. Jesteście Anglikami i niczego nie wiecie o życiu.

Kusiło go, by powiedzieć im, że urodził się w saunie, podobnie jak wielu Finów. Dlaczego nie? To całkiem rozsądne: najcieplejsze miejsce w domu, najbardziej czyste, 38

najspokojniejsze, ulubione. Nigdy im jednak nie powiedział, tylko Azadeh. Ona zrozumiała.

Tak, pomyślał z zadowoleniem, ona wszystko rozumie.

85

Na zewnątrz skraj lasu był cichy, nocne niebo bezchmurne, gwiazdy bardzo jasne, a śnieg tłumił wszelkie odgłosy. O kilometr dalej przebiegała jedyna w tej okolicy górská droga; wiała się na północny zachód, w kierunku Tebrizu, który leżał szesnaście kilometrów dalej, potem skręcała na północ, ku granicy radzieckiej, przebiegającej w odległości kilku kilometrów. Z

drugiej strony gubiła się w zakrętach i prowadziła przez góry aż do Teheranu odległego o pięćset sześćdziesiąt kilometrów.

Baza Tebriz Jeden, była domem dla dwóch pilotów - inni przebywali na urlopie w Anglii -

dwóch angielskich inżynierów i Irańczyków: dwóch kucharzy, ośmiu dochodzących robotników, radiotelegrafisty i zarządcy bazy. Za wzgórzem znajdowała się wioska Abu Mard oraz, w dolinie, zakłady drzewno-celulozowe należące do Iran-Timber, monopolu przemysłu drzewnego, który obsługiwali w ramach kontraktu. Helikopter 212 woził drwali i sprzęt do lasu, służył pomocą przy budowie obozów oraz wytyczaniu nielicznych dróg, jakie mogły być tam budowane, a potem obsługiwał obozy, wymieniając załogi i sprzęt oraz wywożąc rannych. Dla większości odciętych od świata obozów 212 był jedynym ogniwem łączącym je ze światem zewnętrznym, a piloci byli bardzo szanowani. Erikki kochał życie, jakie prowadził, i tę ziemię, która tak bardzo przypominała Finlandię, iż wydawało mu, się czasem, że jest w domu.

Sauna była dopełnieniem szczęścia. Małeńka, dwuizbowa chatka z tyłu baraku rzucała się w oczy na tle innych zabudowań bazy; wzniesiona była tradycyjnym sposobem, z mchem uszczelniającym szpary pomiędzy balami, z ogniskiem podgrzewającym kamienie bez trudu, dzięki dobremu ciągowi. Kamienie leżące na wierzchu przywiózł aż z Finlandii. Jego dziad wydobyl je z dna jeziora, skąd pochodzą najlepsze kamienie do sauny; podarował mu je podczas ostatniego urlopu, jaki Erikki spędził w domu osiemnaście miesięcy wcześniej.

- Weź je, synu. Będziesz miał na pewno dobrego lińskiego tonto - małego, brązowego elfa, który jest duchem sauny - choć naprawdę nie wiem, dlaczego chcesz poślubić jedną z tych cudzoziemek, a nie naszą, fińską dziewczynę.

- Gdy ją zobaczysz, dziadku, także będziesz ją uwielbiał. Ma niebieskozielone oczy, czarne włosy i...

- Jeśli da ci wielu synów, to... No zobaczymy. Na pewno już najwyższy czas na żeniączkę, taki chłop jak ty, ale cudzoziemka? Mówisz, że jest nauczycielką?

- Należy do Irańskiego Korpusu Nauczycieli. To są młodzi ludzie, ochotnicy w służbie państwowej. Jeżdżą do małych wiosek i uczą mieszkańców czytania i pisania, przede wszystkim dzieci. Szach i jego żona utworzyli ten korpus kilka lat temu, a Azadeh wstąpiła do niego, gdy miała dwadzieścia jeden lat. Pochodzi z Tebrizu, gdzie ja pracuję; uczy w naszej wiosce, w prowizorycznej szkole. Poznałem ją siedem miesięcy i trzy dni temu, ma teraz dwadzieścia cztery lata...

Erikki rozpromienił się, wspominając chwilę, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Wyglądała wspaniale w swym mundurku. Włosy opadały jej kaskadami na plecy, siedziała w lesie, otoczona dziećmi. Uśmiechnęła się do niego; widział w jej oczach zdumienie wywołane jego wzrostem. Wiedział od razu, że na nią właśnie czekał przez całe dotychczasowe życie. Miał

wtedy trzydzieści sześć lat. Ach! Obserwował ją teraz leniwie, błogosławiąc leśnego tonto -

duszka - który zaprowadził go do właściwej części lasu. Jeszcze tylko trzy miesiące i... cały miesiąc urlopu. Pokaże jej Suomi - Finlandię.

- Już czas, Azadeh, kochanie - powiedział.

- Nie, Erikki, jeszcze nie - odparła na wpół śpiąca, otumaniona gorącem, ale nie alkoholem, gdyż nie piła. - Proszę cię, Erikki, jeszcze...

39

- Nie możesz tu przebywać zbyt długo - stwierdził zdecydowanie.

Zawsze rozmawiali ze sobą po angielsku, choć władała także płynnie rosyjskim - jej matka była pół-Gruzinką, pochodzącą z pogranicza, gdzie rozsądniej było znać także ten język.

Znała też turecki - język używany w tej części Iranu i w Azerbejdżanie - oraz 86

87

oczywiście farsi. On, poza kilkoma słowami, nie mówił ani w farsi, ani po turecku. Usiadł, pogodzony z całym światem i otarł pot, potem pochylił się i pocałował żonę. Oddała pocałunek i zadygotała, gdy szukały jej jego ręce, a ona odwzajemniała pieszczotę.

- Brzydki chłopak - powiedziała i wyprostowała się z godnością.

- Gotowa?

- Tak.

Przywarła do niego, gdy wziął ją bez wysiłku na ręce i wyszedł do przedsionka, a potem na zewnątrz, na mróz. Dyszała, gdy uderzyła ją fala zimna, a on zaczął nacierać ją śniegiem i czuła ukłucia, które nie bolały, choć skóra poczerwieniała. W ciągu kilku sekund poczuła, że płonie. Przez całą zimę musiała przyzwyczajać się do kąpieli śniegowej po saunie. Teraz już zdawała sobie sprawę, że bez tego sauna nie miałaby sensu. Szybko mu się odwzajemniła, nacierając go śniegiem, i popędziła do ciepłego wnętrza, pozostawiając męża tarzającego się jeszcze przez chwilę w śniegu. Nie zauważyli grupy mułłów stojących na wzniesieniu, ukrytych częściowo za drzewami rosnącymi przy ścieżce, pięćdziesiąt metrów dalej. Erikki zobaczył ich dopiero gdy zamykał drzwi. Dostał ataku furii. Zatrzasnął drzwi.

- Na dworze są jacyś wieśniacy. Musieli nas obserwować. To już przechodzi wszelkie pojęcie!

Była równie wściekła. Ubrali się szybko. Erikki wciągnął futrzane buty, gruby sweter i spodnie, chwycił dużą siekierę i wybiegł na dwór. Mężczyźni jeszcze tam byli; krzycząc zaatakował ich, z wysoko uniesioną siekierą. Rozpierzchli się, a jeden z nich uniósł pistolet maszynowy i wystrzelił w powietrze; salwa odbiła się echem od zbocza góry. Erikki ochłonął

i zatrzymał się. Nikt dotąd nie groził mu bronią i nie trzymał jej wycelowanej w jego żołądek.

- Siekierę połóż - powiedział mężczyzna kulawą angielszczyzną. - Albo cię zabiję.

88

Erikki zawahał się. W tym momencie Azadeh wpadła pomiędzy nich, odtrąciła lufę broni i zaczęła krzyczeć po turecku:

- Jak śmiecie tu przychodzić! Dlaczego macie broń? Kim wy jesteście, bandytami? To nasz teren! Wynocha, bo każę was aresztować! - Była zawinięta w grube futro, ale dygotała z gniewu.

- To ziemia ludu - odparł ponuro mułła, trzymając się poza zasięgiem jej rąk. - Zakryj włosy, kobieto, zakryj...

- Kim jesteś, mułło? Nie jesteś z mojej wioski! Kim jesteś?

- Jestem Mahmud, mułła z meczetu Hadzasta w Te-brizie. Nie jestem jednym z twoich fagasów - dodał ze złością i odskoczył, gdyż Erikki rzucił się na niego.

Mężczyzna z bronią zachwiał się, lecz drugi, stojący w bezpiecznej odległości, odwiódł kurek swego karabinu.

- Na Boga i proroka, zatrzymaj się, cudzoziemska świni, bo wyślę was oboje do piekła, na które zasługujecie!

- Erikki, poczekaj! Zostaw te psy dla mnie - zawołała po angielsku Azadeh, a potem krzyknęła do przybyłych: - Czego tu chcecie? To nasza ziemia, ziemia mego ojca, Abdollah-chana, chana z Gorgonów, krewnego Kadzarów, którzy panowali tu od wieków. - Jej oczy przyzwyczały się już do ciemności i mogła dojrzeć przybyłych. Było ich dziesięciu, wszyscy młodzi, uzbrojeni, sami obcy, wszyscy, z wyjątkiem jednego: kalan-dara, wójta, ich wsi. -

Wójt, jak śmiałeś tu przyjść?!

40

- Przykro mi, Wasza Wysokość - rzekł przepaszająco. - Ale mułła powiedział, że bym go tu przyprowadził ścieżką, a nie główną drogą i...

- Czego chcesz, pasożycie? - zwróciła się do mułły.

- Okaż mi szacunek, kobieto - powiedział mułła z jeszcze większą złością w głosie. -

Niedługo my będziemy rządzić. Koran zna kary za nagość i rozpustę: ukamienowanie i chłosta.

89

- Koran zna też kary za wchodzenie na cudzy teren, bandytyzm, grożenie spokojnym ludziom i bunt przeciwko panom lennym. Nie jestem jednym z twoich zastraszonych analfabetów!

Wiem, kim jesteście i zawsze byliście: pasożytami żerującymi na wioskach! Czego chcesz?

Od strony bazy nadbiegali ludzie z latarkami. Na czele biegli inżynierowie, Dibble i Arberry; mieli trochę mętne oczka. Ali Dajati ostrożnie trzymał się z tyłu. Wszyscy byli wyrwani ze snu, byle jak ubrani i niespokojni.

- Co się dzieje? - zapytał Dajati, spoglądając na zgromadzonych przez grube szkła okularów.

Jego rodzina od last służyła chanom z Gorgonów i była przez nich chroniona.

- Te psy - zaczęła Azadeh - wyszły z ciem...

- Poskramiaj swój język, kobieto - rzucił ze złością mułła i zwrócił się do Dajatiego: - Kim jesteś?

Gdy Dajati spostrzegł, że mężczyzna jest mułłą, nagle spokorniał.

- Jestem... Jestem tutaj kierownikiem Iran-Timber, ekscelencjo. O co chodzi, co mogę dla pana zrobić?

- Helikopter. Chcę go mieć o świcie, żeby oblecieć obozy.

- Przepraszam, ekscelencjo, ale maszyna jest rozebrana do remontu. To pomysł cudzoziemców i...

Azadeh przerwała mu ze złością:

- Mułło, jakim prawem ośmielasz się przychodzić tu w środku nocy, żeby...

- Imam Chomeini wydał rozkaz...

- Imam? - powtórzyła zaszokowana. - Jakim prawem nazywasz tak Ajatollaha Chomeiniego?

- On jest imamem. Wydał rozkazy...

- Gdzie jest napisane w Koranie albo w szar'iat, że ajatollah może twierdzić, iż jest imamem i może rozkazywać wiernym? Gdzie...

- Nie jesteś szyitką? - zapytał mułła.

Był wściekły i wiedział, że jego ludzie słuchają wszystkiego w milczeniu.

- Jestem szyitką, ale nie analfabetką i idiotką, mułło! - Wypowiedziała ostatnie słowo jak coś obelżywego.

- Odpowiadać!

- Proszę, Wasza Wysokość - wtrącił błagalnym tonem Dajati. - Proszę pozwolić, żebym sam się tym zajął, błagam!

Ona jednak wpadła we wściekłość, mułła też, pozostali przyłączyli się; powstało zamieszanie, aż wreszcie Erikki podniósł siekiere i dał się ponieść gniewowi, zły, że nie rozumie, o czym mówiono. Nagle zapadła cisza, a następny mężczyzna odbezpieczył pistolet maszynowy.

- Czego chce ten sukinsyn, Azadeh? - zapytał Erikki.

Powiedziała mu.

- Dajati, przekaż mu, że nie dostanie mojego 212 i ma się stąd wynosić albo wezwę policję.

- Proszę, kapitanie, proszę. Niech mi pan pozwoli samemu to załatwić - błagał Dajati, pocąc się ze strachu. - Proszę, Wasza Wysokość, proszę stąd odejść.

- Potem zwrócił się do obu inżynierów. - Wszystko w porządku, możecie wracać do łóżek. Ja się tym zajmę.

W tym momencie Erikki zauważył, że Azadeh jest bosa. Wziął ją na ręce.

- Dajati, powiedz temu matierjebcowi i im wszystkim, że jeśli jeszcze raz przyjdą tu w nocy, skręcę im karki, a jeśli któryś z nich dotknie jednego włosa na głowie mojej żony, znajdę go nawet w piekle.

Odszedł, potężny w swym gniewie, a inżynierowie ruszyli za nim.

Osadziły go w miejscu rosyjskie słowa:

- Kapitanie Yokkonen, czy mógłbym z panem porozmawiać?

Erikki obejrzał się. Azadeh, którą nadal trzymał na rękach, zeszywniała. Mężczyzna stał nieco z tyłu i na pierwszy rzut oka nie różnił się od innych w swej nijakiej parce.

- Tak - odpowiedział po rosyjsku Erikki. - Ale nie wnoś do mojego domu pistoletu ani noża.

Odszedł wyniosłym krokiem.

Muła zbliżył się do Dajatego i zapytał z kamiennym spojrzeniem:

- Co powiedział cudzoziemski diabeł, eh?

- Był niegrzeczny, wszyscy cudzoziemcy są niegrzeczni. Jej Wysokość, to znaczy kobieta, też była niegrzeczna.

Muła splunął na śnieg.

- Prorok ustanowił prawa i kary za takie zachowanie, a lud ma prawo sprzeciwiać się dziedziczeniu bogactwa i skradzionej ziemi. Ziemia należy do ludu. Już wkrótce zaczniemy przestrzegać odpowiednich praw i w Iranie nastanie pokój. - Zwrócił się do pozostałych: -

Nago na śniegu! Paradowanie na golasa wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości.

Ladacznic! Czym są Gor-gonowie, jeśli nie sługusami zdrajcy Szacha i jego psa, Bachtgara, co? - Obrócił spojrzenie na Dajatego. - Jakie kłamstwa opowiadałeś o tym helikopterze?

Próbując ukryć strach, Dajati odparł natychmiast, że przegląd po tysiącu pięciuset godzinach lotu wynika z zagranicznych przepisów, do których każą mu się stosować, gdyż zostały zatwierdzone przez Szacha i rząd.

- Nielegalny rząd - przerwał muła.

- Oczywiście. Oczywiście, że nielegalny - zgodził się natychmiast Dajati. Zaprowadził

przybyłych do hangaru i zapalił światło; baza miała swój własny generator i była pod tym względem niezależna. Silniki 212 leżały w równych rzędach. - To nie ma nic wspólnego ze mną, ekscelencjo; cudzoziemcy robią, co chcą. - Potem dodał szybko: - Wiemy wszyscy, że Iran-Timber należy do ludu, ale Szach bierze pieniądze. Nie mam żadnej władzy nad cudzoziemskimi diabłami ani nad ich przepisami. Nie mogę niczego zrobić.

- Kiedy będą mogły polecieć? - rosyjskojęzyczny mężczyzna zapytał nienagannym tureckim.

- Inżynierowie przyrzekają, że za dwa dni - odparł Dajati, modląc się w duchu. Był

przeżarty, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Było już dla niego jasne, że ludzie ci są lewicowymi mudżaheddinami,

92

wyznającymi popieraną przez Rosjan teorię, w myśl której islam i marksizm są do pogodzenia. - Jak Bóg zechce. Dwa dni. Zagraniczni inżynierowie czekają na dostawę jakichś części.

- Jakich?

Powiedział. Chodziło o parę drobniejszych części i śmigło tylnego rotora.

- Ile godzin wylataliście na tych śmigłach? Dajati trzęsącymi się rękoma otworzył dziennik.

- Tysiąc siedemdziesiąt trzy.

- Bóg nam sprzyja - oświadczył mężczyzna i zwrócił się do mułły: - Możemy bez obawy wykorzystać stare. Wystarczy przynajmniej na pięćdziesiąt godzin.

- Ale co ze zużyciem śmigła?... Certyfikat przydatności jest już nieważny - rzucił bez zastanowienia Dajati. - Pilot nie poleci, bo przepisy lotnicze...

- Przepisy szatana.

42

- To prawda - przerwał mu mężczyzna znający rosyjski. - Przynajmniej niektóre. Ale te, które dotyczą bezpieczeństwa, są też ważne dla ludu, nawet ważniejsze. Bóg ustanowił reguły obchodzenia się z wielbłądami i końmi; te reguły mają zastosowanie i do samolotów, które też są darem Boga i niosą nas, wykonujących zbożną pracę. Musimy więc dbać o nie prawidłowo. Nie uważasz, Mahmud?

- Oczywiście - odparł niecierpliwie mułła. Obrzucił ostrym spojrzeniem Dajatiego, a ten zaczął się trząść. - Wrócę za dwa dni, o świcie. Niech helikopter będzie gotowy, a pilot przygotowany do wykonania nakazanej przez Boga pracy dla ludu. Zamierzam odwiedzić wszystkie obozy w górach. Czy są tu jeszcze inne kobiety?

- Tylko... tylko dwie żony robotników i... moja.

- Czy noszą czador i zasłaniają twarze?

- Oczywiście. - Dajati skłamał bez wahania. Zasłanianie twarzy było w Iranie prawnie zakazane.

Reza Szach w 1936 r. pozostawił wkładanie czadoru uznaniu kobiet, a Reza Mohammad przyznał im w 1964 roku prawa wyborcze.

93

- Dobrze. Przypomnij im, że Bóg i lud widzą je nawet w tym przeklętym siedlisku obcych.

Mahmud odwrócił się na pięcie i odszedł, a reszta za nim.

Dajati, gdy został sam, otarł pot z czoła. Cieszył się, że pozostał wiernym i że teraz jego żona będzie nosić czador, będzie posłuszna i skromna jak jego matka; nie będzie już paradować w dzinsach, jak Jej Wysokość. Czego żądał mułła? Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli Abdollah-chan o tym usłyszy... Chociaż, oczywiście, mułła ma rację i oczywiście Chomeini ma rację. Bóg go ochroni.

W BARAKU ERIKKIEGO, 23:23. Obaj mężczyźni usiedli naprzeciw siebie przy stole w reprezentacyjnym pokoju. Gdy tamten mężczyzna zapukał, Erikki wysłał Azadeh do sypialni, zostawił jednak uchylone drzwi, aby słyszała rozmowę. Wręczył jej karabin, którego używał

do polowań.

- Nie wahaj się i strzelaj. Gdyby wszedł do sypialni, to znaczy, że ja jestem martwy -

powiedział. Włożył swój nóż pukoh za pasek spodni, z tyłu. Nóż pukoh był bronią wszystkich Finów. Uważano, że nienoszenie-go przynosi pecha i jest niebezpieczne. W Finlandii noszenie takiego noża na wierzchu było zabronione, a poza tym mogło być traktowane jako wyzwanie. Ale wszyscy noże nosili, zwłaszcza w górach. Nóż Erikkiego Yok-konena odpowiadał jego wzrostowi.

- A więc, kapitanie, przepraszam za to najście. - Mężczyzna miał ciemne włosy i sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, trzydzieści parę lat, twarz wysmaganą wiatrem, ciemne oczy oraz domieszkę krwi słowiańskiej i mongolskiej. - Nazywam się Fedor Rakoczy.

- Rakoczy był węgierskim rewolucjonistą - powiedział krótko Erikki. - Pański akcent świadczy, że jest pan Gruzinem. Rakoczy to nie jest gruzińskie nazwisko. Jak brzmi prawdziwe i jaki ma pan stopień w KGB?

Mężczyzna roześmiał się.

94

- To prawda, że mam gruziński akcent; jestem Rosjaninem z Tbilisi. Mój dziadek przybył z Węgier, ale nie był spokrewniony z rewolucjonistą, który został kiedyś księciem Transylwanii. Poza tym nie był muzułmaninem jak mój ojciec i ja. Tak więc, jak pan widzi, obaj nie znamy za dobrze historii - zauważył uprzejmym tonem.

- Jestem inżynierem. Pracuję przy irańsko-radzieckim gazociągu, zaraz przy granicy, w Astarze nad Morzem Kaspijskim. Sprzyjam także Iranowi, Chomeinemu

- niech będzie błogosławiony - nie sprzyjam zaś Szachowi i Amerykanom.

43

Był zadowolony, że dostarczono mu wiadomości o Erikkim Yokkonenie. Historyjka, którą opowiedział, była częściowo prawdziwa. Rzeczywiście pochodził z Gruzji, z Tbilisi, nie był

jednak muzułmaninem ani nie nazywał się Rakoczy, lecz Igor Mzytryk i był kapitanem KGB

działającym przy 116 Dywizji Powietrzno-santowej, rozmieszczonej przy samej granicy, na północ od Tebrizu. Był jednym z setek tajnych agentów, którzy od miesięcy infiltrowali północny Iran i teraz działali niemal nieskrępowanie. Miał trzydzieści cztery lata i był

zawodowym oficerem KGB, podobnie jak jego ojciec. Spędził sześć miesięcy w Azerbejdżanie. Mówił dobrze po angielsku, płynnie w farsji i po turecku, a choć sam nie mógł

latać, wiedział dużo o napędzanych silnikami tłokowymi helikopterach wsparcia bezpośredniego należących do armii radzieckiej, gdyż takie miała jego dywizja.

- Co do mnie - dodał s, wym uprzejmym głosem

- jestem przyjacielem. My, Rosjanie, jesteśmy przyjaciółmi Finów, nieprawdaż?

- Tak, tak. Prawda. Rosjanie to nie członkowie partii. Święta Ruś była kiedyś przyjazna, tak, gdy byliśmy wielkim księstwem Rosji. Rosja Sowiecka była przyjazna po 1917 roku, gdy odzyskaliśmy niepodległość. Teraz Rosja Sowiecka jest przyjazna. Tak, teraz. Ale nie w trzydziestym dziewiątym. Nie podczas wojny zimowej. Nie, wtedy nie.

95

- Tak samo jak w czterdziestym pierwszym - przerwał mu ostro Rakoczy. - W czterdziestym pierwszym toczyliście przeciwko nam wojnę razem ze śmierdzącymi nazistami; byliście z nimi i przeciwko nam.

- To prawda, ale tylko po to, by odzyskać naszą ziemię, Karelię, prowincję, którą nam ukradliście. Nie doszliśmy do Leningradu, chociaż mogliśmy. - Erikki czuł na plecach ucisk noża i był z tego zadowolony. - Czy jest pan uzbrojony?

- Nie. Poprosił pan, żeby nie przychodzić z bronią. Zostawiłem karabin za drzwiami. Nie mam też pukoh ani nie jest mi on potrzebny. Jestem przyjacielem, na Allacha.

- Dobrze. Człowiek potrzebuje przyjaciół.

Erikki obserwował przybysza, czując wstręt do wszystkiego, co ten sobą reprezentował: Rosji Sowieckiej, która nie sprowokowana napadła na Finlandię w 1939, gdy Stalin podpisał pakt o nieagresji z Niemcami. Mała armia fińska walczyła samotnie. Odpierała hordy sowieckie w ciągu stu dni podczas wojny zimowej, a potem musiała ulec. Ojciec Erikkiego zginął w obronie Karelii, południowo-wschodniej prowincji, w której Yokkonenowie mieszkali od wieków. Rosja Sowiecka natychmiast wchłonęła prowincję. Wszyscy Finowie od razu wyjechali. Co do jednego. Nikt nie chciał znaleźć się pod panowaniem sowieckim; pozostało pustkowie. Erikki miał wtedy zaledwie dziesięć miesięcy. Podczas eksodusu zmarły tysiące ludzi. Umarła i jego matka. To była najgorsza zima; zima, którą wszyscy zapamiętali.

A w czterdziestym piątym, myślał Erikki, tłumiąc gniew, w czterdziestym piątym zdradziła nas Ameryka i Anglia; oddali nasze ziemie agresorowi. Nie zapomnieliśmy. Nie zapomnieli też Estończycy, Łotysze, Litwini, wschodni Niemcy, Czesi, Węgrzy, Bułgarzy, Słowacy, Rumuni... ta lista nie ma końca. Nadejdzie dzień wyrównania rachunków z Sowietami, o tak, na pewno nadejdzie. Zrobią to przede wszystkim Rosjanie, którzy cierpią najbardziej.

96

- Dużo pan wie o Finlandii jak na Gruzina - zauważył spokojnie.

- Finlandia jest bardzo ważna dla Rosji: W naszych stosunkach panuje odręczenie. Oba nasze kraje są bezpieczne i pokazują światu, że antyradziecka, imperialistyczna propaganda Amerykanów jest kłamliwa.

Erikki uśmiechnął się.

- To chyba nie pora na politykę, co? Jest już późno. Czego pan chce ode mnie?

- Przyjaźni.

44

- Aha. Łatwo o to prosić, ale, jak pan zapewne wie, w wypadku Finów wiąże się to z pewnymi trudnościami. - Erikki wziął z kredensu niemal pustą butelkę wódki i dwa kieliszki.

- Jest pan szytą?

- Tak, ale nie za dobrym. Bóg mi wybaczy. Piję czasem wódkę, jeśli o to pan pyta.

Erikki nalał do dwóch kieliszków.

- Zdrowie. - Wypili. - Niech pan teraz przejdzie do rzeczy.

- Wkrótce Bachtiar zostanie wyrzucony z Iranu razem ze swymi amerykańskimi sługusami.

Wkrótce zagotuje się w Azerbejdżanie, ale pan nie ma się czego obawiać. Jest pan tu lubiany, zatem, jeśli pańska żona i jej rodzina... jeśli spodoba się nam wasza... wasza współpraca w zaprowadzaniu spokoju w tych górach...

- Jestem tylko pilotem helikoptera, zatrudnionym w spółce brytyjskiej, która współpracuje z Iran-Timber. Nie zajmuję się polityką. My, Finowie, nie politykuje-my, nie pamięta pan?

- Jesteśmy przyjaciółmi, tak. Jesteśmy tak samo zainteresowani utrzymaniem pokoju na świecie.

Ogromna pięść Erikkiego rąbnęła w stół; Rosjanin wzdrygnął się, gdy stojąca na blacie butelka podskoczyła i wylądowała na podłodze.

- Dwa razy prosiłem pana grzecznie, żeby powiedział pan, o co chodzi. - Głos Fina był tak cichy i uprzejmy jak przedtem. - Ma pan dziesięć sekund i ani jednej więcej.

97

_ Świetnie - wycedził przez zęby Rakoczy. - Wymagamy pańskich usług, aby w ciągu kilku najbliższych dni przerzucać drużyny do obozów. My...

- Jakie drużyny?

- Mułłów z Tebrizu i ich zwolenników. Wymaga...

- Otrzymuję polecenia ze swojej firmy, a nie od mułłów, rewolucjonistów albo ludzi, którzy przychodzą w nocy z bronią. Jasne?

- Przekona się pan, że lepiej się z nami porozumieć, kapitanie Yokkonen. Gorgonowie też.

Wszyscy - powiedział z naciskiem Rakoczy, a Erikki poczuł, że krew napływa mu do twarzy.

- Iran-Timber jest już po naszej stronie. Wydadzą wam odpowiednie polecenia.

- W porządku. Wobec tego poczekam na te polecenia. - Erikki wstał, demonstrując swą potężną sylwetkę w całej okazałości. - Dobranoc.

Rosjanin także wstał i spojrzał na Fina ze złością.

- Pan i pańska żona jesteście zbyt inteligentni, by nie wiedzieć, że bez Amerykanów i ich nierządnej CIA Bachtiar przepadnie; że ten półgłówek Carter skierował amerykańskich marines i helikoptery do Turcji, a flotę do zatoki. Jest tam atomowy lotniskowiec i osłaniające go okręty; jest piechota morska i samoloty uzbrojone w ładunki nuklearne. Słowem, flota wojenna i...

- Nie wierzę!

- Może pan nie wierzyć. Na Boga, oni próbują rozpocząć wojnę, na co my oczywiście musimy zareagować. Musimy odpowiedzieć naszą grą wojenną na ich grę wojenną, gdyż oni chcą wykorzystać Iran przeciwko nam. To szaleństwo; my wcale nie chcemy wojny atomowej... - Rakoczy mówił to z całym przekonaniem, z głębi serca. Zaledwie parę godzin temu jego dowódca ostrzegł go, używając zakodowanego sygnału radiowego, że siły sowieckie na granicy zostały postawione w stan gotowości oznaczany jako żółty, tylko jeden krok do czerwonego, z powodu zbliżającej się floty lotniskowców, przy czym w taki sam stan gotowości postawiono wszystkie siły nuklearne. Co gorsza, doniesiono o ogromnych ruchach wojsk chińskich wzdłuż całej,

98

45

ciągnącej się na długości ośmiu tysięcy kilometrów, granicy radziecko-chińskiej. - Ten pierdolony Carter razem ze swoim pierdolonym Paktem Przyjaźni wyśle nas do piekła, jeśli tylko dojrzy cię szansy.

- Co będzie, to będzie - odparł Erikki.

- In sza'a Allah, tak, ale dlaczego być psem łańcuchowym Amerykanów albo ich równie plugawych brytyjskich współników? Powinien zwyciężyć lud. My powinniśmy zwyciężyć.

Proszę nam pomóc, kapitanie, a nie pożałuje pan. Są nam potrzebne pańskie umiejętności, tylko przez kilka dni...

Nagle urwał. Słysząc było odgłos kroków biegnącego człowieka. Zanim jeszcze drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem, w ręce Erikkiego błysnął nóż, a on sam skoczył z kocią zręcznością, stając przed drzwiami sypialni.

- SAVAK! - krzyknął nowo przybyły mężczyzna i uciekł.

Rakoczy podbiegł do drzwi i chwycił swój pistolet maszynowy.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy, kapitanie! Proszę o tym nie zapominać!

Zniknął w mroku.

Azadeh wyszła z sypialni. Była blada, w rękę ścisnęła gotowy do strzału karabin.

- Co on powiedział o lotniskowcu? Nie zrozumiałam..

Erikki powiedział jej. Była wyraźnie wstrząśnięta.

- To oznacza wojnę, Erikki.

- Tak, jeśli to prawda. - ' Włożył swą-parkę. - Zostań tutaj.

Zamknął za sobą drzwi. Zobaczył światła samochodów zbliżających się w pędzie drogą dojazdową, łączącą bazę z główną szosą do Tebrizu i Teheranu. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, rozróżnił dwa samochody osobowe i jedną wojskową ciężarówkę. Po chwili zajechał pierwszy samochód, a policjanci i żołnierze wysypali się z niego i zniknęli w ciemnościach. Ich dowódca zasalutował.

99

- Dobry wieczór, kapitanie Yokkonen. Dowiedzieliśmy się, że są tu jacyś rewolucjoniści czy komunistyczna Tude. Powiedziano nam, że padły strzały. - Jego angielski był bez zarzutu. -

Czy nic się nie stało Jej Wysokości? Nie ma jakichś problemów?

- Nie. Teraz już nie, pułkowniku Mazardi. - Erikki znał go całkiem dobrze. Mężczyzna był

kuzynem Aza-deh i szefem policji w okręgu Tebriz. Ale SAVAK? To co innego, pomyślał z niepokojem. Jest, to jest, i nie chcę nic o tym wiedzieć. - Proszę wejść.

Azadeh ucieszyła się na widok kuzyna; podziękowała mu za przybycie i opowiedziała o tym, co się wydarzyło.

- Rosjanin powiedział, że nazywa się Rakoczy? Fedor Rakoczy? - zapytał.

- Tak, ale to było oczywiste kłamstwo - wyjaśnił Erikki. - Musiał być z KGB.

- Nie powiedział ci, kiedy zamierzają odwiedzać obozy?

- Nie.

Pułkownik zastanowił się, a potem westchnął.

- Więc mułła Mahmud chce sobie polatać? Tak zwany człowiek boży nie powinien robić głupstwa i latać. To bardzo niebezpieczne, zwłaszcza dla islamskiego marksisty; to świętokradztwo! Lecąc helikopterem, można łatwo wypaść, tak mi powiedziano. Może powinniśmy pójść mu na rękę? - Mazardi był wysoki i dobrze wyglądał, miał czterdzieści parę lat, a mundur leżał na nim nieskazitelnie. - Proszę się nie niepokoić. Ci pod-burzacze niedługo wrócą do swoich zapchlonych bud. Wkrótce Bachtiar wyda nam rozkaz i powstrzymamy te psy. A ten demagog Chomeini... Powinniśmy szybko nałożyć kaganiec temu zdrajcy. Francuzi powinni to zrobić już wtedy, gdy tu przybył. Słabi głupcy. Głupcy!

Oni zawsze byli słabi; wtrącali się i byli przeciwko nam. Byli zawsze zazdrośni o Iran! -

Wstał. - Proszę dać mi znać, kiedy wasze helikoptery będą gotowe do lotu. Tak czy inaczej, będziemy tu z powrotem za dwa dni, przed

46

100

świtem. Miejmy nadzieję, że mułła i jego przyjaciele, a zwłaszcza Rosjanin, wrócą tutaj.

Wyszedł. Erikki postawił czajnik na kuchence, żeby zrobić kawy. Powiedział z namysłem:

- Azadeh, zapakuj torbę.

Wlepiła w niego zdumione spojrzenie.

- Co takiego?

- Bierzemy samochód i jedziemy do Teheranu. Za kilka minut.

- Nie ma takiej potrzeby, Erikki.

- Gdyby helikopter nadawał się do użytku, wzięlibyśmy go, ale się nie nadaje.

- Nie ma się czym przejmować, kochanie. Rosjanie zawsze chcieli dostać Azerbejdżan: ludzie cara, Sowietci, co za różnica. Zawsze chcieli mieć Iran i zawsze udawało się nam trzymać ich z daleka. Erikki, nie trzeba przejmować się kilkoma fanatykami i jednym Rosjaninem.

Spojrzał na nią.

- Niepokoją mnie amerykańscy marines w Turcji, amerykańskie lotniskowce i to, że KGB

uważa, iż Jesteśmy oboje zbyt inteligentni". Dlaczego ten Rosjanin był taki zdenerwowany, dlaczego wiedzą tyle o mnie i o tobie, i dlaczego "wymagają" moich usług? Idź i spakuj torbę, kochanie, dopóki nie jest za późno.

!

Sobota

10 lutego 1979

II

W BAZIE LOTNICZEJ W KOWISSIE, 3:32. Skandujący tłum, prowadzony przez mułę Hosejna Kowis-siego, napierał na masywną główną bramę i ogrodzenie z drutu kolczastego, otaczające ogromną bazę; noc była ciemna i bardzo zimna - wszędzie leżał śnieg. Było trzy do czterech tysięcy ludzi, przeważnie młodych, niektórzy uzbrojeni, trochę młodych kobiet w czadorach; ich krzyki łączyły się z pomrukiem tłumu[^]. „Bóg jest wielki... Bóg jest wielki...”

Za bramą, naprzeciw tłumowi, stały plutony zdenerwowanych żołnierzy; karabiny w pogotowiu, inne plutony w odwodzie, oficerowie z rewolwerami. Dwa czołgi centurion czekały, gotowe do walki, pośrodku drogi, w huku pracujących silników. W pobliżu nich - komendant obozu i grupa oficerów. Za nimi - ciężarówki z żołnierzami, reflektory wymierzone w bramę i ogro-105

dzenie - żołnierze w dwudziesto- trzydziestoosobowych grupach. Za ciężarówkami hangary, budynki bazy, baraki, kasyno oficerskie, wszędzie grupki podenerwowanego personelu, wszyscy niestaránnie ubrani, gdyż tłum nadszedł zaledwie pół godziny temu, żądając wydania bazy w imieniu Ajatollaha Chomeiniego.

W megafonach rozbrzmiewał donośny głos komendanta bazy:

- Rozejść się! Natychmiast!

Głos brzmiał twardo i groźnie, lecz skandowanie tłumu było głośniejsze:

- Allahu Akbarr...

Noc była ciemna. Chmury przesłaniały nawet podnóże pokrytych śniegiem, dominujących nad bazą gór Zagros na południu.

Baza ta była także Główną Kwaterą S-G w południowym Iranie oraz przystanią dwóch eskadr samolotów F4, należących do Irańskich Sił Powietrznych, a od wprowadzenia stanu wojennego również oddziału centurionów i piechoty. Poza ogrodzeniem, ku wschodowi, ogromna rafineria ropy naftowej ciągnęła się na przestrzeni kilku akrów; dymiły ogromne kominy, a z wielu buchały płomienie pochodzące ze spalania nadwyżek gazu ziemnego. Choć rafineria strajkowała i została zamknięta, nie była martwa: komitet strajkowy zezwolił na pozostawienie niezbędnego personelu złożonego z Europejczyków i Irańczyków, aby mogli oni chronić przed zniszczeniem rafinerię, rurociągi doprowadzające ropę i zbiorniki.

47

- Bóg jest wielki... - krzyknął po raz kolejny Ho-sejn, a tłum natychmiast podchwycił ten okrzyk, okrzyk, który atakował umysły i serca żołnierzy. Wśród nich, w pierwszej linii, stał

Ali Bewedan, poborowy jak wszyscy inni, młody jak wszyscy inni, z małej wioski, także jak inni, i jak ci, którzy napierali na ogrodzenie. Tak, myślał z bijącym sercem, jestem po stronie Boga, jestem gotów zginąć za wiarę i za proroka, niech jego imię będzie sławione! Boże, pozwól mi doznać męczeństwa i pójść do rajy, jak obiecano to wiernym. Pozwól mi przelać 106

krwawość za islam i Chomeiniego, a nie za wspierających diabła sługusów Szacha!

Słowa Chomeiniego dźwięczały mu w uszach, słowa z kasety, którą muła odtworzył dwa dni temu w meczecie: ... "Żołnierze! Przyłączcie się do swych braci i sióstr służących Bogu!

Porzućcie koszary i ucieknijcie z bronią! Nie wykonujcie nielegalnych rozkazów waszych generałów! Obalcie nielegalny rząd! Służcie Bogu, który jest wielki"...

Serce zaczęło mu bić żywiej, gdy usłyszał znów ten głos, wspaniały, chłopski głos przywódcy przywódców, który wszystko wyjaśniał. "Bóg jest wielki, Bóg jest wielki"...

Młody żołnierz nie zauważył nawet, że krzyczy razem z tłumem, wpatrywał się w mułkę, który był za bramą, po stronie Boga, na zewnątrz. Szarpał bramę, prowadził swych braci i siostry, próbował wdrzeć się do środka. Stojący obok żołnierze drgnęli niespokojnie, patrzyli na niego, nie śmieli się odezwać, ryk tłumu atakował ich serca i myśli. Wielu z tych, którzy stali wewnątrz, chciałoby otworzyć bramę. Wielu by to zrobiło, gdyby nie było oficerów, sierżantów i nieuchronnych kar, w tym kary śmierci, która, jak wiedzieli, groziła za bunt.

Po stronie Boga, na zewnątrz...

Głowa młodzieńca niemal eksplodowała od myśli; nie słyszał krzyku sierżanta, nawet nie widział zwierzchnika. Widział tylko bramę zamkniętą przed wiernymi. Upuścił karabin i pobiegł ku bramie odległej o pięćdziesiąt metrów. Nagle zapadła cisza, oczy wszystkich skierowały się na niego, jakby chciano go przygwoździć spojrzeniami.

Pułkownik Mohammad Peszadi, komendant obozu, stał koło pierwszego czołgu, gibki mężczyzna z siwiejącymi włosami, w nieskazitelnie czystym mundurze. Patrzył na młodzieńca, który krzyczał: Allahhhu Akkbarr... - Był to jedyny w tym momencie głos.

Gdy żołnierz był już parę metrów od ogrodzenia, pułkownik zwrócił się do stojącego przy nim starszego sierżanta.

107

- Zabij go - powiedział cicho.

Sierżant słyszał bojowy okrzyk młodego człowieka, który szarpał się teraz z zamkiem bramy.

Płynnym ruchem chwycił karabin stojącego najbliżej żołnierza, odbezpieczył broń, błyskawicznie oparł się o bok czołgu, wymierzył w tył głowy młodzieńca i pociągnął za spust. Zobaczył, jak głowa zastrzelonego rozpryskuje się, a jej strzępy spadają na tych, którzy stoją za bramą. Ciało zawisło na drucie kolczastym.

Przez chwilę panowała jeszcze głębsza cisza. Potem tłum ruszył: Hosejn na czele, za nimi wyjąca, nieprzytomna, bezmyślna masa ludzka. Ci, którzy byli z przodu, rwali sobą druty kolczaste, nie czując bólu. Popychani przez tych, którzy byli z tyłu, zaczęli wspinać się na ogrodzenie.

W tłumie zaterkotał pojedynczy, półautomatyczny karabin. W tym momencie pułkownik dał znak oficerowi w czołgu.

Natychmiast z lufy stumilimetrowego działa buchnął płomień. Nabój był ślepy, a lufa mierzyła ponad głowami tłumy, lecz nagły huk sprawił, że atakujący cofnęli się w panice od bramy, a kilku żołnierzy, równie przerażonych, wypuściło karabiny, kilku uciekło, a wielu nie uzbrojonych gapiów rozpięchło się w przerażeniu. Zagrzmiało działo drugiego czołgu; jego lufa wycelowana była niżej - płomienie buchnęły bliżej ziemi.

Tłum zafalował. Mężczyźni i kobiety uciekali od bramy i ogrodzenia. Pierwszy czołg wystrzelił powtórnie; znowu język ognia i znowu rozdzierająca uszy detonacja; tłum zdwoił

48

tempo ucieczki. Tylko muła Hosejn pozostał przy bramie; zataczał się jak pijany, był przez chwilę oślepiony i ogłuszony; potem jego ręce chwyciły słupki bramy; zawisnął na niej.

Natychmiast, instynktownie, kilka osób wysunęło się do przodu, aby mu pomóc: żołnierze, sierżanci i oficer.

- Stać! - ryknął pułkownik Peszadi, a potem chwycił mikrofon podłączony do długiego kabla i włączył go na pełną moc. Jego głos eksplodował w ciszy: - Wszyscy żołnierze pozostają na stanowiskach! Zachować goto-108

wość bojową! Oficerowie i sierżanci odpowiadają za swych ludzi! Sierzancie, za mną!

Sierżant, nadal w szoku, ruszył w ślad za dowódcą, który szedł ku bramie. Za nią leżało trzydziestu czy czterdziestu stratowanych ludzi. Tłum zatrzymał się jakieś sto metrów dalej i zaczął się przegrupowywać. Niektórzy, co bardziej zapaleni, znowu ruszyli naprzód. Napięcie wzrosło.

- Stać! Niech wszyscy zostaną na miejscu!

Tym razem komendanta usłuchano. Od razu. Czuł pot spływający po plecach, serce waliło jak młotem. Rzucił szybkie spojrzenie na ciało rozciągnięte na drutach i pozazdrościł poległemu -

czyż chłopak nie był męczennikiem, który zginął z imieniem Boga na ustach i czyż nie był

teraz w raju? Potem rzucił szorstko do mikrofonu:

- Wy trzej... tak, wy tam, pomóżcie mulle. Już! - Natychmiast mężczyźni za ogrodzeniem, których wskazał, ruszyli, aby wypełnić polecenie. Gniewnie wskazał kciukiem grupkę żołnierzy. - Wy! Otworzyć bramę! Zabrać ciało! - I znów niezwłocznie wykonano rozkaz. Za bramą niektórzy

poruszyli się, więc ryknął:

- Powiedziałem: zostać na miejscu! Jeśli ktoś poruszy się bez mojego zezwolenia, będzie martwy!

Wszyscy zastygli w bezruchu. Wszyscy.

Peszadi odczekał chwilę, jakby zachęcał do sprawdzenia, czy jego groźba zostanie zrealizowana. Nikt się nie poruszył. Spojrzał znowu na Hosejną, którego dobrze znał.

- Mułło, nic ci się nie stało? - zapytał cicho. Stał obok niego. Brama była otwarta. Kilka metrów dalej trzech wieśniaków czekało cierpliwie.

Hosejna potwornie bolała głowa i szumiało mu w uszach. Widział jednak wszystko i słyszał, a choć krwawiły mu poszarpane drutem kolczastym dłonie, wiedział, że nic mu się nie stało, i że nie został jeszcze męczennikiem, czego oczekiwał i o co się modlił.

- Żądam... - powiedział słabym głosem - żądam tej... tej bazy w imieniu Chomeiniego.

109

_ Natychmiast przyjdiesz do mojego biura - przerwał mu ostro pułkownik. - Wy trzej także.

Będziecie świadkami. Porozmawiamy, mułło. Wysłucham cię, a potem ty mnie wysłuchasz. -

Pochylił się do mikrofonu i wyjaśnił, o co chodzi. Jego głos brzmiał jeszcze bardziej zdecydowanie i ostro; pogłos megafonów ciął brutalnie nocną ciszę. - On i ja będziemy rozmawiać. Spokojnie. Potem mułła wróci do meczetu, a wy wszyscy do swoich domów, żeby się modlić. Brama pozostanie otwarta. Będzie strzeżona przez mych żołnierzy i czołgi.

Klnę się na Boga i proroka, niech jego imię będzie pochwalone, że jeśli ktokolwiek wejdzie bez zaproszenia przez bramę albo przez płot, zginie z rąk moich żołnierzy. Jeśli chociaż dwudziestu z was będzie chciało wtargnąć do mojej bazy, poprowadzę czołgi do waszych wiosek i spalę je wszystkie z wami w środku! Niech żyje Szach!

Obrócił się na pięcie i odszedł. Mułła i trzej przerażeni wieśniacy poszli za nim. Nikt inny się nie poruszył.

Na werandzie kasyna kapitan Conroe Starke, szef kontyngentu S-G, westchnął.

- Słodki Jezu - mruknął z podziwem pod nie wiadomo czyim adresem. - Co za cojones\

5:21 Starke stał w oknie kasyna, obserwując budynek dowództwa Peszadiego po przeciwnej stronie ulicy. Mułła jeszcze nie wyszedł. Tutaj, w głównej sali kasyna, było bardzo zimno.

49

Freddy Ayre zapadł się głębiej w fotel, owinał dokładniej kurtką lotniczą i spojrzał w górę na

wysokiego Teksasńczyka, który kołysał się lekko na piętach.

- Co o tym mylisz? - zapytał zmęczonym głosem, tłumiąc ziewnięcie.

- Myślę, że za jakąś godzinę nadejdzie świt, stary - rzucił w roztargnieniu Starke.

On także miał na sobie kurtkę lotniczą i ciepłe, lotnicze buty. Piloci przebywali w sali na pierwszym piętrze, przy narożnym oknie, przez które widać było niemal całą bazę. W sali znajdowało się jeszcze kilkunas-110

tu wyższych oficerów irańskich. Większość z nich spała w fotelach. Mieli na sobie kurtki lotnicze lub wojskowe płaszcze - bazy nie ogrzewano już od tygodni, aby oszczędzić paliwo.

Kilku zmęczonych ordynansów, także w płaszcach, usuwało resztki po przyjęciu przerwanych nadejściem tłumy.

- Jestem wykończony, a ty?

- Jeszcze nie, ale jak długo można być ciągle na nogach, świątek czy piątek, Freddy?

- To przywilej Nieustraszonego Przywódcy, staruszku - powiedział Ayre. Był zastępcą dowódcy kontyngentu S-G, byłym pilotem RAF-u. Miał dwadzieścia osiem lat, ciemnoniebieskie oczy i oksfordzki akcent.

- Musisz świecić przykładem.

Starke spojrział w kierunku otwartej bramy. Nic się nie zmieniło: nadal była dobrze strzeżona.

Za nią wciąż czekało pięciuset wieśniaków, stłoczonych z powodu zimna. Przeniósł

spojrzenie z powrotem na budynek dowództwa. Także bez zmian. W biurze Peszadiego na najwyższym piętrze nadal paliło się światło.

- Oddałbym miesięczną pensję, żeby móc im kibico- • wać, Freddy.

- Co? O co ci chodzi?

- Chciałbym słuchać, jak Peszadi rozmawia z mułką.

- Och! - Ayre spoglądał na biuro. - Wiesz, gdy te palanty zaczęły wspinać się na druty, myślałem, że się zacnie. Cholera! Miałem ochotę zwać do starego nel-lie, odpalić go i pożegnać się z Kublajchanem i jego mongolskimi hordami! - Zachichotał, gdy wyobraził

sobie, że pilotuje 212. - Oczywiście - dodał sucho

- musiałbym poczekać na ciebie, Duke. - Nazywał tak Starke'a, gdyż pochodził z Teksasu jak John Wayne, przypominał go budową ciała i był równie przystojny.

Starke wybuchnął śmiechem.

- Dzięki staruszkowi. Zaczynam dochodzić do wniosku, że jeśli się tu wedrą, to chyba cię wyprzedzę. - Jego oczy też się śmiały, ale odwrócił się z powrotem do okna, aby ukryć niepokój. Już po raz trzeci baza musiała bronić się przed tłumem, zawsze prowadzonym przez 111

mułkę, zawsze groźniejszym niż poprzednio. A teraz pierwsza zadana z rozmysłem śmierć. I co dalej? Ta śmierć doprowadzi do następnej i jeszcze następnej. Gdyby nie zdecydowana reakcja pułkownika Peszadie-go, inni też mogliby ruszyć do bramy. Zostaliby także zastrzeleni i wszędzie leżałyby ciała. Och, Peszadi i tak by wygrał - tym razem. Ale już wkrótce - nie. Nie, jeśli nie złamie mułki. Żeby jednak złamać Hosejną, musiałby go zabić.

Gdyby go aresztował, tłum by oszalał, zresztą, gdyby zabił, tłum oszalałby także. Pułkownik grał w grę, której nie mógł wygrać. Co ja bym zrobił na jego miejscu? Nie wiem.

Rozejrzał się po sali. Oficerowie irańscy nie wyglądali na zbyt przejętych. Prawie wszystkich znał z widzenia, ale żadnego dobrze. Choć S-G korzystała z bazy już od ośmiu lat, to jest od chwili jej wybudowania, nie utrzymywali bliższych stosunków z personelem wojskowym czy lotniczym. Gdy w zeszłym roku Starke przejął stanowisko głównego pilota, próbował

rozszerzyć kontakty z załogą bazy, ale bez powodzenia. Irańczycy czuli się najlepiej w swoim własnym towarzystwie.

50

W porządku, pomyślał. To ich kraj. Ale rozdzierają go na pół, a my jesteśmy w samym środku, i teraz jest tu Manuela. Ucieszył się jak głupi, gdy zobaczył żonę, która przybyła pięć dni temu helikopterem - McIver nie chciał powierzyć jej szosom - choć był zły, że nie może od razu wrócić.

- Choroba jasna, Manuelo, nie jesteś tu bezpieczna!

- Tak samo jak w Teheranie, Conroe, kochanie. In sha'a Allah - odparła z uśmiechem.

- Jak ci się udało przekonać Maca, żeby cię tu przysłał?

- Po prostu uśmiechnęłam się do niego, kochanie, i przyrzekłam, że pierwszym dostępnym lotem wrócę do Anglii. A na razie, kochanie, chodźmy do łóżka.

Uśmiechnął się do swych myśli i pozwolił ponieść wspomnieniom. To był jego trzeci dwuletni pobyt w Iranie i jedenasty rok pracy w S-G. Jedenaście dobrych lat, pomyślał.

Najpierw Aberdeen i Morze Północne, potem

112

Iran, Dubaj i Asz Szargaz po drugiej stronie zatoki, a potem znowu Iran, gdzie chciał już zostać. Spędził tu najlepsze lata, pomyślał. Ale to się skończyło. Iran zmienił się od 1973

roku, gdy Szach podniósł czterokrotnie cenę ropy - z jednego do czterech dolarów. Dla Iranu był to taki przełom jak narodziny Chrystusa dla świata zachodniego. Przedtem Irańczycy byli przyjaźni i pomocni; dobrze się z nimi żyło i pracowało. A potem? Coraz bardziej arogancy i nadęci. Nic dziwnego. Szach powtarzał im w kółko, że są kimś lepszym z powodu trzech tysięcy lat cywilizacji, i że w ciągu dwudziestu lat Iran stanie na czele świata, co jest jego świętym prawem: będzie piątym pod względem uprzemysłowienia państwem na świecie, jedynym strażnikiem drogi łączącej Wschód i Zachód, z najlepszą armią i marynarką, najlepszym lotnictwem, z czołgami, helikopterami, lodówkami, fabrykami, telefonami, drogami, szkołami, bankami i gospodarką, jakiej nie ma nikt inny w tym centrum całego świata. Dzięki temu Iran stanie się pod jego przywództwem jedynym arbitrem między Wschodem a Zachodem i źródłem wszelkiej mądrości - jego mądrości.

Starke westchnął. Zrozumiał to przesłanie, powtarzane jasno i wyraźnie przez całe lata, i błogosławił Manuellę za to, że zgodziła się rzucić w wir irańskiego stylu życia, nauczyć się farsy, chodzić wszędzie i oglądać nowe miejsca, poznawać nowe smaki i zapachy, dowiadywać się czegoś więcej o perskich dywanach i kawiorze, o winach i legendach, i zawierać przyjaźnie, a nie żyć tak jak wielu zagranicznych pilotów i inżynierów, którzy woleli pozostawić rodziny w domu, pracować przez dwa miesiące, a trzeci spędzać w ojczyźnie, przesiadywać w bazach odkładając pieniądze i czekając na urlop w domu, gdziekolwiek by był.

- Teraz nasz dom jest tutaj - powiedziała kiedyś Manuela. - Będziemy tu, ja i dzieci - dodała, odrzucając głowę gestem, który zawsze u niej podziwiał, tak jak podziwiał czarne włosy, jej hiszpańskie dziedzictwo.

113

- Jakie dzieci? Nie mamy żadnych dzieci i jeszcze nas na to nie stać przy moich zarobkach.

Starke uśmiechnął się. Było to tuż po ich ślubie, dziesięć lat temu. Wrócił do Teksasu, żeby się z nią ożenić od razu, gdy uzyskał potwierdzenie, że jego praca w S-G jest stała. Teraz mieli trójkę dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę; stać go było na ich utrzymanie. Czy naprawdę? Nie wiadomo, co się wydarzy. Posada jest zagrożona, większość irańskich przyjaciół wyjechała, sklepy są puste, a strach zastąpił śmiech.

Niech szlag trafi Chomeiniego i tych jego mułłów, pomyślał. Gubią wspaniały kraj i wspaniały styl życia. Chciałbym, żeby Manuela zabrała dzieciaki i odleciała do Londynu, a potem do Lubbock. Powinna tam zostać, dopóki w Iranie sytuacja nie jest ustabilizowana.

Lubbock położone było niedaleko Panhandle w Teksasie. Jego ojciec prowadził tam nadal rodzinną farmę. Osiem tysięcy akrów, nieliczne bydło, trochę koni, trochę upraw -

wystarczało, aby rodzina mogła żyć wygodnie. Chciałbym, żeby już tam była, choć to 51

oznacza brak listów przez wiele tygodni, a o telefonach lepiej nie myśleć. Przeklęty Chomeini straszy ją swymi przemówieniami; ciekawe, co powie Bogu, gdy stanie przed Jego obliczem, i ciekawe, co Bóg powie jemu.

Wyciągnął się na fotelu. Widział, że Ayre obserwuje go mętnym wzrokiem.

- Naprawdę wyglądasz na zmęczonego.

- To był mój wolny dzień, w gruncie rzeczy dwa dni. Nie zaplanowałem sobie tych tłumów.

Chciałem trochę wypić, żeby zapomnieć. Tęsknię za moją lepszą polową, a święto Hogmanay jest ważne dla nas, Szkotów i...

- Hogmanay przypada w Wigilię, a dzisiaj jest 10 lutego. Poza tym nie jesteś Szkotem bardziej niż ja.

- Duke, chciałbym, żebyś wiedział, że Ayre to stary klan, a ja mogę grać na kobzie, staruszk. - Ayre szeroko ziewnął. - Chryste, jaki jestem zmęczony.

Opadł w fotel, próbując usadowić się wygodniej, a potem spojrział w okno. Od razu opadło z niego zmęczenie. Irański oficer wybiegał właśnie z budynku 114

dowództwa i kierował się w ich stronę. Był to major Czangiz, adiutant.

Gdy wszedł, zauważyli jego napięcie.

- Wszyscy oficerowie mają stawić się u komendanta

O siódmej - powiedział w farsji. - Wszyscy. O ósmej odbędzie się na placu defilada całego personelu wojskowego i lotniczego. Każdy nieobecny, każdy - powtórzył z naciskiem - poza chorymi, o których trzeba mnie wcześniej poinformować, może oczekiwać natychmiastowej, surowej kary. - Rozejrzał się po pokoju i dojrzał Starke'a. - Proszę za mną, kapitanie.

Starke'owi mocniej zabiło serce.

- Dlaczego, majorze? - zapytał w farsji.

- Komendant chce pana widzieć.

- Po co?

Major wzruszył ramionami i wyszedł. Starke powiedział po cichu do Ayre'a:

- Lepiej zawiadom wszystkich naszych chłopaków.

1 Manuelę, dobra?

- Pojąłem - odparł Ayre i dodał: - Chryste. Starke, idąc w poprzek ulicy i dalej, po schodach, odczuwał spoczywające na nim spojrzenia jak fizyczny ciężar. Bogu dzięki, jestem teraz cywilem pracującym dla brytyjskiej spółki, a nie oficerem armii amerykańskiej, pomyślał.

Cholera, mruknął, przypominając sobie rok spędzony w Wietnamie, gdy nie było tam jeszcze sił

amerykańskich, tylko "nieliczni doradcy". Gówno! I ten sukinyński, ulizany grubas, kapitan Ritman, który kazał pomalować wszystkie helikoptery w bazie - położonej w dżungli, milion kilometrów od jakiegokolwiek cywilizowanego miejsca - w jasnoczerwone, białe i niebieskie pasy i gwiazdy. "Tak, cholera, całe! Niech te dzikusy wiedzą, kim jesteśmy i zabierają swoje dupy do tej pieprzonej Rosji". Wietkong widział nas z odległości osiemdziesięciu kilometrów. Ja sam zostałem ostrzelany parę razy; straciliśmy trzy hueye z pełnymi załogami, zanim przenieśli skurwysyna do Sajgonu, awansowali i dali ciepłą posadkę. Nic dziwnego, że przegraliśmy tę pieprzoną wojnę.

115

Wszedł do budynku dowództwa. Na schodach minął trzech znieruchomiałych wieśniaków, których nie wpuszczono dalej, do jaskini dowódcy.

- Dzień dobry, pułkowniku - powiedział ostrożnie po angielsku.

- Dzień dobry, kapitanie Starke. - Peszadi odpowiedział w farsy. - Chciałbym przedstawić panu mułłę Hosejna Kowissiego.

- Pokój z tobą - powiedział Starke w języku farsy. Widział wyraźnie plamy krwi zastrzelonego młodzieńca, które barwiły biały turban i czarną szatę mułły.

- Pokój z tobą.

52

Starke wyciągnął rękę na powitanie. W ostatniej chwili zauważył na dłoni mułły ślady pozostawione przez drut kolczasty i uściśnął ją bardzo delikatnie. Mimo to twarz tamtego wykrzywił grymas bólu.

- Przepraszam - powiedział kapitan po angielsku. Mułła uciekł spojrzeniem, a Starke odczuł niemal

fizycznie jego nienawiść.

- Pan mnie wzywał, pułkowniku?

- Tak. Proszę usiąść.

Peszadi wskazał wolne krzesło naprzeciwko siebie, przy biurku. Pomieszczenie było urządzone po spartańsku; panował w nim pedantyczny porządek. Jediną ozdobą ściany była fotografia Szacha i jego żony, Fa-rah, w strojach dworskich. Mułła usiadł do niej plecami, a Starke zajął miejsce naprzeciw niego.

Peszadi zapalił kolejnego papierosa. Zobaczył, że Hosejn obserwuje to z dezaprobatą. Koran zakazywał palenia - w myśl jednej z możliwych wykładni. Spierali się o to przez ponad godzinę. Wreszcie pułkownik powiedział kategorycznie:

- W Iranie palenie nie jest zakazane. Jeszcze nie. Jestem żołnierzem. Złożyłem przysięgę i muszę wykonywać rozkazy. Iran...

- Nawet nielegalne?

- Powtarzam: rozkazy Jego Cesarskiego Majestatu, Szahinszacha Mohammada Pahlawiego lub jego przedstawiciela, premiera Bachtara, są nadal legalne zgodnie 116

z prawami Iranu. Iran nie jest jeszcze państwem islamskim. Jeszcze nie. Gdy będzie, podporządkuję się rozkazom tego, kto będzie nim rządził.

- Będzie pan wykonywał rozkazy imama Chomei-niego.

- Oczywiście. Jeśli Ajatollah Chomeini zostanie prawnie głową państwa. - Pułkownik zgodnie potakiwał, myślał jednak: zanim nadejdzie ten dzień, popłynie rzeka krwi. - A gdybym to ja został przywódcą tego ewentualnego państwa islamskiego? Czy wykonywałby pan moje rozkazy?

Hosejn się nie uśmiechnął.

- Przywódcą państwa islamu zostanie imam Huragan Boga, a po nim inny ajatollah i jeszcze inny...

Teraz, gdy spoczywało na nim kamienne, nieprzejednane spojrzenie, Peszadi miał ochotę uderzyć mułłę, obalić go na ziemię, a potem na czele swych czołgów zmiażdżyć każdego, kto nie podporządkuje się rozkazom Szahinszacha, władcy z bożej łaski. Tak, myślał dalej, to dany nam przez Boga przywódca, który, jak jego ojciec, przeciwstawił się wam, mułłom, i waszej żądzy władzy, który ukrócił wasz archaiczny dogma-tyzm i wyprowadził Iran z Wieku Ciemności ku naszej świetności, który sam zmusił OPEC, aby przeciwstawiła się ogromnej sile zagranicznych koncernów naftowych, który wyparł Rosjan z Azerbejdżanu po II wojnie światowej i trzyma ich na dystans, tak że przymilają się i merdają ogonami jak psy.

Na Boga i proroka, mówił sobie z wściekłością, wytrzymując spojrzenie Hosejna. Nie mogę pojąć, dlaczego ci wiarołomni mułłowie nie przejrzeni jeszcze tego zniedołężniałego starca Chomeiniego, który wykrzykuje kłamstwa z łoża śmierci; nie zorientowali się, że popierają go Sowietci, dokarmiają go, chronią i chcą rozpalić Iran, aby przekształcić go w protektorat sowiecki!

Potrzebujemy tylko jednego rozkazu: stłumić rebelię raz na zawsze!

Gdyby wydano taki rozkaz, to, na Boga, zdobyłbym Kowiss w ciągu trzech dni i w promieniu stu kilometrów

117

wokół zapanowałby spokój i pomyślność. Mułłowie mogliby sobie siedzieć w swoich meczetach, gdzie jest ich miejsce, a wierni modlić się pięć razy dziennie. W ciągu miesiąca 53

siły zbrojne opanowałyby Iran, jak w zeszłym roku, a problem Chomeiniego byłby rozwiązany. Natychmiast po wydaniu rozkazu aresztowałbym go, publicznie zgolił mu brodę, rozebrał do naga i

zaczął obwozić po ulicach wozem wypełnionym gnojem. Ludzie mogliby zobaczyć, kim jest naprawdę: złamanym starcem. Sprawić, aby upadł, a ludzie odwrócą się od niego natychmiast. Potem pojawiliby się oskarżyciele: ajatollahowie, którzy cenią sobie życie, miłość, władzę i ziemię, mułłowie i kupcy, i lud. Oni wszyscy zgasiliby go jak świecę.

Tak łatwo poradzić sobie z Chomeinim i mułłami. Na Boga! Gdybym ja tu rządził, już kilka miesięcy wcześniej przywłókłbym go z Francji. Palił papierosa, ukrywając starannie swoje myśli.

- Dobrze, mułło. Jest tu kapitan Starke. - Dodał, jakby to było obojętne: - Możesz mówić do niego w farszi lub po angielsku, jak wolisz. On zna farszi tak dobrze jak ty angielski.

Mułła zwrócił się do Starke'a.

- A zatem jesteś z CIA - powiedział po angielsku, z silnym amerykańskim akcentem.

- Nie - odparł Starke; nie przeoczył akcentu. - Chodziłeś do szkoły w Stanach?

- Tak, uczyłem się tam - wyjaśnił Hosejn. Potem, pod wpływem bólu i zmęczenia, przeszedł

na farszi i zaatakował: - Po co nauczyłeś się farszi, jeśli nie po to, żeby nas szpiegować i donosić wszystko CIA lub twojej firmie naftowej, co?

- Dla siebie, tylko dla siebie. - Starke odpowiedział grzecznie w farszi. Mówił płynnie i miał

dobry akcent. - Jestem tu gościem. Zostałem zaproszony przez wasz rząd, aby dla niego pracować razem z Irańczykami. Gość powinien poznać obyczaje swych gospodarzy i nauczyć się ich języka, zwłaszcza wtedy gdy podoba mu się

118

w danym kraju i chciałby przebywać w nim przez wiele lat. Nie mam nic wspólnego z CIA -

dodał ostrzej.

- To Amerykanie. Ty jesteś Amerykaninem. CIA jest amerykańska. Wszystkie nasze problemy biorą się z Ameryki. Szach pożąda Amerykanów. Wszystkie nasze problemy biorą się z Ameryki. Amerykanie przez całe lata pluli na Iran.

- Gówno. - Starke powiedział to po angielsku. Teraz był równie zły jak mułła, i wiedział, że najlepszym sposobem na takiego rozmówcę jest dorównanie mu. Od razu. Zobaczył, że mężczyźnie krew napłynęła do twarzy. Spojrzał na niego spokojnie i pozwolił, żeby w powietrzu zawisła cisza. Mijały sekundy. Starał się przygwoździć mułłę wzrokiem, ale nie mógł nad nim zapanować. Był zaniepokojony, ale nie dawał tego po sobie poznać; zerknął na Peszadiego, który palił papierosa i też czekał. - O co tu w ogóle chodzi, pułkowniku?

- Mułła poprosił mnie o jeden z pańskich helikopterów. Chce odwiedzić wszystkie tereny wierceń na naszym obszarze. Jak pan wie, nie uczestniczymy w wa-. szych operacjach i nie wyznaczamy wam

tras lotów. Niech pan poleci to zrobić jednemu z pańskich najlepszych pilotów. Dziś, począwszy od południa.

- Dlaczego nie wykorzystać jednego z pańskich samolotów? Być może mógłbym dać wam nawigatora...

- Nie. Jeden z pańskich helikopterów. Z załogą. W południe.

Starke zwrócił się do mułły:

- Bardzo mi przykro, ale wykonuję wyłącznie polecenia IranOil, wydawane mi za pośrednictwem kierownika bazy i ich przedstawiciela na tym terenie, Esfan-diariego. Mamy z nimi kontrakt, a oni zastrzegli sobie wyłączność...

- Samoloty, którymi latasz, są irańskie - przerwał szorstko mułła. Jego zmęczenie i ból domagały się szybkiego zakończenia rozmowy. - Dostarczy pan maszynę, którą chcemy dostać.

119

- Są zarejestrowane w Iranie, ale właścicielem jest S-G Helicopters Ltd z Aberdeen.

54

- Irańska rejestracja, irańskie niebo, irańska benzyna, irańskie zezwolenie i obsługa irańskich szybów, z których tryska irańska ropa. Na Boga! One są irańskie! - Hosejn wycedził przez zaciśnięte zęby: - Do południa Esfandiari wyda odpowiednie polecenia. Ile czasu zabierze odwiedzenie wszystkich miejsc?

Po chwili milczenia Starke odpowiedział:

- Chyba około sześciu godzin samych lotów. Jak długo chce pan przebywać w każdym z tych miejsc?

Mułła uważnie na niego spojrzał.

- Potem chcę polecieć wzdłuż rurociągu do Abada-nu i lądować w miejscach, które wybiorę.

Starke był zdumiony. Spojrzał na pułkownika, lecz zobaczył, że wpatruje się on nadal w dym unoszący się z papierosa.

- To jest już trudniejsze, mułło. Potrzebujemy zezwolenia. Radar nie działa, a większość przestrzeni powietrznej kontroluje Kisz Air Traffic Control, a oni podlegają wojsku.

- Dostaniecie wszystkie zezwolenia, jakich potrzebujecie - uciął Hosejn i utkwiał nieruchome spojrzenie w Peszadim. - W imieniu Boga, powrócę tu w południe. Jeśli staniecie mi na drodze, przemówią działa.

Serce Starke'a łomotało. Podobnie jak serca mułły i Peszadięgo. Ale mułła był zadowolony -

nie miał się czego bać: pozostawał w rękach Boga, służył Bogu i wykonywał rozkaz:

"Naciskajcie wrogów wszelkimi sposobami. Bądźcie jak woda podmywająca tamę.

Naciskajcie na tamę uzurpatora Szacha, jego lokajów i sił zbrojnych. Musimy zwyciężyć naszą odwagą i krwią. Naciskajcie ich wszelkimi sposobami, w ten sposób służycie Bogu"...

Wiatr uderzył w szyby. Odruchowo spojrzeli w okno i panującą za nim noc. Nadal było ciemno i świeciły gwiazdy, ale na wschodzie pojawiła się blada poświata; słońce miało zaraz ukazać się na niebie.

- Wróć w południe, pułkownik Peszadi. Sam lub

120

na czele ludu. To zależy od pana - powiedział cicho Hosejn, a Starke odczuł tę groźbę lub obietnicę całym jestestwem. - Ale teraz... teraz nadszedł czas modlitwy. Peszadi wstał po wyjściu mułły.

- Niech pan zrobi to, o co on prosi - rzekł. - To tylko chwilowe zawieszenie broni i chwilowy kompromis, dopóki nie otrzymaliśmy jeszcze od legalnego rządu Jego Cesarskiego Majestatu rozkazu położenia kresu tym wszystkim bzdurom. - Drżącą ręką zapalił papierosa od niedopałka poprzedniego. - Nie będzie pan miał problemów. On załatwi wszystkie konieczne zezwolenia, tak że będą to loty rutynowe. Rutynowe. Oczywiście, musi się pan zgodzić, gdyż ja nie mogę wozić wojskowym samolotem mułły, a zwłaszcza Hosejna, który jest znanym podżegaczem. Jasne, że nie mogę! Rozegrałem to bardzo subtelnie i nie może pan tego zepsuć! - Ze złością zgasił papierosa w pełnej już popielniczce; w powietrzu wisiały kłęby dymu tytoniowego; i prawie krzyknął: - Słyszał pan, co on powiedział?! W południe! Sam albo na czele tłumu! Chyba nie chce pan dalszego rozlewu krwi, co?

- Oczywiście, że nie.

- Dobrze. Niech pan to więc zrobi! Peszadi wypadł z pokoju.

Starke z ponurą miną podszedł do okna. Mułła zajął swe miejsce przy bramie, podniósł do góry rękę gestem wszystkich muezzinów ze wszystkich minaretów świata i wezwał wiernych do pierwszej modlitwy w języku arabskim:

- Przyjdźcie na modlitwę, chodźcie tutaj, modlitwa jest ważniejsza od snu. Nie ma innego Boga...

Na oczach Starke'a Peszadi nabożnie szedł na czele wszystkich mężczyzn z bazy, żołnierzy i oficerów, którzy posłuszenie i z widocznym zadowoleniem wychodzili z baraków. Żołnierze kładli swe karabiny na ziemi, a wieśniacy stojącyna zewnątrz zachowywali się również 55

nabożnie. Potem, naśladując mułłę, wszyscy zwrócili się w kierunku Mekki i rozpoczęli wykonywanie rytualnych gestów i pokłonów. Popłynęła litania szahady: 121

- Zaświadczam, że nie ma Boga poza Bogiem, i że Muhammad jest prorokiem Boga...

Po zakończeniu modlitwy zapadła cisza. Wszyscy czekali. Potem mułła zawołał:

- Bóg, Koran i Chomeini.

Ruszył przez bramę w kierunku Kowissu. Wieśniacy posłusznie poszli za nim.

Starke zadygotał. Nie mógł opanować tego odruchu. Mułła był tak przepelniony nienawiścią, że wprost z niego parowała. Takie stężenie nienawiści musi sobie znaleźć jakieś ujście. Jeśli z nim nie polecę, stanie się jeszcze bardziej wrogi. Wyznaczenie kogoś innego lub szukanie ochotników byłoby unikiem. To mój obowiązek.

- Muszę z nim polecieć - mruknął. - Muszę.

OKOLICE LENGEH, 6:42. Helikopter 212, z dwoma pilotami i kompletem trzynastu pasażerów, odbywał rutynowy lot. Wystartował z bazy S-G w Lengeh i kierował się do cieśniny Ormuz. Leciał nad spokojnymi wodami zatoki i zmierzał na wyspę Siri - do pól naftowych eksploatowanych przez Francuzów. Słońce stało już nad horyzontem, zapowiadając, jak zwykle nad zatoką, pogodny dzień, choć mgiełka ograniczała widoczność do kilku kilometrów.

- Helikopter EP-HST, tu kontrola radarowa na Kiszu, zmienić kurs na dwa sześćdziesiąt.

Maszyna posłusznie zmieniła kierunek lotu.

- Dwa sześćdziesiąt, wysokość trzysta metrów - rzucił do mikrofonu Ed Vossi.

- Utrzymywać trzysta. Przejść pod kontrolę Siri.

123

Inaczej niż w całym Iranie, radar działał tu dobrze; stacje zlokalizowane były na wyspach Kisz i Lawan, a obsługiwali je świetnie wyszkoleni w USAF irańscy wojskowi kontrolerzy lotów; oba krańce zatoki były równie ważne ze strategicznego punktu widzenia, więc równie starannie je obsługiwano.

- HST... - Ed Vossi był Amerykaninem, eks-pilo-tem USAF. Miał trzydzieści dwa lata, a budową przypominał futbolistę. - Radar jest dzisiaj trochę podenerwowany, co, Scrag? -

powiedział do drugiego pilota.

- Aha, muszą mieć jakieś spiętrzenie.

Przed nimi rozciągała się mała wyspa Siri: nie zarośnięta, odludna i płaska, z niewielkim, brudnym pasem startowym, kilkoma barakami dla personelu wiertniczego i kilkoma ogromnymi zbiornikami, zasilanymi przez rurociągi ułożone na dnie morskim i biegnącymi do platform wiertniczych zainstalowanych w zachodniej stronie zatoki. Wyspa była oddalona o jakieś sto kilometrów od wybrzeża Iranu; leżała dokładnie na granicy oddzielającej wody terytorialne Iranu oraz Omanu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Helikopter przeleciał tuż nad zbiornikami i skierował się na zachód, w stronę odległego o kilka kilometrów miejsca wierceń o nazwie Siri Trzy. Obecnie złożę miało sześć takich miejsc; wszystkie obsługiwało francuskie, na poły państwowe, konsorcjum EPF, które wybudowało urządzenia dla IranOil w zamian za przyszłe dostawy ropy.

- Kontrola radarowa na Kiszu: HST nad Siri, wysokość trzysta metrów - rzucił do mikrofonu Ed Vossi.

- Roger HST. Utrzymać trzysta - padła natychmiastowa odpowiedź. - Zgłoś się przed lądowaniem. Na dziesiątej masz przed sobą oddalające się i wznoszące maszyny.

- Widzimy je.

Obaj piloci obserwowali lot czterech odrzutowych myśliwców, które pędziły wysoko po niebie w kierunku ujścia cieśniny.

124

- Śpieszą się - orzekł starszy z mężczyzn, obracając się na siedzeniu.

56

- Możesz to powtórzyć. Patrz! Jezu, to F15 z US Air Forces! - Vossi był zdumiony. - Cholera, nie wiedziałem, że gdzieś tutaj są F15. Widziałeś już przedtem jakieś, Scrag?

- Nie, chłopie - odparł Scrag Scragger. Był równie zaniepokojony; podkreślił nieco głośność w swoich słuchawkach. Miał sześćdziesiąt trzy lata, był najstarszym pilotem w S-G i pełnił

funkcję starszego pilota w Len-geh. Niski, zasuszony człowiek, bardzo chudy, o siwych włosach i osadzonych głęboko jasnoniebieskich oczach Australijczyka, które zdawały się nieustannie badać horyzont. Miał interesujący akcent. - Chciałbym wiedzieć, co się tu, u diabła, dzieje! Radar wariuje, jakby go ktoś szczypał w tyłek, a my od chwili startu widzieliśmy już trzeci lot, chociaż dopiero pierwszy amerykański.

- To musi być jakaś grupa zadaniowa, Scrag. Albo ochrona samolotów AWAC wysłanych do Arabii Saudyjskiej przez USA.

Scragger siedział z lewej strony, na miejscu przeznaczonym dla instruktora. Zwykle helikoptery 212 latały z jednym pilotem siedzącym po prawej stronie, ta jednak maszyna miała podwójne przyrządy sterownicze, używane przy szkoleniu.

- Dobra - roześmiał się. - Dopóki nie spotkamy MIG-ów, możemy się nie przejmować.

- Czerwoni nie przyślą tu sprzętu, chociaż chcieliby mieć cieśninę. - Vossi był optymistą. Był

dwa razy młodszy od Scraggera i niemal dwukrotnie wyższy. - Nie zrobią tego, dopóki my się nie zgadzamy, trzymamy tu samoloty i jesteśmy gotowi ich użyć. - Zerknął w dół, poprzez mgiełkę. - Hej,

Scrag, popatrz!

Ogromny supertankowiec, głęboko zanurzony pod ciężarem ładunku, płynął w kierunku cieśniny Ormuz.

- Założę się, że waży pięćset tysięcy ton albo więcej. Przez chwilę patrzyli na statek.

Sześćdziesiąt procent

światowego wydobycia ropy przepływało przez tę płytką 125

i wąską drogę wodną pomiędzy Iranem a Omanem -tylko dwadzieścia pięć kilometrów żeglownej szerokości. Dwadzieścia milionów baryłek dziennie. Każdego dnia.

- Jak myślisz, Scrag? Zbudują kiedyś tankowiec o wyporności miliona ton?

- Jasne. Już by zbudowali, gdyby chcieli, Ed. - Statek przesuwiał się powoli pod nimi. - Ma flagę Liberii - zauważył obojętnym tonem Scragger.

- Masz wzrok jak orzeł.

- Higiena, sport...

Scragger rozejrzał się po kabinie. Wszyscy pasażerowie siedzieli na swych miejscach, przypięci przepisowo pasami, w kamizelkach ratunkowych, z ochraniaczami na uszach.

Czytali albo wyglądali przez okna. Jak zwykle, pomyślał. Tak. Instrumenty wskazują normalne parametry, dźwięki są normalne, ja jestem normalny i Ed też. Dlaczego więc jestem zdenerwowany? Zadał sobie to pytanie, oglądając się po raz drugi do tyłu.

Z powodu myśliwców, z powodu radaru na Kiszu, z powodu pasażerów, dlatego że mam dzisiaj urodziny, a przede wszystkim dlatego że jestem w powietrzu. Aby przeżyć w powietrzu, nie można być zbyt spokojnym i pewnym siebie. Amen. Roześmiał się.

- O co chodzi, Scrag?

- O ciebie. Więc myślisz, że jesteś pilotem, co?

- Jasne, Scrag - odparł ostrożnie Vossi.

- Dobra. Trzymasz kurs na Siri Trzy?

Vossi z uśmiechem wskazał odległą platformę wiertniczą, ledwie widoczną we mgle, nieco na wschód od grupki innych.

Scragger rozpromienił się.

- Teraz zamknij oczy.

- Daj spokój, Scrag. Jasne, że to próbny lot, ale co z...

- Przejmuję stery - odparł zadowolony z siebie Scragger.

57

Vossi natychmiast puścił drążek.

- Teraz zamknij oczy i ucz się.

126

Młody mężczyzna spojrział po raz ostatni uważnie na platformę, do której miał trafić, poprawił słuchawki i zdjął okulary przeciwsłoneczne.

Scragger wręczył mu specjalne ciemne gogle, które sam skonstruował.

- Załóż je i nie otwieraj oczu, dopóki nie powiem. Przygotuj się do przejęcia sterów.

Vossi założył gogle i z zamkniętymi oczami delikatnie nie dotknął dłońmi i stopami urządzeń sterowniczych. Wiedział, że Scraggerowi to się spodoba.

- W porządku, Scrag. Jestem gotów.

- Przejmuj.

Vossi chwycił natychmiast drążek, twardo, a zarazem lekko. Był zadowolony, gdyż zmiana przebiegła gładko; maszyna nie przechyliła się ani nie zmieniła kursu. Teraz kierował się tylko słuchem; próbował wyczuć najlżejsze zmiany tonu silnika - zwolnienie lub przyspieszenie - które świadczyłyby o tym, że maszyna się wznosi albo opada. Teraz mała zmiana. Wyczuł ją niemal wtedy, gdy jeszcze nie zaszła; silnik grał o pół tonu wyżej, co oznaczało nabieranie szybkości, a więc nurkowanie. Pociągnął drążek i wyrównał maszynę.

- Dobrze - skomentował Scragger. - A teraz otwórz oczy.

Vossi spodziewał się zwykłych szkieł szkoleniowych, które nie pozwalają na dojrzenie, co dzieje się na zewnątrz, ale umożliwiają obserwowanie instrumentów. Okazało się, że nie widzi nic. Wpadł w panikę; ulotniło się skupienie i koordynacja ruchów. Przez moment był

całkowicie zdezorientowany; zakręciło go w żołądku i czuł, że za chwilę maszyna też zacznie się kręcić. Ale nie zaczęła. Twarde jak skała ręce Scraggera kierowały helikopterem, choć Vossi nie czuł tego na swoich sterach.

- Jezu - jęknął, próbując zwalczyć mdłości; odruchowo sięgnął ręką, żeby pozbyć się okularów.

- Nie ruszaj ich! Ed, jesteś w niebezpieczeństwie, jesteś pilotem, jedynym pilotem na pokładzie, i masz kłopot: nie widzisz. Co chcesz zrobić? Przejmuj ster! Pośpiesz się! Jesteś w niebezpieczeństwie!

127

Vossi czuł w gardle olbrzymią kulę; pozbył się jej i spróbował opanować drżenie kończyn.

Przejął stery, zbyt gwałtownie poprawił kurs i przeraził się, gdy maszyna się przechyliła; myślał, że Scragger nadal pomaga mu sterować. Nie pomagał. Vossi próbował wyrównać lot, znowu przesadził; był całkowicie zdezorientowany. Tym razem Scragger skorygował jego błąd.

- Uspokój się, Ed - polecił. - Słuchaj tego cholernego silnika! Dostosuj do niego swoje ruchy.

- Potem dodał łagodniej: - Trzymaj kurs. Dobrze ci idzie, trzymaj! Możesz zwymiotować później. Teraz jesteś w niebezpieczeństwie, musisz wylądować i masz oprócz mnie trzynastu pasażerów. Ja siedzę koło ciebie, ale nie jestem pilotem. Co teraz zrobisz?

Vossi opanował już drżenie i wsłuchiwał się w pracę silnika.

- Ja nie widzę, ale ty tak?

- Właśnie.

- Więc możesz sprowadzić mnie na dół.

- Słusznie! - Scragger dodał ostrzejszym tonem: - Oczywiście, musisz zadawać właściwe pytania. - Teraz zwrócił się do stacji: - Kontrola na Kiszu. HST podchodzi z trzystu metrów do lądowania na Siri Trzy.

- Zrozumiano, HST. Scragger zmienił głos.

- Nazywam się teraz Burt. Jestem robotnikiem na jednej z platform. Nie znam się na lataniu, ale mogę odczytywać wskazania instrumentów, jeśli wyjaśnisz mi prawidłowo, na co mam spojrzeć.

58

Na szczęście Vossi wciągnął się w tę zabawę i zadawał właściwe pytania. Burt wyduszał z niego informacje o kontroli lotu, kokpicie, położeniu wskaźników. Zmuszał go do takiego formułowania poleceń i pytań, aby mógł je zrozumieć amator. Od czasu do czasu, gdy pilot nie wyrażał się dostatecznie jasno, Burt wykrzykiwał spanikowanym głosem:

- Jezu, nie mogę znaleźć! Który to wskaźnik? Wszystkie wyglądają cholernie jednakowo!

Wytłumacz mi jeszcze raz, wolniej, Boże, zginiemy!

128

Vossi poruszał się w ciemnościach. Czas się rozciągnął. Nie było przyjaźnie świecących wskaźników, nie było uspokajającego położenia strzałek na tarczach; niczego, oprócz głosu zmuszającego do krańcowego wysiłku.

Gdy znajdowali się piętnaście metrów od celu, Burt wykrzykiwał dobre rady, a Vossi czuł mdłości. Był przerażony. Wiedział, że zbliża się do nich maleńkie, okrągłe lądowisko na platformie wiertniczej. Można jeszcze zrezygnować: dodać gazu, wynieść się stąd i czekać w powietrzu. Ale na co?

- Jesteś już na wysokości trzech metrów i w odległości dziesięciu metrów. Tak, jak chciałeś.

Vossi natychmiast zatrzymał maszynę w powietrzu. Pocił się.

- Świetnie. Dokładnie nad środkiem. Tak, jak chciałeś.

Ciemność nigdy nie była bardziej intensywna. Ani strach. Vossi mruczał słowa modlitwy.

Delikatnie zmniejszył moc. Wydawało mu się, że trwa to lata, a potem jeszcze całą wieczność, aż wreszcie płozy dotknęły podłoża. Wylądowali. Przez chwilę nie mógł w to uwierzyć. Poczł tak wielką ulgę, że omal nie rozplakał się z radości. Potem z ogromnej oddali dobiegł go prawdziwy głos Scraggera; poczuł też, że ten przejął stery.

- Trzymam go, kolego! To było cholernie dobre, Ed. Dziesięć na dziesięć. Teraz ja będę pilotował.

Ed Vossi zdjął gogle. Był mokry od potu i biały jak kreda. Opadł w fotelu, ledwie dostrzegając krzątaninę na platformie. Sieć z grubego sznura pokrywała lądowisko o średnicy zaledwie trzydziestu metrów. Jezu! Jestem na dole... Wylądowaliśmy i jesteśmy bezpieczni.

Scragger trzymał silnik na jałowych obrotach; nie trzeba było go wyłączać, gdyż zatrzymali się tu na krótko. Nucił "Waltzing Matilda", co zdarzało się tylko wtedy, gdy był bardzo zadowolony. Chłopak spisał się bardzo dobrze, pomyślał z dumą. Ale jak szybko dojdzie do siebie? Zawsze warto to wiedzieć, gdy się z kimś lata.

129

Odwrócił się i dał znak mężczyźnie siedzącemu z przodu kabiny pasażerskiej, jednemu z francuskich inżynierów, którzy musieli sprawdzić elektryczną pompę instalowaną właśnie na platformie. Pozostali pasażerowie cierpliwie czekali. Czterech z nich to Japończycy - goście francuskich urzędników i inżynierów z EPF. Scragger nie był zachwycony przewożeniem Japończyków, którzy przypominali mu czas wojny, Australijczyków poległych na Pacyfiku oraz tysiące ludzi, którzy zmarli w obozach jenieckich i przy budowie kolei w Birmie.

Zabójstwa jak inne, pomyślał ponuro i zwrócił uwagę na wylądunek.

Inżynier otworzył drzwi i pomagał teraz irańskim robotnikom przy wyciąganiu pakunków z luku ładunkowego. Na platformie panował wilgotny, obezwładniający upał; w powietrzu unosił się odór

ropy. W kok-picie było jak zwykle gorąco i duszno, Scragger jednak czuł się dobrze. Silniki pracowały na wolnym biegu, mrużąc przyjaźnie. Spojrzał na Vossiego, który leżał j

w fotelu pilota z rękoma splecionymi na karku.

Dobry chłopak, pomyślał Scragger, lecz zaraz zwrócił jego uwagę władczy głos, rozbrzmiewający z tyłu, w kabinie. Głos należał do Georges'a de Plesseya, szefa francuskiego kierownictwa i zarządcy miejscowego EPF. Siedział na poręczy krzesła i wygłaszał jeden ze swych nie kończących się wykładów, tym razem zwracając się do Japończyka. To dobrze, że zamęcza jego, a nie mnie, pomyślał z rozbawieniem. Znał de Plesseya od trzech lat i lubił go 59

za francuskie jedzenie, jakie dostarczał, oraz za umiejętności brydżowe, ale nie za rozmowy.

Wszyscy, którzy pracują przy ropie, są tacy sami. Znają się tylko na ropie i o niczym innym nie chcą nic wiedzieć; według nich inni ludzie istnieją tylko po to, żeby korzystać z ropy i płacić za nią do samej śmierci, a nawet potem - większość krematoriów potrzebuje ropy.

Cholera! Ropa naftowa skoczyła do 14,8 dolara za baryłkę - z 4,8 jakieś dwa lata temu i 1,8

kilka lat wcześniej. Cholerni rozbójnicy! OPEC, Seven Sisters i nawet ci z Morza Północnego!

130

- Wszystkie te platformy stoją na słupach na dnie morza - mówił de Plessey. - Wszystkie są zbudowane i obsługiwane przez Francuzów...

Nosił ubranie khaki, miał rzadkie, jasne włosy i twarz spaloną słońcem. Inni Francuzi gawędzili i spierali się ze sobą. Właściwie zawsze tylko to robili, pomyślał Scragger, poza jedzeniem, pić wina i bajerowa-niem dziewczyn, tak jak ten drań Jean-Luc, król kucharzy!

Wszyscy są jednak indywidualistami, nie tak, jak ci inni dranie. Wszyscy Japończycy, niscy, gibcy i odpicowani, ubierają się tak samo: biała koszula, ciemny krawat, spodnie i buty, elektroniczny zegarek, ciemne okulary; różnią się tylko wiekiem, jak sardynki w puszcze, myślał Scragger.

- ... Jest tu bardzo płytko, jak zresztą w całej zatoce, m'sieur Kasigi - mówił de Plessey. - W

tym miejscu mamy zaledwie około trzydziestu metrów wody, a ropę można łatwo wydobywać nawet z trzystu. Tutaj, w tej części złoża, którą nazywamy Siri Trzy, jest sześć platform; są ustawione szeregowo, to znaczy połączone rurami i przepompowują ropę do naszych zbiorników na Siri, które mogą pomieścić trzy miliony baryłek i teraz są pełne.

- A molo załadunkowe, m'sieur de Plessey? - Pytającym był Kasigi, siwiejący rzecznik Japończyków, który posługiwał się wyraźnym i starannym angielskim.

- Nie widziałem żadnych urządzeń portowych, gdy przelatywaliśmy nad wyspą.

- Chwilowo dokonujemy załadunku na morzu. W przyszłym roku wybudujemy przystań. Na razie nie

będzie żadnych problemów z napełnianiem zbiorników waszych tankowców średniej wielkości, panie Kasigi. Gwarantujemy szybką obsługę, szybki załadunek. W końcu jesteśmy Francuzami. Zobacz pan jutro. Czy wasz Rikomaru nie ma opóźnienia?

- Nie. Dotrze tu w południe. Jakie są całkowite zapasy łoża?

- Nieograniczone - odparł ze śmiechem Francuz.

- Obecnie pompujemy tylko siedemdziesiąt pięć tysięcy 131

baryłek dziennie, a, mon Dieu, pod dnem znajduje się całe jezioro ropy.

- Kapitan ekscelencja! - W oknie od strony Scrag-gera pojawiła się rozpromieniona uśmiechem twarz Abdollaha Turika, jednego ze strażaków. - Ja bardzo dobrze, bardzo bardzo dobrze. Ty?

- Tip-top, kolego. Jak leci?

- Ja zadowolony widzieć cię, kapitan ekscelencja.

Jakiś rok wcześniej baza Scraggera w Lengeh została zaalarmowana wezwaniem CASEVAC

właśnie z tej platformy. Było to w środku nocy; irański kierownik powiedział, że strażak ma chyba zapalenie wyrostka robaczkowego, i że powinni tam dotrzeć jak najprędzej, wkrótce po świcie - nocne loty były w Iranie zabronione, z wyjątkiem nagłych wypadków. Scragger pełnił wtedy służbę i poleciał od razu, zgodnie z zasadami firmy, w myśl których należało reagować natychmiast, nawet w złych warunkach atmosferycznych. Stanowiło to fragment ich usług specjalnych. Zabrał młodzieńca, zawiózł go prosto do Szpitala Marynarki Irańskiej w Bandar Abbasie i załatwił natychmiastowe przyjęcie. Gdyby nie to, młody człowiek już by nie żył.

Od tego czasu chłopak zawsze go witał, a raz w miesiącu przysyłał do bazy świeży udziec barani, przed czym Scragger nieustannie się wzbraniał z uwagi na koszty. Odwiedził też 60

kiedyś wioskę położoną w okolicy Lengeh, skąd młody strażak pochodził. Nie różniła się od innych: brak elektryczności, wody, kanalizacji, brudne podłogi, ściany z gliny. Iran, poza miastami, był bardzo zacofany, choć i tak mniej niż inne państwa zatoki. Rodzina Abdollaha też była taka jak inne: ani lepsza, ani gorsza. Dużo dzieci, chmary much, kilka kóz i kurczaków, kilka akrów nędznej ziemi. "Wkrótce", powiedział ojciec chłopaka, "będziemy mieli własną szkołę, dostojny pilocie, i wodę, i kiedyś elektryczność. I tak jest nam znacznie lepiej, gdy możemy pracować przy ropie, którą wydobywają cudzoziemcy; dzięki Bogu za to, że dał nam ropę. Dzięki Bogu za to, że mój syn

132

żyje. Taka była wola Boga, że Abdollah żyje, taka wola Boga, że dostojny pilot chciał się pofatygować. Dzięki Bogu!"

- Jak leci, Abdollah? - powtórzył Scragger. Lubił chłopaka, który był nowoczesny, nie tak jak jego ojciec.

- Dobrze. - Abdollah podszedł bliżej, niemal wkładając głowę do środka. - Kapitan -

powiedział ostrożnie i tak cicho, że Scragger musiał się pochylić, aby usłyszeć. - Wkrótce duża kłopot... Komunistyczna Tu-de, mudzaheddini, może fedaini. Karabiny i wybuchy, może statek na Siri. Niebezpiecznie. Proszę, proszę, nie mów ty nikomu, kto powiedziec, tak? -

Przywołał z powrotem uśmiech na twarz i zawołał głośno: - Dobrze lądować i wróć tu znowu, agha. - Pomachał ręką i - skrywając zdenerwowanie - wrócił do swych towarzyszy.

- Jasne, jasne, Abdollah - mruknął Scragger. Grupka Irańczyków przyglądała się helikopterowi, ale nie było w tym nic niezwykłego. Piloci byli bardzo szanowani, gdyż stanowili jedyne ogniwo łączności ze światem, zwłaszcza w nagłych wypadkach. Zobaczył, że pracownik obsługujący lądowisko uniósł kciuk. Automatycznie odwrócił się, sprawdzając ponownie, czy wszystkie drzwi i luki są pozamykane i czy wszyscy zajęli swoje miejsca. -

Mam go przejąć, Ed?

- Aha, jasne, Scrag.

Scragger wyrównał na wysokości trzystu metrów i poleciał ku Siri Jeden, gdzie miała wsiąść reszta pasażerów. Był wytrącony z równowagi. Kurczę blade! - pomyślał. Jedna bomba mogła zmieść całą wyspę Siri do zatoki. Do tej pory nie było tu żadnych kłopotów. Baza na Siri nigdy nie została dotknięta strajkami, które sparaliżowały pracę innych. Cudzoziemcy uważali, że to chyba dlatego, iż Francja udzieliła schronienia Chomei-niemu.

Sabotaż? Czy Japończyk powiedział, że jutro w południe przyplynie tu tankowiec? Tak, na pewno. Co można zrobić? Na razie nic. Trzeba to odłożyć na później. W czasie lotu nic się nie działo...

133

Spojrzał na Vossiego. Ed zrobił to dobrze, bardzo dobrze, lepiej niż... lepiej niż kto? Przebiegł w myśli nazwiska wszystkich pilotów, których szkolił na przestrzeni lat. Setki.

Scragger zaczął latać, gdy miał piętnaście lat; wstąpił do Królewskich Australijskich Sił

Powietrznych w 1933, gdy miał siedemnaście. Spitfire'y w 1939, stopień porucznika, potem przesiadka na helikoptery w 1945, Korea w 1949 i... już koniec wojowania. Po dwudziestu latach służby ciągle zwykły porucznik i tylko trzydzieści siedem lat na karku. Roześmiał się.

W lotnictwie nie zrobił kariery.

- Na rany Chrystusa, Scragger, dlaczego znowu ty? Tym razem dograłeś się...

- Ale, Wingco, to Limey zaczął. Sukinsyn powiedział, że wszyscy Australie to złodzieje, że mają na rękach ślady po kajdankach i pochodzą od skazańców!

- Tak powiedział? Wszyscy pieprzeni Limeye są tacy sami, Scrag, chociaż w twoim wypadku miał chyba rację. Znowu pobiłeś starszego rangą! Jeśli nie przestaniesz, to załatwię cię na zawsze!

Nigdy jednak tego nie zrobił. Jakżeby mógł? Parę orderów, szesnaście zaliczonych trafień i trzy razy więcej wykonanych zadań bojowych niż ktokolwiek inny w RAAF-ie. A dziś nadal 61

lata, co jest wszystkim, czego wymaga od życia; nadal próbuje być najlepszy, nadal strzeże się pocisków i chroni pasażerów. Jeśli się lata helikopterami, nie można uniknąć awarii sprzętu, myślał, wiedząc, że miał naprawdę szczęście. Nie tak jak niektórzy dobrzy piloci, których szczęście opuściło. Żeby być naprawdę dobrym lotnikiem, trzeba mieć szczęście.

Znów rzucił szybkie spojrzenie na Vossiego; był zadowolony, że nie są na wojnie, która była najtrudniejszą próbą dla pilotów. Nie chciałbym utracić młodego Eda; jest jednym z najlepszych w S-G. Kto jest lepszy? Charlie Pettikin, jasne, ale on jest już bardzo zmęczony.

Tom Lochart też. "Brudny" Duncan McIver jest ciągle najlepszy z całej paczki, choć nie może już latać z powo-134

du tych cholernych badań okresowych. Biedak. Jeszcze mając sześćdziesiąt trzy lata prowadził maszyny jak młodzieniec.

Scragger drgnął. Jeśli CAA wprowadzi nowe przepisy dotyczące wieku i przymusowych emerytur, będę załatwiony. Gdy nie będę mógł latać, zastukam do bram niebios; nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Siri Jeden była jeszcze daleko. Lądował tam trzy razy w tygodniu przez rok albo i dłużej.

Mimo to planował podejście, jakby robił to po raz pierwszy. "Bezpieczeństwo nie wynika z przypadku, musi być przygotowane". Dzisiaj zrobimy łagodne, niskie podejście i...

- Scrag.

- Tak, synu?

- Nieźle mnie nastraszyłeś. Zachichotał.

- Sam się wystraszyłeś. To pierwsza nauczka. Czego jeszcze się nauczyłeś?

- Zastanawiam się, jak cholernie łatwo wpaść w panikę, czuć się samotnym i bezradnym, jak ważne są oczy. - Vossi wybuchnął: - Chyba nauczyłem się, jak cholernie łatwo można się zabić. Byłem, cholera... Jezu, Scrag, prawie srałem ze strachu!

- A ja nie tylko prawie. Kiedyś.

- Co?

- Latałem maszyną 47G2. To było w dawnych czasach, w latach sześćdziesiątych, w Kuwejcie. -

47G2 to mały, trzymiejscowy helikopter, napędzany silnikiem tłokowym, z kabiną w kształcie kuli. Teraz używany jest przeważnie do kontroli ruchu i przez policję. - Był

zaczarterowany dla lekarza i inżyniera z ExTex. Chcieli dotrzeć do oazy za Wafra, skąd otrzymali wezwanie CASEVAC - jakiś biedak wsadził nogę w wiertło. Lataliśmy wtedy z otwartymi drzwiami; było lato, jakieś sto dwadzieścia stopni, sucho i w ogóle tak parszywie, jak tylko może być na pustyni - dużo gorzej niż w naszym interiorze w Australii. Obiecano nam jednak podwójną stawkę i jeszcze do tego premię, więc mój stary 135

przyjaciel Forsyth zgłosił mnie. Dzień nie był gorszy niż zwykle, Ed, choć wiał wiatr i robił te swoje sztuki, wiesz: nagły podmuch wzbija w powietrze chmurę piasku, takie małe trąby powietrzne. Podchodziłem z dziewięćdziesięciu metrów, gdy nagle wpadliśmy w chmurę piasku - kurz był tak drobny, że nie sposób było go wcześniej zauważyć. Bóg wie, jak to świństwo dostało mi się pod gogle; w jednej chwili wszystko było dobrze, a już w następnej kasłaliśmy i pluliśmy, a ja miałem piasek w oczach i byłem tak ślepy jak stary kuternoga Pete.

, - Bujasz?!

- Nie. Słowo! Nic nie widziałem; nie mogłem nawet otworzyć oczu, i byłem jedynym pilotem z dwoma pasażerami na pokładzie.

- Jezu, Scrag, naprawdę nic nie widziałeś?

- Tak. Zataczaliśmy się po niebie, aż wreszcie złapałem jako tako równowagę i żołądek wrócił mi mniej więcej na swoje miejsce. Lekarz nie mógł mi pomóc, a gdy próbował, omal nie fiknęliśmy koziołka; wiesz, jaki G2 jest chybotliwy. Pasażerowie wpadli w panikę jak ja, i to mi na pewno nie pomagało. Wtedy wiedziałem już, że naszą jedyną szansą jest lądowanie 62

na ślepo. Powiedziałeś, że prawie srałeś w portki. Gdy ja wreszcie dotknąłem płozami piasku, miałem pełno w gaciach.

- Jezu, Scrag, naprawdę sprowadziłeś go na ziemię? Tak jak dzisiaj? Odpowiedz, ale bez lipy! Z piaskiem w oczach?

- Poprosiłem, żeby sprowadzili mnie na ziemię, tak jak dzisiaj ja ciebie. Pomagał mi lekarz; inżynier prawie zemdlał. - Scragger nie odrywał oczu od wyłaniającej się przed nimi platformy. - Co o niej sądzisz?

- Piękna to ona nie jest.

Siri Jeden znajdowała się dokładnie na ich kursie; lądowisko sterczało ponad powierzchnią wody. Widzieli już obsługę i stojącą obok obowiązkową drużynę strażacką. Rękaw wskazujący kierunek wiatru był na wpeł uniesiony i nieruchomy.

wysokość. Zamiast to zrobić i teraz, powiedział:

- Zostaniemy dzisiaj wysoko, chłopie. Zrobimy podejście od góry.

- Dlaczego, Scrag?

- Dla odmiany.

Vossi zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Spojrzał na wskaźniki, szukając czegoś niezwykłego, lecz wskazania były takie jak zawsze. Ale nie zachowanie staruszka...

Gdy zawisli wysoko nad platformą, Scragger włączył radio i powiedział:

- Radar na Kiesz, HST schodzi z trzystu na Siri Jeden.

- W porządku, HST, zgłoś się przed startem.

- HST.

Schodzili pod ostrym kątem. Zazwyczaj robiło się tak wtedy, gdy miejsce lądowania otoczone było wysokimi budynkami, drzewami czy słupami linii wysokiego napięcia. Scragger precyzyjnie zmniejszył obroty silnika. Helikopter schodził równo; był doskonale kontrolowany. Dwieście siedemdziesiąt, dwieście sześćdziesiąt dwa, dwieście pięćdziesiąt siedem... sześć... pięć... Obaj jednocześnie poczuli wibrację.

- Jezu! - jęknął Vossi, lecz Scragger już gwałtownie pochylił maszynę do przodu i przyduśił dźwignię mocy.

Helikopter natychmiast runął w dół. Sześćdziesiąt metrów, czterdzieści pięć, coraz silniejsze wibracje. Vossi przerzucił spojrzenie z tarcz przyrządów na lądowisko i z powrotem. Siedział sztywno, z zaciśniętymi zębami. Poszedł rotor ogona albo przekładnia...

Lądowisko pędziło na nich. Strażacy rozbiegli się, pasażerowie zamarli, a Vossi trzymał się oparcia fotela, żeby nie krzyknąć. Wibrowały już wszystkie przyrządy, zmienił się ton silników. W każdej chwili rotor ogona mógł całkiem odpaść i byłoby po wszystkim. Wysoko-

ściomierz wskazywał osiemnaście metrów... piętnaście... dwanaście... sześć. Ręka Yossiego sama skoczyła do

137

drażka, żeby to przerwać, ale Scragger wyprzedził go o ułamek sekundy, włączył pełną moc i wyhamował z idealną precyzją. Wydawało się, że maszyna zawisa na chwilę metr nad platformą; silniki wyły, a potem maszyna uderzyła mocno, lecz nie za mocno, płożą na krawędzi koła, skoczyła do przodu i zatrzymała się półtora metra od środka platformy.

- Kurwa - mruknął Scragger.

- Jezu, Scrag. - Vossi ledwo mógł mówić. - Idealnie!

- No nie, nie bardzo. Zabrakło mi półtora metra.

- Scragger z trudem oderwał ręce od przyrządów sterowniczych. - Wyłącz go, Ed, jak najszybciej! - Scragger otworzył drzwiczki i prędko wysliznął się na zewnątrz, smagany podmuchem śmigła. Otworzył drzwi kabiny pasażerskiej i krzyknął: - Zostańcie przez chwilę na miejscach.

63

Z ulgą stwierdził, że wszyscy pasażerowie są przypięci pasami i nikt nie ucierpiał. Siedzieli posłusznie; twarze dwóch z nich były szare. Czterej Japończycy patrzyli spokojnie. Zimna krew, pomyślał.

- Mon Dieu, Scrag! - krzyknął Georges de Plessey.

- Co się stało?

- Jeszcze nie wiem. To chyba tylny rotor. Gdy rotory zwolniły...

- W co wy się, do cholery, bawicie, Vossi! - To był Ghafari, Irańczyk obsługujący lądowisko.

W oknie pojawiła się jego rozgniewana twarz. - Jak śmiałeś trenować nad platformą? Złożę raport o nieprzestrzeganiu zasad bezpieczeństwa!

Scragger-wydarł się na niego:

- To ja sterowałem, a nie kapitan Vossi! - Napięcie nerwowe Scraggera znalazło ujście. Mógł

się wyładować na człowieku, którego od dawna nie cierpiał. - Odpierdol się, Ghafari: odpierdol się albo tak cię walnę, że już nie wstaniesz! - Zacisnął pięści. - Odpierdol się!

Pozostali patrzyli na tę scenę z osłupieniem. Vossi zbladł. Ghafari, większy i cięższy od Scraggera, zawahał się, a potem potrząsnął pięścią przed nosem Australij-138

czyka i sklął go po irańsku. Zorientował się, że w ten sposób go nie sprowokuje i przeszedł na angielski:

- Cudzoziemska świnia! Jak śmiesz tak do mnie mówić, grozić mi?! Załatwię ci zakaz latania i wyrzucę z Iranu. Myślicie, psy, że nasze niebo należy do was...

Scragger skoczył naprzód, lecz Vossi znalazł się nagle pomiędzy nimi i zablokował cios swoją ogromną klatką piersiową.

- Daj spokój, stary, co? Hej, Scrag, przepraszam

- dodał. - Obejrzyjmy lepiej ten rotor. Scrag, chłopie, rotor, co?

Dopiero po kilku sekundach Scragger spojrzał przytomniej. Waliło mu serce. Spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą. Z wysiłkiem opanował gniew.

- Masz... masz rację, Ed. Tak. - Zwrócił się do Ghafariego: - Mieliśmy... mieliśmy małą awarię.

Ghafari spojrzał kpiąco. Scraggera znów ogarnął gniew, ale tym razem zdołał go powściągnąć.

Poszli w kierunku ogona. Otoczył ich krąg pracowników platformy, Europejczyków i Irańczyków. Rotor ogona nie pracował; brakowało prawie metra śmigła; było ono nierówne w miejscu, gdzie nastąpił ubytek. Gdy Vossi szarpnął ośkę, okazało się, że była luźna

- potężny moment obrotowy śmigła wywołany brakiem symetryczności zamienił ją w szmelc.

Jeden z pasażerów odszedł na bok; widać było, że dostał mdłości.

- Jezu! - mruknął ze zgrozą Vossi..- Mógłbym to złamać jednym palcem.

Dał się słyszeć zrzędlivy głos Ghafariego:

- Oczywiście zła konserwacja. Narażanie...

- Zamknij się, Ghafari - rzucił ze złością de Plessey.

- Merde, wszyscy żyjemy i zawdzięczamy to kapitanowi Scraggerowi. Nie można było tego przewidzieć. Standardy bezpieczeństwa S-G są najwyższe w Iranie.

- Sporządę raport, panie de Plessey, i...

- Tak, proszę to zrobić i pamiętać, że ja przedstawię kapitana do odznaczenia. - Gniew de Plesseya robił wrażenie. Francuz także nie lubił Ghafariego. Jego zdaniem, jednego dnia był

podżegaczem otwarcie sprzy-

139

jającym Chomeiniemu i zachęcającym robotników do strajku, pod warunkiem, że nie było w okolicy policji ani wojska, a następnego łąsił się do zwolenników Szacha i surowo karał

robotników za najdrobniejsze przewinienia. - Cudzoziemskie świnię, co? Pamiętaj, że 64

pracujesz we wspólnym, francusko-irańskim przedsiębiorstwie, a Francja nie opuściła Iranu w potrzebie!

- Więc powinien pan nalegać, żeby Siri była obsługiwana tylko przez Francuzów, a nie przez tego staruszka! Natychmiast zamelduję o tym incydencie!

Ghafari odszedł.

Zanim Scragger zdążył cokolwiek powiedzieć, de Plessey położył mu ręce na ramionach, ucałował w oba policzki i serdecznie uścisnął rękę.

- Dziękuję, mon cher ami\

Francuzi zaczęli wiwatować na cześć Scraggera i otoczyli go tak, że nie mógł się poruszyć.

Potem wysunął się do przodu Kasigi.

- Dorno - powiedział uroczyście, a czterej Japończycy wprawili Scraggera w zakłopotanie, składając mu niski ukłon przy akompaniamencie dalszych wiwatów Francuzów. - Dziękuję, kapitanie - powiedział Kasigi.

- Tak, my rozumiemy i dziękujemy. - Uśmiechnął się i z ukłonem wręczył pilotowi oburącz swą wizytówkę.

- Yoshi Kasigi. Toda Shipping Industries. Dziękuję.

- Nie było aż tak źle, panie, ..., panie Kasigee

- odparł Scragger, próbując przezwyciężyć zakłopotanie; nad gniewem już panował, choć przyrzekł sobie, że kiedyś dopadnie Ghafariego bez świadków. - Mieliśmy ... siłę nośną i dużo miejsca. Mogliśmy usiąść na wodzie. To nasza praca, musimy bezpiecznie lądować.

Chodź tu, Ed. - Uśmiechnął się promiennie do Vossiego, wiedząc, że gdyby ten nie stanął na jego drodze, rozpoczęłyby walkę, której nie mógł wygrać. - Kapitan Vossi zrobiłby to samo. Z

łatwością. Nie było tak źle; po prostu nie chciałem was zamoczyć. Woda jest wprawdzie ciepła, ale widziałem film Szczęki...

Napięcie pękło i wszyscy się roześmiali, choć trochę nerwowo, gdyż w całej zatoce, a szczególnie przy uj-140

ściach rzek, roiło się od rekinów. Ciepła woda, obfitość pożywienia oraz odpadki wrzucane do morza przez narody zatoki w ciągu całych tysiącleci przyciągały ryby wszelkiego rodzaju.

Zwłaszcza rekiny. Zwykle kręciły się one w pobliżu platform naftowych, gdyż wszelkie odpadki wyrzucano z nich wprost do morza.

- Widział pan kiedyś dużego rekina, kapitanie?

- Aż za dobrze. Był taki rekin młot, który czatował koło wyspy Charg. Mieszkałem tam przez kilka lat i widywałem go mniej więcej raz na miesiąc. Miał chyba siedem, może osiem metrów. Widziałem też wiele olbrzymich płaszczyk, ale tylko tamten był naprawdę duży.

De Plessey wzdrynął się.

- Merde z wszystkimi rekinami. Kiedyś na Siri jakiś prawie mnie dopadł. Ja, jak to jest po angielsku? Aha, chlapałem się w płytkiej wodzie; pędził na mnie tak szybko, że osiadł na mieliźnie. Miał jakieś dwa i pół metra. Strzelaliśmy do niego; dostał sześć kul, ale ciągle się miotał i próbował nas dosięgnąć. Zdechł dopiero po kilku godzinach, ale i tak nikt z nas nie miał ochoty do niego podejść. Te rekiny! - Spojrzał na złamane śmigło. - Cieszę się, że jednak wylądowaliśmy na platformie.

Wszyscy się z nim zgodzili. Francuzi zaczęli rozmawiać między sobą, gestykulowali; dwaj poszli, żeby wyjąć z luku jakieś kosze, a jeden zainteresował się tym pasażerem, który nadal nie czuł się dobrze. Pracownicy platformy rozeszli się. Japończycy czekali i patrzyli.

Vossi zabobonnie dotknął śmigła.

- Po prostu na szczęście, co, Scrag?

- Dlaczego nie? Wszyscy żyją, więc można uznać, że to było dobre lądowanie.

- Co było przyczyną? - zapytał de Plessey.

65

- Nie wiem, stary - odparł Scragger. - Na Siri widziałem stado małych ptaszków, rybołówek.

Któryś mógł się dostać do rotoru i spowodować nacisk; nie czułem niczego, ale czegoś takiego się nie czuje. Wiem, że rano rotor był bez zarzutu, gdyż obaj sprawdziliśmy to jak zwykle. - Wzruszył ramionami. - Wola boska.

141

- Oui. Espece de con\ Ja w każdym razie nie lubię, gdy Bóg objawia swą wolę w taki sposób, zwłaszcza wobec mnie. - Zerknął krzywo na lądowisko. - Czy 206 albo alouette może nas stąd zabrać?

- Zamówimy sobie innego 212, a naszego ptaszka zaparkujemy tam. - Wskazał kawałek pustego miejsca obok pracującego szybu. - Mamy w luku kółka; nawet się nie spocimy i wszystko pójdzie prędko.

- Świetnie. Zrobimy to potem, a teraz chodźcie ze mną - poprosił z naciskiem de Plessey. -

Chyba wszyscy potrzebujemy filiżanki kawy i kieliszka zamrożonego chablis.

- Myślałem, że na platformach nie ma alkoholu - zdziwił się Kasigi.

De Plessey uniósł brwi.

- Oczywiście, m'sieur. Oczywiście, dla Irańczyków i nie-Francuzów. Oczywiście. Jednak nasze

platformy są francuskie i podlegają Kodeksowi Napoleona. - Dodał uroczyście: -

Powinniśmy uczcić nasze bezpieczne lądowanie. Dziś jesteście gośćmi la Belle France, więc możemy być cywilizowani i nagiąć trochę przepisy do naszych potrzeb. Po cóż istnieją reguły, jeśli nie po to, by je omijać? Oczywiście, potem rozpoczniemy zwiedzanie.

Poszli za nim wszyscy oprócz Kasiego, który zapytał:

- A pan, kapitanie? Co pan zrobi?

- Poczekam. Helikopter przywiezie zapasowe części i inżynierów. - Scragger odpowiedział, nie czuł się jednak dobrze w towarzystwie Japończyka. Nie mógł zapomnieć o przyjaciółach, którzy tak młodo polegli na wojnie, podczas gdy on sam żył i dręczyło go pytanie: dlaczego oni, a nie ja? - Poczekam, aż go naprawią i wrócę. Dlaczego pan pyta?

Kasigi spojrział na śmigło.

- Za pańskim pozwoleniem, chciałbym wrócić z panem.

- To... to zależy od kapitana Vossiego. On dowodzi tym lotem.

142

Kasigi spojrział na Vossiego. Młody pilot wiedział o niechęci Scraggera do Japończyków, ale nie mógł jej pojąć. Przed startem powiedział nawet:

- Do diabła, Scrag. Druga wojna światowa była milion lat temu. Japonia jest teraz naszym sprzymierzeńcem, jedynym silnym aliantem, jakiego mamy w Azji.

Scragger odparł:

- Daj temu spokój, Ed. I Vossi dał spokój.

- Lepiej niech pan wróci razem z innymi, panie Kasigi. Nie wiadomo, jak długo to wszystko potrwa.

- Boję się helikopterów. Wolałbym polecieć z panem, gdyby nie miał pan nic przeciwko temu. - Spojrział twardo na Scraggera. - To było bardzo poważne. Właściwie nie miał pan czasu, ale jednak odwrócił się pan na wysokości zaledwie dziewięćdziesięciu metrów i wspaniale usiadł. To było nie do wiary. Nie do wiary. Nie rozumiem jednego: dlaczego podchodził pan z góry? - Pochwycił wzrokiem spojrzenie, jakie Vossi rzucił Scraggerowi.

Aha, pomyślał, jego też to dziwi. - W taki dzień jak dzisiaj nie było przecież żadnego powodu, prawda?

Scragger wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- Pilotował pan helikoptery?

- Nie, ale latałem nimi tyle, że wiem, kiedy kłopoty są naprawdę poważne. Zajmuję się tankowcami, złożami ropy, tutaj, w zatoce, w Iraku, Libii, na Alasce, wszędzie, nawet w Australii. - Kasigi czuł otaczającą go nienawiść. Był do niej przyzwyczajony. Znał jej powód, 66

gdyż bardzo dużo interesów robił teraz w Australii. Naprawdę dużo. Częściowo ta nienawiść jest uzasadniona, pomyślał. Częściowo. Nic nie szkodzi. Australijczycy się zmieniają. Muszą się zmienić. Mimo wszystko mamy dużą część ich złóż surowców; mamy kontrakty na wiele lat, a niedługo będziemy mieć jeszcze więcej. To zadziwiające, jak łatwo można osiągnąć środkami gospodarczymi to, czego nie udało się uzyskać środkami militarnymi. - Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego

143

zdecydował się pan dziś na podejście pod ostrym kątem? Przy zwykłym podejściu bylibyśmy już na dnie morza, prawda? Dlaczego?

Scragger wzruszył ramionami, pragnąc uchylić się od odpowiedzi.

- Szefie! - ponaglił go Vossi! - Dlaczego?

- Szczęście.

Kasigi uśmiechnął się lekko.

- Proszę mi pozwolić wrócić z panem. Życie za życie, kapitanie. Proszę zachować moją wizytówkę. Być może będę mógł kiedyś odwdzińczyć się panu. - Ukłonił się grzecznie i odszedł.

11:56. Materiały wybuchowe na Siri, Scrag? - De Ples-sey był wstrząśnięty.

- Być może - równie cichym głosem odparł Scragger. Stali na krańcu platformy, daleko od ludzi. Lotnik

poinformował właśnie Francuza o tym, co szepnął mu Abdollah.

Drugi 212 przybył już dawno. Czekał na de Plesseya i innych, żeby zabrać ich na Siri, gdzie mieli zjeść obiad. Mechanicy zdążyli rozebrać na części ogon 212, który pilotował Scragger i byli zaawansowani w pracy. Vossi przyglądał się z uwagą. Nowy rotor i przekładnia znajdowały się na miejscu.

Po chwili de Plessey zauważył bezradnie:

- Materiały wybuchowe można schować wszędzie. Gdziekolwiek. Nawet mały ładunek może zniszczyć cały system przepompowywania. Madonno! To świetny sposób, żeby zmniejszyć szanse Bachtalara, albo Chomei-niego, na unormowanie sytuacji w kraju.

- Tak. Wykorzystaj tę informację jak najostrożniej i, na Boga, zatrzymaj ją dla siebie.

- Oczywiście. Ten człowiek był na Siri Trzy?

- W Lengeh.

- Co? Więc dlaczego nie powiedziałeś mi tego rano?

- Nie było czasu. - Scragger rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nadal nie ma nikogo w pobliżu. - Bądź ostrożny, cokolwiek postanowisz zrobić. Ci fanatycy nie dbają o nic ani o nikogo. Jeśli zorientują się, że był przeciek, że ktoś sypnął... stąd do Ormuz popłyną morzem ciała.

- Słusznie. - De Plessey był bardzo zaniepokojony.

- Powiedziałeś o tym jeszcze komuś?

- Nie, przyjacielu.

- Mon Dieu, co mogę zrobić? Bezpieczeństwo... Jak można zapewnić bezpieczeństwo w Iranie? Chciał, nie chciał, jesteśmy w ich mocy. - Po chwili zadumy dodał:

- Jeszcze raz dziękuję. Muszę ci powiedzieć, że obawiałem się poważnego sabotażu na Chargu i w Abadanie; lewakom zależy na tym, żeby rozpętać tam jeszcze większy chaos.

Nigdy jednak nie myślałem, że coś stanie się tutaj.

Odwrócił się ze złością, oparł o poręcz i spojrzał w dół, na fale leniwie obmywające słupy platformy. Krążyły tam rekiny poszukujące odpadków. No i doczekaliśmy się; zagrażają nam terroryści. Zbiorniki i pompy Siri są świetnym celem dla sabotażystów. Jeśli Siri zostanie w to wszystko wplątana, stracimy całe lata planowania, lata dostaw ropy, której tak bardzo potrzebuje Francja. Będziemy musieli kupować ropę od tych śmierdzących Angoli, z ich 67

śmierdzącego Morza Północnego. Dlaczego właśnie oni mają szczęście i mogą wydobywać 1,3 miliona baryłek dziennie, a w przyszłości jeszcze więcej?

Dlaczego my nie mamy złóż ropy? Przekłęci przez Boga, dwulicowi Angole! De Gaulle miał

rację; trzeba ich trzymać z dala od Europy. A my? Dopuszciliśmy ich z dobroci serca, choć wiemy, że to załgane sukinsyny. Oni się z nami nie dzielą, choć jesteśmy wspólnikami! Chcą być z nami w EWG, choć zawsze byli, i będą, przeciwko nam. Wielki Karol miał co do nich rację, mimo że pomylił się straszliwie w wypadku Algierii; to była nasza ziemia i nasza ropa, bylibyśmy bogaci, a Brytania i Niemcy lizałyby nam stopy.

A teraz? Co teraz zrobić?

Pojechać na Siri i zjeść obiad. Po obiedzie myśli się lepiej. Dzięki Bogu, możemy jeszcze otrzymywać do-144

145

stawy z rozsądnego, cywilizowanego Dubaju, Szardży i Asz Szargaz: brie, camembert, boursin,

czosnek i masło, codziennie świeże, prosto z Francji, i prawdziwe wino, bez którego nie warto żyć. No, prawie... dodał w myślach ostrożnie i zobaczył, że patrzy na niego Scragger.

- Tak, mon bravef

- Pytałem, co chcesz zrobić.

- Zarządę kontrolę bezpieczeństwa - oświadczył uroczyście. - Wygląda na to, że przedtem nie pamiętałem o klauzuli 56/976 naszego francusko-irańskiego kontraktu. Mówi ona, że co sześć miesięcy sprawdzać się będzie przedsięwzięcia mające zapewnić bezpieczeństwo i trzymać z daleka wszelkich intruzów, na... na chwałę Francji i tego, no, Iranu! - De Plessey zachwycił się swym podstępem. - Tak. Oczywiście, moi podwładni nigdy o tym nie pamiętają. Teraz jednak rzucimy się do nadrabiania zaległości z prawdziwie francuskim wigorem. Wszędzie: na Siri, na platformach, na brzegu, nawet w Lengeh! Les cretins\ Jak mogą przypuszczać, że uda się im zniszczyć wieloletnią pracę?! - Rozejrzał się wokół. Nadal koło nich nie było nikogo. Wszyscy tłoczyli się przy nowym 212. - Muszę powiedzieć Kasigie-mu - dodał cicho. - Gdyż to jego tankowiec może być celem ataku.

- Czy możesz mu zaufać? Chodzi o to, czy nie narobi hałasu?

- Tak, mon ami. Musimy go ostrzec; tak, musimy!

- De Plessey poczuł, że zaburczało mu w brzuchu. Mój Boże, pomyślał, a był bardzo wzburzony, mam nadzieję, że to tylko głód, a nie atak woreczka żółciowego, choć nie zdziwiłbym się po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. Najpierw byliśmy o krok od wypadku, potem nasz najlepszy pilot omal nie pobił się z tą beczką gnoju, Ghafarim, a teraz może nas dotknąć rewolucja.

- Kasigi pytał, czy mógłby z tobą wrócić. Kiedy będziecie gotowi?

- Przed zachodem słońca, ale nie musi na nas czekać. Może polecieć razem z tobą.

146

De Plessey zmarszczył brwi.

- Rozumiem, że nie lubisz Japończyków. Ja sam nie mogę znieść Niemców. Ale musimy być praktyczni. On jest dobrym klientem i skoro już o to poprosił, byłbym ci wdzięczny, gdybyś powiedział Vossiemu, żeby, no, zabrał go, mon cher ami. Tak, teraz jesteśmy naprawdę bliskimi przyjaciółmi. Ocaliłeś nam życie i razem zostaliśmy poddani próbie przez Boga! Ale Kasigi jest jednym z naszych najlepszych klientów - dodał twardo. - Bardzo dobrze. Dziękuję, mon ami. Zostawię go na Siri. Zabierzcie go, gdy będziecie gotowi. Powiedz mu to, co powiedziałeś mnie. Świetnie, że doszliśmy do porozumienia. Poinformuję o twoich zasługach władze i samego "dziedzica" Gavallana. - Rozpromienił się. - Do zobaczenia jutro!

68

Scragger odprowadził go spojrzeniem; przeklinał w myślach. De Plessey był zbyt ważny, żeby można było mu się sprzeciwić. Po południu, w drodze na Siri, usiadł w kabinie pasażerskiej, wściekły i

spocony ze zdenerwowania.

- Jezu, Scrag! - wykrzyknął zdumiony Vossi, gdy dowiedział się, że jego szef usiądzie z tyłu.

- Jako pasażer? Dobrze się czujesz? Jesteś pewien, że...

- Po prostu chcę sprawdzić, jak się tam podróżuje - wykrztusił z irytacją Scragger. - Pakuj dupę na miejsce dowódcy, zabierz tego typa z Siri i wyląduj w Lengeh miękko jak jakiś cholerny puszek albo wpiszę coś o tobie do tego cholernego raportu.

Kasigi czekał na lądowisku. Nie było tam cienia; za to gorąco i duszno tak, że wyciskało siódme poty. Wydmy sięgały aż do rurociągu i zbiorników, były brudne i zakurzone. Scragger obserwował diabełki z kurzu, miniaturowe zawirowania i trąby powietrzne, tańczące nad ziemią, i dziękował losowi za to, że mógł latać i nie musiał pracować w takim miejscu. Tak, śmigłowce są hałaśliwe, trzęsą się i telepią nad ziemią, myślał, i tęsknię trochę do latania samolotami wysoko po niebie, opadania i wznoszenia się jak orzeł; latanie 147

jednak jest zawsze lataniem i nie znoszę siedzenia w jakiejś cholernej kabinie dla pasażerów.

Na Boga! Tu jest jeszcze gorzej niż w samolocie! Nie lubił latania, gdy nie mógł sam panować nad maszyną; nie czuł się wtedy bezpiecznie. Jego nastrój pogorszył się jeszcze bardziej, gdy Kasigi usiadł obok i zatrzasnęły się drzwiczki. Naprzeciwko nich drzemało dwóch mechaników w białych kombinezonach przesiąkniętych potem. Japończyk dopasował

kamizelkę ratunkową i ciasno zapiął pas. Gdy wystartowali, Scragger pochylił się do niego.

- Nie mieliśmy okazji, żeby powiedzieć to panu wcześniej. Na Siri może nastąpić atak terrorystyczny, może na jednej z platform, może na pańskim statku. De Plessey prosił mnie, żebym pana o tym uprzedził.

Kasigi syknął i zapytał:

- Kiedy?

- Nie wiem. De Plessey także nie wie. Ale to bardziej niż prawdopodobne.

- W jaki sposób? Na czym to ma polegać?

- Nie mam pojęcia. Broń palna, materiały wybuchowe, może bomba. Lepiej niech pan zwiększy środki bezpieczeństwa.

- Już są maksymalne - odparł Kasigi i dojrzał w oczach Scraggera gniewny błysk. W

pierwszej chwili nie wiedział, o co chodzi, lecz przypomniał sobie, co właśnie powiedział. -

Och, przepraszam, kapitanie. Nie chciałem się chwalić. Po prostu zawsze bardzo dbamy o bezpieczeństwo, a na tych wodach mój statek... - Omal nie powiedział: "jest w gotowości bojowej",

ale powstrzymał się i pohamował irytację, jaką wywoływała u niego drażliwość rozmówcy. - Na tych wodach każdy jest więcej niż ostrożny. Proszę mi wybaczyć.

- De Plessey chciał, żeby pan wiedział. Chciał też, żeby nie puścił pan pary z... żeby zatrzymał pan to dla siebie i nie informował Irańczyków.

- Rozumiem. Para się ze mnie nie wydobędzie. Jeszcze raz dziękuję. - Kassigi zobaczył, że Scragger skinął głową i odwrócił się, ucinając rozmowę. Japończyk też chętnie by na tym poprzestał, ale ponieważ

Australijczyk ocalił życie jemu i jego towarzyszom, umożliwiając im tym samym dalszą pracę dla firmy i ich przywódcy, Hiro Tody, czuł, że powinien dążyć do złagodzenia niechęci lotnika. - Kapitanie - powiedział tak cicho, jak było to możliwe w huku silników. -

Rozumiem, dlaczego Australijczycy nienawidzą nas, Japończyków. Przepraszam za obozy w Changi, za drogi w Birmie i za wszystkie okrucieństwa. Mogę tylko zapewnić pana, że w naszych szkołach uczy się we właściwy sposób o tych wydarzeniach, i że nie są one zapomniane. Cały nasz naród wstydzi się za to.

To prawda, pomyślał ze złością. Te okrucieństwa były głupotą, choć ci głupcy nie wiedzieli nawet, że popełniają okrucieństwa. Mimo wszystko nasi wrogowie byli tchórzami: poddawali 69

się chętnie całymi dziesiątkami tysięcy, a w ten sposób tracili swe ludzkie prawa w myśl Bushido, naszego kodeksu, który mówi, że poddanie się jest największą hańbą żołnierza.

Kilka błędów popełnionych przez nielicznych sadystów, ciemnych chłopów służących w straży więziennej - z których większość to ci zjadacze czosnku, Koreańczycy - i wszyscy Japończycy ucierpieli, musząc się za nich wstydzić. I jeszcze drugi wstyd, największy ze wszystkich wstydów: nasz naczelny dowódca zawiódł i zmusił cesarza do hańbiącego zakończenia wojny.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny w imieniu nas wszystkich.

Scragger wlepił w niego spojrzenie. Po chwili odpowiedział:

- Przepraszam, ale nie mogę. Po pierwsze, mój były wspólnik, Forsyth, był w Changi; nigdy nie mógł poradzić sobie z tym, co tam widział. Po drugie, spotkało to zbyt wielu moich kumpli, nie tylko jeńców wojennych. Zbyt wielu. Nie mogę zapomnieć. I nie chcę. Nie chcę, bo gdybym zapomniał, zdradziłbym ich pamięć. I tak zdradziliśmy ich, zawierając pokój. Jaki pokój? Zdradziliśmy ich, tak uważam. Przepraszam, ale tak to wygląda.

- Rozumiem, choć mimo wszystko moglibyśmy zawrzeć pokój. Pan i ja. Prawda?

148

149

- Może. Może kiedyś, z czasem.

Ach, czas, pomyślał oszołomiony Kasigi. Dziś byłem znów na krawędzi śmierci. Ile mamy czasu, ty i ja? Czyż czas nie jest złudzeniem, a życie tylko złudzeniem w złudzeniu? A śmierć? Czym jest śmierć? Najlepiej mówi o tym poemat o śmierci jego czcigodnego przodka, samuraja: Czym są chmury, jeśli nie racją bytu nieba? Czym jest życie, jeśli nie ucieczką od śmierci?

Przodkiem tym był Yabu Kasigi, lennik Izu i Baka, poplecznik Yoshi Toronagi, pierwszego i największego z szogunów Toronaga, którzy, z ojca na syna, władali Japonią od 1603 do 1871, gdy cesarz Meiji zlikwidował ostatecznie szogunat i wyjął spod prawa całą klasę samurajów.

Ale Yabu Kasigi nie zapisał się w kronikach ani jako lojalny wasal, ani też z powodu odwagi w bitwach, jak jego słynny kuzyn, Omi Kasigi, który walczył dla Toronagi w wielkiej bitwie pod Sekigahara, stracił rękę, a mimo to poprowadził jeszcze zwycięski atak.

Och, nie. Yabu zdradził Toronagę, albo przynajmniej próbował, i dlatego otrzymał rozkaz popełnienia seppuku, zadania sobie rytualnej śmierci przez otwarcie brzucha. Yabu utrwalił

się w pamięci swym poematem o śmierci i odwagą okazaną przy popełnianiu harakiri.

Tamtego dnia, siedząc przed zgromadzonymi samurajami, z własnej roli zrezygnował z pomocy innego samuraja, który stałby za nim z mieczem, aby skrócić agonię przez odcięcie głowy i zapobiec w ten sposób hańbie okrzyków bólu. Wbił głęboko krótki miecz i wykonał

powoli cztery cięcia: najtrudniejszy rodzaj seppuku

- w poprzek i w dół, znowu w poprzek i do góry

- a potem wyjął na wierzch wnętrzości i umierał powoli, nie wydawszy ani jednego okrzyku.

Kasigi drgnął, myśląc o tym. Wiedział, że sam nie wykazałby takiej odwagi. Nowoczesne wojny nie miały z tym nic wspólnego; wówczas jednak można było zostać skazanym na śmierć z powodu kaprysu pana lennego...

Zauważył, że Scragger go obserwuje.

150

- Ja też byłem na wojnie - powiedział wbrew własnej woli. - Samoloty. Latałem na Zero w Chinach, na Malajach i w Indonezji. I Nowa Gwinea. Odwaga na wojnie jest czymś innym niż odwaga w samotności... to znaczy nie na wojnie, prawda?

- Nie rozumiem - odparł zaskoczony Scragger.

Przez całe lata nie wspominałem wojny, myślał Kasigi. Ogarnęła go nagle fala strachu; przypomniał sobie ciągły lęk przed śmiercią lub okaleczeniem, lęk, który go ogarniał, tak jak 70

dzisiaj, gdy myślał, że musi umrzeć, a jego towarzyszy sparaliżowało przerażenie. Tak, wszyscy przeżyliśmy dziś to, co przeżywa się na wojnie: przypomnieliśmy sobie nasze dziedzictwo z Ziemi

Bogów, przełknęliśmy strach, jak uczono nas od dzieciństwa, udawaliśmy spokój i równowagę ducha, żeby nie okazać strachu obcym; spełnialiśmy nasz obowiązek wobec cesarza najlepiej, jak mogliśmy, i odetchnęliśmy z ulgą tak jak wtedy, gdy można już było złożyć broń, choć było to hańbiące.

Niektórzy nie mogli znieść tego wstydu i zadali sobie śmierć jak w dawnych czasach, z honorem. Czy straciłem cześć dlatego, że nie zrobiłem tego samego? Nie! Posłuchałem cesarza, który kazał nam znieść to, co było nie do zniesienia, a potem przyłączyłem się do przedsięwzięcia mojego kuzyna, żeby służyć mu wiernie ku większej chwale Japonii. Wśród ruin Jokohamy pomagałem w odbudowie Toda Shipping Industries, która stała się jedną z największych firm japońskich budujących ogromne statki, supertankowce większe z roku na rok; wkrótce położymy stępkę pod pierwszy statek o wyporności miliona ton. Teraz nasze statki są wszędzie. Przywożą do Japonii surowce i wywożą gotowe produkty. My, Japończycy, zadziwiamy świat. Jesteśmy jednak zależni: musimy mieć ropę albo zginiemy.

Zobaczył przez okno tankowiec płynący w górę zatoki i drugi, zdążający w kierunku cieśniny Ormuz. Ten most nie może mieć wyrw, myślał. Przynajmniej jeden tankowiec co sto kilometrów, na całej drodze do Japonii, codziennie, żeby zasilać nasze fabryki tym, 151

czego zawsze łakniemy. Wie o tym cała OPEC: kantują nas i cieszą się z tego. Tak jak dziś.

Dzisiaj musiałem natężyć całą siłę woli, żeby udawać spokój w obliczu tego odrażającego Francuza, śmierzącego czosnkiem i tą obrzydliwą, cuchnącą i wywołującą mdłości masą zwaną brie, który krzykliwie się domagał dalszych dwóch dolarów osiemdziesiąt ponad - już i tak piracką - cenę czternaście osiemdziesiąt. Ja, potomek starego rodu samurajów, musiałem się z nim targować jak jakiś Chińczyk z Hongkongu.

- Ależ, panie de Plessey, musi pan przecież rozumieć, że ta cena plus fracht i...

- Przykro mi, m'sieur, ale otrzymałem wyraźne polecenia. Tak, jak ustaliliśmy, zaoferowano panu pierwszemu trzy miliony baryłek z Siri. ExTex też się do nas zwróciła i cztery inne duże firmy. Gdyby pan chciał zmienić zdanie...

- Nie, ale kontrakt wyraźnie mówi o "bieżącej cenie OPEC", a...

- Tak, ale wie pan z pewnością o tym, że dostawcy z OPEC doliczają jeszcze premię. Proszę nie zapominać, że Saudyjczycy planują ograniczenie produkcji w tym miesiącu; że w zeszłym tygodniu wszyscy więksi dostawcy ogłosili spadek wydobycia, wywołany force majeure, i że Libia też zmniejszyła wydobycie. BP zwiększył ograniczenie do 45 procent...

Kasigi mało nie krzyknął z wściekłości, bo przypomniał sobie, że gdy już zgodził się na te wszystkie złodziejskie ceny pod warunkiem, iż będzie mógł dostać całe trzy miliony baryłek po tej samej cenie, Francuz uśmiechnął się słodko i zaznaczył: "Oczywiście, jeśli uda się panu dokonać załadunku w ciągu siedmiu dni", a obaj wiedzieli, że nie jest to możliwe. Wiedzieli też, że w Kuwejcie przebywała państwowa delegacja z Rumunii, chcąca nabyć nawet trzy miliony ton, a nie tylko baryłek, aby zrównoważyć brak irańskich dostaw, które trafiały do nich przedtem poprzez rurociągi

łączące Iran ze Związkiem Radzieckim. Były też dziesiątki innych kupców, czekających tylko, żeby przejąć ich opcję na 152

Siri i wszystkie inne - na ropę, płynny gaz naturalny, naftę i surowce przemysłu petrochemicznego.

- Doskonale, siedemnaście dolarów i sześćdziesiąt centów za baryłkę - powiedział zgodnie Kasigi.

Po cichu przyrzekł sobie jednak, że kiedyś się odwzajemni.

- Za ten jeden tankowiec, m'sieur.

- Oczywiście. Za ten jeden - rzekł jeszcze bardziej zgodnym tonem.

71

A teraz australijski pilot szepcze do mnie i informuje, że nawet ten jeden tankowiec może być w niebezpieczeństwie. Dziwny staruszek. O wiele za stary, żeby latać, a jednak bardzo sprawny, poinformowany, otwarty i... taki głupi, głupi właśnie dlatego, że otwarty, gdyż w ten sposób daje mi nad sobą władzę.

Spojrzał na Scraggera.

- Powiedział pan, że moglibyśmy z czasem zawrzeć pokój. Obaj dzisiaj skradliśmy dla siebie trochę czasu, dzięki pańskim umiejętnościom i szczęściu, choć nazywamy to przeznaczeniem.

Naprawdę nie wiem, ile czasu jeszcze nam pozostało. Być może mój statek wyleci jutro w powietrze, a ja będę na pokładzie. - Wzruszył ramionami. - Przeznaczenie. Zostańmy jednak przyjaciółmi, tylko pan i ja. Chyba... chyba nie zdradzamy w ten sposób towarzyszy broni, pańskich ani moich. - Wyciągnął rękę. - Proszę.

Scragger spojrzał na tę rękę. Kasigi zmusił się do tego, żeby jej nie cofnąć. Wreszcie Scragger ustąpił. Skinął nieznacznie głową i mocno uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Dobra, stary, niech tak będzie.

W tym momencie Vossi odwrócił się i dał znak. Scragger natychmiast przeszedł do kokpitu.

- Tak, Ed?

- Mamy wezwanie CASEVAC, Scrag. Z Siri Trzy. Ktoś z załogi platformy wpadł do morza...

Polecili tam od razu. Ciało unosiło się na wodzie przy słupie platformy. Wciągnęli je na górę. Rekiny odgryzły już obie nogi i rękę. Głowa była poszarpana, twarz także, ale go rozpoznali. To był Abdollah Turik.

153

OKOLICE BANDAR DEJLAMU, 16:52. Cienie się wydłużały. Ziemia za drogą była porośnięta krzakami, a dalej skaliste wzgórza wyrastały w pokryte śniegiem szczyty północnej części łańcucha gór Zagros. Z tej strony, obok strumienia i bagien, rozciągających się aż do odległego o kilka kilometrów portu, biegł jeden z rurociągów, które kładły się na całym terenie krzyżowym wzorem. Rura była stalowa, o średnicy pięćdziesięciu centymetrów; opierała się na betonowych podporach prowadzących do przepustu pod drogą; dalej rurociąg nikał pod ziemią. Jakiś kilometr na wschód znajdowała się wioska - niskie, zakurzone budynki koloru ziemi, wzniesione z glinianych cegieł. Nadjeżdżał stamtąd mały samochód. Był stary, rozklekotany i jechał powoli, ale motor pracował dobrze - zbyt dobrze jak na takiego grata.

154

W samochodzie siedziało czterech Irańczyków. Byli młodzi, gładko ogoleni i ubrani lepiej niż przeciętnie; pocili się i denerwowali. Samochód zatrzymał się przy przepuście. Jeden z młodzieńców, noszący okulary, wysiadł prawymi przednimi drzwiczkami i rozejrzał się uważnie, udając, że oddaje mocz.

- Jest czysto - powiedział.

Jego dwaj koledzy wytaszczyli natychmiast z tylnego siedzenia ciężką torbę i ześliznęli się po brudnym obmurowaniu do przepustu. Młodzieniec w okularach zapiął rozporek, podszedł do samochodu i otworzył bagażnik. Spod podartej szmaty wystawała lufa czeskiego pistoletu maszynowego. Ten widok nieco go uspokoił.

Kierowca wysiadł i oddał mocz do rowu; widać było, że bardzo tego potrzebował.

- Chciałem tak zrobić, Mas'ud, ale nie mogłem

- z zazdrością w głosie oświadczył ten pierwszy. Wytarł pot z czoła i poprawił okulary.

- Nigdy nie mogłem się odlać przed egzaminem

- powiedział ze śmiechem Mas'ud. - Jak Bóg da, uniwersytet będzie wkrótce znowu otwarty.

- Bóg! Bóg to opium dla ludu - ofuknął go młodzieniec w okularach, a potem spojrział na drogę. Była nadal pusta, jak daleko sięgał wzrok. Na południu, kilka kilometrów dalej, słońce odbijało się od wód zatoki. Zapalił papierosa i zauważył, że trzęsą mu się ręce. Czas płynął

72

bardzo powoli. Bzyczały muchy, co sprawiało, że cisza wydawała się jeszcze głębsza. Nagle zauważył na drodze słup kurzu. - Patrzcie!

Razem wpatrywali się w dal.

- Czy to ciężarówki? Wojskowe? - zapytał niespokojnie Mas'ud. Podbiegł do skraju przepustu i zawołał:

- Wy dwaj, pośpieszcie się! Coś nadjeżdża!

- Dobra - odpowiedział głos z dołu.

- Już kończymy - zawtórował mu drugi.

Dwaj młodzieńcy wyciągali z torby płaskie woreczki z materiałem wybuchowym i upychali je wokół pokrytej smołą i płótnem stalowej rury.

155

- Podaj mi detonator i spłonkę, Ali - poprosił ze ściśniętym gardłem starszy z nich. Obaj byli brudni i spoceni.

- Trzymaj! - Ali ostrożnie podał przedmioty, których tamten zażądał; koszula kleiła się mu do ciała. - Jesteś pewien, Biżan, że wiesz, jak to się robi?

- Przecież uczyliśmy się tego godzinami. Nie pamiętasz, że ćwiczyliśmy z zamkniętymi oczami? - Biżan zmusił się do uśmiechu. - Jesteśmy jak Robert Jordan w Komu bije dzwon.

Robimy dokładnie to samo.

Ali zadygotał.

- Mam nadzieję, że dzwon nie bije dla nas.

- Nawet jeśli tak, to co z tego? Partia wygra, a masy odniosą zwycięstwo.

Niedoświadczone palce Biżana niezręcznie upychały czuły nitroglicerynowy detonator w ładunku; umieścił spłonkę i docisnął ją jednym z woreczków.

- Pośpieszcie się, to są... chyba ciężarówki wojskowe z żołnierzami! - rozległ się ponagląjący głos Mas'uda.

Przez chwilę obaj młodzieńcy zastygli w bezruchu, a potem nerwowo rozwinęli lont, przeszkadzając sobie nawzajem. Nie zauważyli, że lont odłączył się od detonatora. Położyli na ziemi trzymetrowy przewód, podpalili koniec i wstali. Biżan spojrzał jeszcze raz, żeby wszystko sprawdzić; zobaczył, że lont się pali, jak należy, dostrzegł jednak z przerażeniem, iż drugi koniec luźno zwisa. Cofnął się, roztrzęsioną ręką umocował lont, pośliznął się, stracił

równowagę i uderzył detonatorem o beton.

Nitrogliceryna wybuchła i spowodowała eksplozję najbliższego woreczka, a ten następnych.

Wybuch rozerwał Biżana na kawałki, razem z sześciometrowym odcinkiem rury, wyrwał

sklepienie przepustu i przewrócił samochód, zabijając dwóch dalszych chłopaków i urywając nogę

ostatniemu.

Z rury zaczęła wypływać ropa. Setki baryłek na minutę. Ropa miała się zapalić, ale ładunki wybuchowe były niewłaściwie rozmieszczone i zdetonowane. Tym-156

czasem dwie ciężarówki wojskowe zatrzymały się ostrożnie w odległości stu metrów. Ropa wlała się do strumienia; jej lżejsze, bardziej lotne składniki pozostały na powierzchni, cięższe zaś zaczęły przesiąkać przez bagna i suchą glebę, sprawiając, że cały teren stawał się bardzo niebezpieczny.

W obu ciężarówkach było około dwudziestu ludzi z Zielonych Opasek Chomeiniego; mieli brody albo przynajmniej byli nie ogoleni i wszyscy nosili charakterystyczne opaski, od których wzięli nazwę. Większość z nich to wieśniacy, kilku robotników z pól naftowych, wyszkolony przywódca z OWP i mułła - wszyscy uzbrojeni, brudni po walce, niektórzy ranni.

Kapitan policji w mundurze, związany i zakneblowany, jeszcze żywy, leżał na skrzyni jednej z ciężarówek. Oddział zdobył właśnie posterunek policji na północy i zmierzał do Bandar Dejlamu, aby kontynuować walkę. Mieli pomóc innym przy opanowywaniu cywilnego lotniska położonego o kilka kilometrów dalej na południe.

73

Z mułłą na czele podeszli do wyrwy w przepuście. Przez chwilę patrzyli na wypływającą ropę, a potem ich uwagę zwrócił jęk. Odbezpieczyli karabiny i ostrożnie zbliżyli się do przewróconego samochodu. Leżał pod nim młody człowiek bez nogi; życie uciekało z niego szybko. Wszędzie krew i wnętrzności, roje much.

- Kim jesteś? - zapytał mułła, potrząsając nim brutalnie. - Dlaczego to zrobiłeś?

Młodzieniec otworzył oczy. Bez okularów widział wszystko jak przez mgłę. Patrzył na przybyszów nie widzącym spojrzeniem. Ogarnął go strach przed śmiercią. Próbował

odmówić szahadę, ale tylko pisnął; krew zalała mu gardło.

- Bóg tak chciał - powiedział mułła, odwracając się.

Zauważył leżące na ziemi potłuczone okulary i podniósł je. Jedno szkło było pęknięte, a drugie całkiem wypadło.

- Dlaczego oni to zrobili? - zapytał jeden z Zielonych Opasek. - Nie było rozkazu, żeby uprawiać sabotaż. Nie teraz.

157

- To muszą być komuniści albo islamsko-marksis-towskie ścierwo. - Mułła odrzucił okulary.

Miał pooraną zmarszczkami twarz, podarte ubranie i był głodny. - Wyglądają na studentów.

Oby Bóg zabił równie szybko wszystkich swych wrogów!

- Hej, popatrzcie - zawołał inny. Przeszukiwał samochód i znalazł trzy pistolety maszynowe oraz kilka granatów. - Wszystko czeskie. Tylko lewacy są tak dobrze uzbrojeni. W porządku, te psy to wrogowie.

- Chwała Bogu! Zabierzemy tę broń. Czy można będzie objechać wyrwę ciężarówkami?

- Och, tak. Dzięki Bogu, z łatwością - odpowiedział jeden z kierowców, masywny, brodaty mężczyzna. Pracował przy nafcie i znał się na rurociągach. - Lepiej zameldujmy o tym sabotażu - dodał nerwowo. - Cały ten teren może wylecieć w powietrze. Mógłbym zatelefonować do pompowni, jeśli jest tu jakiś działający telefon, albo można przesłać wiadomość, żeby zamknęli dopływ ropy. Lepiej się pośpieszmy. Cały teren jest zagrożony, a ropa zanieczyści wszystko w dole strumienia.

- Jak Bóg zechce. - Mułła patrzył na rozlewającą się coraz szerzej ropę. - Nie można jednak marnować bogactwa, które Bóg nam dał. Dobrze. Spróbujesz zatelefonować z lotniska.

Ranny zawył. Zostawili go, żeby umarł.

LOTNISKO W BANDAR DEJLAMIE, 17:30. Cywilne lotnisko nie było strzeżone. Zostało porzucone przez wszystkich z wyjątkiem kontyngentu S-G, który przybył tu kilka tygodni wcześniej z Chargu. Lotnisko miało dwa krótkie pasy startowe, małą wieżę, kilka hangarów, piętrowy budynek biurowy i jakieś baraki. Teraz stało tam też kilka nowoczesnych kontenerów należących do S-G, służących jako tymczasowe kwatery i pomieszczenia operacyjne. Było to jedno z kilku tuzinów lotnisk cywilnych wybudowanych przez Szacha dla samolotów dostawczych obsługujących cały Iran. "Będziemy mieć lotniska i nowoczesne urządzenia", po-158

stanowił, i polecenie wykonano. Ale gdy sześć miesięcy temu zastrajkowały wszystkie wewnętrzne linie lotnicze, w całym Iranie samoloty przestały latać, a lotniska zamknięto.

Personel ulotnił się. Większość samolotów pozostawiono po prostu na świeżym powietrzu, bez obsługi i konserwacji. Spośród trzech jednakowych odrzutowców, które stały w Bandar Dejlampie, dwa miały przebite opony kół podwozia, a jeden, wybite okno kokpitu. Żaden z nich nie miał w baku paliwa, gdyż je ukradziono. Wszystkie były brudne i opuszczone. I smutne.

Na ich tle błyszczały helikoptery S-G: trzy 212 i dwa 206. Stały w równym rzędzie i były, jak co dzień, myte i sprawdzane. Słońce stało nisko i rzucało długie cienie.

Kapitan Rudiger Lutz, starszy pilot, podszedł do ostatniego helikoptera i badał go równie dokładnie jak poprzednie.

74

- Bardzo dobrze - powiedział w końcu. - Możecie je odstawić.

Patrzył, jak mechanicy i podlegli im pracownicy irańscy wtaczają maszyny z powrotem do hangarów,

które były także nieskazitelnie czyste. Wiedział, że wielu śmieje się za plecami z jego pedantyzmu, ale nie dbał o to dopóty, dopóki wykonywali jego polecenia. To nasz największy problem, pomyślał. Jak skłonić ich do posłuszeństwa, jak działać w sytuacji wojennej, nie będąc armią i nie dysponując dyscypliną wojskową. Cywile w samym środku wojny, niezależnie od tego, czy Duncan McIver chce to otwarcie przyznać, czy nie.

Dziś rano Duke Starke z Kowissu przekazał mu przez radio zwięzłą wiadomość, jaką otrzymał od Mc-Ivera z Teheranu. Chodziło o plotkę o ataku na lotnisko w Teheranie i buncie jednej z położonych tam baz sił powietrznych. Z powodu odległości i leżących po drodze gór, z Bandar Dejlamu nie można było rozmawiać przez radio bezpośrednio z Teheranem czy z innymi bazami, a tylko z Kowissem. Zaniepokojony Rudi zgromadził całą swą zagraniczną załogę, to jest czterech pilotów i siedmiu mechaników - siedmiu Anglików, dwóch 159

Amerykanów, jednego Niemca i jednego Francuza

- w miejscu, w którym nikt nie mógł podsłuchiwać, i przekazał im wieści.

- Nawet nie chodzi o to, co powiedział Duke, ale o to, w jaki sposób to mówił. Nazywał mnie "Rudiger", a nie jak zwykle "Rudi". Brzmiało to tak, jakby był zdenerwowany.

- Nie lubię, gdy Duke Starke jest zdenerwowany, chyba że chce nas po prostu podkręcić - zauważył niespokojnie Jon Tyrer, Amerykanin, zastępca Rudiego.

- Uważasz, że ma kłopoty? Może powinniśmy zobaczyć, co się dzieje w Kowissie?

- Może. Poczekajmy jednak do wieczora, kiedy będę mógł z nim porozmawiać.

- Myślę, że dobrze by było się przygotować do małego skoku o północy, Rudi - powiedział

mechanik Fowler Jones. - Tak, skoro stary Duke jest zdenerwowany, to zrobimy najlepiej, jeśli będziemy gotowi, żeby stąd prysnąć.

- Oszalałeś, Fowler! Nie mieliśmy żadnych kłopotów - odparł Tyrer. - W okolicy jest raczej spokojnie; policja i wojsko są zdyscyplinowane i pod kontrolą. Cholera, mamy tu w promieniu trzydziestu kilometrów pięć baz lotnictwa wojskowego. To elitarne jednostki i sprzyjają Szachowi. Niedługo może nastąpić lojalis-tyczny zamach stanu.

- Byłeś kiedyś w środku zamachu stanu? Oni wszyscy cholernie strzelają jeden do drugiego, a ja jestem cywilem!

- Dobra, no więc, co proponujesz?

Omawiali wszelkie ewentualności. Ziemia, powietrze, morze; granica z Irakiem oddalona była zaledwie o sto sześćdziesiąt kilometrów, a od Kuwejtu dzieliła ich tylko zatoka.

- Na pewno będziemy poinformowani z dużym wyprzedzeniem. - Rudi co do tego był

spokojny. - McIver będzie wiedział, że zbliża się zamach stanu.

- Posłuchaj, stary - powiedział Fowler ze skwaszo-ną miną. - Ja znam te nasze firmy. Z nimi jest tak samo

160

jak z jakimiś cholernymi generałami! Jeśli się zrobi gorąco, możemy liczyć tylko na siebie.

Pies z kulawą nogą się nami nie zainteresuje, więc lepiej coś wymyślmy. Nie mam ochoty, żeby mi ktoś odstrzelił głowę; nie będę jej nadstawiał ani za Szacha, ani Chomeiniego, ani nawet za "dziedzica" Gavallana. Po prostu musimy nawiać!

- Cholerne gówno, Fowler - wybuchnął jeden z angielskich pilotów. - Czy chcesz, żebyśmy uprowadzili jedną z własnych maszyn? Dostalibyśmy dożywotni zakaz latania!

- Może to lepsze od kołatania do bram niebios!

- Mogliby nas zestrzelić. Nie uda nam się prysnąć. Wiesz przecież, jak nas prowadzą radarami; bardziej niż w Lengeh! Nie możemy nawet zapalić silników bez zezwolenia!

Rudi poprosił ich o uwagi na wypadek, gdyby mieli nagle ewakuować się lądem, powietrzem lub morzem. Odszedł, a oni kłócili się dalej.

75

Przez cały dzień martwił się, zastanawiał, co zrobić, myślał, co było nie tak w Kowissie i Teheranie. Jako szef pilotów poczuwał się do odpowiedzialności za swoich ludzi, którym -

poza tuzinem irańskich robotników i Dżahanem, radiowcem - nie mógł płacić już od sześciu tygodni. Odpowiadał też za wszystkie helikoptery i wyposażenie. Mieliśmy cholerne szczęście, że wydostaliśmy się z Chargu, myślał w napięciu. Przeprowadzka przebiegała gładko; udało się zabrać wszystkie śmigłowce, wszystkie ważniejsze części zamienne, a cała operacja zajęła tylko cztery dni i nie wpłynęła na realizację zobowiązań wynikających z kontraktu.

Wydostanie się z Chargu odbyło się bez kłopotów, gdyż wszyscy chcieli się stamtąd wynieść.

Jak najszybciej. Nawet zanim zaczęły się kłopoty, baza na Chargu nie była lubiana. Można tam było tylko pracować i czekać na urlop w Teheranie lub w domu. Gdy zaczęły się problemy, wszyscy wiedzieli, że Charg będzie pierwszoplanowym celem uderzenia rewolucjonistów. Były tam silne rozruchy, trochę strzelaniny. Potem wśród 161

tłumów pojawiało się coraz więcej opasek Irańskiej Organizacji Wyzwolenia Palestyny, aż w końcu komendant wyspy zagroził, że jeśli rozruchy się nie skończą, każe zastrzelić wszystkich mieszkańców wioski. Od czasu ewakuacji, kilka tygodni temu, na wyspie było spokojnie, złowieszczo spokojnie.

Poza tym ta przeprowadzka nie musiała być tak nagła, przypomniał sobie. Jak działać, jeśli zrobi się naprawdę gorąco? W zeszłym tygodniu poleciał do Ko-wissu po części. Zapytał

wtedy Starke'a, jak zamierza on działać w Kowissie, jeśli zaczną się prawdziwe kłopoty. -

Tak samo jak ty, Rudi. Trzeba będzie próbować działania według przepisów firmy, które nie będą już pasowały do sytuacji - odparł wysoki Teksańczyk. - Nie jesteśmy w najgorszym położeniu. Prawie wszystkie chłopaki to byli wojskowi, przyzwyczajeni do jakiegoś systemu wydawania rozkazów. Z tym że, u diabła, można sobie planować, co się chce, a potem i tak nie da się spać spokojnie, bo jeśli coś się wydarzy, będzie jak zwykle: niektórzy faceci odpadną, inni nie i nigdy nie wie się z góry, co kto zrobi ani nawet, jak się samemu zareaguje.

Rudi nie brał udziału w wojnie, na której się strzela, choć służył w armii niemieckiej w latach pięćdziesiątych, na granicy z Niemcami Wschodnimi. W Niemczech Zachodnich ma się zawsze świadomość istnienia muru, żelaznej kurtyny, za którą przebywają bracia i siostry, a także oczekujących, niezliczonych legionów sowieckich z dziesiątkami tysięcy czołgów i rakiet, w odległości dosłownie kilkunastu metrów. Ma się też świadomość istnienia niemieckich fanatyków po obu stronach granicy; wielbią swego mesjasza, zwanego Leninem, a tysiące szpiegów wgryza się w żywe ciało państwa. Smutne.

Ilu z mojego miasteczka?

Urodził się w małej wiosce w okolicach Plauen, blisko granicy z Czechosłowacją, obecnie w NRD. W 1945 miał dwanaście lat, a jego brat szesnaście i był już w wojsku. Lata wojny nie były złe ani dla niego, ani

162

dla jego młodszej siostry i matki. Mieli co jeść. Jednak w 1945 uciekli przed sowieckimi hordami, biorąc ze sobą to, co mogli unieść. Dołączyli do fali Niemców prącej na zachód: dwa miliony z Prus, następne dwa z północy, cztery z centrum kraju i jeszcze dwa miliony z południa. Podobnie jak miliony Czechów, Polaków, Węgrów, Rumunów, Austriaków i Bułgarów, cierpieli głód, bali się i walczyli o przeżycie.

Walka o przeżycie, pomyślał.

Pamiętał, że kiedyś podczas wędrówki byli zmarznięci, zmęczeni i niemal załamani. Poszedł

razem z matką na wysypisko śmieci, gdzieś koło Norymbergi - miasta w gruzach, wsie spustoszone wojną - żeby znaleźć czajnik. Ich własny skradziono w nocy; czajnika nie można było kupić, nawet jeśli się miało pieniądze. "Potrzebujemy czajnika, żeby gotować wodę. Bez tego zginie wszyscy; dostaniemy tyfusu albo dyzenterii, jak inni. Nie możemy przeżyć bez 76

gotowanej wody". Matka płakała. Poszedł więc z nią, całą we łzach, przekonany, że tracą tylko czas. A jednak znaleźli. Był stary, pocięty i bez rączki, ale nie przeciekał. Teraz ten czajnik jest czysty i błyszczący; stoi na honorowym miejscu, na gzymsie kominka w kuchni na farmie koło Freiburga, w

Szwarcwaldzie, gdzie mieszka jego żona, synowie i matka. Raz w roku, na sylwestra, matka uroczyście robi herbatę z wody zagotowanej w tym czajniku.

Gdy odwiedzał dom, uśmiechali się zawsze do siebie z matką, a ona mówiła: "Jeśli mocno w coś wierzysz i próbujesz, znajdziesz swój czajnik. Nigdy o tym nie zapominaj".

Usłyszał ostrzegawcze okrzyki. Obejrzał się i ujrzał trzy ciężarówki wojskowe, które właśnie wjechały przez bramę. Jedna z nich kierowała się ku wieży, a pozostałe zmierzały do hangarów. Zatrzymały się, a rewolucjoniści z zielonymi opaskami rozsypali się po bazie.

Dwóch biegło w jego kierunku; trzymali w rękach karabiny i krzyczeli coś w farsy, którego nie znał. Pozostali otoczyli ludzi w hangarze. Przerażony nagłym atakiem 163

Rudi podniósł ręce do góry. Dwaj spoceni brodacze wycelowali lufy karabinów w jego twarz.

Drgnął.

- Nie mam broni! - krzyknął. - Czego chcecie?! Żaden nie odpowiedział. Po prostu trzymali go na

muszkach. Widział, jak napastnicy wyganiają ludzi z kontenerów i ustawiają przed hangarami. Inni wpadali do śmigłowców i wypadali z nich, najwyraźniej czegoś szukając. Ze wszystkim obchodzili się nieostrożnie, a jeden z nich wywalił porządnie złożone kamizelki ratunkowe z kieszeni siedzeń. Rudi był już bardziej wściekły niż przerażony.

- Hej, sie verriickte Dummköpfe - krzyknął. - Lassn 'n sie meine verriickten Flugzeuge alleM

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, odsunął lufy karabinów i pobiegł w kierunku helikopterów. Przez chwilę wydawało się, że dwaj Irańczycy zaczną strzelać, ale tylko zabiegli mu drogę. Jeden z nich uniósł karabin, jakby chciał uderzyć go kolbą w twarz.

- Stój! - Zagradzali sobą drogę.

Człowiek, który wykrzyknął tę komendę po angielsku, miał trochę ponad trzydzieści lat, był

masywny, ubrany w strój z grubej tkaniny. Miał zieloną opaskę, zmierzwioną brodę, ciemne, faliste włosy i czarne oczy.

- Kto tu dowodzi?

- Ja! - Rudi Lutz wyrwał się napastnikom. - Co tu robicie? Czego chcecie?

- Przejmujemy to lotnisko w imieniu islamu i rewolucji. - Irańczyk miał angielski akcent. -

Ilu jest tu żołnierzy i personelu wojskowego?

- Nie ma wcale. Nie ma wojska, nie ma obsługi wieży. Jesteśmy tylko my - odparł Rudi, próbując się uspokoić.

- Na pewno? - W pytaniu brzmiała groźba.

- Na pewno. Nie ma. Czasem zaglądamy tu patrole, ale wojsko nie stacjonuje. Nie ma też wojskowych samolotów. - Rudi wskazał palcem hangar. - Powiedz tym... tym ludziom, żeby obchodzili się ostrożnie z moimi śmigłowcami. Od tego zależy życie Irańczyków i nasze.

164

Człowiek odwrócił się i zobaczył, co robią jego podwładni. Sklął ich i zwrócił się znowu do pilota.

- Proszę im wybaczyć - powiedział. - Nazywam się Zataki. Jestem przewodniczącym komitetu Abadanu. Z pomocą Boga, będziemy teraz dowodzić w Bandar Dejlami.

Rudi poczuł wiercenie w brzuchu. Jego ludzie, cudzoziemcy i Irańczycy, sfali zbici w przerażoną gromadkę obok budynku biura, otoczeni wymierzonymi w siebie karabinami.

- Pracujemy dla brytyjskiej...

- Tak, wiemy. S-G Helicopters. - Zataki odwrócił się i znowu krzyknął. Niektórzy jego ludzie niechętnie odłączyli od reszty i zaczęli zajmować pozycje obronne przy bramie. Spojrzał na Rudiego.

- Pańskie nazwisko?

77

- Kapitan Lutz.

- Nie ma się pan czego obawiać, kapitanie Lutz, pan i pańscy ludzie. Czy macie tu broń?

- Tylko pistolety sygnalizacyjne.

- Proszę je przynieść.

Zataki odwrócił się, podszedł do grupy pracowników S-G i zaczął się im przyglądać. Rudi zobaczył strach malujący się na twarzach Irańczyków: kucharzy, personelu naziemnego, mechaników, Dżahana i Jeme-niego, kierownika z IranOil.

- To wszystko moi ludzie - powiedział Lutz, starając się, żeby zabrzmiało to twardo. - Sami pracownicy S-G.

Zataki spojrział na niego i podszedł bardzo blisko, tak że Rudi musiał zapanować nad sobą, żeby się nie cofnąć.

- Czy wie pan, co to znaczy mudzaheddin al-chalg? A fedaini? Tude? - spytał cichym głosem. Był masywniejszy od Rudiego i miał broń.

- Tak.

- To dobrze.

Zataki odczekał chwilę i znowu utkwił spojrzenie w Irańczykach. Oglądał jednego po drugim.

Panowała cisza i wzmagало się napięcie. Nagle wskazał palcem 165

jednego z mechaników. Mechanik pochylił się i zaczął rozpaczliwie uciekać, wykrzykując coś w farsi. Złapali go bez trudu i pobili.

- Komitet osądzi go i skaze w imieniu Boga. - Za-taki spojrzal na Rudiego. - Kapitanie - powiedział, groźnie ściągając usta. - Prosiłem pana o przyniesienie pistoletów.

- Są w sejfie i nikt nie ma do nich dostępu - odparł twardo, choć czuł, że się boi. - Może je pan dostać w każdej chwili; wydaje sieje tylko na czas lotu. Ja... Ja żądam zwolnienia tego człowieka!

Bez ostrzeżenia Zataki odwrócił pistolet maszynowy i chciał uderzyć Rudiego w głowę, pilot jednak uchylił się, chwycił broń, wyrwał ją napastnikowi z rąk, a zanim jeszcze karabin upadł

na ziemię, wymierzył kantem dłoni cios w kierunku gardła przeciwnika. Zatrzymał jednak rękę, ledwie dotykając jego szyi. Odsunął się. Teraz on był w niebezpieczeństwie; wszystkie lufy mierzyły w niego.

Cisza narastała. Jego ludzie patrzyli przerażonymi oczami. Zataki wpatrywał się w niego z gniewem. Cienie były już bardzo długie; lekki wiaterek poruszał rękawem wskazującym kierunek wiatru.

- Podnieś karabin!

Rudi zrozumiał groźbę i wiedział, że chodzi teraz o życie - jego i innych.

- Fowler, zrób to! - rozkazał i modlił się w duchu, żeby jego wybór okazał się trafny.

Fowler niechętnie wysunął się naprzód.

- Tak jest, szefie! - Nieskończenie długo pokonywał dwadzieścia metrów dzielących go od broni, nikt jednak go nie zatrzymał, a jeden z napastników odsunął się, żeby go przepuścić.

Podniósł karabin, odruchowo sprawdził, czy jest zabezpieczony, i podał go Zatakemu, kolbą do przodu. - Nie wygiął się i jest... eee, jak nowy, synu.

Przywódca grupy wziął karabin i odbezpieczył go. W uszach zgromadzonych trzask bezpiecznika zabrzmiał jak grzmot.

166

- Znasz się na broni?

- Tak... och, tak. My... wszyscy mechanicy byliśmy... wszyscy przechodziliśmy kurs w RAFie, to znaczy w Królewskich Siłach Powietrznych - wyjaśnił Fowler, nie spuszczać oczu z twarzy mężczyzny i myśląc: Co ja tu, do kurwy nędzy, robię? Gadam z tym śmierdziuchem, który urwał się z lewego cycka jakiejś dziwki? - Czy nie moglibyśmy się rozejść? Jesteśmy cywilami, synu, i za przeproszeniem nie bierzemy udziału w tej hecy. Jesteśmy neutralni.

78

Zataki wskazał kciukiem szereg.

- Wracaj tam. - Zwrócił się do Rudiego: - Gdzie nauczył się pan karate?

- W wojsku. Niemieckim.

- Ach, niemieckim? Jesteś Niemcem? Niemcy byli dobrzy dla Iranu. Nie tak jak Brytyjczycy albo Amerykanie. Którzy są pilotami? Podaj ich nazwiska i narodowość.

Rudi zawahał się, a potem odpowiedział:

- Kapitan Dubois, Francuz, kapitanowie Tyrer, Błock i Forsyth, Anglicy.

- Nie ma Amerykanów?

Rudi odczuł kolejny skurcz żołądka. Jon Tyrer był Amerykaninem i miał fałszywe dokumenty. Nagle usłyszał silniki nadlatującego helikoptera, poznał charakterystyczny odgłos 206 i odruchowo spojrzął w niebo razem z wszystkimi obecnymi. Ktoś z Zielonych Opasek krzyknął, a inni zajęli pozycje obronne. Rozbiegli się wszyscy z wyjątkiem cudzoziemców, którzy rozpoznali oznaczenia.

- Wszyscy do hangaru - krzyknął Zataki. Śmigłowiec nadleciał już nad lotnisko i zaczął

krążyć na wysokości trzystu metrów.

- Czy to jeden z waszych?

- Tak, ale nie z tej bazy. - Rudi przymrużył oczy. Gdy odczytał znaki, serce zabiło mu mocniej. - To EP-HXT z Kowissu, z naszej bazy w Kowissie.

- Czego chce?

- Oczywiście chce wylądować.

167

- Sprawdź, kto jest na pokładzie. Tylko bez żadnych sztuczek!

Poszli razem do biura, do krótkofalówki.

- HXT, słyszysz mnie?

- Tu HXT. Słyszę wyraźnie. Tu kapitan Starke z Kowissu. - Nastąpiła przerwa, a potem padło pytanie: - Kapitan Lutz?

- Tak, kapitan Lutz, kapitanie Starke.

Z oficjalnego brzmienia głosu kolegi wywnioskował, że na pokładzie musi być ktoś obcy; Starke zachowywał się tak, jakby wiedział, że tu, na dole, coś jest nie w porządku.

- Proszę o zezwolenie na lądowanie. Muszę uzupełnić zapas paliwa. Mam zezwolenie radaru w Abadanie.

Rudi spojrział na Zatakiego.

- Zapytaj, kto jest na pokładzie - rozkazał mężczyzna.

- Kogo masz na pokładzie? Znów przerwa.

- Czterech pasażerów. O co chodzi?

_ Rudi czekał. Zataki nie wiedział, co zrobić. Rozmowa przez radio mogła być podsłuchiwana przez którąś bazę lotnictwa wojskowego.

- Niech wylądaje. Koło hangaru.

- Zezwalam na lądowanie, HXT. Usiądź przy wschodnim hangarze.

- HXT.

Zataki pochylił się i wyłączył radio.

- Odtąd będzie pan używał radiostacji tylko wtedy, gdy ja pozwolę.

- Trzeba składać rutynowe raporty kontroli radarowej w Abadanie i na Chargu. Mój radiowiec...

Krew napłynęła Zatakiemu do twarzy i krzyknął:

- Do czasu otrzymania dalszych rozkazów będziecie używali radia tylko przy nas. Żadna maszyna nie wylądaje tutaj ani nie wystartuje bez naszego zezwolenia. Odpowiada pan za to.

- Jego gniew ulotnił się tak szybko, jak nadszedł. Podniósł karabin, który nadal 168

79

był odbezpieczony. - Gdyby nie zatrzymał pan ciosu, miałbym zmiażdżone gardło i już bym nie żył, czy tak?

Rudi powoli skinął głową.

- Tak.

- Dlaczego pan nie uderzył?

- Ja... nigdy nikogo nie zabiłem. Nie chciałbym teraz zacząć...

- Ja zabiłem wielu. W służbie Boga. Wielu, dzięki Bogu. Wielu. Z bożą pomocą zabiję jeszcze więcej wrogów islamu. - Zataki zabezpieczył broń. - To Bóg zatrzymał pańską rękę, a nie coś innego. Nie mogę wydać panu tego człowieka. Jest Irańczykiem. Jesteśmy w Iranie, a on jest wrogiem Iranu i islamu.

Patrzyli na zbliżającego się 206. Na pokładzie było czterech pasażerów, sami cywile, wszyscy uzbrojeni w półautomatyczne karabinki. Z przodu siedział mułła. Zataki trochę się odprężył, ale znów był zagniewany. W chwili gdy śmigłowiec dotknął ziemi, jego ludzie wypadli z ukrycia, otoczyli

maszynę i wycelowali broń.

Muła Hosejn wysiadł. Na widok niezbyt przyjaznego powitania stężała mu twarz.

- Pokój z wami. Nazywam się Hosejn Kowissi, z komitetu w Kowissie.

- Witaj na moim terenie w imieniu Boga, mułio

- powiedział Zataki z jeszcze gniewniejszym spojrzeniem. - Jestem pułkownik Zataki z komitetu w Abadanie. Panujemy nad tym terenem i nie lubimy ludzi, którzy wciskają się pomiędzy nas i Boga.

- Sunnici i szyici są braćmi. Islam jest islamem

- rzekł Hosejn. - Dziękujemy naszym sunnickim braciom z pól naftowych Abadanu za poparcie. Porozmawiajmy. Nasza rewolucja islamska jeszcze nie zwyciężyła.

Zataki sztywno kiwnął głową, odwołał swych ludzi i skinął na mułę. Oddalili się, żeby nikt nie słyszał ich rozmowy.

Rudi natychmiast podszedł do maszyny.

169

- Co się tu, do cholery, dzieje, Rudi? - zapytał Starke z kokpitu. Kończył właśnie procedurę wyłączania silnika.

Rudi mu wyjaśnił.

- A co u was? - zapytał z kolei.

Starke opowiedział szybko, co wydarzyło się w nocy i o rozmowie w biurze pułkownika Peszadięgo.

- Muła wrócił w południe razem z tymi zbirami. Omal ich szlag nie trafił, gdy oświadczyłem, że nie będę woził uzbrojonych ludzi. Chłopie, wolałem umrzeć niż wozić broń i pomagać w ten sposób rewolucji. A rewolucja jeszcze się nie skończyła. Widzieliśmy setki oddziałów i zapory na drogach. - Przebiegł oczami bazę, grupki Zielonych Opasek, sterroryzowaną załogę i nadal nieprzytomnego mechanika. - Sukinsyny - powiedział i wysiadł. Przeciągnął się. - W końcu osiągnęliśmy kompromis. Zachowali broń, ale magazynki zamknąłem w luku bagażowym...

Przerwał, gdyż wysoki muła, Hosejn, zbliżał się do nich i wchodził pod obracające się teraz powoli śmigło.

- Poproszę o klucz od luku bagażowego, kapitanie - powiedział.

Starke wręczył mu klucz.

- Nie zdążymy wrócić do Kowissu i nie zdążymy dolecieć do Abadanu.

- Nie umie pan latać w nocy?

- Umie, ale zabraniają tego przepisy. Miał pan słuchawki na uszach i słyszał, jak działa tu kontrola radarowa. Zanim zdążymy się wznieść, wojskowe śmigłowce i samoloty zlecą się jak szerszenie. Napełnię bak i przenocujemy tutaj, a przynajmniej ja. Pan może zawsze dostać jakiś środek transportu od swoich kolegów i pojechać do miasta.

80

Hosejn poczerwieniał.

- Wasze czasy już się kończą, Amerykaninie - powiedział w farsi. - Wasze i wszystkich imperialistycznych pasożytów.

170

- Skoro taka jest wola Boga, mułło... Będę gotów do lotu po pierwszej modlitwie. Potem startuję, z tobą albo bez ciebie.

- Zabierzesz mnie do Abadanu i poczekaasz, a potem wrócimy do Kowissu tak, jak ja sobie życzę i jak rozkazał pułkownik Peszadi!

- Jeśli będziesz gotowy po pierwszej modlitwie!

- warknął Starke po angielsku. - I pamiętaj, że Peszadi nie może mi rozkazywać. Ani ty.

IranOil poprosił mnie tylko, żeby tym razem cię zabrać. Muszę po drodze uzupełnić paliwo.

- Bardzo dobrze, wystartujemy o świcie - odpowiedział Husejn z irytacją w głosie. - Co do tankowania....

- Przez chwilę myślał. - Zrobimy to na Chargu.

Starke i Rudi zdziwili się.

- Jak możemy dostać zgodę na lądowanie na Chargu? Wciąż jest lojalne, to jest... nadal kontrolowane przez wojsko. Odstrzelą nam głowy.

Hosejn spojrział na nich uważnie.

- Poczekaście tutaj, dopóki komitet nie podejmie decyzji. Za godzinę chcę rozmawiać przez radio z Ko-wissem.

Odszedł groźny jak chmura gradowa.

- Te sukinsyny są zbyt dobrze zorganizowane, Rudi

- powiedział cicho Starke. - Wdepnęliśmy w niezłe gówno.

Rudi poczuł, że nogi się pod nim uginają.

- Lepiej przygotujmy się jakoś do ucieczki.

- Zrobimy to, jak już coś zjemy, dobra?

- Dziś myślałem, że już po mnie. Oni chcą nas wszystkich pozabjać, Duke.

- Nie sędzę. Z pewnych przyczyn jesteście dla nich bardzo ważni. Potrzebują nas i dlatego Husejn czasami ustępuje, a twój Zataki także. Mogli nas przecież na przykład pobić, ale na razie jesteście dla nich zbyt cenni. - Starke przeciągnął się znowu, żeby pozbyć się wrażenia zdrętwiałych pleców i karku. - Chętnie wpadłbym do sauny Erikkiego. - Odwrócili głowy, gdy kilku

171

ludzi z Zielonych Opasek zaczęło strzelać w powietrze. - Zwariowane sukinsyny.

Podśluchałem, że ta akcja jest częścią powstania skierowanego przeciwko armii; broń przeciwko broni. Jak jest tutaj z odbiorem radiowym? Łapiecie BBC albo Głos Ameryki?

- Zwykle bardzo kiepsko, nawet fatalnie. Oczywiście Radio Wolny Iran słyhać bardzo wyraźnie, jak zwykle. - Była to stacja radziecka nadająca z Baku nad Morzem Kaspijskim. -

Radio Moskwa także słyhać dobrze. Jak zwykle.

OKOLICE TEBRIZU, 18:05. W pokrytych śniegiem górach na północy, niedaleko granicy z ZSRR, 206 Pettikina wspinał się szybko nad wzniesienie, niemal się ocierając o wierzchołki drzew i lecąc nad drogą.

- Tebriz Jeden, HFC z Teheranu. Słyszysz mnie? - rzucił po raz któryś do mikrofonu Pettikin.

Znowu brak odpowiedzi. Światło nie było jaskrawe; słońce późnego popołudnia kryło się za grubymi chmurami, kłębiącymi się zaledwie kilkadziesiąt metrów wyżej, szarymi i nabrzmiętymi śniegiem. Ponownie spróbował wywołać bazę; był bardzo zmęczony, miał

rozoraną twarz i nadal czuł razy, jakie mu zadano. Rękawiczki i skóra popękana na knykciach sprawiały, że z trudem wcisnął guzik nadawania.

- Tebriz Jeden, tu HFC z Teheranu, słyszycie mnie?

173

81

I znów nie było odpowiedzi, ale to go nie niepokoiło. Odbiór w górach był zawsze kiepski, a poza

tym nie było powodu, aby Erikki Yokkonen czy kierownik bazy utrzymywali nasłuch.

Ponieważ droga się wspinała, pokrywa chmur leżała coraz niżej; zobaczył z ulgą, że wierzchołek wzniesienia jest czysty; dalej droga opadała i do bazy było już tylko pół

kilometra.

Dziś rano dotarcie do małej bazy lotnictwa wojskowego w Galeg Morghi zabrało mu więcej czasu, niż przypuszczał, choć baza ta nie była odległa od międzynarodowego lotniska w Teheranie. Mimo iż wyszedł z domu przed świtem, dotarł na miejsce dopiero wtedy, gdy słońce wzeszło już wysoko i świeciło blado spoza kłębow dymu spowijających niebo.

Wielokrotnie musiał zawracać. W mieście toczyły się walki; wiele ulic było zablokowanych -

rzadziej przez rozmyślnie wzniesione barykady, częściej przez wypalone wraki samochodów i autobusów. Na pokrytych śniegiem jezdniach i chodnikach widać było mnóstwo ciał

poległych i rannych. Dwukrotnie zawracała go policja. Nie zniechęcił się jednak i wybrał

drogę jeszcze bardziej okrężną. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, zauważył ze zdumieniem, że brama wiodąca do części bazy, w której prowadzili szkołę pilotażu, jest otwarta i nie strzeżona. Zwykle stały tam posterunki wojsk lotniczych. Wjechał do środka i zaparkował

samochód w bezpiecznym wnętrzu hangaru S-G, nie zobaczył jednak żadnego mechanika ani nikogo innego z obsługi naziemnej.

Dzień był chłodny, więc Pettikin miał na sobie zimowy kombinezon. Śnieg pokrywał lotnisko oraz dużą część pasa startowego. Sprawdził 206, którego chciał zabrać. Wszystko było w porządku. Części, których potrzebowano w Tebrizie - tylny rotor i dwie pompy hydrauliczne -

leżały w luku bagażowym. Zbiorniki były pełne, co wystarczało na dwie i pół do trzech godzin lotu, a więc zasięg do trzystu, pięciuset kilometrów, zależnie od wiatru, wysokości i prędkości. Musiał jednak uzupełnić po drodze paliwo. Według planu lotu miał to zrobić w Bandar-e Pahlawi, porcie nad Morzem

174

Kaspijskim. Bez wysiłku wytoczył maszynę przed hangar. Wtedy rozpętało się piekło.

Ciężarówki wypełnione żołnierzami wjeżdżały pędem przez bramę na płytę lotniska. Witał je tam grad pocisków; strzelano z głównej części bazy: z hangarów, baraków i okien budynków administracji. Następne ciężarówki popędziły obwodnicą i wtedy odezwały się karabiny maszynowe transportera opancerzonego bren. Osłupiały Pettikin rozpoznał znaki Nieśmiertelnych umieszczone na rękawach i hełmach. Chwilę później przybyły autobusy wypełnione paramilitarnymi oddziałami policji i jakimiś innymi ludźmi, którzy rozbiegli się po tej części bazy, gdzie się znajdował. Zanim zorientował się, co się dzieje, czterech mężczyzn zawlokło go do jednego z autobusów, pokrzykując w języku farsji.

- Chryste, nie rozumiem farsi - wrzasnął, próbując się oswobodzić.

Jeden z napastników uderzył go w żołądek, aż poczuł mdłości; wyrwał się i rąbnął go w twarz. Inny mężczyzna natychmiast wyciągnął pistolet i wystrzelił. Pocisk przeszył kołnierz parki Pettikina i odbił się rykoszetem od autobusu, pozostawiając za sobą plamki płonącego kordytu. Zesztywniał. Ktoś uderzył go mocno w usta; pozostali przyłączyli się, bijąc i kopiąc.

Wówczas nadszedł jeden z policjantów.

- Amerykanin? Ty Amerykanin - rzucił ze złością w kiepskiej angielszczyźnie.

- Jestem Brytyjczykiem. - Pettikin z trudem łapał oddech. Czuł w ustach krew; próbował

strząsnąć z siebie mężczyzn, którzy przyciskali go do maski autobusu. - Jestem z S-G

Helicopters, a to jest mój...

- Amerykanin! Sabotażysta! - Mężczyzna przyłożył Pettikinowi lufę do twarzy, a jego palec opierał się na spuście. - My, SAVAK, wiemy, że to wy, Amerykanie, spowodowaliście wszystkie nasze kłopoty!

82

Potem, przez kurtynę strachu, Pettikin usłyszał okrzyk w farsi i poczuł, że trzymający go ludzie rozluźniają uścisk. Z niedowierzaniem spojrzał na młodego Brytyjczyka, kapitana spadochroniarzy, w polowym

175

mundurze maskującym i w czerwonym berecie, oraz dwóch małych, uzbrojonych po zęby żołnierzy o orientalnych twarzach, z granatami przypiętymi do pasów i z plecakami. Stali przed nimi. Kapitan nonszalancko lewą ręką podrzucał granat, jakby to była pomarańcza.

Granat był zabezpieczony zawleczką. Brytyjczyk miał rewolwer u pasa i nóż o dziwnym kształcie, tkwiący w pochwie. Nagle znieruchomiał, wskazał palcem Pettikina, a potem 206, krzyknął coś gniewnie w farsi. Wymachiwał władczo ręką, a następnie zasalutował

Pettikinowi.

- Na Boga, niech się pan postara wyglądać na kogoś ważnego, kapitanie Pettikin - rzucił

szybko ze szkockim akcentem. Oderwał rękę policjanta od ramienia Pettikina. Jeden z Irańczyków zaczął unosić karabin, ale zamarł, gdy kapitan wyrwał zawleczkę granatu, trzymając jednak mocno łyżkę. Jednocześnie jego ludzie przeładowali swe automaty i trzymali je luźno, choć w pełnej gotowości. Starszy z nich uśmiechnął się i sprawdził, czy nóż gładko wychodzi z pochwy. - Czy pański helikopter jest gotów do startu?

- Tak - mruknął Pettikin.

- Proszę zapalić silnik jak najszybciej. Zostawić otwarte drzwi. Gdy będzie pan mógł

startować, proszę dać nam znak, a my wskoczmy do środka. Proszę lecieć nisko i z dużą szybkością. Teraz! Tenzing, idź z nim!

Oficer wskazał kciukiem odległy o pięćdziesiąt metrów helikopter. Zwrócił się znowu do Irańczyków, skłął ich w farsi i kazał wracać na drugą stronę lotniska, gdzie walka nieco przycichła. Żołnierz nazwiskiem Tenzing ruszył za wciąż oszołomionym Pettikinem.

- Proszę się pośpieszyć, sahib - powiedział i oparł się o drzwiczki z karabinem gotowym do strzału. Pettikinowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Nadjechało więcej opancerzonych pojazdów, mijały ich jednak obojętnie, podobnie zresztą jak inne grupy policji i wojska, nerwowo przygotowujące się do obrony bazy przed tłumem, którego pomruk słyhać było coraz wyraźniej. Za nimi policjant klócił się gwałtownie ze 176

spadochroniarzem, a inni oglądali się przez ramię, w kierunku, skąd dochodziło przeciągłe Allahuuuu Ak-barrrrl Pomieszane z pojedynczymi strzałami z broni palnej i hałasem wybuchów. Dwieście metrów dalej, na drodze biegnącej wokół lotniska, tłum podłożył ogień pod zaparkowany samochód, a ten eksplodował.

Odrzutowe silniki śmigłowca ożyły, co rozgniewało policjanta, ale w tej samej chwili falanga młodych ludzi

- uzbrojonych cywilów - wtargnęła przez bramę na teren bazy. Ktoś krzyknął:

"Mudżaheddini!" Natychmiast wszyscy znajdujący się w tej części bazy zgromadzili się, żeby ich przechwycić, i zaczęli strzelać. Korzystając z zamieszania, kapitan i drugi żołnierz podbiegli do helikoptera i wskoczyli do środka. Pettikin włączył pełną moc, uniósł się nad ziemią, pochylił maszynę, żeby ominąć płonąca ciężarówkę i poszybował ku górze. Kapitan stracił równowagę i omal nie upuścił granatu; nie mógł wsunąć z powrotem zawlecarki, gdyż helikopter gwałtownie skręcił, a on sam zawisł na otwartych drzwiczkach. Wyrzucił granat i obserwował jego lot ku ziemi.

Granat rozerwał się, na szczęście nie wyrządzając nikomu krzywdy.

- Dobra - powiedział kapitan.

Zamknął drzwi i zapiął pas. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy żołnierzom nic się nie stało i kciukiem dał Pettikinowi znać, że wszystko w porządku. Pilot ledwie to zauważył. Gdy tylko wyleciał poza Teheran, posadził maszynę w krzakach, z dala od dróg i wiosek. Szukał śladów kul. Gdy stwierdził, że żaden pocisk nie trafił śmigłowca, odetchnął głęboko.

- Chryste, nie wiem, jak panu dziękować, kapitanie

- rzekł przezwyciężając ból głowy, i wyciągnął rękę.

- Myślałem, że to jakaś cholerna fatamorgana, kapitanie...?

- Ross. To sierżant Tenzing, a to kapral Gueng. Pettikin uściskał im ręce i podziękował. Byli niscy i uśmiechnięci, ale twardzi i wysportowani. Tenzing był starszy, miał już chyba ponad pięćdziesiąt lat.

- Chyba niebiosy was zesłały...

177

Ross uśmiechnął się; białe zęby błysnęły w spalonej słońcem twarzy.

- Nie bardzo wiedziałem, jak się stamtąd wydostać. Głupio by było zabić policjanta, a nawet tych z SA-VAK-u.

- Rzeczywiście. - Pettikin nie widział nigdy u żadnego mężczyzny tak niebieskich oczu.

Oceniał, że kapitan nie ma jeszcze trzydziestu lat. - Co się tam, u diabła, działo?

- Zbuntowali się niektórzy żołnierze sił powietrznych i kilku oficerów. Lojaliści mieli ich powstrzymać. Słyszeliśmy też, że zwolennicy Chomeiniego i lewacy idą na pomoc buntownikom.

- Co za bałagan! Nie wiem, jak mam dziękować. Skąd pan wiedział, jak się nazywam?

- My, no, obito się nam o uszy, że ma pan zatwierdzony lot do Tebrizu przez Bandar-e Pahlawi i chcieliśmy się z panem zabrać. Spóźniliśmy się i myśleliśmy, że już pan poleciał.

Przepędzili nas do diabła i odeszliśmy. Jednakże pojawiliśmy się jakoś w końcu.

- Dzięki Bogu. Jesteście Gurkhami?

- Tylko... luźnymi facetami, jeśli można tak to nazwać.

Pettikin z namysłem pokiwał głową. Zauważył, że żaden z mężczyzn nie miał naszywek ani innych insygniów. Wyróżniały ich tylko czerwone berety oraz gwiazdki kapitana Rossa.

- Skąd "luźni faceci" wiedzą o zatwierdzonych lotach?

- Naprawdę nie wiem - odparł Ross. - Ja tylko wykonuję rozkazy. - Rozejrzał się. Teren był

płaski i kamienisty. Zrobiło się zimno; wszędzie leżał śnieg. - Czy nie uważa pan, że powinniśmy się ruszyć? Widać nas z daleka.

Pettikin wszedł do kokpitu.

- Co się dzieje w Tebrizie?

- W gruncie rzeczy chcielibyśmy, żeby wyrzucił nas pan przy Bandar-e Pahlawi, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

178

- W porządku. - Pettikin rozpoczął procedurę startu. - Co tam się dzieje?

- Powiedzmy, że musimy kogoś odwiedzić w sprawie psa.

Pettikin wybuchnął śmiechem. Czuł sympatię do młodego mężczyzny.

- Rzeczywiście, tam jest dużo psów, a ja przestaję zadawać pytania.

- Przepraszam, ale wie pan, jak to jest. Byłbym także wdzięczny, gdyby zapomniał pan, jak się nazywam i że w ogóle byliśmy na pokładzie.

- A jeśli zapytają mnie władze? Nasz start był trochę f~ widowiskowy i trudno, żeby nikt go nie zauważył.

- Nie podałem panu żadnego nazwiska, tylko pana zmusiłem do startu. - Ross uśmiechnął się.

- Groźbami.

- Dobrze. Ale nie zapomnę pańskiego nazwiska. Pettikin wylądował o kilka kilometrów od portu

Bandar-e Pahlawi. Ross wybrał to miejsce, badając mapę, którą miał ze sobą. Były to wydmy przy plaży, odległe od najbliższej wioski, nad spokojnymi, błękitnymi wodami Morza Kaspijskiego. Na morzu widać było łodzie rybackie, a na słonecznym niebie - obłoki.

Panował tu tropikalny klimat; w powietrzu unosiły się owady i nie było nawet śladu śniegu, 84

choć góry Elburs za Teheranem były nim pokryte. Lądowanie bez zezwolenia było poważnym wykroczeniem, Pettikin jednak wywoływał lotnisko w Bandar-e Pahlawi, gdzie miał uzupełnić paliwo, i nie otrzymał odpowiedzi; uznał więc, że nikt wykroczenia nie wykryje, a w razie czego mógł nałgać coś o lądowaniu awaryjnym.

- Powodzenia, i jeszcze raz dziękuję - powiedział i uściśnął dłonie mężczyzn. - Gdybyście kiedykolwiek mnie potrzebowali, pomogę wam zawsze.

Wysiedli, założyli plecaki i weszli na wydmy. Szybko zniknęli mu z oczu.

- ' Tebriz Jeden, słyszycie mnie? Krążył niespokojnie na przepisowej wysokości dwustu metrów, a potem zszedł niżej. Żadnego śladu życia,

179

światła wygaszone. Czując się dziwnie niepewnie, wylądował w pobliżu hangaru. Czekał tam, w każdej chwili gotów do wzniesienia się w powietrze, gdyż nie wiedział, czego może się spodziewać; wiadomość o buncie w Teheranie - prawdopodobnie chodziło o elitę sił

powietrznych - wytrąciła go z równowagi. Ale nikt się nie pojawiał. Nic się nie działo.

Niechętnie zablokował urządzenia sterownicze, pozostawiając silnik na chodzie, i wysiadł.

Było to bardzo niebezpieczne i sprzeczne z przepisami - blokada mogła puścić, a śmigłowiec przechylić się i wydostać spod kontroli.

Nie chciałbym jednak dać się złapać, pomyślał Pet-tikin ponuro; jeszcze raz sprawdził

blokadę i zaczął brnąć przez śnieg w kierunku biura. Było puste, podobnie jak hangary i kontenery, ani śladu nikogo i... żadnych śladów walki. Czując się nieco pewniej, szedł przez puste obozowisko tak prędko, jak mógł. Na stole w mieszkaniu Erikkiego Yokkonena stała pusta butelka po wódce. Pełna była w lodówce. Marzył o drinku, ale nigdy nie pił, gdy miał w perspektywie lot. Dobrze więc, że była także woda w butelkach, trochę irańskiego chleba i wysuszona szynka. Napił się wody. Zjem dopiero wtedy, gdy obejdem całą bazę, pomyślał.

Łóżko w sypialni było porządnie zaścielone, na podłodze jednak wałała się w nieładzie para butów. Stopniowo odkrywał nowe ślady nagłej ewakuacji. Następne kontenery zdradzały coraz więcej szczegółów. W bazie nie było środków transportu; zniknął nawet czerwony rangę rover Erikkiego. Było oczywiste, że bazę opuszczono w pośpiechu. Ale dlaczego?

Zbadał wzrokiem niebo. Wiatr się wzmógł; słyszał jego zawrodożenie poprzez spowity śniegiem las i ponad stłumionym warkotem silnika, pracującego na wolnych obrotach.

Poczuł, jak przez ciepłą kurtkę lotniczą, spodnie i buty przenika zimno. Jego ciało domagało się gorącego prysznica albo jeszcze lepiej - sauny Erikkiego. Potrzebował też jedzenia i łóżka, gorącego grogu i ośmiu godzin snu. Wiatr nie jest problemem, pomyślał, ale jeszcze tylko najwyżej przez godzinę będzie jasno.

W tym czasie muszę uzupełnić zapas paliwa, przelecieć nad przełęczą i wydostać się na równinę. A może tu przenocować?

Pettikin nie czuł się dobrze ani w lesie, ani w górach. Znał za to pustynię i busz, dżunglę i słabo zalesione obszary południowej Afryki, a także Umarłą Krainę w Arabii Saudyjskiej.

Nigdy nie przejmował się długimi lotami nad płaskim terenem. Przejmował się zimnem. I śniegiem. Najpierw tankowanie, pomyślał.

Paliwa jednak nie było; wszystkie czterdziestogalo-nowe beczki okazały się puste. Nic nie szkodzi, powiedział sobie, zwalczając panikę, jaka w nim narastała. To, co mam, wystarczy na dwieście czterdzieści kilometrów do Bandar-e Pahlawi. Mogłbym polecieć na lotnisko w Tebrizie albo wykombinować trochę benzyny z magazynu ExTex w Ardebil, ale to jest cholernie blisko granicy z Sowietami.

Ponownie spojrzął na niebo. Cholera jasna! Mogę zaparkować maszynę tutaj albo gdzieś po drodze. Co zrobić?

Tutaj. Tak będzie bezpieczniej.

Wyłączył silnik, wtoczył 206 do hangaru i zamknął drzwi. Teraz cisza była ogłuszająca.

Zawahał się, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Śnieg skrzypiał mu pod nogami. Gdy szedł do 85

kontenera Erikkiego, wiatr szarpał na nim ubranie. W połowie drogi zatrzymał się i poczuł

skurcz w żołądku. Wiedział, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się, badając wzrokiem las i teren bazy. Rękaw wskazujący kierunek wiatru tańczył i miotał się w dzikich skrętach, drzewa trzeszczały pod naporem wichury. Przypomniawszy sobie nagle, jak Tom Lochart, siedząc przy ognisku w Zagrosie podczas jednej ze wspólnych wypraw narciarskich, opowiadał kanadyjską legendę o Wendigo, demonie zła lasu, zrodzonym z dzikiego wiatru, który czai się w wierzchołkach drzew, jęczy, czeka, żeby kogoś zaskoczyć, i spada nagle z góry na ofiarę, która jest przerażona, zaczyna uciekać, ale nie może uciec, biegnie coraz większymi krokami, czując za plecami lodowaty podmuch, aż wreszcie jej stopy zamie-180

181

niąją się w pniaki; wtedy Wendigo chwyta ją, porywa na wierzchołek drzewa i zabija.

Zadrżał. Nie chciał być tu sam. To dziwne, pomyślał. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale niemal nigdy nie jestem sam. Zawsze ktoś jest obok: mechanik, pilot, przyjaciel albo dawniej Genny, Mac czy Claire.

Wciąż wpatrywał się w las. Gdzieś, w oddali, ujadają psy. Nadal czuł czyjaś obecność. Z

wysiłkiem opanował niepokój, wrócił do śmigłowca i znalazł pistolet sygnalizacyjny verey light. W drodze powrotnej do kontenera Erikkiego trzymał broń o krótkiej lufie ogromnego kalibru tak, by była widoczna; czuł się lepiej, mając ją przy sobie. Z ulgą zamknął drzwi na zasuwę i zasłonił okna.

Noc nadeszła szybko. W ciemnościach zwierzęta rozpoczęły polowanie.

TEHERAN, 19:05. McIver szedł wyludnionym, wysadzonym drzewami bulwarem w dzielnicy mieszkaniowej. Był zmęczony i głodny. Nie świeciła żadna latarnia; starannie wybierał w mroku drogę między zaspami przylegającymi do ścian eleganckich domów po obu stronach drogi. Zimny wiatr przynosił z oddali odgłosy Strzałów i pomruki tłumu: Allahhhu Akbarr. Skreślił za róg i omal nie wpadł na czołg typu centurion, ustawiony częściowo na chodniku. Oślepiło go światło latarki. Z cienia wychynęli żołnierze.

- Kim jesteś, agha? - zapytał dobrą angielszczyzną młody oficer. - Co pan tu robi?

- Jestem... kapitan McIver... Duncan McIver. Wracam z mojego biura do domu. Mieszkam po drugiej

stronie parku, za następnym rogiem.

- Poproszę o dokumenty.

McIver sięgnął ostrożnie do wewnętrznej kieszeni. W dokumencie tożsamości wyczuł dwie małe fotografie: jedną Szacha, a drugą Chomeiniego, ale po słyszanych przez cały dzień pogłoskach o buncie, postanowił nie wyjmować żadnej. Oficer obejrzał dokumenty w świetle latarki. Teraz, gdy oczy McIvera przywykły do ciemno-182

ści, zauważył, że żołnierz jest zmęczony, ma zmierzwioną brodę i wymięty mundur. Jego towarzysze patrzyli w milczeniu. Żaden z nich nie palił, co McIverowi wydało się dziwne.

Centurion piętrzył się nad nim złowrogo; wyglądał niemal jak drapieżny zwierz czatujący na łup.

- Dziękuję. - Oficer oddał mu sfatygowaną kartę. Rozległy się następne strzały, tym razem bliżej. Żołnierze czekali wpatrując się w ciemności. - Lepiej nie wychodzić po zmroku, agha.

Dobranoc.

- Tak, rzeczywiście. Dobranoc. Dziękuję. McIver odszedł, wdzięczny opatrności za to, że nic

się nie stało. Zastanawiał się, czy żołnierze byli lojalistami, czy buntownikami. Chryste, jeśli część armii się zbuntowała, rozpęta się piekło. Następny róg. Ta ulica, a także park były ciemne i wyludnione. Jeszcze niedawno panował tu wielki ruch; było jasno, ze światłem ulicznych latarni zlewał się blask bijący z okien. Dorośli, dzieci, wszyscy szczęśliwi i 86

uśmiechnięci, przechadzali się, żartując pomiędzy sobą. Tego właśnie brakuje mi najbardziej, pomyślał. Śmiechu. Czy te dobre czasy kiedyś powrócą?

McIver miał zły dzień. Telefony nie działały, łączność radiowa z Kowissem rwała się i nie mógł wywołać żadnej z innych baz. Znowu nie przyszedł do biura nikt z personelu, co dodatkowo go zirytowało. Kilkakrotnie próbował wysłać teleks do Gavallana, ale nie mógł

uzyskać połączenia. Jutro będzie lepiej, powiedział do siebie i przyspieszył kroku, nie czując się pewnie na pustych ulicach.

Ich blok miał cztery piętra; zajmowali luksusowy apartament w nadbudówce. Klatka schodowa była słabo oświetlona; zmniejszone do połowy napięcie sprawiało, że żarówki ledwie się żarzyły. Winda nie działała już od wielu miesięcy. Męczył się, wchodząc po schodach, a półmrok powodował, że wszystko wyglądało ponuro. W mieszkaniu jednak płonęły świece, i to podnosiło go na duchu.

- Cześć, Genny! - krzyknął, otworzywszy drzwi i dodał: - Czas na whisky!

183

- Duncan! Jestem w jadalni. Chodź tu na chwilę! Ruszył korytarzem, zatrzymał się w drzwiach i aż

otworzył usta ze zdziwienia. Stół ugiął się od tuzina irańskich potraw, misek pełnych owoców i niezliczonych świec. Genny uśmiechnęła się do niego. I Szahrazad.

- Chryste Panie! Szahrazad, co tu robisz? Jak miło cię widzieć. Co...

- Mnie też jest miło, Mac. Stajesz się coraz młodszy. Oboje wyglądacie świetnie. Tak mi przykro, że przeszkadzam - mówiła szybko Szahrazad wesołym głosem. Pamiętam jednak, że wczoraj przypadała wasza rocznica ślubu, bo to pięć dni przed moimi urodzinami. Wiem, jak lubicie choreszt z jagnięcia i polo, i inne rzeczy, więc przynieśliśmy je - Hasan, Dewa i ja. -

Miała zaledwie metr pięćdziesiąt siedem wzrostu i była typem perskiej piękności opiewanej przez Chajjama. Wstała. - Skoro już wróciłeś, uciekam.

- Poczekaj, dlaczego nie zostaniesz i nie zjesz z nami kolacji, i...

- Nie mogę, choć bardzo bym chciała. Tata wydaje dziś przyjęcie i muszę wziąć w nim udział. To tylko mały prezent. Zostawię Hasana, żeby podawał, a potem posprzątał. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić! Hasan! Dewa! - zawołała.

Uściskała Genny i McIvera, i podeszła do drzwi, gdzie czekali jej dwaj służący. Jeden z nich trzymał futro. Włożyła je i udrapowała czarny czador. Ucałowała jeszcze raz Genny i odeszła szybko razem z drugim służącym. Hasan, wysoki mężczyzna koło trzydziestki, w białej bluzie i czarnych spodniach, z szerokim uśmiechem na ustach zamknął drzwi wejściowe.

- Czy mogę podawać kolację, proszę pani? - zapytał Genny w farsi.

- Tak, proszę, ale za dziesięć minut - odparła z zadowoleniem. - Jak tylko pan napije się whisky.

Hasan podszedł natychmiast do kredensu, przygotował whisky z wodą, uklonił się i wyszedł z jadalni.

- Na Boga, Gen, zupełnie jak w dawnych czasach - rzekł z uśmiechem McIver.

184

- Tak... Czy to nie zabawne? Te dawne czasy były zaledwie kilka miesięcy temu. - Dawniej mieszkało u nich dwoje służących, małżeństwo. Żona przyrządzała wzorowo europejskie i irańskie potrawy, co wynagradzało częste symulowanie chorób przez jej męża, który imał się różnych zajęć. McIver nazywał go Ali Babą. Oboje nagle zniknęli, jak niemal cała służba, bez wyjaśnienia i oczywiście bez wypowiedzenia. - Zastanawiam się, czy jakoś sobie radzą, Duncan.

- Jasne. Ali Baba był pracusiem. Na pewno odłożył sobie tyle, żeby wystarczyło na cały miesiąc złożony z samych niedziel. Czy Paula wyjechała?

87

- Nie. Znowu będzie nocować. Nogger nie. Poszli na kolację z kimś z Alitalii. Nasz Nogger jest

pewien, że już usidlił Paulę, ale mam nadzieję, że się myli. Lubię tę dziewczynę. -

Słyszeli Hasana krzątającego się w kuchni. - To najwspanialsze dźwięki na świecie.

McIver odwzajemnił uśmiech i podniósł szklanę.

- Dzięki Bogu za Szahrazad i za to, że nie musimy zmywać!

- To rzeczywiście wspaniałe. - Genny westchnęła.

- Taka miła dziewczyna, taka uczynna. Tom jest szczęśliwcem. Szahrazad mówi, że ma tu być jutro.

- Miejmy nadzieję. Wiezie dla nas pocztę.

- Masz jakieś wiadomości o Andym?

- Nie. Jeszcze nie. - McIver postanowił nie wspominać o czołgu. - Czy nie mogłabyś pożyczyć Hasana albo któregoś innego z jej służących na parę dni czy na tydzień? To by ci ogromnie pomogło.

- Nie pytałam. Wiesz, jak to jest.

- Chyba masz rację, to bardzo krępujące. Cudzoziemcy nie mogli obecnie znaleźć nikogo do pomocy, niezależnie od ceny, jaką byli gotowi zapłacić. Dawniej było to bardzo łatwe. Przy pomocy służby, i znając kilka słów w farsy, można było bez wysiłku prowadzić dom i robić zakupy.

- To była jedna z przyjemniejszych rzeczy w Iranie

- powiedziała Genny. - Teraz już nic nie osładza życia na obczyźnie.

185

- Nadal myślisz o Iranie jako o obcym kraju? Po tych wszystkich latach?

- Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Cała grzeczność, uprzejmość tych Irańczyków, z którymi się stykaliśmy... Zawsze czułam, że to tylko fasada, że ich prawdziwe odczucia są takie jak te, z którymi spotykamy się teraz otwarcie. Oczywiście, nie wszyscy są tacy; nie mówię o naszych prawdziwych przyjaciółach. Na przykład An-nusz: jest nadal jedną z najmiłszych, najgrzeczniejszych osób na świecie. - Annusz była żoną generała Walika, najstarszego z irańskich współników. - Większość żon to czuje, Duncan - dodała w zamyśleniu. - Może dlatego cudzoziemcy trzymają się razem... Te wszystkie gry w tenisa, wyprawy narciarskie, żeglowne, weekendy nad Morzem Kaspijskim; ze służącymi, którzy nosili koszyki piknikowe i sprząтали. Prowadziliśmy tu wspaniałe życie, ale to się skończyło.

- Wróci, mam nadzieję. Zarówno dla nas, jak i dla nich. Gdy szedłem do domu, spostrzegłem nagle, czego mi najbardziej brakuje: śmiechu. Teraz już nikt się nie śmieje, przynajmniej na ulicy. Nawet dzieci. - McIver powoli sączył whisky.

- Mnie też brakuje śmiechu. I Szacha. To źle, że musiał odejść. Niedawno jeszcze wszystko było tak dobrze zorganizowane, przynajmniej, jeśli chodzi o nas. Biedny człowiek. Ładnie mu się odwdzięczyliśmy, jemu i jego żonie, za przyjaźń, jaką nam oferował. Wstydzę się. Na pewno robił, co mógł dla swego narodu.

- Niestety, Genny, oni tak nie uważali.

- Wiem. To jest niestety smutne. Życie bywa niekiedy smutne. No cóż, rozpamiętywaniem niczego nie osiągniemy. Głodny?

- Nie powiem, że nie.

Światło świec sprawiało, że pokój wyglądał miło i przyjaźnie; zniknął chłód i posępny nastrój. Zasłony były zaciągnięte i odcinały ich od ponurej nocy za oknem. Hasan wniósł

parujące miseczki, wypełnione kilkoma wariantami choresztu. Choreszt oznacza zupę, lecz w gruncie rzeczy jest czymś więcej; zawiera duszone

186

jagnię albo kurczaka, rodzynki i przyprawy. Wniósł także polo - pyszny irański ryż, obgotowany, a potem zapiekany w miseczkach wysmarowanych masłem, do chwili gdy powierzchnia robi się twarda i złocistobrązo-wa - przysmak ich obojga.

88

- Szahrazad jest wspaniała; działa jak opatrunek na rany.

Genny odwzajemniła uśmiech.

- Owszem, taka już jest. Paula też.

- Ty także nie jesteś gorsza, Gen.

- Ty też. Tylko nie wypij z tej okazji kielicha do poduszki. Jean-Luc powiedziałby teraz: Bon appetit!

Jedli z apetytem wspaniałe potrawy, wspominając posiłki, które spożywali w domach przyjaciół.

- Gen, jadłem dziś lunch z młodym Christianem Tollonenem. Pamiętasz go? To ten przyjaciel Erikiego z ambasady fińskiej. Powiedział mi, że paszport Azadeh jest już przygotowany. To świetnie, ale przy okazji zauważył, że ośmiu na dziesięciu jego irańskich przyjaciół i znajomych wyjechało już z kraju. Jeśli nastąpi nowy eksodus, niedługo zostaną tu tylko mułowie i ich trzódki. Potem ja zacząłem liczyć i wyszła mi taka sama proporcja; to wszystko ci, których nazywaliśmy klasą średnią lub wyższą.

- Nie winię ich za to, że wyjechali. Na ich miejscu zrobiłabym to samo. - Potem dodała: - Ale Szahrazad chyba nie.

McIver odczuł, że coś się za tym kryje; spojrział uważnie na żonę.

- Tak?

Genny bawiła się leżącym na stole okruszkiem. Postanowiła zdradzić mężowi tajemnicę.

- Tylko, na Boga, nie mów nic Tomowi, bo mógłby oszaleć. Nie wiem, w jakim stopniu jest tak naprawdę; na ile młoda dziewczyna, idealistka, może oderwać się od rzeczywistości. W

każdym razie szepnęła mi entuzjastycznie, że spędzi większość dnia w Doszan Tappeh, gdzie, jak mówiła, jest prawdziwe powstanie: karabiny, granaty...

187

- Chryste!

- ... powiedziała wojowniczo, że będzie po stronie tych, których nazwała "wspaniałymi bojownikami o wolność", to znaczy zbuntowanych lotników, niektórych oficerów i Zielonych Opasek, wspieranych przez tysiące cywilów, a przeciwko policji, oddziałom wiernym rządowi i Nieśmiertelnym...

LOTNISKO W BANDAR DEJLAMIE, 19:50. Gdy

tarcza słońca dotknęła horyzontu, przybyli dalsi uzbrojeni rewolucjoniści. Teraz już wszystkie hangary i wejścia były na lotnisku strzeżone. Zataki oświadczył Rudie-mu Lutzowi, że nikt z personelu S-G nie może bez jego zezwolenia wyjść poza teren lotniska, i że wszyscy mają pracować jak zwykle, ale jeden z jego ludzi będzie przydzielony do każdego lotu.

- Nic się nie stanie, jeśli będziecie wykonywać polecenia - dodał. - To wszystko nie potrwa długo. Nadzwyczajna sytuacja wynika z faktu, że jesteśmy w okresie przejściowym; zmieniamy nielegalny rząd Szacha na nowy rząd ludowy.

Nie brzmiało to przekonująco, gdyż zarówno on, jak i jego niezdiscyplinowani ludzie byli przez cały czas zdenerwowani.

189

Starke usłyszał, jak rozmawiają między sobą, i powiedział o tym Rudiemu. Napastnicy spodziewali się w każdej chwili przybycia oddziałów lojalnych Szachowi i kontrataku. Gdy Starke, Rudi i inny pilot amerykański, Jon Tyrer, dostali się do radia w kontenerze Rudie-go, wiadomości już się kończyły. To, co zdołali usłyszeć, nie napawało optymizmem.

"... oraz rządy Arabii Saudyjskiej, Kuwejtu i Iraku obawiają się, że polityczne zamieszanie w Iranie zde-stabilizuje całą Zatokę Perską. Sułtan Omanu oświadczył, że problem jest jeszcze poważniejszy, gdyż sytuacja, jaka się wytworzyła, pozwoli Rosji Sowieckiej, za pomocą jej państw satelickich, na utworzenie w zatoce kolonialnego mocarstwa w celu opanowania cieśniny Ormuz...

89

Według doniesień z Iranu, w nocy toczyły się ciężkie walki pomiędzy sprzyjającymi Chomeinemu, zbuntowanymi kadetami z bazy lotniczej Doszan Tappeh koło Teheranu, wspieranymi przez tysiące uzbrojonych cywilów, a policją, wiernymi rządowi oddziałami wojska i Nieśmiertelnymi, to jest elitarną Gwardią Cesarską Szacha. Do powstańców dołączyło ponad pięć tysięcy lewaków z grupy marksistowskiej Saikal. Niektórzy z nich włamali się do zbrojowni bazy i wynieśli broń"...

- Jezu! - jęknął Starke.

..., W tym czasie Ajatollah Chomeini znowu zażądał dymisji całego rządu i wezwał naród do poparcia wybranego przez niego premiera, Mehdiego Bazarga-na. Zwrócił się też do armii, lotnictwa i marynarki o poparcie dla tej kandydatury. Premier Bachtiar zaprzeczył pogłoskom o groźbie zamachu stanu, ale potwierdził fakt koncentracji sił sowieckich przy granicy z Iranem..

Cena złota skoczyła do 254 dolarów za uncję, a wartość dolara w stosunku do innych walut gwałtownie spadła. To już wszystkie wiadomości z Londynu"...

Rudi wyłączył radio. Siedzieli w saloniku jego kontenera. W jednej z szafek sam zainstalował krótkofalów-

190

kę oraz odbiornik radiowy. Był tam także telefon podłączony do linii bazy. Nie działał jednak.

- Jeśli Chomeini wygra w Doszan Tappeh, armia będzie musiała dokonać wyboru - oświadczył z przekonaniem Starke. - Przewrót, wojna domowa lub ustępstwa.

- Na ustępstwa nie pójdą. To by było samobójstwo, dlaczego mieliby to robić? - odezwał się Tyrer. Był Amerykaninem z New Jersey. - I nie zapominajmy o elicie sił powietrznych.

Znamy ich przecież, do cholery. Ten cały bunt to tylko grupka skretyniałych frustratów.

Prawdziwa zabawa to ci marksisiści, którzy się przyłączyli. Pięć tysięcy! Jezu! I zdobyli broń.

Musimy być kopnięci, że tu jeszcze siedzimy, co?

- Nikt nas nie zmusza. Firma gwarantuje, że każdy, kto chce teraz wyjechać, zachowuje ciągłość pracy. Dostaliśmy to na piśmie - odpowiedział mu Starke.

- Chcesz wyjechać?

- Nie, nie teraz! - zirytował się Tyrer. - Ale co mamy robić?

- Przede wszystkim schodzić z drogi Zatakiemu

- oświadczył Rudi. - Ten sukinsyn jest psychopata.

- Jasne - zgodził się Tyrer. - Ale musimy coś zaplanować.

Rozległo się gwałtowne pukanie i drzwi stanęły otworem. Pojawił się Mohammad Jemeni, kierownik bazy z IranOil - postawny, gładko ogolony mężczyzna w wieku czterdziestu paru lat, który pracował tu od roku. Towarzyszyło mu dwóch strażników.

- Wywołał nas agha Kijabi. Chce natychmiast z panem rozmawiać - powiedział

nieprzyjemnie władczym tonem. Kijabi był szefem IranOil na tym terenie i jedną z najważniejszych osób w południowym Iranie.

Rudi natychmiast włączył krótkofalówkę, która łączyła ich z kwaterą Kijabiego koło Ahwazu, na północ od Bandar Dejlamu. Ku jego zdziwieniu, urządzenie milczało. Kilkakrotnie wciskał

wyłącznik, aż znów ode-

191

zwał się Jemeni. W jego głosie brzmiała jawna satysfakcja.

- Pułkownik Zataki polecił, żeby odłączyć prąd od

tego aparatu. Będziecie korzystać z głównej radiostacji w biurze.

Nikom z obecnych nie podobał się ton jego głosu.

- Przyjdę za chwilę - powiedział Rudi.

Jemeni skrzywił się i rzucił do strażników w kiepskim farsi:

- Pogońcie tego cudzoziemskiego psa! Starke odezwał się również w farsi: 90

- To nasz namiot. Święty Koran zawiera bardzo dokładne normy dotyczące obrony przywódcy szczepu w jego namiocie przed uzbrojonymi ludźmi. - Obaj strażnicy zatrzymali się. Byli zaskoczeni. Jemeni wlepił wzrok w Starke'a. Nie przypuszczał nawet, że pilot może znać farsi. Odsunął się o krok, gdy Starke wstał i mówił dalej: - Prorok, niech jego imię będzie chwalone, ustanowił reguły zachowania między przyjaciółmi, a także wrogami.

Powiedział też, że psy są nieczyste. My jesteśmy ludźmi Księgi, a nie jakąś hołotą.

Jemeni zaczerwienił się, obrócił na pięcie i odszedł. Starke wytarł w spodnie ręce mokre od potu.

- Rudi, zobaczmy, czego chce Kijabi.

Poszli za Jemenim, a strażnicy za nimi. Nocne powietrze było rześkie; Starke cieszył się, że wyszedł

z ciasnego pomieszczenia.

- Co mówisz? - zapytał Rudi.

Starke wyjaśnił mu, o co chodziło; błędził myślami daleko, pragnął być teraz w Kowissie. Nie chciał zostawiać Manueli, choć wiedział, że była tam bezpieczniejsza niż w Teheranie.

- Kochanie - powiedział przed samym odlotem. - Wydostanę cię stąd najszybciej, jak tylko będę mógł.

- Jestem tu bezpieczna jak w Teksasie. Mam dużo czasu, dzieci są bezpieczne w Lubbock; nie wyjechałam z Anglii, dopóki nie upewniłam się, że są w domu, a wiesz, że dziadzius Starke nie pozwoli ich skrzywdzić.

192

- Jasne. O dzieci jestem spokojny, ale chciałbym, żebyś jak najszybciej wyjechała z Iranu.

Usłyszał, że Rudi pyta:

- Co to znaczy "ludzie Księgi"?

- Chrześcijanie i żydzi - odpowiedział, zastanawiając się, jak by mógł zabrać 125 do Kowissu. - Mahomet uznaje także Biblię i Torę za święte księgi; mają wiele wspólnego z Koranem. Wielu uczonych, naszych uczonych, uważa, że po prostu je przepisywał, choć zgodnie z muzułmańską legendą Mahomet nie potrafił czytać ani pisać. Recytował Koran z pamięci. Cały. Możesz to sobie wyobrazić? - spytał z podziwem w głosie. - Inni to wszystko spisywali przez całe lata po jego śmierci. Po arabsku Koran jest przepiękny, to znaczy jego poetyka.

Doszli do kontenera biurowego, strzeżonego przez strażników palących papierosy. Starke czuł się dobrze. Był zadowolony, że poradził sobie z Jemenim, mułłą Hosejnym i w ogóle -

przez cały dzień piętnaście lądowań, wszystkie nienagane, oczekiwanie, podczas gdy mułła perorował i przekonywał robotników do Chomei-niego. Ani razu w zasięgu wzroku nie pojawił się policjant czy agent SAVAK-u, choć oczekiwali ich w każdej chwili i przy każdym lądowaniu. Jemeni to tylko gó-wienko kurczaka w porównaniu z Hosejnym, pomyślał.

Zataki i dwaj mułłowie czekali w kontenerze biurowym. Dżahan, radiowiec, siedział przy aparacie. Zataki zajmował miejsce Rudiego. Biuro było dawniej bardzo schludne; teraz panował tu bałagan; wszędzie wały się papiery, stały brudne filiżanki, w których poniewierały się, jak zresztą i na podłodze, niedopałki papierosów. Na biurku stały talerze z nie dojedzonym posiłkiem - ryżem i kozim mięsem. W powietrzu unosiły się kłęby tytoniowego dymu.

- Mein Gott! - Rudi był wściekły. - To jest verriick-te, świńskie i...

- Zamknij się! - Zataki wybuchnął gniewem. - To sytuacja bojowa! - Potem dodał spokojniej:

- Może pan... może przysłać jednego ze swoich ludzi, żeby posprzątał. Nie wolno panu wspomnieć o nas Kijabie-193

mu. Proszę zachowywać się normalnie i wykonywać moje polecenia. Proszę na mnie patrzeć.

Zrozumiał pan,

kapitanie?

91

Rudi kiwnął głową z kamiennym wyrazem twarzy. Zataki skinął na radiowca, który na ten znak rzucił do mikrofonu:

- Ekscelencjo Kijabi, jest już kapitan Lutz. Rudi przejął mikrofon.

- Tak, szefie? - powiedział, używając przyzwiska Jusufa Kijabiego.

Zarówno on, jak i Starke, znali go od wielu lat. Kijabi przeszedł szkolenie w Texas A and M i w ExTex. Później objął sektor południowy i od tego czasu pozostawali w dość zażyłych stosunkach.

- Dobry wieczór, Rudi - rozległ się głos w amerykańskiej angielszczyźnie. - Mamy przeciek w jednym z rurociągów, gdzieś na północ od ciebie. To coś poważnego. Właśnie dostaliśmy meldunek od pompowni. Bóg wie, ile baryłek zdążyli już przepompować od czasu awarii, a ile zostało jeszcze w rurach. Nie daję wezwania CASEVAC, ale chcę, żeby helikopter poszukał tego o świcie. Czy możesz mnie zabrać?

Zataki skinął przyzwalająco głową, więc Rudi powiedział:

- W porządku, szefie. Będziemy wkrótce po świcie. Chcesz 206 czy 212?

- 206. Będę tylko ja i mój główny inżynier. Poleć ty, dobrze? To mógł być sabotaż, pewnie jest duża wyrwa. Masz jakieś problemy w Bandar Dejlamie?

Rudi i Starke zdawali sobie sprawę z tego, że są koło nich ludzie z bronią.

- Nie, nie większe niż zwykle. Do zobaczenia jutro. Rudi chciał szybko zakończyć rozmowę, gdyż Kijabi

narzekał zwykle na rewolucjonistów. Nie popierał fanatyzmu wzniesianego przez Chomeiniego i nie podobało mu się czyjekolwiek mieszanie się do spraw przemysłu naftowego.

- Poczekaj chwilkę, Rudi. Słyszeliśmy, że w Abada-nie są dalsze rozruchy; sami słyszeliśmy strzelaninę

194

w Ahwazie. Czy wiesz, że jakiś Amerykanin i jeden z naszych pracowników wpadli wczoraj w zasadzkę niedaleko Ahwazu i zostali zabici?

- Tak. Tommy Stanson. Parszywa sprawa.

- Niech Bóg przeklnie wszystkich morderców! Tude, mudzaheddinów, fedainów i diabeł wie, kogo jeszcze!

- Przepraszam, szefie. Muszę już kończyć. Zobaczymy się jutro.

- No, dobrze. Możemy porozmawiać jutro. In sza'a Allah, Rudi. In sza'a Allah! Nadawanie się skończyło. Rudi westchnął z ulgą. Kijabi nie powiedział chyba niczego, co mogłoby im zaszkodzić. Chyba że ci ludzie byli członkami Tude albo jakimiś innymi ekstremistami, a nie zwolennikami Chomeiniego, jak twierdzili. "Wszyscy nasi ekstremiści zasłaniają się mułłami albo przynajmniej próbują", powiedział mu kiedyś Kijabi. "Niestety, mułłowie są zwykle ubogimi, niezbyt rozgarniętymi wieśniakami i łatwo dają się nabrać wyszkolonym powstańcom. Niech Bóg przeklnie Chomeinie-go"...

Rudi poczuł nieprzyjemne swędzenie na plecach.

- Jeden z moich ludzi poleci z panem. Tym razem nie schowa pan jego magazynka - oznajmił Zataki.

Rudi wojowniczo wysunął szczękę do przodu; napięcie panujące w pokoju wzrosło.

- Nie będę przewoził uzbrojonych ludzi. Jest to sprzeczne z przepisami naszej firmy i z prawem irańskim. Złamanie tych przepisów grozi nam odebraniem licencji - rzekł ze wstrętem.

- Być może zastrzelę jednego z pańskich ludzi, jeśli nie wykona pan mojego polecenia.

Zataki z wściekłością cisnął filiżanką o podłogę. Starke wysunął się naprzód. On też był zły.

Zataki skierował w jego stronę lufę pistoletu.

- Czy zwolennicy Ajatollaha Chomeiniego są mordercami? Czy na tym polegają prawa islamu? - zapytał Starke.

92

195

Przez chwilę myślał, że Zataki pociągnie za spust. Odezwał się jednak mułła Hosejn:

- Ja polecę. - Zwrócił się do Rudiego: - Czy przyrzeka pan, że nie będzie żadnych sztuczek, i że wrócimy tu także bez sztuczek?

Po chwili Rudi odpowiedział niepewnie:

- Tak.

- Jesteś chrześcijaninem?

- Tak.

- Przysięgnij na swojego Boga, że nas nie oszukasz. Rudi zawahał się, ale wreszcie rzekł:

- Dobrze. Przysięgam na Boga, że was nie oszukam.

- Jak możesz mu wierzyć?! - zapytał Zataki.

- Ja nie wierzę - wyjaśnił Hosejn. - Ale jeśli przysięgł na Boga, Bóg go ukarze. I jego kolegów. Jeśli nie wrócimy lub jeśli narobi nam kłopotu... - Wzruszył ramionami.

ABERDEEN, REZYDENCJA GAVALLANA,

19:23. Siedzieli w pokoju telewizyjnym i oglądali retransmisję dzisiejszego meczu rugby, Szkocja przeciwko Francji. Obecni byli: Gavallan, jego żona Maureen, John Hogg, który latał

zwykle odrzutowcem 125, należącym do firmy, i jeszcze kilku pilotów. Pod koniec drugiej połowy Francja prowadziła 17 do 11. Wszyscy mężczyźni jęknęli, gdy Szkoci stracili piłkę; przejął ją Francuz i zdobył czterdzieści metrów.

- Dziesięć funtów na to, że Szkocja jednak wygra! - zawołał Gavallan.

- Przyjmuję - powiedziała jego żona i roześmiała się, widząc spojrzenie męża. Była wysoka, miała rude włosy. Jej elegancka, zielona sukienka pasowała do koloru oczu. - Mimo wszystko jestem na pół Francuzką.

- W jednej czwartej. Twoja babka była Normandką, à elle horreur, i... - Przerwał mu ryk publiczności, który odbił się echem w pokoju. Szkoccy gracze wydobyli piłkę z młyna, rzucili ją do skrzydłowego, który podał innemu graczowi. Zawodnik ten wyrwał się z grupy, 196

obalił dwóch Francuzów, którzy próbowali go zatrzymać, i rzucił się ku odległej o pięćdziesiąt metrów linii. Zmieniał kierunek, kluczył i znowu parł do przodu. Zachwiał się, lecz szybko wyprostował i popędził triumfalnie, aby pokonać ostatni odcinek. Zerwały się huraganowe oklaski. Przyłożenie! Siedemnaście do piętnastu! Udany wykop może dać dalsze dwa punkty. - Szko-cjaaaa!

Otworzyły się drzwi i stanął w nich służący. Gaval-lan natychmiast wstał, nie odrywając wzroku od ekranu; wykop się udał; mógł już odetchnąć z ulgą.

- Podwójna stawka, Maureen? - zaproponował, przekrzykując radosne ryki Szkotów.

Wychodząc uśmiechnął się do żony.

- Przyjmuję! - zawołała za nim.

Ma do tyłu dwadzieścia funtów, pomyślał z zadowoleniem. Przeciął korytarz rozłożystego, starego domu. Stały tam eleganckie, skórzane meble, a na ścianach wisiały dobre obrazy.

Dużo antyków, większość z Azji. Wszedł do swojego gabinetu. W środku jego szofer, a jednocześnie ochroniarz i totumfacki, który przez trzy godziny wykręcał numer McIvera w Teheranie, trzymał słuchawkę jednego z telefonów.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam...

- Masz go, Williams? Świetnie. Stan meczu 17 do 17.

- Nie, proszę pana, przykro mi. Linia jest ciągle zajęta. Pomyślałem jednak, że ten telefon jest ważny. To pan Ian Dunross.

Rozczarowanie Gavallana rozwiało się natychmiast. Podniósł słuchawkę. Williams wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Ian, świetnie, że cię słyszę. Co za miła niespodzianka!

- Dzień dobry, Andy. Słyszysz mnie dobrze? Dzwonię z Szanghaju.

93

- Myślałem, że jesteś w Japonii. Słyszę świetnie. Jak leci?

- Znakomicie. Lepiej, niż oczekiwałem. Słuchaj, muszę się streszczać, ale słyszałem dwie pogłoski. Po

197

pierwsze, tajpan potrzebuje jakiegoś sukcesu finansowego, a Struan nie wchodzi w tym roku w grę. Co z Iranem?

- Wszyscy mówią, że to się uspokoi, Ian. Mac panuje nad sytuacją, na ile jest to możliwe.

Obiecano nam wszystkie kontrakty Guerneya, tak że będziemy mogli nie tylko związać koniec z końcem. Możemy nawet podwoić zyski, zakładając, że Pan Bóg nam nie przeszkodzi.

- Chyba powinieneś zakładać, że przeszkodzi. Dobry nastrój Gavallana ulotnił się natychmiast. Już

wielokrotnie jego stary przyjaciel ostrzegał go przed czymś prywatnie lub dostarczał

informacji, które okazywały się później zdumiewająco dokładne; nie było wiadomo, z jakiego źródła Dunross czerpie wiedzę, ale mylił się rzadko.

- Dobrze. Natychmiast przyjmę takie założenie.

- Po drugie, usłyszałem właśnie, że szykują się jakieś przetasowania na bardzo wysokim szczeblu, finansowe i w zarządzie Imperial Air. Czy to ciebie dotyczy?

Gavallan zawahał się. Imperial Air była właścicielem Imperial Helicopters, jego głównego konkurenta na Morzu Północnym.

- Nie wiem, Ian. Według mnie po prostu trwonią pieniądze podatników. Jasne, że mogą próbować reorganizacji, gdyż bijemy ich lewą ręką w każdej dziedzinie, to znaczy w bezpieczeństwie, ofertach, spręcie... A przy okazji: zamówiłem sześć X63.

- Czy tajpan o tym wie?

- Ta wiadomość prawie rozluźniła mu zwieracz. - Gavallan usłyszał śmiech. Poczł się jak w dawnych czasach w Hongkongu, gdy Dunross był tajpanem, a życie było dziksze i ciekawsze, gdy Kathy była sobą i nie chorowała. Joss, pomyślał, skupił się jednak na rozmowie. -

Wszystko, co dotyczy Imperial, jest ważne; natychmiast to sprawdzę. Inne wiadomości są zdecydowanie dobre: nowe kontrakty z ExTex. Zamierzam powiedzieć o nich na najbliższym spotkaniu zarządu. Struan nie jest w niebezpieczeństwie, prawda?

198

Znowu śmiech.

- Noble House jest zawsze w niebezpieczeństwie, • chłopie! Chciałem ci tylko udzielić pewnych wskazówek.

Pozdrów Maureen.

- A ty Penelopę. Kiedy się zobaczymy?

- Wkrótce. Zatelefonuję, gdy będę mógł. Pozdrów Maca, gdy go spotkasz. Cześć!

Gavallan usiadł na krawędzi swego eleganckiego biurka. Gubił się w domysłach. Jego przyjaciel zawsze mówił "wkrótce", i mogło to oznaczać miesiąc albo rok. Albo nawet dwa lata. Nie widziałem go właśnie od dwóch lat, pomyślał. Szkoda, że nie jest już tajpanem.

Cholerna szkoda, że się wycofał, ale to się musiało stać. Trzeba czasem zrobić miejsce młodszym. "Doczekałem się, Andy", powiedział wtedy Dunross. "Struan prosperuje, lata siedemdziesiąte będą wspaniałą erą ekspansji i... no, i nie ma już takiego zamieszania". To było w roku 1970, wkrótce po tym, gdy jego główny, znenawidzony rywal, Quillan Gornt, tajpan Rothwell-Gornt, zatonął podczas pływania łodzią koło ShaTin, na Nowych Terytoriach Hongkongu.

Imperial Air? Gavallan spojrzł na zegarek, sięgnął po słuchawkę telefonu, zatrzymał jednak ruch ręki, słysząc delikatne pukanie do drzwi. Maureen wsunęła głowę i uśmiechnęła się, gdy zobaczyła,

że mąż nie rozmawia przez telefon.

- Wygrałam! Dwadzieścia jeden do siedemnastu. Jesteś bardzo zajęty?

94

- Nie, kochanie. Wejdz.

- Nie mogę. Muszę sprawdzić, czy kolacja jest już gotowa. Może być za dziesięć minut? Jeśli chcesz, możesz mi zapłacić od razu!

Roześmiał się, objął ją i uścisnął.

- Po kolacji! Niezłe z ciebie ziółko, pani Gavallan.

- Jasne. Ale nie zapomnij! - Czują się dobrze w jego ramionach. - Z Makiem wszystko w porządku?

- To był Ian. Zadzwoił tylko po to, żeby pogadać. Z Szanghaju.

- Kiedy go zobaczymy?

199

- Wkrótce.

Roześmiała się razem z nim. Miała żywe oczy i kremową karnację. Poznali się siedem lat temu w Castle Avisyard, na balu sylwestrowym u tajpana Davida Mac-Struana. Ona miała dwadzieścia osiem lat. Niedawno się rozwiodła i była bezdzietna. Jej uśmiech rozjaśniał

wszystko wokół, a Scot szepnął: "Tato, jeśli nie zaciągniesz jej do ołtarza, to będzie znaczyło, że jesteś stuknięty". Jego córka, Melinda, powiedziała to samo. Wreszcie, jakieś trzy lata temu, stało się, i od tego czasu każdy dzień był dniem przepełnionym szczęściem.

- Dziesięć minut, Andy? Jesteś pewien?

- Tak, muszę zatelefonować. - Gavallan dostrzegł wyraz jej twarzy i dodał szybko: - Tylko jeden telefon. Przrzekam. Potem Williams będzie pilnował aparatu.

Pocałowała go szybko i odeszła. Wykręcił numer.

- Dobry wieczór, czy mogę mówić z panem Percym? Tu Andrew Gavallan.

Sir Percy Smedley-Taylor, dyrektor Struan's Holdings i członek parlamentu, miał zostać ministrem obrony, gdyby konserwatyści wygrali najbliższe wybory.

- Cześć, Andy. Miło cię słyszeć, zwłaszcza jeśli chodzi o polowanie w sobotę. Możesz na mnie liczyć. Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej, ale byłem dość zajęty. Ten tak zwany rząd

wpędza kraj w kłopoty. Szkodzi też tym biednym, cholernym związkom zawodowym.

- Zgadzam się z tobą całkowicie. Czy ci przeszkadzam?

- Nie. Wybieram się tylko do Izby na kolejne nocne głosowanie. Ci cholerni idioci nie chcą, żebyśmy byli w NATO... i jeszcze parę innych spraw. Jak wypadła próba z X63?

- Wspaniale! Jest lepszy, niż wynika z zapewnień producenta. Jest najlepszy na świecie!

- Chciałbym się nim przejechać, gdybyś mógł to załatwić. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Usłyszałem plotkę o tajnej reorganizacji Imperial Air na wysokim szczeblu. Czy wiesz coś o tym?

200

- Mój Boże, staruszkule! Masz naprawdę świetne kontakty. Usłyszałem o tym dopiero dziś po południu. Szeptało mi coś niecoś źródło opozycyjne, którego nie sposób zakwestionować.

Cholernie dziwne! Na razie nic mi to nie mówi; zastanawiam się, o co im chodzi. Czy masz jakieś konkretne wiadomości?

- Nie. Tylko ta plotka.

- Sprawdź to. Zastanawiam się... zastanawiam się, czy ci głupcy nie przygotowują Imperial do formalnej nacjonalizacji, razem z Imperial Helicopters, z tobą i całym Morzem Północnym...

- Boże wszechmogący! - Gavallan zaniepokoił się bardzo poważnie. Taka myśl nie przyszła mu przedtem do głowy. - Czy mogą to zrobić, gdyby chcieli?

- Tak. To bardzo proste.

Niedziela

11 lutego 1979

95

OKOLICE BANDAR DEJLAMU, 6:55. Wkrótce po świcie Rudi wylądował nie opodal przepustu, a teraz cała czwórka stała na brzegu. Słońce poranka świeciło wesoło i jak dotąd nie było problemów. Ropa nadal wylewała się z rury, ale nie była już pod ciśnieniem.

- To tylko to, co zostało w rurociągu - powiedział Kijabi. - Za godzinę już nic nie będzie wyciekało.
- Był gładko ogolonym mężczyzną o rysach świadczących o zdecydowaniu; liczył

pięćdziesiąt parę lat i nosił okulary. Miał na sobie spłowiałe ubranie w kolorze khaki i kask.

Rozejrzał się wokół ze złością. Grunt był przesiąknięty ropą, a powietrze ciężkie od oparów. -

Cały ten teren stanowi śmiertelne zagrożenie.

Ruszył do przewróconego pojazdu. W samochodzie i obok leżały trzy powykręcane ciała; zaczynały już śmierdzieć.

205

- Amatorzy? - spytał Rudi, opędzając się od much. - Przedwczesny wybuch?

Kijabi nie odpowiedział. Zszedł na dół, do przepustu. Było tam trudno oddychać; przeszukał jednak dokładnie rów i wrócił na drogę.

- Chyba masz rację, Rudi. - Spojrzał z kamienną twarzą na Hosejna. - To wy?

Muła oderwał wzrok od samochodu.

- Imam nie wydał takich rozkazów. To robota wrogów islamu.

- Jest wielu wrogów islamu, którzy twierdzą, że wierzą w proroka, i którzy przekręcają jego słowa tak, jak im wygodniej - zauważył gorzko Kijabi. - Zdradzają go i zdradzają islam.

- Zgadzam się z tym. Bóg znajdzie ich i ukarze. Gdy Iran będzie rządzony zgodnie z prawami islamu, znajdziemy ich i ukarzymy. - Ciemne oczy Hosejna spoglądały twardo. - Co możecie zrobić z tym przeciekiem?

Odnalezienie wyrwy zabrało dwie godziny. Krążyli w promieniu kilkudziesięciu metrów; byli przerażeni zasięgiem wylewu, który pokrył całą rzeczkę i bagna po obu jej stronach. Prąd przeniósł rozlaną ropę na odległość kilku kilometrów. Gruby, czarny osad pokrywał

powierzchnię wody od brzegu do brzegu. Jak dotąd, na jego drodze leżała tylko jedna wioska.

Kilka innych znajdowało się parę kilometrów na południe. Rzeka była źródłem wody pitnej, wody do mycia i prania. Służyła też do odprowadzania nieczystości.

- Spalić to. Jak najszybciej, co? - Kijabi spojrzał na inżyniera.

- Tak, oczywiście. Ale co z wioską, ekscelencjo? • Inżynier był nerwowym Irańczykiem w średnim wieku; co chwila spoglądał niespokojnie na mułkę.

- Trzeba ewakuować mieszkańców, powiedzieć im, żeby uciekali, póki jeszcze mogą.

- A co będzie, jeśli wioska spłonie? - zapytał Rudi.

- To spłonie. Wola Boga.

- Tak - zgodził się Hosejn. - Jak można to podpalić?

- Jedna zapalka załatwiłaby sprawę. Oczywiście, ten, który by ją zapalił, spłonąłby także. -

Kijabi zastanawiał się przez chwilę. - Rudi, masz na pokładzie swój pistolet sygnalizacyjny?

- Tak. - Rudi uparł się, że zabierze pistolet. Stwierdził, że jest niezbędny w nagłych wypadkach. Poparli go wszyscy piloci, choć wiedzieli dobrze, że nie jest to sprzęt niezbędny.

- Mam cztery rakiety sygnalizacyjne. Czy...

Wszyscy spojrzeli w niebo, słysząc odgłos zbliżających się odrzutowców. Dwa myśliwce przemknęły z dużą szybkością i na małej wysokości, kierując się w stronę zatoki. Rudi ocenił, że zmierzały do Chargu. To były myśliwce atakujące; zobaczył, że były uzbrojone w rakiety powietrzeziemia. Czy rakiety te są przeznaczone dla wyspy Charg? Zastanawiał się ze ściśniętym gardłem. Czy rewolucja dotarła aż tam, czy też to tylko rutynowy lot?

- Co o tym sądzisz, Rudi? Charg? - zapytał Kijabi.

- Leciały w stronę Chargu, szefie - stwierdził Rudi, nie chcąc rozwijać tematu. - Jeśli nawet, to na pewno chodzi o zwykły, rutynowy lot. Gdy tam byliśmy, widzieliśmy tuziny startów i lądowań dziennie. Chcesz zapalić ropę raketami?

96

Kijabi ledwie dosłyszał jego słowa. Ubranie miał brudne i prze pocone, a pustynne buty czarne od ropy. Myślał o rewolucji sił powietrznych w Doszan Tappeh. Jeśli ci dwaj piloci są także buntownikami, myślał, zaatakują Charg i zniszczą nasze urządzenia. Iran cofnie się o dwadzieścia lat. Poblądł.

Gdy Rudi przybył rankiem, żeby go zabrać, Kijabi był zdumiony obecnością mułły. Zażądał

wyjaśnień. Kiedy mułła powiedział ze złością, że Kijabi powinien zamknąć wszystkie urządzenia i opowiedzieć się za Cho-meinim, z oburzenia niemal odebrało mu głos.

- To jest rewolucja! To oznacza wojnę domową!

- To wola Boga - odpowiedział Hosejn. - Jest pan Irańczykiem, a nie cudzoziemskim fagasem. Imam nakazał konfrontację z armią i podporządkowanie jej 207

sobie. Z pomocą Boga za kilka dni powstanie pierwsza w dziejach prawdziwie islamska republika od czasów proroka, niech Bóg go błogosławi.

Kijabi miał ochotę powiedzieć to, co powtarzał wielokrotnie w rozmowach prywatnych: "To sen wariata, a ten Chomeini jest złym, stetryczalym staruchem prowadzącym osobistą wendetę przeciwko Pahlawim - Re-zie Szachowi, którego polityka, jak uważa, zabiła jego ojca, i Szachowi Mohammadowi, któremu SAVAK, jak sądzi, zamordował jego syna w Iraku kilka lat temu. Chomeini

jest tylko fanatykiem o ograniczonym umyśle, który chce wprowadzić nas, naród, a zwłaszcza kobiety, z powrotem w Wiek Ciemności..."

Nie wypowiedział jednak tych słów. Powrócił myślami do problemu wioski.

- Jeśli wioska się spali, mieszkańcy będą mogli łatwo ją odbudować. Ich stan posiadania jest czymś ważnym. - Ukrył gniew. - Może pan pomóc, ekscelencjo. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan do nich przemówić.

Wieśniacy nie chcieli odejść. Już po raz trzeci Kijabi wyjaśniał im, że ogień to jedyny sposób, aby ocalić ich wodę i inne wioski. Potem mówił do nich Hosejn, lecz nadal nie chcieli opuścić swych domów. Nadszedł czas południowej modlitwy. Mułła poprowadził ją, a potem znów namawiał wieśniaków, by opuścili brzegi rzeki. Starsi naradzili się między sobą i jeden z nich powiedział:

- To wola Boga. Nie odejdziemy.

- To wola Boga - zgodził się z nim Hosejn. Odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku śmigłowca.

Ponownie wylądowali obok przepustu. Teraz ropa sączyła się już tylko cienkim strumyczkiem.

- Rudi - rzekł Kijabi. - Pójdź na nawietrzną tak daleko, jak możesz, i wpakuj jedną raketę w przepust, a drugą w środek strumienia. Umiesz to zrobić?

- Mogę spróbować. Nigdy jeszcze z tego nie strzelałem.

208

Rudi powlókł się porośniętą krzakami równiną. Pozostali wrócili do helikoptera, który stał w bezpiecznej odległości. Gdy pilot odszedł dostatecznie daleko, załadował broń ogromnym nabojem, wycelował i ściągnął spust. Pistolet odrzucił silniej, niż Rudi oczekiwał. Płonąca flara sygnalizacyjna zatoczyła łuk nisko nad ziemią, odbiła się od gruntu, podskoczyła i wpadła do przepustu. Przez chwilę nic się nie działo, a potem ziemia eksplodowała i ogień strzelał coraz wyżej, zamieniając przewrócony samochód w stos pogrzebowy. Rudi uderzyła fala gorącego powietrza, przeszła jednak, nie czyniąc mu szkody. Gryzący, czarny dym wzbijał się w kierunku nieba. Płomienie rozprzestrzeniały się, pędziły ku strumieniowi.

Druga czerwona rakietka zatoczyła wysoki łuk i wpadła do rzeczki. Rzeczka zajęła się ogniem.

Gdy byli już w powietrzu i kierowali się w dół rzeki, widzieli, że ogień rozprzestrzenia się gwałtownie zgodnie z kierunkiem prądu. Jego drogę znaczyły ogromne chmury czarnego dymu. Gdy dotarli do wioski, zaczęli krążyć. Mężczyźni, kobiety i dzieci uciekali z tym, co udało im się w ostatniej chwili złapać. Wioska spłonęła na ich oczach.

97

Czterej mężczyźni wracali do domu.

Dla Kijabiego domem była kwatery IranOil na przedmieściach Ahwazu, schludny kompleks białych budynków z betonu, z dobrze nawodnionymi trawnikami i lądowiskiem helikopterów, wszystko otoczone wysokim ogrodzeniem.

- Dziękuję, Rudi - z ciężkim sercem powiedział Kijabi.

Helikopter otoczyli uzbrojeni mężczyźni, którzy wyszli z ukrycia, gdy maszyna wylądowała.

Krzyczeli i wymachiwali bronią. Za Kijabim stał mułła; bawił się różańcem.

Kijabi odpiął pas. Wola Boga, pomyślał. Zrobiłem, co mogłem; modliłem się i wiem, że oprócz Boga nie ma innego Boga, a Mahomet jest jego prorokiem. Jeśli mam umrzeć, umrę, przeklinając wrogów Boga, a przede

209

wszystkim Chomeiniego, fałszywego proroka, mordercę, i tych wszystkich, którzy mu sprzyjają.

' Odwrócił się. Jego inżynier miał poszarzałą twarz; siedział sztywno na swym siedzeniu.

- Mułło, polecam cię zemście Boga. - Kijabi wysiadł.

Zastrzelili go, a inżyniera odciągnęli na bok. Potem, na prośbę mułły, pozwolili, aby śmigłowiec odleciał.

W BAZIE LOTNICZEJ W KOWISSIE, 17:09. Manuela szła szybkim krokiem przez teren bazy S-G w kierunku parterowego budynku biurowego, który wyglądał schludnie w popołudniowym słońcu. Wieża radiowa sterczała z dachu, tworząc piętro. Manuela miała na sobie kombinezon lotniczy z emblematem S-G na plecach; jej kasztanowe włosy ginęły pod spiczastym beretem pilota, ale sposób, w jaki się poruszała, podkreślał jej kobiecość.

W pierwszym pomieszczeniu biura znajdowało się trzech członków irańskiego personelu.

Gdy weszła, grzecznie wstali i uśmiechnęli się, zerkając na nią spod grubych powiek.

- Dzień dobry, ekscelencjo Pawud - z uśmiechem przywitała się w farsy. - Kapitan Ayre chciał mnie widzieć?

211

- Tak, pani dobra. Jego ekscelencja jest na wieży

- odparł szef personelu biurowego. - Czy spotka mnie zaszczyt zaprowadzenia pani?

Podziękowała i odmówiła, a gdy poszła korytarzem, i dalej spiralnymi schodami, Pawud powiedział obrażonym tonem:

- To skandal, że tak przed nami paradyje. Chyba jej chodzi o to, żeby nas znieważać.
- Gorzej niż kobieta publiczna z Old Quarter, ekscelencjo - dodał równie zde gustowany drugi urzędnik.
- Na Boga! Spośród wszystkich niewiernych Amerykanie są najgorsi i ich kobiety są najgorsze. A już ta to po prostu prosi się, błaga o kłopoty...
- Błaga o dobrego, irańskiego fiuta - stwierdził niski mężczyzna i podrapał się.
- Ona powinna nosić czador, okrywać się i chodzić skromnie - znów odezwał się Pawud. -
Wszyscy tu jesteśmy mężczyznami i mamy dzieci. Czy ona myśli, że jesteśmy eunuchami?
- Za obrażanie nas powinna zostać wychłostana. Pawud delikatnie potarł nos.
- Z pomocą Boga, wkrótce będzie. Publicznie. Wszyscy będą podlegać prawom islamu. I karom.
- Powiadają, że Amerykanki nie mają włosów łonowych.
- Nieprawda. Po prostu je gołą.
- Z włosami czy bez, ekscelencjo, chciałbym jej wsadzić, tak żeby zaczęła kwiczeć. Z radości
- powiedział niski mężczyzna. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.
- Ta wielka pała, jej mąż, robi to co wieczór, odkąd ona tu jest. - Głównemu urzędnikowi zaświeciły się oczy. - Słyszałem wieczorem, jak pojękiwali.

Zapalił papierosa od niedopałka poprzedniego, wstał i wyjrzał przez okno. Nosił okulary.

Wpatrywał się w niebo, aż dostrzegł w oddali śmigłowiec. Śmierć wszystkim cudzoziemcom, 98

pomyślał, a potem dodał swe najskrytsze pragnienie: i Chomeiniemu razem z jego pasożytami! Niech żyje Tude i rewolucja mas!

212

Wieża była mała, lecz dobrze wyposażona; miała okna ze wszystkich stron. Kowiss był stałą bazą S-G od wielu lat, zdołano zatem zaopatrzyć ją w urządzenia zapewniające bezpieczeństwo i umożliwiające lądowanie niezależnie od warunków atmosferycznych.

Freddy Ay-re, pod nieobecność Starke'a starszy pilot, czekał na Manuełę.

- HXB będzie podchodził do lądowania - oznajmił, gdy weszła. - On...

- Och, wspaniale - przerwała mu.

Przez cały dzień próbowali bez powodzenia skontaktować się ze Starke'em.

- Nie ma powodów do obaw - uspokajał ją Ayre.

- Ich radiostacja często wysiada, tak samo jak nasza.

Słyszeli Starke'a po raz ostatni wczoraj, po zapadnięciu zmroku. Zgłosił, że będzie nocować w Bandar Dejlami i że skontaktuje się z nimi nazajutrz.

- Przykro mi, Manuelo, ale Duke'a nie ma na pokładzie. Pilotuje Marc Dubois.

- Czy był jakiś wypadek? - wybuchła, mając wrażenie, że wali się cały jej świat. - Czy jest ranny?

- Och nie! Nic z tych rzeczy. Gdy Marc zgłosił się kilka minut temu, powiedział, że Duke został w Bandar Dejlami, a on sam musiał zabrać z powrotem mułkę i jego ludzi.

- Czy to wszystko? Jesteś pewien?

- Tak. Popatrz - powiedział Ayre, wskazując okno.

- Już jest.

Śmigłowiec 206 wyłaniał się z blasku słońca. Za nim, w tle piętrzyły się góry Zagros. Poniżej widać było kominy ogromnej rafinerii, z których wydobywały się języki ognia, pochodzące ze spalania nadmiaru gazu. Helikopter usiadł w środku Lądowiska Jeden.

- HXB wyłącza silnik - oznajmił przez radio Marc Dubois.

- Zrozumiano, HXB - odpowiedział z wieży Masil Tugul, Palestyńczyk i długoletni pracownik firmy. Przerzucił się na częstotliwość głównej bazy. - Baza, nie 213

mamy teraz ptaków w systemie. Potwierdzam, że HVU i HCF wrócą przed zachodem słońca.

- W porządku, S-G.

Nastąpił moment ciszy, a potem na kanale głównej bazy rozległ się głos w farsy, który musiał dobiegać z 206. Słysząc go było przez pół minuty.

- In sza a Allah! - mruknął Masil.

- Co to było, do cholery? - zapytał Ayre.

- Mułła Hosejn, agha.

- Co on, do cholery, powiedział? - pytał dalej Ayre, zapominając, że Manuela zna farsy.

Masil zawahał się. Manuela pobladła i odparła za niego:

' - Mułła powiedział: "W imię Boga i w imię Wichru Bożego, uderzać!" Powtarzał to w kółko... - Urwała.

Z przeciwnej strony lotniska dochodził stłumiony odgłos strzałów. Ayre natychmiast złapał mikrofon.

- Marc, a la tom, vite, immediatement - polecił. Miał nienaganny akcent. Spojrzał na zabudowania bazy odległe o pół kilometra. Ludzie wybiegali ze swych baraków. Niektórzy byli uzbrojeni.

Niektórzy zderzali się z innymi i padali. Ayre otworzył jedno z okien, żeby lepiej słyszeć.

Okrzyki Allahu Akbar mieszały się z terkotem broni maszynowej.

- Co to jest? Koło bramy, głównej bramy? - pytała Manuela.

Masil stał obok niej; także był wstrząśnięty, ale nie przestraszony.

Ayre wziął lornetkę i wyregulował ostrość.

99

- Chryste, żołnierze strzelają w kierunku bazy i... i ciężarówki szturmują bramę... pół tuzina... z ciężarówek wyskakują Zielone Opaski, mułlowie, żołnierze...

Na kanale bazy rozległ się głos wykrzykujący słowa w farsy. Urwał się nagle. Znowu Manuela przetłumaczyła: "W imieniu Boga, zabić wszystkich oficerów, którzy sprzeciwiają się imamowi Chomeiniemu. Opanować. To rewolucja!"

Zobaczyli, że mułła Hosejn i jego dwaj ludzie z Zielonych Opasek wyskakują z 206. Mieli przygotowaną

214

do strzału broń. Mułła wypychał Dubois z kokpitu, ale pilot potrząsnął głową, wskazał wirujące śmigła i kontynuował procedurę wyłączenia silnika. Hosejn zawahał się.

W całej bazie S-G praca zamarła. Ludzie wychylali się z okien lub wychodzili na zewnątrz i stali w małych, milczących grupkach, spoglądając na lotnisko. Hałas broni palnej wzmógł się.

Dżip i ciężarówka z cysterną, które miały obsłużyć 206, zatrzymały się na odgłos pierwszych strzałów. Hosejn zawołał w kierunku dżipa i zostawił jednego człowieka do pilnowania helikoptera. Kierowca samochodu uciekł na jego widok. Mułła zaklął, wskoczył do dżipa razem z człowiekiem z Zielonych Opasek, zapalił silnik i ruszył w stronę baraków.

Dubois wbiegł na schody, przeskakując po trzy stopnie naraz. Miał trzydzieści sześć lat, był

wysoki i chudy, o ciemnych włosach. Uśmiechał się łobuzersko. Od razu wyciągnął rękę i przywitał się z Ayre'em.

- Madonna, co za dzień, Freddy! Ja... O! Manuela! - Pocałował ją czule w oba policzki. - Z

Duke'em wszystko w porządku, cheri. Pokłócił się tylko z mułłą, który mu powiedział, że nie będzie więcej z nim latał. Bandar Dejam nie... - Urwał świadom obecności Masi-la; nie ufał

mu. - Muszę się czegoś napić. Chodźmy do kasyna, co?

Nie poszli do kasyna. Marc poprowadził ich na zewnątrz. Stanęli w cieniu budynku, skąd mogli wszystko obserwować i gdzie nikt nie mógł usłyszeć rozmowy.

- Trudno powiedzieć, po czyjej stronie jest Masil i w ogóle większość naszego personelu.

Zresztą może ci biedacy sami nie wiedzą.

Po przeciwnej stronie lotniska nastąpiła głośna eksplozja. Z jednego hangaru strzeliły płomienie i buchnął kłęb dymu.

- Mon Dieu, czy to magazyn paliwa?

- Nie, ale bardzo blisko.

Ayre był bardzo zaniepokojony. Jego uwagę przykuła następna eksplozja, której huk zmieszał

się z chao-

215

tycznym ogniem karabinowym, a potem z ciężką detonacją dużego działa czołgowego.

Dzip z mułłą zniknął za barakami. Ciężarówki wojskowe zatrzymały się blisko głównej bramy; atakujący żołnierze i Zielone Opaski zniknęli w hangarach i barakach. Na ziemi pozostało kilka ciał. Czołgiści broniący budynku, w którym mieściło się biuro komendanta Peszadięgo, kulili się przy drzwiach, z karabinami gotowymi do strzału. Inni czekali w oknach na piętrze. Jeden z nich wypuścił serię z pistoletu maszynowego, gdy ujrzał, że sześciu żołnierzy i lotników z bojowym okrzykiem rzuciło się do ataku. Następna seria i wszyscy byli martwi, umierający lub ciężko ranni. Jeden z trafionych pełzł, szukając schronienia. Żołnierze z wojsk pancernych pozwolili mu doczołgać się w bezpieczne z pozoru miejsce, a potem nafaszerowali go kulami.

Manuela jęknęła; mężczyźni wciągnęli ją głębiej w cień budynku.

- W porządku - powiedziała. - Marc, kiedy wróci Duke?

- Rudi lub Duke zgłoszą się przez radio dziś wieczorem lub jutro. Gwarantuję. Pas de probleme! Le Grand Duke czuje się dobrze. Mon Dieu, teraz dojrzałem już do drinka!

Poczekali jeszcze chwilę. Ogień karabinowy przycichł.

- Chodźcie - zaproponował Ayre. - Będziemy bezpieczniejsi w bungalowach.

100

Ruszyli truchtem w kierunku jednego z eleganckich bungalowów otoczonych śnieżnobiałymi ogrodzeniami i zadbanymi ogródkami. W Kowissie nie było mieszkań dla małżeństw. Zwykle dwaj piloci wspólnie zajmowali bungalow z dwiema sypialniami.

Manuela poszła po drinki i zostawiła mężczyzn samych.

- Co się wydarzyło naprawdę? - zapytał Ayre cichym głosem.

216

Francuz opowiedział mu szybko o ataku i starciu Rudiego z Zatakim.

- Ten stary Kraut naprawdę zasługuje na medal - powiedział z podziwem. - Ale słuchaj: zeszłej nocy zastrzelili jednego z naszych dochodzących robotników. Urządzili mu proces i rozstrzelali za to, że był fedainem. To wszystko trwało cztery minuty. Dziś rano jakieś inne sukinsyny zastrzeliły Kijabiego.

Ayre był przerażony.

- Ale dlaczego?

Dubois opowiedział o sabotażu i wycieku ropy, a potem dodał:

- Po powrocie Rudiego i mułły Zataki zebrał nas i powiedział, że Kijabi został słusznie zastrzelony jako "zwolennik Szacha, zwolennik diabelskich Amerykanów i Brytyjczyków, którzy grabili Iran przez całe lata, a zatem jako wróg Boga".

- Biedny, stary szef. Chryste, bardzo go lubiłem. Był fajnym chłopem.

- Tak. I otwartym przeciwnikiem Chomeiniego, a teraz te sukinsyny mają broń, dużo broni, i są stupides, stuknięci. - Dubois zeszytywniał. - Stary Duke zaczął na nich krzyczeć w farsy, a już wczoraj miał starcie z Zatakim i mułłą. Nie wiedzieliśmy, co mówi, ale zobaczyliśmy, że te sukinsyny zaczęły go kopać. Oczywiście, rzuciliśmy się na pomoc, ale zamarliśmy, słysząc serię z broni automatycznej. Oni też, bo to był Rudi. Wyrwał jakoś jednemu z nich karabin i zaczął strzelać. Krzyknął: "Zostawcie go w spokoju albo pozabijam was wszystkich!" Mierzył

na przemian w Zatakiego i w grupę otaczającą Duke'a. Zostawili go. Sklął ich - ma foi, quel homme - i ubił interes: oni nie będą się nas czepiać, a my pozwolimy im robić tę ich rewolucję. Ja miałem

przylecieć tu z mułłą, a Duke zostać. Rudi zachował broń. Udało mu się skłonić mułłę i Zatakiego, by przysięgli na Allacha, że dotrzymają słowa, ale ja i tak im nie wierzę. Merde, oni wszyscy są merde, mon ami. Rudi był fantastyczny. Powinien być Francuzem. Przez

217

cały dzień próbowałem ich wywołać, ale nie było odpowiedzi...

Po przeciwnej stronie lotniska czołg centurion wyjechał pędem zza baraków, przeciął otwartą przestrzeń i wjechał na główną uliczkę, zatrzymując się naprzeciwko budynku dowództwa i kasyna oficerskiego. Silnik ryczał, maszyna była przysadzista i śmiertelnie groźna.

Wieżyczka z długą lufą obracała się, szukając celu. Nagle gąsienice ożyły, czołg obrócił się wokół własnej osi i wypalił. Pocisk zdemolował piętro, na którym mieściło się biuro pułkownika Peszadiego. Ta niespodziewana zdrada zaskoczyła obrońców budynku. Działo czołgu przemówiło po raz drugi; runął kawał ściany i zapadła się część dachu. Dom powoli ogarniała płomienie.

Z parteru i nie zniszczonej części piętra posypały się kule. Dwóch żołnierzy wypadło na zewnątrz; podbiegli do czołgu i wrzucili do środka granaty. Zaczęli wycofywać się pod gradem kul. W czołgu nastąpiła silna eksplozja; buchnął dym i płomienie. Pokrywa górnego wjazdu odskoczyła; płonący człowiek próbował wydostać się ze środka, został jednak niemal rozerwany na strzępy pociskami obrońców. Wiatr niósł woń kordytu i przypalonego ciała.

Walka trwała ponad godzinę, potem ustała. Zachodzące słońce rzucało krwawą poświatę. Na całym terenie bazy leżeli martwi i umierający ludzie, ale bunt się nie powiódł: nie zabito ani pułkownika Peszadiego, ani jego wyższych oficerów; zbyt mało żołnierzy przeszło na stronę buntowników, a także tylko jedna z załóg trzech czołgów.

101

Peszadi siedział w pierwszym czołgu, kontrolował wieżę i sprawdzał komunikaty radiowe.

Zgromadził wszystkich lojalnych żołnierzy i poprowadził bezlitosny rajd, podczas którego wyłuskano rewolucjonistów z hangarów i baraków. Gdy tylko ostrożna większość, ludzie siedzący okrakiem po obu stronach barykady - w tym wypadku lotnicy i żołnierze -

zorientowała się, że rewolta upadła, przestała się wahać. Natychmiast 218

gorliwie zadeklarowała niezłomną lojalność wobec Peszadiego i Szacha, pozbierała porzuconą broń i, równie gorliwie, w imię Boga, otworzyła ogień do "wrogów". Ale tylko nieliczni strzelali tak, żeby zabić, i choć Peszadi o tym wiedział, nie zamknął drogi ucieczki i pozwolił niektórym atakującym zbiec. Wydał swemu najbardziej zaufanemu człowiekowi tajny rozkaz: zabij mułłę Hosejną.

Hosejnowi jednak udało się w jakiś sposób uciec.

- Tu pułkownik Peszadi - rozległo się na wszystkich częstotliwościach radiowych używanych przez

bazę i megafony. - Dzięki Bogu, wrogowie są martwi, umierający lub schwytani.

Dziękuję lojalnym oddziałom. Wszyscy mężczyźni pozbierają ciała naszych sławnych poległych, którzy zginęli w służbie Boga, i policzą je. Policzą także zabitych wrogów.

Lekarze i personel medyczny! Zajmijcie się bez różnicy wszystkimi rannymi. Bóg jest wielki... Bóg jest wielki! Nadchodzi czas wieczornej modlitwy. Dziś ja będę mułłą i poprowadzę modły. Wszyscy wezmą w nich udział, aby podziękować Bogu.

W bungalowie Starke'a Ayre, Manuela i Dubois słuchali komunikatu przez interkom bazy.

Manuela tłumaczyła. Nad bazą wisiał dym, a powietrze przesiąknięte było nieprzyjemną wonią. Obaj mężczyźni sączyli wódkę z sokiem pomarańczowym z puszki, a Manuela wodę mineralną. Przenośny gazowy kominiek na butan przyjemnie ogrzewał pokój.

- To zadziwiające - powiedziała z namysłem Manuela, starając się nie myśleć o poległych ani o Starke'u w Bandar Dejlami. - Zadziwiające, że Peszadi nie zakończył słowami: "Niech żyje Szach". Czy nie odniósł zwycięstwa? Musi być przerażony.

- Ja także bym był - odparł Ayre. - On jest... - Wszyscy drgnęli, gdy zadzwonił wewnętrzny telefon bazy. Podniósł słuchawkę. - Halo?

- Tu major Czangiz. Kapitanie Ayre, czy oni doszli do waszej strony bazy? Czy wszystko w porządku?

- Tak. Nie było tu żadnych rebeliantów.

219

- Bogu niech będą dzięki. Niepokoiliśmy się o wasze bezpieczeństwo. Jest pan pewien, że nie ma tam u was żadnych zabitych czy rannych?

- O ile wiem, nie.

- Dzięki Bogu. U nas jest mnóstwo. Żaden z wrogów nie jest ranny.

- Żaden?

- Żaden. Czy mógłbym pana prosić, żeby nie wspominał pan nikomu o tym incydencie przez radio? Nikomu, kapitanie. Ścisła tajemnica. Zrozumiał pan?

- Jasno i wyraźnie, majorze.

- Świetnie. Prosimy o pozostawanie na nasłuchu na częstotliwości bazy; w celu zapewnienia bezpieczeństwa będziemy podsłuchiwać na waszej. Prosimy o nieużywanie waszego nadajnika, chyba że my na to zezwolimy w jakimś nagłym wypadku. - Ayre poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, ale nic nie powiedział. - Poczekajcie, proszę, do odprawy u pułkownika Peszadie-go;

odbędzie się o ósmej, a na razie przyślijcie Esfan-diariego i wszystkich wiernych od was na wieczorną modlitwę. Natychmiast.

- Oczywiście, z tym, że Ważniak, to znaczy Esfan-diari jest na tygodniowym urlopie.

Esfandiari był ich kierownikiem z IranOil.

- Doskonale. Przyślijcie więc resztę pod dowództwem Pawuda.

- Już przysyłamy.

102

Połączenie się urwało. Ayre powtórzył reszcie zebranych to, co usłyszał, i poszedł przekazać polecenie Irańczykom.

Na wieży Masil był bardzo zaniepokojony.

- Ale, kapitanie, ekscelencjo... Do zachodu słońca jestem na służbie. Mają jeszcze wrócić dwa 212 i ...

- Powiedział, że wszyscy wierni. Natychmiast. Papiery masz w porządku, jesteś w Iranie od lat. On wie, że tu jesteś, więc lepiej idź... Chyba... chyba że masz jakieś powody do strachu?

- Nie. Żadnych powodów. Nic podobnego. Ayre zobaczył na jego czole kropelki potu.

220

- Nie martw się, Masil - rzekł. - Ja sprowadzę chłopaków na ziemię. Nie ma problemu.

Zostanę tu, dopóki nie wrócisz. To nie potrwa długo.

Sprowadził na ziemię dwie maszyny 212 i czekał z rosnącą niecierpliwością. Masil już dawno powinien być z powrotem. Żeby zabić czas, spróbował odwalić trochę papierkowej roboty, ale nie mógł się skupić; w głowie miał zamęt. Pocieszało go tylko to, że jego żona i synek byli bezpieczni w Anglii - nawet pomimo paskudnej pogody, zawieruchy i zimna, parszywych strajków i parszywego rządu.

Radiostacja ożyła.

- Halo, Kowiss, tu McIver z Teheranu...

TEHERAN - W BIURZE S-G, 18:50. McIver powtórzył:

- Halo, Kowiss, tu McIver z Teheranu. Słyszysz mnie?

- Teheran, tu Kowiss; Oczekiwanie Jeden. - Znaczyło to: "Proszę chwilkę poczekać".

- W porządku, Freddy - odparł McIver i odłożył mikrofon krótkofalówki na biurko.

On i Tom Lochart, który przyleciał po południu z Zagrosu, siedzieli w biurze na najwyższym piętrze budynku, gdzie już od dziesięciu lat, to jest od czasu, gdy rozpoczęli pracę w Iranie, mieściła się Kwatera Główna S-G. Budynek miał cztery piętra i płaski dach, na którym Genny urządziła piękny ogródek, z fotelami, stolikami i rożnem. Generał Beni-Hasan, przyjaciel Andrew Gavallana, bardzo polecał ten dom.

222

- Dla firmy Andy'ego Gavallana tylko to, co najlepsze. Można tu pomieścić pół tuzina biur, cena jest rozsądna, na dachu macie miejsce na własny generator i antenę radiową, jesteście koło głównej drogi na lotnisko, macie obok wygodny bazar, moje biuro jest tuż za rogiem, wygodny parking, a w przeszłości wygodne hotele, słowem, piece de resistance!

Generał z dumą pokazał McIverowi toaletę. Nie było w niej nic szczególnego, nawet nie była specjalnie czysta.

- Na czym polega jej urok? - zapytał zdumiony McIver.

- Jest jedyna w całym budynku, inne są do kucania, to znaczy tylko otwory w podłodze. Jeśli ktoś nie jest przyzwyczajony do kucania, to cała operacja jest dość skomplikowana. W

gruncie rzeczy chodzi o ból w tyłku, zwłaszcza w wypadku pań; zdarzało się, że wpadały do dziury, a rezultaty były opłakane - wyjaśnił jowialnie generał. Był silnym, przystojnym mężczyzną.

- Czy te do kucania są wszędzie?

- Nawet w najlepszych domach. Wszędzie poza luksusowymi hotelami. Jeśli się nad tym zastanowić, Mac, to kucanie jest bardzo higieniczne; nie dotyka się niczym wrażliwym czegoś obcego. A potem to. - Generał wskazał coś, co przypominało krótki wąż ogrodniczy i odchodziło od rury. - Opłukujemy się wodą, zawsze lewą ręką, która jest do gówna; prawa służy do jedzenia. Dlatego nie podaje się nigdy niczego lewą ręką. To by świadczyło o bardzo złym wychowaniu, Mac. W świecie islamu nigdy nie jedz i nie pij używając lewej ręki. I pamiętaj, że zwykle w toaletach nie ma węży; trzeba używać wody z kubła, jeśli przypadkiem jakieś się znajdzie. Jak już powiedziałem, to skomplikowana operacja, ale taki jest zwyczaj.

Nawiasem mówiąc, w krajach islamu nie ma mańkutów. - Zachichotał rubasznie. - Większość 103

muzułmanów nie radzi sobie w pozycji siedzącej, chodzi o układ mięśni, więc kucają także na zachodnich muszlach klozetowych. Dziwne, nieprawdaż? Ale poza większymi miastami, a nawet w nich,

223

prawie w całej Azji, na Środkowym Wschodzie, w Chinach, Indiach, Afryce i Ameryce Południowej nie ma w ogóle nawet wody bieżącej...

- O czy rozmyślasz, Mac? - zapytał Lochart. Obaj siedzieli w starych fotelach. Mieli światło i elektryczny kominek, zasilane z własnego generatora.

McIver chrząknął.

- Myślałem o toaletach do kucania. Nie znoszę kucania i tej cholernej wody. Po prostu nie mogę się do tego przyzwyczaić.

- A mnie to już nie przeszkadza, ledwie zauważam. Mamy taką toaletę w mieszkaniu.

Szahrazad powiedziała, że jeśli chcę, zainstaluje zachodnią toaletę, i że to będzie prezent ślubny od niej, ale odparłem, że jakoś wytrzymam. - Lochart uśmiechnął się krzywo. - Teraz mi to nie przeszkadza, ale, mój Boże, to była jedna z rzeczy, które odstraszyły Deirdre.

- Tak jest z wszystkimi żonami. Na to najbardziej się uskarżają, Genny także. To przecież, do cholery, nie moja wina, że większość ludzkości robi to w ten sposób. Dzięki Bogu, ja mam w mieszkaniu prawdziwy kibel. Gdyby nie to, Genny by się zbuntowała. - McIver podkreślił

głośność w krótkofalówce. - Dalej, Freddy - mruknął.

Na ścianach wisiało wiele map; brakowało obrazów, choć w jednym miejscu widniała jaśniejsza plama po zdjętym, do niedawna obowiązkowym, portrecie Szacha. Przez okno widać było wieczorne niebo poznaczone łunami pożarów. Nigdzie, poza biurem, w którym się znajdowali, nie paliły się światła ani latarnie. Odległy huk broni palnej, zwykłej i automatycznej, mieszał się z normalnym już teraz pomrukiem: Allahhhu Ak-barrrrr...

- Tu Kowiss, mówi kapitan Ayre, słyszę pana głośno i wyraźnie, kapitanie McIver - rozległo się w głośniku.

Obaj mężczyźni drgnęli; Lochart wyprostował się w fotelu.

- Coś jest nie w porządku, Mac. On nie może mówić swobodnie. Widocznie ktoś słucha.

224

McIver przełączył aparat na nadawanie.

- Jesteś przy własnym nadajniku, Freddy? - zapytał, żeby upewnić się, czy to nie pomyłka.

- Tak, po prostu przypadkiem tu wpadłem, kapitanie McIver.

- Czy wszystko jest pięć na pięć?

Oznaczało to maksymalną siłę sygnału radiowego, a w żargonie pilotów: "Czy wszystko w porządku?"

Po rozmyślnej przerwie, która powiedziała słuchającym, że nie, padła odpowiedź:

- Tak, kapitanie McIver.

- To dobrze, kapitanie Ayre - odparł McIver, dając do zrozumienia, że wiadomość do niego dotarła. - Niech pan da na chwilę kapitanu Starke'a, dobrze?

- Przykro mi, proszę pana. Kapitan Starke jest nadal w Bandar Dejlamie.

- Co on tam robi? - rzucił McIver ostrym tonem.

- Kapitan Lutz nakazał mu zostać i polecił kapitanowi Dubois dokończenie lotu z ważną osobistością, zleconego przez IranOil i zatwierdzonego przez pana.

Starke'owi udało się przed startem dodzwonić do Teheranu i wyjaśnić McIverowi problem, jaki mieli z mułłą Hosejnem. McIver zatwierdził lot w takim zakresie, w jakim pułkownik Peszadi na niego się zgadzał, i polecił, by go o wszystkim informować.

- Czy 125 ma być jutro w Kowissie, kapitanie McIver?

- To możliwe - odpowiedział McIver. - Ale nie wiadomo na pewno. Helikopter 125 miał

odlecieć wczoraj do Teheranu, ale z powodu zamieszek wokół lotniska wszystkie krajowe przyloty zostały skreślone do jutra, to znaczy do poniedziałku. Usiłujemy dostać zezwolenie 104

na bezpośredni lot do Kowissu, co jest trudne, gdyż wojskowa kontrola lotów jest... ma zbyt mały personel. Lotnisko w Teheranie jest, no... zatłoczone, więc nie możemy jeszcze zabrać żadnych rodzin. Powiedz Manueli, żeby była gotowa na wypadek, gdybyśmy otrzymali zezwolenie.

225

McIver wykrzywił twarz, myśląc, jak wiele można powiedzieć na jawnym kanale radiowym; zobaczył, że Lochart daje mu znaki.

- Pozwól, Mac. Freddy zna francuski - powiedział cichym głosem Lochart.

McIver rozpromienił się i z wdzięcznością wręczył mu mikrofon.

- Ecoule, Freddy - zaczął Lochart w kanadyjskiej francuszczyźnie. Wiedział, że nawet mówiący świetnie po francusku Ayre z trudem to rozumie. - Marksiści ciągle trzymają lotnisko międzynarodowe. Pomagają im rebelianci Chomeiniego, prawdopodobnie wspierani przez ludzi z OWP. Mają wieżę. Teraz krąży pogłoska, że szykuje się zamach stanu i że premier zatwierdził rozkaz wyprowadzenia wojska na ulice Teheranu. Wojsko ma stłumić rozruchy i strzelać tak, żeby zabjać. Co się tam u was dzieje? Wszystko w porządku?

- Tak, nie ma strachu. - Usłyszeli odpowiedź w języku francuskim. - Nie wolno mi niczego powiedzieć, ale nie mamy tu tak naprawdę problemów; idę o zakład, że oni słuchają. W

Śmierdziuchowie - nazywali tak Bandar Dejlam z powodu zawsze obecnych wyziewów benzyny -

problemy są, a szef przekreślił się przed terminem...

Lochart otworzył szerzej oczy.

- Kijabi nie żyje - mruknął do McIvera.

- ... ale stary Rudi panuje nad sytuacją, a z Du-ke'em wszystko w porządku. Lepiej dajmy spokój, staruszkule. Oni słuchają.

- Zrozumiałem. Trzymaj się i powiedz innym, jeśli będziesz mógł; także o tym, że u nas wszystko w porządku. - Przeszedł płynnie na angielski. - Powtarzam: jutro wysyłamy gotówkę dla twoich ludzi.

W głosie Ayre'a zabrzmiała radość.

- Bez lipy, staruszkule? Lochart roześmiał się.

- Bez lipy. Prowadźcie nasłuch radiowy. Odezwiemy się. Daję ci znowu kapitana McIvera. In sza'a Allah! - Wręczył mikrofon McIverowi.

226

- Kapitanie, czy miał pan wiadomości z Lengeh, wczoraj albo dziś?

- Nie. Nie mogliśmy się połączyć. Może plamy na słońcu... Spróbuję jeszcze raz.

- Dzięki. Pozdrów kapitana Scraggera i przypomnij mu, że w przyszłym tygodniu ma nadejść jego lekarstwo.

- McIver uśmiechnął się ponuro i dodał: - Dopilnuj, żeby kapitan Starke odezwał się, gdy tylko wróci.

Zakończył rozmowę. Lochart poinformował go o tym, czego dowiedział się od Ayre'a. Nalał sobie kolejną whisky.

- A co ze mną, do cholery? - rzucił poirytowany McIver.

- Ależ Mac, wiesz przecież...

- Nie zaczynaj znowu. Zrób bardziej rozcieńczoną.

- Gdy Lochart nalewał, McIver wstał, podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w ciemność. -

Biedny, stary Kijabi. Jeśli w ogóle są dobrzy ludzie, to on właśnie taki był. Dobry dla Iranu i uczciwy wobec nas. Dlaczego go zamordowali?! Dom wariatów! Rudi "polecił" Du-ke'owi i

"polecił" Marcowi; co to, u diabła, znaczy?

- Tylko to, że były kłopoty, ale Rudi nadal panuje nad sytuacją. Freddy powiedziałby mi, gdyby tak nie było. Potrafi szybko myśleć i świetnie zna francuski; znalazłby jakiś sposób.

Miał dużo czasu, chociaż "oni" słuchali, kimkolwiek, do cholery, byli - powiedział Lochart. -

Może było tam tak jak w Zagrosie.

105

W Zagrosie wieśniacy z Jazdek przyszli świtem następnego dnia po powrocie Locharta z urlopu. Mułła z ich wioski dowiedział się o wydanym przez Chomeiniego rozkazie wzniesienia powstania przeciwko "nielegalnemu rządowi Szacha" i objęcia okolicy kontrolą.

Mułła urodził się w tej wiosce i znał każdą ścieżkę w górach, odciętych w zimie od świata i trudno dostępnych przez resztę roku. Wiedział, że komendant policji, przeciwko któremu miał

poprowadzić powstanie, jest jego kuzynem, a Nasiri, kierownik bazy, był mężem córki jego szwagierki mieszkającej obecnie w Szirazie. Co ważniejsze, wszyscy należeli do Galezan -

małego

227

szczepu wędrownych Kaszkajów, który osiedlił się przed wiekami wokół skrzyżowania tych wąziutkich szlaków - a ponadto komendant policji, Niczak-chan, był także ich kalandarem, wodzem szczepu pochodzącym z wyboru.

Tak, więc zgodnie z pradawnym obyczajem, mułła omówił wszystko z Niczak-chanem, który zgodził się, że rewolta powinna być skierowana przeciwko wrogowi z dziada pradiada, Szachowi Pahlawiemu. Symbolicznym rozpoczęciem rewolucji dla wszystkich, którzy zechcą wziąć w niej udział, powinno być oddanie salwy w kierunku gwieździstego nieba i zajęcie lotniska cudzoziemców.

Przybyli o świcie. Uzbrojeni. Wszyscy mężczyźni z wioski. Niczak-chan nie nosił już policyjnego munduru, lecz tradycyjny strój szczepowy. Był znacznie niższy od Locharta, silnie zbudowany, miał ręce z żelaza i nogi ze stali. Jego pierś przecinał pas z nabojami; w dłoniach trzymał karabin. Zgodnie z wcześniejszą umową, Lochart w towarzystwie Jean-Luca Sessonne'a - na prośbę chana - czekał przy dwóch stertach kamieni, symbolizujących bramę bazy. Lochart zasalutował i zgodził się, aby Niczak-chan objął bazę w posiadanie. Sterty kamieni zburzono przy akompaniamencie wiwatów wszystkich uczestników uroczystości i strzałów oddanych w powietrze. Następnie kalendar wręczył bukiet kwiatów Jean-Lucowi Sessonne'owi jako przedstawicielowi Francji, dziękując mu w imieniu szczepu Gale-zan-Kaszkajów za udzielenie pomocy Chomeiniemu, który uwolnił ich od wroga, Szacha Pahlawiego. "Bogu niech będą dzięki, że ten samozwańczy Wielki Król Królów, który ośmielił się świętokradczo próbować wywodzić swe pochodzenie od królów Cyrusa i Dariusza Wielkiego, człowieka odważnego i dumnego, Światła Aryjczyków, ten lokaj cudzoziemskich diabłów, uciekł jak występny kochanek z domu nałożnicy!"

Potem przedstawiciele obu stron wygłosili odważne przemówienia, po których rozpoczęła się

biesiada, a Niczak-chan, popierany przez mułę, poprosił Toma Lo-228

charta, wodza szczepu cudzoziemców w Zagrosie Trzy, 0 pozwolenie na ucztowanie aż do nastania nowej • władzy. Lochart z zapałem uległ tej prośbie.

- Miejmy nadzieję, że Rudiemu i jego chłopakom poszło tak dobrze, jak tobie w Zagrosie, Tom. - McIver spojrział znowu w okno, wiedząc, że nie może zrobić nic, co by im pomogło. -

Dzieje się coraz gorzej - mruknął. Zamordowanie Kijabiego było straszliwym czynem. Dla nas to bardzo zły znak, pomyślał. Jak, u diabła, mogę wyprawić Genny z Teheranu i gdzie, do cholery, jest Charlie?

Nie mieli żadnych wieści od Pettikina, od chwili gdy poprzedniego dnia rano wyleciał do Tebrizu. Ich personel naziemny w Galeg Morghi opowiadał jakieś zwariowane historie.

Mówili, że Pettikin został porwany i zmuszony do startu przez "trzy nieznane osoby" albo że

"trzech irańskich pilotów wojskowych uprowadziło śmigłowiec 206 i odleciało w stronę granicy", albo też, że "trzej pasażerowie byli wysokimi oficerami uciekającymi z kraju".

Dlaczego w każdej opowieści powtarza się cyfra trzy? - myślał McIver. Wiedział, że Pettikin musiał dotrzeć bezpiecznie na lotnisko, ponieważ był tam jego samochód, choć ktoś osuszył

bak, wyrwał radio, i cały wóz zdemolował. Pahlawi, gdzie miał uzupełnić zapas paliwa, 106

milczało; Tebriz leżał właściwie poza zasięgiem radiostacji. Klął w myślach. Ten dzień nie był dobry.

Już od rana nachodzili McIvera rozjuszeni wierzyciele, telefon milczał, linia teleksowa była całymi godzinami zablokowana, a południowe spotkanie z generałem Walikiem, który, według Gavallana, miał co tydzień dostarczać gotówkę, okazało się katastrofą.

- Wypłacimy należności, gdy tylko banki będą otwarte.

- Na Boga, powtarza to pan już od tygodni - odparł chłodno McIver. - Pieniądze są mi potrzebne teraz.

- Tak jak nam wszystkim - wycedził generał. Trząsł się ze złości, hamował jednak gniew, świadom tego, że pracownicy irańscy na pewno podsłuchują z przyległego 229

pokoju. - Toczy się wojna domowa, a ja nie mogę otworzyć banków. Musi pan czekać. - Był

to drogo ubrany, przysadzisty, łysiejący mężczyzna o śniadej cerze, dawny generał wojsk lądowych. Nosił kosztowny zegarek. Jeszcze bardziej ściszył głos. - Nie byłoby tego całego bałaganu, gdyby ci głupcy Amerykanie nie wprowadzili w błąd Szacha i nie namówili go do nałożenia kagańca naszym wspianiałym siłom zbrojnym!

- Dobrze pan wie, że jestem Brytyjczykiem, a bałagan zrobiliście sami.
- Brytyjczycy, Amerykanie, co za różnica? To wszystko przez was. Wy wszyscy zdradziliście Szacha oraz Iran, i musicie teraz za to zapłacić.
- Czym? - zapytał kwaśnym tonem McIver. - Macie wszystkie nasze pieniądze.
- Gdyby nie wasi irańscy wspólnicy, a zwłaszcza ja, naprawdę nie mielibyście żadnych pieniędzy. Andy się nie uskarża. Otrzymałem teleks od mojego szanownego kolegi, generała Dżawadaha; Andy podpisał w tym tygodniu nowe kontrakty Guerneya.
- Andy powiedział, że otrzymał od pana teleks potwierdzający pańską obietnicę dostarczenia nam gotówki.
- Obiecałem, że spróbuję. - Generał z wysiłkiem powściągnął gniew, gdyż zależało mu na współpracy z McIverem. Otarł pot z czoła i otworzył teczkę wypełnioną banknotami o wysokich nominałach, ale trzymał ją tak, aby McIver nie mógł zajrzeć do środka. Wyjął mały zwitek banknotów i zamknął teczkę. Uroczyście odliczył 500000 riali, około 6000 dolarów. -

Oto pieniądze - powiedział triumfalnie, kładąc banknoty na stole.

- W przyszłym tygodniu ja albo któryś z moich kolegów przyniesiemy trochę więcej.

Poproszę o pokwitowanie.

- Dziękuję. - McIver podpisał kwit. - Kiedy możemy oczekiwać...

- W przyszłym tygodniu. Gdy zaczną działać banki, rozliczymy wszystko. Zawsze dotrzymujemy słowa. Zawsze. Czyż nie załatwiliśmy kontraktów Guerneya?

- Walik nachylił się i ściszył głos jeszcze bardziej.

230

- A teraz... Mam specjalny czarter. Chcę mieć 212 na jutro rano.

- Dokąd poleci?

- Muszę przeprowadzić inspekcję pewnych urządzeń w Abadanie - powiedział Walik, a McIver dostrzegł pot na jego czole.

- W jaki sposób uzyskam specjalne zezwolenie, generale? Cała wasza przestrzeń powietrzna jest kontrolowana przez wojsko, i my...

- Proszę nie martwić się zezwoleniem, tylko...

- Jeśli nie będziemy mieli planu lotu, zatwierdzonego z góry przez wojsko, cała ta impreza stanie się

nielegalna.

- Zawsze może pan powiedzieć, że prosiliście o zezwolenie i zostało udzielone ustnie. Co w tym trudnego?

- Po pierwsze, generale, jest to sprzeczne z prawem irańskim, waszym prawem. Po drugie, nawet w wypadku ustnego zezwolenia, jeśli maszyna opuszcza przestrzeń powietrzną 107

Teheranu, trzeba podać najbliższemu wojskowemu kontrolerowi numer lotu; wszystkie plany lotów są odnotowywane w Kwaterze Głównej Sił Powietrznych. Jeśli brak numeru, kontroler każe lądować w najbliższej bazie wojskowej. W tej bazie wszyscy będą wściekli. Maszyna zostanie obłożona sekwestrem, a pasażerowie i załoga trafią do aresztu.

- Musi pan znaleźć jakiś sposób. To bardzo ważny czarter. Można powiedzieć, że... kontrakty Guerneya od tego zależą. Proszę po prostu przygotować 212 do startu o dziewiątej, powiedzmy na Galeg Morghi.

- Dlaczego tam, a nie na lotnisku międzynarodowym?

- Tak będzie wygodniej... Poza tym teraz tam jest spokojniej.

McIver zmarszczył brwi. Przecież załatwienie zezwolenia byłoby dla Walika łatwe.

- Dobrze, spróbuję. - Wyciągnął blok formularzy planów lotów, zauważył, że ostatnia kopia dotyczy lotu Pettikina do Tebrizu. Jego niepokój wzrósł. Gdzie on się, u diabła, podziewa? W

rubryce "pasażerowie" wpi-

231

sał generała Walika, prezesa IHC, i wręczył mu formularz. - Proszę podpisać.

Walik gwałtownie odsunął formularz od siebie.

- Nie ma potrzeby wpisywania mojego nazwiska. Proszę tylko odnotować, że będzie czterech pasażerów

- polecą ze mną żona i dwoje dzieci. No i trochę bagażu. Zostaniemy w Abadanie przez tydzień, a potem wracamy. Proszę przygotować 212 na dziewiątą w Galeg Morghi.

- Przykro mi, generale, ale w planie lotu muszą być podane nazwiska. Inaczej siły lotnicze go nie zatwierdzą. Musimy podać nazwiska wszystkich pasażerów. Wystąpię o zezwolenie, ale wątpię, czy je otrzymam. -McIver zaczął wpisywać pozostałe nazwiska.

- Nie! Proszę przestać! Bez nazwisk! Niech pan napisze, że śmigłowiec zawiezie części zamienne do Aba-danu. Jakies części na pewno się tam przydadzą. - Pot już dosłownie go zalewał.

- Dobrze, ale proszę podpisać upoważnienie z nazwiskami wszystkich pasażerów i z określeniem celu lotu.

Twarz generała nabiegła krwią.

- Proszę przygotować wszystko bez włączania mojej osoby. Natychmiast!

- Nie mogę! - McIver także tracił już cierpliwość.

- Powtarzam: wojsko chce wiedzieć, "kto" i "dokąd". Czepiają się teraz jak rzep psiego ogona. Tym razem będzie jeszcze gorzej, gdyż już od tygodni nie latamy tą trasą.

- To specjalny lot. Z częściami zamiennymi. Proste.

- To wcale nie jest proste. Posterunek w Galeg Morghi nie wpuści pana bez papierów na pokład, a wieża nie pozwoli wystartować. Przecież, na Boga, zobaczą, jak pan wsiada. -

McIver wpatrywał się w Walika ze zdumieniem. - Dlaczego nie załatwi pan zezwolenia, generale? Ma pan najlepsze kontakty w Iranie. Udałoby się to panu z łatwością.

- Te wszystkie maszyny są nasze. Nasze!

232

- Tak, to prawda - ponuro odpowiedział McIver. • - Gdy za nie zapłacicie. Należą się nam jeszcze cztery

miliony dolarów. Jeśli chce pan lecieć do Abadanu, wolno panu. Ale jeżeli złapią pana w maszynie S-G z fałszywymi dokumentami, które ja musiałbym kontr-asygnować, wyląduje pan w areszcie razem z rodziną, ze mną i z pilotem. Zajmą maszynę i może już na zawsze zakażą nam lotów.

Sama myśl o areszcie była przerażająca. Jeśli dziesiąta część opowieści o SAVAK-u i irańskich aresztach odpowiadała prawdzie, nie były one przyjemnym miejscem pobytu.

Walik poskromił gniew. Przywołał na twarz cień uśmiechu.

108

- Nie kłóćmy się, Mac. Zbyt dobrze się znamy. Zrobimy to tak, że się opłaci. Tobie i pilotowi, co? Dwanaście milionów riali. Dla was dwóch.

McIver spojrział na pieniądze pustym wzrokiem. To było około 150000 dolarów - ponad 100000 funtów szterlingów. Drętwo pokręcił głową.

Walik zareagował natychmiast.

- No dobrze. Dwanaście milionów na każdego. Plus koszty. Połowa teraz, a połowa, gdy już

będziemy na lotnisku w Kuwejcie. W porządku?

McIver był w szoku. Nie tylko z powodu sumy, lecz przede wszystkim dlatego, że Walik wspomniał otwarcie o Kuwejcie. McIver podejrzewał to od początku, ale nie chciał wierzyć.

Zaprzeczało to całkowicie twierdzeniu, które generał powtarzał od miesięcy; iż Szach złamie opozycję, a potem Chomeiniego. Nawet po zdumiewającym wyjeździe Szacha i równie zadziwiającym powrocie Chomeiniego do Teheranu - mój Boże, czy to mogło być zaledwie dziesięć dni temu? - Walik powtarzał dziesiątki razy, że nie ma się czym przejmować, że Bachtiar i cesarscy generałowie utrzymują należyłą równowagę sił, i że nigdy nie pozwolą na

"powodzenie tej komunistycznej rewolucji posługującej się Chomeinim". Ani też Stany Zjednoczone. Nigdy. We właściwym czasie służby specjalne miały przejąć 233

władzę. Nie dalej niż wczoraj Walik powtórzył to w zaufaniu i powiedział, że słyszał, iż lada chwila można spodziewać się wystąpienia armii i Nieśmiertelnych, a stłumienie małego buntu w siłach powietrznych w Do-szan Tappeh jest pierwszą tego oznaką.

McIver oderwał wzrok od pieniędzy i spojrzał w oczy siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie.

- O czym wiesz, a my nie wiemy?

- O czym ty mówisz? - Walik zaczął krzyczeć.

- Nie wiem, co... Coś się wydarzyło. Co?

- Muszę się wydostać. Razem z rodziną - oznajmił generał Walik. Był już na granicy desperacji. - Rozchodzą się straszne pogłoski. Przewrót albo wojna domowa. Chomeini czy nie Chomeini, ja... my jesteśmy naznaczeni. Rozumiesz? To moja rodzina, Mac. Muszę się wydostać i poczekać, aż wszystko się uspokoi. Dwanaście milionów na głowę, co?

- Jakie pogłoski?

- Po prostu pogłoski! - Walik prawie na niego plunął. - Załatw zezwolenie w jakikolwiek sposób. Zapłacę z góry.

- Nie mogę tego zrobić. Niezależnie od sumy. Wszystko musi być legalne.

- Ty głupi hipokryto! Legalne? Jak działaliście przez te wszystkie lata w Iranie? Piszkesz! Ile sam wypłaciłeś z lewej kasy? Albo celnikom? Piszkesz! Jak ci się wydaje, w jaki sposób zdobywamy kontrakty? Kontrakty Guer-neya? Piszkesz! Wkładamy po cichu pieniądze do właściwych rąk. Czy jesteś tak głupi, że jeszcze tego nie odkryłeś?

- Wiem, co to jest pizkesz - odezwał się McIver ponuro. Nie jestem głupi i wiem, jak się załatwia różne rzeczy w Iranie. Dobrze wiem. Odpowiedź jednak brzmi: nie.

- Zatem krew moich dzieci i żony splami twoje ręce. I moje.

- O czym ty mówisz?

- Boisz się prawdy?

234

McIver wlepił w rozmówcę wzrok. I on, i Genny lubili bardzo żonę Walika i dwójkę jego dzieci.

- Skąd możesz wiedzieć na pewno?

- Ja... Ja mam kuzyna w policji. On widział... tajną listę SAVAK-u. Pojutrze mam być aresztowany razem z innymi znanymi osobistościami. To ma być... ochłap rzucony opozycji. I moja rodzina. Wiesz, jak oni traktują... jak mogą potraktować kobietę i dzieci przed...

- Walikowi załamał się głos.

109

Stanowczość McIvera stopniała. Wszyscy słyszeli przerażające opowieści o żonach i dzieciach torturowanych w obecności aresztowanych, żeby zmusić ich do przyznania się do czegoś albo po prostu z czystego sadyzmu.

- Dobrze - powiedział, czując się bezradnie i wiedząc, że jest w potrzasku. - Spróbuję, ale nie spodziewaj się zezwolenia na lot. Nie powinieneś lecieć prosto do Abadanu. Lepsza będzie Turcja. Być może uda się nam podrzucić cię do Tebrizu, a potem możesz sobie kupić przerzut przez granicę w ciężarówce. Musisz mieć tam przyjaciół. Poza tym nie możesz odlecieć z Galeg Mor-ghi; nie wejdiesz tam na pokład z Annusz i dziećmi. Nie wpuszczą ich nawet na wojskowe lotnisko. Trzeba... trzeba cię zabrać poza Teheranem; gdzieś daleko od dróg i poza zasięgiem radaru.

- Dobrze, ale to musi być Abadan.

- Dlaczego? W ten sposób zmniejszasz swoje szanse o połowę.

- Tak musi być. Moja rodzina... ojciec i matka, dojadą tam drogą. Oczywiście, masz rację co do Galeg Morghi. Moglibyście nas zabrać z okolic Teheranu, z...

- Walik myślał przez chwilę, a potem powiedział szybko:

- Z miejsca, gdzie południowy rurociąg przecina rzeczkę Zehsan. To daleko od drogi i jest tam bezpiecznie. Będziemy czekać o jedenastej. Niech Bóg ci wynagrodzi, Mac. Jeśli... jeśli wystąpisz o zezwolenie na lot w celu przewiezienia części zamiennych, ja... ja załatwię, że je dostaniesz. Proszę, błagam cię.

235

- A co z tankowaniem? Gdy maszyna wyląduje, wykryją was i aresztują.

- Poproś o tankowanie w bazie lotnictwa w Isfaha-nie. Ja... ja załatwię Isfahan. - Walik otarł spoconą twarz.

- A jeśli coś pójdzie nie tak?

- In sza'a Allah! Poproś o zezwolenie na przewóz części zamiennych. Żadnych nazwisk, bo będę martwy albo jeszcze gorzej. I to samo z Annusz, Dżalalem i Setarem. Proszę.

McIver wiedział, że to szaleństwo.

- Wystąpię o zezwolenie na lot tylko do Bandar Dejlamu. Do północy powinienem wiedzieć, czy dostanę zgodę. Wyślę kogoś, żeby mi przyniósł zaświadczenie do domu. Telefony nie działają, więc musisz przyjść do mnie i uzyskać potwierdzenie. To da mi czas na przemyślenie tego wszystkiego i podjęcie decyzji: tak czy nie.

- Ale...

- O północy.

- Tak, dobrze. Będę.

- Co z pozostałymi współnikami?

- Oni... oni nic o tym nie wiedzą. Zastąpi mnie Emir Paknuri albo ktoś inny.

- Co z cotygodniową dostawą pieniędzy?

- Będą je dostarczać. - Walik znów otarł czoło. - Niech Bóg cię błogosławi.

Włożył płaszcz i podszedł do drzwi. Teczka została na stole.

- Zabierz ją! Walik odwrócił się.

- Aha, chcesz, żebym zapłacił w Kuwejcie? Czy w Szwajcarii? W jakiej walucie?

- Nie płacisz. Możesz uregulować rachunek za czarter. Być może zabierzemy cię do Bandar Dejlamu. Potem musisz już polegać na sobie.

Walik spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Ale... nawet jeśli tak, będziesz potrzebował pieniędzy na wydatki, na pilota czy coś innego...

236

- Nie, ale możesz mi wypłacić zaliczkę w wysokości pięciu milionów riali na poczet należności spółki. Desperacko potrzebujemy tych pieniędzy. -McIver wypisał pokwitowanie i wręczył je generałowi. - Jeśli nie będzie cię tutaj, Emir i inni mogą nie być tak hojni.

- W przyszłym tygodniu zaczną działać banki; wiemy to na pewno. Całkiem na pewno.

- Miejmy nadzieję.

Widział wyraz twarzy Walika, gdy ten liczył pieniądze. Czuł, że generał uważa go za wariata, który nie wie, czemu nie przyjął piskieszu. Wiedział też, że Walik na pewno spróbuje przekupić pilota, żeby przelecieć helikopterem ostatni odcinek podróży, jeśli tylko uda się im wydostać z przestrzeni powietrznej Teheranu, i że to będzie katastrofalne.

Teraz w biurze, wpatrując się nie widzącymi oczyma w noc za oknem, nie słyszał strzałów i nie widział płomieni gdzieś rozpraszających ciemności nocy. Rozmyślał. Mój Boże, SAVAK! Muszę spróbować pomóc Walikowi. Muszę. Te cholerne, biedne dzieciaki i ta biedna kobieta. Muszę! Czy pilot odmówi przyjęcia łapówki, nawet gdy go o tym uprzedzę?

Skoro Walik daje już teraz dwanaście milionów, w Abadanie może podwoić tę sumę. Tomowi przydałyby się pieniądze. Noggerowi, mnie, każdemu. Po prostu na krótką podróż przez zatokę - krótką, ale już bez powrotu. Skąd, u diabła, Walik wytrzasnął tyle forsy? Oczywiście z banku.

Już od tygodni krążyły plotki, że za pewną opłatą niektórzy ustosunkowani ludzie mogli wydobyć pieniądze, choć banki formalnie były zamknięte. Wyższa opłata dawała nawet możliwość przelania pieniędzy na anonimowy rachunek w Szwajcarii. Mówiono, że banki szwajcarskie pękają teraz w szwach od pieniędzy wpływających z Iranu. Miliardów. Wsunąć kilka milionów do właściwej ręki i wszystko staje się możliwe. Czyż nie jest tak samo w całej Azji? A tak ucziwie, to dlaczego tylko w Azji?! Na całym świecie!

237

- Tom - powiedział znużonym głosem. - Spróbuj się połączyć z wojskową kontrolą lotów i sprawdź, czy 212 dostał zezwolenie, dobrze?

Dla Toma Locharta była to tylko rutynowa dostawa; McIver powiedział mu jedynie, że spotkał się dziś z Walikiem i że generał dał mu trochę gotówki. Nic więcej. Musiał jeszcze postanowić, którego pilota wysłać. Najchętniej poleciałby sam i nie wystawił w ten sposób nikogo na niebezpieczeństwo. Przekłęci lekarze! Przekłęte przepisy!

Lochart podszedł do krótkofalówki. W tym momencie w przyległym pokoju rozległy się jakieś hałasy, a potem gwałtownie otworzyły się drzwi. Stał w nich młodzieniec z zieloną opaską i automatycznym karabinem na ramieniu. Towarzyszyło mu sześciu młodych ludzi.

Irański personel zamarł. Młodzieniec spojrzał na McIvera i Locharta, a potem na trzymany w ręku spis.

- Salam, Agha. Kapitan McIver? - zapytał Locharta.

Mówił po angielsku z wahaniem i wyraźnym obcym akcentem.

- Salam, Agha. Ja jestem kapitanem McIverem - wyjaśnił zaniepokojny Duncan.

W pierwszej chwili pomyślał, że mogli to być ci sami ludzie, którzy zamordowali biednego Kijabiego. Potem pomyślał, że Gen powinna była wyjechać razem z innymi żonami.

Powiniennem bardziej nalegać. Wreszcie pomyślał o plikach riali spoczywających w otwartej teczce na podłodze, obok wieszaka na kapelusze.

- O, to dobrze - powiedział grzecznie młodzieniec. Miał silną, zdecydowaną twarz i niebieskie obwódki pod oczami. Choć McIver ocenił go co najwyżej na dwadzieścia pięć lat, chłopak miał spojrzenie dojrzałego mężczyzny. - Niebezpieczeństwo tutaj. Dla pana tutaj.

Teraz. Proszę iść. Jesteśmy komitetem z tego bloku. Pan pójdzie proszę. Teraz.

- Dobrze. Z pewnością... Dziękuję panu.

238

Zastanawiał się nieraz nad ewakuowaniem biura z powodu rozruchów i tłumów na ulicach, choć, co było zdumiewające w wypadku tak ogromnych mas ludzi, tłumy były bardzo zdyscyplinowane i w zasadzie nie niszczyły mienia Europejczyków, jeśli nie liczyć samochodów zaparkowanych na ulicach. Po raz pierwszy ktoś przyszedł, żeby go ostrzec.

111

McIver i Lochart posłusznie włożyli płaszcze. McIver zamknął teczkę i wychodząc zgasił światło.

- Skąd światła tu, skoro nie ma gdzie indziej? - zapytał przywódca.

- Mamy własny generator na dachu. Młodzieniec uśmiechnął się dziwnie; miał olśniewająco białe zęby.

- Cudzoziemcy mają generatory i ciepło. Irańczycy nie.

McIver chciał odpowiedzieć, ale się powstrzymał.

- Dostaliście wiadomość? Wiadomość o odejściu? Wiadomość dzisiaj?

- Tak - odparł McIver.

Jedna wiadomość czekała w biurze, a drugą znalazła Genny w skrzynce pocztowej w mieszkaniu. "Uniwersyteccy zwolennicy republiki islamskiej w Iranie" napisali po prostu: Kazano wam wyjechać 1 grudnia. Dlaczego jeszcze tu jesteście, skoro twierdzicie, że nie jesteście wrogami? Macie już bardzo mało czasu. Pod spodem widniał podpis.

- Czy wy... jesteście przedstawicielami uniwersytetu?

- Jesteśmy komitetem. Proszę wyjechać teraz. Wrogowie lepiej nie wracać nigdy. Nie?

McIver i Lochart wyszli. Rewolucjoniści szli za nimi w dół po schodach. Winda nie działała już od kilku tygodni.

Na ulicy było nadal spokojnie. Żadnych tłumów czy pożarów; odgłosy strzałów dochodziły z dużej odległości.

- Nie wracać. Trzy dni. McIver wlepił w nich spojrzenie.

239

_ To niemożliwe. Mamy dużo...

- Niebezpieczeństwo. - Młodzieniec i inni, równie młodzi, czekali w milczeniu. Nie wszyscy mieli broń palną. Dwóch trzymało pałki, dwaj inni nie mieli niczego. - Nie wracać. Bardzo źle. Trzy dni, mówi komitet. Rozumiecie?

- Tak, ale jeden z nas musi dolać paliwa do generatora, żeby teleks nie przestał działać i żebyśmy nie stracili kontaktu z...

- Teleks nieważny. Nie wracać. Trzy dni. - Młodzieniec tłumaczył cierpliwie. -

Niebezpieczeństwo tutaj. Nie zapominać, proszę. Dobranoc.

McIver i Lochart wsiedli do swych samochodów zaparkowanych w podziemnym garażu, czując na sobie ciężar zawistnych spojrzeń. McIver prowadził swego wspaniale utrzymanego rovera coupe, którego nazywał Lulu. Lochart miał samochód pożyczony od Scota Ga-vallana.

Był to stary, niepozorny citroen, który miał nie rzucać się w oczy, ale wyposażony był w hamulce ostre jak brzytwa i podrasowany silnik, pozwalający w razie potrzeby na bardzo szybką jazdę. Ruszyli, a za drugim rogiem zatrzymali się obok siebie.

- Te skurczybyki mówiły serio - wysapał ze złością McIver. - Trzy dni? Przez trzy dni nie mogę nie wpaść do biura!

- Aha, i co teraz? - Lochart spojrział w lusterko wsteczne. Młodzieniec zdążył już obejść róg.

Stał i patrzył na nich. - Lepiej jedźmy. Wpadnę do ciebie do domu - rzucił Lochart.

- Tak, ale rano, Tom. Teraz i tak nie możemy nic zrobić.

- Jutro muszę wracać do Zagrosu; właściwie już dzisiaj miałem wyjechać.

- Wiem. Wyjedź pojutrze. Nogger załatwi czarter, jeśli dostaniemy zezwolenie, w co zresztą wątpię.

Wpadnij koło dziesiątej. - McIver zobaczył, że młodzi ludzie idą w ich stronę. - Koło dziesiątej, Tom - powiedział szybko, wcisnął sprzęgło i ruszył przeklinając.

240

Młodzienci widzieli, jak odjeżdżają, a ich przywódca, Ibrahim, był zadowolony. Nie chciał z cudzoziemcami walczyć ani ich zabijać. Tylko SAVAK. I policja. I irańscy wrogowie Iranu, którzy pragnęli powrotu Szacha. I wszyscy zdradzieccy, marksistowscy zwolennicy rządów totalitarnych, którzy sprzeciwiali się demokracji, wolności wyznania i wolności uniwersytetów.

112

- Boże, jakbym chciał mieć ten samochód - powiedział jeden z nich, niemal chory z zazdrości. - To była sześćdziesiątka ósemka, prawda, Ibrahim?

- Sześćdziesiątka piątka - odparł zapytany. - Pewnego dnia będziesz miał taki samochód, Ali.

I benzynę do niego. Pewnego dnia zostaniesz najślawniejszym pisarzem i poetą w Iranie.

- To niesmaczne. W Iranie jest tyle nędzy, a cudzoziemcy obnoszą się ze swoim bogactwem - stwierdził któryś z pozostałych chłopców.

- Wkrótce nie będzie ich tutaj. Już nigdy.

- Jak myślisz, Ibrahim? Czy ci dwaj jutro wrócą?

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział Ibrahim ze zmęczonym uśmiechem. - Jeśli tak, to nie wiem, co zrobimy. Myślę, że nieźle ich nastraszyliśmy. Musimy jednak odwiedzać ten blok przynajmniej dwa razy dziennie.

Młodzieniec trzymający pałkę objął go ramieniem.

- Cieszę się, że wybraliśmy cię na przywódcę. To był dobry wybór.

Wszyscy się z tym zgodzili. Ibrahim Kijabi był bardzo dumny, a duma stanowiła część rewolucji, która wybawi Iran z wszystkich kłopotów. Ibrahim był też dumny ze swego ojca, inżyniera naftowego i ważnego urzędnika IranOil, który przez całe lata pracował cierpliwie nad demokracją w Iranie i pozostawał w opozycji do Szacha. Na pewno teraz, w nowym Iranie, odegra ważną rolę.

- Chodźcie, przyjaciele - powiedział z zadowoleniem. - Musimy zbadać jeszcze wiele domów.

NA WYSPIE SIRI, 19:42. W odległości nieco większej niż tysiąc kilometrów na południowy zachód od Teheranu napełnianie zbiorników japońskiego tankowca, pięć-

dziesięciotysięcznika Rikomaru, było już prawie zakończone. Księżyc rozświetlał zatokę, a niebo było usiane gwiazdami. Scragger zgodził się dołączyć do de Plesseya i wejść na pokład, aby zjeść

kolację z Yoshim Kasigim. Teraz cała trójka stała na mostku razem z kapitanem.

Patrzyli na jasno oświetlony pokład, japońskich marynarzy i głównego inżyniera, stojących obok dużej rury. Rura przechodziła za burtę i pobiegła do kompleksu zaworów, umieszczonych na zakotwiczonej na stałe, równie jasno oświetlonej, barce ładowniczej.

Znajdowali się około dwustu metrów od płaskiej i niskiej wyspy Siri. Tankowiec był

bezpiecznie zacumowany; dwa łańcuchy mocowały go do boi od strony 242

dziobu, rufę zaś więziły dwie kotwice. Ropę pompowano ze zbiorników na nabrzeżu do barki; płynęła rurociągiem umieszczonym na dnie morza. Dalej przepompowywały ją już własne urządzenia tankowca. Zarówno ładowanie, jak i rozładowywanie było niebezpieczną operacją, ponieważ lotne, wybuchowe gazy, gromadziły się w wolnej przestrzeni górnej części zbiorników; puste zbiorniki były jeszcze bardziej niebezpieczne dopóty, dopóki nie zostały umyte. W większości nowoczesnych tankowców do specjalnych pojemników tłoczono szlachetny gaz - nitrogen - który wypełniał pustą przestrzeń zbiorników, zwiększając bezpieczeństwo. Rikomaru nie miał takich urządzeń.

Usłyszeli, jak główny inżynier woła do człowieka na barce: "Zamknąć zawór!" Potem zwrócił

się w kierunku mostka i pokazał kapitanowi kciuk uniesiony w górę. Kapitan dał znak, że zrozumiał, i zapytał po japońsku Kasigiego:

- Czy mam zezwolenie na odpłynięcie tak szybko, jak można?

Był to szczupły mężczyzna o napiętej twarzy, w nakrochmalonej, białej koszuli oraz szortach, białych skarpetach i butach; miał epolety i marynarską, spiczastą czapkę.

- Tak, kapitanie Morijama. Jak długo to potrwa?

- Najwyżej dwie godziny, trzeba posprzątać i zdjąć cumy.

Oznaczało to wysłanie motorówki i odkręcenie szekli mocujących dziobowe łańcuchy kotwiczne do przytwierdzonych na stałe boi, a następnie przymocowanie ich do kotwic statku.

113

- Dobrze. - Do de Plessey'a i Scraggera Kasigi zwrócił się po angielsku: - Mamy pełne zbiorniki i jesteśmy gotowi do odpłynięcia. Za jakieś dwie godziny będziemy w drodze.

- Świetnie - odparł de Plessey, czując wielką ulgę. - Teraz możemy odpocząć.

Operacja odbyła się bez zakłóceń. Na całej wyspie i statku wzmocniono środki bezpieczeństwa. Sprawdź-243

no wszystko, co można było sprawdzić. Na pokład wpuszczono tylko trzech Irańczyków, którzy byli niezbędni. Zrewidowano wszystkich; poza tym każdego obserwował dyskretnie jeden Japończyk.

Wśród Irańczyków na brzegu nie zauważono żadnych oznak wrogości.

Przeszukano wszystkie miejsca, w których można było ukryć materiały wybuchowe lub broń.

- Może ten biedny młodzieniec na Siri był w błędzie, Scrag, mon ami.

- Być może - odparł Scragger. - Nawet jeśli tak, stary, uważam, że Abdollah Turik został zamordowany. Nie ma się tak okaleczonej twarzy po upadku z platformy do spokojnego morza. Biedny chłopak.

- A rekiny, kapitanie Scragger? - powiedział równie zaniepokojony Kasigi. - Te rany mogły spowodować rekiny.

- Tak, mogły, ale założyłbym się o życie, że przyczyną było to, co mi powiedział.

- Mam nadzieję, że pan się myli.

- Założę się, że nigdy nie poznamy prawdy - smutno stwierdził Scragger. - Jakiego słowa pan użył, panie Kasigi? Karma. Karma tego chłopaka była krótka i niezbyt szczęśliwa.

Wszyscy pokiwali głowami. Patrzyli w milczeniu, jak statek odrywa się od pępowiny łączącej go z barką.

Aby lepiej widzieć, Scragger poszedł na skraj mostka. W świetle dodatkowych reflektorów robotnicy pracownicy odśrubowywali trzydziestocentymetrową rurę od systemu zaworów barki. Było tam sześciu mężczyzn: dwóch członków japońskiej załogi, trzech Irańczyków i francuski inżynier.

Przed Scraggerem rozciągała się pusta przestrzeń płaskiego pokładu. Na środku stał jego 206.

Wylądował tu zgodnie z sugestiami de Plesseya i za zezwoleniem Kasigiego.

- Dobra - powiedział Scragger do Francuza. - Odwiozę cię z powrotem do Siri albo do Lengeh, jak wolisz.

- Yoshi Kasigi sugeruje, żebyśmy obaj zostali na noc, Scrag, i wrócili rano. Załatwię zmianę rozkładu. Możemy odlecieć o świcie i wrócić do Lengeh. Teraz na statek. Będę ci bardzo wdzięczny.

Wylądował więc o zachodzie słońca na pokładzie tankowca. Nie był jeszcze pewien, czy przyjął zaproszenie, zawarł jednak z Kasigim pakt i musiał go honorować. Czuł się też chorobliwie odpowiedzialny za młodego Abdollaha Turika. Widok ciała młodzieńca wstrząsnął nim i sprawił, że chciał być na Siri przed odpłynięciem tankowca. Przybył więc i starał się grać rolę gościa. Zgadzał się częściowo z de Plesseyem, że być może, mimo wszystko, śmierć chłopaka była tylko zbiegiem okoliczności, i że podjęte środki bezpieczeństwa udaremnią wszelkie próby sabotażu.

Ponieważ napełnianie zbiorników zaczęło się jeszcze poprzedniego dnia, wszyscy byli zmęczeni i zdenerwowani, zwłaszcza pod wieczór. BBC donosiło o wzroście napięcia w Teheranie,

Meszhedzie i Komie. Nakładały się na to opowieści McIvera o tym, co powiedział

po francusku Ayre na temat sytuacji w Kowissie, wiadomości o przedłużającej się blokadzie międzynarodowego portu lotniczego w Teheranie, o możliwym przewrocie i o Kijabim.

Zamordowanie Kijabiego wywarło ogromne wrażenie także na de Plesseyu. Wszystko to oraz sprzeczne pogłoski, rozchodzące się wśród Irańczyków, sprawiało, że wieczór zapowiadał się ponuro. Krążyły plotki o zbliżającej się interwencji wojskowej USA, o nieuniknionej interwencji radzieckiej, o próbach zamachu na Chomeiniego, na Bazargana, którego Chomeini desygnował na premiera, na Bachtalara, który był legalnym premierem, i na ambasadora 114

USA. Mówiono też o tym, że w nocy odbędzie się wojskowy zamach stanu, że Chomeini jest już aresztowany, a jednocześnie, że skapitulowały wszystkie rodzaje sił zbrojnych, a Ajatollah rządzi w rzeczywistości Iranem, i że generał Nassiri, komendant SAVAK-u, został

schwyty, osądzony i rozstrzelany.

244

245

_ Wszystkie te pogłoski nie mogą być prawdziwe

- powiedział Kasigi. - Możemy tylko czekać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Był znakomitym gospodarzem. Jedzenie podano wyłącznie japońskie. A także piwo. Scragger próbował ukryć swą niechęć do hors d'oeuvre z sushi, ale bardzo mu smakował pieczony kurczak w słono-słodkim sosie, ryż oraz smażone ślimoraczki z warzywami.

- Napije się pan jeszcze piwa, kapitanie Scragger?

- spytał Kasigi.

- Nie, dziękuję. Pozwalam sobie tylko na jedno, choć muszę przyznać, że jest dobre. Może nie tak dobre jak foster, ale prawie.

De Plessey uśmiechnął się.

- Nie wie pan, panie Kasigi, jaki to komplement. Jeśli Australijczyk mówi, że piwo jest prawie takie jak foster, to już naprawdę coś znaczy.

- O tak. Wiem o tym. Zawsze piję fostera, kiedy jesteśmy w Australii.

- Często pan do nas przyjeżdża? - zapytał Scragger.

- Owszem. Australia jest jednym z głównych źródeł surowców dla Japonii. Moja firma wysyła tam ciągle frachtowce po węgiel, rudę żelaza, pszenicę, ryż, soję

- odparł Kasigi. - Importujemy ogromne ilości ryżu, używamy go przede wszystkim do wyrabiania naszego narodowego napoju, sake. Czy próbował pan sake, kapitanie?

- Tak, oczywiście. Ale gorące wino... Sake nie za bardzo mi odpowiada.

- Coś w tym jest - dodał de Plessey. - Chyba że w zimie, zamiast grogu. Mówił pan o Australii...

- Bardzo lubię ten kraj. Mój najstarszy syn studiuje w uniwersytecie w Sydney; odwiedzamy go od czasu do czasu. To piękny kraj; taki ogromny, bogaty i pusty.

Tak, myślał ponuro Scragger. Mówisz "pusty", a to znaczy według ciebie taki, który czeka tylko na miliony waszych pracowitych mrówek! Dzięki Bogu, dzieli nas te parę tysięcy kilometrów, a Stany Zjednoczone nigdy nie pozwolą, żeby nas połknęto.

246

- Cholerna bzdura! - powiedział McIver podczas rozmowy, która odbyła się, gdy Scragger, McIver i Pet-tikin spędzali dwa lata temu tygodniowy urlop w Singapurze. - Gdyby kiedyś, w przyszłości, Japonia wybrała właściwy moment, powiedzmy podczas konfliktu USA - ZSRR, Stany nie mogłyby pomóc Australii. Myślę, że musieliby pójść na układy i...

- Biedny Duncan traci rozum, Charlie - orzekł Scragger.

- Masz rację - zgodził się Pettikin. - Po prostu chce cię zdenerwować, Scrag.

- Och, nie. Naprawdę. Waszym naturalnym obrońcą są Chiny. Tak czy siak, Chiny zawsze tam będą, a tylko one mogą powstrzymać Japonię, gdyby zrobiła się wojownicza i na tyle silna, żeby ruszyć na południe. Mój Boże. Australia to najbardziej łakomy kąsek na całym Pacyfiku, skarbiec Pacyfiku, ale wy nie możecie się zdobyć na perspektywiczne myślenie i zachowywać bardziej sensownie. Chcecie tylko trzech dni w tygodniu wolnych od pracy, większej płacy za mniejszą pracę, cholernych, bezpłatnych szkół, bezpłatnych lekarzy, bezpłatnego dobrobytu i żeby inni frajerzy budowali wam mury obronne. Jesteście gorsi nawet od tej starej, cholernej Anglii, która już niczego nie ma. Napraw...

- Macie ropę z Morza Północnego. Jeśli to nie jest szczęście głupiego, to...

- Prawdziwy kłopot polega na tym, że wy tam, w Australii, nie wiecie nawet, że wasza dupa wystaje przez dziurę w murze.

115

- Siadaj, Scrag! - rzucił ostrzegawczo Pettikin. - Obiecałeś, że nie będziesz się bił. Zresztą spróbuj tylko walnąć Maca, a wylądujesz w rynsztoku; on może i ma za wysokie ciśnienie, ale nikt mu jeszcze nie odebrał czerwonego pasa.

- Ja miałbym walnąć "brudnego" Duncana? Chyba żartujesz, chłopie. Nie ruszam starych rupieci...

Scragger uśmiechnął się do siebie, wspominając tamtą popijawę. Singapur to fajne miasto, podsumował, a potem powrócił myślami do chwili obecnej. Czuł się 247

już lepiej; był najedzony i zadowolony, że napełnianie zbiorników zostało zakończone.

Noc była piękna. Daleko w górze migwały światełka pozycyjne samolotu kierującego się na zachód. Zastanawiał się przez chwilę, dokąd leci ta maszyna, do jakich linii lotniczych należy i ilu ma na pokładzie pasażerów. Powietrze było przejrzyste; Scragger obserwował bez trudu człowieka na barce, który już kończył odkręcanie rury. Gdy tylko zostanie wciągnięta na pokład, tankowiec będzie mógł odpłynąć. O świcie Rikomaru dotrze do cieśniny Ormuz, a Scragger będzie mógł odlecieć z de Plesseyem do Lengeh.

Nagle wyostrzony wzrok pilota dostrzegł kilku mężczyzn uciekających od pompy na brzegu.

Nastąpił niezbyt silny wybuch i błysnął płomień, gdy zapaliła się ropa. Wszyscy znajdujący się na pokładzie tankowca patrzyli na to w osłupieniu. Płomienie zaczęły się rozprzestrzeniać; na brzegu dały się słyszeć okrzyki Irańczyków i Francuzów. Ludzie wybiegali z baraków i uciekali z terenu, na którym stały cysterny. W ciemności rozległa się salwa z broni maszynowej. Z głośników umieszczonych na pokładzie tankowca dobiegł głos kapitana wydającego po japońsku komendę:

- Wszyscy na stanowiska!

Natychmiast ludzie na barce zdwoili tempo pracy. Byli przerażeni; ogień mógł przedostać się rurą na barkę i zapalić ją. W chwili gdy końcówka węża oderwała się od zaworu, Irańczycy wskoczyli do motorówki i odpłynęli. Francuski inżynier i japońscy marynarze pobiegli pomostem, gdy kołowrót pokładowy tankowca ożył, wciągając rurę na pokład.

Pod pokładem załoga podążała na stanowiska alarmowe: w maszynowni, na mostku, w głównych przejściach. W jednej chwili trzech Irańczycy badający przepływ paliwa w różnych częściach statku zostali sami i pospieszyli na pokład.

Jeden z nich, Sajjid, udał, że się potknął i upadł obok otworu głównego zbiornika. Kiedy upewnił się, że nikt go nie widzi, gwałtownym ruchem wyciągnął ze spodni 248

mały kawałek plastiku z detonatorem, którego nie wykryto w czasie przeszukania przy wejściu na pokład, - gdyż był przyklejony taśmą do wewnętrznej części uda. Gorączkowo uruchomił chemiczny detonator, działający mniej więcej z godzinnym opóźnieniem, umieścił

całe urządzenie za głównym zaworem i pobiegł w kierunku korytarza. Gdy dotarł na pokład, stwierdził z przerażeniem, że człowiek z barki nie poczekał na niego, a motorówka była już prawie przy brzegu. Dwaj pozostali Irańczycy prowadzili gorączkowo rozmowę; byli równie wściekli, gdyż ich także pozostawiono na pokładzie. Żaden z nich nie należał do komórki lewicowej organizacji Sajjida.

Na brzegu rozlana ropa płonęła; odcięto już jednak jej dopływ i odizolowano miejsce wycieku. Trzej mężczyźni byli mocno poparzeni: Francuz i dwóch Irańczyków. Wóz strażacki polewał płomienie

wodą z zatoki. Nie było wiatru, ale kłęby gęstego, czarnego dymu utrudniały gaszenie ognia.

- Dajcie tam trochę piany - krzyknął Legrande, francuski kierownik. Prawie wychodził z siebie ze złości. Próbował zapanować nad sytuacją, ale wszyscy miotali się bezradnie w świetle reflektorów, nie wiedząc, co robić. - Jacques, zbierz wszystkich i policz. Jak najszybciej.

116

Grupa na wyspie składała się z siedmiu Francuzów i trzydziestu Irańczyków. Trzech strażników rozbiegło się w ciemnościach. Nie mieli broni poza sporządzonymi naprędce pałkami. Nie wiedzieli, czy jeszcze coś się stanie, a jeśli tak, to gdzie. |

- M'sieur! - Irański felczer wzywał Legrande'a. Francuz skierował się na brzeg do płataniny rur

i zaworów, które łączyły zbiorniki z barką. Lekarz klęczał przy dwóch rannych, leżących na kawałkach płótna, znajdujących się w szoku. Jeden z nich stracił włosy i miał mocno poparzoną twarz; drugi został oblanym płonąca ropą; jego ubranie stanęło w płomieniach, wywołując poparzenia pierwszego stopnia prawie całej przedniej części ciała.

249

Madonna... - mruknął Lagrande i przeżegnał się na widok spalonej na węgiel skóry; ledwie rozpoznał swego irańskiego brygadzystę.

Jeden z francuskich inżynierów kulił się i cicho jęczał; miał poparzone ręce.

- Zabiorę cię do szpitala, gdy tylko będę mógł,

Paul.

- Znajdź tych skurwieli i spal ich - warknął inżynier i pogrążył się w bólu.

- Jasne - obiecał bezradnie Legrande, a potem zwrócił się do felczera: - Rób, co możesz. Ja nadam wezwanie CASEVAC. - Pobiegł do pomieszczenia radiostacji, znajdującego się w jednym z baraków; jego wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Po drugiej stronie małego pasa startowego dostrzegł nagle dwóch mężczyzn biegnących ścieżką w kierunku małego urwiska. Za urwiskiem tym znajdowała się zatoczka z maleńką przystanią używaną do żeglowania i kąpieli. Niemal oszalały z gniewu, krzyknął za niknącymi postaciami: -

Skurwysyny!

Gdy nastąpił pierwszy wybuch, de Plessey popędził na mostek do krótkofalówki służącej do rozmów z lądem.

- Znaleźliście już ten pistolet maszynowy? - zapytał po francusku zastępcę kierownika bazy.

Za nim stali równie ponurzy Scragger, Kasigi i kapitan. Światła na mostku były przyciemnione.

Księżyc świecił wysoko na niebie.

- Nie, msieur. Po pierwszych strzałach atakujący zniknęli.

- Czy pompa jest uszkodzona?

- Nie wiem. Czekam na... Chwileczkę, jest już m'sieur Legrande.

Po chwili usłyszał francuskie słowa:

- Tu Legrande. Trzech poparzonych. Dwaj Irań-czycy bardzo ciężko. Poza tym Paul Beaulieu

- ręce; trzeba natychmiast wysłać wezwanie CASEVAC. Widziałem dwóch mężczyzn biegnących do zatoczki. Praw-250

dopodobnie sabotażyści; prawdopodobnie mieli tam łódź. Zbieram wszystkich, żebyśmy mogli stwierdzić, kogo brakuje.

- Tak, natychmiast! Jakie zniszczenia?

- Niewielkie. Chyba naprawimy to w tydzień, a już na pewno przed przybyciem następnego tankowca.

- Zejdę na brzeg, gdy tylko będę mógł. Poczekaj chwilę.

De Plessey spojrział na kolegów i powtórzył im to, co powiedział Legrande.

- Ja załatwię to CASEVAC. Nie trzeba nikogo wzywać - odezwał się Scragger.

- Wnieście rannych na pokład. Mamy tu salkę operacyjną i lekarza. Jest bardzo dobry, szczególnie przy poparzeniach - dodał Kasigi.

- Dobra. Scragger odszedł.

De Plessey powiedział do mikrofonu:

117

- Załatwimy CASEVAC stąd. Połóżcie rannych na noszach. Kapitan Scragger zabierze ich natychmiast na pokład. Tu jest lekarz.

Młody Japończyk, oficer pokładowy, podszedł do kapitana i coś mu powiedział. Kapitan potrząsnął głową, a potem wyjaśnił po angielsku de Plesseyowi:

- Trzej Irańczycy, którzy zostali na pokładzie, gdy ci z barki uciekli, chcą, żeby ich natychmiast zabrać na brzeg. Powiedziałem, że mogą poczekać.

Potem wywołał maszynownię i wydał rozkaz przygotowania maszyn do rozpoczęcia rejsu.

Kasigi wpatrywał się w mapę. I w zbiorniki. Potrzebuję tej ropy, myślał. Ta wyspa musi być bezpieczna, ale nie jest, i nic na to nie poradzę.

- Schodzę na brzeg - zakomunikował de Plessey i odszedł.

Scragger był już w śmigłowcu i otwierał tylne drzwiczki.

- Co robisz, Scrag? - zapytał de Plessey, podchodząc szybko do niego.

251

- Mogę położyć nosze na tylnych siedzeniach i je przywiązać. To pójdzie szybciej niż montowanie tych wszystkich urządzeń.

- Polecę z tobą.

- Wskakuj!

Obejrzeni się, słysząc hałas. Biegło do nich trzech Irańczyków; gwałtownie coś wykrzykiwali.

Było jasne, że chcą dostać się helikopterem na brzeg.

- Czy możemy ich zabrać, Scrag?

Scragger siedział już na miejscu pilota; jego palce tańczyły po przełącznikach.

- Nie. Ty to nagły wypadek. Oni nie. Włącz, chłopie.

- Wskazał mu miejsce z przodu, a potem chciał odprawić Irańczyków. - Nah, ajaleh daram.

Nie, spieszę się

- powiedział, używając jednego z nielicznych wyrażen, jakie znał w farsji.

Dwóch cofnęło się posłusznie. Trzeci, Sajjid, wśliznął się na tylne siedzenie i zaczął zapinać pas. Scragger potrząsnął głową, nakazując mu gestem, aby wysiadł. Mężczyzna nie zwrócił

na to uwagi; mówił coś szybko, uśmiechnął się wymuszenie i wskazał na brzeg.

Scragger jeszcze raz niecierpliwym gestem kazał mu wysiąść; drugą ręką wcisnął przełącznik uruchamiający silnik. Natręt znowu nie usłuchał; teraz był już zły. Znow wskazał brzeg; jego słowa ginęły w ryku silnika. Scragger pomyślał: w porządku. Właściwie, dlaczego nie?

Zauważył jednak pot zalewający twarz przybysza, jego wilgotny kombinezon i wydało się mu, że czuje zapach strachu.

- Wysiadać! - rzucił zdecydowanie, obserwując uważnie reakcję Irańczyka.

Sajjid nie zwrócił na polecenie uwagi. Ponad nimi śmigło obracało się powoli, nabierając szybkości.

- Pozwól mu zostać - krzyknął de Plessey. - Lepiej się pospieszmy.

Scragger wyłączył nagle silnik. Jak na swój wzrost, był bardzo silny. Odpiął pas i wyrzucił

Sajjida na pokład statku, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć, co się stało. Przyłożył ręce do ust i krzyknął w stronę mostka:

252

- Hej, wy tam na górze! Kasigi! Ten facio coś za bardzo chce się dostać na brzeg. Nie był przypadkiem -pod pokładem?

Nie czekając na odpowiedź, wskoczył do kokpitu i włączył silnik.

De Plessey obserwował go w milczeniu.

- Czego chciałeś od tego człowieka?

Scragger wzruszył ramionami. Zanim jeszcze silnik helikoptera osiągnął pełne obroty, marynarze schwytali Irańczyka oraz jego dwóch kolegów i powlekli ich w kierunku mostka.

Śmigłowiec 206 pomknął jak strzała do brzegu. Ranni byli już na noszach. Szybko przywiązano do siedzeń z tyłu puste nosze i przymocowano do nich drugie, z rannymi.

118

Scragger pomógł poparzonemu Francuzowi zająć miejsce z przodu, obok siebie. Próbując nie wdychać straszliwego odoru, pilot wystartował i wylądował na pokładzie tankowca delikatnie jak nić babiego lata. Czekał tam już lekarz i sanitariusze; przygotowane było osocze i zastrzyk z morfiny.

Scragger natychmiast leciał z powrotem na brzeg. Gdy tylko umocowano nosze, wrócił na tankowiec i ostrożnie wylądował. Znowu czekał tam lekarz ze strzykawką i znowu popędził

w kierunku noszy pod wirującym śmigłem. Tym razem nie zrobił zastrzyku.

- Mnie jest przykro - powiedział w niezdnym angielskim. - Ten człowiek martwy.

Wycofał się i pospieszył do sali operacyjnej. Sanitariusze zabrali ciało.

Scragger, gdy wyłączył silnik i bezpiecznie wszystko pozamykał, podszedł do burty statku i gwałtownie zwymiotował. Od czasu gdy, bardzo wiele lat temu, zobaczył pilota w rozbitym, płonącym dwupłatowcu i poczuł odrażającą woń, paraliżował go strach na samą myśl o tym, że jemu też może się coś takiego przydarzyć. Nie mógł znieść odoru spalonych ludzkich włosów i skóry.

Po chwili wytarł usta, odetchnął głęboko świeżym powietrzem i pobłogosławił swoje szczęście. Trzykrotnie był zestrzelony, w tym dwukrotnie maszyna stanęła 253

w płomieniach, lecz za każdym razem udawało mu się wydostać. Czterokrotnie lądował

awaryjnie, żeby ocalić siebie i pasażerów: dwa razy nad dżunglą i w drzewa, a raz z silnikiem w płomieniach. Ale moje nazwisko nie znalazło się na liście, mruknął. Wtedy nie. Usłyszał

zbliżające się kroki. Odwrócił się i zobaczył Kasiego, który szedł po pokładzie z oszronionymi butelkami piwa kirin w obu dłoniach.

- Proszę mi wybaczyć, że tutaj - powiedział grobowym głosem Kasigi, podając piwo. -

Oparzenia działają na mnie tak samo. Ja też poczułem się źle. Ja... zszedłem na dół, do sali operacyjnej, żeby sprawdzić, jak czują się ranni i... bardzo się pochorowałem.

Scragger z wdzięcznością pociągnął łyk piwa. Zimny, pachnący chmielem płyn z bąbelkami postawił go na nogi.

- Jezu, ale to było dobre. Dzięki, chłopie. - Gdy już raz przeszło mu to przez gardło, mógł

powtórzyć z mniejszym skrępowaniem: - Dzięki, chłopie.

Kasigi usłyszał te słowa również za pierwszym razem i uznał je za swoje zwycięstwo. Obaj spojrzeli na marynarza biegnącego do nich z wydrukiem teleksu w ręku. Poślaniec wręczył

papier Japończykowi, który podszedł do najbliższego źródła światła, włożył okulary i przeczytał. Scragger usłyszał, jak wciąga głęboko powietrze, i zobaczył, że robi się na twarzy jeszcze bardziej szary.

- Złe wieści?

- Nie. Tylko... tylko pewne problemy - odparł po chwili Kasigi.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Kasigi nie odpowiedział. Scragger czekał. Widział niepokój w oczach Japończyka, choć twarz nie wyrażała żadnych emocji. Miał pewność, że Kasigi zastanawia się, czy podzielić się złą wieścią. W końcu się odezwał:

- Nie sądzę. To dotyczy... dotyczy naszych zakładów petrochemicznych w Bandar Dejlamie.

- Tych budowanych przez Japonię? - Prawie wszyscy w rejonie zatoki wiedzieli o ogromnym przedsięwzięciu, ocenianym na 3,5 miliarda dolarów, które 254

miało doprowadzić do powstania największego kompleksu petrochemicznego w Azji Mniejszej i na Środkowym Wschodzie, z zakładami wytwarzającymi 300000 ton etyliny.

Prace budowlane trwały od 1971 r. i były już niemal na ukończeniu; w jakichś 85 procentach.

- To niezła fabryczka!

- Tak, ale jest budowana przez japoński przemysł prywatny, a nie przez rząd Japonii - odparł

Kasigi. - Zakłady Iran-Toda są finansowane prywatnie.

119

- Ach - powiedział Scragger, zaczynając rozumieć, o co chodzi. - Toda Shipping - Iran-Toda!

To ta sama spółka?

- Tak, z tym że jesteśmy tylko częścią japońskiego syndykatu, który daje pieniądze i doradztwo techniczne Szachowi... Iranowi - poprawił się Kasigi.

Wszystkie bóstwa, wielkie i małe, przeklęły ten kraj za wywołanie kryzysu paliwowego, przeklęły każdego jego mieszkańca, nawet Szacha, OPEC, wszystkich bękarcich fanatyków i kłamców, którzy tu żyli. Spojrzał znowu na kartkę papieru, zadowolony, że nie trzęsą mu się ręce. Kartka zawierała zapisaną prywatnym szyfrem wiadomość od prezesa, Hiro Tody.

Brzmiała ona: PILNE. Wobec absolutnego i trwałego nieprzejednania Irańczyków musiałem w końcu nakazać przerwanie wszystkich robót w Bandar Dejlamie. Dotychczasowe koszty przekraczają łącznie 500 milionów dolarów i prawdopodobnie doszłyby do miliarda, zanim moglibyśmy rozpocząć produkcję. Obecnie płacimy odsetki w wysokości 495 000 dolarów dziennie. Z powodu haniebnych tajnych nacisków "Złamanej Szabli", nasz Plan Rezerwowy Nr 4 został odrzucony. Proszę udać się szybko do Bandar Dejlamu i zdać mi osobiście raport.

Główny inżynier, dyrektor Watanabe, oczekuje pana. Proszę potwierdzić.

Tam nie można się dostać, pomyślał przygnębiony Kasigi. Skoro Plan 4 został odrzucony, jesteśmy zrujnowani.

Plan Rezerwowy 4 zakładał wystąpienie Hiro Tody do rządu japońskiego o nisko oprocentowaną pożyczkę.

255

która uzupełniłaby brakujące fundusze, a także dyskretne zwrócenie się do premiera z prośbą o uznanie kompleksu przemysłowego Iran-Toda w Bandar Dejlamie za przedsięwzięcie narodowe. Rząd musiałby wtedy formalnie uznać zasadnicze znaczenie tego projektu budowlanego dla gospodarki japońskiej i zadbać o jego realizację. Hasło "Złamana Szabla"

było kryptonimem, oznaczającym osobistego wroga i rywala Hiro Tody, Hideyoshi Ishidę, który stał na czele niezwykle potężnej grupy spółek handlowych o nazwie Mitsuwari.

Wszyscy bogowie przeklęli tego zazdrosnego i kłamliwego syna plugawca, Ishidę, myślał

Kasigi. Głośno zaś powiedział:

- Moja spółka jest tylko jedną z wielu w syndykacie.

- Przelatywałem kiedyś nad waszymi zakładami - odparł Scragger. - Gdy leciałem z naszej bazy do Abadanu. Dostarczałem nową maszynę, 212. Macie tam kłopoty?

- Przejściowe... - Kasigi urwał i wlepił wzrok w pilota. Strzępy myśli ułożyły mu się w całość. - Pewne przejściowe problemy... ważne, ale przejściowe. Jak pan wie, już od początku mieliśmy więcej problemów, niż na to zasłużyliśmy. Nie z naszej winy. - Najpierw był luty 1971 r., gdy dwudziestu trzech producentów ropy podpisało porozumienie cenowe OPEC, utworzyło kartel i podniosło cenę surowca do 2,16 dolara... Potem wojna Jom Kipur w 1973

r., gdy OPEC odcięła dostawy do Stanów Zjednoczonych i podniosła cenę do 5,12 dolara.

Następnie katastrofalny rok 1974, gdy dostawy OPEC zostały wznowione po zdublowanej cenie, 10,95 dolara, co wywołało światową recesję. - Dlaczego USA pozwoliły OPEC na zrujnowanie gospodarki światowej, choć mogły ją zmiażdżyć? Nigdy się nie dowiemy. Bakał Teraz jesteśmy wszyscy zadłużeni w OPEC, a nasz główny dostawca, Iran, przechodzi rewolucję. Ropa kosztuje prawie 20 dolarów za baryłkę i tyle musimy płacić. Musimy. -

Zacisnął pięść, żeby uderzyć w reling, ale zmusił się do rozluźnienia dłoni i skarcił za brak samokontroli. - Co do Iran-Tody - kontynuował, na-256

kazując sobie spokój - stwierdzamy, tak jak wszyscy inni, że w Iranie w ostatnich latach jest bardzo, bardzo trudno robić interesy. - Uniósł kartkę. - Mój prezes prosi, żebym dotarł do Bandar Dejlamu. Scragger gwizdnął.

- To chyba będzie trudne.

120

- Owszem.

- Czy to ważne?

- Tak. Bardzo ważne.

Kasigi czekał. Był pewien, że Scragger zaproponuje jakieś rozwiązanie. Na brzegu przesiąknięta ropą ziemia nadal płonęła jasno wokół zaworu zniszczonego przez sabotażystów. Wóz strażacki polewał ją teraz pianą. Widzieli de Plesseya rozmawiającego z Legrande'em.

- Słuchaj, chłopie - odezwał się Scragger. - Jesteś ważnym klientem de Plesseya, co? On mógłby załatwić ci czarter. Mamy wolny 206. Wszystkie nasze maszyny są zakontraktowane przez IranOil, ale tak naprawdę to de Plessey nimi rządzi. Gdyby się zgodził, moglibyśmy dostać zezwolenie od

kontroli lotów i podrzucić cię wzdłuż wybrzeża albo, gdybyś załatwił

formalności w Urzędzie Imigracyjnym i Celnym w Lengeh, być może moglibyśmy przerzucić cię przez zatokę do Dubaju lub Asz Szargaz. Stamtąd mógłbyś złapać lot do Abadanu lub Bandar Dejlamu. Tak czy inaczej, moglibyśmy cię jakoś wyprawić.

- Czy myślisz, że on się zgodzi?

- Dlaczego nie? Jesteś dla niego ważny.

Kasigi zastanawiał się. Oczywiście. Jesteśmy dla niego ważni, i on o tym wie. Nigdy jednak nie zapomnę tej niegodziwej premii - 2 dolary za baryłkę.

- Przepraszam... Co powiedziałaś?

- Zapytałem, dlaczego rozpoczęliście tę budowę? Tak daleko od domu i same kłopoty. Co was do tego skłoniło?

- Marzenie. - Kasigi miał ochotę na papierosa, ale na tankowcu wolno było palić tylko w wyznaczonych miejscach. - Jedenaście lat temu, w 1968, człowiek nazwiskiem Banjiro Kyama, starszy inżynier pracujący

257

dla naszej spółki i krewny naszego prezesa, Hiro Tody, jechał samochodem przez pola naftowe koło Abadanu. Był w Iranie po raz pierwszy; wszędzie widział spalanie nadwyżek gazu ziemnego. Nagle wpadła mu do głowy myśl: dlaczego nie mielibyśmy przetwarzać tego gazu? Dysponujemy technologią, doświadczeniem i zwykle planujemy perspektywnie.

Japońskie umiejętności i pieniądze, połączone z irańskimi surowcami, które się marnują!

Świetna myśl. Poza tym... wpadliśmy na nią pierwsi! Sprawdzanie wykonalności projektu zajęło trzy lata; dosyć długo, choć zazdrośni rywale twierdzili, że działamy zbyt pochopnie; jednocześnie próbowali skraść nasz pomysł i napuszczali na nas, kogo się dało. Oczywiście, Toda planowała prawidłowo i rozpoczęła realizację projektu za 3,5 miliarda dolarów. Rzecz jasna, jesteśmy tylko częścią syndykatu Gyokotomo-Mitsuwari-Toda, ale statki Tody przewozić będą produkty, których nasz przemysł desperacko potrzebuje.

Jeśli kiedykolwiek uda się nam zakończyć budowę, dodał ponuro w myśli.

- A teraz marzenie zmieniło się w koszmar? - zapytał Scragger. - Chyba słyszałem... Czy nie pisano, że zaczyna brakować pieniędzy?

- Wrogowie rozsiewają różne pogłoski. - Przez ciągłe buczenie generatorów statku przebił się krzyk, którego Kasigi oczekiwał; był zdziwiony, że nie usłyszał go wcześniej. - Czy pomożesz mi, gdy de Plessey wróci na pokład?

- Z przyjemnością. On jest... - Scragger urwał. Znów krzyk. - Oparzenia muszą być ogromnie bolesne.

Kasigi skinął głową.

Nowy wybuch płomieni skierował ich uwagę na brzeg. Spojrzeli na krzątających się tam ludzi. Teraz ogień był już prawie opanowany. Następny krzyk. Kasigi go nie usłyszał. Myślał

właśnie o Bandar Dejlami i o odpowiedzi, jaką mógł teraz wysłać teleksem do Hiro Tody.

Jeśli ktoś może rozwiązać nasze problemy, to tylko Hiro Toda. Musi je rozwiązać. Jeśli nie - jestem zrujnowany; jego klęska stanie się moją.

121

258

. - Kasigi-san! - To wołał kapitan z mostka.

- Hai?

Scragger słuchał japońskich słów kapitana. Dźwięk japońskiego brzmiał dla niego nieprzyjemnie.

- Dorno - wy dyszał Kasigi. Odkrzyknął coś, a potem, zapominając o wszystkim innym, rzucił do Scrag-

-gera: - Prędko! - Popędził przodem. - Ten Irańczyk, pamiętasz? Ten, którego wyrzuciłeś z helikoptera? Umieścił pod pokładem ładunek wybuchowy!

Scragger biegł za Kasigim. Minęli wodoszczelną grodz i popędzili schodnią w dół, przeskakując po dwa stopnie. Jeden poziom, drugi... Scragger przypomniał sobie krzyki.

Myślałem, że dochodzą z sali operacyjnej, a nie z dołu! Co oni mu zrobili?

Niemal wpadli na kapitana i głównego inżyniera. Dwóch rozłoszczonych marynarzy popychało przed sobą Sajjida. Po twarzy płynęły mu łzy, mówił coś bezładnie; jedną ręką podtrzymywał spodnie. Zatrzymał się, jęcząc i dygocąc. Wskazał zawór. Kapitan przykucnął.

Ostrożnym ruchem sięgnął za ogromny zawór. Potem wstał. Ładunek plastiku zaledwie przykrywał mu dłoń. Detonator z opóźnionym zapłonem działał chemicznie; tkwiła w nim ampulka przymocowana taśmą klejącą.

- Wyłącz to - powiedział ze złością w kiepskim farsi i wyciągnął urządzenie w kierunku Irańczyka, który wrzasnął:

- Nie można tego wyłączyć! Już powinno wybuchnąć! Nie rozumiecie?

Kapitan zamarł.

- On mówi, że to zaraz wybuchnie!

Zanim ktokolwiek inny zdążył zareagować, jeden z marynarzy chwycił ładunek wybuchowy i, na wpeł ciągnąc, a na wpeł popychając przed sobą Sajjida, pobiegł ku schodni. Na tym pokładzie nie było luków; były na sąsiednim - najbliższy w kącie korytarza. Luk był

zamknięty na głucho dwoma sworzniami, umocowanymi na dwóch bolcach przytrzymywanych przez dwie nakrętki. Marynarz popchnął Sajjida na ścianę, 259

krzycząc, żeby odkręcił jedną: sam zabrał się do drugiej. Irańczyk zaczął odkręcać stalową nakrętkę wolną ręką. Najpierw puścił sworzeń marynarza, potem Sajjida. Marynarz gwałtownie otworzył luk. W tym momencie ładunek eksplodował; oberwał Japończykowi ręce i część twarzy, a Sajjidowi głowę. Cała groź tonęła we krwi.

Pozostałych uczestników wydarzenia podmuch eks-v, plozji omal nie zwałił ze schodni, którą właśnie nadbiegali. Potem Kasigi wysunął się do przodu i ukląkł obok dwóch ciał. Tępo pokręcił głową.

Ciszę przerwał kapitan.

- Karma - mruknął.

W TEHERANIE, 20:33. Gdy Tom Lochart opuścił McIvera nie opodal biura, ruszył do domu. Minął nieliczne grupy ludzi, kilku agresywnych policjantów, po drodze jednak nie zaszło nic nieoczekiwanego. Jego mieszkanie było luksusową nadbudówką nowoczesnego, pięciopiętrowego budynku w najlepszej dzielnicy mieszkalnej - prezent ślubny od teścia.

Szahrazad czekała na niego. Objęła go ramionami, namiętnie pocałowała, ubłagała, żeby usiadł przy kominku, i zdjęła mu buty. Szybko przyniosła wino, schłodzone dokładnie tak, jak lubił, i podała przekąskę. Powiedziała, że kolacja będzie zaraz gotowa. Pobiegła do kuchni i swym melodyjnym, dźwięcznym głosem nakazała pokojówce i kucharzowi, żeby się pospieszyli, gdyż pan wrócił już do domu i jest głodny. Następnie 261

znów przysłała i usiadła na pięknym, grubym dywanie. Objęła nogi męża rękoma.

122

- Och, jaka jestem szczęśliwa, że już wróciłeś, Tom-my. Tak bardzo za tobą tęskniłam -

rzekła cudownie brzmiącym angielskim. - Och, tak ciekawie spędziłam czas dziś i wczoraj.

Miała na sobie perskie spodnie z cienkiego jedwabiu i długą, luźną bluzę. Była dla Locharta aż boleśnie piękna. I kusząca. Za kilka dni będzie obchodziła dwudzieste trzecie urodziny. On miał czterdzieści dwa lata. Byli małżeństwem prawie od roku, a on był nią oczarowany od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Jakieś trzy lata temu oboje znaleźli się na przyjęciu wydawanym w Teheranie przez generała Walika. To był początek września; w angielskich szkołach kończyły się właśnie wakacje letnie. Deirdre, żona Locharta, przebywała wtedy w Anglii z córką. Zabawiała się i chodziła na przyjęcia; właśnie tamtego dnia rano przyszedł od niej kolejny, irytujący list. Nalegała w nim, żeby Tom napisał do Gavallana i poprosił o natychmiastowe przeniesienie. Nienawidzę Iranu - pisała. - Nie chcę już ani przez chwilę tam mieszkać. Chcę być w Anglii. Monika także. Dlaczego nie pomyślisz dla odmiany o nas, zamiast przejmować się tym cholernym lataniem i tą cholerną spółką? Tutaj mieszka cała moja rodzina, wszyscy moi przyjaciele i przyjaciele Moniki. Mam dość życia za granicą i chcę mieć własny dom z ogrodem, gdzieś koło Londynu albo nawet w mieście. W Putney and Clapham Common oferują bardzo dobre mieszkania. Mam całkowicie dosyć cudzoziemców i zagranicznych posad. Mam po dziurki w nosie irańskich potraw, brudu, upału, zimna, ich odrażające-S° języka, wstrętnych ubikacji i kucania jak zwierzę, zwyczajów, manier, wszystkiego. Jeszcze mamy czas, żeby wszystko uporządkować, dopóki jestem młoda... - Ekscelecencjo?

Uśmiechnięty kelner w nakrochmalonym ubraniu z szacunkiem podsunął tacę z drinkami, w większości bezalkoholowymi. Wielu muzułmanów z klasy średniej i wyższej piło alkohol w domowym zaciszu. Nieliczni

262

w miejscach publicznych; w Teheranie sprzedawano wszelkie trunki i wina, podawano je też w barach wszystkich nowoczesnych hoteli. Cudzoziemcy mogli pić wszędzie; w Iranie nie było ograniczeń takich jak w Arabii Saudyjskiej i w niektórych Emiratach, gdzie każdy, dosłownie każdy, schwytany na picciu alkoholu podlegał przewidywanej przez Koran karze chłosty.

- Mammunam, dziękuję - powiedział grzecznie i wziął szklanekę białego perskiego wina, cenionego przez prawie trzy tysiąclecia. Ledwie zauważał kelnera i innych gości. Nie mógł

pozbyć się przygnębienia; był zły, że zgodził się przyjść na to przyjęcie zamiast McIvera, który musiał polecieć na drugą stronę zatoki do bazy w Asz Szargaz.

- Ależ, Tom, znasz farsi, a ktoś musi iść na to przyjęcie - rzucił lekkim tonem McIver. Tak, pomyślał Lochart, ale Mac mógł o to poprosić Charliego Petti-kina.

Dochodziła dziewiąta. Nie podano jeszcze kolacji, a on stał koło otwartych drzwi prowadzących do ogrodów, obserwując światła świec i trawniki wyścielone bogatymi dywanami, na których siedzieli i leżeli goście. Inni stali w grupach pod drzewami lub nad małym stawem. Noc była wypełniona gwiazdami i piękna, dom bogaty i obszerny, położony w dzielnicy Szemiran u stóp gór Elburs. Przyjęcie przypominało inne, na które bywał często zapraszany z racji znajomości farsi. Wszyscy Iraczyści byli bardzo dobrze ubrani; rozlegał

się śmiech i błyszczało dużo biżuterii. Na stołach piętrzyły się potrawy, europejskie i irańskie, gorące i zimne. Rozmawiało się o najnowszym przedstawieniu teatralnym w Londynie lub Nowym Jorku albo wygłaszało zdania w rodzaju: "Czy jedziesz do St. Moritz na narty lub w sezonie do Cannes?" Innym tematem była cena ropy, a także plotki o dworze: "Jego Cesarska Wysokość to, Jej Cesarska Wysokość tamto", wszystko okraszone grzecznością, pochlebstwami i przesadnymi

komplementami, tak niezbędnymi w całym społeczeństwie Iranu, pieczołowicie kultywującym łagodną i grzeczną

263

123

powierzchnowość, przez którą trudno było przebić się komuś obcemu, a zwłaszcza cudzoziemcowi.

Pracował wtedy na Galeg Morghi, wojskowym lotnisku w Teheranie, szkoląc irańskich pilotów wojskowych. Za dziesięć dni miał przenieść się do Zagrosu; dobrze wiedział, że ta nowa posada - dwa tygodnie w Zagrosie i jeden w Teheranie jeszcze bardziej rozżłości żonę.

Tego dnia rano odpowiedział na jej list: Jeśli chcesz zostać w Anglii, zostań w Anglii, ale przestań lamentować i wydziwiać na to, czego nie znasz. Kup sobie podmiejski domek, gdzie tylko chcesz, aleja tam nigdy nie zamieszkać. Nigdy. Mam dobrą pracę, dobrze zarabiam i czuję się tu świetnie. Powinnaś otworzyć oczy. Gdy braliśmy ślub, wiedziałaś, że jestem pilotem, wiedziałaś, jakie życie wybrałem, wiedziałaś, że nie mógłbym mieszkać w Anglii, wiedziałaś, że niczego innego nie potrafię, i że teraz już tego nie zmienię. Przestań lamentować. Jeśli chcesz coś zmienić, zrób to sama...

Do diabła z tym. Chryste, ona mówi, że nienawidzi Iranu i wszystkiego, co się z nim wiąże, a przecież nie wysunęła nigdy nawet nosa poza Teheran. Nigdzie nie była, nigdy nie spróbowała irańskiego jedzenia. Przebywała tylko z żonami Brytyjczyków, ciągle tymi samymi. Głośna i fanatyczna mniejszość, odizolowana, znudzona i nudząca tymi nie kończącymi się partyjkami brydża, herbatkami nudnymi jak flaki z olejem.. "Ależ kochanie, jak możesz znieść coś, co nie pochodzi z Fortnums albo od Marksa i Sparksa", mizdrząca się, żeby uzyskać zaproszenie do ambasady brytyjskiej i zjeść kolejny nieśmiertelny rostbef i pudding Yorkshire albo wypić herbatę, zagryzając kanapką z ogórkiem i ciastkiem z kminkiem, w przekonaniu, że wszystko, co angielskie, jest najlepsze na świecie, a zwłaszcza angielska kuchnia: gotowana marchewka, gotowany kalafior, gotowane ziemniaki, gotowana brukselka, nie dopieczony rostbef lub pieczone za długo jagnię jako szczyt jakiejś pieprzonej doskonałości...

- Och, mój biedny ekscelencja! Nie wyglądasz na zbyt zadowolonego. - Usłyszał czyjś cichy głos.

264

Rozejrzał się wokół i stwierdził, że znajduje się w zupełnie innym świecie.

- O co chodzi? - zapytała. Na jej owalnej twarzy malowało się zatroskanie.

- Przepraszam - westchnął. Przez chwilę był zdezorientowany; waliło mu serce i miał gardło ściśnięte jak nigdy dotąd. - Wydawało mi się, że jest pani nadprzyrodzonym zjawiskiem, postacią z Baśni z tysiąca i jednej nocy, kimś magicznym. - Zmusił się do zamilknięcia; czuł

się jak głupiec. - Przepraszam, byłem myślami bardzo daleko stąd. Nazywam się Lochart, Tom Lochart.

- Wiem - odparła ze śmiechem. Miała bursztynowe, błyszczące oczy. Jej wargi także błyszczały; zęby były śnieżnobiałe, ciemne włosy faliste i długie, a skóra koloru irańskiej ziemi: oliwkowobrazowa. Nosiła ubranie z białego jedwabiu, była lekko uperfumowana i sięgała mu zaledwie do brody. - Jest pan tym wstrętnym kapitanem od szkolenia, który daje mojemu biednemu kuzynowi Karimowi wycisk przynajmniej trzy razy dziennie.

- Co? - Lochart nie mógł się skupić. - Kto?

- O, tam. - Wskazała przeciwległą ścianę pokoju. Młody człowiek był w cywilnym ubraniu; uśmiechał się do nich, a Lochart nie poznał, że jest jednym z jego uczniów. Młodzieniec był

bardzo przystojny, miał ciemne, kręcone włosy, ciemne oczy i był dobrze zbudowany. - Mój wyjątkowy kuzyn, kapitan Karim Peszadi z Cesarskich Irańskich Sił Powietrznych.

Obdarzyła Locharta powłóczystym spojrzeniem, a jego serce znowu załomotało jak szalone.

Weź się w garść, na Boga! Co się z tobą dzieje?

- Ja... no, próbuję nie dawać im wycisku, chyba że na to zasługują. To tylko po to, żeby mogli zachować życie. - Próbował przypomnieć sobie akta personalne kapitana Peszadiego, ale nie mógł, i w desperacji przeszedł na farsi. - Ale, Wasza Wysokość, jeśli wyświadczy mi 124

pani ten wyjątkowy zaszczyt, jeśli zostanie pani i będzie ze mną rozmawiać, i udzieli mi łaski, mówiąc,

265

jak się nazywa, to przyrzekam, że... - przez chwilę szukał właściwego słowa, nie znalazł go i zastąpił innym: _ będę zawsze pani niewolnikiem i oczywiście będę musiał traktować Jego Ekscelencję pani kuzyna o sto procent lepiej niż innych!

Z zachwytem klasnęła w dłonie.

- Och, czcigodny ekscelencjo - odpowiedziała w far-si. - Jego Ekscelencja mój kuzyn nie wspominał, że mówi pan naszym językiem! Och, jak pięknie brzmią słowa, gdy są wypowiedane przez pana!

Niemal wychodząc z siebie, Lochart słuchał przesadnych komplementów, charakterystycznych dla farsi, i sam odpowiadał tak samo. Błogosławił w myślach Scraggera, który, wiele lat temu, gdy Tom wstępował do Sheik Aviation po opuszczeniu RAF-u w 1965

roku, powiedział mu: "Jeśli chcesz z nami latać, chłopie, naucz się lepiej farsi, bo ja jestem na to zbyt leniwy!" Teraz po raz pierwszy zauważył, jak wspaniale ten język nadaje się do mówienia o miłości, do aluzji i niedomówień...

- Nazywam się Szahrazad Paknuri, ekscelencjo.

- Zatem Wasza Wysokość pochodzi jednak z Baśni z tysiąca i jednej nocy.

- Ach, lecz nie mogę panu niczego opowiedzieć, nawet gdyby chciał mi pan uciąć głowę! -

Potem dodała ze śmiechem po angielsku: - Opowiadanie to moja najsłabsza strona.

- To niemożliwe - odparł natychmiast.

- Czy zawsze jest pan tak uprzejmy, kapitanie Lochart?

Badała go spojrzeniem. Usłyszał, jak sam mówi w farsi:

- Tylko wobec najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widziałem.

Na jej twarz wypłynął rumieniec. Spuściła wzrok, a on pomyślał z przerażeniem, że wszystko zepsuł. Gdy jednak znów na niego spojrzała, śmiały jej się oczy.

- Dziękuję. Uszczęśliwił pan starą mężatkę. Szklanka wypadła mu z ręki. Podniósł ją i przeprosił Szahrazad; oprócz niej nikt tego nie zauważył. Mężatka!

266

Przedtem nie przyszło mu to do głowy. Ale oczywiście: była mężatką, a on miał żonę i ośmioletnią córkę. Nie . miał prawa się złościć. Na Boga, zachowujesz się jak nieprzytomny.

Chyba zwariowałeś. Odzyskał panowanie nad sobą.

- Co pani powiedziała? - zapytał.

- Och, powiedziałam, że byłam zamężna. Właściwie to jestem nadal; jeszcze przez trzy tygodnie i dwa dni. Moje nazwisko po mężu brzmi Paknuri. Z domu nazywam się Bakrawan... - Zatrzymała kelnera, wzięła kieliszek wina i wręczyła Lochartowi. Znowu zmarszczenie brwi. - Czy na pewno dobrze się pan czuje, kapitanie?

- O tak, tak - odparł szybko. - Powiedziała pani: Pankuri?

- Tak. Jego Wysokość emir Paknuri był taki stary, pięćdziesiąt lat, i był przyjacielem mojego ojca. Ojciec i matka uważali, że małżeństwo z nim będzie dla mnie dobre, a on się zgodził, choć jestem chuda, a nie tłusta i godna pożądania, mimo iż dużo jem, tak jak chce Bóg. -

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, a dla niego świat poweselał. - Oczywiście, zgodziłam się, ale tylko pod warunkiem, że po dwóch latach, jeśli się rozmyślę, nasze małżeństwo będzie rozwiązane. Tak więc wzięliśmy ślub w moje siedemnaste urodziny. Od razu mi się to nie spodobało. Stale płakałam, a ponieważ w ciągu tych dwóch lat nie przyszły na świat dzieci, ani też podczas dodatkowego, trzeciego roku, na który się zgodziłam, mój pan przystał z radością na rozwód. Zamierza ożenić się ponownie, a ja jestem wolna, tylko że taka stara...

- Nie jest pani stara, lecz...

125

- Och, tak. Stara!

Usiłowała wyglądać na zmartwioną, ale widać było, że jest wesoła. Znow do niej mówił, śmiał się razem z nią, potem poprosił jej kuzyna, żeby się do nich przyłączył, bojąc się, że to jego naprawdę wybrała. Gawędzili w trójkę. Dowiedział się, że jej ojciec jest ważnym kupcem na bazarze, że jej rodzina jest rozległa i kosmpolityczna oraz bardzo ustosunkowana, że jej

267

matka jest chora, że Szahrazad ma siostry i braci, i że uczęszczała do szkoły w Szwajcarii, ale tylko przez pół roku, ponieważ bardzo tęskniła za Iranem i rodziną. Potem jadł z nimi kolację, wesoły i szczęśliwy, nawet mimo obecności generała Walika; czuł się tak dobrze jak nigdy przedtem.

Po przyjęciu nie pojechał prosto do domu, lecz wybrał drogę do Darband; w górskiej okolicy nad strumieniem rozrzucone były liczne kafejki ze stolikami, krzesłami i hojnie rozłożonymi, bogatymi dywanami, na których można było odpocząć, zjeść, nawet się zdrzemnąć. Niektóre z nich umieszczono na pomostach nad strumieniem, tak że z dołu dochodził szum i szept wody. Lochart leżał na takim dywanie, wpatrując się w gwiazdy; wiedział, że przeszedł jakąś przemianę, wiedział, że oszalał, ale pokona wszystkie przeszkody i zniesie wszelkie trudności, byle tylko poślubić tę dziewczynę.

Udało się mu, choć przeszkody były okrutne i wielokrotnie łkał w rozpacz.

- O czym myślisz, Tommy? - zapytała teraz, siedząc u jego stóp na pięknym dywanie, który dostali w prezencie ślubnym od generała Walika.

- O tobie - odparł. Jej czułość odegnała wszystkie troski. W saloniku było ciepło, tak samo jak w pozostałej części ogromnego mieszkania. Paliły się delikatne światła, kotary przesłaniały okna, wszędzie piętrzyły się ozdobne poduszki; na kominku płonął wesoły ogień.

- Myślę o tobie przez cały czas.

Klasnęła w ręce.

- Jakie to cudowne!

- Nie lecę do Zagrosu jutro, lecz pojutrze.

- Och, to jeszcze cudowniejsze! - Przytuliła głowę do jego kolan. - Cudowne!

Pogładził jej włosy.

- Mówiłaś, że miałaś interesujący dzień?

- Tak. Wczoraj i dziś. Byłam w waszej ambasadzie i dostałam paszport, tak, jak mówiłeś, żebym...

268

- Wspaniale! Teraz jesteś Kanadyjką.

- Nie, ukochany. To ty jesteś Kanadyjczykiem. Posłuchaj, najwspanialsze jest to, że pojechałam do Do-szan Tappeh - oświadczyła z dumą.

- Chryste - powiedział i zawstydził się, gdyż Szahrazad nie lubiła, gdy bluźnił. -

Przepraszam, ale to było wariactwo. Tam toczą się walki. Nie powinnaś narażać się na takie niebezpieczeństwo.

- Och, przy mnie nie walczyli - rzuciła wesoło. Wstała i ruszyła do drzwi, mówiąc: - Pokażę ci. - Po chwili pojawiła się znowu. Miała na sobie szary czador, zakrywający ją od stóp do głów, łącznie z twarzą. Nie lubił tego stroju. - Och, panie - powiedziała w farsi, kręcąc się przed nim. - Nie musisz się o mnie bać. Bogowie mnie strzegą, a prorok, niech jego imię będzie pochwalone... - Urwała na widok wyrazu jego twarzy. - O co chodzi? - zapytała po angielsku.

- Nigdy.... nigdy nie widziałem cię w czadorze. To... to do ciebie nie pasuje.

- Och, wiem, że jest brzydki i nigdy nie wkładam go w domu, ale na ulicy czuję się w nim lepiej, Tommy. Te wszystkie okropne spojrzenia mężczyzn. Nadszedł czas, żebyśmy znowu zaczęły się tak ubierać. I zasłaniać twarze.

126

Był wstrząśnięty.

- A co z wszystkimi uprawnieniami, które zdobyłyście? Prawa wyborcze, prawo do odsłaniania twarzy, prawo do chodzenia, dokąd się chce, wyjścia za męża, za kogo się chce; przestałyście być składnikiem majątku mężczyzny. Jeśli kobiety zgodzą się na czador, stracą też wszystko inne.

- Może tak, a może nie, Tommy. - Była zadowolona, że rozmawiają po angielsku, gdyż w tym języku mogła się trochę spierać, co byłoby nie do pomyślenia, gdyby jej mężem był

Irańczyk. Cieszyła się też, że wyszła za tego człowieka, który, nie do wiary, pozwalał jej wyrażać własne zdanie. Wino wolności uderza do głowy, pomyślała. Picie takiego wina jest dla kobiety bardzo trudne i niebezpieczne, jak nektar z Rajskich Ogrodów.

269

- Gdy Szach Reza odsłaniał nam twarze - powiedziała

- powinien był także odebrać mężczyznom ich obsesję. Nie jesteś kobietą, Tommy, która chodzi na bazar albo jeździ samochodem. Nie masz pojęcia, jak to jest. Mężczyźni są na ulicach, na bazarze, w

banku, wszędzie. Wszyscy są tacy sami. U wszystkich widać te same myśli, tę samą obsesję. Myślą o mnie tak, jak tylko ty powinienesz myśleć. - Zdjęła czador, złożyła go starannie na krześle i znowu usiadła u jego stóp. - Od dziś będę go nosiła, wychodząc na ulicę, jak moja matka i jej matka... Nie z powodu Chomeiniego, niech Bóg go chroni, lecz dla ciebie, mój ukochany mężu.

Pocałowała go lekko i usiadła mu na kolanach. Wiedział, że decyzja już zapadła. Co prawda mógłby jej tego zabronić, ale przecież decydowanie o takich sprawach było jej prawem. Była Iranką, mieszkali w Iranie i już na zawsze tu pozostaną - to jeden z warunków postawionych przez jej ojca. Ten problem był irański i rozwiązanie także irańskie: dni westchnień i spojrzeń z głębi serca, łez, poniżeń, niewolniczej służalczości, szlochów w nocy, dalszych bolesnych westchnień, nigdy gniewnego słowa lub spojrzenia, które byłoby zabójcze dla spokoju męża, ojca lub brata.

Lochart nie mógł jej czasem zrozumieć.

- Rób, co chcesz, ale już nigdy nie jedź do Doszan Tappeh - powiedział, bawiąc się jej włosami. Były jedwabiste i błyszczące tak, jak może błyszczeć tylko młodość. - Co się tam wydarzyło?

Jej twarz pojaśniała.

- Och, to było takie podniecające. Nieśmiertelni, nawet oni, doborowe oddziały Szacha, nie mogli poradzić sobie z wiernymi. Wszędzie rozlegały się strzały. Ja byłam bezpieczna; pojechali ze mną: siostra, Laleh, i mój kuzyn Ali z żoną. Był tam też kuzyn Karim. Razem z wieloma innymi oficerami opowiedział się za islamem i rewolucją; powiedział nam, gdzie i jak możemy się z nim spotkać. Było tam jeszcze ze dwieście pań, wszystkie w czadorach.

Skandowałyśmy: "Bóg jest wielki, Bóg jest wielki"; przyłączyli się do nas niektórzy 270

żołnierze. Nieśmiertelni! - Rozwarła szerzej oczy. - Wyobraź sobie. Nawet Nieśmiertelni zaczynają dostrzegać 'prawdę!

Lochart był przerażony. Naraziła się na niebezpieczeństwo, nic mu nie mówiąc i nie pytając o pozwolenie. Jak dotąd, powstanie i sprawa Chomeiniego wcale jej nie obchodziły, poza samym początkiem, kiedy to obawiała się o bezpieczeństwo ojca i krewnych, którzy byli ważnymi kupcami i bankierami z bazaru, powszechnie znanymi z powodu powiązań z dworem cesarskim. Na szczęście jej ojciec rozwiął ich obawy, gdy szepnął Lo-chartowi, że on i jego bracia już od lat wspierają po cichu Chomeiniego i powstanie przeciwko Szachowi.

Teraz jednak, pomyślał Lochart, teraz, gdy Nieśmiertelni zaczynają się wahać, a najbardziej obiecujący młodzi oficerowie, tacy jak Karim, otwarcie wspierają rewoltę, nastąpi ogromny rozlew krwi.

- Ilu żołnierzy przyłączyło się do was? - zapytał, próbując zebrać myśli.

127

- Tylko trzech, lecz Karim powiedział, że to dobry początek, i że lada dzień Bachtiar i jego łotrzy uciekną, tak jak uciekł Szach.

- Posłuchaj, Szahrazad. Dzisiaj rząd brytyjski i kanadyjski nakazały opuszczenie Iranu wszystkim członkom rodzin swych obywateli pracujących w Iranie. Mac wysyła wszystkich do Asz Szargaz do czasu, aż sytuacja się unormuje.

- To bardzo mądre. Tak, mądre.

- Jutro helikopter 125 zabierze Genny, Manuelę, ciebie i Azadeh. Spakuj...

- Och, kochanie, ja nie wyjadę. Nie ma takiej potrzeby. A Azadeh? Dlaczego ona ma wyjeżdżać? My nie jesteśmy zagrożone. Gdybyśmy były, ojciec na pewno by o tym wiedział.

Nie masz powodów do niepokoju... - Zobaczyła, że jego kieliszek jest prawie pusty; napełniła go szybko i przybiegła z powrotem. - Jestem całkowicie bezpieczna.

- Uważam jednak, że byłabyś bezpieczniejsza poza Iranem...

271

_ To wspaniale, że tak się o mnie troszczysz, kochanie, ale naprawdę nie ma powodu, żebym wyjeżdżała. Zresztą zapytam jutro ojca albo możesz... - Mały węgielek wypadł z kominka, ale nie mógł wywołać pożaru. Lochart chciał wstać, lecz ona już tam była. - Ja to zrobię.

Wypoczywaj, kochanie. Na pewno jesteś zmęczony. Być może jutro znajdziesz czas, żeby odwiedzić ze mną ojca.

Zręcznie poprawiła ogień. Czador leżał obok na krześle. Zobaczyła, że mąż na niego patrzy, i cień uśmiechu zniknął z jej twarzy. - Co?

Zamiast odpowiedzieć, po prostu uśmiechnęła się znowu, podniosła czador i pobiegła zwawo przez pokój, a potem korytarzem do kuchni.

Lochart nie był spokojny. Wpatrywał się w ogień i próbował przygotować argumenty, gdyż nie chciał jej rozkazywać. Ale jej każe, jeśli będę musiał. Mój Boże, tyle kłopotów! Charlie zniknął, w Kowissie niespokojnie, Kijabi zamordowany, a Szahrazad w samym środku rozruchów! Ona chyba oszalała! Tak ryzykować! Jeśli ją stracę, umrę. Boże, kimkolwiek jesteś i gdziekolwiek jesteś, ochraniaj ją...

Salon był duży. Na przeciwległym krańcu stał stół i dwanaście krzeseł. Często jednak jadali po irańsku. Siedzieli na dywanie, wsparci na poduszkach, przy rozłożonym na podłodze obrusie. Rzadko chodzili w butach, a Szahrazad nigdy na wysokich obcasach, które mogłyby zniszczyć puszyste dywany. W mieszkaniu było pięć sypialni, trzy łazienki i dwa salony.

Zwykle przebywali w większym, mniejszy zaś, położony w odległym krańcu mieszkania, służył jej, gdy on omawiał z kimś interes albo gdy odwiedzała ją siostra, przyjaciółki lub krewni, tak że ich rozmowa mu nie przeszkadzała. Wokół Szahrazad zawsze panował ruch; zawsze kręcił się koło niej ktoś z rodziny, dzieci, nianie, z tym że ruch ten ustawał po zachodzie słońca, mimo iż często ktoś z

krewnych lub bliskich przyjaciół zostawał na noc i spał w gościnnej sypialni.

272

Nigdy nie oponował, gdyż mimo jego obecności stanowili szczęśliwą, towarzyską rodzinę.

Także dlatego, że stanowiło to część układu, jaki zawarł z jej ojcem. Miał cierpliwie uczyć się irańskich obyczajów i cierpliwie ich przestrzegać przez trzy lata i jeden dzień. Potem mógł

zamieszkać czasowo z Szahrazad poza Iranem.

- Ponieważ do tego czasu - powiedział uprzejmie jej ojciec, Dżared Bakrawan - z pomocą Jedynego Boga i Jego proroka, niech jego słowa będą wiecznie żywe, dysponować będziesz wiedzą wystarczającą, aby dokonać właściwego wyboru, gdy mieć będziesz synów i córki.

Choć moja córka jest chuda, rozwiedziona i nadal bezdzietna, nie sądzę, aby była bezpłodna.

- Ależ ona jest jeszcze młoda! Możemy uznać, że jest za wcześnie na dzieci...

- Nigdy nie jest za wcześnie - przerwał ostro Bakrawan. - Święte Księgi mówią to zupełnie jasno. Kobieta potrzebuje dzieci. Dom potrzebuje dzieci. Bez dzieci kobieta wyrodnieje.

128

Brak dzieci to największy problem mojej ukochanej Szahrazad. Aprobuję niektóre nowoczesne obyczaje, innych nie.

- Ale jeśli razem tak postanowimy? Jeśli razem uznamy, że jest za wcześnie... .

- Taka decyzja nie należy do niej! - Dżared Bakrawan wyglądał na wstrząśniętego. Był

małym, brzuchatym mężczyzną z siwymi włosami i brodą oraz twardym spojrzeniem. - To byłoby potworne! Sama rozmowa z nią na ten temat to zniewaga! Musisz myśleć jak Irańczyk albo to małżeństwo nie potrwa długo, czy też w ogóle nie dojdzie do skutku. Nigdy. Nie chcesz mieć dzieci?

- Ach, nie o to chodzi! Oczywiście chcę, ale...

- Dobrze. Zatem postanowiliśmy.

- A więc, czy mogę to rozumieć tak, że przez trzy lata i jeden dzień będę mógł uznać, że jest jeszcze za wcześnie?

- To głupia myśl. Jeśli nie chcesz mieć dzie...

- Chcę oczywiście, ekscelencjo.

273

W końcu ojciec powiedział niechętnie:

_ Tylko przez jeden rok i jeden dzień i tylko pod warunkiem, że przysięgniesz na Jedyne Boga, że naprawdę chcesz mieć dzieci, i że ta zdumiewająca prośba dotyczy tylko ograniczonego czasu! Masz głowę zapełnioną głupstwami, synu! Z Bożą pomocą te głupstwa roztopią się jak śnieg na piaskach pustyni. Kobiety muszą mieć dzieci...

Lochart uśmiechnął się do swych myśli. Ten wspaniały staruszek targowałby się nawet z Bogiem w Ogrodach Raju. Dlaczego nie? Czyż nie jest to narodową rozrywką Irańczyków?

Ale co ja mu teraz powiem? Rok i dzień niedługo upłynie. Czy chcę obciążać się dziećmi?

Nie. Jeszcze nie. Ale Szahrazad chce. Przyjęła moją decyzję i nigdy się nie uskarżała. Nie sędzę jednak, że kiedykolwiek z nią się zgodziła.

Z kuchni dobiegał przytłumiony dźwięk jej głosu i głosu pokojówki. Dawało to Lochartowi poczucie ogromnego spokoju, jakże odmiennego od życia, które prowadził. Poduszki były bardzo wygodne; patrzył w ogień płonący na kominku. Zza okien dochodziły odgłosy strzałów, ale było to już czymś tak zwyczajnym, że nie zwracało uwagi.

Muszę zabrać ją z Teheranu, pomyślał. Ale jak? Ona nie wyjedzie, nie zostawi rodziny. Może rzeczywiście właśnie tutaj jest najbezpieczniejsza - jeśli nie będzie brała udziału w rozruchach. Doszan Tappeh! Oszalała jak oni wszyscy. Chciałbym wiedzieć, czy wojsko rzeczywiście otrzymało rozkaz zgniecenia rewolty. Bachtiar musi szybko coś zrobić albo będzie po nim. Ale jeśli zrobi, poleje się krew, gdyż Irańczycy są gwałtowni; gardzą śmiercią, jeśli tylko mogą narażać życie w służbie islamu.

Ach, islam! I Bóg. Gdzie jest teraz Jedyne Bóg?

W sercach i umysłach wszystkich wyznawców. Szyici są wyznawcami. I Szahrazad. I cała jej rodzina. A ja? Nie, jeszcze nie, ale pracuję nad tym. Obiecałem mu, że będę nad tym pracował. Obiecałem, że przeczytam Koran i nie będę się na niego zamykał. No i co?

274

. Teraz me pora o tym myśleć. Bądź praktyczny, myśl praktycznie. Ona jest w niebezpieczeństwie. W czadorze czy bez, nie powinna się do tego mieszać. Ale dlaczego? To przecież jej kraj.

Tak, ale ona jest moją żoną. Rozkażę jej, żeby trzymała się od tego z daleka. A co z posiadłością jej ojca nad Morzem Kaspijskim, koło Bandar-e Pahlawi? Może by ją tam zabrali albo wysłali? Pogoda jest tam dobra, nie tak cholernie zimno jak tutaj, chociaż nie można narzekać: dzięki jej staruszkowi i rodzinie w domu jest ciepło, zbiornik zawsze napełniony paliwem, przygotowane drewno do kominka, lodówka wypchana jedzeniem...

Mój Boże, tyle mu zawdzięczam...

129

Jakiś dźwięk wyrwał go z zamyślenia. W drzwiach stanęła Szahrazad ubrana w czador i lekki welon, którego nigdy przedtem nie widział. Spoglądała na niego swoim najbardziej zalotnym spojrzeniem. Czador zaszeleścił, gdy się zbliżała. Rozchyliła go. Pod spodem była naga. Ten widok sprawił, że zaczął głęboko oddychać.

- A więc... - Mówiła jak zwykle cichym, melodyjnym głosem. Jej farsi brzmiał powabnie. - A więc, ekscelencjo mój mężu, czy teraz mój czador ci odpowiada?

Chciał chwycić ją w objęcia, ale odsunęła się ze śmiechem.

- Mówi się, że w lecie kobiety publiczne noszą czador właśnie w taki sposób.

- Szahrazad...

- Nie.

Tym razem złapał ją bez trudu. Jej smak, jej blask, jej miękkość...

- Być może, panie - powiedziała między kolejnymi pocałunkami, przekomarzając się z nim - być może twoja niewolnica będzie zawsze tak nosić swój czador; na ulicach, na bazarze...

Mówi się, że wiele kobiet tak robi.

- Nie! Zwariowałbym od samej myśli o tym. Chciał ją podnieść, szepnęła jednak: 275

_ Nie, ukochany, zostanmy tutaj.

- Ale służba...

- Zapomnij o nich - szepnęła znowu. - Nie będą nam przeszkadzać, zapomnij o nich, zapomnij o wszystkim, błagam cię, ukochany, pamiętaj tylko o tym, że to twój dom, twoje ognisko i że ja jestem na zawsze twoją niewolnicą.

Zostali. Jak zwykle jej namiętność dorównywała jego pożądaniu; choć nie mógł zrozumieć, jak i dlaczego, wiedział tylko, że podróżuje z nią do raju, naprawdę przebywa w Rajskich Ogrodach z tą rajską nimfą, a potem wraca wraz z nią na ziemię.

Później, podczas kolacji, dzwonek u drzwi zakłócił ich spokój. Otworzył służący, Hasan, potem wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Panie, to Jego Ekscelencja generał Walik - powiedział po cichu. - Przeprasza, że przybywa tak późno, ale to ważne. Pyta, czy Wasza Ekscelencja mógłby poświęcić mu kilka minut.

Lochart był zły, ale Szahrazad dotknęła lekko jego ramienia i gniew się ulotnił.

- Przyjmij go, ukochany. Poczekam na ciebie w łóżku. Hasan, przynieś czysty talerz i podgrzej

choreszt. Jego Ekscelencja może być głodny.

Walik bardzo przeproszał za najście. Dwukrotnie odmówił jedzenia, ale oczywiście w końcu dał się przekonać i jadł łapczywie. Lochart czekał cierpliwie, pamiętając o danej teściowi obietnicy - miał przestrzegać obyczajów panujących w Iranie; dobry obyczaj wymagał, aby dochodzić do wszystkiego okreśną drogą i nigdy nie wyrażać się obcesowo czy bezpośrednio.

W farsy było to znacznie łatwiejsze niż po angielsku.

Przeszedł na angielski tak szybko, jak mógł.

- Cieszę się, że pana widzę, generale. Czym mogę panu służyć?

- Dopiero pół godziny temu dowiedziałem się, że jest pan znowu w Teheranie. To najlepszy choreszt, jaki jadłem od wielu lat. Przykro mi, że przeszkadzam panu o tak późnej porze.

276

- Nic nie szkodzi.

Lochart pozwolił, żeby zapanowała cisza. Starszy mężczyzna jadł, nie przejmując się tym, że gospodarz mu nie towarzyszy. Kawałek jagnięcia przylepił się do jego wąsów, a Lochart patrzył na to zafascynowany, zastanawiając się, jak długo tam pozostanie. Wreszcie Walik otarł usta.

- Wyrazy uznania dla Szahrazad. Jej kucharz jest dobrze wyuczony. Powiem o tym memu ulubionemu kuzynowi, ekscelencji Dżaredowi.

- Dziękuję. - Lochart wciąż czekał.

Znów cisza zawisła pomiędzy nimi. Walik pociągnął łyk herbaty.

130

- Czy udało się załatwić zezwolenie dla 212?

- Do chwili, gdy wyszliśmy z biura - nie. - Lochart nie był przygotowany na to pytanie. -

Wiem, że Mac kazał posłańcowi czekać na zezwolenie. Zatelefonowałbym do niego, ale niestety nasz telefon nie działa. Dlaczego pan pyta?

- Wspólnicy chcieliby, żeby pan obsłużył ten czarter.

- Kapitan McIver wyznaczył kapitana Lane'a. Oczywiście, jeśli otrzymamy zezwolenie.

- Zezwolenie będzie udzielone. - Walik znów otarł usta i sam dolał sobie herbaty. -

Wspólnicy chcieliby, żeby to pan poleciał. Jestem pewien, że McIver wyrazi zgodę.

- Bardzo mi przykro, ale muszę wracać do Zagrosu. Chcę się upewnić, że wszystko jest tam w porządku. - Opowiedział pokrótce generałowi, co zaszło.

- Jestem pewien, że Zagros może poczekać kilka dni. Jestem też pewien, że Dżared będzie zadowolony, wiedząc, że uznał pan prośbę wspólników za ważną.

Lochart zmarszczył brwi.

- Dlaczego ten czarter jest tak ważny dla wspólników? Trochę części zamiennych, kilka riali?

- Wszystkie loty czarterowe są ważne. Wspólnicy troszczą się bardzo o zapewnianie jak najlepszych usług. Zatem zgadza się pan?

277

- Ja..- po pierwsze, muszę uzgodnić to z Makiem, po drugie, wątpię, czy 212 otrzyma zezwolenie, a po trzecie, naprawdę powinienem wrócić do swojej bazy.

Walik przywołał na twarz swój najmilszy uśmiech.

- Jestem pewien, że Mac wyrazi zgodę. Dostanie pan zezwolenie na opuszczenie przestrzeni powietrznej Teheranu. - Wstał. - Zamierzam zobaczyć się teraz z Makiem. Powiem mu, że pan się zgadza. Proszę podziękować Szahrazad. Jeszcze raz tysiącrotnie przepraszam za to najście, ale takie są teraz czasy.

Lochart nie ruszył się z miejsca.

- Nadal chciałbym wiedzieć, co jest takiego ważnego w kilku częściach zamiennych i w stu tysiącach riali.

- Wspólnicy uznali, że to ważne, a więc, mój młody przyjacielu, gdy usłyszałem, że tu jesteś, i pomyślałem o twoich bliskich związkach z moją rodziną, od razu założyłem, że zrobisz to chętnie, jeśli poproszę cię osobiście. Jesteśmy jedną rodziną, czyż nie tak? - Zabrzmiało to dość smętnie, mimo uśmiechu na twarzy Walika.

Lochart zmrużył oczy.

- Z przyjemnością pomogę, ale...

- Dobrze. Zatem postanowiliśmy. Dziękuję. Już wychodzę. - Walik odwrócił się jeszcze w drzwiach; wskazał wzrokiem salonik. - Jest pan bardzo szczęśliwym człowiekiem, kapitanie.

Zazdroszczę panu.

Po wyjściu Walika Lochart siedział przy dogasającym kominku, wpatrując się w ogień. Hasan i pokojówka sprzątnęły ze stołu i powiedzieli "dobranoc", ale on nawet tego nie zauważył. Nie

zauważył też Szahrazad, która zajrzała do pokoju, a widząc go zatopionego w myślach, wróciła do sypialni, żeby mu nie przeszkadzać.

Lochart czuł na sercu ciężar. Wiedział, że Walik zdawał sobie sprawę z tego, iż wszystko, co było wartościowego w mieszkaniu, a także samo mieszkanie, stanowiło prezent ślubny od ojca Szahrazad. Dżared Bakrawan podarował mu nawet de facto na własność cały 278

budynek, a przynajmniej dochód z czynszu. Tylko nieliczni wiedzieli o ich sporze.

- Choć ogromnie sobie cenię pańską hojność, nie mogę tego przyjąć - powiedział Lochart. -

To niemożliwe.

- Ale to są przecież tylko przedmioty, rzeczy nieważne.

131

- Tak, ale to zbyt wiele. Wiem, że moje wynagrodzenie nie jest astronomiczne, ale jakoś sobie poradzimy. Naprawdę.

- Oczywiście. Dlaczego jednak mąż mojej córki nie miałby prowadzić przyjemnego życia?

Jak inaczej mógłbyś uzyskać spokój, aby uczyć się irańskich obyczajów i spełnić swą obietnicę? Zapewniam cię, synu, że dla mnie przedstawia to małą wartość. Teraz należysz do mojej rodziny. W Iranie rodzina jest najważniejsza. Rodzina opiekuje się rodziną.

- Ale to ja muszę się nią opiekować. Ja, a nie pan.

- Oczywiście. Z bożą pomocą dojdzie do tego, żeby utrzymywać ją na takim poziomie, do jakiego jest przyzwyczajona. Na razie jednak nie jest to możliwe, gdyż musisz także przyczyniać się do utrzymania byłej żony i twojego dziecka. Chciałbym to załatwić w cywilizowany sposób, nasz irański sposób. Czyż nie przyrzekłeś, że będziesz żył tak jak my?

- Tak, ale proszę... Nie mogę tego przyjąć. Daj jej, co tylko chcesz, ale nie dawaj mnie. Ja muszę sam zrobić wszystko, na co mnie stać.

- Jestem pewien, że zrobisz. To jest tylko mój podarunek dla ciebie, a nie dla niej. To umożliwia mi oddanie ci jej samej.

- Daj to jej, a nie...

- Z woli Boga, mężczyzna jest panem domu - powiedział ostro Dżared Bakrawan. - Gdyby to nie był twój dom, nie byłbyś jego panem. Muszę nalegać. Jestem głową rodziny; Szahrazad robi to, co jej nakazę, a dla jej dobra muszę nalegać, gdyż w przeciwnym wypadku ślub się nie odbędzie. Zdaję sobie sprawę z twojego zachodniego dylematu, choć go nie rozumiem, 279

mój synu. Tutaj jednak irańskie obyczaje są najważniejsze, a one nakazują dbać o rodzinę...

Lochart skinął głową. To prawda. Wybrałem Szah-razad, wybrałem irańskie... ale ten sukinsyn Walik rzucił mi to w twarz i sprawił, że znowu poczułem się brudny. Nienawidzę go za to, nie znoszę podarunków i wiem, że jedyny, jaki mogę jej ofiarować, to wolność, której w innym wypadku by nie miała, albo moje życie. W końcu jest teraz Kanadyjką i nie musi tu zostać.

Nie oszukuj się. Jest Iranką i już zawsze nią pozostanie. Czy mogłaby mieszkać w zalanym deszczem Van-couver, bez rodziny, bez przyjaciół i bez wszystkiego, co irańskie? Tak, chyba tak. Z czasem mógłbym zastąpić jej wszystko inne. Oczywiście nie na zawsze.

Po raz pierwszy stanął przed problemem, który ich dzielił. Stary Iran Szacha odchodzi na zawsze. Nieważne, czy nowy będzie lepszy. Ona się przystosuje, i ja też. Znam farsi, ona jest moją żoną, a Dżared jest potężny. Gdybyśmy musieli wyjechać, wynagrodzę jej to czasowe rozstanie. Przyszłość nadal rysuje się różowo: kocham ją i błogosławię za to Boga...

Ogień już prawie wygasł. Lochart z przyjemnością chłonał zapach płonącego drewna, wymieszany z zapachem perfum Szahrazad, który wisiał jeszcze w powietrzu. Poduszki zachowały odcisnięty ślad ich ciał; choć niedawno doznał spełnienia, znowu do niej zatęsknił.

Była naprawdę jedną z hurys, duchów raj, pomyślał poprzez ogarniającą go senność.

Zaczarowała mnie, i to jest wspaniałe. Nie mam żadnych pretensji; gdybym dziś umarł, wiedziałbym już, jak wygląda raj. Ona jest wspaniała, Dżared jest wspaniały. Jej dzieci też będą wspaniałe i rodzina...

Ach, rodzina! Rodzina dba o rodzinę, takie jest prawo. Muszę zrobić to, o co prosi mnie Walik, czy mi się to podoba, czy nie. Muszę. Jej ojciec wyraził to jasno.

Ostatnie polano rozbłysło przed zgaśnięciem. Co może być ważnego w kilku częściach zamiennych i paru rialach? - zapytał płomieni.

Poniedziałek

12 lutego 1979

1

132

W TEBRIZIE JEDEN, 7:12. Charlie Pettikin usiłował spać. Leżał skulony na materacu rozłożonym na podłodze. Był przykryty jednym kocem i miał związane ręce. Właśnie wstawał świt i panowało przenikliwe zimno. Strażnicy nie zgodzili się zostawić mu przenośnego piecyka i zamknęli go w pomieszczeniu baraku Erikiego Yokkonena, które normalnie służyło jako magazynek. Szybki małego okienka pokrywał szron. Okienko było zabarykadowane od zewnątrz; na parapecie leżał śnieg. Otworzył oczy, nie zdając sobie jeszcze sprawy, gdzie się znajduje. Bolało go całe ciało. Co za parszywa sytuacja! - mruknął, próbując rozluźnić ramiona. Niezdarnie przetarł oczy związanymi rękoma i potarł twarz, czując się brudny. Nie ogolona szczecina zarostu upstrzona była plamkami siwizny. Nie znoszę być nie umyty, pomyślał.

Dziś jest poniedziałek. Dotarłem tu w sobotę o zachodzie słońca, a złapali mnie wczoraj rano.

Sukinsyny!

W sobotę wieczorem dotarli do niego jakieś hałasy, które wzmogły jego niepokój. Był

pewien, że słyszy stłumione głosy. Zgasił światło, po cichu odsunął rygiel i stanął w progu, trzymając w ręku pistolet sygnalizacyjny. Starannie badał wzrokiem ciemność. Zobaczył, albo wydawało się mu, że widzi, jakiś ruch w odległości trzydziestu metrów, a potem inny jeszcze dalej.

- Kto tam jest? - zawołał głośno; okrzyk odbił się dziwnym echem. - Czego chcesz?

Nikt nie odpowiedział. Następny ruch. Gdzie? Trzydzieści, czterdzieści metrów. W nocy trudno ocenić odległość. Znowu! Czy to człowiek? A może tylko zwierzę lub cień gałęzi? A może... Co to? Tam, za dużą sosną.

- Hej, ty tam. Czego chcesz?

Żadnej odpowiedzi. Nie mógł się zdecydować, czy to człowiek, czy zwierzę. Zły i trochę przestraszony, wycelował i ściągnął spust. Huk wystrzału zagrział jak piorun i odbił się echem od zbocza góry. Czerwona rakietka sygnalizacyjna pomknęła w kierunku drzewa, odbiła się od niego, siejąc iskry, i upadła, aby zgasnąć z sykiem w śniegu. Czekał.

Nic się nie stało. Z lasu dochodziły zwykłe leśne odgłosy, dach hangaru trzeszczał, wiatr kołysał czubkami drzew, od czasu do czasu jakaś gałąź ugięła się pod ciężarem śniegu, który się z niej osypywał. Ostentacyjnie, ze złością potupał nogami, żeby je rozgrzać, cofnął się do wnętrza baraku, zapalił światło, załadował pistolet i zasunął rygiel.

- Robisz się starą, strachliwą babą - powiedział na głos i dodał: - Gównu! Nie znoszę ciszy i samotności, nie znoszę śniegu i zimna. Nie lubię się bać, a ten poranek w Galeg Morghi wytrącił mnie z równowagi. Niech to wszystko szlag trafi, choć wiem, że gdyby nie młody Ross, ten sukinsyn z SAVAK-u by mnie zabił!

Upewnił się, że drzwi są zamknięte, okna też, zaciągnął zasłony, a potem nalał sobie dużą wódkę i zmieszał

284

ją z sokiem pomarańczowym z lodówki. Usiadł przed kominkiem i zebrał myśli. Na śniadanie będą jajka. Miał broń. Gazowy kominek dobrze grzał. Pokój był przytulny. Po chwili Charlie poczuł się lepiej, bezpieczniej. Przed położeniem się spać w dodatkowej sypialni sprawdził

zamki. Zdjął buty i wyciągnął się na łóżku. Wkrótce zasnął.

Poranek rozwiał nocne strachy. Po śniadaniu, składającym się ze smażonych jajek na smażonej kromce chleba - tak, jak lubił - posprzątał w pokoju, włożył lotniczy kombinezon i otworzył drzwi. Lufa samopowtarzalnego karabinu znalazła się na wprost jego twarzy, sześciu rewolucjonistów wpadło do pokoju i rozpoczęło się przesłuchanie. Trwało wiele godzin.

- Nie jestem szpiegiem, nie jestem Amerykaninem. Powtarzam: jestem Brytyjczykiem. - I tak w kółko.

133

- Kłamstwo. Z dokumentów wynika, że jesteś z Afryki Południowej. Na Allacha! Czy one są fałszywe? - Przywódca, człowiek, który powiedział, że nazywa się Fedor Rakoczy, wyglądał

na twardego. Był wyższy i starszy niż inni, miał brązowe oczy i wyraźny angielski akcent.

Wciąż te same pytania: - Skąd pochodzisz, dlaczego tu jesteś, kto jest twoim zwierzchnikiem w CIA, z kim kontaktujesz się tutaj, gdzie jest Erikki Yokkonen?

- Nie wiem. Mówiłem już pięćdziesiąt razy, że nie wiem. Nikogo tu nie było, gdy wylądowałem wczoraj o zachodzie słońca. Wysłano mnie, żebym zabrał Yok-konena. Jego i jego żonę. Mieli coś do załatwienia w Teheranie.

- Kłamca! Oni uciekli w nocy, dwa dni temu. Dlaczego mieliby uciekać, skoro wybierałeś się po nich?

- Już to wyjaśniłem. Nie oczekiwali mnie. Dlaczego uciekli? Gdzie są Dibble i Arberry, nasi mechanicy? Gdzie jest nasz kierownik, Dajati, i kto...

- Z kim z CIA kontaktujesz się w Tebrizie?

- Z nikim. Jesteśmy brytyjską spółką. Domagam się skontaktowania mnie z naszym konsulem w Tebrizie. Domagam...

285

Wrogowie ludu nie mogą się niczego domagać. Nawet łaski. Bóg chciał, abyśmy prowadzili wojnę. Na wojnie zabija się ludzi!

Przesłuchanie trwało przez całe przedpołudnie. Mimo protestów, zabrali mu wszystkie dokumenty, w tym paszport z niezwykle ważnymi zezwoleniami: na pobyt i wyjazd. Związali go i zamknęli tutaj, grożąc wszystkim, co najgorsze, gdyby spróbował ucieczki. Później wrócił Rakoczy z dwoma strażnikami.

- Dlaczego nie powiedziałeś, że przywiozłeś części zamiennie do 212?

- Nikt mnie o to nie pytał - odparł ze złością Pettikin. - Kim ty, do cholery, jesteś? Oddaj moje dokumenty. Żądam widzenia z konsulem brytyjskim. Rozwiąż mi ręce, ty wypierdaku boży!

- Bóg cię ukaże za takie bluźnierstwo! Na kolana! Błagaj Boga o przebaczenie! - Siłą zmusili go, aby klęknął. - Błagaj o przebaczenie!

Zrobił to, przepelniony nienawiścią.

- Umiesz latać 212 tak samo jak 206?

- Nie - odparł, niezdarnie wstając.

- Kłamca! To jest w twojej licencji! - Rakoczy rzucił dokument na stół. - Dlaczego kłamiesz?

- Co za różnica? I tak nie wierzycie w nic, co mówię. Nie uwierzylibyście w prawdę. Wiem, oczywiście, że tak jest napisane w mojej licencji; widziałem też, że ją oglądałeś. Jasne, że latam 212, jeśli mi za to płacą.

- Komitet osądzi cię i skaże - powiedział Rakoczy tak autorytatywnym tonem, że Pettikinowi ciarki przeszły po plecach. Potem go zostawili.

O zachodzie słońca dali mu trochę ryżu i zupę. W nocy spał twardo, a teraz, o świcie, zdał

sobie sprawę z beznadziejności swojej sytuacji. Bał się coraz bardziej. Kiedyś, w Wietnamie, został zestrzelony, schwytany i skazany na śmierć przez Wietkong, ale jego szwadron wrócił

razem z ciężko uzbrojonymi helikopterami i Zielonymi Beretami i zmiotł wioskę z powierzchni ziemi, razem z Wietkongiem. Wtedy po raz drugi wymknął się 286

wieczności. "Nigdy nie uważaj się za nieboszczyka, dopóki jeszcze żyjesz, stary chłopie", powiedział wówczas jego młody amerykański dowódca. "W ten sposób możesz spokojnie spać w nocy". Ten dowódca nazywał się Conroe Starke. Ich szwadron helikopterowy, stacjonujący w Da-nang był mieszany; składał się z Amerykanów, Brytyjczyków i kilku Kanadyjczyków. Tam też był cholerny bałagan!

Ciekawe, jak teraz leci Duke'owi? - pomyślał. Szczęśliwy sukinsyn. Szczęśliwy, gdyż jest bezpieczny w Ko-wissie i szczęśliwy, gdyż ma Manuelę. Przystojny i zbudowany jak miś koala - te same brązowe oczy i tyle zmarszczek, ile trzeba.

Pozwolił swym myślom błądzić; myślał o Marnieli i o Starke'em, o tym, gdzie mogli być Erikki i Azadeh, o tej wietnamskiej wiosce oraz o młodym kapitanie Rossie i jego ludziach.

Ross! Następny wybawca! Na tym świecie, żeby przeżyć, trzeba mieć wybawców; tych zdumiewających ludzi, którzy w jakiś dziwny sposób zjawiają się bez powodu w najbardziej odpowiednim momencie, żeby zaoferować szansę, której się desperacko potrzebuje, żeby wyrwać cię z nieszczęścia, niebezpieczeństwa lub zła. Czy zjawiają się dlatego, że modliłeś się o nadejście pomocy? W krańcowych sytuacjach zawsze się modlisz, choć nie zawsze do Boga. Zresztą Bóg ma wiele imion.

Przypomniał sobie starego Soamesa z ambasady i jego słowa: "Nie zapominaj, Charlie, że Mahomet, prorok, ogłosił, że Allach, Bóg, ma trzy tysiące imion. Spośród nich tysiąc znają tylko anioły, tysiąc - prorocy, trzysta wymienia Tora, Stary Testament, następne trzysta -

Zabur, to jest Psalmy Dawida, kolejne trzysta - Nowy Testament, a dziewięćdziesiąt dziewięć

- Koran. To daje dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Jedno imię Bóg ukrył.

Po arabsku nazywa się to Ism Allahi alazimi: Największe Imię Boga. Każdy, kto czyta Koran, musi go przeczytać, nie znając tego imienia. Bóg postąpił mądrze, ukrywając Swe Największe Imię, prawda?"

287

Tak, jeśli Bóg istnieje, pomyślał zamrożony i obolały Pettikin.

Na krótko przed południem Rakoczy wrócił w towarzystwie swoich dwóch ludzi. O dziwo, grzecznie pomógł wstać Pettikinowi i zaczął mu rozwiązywać ręce.

- Dzień dobry, kapitanie. Tak mi przykro z powodu tej omyłki. Proszę za mną. - Poszli do dużego pokoju. Na stole stała kawa. - Czy pije pan kawę czarną, czy po angielsku, z mlekiem i cukrem?

Pettikin rozcierał zdrętwiałe nadgarstki, próbując zmusić swój umysł do pracy.

- Co to? Więzień jest serdecznie częstowany śniadaniem?

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

- Nic takiego. - Pettikin wpatrywał się w Rakoczego nadal niezbyt pewien, jak ma się zachować.

- Z mlekiem i cukrem. - Kawa smakowała wyśmienicie; wraz z nią wstępowało w niego życie. Nalał sobie więcej.

- A więc to była omyłka?

- Tak. Ja... sprawdziłem pańskie słowa; wszystko się zgadza, Bogu dzięki. Odleci pan natychmiast do Teheranu.

Pettikin poczuł ucisk w gardle; zbyt nagle darowano

mu życie.

- Potrzebuję paliwa - powiedział podejrzliwie.

- W bazie nie ma paliwa. Zostało skradzione.

- Pański śmigłowiec został zatankowany. Sam tego

dopilnowałem.

- Zna się pan na helikopterach? - Pettikin zastanawiał się, dlaczego jego rozmówca wygląda na zdenerwowanego.

- Trochę.

- Przepraszam, ale..., zapomniałem, jak się pan nazywa.

- Smith. - Fedor Rakoczy uśmiechnął się. - Proszę wyruszyć teraz. Natychmiast.

Pettikin odnalazł swe lotnicze buty i włożył je. Pozostali mężczyźni patrzyli na niego w milczeniu. Zauważył,

135

288

że mieli radzieckie pistolety maszynowe. Na stoliku obok drzwi leżała jego torba, a obok dokumenty: paszport, wiza, zezwolenie na pracę i licencja lotnicza wy- stawiona przez irańskie CAA. Próbując nie okazywać -zdziwienia, upewnił się, że żadnego nie brakuje i schował je do kieszeni. Gdy ruszył w kierunku lodówki, jeden z mężczyzn stanął na jego drodze.

- Jestem głodny - oświadczył Pettikin. Nadal był podejrzliwy.

- Jedzenie jest w pańskiej maszynie. Proszę za mną.

Na zewnątrz wciągnął radośnie w płuca rześkie powietrze. Dzień był piękny: czyste, bardzo niebieskie niebo. Na zachodzie piętrzyło się trochę chmur śniegowych. Na wschodzie droga nad przełęczą była czysta. Wokół błyszczała las: światło słoneczne załamywało się w śniegu.

Przed hangarem stał 206 z wypucowanymi szybami. W środku nie ruszano niczego, choć mapnik znajdował się teraz w bocznej kieszeni, a nie jak zwykle za siedzeniem. Zaczął

starannie sprawdzać wszystkie mechanizmy.

- Proszę się pospieszyć - ponaglił Rakoczy.

- Oczywiście.

Pettikin wspaniale udał pośpiech, nie pomijając jednak żadnej procedury kontrolnej; wyostrzył wszystkie zmysły, aby wykryć jakiś subtelny albo nawet niezdamny sabotaż.

Mieszanka paliwowa w porządku, olej, wszystko. Widział i wyczuwał rosnącą nerwowość rewolucjonistów. Nadal w bazie nie było nikogo innego. Widział w hangarze 212 i wciąż starannie poukładane części jego silnika. Części zamienne, które sam przywiózł, leżały obok na ławce.

- Już może pan lecieć. - Rakoczy wypowiedział to jak rozkaz. - Ruszamy. Uzupełni pan paliwo w Ban-dar-e Pahlawi, jak przedtem. - Zwrócił się do swych towarzyszy, uściskał ich szybko na pożegnanie i zajął miejsce na siedzeniu z prawej strony. - Natychmiast startujemy.

Polecę z panem do Teheranu.

Umieścił pistolet maszynowy między kolanami, zapiął pas, porządnie zamknął drzwiczki, a potem zdjął

289

hełmofon z zaczepu i założył go. Widać było, że wewnątrz kokpitu nie jest mu obce.

Pettikin zauważył, że dwaj mężczyźni zajęli pozycje obronne naprzeciw drogi. Przycisnął guzik startera. Znajomy odgłos pracującego silnika oraz fakt, że "Smith" znajdował się na pokładzie, a zatem w helikopterze na pewno niczego nie uszkodzono, sprawiły, że polepszył mu się humor.

- Odjazd! - powiedział do mikrofonu, wystartował i rozpoczął wspinaczkę w kierunku przełęczy.

- Dobrze - pochwalił Rakoczy - Bardzo dobrze. Dobrze pan lata. - Niedbale położył karabin na kolanach, z lufą wymierzoną w Pettikina. - Proszę nie latać zbyt dobrze.

- Niech pan zabezpieczy broń albo wcale nie będę latał.

Rakoczy zawahał się, po czym przesunął dźwignię bezpiecznika.

- Rzeczywiście. W powietrzu to niebezpieczne.

Na wysokości stu osiemdziesięciu metrów Pettikin wyrównał, potem gwałtownie zawrócił i skierował się z powrotem w stronę lądowiska.

- Co pan wyprawia?

- Chcę tylko wejść na kurs. - Opierał się na fackie, że choć "Smith" znał położenie przyrządów w kokpicie, nie umiał prowadzić 206, bo gdyby umiał, sam zabrałby maszynę.

Oczy Pettikina badały ziemię w poszukiwaniu przyczyny zdenerwowania Rakoczego i jego pośpiechu. Na lotnisku chyba nic się nie zmieniło. Koło skrzyżowania wąskiej drogi, prowadzącej do bazy, z drogą główną, biegnącą na północny zachód w kierunku Tebrizu, 136

jechały dwie ciężarówki. Obie kierowały się do bazy. Z tej wysokości mógł łatwo stwierdzić, że były wojskowe.

- Zamierzam wylądować i zobaczyć, czego chcą - powiedział.

- Jeśli to zrobisz - oznajmił spokojnie Rakoczy

- będzie cię to kosztowało wiele bólu i będziesz trwale okaleczony. Proszę, lećmy do Teheranu, ale najpierw do Bandar-e Pahlawi.

290

- Jak się naprawdę nazywasz'

- Smith.

Pettikin na tym poprzestał. Zatoczył krąg a notem poprowadził maszynę wzdłuż drogi biegnącej na północ?

czne°kiły"r:fd'-ku przełączy j %i ^tS^:

drodze n^stti^ m°ment- ^ ^ * ^ *°

W TEHERANIE, 8:30. Tom Lochart prowadził swego starego citroena przez pola nocnych bitew, kierując się do Galeg Morghi. Poranek był mroźny. Tom miał opóźnienie, choć wyruszył zaraz po świcie.

Minął wiele ciał i wielu ludzi płaczących nad zwłokami swoich bliskich, wiele wypalonych wraków samochodów osobowych i ciężarówek - niektóre jeszcze się tliły, słowem, pozostałości nocnych rozruchów. Grupki uzbrojonych lub na wpół uzbrojonych cywilów okupowały wciąż balkony i barykady, tak że musiał wielokrotnie nadkładać drogi. Wielu mężczyzn nosiło zielone opaski, oznaczające zwolenników Chomeiniego; wszyscy mieli broń. Ulice były złowieszczo wyludnione, pozbawione ruchu kołowego. Od czasu do czasu przemykały tylko policyjne pojazdy - radiowozy i ciężarówki; prowadzący trąbieniem spędzali go z drogi. On też

292

naciskał wtedy klakson, prawie nie dbając o to, czy dotrze na lotnisko; zatrzymanie rozwiązałoby jego dylemat. Popychała go do przodu już tylko myśl o żonie i dzieciach generała Walika.

Jak taka wspaniała kobieta, jak Annusz, która była dla Toma tak miła, odkąd wszedł do rodziny, mogła wyjść za takiego skurwysyna? A te wspaniałe dzieciaki, które uwielbiały Szahrazad, a jej męża nazywały ekscelencją wujkiem...

Szarpnął kierownicę, żeby uniknąć zderzenia z samochodem, który wypadł z bocznej uliczki na niewłaściwą stronę drogi. Samochód się nie zatrzymał. Lochart sklął go, a przy okazji Teheran, Iran i Walika. Potem powiedział na głos: In sza a Allah, ale nie poczuł się od tego lepiej.

Na niebie wisały ciężkie, szare chmury śniegowe, które bardzo mu się nie podobały; z niechęcią opuszczał dziś ciepło swego łóżka i Szahrazad. Na krótko przed świtem zadzwonił

budzik.

- Myślałam, kochanie, że dziś nie wyjeżdżasz. Mówiłeś, że wyruszysz jutro.

- Mam niespodziewany lot czarterowy, przynajmniej tak sędzę. Właśnie dlatego przyszedł

wczoraj Walik. Muszę najpierw porozmawiać z Makiem, ale jeśli polecę, nie będzie mnie przez kilka dni. Ty jeszcze sobie pośpij, kochanie.

Szybko ogolił się, ubrał, wypił filiżankę kawy i wyszedł. Na dworze było ciemno, majaczył

tylko blady brzask świtu; w powietrzu unosił się ostry zapach dymu. Z oddali dochodziły, jak zwykle, odgłosy pojedynczych strzałów. Nagle Locharta ogarnęły złowieszcze przeczucia.

McIver mieszkał kilka przecznic dalej. Lochart zdziwił się, gdy zobaczył, że jego kolega jest już całkowicie przygotowany.

- Dzień dobry, Tom. Wejdz. O północy nadeszło zezwolenie. Walik wiele może; nie wierzyłem, że je dostaniemy. Kawy?

- Dziękuję. Czy on wczoraj z tobą rozmawiał?

137

293

_ Tak. - McIver wszedł pierwszy do kuchni. Ekspres do kawy wydawał miłe dla ucha dźwięki. Ani śladu Genny, Pauli czy Noggera Lane'a. McIver nalał kawy Lochartowi. - Walik powiedział mi, że rozmawiał z tobą i że zgodziłeś się polecieć.

Lochart chrząknął.

- Powiedziałem, że polecę, jeśli dostaniemy zezwolenie i jeśli ty to zaaprobujesz. Gdzie jest Nogger?

- Wrócił do siebie; wczoraj dałem mu zwolnienie. Jeszcze nie odzyskał równowagi po tej przygodzie podczas rozruchów.

- Mogę sobie wyobrazić! Co się stało z dziewczyną,

Paulą?

- Jest w pokoju gościnnym. W dalszym ciągu jej lot jest odwołany, ale dzisiaj już chyba odleci. George Talbot z ambasady wpadł wczoraj wieczorem i powiedział, że słyszał, iż z lotniska usunięto rewolucjonistów i dzisiaj, przy odrobinie szczęścia, kilka samolotów wystartuje i kilka wyląduje.

Lochart z namysłem skinął głową.

- Więc może Bachtiar mimo wszystko zwycięży?

- Możemy mieć nadzieję, co? Dziś rano BBC podało, że Doszan Tappeh jest nadal w rękach Chomeiniego, i że Nieśmiertelni tylko jego zwolenników otaczają i siedzą im na ogonie.

Lochart drgnął, gdyż przypomniał sobie, że Szahrazad tam była. Przyrzekła jednak, że to się nie powtórzy.

- Czy Talbot mówił coś o przewrocie?

- Wspomniał tylko o plotce, że Carter się temu sprzeciwia. Gdybym był Irańczykiem i generałem, nie wahałbym się. Talbot się z tym zgodził i sądzi, że przewrót nastąpi w ciągu najbliższych trzech dni. Musi tak być, bo rebelianci mają zbyt wiele broni.

Lochart widział oczyma wyobraźni Szahrazad skandującą razem z tłumem, młodego kapitana Karima Peszadiego, opowiadającego się za Chomeinim, a także trzech Nieśmiertelnych -

dezertów.

294

- Nie wiem, Mac, co bym zrobił, gdybym był jednym z nich.

- Dzięki Bogu, nie jesteśmy Irańczykami, a w Anglii nie buduje się jeszcze barykad. W każdym razie, Tom, jeśli 125 dzisiaj przyleci, umieszczę Szahrazad na liście pasażerów.

Lepiej będzie, jeśli wyjedzie do Asz Szargaz, przynajmniej na parę tygodni. Czy dostała kanadyjski paszport?

- Owszem, ale, Mac, nie sądzę, żeby zgodziła się wyjechać.

Lochart opowiedział o udziale Szahrazad w powstaniu w Doszan Tappeh.

- Mój Boże, powinna kazać zbadać sobie głowę. Poproszę przynajmniej Gen, żeby z nią porozmawiała.

- Czy Genny wyjeżdża do Asz Szargaz?

- Nie. Gdyby to zależało ode mnie, byłaby tam już od tygodnia. Zrobię, co będę mógł, żeby wyjechała. Szahrazad czuje się dobrze?

- Świetnie, ale modłę się o spokój w Teheranie. Robi mi się słabo na myśl o pozostawieniu jej tutaj i wyjeździe do Zagrosu. - Lochart pociągnął łyk kawy. - Skoro mam polecieć, muszę się z tym pogodzić. Pilnuj jej, dobrze? - Spojrzał twardo w oczy McIverowi. - O co chodzi z tym czarterem, Mac?

McIver spojrzał na niego równie kamiennym wzrokiem.

- Powiedz mi dokładnie, co ci wczoraj powiedział Walik.

Lochart powiedział. Dokładnie.

- Wiedział sukinsyn, jak cię podejść.

138

- Świetnie mu się udało. Niestety, należy do rodziny, a w Iranie... Zresztą sam wiesz. -

Lochart starał się, żeby jego słowa nie brzmiały gorzko. - Zapytałem go, co jest takiego ważnego w kilku częściach zamiennych i paru dalach, a on mnie zbył. - Spostrzegł, że twarz McIvera jest pozbawiona wyrazu; wyglądała starzej i twardziej niż kiedykolwiek przedtem. -

Mac, co jest takiego ważnego w kilku częściach zamiennych i paru dalach?

295

McIver dopił kawę i nalał sobie jeszcze trochę.

Zniżył głos.

- Nie chcę niepokoić Genny i Pauli, Tom. Niech to pozostanie między nami.

Opowiedział, co wydarzyło się w biurze. Dokładnie. Lochart poczuł, że krew napływa mu do twarzy.

- SAVAK? Jego, Annusz, małą Setarem i Dželalą? Jezu litościwy!

- Dlatego właśnie zgodziłem się spróbować. Musiałem. Ja też jestem w pułapce. Obaj jesteśmy. Ale jest jeszcze coś więcej. - McIver opowiedział o pieniądzech.

Lochart westchnął.

- Dwanaście milionów riali w gotówce? Albo równowartość w Szwajcarii?

- Mów ciszej. Tak. Dwanaście milionów dla mnie i dwanaście dla pilota. Powiedział wczoraj wieczorem, że jego oferta jest nadal aktualna i żebym nie był "naiwny". Dodał ponuro: -

Gdyby nie było tu Gen, wyrzuciłbym go za drzwi.

.Lochart ledwie słuchał. Dwanaście milionów riali lub gotówka za granicą? Mac ma rację.

Jeśli Walik oferował tyle w Teheranie, ile zapłaciliby przy granicy? Chryste!

McIver obserwował go.

- Co o tym sądzisz, Tom? Czy nadal chcesz polecieć?

- Nie mogę odmówić. Nie mogę. Nie teraz, gdy dostaliśmy zezwolenie.

Dokument leżał w kuchni na stole. Podniósł go i przeczytał: EP-HBC zwolniony do Bandar Dejlamu. Lot priorytetowy po pilnie potrzebne części zamienne. Tankowanie w bazie sił

powietrznych w Isfahanie. Załoga jednoosobowa: kapitan Lane. Nazwisko to było przekreślone, z adnotacją chory. Zastępuje pilot... Tu pozostawiono wolne miejsce i brak było jeszcze podpisu McIvera.

McIver spojrział na drzwi kuchni i upewnił się, że są zamknięte. Zwrócił się do Locharta: 296

- Walik chce, żeby go zabrać poza Teheranem, . prywatnie.

- To wszystko coraz bardziej śmierdzi. Skąd chce, żeby go zabrać?

- Jeśli dotrzecie do Bandar Dejlamu, Tom, a jest to prawdopodobne, będzie na ciebie naciskał, żebyś zawiózł ich do Kuwejtu.

- Oczywiście. - Lochart wytrzymał spojrzenie McIvera.

- Wykorzysta wszystkie argumenty: rodzinę, Szah-razad, a zwłaszcza pieniądze.

- Miliony. W gotówce. Obaj wiemy, że miałbym je na co wydać. - Lochart powiedział to beznamytnym tonem. - Ale gdybym spróbował polecieć do Kuwejtu bez irańskiego zezwolenia, zarejestrowanym w Iranie helikopterem, bez zgody spółki i z lewymi pasażerami irańskimi, próbującymi uciec za granicę przed nadal jeszcze legalnym rządem, byłbym porywaczem łamiącym Bóg wie ile przepisów prawa karnego, tu i w Kuwejcie. Władze Kuwejtu zajęłyby śmigłowiec, wpakowały mnie do aresztu i na pewno wydały Iranowi.

Nawet jeśli nie, byłbym spalony jako pilot i nie mógłbym wrócić do Iranu, do Szahrazad.

SAVAK mógłby nawet ją aresztować. Nie, nie zrobię tego!

- Walik jest niebezpiecznym draniem. Będzie uzbrojony. Może przyłożyć ci pistolet do głowy i kazać lecieć.

- Rzeczywiście, to jest możliwe. - Lochart nie zmienił tonu głosu, choć bardzo go ta możliwość wzburzyła. - Nie mam wyboru. Muszę mu pomóc i zrobię to. Nie jestem jednak jakimś cholernym idiotą. - Po chwili dodał: - Czy Nogger o tym wie?

- Nie.

W nocy, nie mogąc zasnąć, McIver postanowił, że sam poleci, nie narażając na ryzyko ani Noggera Lane^, ani Locharta. Do diabła z orzeczeniem lekarskim! I tak cały ten lot jest nielegalny, więc taki drobiazg nie ma tu znaczenia, powiedział sobie.

Jego plan był prosty: po rozmowie z Tomem Lo-chartem powie po prostu, że postanowił nie zatwierdzić

297

lotu i nie podpisać zezwolenia; pojedzie na miejsce spotkania samochodem i dostarczy Walikowi tyle benzyny, żeby ten mógł podróżować łądem. Nawet gdyby Lochart chciał

polecieć, można się z nim umówić, a potem nie stawić na spotkanie, tylko po prostu pojechać do Galeg Morghi, wpisać do zezwolenia własne nazwisko i wystartować...

- Co powiedziałeś? - zapytał.

- Istnieją tylko trzy możliwości - powtórzył Lochart. - Możesz nie zatwierdzić lotu, możesz zatwierdzić mnie albo kogoś innego. Skreśliłeś Noggera, Charliego tu nie ma. Pozostajesz ty lub ja. Ty po prostu nie możesz. To zbyt niebezpieczne.

- Oczywiście! Moja licencja...

- Nie możesz polecieć, Mac - oświadczył twardo Lochart. - Bardzo mi przykro, ale po prostu nie możesz.

McIver westchnął. Rozsądek zwyciężył, więc zdecydował się na swój drugi plan.

- Masz rację. Zgadzam się z tobą. Posłuchaj zatem uważnie: jeśli chcesz to zrobić, zależy to tylko od ciebie. Ja niczego nie nakazuję. Dam ci upoważnienie, jeśli tego chcesz, ale pod pewnymi warunkami. Jeśli w miejscu spotkania zobaczysz, że wszystko jest w porządku, zabierz ich. Poleć do Isfahanu. Walik twierdzi, że wszystko tam załatwił. Jeśli uda się w Isfahanie, leć dalej. Być może. w tym zwariowanym Iranie takie rzeczy mogą się udać. Na to musimy stawiać w tym hazardzie.

- Postawiłem na to.

- Bandar Dejlam to koniec trasy. Nie polecisz przez granicę. Zgoda? - McIver wyciągnął rękę.

- Zgoda - odparł Lochart, ściskając dłoń Dun-cana i modląc się, żeby dotrzymanie słowa było możliwe.

McIver przekazał mu, gdzie ma nastąpić spotkanie, podpisał zezwolenie i zauważył, że drżą mu ręce. Jeśli coś pójdzie nie tak, po kogo przyjdzie SAVAK? Po nas obu. A może nawet po Gen, pomyślał,

ogarnięty nagle przerażeniem. Nie wspomniał Lochartowi, że Genny 298

usłyszała niektóre słowa Walika i domyśliła się reszty.

. "Zgadzam się, Duncan", powiedziała ponuro. "To jest

•bardzo ryzykowne, ale musisz spróbować im pomóc.

Tomowi także; on też znalazł się w potrzasku. Nie

mamy wyboru".

McIver wręczył Lochartowi zezwolenie.

- Tom, powtarzam, że nie wolno ci lecieć przez granicę. Myślę, że gdybyś to zrobił, naprawdę stracisz wszystko, włącznie z Szahrazad.

- Całe to przedsięwzięcie jest świrowaniem, ale cóż...

- Tak. Powodzenia.

Lochart skinął głową, odwzajemnił uśmiech i wyszedł.

McIver zamknął za nim drzwi. Mam nadzieję, że podjąłem właściwą decyzję, pomyślał.

Bolała go głowa. To był rzeczywiście szalony pomysł, żeby lecieć samemu, a jednak...

chciałbym polecieć zamiast niego. Chciałbym...

- Och!

140

Zaskoczyła go Genny. Stała w drzwiach kuchni. Na koszulę nocną narzuciła ciepły szlafrok.

Nie miała okularów i patrzyła na niego.

- Jestem... Jestem zadowolona, że w końcu nie poleciałeś, Duncan - powiedziała słabym głosem.

- Co takiego?

- Och, daj spokój, głuptasie. Zbyt dobrze cię znam. Nie mogłeś zasnąć, próbując podjąć decyzję; ja też nie mogłam spać, gdyż martwiłam się o ciebie. Gdybym była tobą, też chciałabym polecieć. Ale, Duncan, Tom jest silny i na pewno da sobie radę. Mam nadzieję, że zabierze Szahrazad i już nie wróci... - Po policzkach pociekły jej łzy. - Tak się cieszę, że nie poleciałeś.

- Otarła oczy, podeszła do kuchenki i nastawiła czajnik.

- Wybacz. Naprawdę. Czasem nie mogę się powstrzymać. Przepraszam.

Objął ją ramionami.

- Gen, jeśli przyleci dzisiaj 125, wyjedziesz? Proszę cię.

299

_ Na pewno, kochanie. Jeśli tylko ty wyjedziesz ze

mną.

- Gen, musisz...

- Duncan, posłuchaj, proszę cię. - Zarzuciła mu rękę na szyję, przytuliła głowę do jego piersi i mówiła dalej takim samym słabym głosem, który go niepokoił: - Trzech waszych współników już uciekło, zabierając rodziny i wszystkie pieniądze, jakie mogli zabrać. Uciekł

Szach, także z rodziną i pieniędzmi, uciekły tysiące innych ludzi. Sam powiedziałeś, że uciekła już większość naszych znajomych. Teraz ucieka wielki generał Walik, mimo swoich kontaktów i siedzenia okrakiem na barykadzie, i... i jeśli nawet Nieśmiertelni nie mogli zdusić małej rebelii w Doszan Tappeh, nie mogli pokonać kilku kadetów lotnictwa i źle uzbrojonych cywilów, niemal na własnym gruncie, to nadszedł czas, żebyśmy zwinęli manatki i wyjechali.

- Nie możemy, Gen - wybuchnął, a ona usłyszała bicie jego serca i zaczęła jeszcze bardziej martwić się o niego. - To by było katastrofalne...

- Tylko na krótko, dopóki tu się nie uspokoi.

- Porzucając Iran, zrujnowałbym S-G.

- Nie za wiele o tym wiem, Duncan, ale na pewno decyzja zależy od Andy'ego, a nie do ciebie. On nas tu przysłał.

- Tak, ale on zapyta, co ja o tym myślę. Nie mogę zaproponować porzucenia sprzętu o wartości 20-30 milionów dolarów. W tym bałaganie już po tygodniu by zniknął albo został

zdemolowany, a my stracilibyśmy wszystko. Wszystko! Nie zapominaj o tym, Genny: z S-G

związana jest nasza emerytura, wszystko...

- Ale, Duncan, czy nie uważasz...

- Nie zostawię naszych helikopterów i części. - McIver drgnął na samą myśl o takiej ewentualności. - Po prostu nie mogę.

- Więc zabierz sprzęt ze sobą.

- Na Boga! Nie da się tego zrobić! Nie dostaniemy zezwoleń na start, nie wykreślą nas z irańskiego

300

rejestr. Nie możemy. Musimy tu zostać aż do końca wojny.

- Nie musimy. Ani ty i ja, ani nasi chłopcy. O nich też musisz pomyśleć. Musimy się wydostać. I tak kiedyś nas wyrzucą, niezależnie od tego, kto wygra. A już na pewno Chomeini.

Przeszedł ją dreszcz, gdy przypomniała sobie jego pierwsze przemówienie na cmentarzu: Modłę się do Boga, aby odciął ręce wszystkim cudzoziemcom...

141

W TEBRIZIE JEDEN, 9:30. Czerwony rangę rover wyjechał z bramy pałacu; zmierzał w dół, w kierunku Tebrizu i drogi do Teheranu. Erikki prowadził, Azadeh siedziała obok niego. To jej kuzyn, pułkownik Mazardi, komendant policji, przekonał Erikkiego, żeby nie wyruszać do Teheranu w piątek.

- Droga będzie bardzo niebezpieczna, już w ciągu dnia było źle. Powstańcy teraz nie wrócą, więc na razie jesteście bezpieczni. Lepiej odwiedzić Jego Wysokość chana i zasięgnąć rady.

Tak będzie znacznie mądrzej.

Azadeh go poparła.

- Erikki, zrobimy oczywiście tak, jak postanowisz, wolałabym jednak pojechać na noc do domu i zobaczyć się z ojcem.

- Moja kuzynka ma rację, kapitanie. Oczywiście, może pan postąpić tak, jak uważa za słuszne, ale przy-302

sięgam na proroka, niech Bóg zachowa jego słowa na zawsze, że bezpieczeństwo Jego Wysokości jest dla mnie tak ważne jak dla was. Skoro chce pan wyjechać, niech pan wyjedzie jutro. Zapewniam, że nic wam tu nie grozi. Wystawię strażę. Jeśli ten tak zwany Rakoczy, jakiś inny cudzoziemiec czy mułła pojawią się w promieniu pół kilometra od pałacu Gorgonów, gorzko tego pożałują.

- Och tak, Erikki, proszę cię - wykrzyknęła z entuzjazmem Azadeh. - Oczywiście, kochanie, zrobimy, jak zechcesz, ale być może będziesz chciał porozmawiać z Jego Wysokością moim ojcem o tym, co zamierzasz zrobić.

Erikki niechętnie wyraził zgodę. Arberry i dragi mechanik, Dibble, postanowili spędzić weekend w Tebrizie, w Hotelu Międzynarodowym.

- Części zamiennie mają przyjechać w poniedziałek, kapitanie. Stary kutwa McIver wie, że nasz 212 musi być do środy na chodzie albo będzie musiał wystać drugi, a tego nie lubi.

Zostaniemy i uruchomimy maszynę. Może po nas przyjść kierownik bazy. Jesteśmy Brytyjczykami i nie mamy się czego obawiać; nikt nas nie tknie. Pracujemy w końcu dla ich rządu, jakkolwiek by ten cholerny rząd był, i nie kłócimy się z tymi, no, cholernikami, za przeproszeniem. Proszę się nami nie przejmować. Po prostu poczekamy, aż pan wróci w środę. Życzymy dobrej zabawy w Teheranie.

Tak więc Erikki wyruszył razem z konwojem pułkownika Mazardiego na przedmieście Tebrizu. Okazały pałac chanów stał u podnóża gór, wśród ogrodów i sadów, otoczony wysokimi murami. Gdy przybyli, cały dom ożył i wszyscy wylegli na powitanie: macocha, siostry przyrodnie, bratanice, kuzyni, służący i dzieci służących, ale nie Abdollah-chan, jej ojciec. Azadeh przyjęto z otwartymi ramionami, płaczem, okrzykami zachwytu i znowu płaczem. Natychmiast zaplanowano na jutro uroczysty obiad, aby uczcić przybycie Azadeh do domu po długiej nieobecności. "Ale, och, jakie to straszne! Bandyty i jakiś hultaj, mułła, ośmielili się wejść na twoją ziemię? Czyż Jego Wysokość 303

nasz czcigodny ojciec nie dał całych beczek riali i setek akrów ziemi pod budowę wielu meczetów w Tebrizie

i okolicy?" , Erikki Yokkonen spotkał się z grzecznym, choć ostrożnym powitaniem. Wszyscy się go trochę obawiali. Czuli respekt przed jego ogromnym wzrostem, szybkością, z jaką dobywał

noża, i gwałtownością usposobienia.' Nie mogli zrozumieć, dlaczego jest tak greczny w stosunku do swych przyjaciół i dlaczego aż promienieje miłością do Azadeh. Azadeh była piątą z sześciu sióstr przyrodnych; poza nimi było jeszcze niemowlę, przyrodni brat. Jej zmarła przed wieloma laty matka była drugą żoną Abdollah-chana. Jej starszy o rok, uwielbiany przez nią, Hakim, został wygnany przez Abdollah-chana i w dalszym ciągu 142

znajdował się w niełasce; mieszkał w Choju, na północnym zachodzie - wyrzucono go za zbrodnie przeciwko chanowi, którym, jak przysięgał on sam i Azadeh, nie był winny.

- Najpierw kąpiel - wykrzykiwały wesoło przyrodnie siostry Azadeh. - Podczas kąpieli opowiesz nam wszystko, co się wydarzyło, wszystkie szczegóły.

Popiskując z radości, odciągnęły Azadeh. W odosobnieniu łaźni, intymnej, luksusowej i całkowicie wyłączonej spod kontroli mężczyzn, mogły gawędzić i plotkować do świtu.

- Mój Mahmud nie kochał się ze mną już od tygodnia - żaliła się Nadżud, najstarsza siostra przyrodnia Azadeh.

- Musi mieć jakąś inną kobietę, kochana Nadżud - powiedziała któraś.

- Nie, to nie o to chodzi. Ma kłopoty z erekcją.

- Och, biedactwo! Czy próbowałaś dawać mu ostrygi?

- Wcierałaś w piersi olejek różany?

- Nacierалаś go wyciągiem z jacaranda, rogu nosorożca i piżma?

- Jacaranda, piżmo, róg nosorożca? Nie słyszałam o tym, Fazulio.

304

- To nowy produkt, sporządzony według starodawnego przepisu z czasów Cyrusa Wielkiego.

To tajemnica, ale wielki król miał w młodości małego penisa. Po podbiciu Medów wielkość jego członka zaczęła budzić zazdrość! Prawdopodobnie otrzymał od Medów magiczną miksturę, którą trzeba było wcierać przez miesiąc... Ich najwyższy kapłan dał ją Cyrusowi w zamian za darowanie życia, pod warunkiem, że król zachowa tajemnicę w rodzinie. Przez całe wieki przechodziła ona z ojca na syna, a teraz, kochane siostry, ktoś w Tebrizie wszedł w jej posiadanie!

- Och, któż, najdroższa, kochana siostró Fazulio, któż? Niech będzie błogosławiony, kimkolwiek jest! Ten mój Abdollah! Oby mu wypadły wszystkie trzy zęby, jakie jeszcze mu zostały! Nie miał erekcji od lat! Kto zna tę tajemnicę?

- Och, uspokój się, Zadi, i dziękuj Bogu za swoje szczęście. Mój Hasan ma erekcję rano, w południe i wieczorem. Jest przepełniony takim pożądaniem, że nie mam czasu, żeby umyć zęby!

- A więc tajemnicę eliksiru kupił prapradziadek obecnego właściciela za ogromny majątek.

Mówią, że za pełną garść diamentów...

- Eeeeeee...

- ... ale teraz można kupić małą fiolkę eliksiru już za pięćdziesiąt tysięcy riali!

- Och, to za drogo! Skąd mam wziąć tyle pieniędzy?

- Jak zwykle, z kieszeni męża. Możesz się z nim potargować. Czy to dużo w sytuacji, gdy nie możemy mieć innych mężczyzn?

- Jeśli to działa...

- Oczywiście, że działa. Och, gdzie to kupimy, najdroższa, najdroższa Fazulio?

- Na bazarze, w sklepie Abu Bakra, ben Hasan ben Sajjidi. Znam drogę! Wybierzemy się jutro przed obiadem. Pójdiesz z nami, kochana Azadeh?

- Nie, dziękuję, droga siostró.

Potem było dużo śmiechu, gdy jedna z młodszych sióstr powiedziała: 305

- Biedna Azadeh! Potrzebuje czegoś działającego przeciwnie!

- Jaracanda z piżmem, dziecko, z rogiem nosorożca

- powtórzyła Fazulia.

Azadeh roześmiała się wraz z nimi. Wszystkie pytały ją wielokrotnie, otwarcie i skrycie, czy jej mąż zbudowany jest proporcjonalnie do swego wzrostu, i jak ona, taka chuda i delikatna, radzi sobie z jego ciężarem. "Magią", odpowiadała najmłodszym. "Z łatwością"

143

- pytającym poważnie. Zazdrosnym i tym, których nie lubiła, mówiła: "W niewiarygodnej ekstazie przypominającej Rajski Ogród".

Nie wszyscy aprobowali jej małżeństwo z cudzoziemskim olbrzymem. Wielu próbowało nastawić przeciwko niemu jej ojca. Zwyciężyła jednak, a przy okazji dowiedziała się, kto jest jej wrogiem: zwariowana na punkcie seksu siostra przyrodnia Zadi, zakłamaną kuzynką Fazulia, a przede wszystkim ta ociekająca miodem żmija, najstarsza siostra, Nadzud, i jej podły małżonek, Mahmud, oby Bóg pokarał ich za zło.

- Najdroższa Nadzud, tak jestem szczęśliwa, że przyjechałam do domu! Teraz jednak pora spać.

Poszły więc do łóżek. Wszystkie. Niektóre z radością, inne ze smutkiem, niektóre ze złością, jeszcze inne

- z nienawiścią. Niektóre z uczuciem miłości, niektóre z mężami, a inne samotnie. Zgodnie z Koranem, mężowie mogli mieć po cztery żony naraz, pod warunkiem, że traktowali tak samo każdą z nich. Mahomet, prorok, był jedynym człowiekiem, który mógł mieć tyle żon, ile zapragnął. Legenda mówiła, że miał ich jedenaście, choć nie wszystkie jednocześnie.

Niektóre zmarły, z niektórymi się rozwiódł, a jeszcze inne go przeżyły. Wszystkie jednak zawsze sławiły go.

Erikki obudził się, gdy Azadeh wśliznęła się do łóżka.

- Powinniśmy wyruszyć jak najwcześniej, Azadeh, kochanie.

- Tak - potwierdziła zasypiając. Czowała się dobrze w wygodnym łóżku, obok męża. - Tak, kiedy zechcesz,

306

ale proszę cię, nie przed obiadem, bo moja najdroższa macocha wyleje morze łez...

- Azadeh!

Ona jednak już spała. Westchnął i także zasnął.

Nie wyjechali w niedzielę, gdyż chan chciał jeszcze porozmawiać z Erikkim. W poniedziałek, po porannych modłach, które ojciec Azadeh sam prowadził, i po śniadaniu, składającym się z kawy,

chleba, miodu, jogurtu i jajek, mogli wreszcie wyruszyć. Kierowali się w dół, do głównej szosy wiodącej do Teheranu, gdy nagle spostrzegli, że droga jest dalej zablokowana.

- To dziwne - zauważył Erikki.

Pułkownik Mazardi uprzedził, że będzie tam na nich czekał. Nie było go jednak nigdzie widać i w ogóle przy blokadzie na drodze nie było żadnych ludzi.

- Policja! - mruknęła Azadeh. - Nigdy nie ma ich wtedy, gdy są naprawdę potrzebni.

Droga wspiwała się ku przełęczy. Niebo było niebieskie i czyste, a szczyty gór już zalane światłem słonecznym. Tu, w dolinie, było jeszcze ciemno, zimno i wilgotno. Droga była śliska, na poboczach leżały zasy, ale to nie martwiło Yokkonena, gdyż rangę rover miał

napęd na cztery koła i był zaopatrzony w łańcuchy. Erikki, nie zatrzymując się, minął drogę do bazy. Wiedział, że nikogo tam nie ma i że 212 spokojnie czeka na przegląd oraz wymianę części. Przed opuszczeniem pałacu próbował bez skutku skontaktować się z kierownikiem Daja-tim. Nie miało to jednak większego znaczenia. Rozsiadł się wygodniej za kierownicą.

Wiedział, że ma pełny bak i sześć pięciogalonowych kanistrów z paliwem, którą dostał z prywatnej stacji benzynowej Abdollaha.

Bez problemu dojadę dzisiaj do Teheranu, pomyślał. I wrócę do środy, jeśli w ogóle wrócę.

Ten sukinsyn Rakoczy nie wróży niczego dobrego.

- Czy chcesz kawy, kochanie? - zapytała Azadeh.

- Dziękuję. Spróbuj złapać na krótkich BBC albo Głos Ameryki.

Z wdzięcznością przyjął gorącą kawę z termosu, wsłuchując się w trzaski, fragmenty dobrze słyszalnych

307

144

audycji radzieckich i inne odgłosy dochodzące z radia. Stacje irańskie, poza tymi, które obsługiwało wojsko, nadal strajkowały.

Podczas weekendu przyjaciele, krewni, kupcy i służący przynosili najprzeróżniejsze, sprzeczne ze sobą, plotki. Mówili o nieuchronności inwazji sowieckiej, ale także amerykańskiej, o udanych przewrotach wojskowych w stolicy, ale także o podłym przejściu wszystkich generałów na stronę Chomeiniego i o dymisji Bachtiara.

- Osły! - skomentował tę wiadomość Abdollah-chan. Był korpulentnym, brodatym sześćdziesięcioletnim, o ciemnych oczach i pełnych ustach. Nosił klejnoty i bogaty strój. -

Dlaczego Bachtiar miałby podać się do dymisji? Nic na tym nie zyska, a więc nie ma jeszcze powodu.

- A jeśli Chomeini zwycięży? - zapytał Erikki.

- Wola boska. - Chan leżał na dywanach w Wielkiej Sali. Erikki i Azadeh siedzieli przed nim, a za ich plecami stał uzbrojony strażnik. - Ale jeśli Chomeini wygra, to tylko na krótko.

Prędzej czy później siły zbrojne powstrzymają go i jego mułłów. Jest starcem, wkrótce umrze; im szybciej, tym lepiej. Chociaż wypełnił wolę Boga i stał się Jego narzędziem, wypędzając Szacha, którego czas już nadszedł, jest mściwy i ograniczony. Jest takim samym megalomanem jak Szach, jeśli nie większym. Na pewno wymorduje więcej Irańczyków niż Szach podczas całego swego panowania.

- Czyż nie jest on jednak człowiekiem bożym, pobożnym i wszystkim, czym powinien być ajatollah? - zapytał ostrożnie Erikki, nie wiedząc, czego się spodziewać. - Dlaczego Chomeini miałby mordować?

- Takie są zwyczaje tyranów. - Chan roześmiał się i wziął kolejny kawałek chałwy, tureckiego przysmaku, którym się opychał.

- A Szach? Co się teraz wydarzy?

Choć Erikki nie lubił chana, był zadowolony, że może poznać jego opinię. Od starca zależała przyszłość jego i Azadeh w Iranie, a Yokkonen nie chciał stąd wyjeżdżać.

308

- Stanie się wedle woli Boga. Szach Mohammad zrobił dla Iranu dużo, podobnie jak jego ojciec. Ale w ostatnich latach za bardzo zapatrzył się w siebie i nikogo nie słuchał, nawet Szachbanu, cesarzowej Farah, która była mu oddana i jest mądra. Gdyby Szach miał choć trochę rozsądku, abdykowałby od razu na rzecz swego syna Rezy. Generałowie potrzebują punktu, wokół którego mogliby zgromadzić swe siły; mogliby szkolić chłopca do chwili, aż byłby zdolny do przejęcia władzy. Nie zapominaj, że Iran jest monarchią od prawie trzech tysięcy lat. Monarcha był zawsze władcą absolutnym, można by nawet powiedzieć - tyranem.

Miał absolutną władzę, której mogła go pozbawić tylko śmierć. - Pełne, zmysłowe usta chana wykrzywił uśmiech. - Spośród szachów Kadżarów, naszej prawej dynastii, która panowała przez sto pięćdziesiąt lat, tylko jeden, ostatni z linii, mój kuzyn, zmarł śmiercią naturalną.

Jesteśmy ludźmi Wschodu, a nie Zachodu; godzimy się w pewnych wypadkach na przemoc i tortury. Nie oceniamy życia i śmierci według waszych norm. - Wydawało się, że ciemne oczy teścia pociemniały jeszcze bardziej. - Być może Bóg chce, żeby Kadżarowie powrócili. Pod ich panowaniem Iran kwitł.

Nie wydaje mi się, pomyślał Erikki. Nie okazał jednak swych wątpliwości. Nie mnie sądzić o tym, co było i będzie w tym kraju.

Przez całą niedzielę nie można było złapać ani BBC, ani Głosu Ameryki, co nie było niezwykle. Radio Moskwa służyć było czysto i wyraźnie, co także nie było niezwykle.

Podobnie Radio Wolny Iran, nadające z Tbilisi, na północ od granicy. Komunikaty nadawane w farsi i po angielsku mówiły o powszechnym powstaniu przeciwko "nielegalnemu rządowi Bachtara, popierającemu marionetkowego Szacha i jego amerykańskich mocodawców, z podżegaczem wojennym i kłamcą, prezydentem Carterem na czele. Dziś Bachtar próbował

zabiegać o względy mas, unieważniając lichwiarskie

145

309

kontrakty wojskowe na sumę 13 miliardów dolarów wymuszone na kraju przez despotycznego Szacha. Należność USA wyniosłaby 8 miliardów, 2,3 miliarda pochłonęłyby zamówienia na brytyjskie czołgi centurion; do tego dochodzą dwa francuskie reaktory atomowe i jeden niemiecki, łącznie za 2,7 miliarda. Wiadomość ta wywołała panikę wśród zachodnich przywódców i bez wątpienia spowoduje zasłużony krach na kapitalistycznych giełdach akcyjnych"...

- Przepraszam, ojcze, ale czy Zachód się załamie?

- zapytała Azadeh.

- Nie tym razem - odparł chan, a Eriki zobaczył, że twarz starca przybrała chłodny wyraz. -

Zachód wytrzyma, dopóki Sowieci nie postanowią nie spłacać 80 miliardów długu należnego zachodnim bankom, a nawet niektórym wschodnim. - Zaśmiał się sardonicznie, bawiąc się sznurem pereł, który nosił na szyi.

- Oczywiście pożyczkodawcy ze Wschodu są znacznie sprytniejsi, a przynajmniej nie tak chciwi. Pożyczają rozsądnie, domagają się zastawów i nie wierzą nikomu, a już zwłaszcza nie wierzą w mit "chrześcijańskiego miłosierdzia".

Wiadomo było powszechnie, że do Gorgonów należały ogromne obszary ziemi w Azerbejdżanie, dobre pola roponośne, duża część Iran-Timber, przybrzeżna posiadłość nad Morzem Kaspijskim, większość bazaru w Tebrizie i prawie wszystkie działające tam banki handlowe.

Eriki przypomniał sobie plotki, jakie usłyszał o Ab-dollah-chanie, gdy usiłował uzyskać pozwolenie na małżeństwo z Azadeh. Mówiono o skąpstwie chana i o bezwzględności w prowadzeniu interesów: "Najszybciej można trafić do raju albo do piekła, gdy jest się winnym Abdollahowi Okrutnemu jednego riala, nie oddaje się go, powołując się na ubóstwo, i zostaje się w Azerbejdżanie".

- Przepraszam, ojcze, czy mogę zapytać, czy unieważnienie tak wielu kontraktów nie spowoduje ogromnego zamieszania?

- Nie. Nie możesz już pytać. Zadałaś dość pytań jak na jeden dzień. Kobieta powinna poskramiać swój język

ji słuchać. Możesz odejść.

Azadeh natychmiast przeprosiła za swój nietakt i posłusznie wyszła. Erikki także wstał, lecz chan go zatrzymał.

- Jeszcze cię nie zwolniłem. Siadaj. Powiedz teraz, dlaczego obawiasz się jednego Sowietą?

- Nie boję się jego, lecz całego systemu. Ten człowiek musi być z KGB.

- Dlaczego więc po prostu go nie zabiłeś?

- To by nie pomogła, a przeciwnie: zaszkodziłoby nam, bazie, Iran-Timber, Azadeh, może nawet tobie. Przysłali go inni. On nas zna, zna ciebie. - Erikki patrzył uważnie na teścia.

- Znam ich wielu. Rosjanie, Sowietci czy poddani cara zawsze chcieli mieć Azerbejdżan, i pomagali nam w walce ze śmierdzącymi Brytyjczykami. Wolę ich od Brytyjczyków.

Rozumiem ich. - Uśmiechnął się. - Byłoby łatwo usunąć tego Rakoczego.

- Dobrze, więc proszę cię, usuń go. - Erikki roześmiał się głośno. - I ich wszystkich razem z nim. To byłaby naprawdę boża praca.

- Nie zgadzam się z tym - z rozdrażnieniem odpowiedział chan. - To byłoby dzieło szatana.

Gdyby nie Sowietci, Amerykanie i ich psy, Brytyjczycy zdominowaliby nas i cały świat. Na pewno połączyliby Iran; za Szacha Mohammada prawie im się to udało. Bez Rosji Sowieckiej, mimo jej błędów, nikt nie powstrzymałby ohydnej polityki amerykańskiej, ich ohydnej arogancji, ohydnych obyczajów, ohydnych dzinsów, ohydnej muzyki, ohydnych jedzenia i ohydnej demokracji, ich niesmacznej postawy wobec kobiet, prawa i porządku, niesmacznej

pornografii, naiwnego stosunku do dyplomacji i ich szatańskiej, tak, to właściwe słowo, szatańskiej wrogości do islamu.

Kłótnia była ostatnią rzeczą, jakiej Erikki teraz potrzebował. Ale mimo postanowienia, że nie da się sprowokować, poczuł, że narasta w nim gniew.

_ Umówiliśmy się...

- To prawda, na Boga! - krzyknął chan. - To prawda!

- To nieprawda, a poza tym umówiliśmy się, w obliczu twojego Boga i moich duchów, że nie będziemy się spierać o politykę czy to twojego świata, czy mojego.

- To prawda, przyznaj to! - warknął Abdollah-chan z twarzą wykrzywioną gniewem. Sięgnął do ozdobnego noża zatkniętego za pas, a strażnik natychmiast odbezpieczył pistolet maszynowy i wymierzył go w Errikiego. - Na Boga! Nazywasz mnie kłamcą w mym własnym domu? - zaryczał chan.

Erikki wycedził przez zęby:

- Przypominam tylko Waszej Wysokości, co postanowiliśmy w obliczu twojego Allacha!

Ciemne, nabiegłe krwią oczy wpatrywały się w niego. Odwzajemnił to wrogie spojrzenie; był gotów sięgnąć po własny nóż i zabić lub zginąć.

- Tak, to także prawda - mruknął teść. Jego złość przeminęła tak gwałtownie, jak nadeszła.

Gniewnie odprawił strażnika: - Wynoś się!

W sali zapanował spokój. Erikki wiedział, że obok przebywają inni strażnicy, i że zagląдают przez otwory w ścianach. Czuł pot na czole i ucisk noża pukoh na kręgosłupie.

Abdollah-chan wiedział o tym nożu; wiedział też, że Erikki użyłby go bez wahania. Udzielił mu jednak bezterminowego zezwolenia na noszenie tej broni w swej obecności. Dwa lata temu Erikki ocalił mu bowiem życie.

Tamtego dnia Erikki prosił go o pozwolenie na ślub z Azadeh i spotkał się z władczą odmową.

- Nie, na Allacha! Nie chcę niewiernych w swojej rodzinie! Opuść mój dom! Mówię po raz ostatni!

Erikki z ciężkim sercem wstał z dywanu. W tym momencie zza drzwi doszły odgłosy szamotaniny, potem strzały. Drzwi otworzyły się i wtargnęło przez nie dwóch zabójców z pistoletami maszynowymi; inni toczyli walkę

312

na korytarzu. Goryl chana zabił jednego z nich, ale . drugi rozerwał go na strzępy pociskami i wycelował -w Abdollaha, który siedział na dywanie jak sparaliżowany. Zanim zabójca zdążył

po raz drugi nacisnąć spust, zginął. Nóż Fina utkwiał w jego gardle. W tej samej chwili Erikki doskoczył do napastnika, wyrwał mu z rąk karabin, a z gardła nóż. Gdy do sali wpadł

następny zabójca, Erikki uderzył go w głowę bronią, zabijając na miejscu. Potem wyskoczył

jak oszalały na korytarz. Trzej napastnicy i dwaj strażnicy leżeli na podłodze; uchodziło z nich życie. Jeden z napastników próbował wstać, lecz Yokkonen zmiotł go z drogi serią pocisków i pobiegł naprzód. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy dotarł do Azadeh i stwierdził, że jest bezpieczna.

Erikki pamiętał, jak ją opuścił i wrócił do Wielkiej Sali. Abdollah nadal siedział na dywanach.

- Kim byli ci ludzie? - spytał Fin.

- Zabójcami, wrogami, podobnie jak strażnicy, którzy ich tu wpuścili - powiedział złośliwym tonem Abdollah-chan. - Wola Boga sprawiła, że byłeś tutaj i ocaliłeś mi życie. Bóg chciał, żebym żył. Tak, możesz poślubić Azadeh, ale ponieważ cię nie lubię, obaj przysięgniemy przed Bogiem i twoim... w co tam wierzysz, że nie będziemy dyskutować o religii i polityce czy to twojego świata, czy mojego. Być może w ten sposób nie będę musiał cię zabić.

Teraz te same czarne oczy wpatrywały się w Erik-kiego. Abdollah-chan klasnął w rękę.

Natychmiast otworzyły się drzwi i pojawił się w nich służący.

147

- Przynieś kawę! - Służący oddalił się prędko. - Przestaną mówić o twoim świecie; pomówmy o tym, o czym możemy mówić: o mojej córce, Azadeh.

Erikki zaniepokoił się jeszcze bardziej. Nie był pewien, jaką władzę ma nad żoną jej ojciec i jakie są jego I własne prawa jako męża tu, w Azerbejdżanie, który był

j niemal lennem chana. Czy Azadeh posłuchałaby ojca, i gdyby Abdollah kazał jej zamieszkać w tym domu i 313

i rozwieść się? Chyba tak, boję się, że tak. Z pewnością nigdy nie słyszała słowa sprzeciwu wobec jego woli. Broniała nawet jego paranoicznej nienawiści do Ameryki i wyjaśniała, skąd się wzięła.

- Jego ojciec kazał mu podjąć studia uniwersyteckie w Ameryce - mówiła. - Przeżył tam straszne chwile. Uczył się języka i próbował uzyskać dyplom z ekonomii. Jego ojciec nie pozwolił mu wracać bez dyplomu do domu. Mój ojciec nienawidził studentów, którzy drwili z niego, ponieważ nie mógł brać udziału w ich grach; był cięższy od nich, co w Iranie jest oznaką bogactwa, ale nie w Ameryce. Nauka przychodziła mu trudniej. Ale najgorsze było to, że był zmuszany do jedzenia nieczystego pożywienia, jak na przykład wieprzowiny, co jest sprzeczne z nakazami naszej religii, do picia piwa, wina i wódki, co też jest sprzeczne z tymi nakazami, do robienia niesłychanych rzeczy. Był też przezywany w sposób, którego nie można powtórzyć. Ja na jego miejscu też byłabym zła. Proszę, bądź dla niego wyrozumiały.

Czyż nie masz ciągle przed oczami Sowietów, którzy skrzywdzili twojego ojca i matkę, twój kraj? Bądź wyrozumiały, błagam cię. Czyż nie wyraził zgody na nasze małżeństwo? Proszę cię, bądź wyrozumiały.

Byłem bardzo wyrozumiały, myślał Erikki, bardziej niż wobec kogokolwiek innego. Chciał, żeby ta

rozmowa już się skończyła.

- O co chodzi z moją żoną, Wasza Wysokość? - W ten sposób zwykle zwracano się do chana; Erikki, z grzeczności, robił to również ód czasu do czasu.

Abdollah-chan lekko się uśmiechnął.

- Naturalnie interesuje mnie przyszłość mojej córki. Co zamierzasz zrobić, gdy dotrzecie do Teheranu?

- Nie mam żadnych planów. Uważam po prostu, że rozsądnie będzie zabrać ją z Tebrizu na kilka dni. Rakoczy powiedział, że "wymagają" moich usług. Gdy KGB mówi coś takiego w Iranie, Finlandii czy nawet w Ameryce, lepiej spakować manatki i przygotować się 314

- In sza'a Allah, kochanie - powiedziała łagodnie Azadeh. - To była wola Boga.

- Nie. To była tylko cholerna głupota.

- Oczywiście, masz rację, ukochany. To na pewno była głupota - zgodziła się od razu Azadeh, widząc gniew Erikkiego, choć nie rozumiała jego przyczyny, podobnie jak nie pojmowała większości tego, co działo się w głowie dziwnego człowieka, który był jej mężem.

- Masz rację, Erikki. To była głupota, ale to Bóg sprawił, że głupota tych kierowców spowodowała ich śmierć i śmierć tych, którzy z nimi podróżowali. Gdyby nie wola Boga, droga byłaby pusta. Masz rację.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytał zmęczonym głosem.

- Och, tak, Erikki, oczywiście. Masz rację. Ruszyli w dalszą drogę. Mijali ubogie albo wręcz nędzne wioski o wąskich, brudnych uliczkach, prymitywnych chatach i domkach, z wysokimi murami, nielicznymi, brunatnymi meczetami, straganami, kozami, owcami, kurczętami i muchami, które nie były jeszcze taką plagą jak w lecie. Wszędzie odpadki na ulicach i w dżubach, rowach, a także, nieodmiennie, stada wynędzniałych psów, często chorych na wściekliznę, poszukujących odpadków. Śnieg jednak sprawiał, że krajobraz był malowniczy.

Utrzymywała się ładna pogoda: niebieskie niebo i spiętrzone cumulusy.

148

Wnętrze rangę rovera było ciepłe i wygodne. Azadeh miała na sobie nowoczesny, pikowany kombinezon narciarski i dobrany do niego kolorem niebieski sweter kaszmirowy. Stroju dopełniały niskie buty. Zdjęła kurtkę i wełnianą czapkę narciarską; jej ciemne, falujące włosy opadły na ramiona. Koło południa zatrzymali się przy strumyku, aby zjeść lunch. Wczesnym popołudniem dotarli do okolicy, w której ciągnęły się sady: jabłonie, grusze i drzewa czereśniowe nie miały jeszcze liści. Potem wjechali na przedmieścia Kazwinu, chyba stu pięćdziesięcioletniego miasta o wielu meczetach.

- Azadeh, ile może być meczetów w całym Iranie?

- zapytał Erikki.

317

_ Powiedziano mi kiedyś, że dwadzieścia tysięcy

- odpowiedziała zaspanym głosem. Otworzyła oczy i ujrzała miasto. - Ach, Kazwin! Szybko jechałeś, Erikki.

- Ziewnęła, opadła niżej na siedzeniu i dodała sennie:

- Mówi się, że jest dwadzieścia tysięcy meczetów i pięćdziesiąt tysięcy mułłów. Z taką szybkością dojedziemy do Teheranu za parę godzin...

Uśmiechnął się, gdyż nagle urwała i zasnęła. Czuł się teraz bezpieczniej; był zadowolony, gdyż najtrudniejszą część trasy mieli za sobą. Za Kazwinem droga była już dobra. Aż do Teheranu. Abdollah-chan miał w Teheranie wiele domów i mieszkań. Większość z nich wynajmował cudzoziemcom, ale kilka zachował dla siebie i rodziny. Powiedział Erikkiemu, że tym razem, z powodu kłopotów, mogą zatrzymać się w mieszkaniu położonym niedaleko mieszkania McIvera.

- Dziękuję, dziękuję bardzo - powiedział wtedy Erikki.

Później Azadeh nieco się zaniepokoiła.

- Zastanawiam się, dlaczego był tak uprzejmy. To... to nie jest do niego podobne. Nienawidzi ciebie i nienawidzi mnie, choć robię wszystko, żeby mógł być ze mnie zadowolony.

- On cię nie nienawidzi, Azadeh.

- Przepraszam, że nie mogę przyznać ci racji, ale jednak nienawidzi. Powtórzę ci to jeszcze raz, kochanie. Moja najstarsza siostra, Nadzud, nastawia go przeciwko mnie i mojemu bratu.

Ona i ten jej przeklęty mąż. Nie zapominaj, że moja matka była drugą żoną ojca, prawie dwa razy młodszą od matki Nadzud i dwa razy piękniejszą. I choć moja matka zmarła, gdy miałam siedem lat, Nadzud sący jad nadal. Oczywiście, nie przy nas; na to jest zbyt sprytna. Erikki, nie możesz wiedzieć, jak irańskie damy potrafią być subtelne, skryte i jaki mogą wywierać wpływ. Są bardzo mściwe, czego nie widać spoza ich, och, jakże słodkiego, zachowania.

Nadzud jest gorsza od węża z Rajskiego Ogrodu! Jest przyczyną całej tej wrogości ojca. -

Piękne, niebieskozielone oczy Azadeh napęłniły się łzami. - Gdy byłam mała, mój 318

ojciec naprawdę nas kochał, mojego brata Hakima i mnie. Byliśmy jego ulubieńcami. Spędzał

więcej czasu' z nami w naszym domu niż w pałacu. Potem, gdy mama umarła, przeprowadziliśmy się

do pałacu, ale to się nie spodobało żadnemu z moich przyrodnych braci i żadnej z sióstr. Po tej przeprowadzce wszystko się zmieniło, Erikki. Z powodu Nadzud.

- Azadeh, zamartwisz się na śmierć tą nienawiścią. To ty cierpisz, a nie Nadzud. Zapomnij o niej. Ona nie ma nad tobą władzy, a ja powtarzam: nie masz żadnego dowodu.

- Nie potrzebuję dowodu. Po prostu wiem. Nigdy jej tego nie zapomnę.

Erikki nie spierał się dłużej. Nie miało sensu dalsze przypominanie tego, co wywołało już i tak wiele łez. Lepiej jednak, że Azadeh mogła od czasu do czasu ponarzekać, niż gdyby takie myśli drażyły ją skrycie.

Skończyły się wzgórza, i wjechali do Kazwinu, miasta podobnego do innych w Iranie, hałaśliwego, zatłoczonego i brudnego. Obok drogi biegł dżub, jak w całym Iranie. Tutaj rów miał metr głębokości, był częściowo wybetonowany i wypełniony śniegową breją, po której 149

spływał strumyczek wody. Z rowów gdzieniegdzie wyrastały drzewa. Mieszkańcy miasta prali w rowach ubrania, a czasem nawet czerpali z nich wodę do picia. Za rowami wyrastały mury skrywające domy lub ogrody, duże lub małe, bogate lub zapuszczone. Zwykle domy w miastach i miasteczkach były jednopiętrowe, brunatne i przypominały pudełka. Niektóre wzniesiono z suszonej na słońcu cegły, niektóre otynkowano, a prawie wszystkie przysłonięto murami. Podłogi zwykle były brudne, a tylko nieliczne budynki wyposażono w bieżącą wodę, elektryczność i urządzenia sanitarne.

Gwałtownie zwiększył się ruch na drodze. Pojawiły się rowery, motocykle, autobusy, ciężarówki i samochody osobowe; były duże, małe, starodawne lub bardzo stare, prawie wszystkie poobijane i połatane, niektóre kolorowo wymalowane i wyposażone w przeróżne światełka, według fantazji właściciela. W ciągu kilku ostat-319

nich lat Erikki wielokrotnie tędy przejeżdżał i wiedział, gdzie mogą tworzyć się korki. Nie było jednak innej drogi, żadnej obwodnicy, choć już od lat planowano jej wybudowanie.

Uśmiechnął się pogardliwie, próbując nie zwracać uwagi na hałas. Nigdy nie będzie obwodnicy. Po prostu Kazwin nie mógłby znieść ciszy. Mieszkańcy Kazwinu i Resztu nad Morzem Kaspijskim byli tradycyjnie tematem wielu irańskich dowcipów.

Wyminął wypalony wrak samochodu, znalazł kasetę z Beethovenem i nastawił magnetofon na pełny regulator, żeby zagłuszyć hałas. Wiele to jednak nie pomogło.

- Jest gorzej niż zwykle! Gdzie policja? - zdziwiła się Azadeh, która już nie spała. - Chce ci się pić?

- Nie, dziękuję. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Ale jestem głodny. Głodny ciebie!

Roześmiała się i dotknęła jego ramienia.

- Ja nie jestem głodna, tylko po prostu żarłoczna!

- To dobrze. - Oboje byli zadowoleni. Nawierzchnia drogi była zła jak zwykle. Tu i tam widniały w

niej wyrwy, częściowo spowodowane pogodą, a częściowo nie kończącymi się robotami drogowymi, choć nie ostrzegały o tym żadne znaki czy barierki. Ominął głęboką dziurę i zwolnił za następnym wrakiem, niestarannie odsuniętym na pobocze. W tym momencie z przeraźliwym rykiem klaksonu nadjechała z przeciwka wyładowana ciężarówka.

Była jaskrawo przyozdobiona; błotniki trzymały się na okręconym wokół nich drucie, kabina nie miała szyb, a wlew paliwa zatkany był szmatą. Na skrzyni piętrzył się chrust, na którym podróżowali pasażerowie. Kierowca miał na sobie podartą kurtkę z owczej skóry. Dwaj inni mężczyźni siedzieli za nim. Mijając ciężarówkę, Erikki zauważył ze zdumieniem, że jej pasażerowie wpatrują się w niego. Kilka metrów dalej musiał zatrzymać się na krawędzi rowu, aby przepuścić przeładowany autobus. Wtedy znowu zobaczył, że pasażerowie mijającej go ciężarówki i kierowca gapią się na niego. Były to kobiety w czadorach i młodzi, brodaci mężczyźni, ubrani

320

grubo z powodu zimna. Jeden z podróżnych pogroził Finowi pięścią, inny rzucił jakieś przekleństwo pod jego adresem.

To coś nowego, pomyślał zaniepokojony Erikki. Rozejrzał się. Wszędzie napotykał takie same wrogie spojrzenia przechodniów i pasażerów pojazdów. Musiał jechać bardzo powoli, lawirując w strumieniu motocykli, rowerów, samochodów, autobusów i ciężarówek, które nie zwracały uwagi na przepisy drogowe i przepychały się bezpardonowo. Z bocznej uliczki wyszło stado owiec i zablokowało drogę. Kierowcy krzyczeli na pasterza, pasterz na nich, a wszystko tonęło w niecierpliwym ryku klaksonów.

- Cholerny ruch! Głupie owce! - denerwowała się Azadeh. - Zatrąb, Erikki!

- Cierpliwości, prześpij się jeszcze. I tak nie mogę nikogo wyprzedzić! - krzyknął poprzez zgiełk, ciągle świadom otaczającej go nienawiści. - Cierpliwości!

150

Pokonanie następnych trzystu metrów zabrało im pół godziny; z bocznych uliczek wyjeżdżały kolejne pojazdy, włączały się do ruchu, tak że jechało się coraz wolniej. Wszędzie tłoczyli się ulicznicy sprzedawcy i przechodnie. Teraz Erikki jechał w zółwym tempie za szerokim autobusem, który zajmował prawie całą szerokość drogi, niemal ocierał się o nadjeżdżające z przeciwka pojazdy i często jechał na krawędzi rowu, tak że połową koła wisiał w powietrzu.

Motocykliści beztrąsko wyprzedzali samochody, wciskając się między nie i objając się o boki range rovera oraz innych pojazdów. Klęli jeden drugiego i wszystkich innych, spychali kopniakami owce z drogi i siali wśród nich popłoch. Z tyłu najechał na rangę rovera mały samochodzik; jego kierowca naciskał klakson w paroksyzmie złości, co sprawiło, że Erikki poczuł gniew. Nie słuchaj! - przykazał sobie. Uspokój się! Nie możesz nic zrobić! Uspokój się!

Stwierdził jednak, że zachowanie spokoju przychodzi mu z coraz większym trudem. Po trzydziestu minutach owce zeszyły wreszcie z drogi, co trochę polepszyło 321

sytuację. Ale gdy skręcili, by dostać się do drogi wylotowej na Teheran, natknęli się na wykopki: ulicę przecinał nie oznakowany rów o głębokości jakichś dwóch metrów, do połowy wypełniony wodą. Nie opodal siedzieli w kucki bezczelni robotnicy. Na przekleństwa kierowców odpowiadali przekleństwami i nieprzyzwoitymi gestami.

Nie można było ani jechać naprzód, ani zawrócić, więc wszystkie pojazdy musiały skręcić w wąską, boczną uliczkę, aby objechać przeszkodę. Jadący z przodu autobus nie mógł dokonać tego od razu; żeby wziąć zakręt, musiał trochę się cofnąć. Wywołało to nową falę hałaśliwych protestów, a gdy Erikki przesunął swój samochód, żeby zrobić miejsce, stojący za nim poobijany niebieski samochód ruszył, ominął go, usiłując wcisnąć się w wąską lukę po przeciwnej stronie drogi, i zmusił samochód nadjeżdżający z przeciwka do gwałtownego hamowania. Ten wpadł w poślizg i wylądował jednym kołem w rowie. Cały ruch kołowy ostatecznie zamarł.

Erikki był już wściekły. Zaciągnął hamulec ręczny, wyskoczył z samochodu, podszedł do unieruchomionego pojazdu i użył wszystkich sił, aby wepchnąć go z powrotem na drogę. Nikt mu nie pomógł. Kierowcy powiększali tylko hałas, wykrzykując przekleństwa. Potem Erikki ruszył w kierunku niebieskiego samochodu. W tym momencie autobus minął zakręt i zrobiło się trochę luźniej. Kierowca niebieskiego samochodu zwolnił sprzęgło i ruszył z piskiem opon. Na pożegnanie wykonał nieprzyzwoity gest.

Erikki opanował się z trudem. Wszyscy na niego trąbili. Zrezygnowany, zajął miejsce za kierownicą rangę rovera.

- Proszę - powiedziała niespokojnie Azadeh. Podawała mu filiżankę z kawą.

- Dzięki. - Pił kawę, prowadząc jedną ręką; znowu jechali w żółtym tempie. Niebieski samochód zniknął. Gdy Erikki mógł już mówić normalnym głosem, oświa-322

dczył: - Gdybym go dostał, rozerwałbym na kawałki. | Albo jego samochód.

- Tak, wiem, Erikki. Czy zauważyłeś, jak wrogo wszyscy na nas patrzą?

- Zauważyłem.

- Ale dlaczego? Przejeżdżaliśmy już ze dwadzieścia razy przez Kazwin...

Azadeh pochyliła się odruchowo, gdy w okno z jej strony uderzył ogryzek. Przysunęła się bliżej do męża, instynktownie szukając ochrony. Erikki zaklął, zakręcił szyby, a potem zablokował drzwi po stronie żony. W przednią szybę uderzył krowi placek.

- Co się, do cholery, dzieje z tymi matierjebcami? - mruknął. - Zachowują się tak, jakbyśmy wymachiwali flagą amerykańską i portretami Szacha.

Nie wiadomo skąd nadleciał kamień i odbił się od maski. Przed nimi autobus wyjechał z wąskiej uliczki na szeroki plac przed meczetem. Na placu stały stragany, a po jego obrzeżach biegły po dwa pasma ruchu z każdej strony. Erikki zauważył z ulgą, że nabrali trochę 151

szybkości. Tutaj także ruch był duży, ale dawało się jechać. Yokkonen wrzucił drugi bieg i skierował się w stronę wylotu na Teheran, widocznego już po drugiej stronie placu. W

połowie drogi znów zrobiło się ciasniej, gdyż coraz więcej pojazdów zmierzało w kierunku Teheranu.

- Nigdy nie było tak źle - mruknął. - Co tu się dzieje, do diabła?

- Pewnie następny wypadek - rzuciła niespokojnie Azadeh. - Albo roboty drogowe. Czy nie powinniśmy zawrócić? W tamtą stronę nie jest tak źle.

- Mamy dużo czasu - powiedział, aby dodać jej odwagi. - Za minutę wydostaniemy się stąd.

Byle tylko wyjechać z miasta.

Przed nimi znowu coś się zakorkowało; hałas wybuchnął z podwójną siłą. Oba pasy stawały się coraz bardziej zatłoczone, właściwie pozostawał tylko jeden. W powietrzu krzyżowały się przekleństwa, pokrzykiwa-323

nia i trąbienie. Pojazdy ciągle zatrzymywały się i ruszały, jadąc najwyżej trzydzieści kilometrów na godzinę. Stragany i ręczne wózki stały nad rowem i wysuwały się na drogę.

Dotarli już prawie do wylotu, gdy podbiegło do nich kilku młodzieńców. Wykrzykiwali obelgi, a jeden z nich zabębnił pięściami w okno od strony Erik-kié8° - - . . .

- Amerykański pies... Świnia Amerykanin...

Przylączali się dalsi mężczyźni i trochę kobiet w cza-dorach; wszyscy wymachiwali pięściami. Erikki był zablokowany; nie mógł ani przyspieszyć, ani zwolnić, ani też zawrócić.

Poczucie bezsilności wzmogło jego gniew. Niektórzy mężczyźni tłukli pięściami w maskę, boki i szyby ranę rovera. Ci od strony Azadeh wymyślali jej, wykonywali ordynarne gesty i próbowali otworzyć drzwiczki. Jakiś chłopak wskoczył na maskę, ale ześliznął się i ledwie zdołał uniknąć przejechania.

Jadący z przodu autobus zahamował. Ludzie oczekujący na przystanku rzucili się naprzód, walcząc o miejsca w środku i zderzając się z pasażerami, którzy chcieli wyjść. Erikki ujrzał

przed sobą pustą przestrzeń; wcisnął pedał gazu i objechał autobus, omal nie rozjeżdżając przechodniów, beztrąsko spacerujących po jezdni. Wjechał w zadziwiająco pustą uliczkę, pokonał ją w rekordowym tempie i skręcił w następną, wymijając kilkanaście motocykli.

Jechał dalej, choć stracił już orientację, gdyż nie dostrzegał żadnych znanych sobie punktów miasta. Kierował się słońcem; udało mu się wjechać w szerszą ulicę, która doprowadziła go do innego placu z meczetem, a potem do drogi na Teheran, którą rozpoznał.

- Już wszystko w porządku, Azadeh. To byli jacyś chuligani.

- Tak - odparła drżącym głosem. - Powinno się ich wychłostać.

Erikki obserwował tłum przed meczetem, na chodnikach i ludzi w przejeżdżających pojazdach, próbując dociec przyczyn wrogości, z którą się zetknęli. Jest jakaś różnica, pomyślał. Tylko jaka? Poczuł skurcz żołądka.

324

- Od wyjazdu z Tebrizu nie widziałem ani jednego żołnierza, ani jednej wojskowej ciężarówki. A ty?

- Ja też nie. Gdy to powiedziałaś, zdałam sobie z tego sprawę.

- Coś się stało. Coś poważnego.

- Wojna? Sowieci przekroczyli granicę? - Azadeh jeszcze bardziej pobladła.

- Wątpię. Widzielibyśmy oddziały jadące na północ albo samoloty. - Spojrzał na nią. -

Nieważne! - rzucił, bardziej po to, by uspokoić samego siebie. - W Teheranie będziemy się dobrze bawić. Jest tam Szahrazad i wielu naszych przyjaciół. Najwyższy czas na jakąś odmianę. Może wezmę urlop? Moglibyśmy wyskoczyć do Finlandii na tydzień lub dwa...

Wydostali się już ze śródmieścia i jechali przedmieściami. Mijali takie same zrujnowane budynki i dziury w jezdni. Droga na Teheran rozszerzyła się do czterech pasm ruchu, po dwa 152

w każdą stronę. Erikki był spokojniejszy, choć nadal panował duży ruch, który ograniczał ich szybkość do trzydziestu kilometrów na godzinę. Stąd nie było już daleko. Przed nimi droga rozgałęziała się; jedna odnoga prowadziła do Abadanu i Kermanszahu. Erikki wiedział, że za tym rozjazdem ruch będzie już mniejszy; automatycznie badał wzrokiem deskę rozdzielczą samochodu, jakby chodziło o przyrządy w kok-picie helikoptera. Chciałby być w powietrzu, ponad całym tym bałaganem. Wskaźnik poziomu paliwa spadł poniżej jednej czwartej; niedługo będzie musiał dolać benzyny, ale to nie był problem - miał jej w kanistrach pod dostatkim.

Zwolnili, żeby ominąć ciężarówkę zaparkowaną z niedbałą arogancją naprzeciwko jakichś ulicznych straganów. W powietrzu unosił się ciężki zapach pracującego silnika dieslowskiego. W przednią szybę rovera uderzył ogryzek rzucony nie wiadomo skąd.

- Może powinniśmy zawrócić, Erikki, i pojechać do Tebrizu? Może udałoby się nam jakoś ominąć Kazwin.

- Nie - odpowiedział. Niepokoił go strach, jaki słyszał w jej głosie: zwykle była bardzo odważna. - Nie

325

- powtórzył łagodniej. - Pojedziemy do Teheranu, sprawdzimy, o co w tym wszystkim chodzi, a potem podejmiemy decyzję.

Azadeh przysunęła się bliżej i położyła dłoń na jego

kolanie.

- Ci chuligani mnie przerażają; niech Bóg ich przeklnie - mruknęła, bawiąc się nerwowo naszyjnikami z turkusów, jaki miała na szyi. Większość Iranek nosiła turkusy, żeby uchronić się przed złym spojrzeniem.

- Psie syny! Dlaczego tak się zachowywali? Diabły. Oby Bóg przeklął ich na zawsze! - Zaraz za miastem znajdował się wojskowy ośrodek szkoleniowy, z przylegającą do niego bazą sił powietrznych. - Dlaczego nie ma tu żołnierzy?

- Sam chciałbym wiedzieć - odparł Erikki.

Po prawej stronie wyłoniła się droga na Abadan i Kermanszah; wjeżdżało na nią bardzo dużo pojazdów. Ogrodzenia z drutu kolczastego biegły wzdłuż obu dróg, podobnie jak przy większości autostrad w Iranie. Ogrodzenia powstrzymywały owce, kozy, bydło, psy i ludzi od spacerowania po drogach; wypadki, w tym dużo śmiertelnych, były w kraju bardzo częste.

W Iranie to normalne, myślał Erikki. To tak samo jak z tym wypadkiem w górach: nikt tego nie zgłasza, nikt nawet nie grzebie ciała. Zajmują się nimi tylko sępy, dzikie zwierzęta i psy.

Gdy miasto zostało za nimi, poczuli się rażniej. Znowu pojawił się krajobraz: sady widoczne poprzez drut kolczasty, góry Elbrus na północy i pofalowany teren na południu. Zamiast przyspieszyć, musieli jednak zwolnić; tłok na szosie zgęstniał, samochody walczyły o miejsce. Rozległy się klaksony i przekleństwa. Dwa pasma drogi przemieniły się w jedno.

Erikki przeklął znużonym głosem roboty drogowe, które musiały być przyczyną korka.

Zredukował bieg. Jego dłonie i stopy automatycznie dostosowywały prędkość rangę rovera do sytuacji na drodze; ruszały i hamowały, znowu ruszały i hamowały, sprawiając, że samochód, choć w żółtym tempie, poruszał się jednak do przodu. Erikki 326

ledwie zauważał to wszystko, a także ryk przegrzanych silników, hałas i frustrację narastającą w pasażerach samochodów. Nagle Azadeh wskazała coś ręką.

- Patrz!

Jakieś sto metrów dalej drogę przecinała zaporą. Otaczali ją mężczyźni. Niektórzy byli uzbrojeni, wszyscy w ubogich, cywilnych ubraniach. Zapora umieszczono w miejscu, w którym droga oddzielała jakąś wioskę i przylegające do szosy stragany od łąki po przeciwnej stronie. Wieśniacy - kobiety i dzieci - towarzyszyli mężczyznom. Wszystkie kobiety miały na sobie czarne lub szare czadory. Zatrzymywano każdy pojazd, sprawdzano dokumenty i 153

pozwalano jechać dalej. Nie wszystkim. Kilka samochodów stało na łące, a jacyś mężczyźni zadawali pytania kierowcom i pasażerom. Erikki zauważył, że ci mężczyźni byli lepiej uzbrojeni.

- To nie są Zielone Opaski - stwierdził.

- Nie ma mułłów. Widzisz jakichś mułłów?

- Nie.

- Zatem to Tude albo mudżahedini. Albo fedaini.

- Lepiej przygotuj swoje dokumenty - powiedział z uśmiechem Erikki. Włóż parkę i kapelusz, żebyś się nie przeziębila, gdy otworzę okno.

To nie zimno było jego prawdziwym zmartwieniem, lecz wyraźny zarys jej piersi pod swetrem, subtelny kształt bioder i rozpuszczone włosy.

W schowku na rękawiczki leżał w pochwie mały nóż pukoh. Ukrył go w prawym bucie.

Drugi, duży, jak zwykle uwierał go w kręgosłup.

Gdy wreszcie nadeszła ich kolej, ponurzy, brodaci mężczyźni otoczyli rangę rovera.

Niektórzy mieli amerykańskie karabiny, a jeden - AK47. Wśród nich stało kilka kobiet; z czadorów wyzierały tylko twarze. Mężczyźni z ponurą dezaprobatą wpatrywali się w Azadeh paciorkowatymi oczami.

- Dokumenty - odezwał się jeden z nich w farsi, wyciągając rękę.

Cuchnęło mu z ust; odór nie pranych ubrań i nie umytych ciał wtargnął do wnętrza samochodu.
Azadeh

327

wpatrywała się w dal, próbując nie dopuścić do siebie spojrzeń, pomruków i wrażenia braku dystansu, co nie mieściło się w zasięgu jej pojmowania.

Erikki grzecznie podał papiery, swoje i Azadeh. Mężczyzna wziął dokumenty tożsamości, obejrzał je i podał młodemu człowiekowi, który umiał czytać. Pozostali czekali w milczeniu, gapiąc się i przytupując z zimna. W końcu młodzieniec odezwał się w kiepskim farsi:

- Jest cudzoziemcem z jakiegoś kraju, który nazywa się Finlandia. Jedzie z Tebrizu. Nie jest Amerykaninem.

- Wygląda na Amerykanina - zauważył jeden z mężczyzn.

- Kobieta nazywa się Gorgon i jest jego żoną... Przynajmniej tak jest w papierach.

- Jestem jego żoną - oznajmiła sucho Azadeh. - Czy...

- A kto cię prosił, żebyś się odzywała? - przerwał niegrzecznie pierwszy z mężczyzn. - Twoje nazwisko brzmi Gorgon. To jest nazwisko właścicieli ziemskich. Masz akcent i maniery ludzi możnych; jest więcej niż prawdopodobne, że jesteś wrogiem ludu.

• - Nie jestem niczym wrogiem. Proszę...

- Zamknij się. Kobiety powinny wiedzieć, jak się zachować: powinny okrywać swe ciała i być posłuszne. Nawet w państwie socjalistycznym. - Mężczyzna zwrócił się do Erikkiego. -

Dokąd jedziecie?

- Co on mówi, Azadeh? - zapytał Erikki. Przetłumaczyła.

- Teheran - powiedział spokojnie do zbira. - Azadeh, powiedz mu, że jedziemy do Teheranu.

- Naliczył sześć karabinów zwykłych i jeden automatyczny. Otaczały ich samochody, więc nie można było się wyrwać. Na razie.

Azadeh spełniła polecenie i dodała od siebie:

- Mój mąż nie mówi w farsji.

- A dlaczego mamy ci wierzyć? Skąd w ogóle mamy wiedzieć, że jesteście małżeństwem?

Gdzie jest wasze świadectwo ślubu?

328

- Nie mamy go ze sobą, ale to jest napisane w moim dokumencie tożsamości.

- To jest dokument wystawiony przez ludzi Szacha. Nielegalny. Gdzie masz nowy?

154

- Jaki nowy? Przez kogo wystawiony? - obruszyła się. - Oddaj nasze dokumenty i pozwól nam przejechać!

Jej pewność siebie wywarła wrażenie na podejrzliwym mężczyźnie i jego towarzyszach.

Zawahał się.

- Proszę nas zrozumieć. Jest wielu szpiegów i wrogów ludu. Musimy ich schwytać...

Erikki czuł, jak wali mu serce. Wrogie spojrzenia, ludzie z Wieku Ciemności. Brzydki. Grupa wokół nich powiększyła się o kolejnych mężczyzn. Jeden z nich machał gniewnie do kierowców, nakazując im podjechać do punktu kontroli. Nikt nie nacisnął klaksonu; wszyscy cierpliwie czekali na swoją kolej. Nad drogą zawisła złowroga cisza.

- Co tu się dzieje?

Przysadzisty mężczyzna torował sobie drogę przez tłum. Ludzie z szacunkiem usuwali się z drogi. Miał na ramieniu czechosłowacki pistolet maszynowy. Jeden z otaczających ranę rovera coś mu wyjaśnił i wręczył dokumenty. Nowo przybyły miał okrągłą, nie ogoloną twarz, ciemne oczy, tanie, przybrudzone ubranie. Nagle rozległ się strzał; wszyscy odwrócili głowy i spojrzeli na łąkę.

Jakiś człowiek leżał na trawie koło samochodu osobowego, zatrzymanego do dokładniejszej kontroli. Tkwił nad nim jeden z napastników z pistoletem maszynowym w ręku. Drugi pasażer stał przy samochodzie z rękami nad głową. Nagle przerwał otaczający go kordon i rzucił się do ucieczki. Człowiek z pistoletem maszynowym uniósł broń i wystrzelił; chybił i strzelił po raz drugi. Uciekający krzyknął i upadł; wił się w agonii, próbował pełznąć, wykonując nogami bezskuteczne ruchy. Człowiek z bronią podszedł do niego wolnym, niedbałym krokiem. Zaczął opróżniać magazynek, oddając do leżącego strzał po strzale.

329

- Ahmed! - krzyknął przysadzisty mężczyzna. - Dlaczego marnujesz naboje, skoro możesz zrobić to samo butami? Kim oni są?

- SAVAK!

Przez tłum mieszkańców wioski przeszedł pomruk zadowolenia. Ktoś zaklaskał.

- Głupcze! Dlaczego zatem zabiłeś ich tak szybko? Daj mi ich papiery!

Te psie syny mają dokumenty biznesmenów z Teheranu, ja jednak rozpoznaję ludzi z SAVAK-u, gdy tylko ich zobaczę. Chcesz oglądać fałszywe dokumenty?

- Nie. Podrzyj je. - Przysadzisty mężczyzna zwrócił się do Erikkiego i Azadeh: - Właśnie tak wykurzamy z nor wrogów ludu i tak się z nimi załatwiamy.

Azadeh nie odpowiedziała. Brudna ręka trzymała jej dokumenty. Co będzie, jeśli uznają, że także nasze papiery są sfalszowane? In sza a Allah!

Przysadzisty mężczyzna obejrzał dokumenty i wlepił wzrok w Erikkiego. Potem w nią.

- Twierdzisz, że jesteś Azadeh Gorgon Yok... Yok-konen, jego żoną?

- Tak.

- Dobrze. - Wsadził dokumenty do kieszeni i wskazał kciukiem łąkę. - Powiedz mu, żeby tam wjechał. Przeszukamy wasz samochód.

- Ale...

- Zrób to. Już! - Przysadzisty mężczyzna stanął na zderzaku, zdrapując butami lakier z karoserii. - Co

to jest? - zapytał, wskazując niebieski krzyż na białym tle, namalowany na dachu samochodu.

- To fińska flaga - wyjaśniła Azadeh. - Mój mąż jest Finem.

- Dlaczego to jest namalowane?

- Mąż tak chciał.

Mężczyzna splunął i po raz drugi wskazał łakę.

- Pośpieszyć się! Tam! - Gdy dojechali do pustego miejsca, z tłumem idącym za nimi, mężczyzna zeskoczył

330

155

na ziemię. - Wysiadać! Przeszukam wasz samochód, żeby znaleźć broń i kontrabandę.

- Nie mamy broni ani... - zaprotestowała Azadeh.

- Wysiadać! A ty, kobieto, powściągnij swój język! - Stare baby z tłumy syknęły z aprobatą.

Mężczyzna wskazał gniewnie kciukiem dwa ciała leżące w błocie łąki. - Sprawiedliwość ludowa jest szybka i nieodwołalna. Nie zapominaj o tym! - Wymierzył palcem w Erikkiego. -

Powtórz moje słowa temu swojemu potworowi, mężowi, jeśli w ogóle jest twoim mężem.

- Erikki, on mówi, że ludowa... że sprawiedliwość ludowa jest szybka i nieodwołalna, i żeby o tym nie zapominać. Bądź ostrożny, kochanie. My... musimy wysiąść. Oni chcą przeszukać samochód.

- Dobrze, ale przesun się i wyjdź na tę stronę co ja. Erikki wysiadł; górował nad tłumem.

Opiekuńczym

gestem otoczył Azadeh ramieniem. Wokół nich tłoczyły się kobiety i dzieci. Odór nie mytych ciał niemal obezwładniał. Erikki czuł, że Azadeh drży, choć próbowała to ukryć. Patrzyli razem, jak przysadzisty mężczyzna i inni gramolą się do niemal klinicznie czystego wnętrza ich samochodu i deptają siedzenia zabłoconymi butami. Inni otworzyli tylne drzwiczki i beztrósco rozrzucali rzeczy, sięgając wszędzie brudnymi rękami, przeszukując torby. Jeden z

"kontrolerów", przy akompaniamencie śmiechów i gwizdów, podniósł delikatną bieliznę i koszulę nocną. Staruchy zaczęły wydawać pełne potępienia pomruki. Jedna z nich wyciągnęła rękę i dotknęła włosów Azadeh. Azadeh chciała się cofnąć, ale napierające z tyłu baby uniemożliwiły ten manewr. Erikki rzucił się natychmiast na pomoc, nie mógł jednak odsunąć całego tłumy; kobiety stojące bliżej, prawie zgniecione, krzyknęły, rozwścieczając tym inne, które zaczęły silniej napierać i wydzierać się na Erikkiego.

Erikki zdał sobie nagle sprawę z tego, że po raz pierwszy nie może obronić Azadeh. Wiedział, że zabiłby

331

kilkunastu napastników przed własną śmiercią, ale to by Azadeh nie ochroniło.

Był wstrząśnięty tym odkryciem.

Poczuł, że nogi się pod nim uginają; ogarnęło go pragnienie oddania moczu, a odór własnego strachu był paraliżujący. Z trudem panował nad sobą. Wpatrywał się tępo w napastników.

Mężczyźni wywlekali kanistry z benzyną, bez której nie można było dojechać do Teheranu, gdyż wszystkie stacje benzynowe były zamknięte. Próbował zmusić swe nogi do ruchu, ale były bezwładne. Usta też. Nagle jedna ze staruch krzyknęła na Azadeh, która drętwo skinęła głową. Mężczyźni też zaczęli krzyczeć; popychali jego i Azadeh; ich odór atakował nozdrza Erikkiego, a słowa, wypowiedane w farsy, uszy.

Nadal obejmował żonę ramieniem; gdy spojrzała w górę, ujrzał przerażenie w jej oczach, lecz nie dosłyszał jej słów. Jeszcze raz spróbował wywalczyć trochę wolnej przestrzeni i jeszcze raz poniósł klęskę. Desperacko próbował opanować klaustrofobiczną, podszytą paniką wściekłość; ogarniała go żądza walki, lecz wiedział, że jeśli jej ulegnie, Azadeh zginie. Nie mógł się jednak powstrzymać, uderzył łokciem na ślepo. Gruba wieśniaczka o rozwścieczonym spojrzeniu przepchnęła się bliżej i zarzuciła czador na piersi Azadeh, wypływając potok słów w farsy, co odwróciło uwagę od leżącego na ziemi mężczyzny, któremu cios Erikkiego zmiażdżył żebra. Tłum krzyczał na nią i na niego; było jasne, że chodzi o czador.

- Nie, nie, zostawcie mnie... - wołała zupełnie zdezorientowana Azadeh.

Nigdy jeszcze tak się nie bała, nigdy nie była w takim tłumie, nigdy nie doświadczyła takiej wrogości.

- Włóż to, nierządnicco...

- W imię Boga, włóż czador...

- Nie w imię Boga, kobieto, w imieniu ludu...

- Bóg jest wielki, bądź mu posłuszna...

156

- Szczaj na Boga w imieniu rewolucji...

- Zakryj włosy, kurwo...

332

- Słuchaj proroka, oby jego imię było błogosławione...

Zgiełk narastał. Tłum deptał po leżącym na ziemi mężczyźnie. Ktoś szarpnął rękę Erikkiego, którą ten obejmował Azadeh. Azadeh poczuła, że jego druga ręka sięga po duży nóż i krzyknęła:

- Nie, Erikki, oni cię zabiją!

W przerażeniu odepchnęła wieśniaczkę i szybko włożyła czador, powtarzając raz za razem: Allahu Akbarr. Uspokoilo to nieco stojących bliżej, choć ludzie z tyłu napierali, chcąc lepiej widzieć, i przyciskali tych bliższych do rangę rovera. W całym tym zamieszaniu Erikki i Azadeh wywalczyli sobie trochę miejsca, choć nadal ze wszystkich stron otaczał ich tłum.

Azadeh nie patrzyła na męża; trzymała się go tylko mocno i drżała jak zmarznięty piesek, spowita w szorstki całun. Wybuchy śmiechu towarzyszyły gestom mężczyzny, który przyłożył sobie do piersi stanik Azadeh i obracał się na wszystkie strony, żeby to zademonstrować.

Trwało to jeszcze przez pewien czas, aż nagle Erikki poczuł, że dzieje się coś nowego.

Przysadzisty mężczyzna i jego towarzysze zatrzymali się i zaczęli spoglądać w kierunku Kazwinu. Erikki zauważył, że napastnicy stopniowo wmieszali się w tłum; w ten sposób zniknęli w ciągu kilku sekund. Inni wsiadali do samochodów i szybko odjeżdżali. Teraz mieszkańcy wioski także patrzyli w kierunku miasta; cały tłum zamarł. Droga, omijając stłoczone pojazdy, nadciągał inny tłum. Składał się z mężczyzn, na czele kroczyli muł-łowcie.

Niektórzy mułłowcie, podobnie jak wielu nadchodzących, mieli broń. Krzyczeli: Allahu Akbar oraz "Bóg i Chomeini!" Puścili się biegiem, atakując zaporę drogową.

Padło kilka strzałów, na które odpowiedziano strzałami z zapory. Obie strony starły się ze sobą, używając kijów, kamieni, stalowych prętów i broni palnej. Wieśniacy pobiegli szukać schronienia w swych domach; kierowcy i pasażerowie powyskakiwali z samochodów, schowali się w rowie lub położyli na łąc"e.

333

Krzyki, strzały i cały zgiełk tej potyczki otrzeźwiły Yokkonena. Popchnął Azadeh w kierunku samochodu, zbierając po drodze rozrzucone rzeczy, wrzucił je do samochodu i zatrzęsął

tylne drzwi. Pół tuzina wieśniaków także się rzuciło, żeby coś sobie zabrać. Odegnal ich gestem, wskoczył za kierownicę, zapalił silnik, cofnął nieco samochód, a potem popędził łąką równoległe do drogi. Ujrzał raptem przysadzistego mężczyznę i trzech jego ludzi. Wsiadali do samochodu, a Erikki zastanowił się, czy nie zatrzymać auta i nie odebrać dokumentów.

Odrzucił tę myśl i skierował samochód ku drzewom rosnącym przy drodze. W tym momencie przysadzisty mężczyzna zdjął z ramienia pistolet maszynowy, wycelował i otworzył ogień.

Mierzył zbyt wysoko. Erikki wściekle szarpnął kierownicą, wcisnął gaz i zaatakował.

Masywny zderzak rangę rovera uderzył w strzelającego i wgniół go w jego własny samochód, miażdżąc i jego, i pojazd. Pistolet maszynowy strzelał aż do opróżnienia magazynka; pociski waliły w metal, gruchotały przednią szybę. Rangę rover zmienił się w taran. W bojowym szale Erikki cofnął wóz i zaatakował powtórnie. Przewrócił wrak samochodu i zabijał mężczyzn. Chciał wyskoczyć i rozprawić się z wrogami gołymi rękami, ale zobaczył we wstecznym lusterku nadbiegających ludzi. Zawrócił i odjechał.

Rangę rover świetnie radził sobie w takim terenie; opony śniegowe trzymały się mocno nierównego gruntu. Już po chwili wjechali bezpiecznie między drzewa. Erikki zredukował

bieg, zamknął oba dyferencjały i pokonał głęboki rów, przerywając drut kolczasty dzielący łąkę od drogi. Na drodze otworzył dyferencjały, wrzucił wyższy bieg i ruszył jak burza.

Dopiero gdy byli już daleko, fala krwi odpłynęła mu sprzed oczu. Przypomnił sobie pociski uderzające w samochód i to, że była z nim Azadeh. Obejrzał się przerażony, jego żonie 157

jednak nic się nie stało; była tylko jak sparaliżowana ze strachu. Opadła głęboko na siedzeniu i oburącz ścisnęła boczną poręcz. Nad nią, w szybie i dachu, widniały otwory przebite przez pociski. Erikki

334

z trudem poznawał Azadeh; jej twarz otoczona czado-rem wyglądała brzydko jak dziesiątki tysięcy irańskich twarzy, które widział w tłumach.

- Och, Azadeh - westchnął.

Przyciągnął ją do siebie ramieniem, prowadząc jedną ręką. Po chwili zwolnił i zjechał na bok.

Mocno tulił do siebie łkającą żonę. Nie zauważył, że wskaźnik paliwa opadł niemal do końca, nie widział gniewnych spojrzeń, rzucanych z przejeżdżających samochodów ani tego, że w wielu pojazdach siedzieli rewolucjoniści uciekający od zapory drogowej w kierunku Teheranu.

W ZAGROSIE TRZY, 15:18. Czterej mężczyźni leżeli na sankach pędzących w dół

wyrastającego za bazą zbrocza. Scot Gavallan lekko prowadził przed Jean-Lu-kiem Sessonne'em, za którym jechał Nasiri, kierownik ich bazy. Niczak-chan włókł się w ogonie, jakieś dwadzieścia metrów dalej. Zawody Iran - reszta świata zorganizował Jean-Luc; wszyscy czterej mężczyźni usiłowali zwiększyć szybkość. Warstwę starego, ubitego śniegu pokrywał nowy, miękki puch. Zawodnicy wraz z Ro-driguesem i jednym z mieszkańców wioski, którzy mieli sędziować, wspięli się na szczyt zbrocza. Nagrodą dla zwycięzcy było 5000 riali - około 60 dolarów - i jedna z należących do Locharta butelek whisky.

- Tom nie będzie miał nic przeciwko temu - uroczyście oświadczył Jean-Luc. - Ma dodatkowy urlop i korzysta z uciech Teheranu, podczas gdy my musieliśmy 336

zostać w bazie! Teraz ja tu dowodzę. Rozkazuję przeznaczyć tę butelkę na chwałę Francji, dla dobra

moich oddziałów i naszych władców, Jazdek Kaszkajów - dodał przy akompaniamencie okrzyków aplauzu.

Popołudnie było piękne, słoneczne. Tutaj, na wysokości dwóch tysięcy dwustu metrów, powietrze było przejrzyste, niebo bezchmurne, w głębokim odcieniu błękitu. W nocy śnieg przestał padać po raz pierwszy od chwili, gdy trzy dni wcześniej Lochart wyjechał do Teheranu. Teraz cała baza i kotlina wyglądały jak kraina z bajki - z sosnami, śniegiem i szczytami sięgającymi czterech tysięcy metrów. Warstwa świeżego puchu miała około pięćdziesięciu centymetrów grubości.

Gdy zawodnicy zjechali niżej, dotarli do bardziej stromej części stoku; od czasu do czasu podskakiwali na muldach. Nabierali większej szybkości, ginąc momentami w chmurze śnieżnego pyłu; byli upojeni pędem, o władnięci wolą zwycięstwa.

Przed nimi wyłoniły się kępy sosen. Scot zręcznie przyhamował czubkami butów narciarskich i zatoczył zgrabny łuk, omijając na jednej płozie drzewa. Wjechał na ostatnią prostą i popędził w dół, w kierunku linii mety, gdzie czekali kibice: pozostali ludzie z bazy i wioski.

Nasiri i Jean-Luc przyhamowali sekundę później, okrążyli drzewa szybciej od niego i wyrównali w kaskadzie śniegu; całą trójkę dzieliły teraz od siebie już tylko centymetry.

Niczak-chan nie hamował; nie zmienił też kierunku jazdy. Po raz setny polecił się Bogu, zamknął oczy i wjechał prosto w kępę sosen. In sza a Allah! Bezpiecznie minął pierwszą sosnę w odległości trzydziestu centymetrów, następną o piętnaście. Otworzył oczy akurat na czas, żeby uniknąć o milimetry czołowego zderzenia; zwiększając szybkość, przeorał tuzin młodych drzewek, nagle wzleciał w powietrze na jakimś wyboju, w cudowny sposób przelatując nad pniem zwalonego drzewa; lądując sanki gruchnęły o ziemię z siłą, która wycisnęła mu powietrze z płuc. Z trudem utrzymał

równowagę i wypadł z zagajnika, jadąc prędzej

337

niż inni, równiej niż inni i o dziesięć metrów przed innymi. Kibice wyli z zachwytu.

158

Czterej zawodnicy pędzili teraz w jednej grupie, przytulając się do sanek, żeby jak najbardziej zmniejszyć opór powietrza, a przez to zwiększyć szybkość. Scot, Nasiri i Jean-Luc zblizali się coraz bardziej do Ni-czak-chana. Pojawiło się więcej muld; zawodnicy musieli trzymać się mocniej sanek. Jeszcze dwieście metrów, sto... - Mężczyźni z bazy i wioski wiwatowali... -

Osiemdziesiąt, siedemdziesiąt, sześćdziesiąt, pięćdziesiąt i...

Ogromna mulda była dobrze ukryta. Pierwszy wyleciał w powietrze Niczak-chan; silny powiew wiatru zmienił tor jego lotu. Za nim, równie bezradni, Scot i Jean-Luc poszybowali bezwładnie w górę. Wszyscy trzej wylądowali w chmurze pyłu śnieżnego płozami do góry.

Nasiri walczył desperacko, próbując ominąć i ich, i muldę; gwałtownie skręcił, spadł z sanek, potoczył się w dół, aby ciężko dysząc zatrzymać się przed współzawodnikami.

Niczak-chan usiadł i otarł śnieg z twarzy i brody.

- Bogu niech będą dzięki - mruknął, zdziwiony, że nie złamał ani ręki, ani nogi.

Spojrzał na innych. Scot ryczał ze śmiechu, a Jean--Luc, któremu także nic się nie stało, leżał na plecach, wyrzucając z siebie wiązanki francuskich inwektyw. Nasiri wylądował w zaspie, głową do przodu: Scot, zanosząc się śmiechem, podszedł, żeby mu pomóc. On też był tylko trochę potłuczony.

- Hej, wy tam, na górze! - krzyknął jeden z kibiców. Był to Effer Jordon. - Co z tym cholernym wysiłkiem? Przecież jeszcze się nie zakończył?!

- Scot, Jean-Luc, dalej, na Boga!

Scot zapomniał o Nasirim i pieszo popędził w kierunku mety odległej o pięćdziesiąt metrów.

Pośliznął się i upadł w głęboką zaspę, wygramolił się z niej i pośliznął po raz drugi. Jean-Luc puścił się za nim w pogoń; Nasiri i Niczak-chan deptali mu po piętach. Okrzyki kibiców rozbrzmiały z podwójną mocą, gdy zawodnicy brnęli przez śnieg, padali, gramolili się, wstawali i padali

338

znowu, zapominając o bólu wywołanym stłuczeniami. Scot nadal lekko prowadził, następny biegł Niczak-chan, za nim Jean-Luc, na końcu Nasiri. Mechanik Fowler Joines, czerwony na twarzy, przynaglał ich do jeszcze większego wysiłku. Mieszkańcy wioski ogarnięci byli nie mniejszym podnieceniem.

Jeszcze dziesięć metrów. Stary chan wysunął się o metr do przodu, potknął i upadł na twarz.

Scot objął prowadzenie. Nasiri biegł tuż za nim, dalej Jean-Luc, dosłownie o centymetry z tyłu. Wszyscy dyszeli ciężko, zataczali się, z trudem wyciągali buty z głębokiego śniegu.

Kibice krzyknęli^ gdy kalendar na ostatnich metrach zaczął wysuwać się do przodu. Jean-Luc i Scot dali ostatniego, desperackiego nura w kierunku linii mety. Wszyscy zawodnicy zwalili się razem na mecie przy akompaniamencie oszalałego ryku kibiców obu stron.

- Wygrał Scot...

- Nie, Jean-Luc...

- Nie, stary Niczak...

Jean-Luc, gdy już złapał oddech, orzekł:

- Ponieważ brakuje w tej kwestii jasności i nawet nasz wielebny mułła nie jest pewien, ja, Jean-Luc, ogłaszam, że Niczak-chan wygrał o długość nosa. - Rozległy się brawa, które rozbrzmiały powtórnie, gdy Francuz dodał: - Pozostali zawodnicy walczyli tak dzielnie, że nagradzam ich drugą butelką whisky z zapasów Toma. Rozkazuję, aby wszyscy cudzoziemcy wypili ją o zachodzie słońca!

Wszyscy wymienili uściski dłoni. Niczak-chan zgodził się na rewanż w przyszłym miesiącu.

Ponieważ przestrzegał ściśle zakazów Koranu, po zażartych targach sprzedał wygraną whisky Jean-Lucowi, za pół ceny. Ponownie rozległy się oklaski, a potem ktoś ostrzegawczo krzyknął.

Na północy, wysoko w górach, czerwona rakietka sygnalizacyjna opadała w dolinę.

Zapanowała cisza. Rakietka zgasła. Po niej wystrzelono następną: SOS. Pilne.

159

339

CASEVAC - powiedział Jean-Luc, wpatrując się w dal. - To muszą być Wiercenia Rosa albo Wiercenia Bellissima.

- Lecę - oświadczył Scot Gavallan.

- Polecę z tobą - zaproponował Jean-Luc. - Weźmiemy 212 i załatwimy przy okazji lot próbny.

Po kilku minutach byli już w powietrzu. Wiercenia Rosa dostali w spadku po Guerneju.

Bellissima należała do nich od dawna. Wszystkie jedenaście urządzeń wiertniczych w okolicy wybudowała dla IranOil włoska spółka; ich łączność radiowa z Zagrosem Trzy często zawodziła z powodu gór i efektu rozpraszającego. Wtedy posługiwano się raketami sygnalizacyjnymi.

Helikopter 212 wznosił się ze stałą prędkością, przekraczając wysokość trzech tysięcy metrów; ośnieżone doliny błyszczały w słońcu. Maksymalna operacyjna wysokość wynosiła dla ich śmigłowca pięć tysięcy i zależała od ładunku. Teraz Wiercenia Rosa wyłaniały się przed nimi na polanie, pośrodku płaskiego wzniesienia położonego na wysokości trzech tysięcy czterystu czterdziestu metrów. Tylko kilka mieszkalnych kontenerów i szopy rozrzucone bezładnie wokół wysokiej wieży wiertniczej. I lądowisko śmigłowców.

- Wiercenia Rosa, tu Jean-Luc. Słyszycie mnie? - Cierpliwie czekał na odpowiedź.

- Czysto i wyraźnie, Jean-Luc! - rozległ się zadowolony głos Mimma Sery, "człowieka spółki", inżyniera odpowiadającego za wszystkie operacje. - Co masz dla nas?

- Niente, Mimmo! Widzieliśmy czerwoną raketę i teraz sprawdzamy.

- Madonna, CASEVAC? To nie u nas! - Scott przerwał natychmiast podchodzenie do lądowania, zakręcił w przechyle i skierował maszynę ku wyższej partii gór. - Bellissima?

- Zaraz sprawdzimy.

- Dajcie nam znać, dobrze? Nie mieliśmy łączności od czasu burzy. Jakie są najnowsze wiadomości?

340

- Ostatnie sprzed dwóch dni: BBC podało, że Nieśmiertelni stłumili w Doszan Tappeh rebelię kadetów lotnictwa i cywilów. Nie mieliśmy łączności z naszą Kwaterą Główną w Teheranie ani z nikim innym. Zawiadomię cię przez radio, gdy uda się nam nawiązać łączność.

- Właśnie, to radio! Jean-Luc, będziemy potrzebowali następnych dwunastu odcinków piętnastocentymet-rowej rury. I cement, jak zwykle. Od jutra. Dobrze?

- Bień sur! - Jean-Luc był zachwycony tym dodatkowym zajęciem i możliwością wykazania, że są lepsi niż Guerney. - Jak leci?

- Doszliśmy do głębokości dwóch tysięcy czterystu metrów. Wygląda na to, że znaleźliśmy tutaj następną bonanzę. Jeśli się da, to chciałbym w przyszły poniedziałek przeprowadzić studnię. Czy możesz zamówić dla mnie Schlumbergera?

Chodziło o światową firmę, wytwórcę i dostawcę urządzeń wpuszczanych do odwiertów, pobierających próbki i dokonujących bardzo precyzyjnych elektronicznych pomiarów właściwości roponośnych oraz jakości różnych warstw geologicznych. Firma produkowała też przyrządy do prowadzenia wiertel, do wydobywania na powierzchnię wiertel złamanych oraz do zrywania za pomocą eksplozji stalowych kapsuł nakładanych na wiertła, co umożliwiałało wypływ ropy. Zapewniała też pomoc ekspertów. Była bardzo droga, lecz absolutnie niezbędna. "Przeprowadzenie studni" było ostatnią czynnością przed zacementowaniem stalowej kapsuły i spowodowaniem wypływu.

- Wykombinujemy to na pewno i dostarczymy w poniedziałek. Chomeini nam w tym nie przeszkodzi!

- Mamma mia, powiedz Nasiriemu, że musimy to mieć!

Odbiór nagle się pogorszył.

160

- Nie ma problemu. Wywołam cię wracając. - Jean-Luc spojrział przed siebie. Przelatywali właśnie nad granią, nadal zwiększając wysokość. Silnik pracował z wysiłkiem. - Merde, jestem głodny - rzucił Jean-Luc

341

i wyprostował się w fotelu. - Czuję się jak po masażu młotem pneumatycznym, ale wyścig był wspaniały!

- Wiesz, Jean-Luc, przekroczyłeś linię mety sekundę przed Niczak-chanem. Na pewno.

- Oczywiście, ale my, Francuzi, jesteśmy wielkoduszni, dyplomatycznie i bardzo praktyczni.

Wiedziałem, że odsprzeda nam naszą whisky za pół ceny; gdyby uznano, że przegrał, kosztowałyby to nas fortunę. - Jean-Luc rozpromienił się. - Ale gdyby nie ta mulda, nie zawahałbym się. Wygrałbym łatwo.

Scot uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. Wprawdzie oddychał bez trudu, ale czuł, że oddycha. Zgodnie z przepisami, na wysokości od trzech tysięcy sześciuset metrów piloci powinni używać masek tlenowych, jeśli mieli tam pozostać przez ponad pół godziny. Nie mieli masek. Jak dotąd, żaden z pilotów nie odczuwał z tego powodu dolegliwości poza lekkim bólem głowy, choć aklimatyzacja trwała około tygodnia. Trudniej było wiertaczom w Bellissimie.

Piloci przebywali zwykle w Bellissimie bardzo krótko; tyle, ile trwało wyładowanie lub załadowanie do maksymalnego ciężaru 4000 funtów. Rury, pompy, diesel, kołowroty, generatory, chemikalia, żywność, kontenery, zbiorniki, ludzie czy błoto, to znaczy płyn, który wpompowywano do odwiertu, aby usunąć zanieczyszczenia, utrzymywać wiertło w wilgoci i zatamować wypływ ropy lub gazu. Bez tego głębokie wiercenia nie byłyby możliwe. Potem odjazd, bez obciążenia lub z pełnym ładunkiem ludzi oraz sprzętu do naprawienia albo wymiany.

Jesteśmy tylko zarozumiałą ciężarówką dostawczą, myślał Scot, przebiegając wzrokiem niebo, instrumenty pokładowe i góry. Tak. A jednak wspaniale jest latać. Drzewa skończyły się już dawno, zbliżali się do turni. Maszyna wznosiła się ponad ostatnią grań; widzieli już miejsce wierceń.

- Bellissima, tu Jean-Luc. Słyszycie mnie?

Bellissima leżała najwyżej: dokładnie trzy tysiące siedemset trzydzieści pięć metrów nad poziomem morza.

342

Baza przycupnęła na skalnym występie pod samym szczytem. Z drugiej strony góra opadała niemal pionowo do leżącej o dwa tysiące metrów niżej doliny, szerokiej na szesnaście kilometrów, długiej na pięćdziesiąt - ogromnej rany przecinającej powierzchnię ziemi.

- Bellissima, tu Jean-Luc. Słyszycie mnie?

Nadal nie było odpowiedzi. Jean-Luc zmienił kanał.

- Zagros Trzy, słyszycie mnie?

- Głośno i wyraźnie, kapitanie - odezwał się natychmiast Aliwari, irański radiotelegrafista bazy. - Jest ze mną ekscelencja Nasiri.

- Pozostańcie na tej częstotliwości. Wezwanie CA-SEVAC nadeszło z Bellissimy, ale nie mamy z nimi kontaktu radiowego. Schodzimy do lądowania.

- Zrozumiałem. Zostaję na nasłuchu.

Jak zwykle w Bellissimie, Scot odczuwał niemal zabobonny lęk wobec ogromu konwulsji ziemi, która stworzyła dolinę. Poza tym, jak wszyscy inni, zadumał się nad tym, ile trzeba było mieć szczęścia i pieniędzy, ile włożyć pracy w to, by znaleźć roponośne pole, wybrać odpowiednie miejsce, wybudować wieżę, a potem dokonywać wierceń na głębokość tysięcy metrów, tak żeby się to opłacało. Opłacało się jednak, i to bardzo, podobnie jak na całym terenie leżącym nad ogromnymi pokładami ropy i gazu, uwięzionymi w niecce z wapnia na głębokości od dwóch tysięcy dwustu do trzech tysięcy metrów pod powierzchnią. A potem...

161

następna wielka inwestycja i ogromne ryzyko, aby doprowadzić ropę z tego pola do rurociągu biegnącego przez góry Zagros i łączącego rafinerie w Isfahanie w środku Iranu z rafineriami w Abadanie nad zatoką - następnego nadzwyczajnego wyczynu inżynierskiego starej Anglo-Irańskiej Kompanii Naftowej, teraz znacjonalizowanej i nazwanej IranOil. "Skradzionej, Scot. "Skradziona", to właściwe słowo", wielokrotnie powtarzał mu ojciec.

Scot Gavallan uśmiechnął się do siebie, myśląc o ojcu. Na szczęście mam go, pomyślał.

Nadal brakuje mi matki, ale to dobrze, że umarła. Dla uroczej, aktywnej kobiety byłoby to straszne: przykuta do wózka, spara-343

lizowana, a umysł sprawny do samego końca; najlepsza matka, jaką można mieć. Parszywe szczęście ta jej śmierć, zwłaszcza dla ojca. Ale to dobrze, że ożenił się po raz drugi. Maureen jest świetna, tata też, a ja mam bombowe życie i różową przyszłość: dużo latania, dużo ptaków, a za parę lat ożenię się. Co z Tess? Serce zabiło mu mocniej. Tylko ten jej cholerny wuj, Linbar, ale przecież nie będę miał z nim wiele do czynienia, choć to jego ulubiona bratanica. Zresztą ona ma dopiero osiemnaście lat. Jest jeszcze dużo czasu...

- Jak chcesz lądować, mon vieux! - Usłyszał w słuchawkach.

- Od zachodu - odparł, wracając do rzeczywistości.

- Dobra. - Jean-Luc wyteńczył wzrok. Żadnego znaku życia. Teren niemal zasypany śniegiem.

Czyste było tylko lądowisko. Z mieszkalnych kontenerów wydobywały się smużki dymu. - O, tam!

Zobaczyli małą figurkę opatulonego człowieka. Stał koło lądowiska i wymachiwał rękami.

- Kto to?

- Chyba Pietro. - Scot skupił się na lądowaniu.

Na tej wysokości oraz z powodu usytuowania występu skalnego często występowały nagle podmuchy, turbulencje i zawirowania; nie można było pozwolić sobie na żaden błąd.

Podchodził nad przepaścią, podmuchy wiatru kołysały śmigłowcem. Wyrównał maszynę, wprowadził ją nad twardy grunt i posadził na ziemi.

- Dobra. - Jean-Luc znowu zwrócił uwagę na opatulonego ciepło człowieka, w którym rozpoznał Pietra Fieriego, następnego w hierarchii po "człowieku spółki". Piloci zobaczyli, że przeciąga on ręką w poprzek gardła - znak, że można wyłączyć silnik. Oznaczało to, że CASEVAC nie wymaga natychmiastowego startu. Jean-Luc przywołał Fieriego, i otworzył

okno. - Co się dzieje, Pietro? - krzyknął, aby porozumieć się mimo hałasu silnika.

- Guineppa jest chory - odkrzyknął Pietro. Mario Guineppa był człowiekiem ze spółki. Fieri uderzył się

344

w lewą stronę klatki piersiowej. - Myślimy, że to może być serce. Ale to nie wszystko.

Spójrzcie tam!

Wskazał w górę. Jean-Luc i Scot wychylili się, żeby lepiej widzieć, ale i tak nie zorientowali się, co niepokoi ich rozmówcę.

Jean-Luc odpiął pasy i wysiadł. Poczł lodowate zimno; oczy zaczęły mu łzawić w podmuchu wiatru, wywołanego obrotami śmigła; ciemne okulary nie chroniły ich dostatecznie. Potem zobaczył to, co miał zobaczyć, i poczul skurcz żołądka. Kilkadziesiąt metrów wyżej, prawie dokładnie nad obozem, pod samym szczytem, piętrzył się ogromny nawis śnieżny przetkany bryłami lodu.

- Madonna!

- Jeśli to się oberwie, lawina zmiecie nas razem z wszystkimi gratami do doliny. - Twarz Pietra posiniała z zimna. Był zwalistym i bardzo silnym mężczyzną, miał siwą brodę, oczy brązowe i bystre, teraz przymrużone z powodu wiatru. - Guineppa chce z tobą pogadać.

Chodźmy do jego kontenera.

- A to? - Jean-Luc wskazał kciukiem nawis.

162

- Jak polecą, to polecą - odparł ze śmiechem Pietro. Białe zęby tworzyły ostry kontrast z zabrudzoną olejem parką. - Chodź! - Wycofał się spod rotora i ruszył mozolnie przed siebie. -

No, chodź!

Jean-Luc niespokojnie zmierzył wzrokiem nawis. Może się utrzymać przez kilka tygodni albo spaść zaraz, w każdej chwili. Ponad szczytem niebo było nieskazitelnie błękitne, ale popołudniowe słońce nie grzało.

- Zostań tu, Scot. Trzymaj go na wolnych obrotach - zawołał, a potem ruszył niezgrabnie śladami Pietra przez głęboki śnieg.

W dwupokojowym kontenerze Maria Guineppa było ciepło i panował nieporządek. Po całym biurze, służącym także jako salonik, walały się grube rękawice, zabrudzone olejem ubrania i elementy osobistego wyposażenia wiertaczy. Na ścianach wisiały mapy, a na kołkach ciężkie, gumowe kapelusze. Gospodarz leżał na łóżku w sypialni. Był ubrany, nie miał tylko butów.

345

Duży, wysoki mężczyzna w wieku czterdziestu pięciu lat, z imponującym nosem. Zwykle miał rumianą, wysmaganą wiatrem twarz, lecz teraz był blady, a jego wargi przybrały niezdrowy, sinawy odcień. Siedział z nim Enrico Banastasio, szef innej zmiany, mały, ciemny mężczyzna o pociągłej twarzy z czarnymi oczami.

- Jean-Luc! Miło cię widzieć - powiedział Guineppa zmęczonym głosem.

- I ciebie, mon ami. - Jean-Luc był bardzo zaniepokojony. Rozpiął zamek kurtki lotniczej i usiadł przy łóżku. Guineppa dowodził w Bellissimie od dwóch lat - dwanaście godzin na dobę, dwa miesiące na miejscu i dwa urlopu. Wykonał trzy odwierty; pozostało miejsce jeszcze na cztery. - Szpital w Szirazie czeka na ciebie.

- To nie takie ważne. Najpierw nawis. Jean-Luc, ja...

- Ewakuujemy się i zostawimy to stronzo w rękach Boga - wtrącił Banastasio.

- Mamma mia, Enrico - przerwał mu poirytowany Guineppa. - Powtarzam, że możemy odwalić za Pana Boga tę robotę, jeśli tylko pomoże nam Jean-Luc. Pietro się zgadza. Prawda, Pietro?

- Tak - odparł stojący w drzwiach Pietro, trzymając w ustach wykałaczkę. - Jean-Luc, wychowałem się w Aoście, we włoskich Alpach. Znam góry i lawiny, i...

- Si, e vos fijamete. Tak, i jesteś szalony - rzucił sucho Banastasio.

- In vos alimente. Pocałuj mnie w dupę. - Pi

etro niedbale wykonał wulgarny gest. -

Przy twojej pomocy, Jean-Luc, łatwo będzie przesunąć to stronzo.

- Czego ode mnie oczekujecie? - zapytał Francuz. Odpowiedział mu Guineppa:

- Zabierz Pietro nad szczyt, tam, gdzie ci pokaże, ód północnego zbocza. On zrzuci laskę dynamitu, a to odlawinuje od nas niebezpieczeństwo.

Pietro rozpromienił się.

- Właśnie tak; nawis po prostu zniknie. Banastasio zrobił się jeszcze bardziej zły; słyhać było wyraźnie jego amerykański akcent:

346

- Mówię ci, do cholery, jeszcze raz, że to jest zbyt ryzykowne. Najpierw musimy się ewakuować. Potem, skoro się upierasz, będziesz mógł spróbować tego swojego dynamitu.

Twarz Guineppy ściągnął ból; chory złapał się ręką za serce.

- Jeśli się ewakuujemy, będziemy musieli wszystko pozamykać...

- No, to co? Po prostu pozamykamy. I co z tego? Jeśli nie dbasz o własne życie, pomyśl przynajmniej o innych. Powiedziałem, że ewakuujemy się pronto. Dynamit potem. Jean-Luc, czy tak będzie bezpieczniej?

- Oczywiście - odparł ostrożnie Jean-Luc. Nie chciał denerwować chorego. - Pietro, mówisz, że znasz się na lawinach. Jak długo to się utrzyma?

163

- Tak na moje wyczucie, urwie się niedługo. Bardzo niedługo. Poniżej widać pęknięcia.

Może jutro, może już dziś wieczorem. Wiem, gdzie uderzyć. Potem będzie już bezpiecznie. -

Pietro spojrzał na Banastasio.

- Mogę to zrobić niezależnie od tego, co myśli ten stronzo.

Banastasio wstał.

- Jean-Luc, zabieraj Pietra w powietrze. Teraz.

- Najpierw ewakuujemy wszystkich do Rig Rosa. Ciebie pierwszego - oznajmił energicznie Jean-Luc.

- Potem dynamit. Jeśli cała ta operacja się uda, wrócisz do pracy, a jeśli nie, to na pewno przydasz się tymczasem na Wierceniach Rosa.

- Nie najpierw. Potem... Zresztą ewakuacja nie jest potrzebna.

Jean-Luc słuchał nieuważnie. Obliczał w myślach, ilu ludzi trzeba będzie wywieźć. W każdej z dwóch zmian było dziewięciu: kierownik zmiany, pomocnik, człowiek badający "błoto" i podejmujący decyzje co do jego składu chemicznego i wagi, wiertacz, mechanik odpowiedzialny za wszystkie kołowroty, pompy i tak dalej oraz czterech robotników, którzy łączyli i rozłączali elementy rur i wiertel.

- Macie siedmiu irańskich kucharzy i robotników?
- Tak, ale naprawdę ewakuacja nie jest potrzebna - powtórzył Guineppa ze zmęczeniem w głosie.
- Bezpieczniej, mon vieux. - Jean-Luc zwrócił się do Pietra: - Powiedz wszystkim, żeby się przygotowali. Niech nie zabierają ze sobą ciężkich rzeczy.

Pietro spojrzał na Guineppę.

- Tak czy nie?

Guineppa niechętnie skinął głową. Był już zmęczony.

- Zapytaj, czy ktoś chce zostać na ochotnika. Jeśli nie, zamykamy interes.

Pietro był najwyraźniej rozczarowany. Wyszedł, nadal dłubiąc w zębach wykałaczką.

Guineppa ułożył się wygodniej na łóżku polowym i zaczął kłąć. Wyglądał jeszcze gorzej niż na początku rozmowy.

- Będzie lepiej, jeśli się ewakuujecie, Mario - powiedział cicho Jean-Luc.
- Pietro jest mądry i sprytny, ale ten porco miserio Banastasio... Z tym zasańcem zawsze są kłopoty. Radio też jest rozbite przez niego. Wiem to na pewno!
- Co takiego?!
- Rozbiło się na jego zmianie. Potrzebujemy nowego. Macie jakieś zapasowe?
- Nie, ale spróbuję coś wykombinować. Może to wasze da się naprawić? Któryś z naszych mechaników mógłby...

- Banastasio powiedział, że pośliznął się i upadł na nadajnik, ale ja słyszałem, jak rąbnął go młotkiem, gdy przestał działać... Mamma miał

Guineppa drgnął, chwycił się za serce i znowu zaczął przeklinać.

- Od kiedy masz te bóle?
- Od dwóch dni. Dzisiaj było najgorzej. Ten stronzo Banastasio! - mruzczał Guineppa. - Ale czego innego można się było po nim spodziewać? To u niego rodzinne. Ech! Jego rodzina jest na wpół amerykańska. Słyszałem, że oni tam, po drugiej stronie oceanu, mają powiązania z mafią.

Jean-Luc uśmiechnął się do siebie z niedowierzaniem. Ledwie słuchał całej tej tyrady.

Wiedział, że ci dwaj nienawidzili się nawzajem. Guineppa, portugał-sko-rzymski patrycjusz, i Banastasio, włosko-amerykań-ski wieśniak. Nie ma w tym nic dziwnego, myślał Jean-Luc.

Siedzą tu razem, skazani na swe towarzystwo, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu; nieważne, jak wiele im płacą.

164

Ach, płace! Przydałyby mi się ich pensje! Dlaczego najmniej wykwalifikowany robotnik dostaje tu więcej za tydzień niż ja za miesiąc? Mizerna 1200 funtów miesięcznie dla mnie, starszego kapitana i szkoleniowca, który wylatał cztery tysiące osiemset godzin! Nawet z tymi żalnymi 500 funtami za pracę za granicą nie wystarczy na dzieci, chesne, żonę, hipotekę i te pieprzone podatki... nie mówiąc już o dobrym jedzeniu, winie i mojej ukochanej Sajadzie.

Ach, Sajado, jak ja za tobą tęsknię!

Co do Locharta...

Gównu! Tom Lochart mógł mnie ze sobą zabrać. Mogłem być teraz w Teheranie, w jej ramionach! Mój Boże, jak ja jej potrzebuję. I pieniędzy. Pieniądze! Niech jaja wszystkich poborców podatkowych spadną na ziemię i niech im fiuty poodpadają! Niech zresztą będzie, jak jest. Co się stanie, jeśli cały ten Iran spłynie rurą kanalizacyjną? Mogę się założyć, że S-G

tego nie przeżyje. Trudno. Dla takiego pilota jak ja zawsze znajdzie się gdzieś jakaś praca.

Spostrzegł, że Guineppa patrzy na niego.

- Tak, mon vieux!

- Polecę z ostatnim ładunkiem.

- Lepiej polec z pierwszym. W Rosa jest felczer.

- Czuję się dobrze. Słowo.

Jean-Luc usłyszał, że go wołają. Włożył parkę.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Chory uśmiechnął się ze znużeniem.

- Zabierz tylko Pietra z dynamitem.

- Zrobię to, ale na końcu. Jeśli będziemy mieli szczęście, to jeszcze przed zmrokiem. Nie martw się.

349

Na zewnątrz znowu uderzyła go fala zimna. Pietro czekał. Mężczyźni stali już koło helikoptera, którego silnik pracował na wolnych obrotach. Mieli torby i worki różnych rozmiarów. Nadszedł

Banastasio; prowadził dużego owczarka niemieckiego.

- Mieliśmy nie zabierać ciężkich rzeczy - zwrócił się do niego Pietro.

- Nie zabieram - odparł cierpko Banastasio. - Mam swoje dokumenty, swojego psa i swoje giezło. Resztę ta cholerna spółka może wymienić. - Zwrócił się do Jean-Luca: - Masz pełny ładunek. Odjeżdżamy.

Jean-Luc spojrział na ludzi na pokładzie, potem na psa. Wywołał przez radio Nasiriego i powiedział mu, co zamierzają zrobić.

- Dobra, Scot. Odjazd. Ty lecisz - powiedział i wysiadł.

Scot otworzył szerzej oczy.

- To znaczy, ja sam?

- Dlaczego nie, mon brave! Wylatujesz godziny. To twój trzeci próbny lot. Musisz kiedyś zacząć. Odjazd.

Jean-Luc odprowadzał maszynę wzrokiem. Po pięciu sekundach helikopter wisiał już nad przepaścią. Jean-Luc wiedział, jakie wrażenie musiał wyrzeć na młodym pilocie start z Bellissimy, i zazdrościł mu tego uczucia. Młody Scot jest tego wart, pomyślał, bacznie obserwując lot śmigłowca.

- Jean-Luc!

Pilot oderwał wzrok od odległego już helikoptera i rozejrzał się wokół, zastanawiając się, co też takiego się zmieniło. Stwierdził, że zapadła cisza, tak ogromna, że niemal ogłuszała. Przez chwilę czuł się niepewnie, nawet trochę źle. Usłyszał zawroźnienie wiatru i doszedł do siebie.

- Jean-Luc! Tutaj! - Pietro stał w grupie mężczyzn po drugiej stronie obozu. Machał rękami.

Jean-Luc zaczął brnąć przez zasy w ich kierunku. Oni dziwnie milczeli. - Spójrz tam -

powiedział nerwowo Pietro i wycelował palec w górę. - Dokładnie pod nawisem.

350

Tam! Pięć, może dziesięć metrów niżej. Widzisz pęknięcia?

165

Jean-Luc zobaczył. Poczuł ból w jądrach. W lodzie nie było już rys, tylko szczeliny. Usłyszeli trzaski i jęki pękającego lodu. Zdawało się, że cała jego masa drgnęła. Kawał lodu spadł w dół. Po drodze rósł i nabierał szybkości; pędził stromizną stoku. Mężczyźni patrzyli na to jak zahipnotyzowani. Lawina, teraz już tony śniegu i lodu, zatrzymała się zaledwie pięćdziesiąt metrów od nich.

Jeden z mężczyzn przerwał ciszę.

- Miejmy nadzieję, że helikopter nie wróci jak kamikadze. To byłby detonator, amico. Byle hałas może sprawić, że to strażo runie.

W PRZESTWORZACH, NIEDALEKO KAZWI-

NU, 15:17. Od chwili, gdy Charlie Pettikin odleciał z Tabrizu razem z Rakoczym, człowiekiem, którego znał jako Smitha, to znaczy od dwóch godzin, prowadził 206 tak prosto i równo, jak było to możliwe. Miał nadzieję, że uśpi w ten sposób agenta KGB albo przynajmniej zmniejszy jego czujność. Z tego samego powodu unikał rozmowy; zsunął

słuchawki na szyję. Rakoczy nie próbował rozmawiać; obserwował tylko rozciągający się w dole teren. Pozostał czujny. Trzymał karabin na kolanach, a palec na bezpieczniku. Pettikin zastanawiał się, kim jest jego pasażer, kim był, do jakiej grupy rewolucjonistów należał -

fedainów, mudżaheddinów czy zwolenników Chomeiniego - czy był lojalny, czy współpracował z żandarmerią, wojskiem czy SA-VAK-iem, a jeśli tak, to dlaczego chciał za wszelką cenę

352

dostać się do Teheranu. Pilotowi nie przyszło na myśl, że mężczyzna może być Rosjaninem.

W Bandar-e Pahlawi, gdzie tankowanie przebiegało w ślimaczym tempie, Charlie nie zrobił

niczego, co mogłoby przerwać monotonię lotu. Zapłacił tylko ostatnimi dolarami, jakie miał, i podpisał oficjalne pokwitowanie IranOil. Rakoczy próbował wdać się w pogawędkę z człowiekiem obsługującym pompę, ten jednak był wrogo nastawiony i najwidoczniej zaniepokojony tym, że ktoś widzi, jak tankuje zagraniczny helikopter. Bał się też pistoletu maszynowego, leżącego na przednim siedzeniu.

Przez cały czas, gdy byli na ziemi, Pettikin oceniał swe szanse na przechwycenie broni. Nie miał żadnej. Karabin był czeski. Dużo było takich w Korei. I w Wietnamie. Mój Boże, pomyślał, to chyba milion lat temu.

Wystartował z Bandar-e Pahlawi i kierował się teraz na południe, wzdłuż drogi do Kazwinu, utrzymując wysokość trzystu metrów. Obserwując wschodnią stronę, dostrzegł plażę.

Wysadził tam kapitana Rossa i jego dwóch spadochroniarzy. Znowu zastanawiał się, skąd kapitan wiedział, że helikopter ma lecieć do Tebrizu i jakie było zadanie komandosów. Mam nadzieję, że im się udało, niezależnie od tego, o co chodziło. To musiało być pilne i ważne.

Mam nadzieję, że spotkam jeszcze kiedyś Rossa. Chciałbym...

- Dlaczego pan się uśmiecha, kapitanie? Usłyszał to w słuchawkach. Założył je odruchowo przed startem. Spojrzał na Rakoczego, wzruszył ramionami i powrócił do obserwowania instrumentów i trasy. Nad Kazwinem skręcił na południowy wschód, kierując się drogą na Teheran, i ponownie

zagłębił się w myślach. Cierpliwości, powiedział sobie. Zobaczył, że Rakoczy sztywnieje, przysuwa twarz bliżej szyby i patrzy w dół.

- Przechył go w lewo. Trochę w lewo - niecierpliwie rozkazał Rakoczy, wpatrując się w ziemię. Pettikin łagodnie przechylił maszynę, tak że Rakoczy znalazł się niżej. - Bardziej!

Zrób 180.

353

- O co chodzi? - zapytał Pettikin.

Pogłębił przechył; zorientował się nagle, że Rakoczy zapomniał o pistolecie maszynowym, leżącym na jego kolanach. Serce zabiło pilotowi nieco żywiej.

- Tam, na drodze. Ciężarówka.

Pettikin nie zwracał uwagi na ziemię. Wpatrywał się w broń, oceniając dystans.

166

- Gdzie? Nie widzę... - Jeszcze bardziej pogłębił przechył. - Jaka ciężarówka? Gdzie...

Gwałtownie chwycił karabin za lufę i wrzucił go przez odsuwane okienko do tylnej kabiny.

Jednocześnie szarpnął drugą ręką drążek sterowniczy w lewo, potem w prawo, znowu w lewo. Śmigłowiec zakołysał się niebezpiecznie. Rakoczy został całkowicie zaskoczony; uderzył głową o burtę, co go na chwilę oszołomiło. Pettikin zacisnął pięść i zadał

niespodziewany cios, mierząc w szczękę mężczyzny, cios, który miał pozbawić przeciwnika przytomności. Rakoczy był jednak dobrze wyszkolony w karate; udało mu się zablokować uderzenie przedramieniem. Chwycił Pettikina za nadgarstek, zrazu niepewnie, lecz z każdą chwilą odzyskiwał siłę. Helikopter przechylił się jeszcze bardziej, teraz już naprawdę groźnie.

Mężczyźni zmagali się, klęli, pasy krępowały ich ruchy. Walczyli z coraz większą zaciętością. Rakoczy, który miał wolne obie ręce, zaczął uzyskiwać przewagę.

Pettikin chwycił nagle drążek kolanami; uwolnioną w ten sposób ręką uderzył Rakoczego w twarz. Cios nie wyszedł dobrze, jego impet pozbawił pilota równowagi, zmienił położenie kolan ściskających drążek i zakłócił delikatną równowagę stóp naciskających pedały sterów.

Helikopter okręcił się i stracił siłę ciągu - żaden śmigłowiec nie może latać bez kontroli, nawet przez sekundę. Siła odśrodkowa ustawiła jego masę ukośnie. W czasie bójki dźwignia kolektora przesunęła się w dół. Maszyna runęła jak kamień.

Przerażony Pettikin przestał walczyć. Próbował na ślepo odzyskać panowanie nad śmigłowcem; silnik wył, instrumenty pokładowe zwariowały. Ręce, stopy, wspo-354

mnienie specjalnego szkolenia zapobiegającego wpadaniu w panikę. Zbyt duża poprawka, druga, także przesadna... Spadli dwieście siedemdziesiąt metrów, zanim helikopter wyprostował się i odzyskał siłę ciągu; pokryta śniegiem ziemia była oddalona już tylko o piętnaście metrów...

Pettikinowi trzęsły się ręce, z trudem łapał oddech. Poczł, że coś twardego wbija mu się w żebra i usłyszał przekleństwa Rakoczego. Stwierdził tępo, że przekleństwa nie są irańskie, ale nie rozpoznał języka. Obrócił się w stronę swego pasażera. Ujrzał twarz wykrzywioną gniewem i szary metal automatycznego pistoletu. Skłął się w duchu, że o tym nie pomyślał.

Ze złością spróbował odsunąć lufę, ale Rakoczy przyłożył ją twardo do jego szyi.

- Dość albo odstrzelę ci głowę!

Pettikin natychmiast przechylił gwałtownie maszynę, lufa jednak wbijała się w jego szyję coraz mocniej. Usłyszał trzask bezpiecznika i odgłos odwodzonego kurka.

- Masz ostatnią szansę!

Ziemia była bardzo blisko; przesuwała się pod nimi w szalonym pędzie. Pettikin wiedział, że nie wygra.

- Dobra, w porządku - powiedział ustępując. Wyprostował helikopter i zaczął nabierać wysokości. Lufa wbijała się coraz mocniej, wywołując ból. - Kaleczysz mnie, do cholery! Jak mogę lecieć, skoro...

Rakoczy tylko zwiększył nacisk, skłął pilota i docisnął mu głowę do drzwiczek.

- Na Chrystusa! - Pettikin krzyknął w desperacji, próbując poprawić hełmofon, który przekrzywił się podczas walki. - Jak, do cholery, mam latać z tym pistoletem w szyi?

Nacisk nieco osłabł, tak że pilot mógł wyrównać helikopter. - Kim ty, do cholery, jesteś?

- Smith! - Rakoczy był niezwruszony. Ułamek sekundy później, pomyślał, i plasnęlibyśmy o ziemię jak krowi placek. - Myślisz, że masz do czynienia z amatorem?!

355

Zanim zdołał się powstrzymać, jego ręka zatoczyła krótki łuk i uderzyła Pettikina w usta.

Pettikin zachwiał się od ciosu, a helikopter skręcił, lecz dał się opanować. Charlie poczuł pieczenie twarzy.

- Zrób to jeszcze raz, a odwrócę go podwoziem do góry - oświadczył ponurym tonem.

167

- Zgoda - odparł od razu Rakoczy. - Przepraszam za... za... za tę głupotę, kapitanie. -

Ostrożnie wycofał się na swoje miejsce, ale odbezpieczona broń nadal mierzyła w Pettikina. -

To było niepotrzebne. Bardzo mi przykro.

Pettikin spojrział na niego ze zdumieniem.

- Panu jest przykro?

- Tak. Proszę mi wybaczyć. To nie było konieczne. Nie jestem barbarzyńcą. - Rakoczy podjął decyzję.

- Jeśli da pan słowo, że przestanie mnie atakować, odłożę pistolet. Przyrzekam, że nic panu nie grozi.

Pettikin zastanowił się.

- W porządku - odparł. - Jeśli powie mi pan, jak się nazywa i kim jest.

- Słowo?

- Tak.

- Doskonale, kapitanie. - Rakoczy zabezpieczył broń i schował ją do kieszeni, od strony drzwiczek.

- Nazywam się Ali ben Hasan Karagoze. Jestem Kurdem. Mój dom, moja wioska, leży na stokach góry Ararat, przy granicy irańsko-sowieckiej. Z błogosławieństwem Boga, jestem Bojownikiem Wolności; walczę przeciwko Szachowi i wszystkim, którzy chcą nas zniewolić.

Czy to panu wystarczy?

- Tak. Wystarczy. Zatem, skoro pan...

- Proszę, później. Najpierw tam zejdźmy. Na niższy pułap i bliżej.

Lecieli na wysokości dwustu czterdziestu metrów nad prawą stroną drogi łączącej Kazwin z Teheranem. Kilometr z tyłu widać było po obu stronach szosy jakąś wioskę. Silny wiatr niósł od niej kłęby dymu.

- Gdzie?

356

- Tam, przy drodze.

Pettikin nie dojrzał od razu tego, co pokazywał -Karagoze. W głowie kłębiły mu się myśli o Kurdach

i całych stuleciach walki prowadzonej przez nich z perskimi szachami. Potem zobaczył masę samochodów i ciężarówek zaparkowanych po jednej stronie drogi oraz ludzi otaczających nowoczesny samochód z wymalowanym na dachu niebieskim krzyżem na białym tle. Szosą sunęły w żółtym tempie inne pojazdy.

- Tam? Chce pan, żebym nadleciał nad tamte samochody? - zapytał. Nadal piekła go twarz i bolała szyja.

- Tam, gdzie ten z niebieskim krzyżem na dachu?

- Tak.

Pettikin posłusznie zmienił kurs i zaczął obniżać maszynę.

- Co jest w tym takiego ważnego? - zapytał i spojrzał na pasażera. - Co? O co tym razem chodzi?

- Naprawdę nie wie pan, co oznacza niebieski krzyż na białym tle?

- Nie. Co to jest?

Pettikin wpatrywał się w ciężarówkę, która była coraz bliżej, tak blisko, że widać było, iż jest to rangę rover otoczony rozjuszonym tłumem; jakiś mężczyzna wybijał właśnie kolbą tylne okna.

- To flaga Finlandii. - Usłyszał pilot w słuchawkach; natychmiast przyszedł mu na myśl Erikki.

- Erikki ma rangę rovera! - wykrzyknął, obserwując, jak kolba karabinu demoluje okna samochodu.

- Myśli pan, że to Erikki?

- Tak,- to możliwe.

168

Pettikin zapomniał o bólu. Zwiększył szybkość i zszedł niżej. Emocje zagłuszyły cisnące się nagle pytanie, skąd ten Bojownik Wolności zna Erikkiego. Widzieli teraz, jak ludzie zadzierają głowy i rozpraszają się. Helikopter przeleciał bardzo nisko i bardzo szybko; pilot nie dostrzegł Erikkiego.

- Widziałeś go?

- Nie. Nie mogłem zajrzeć do środka.

357

- Ja też nie - rzucił niespokojnie Pettikin. - Ale paru tych skurczybyków miało broń i wybijali okna. Widziałeś ich?

- Tak. To muszą być fedaini. Jeden z nich wystrzelił

w naszym kierunku. Gdybyś...

Rakoczy urwał, gdy helikopter wszedł w ostry zakręt i przechylił się. Popędzili z powrotem, sześć metrów nad ziemią. Tym razem tłum uciekał; ludzie wpadali na siebie. Pojazdy na szosie to próbowały przyspieszyć, to hamowały; jedna z przeładowanych ciężarówek wpadła na inną. Kilka samochodów zjechało z drogi, a jeden przekoziółkował, próbując pokonać rów.

Dokładnie przed rangę roverem Pettikin skrzył maszynę pod kątem dziewięćdziesięciu stopni

- z ziemi wzbiła się chmura śniegu. - Zyskał akurat tyle czasu, żeby dojrzeć Erikkiego, a potem wykonał kolejny zwrot i wzbił się w niebo.

- To on. Nic mu nie jest. Widziałeś dziury po pociskach w przedniej szybie? - zapytał

wstrząśnięty. - Weź pistolet maszynowy. Wyrównam i nadlecimy nad niego. Pospiesz się. Nie chcę, żeby ci ludzie zdążyli się opamiętać.

Rakoczy posłusznie odpiął pas i sięgnął przez małe okienko wewnętrzne. Broń leżała jednak na podłodze. Z trudem wciskał tułów w okienko, żeby ją dosięgnąć, a Pettikin wiedział, że pasażer zdał się w ten sposób na jego łaskę. Tak łatwo można było otworzyć drzwiczki, i wypchnąć go z helikoptera! Tak łatwo, ale nie było to możliwe.

- Szybciej! - krzyknął i pomógł mu usadowić się z powrotem w fotelu. - Zapnij pas!

Rakoczy usłuchał, próbując złapać oddech. Błogosławił fakt, że Fin był przyjacielem Pettikina; wiedział, że gdyby on sam był na miejscu pilota, nie wahałby się nawet przez chwilę.

- Gotowe - powiedział, przeładowując broń, osłupiały wobec przerażającej głupoty lotnika.

Ci idioci, Brytyjczycy, zasługują na to, by przegrać, pomyślał. - Dlaczego...

358

- Zaczynamy! - Pettikin wprowadził śmigłowiec w ostry zakręt na maksymalnej prędkości.

Przy samochodzie stało jeszcze kilku mężczyzn z bronią wycelowaną w helikopter. - Trochę ich nastraszę. Gdy powiem "ognia", puść serię nad ich głowami!

Rangę rover pędził na nich, aż śmigłowiec zatańczył nad jego dachem. Pettikin osadził

maszynę w miejscu dwadzieścia metrów dalej, trzy metry nad ziemią.

- Ognia! - rozkazał.

Rakoczy natychmiast wypalił przez otwarte okno. Nie mierzył ponad głowami, lecz dokładnie w grupę mężczyzn i kobiet stojących nie opodal samochodu Erikkiego, poza polem widzenia Pettikina; zabił kilka osób, kilka zranił. Pozostali rozbiegli się w panice; krzyki rannych mieszały się z wyciem

silników śmigłowca. Kierowcy i pasażerowie powyskakiwali z samochodów, szukając schronienia w zaspach. Kolejna seria z automatu; teraz już wszyscy uciekali. Zza jakiejś ciężarówki na drodze wyłoniło się kilku ludzi z karabinami. Rakoczy obsypał pociskami ich i ludzi w sąsiedztwie.

- Zrób trzy sześćdziesiąt! - krzyknął. Helikopter zakręcił piruet, ale w pobliżu nie było już nikogo. Pettikin dojrzał w śniegu cztery ciała.

- Mówiłem: "nad głowami", na Boga... - zaczął, ale w tym momencie drzwi rangę rovera otworzyły się z impetem. Z samochodu wyskoczył Erikki z nożem w ręce. Przez chwilę był

169

sam, a potem pojawiła się kobieta w czadorze. Pettikin natychmiast osadził maszynę na śniegu.

- Chodźcie! - wrzasnął, przyzywając ich gestem. Zaczęli biec; Erikki na wpół niósł Azadeh, której Pettikin jeszcze nie poznawał.

Rakoczy otworzył boczne drzwi, wychylił się, otworzył tylne i rozejrzał się. Następna krótka seria wymierzona w samochody. Widok Rakoczego osadził Erikkiego w miejscu.

- Szybciej! - krzyknął Pettikin, który nie rozumiał powodu wahania Fina. - Erikki, prędej! -

Poznał

359

Azadeh. - Mój Boże - mruknął, po czym zaczął ponaglać biegnących: - Prędej, Erikki!

- Szybko! Kończy mi się amunicja! - dodał po rosyjsku Rakoczy.

Erikki wziął Azadeh na rękę i ruszył biegiem. Kilka kul świsnęło koło jego głowy. Gdy dobiegł do helikoptera, Rakoczy pomógł umieścić Azadeh z tyłu i skierował nagle lufę broni na Erikkiego, zagradzając mu drogę.

- Rzuć nóż i siadaj z przodu! - rozkazał po rosyjsku. - Natychmiast!

Pettikin, oniemiały z przerażenia, patrzył, jak Erikki waha się, a jego twarz przybiera gniewny wyraz.

- Na Boga, na pewno wystarczy mi amunicji na nią, ciebie i tego pierdolonego pilota. Właź! -

powiedział szorstko Rakoczy.

Gdzieś pomiędzy samochodami na drodze odezwał się karabin maszynowy. Erikki rzucił nóż w śnieg i wdrapał się na przedni fotel. Rakoczy przeszedł do tyłu, do Azadeh. Pettikin wystartował, zakołysał się nad ziemią jak wystraszony głuszc, a potem wzbił śmigłowiec w przestworza.

Gdy odzyskał zdolność mówienia, zapytał:

- Co się tu dzieje, u diabła?

Erikki nie odpowiedział. Odwrócił się i upewnił, że Azadeh chwilowo nic nie zagraża. Miała zamknięte oczy, na wół leżała oparta o burtę i dyszała ciężko, próbując złapać oddech.

Erikki zobaczył, że Rakoczy zapiął jej pas; gdy Fin chciał dotknąć żony. Rakoczy zatrzymał go ruchem automatycznego pistoletu.

- Nic się jej nie stanie, obiecuję. - Nadal mówił po rosyjsku. - Pod warunkiem, że będziesz się zachowywał tak, jak nauczyłem twojego przyjaciela. - Nie spuszczać wzroku z Erikkiego, sięgnął do małej torby i wyjął z niej nowy magazynek. - Chciałem, żebyś to wiedział. A teraz odwróć się twarzą do przodu.

Erikki powściągnął ogarniającą go furię i zrobił to, co mu kazano. Nałożył słuchawki.

Rakoczy nie mógł

360

podłuchiwać - z tyłu nie było interkomu. Obaj piloci czuli się dziwnie: byli wolni, a jednocześnie uwięzieni.

- Jak nas odnalazłeś, Charlie? Kto cię wysłał? - zapytał Erikki ponurym głosem.

- Nikt - odparł Pettikin. - Co jest z tym sukinsynem? Poleciałem do Tebrizu, żeby zabrać ciebie i Azadeh. Skurwiel najpierw mnie złapał, a potem uprowadził razem z maszyną do Teheranu. Zobaczyliśmy was przypadkowo. Co się z wami działo?

- Skończyło się nam paliwo. - Erikki opowiedział krótko o tym, co się wydarzyło. - Gdy silnik przestał pracować, wydawało się, że wszyscy zwariowali. Przez chwilę było w porządku, a potem powtórzyła się sytuacja z blokady drogowej. Pozamykałem wszystkie drzwi, ale to była tylko kwestia czasu...

Znowu się obejrzał. Azadeh otworzyła oczy i zsunęła czador z twarzy. Uśmiechnęła się do męża z wysiłkiem i wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, Rakoczy jednak na to nie pozwolił.

170

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość - powiedział w farsy. - Ale musi pani poczekać, aż wylądujemy. Nic się pani nie stanie. - Powtórzył to po rosyjsku, dodając na użytek Erikkiego:

- Mam trochę wody. Czy chciałby pan, żebym dał ją pańskiej żonie?

Erikki skinął głową.

- Tak, proszę. - Zobaczył, że Azadeh pije chętnie.

- Dziękuję.

- A pan?

- Nie, dziękuję - odpowiedział grzecznie, choć dręczyło go pragnienie. Nie chciał korzystać z uprzejmości Rosjanina. Uśmiechnął się, chcąc dodać żonie otuchy.

- Azadeh, jak manna z nieba, co? Charlie jak anioł!

- Tak... tak. To wola Boga. Chwała Bogu, czuję się już dobrze, Erikki. Podziękuj Charliemu w moim imieniu...

Erikki skrywał swe zatroskanie. Ten drugi tłum ją przeraził. Jego zresztą też. Przysiągł sobie, że jeśli ujdzie z życiem, nigdy już nie wyruszy w podróż bez 361

strzelby, a jeszcze lepiej - bez ręcznych granatów. Spostrzegł, że Rakoczy uważnie go obserwuje. Odwrócił

się.

- Matierjebiec - mruknął, automatycznie obrzucając wzrokiem instrumenty pokładowe.

- Ten sukinsyn jest obłąkany. Nie musiał zabijać. Powiedziałem mu, żeby strzelał ponad głowami. - Pet-tikin zniżył nieco głos, choć Rakoczy i tak nie mógł go słyszeć. - Skurwysyn już dwukrotnie mało mnie nie zabił. Skąd go znasz, Erikki? Czy ty albo Azadeh macie coś wspólnego z Kurdami?

Erikki wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- Kurdowie? Masz na myśli tego tam z tyłu?

- Jasne. Ali ben Hasan Karagoze. Pochodzi z góry Ararat. Jest kurdyjskim Bojownikiem Wolności.

- To nie Kurd, to łajno. Sowiet z KGB.

- Chryste Panie! Wiesz na pewno?! - Pettikin był zdumiony.

- O, tak. Twierdzi, że jest muzułmaninem, ale założę się, że to także łgarstwo. Oni wszyscy kłamią. Zresztą dlaczego mieliby mówić prawdę nam, wrogom?

- Ale on przysiągł, że to prawda. Ja też dałem mu słowo. - Pettikin ze złością opowiedział o walce i targu, jakiego dobili.

- To ty jesteś głupcem, Charlie, a nie on. Nie czytałeś Lenina? Stalina? Marksa? On robi tylko to, co wszyscy z KGB i szczerzy komuniści: robi wszystko, żeby popchnąć do przodu

"świętą" sprawę, to znaczy zapewnić KPZR absolutne panowanie nad światem. Chce, żebyśmy się wszyscy nawzajem powywieszali; to zaoszczędzi im kłopotu. Mój Boże, napiłbym się wódki!

- Podwójna brandy byłaby lepsza.

- A jeszcze lepsze jedno i drugie naraz. - Erikki wpatrywał się w ziemię. Lecieli z łatwością, silniki pracowały równo, mieli dużo paliwa. Szukał wzrokiem Teheranu. - To już niedaleko.

Czy on powiedział, gdzie mamy lądować?

- Nie.

362

- Może będziemy mieli szansę...

- Tak... - Pettikin był coraz bardziej zaniepokojony.

- Mówiłeś coś o blokadzie drogowej. Co tam się stało?

Erikki spochmurniał.

- Zatrzymali nas lewacy. Musieliśmy uciekać. Nie mamy teraz żadnych dokumentów. Nic.

Jakiś gruby sukinsyn trzymał na wszystkim łapę; nie było czasu na odebranie tych papierów. -

171

Zadrzał. - Nigdy jeszcze tak się nie bałem, Charlie. Nigdy. W tym tłumie byłem bezradny.

Prawie zesrałem się ze strachu, gdyż nie mogłem jej obronić. Ten śmierdzący, gruby skurwysyn zabrał wszystko: paszport, dokument tożsamości, licencje lotnicze, wszystko.

- Mac ci to załatwi, a twoja ambasada wyda paszporty.

- Nie chodzi o mnie. Co będzie z Azadeh?

- Dostanie fiński paszport, tak jak Szahrazad kanadyjski. Nie ma powodu do zmartwienia.

- Czy ona jest jeszcze w Teheranie?

- Jasne. Tom też powinien tam być. Miał przylecieć wczoraj z Zagrosu, z pocztą z domu... -

To dziwne, pomyślał Pettikin. Nadal nazywam Anglię domem. Nawet teraz, gdy odeszła Claire, gdy wszystko minęło.

- Wrócił właśnie z urlopu.

- To chciałbym zrobić. Pójść na urlop. Już od dawna mi się należy. Może Mac będzie mógł

wysłać jutro kogoś na zmianę. - Erikki klepnął Pettikina. - Jutro będzie futro, co? Hej, Charlie, to był wspaniały lot. Gdy zobaczyłem cię, myślałem, że albo śnię, albo jestem już na tamtym świecie. Dostrzegłeś moją fińską flagę?

- Nie. To Ali. Jak ty go nazywasz? Rekowsky?

- Rakoczy.

- Rakoczy ją rozpoznał. Gdyby nie on, w ogóle bym się nie połapał. Bardzo mi przykro. -

Pettikin spojrzał na Erikkiego. - Czego on od ciebie chce?

- Nie wiem, ale cokolwiek to jest, chodzi o jakieś sowieckie knowania. - Erikki zaklął. - Więc zawdzięczamy mu życie?

Po chwili Pettikin skinął głową.

363

- Tak. Nie mógłbym zrobić tego wszystkiego sam.

- Rozejrzał się wokół. Rakoczy czuwał, Azadeh zapadła w drzemkę. Zwrócił się znów do Erikkiego:

- Wygląda na to, że Azadeh czuje się już dobrze.

- Nie, Charlie. Wcale nie - odparł Erikki z bólem w sercu. - Ten dzień był dla niej straszny.

Powiedziała, że jeszcze nigdy w życiu nie była tak blisko wieśniaków... to znaczy okrążona, schwytana w pułapkę. Dzisiaj dostali się poza linie straży, które ją zwykle otaczają.

Zobaczyła prawdziwą twarz Iranu, rzeczywistych ludzi. Poza tym zmusili ją, żeby włożyła czador.

- Po raz drugi przeszedł go dreszcz. - To był gwałt. Zgwałcili jej duszę. Myślę, że dla niej, dla nas, świat nie będzie już odtąd taki sam. Myślę, że ona musi teraz wybrać: rodzinę albo mnie, Iran albo wygnanie. Oni nas tu nie chcą. Nadszedł czas, byśmy odeszli, Charlie.

Wszyscy.

- Nie. Mylisz się. Być może dla ciebie i Azadeh wygląda to teraz inaczej, ale oni nadal potrzebują ropy i dlatego nadal potrzebują helikopterów. Mamy przed sobą kolejne lata.

Dobre lata. Mamy kontrakty Guer-neya i... - Pettikin urwał, czując szturchnięcie w plecy.

Odwrócił się. Azadeh już nie spała. Nie słyszał słów Rakoczego, więc zsunął z jednego ucha słuchawkę. -Co?

- Niech pan nie używa radia, kapitanie. Proszę się przygotować do wylądowania na przedmieściach, tam, gdzie panu wskażę.

- Ja... ja muszę dostać zezwolenie.

- Proszę nie zachowywać się jak głupiec. Zezwolenie od kogo? Tutaj wszyscy mają ważniejsze sprawy na głowie. Lotnisko cywilne jest obłożone, podobnie Do-szan Tappeh i Galeg Morghi. Proszę przyjąć moją radę. Po wysadzeniu mnie niech pan wyląduje na małym lotnisku Rudrama.

- Muszę to zgłosić. Wojsko się przy tym upiera. Rakoczy zaśmiał się sardonicznie.

- Wojsko? Co pan im zgłosi? Że wylądował pan nielegalnie koło Kazwinu, wziął udział w zamordowaniu

172

364

pięciu czy sześciu cywilów i zabrał dwoje cudzoziemców uciekających przed kim? Przed ludem!

Pettikin odwrócił się ponury, żeby wywołać przez radio Teheran, ale Rakoczy nachylił się i brutalnie potrząsnął nim.

- Obudź się! Wojsko już nie istnieje. Generałowie uznali, że Chomeini wygrał. Wojsko nie istnieje! Poddało się!

Wszyscy wlepili spojrzenia w Rakoczego. Helikopter przechylił się. Pettikin nerwowo wyrównał.

- O czym pan mówi?

- Wczoraj, późnym wieczorem, generałowie wydali całemu wojsku rozkaz powrotu do koszar. Wszystkie rodzaje broni. Wszyscy ludzie. Zostawili pole Chomei-niemu i jego rewolucji. Nie ma teraz armii, nie ma policji, nie ma żandarmerii, która stałaby pomiędzy Chomeinim a absolutną władzą. Lud zwyciężył!

- To niemożliwe - powiedział Pettikin.

- Oczywiście! - dodała Azadeh. - Mój ojciec wiedziałby o tym.

- Abdollah Wielki? - Rakoczy uśmiechnął się krzywo. - Teraz już wie. Jeśli jeszcze żyje.

- Co za bzdury!

- To jest... to możliwe, Azadeh - rzekł wstrząśnięty Erikki. - To by wyjaśniało, dlaczego nie widzieliśmy policji ani wojska... i dlaczego tłum zachowywał się tak wrogo!

- Generałowie nie zrobiliby tego - odparła drżącym głosem. Zwróciła się do Rakoczego: - To byłoby

samobójstwo. Dla nich i tysięcy innych ludzi. Niech pan, na Allacha, powie prawdę!

Wyraz twarzy Rakoczego odzwierciedlał jego rozbawienie. Agent rozkoszował się tym, że zasiewa w ich sercach niepokój.

- Teraz Iran jest w rękach Chomeiniego, jego muł-łów i jego Gwardii Rewolucyjnej.

- To kłamstwo!

- Jeśli to prawda, Bachtiar jest skończony. On... - zaczął mówić Pettikin.

365

- Ten słaby głupiec nigdy się nawet nie zaczął!

- Rakoczy wybuchnął śmiechem. - Ajatollah Chomeini sprawił, że generałowie stracili jaja, a teraz, do kompletu, poderżnie im gardła!

- Zatem wojna jest zakończona.

- Ach, wojna - powiedział ponuro Rakoczy. - Toczy się jeszcze. Przeciwno niektórym.

- Taaak. - Erikki chciał sprowokować Rosjanina.

- Jeśli to wszystko jest prawdą, dla was też już jest po wszystkim, dla Tude i wszystkich marksistów. Chomeini was pozabija.

- Och nie, kapitanie. Ajatollah był mieczem na Szacha. Teraz lud przejął ten miecz.

- On, jego mułowie i lud was zniszczą. On jest tak samo antykomunistyczny jak antyamerykański.

- Poczekajcie, to zobaczycie. Nie łudźcie się. Chomeini jest człowiekiem praktycznym.

Niezależnie od tego, co teraz mówi, raduje się władzą.

Pettikin zobaczył, że Azadeh blednie; sam poczuł się również niewyraźnie.

- A Kurdowie? - zapytał szorstko. - Co z nimi? Rakoczy pochylił się w jego kierunku/ Na ustach błąkał mu się dziwny uśmiech.

- Jestem Kurdem, niezależnie od tego, co powiedział ci ten Fin o Sowietach i KGB. Czy on może dowieść prawdziwości swych słów? Oczywiście nie. Co do Kurdów, Chomeini spróbuje zrobić z nami koniec, jeśli się mu na to pozwoli, razem ze wszystkimi mniejszościami szczepowymi czy religijnymi, cudzoziemcami, burżuazją, ziemiaństwem, lichwiarzami, stronnikami Szacha i - uśmiechnął się - wszystkimi ludźmi, którzy nie przyjmą jego 173

interpretacji Koranu. Rozleje morze krwi w imieniu swego Allacha. Swego, a nie prawdziwego

Jedynego Boga, jeśli tylko pozwoli się na to temu sukinsynowi. - Rakoczy wyjrzał przez okno w podłódze, sprawdzając kierunek lotu. Potem dodał jeszcze bardziej sardonicznie: - Ten heretycki Miecz Boga spełnił swoje zadanie. Teraz zamieni się w pług i zostanie zakopany w skibie, którą sam odrzucił!

366

- To znaczy zamordowany? - zapytał Erikki.

- Zakopany. - Znowu śmiech. - Kaprys ludu.

Azadeh odżyła. Zaczęła przeklinać Rakoczego i próbowała podrapać mu twarz. Złapał ją za ręce i bez trudu przytrzymał. Erikki obserwował to z popielatobiałą twarzą. Nie mógł nic zrobić. Na razie.

- Dosyć! - rzucił ostro Rakoczy. - Przede wszystkim ty powinnaś chcieć, żeby ten heretyk odszedł. Jeśli zwycięży, wykończy Abdollaha-chana i wszystkich Gorgonów, razem z tobą. -

Odepchnął ją. - Zachowuj się spokojnie, bo będę musiał cię zranić. To prawda. Ty przede wszystkim powinnaś pragnąć jego śmierci. - Odbezpieczył broń. - Odwróćcie się. Oboje.

Uśluhali, nienawidząc tego człowieka i broni, którą trzymał. Przed nimi, w odległości mniej więcej piętnastu kilometrów, wylaniały się przedmieścia Teheranu. Lecieli wzdłuż drogi i linii kolejowej, mając z lewej strony góry Elbrus; zbliżali się do miasta od zachodu. Niebo było zachmurzone; przez grubą pokrywę chmur nie przedostawał się żaden promyk słońca.

- Kapitanie, widzi pan miejsce, w którym tory przecinają strumień? Most?

- Tak, widzę - odparł Pettikin, próbując coś wymyślić.

Wiedział, że Erikki myśli o tym samym. Zastanawiał się, czy mógłby odwrócić się szybko i złapać Rosjanina; siedział jednak ze złej strony.

- Proszę wylądować pół kilometra na południe, za tamtą skałą. Widzi pan?

Niedaleko od skały przebiegała boczna droga prowadząca do Teheranu. Ruch był niewielki.

- Tak. A potem?

- Potem będziecie wolni. Chwilowo. - Rakoczy zaśmiał się i trącił lekko szyję Pettikina lufą automatu. - Wielkie dzięki. Ale nie odwracajcie się już. Siedźcie twarzą do przodu, z zapiętymi pasami. Będę was uważnie obserwował. Wylądujemy, ja wyjdę, a wy od razu wystartujecie. Nie odwracajcie się, bo mógłbym się

367

przestraszyć. Ludzie, którzy się boją, pociągają za spust. Zrozumiano?

- Owszem. - Pettikin badał wzrokiem lądowisko. Wyregulował słuchawki. - Erikki, czy to wygląda dobrze?

- Tak. Uważaj na zaspy. - Erikki próbował nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

- Powinniśmy mieć jakiś plan.

- Myślę, że on jest... on jest na to za sprytny, Charlie.

- Może popełni błąd.

- Wystarczy mi jeden.

Lądowanie poszło gładko. Śnieg wymieciony podmuchem rotora wirował za oknami.

- Nie odwracać się!

Obaj piloci mieli nerwy napięte do granic wytrzymałości. Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi i poczuli zimny podmuch. Azadeh krzyknęła: "Erikkiiii!"

Odwrócili się, nie zwracając uwagi na zakaz. Rakoczy był już na zewnątrz. Wyciągał z helikoptera Azadeh, która kopiąc go trzymała się drzwi. Łatwo pokonał jej opór. Automat wisiał na pasku na ramieniu Rosjanina. Erikki błyskawicznie otworzył drzwiczki i wypadł na zewnątrz. Prześliznął się pod zbiornikiem paliwa i zaatakował. Było już jednak za późno.

Zatrzymała go krótka seria wymierzona w ziemię, przed stopami. Dziesięć metrów dalej, poza zasięgiem śmigła, stał Rakoczy. Celował w nich z automatu, trzymając broń jedną ręką.

Drugą zaciskał na szyi Azadeh. Kobieta stała przez chwilę nieruchomo; potem zdwoiła 174

wysiłki. Krzycząc i wyjąc, zaczęła się miotać, na co napastnik nie był przygotowany. Erikki zaatakował.

Rakoczy złapał Azadeh obiema rękami i cisnął gwałtownie na Erikkiego, przerywając jego skok. Erikki i Azadeh upadli na ziemię. Rakoczy odwrócił się odbiegł kawałek. Odwrócił się znowu w ich kierunku z palcem na spuście i bronią gotową do strzału. Nie musiał strzelać; Fin i jego żona jeszcze klęczeli, byli lekko oszołomieni. Pilot siedział nadal w swym fotelu.

368

Yokkonen odzyskał świadomość. Opiekuńczym gestem przesunął Azadeh za siebie, szykując się najwidoczniej do kolejnego skoku.

- Stać! - polecił Rakoczy. - Tym razem zabiję was wszystkich. Stać! - Oddał ostrzegawczy strzał w śnieżną zaspę. - Wracać do maszyny. Oboje! - Erikki patrzył na niego podejrzliwie. -

Szybciej, jesteście wolni. Jazda!

Przerażona Azadeh wdrapała się na tylne siedzenie helikoptera. Erikki wycofywał się powoli, osłaniając ją swym ciałem. Rakoczy nadal w nich celował. Zobaczył, że Fin nie zamknął

drzwiczek; usiadł na tylnym siedzeniu, opierając nogi na płozie śmigłowca. Silniki zawyły.

Helikopter wzniósł się o centymetry nad ziemię i odwrócił przodem do Rakoczego. Rozległ

się trzask zamykanych tylnych drzwi. Teraz, myślał Rakoczy, czy wszyscy zginiecie, czy przeżyjecie, aby stoczyć walkę kiedy indziej?

Wydawało mu się, że ta chwila trwa wiecznie. Śmigłowiec oddalał się powoli. Był tak kuszącym celem; Palec na spuście stężał, ale nie nacisnął mocniej. Kilka metrów dalej maszyna odwróciła się, nabrała szybkości i poszybowała w niebo.

Dobrze, pomyślał. Zmęczenie ścinało go z nóg. Lepiej byłoby mieć tę zakładniczkę, ale nie szkodzi. Możemy złapać córkę starego chana jutro albo pojutrze. Ona może poczekać, Yokkonen też. Na razie trzeba opanować kraj, zabić generałów, mułłów, ajatollahów... i innych wrogów.

LOTNISKO W TEHERANIE, 17:05. McIver ostrożnie prowadził samochód drogą biegnącą wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, kierując się ku bramie prowadzącej do portu frachtowego. Obok drogi piętrzyły się zasy, a nawierzchnia była śliska, gdyż już od dawna nie przejeżdżał tamtędy żaden pług śnieżny. Temperatura spadła poniżej zera, na niebie wisiały szare chmury. Najdalej za godzinę zapadnie zmierzch. Znowu spojrzął na zegarek.

Niewiele czasu, pomyślał, przypominając sobie gniewnie wczorajsze zamknięcie biura przez komitet. Dziś, wczesnym rankiem, próbował dostać się do budynku, ale był on nadal strzeżony, a żadne prośby nie odnosiły skutku: nie mógł wejść i sprawdzić teleksu.

- Przekłęci ludzie! - powiedziała Genny, gdy wrócił do mieszkania. - Na pewno możemy coś zrobić w tej

370

sprawie. Co z George'em Talbotem? Może on mógłby pomóc?

- Wątpię, ale można spróbować. Gdyby Walik... - McIver urwał. - Tom powinien już uzupełnić paliwo i niedługo przylecieć. Gdziekolwiek jest.

- Miejmy nadzieję. - Gen głośno wypowiedziała to, o co modliła się po cichu. - Widziałeś jakieś otwarte sklepy?

- Żadnych, Gen. Na obiad zjemy zupę z puszki, z butelką piwa.

- Przykro mi, ale piwa już nie mamy.

McIver próbował wywołać przez radio Kowiss i inne bazy, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Nie mógł też złapać ani BBC, ani AFN. Wysłuchał nieodmiennie antyamerykańskiej tyrady Radia Wolny

Iran z Tbilisi i zdeglustowany wyłączył odbiornik.

Telefon był martwy. McIver próbował czytać, ale nie mógł. Myślał z troską o Locharcie, Pettikinie, Starke'u i wszystkich innych. Nie mógł znieść myśli, że jest odcięty od biura i teleksu, i nie panuje nad sytuacją. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nigdy. Niech szlag trafi 175

Szacha. Wyjechał i pozwolił, żeby się wszystko rozpadło. A było wspaniale. Jakikolwiek problem i można było pojechać na lotnisko, złapać samolot do Isfahanu, Tebrizu, Abada-nu, Ormuz, Asz Szargaz lub do jakiegokolwiek innego miejsca. Potem dalej helikopterem.

Czasem leciała z nim Genny. Urządzali sobie pikniki i pili lodowate piwo.

- Pieprzę to wszystko!

Zaraz po obiedzie radiostacja ożyła. To był Freddy Ayre z Kowissu. Przekazał wiadomość, że 125 dotrze do lotniska w Teheranie dziś, około 17:00. Chodziło o lot z Asz Szargaz, małego niezależnego szejkanatu, leżącego tysiąc dwieście kilometrów na południe od Teheranu, po drugiej stronie zatoki, gdzie S-G miała swoje biuro.

- Czy powiedział, że ma zezwolenie, Freddy? - zapytał podniecony McIver.

- Nie wiem. Wszystko, co mi powiedzieli, to: "Port Lotniczy Teheran, siedemnasta zero zero, przekaż

371

MacIverowi, nie mogę go wywołać". Powtórzyli to kilkakrotnie.

- Jak wam leci?

- Ujdzie - odpowiedział Ayre. - Starke jest nadal w Bandar Dejlampie. Nie mamy z nimi kontaktu poza zwykłym zgłoszeniem pół godziny temu.

- Rudi to wysłał? - McIver próbował nie krzyczeć.

- Tak.

- Utrzymuj kontakt z nimi i z nami. Co się stało dziś rano z waszym radiowcem?

Kilkakrotnie próbowałem was wywołać, ale nic z tego nie wyszło.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

- Jest aresztowany.

- Za co, do diabła?

- Nie wiem, Mac, to znaczy kapitanie McIver. Zawiadomię pana, gdy tylko się dowiem. Poza tym

wyśle Marca Dubois z powrotem do Bandar Dejlamu, gdy tylko będę mógł, ale, no, to będzie trochę trudne. My wszyscy jesteśmy, że tak powiem, ograniczeni do terenu bazy. Na wieży przebywają czarujący, przyjacielsko usposobieni, uzbrojeni strażnicy. Wszystkie loty, poza CASEVAC, odwołane. W wypadku CASEVAC zabieramy ze sobą strażników. Nie możemy też wylatywać poza nasz obszar.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem. N6sz czcigodny komendant bazy, pułkownik Peszadi, zapewnił mnie, że to tylko tymczasowe, tylko na dziś, może jutro. Przy okazji: o 15:16 mieliśmy krótką rozmowę z kapitanem Scraggerem w Charlie Echo Żulu Żulu, po drodze ze specjalnym czarterem do Bandar Dejlamu.

- Po co on tam, do diabła, leci?

- Nie wiem, proszę pana. Stary Ser... kapitan Scragger powiedział, że poprosił go o to de Plessey na Siri. Ja, hmm, nie sądzę, żebym miał jeszcze dużo czasu. Nasi przyjacielscy strażnicy zaczynają się denerwować. Peszadi powiedział, że gdyby przysłał pan tu 125, zezwoliłby na lądowanie. Spróbuję wysłać Manuele, ale zbyt dużo 372

po tym nie oczekuję. Nie mając wieści o Starke'u, jest zdenerwowana jak królik w psiarni.

- Wyobrażam sobie. Powiedz jej, że wysyłam Gen. Kończmy już. Bóg wie, jak długo będę jechał na lotnisko. - Zwrócił się do Genny: - Gen, pakuj torbę...

- Co chcesz ze sobą zabrać, Duncan? - zapytała słodkim głosem.

- Ja nic. To ty wyjeżdżasz!

- Nie bądź głupcem, kochanie. Lepiej się pospiesz, jeśli chcesz spotkać 125. Bądź ostrożny i nie zapomnij o zdjęciach! Och, przy okazji: zapomniałam ci powiedzieć, że 'kiedy próbowałeś dostać się do biura, Szah-razad zaprosiła nas na kolację. Zaproszenie przyniósł jej służący.

- Gen, odlatujesz tym 125. Bez dyskusji!

176

Sprzeczką nie trwała długo. Wyszedł z domu i pojechał bocznymi ulicami, gdyż wszystkie większe skrzyżowania były nieprzejezdne; blokowały je tłumy włączających się bez celu ludzi.

Za każdym razem, gdy go zatrzymywano, pokazywał fotografię Chomeiniego z napisem w farsii: "Niech żyje Alatollah", co sprawiało, że pozwalano mu jechać dalej. Nie widział po drodze wojska, żandarmów czy policji, tak więc fotografia Szacha z napisem: "Niech żyje wspaniały Iran" nie była mu potrzebna. Podróż, która normalnie trwałaby godzinę, zabrała mu dwie i pół. Z minuty na minutę coraz bardziej bał się, że nie zdąży.

Samolotu nie było jednak ani na jednym z dwóch równoległych pasów startowych, ani w porcie frachtowym, ani też koło zabudowań dworca lotniczego. Spojrzał na zegarek: 17:30.

Następna godzina lotu. Dobrze będzie, powiedział sobie, jeśli samolot w ogóle doleci. Bóg wie, mogli go już zawrócić.

Koło budynku dworca lotniczego stało nadal kilka pasażerskich odrzutowców. Jeden z nich, Royal Iranian Air 747, był wypalonym wrakiem. Inne wyglądały dobrze. McIver był zbyt daleko, żeby dojrzeć wszystkie oznaczenia, rozpoznał jednak samolot Alitalii. Paula 373

Giancani nadal mieszkała z nimi, odwiedzana często przez Noggera Lane'a. To miła dziewczyna, pomyślał.

Widział teraz przed sobą bramę dworca frachtowego i magazynu. Magazyn był zamknięty od ostatniej środy. Czwartek i piątek (muzułmańska niedziela) były irańskim weekendem. Ani McIver, ani nikt z jego personelu, nie mógł też dostać się tam w sobotę i w niedzielę. Teraz brama była otwarta i nie strzeżona. Wjechał przez nią na zewnętrzny dziedziniec. Zobaczył

barak odpraw celnych i barierki z napisami po angielsku i w farsi: WSTĘP WZBRONIONY, PRZYWÓZ, WYWÓZ, NIE WCHODZIĆ oraz znaki firmowe różnych międzynarodowych przewoźników i spółek helikopterowych, które miały tu swe stałe biura. Zwykle wjazd samochodem na dziedziniec zewnętrzny był prawie niemożliwy. Pięciuset mężczyzn pracowało tu przez całą dobę, przenosząc ogromne masy towarów, wojskowych i cywilnych, które napływały do Iranu w zamian za część dochodu z wydobycia ropy, wynoszącego 90

milionów dolarów dziennie. Teraz jednak teren był opustoszały. W śniegu walały się setki koszy i kartonów różnej wielkości; wiele otwarto i okradziono, większość była przemoczona.

Kilka porzuconych samochodów osobowych i ciężarówek, jakieś części samochodowe i spalona ciężarówka. Otwory po pociskach w ścianach szop.

Brama budynku celnego zamykała dostęp do przedpola hangaru, przed otwarciem jednak chronił ją tylko rygiel. Wisiała tam tablica z napisem w farsy i po angielsku: PRZED

ODPRAWĄ CELNĄ WSTĘP WZBRONIONY. McIver poczekał, zatrąbił i znowu czekał.

Nikt nie odpowiedział, toteż wysiadł z samochodu, otworzył szeroko bramę i wsiadł z powrotem. Za bramą zatrzymał samochód, wysiadł i zasunął rygiel, po czym wsiadł i ruszył w kierunku magazynów S-G, szopy, w której mieściło się biuro, hangarów i warsztatu naprawczego, mogącego pomieścić cztery 212 i pięć 206. Teraz stały w nim trzy 206 i jeden 212.

Z ulgą stwierdził, że główne wrota są zamknięte. Obawiał się, że magazyny i hangar zostały obrabowane

374

lub zdemolowane. Był to ich główny magazyn na cały Iran. Trzymali tu części zamienne i specjalistyczne

. narzędzia wartości ponad dwóch milionów dolarów.

. Mieli też własne, podziemne zbiorniki, kryjące ściśle tajny zapas 50000 galonów paliwa helikopterowego, które McIver "zgubił", gdy tylko rozpoczęły się kłopoty.

Spojrzał w niebo. Kierunek wiatru wskazywał, że 125 lądowałby od zachodu, na kierunku 29.

Nie było jednak ani śladu śmigłowca. McIver otworzył drzwi, zamknął je za sobą i przeszedł szybkim krokiem przez wychłodzony przedsionek do teleksu zainstalowanego w biurze.

177

Urządzenie było wyłączone. Cholerni idioci, mruknął. Regulamin mówił, że teleks musi być zawsze włączony. Gdy McIver to zrobił, nic się nie wydarzyło. Spróbował zapalić światło; okazało się, że nie ma prądu. Cholerny kraj. Ruszył gniewnie do krótkofalówek i włączył

obie, gdyż były zasilane akumulatorami. Rozległ się szum, który go uspokoił.

- Echo Tango Lima Lima - rzucił energicznie do mikrofonu, podając litery rejestracyjne 125: ETL. - Tu McIver. Słyszysz mnie?

- Echo Tango Lima Lima. Jasne, chłopie - padła natychmiast lakoniczna odpowiedź. - Tu, w górze, czujemy się trochę samotnie. Wywoływałeś nas przez pół godziny. Gdzie jesteś?

- W biurze frachtowym. Przepraszam, Johnny - odpowiedział, rozpoznając głos starszego kapitana lotnictwa. - Dostanie się tutaj zajęło mi diabelnie dużo czasu; właśnie przyjechałem.

Gdzie jesteś?

- Dwadzieścia siedem kilometrów od ciebie na południe, w zupie, podczas standardowego podejścia z kierunku 29. Co się dzieje, Mac? Nie możemy wywołać wieży w Teheranie, a właściwie nikogo, odkąd weszliśmy w przestrzeń powietrzną nad Iranem.

- Dobry Boże! Nawet radaru na Kiszu?

- Nawet, chłopie. Co tam u was nie gra?

- Nie wiem. Wieża działała jeszcze wczoraj do północy. Wojsko dało nam zezwolenie na lot na południe.

375

- McIver był zdumiony; wiedział, że obsługa radaru na Kiszu podchodziła bardzo rygorystycznie do naruszania przestrzeni powietrznej Iranu, zwłaszcza od strony zatoki. -

Całe lotnisko jest wyludnione. To trochę dziwne. W mieście są tłumy i kilka blokad drogowych. Nic niezwykłego, żadnych rozruchów.

- Czy będą problemy z lądowaniem?

- Wątpię, czy działają jakieś urządzenia, ale pułap chmur wynosi około tysiąca dwustu, widoczność szesnaście kilometrów. Wygląda na to, że pas startowy jest w porządku.

- Co ty o tym myślisz?

McIver rozważył argumenty za i przeciwko lądowaniu bez pomocy i zatwierdzenia z wieży.

- Czy macie dość paliwa na powrót?

- O, tak. A można u was zatankować?

- Tylko w razie niebezpieczeństwa. Chwilowo.

- Wychodzę z pokrywy chmur na wysokości tysiąc czterysta. Widzę lotnisko.

- W porządku, Echo Tango Lima Lima. Wiatr wschodni, około dziesięciu węzłów.

Normalnie lądowałbyś z 29. Baza wojskowa jest chyba zamknięta i wyludniona, więc nic tam nie powinno latać. Wszystkie cywilne loty zostały skreślone. Proponuję, żebyś podszedł. Jeśli uznasz, że wszystko w porządku, od razu ląduj. Nie płacz się po niebie; mamy tu wielu wesołych strzelców, którzy tylko czekają na taką okazję. Gdy już usiądziesz, bądź gotów do szybkiego startu, po prostu tak na wszelki wypadek. Wyjadę wam na spotkanie.

- Echo Tango Lima Lima.

McIver wyjął chusteczkę i wytarł ręce i czoło, ale gdy wstał, znowu oblał się zimnym potem.

W otwartych drzwiach stał celnik. Trzymał niedbale rękę na kaburze pistoletu. Miał brudny i pognieciony mundur; okrągłą twarz okalał trzy- lub czterodniowy zarost.

- Och - powiedział McIver, starając się wyglądać na spokojnego. - Salam, Agha. - Tego celnika nie znał.

376

Mężczyzna poruszył złowieszczą ręką trzymaną na broni; przenosił spojrzenie z McIvera na radiostację i z powrotem na McIvera.

McIver powiedział powoli, dobierając z trudem słowa w farsi:

- Englissi midonid, Agha? Bebachszid man zaban-e szomora chub nemidanam. Czy mówi pan po angielsku? Proszę mi wybaczyć, ale nie znam pańskiego języka.

178

Celnik odchrząknął.

- Co pan robi tu? - wycedził kulawą angielszczyzną spoza zębów noszących ślady nikotyny.

- Jestem... jestem kapitan McIver, szef S-G Helicop-ters - odpowiedział McIver wolno i wyraźnie. - Sprawdzam teleks i czekam na przylot samolotu.

- Samolotu? Jakiego samolotu? Dlaczego...

W tym momencie dokładnie nad lotniskiem, na wysokości trzystu metrów, ukazał się 125.

Celnik wybiegł na zewnątrz, a McIver za nim. Zobaczyli piękne, czyste linie sylwetki dwusilnikowego odrzutowca na tle pochmurnego nieba. Obserwowali przez chwilę, jak maszyna pochyła się, podchodząc do lądowania.

- Co za samolot, ech?

- To nasz regularny lot. Z Asz Szargaz.

Ta nazwa sprawiła, że celnik zaczął kłać w farsi.

- Bebachszid, nemifahmam. Przepraszam, nie rozumiem.

- Nie lądować... nie lądować, rozumieć? - Mężczyzna ze złością wskazał palcem samolot, a potem krótkofalówkę w biurze. - Powiedz samolotowi!

McIver spokojnie skinął głową, choć nie był wcale spokojny, i gestem zaprosił celnika z powrotem do biura. Odliczył 10000 riali, to jest mniej więcej 110 dolarów.

- Proszę to przyjąć jako opłatę za lądowanie. Mężczyzna odtrącił pieniądze, wyrzucając z siebie

jeszcze bardziej niezrozumiały potok słów w farsi. McIver położył pieniądze na stole i poszedł do magazynu. W małym pomieszczeniu z boku leżały różne części zamienne. Stały tam też trzy pięciogalonowe kanistry

377

napełnione benzyną. Wziął jeden z nich i wystawił go za drzwi bocznego składziku. Pamiętał

słowa generała Walika: "Piszkesz nie jest łapówką, lecz podarunkiem stanowiącym szanowany irański obyczaj". Po chwili namysłu McIver postanowił zostawić otwarte drzwi.

Trzy kanistry gwarantowały rozwiązanie problemu.

- Bebachszid, Agha. Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo. - Dodał po angielsku: - Muszę spotkać się z moimi zwierzchnikami.

Wyszedł z budynku i wsiadł do samochodu, nie oglądając się za siebie. Cholerny skurwysyn, omal nie przyprawił mnie o atak serca! - mruknął. Przestał myśleć o celniku i ruszył na miejsce spotkania. Śnieg miał tylko kilka centymetrów grubości. Ślady samochodu McIvera były jedyne; cała płyta lotniska była dziewiczo biała. Wzmógł się wiatr, zwiększając czynnik chłodu. Nie zauważył tego, koncentrując się na samolocie.

125 zakręcił z wysuniętym podwoziem; zręcznie ześlizgiwał się, tracąc wysokość i skracając dystans podejścia. John Hogg błysnął światłami i usiadł, pozwalając maszynie się toczyć, dopóki szybkość nie zmniejszyła się do bezpiecznej; nawet potem bardzo ostrożnie używał

hamulców. Skręcił na pas kołowania i zwiększył moc, aby ruszyć na spotkanie z McIverem.

Zatrzymał się koło najbliższej drogi dojazdowej do pasa.

Zanim McIver dojechał tam samochodem, otwarto drzwi i wysunęły się schodki. John Hogg, zawinięty w parkę, tupał, żeby się rozgrzać na płycie przy schodni.

- Cześć, Mac! - zawołał schludny, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy ozdobionej wąsami. - Wspaniale, że jesteś. Wejdz do środka, będzie cieplej.

- Dobra myśl. - McIver pospiesznie wszedł za pilotem po schodkach. W środku było przytulnie; światła zapalone, kawa czekała. Na stojaku londyńskie gazety. McIver wiedział, że w lodówce jest wino i piwo. Oprócz tego normalna ubikacja z papierem toaletowym -

powiew cywilizacji. Uścisnął rękę Hogga i wskazał na kokpit. - Cieszę się, że cię widzę, Johnny.

378

179

Ze zdziwienia otworzył usta. Na jednym z obrotowych krzeseł ośmioosobowego samolotu siedział Andy Gavallan i uśmiechał się do niego.

- Cześć, Mac!

- Mój Boże! Chińczyk! Jak się cieszę, że jesteś!

- wykrzyknął McIver, uderzając pięścią w otwartą dłoń.

- Co tu, u diabła, robisz? Dlaczego nie powiedziałeś mi, że przyjeżdżasz? Co...

- Powoli, chłopie. Kawy?

- Mój Boże, tak. - McIver usiadł naprzeciw przyjaciela. - Jak się czuje Maureen i mała Electra?

- Świetnie! Niedługo skończy dwa lata, a już nas terroryzuje! Pomyślałem sobie, że powinniśmy pogadać, więc wsiadłem do samolotu i jestem.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę z tego, że tu jesteś. Świetnie wyglądasz - powiedział

McIver.

- Dziękuję, chłopie. Ty też nie wyglądasz źle. Jak się masz, tak naprawdę, Mac? - Gayallan zapytał już bardziej rzeczowo.

- Świetnie. - Hogg postawił przed McIverem kawę i kieliszek whisky, a potem to samo przed Gavallanem.

- Ach, dziękuję, Johnny. - Rozpromienił się. - Zdrowie!

- Stuknęli się kieliszkami. McIver z wdzięcznością wychylił mocny trunek. - Zmarłem jak pies. Poza tym miałem przeprawę z pewnym cholernym celnikiem! Dlaczego tu jesteś? Jakież problemy, Andy? Och, a co ze 125? I rewolucjoniści, i lojaliści są bardzo nerwowi; mogą tu wtargnąć i obłóżyć go sekwestrem.

- Johnny Hogg ma oko na wszystko. Za chwilę pomówimy o moich problemach.

Postanowiłem, że będzie lepiej, jeśli sam tu przyjadę i zorientuję się w sytuacji. Teraz bardzo ryzykujemy. Tu i gdzie indziej. Chodzi o nowe i przyszłe kontrakty. I o maszyny. X63 to prawdziwy przebój, Mac, a nawet jeszcze lepiej!

- Świetnie, wspaniale. Kiedy go dostaniemy?

- W przyszłym roku, ale omówimy to później. Teraz interesuje mnie przede wszystkim Iran.

Musimy mieć jakieś plany działania w razie nieprzewidzianych okoliczności; jak się kontaktować, i tak dalej. Wczoraj w Asz

379

Szargaz przez kilka godzin próbowałem dostać zezwolenie na lądowanie w Teheranie, ale to się nie udało. Nawet ich ambasada była nieczynna. Poszedłem do samego Al mułły, ale budynek, w którym urzęduje, był zamknięty szczelniej niż dupa komara. Zadzwoiłem do ambasadora do domu, ale był na obiedzie - przez cały dzień. W końcu wpadłem do Kontroli Ruchu Powietrznego w Asz Szargaz i zagadałem ich. Sugerowali, żebyśmy poczekali, ale namówiłem ich, żeby przynajmniej dali nam spróbować. No i jesteśmy. Przede wszystkim: jak się mają nasze operacje?

McIver opowiedział wszystko, co wiedział.

Dobry humor Gavallana ulotnił się.

- A więc Charlie zniknął, Tom Lochart ryzykuje głową i całym naszym irańskim przedsięwzięciem; czy to jest głupota, czy odwaga, to już zależy od punktu widzenia; Duke Starke w Bandar Dejlami ma kłopoty, razem z Rudim, a Kowiss jest obłożony; wyrzucono nas też z naszych biur.

- Cóż... - dodał cierpko McIver. - Zezwoliłem Tomowi na ten lot.

- Na twoim miejscu zrobiłbym chyba to samo, z tym że nie odsuwa to niebezpieczeństwa od niego, od nas ani od tego cholernego Walika razem z rodziną. Ale zgadzam się. SAVAK jest dla każdego zbyt śmierdzący. - Gavallan był najwyraźniej wstrząśnięty, choć nie zdradzała tego jego twarz. - Ian znowu miał rację.

- Ian? Dunross? Widziałeś się z nim? Co u niego słychać?

180

- Telefonował z Szanghaju. - Gavallan powtórzył treść tamtej rozmowy. - Jakie są najświeższe wiadomości o sytuacji politycznej w Iranie?

- Powinieneś wiedzieć więcej od nas. Prawdziwe wiadomości czerpiemy tylko z BBC i Głosu Ameryki. Nadal nie ma gazet. Jesteśmy skazani na plotki - odparł McIver, wspominając jednocześnie stare, dobre czasy, gdy w Hongkongu uczył Dunrossa latania małym helikopterem, zanim jeszcze dołączył do Gavallana w Aber-deen. Choć nie prowadzili wtedy zbyt rozrywkowego

380

życia, McIver bardzo sobie cenił jego towarzystwo.

- Bachtiar, przy wsparciu wojska, jest nadal najważniejszy, ale Bazargan i Chomeini deptają mu po piętach... O cholera! Zapomniałem ci powiedzieć. Kijabi został zamordowany.

- Jezu Chryste, to straszne! Ale dlaczego?

- Nie wiemy, dlaczego, jak i przez kogo. Freddy Ayre powiedział...

- Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pana.

- Rozległo się w głośniku. W spokojnym głosie Hogga brzmiała nuta ponaglenia. - Od dworca lotniczego jadą w naszym kierunku trzy samochody wypchane uzbrojonymi ludźmi.

Przyjaciele wyjrżeli przez okrągłe iluminatory. Zobaczyli samochody. Gavallan podniósł lornetkę do oczu.

- W każdym samochodzie pięciu czy sześciu ludzi. W pierwszym, z przodu, siedzi muła.

Ludzie Chomei-niego! - Opuścił lornetkę i szybko wstał. - Johnny!

Hogg stał już w drzwiach.

- Tak, proszę pana?

- Plan B! - Hogg natychmiast dał kciukiem znak drugiemu pilotowi, który zaczął otwierać przepustnicę, gdy tymczasem Gavallan narzucił parkę i w biegu złapał lekką torbę podróżną. -

Szybko, Mac! - Prowadził, przeskakując po dwa stopnie naraz. McIver biegł za nim. Po chwili znaleźli się na płycie lotniska; schodki złożyły się, drzwi zatrzasnęły, silniki zagrały i 125 rozpoczął kołowanie, nabierając szybkości. - Odwróć się tyłem do samochodów, Mac.

Nie patrz na nie, tylko na start!

To wszystko wydarzyło się tak szybko, że McIver ledwie zdążył zapiąć parkę. Jeden z samochodów oderwał się od reszty, próbując przeciąć drogę samolotowi, ale 125 już pędził

po pasie startowym. W ciągu kilku sekund oderwał się od ziemi i odleciał. Teraz przyjaciele odwrócili się do nadjeżdżających samochodów.

- Co dalej, Andy?

- To zależy od komitetu powitalnego.

- Co to jest "Plan B"?

381

Gavallan wybuchnął śmiechem.

- To lepsze niż Plan C, chłopie. Zrobiłem, co mogłem. Plan B: ja wysiadam, Johnny natychmiast startuje i nie opowiada nikomu, że musiał uciekać; wraca jutro o tej samej porze, żeby mnie zabrać; gdyby nie nawiązał ze mną łączności wzrokowej lub radiowej, opuszcza jeden dzień i przylatuje o godzinę wcześniej. I tak dalej, przez cztery dni. Potem zostaje w Asz Szargaz i czeka na dalsze polecenia.

- A Plan A?

- To gdybyśmy mogli bezpiecznie przenocować; oni pilnują samolotu, a ja śpię w twoim mieszkaniu.

Samochody zatrzymały się z piskiem opon. McIvera i Gavallana okrążyli ludzie z Zielonych Opasek z mułką na czele; wszyscy mierzyli do nich z broni i krzyczeli. Nagle Gavallan ryknął: Allahu Akbar! Wszyscy zamilkli, najwyraźniej zbici z tropu. Gavallan szerokim gestem zdjął

kapelusz, kłaniając się mulle, i wyciągnął dokument. Papier wyglądał bardzo oficjalnie, był napisany w farsy i opatrzony ogromną lakową pieczęcią. Gavallan wręczył dokument mulle.

181

- To zezwolenie na lądowanie w Teheranie, wystawione przez nowego ambasadora w Londynie - wyjaśnił beztrósco McIverowi, gdy przybyli stłoczyli się wokół mułły, zerkając na papier. -

Zatrzymałem się po drodze w Londynie, żeby je odebrać. Tam jest napisane, że jestem szychą załatwiająca sprawy służbowe, i że mogę tu przebywać i odjeżdżać bez żadnych przeszkód.

- Jak to, u diabła, załatwiłeś? - zapytał z podziwem w głosie McIver.

- Wpływy, chłopcze. Wpływy i duża heung yau. - Starannie wymówił odpowiednik słowa "piszkesz" w dialekcie kantońskim.

- Pójdzie pan z nami - odezwał się brodaty młodzieniec, stojący obok muły. Mówił z amerykańskim akcentem. - Jest pan aresztowany!

- A za cóż to, drogi panie?

- Nielegalne lądowanie bez zez...

Gavallan wymierzył palcem w papier.

- Oto oficjalne zezwolenie od waszego własnego ambasadora w Londynie! Niech żyje rewolucja! Niech żyje Ajatollah Chomeini!

Młody człowiek zawahał się, a potem przetłumaczył te słowa mulle. Przez chwilę wymieniali między sobą gniewne uwagi.

- Wy, razem, pójdziecie z nami!

- Pojedziemy za wami naszym samochodem! Chodź, Mac - powiedział twardo Gavallan.

Usadowił się na miejscu dla pasażera. McIver włączył zapłon. Mężczyźni przez chwilę nie wiedzieli, co zrobić, a potem ten, który mówił po angielsku, i jeszcze jeden usiedli z tyłu.

Obaj trzymali AK47.

- Jechać do dworca lotniczego! Jesteście aresztowani.

W budynku dworca, koło barierki, stało więcej wrogo nastawionych mężczyzn i urzędnik imigracyjny. McIver natychmiast pokazał przepustkę na lotnisko i zezwolenie na pracę, wyjaśnił, kim jest Gavallan i w jaki sposób obaj pracują dla IranOil. Próbował wymóc, żeby ich przepuścili, lecz władczym gestem nakazano mu milczenie. Urzędnik badał dokument dokładnie, choć niezdarnie; tak samo potraktował paszport McIve-ra. Przez cały czas otaczali ich młodzi ludzie; w powietrzu unosił się smród nie mytych ciał. Potem urzędnik otworzył

torbę Gavallana i dokładnie ją przeszukał. Znalazł tylko maszynkę do golenia, koszulę, bieliznę oraz piżamę. I butelkę whisky. Jeden z młodzieńców natychmiast ją skonfiskował, otworzył i wylał zawartość na podłogę.

- Dew neh loh moh - powiedział słodkim głosem po kantońsku Gavallan. McIver prawie zakrztusił

się ze śmiechu. - Za rewolucję.

Muła zadał urzędnikowi pytanie. McIver i Gavallan widzieli, jak ten się poci ze strachu. W

końcu młody człowiek znający angielski przekazał decyzję:

- Władze zatrzymają dokument i paszport, a wy złożycie wyjaśnienia później.

382

383

- Ja zatrzymam swój paszport - oświadczył spokojnie Gavallan.

- Władze zatrzymają. Wrogowie będą cierpieć. Ci, którzy łamią prawo - nielegalne lądowanie i przybycie tutaj - odcierpią islamskie kary. Jego ekscelencja chce wiedzieć, kto był z panem w samolocie.

- Tylko moja załoga, dwóch ludzi. Ich nazwiska widnieją w liście przewozowym załączonym do zezwolenia na lądowanie. Teraz proszę o paszport i ten dokument.

- Zostaną u władz. Gdzie się pan zatrzyma? McIver podał adres.

Mężczyzna przetłumaczył. Znowu wywiązała się ożywiona dyskusja.

- Mam wam powiedzieć: teraz wasze samoloty nie mogą latać i lądować bez uprzedniego zezwolenia. W całym Iranie. Teraz, w całym Iranie, wszystkie samoloty i helikoptery należą do państwa.

182

- Należą do prawowitych właścicieli. Prawnych właścicieli - powiedział McIver.

- Tak - odparł ze złośliwym uśmiechem młodzieniec. - Nasze islamskie państwo jest tym właścicielem. Nie podobają się wam nasze prawa, to wyjedźcie. Opuśćcie Iran. My was tu nie zapraszaliśmy.

- "Myli się pan. My, S-G Helicopters, zostaliśmy tu zaproszeni. Pracujemy dla waszego rządu; już od lat obsługujemy IranOil.

Młody człowiek splunął na podłogę.

- IranOil to firma Szacha. Ropa należy do państwa islamskiego, a nie do cudzoziemców.

Wkrótce wszyscy zostaniecie aresztowani za wielką zbrodnię: za kradzież irańskiej ropy!

- Bzdury! Niczego nie ukradliśmy! - obruszył się McIver. - Pomogliśmy Iranowi wejść w dwudziesty

wiek! Uważaliś...

- Opuśćcie Iran, jeśli chcecie - powtórzył rzecznik pozostałych, nie zwracając uwagi na słowa McIvera. - Teraz wszystkie rozkazy pochodzą od imama Chomei-niego, niech Allah ma go w swej opiece! On mówi:

384

żadnych lądowań ani startów bez zezwolenia. Za każdym razem, w każdej maszynie poleci też strażnik Cho-meiniego. Zrozumieliście?

- Rozumiemy to, co pan mówi - odpowiedział grzecznie Gavallan. - Czy mógłbym prosić o danie nam tego na piśmie? Rząd Bachtara może mieć coś przeciwko temu.

Mężczyzna przetłumaczył te słowa. Powitał je głośny wybuch śmiechu.

- Bachtiar odszedł - wyjaśnił młodzieniec, także zanosząc się śmiechem. - Ten pies Szacha ukrywa się. Ukrywa, rozumiecie? Imam jest rządem. Tylko on.

- Tak, oczywiście - odparł Gavallan, choć w to nie uwierzył. - Zatem możemy już iść?

- Idźcie. Jutro zgłóście się do władz.

- Gdzie i do jakich władz?

- Do władz w Teheranie.

Młodzieniec znowu przetłumaczył i znowu rozległ się gromki śmiech. Mułła schował

paszport i dokument do kieszeni. Odszedł krokiem bardzo ważnej osoby. Strażnicy ruszyli za nim, zabierając ze sobą spoconego urzędnika imigracyjnego. Większość innych ludzi rozeszła się bez widocznego celu, kilku zostało. Patrzyli na cudzoziemców, oparci o ścianę, palili.

Mieli niedbale przewieszane karabiny armii amerykańskiej. W budynku dworca lotniczego było bardzo zimno. I pusto.

- On mówił prawdę, wiecie?

Gavallan i McIver obejrżeli się za siebie. Głos należał do George'a Talbota z ambasady brytyjskiej, niskiego, szczupłego mężczyzny w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, ubranego w gruby płaszcz i papachę. Stał w drzwiach urzędu celnego obok wysokiego, sześćdziesięcioletniego mężczyzny o szerokich barach, jasnoniebieskich oczach, z wąsami tak siwymi i starannie przystrzyżonymi jak włosy. Był ciepło ubrany: szalik, miękki kapelusz i stary płaszcz. Obaj palili.

- Och, dzień dobry, George. Miło cię widzieć. - Gavallan podszedł i wyciągnął rękę na powitanie. Znał go od lat, jeszcze z Malajów, gdzie Talbot przedtem praco-385

wał, a S-G wspierała wydobycie ropy. - Od jak dawna tu jesteś?

- Od kilku minut. - Talbot zgasił papierosa i kaszlnął. - Witaj, Duncan! Tutaj jest niegorszy mętnik, nie uważasz?

- Rzeczywiście. - Gavallan spojrzał pytająco na drugiego mężczyznę.

- Och, zapomniałem. Czy mogę przedstawić pana Armstronga?

Gavallan wymienił z towarzyszem Talbota uścisk dłoni, zastanawiając się, gdzie go przedtem widział, i kim był nieznajomy. To twarde spojrzenie i mocna twarz... Pięćdziesiąt funtów przeciwko połamanemu guzikowi, że CIA. Jeśli to Amerykanin, pomyślał.

183

- Pan też jest z ambasady? - zapytał obojętnym tonem.

Armstrong uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.

- Nie, proszę pana.

Gavallan, choć wyteżył słuch, nie rozpoznał czystego akcentu angielskiego ani amerykańskiego. Jedno albo drugie, a może Kandyjczyk, pomyślał. Po dwóch słowach trudno się zorientować.

- Jesteś tu służbowo, George? - zapytał McIver.

- I tak, i nie. - Talbot podszedł do drzwi prowadzących na płytę, gdzie zostawili samochód, odciągając ich dalej od nadstawionych ciekawie uszu. - W gruncie rzeczy usłyszeliśmy wasz odrzutowiec i... pomyśleliśmy sobie, żeby sprawdzić, czy nie mógłbyś zabrać pewnych przesyłek dla Rządu Jej Królewskiej Mości. Ambasador byłby bardzo wdzięczny, ale cóż!

Dojechaliśmy akurat na czas, żeby zobaczyć start twojego samolotu. Szkoda!

- Tak czy inaczej, z przyjemnością pomogę - odparł równie ściszym głosem Gavallan. -

Może jutro?

Dostrzegł szybką wymianę spojrzeń między nowo przybyłymi i jeszcze raz pomyślał, że coś tu się nie zgadza.

- Czy to możliwe, panie Gavallan? - zapytał Armstrong.

386

- Możliwe. - Gavallan uznał, że to Anglik, choć nie był pewien.

Talbot uśmiechnął się.

- Odleciś niezależnie od tego, czy dostaniesz oficjalne zezwolenie, i bez paszportu?

- Mam kopię dokumentu. I drugi paszport. Złożyłem oficjalne podanie o zapasowy, na wszelki wypadek.

Talbot westchnął.

- Niezwykłe, ale mądre. Tak. Och, przy okazji. Bardzo chciałbym dostać kopię twojego urzędowego zezwolenia na lądowanie.

- To chyba nie jest dobra myśl. Nigdy nie wiadomo, do jakich matactw ludzie są zdolni w dzisiejszych czasach.

Talbot wybuchnął śmiechem. Potem powiedział:

- Gdybyś, powiedzmy, odlatywał jutro, byłibyśmy wdzięczni za zabranie pana Armstronga.

Zakładam, że pierwszy przystanek zrobicie w Asz Szargaz.

Gavallan zawahał się.

- Czy to formalna prośba? Talbot przywołał na twarz uśmiech.

- Formalnie nieformalna.

- Niezależnie od tego, czy dostaniemy zezwolenie albo czy będziemy mieli paszporty?

Talbot zachichotał.

- Słusznie pytasz. Gwarantuję, że dokumenty pana Armstronga będą w nienagannym porządku. - Aby zakończyć rozmowę, dodał znacząco: - Jak słusznie zauważyłeś, nie można przewidzieć, do jakich matactw ludzie w dzisiejszych czasach dojrzeli.

Gavallan skinął głową.

- Doskonale, panie Armstrong. Zamieszkać u kapitana McIvera. Może pan pozostać z nami w kontakcie. Odlot najwcześniej o 17:00. Nie będę mógł na pana czekać. W porządku?

- Dziękuję panu.

Gavallan znowu uważnie słuchał, ale nadal nie rozpoznawał akcentu.

387

- George, gdy zaczynaliśmy rozmawiać, powiedziałeś, że ten mały, arogancki sukinsyn mówił prawdę. O co chodziło? O to, że muszę się zgłosić do jakichś bliżej nie określonych władz w Teheranie?

- Nie. O to, że Bachtiar zrezygnował i przebywa w ukryciu.

McIver i Gavallan wlepili wzrok w pracownika ambasady.

184

- Dobry Boże, jesteś pewien?

- Bachtiar formalnie podał się do dymisji kilka godzin temu. Potem zniknął, co było raczej rozsądną decyzją. - Talbot mówił łagodnym, cichym głosem, podkreślając słowa wypuszczanym od czasu do czasu dymem z papierosa. - Sytuacja jest teraz dość niepewna, zatem, hmmm, niepokoimy się i... zresztą nieważne. Ubiegłej nocy szef sztabu, generał Ghara Baghi, popierany przez innych generałów, wydał całemu wojsku rozkaz powrotu do koszar.

Oświadczył, że wojsko jest teraz neutralne. W ten sposób pozbawił premiera możliwości obrony i oddał państwo Chomeiniemu.

- Neutralne? - Gavallan powtórzył z niedowierzaniem w głosie. - To niemożliwe, niemożliwe; oni popełniają samobójstwo.

- Zgoda. Ale to prawda.

- Chryste!

- Oczywiście, nie dotyczy to SAVAK-u i policji. Oni się nie poddali, choć są już skazani na klęskę. In sza a Allah, chłopie. Rowami popłynie krew, to pewne.

Ciszę przerwał McIver.

- Ale... jeśli Bachtiar... czy nie znaczy to, że jest już po wszystkim? Po wszystkim -

powtórzył z rosnącym podnieceniem. - Skończyła się wojna domowa, i Bogu niech będą dzięki. Generałowie zapobiegli prawdziwej krwawej łaźni, totalnej. Teraz sytuacja wróci do normy. Już po kłopotach!

- Och nie, staruszkule - odpowiedział mu jeszcze łagodniej Talbot. - Kłopoty dopiero się zaczynają.

WIERCENIA BELLISSIMA, 18:35. Zachód słońca wyglądał wspaniale. Zabarwione czerwono chmury wisiały nisko nad horyzontem; nad głowami czyste niebo z piękną gwiazdą wieczorną, trzy czwarte księżyc. Tutaj, na wysokości trzech tysięcy siedmiuset metrów, było bardzo zimno; na wschodzie panowały już ciemności i Jean-Luc miał kłopot z dostrzeżeniem nadlatującego helikoptera 212.

- Już leci, Gianni - krzyknął wreszcie do wiertacza.

Scot Gavallan kończył trzeci przelot. Wszyscy - wiertacze, kucharze, robotnicy, trzy koty i cztery psy oraz kanarek Gianniego Salubrio - byli już bezpieczni w Wierceniach Rosa, z wyjątkiem Maria

Guineppy, który mimo próśb Jean-Luca uparł się, że polecą na końcu.

Zostali także Gianni, Pietro i jeszcze dwóch ludzi, którzy wyłączali wszystkie urządzenia.

389

Jean-Luc spoglądał niespokojnie na nawis, który poruszał się od czasu do czasu, tak że na dół sypały się kawałki lodu i śnieg. Gdy helikopter powrócił po raz pierwszy, wszyscy wstrzymali oddech, bojąc się hałasu silnika, choć Pietro zapewnił ich, że gadanie o hałasie to przesady starych bab. Tylko dynamit albo wola boska może ruszyć masę śnieżną i wywołać lawinę.

Nawis, jakby chciał zadać kłam jego słowom, drgnął i sprawił, że stojącym pod nim ludziom zrobiło się mdło ze strachu.

Pietro szarpnął ostatnią dźwignię; turbiny dieslowskich generatorów zaczęły zwalniać obroty.

Zmęczonym ruchem otarł pot z czoła i wyszedł z kałuży ropy. Bolały go plecy i poranione mrozem ręce, ale za to szyb był już zapieczętowany i tak bezpieczny, jak tylko mógł być.

Pietro ujrzał śmigłowiec podchodzący ostrożnie do lądowania znad przepaści.

- Idziemy stąd - powiedział po włosku. - Z tym cholerstwem nie da się już nic więcej zrobić.

Jego towarzysze przeżegnali się i poczłapali w kierunku lądowiska, zostawiając go samego.

Spojrzał na nawis.

- Wyglądasz, jakbyś był żywy - mruknął. - Jak jakiś gówniany potwór, który chce połknąć mnie i moje szyby. Nie uda ci się, ty sukinsynu!

Wszedł do magazynku, gdzie przechowywano dynamit, i wziął dwa ładunki, które sam przygotował. Każdy składał się z sześciu lasek dynamitu owiniętych trzydzie-stosekundowym 185

lontem. Włożył je ostrożnie do torby, razem z zapalniczką i pudełkiem zapalek, na wypadek, gdyby zapalniczka nie działała.

- Matko Boska! - szepnął. - Spraw, żeby te nierządnicę odpaliły.

- Pietro! Hej, Pietro!

- Już idę. Mamy jeszcze dużo czasu! - Na zewnątrz ujrzał bladą, skurczoną twarz Gianniego.

- O co chodzi?

- Guineppa. Sam zobacz!

Mario Guineppa leżał na plecach. Rzęził i mrugał powiekami. Obok łóżka stał Jean-Luc; trzymał rękę na pulsie chorego.

390

- Najpierw był za szybki, a teraz nie czuję go wcale

- rzekł niespokojnie.

- Mario zrobił miesiąc temu wszystkie badania: ele-ktrokardiogram i tak dalej. Wypadły świetnie! - Pietro splunął na podłogę. - Lekarze!

- To głupota, że chciał zostać do końca - wtrącił się Gianni.

- Jest szefem. Może robić, co chce. Połóżmy go na noszach i chodźmy. - Pietro był

śmiertelnie poważny.

- Tutaj nie możemy nic dla niego zrobić. Do diabła z dynamitem; możemy go podłożyć później albo jutro.

Podnieśli Maria ostrożnie, owinęli ciepło i wynieśli z kontenera, brnąc przez śnieg do oczekującego helikoptera. Gdy doszli do lądowiska, góra jęknęła. Spojrzeli. Masa śniegu i lodu runęła. W ciągu kilku sekund lawina nabrała szybkości. Na ucieczkę nie było czasu; pozostało tylko czekanie. Narastał huk. Śnieg porwał do przepaści stojący wyżej kontener i jeden z ogromnych stalowych zbiorników, w których trzymano błoto. Potem wszystko ucichło.

- Mamma mia - westchnął Gianni i przeżegnał się.

- Myślałem, że to już koniec.

Przeżegnał się także Jean-Luc. Teraz nawis był jeszcze bardziej złowieszczy; wyrzuciły się tysiące ton śniegu i lodu, najeżone skałami. Ciągle osypywał się śnieg.

- Jean-Luc! - To był Guineppa. Otworzył oczy.

- Nie... nie czekaj... dynamit teraz... trzeba...

- On ma rację. Teraz albo nigdy - odezwał się Pietro.

- Proszę... Czuję się dobrze... Mamma mia, zróbcie to teraz!

Pobiegli do helikoptera. Szybko przymocowali nosze do przedniego rzędu siedzeń pasażerskich i zapięli pasy. Jean-Luc usiadł w kokpicie i włożył hełmofon.

- W porządku, Scot?

- Wspaniale, chłopie - odparł młody Gavallan.

- Jak się czuje Guineppa?

- Nie za dobrze. - Jean-Luc sprawdził instrumenty. Wszystkie wskaźniki świeciły zielono; dużo paliwa.

391

- Merde! Nawis zaraz runie. Popatrz tylko na niego!

Allons-y!

- Trzymaj. Przygotowałem je dla Pietra, gdy czekałem w Rosa. - Scot wręczył Jean-Lucowi dodatkową parę słuchawek, które były teraz połączone ze zwykłymi.

- Dam mu je, gdy będziemy w powietrzu. Nie czuję się tu zbyt bezpiecznie. Startuj!

Scot natychmiast otworzył przepustnice i oderwał 212 od ziemi; cofnął maszynę, odwrócił ją i wzleciał nad przepaścią. Gdy śmigłowiec wędrował do góry, Jean-Luc wpełzł do tylnej kabiny.

- Nałóż to, Pietro. Teraz masz łączność z nami, z kokcitem.

186

- Świetnie. - Pietro zajął miejsce koło drzwi.

- Gdy już zaczniemy, błagam cię na Boga, własne życie i twoją matkę: nie wypadnij.

Pietro roześmiał się nerwowo. Jean-Luc sprawdził, czy nosze z Guineppą zostały należycie umocowane, wrócił do kokpitu i włożył hełmofon.

- Słyszysz mnie, Pietro?

- Si. Si, amico.

Śmigłowiec wspinał się, zataczając koła. Zrównali się ze szczytem. Z tego miejsca nawis nie wyglądał tak groźnie. Zaczęło trochę rzucać.

- Wyżej! Jeszcze ze trzydzieści metrów, amico\ I trochę bardziej na północ.

- Tak jest, Pietro. Teraz ty jesteś nawigatorem - odparł Scot.

s

Obaj piloci skoncentrowali się. Pietro pokazał im 1 miejsce na północnym zboczu, gdzie dynamit

może | podciąć nawis tak, aby skierować lawinę poza teren wierceń.

- To może się udać - mruknął Scot. Zatoczyli krąg.

- Amico, zawieśnij w miejscu na wysokości trzydziestu metrów. Zapalę lont i wyrzucę toto na zewnątrz. Buono? - Usłyszeli, że głos Pietra lekko drży.

- Nie zapomnij o otwarciu drzwi, chłopie - zażartował ponuro Scot.

392

W odpowiedzi popłynął strumień włoskiej mowy. Scot uśmiechnął się. Prąd powietrza zniósł ich piętnaście metrów niżej, zanim pilot zdołał temu przeciwdziałać. W ciągu minuty nabrał z powrotem wysokości i ustawił maszynę we właściwym miejscu.

- Dobrze, amico. Tak trzymaj.

Jean-Luc odwrócił się, żeby wszystko widzieć. Obecni w kabinie mężczyźni wpatrywali się zafascynowani w Pietra. Pietro wyjął pierwszy ładunek; nucąc arię z Aidy, rozprostował lont.

- Matko Boska, Pietro - jęknął Gianni. - Czy na pewno wiesz, co robisz?

Pietro zacisnął w pięść lewą dłoń, prawą, z dynamitem, oparł na zgięciu łokcia lewej i wykonał znaczący gest.

- Wy tam, z przodu. Przygotujcie się - rzucił do mikrofonu i odpiął pas. Wyjrzał przez okno, skinął głową. - Dobrze, trzymajcie go tak. Gianni, uchyl te pieprzone drzwi. Reszta należy do mnie.

Podczas gdy Gianni odpinał pas i podchodził do drzwi, wiry powietrzne rzucały śmigłowcem.

- Pośpiesz się - powiedział Pietro, czując się bardzo niepewnie. Potem dodał pod adresem najbliższego mężczyzny: - Przytrzymaj mnie za pas! Otwieraj drzwi, Gianni!

Gianni uchylił drzwi na kilkadziesiąt centymetrów i przytrzymał. Wszyscy zapomnieli o chorym na noszach. Kabinę wypełnił ryk wichury. Helikopter okręcił się; dodatkowy opór otwartych drzwi utrudniał Scotowi panowanie nad maszyną. Pietro podniósł lont i nacisnął

dźwignię zapalniczki. Zawiodła. Próbował kilkakrotnie, za każdym razem coraz bardziej nerwowo.

- Matko Boska, zapal się wreszcie!

Gdy w końcu pojawił się płomień, po twarzy Pietra spływał już pot. Lont zapłonął. Pietro, trzymając się jedną ręką, pochylił się w kierunku drzwi; jego ubraniem szarpał wiatr.

Helikopter przechylił się gwałtownie; obaj mężczyźni pożałowali, że nie byli na tyle przewidujący, aby włożyć ochronne szelki. Pietro ostrożnie wyrzucił

ładunek przez szparę. Gianni natychmiast zatrzasnął drzwi i zasunął zamek. Potem zaczął kłać.

- Bomby zrzucone, odjazd! - zakomenderował Pietro, szczękając zębami z zimna. Usiadł i zapiął pas. Gdy helikopter wzbijał się wyżej, Pietro poczuł taką ulgę, że wybuchnął

śmiechem. Inni przyłączyli się do tego nieco histerycznego rechotu i wyrzeli przez okna, gdy 187

Pietro zaczął odliczanie: - sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden! - Nic się nie działo.

Śmiech ucichł tak szybko, jak przedtem wybuchł. - Jean-Luc, widziałeś, jak to spadało?

- Nie, niczego nie widzieliśmy - odparł ponuro Francuz. Nie miał ochoty na powtórkę. -

Ładunek mógł uderzyć o skałę i stracić lont. - W duchu mówił sobie jednak co innego. Głupi włoski dupojad. Nie umie nawet przymocować jakiegoś pieprzonego lontu do dynamitu. -

Powtarzamy, prawda?

- Dlaczego nie? - odpowiedział Pietro z niezmaconą pewnością siebie. - Detonator był dobry.

Chyba wdał się w to diabeł. Tak, na pewno. To się zdarza na śniegu. Śnieg to kurewska rzecz i nigdy nie wiadomo...

- Nie obwiniaj śniegu, Pietro. I nie wdał się w to diabeł, tylko Bóg - stwierdził zabobonnie Gianni i przeżegnał się. - Nie mówmy o diable, gdy jesteśmy w powietrzu.

Pietro wziął drugi ładunek i dokładnie go oglądał. Drut ścisnął mocno laski dynamitu; lont tkwił twardo na swoim miejscu.

- Widzicie! W porządku, tak jak poprzedni. Przerzuczał dynamit z ręki do ręki, a potem wyrzynał nim w fotel, żeby sprawdzić, czy lont się nie obluzuje.

- Mamma mia! - krzyknął jeden z mężczyzn. - Zwariowałaś?!

- To nie jest nitrogliceryna, amico - odpowiedział Pietro i uderzył jeszcze mocniej. -

Widzisz? Trzyma się dobrze.

- To nie jest tak twarde jak moja dupa. - Gianni mówił szybko i ze złością po włosku. -

Przestań, na miłość boską!

Pietro wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno. Szczyt znowu się zbliżał. Pietro widział już swój cel.

- Przygotuj się, Gianni. - Potem przemówił do mikrofonu: - Jeszcze trochę, signor pilot, bardziej od wschodu. Tam go zatrzymaj... Równiej... Nie możesz lecieć równiej? Szykuj się, Gianni. - Podniósł lont, trzymając zapalniczkę przy jego końcu. - Otwieraj te pieprzone drzwi!

Gianni ze złością odpiął pas, wstał i sięgnął do zamka. W tym momencie helikopter zakręcił się w miejscu. Gianni krzyknął, stracił równowagę, uderzył całym ciężarem ciała w drzwi, otwierając je szerzej, i wypadł. Jeden z kolegów złapał go jednak za pas, utrzymując na wpół w środku, na wpół na zewnątrz, szarpanego silnymi podmuchami wiatru. Przedtem, gdy tylko Gianni uchylił drzwi, Pietro zapalił lont; teraz wypadek kolegi odwrócił jego uwagę od ładunku. Instynktownie sięgnął, żeby złapać Gianniego. Dynamit wypadł mu z ręki. Wszyscy patrzyli jak zahipnotyzowani na Pietra, który nurkował pod siedzeniami w pogoni za ładunkiem wybuchowym z płonąącym wesoło lontem, toczącym się tam i z powrotem, w takt kołysania helikoptera. Niemal sztywny ze strachu Gianni chwycił mocniej obrzeże drzwiczek i zaczął wciągać się do środka; był przerażony, gdyż pasek mógł pęknąć; klął się za to, że akurat dziś włożył ten cienki, który dostał od żony na Boże Narodzenie...

Pietro dotknął palcami dynamitu. Płomień lontu oparzył mu palce, ale nie czuł bólu. Udało mu się chwycić mocniej. Ciągle jeszcze na podłodze, odwrócił się, oparł o fotel i cisnął

dynamit wraz z tym, co pozostało z lontu przez otwarte drzwi, obok Gianniego. Potem chwycił przyjaciela za nogę i pomógł wciągnąć go do środka. Ktoś zatrzasnął drzwi. Pietro i Gianni upadli na podłogę.

- Pryskamy stąd, Scot - polecił słabym głosem Jean-Luc.

Helikopter przechylił się i oddalił od północnego zbocza, lecąc na wysokości sześćdziesięciu metrów.

395

przez chwilę jeszcze szczyt pozostał ponury i nieruchomy- Potem nastąpił wybuch, którego nikt w śmigłowcu nie odczuł ani nie usłyszał. Śnieg uniósł się i zaczął osiadać. Nagle, z 188

potężnym hukiem oderwał się cały północny stok. Lawina stoczyła się do doliny, ogarniając szeroki na pół kilometra wycinek zbocza, aż wreszcie znieruchomiła. Helikopter przybliżył się.

- Mój Boże, popatrz! - zawołał Scot, wskazując przed siebie.

Nawis zniknął. Nad Bellissimą wznosił się już tylko łagodny stok. Oprócz kontenera i zbiornika, porwanych pierwszą lawiną, nic nie ucierpiało.

- Pietro! - krzyknął podniecony Jean-Luc. - Udało.... - Urwał. Pietro i Gianni dochodzili jeszcze do siebie na podłodze. Helmofon Pietra zniknął. - Scot, oni nie widzą przez swoje okna. Podejdź bliżej i odwróć go tak, żeby mogli zobaczyć!

Jean-Luc wgramolił się do kabiny pasażerskiej i walnął Pietra w plecy, gratulując mu sukcesu. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem; gdy zrozumieli, co wykrzykuje poprzez ryk silnika, zapomnieli o strachu i wyjrzeni przez okna. Kiedy zobaczyli, jak precyzyjnie eksplozja odwróciła niebezpieczeństwo, rozległy się wiwaty. Gianni objął Pietra, przysięgał

mu dozgonną przyjaźń, dziękował za ocalenie życia, za uratowanie ich wszystkich, za uratowanie miejsca pracy.

- Niente, caro - mówił wylewnie Pietro. - Czyż nie jestem człowiekiem z Aosty?

Jean-Luc stanął nad noszami i delikatnie potrząsnął Mariem Guineppą.

- Mario! Pietro to zrobił! Zrobił doskonale! Bellissima jest bezpieczna!

Guineppą nie odpowiedział. Był martwy.

PÓŁNOCNY STOK GÓRY SAWALAN, 10:10.

Noc pod bezchmurnym niebem była dotkliwie zimna. Księżyc i gwiazdy jasno błyszcząły na niebie. Kapitan Ross i jego dwa Gurkhowie ostrożnie szli za przewodnikiem i człowiekiem z CIA. Byli blisko szczytu. Żołnierze mieli na głowach kaptury, białe, maskujące pokrowce włożone na połowe mundury, rękawice i ciepłą bieliznę; mimo to dręczyło ich zimno.

Znajdowali się na wysokości około dwóch tysięcy metrów. Od celu dzieliła ich grań i pół

kilometra marszu. Nad nimi, na wysokości ponad czterech tysięcy ośmiuset metrów, wyrastał

stożkowaty zarys wygasłego wulkanu.

- Meszghi, zatrzymamy się tu i odpoczniemy - powiedział po turecku agent CIA do przewodnika. Obaj mieli na sobie grube ubrania członków szczepu.

399

- Niech tak będzie, skoro sobie tego życzysz, agha.

Przewodnik zszedł ze ścieżki w głęboki śnieg. Zaprowadził ich do małej groty, której żaden z pozostałych mężczyzn nie zauważył. Był stary i powykręcany jak wiekowe drzewo oliwne, zarośnięty i chudy; jego ubranie przypominało łachmany, ale po dwóch dniach wspinaczki zachował najwięcej sił z nich wszystkich.

- Dobrze - zgodził się agent CIA. Zwrócił się do Rossa: - Ukryjemy się tu do czasu, gdy będziemy gotowi.

Ross zdjął z ramienia karabinek, usiadł i z westchnieniem ulgi uwolnił się od swego ładunku.

Bolały go łydki, uda i plecy.

- Cały składam się z jednego dużego bólu - oświadczył z niesmakiem. - A mam być sprawny.

- Jesteś sprawny, sahib - rzekł z uśmiechem sierżant, Gurkha, zwany Tenzingiem. - W czasie następnego urlopu wejdziemy na Everest, co?

- Chyba że mnie wniesiesz - odpowiedział Ross po angielsku. Trzej żołnierze wybuchnęli śmiechem.

- Tam musi coś być - rzekł z namysłem agent. Ross spojrzął na niego. Dostrzegł, że Amerykanin

wpatruje się w noc i tysiące metrów góry, które zostawili za sobą. Gdy dwa dni temu spotkali się po raz pierwszy niedaleko Bandar-e Pahlawi, Ross, gdyby nie miał wcześniejszych informacji, pomyślałby, że agent, z czarnymi włosami, żółtawą skórą, azjatyckimi oczami i ubraniem nomady, jest Mongołem, Nepalczykiem albo Tybetańczykiem.

189

- Twoim kontaktem w CIA jest Rosemont, Vien Rosemont. To pół-Wietnamczyk, pół-

Amerykanin - poinformował pułkownik z CIA w trakcie odprawy. - Ma dwadzieścia sześć lat, przebywa tu od roku, mówi w far-si i po turecku. Jego ojciec także był w CIA. Możesz bez obaw powierzyć mu własne życie.

- Wygląda na to, że tak czy inaczej będę musiał, prawda?

- Co? No tak, jasne. Tak sędzę. Spotkacie się na południe od Bandar-e Pahlawi na tych współrzędnych.

400

On będzie miał łódź. Popłyniecie wzdłuż brzegu, aż dotrzecie na południe od granicy sowieckiej, a potem znowu bagaże na plecy.

- Czy on jest przewodnikiem?

- Nie. On tylko wie o Mekce; Mekka to krytonim stacji radarowej. Przewodnik to jego problem, on go zorganizuje. Jeśli nie stawi się na spotkanie, czekaj przez sobotnią noc. Gdyby nie było go do świtu, to znaczy, że jest zdmuchnięty, a ty jesteś wolny. W porządku?

- Tak. Co z pogłoskami o powstaniu w Azerbejdżanie?

- O ile wiemy, toczą się jakieś walki w Tebrizie i w zachodniej części. Nie koło Ardebil.

Rosemont powinien wiedzieć więcej. Wiemy, że Sowieci skoncentrowali siły i są gotowi do ruchu,

gdyby Azerbejdżanie wyparli zwolenników Bachtiaara. To zależy od ich przywódców.

Jednym z nich jest Abdollah-chan. Odwiedź go, gdybyś wpadł w kłopoty. Jest jednym z naszych lojalnych.

- W porządku. A ten pilot, Charlie Pettikin? Powiedzmy, że by nas zabrał...

- Załatw to. Tak albo inaczej. Ta operacja jest zatwierdzona przez samą górę, przez facetów od ciebie i od nas, ale nie możemy dać niczego na piśmie. Prawda*, Bob?

Drugi mężczyzna obecny na odprawie, niejaki Robert Armstrong, którego kapitan także nigdy przedtem nie widział, skinął głową.

- Tak.

- A Irańczycy? Czy oni to zatwierdzili?

- Chodzi o bezpieczeństwo narodowe, wasze i nasze. Ich też, ale oni są... zajęci. Bachtiar, no, on może nie przetrwać.

- Zatem to prawda, że Amerykanie szarpią dywan, na którym on stoi?

- Nic mi o tym" nie wiadomo, kapitanie.

- Ostatnie pytanie: dlaczego nie wysła pan swoich chłopaków?

401

Robert Armstrong odpowiedział za pułkownika:

- Wszyscy są zajęci. Nie dostaniemy szybko nikogo o tak szczególnym wyszkoleniu jak pańskie.

Jasne, że jesteśmy dobrze wyszkoleni, myślał Ross, masując ramiona, które bolały go od pasów plecaka. Umiemy się wspinać, skakać, jeździć na nartach, nurkować, zabijać po cichu lub głośno, pędzić jak wiatr za terrorystami i wrogami publicznymi, a jeśli trzeba, wysadzić wszystko w powietrze nad lub pod wodą. Dopisuje mi też cholerne szczęście, gdyż mam wszystko, czego chcę: zdrowie, uniwersytet, Sandhurst, spadochroniarzy, specjalne służby lotnicze, a nawet swych ulubionych Gurkhów. Uśmiechnął się do nich i opowiedział w ich języku nieprzyzwoity dowcip, po którym zanieśli się śmiechem. Zobaczył, że Vien Rosemont i przewodnik patrzą na niego.

- Przepraszam, ekscelencje - powiedział w farsji.

- Przypomniałem tylko braciom, żeby jakoś się zachowywali.

Meszghi nie odpowiedział i znowu wbił wzrok w otaczające ciemności.

Rosemont zdjął buty; masował stopy, żeby je rozgrzać.

- Ci faceci, których spotkałem, brytyjscy oficerowie, nie byli zaprzyjaźnieni ze swoimi żołnierzami tak jak ty

190

- zauważył.

- Może. Ja mam więcej szczęścia niż inni.

Ross kątem oka obserwował przewodnika, który wstał, podszedł do wylotu groty i zaczął nasłuchiwać. Staruszek najwidoczniej robił się coraz bardziej nerwowy. .Na ile można mu ufać? - zastanowił się Ross i spojrzał na Guenga, który był najbliżej. Niski człowieczek połapał się natychmiast i niezauważalnie skinął głową.

- Kapitan jest jednym z nas, proszę pana - wyjaśnił z dumą Tenzing. - Tak jak jego ojciec i dziad, którzy obaj byli Szeng-chanami. *

- Co to takiego?

402

- To tytuł przyznawany przez Gurkhów - powiedział Ross, starannie skrywając dumę. -

Oznacza Pana

• Góry. Nie używa się tego poza regimentem.

- Trzy pokolenia w tej samej ferajnie. Czy to jest zwyczajne?

Oczywiście, że nie jest, chciał odpowiedzieć Ross, który nie lubił osobistych pytań, ale lubił

Viena Rose-monta. Łódź przybyła na czas, podróż wzdłuż wybrzeża przebiegła bezpiecznie i szybko; oni sami ukryci pod ładunkiem. O zmroku bez problemu wyszli na brzeg i pospieszyli na spotkanie z przewodnikiem, który już na nich czekał. Potem góry. Rosemont nigdy się na nic nie uskarżał, tylko parł do przodu; żadnego zasypywania pytaniami, czego Ross oczekiwał.

Rosemont cierpliwie czekał; widział, że coś zaprzęta uwagę Rossa. Potem zobaczył, że przewodnik wychodzi z groty, waha się, wraca i kuca u wylotu z karabinem na kolanach.

- O co chodzi, Meszghi? - zapytał Rosemont.

- Nic takiego, agha. W dolinie pasą się stada, kozy i owce.

- Dobrze. - Rosemont oparł się wygodnie o skałę. Dobrze, że znaleźliśmy grootę, myślał, to dobra kryjówka. Spojrzał na Rossa i zobaczył, że ten patrzy na niego. Po chwili rzucił: -

Dobrze jest pracować w zespole.

- Jakże mamy teraz plany? - zapytał Ross.

- Gdy dotrzemy do wylotu jaskini, pójdę naprzód. Ty i twoi faceci poczekacie, dopóki wszystkiego nie sprawdzę. Dobrze?

- Jak chcesz, ale sierżant Tenzing pójdzie z tobą. Może cię osłaniać, a ja i Gueng będziemy osłaniać was obu.

Po chwili Rosemont skinął głową.

- Jasne, to brzmi rozsądnie. Sierżancie?

- Tak, sahib. Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić. Prostymi słowami. Mój angielski nie jest za dobry.

- Jest doskonały - orzekł Rosemont, ukrywając zdenerwowanie. Wiedział, że Ross stara się go rozgryźć,

403

tak jak on próbuje ich rozgryźć. Stawka była zbyt wysoka, żeby to zlekceważyć.

- Po prostu pošlesz Mekkę do diabła - powiedział mu wcześniej dyrektor. - Dysponujemy specjalistyczną drużyną, która ci pomoże. Nie wiemy, jak są dobrzy, ale to na pewno najlepsi ludzie, jakich możemy dostać. Dowodzi nimi kapitan Ross, oto jego fotografia. Ma ze sobą dwóch Gurkhów; nie wiem, czy znają angielski, ale bardzo mi ich polecano. To zawodowy oficer. Posłuchaj. Należy ci się ostrzeżenie, bo nie współpracowałeś jeszcze z Limeyami. Nie spoufalaj się z nimi; nie przechodź zbyt szybko na ty. Oni są tak wrażliwi na punkcie osobistych pytań jak kot z włosami zjeżonymi na dupie. Uważaj, dobrze?

- Jasne.

- O ile wiemy, Mekka będzie pusta, choć nadal działają nasze inne posterunki, bliżej Turcji.

Zostaniemy tak długo, jak będziemy mogli, a w tym czasie ubije się interes z nowymi 191

jokerami, Bachtialem albo Chomei-nim. Ale Mekka... Żeby szlag trafił tych, którzy narazili nas na takie ryzyko.

- Jak wielkie?

- Uważamy, że oni po prostu wycofali się w pośpiechu i niczego nie zniszczyli. Byłeś tam przecież, na Boga! Mekka jest tak nafaszerowana tym ściśle tajnym towarem - sprzętem do słuchania, patrzenia, radarem o dużym zasięgu, satelitarnymi kodami i szyframi, komputerami

- że nasz niezbyt przyjazny szef KGB, And-ropow, zostałby wybrany Człowiekiem Roku, gdyby położył na tym łapę. Czy możesz uwierzyć? Te sukinsyny po prostu zostawiły to wszystko.

- Zdrada?

- Wątpię. Po prostu durna tępota. W Sawalanie nie było nawet planu awaryjnego, gdzie indziej też nie. To zresztą nie tylko ich wina. Nikt się nie spodziewał, że Szach tak szybko się zwinie albo że Chomeini tak prędko złapie Bachtara za jaja. Nie dostaliśmy żadnego otrzeżenia, nawet od SAVAK-u.

404

A teraz musimy pozbierać rozbite kawałki, pomyślał Vien. Albo, dokładniej, wysłać je do piekła. Spojrzał na zegarek, czując się bardzo zmęczony. Oceniał noc i księżyc. Lepiej poczekać jeszcze pół godziny. Bolały go nogi i głowa. Spostrzegł, że Ross go obserwuje, i uśmiechnął się do siebie: ja nie nawalę, a ty?

- Za godzinę ruszamy - powiedział.

- Na co czekamy? - zapytał Ross.

- Potem księżyc będzie nam sprzyjał. Tu jest bezpiecznie i mamy czas. Pamiętajcie, co mamy zrobić?

- Minujemy w Mekce wszystko, co zaznaczysz, wysadzamy jednocześnie to i wejście do groty, a potem zmywamy się prosto do domu.

Rosemont uśmiechnął się i poczuł rażniej.

- Gdzie jest dla ciebie dom?

- Właściwie nie wiem. - Rossa to pytanie zaskoczyło. Nigdy go sobie nie zadawał. Po chwili powiedział, bardziej do siebie niż do Amerykanina: - Może Szkocja, może Nepal. Moi rodzice mieszkają w Katmandu; są Szkotami, tak jak ja, ale nie byli w Szkocji od pięćdziesiątego pierwszego, gdy ojciec przeszedł na emeryturę. Ja się tam urodziłem, choć do szkoły chodziłem w Szkocji. - Moim domem są oba te kraje, pomyślał. - A co z tobą?

- Waszyngton, dystrykt Kolumbia, a właściwie Falls Church w Wirginii, to prawie część Waszyngtonu. Tam się urodziłem. - Rosemont miał ochotę na papierosa, ale wiedział, że to mogłoby być niebezpieczne. - Stary był w CIA. Już nie żyje, ale przez swoje ostatnie lata mieszkał w Langley, niedaleko siedziby CIA. - Rosemont był zadowolony, że może mówić. -

Stara mieszka jeszcze w Falls Church; nie byłem tam od paru lat. Byłeś kiedyś w Stanach?

- Nie, jeszcze nie.

Wiatr przybrał trochę na sile. Obaj zaczęli nasłuchiwać.

- Zdechnie po północy - zauważył ufnie Rosemont.

405

Ross zobaczył, że przewodnik znowu zmienił pozycję. Czyżby zamierzał uciec?

- Pracowałeś już z tym przewodnikiem?

- Jasne. W zeszłym roku zszedłem z nim całe góry. Byłem tu przez miesiąc. Rutyna. Tabuny opozycjonistów infiltrowały te góry i mieliśmy na nich oko, jak i oni na nas. - Rosemont patrzył na przewodnika.

- Meszghi jest w porządku. Kurdowie nie lubią Irań-czyków, Irakijczyków czy naszych przyjaciół z drugiej strony granicy. Ale masz rację, że pytasz.

Ross odwrócił się do Gurkha.

192

- Tenzing, zjesz później. Teraz uważaj na wszystko; przede wszystkim na przewodnika. -

Tenzing natychmiast ześliznął się z tobołu, na którym siedział, i zniknął w ciemnościach nocy. - Wysłałem go na wartę.

- Dobrze - odparł Rosemont. Przez całą drogę obserwował wszystkich bardzo uważnie. Był

zachwycony ich współpracą. Zawsze ubezpieczali się nawzajem, zawsze wiedzieli, co robić, żadnych rozkazów, broń zawsze odbezpieczona. - Czy to nie jest niebezpieczne?

- zapytał wcześniej.

- Tak, panie Rosemont; jeśli się nie wie, co robi

- odpowiedział Brytyjczyk bez śladu arogancji, w każdym razie takiej, którą można by zauważyć. - Kiedy za każdym drzewem, rogiem czy skałą może czekać nieprzyjaciół, odbezpieczona lub zabezpieczona broń oznacza różnicę: zabić lub zostać zabitym.

Vien Rosemont pamiętał, jak drugi z nich dodał szczerym tonem:

- Zrobimy wszystko, co można, żeby udzielić panu wsparcia, a potem wyciągnąć pana stamtąd.

Rosemont zastanowił się wtedy znowu, czy uda się im wejść na górę, a przede wszystkim, czy zdołają się stamtąd wydostać po wykonaniu zadania. Minął prawie tydzień od czasu, gdy Mekka została porzucona. Nikt nie wiedział, czego można tam oczekiwać. Mogło nie być nikogo, ktoś mógł już spenetrować grotę, a nawet ją zająć.

- Wiesz o tym, że cała ta operacja jest zwariowana?

- My nie jesteśmy od myślenia.
- Tylko od umierania. To jest kupa gówna!
- Ja też tak uważam, jeśli to w czymś pomoże. Wtedy po raz pierwszy wybuchnęli razem śmiechem.

Rosemont poczuł się pokrzepiony.

- Posłuchaj, nie mówiłem tego wcześniej, ale cieszę się, że mam was trzech na pokładzie.

- My, że tak powiem, cieszymy się, że tu jesteśmy.

- Ross usiłował ukryć zakłopotanie wywołane jawnym komplementem. - Agha - zawołał do przewodnika.

- Zjedz z nami.

- Dziękuję, agha, ale nie jestem głodny - odpowiedział staruszek, nie ruszając się ze swego miejsca u wylotu groty.

Rosemont włożył buty.

- Macie w Iranie dużo jednostek specjalnych? - zapytał.

- Nie. Z pół tuzina. Szkolimy tylko Irańczyków. Jak uważasz, Bachtiar się utrzyma? - Ross otworzył plecak i rozdał konserwy wołowe.

- Nie. Na wzgórzach, wśród szczepów, mówi się, że w ciągu tygodnia będzie po nim.

Prawdopodobnie zostanie zastrzelony.

Ross gwizdnął.

- Aż tak źle?

- Gorzej. Mówi się też, że w ciągu roku Azerbejdżan stanie się protektoratem sowieckim.

- Cholera!

- Jasne. Ale nigdy nic nie wiadomo. - Vien uśmiechnął się. - Właśnie dlatego życie jest takie ciekawe.

Ross z nieobecny spojrzeniem podał mu powoli piersiówkę.

- Najlepszy irański bimber, jaki można kupić za pieniądze.

Rosemont skrzywił się i ostrożnie łyknął. Potem na jego twarz wypłynął promienny uśmiech.

- Jezu Chryste, to prawdziwa szkocka! Zamierzał pociągnąć potężny łyk, ale Ross był na to przygotowany i szybko chwycił butelkę.

407

193

- Powoli. To wszystko, co mamy, agha. Rosemont uśmiechnął się. Zjedli szybko. Grota była przytulna i bezpieczna.

- Byłeś kiedyś w Wietnamie? - zapytał Rosemont. Miał ochotę porozmawiać.

- Nie, nigdy. Chciałem tam wpaść, gdy jechałem z ojcem do Hongkongu, ale musieliśmy zboczyć do Bangkoku.

- Z Gurkhami?

- Nie, to było bardzo dawno. Teraz mamy tam batalion. Miałem.. - Ross zastanowił się. -

Miałem wtedy siedem czy osiem lat. Mój ojciec ma w Hongkongu jakichś dalekich krewnych, Dunrossów, tak, chyba tak się nazywają. Chodziło o coś w rodzaju zgromadzenia klanu. Nie pamiętam stamtąd nic poza jakimś trędowatym, który leżał na ziemi obok przystani promu.

Codziennie musiałem koło niego przechodzić, prawie codziennie.

- Mój ojciec był w Hongkongu w sześćdziesiątym trzecim - oświadczył z dumą Vien. - Był

wicedyrektorem placówki CIA. - Podniósł kamień i zaczął się nim bawić. - Wiesz, że jestem na wpół Wietnamczykiem?

- Tak, powiedzieli mi o tym.

- Co jeszcze ci powiedzieli?

- Tylko to, że mogę ci powierzyć własne życie. Rosemont krzywo się uśmiechnął.

- Miejmy nadzieję, że się nie pomylili. - Zaczął starannie sprawdzać swego M16. - Zawsze chciałem odwiedzić Wietnam. Mój stary, mój prawdziwy ojciec, . był Wietnamczykiem, plantatorem; zabili go na krótko przedtem, zanim się urodziłem. To było wtedy, gdy Indochiny należały do Francuzów. Dostał lanie od Wietkongu, koło Dien Bień Phu. Matka... -

Opuścił go smutek i uśmiechnął się. - Matka jest tak amerykańska jak Big Mac; gdy po raz drugi wyszła za mąż, wybrała najlepszego faceta. Żaden prawdziwy ojciec nie mógłby bardziej mnie kochać...

Nagle Gueng przeładował karabinek.

- Sahib!

408

Ross i Rosemont chwycili swą broń; usłyszeli tylko zawodzenie wiatru. Ross i Gueng rozluźnili się.

- To Tenzing.

Sierżant wyłonił się z ciemności nocy tak cicho, jak w niej zapadł. Spoglądał ponuro.

- Sahib, dużo ciężarówek na drodze w dole.

- Po angielsku, Tenzing.

- Tak, sahib. Dużo ciężarówek. Naliczyłem jednaście, w konwoju; na drodze w dolinie...

Rosemont zaklął.

- Ta droga prowadzi do Mekki. Jak daleko były te ciężarówki?

Niski człowiek wzruszył ramionami.

- W najniższym punkcie doliny. Przeszedłem na drugą stronę grani i tam... - Powiedział

słowo w języku Gurkhów, Ross podpowiedział mu angielski odpowiednik. - Występ skalny.

Droga w dolinie kręci, a potem wspina się jak wąż. Jeśli dolina jest ogonem węża, a koniec drogi głową, to cztery ciężarówki minęły już ogon.

Rosemont znowu zaklął.

- W najlepszym wypadku godzina. Lepiej...

W tym momencie usłyszeli cichy odgłos kroków. Spojrzeli na wylot grotu. W ostatniej chwili dostrzegli uciekającego przewodnika i Guenga ruszającego za nim w pogoń.

- Co, do diabła...

- Niezależnie od powodu on opuszcza okręt - powiedział Ross. - Zapomnij o nim. Czy ta godzina daje nam jakąś szansę?

- Jasne, ogromną. - Prędko założyli plecaki, a Rosemont uzbroił swój lekki karabin maszynowy. - Co z Guengiem?

194

- Dogoni nas.

- Idziemy prosto do celu, ja pierwszy. Gdybym wpadł w tarapaty, zrezygnujcie. Dobra?

Zimno było niemal fizyczną przeszkodą, przez którą musieli się przedzierać, Rosemont jednak dobrze prowadził. Wijąca się w meandrach ścieżka nie była całkowicie 409

zasypana śniegiem, światło księżyca pomagało, a buty do wspinaczki pewnie trzymały się podłoża. Szybko dotarli na grań i rozpoczęli zejście po drugiej stronie. Stok był tu pusty, bardziej śliski, tylko gdzieś tam jakieś rośliny próbowały przebić pokrywę śniegu. Prosto do wylotu grotki prowadziła droga; na śniegu widniały liczne ślady opon.

- Mogły zostać po naszych ciężarówkach - powiedział Rosemont, kryjąc niepokój. - Nie padało już od paru tygodni. - Gestem nakazał pozostałym, aby poczekał, ruszył do przodu, zeskoczył na drogę i pobiegł w kierunku wejścia. Tenzing ruszył za nim z taką samą szybkością, kryjąc się za nierównościami terenu.

Ross spostrzegł, że Rosemont zniknął w ciemnościach. Potem Tenzing. Niepokój kapitana wzrósł. Z miejsca, w którym stał, nie było widać dłuższego odcinka drogi, ginącego za zakrętem. Światło księżyca sprawiało, że turnie i szeroka dolina wyglądały złowieszczo. Ross poczuł się samotny; nienawidził czekania. Ufał jednak w powodzenie przedsięwzięcia. "Jeśli masz ze sobą Gurkhów, synu, zawsze jest szansa", powiedział kiedyś jego ojciec. "Strzeż ich, a oni zawsze będą strzegli ciebie. Nigdy o tym nie zapomnij, to pewnego dnia zostaniesz Szeng-chanem". Ross uśmiechnął się do siebie; był bardzo dumny, gdyż tytuł ten przyznawano tak rzadko: tylko tym, którzy przynieśli zaszczyt regimentowi, którzy zdobyli samotnie trudny szczyt w Nepalu, którzy posługiwali się kukri i ocalili życie Gurkha w służbie brytyjskiej. Jego dziad, kapitan Kirk Ross, MC - Master of Ceremonies - zabity w 1915 roku w bitwie nad Sommą, otrzymał tytuł pośmiertnie; ojciec, pułkownik porucznik Gavin Ross, DSO - Distinguished Service Order - dostał w Birmie w 1943 roku. A ja?

Zdobyłem już odpowiedni szczyt - K4. Na razie to wszystko, ale cóż, mam jeszcze czas...

Wyostrome zmysły Rossa zaalarmowały go nagle. Wydobył swój kukri, ale pojawił się tylko Gueng. Stał, oddychając ciężko.

410

- Zbyt wolno, sahib - szepnął z zadowoleniem w języku Gurkhów. - Dostałbym pana. -

Podniósł głowę i rozpromienił się. - Przyniosłem prezent.

To było pierwsze, co Ross zobaczył. Oczy były otwarte; strach nadal wykrzywiał twarz staruszka. Gueng go zabił, ale to ja wydałem rozkaz, pomyślał wstrząśnięty. Może po prostu przestraszył się i chciał uciec? A może był szpiegiem lub zdrajcą, który chciał wydać nas w ręce wroga?

- O co chodzi, sahib? - szepnął Gueng, unosząc ze zdziwieniem brwi.

- Nic takiego. Odłóż głowę.

Gueng odrzucił ją na bok. Potoczyła się po stoku i znieruchomiła.

- Przeszukałem go, sahib. Znalazłem to. - Wręczył Rossowi amulet. - Miał to na szyi. I to. -

Pokazał mały skórzany woreczek. - Powiesił to sobie na jądach.

Amulet był tylko tanim niebieskim kamykiem noszonym przeciwko złemu spojrzeniu.

Natomiast w woreczku znajdowała się karta w plastikowej okładce. Ross wysilił wzrok i serce lekko mu podskoczyło. W tej chwili zawroźnienie wiatru przeszło na inną nutę.

Natychmiast chwycili karabiny i pobiegli w kierunku wylotu groty, wiedząc, że Tenzing dał im sygnał: "wszystko w porządku, szybko". W przedsionku jaskini ciemności zgęstniały.

Potem, gdy oczy do nich się przystosowały, dostrzegli jaśniejszą plamkę. To była latarka z częściowo przesłoniętym szkłem.

- Tutaj, kapitanie. - Ściszy głoś Rosemonta odbijał się jednak głośnym echem. - Tędy. -

Poprowadził ich w głąb groty, a gdy upewnił się, że z zewnątrz już niczego nie widać, oświetlił ściany, aby zorientować się w położeniu. - W porządku. Możecie zapalić latarki. -

195

Grota była ogromna. Z pomieszczenia, w którym się znajdowali, odchodziły liczne tunele i korytarze; niektóre naturalne, niektóre wykute przez ludzi. Nad nimi piętrzyło się z piętnaście metrów skały. - Jesteśmy w miejscu wyładunków - wyjaśnił Rosemont. Znalazł

411

wreszcie tunel, którego szukał, i skierował do niego snop światła latarki. Na końcu zobaczyli grube, na wpół otwarte stalowe drzwi. - Powinny być zamknięte - powiedział chrapliwie. -

Nie wiem, czy tak je zostawili, czy co, ale musimy tam wejść.

Ross skinął na Tenzinga. W jego rękę natychmiast pojawił się kukri, a żołnierz ruszył i zniknął za drzwiami. Ross i Gueng automatycznie zajęli pozycje obronne. Przeciwko komu? -

pomyślał bezradnie Ross, czując się jak w pułapce. W każdym z tuneli mogło czaić się pięćdziesięciu ludzi.

Sekundy wlokły się niemiłosiernie. Znowu rozległo się zawroźnienie, tym razem już na pewno nie wiatru. Ross pierwszy minął drzwi, za nim Gueng, potem Rosemont. Gdy ten ostatni mijał drzwi, zobaczył, że Tenzing zajmuje pozycję i kryje ich. Rosemont przymknął drzwi i zapalił światła. Pozostali odetchnęli.

- Alleluja! - odetchnął z ulgą Amerykanin. - Stary powiedział, że jeśli generatory jeszcze działają, to trafiliśmy. Te drzwi nie przepuszczają światła. - Zasuwał ciężkie rygle i zawiesił

sobie latarkę na pasku.

Znajdowali się w następnej grocie, znacznie mniejszej, naturalnej, lecz przystosowanej przez ludzi do ich własnych celów. Podłogę wyrównano i położono prymitywną podłogę, wygładzono nieco ściany. Wyglądało to jak poczekalnia zastawiona biurkami i telefonami.

Wszędzie walały się śmieci.

- Ci faceci nie marnowali czasu na sprzątanie, gdy się stąd wynosili, prawda? - zauważył

gorzko Rosemont, idąc do następnego tunelu, który prowadził do kolejnej groty, zastawionej jeszcze większą liczbą biurek; umieszczono tam kilka ekranów radarowych i telefony: szare i zielone.

- Szare są wewnętrzne, zielone mają połączenie z wieżą i masztami na szczycie, a stamtąd, przez satelitę, z Teheranem, to znaczy z centralką naszej kwatery w ambasadzie i z różnymi tajnymi miejscami; mają wbudowane urządzenia szyfrujące. - Rosemont podniósł słuchawkę jednego z aparatów; sygnału nie było.

412

- Może chłopaki z łączności wykonali jednak swoją robotę. - W odległej części pomieszczenia widać było następny tunel. - Prowadzi do generatorów zasilających tę część urządzeń, które mamy załatwić. Pomieszczenia mieszkalne, kuchnie, jadalnie i warsztaty są w innych grotach, poza obszarem wyładunkowym. Osiemdziesięciu facetów pracowało tu na okrągło.

- Czy jest stąd jakieś inne wyjście? - zapytał Ross. Coraz silniej czuł, że jest w potrzasku.

- Jasne, do góry. Właśnie tam idziemy.

Nierówne stopnie prowadziły wzwyż, przez kopulaste sklepienie. Rosemont zaczął po nich wchodzić. Na podeście pojawiły się drzwi opatrzone napisem: OBSZAR ŚCISŁE TAJNY.

BEZ SPECJALNEGO ZEZWOLENIA WSTĘP WZBRONIONY. Te także były otwarte.

Gówno! - mruknął. Pomieszczenie za drzwiami było lepiej wykończone: podłoga równiejsza, ściany pomalowane na biało. Tuziny komputerów i ekranów radarowych, stopy sprzętu elektronicznego. Jeszcze więcej biurek, krzeseł i telefonów, szarych i zielonych. I dwa czerwone na środkowym biurku.

- A te do czego służą?

- Bezpośrednie połączenie z Langley przez satelitę wojskowego. - Rosemont podniósł

słuchawkę; aparat milczał. Drugi też. Agent wyjął kawałek papieru, coś sprawdził i przesunął

jakaś dźwięnię. Zaklął, gdy komputery ożyły i rozjaśniły się trzy ekrany radarowe.

196

- Sukinsyny! Zostawili wszystko na chodzie! - Wycelował palec w cztery narożne komputery.

- Rozwalcie je. To rdzeń całego systemu. '

- Gueng!

- Tak, sahib.

Gurkha zdjął plecak i zaczął wyjmować z niego ptastik i detonatory.

- Lonty półgodzinne? - upewnił się Rosemont.

- Tak. - Zafascynowany Ross wpatrywał się w jeden z ekranów. Widział wyraźnie prawie cały Kaukaz, Morze Kaspijskie, a nawet kawałek Morza Czarnego.

- Sporo tu widać.

413

Rosemont podszedł do klawiatury i nacisnął przełącznik.

Ross oniemiał. Oderwał oczy od ekranu.

- Teraz rozumiem, dlaczego tu jesteśmy.

- To tylko część.

- Chryste! Może już zacznijmy. Co z wylotem groty?

- Nie mamy czasu na porządną robotę, a po drugiej stronie tych drzwi jest tylko zwykły złom, który już i tak dawno nam wykradli. Wyszadzimy za sobą tunele i skorzystamy z wyjścia awaryjnego.

- Gdzie ono jest?

Amerykanin podszedł do jakichś drzwi. Te były zamknięte. Wyjął pęk kluczy i odnalazł

właściwy. Drzwi stanęły otworem. Za nimi pięły się stromo w górę spiralne schodki.

- Prowadzą do zbocza góry.

- Tenzing, sprawdź, czy droga jest czysta. - Tenzing wbiegł, przeskakując po dwa stopnie naraz. - Co dalej?

- Sala kodów i sejfy; zaminujemy je. Potem łączność. Generatory ostatnie. Dobra?

- Tak. - Ross czuł się coraz pewniej. - Lepiej spójrz na to, zanim zaczniemy. - Wyjął z kieszeni małą kartę w plastikowej okładce. - Gueng schwytał naszego przewodnika; zobacz, co znalazł na jego szyi.

Rosemont śmiertelnie pobladł. Na karcie widniał odcisk kciuka, kilka słów napisanych po rosyjsku i podpis.

- Legitymacja! - wybuchł. - Legitymacja komuchów!

Za nimi Gueng na chwilę znieruchomiał.

- Właśnie tak myślałem. Co tam jest napisane?

- Nie wiem. Ja też nie znam rosyjskiego, ale założę się, że to przepustka zapewniająca bezpieczeństwo. - Rosemont poczuł, że robi mu się słabo, gdy przypomniał sobie wszystkie te dnie i noce, gdy chodził ze staruszką po górach, spał obok niego i czuł się zupełnie bezpiecznie. Przez cały ten czas był namierzany. Tępo potrząsnął głową. - Meszghi był z nami przez

414

wiele lat. Należał do grupy Ali ben Hasana Karagoze, jednego z przywódców podziemia i naszych najlepszych kontaktów tu, w górach. Świetny facet; działa nawet w okolicach Baku.

Jezu! Może on zdradził! - Rosemont spojrzał na kartę. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- A ja mogę. Może miał nas wystawić? Może te ciężarówki są pełne wojska, które ma nas zgarnąć? Lepiej się pośpieszmy, co?

Rosemont skinął głową, próbując opanować strach, który go ogarniał; pomagał w tym spokój Rossa.

- Tak, tak. Masz rację. - Nadal wstrząśnięty, przeszedł do innych drzwi. Zamknięte. Szukając właściwego klucza, powiedział: - Jestem wam winien przeprosiny. Nie wiem, jak my, to znaczy ja, mogłem zrobić taki błąd i jak ten skurczybyk ominął procedurę sprawdzania, ale chyba masz rację: wystawił nas. Przepraszam, chociaż gównem to teraz pomoże.

197

- To pomaga. - Ross uśmiechnął się i strach opadł z nich obu. - To pomaga. W porządku?

- W porządku. Dziękuję. Gueng go zabił?

- Tak - odparł sucho Ross. - Przyniósł mi jego głowę, choć oni zwykle przynoszą tylko uszy.

- Jezu. Od dawna z nimi pracujesz?

- Z Gurkhami? Cztery lata.

Klucz pasował do zamka; drzwi stanęły otworem. Sala kodów była pedantycznie schludna.

Teleks, telefaks i kserokopiarki. Dziwna drukarka komputerowa z własną klawiaturą.

- To jest dekodery. Kosztował fortunę. - Na biurku leżały ołówki i pół tuzina grubych tomów.

Rosemont wziął jeden z nich do ręki. - Słodki Jezu... - Wszystkie były księgami kodów, oznaczonymi: MEKKA - TYLKO JEDEN EGZEMPLARZ. - No, przynajmniej schowali kod główny. - Podszedł do osadzonego w ścianie nowoczesnego sejfu z elektronicznym zamkiem cyfrowym, spojrzął na swoją kartkę i wybrał szyfr. Światelko oznaczające "otwarty" jednak nie zapłonęło. - Może pomyliłem numer. Przeczytaj mi te numery, dobrze?

415

- Jasne. - Ross zaczął odczytywać długą kolumnę numerów. Za nimi bezszelestnie pojawił

się Tenzing. Żaden z mężczyzn go nie usłyszał... - Jeden dwadzieścia pięć... siedem dwadzieścia jeden... sto trzy...

Wyczuli jednocześnie czyjaś obecność i odwrócili się przerażeni.

Tenzing natychmiast pozbył się zadowolonego wyrazu twarzy; starał się nie słyszeć przekleństw. Czyż Szeng-chan nie powiedział mu, aby szkolił jego syna na ścieżkach skrytości i zabijania? Czyż on sam nie przysiągł mu, że będzie go strzegł i ukradkiem uczył?

"Ale, Tenzing, na litość boską, nie pozwól, żeby mój syn się o tym dowiedział. Niech ta tajemnica pozostanie między nami"... Bardzo trudno było zaskoczyć sahiba przez całe tygodnie, myślał z zadowoleniem. Ale Gueng zaskoczył go dzisiaj, a teraz ja także. Robimy to znacznie lepiej od wroga, który otacza nas jak pszczoły swoją królową.

- Jest siedemdziesiąt pięć stopni. Prowadzą do żelaznych drzwi - zameldował Tenzing swym najbardziej służbistym tonem. - Drzwi są zardzewiałe, ale je wyważyłem. Dalej jest grot, a dalej noc; dobra droga ucieczki, sahib. Nie jest dobre tylko to, że zobaczyłem stamtąd początek konwoju. - Przerwał, gdyż chciał dobrze obliczyć. - Zostało może pół godziny.

- Wracaj do pierwszych drzwi, Tenzing, do tych, które zamknęliśmy. Zaminuj tunel z tej strony tak, żeby wybuch nie uszkodził drzwi. Wybuch za dwadzieścia minut od teraz.

Powiedz Guengowi, żeby dokładnie dostosował do tego swoje lonty. Powtórz mu mój rozkaz.

- Tak, sahib.

Ross odwrócił się do sejfu; zobaczył pot na czole Rosemonta.

- W porządku?

- Jasne. Doszliśmy do stu trzech.

- Dwa ostatnie numery to sześć sześćdziesiąt i trzydzieści jeden. - Amerykanin wybrał te numery.

powędrowała do dźwigni. - Poczekaj! - Ross otarł pot z policzka; poczuł drapanie zarostu. -

Mam nadzieję, że nie ma tu żadnej pułapki?

Rosemont spojrział na niego, a potem na sejf.

- To możliwe... Jasne, to możliwe.

- Więc wysadźmy skurczybyka w powietrze i nie ryzykujmy.

- Ja... ja muszę sprawdzić. Muszę sprawdzić, czy główny kod Mekki jest w środku.

Najważniejszy jest właśnie ten kod i dekodery. - Spojrział na mrugające światelko. - Idź do Guenga i schowaj się. Krzyknij, gdy będziesz bezpieczny. Ja... To moja robota.

Ross zawahał się. Potem skinął głową i podniósł dwie paczki z materiałem wybuchowym i detonatorem.

- Gdzie jest sala łączności?

198

- Następne drzwi.

- Czy pomieszczenie generatorów jest ważne?

- Nie. Tylko to, dekodery i te cztery komputery, choć byłoby najlepiej, gdyby to wszystko razem poszło do diabła. - Rosemont zobaczył, że Ross się oddala; spojrział na dźwignię. Serce podeszło mu do gardła. Ten skurwysyn Meszghi! Ręczyłbym za niego życiem... I ręczyłem, my wszyscy ręczyliśmy, nawet Ali Karagoze.

- Schowałeś się już? - zawołał niecierpliwie.

- Poczekaj!

- Znowu poczuł skurcz w gardle. Ross był ponownie przy nim, choć Rosemont nie słyszał jego nadejścia. Szkot trzymał długą nylonową linę do wspinaczki; szybko okręcił ją wokół dźwigni.

- Przesuń dźwignię, gdy ci powiem, ale nie otwieraj drzwi. Zrobimy to na odległość. - Ross odbiegł.

- Teraz!

Rosemont odetchnął głęboko, aby zwolnić rytm pracy serca, przesunął dźwignię i pobiegł do drugiej

groty. Ross przywołał go gestem pod ścianę, gdzie obaj przypadli do ziemi.

- Wysłałem Guenga, żeby ostrzegł Tenzinga. Gotów?

- Jasne.

417

Ross napiął linę, a potem gwałtownie szarpnął. Nie drgnęła. Szarpnął mocniej; ustąpiła na centymetry, ale nie więcej. Cisza. Nic. Obaj mężczyźni byli spoceni.

- W porządku - powiedział z ulgą Ross i wstał.

- Lepiej być ostrożnym, niż potem...

Następne słowo utonęło w huku eksplozji. Chmura pyłu i kawałków metalu wtargnęła do ich groty, wyduszając powietrze z płuc, przewracając stoły i krzesła. Wszystkie ekrany radarowe rozbłysnęły i zgasły; zgasły też światła, a jeden z czerwonych telefonów poszybował w powietrzu i rozbił się na obudowie komputera. Kurz powoli osiadał, a obaj mężczyźni w ciemnościach zanosili się kaszlem.

Rosemont pierwszy odzyskał siły. Sięgnął po latarkę

wiszącą na pasku.

- Sahib? - zawołał niespokojnie Tenzing, wbiegając do pomieszczenia z zapaloną latarką. Za nim pojawił się

Gueng.

- Nic... nic mi nie jest - wykrztusił Ross pomiędzy

atakami kaszlu.

Tenzing znalazł go na kupie gruzu. Po twarzy Rossa spływała krew, ale nie było to nic poważnego: draśnięcie kawałkiem szkła.

- Niech będą błogosławieni wszyscy bogowie - mruknął Tenzing i pomógł mu wstać.

Ross usiłował utrzymać się na własnych nogach.

- Jezu Chryste!

Rozejrzał się, jeszcze otępiały, po zdemolowanej sali, a potem ruszył w ślad za Rosemontem do pomieszczenia szyfrów. Sejf zniknął, a razem z nim dekodery, książki szyfrów, telefony. W

litej skale powstała wyrwa. Sprzęt elektroniczny zmienił się w plątaninę powyginanych kawałków metalu i przewodów. Gdzieś tam pojawiały się małe płomyki ognia.

- Jezu.

To było wszystko, co Rosemont mógł wyszeptać. Cała jego psychika buntowała się przeciwko zagładzie, o którą się otarł, a umysł krzyczał: biegnij, uciekaj z tego miejsca własnej śmierci...

418

- Słodki Jezu!

199

Amerykanin próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. -Na trzęsących się nogach doszedł do ściany i zwymiotował.

- Lepiej... - Ross stwierdził, że mówi z trudem. Dzwoniło mu w uszach, potwornie bolała go głowa, poziom adrenaliny pobił wszystkie rekordy. Spróbował powściągnąć pragnienie ucieczki. - Tenzing, skończyłeś?

- Dwie minuty, sahib. - Gurkha oddalił się biegiem.

- Gueng?

- Tak, sahib. Też dwie minuty. - Pobiegl.

Ross także podszedł do ściany i zwymiotował. Poczul się lepiej. Odnalazł butelkę i pociągnął

długi łyk, otarł usta rękawem polowego munduru i zbliżył się do Rosemonta, który opierał się o ścianę.

- Trzymaj. - Wręczył mu butelkę. - Żyjesz?

- Tak, jasne. - Rosemont nadal czuł mdłości, ale mógł już myśleć. Miał w ustach gorzki smak; splunął na kupę gruzu. Płomyki rzucały na ściany i sufit zwariowane cienie. Ostrożnie łyknął. Po chwili powiedział: - Na tej bożej ziemi nie ma nic, co dorównałoby szkockiej.

- łyknął po raz drugi i oddał butelkę. - Lepiej wynośmy się stąd.

Szybko oświetlił latarką pobojowisko, znalazł pozostałości najważniejszego dekodera i złożył je ostrożnie w następnej grocie, przy narożnym komputerze.

- Jednego nie rozumiem - powiedział bezradnie.

- Dlaczego to całe pieprzone miejsce nie wyleciało w powietrze, razem z naszymi ładunkami.

- Ja... zanim wróciłem z linką, wysłałem Guenga do Tenzinga. Powiedziałem Guengowi, żeby na wszelki wypadek powyjmowali detonatory.

- Zawsze o wszystkim pamiętasz? Ross uśmiechnął się blade.

- To należy do moich obowiązków - odparł. - Sala łączności?

Zaminowali ją bardzo szybko. Rosemont spojrział na zegarek.

419

- Osiem minut do wybuchu. Zapomnijmy o generatorach.

- Dobra. Tenzing, ty prowadzisz.

Weszli na schody awaryjnego wyjścia. Żelazna pokrywa luku zaskrzypiała przy otwieraniu.

W grocie Ross wysunął się naprzód. Ostrożnie wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się.

Księżyc był nadal wysoko. Trzysta czy czterysta metrów od nich pierwsza ciężarówka pokonywała ostatnie wzniesienie.

- Którędy, Vien? - zapytał, a Rosemont poczuł, że się rumieni.

- Do góry - odpowiedział, skrywając zadowolenie.

- Wspinamy się. Gdyby nas ścigali, zapominamy o wybrzeżu i kierujemy się do Tebrizu. Jeśli nie, to zatoczmy krąg i wrócimy tą drogą, którą przyszliśmy.

Prowadził Tenzing. Chodził po górach jak kozica, ale tym razem wybrał najłatwiejszą ścieżkę; wiedział, że Ross i Rosemont nie czują się jeszcze, zbyt dobrze. Stok był stromy, ale za to nie było zasp utrudniających wspinaczkę. Ledwie ją rozpoczęli, gdy ziemia zadygotała i rozległ się, niemal całkiem stłumiony, odgłos pierwszego wybuchu. Potem, raz za razem, nastąpiły kolejne wstrząsy.

Został jeszcze jeden, pomyślał Ross; cieszył się, że mróz przywraca mu jasność umysłu.

Ostatni wybuch

- w sali łączności, gdzie pozostawili wszystkie nadwyżki materiałów wybuchowych - był

znacznie silniejszy; tym razem ziemia naprawdę zadrżała. Poniżej, z prawej strony, skały oderwały się od zbocza, a z powstałego w ten sposób krateru buchnął dym.

- Chryste - mruknął Ross.

- Prawdopodobnie otwór wentylacyjny.

- Sahib, tam, w dole!

200

Prowadząca ciężarówka zatrzymała się u wylotu jaskini. Wyskakiwali z niej mężczyźni; niektórzy wpatrywali się w zbocze oświetlone reflektorami następnych nadjeżdżających ciężarówek. Wszyscy mężczyźni mieli karabiny.

420

Ross i jego towarzysze weszli głębiej w cień.

- Wejdziemy na tę grań - powiedział po cichu Rosemont, wskazując do góry i w lewo. -

Zejdziemy im z oczu. Potem do Tebrizu, prawie dokładnie na wschód. W porządku?

- Tenzing, naprzód!

- Tak, sahib.

Pokonali grań i skierowali się na wschód. Nie rozmawiali, oszczędzając siły. Mieli jeszcze przejść wiele, wiele kilometrów. Teren był nierówny, nękał ich śnieg. Szybko podarli rękawice, poranili dłonie, boleśnie poobijali sobie nogi o skały. Ze zmęczenia bolały ich łydki, ale uwolnieni już od ciężaru plecaków, posuwali się szybko i byli dobrej myśli.

Dotarli do jednej z przecinających góry ścieżek. Gdy tylko napotykali rozwidlenie, zawsze wybierali szlak prowadzący wyżej. W dolinach leżały liczne wioski, wysoko w górach nie.

- Lepiej zostańmy wysoko - zaproponował Rosemont. - I... i miejmy nadzieję, że nie natkniemy się na nikogo.

- Myślisz, że oni wszyscy są nieprzyjaźni?

- Jasne. W tej krainie wrogiem jest nie tylko Szach, lecz także Chomeini i wszyscy inni ludzie. - Rosemont ciężko odдыchał. - Zwykle wioski wojują z innymi wioskami. Poza tym to okolica dobra dla wszelkich band.

Gestem wysłał Tenzinga naprzód; cieszył się ze światła księżyca i z tego, że miał przy sobie tę trójkę.

Tenzing nadawał tempo, tempo górala: starannie odmierzone i nie za szybkie, stałe i mordercze. Po godzinie na czoło wysunął się Gueng, potem Ross, Rosemont i znowu Tenzing. Trzy minuty odpoczynku na godzinę marszu.

Księżyc opadł niżej. Pokonali już szmat drogi i schodzili teraz nieco w dół, przez co marsz był łatwiejszy. Ścieżka wiła się meandrami, lecz prowadziła na wschód, w kierunku przesmyku o niezwykłym kształcie. Rosemont rozpoznał to miejsce.

421

- Doliną biegnie boczna droga do Tebrizu. W zimie to tylko niewiele więcej niż szlak, ale nam wystarczy. Będziemy szli drogą do świtu, a potem odpoczniemy i pomyślimy, co dalej.

Dobra?

Zeszli poniżej strefy skał i porostów; wchodzili do lasu sosnowego. Posuwali się naprzód powoli, gdyż byli już bardzo zmęczeni.

Prowadził Tenzing. Śnieg tłumił odgłos kroków. Gurkha oddychał z przyjemnością czystym, mroźnym powietrzem. Nagle wyczuł niebezpieczeństwo i zatrzymał się. Idący za nim Ross także przystanął. Wszyscy zamarli w bezruchu. Ross ostrożnie ruszył naprzód. Tenzing wpatrywał się w ciemności; księżyc rzucał dziwne cienie. Obaj mężczyźni powoli badali wzrokiem teren. Nic. Żadnego znaku, zapachu. Czekali. Z jednego z drzew spadło trochę śniegu. Nikt się nie poruszył. Potem nocny ptak zerwał się z gałęzi, z przodu i z prawej strony, i hałaśliwie odleciał. Tenzing pokazał ten kierunek, dał znak, aby Ross pozostał na miejscu; wyciągnął kukri i zniknął w ciemnościach nocy.

Po kilku metrach Tenzing ujrzał człowieka przykucniętego za drzewem pięćdziesiąt metrów z przodu. Gdy podszedł bliżej, zauważył, że człowiek ten nie był świadom jego obecności.

Jeszcze bliżej. Potem dostrzegł kątem oka cień poruszający się z lewej strony, inny z prawej.

Już wiedział.

- Zasadzka! - krzyknął co sił w płucach i rzucił się na ziemię, szukając osłony.

Pierwsza seria chybiła. Pocisk drugiej przebił mu lewe płuco, wyrwał dziurę w plecach i rzucił go na zwalone drzewo. Po drugiej stronie drogi odezwały się następne karabiny; 201

krzyżowy ogień przygwoździł do ziemi Rossa i pozostałych, którzy wczołgiwali się za pnie drzew i w zagłębienia terenu.

Przez chwilę Tenzing leżał bez ruchu. Słyszał strzały, lecz ich odgłos dochodził z daleka, choć wiedział, że tak nie jest. Ostatnim wysiłkiem woli dźwignął się na nogi i zaatakował

karabiny, które go zabiły. Zobaczył, że kilku napastników odwraca się do niego; usłyszał

świst

422

pocisków przeszywających jego kaptur. Jeden trafił w ramię, ale Gurkha nie czuł bólu; cieszył

się, że ginie tak jak przystoi żołnierzowi regimentu. Idąc naprzód. Nieustraszenie. Naprawdę nie znam strachu. Jestem Hindusem. Idę radośnie, aby spotkać Śiwę. Gdy narodzę się ponownie, będę dziękował Brahmie, Wisznu i Siwie, gdyż znów będę Gurkha.

Gdy dotarł do miejsca zasadzki, jego kukri zahaczył o czyjeś ramię, nogi ugięły się, a ogromne, jaskrawe światło wypełniło głowę. Wkroczył w śmierć, nie zaznawszy bólu.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął Ross, odzyskując orientację i przejmując inicjatywę.

Dostrzegł dwie grupy uzbrojonych ludzi; do żadnej nie mógł się dostać. Miejsce zasadki było dobrze wybrane, a krzyżowy ogień śmiertelnie groźny. Kapitan widział, jak Tenzing został trafiony. Użył całej siły woli, żeby powstrzymać się przed pójściem po niego. Najpierw trzeba było wygrać bitwę i ochronić innych. Odgłosy strzałów odbijały się echem od zbocza góry. Wyśliznął się spod plecaka, znalazł granaty, upewnił się, że karabinek jest nastawiony na ogień ciągły... Nadal nie wiedział, jak wyprowadzić swoich ludzi z pułapki. Zobaczył

nagle Tenzinga, zrywającego się na nogi i atakującego z okrzykiem bojowym na ustach; właśnie takiego odwrócenia uwagi przeciwnika Ross potrzebował. Krzyknął głośno do Rosemonta:

- Kryj mnie! - I do Guenga: - Naprzód! - Wskazał grupę wrogów, którą atakował Tenzing.

Gueng natychmiast wyskoczył z rozpadliny, w której leżał, i popędził w kierunku nieprzyjaciół. Ich uwaga zwrócona była na Tenzinga. Gdy Gueng ujrzał śmierć swego towarzysza, wpadł w gniew. Wyciągnął zawleczkę z granatu, rzucił go w sam środek grupy i padł na śnieg. Kiedy tylko granat eksplodował, Gurkha był już na nogach i zasypywał

nieprzyjaciół gradem kul. Zobaczył, że jeden z mężczyzn ucieka, inny desperacko próbuje wczłopać się pod poszycie leśne. Jedno cięcie kukri odrąbało kawałek głowy czółgającego się. Krótka seria

423

rozerwała uciekającego na strzępy. Gueng znowu przypadł do ziemi, nie wiedząc, skąd może nadejść niebezpieczeństwo. Wybuch innego granatu sprawił, że Gurkha spojrzał na drugą stronę ścieżki.

Ross czuł się do przodu, porzucając bezpieczne schronienie. Posypał się w jego kierunku grad pocisków, ale Rosemont rozpoczął kierowany ogień krótkimi seriami, udzielając Rossowi pomocy, jakiej ten potrzebował. Ross pokonał drogę do następnego drzewa, natknął

się na zagłębienie i potoczył w dół. Przez sekundę czekał, łapiąc oddech, potem poczołgał się po zamarzniętym śniegu w kierunku, z którego dobiegał odgłos strzałów. Szybko zniknął

atakującym z oczu. Usłyszał wybuch granatu i wycie ludzi. Modlił się, aby nic się nie stało Guengowi.

Huk strzałów nieprzyjaciela dochodził z coraz mniejszego dystansu. Gdy Ross uznał, że nadszedł właściwy moment, wyciągnął zawleczkę z granatu; z karabinkiem w lewej ręce wyskoczył na wzniesienie. Zobaczył ludzi, ale nie tam, gdzie się ich spodziewał. Było ich pięciu, zaledwie dwadzieścia metrów od niego. Zwrócili do niego karabiny, Ross jednak był o ułamek sekundy szybszy; przypadł do ziemi za drzewem. Zanim jeszcze kule nieprzyjaciół

uderzyły w pień, wyrwał z granatu zawleczkę i zaczął odliczać. W czwartej sekundzie zamachnął się i cisnął granat, chroniąc głowę między ramionami. Wybuch podrzucił go nad ziemię i rozerwał pień najbliższego drzewa, przysypując Rossa kawałkami gałęzi i śniegiem.

202

Dalej, przy ścieżce, Rosemont opróżnił magazynek, strzelając tam, gdzie według niego powinien znajdować się nieprzyjaciel. Klnąc w zdenerwowaniu, wepchnął nowy magazynek i wypuścił następną serię.

Po drugiej stronie ścieżki, na przeciwległym stoku, Gueng przyciskał się do skały, czekając na ruch przeciwnika. Obok rozerwanego granatem drzewa dostrzegł skuloną sylwetkę uciekającego człowieka. Wycelował; człowiek umarł. Strzał odbił się echem. Potem zapadła cisza.

424

Rosemont poczuł, że dłużej nie usiedzi w miejscu.

- Kryj mnie, Gueng! - zawołał.

Zerwał się na nogi i pobiegł w kierunku drzewa. Obok niego świsnęły pociski, na które Gueng odpowiedział ogniem z przeciwległego stoku. Zdławiony okrzyk. Ogień ustał.

Rosemont pobiegł dalej i przypadł do ziemi. Zobaczył trzech rozerwanych na kawałki mężczyzn. Jeden jeszcze żył. Wokół wałała się broń, powyginana siłą eksplozji. Mężczyźni mieli na sobie stroje szczepowe. Na oczach Rosemonta ostatni z nich zakrztusił się i skonał.

Rosemont ruszył w kierunku Rossa; brnął w śniegu, rękoma odgarniał gałęzie drzew.

Na przeciwległym stoku Gueng czekał, obserwując swe przedpole, gotów zabić wszystko, co się poruszy. Zauważył nieznaczny ruch w miejscu, gdzie jego granat rozerwał trzech ludzi.

Czekał, starając się nie oddychać, ale stwierdził, że to tylko żerujący gryzoń. Wkrótce oczyszcza teren, pomyślał przepełniony szacunkiem dla boskiego porządku rzeczy. Przebiegał

wzrokiem pobojuwisko. Przy skale dostrzegł Tenzinga, nadal ściskającego rękójesc kukri.

Zabiorę to, pomyślał Gueng. To będzie rodzinna relikwia, którą syn Tenzinga z dumą przypnie do pasa. Tenzing Szeng-chan żył i umarł jak mężczyzna. Narodzi się ponownie wedle woli bogów. Karma.

Inny ruch. Z przodu, w lesie. Gueng skupił na nim uwagę.

Po przeciwnej stronie ścieżki Rosemont przedzierał się przez zagajnik. Wreszcie dotarł do Rossa; serce niemal przestało mu bić. Ross leżał na ziemi, obejmując rękoma głowę; przy nim karabinek. Krew splamiła śnieg i biały materiał maskujący. Rosemont uklęknął, odwrócił

Rossa na plecy i omal nie krzyknął z radości, widząc, że ten oddycha. Ross odzyskał

przytomność, zogniskował spojrzenie, usiadł i drgnął.

- Tenzing? Gueng?

- Tenzing dostał. Gueng jest z drugiej strony drogi. Kryje nas. Nic mu nie jest.

' 425

- Dzięki Bogu. Biedny Tenzing.

- Sprawdź ręce i nogi.

Ross żwawo poruszył kończynami. Były sprawne.

- Cholernie boli mnie głowa, ale poza tym nic mi nie jest. - Rozejrzał się i zobaczył

poszarpane ciała napastników. - Kim oni są?

- Ludzie ze szczepu. Może bandyci. - Rosemont badał wzrokiem okolice. Nie dostrzegł nic podejrzanego. - Lepiej wynieśmy się stąd, zanim jeszcze ktoś się zjawi. Myślisz, że możesz iść?

- Tak. Daj mi parę sekund. - Ross przyłożył do twarzy garść śniegu. Zimno pomogło. -

Dziękuję, no wiesz. Dziękuję.

Rosemont odwzajemnił uśmiech.

- To należy do moich obowiązków - odparł. Podeszedł do poległych i przeszukał ich. Niczego nie znalazł.

- Chyba miejscowi albo po prostu bandyci. Te sukinsyny są naprawdę okrutne, gdy złapią kogoś żywcem.

Ross skinął głową i poczuł kolejną falę bólu.

203

- Chyba nic mi już nie jest. Lepiej ruszajmy; strzelaninę było słychać daleko. To nie jest miejsce, w którym powinniśmy siedzieć.

Rosemont zauważył oznaki jego bólu.

- Poczekajmy jeszcze trochę.

- Nie. Ruch dobrze mi robi. - Ross zebrał się w sobie i zawołał w języku Gurkhów: - Gueng, idziemy!

- Zaczął wstawać, lecz nagle przywarł do ziemi, tknięty przecuciem niebezpieczeństwa. -

Padnij! - Pociągnął Rosemonta na ziemię.

Kula nadleciała z ciemności, wybrała Rosemonta i uderzyła w pierś, raniąc go śmiertelnie.

Następny strzał padł z przeciwległego stoku. Rozległ się krzyk, a potem zapadła cisza.

Gueng dołączył do Rossa.

- Sahib, to był chyba ostatni. Na razie.

- Tak.

Poczekali, aż Vien Rosemont skona, zrobili dla niego i Tenzinga to, co musieli zrobić, i odeszli.

426

BAZA LOTNICTWA WOJSKOWEGO W ISFA-HANIE, 5:40. Ciemności nocy pojaśniały na wschodzie. W bazie panował teraz spokój. Nie było widać nikogo oprócz islamskich strażników, którzy, razem z wielotysięcznym tłumem prowadzonym przez mułłów, objęli wczoraj bazę w posiadanie. Wszyscy żołnierze i oficerowie armii lądowej i lotnictwa przebywali w barakach pod strażą. Wolność zachowali ci, którzy otwarcie opowiedzieli się za Chomeinim i rewolucją.

Wartownik Relazi miał osiemnaście lat. Był bardzo dumny ze swej zielonej opaski i z tego, że stoi na straży przy baraku, w którym przebywają schwytani wczoraj zdrajcy - generał Walik i jego rodzina. Walika ujęto, gdy dekował się w kasynie oficerskim wraz ze swym pilotem z CIA. Bóg jest wielki, pomyślał wartownik.

427

Jutro zdrajcy trafią do piekła razem z wszystkimi występnyymi ludźmi Lewej Ręki.

Rodzina Relaziego od pokoleń trudniła się naprawianiem butów, dysponując malutkim straganem na Starym Bazarze w Isfahanie. Tak, pomyślał. Byłem tylko wyrobnikiem, dopóki, tydzień temu, nasz mułła nie wezwał mnie i wszystkich wiernych do Świętej Wojny. Dał mi opaskę Boga i ten karabin; pokazał, jak się nim posługiwać. Jak wspaniałe są ścieżki Boga!

Chłopiec schronił się przed zacinającym śniegiem po zawietrznej stronie baraku. Przenikało go zimno, mimo iż włożył wszystkie ubrania, jakie w ogóle miał: podkoszulkę, zgrzebną koszulę, kurtkę i spodnie kupione z drugiej ręki, stary sweter, a na to wszystko stary wojskowy szynel, należący niegdyś do jego ojca. Z zimna zdrętwiały mu stopy. - Widocznie tak chce Bóg - powiedział na głos i poczuł się lepiej. Niedługo mnie zmienią i znowu dostanę jedzenie. Na Boga, każdy żołnierz żyje sobie jak jakiś pasza: przynajmniej dwa posiłki dziennie, jeden z ryżem, proszę sobie wyobrazić. Co tydzień wypłata... Wypłata od szatana, ale zawsze. Kaszlnął, przerzucił karabin armii amerykańskiej na drugie ramię, wyciągnął

zachowany niedopałek papierosa i zapalił.

Na proroka, rozmyślał radośnie. Kto by przypuszczał, że tak łatwo weźmiemy bazę. Tak niewielu z nas zginęło i poszło do raju, zanim staranowaliśmy żołnierzy przy bramie i wtargnęliśmy do środka. Nasi bracia w bazie zablokowali pasy startowe ciężarówkami, a inni opanowali samolot i helikoptery, żeby zapobiec ucieczce szachowych zdrajców. Pędziliśmy na wrogów z bożym

okrzykiem: "Przyłączcie się do nas, bracia, przyłączcie się do świętej rewolucji! Pomóżcie Bogu! Idźcie do raju, a nie do piekła!"

Młodzieniec zadygotał i zaczął szeptać słowa, które zapadły mu w pamięć. Słowa mułłów czytających i tłumaczących Koran. - Żyć zawsze ze wszystkimi grzesz-204

428

nikami i przekłętymi Ludźmi Lewej Ręki, nie zaznającymi nigdy ani wytchnienia, ani napitku, lecz tylko wrzącej wody, płynnego metalu i zgniłego brudu. A gdy ognie piekła wypalą skórę, wyrośnie nowa, by ich cierpienie nie miało końca...

Zamknął oczy w ekstazie swej modlitwy. Pozwól mi umrzeć z imieniem Boga na ustach, przez co trafię prosto do Rajskich Ogrodów wraz z wszystkimi ludźmi Prawej Ręki, aby pozostać tam na zawsze, nigdy nie poczuć głodu, nigdy nie ujrzyć braci i sióstr z wzdętymi brzuchami, skamlących w agonii, nigdy nie płakać w nocy nad okropienstwem życia, lecz być w raju: "Leżeć na jedwabistych łóżkach, w szatach z zielonego jedwabiu, w otoczeniu zakwitających młodzieńców z czarami i dzbanami pełnymi wina, z takimi owocami, jakie nas najbardziej cieszą i z mięsem takich ptaków, do jakich tęsknimy. Nasze będą hurysy o dużych czarnych oczach, jak perły ukryte w muszlach, wiecznie młode, wiecznie dziewicze, wśród drzew uginających się od owoców, rzucających cień, nigdy się nie starzeć, na zawsze"...

Kolba karabinu zmiażdżyła mu nos i przód czaszki, niszcząc nieodwracalnie nerwy wzrokowe i czyniąc go ślepcem, lecz nie zabijając. Napastnik był żołnierzem równie młodym jak jego ofiara. Chwycił szybko karabinek wartownika, wyłamał nim zamek słabych drzwi i otworzył je.

- Szybko - szepnął, pocąc się ze strachu. Po chwili generał Walik ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Chłopak chwycił go za rękę. - Szybko, szybciej, na Boga - warknął.

- Może Bóg cię pobłogosławi... - odparł Walik, szczękając zębami.

Cofnął się i pojawił znowu z dwoma grubymi plikami riali, które chłopiec wcisnął do kieszeni munduru i zniknął tak cicho, jak się pojawił. Walik zawahał się, czując walenie serca.

Zobaczył w śniegu karabinek. Podniósł go, przeładował i przerzucił przez ramię.

429

Chwycił swą dyplomatkę, błogosławiąc pośpiech, z jakim rewolucjoniści ją przeszukiwali, • nie wykrywając podwójnego dna, zanim zamknęli go tutaj, aby oczekiwał na przybycie Trybunału.

- Za mną - szepnął nagłaco do członków swej rodziny. - Tylko, na Boga, nie naróbcie hałasu.

Ostrożnie idźcie za mną.

Zawinął się ciaśniej płaszczem i pobrnał przez śnieg. Jego żona Annusz, ośmioletni syn Dżalal, i

sześćcioletnia córka Setarem zawahali się w drzwiach. Wszyscy mieli na sobie stroje narciarskie, a Annusz oprócz tego futro z norek, które islamscy strażnicy nazwali najlepszym dowodem jej grzechów.

- Zachowaj je - powiedzieli obraźliwym tonem. - Ono samo wystarczy, abyś została skazana!

W nocy futro okazało się prawdziwym dobrodziejstwem. W nie ogrzewanym baraku, na brudnej podłodze mogła zawinąć w nie dzieci.

- Chodźcie, kochane - szepnęła teraz, próbując zmniejszyć ich przerażenie.

Ciało leżące na śniegu i pojękującego cicho wartownika zagradzało im drogę.

- Mamo, dlaczego on śpi na śniegu? - zapytała szeptem mała dziewczynka.

- Nieważne, kochanie, pośpiesz się. Teraz już ani słowa!

Dziewczynka spróbowała przekroczyć ciało, ale była za mała. Stała więc na nim, zachwiała się i upadła w śnieg. Nie krzyknęła; brat pomógł jej wstać. Trzymając się za ręce, pospieszyli za ojcem.

Walik prowadził rodzinę ostrożnie. Odetchnął nieco, gdy dotarli do hangaru, w którym nadal znajdował się 212.

Hangar był oddalony od głównego obozu; stał po przeciwnej stronie szerokiego pasa startowego.

Walik upewnił się, że w pobliżu nie ma wartowników, podbiegł do helikoptera i zajrzał do kabiny. Odkrył z ulgą, że w środku nikogo nie ma. Spróbował otworzyć drzwi; nie były zamknięte. Ostrożnie uchylił je szerzej i skinął na 430

205

bliskich. Po cichu zbliżyli się do niego. Pomógł im wejść do kabiny, wskoczył za nimi i zamknął drzwi od środka. - Szybko ułożył dzieci na kocach pod siedzeniami. Ostrzegł je, że cokolwiek się stanie, nie mogą zdradzić swej obecności. Usiadł obok żony, narzucił jej na ramiona koc, gdyż było bardzo zimno, i zamknął w dłoniach jej dłoni. Po policzkach Annusz płynęły łzy.

- Cierpliwości, nie płacz. To już nie potrwa długo - szepnął. - Nie będziemy długo czekać. In sza'a Allah.

- In sza'a Allah - powtórzyła łamiącym się głosem. - Ale cały świat zwariował... Wrzucili nas do brudnego baraku jak kryminalistów... Co się z nami stanie?...

- Z pomocą Boga dotarliśmy już tak daleko, więc dlaczego nie mielibyśmy dotrzeć do Kuwejtu?

Wylądowali poprzedniego dnia, przed samym południem. Lot przebiegał spokojnie. Zaufany szofer Wali-ka, który pracował u niego od piętnastu lat i który dowiózł ich na lądowisko, odprowadził samochód z powrotem. Otrzymał rozkaz, aby nie mówić nikomu, że "wyjechali do swego domu nad Morzem Kaspijskim".

- Podczas ucieczki nie możemy nikomu ufać - powiedział Walik żonie, gdy czekali na pojawienie się śmigłowca.

- Oczywiście, ale powinniśmy zabrać ze sobą Szah-razad - odrzekła. - To by pomogło jej i Tomowi Lochartowi, a także gwarantowałoby, że Tom zabierze nas dalej.

- Nie. Ona by nie wyjechała. Dlaczego miałyby wyjeżdżać? - odparł Walik. - I tak nie można Lochartowi ufać. Czy z Szahrazad, czy bez, jest cudzoziemcem, a nie jednym z nas.

- Byłoby mądrzej ją zabrać.

- Nie - sprzeciwił się, wiedząc, co może przytrafić się Lochartowi.

Przez całą drogę z Teheranu do Isfahanu siedział z przodu z Lochartem. Lecieli na niskim pułapie, unikając miast i lotnisk. Gdy Lochart wywołał kontrolę lotów 431

bazy lotnictwa w Isfahanie, okazało się, że oczekiwano ich przybycia. Wieża udzieliła im wskazówek co do lądowania i poleciła, aby nie wywoływali jej ponownie i zachowali ciszę radiową. Brygadier sił powietrznych, generał Mohammad Seladi, wuj Walika, który załatwił

im lądowanie i tankowanie, czekał na lądowisku. Powitał ich ponuro. Ponieważ zbliżała się pora obiadowa, powiedział, że powinni zjeść coś w bazie przed wyruszeniem w dalszą drogę.

- Ale, ekscelencjo Mohammad, mamy na pokładzie dość jedzenia - zaprotestował Walik.

- Muszę nalegać - rzekł nerwowo Seladi. - Muszę nalegać, ekscelencjo. Powinieneś złożyć komendantowi wyrazy szacunku. To jest konieczne, a poza tym musimy porozmawiać.

Właśnie podczas tej rozmowy Zielone Opaski i tłumy wdarły się przez bramę, aresztowały ich wszystkich i zabrały Locharta do innej części bazy. Psie syny, pomyślał ze złością Walik, aby szeźli w piekle! Zdążylibyśmy zatankować i odlecieć. Seladi to nedorajda i idiota. To wszystko przez niego...

Na piętrze odległego o pół kilometra budynku Tom Lochart spał niespokojnym snem.

Obudziło go nagle jakieś zamieszanie na korytarzu. Drzwi otworzyły się gwałtownie; oślepiło go światło latarki.

- Szybko - ponaglił ktoś po angielsku z amerykańskim akcentem.

Dwaj mężczyźni pomogli mu wstać. Dwie ledwie widoczne postaci odwróciły się i wybiegły.

Lochart pozbierał się w ułamku sekundy i popędził za nimi korytarzem, po schodach i na zewnątrz. Zatrzymał się obok tych dwóch, dysząc ciężko. Zanim zniknęli w mroku, zobaczył, że byli oficerami - kapitanem i majorem. Pobiegł za nimi. Świt rozjaśnił niebo na wschodzie.

Padał śnieg, zacierając ślady uciekinierów.

Lochart dojrzał ognisko rozpalone koło wartowni. Wokół ognia zgromadziło się kilku zaspanych rewolucjonistów. Trzej mężczyźni skręcili na widok ciężarówki 206

432

pełnej skandujących strażników i wpadli na drogę prowadzącą do hangaru i 212. Zatrzymali się w cieniu hangaru, aby złapać oddech.

- Pilot, słuchaj - powiedział major dysząc. - Gdy dam znak, pobiegniemy do śmigłowca i startujemy. Gotów?

- A co z innymi? - zapytał Lochart. Z powodu kolki ledwie mógł mówić. - Co z generałem Walikiem i jego rodzi...

- Zapomnij o nich. - Major skinął na drugiego mężczyznę. - Ali usiądzie przy tobie, a ja z tyłu. Ile czasu zabierze ci start?

- Chwilę.

- Postaraj się, żeby była krótka - powiedział major.

- Jazda!

Pobiegli do 212. Lochart, Ali i kapitan skierowali się do kokpitu. Nagle Lochart ujrzał samochód z wygaszonymi reflektorami, pędzący prosto na nich; zamarł.

- Patrz!

- Pilot, prędkiej, na Boga!

Lochart zebrał siły, wskoczył na miejsce pilota i włączył silnik. W tym momencie major szarpnął odsuwane drzwi. Skamieniał, gdy zobaczył na wysokości twarzy lufę karabinka, a za nią Walika.

- Och, to pan, majorze. Bogu niech będą dzięki...

- Dzięki Bogu, że jest pan tutaj, i że udało się panu uciec, ekscelencjo - wydyszał major, zwalczając panikę i wdrapując się do kabiny; silnik obracał już śmigło, ale daleko było jeszcze do prędkości umożliwiającej lot.

- Dzięki Bogu... Ale gdzie jest żołnierz?

- Wziął tylko pieniądze i uciekł.

- Przyniósł broń?

- Nie, mam tylko ten...

- Psi syn! - warknął z wściekłością major, a potem krzyknął do Locharta: - W imię Boga, prrrrrędziej!

Odwrócił się i spojrział na nadjeżdżający samochód, który zbliżał się szybko. Major chwycił

karabin Walika, przyklęknął w drzwiach, wycelował w kierowcę i ściągnął spust. Rozległ się huk wystrzału. Annusz i dzieci

433

krzyknęli ze strachu. Samochód gwałtownie skręcił, schodząc z linii strzału, wjechał za rząd baraków, pojawił się między nimi, tak że widać było, iż chce objechać hangar, i znowu znikł z oczu.

Lochart miał już na sobie hełmofon. Obserwował odchylające się wskazówki przyrządów, jakby chciał ponaglić je wzrokiem. Prędziej, do cholery, mruknął; jego dłonie i stopy spoczywały na urządzeniach sterowniczych, wyczekując niecierpliwie startu. Wzmagął się ryk silników, siedzący obok pilota kapitan modlił się głośno. Lochart nie mógł słyszeć łkania Annusz, płaczu przerażonych dzieci, które wypełzły spod siedzeń i wtuliły się w jej ubranie, ani też ponaglających okrzyków Walika i majora.

Strzałki pięły się do góry, ciągle do góry, już są prawie na zielonym. Teraz! Zaczął lewą ręką otwierać przepustnicę, w tym jednak momencie samochód wyjechał z za rogu hangaru i zatrzymał się naprzeciwko helikoptera, w odległości piętnastu metrów. Wskoczyło pięciu mężczyzn. Jeden z nich podbiegł do kokpitu i wycelował w Locharta lufę automatycznego karabinu. Inni podeszli do drzwi kabiny. Lochart wiedział, że jest już niemal w powietrzu; wiedział też jednak, że zginie, gdy tylko maszyna podniesie się choćby o centymetry.

Zobaczył, że mężczyzna z bronią nakazuje mu gniewnym gestem, aby nie ważył się 207 startować. Usłuchał i obejrzał się za siebie. Do kabiny wchodzili pozostali mężczyźni.

Wszyscy byli oficerami. Walik i major rzucili się im w objęcia, a potem pilot usłyszał:

- Startuj wreszcie, na Chrystusa! - i poczuł kuksańca w zębra. To był Ali, kapitan, który siedział obok.

- Startuj! - powtórzył Ali ze swym amerykańskim akcentem i dał znak mężczyźnie, który nadal mierzył do nich, stojąc na zewnątrz. Mężczyzna podbiegł, wsiadł i starannie zatrzaskał drzwi.

- Pospiesz się, do cholery, nie widzisz, co się tam dzieje?

Wskazał drugą stronę pasa startowego. Jechały do

434

nich następne samochody. Ktoś, wychylony z okna, strzelał z karabinu maszynowego.

Lochart wznosił maszynę w powietrze w ciągu kilku sekund; całkowicie skupił się na ucieczce.

W kabinie oficerowie zaczęli wiwatować, potem chwycili się, czego kto mógł, gdy helikopter gwałtownie skręcił, i zajęli miejsca siedzące. Większość miała stopień pułkownika. Niektórzy byli roztrzęsieni, zwłaszcza generał Seladi, który siedział pomiędzy Walikiem i majorem.

- Nie byłem pewien, czy to pan, ekscelencjo generale - opowiadał major. - Więc oddałem tylko strzał ostrzegawczy w powietrze. Bogu niech będą dzięki za to, że plan tak doskonale się powiódł.

- Ale chciałeś startować. Chciałeś nas zostawić! Chciałeś...

- Ależ nie, ekscelencjo wujku - przerwał łagodnie Walik. - To ten brytyjski pilot. Wpadł w panikę i nie chciał czekać! Ci Brytyjczycy! Oni nie mają jaj! Zresztą dajmy temu spokój -

dodał. - Jesteśmy uzbrojeni, mamy żywność i jesteśmy bezpieczni! Dzięki Bogu! Także za to, że mogłem to wszystko zaplanować.

Tak, pomyślał. Gdyby nie ja i moje pieniądze, wszyscy byliby martwi. Pieniądze pozwoliły przekupić człowieka, który uwolnił nas, majora i kapitana; oni z kolei Locharta, który będzie potrzebny troszkę dłużej.

- Gdyby nas zostawił, zostalibyśmy rozstrzelani! - Generał Seladi był wściekły, miał purpurową od gniewu twarz. - Oby Bóg wysłał tego pilota do piekła! Dlaczego traciliście czas, żeby go uwolnić? Ali potrafi prowadzić 212!

- Tak, ale Lochart jest bardziej doświadczony. Potrzebujemy go, aby przeprowadził nas przez labirynt.

Walik uśmiechem dodał otuchy Annusz, która siedziała naprzeciw niego, trzymając na rękach drżącą dziewczynkę. Synek siedział na podłodze; drzemał z głową na kolanach matki. Z

wysiłkiem odwzajemniła uśmiech i przesunęła nieco córeczkę, aby zmniejszyć ból 435

ramion. Walik dotknął ramienia żony, zagłębił się w fotelu i zamknął oczy. Był bardzo zmęczony, lecz zadowolony. Jesteś bardzo sprytnym człowiekiem, powiedział do siebie w myślach. W głębi serca był pewien, że gdyby nie nałgał McIverowi o SAVAK-u, który rzekomo miał aresztować jego, a zwłaszcza rodzinę, ani McIver, ani Lochart nie pomogliby im uciec. Świetnie ich oceniłem, podobnie jak Gavallana.

Głupcy! pomyślał z pogardą.

A co do ciebie, Seladi, mój głupi i drapieżny wuju, przehandlowałeś bezpieczne tankowanie w Isfahanie - którego nie zapewniłeś - za uratowanie siebie i twoich jedenastu przyjaciół.

Jesteś jeszcze gorszy: jesteś zdrajcą. Gdybym nie miał już od dawna informatora w Sztabie Generalnym, nie dowiedziałbym się na czas o zdradzie generałów; zostałbym schwytany w Teheranie jak mucha w misce miodu. Być może lojaliści zwyciężą; bitwa jeszcze nie jest przegrana, ale na razie wolę przyglądać się temu z Anglii, St. Moritz albo Nowego Jorku, mając przy sobie rodzinę.

208

Pozwolił ogarnąć się radosnemu podnieceniu. Turboodrzutowe silniki niosły ich do bezpiecznego świata: do domu w Londynie, wiejskiej posiadłości w Surrey, innej w Kalifornii, do rachunków w bankach szwajcarskich i na Wyspach Bahama. Ach tak, pomyślał

radośnie. To mi przypomina nasz zablokowany, wspólny z S-G, rachunek na Bahamach: następne cztery miliony dolarów, które nas wzbogacą - łatwo będzie teraz to wyrwać z brudnych łap Gavallana. To aż nadto, aby zapewnić sobie i rodzinie bezpieczeństwo, cokolwiek stanie się tutaj - dopóki nie powrócimy. Chomeini nie jest wieczny, nawet gdyby teraz zwyciężył. Oby Bóg przeklął go na wieki! Już niedługo będziemy mogli wrócić do domu, już niedługo Iran będzie znów normalnym krajem, a na razie mamy wszystko, czego potrzebujemy.

Usłyszał, że Seladi znowu mruczy coś o Locharcie i o tym, że pilot omal nie zostawił go w bazie.

436

- Spokojnie, ekscelencjo - powiedział Walik. Pomyślał: ty i twoje uciekające psy macie jeszcze swoją wartość. Może jako zakładnicy, może jako przynęta, kto wie? Żaden z was nie ma rodziny, oprócz ciebie, a ty nas zdradziłeś. - Uspokój się, czcigodny wuju. Z bożą pomocą pilot otrzyma to, na co zasłużył.

Tak. Lochart nie powinien wpadać w panikę. Powinien czekać na mój rozkaz. Panika jest czymś odrażającym.

Walik był bardzo zadowolony z siebie. Zamknął oczy i zasnął.

W RAFINERII IRAN-TODA, BANDARDEJ-LAM, 12:04. Scragger pogwizdywał. Ręcznie przepompowywał paliwo do głównych zbiorników wymytego i błyszczącego w promieniach słońca 206 z dużych baryłek, ustawionych rzędem na platformie małej japońskiej ciężarówki.

Nie opodal, w cieniu, młody bojownik Zielonych Opasek przykucnął sennie, podpierając się swym M16.

Południowe słońce przygrzewało mocno, a lekka bryza sprawiała, że dzień był przyjemny; tu, na wybrzeżu, powietrze było zawsze niemiłe wilgotne, czego dziś się nie odczuwało.

Scragger miał na sobie lekkie ubranie: białą koszulę z kapitańskimi epoletami, letnie czarne spodnie i buty, nieodzowne ciemne okulary i czapkę.

Zbiorniki były już pełne.

- To jest to, synu - powiedział Scragger do Japończyka, który miał mu pomagać.

- Hai, Anjin-san. Tak, panie pilocie - odparł mężczyzna.

Jak wszyscy pracownicy rafinerii, ubrany był w nieskazitelnie biały kombinezon i rękawice; na plecach widniał emblemat Iran-Toda Industries i takiż napis w farsy, umieszczony grzecznie wyżej, z japońskim odpowiednikiem nadrukowanym skromnie u dołu.

- Hai, właśnie. - Scragger posłużył się jednym ze słów, których nauczył się od Kasigiego wczoraj po drodze z Lengeh. - Teraz zbiorniki dalekiego zasięgu, a potem jeszcze zapasowe.

W celu odbycia podróży, na którą de Plessey wyraził zgodę w niedzielę wieczorem, aby uczcić zwycięstwo nad sabotażystami, Scragger wyjął tylne siedzenie i wstawił na jego miejsce dwa czterdziestogalonowe bębny.

- Po prostu na wszelki wypadek, panie Kasigi. Połączyłem je z głównymi zbiornikami.

Gdyby zaszła taka potrzeba, możemy użyć ręcznych pomp i zatankować nawet w powietrzu.

Teraz nie musimy lądować w celu uzupełnienia paliwa. Z pogodą nad zatoką nigdy nic nie wiadomo: zdarzają się tu nagle sztormy, szkwały, mgły, wiatry. Najlepiej trzymać się nad wodą, ale blisko brzegu.

- A szczęki?

Scragger roześmiał się razem z Japończykiem.

- Stara ryba młot z wyspy Charg? Zobaczymy ją przy odrobinie szczęścia, jeśli tam dolecimy i nie zawrócą nas z drogi.

- Nadal nie ma odpowiedzi z radaru na Kiszu?

- Nie, ale nie szkodzi. Mamy zezwolenie do Bandar Dejlamu. Jesteś pewien, że możemy uzupełnić paliwo w twojej fabryce?

- Tak, mamy tam cysterny paliwowe, kapitanie. Lądowiska, hangar i warsztat naprawczy.

Właśnie to wybudowaliśmy najpierw; mieliśmy kontrakt z Guer-neyem.

- Tak, tak, wiem, ale oni się wycofali, prawda?

- Owszem, jakiś tydzień temu. Może twoja spółka przejmie ten kontrakt? Może moglibyśmy cię tu zatrudnić? Trzeba obsadzić trzy 212 i może dwa 206.

Scragger zachichotał.

- Andy i Gav byliby szczęśliwi jak koty w beczce pełnej rybich ości, zasmrodzonych przez

"Brudnego" Dunca!

- Proszę?

Scragger próbował wyjaśnić dowcip o McIverze, ale gdy skończył, Kasigi nie zaśmiał się, tylko powiedział:

- Tak, teraz rozumiem. Dziwni faceci, pomyślał Scragger.

Gdy pilot zakończył tankowanie, przeprowadził kolejną gruntowną kontrolę: silnik, rotory, kadłub, choć nie miał tego dnia latać. De Plessey poprosił go, aby poczekał na Kasigiego, zawiózł go tam, dokąd Japończyk będzie chciał, i przywiózł z powrotem w czwartek do Lengeh. Helikopter 206 wypadł podczas tego przeglądu znakomicie. Zadowolony Scragger spojrzał na zegarek, a potem wymownym gestem wskazał swój brzuch.

- Czas na wyżerkę, haP.

- Hai!

Pomocnik uśmiechnął się, pokazał palcem zaparkowaną w pobliżu małą ciężarówkę, a potem główny trzypiętrowy biurowiec, oddalony o jakieś dwieście metrów.

Scragger potrząsnął głową.

- Przejdę się - powiedział, imitując palcami kroki.

Młodzieniec uklonił się, wsiadł do ciężarówki i odjechał. Scragger został jeszcze przez chwilę na miejscu. Spojrzał na wartownika, a wartownik na niego. Teraz, gdy ciężarówka odjechała, a zbiorniki paliwowe były zamknięte, czuć było zapach morza i wodorostów. Zaczynał się odpływ. Podobnie jak w Morzu Czerwonym, w zatoce jest tylko jeden pływ dziennie, gdyż jest ona płytka i otoczona lądem aż do wąskiej cieśniny Ormuz.

Scragger lubił zapach morza. Dorastał w Sydney; zawsze nad morzem. Po wojnie osiedlił się tam znowu.

440

Bywał tam w wolnym czasie pomiędzy pracą a małżeństwem; dzieci nadal tam mieszkają, pomyślał. Miał syna i dwie córki, obie zamężne i z dziećmi. Gdy Scragger wpadał podczas urlopu do domu, co zdarzało się mniej więcej raz na rok, odwiedzał rodzinę. Utrzymywali też przyjazne stosunki na

odległość.

Wiele lat temu jego żona przyjechała z dziećmi nad zatokę, aby się tu osiedlić. Po miesiącu wróciła do domu, do Sydney.

- Będziemy w Bondi, Scrag - powiedziała wtedy. - Już żadnych obcych krajów, chłopcze.

Podczas jednego z dwóch dwuletnich pobytów Scrag-gera w Kuwejcie, poznała innego mężczyznę. Gdy Scragger wrócił, oświadczyła:

- Myślę, chłopcze, że weźmiemy rozwód. Tak będzie najlepiej dla dzieci, ciebie i mnie.

Tak też postąpili. Jej drugi mąż po kilku latach umarł. Scragger zaprzyjaźnił się znowu z byłą żoną. Właściwie nigdy tak naprawdę się nie rozeszliśmy, pomyślał. Ona jest w porządku, dzieci zadowolone, ja mogę latać. Scragger nadal posyłał żonie co miesiąc pieniądze, choć powtarzała zawsze, że ich nie potrzebuje.

- Więc odkładaj je na czarną godzinę, Neli - odpowiadał.

210

Jak dotąd, odpukać w nie malowane drewno, czarna godzina nie nadeszła ani dla niej, ani dla dzieci, ani też wnuków.

Najbliższe nie malowane drewno było kolbą karabinu na kolanach rewolucjonisty.

Mężczyzna zerkał niezyczliwie na pilota ze swego miejsca w cieniu. Gówniany skurwysynu, nie zepsujesz mi tego pięknego dnia. Scragger uśmiechnął się do niego promiennie, wyprostował i rozejrzał wokół siebie.

To wspaniałe miejsce na rafinerię, pomyślał. Blisko Abadanu, przez który przebiegają główne rurociągi, łączące pola naftowe północy i południa. Wykorzystanie tego całego spalane go bezużytecznie gazu - miliardy ton na całym świecie - to wielka myśl. Ten gaz to kryminalne marnotrawstwo, gdy się nad tym zastanowić.

441

Rafineria mieściła się na przylądku. Miała własną przystań ze sztucznie pogłębionym podejściem, usytuowaną czterysta metrów od brzegu. Kasigi wspomniiał, że przystań ta będzie mogła obsługiwać docelowo dwa wielkie supertankowce naraz, niezależnie od tego, jak ogromne statki będzie się budować w przyszłości. Wokół lądowisk dla helikopterów, na wielu akrach powierzchni, ciągnęły się urządzenia i budynki do krakowania ropy, połączone kilometrowymi stalowymi i plastikowymi rurami wszelkich przekrojów; gąszcz rur z ogromnymi kranami, zaworami i stacjami pomp. Wszędzie widać było wielkie dźwigi i koparki oraz ogromne sterty materiałów budowlanych: góry cementu i piasku, siatki i pręty zbrojeniowe, hałdy wielkości boisk do piłki nożnej, kontenery chronione plandekami; na wpół

wybudowane drogi, fundamenty, przystanie i wykopy. Wszystko to zamarło jednak w bezruchu; nie pracowali ludzie, stały maszyny.

Gdy wylądowali, komitet powitalny, złożony z dwudziestu czy trzydziestu Japończyków, czekał już na lądowisku wraz z jakąś setką strajkujących Irańczyków i uzbrojonych strażników islamskich, z których niektórzy nosili opaski IOWP, pierwsze, jakie Scragger widział. Po wielu krzykach i groźbach, po wnikliwym zbadaniu dokumentów i zezwolenia od radaru na Kiszu przedstawiciel zgromadzonych Irańczyków powiedział, że przybyli mogą zostać, lecz nie wolno im opuścić rafinerii, a tym bardziej odlecieć helikopterem bez zgody komitetu.

W drodze do biurowca główny inżynier Watanabe, który mówił po angielsku, wyjaśnił, że komitet strajkowy już prawie od dwóch miesięcy sprawuje władzę. W tym czasie nie osiągnięto żadnych postępów; praca ustała.

- Nie pozwalają nam nawet konserwować sprzętu. Watanabe miał twarde spojrzenie, posiwiałe włosy

i silne dłonie człowieka pracy. Przekroczył już sześćdziesiąty rok życia. Zapalił papierosa od niedopałka poprzedniego.

- A wasze radio?

442

- Sześć dni temu zamknęli pokój radiowy, zakazali używania radiostacji i zabrali klucz.

Telefony nie działają już od kilku tygodni, a teleks od ponad tygodnia. Mamy tu jeszcze personel japoński, około tysiąca ludzi. Oczywiście nie wolno sprowadzać rodzin, gdyż są kłopoty z dostawami żywności. Od sześciu miesięcy nie dostajemy poczty. Nie możemy wyjechać; nie możemy pracować. Jesteśmy prawie więźniami; zrobienie czegokolwiek naraża nas na poważne kłopoty. Możemy tylko starać się chronić to, co już zbudowaliśmy, i czekać na lepsze czasy. Jesteśmy zaszczytzeni pańską wizytą, Kasigi-san, i pańską, kapitanie.

Scragger zostawił Japończyków samych, gdyż wyczuł narastające pomiędzy nimi napięcie, choć starali się to ukryć. Wieczorem zjadł jak zwykle lekką kolację i pozwolił sobie na jedno lodowate japońskie piwo. Niech mnie szlag, nie jest jednak tak dobre jak foster. Potem wykonał jedenastominutowe ćwiczenia zalecane przez Kanadyjskie Siły Powietrzne i położył

się do łóżka.

211

Przed północą, gdy jeszcze czytał, rozległo się ciche pukanie. Pojawił się Kasigi. Przeprosił, że przeszkadza, ale uznał, że Scragger powinien natychmiast poznać najnowsze wiadomości.

Kasigi usłyszał je przez radio od rzecznika Chomeiniego w Teheranie. Rzecznik poinformował, że wojsko opowiedziało się za Chomeinim, premier Bachtiar podał się do dymisji. Iran uwolnił się od

jarzma Szacha. Z rozkazu Chomeiniego należy zaprzestać walk, zakończyć strajki, wznowić produkcję ropy, otworzyć bazy i sklepy. Mężczyźni mają oddać broń i powrócić do pracy, a nade wszystko mają dziękować Bogu za zwycięstwo.

Kasigi rozpromienił się.

- Teraz możemy znowu zacząć. Dzięki niech będą bbgom, co? Teraz wszystko wróci do normy.

Gdy Kasigi odszedł, Scragger leżał nadal przy zapalonym świetle. Przebiegał myślą wszelkie możliwe scenariusze dalszych wydarzeń. A niech mnie! Jak szybko to poszło. Założyłbym się o ciężką forszę, że Szach nie da się wyrzucić, o jeszcze cięższą, że Chomeini nie wygra; potem 443 postawiłbym cały majątek na to, że wojskowi zrobią przewrót.

Zgasił światło. Guzik wiesz, Scrag, stary chłopie, pomyślał. Dopiero się okaże, co będzie dalej.

Rano obudził się wcześniej, przyjął oferowaną mu zieloną japońską herbatę zamiast bardzo mocnej indyjskiej, którą pijał zawsze z mlekiem skondensowanym, i udał się do helikoptera, aby go sprawdzić, umyć i uzupełnić paliwo. Teraz to wszystko było już zrobione, a on czuł

wielki głód. Skinął głową strażnikowi, który nie zwrócił na to uwagi, i odszedł w kierunku trzypiętrowego biurowca.

Kasigi stał przy oknie na najwyższym piętrze, gdzie mieściły się biura kierownictwa. Był w sali konferencyjnej - obszernym narożnym pomieszczeniu, wyposażonym w ogromny stół i dwadzieścia krzeseł. Obserwował obojętnie 206 i Scraggera; w głowie miał zamęt, trudno mu było opanować gniew. Już od wczesnego ranka przeglądał kosztorysy, sprawozdania, rachunki, projekty i temu podobne dokumenty. Wszystkie mówiły to samo: następny przynajmniej miliard dolarów i kolejny rok, zanim będzie można rozpocząć produkcję.

Dopiero po raz drugi wizytował rafinerię, gdyż nie należało to do jego zwykłych obowiązków, choć był dyrektorem i członkiem Komitetu Wykonawczego Prezesa, to jest najwyższego organu ich przemysłowego kompleksu.

Główny inżynier Watanabe siedział przy olbrzymim stole. Jak zwykle robił wrażenie spokojnego i nieustannie palił. Na stanowisku zastępcy głównego inżyniera pracował tu od początku, to jest od 1971 roku. Obowiązki głównego inżyniera pełnił od dwóch lat, to znaczy od chwili, gdy jego poprzednik zmarł na atak serca.

Nic dziwnego, myślał ze złością Kasigi. Dwa lata temu musiał już zorientować się, że nasz maksymalny budżet, ustalony na 3,5 miliarda dolarów, nie jest wystarczający, że został

znacznie przekroczony już wtedy, i że daty dostaw są absolutnie nierealne.

444

. - Dlaczego główny inżynier Kasusaka nas nie poinformował? Dlaczego nie sporządził

specjalnego raportu?

- Zrobił to, Kasigi-san - odparł grzecznie Watanabe.

- Ale zgodnie z tutejszymi umowami joint venture wszystkie raporty przechodzą przez naszych mianowanych sędownie wspólników. To taki irański zwyczaj. Zawsze rozpoczyna się od joint venture, pół na pół, ze wspólną odpowiedzialnością. Potem Irańczykom udaje się jakoś manipulować zebraniem, kontraktami i klauzulami; zwykle wytłumaczeniem jest Szach albo sąd, tak że przejmują de facto kontrolę i... - Wzruszył ramionami.

- Nie ma pan pojęcia, jacy oni są sprytni, znacznie gorsi od kupców chińskich. Zgadniają się na kupno całego zwierzęcia, a potem zabierają tylko stek i zostawiają człowieka z gorszym mięsem. - Zgasił na wpół wypalonego papierosa i zapalił następnego. - Tu, w tym biurze, na 212

krótco przed śmiercią głównego inżyniera, odbyło się zebranie całej rady wspólników z udziałem Gyokoto-mo-sama, samego Yoshi Gyokotomo, przewodniczącego syndykatu.

Byłem na tym zebraniu. Kasusaka-san ostrzegał wszystkich, że irańskie opóźnienia i biurokratyczne przeszkody - właściwym określeniem byłoby wyciskanie nas jak cytryny -

mogą przesunąć datę rozpoczęcia produkcji i spowodować przekroczenie planowanych kosztów. Byłem tam i słyszałem to na własne uszy. Kasusaka został zdominowany przez irańskich wspólników, którzy obiecali przewodniczącemu, że wszystko zostanie lepiej zorganizowane, że Kasusaka-san nie rozumie Iranu i sposobu, w jaki prowadzi się interesy w tym kraju. - Watanabe spojrzał na czubek swego papierosa.

- Kasusaka-san powiedział nawet to samo Gyokoto-mo-samowi na osobności, błagając go, aby się strzegł. Wręczył mu też szczegółowe sprawozdanie na piśmie.

Twarz Kasigiego stężała.

- Czy był pan obecny przy tym spotkaniu?

- Nie, ale Kasusaka wszystko mi powtórzył. Powiedział, że Gyokotomo-sama przyjął sprawozdanie i stwierdził, że przedstawi je na najwyższym szczeblu w Teheranie 445

i w kraju, w Japonii. Nic się jednak nie wydarzyło, Kasigi-san. Nic.

- Gdzie jest kopia tego sprawozdania?

- Nie ma żadnej. Następnego dnia przed odlotem do Teheranu Gyokotomo rozkazał, aby zniszczyć wszystkie kopie. - Starszy człowiek znów wzruszył ramionami.

- Zadaniem głównego inżyniera Kasusaki i moim było, i jest, wybudowanie rafinerii, a nie mieszanie się do spraw syndykatu. - Watanabe zapalił nowego papierosa od resztek poprzedniego, głęboko się zaciągnął i delikatnie zgasił niedopałek, pokonując chęć rąbnienia popielniczką i rozwalenia jej na

kawałki razem z biurkiem, budynkiem i całą fabryką, razem z tym intruzem Kasigim, który ośmielał się go przepytawać, który niczego nie wiedział, który nigdy nie pracował w Iranie, a swą wysoką pozycję w firmie zawdzięczał pokrewieństwu z rodem Tody.

- W przeciwieństwie do głównego inżyniera Kasusaki

- dodał łagodnie -ja przechowuję kopie swych miesięcznych sprawozdań przez całe lata.

- So kał - zapytał Kasigi, starając się, żeby zabrzmiało to rzeczowo.

- Tak - odparł Watanabe. A kopie tych kopii w bardzo bezpiecznym miejscu, pomyślał

ponuro, wyjmując z teczki gruby plik papierów i kładąc je na stole. To na wypadek, gdybyś chciał zwalić na mnie odpowiedzialność za niepowodzenia, dodał w myślach. - Może je pan przeczytać.

- Dziękuję. - Kasigi z trudem zwalczył pokusę, by chwycić papiery natychmiast.

Watanabe zmęczonym ruchem potarł twarz. Przygotowywał się do tej rozmowy i nie spał prawie przez całą noc.

- Gdy tylko sytuacja wróci do normy, prace będą postępowały szybko. Wykonaliśmy je już w osiemdziesięciu procentach; uważam, że przy właściwym planowaniu możemy wszystko skończyć. Propozycje są spisane w moich sprawozdaniach, łącznie z przebiegiem zebrania i rozmowy z Gyokotomo-sama.

446

- Jakie ogólne rozwiązanie zaleca pan Iran-Todzie?

- Nie ma żadnego, dopóki sytuacja nie wróci do • normy.

- Już wróciła. Słuchał pan radia.

- Tak, Kasigi-san, ale norma oznacza dla mnie sprawowanie pełnej władzy przez rząd Bazargana.

- To kwestia dni. Pańska propozycja?

- Jest prosta: zdobyć nowych wspólników, którzy będą współpracować, i załatwić pieniądze, których potrzebujemy. Jeśli to się uda, rozpoczniemy produkcję za niecały rok.

213

- Czy można zmienić wspólników?

Głos Watanabe stał się tak cienki jak jego usta

- Obecni wspólnicy są mianowani albo zatwierdzeni przez sąd; są zatem ludźmi Szacha, a więc

podejrzanymi lub wrogami. Od powrotu Chomeiniego żaden z nich nawet się nie odezwał. Krąży plotki, że wszyscy uciekli, ale... - Watanabe wzruszył potężnymi ramionami. -

Nie mogę tego sprawdzić, nie mając teleksu, telefonu i żadnego środka transportu. Poza tym wątpię, czy postawa nowych wspólników będzie inna.

Kasigi skinął głową i wyjrzał przez okno. Łatwo jest zwać wszystko na Irańczyków, zmarłego, tajne spotkania i zniszczone raporty. Przewodniczący Yoshi Gyokotomo nie wspomniał nigdy o żadnym spotkaniu z Kasusa-ką ani o raporcie. Dlaczego Gyokotomo miałby ukrywać tak ważne sprawozdanie? To śmieszne: on i jego firma ryzykują tak samo jak my. Dlaczego? Jeśli Watanabe mówi prawdę i jeśli dowodzą tego jego sprawozdania, to dlaczego?

Nagle Kasigiego olśniło zrozumienie; widać to było po jego twarzy, co nie uszło uwagi Watanabe. Dlatego, że ogromne przekroczenie kosztów i błędy w zarządzaniu kompleksem przemysłowym Iran-Toda, w połączeniu z załamaniem na rynku światowego shippingu, złamią Toda Shipping Industries, złamią osobiście Hiro Todę i otworzą drogę do przejęcia naszej firmy! Przejęcia przez kogo? Oczywiście przez Yoshi Gyokotomo! Oczywiście 447

przez tę rodzinę parweniuszy, którzy nienawidzą nas, wysoko urodzonych, potomków samurajów od pradawnych czasów...

Kasigi po raz drugi odniósł wrażenie, że jego mózg zaraz eksploduje. Oczywiście: Yoshi Gyokotomo, ale rzecz jasna z pomocą i za poduszczeniem naszych odwiecznych rywali Mitsuware Industries! Och, Gyokotomo stracą fortunę, ale zniosą jakoś swój udział w stratach, gdy posmarują właściwe ręce i przekonają tych, co trzeba, aby wzięli udział w pokrywaniu strat Tody, a potem, z błogosławieństwem MITI, wchłonęli przedsiębiorstwo i zaczęli nim właściwie zarządzać. Razem z rodem Todów padną krewni: Kasigowie i Kayamowie. Równie dobrze mógłbym umrzeć.

Oh kol

I to ja mam przywieźć te straszliwe wieści! Sprawozdania Watanabe niczego nie udowodnią, gdyż Gyokotomo wszystkiemu zaprzeczy, oskarży mnie o oszczerstwo i zacznie rozpowiadać, że raporty są oczywistym dowodem złego zarządzania w Hiro Todzie. Tak czy inaczej, będę miał kłopoty. Może Hiro Toda chciał właśnie mnie wrzucić w sam środek tego błaganu! Może chce mnie zastąpić jednym ze swych braci lub kuzynów...

Rozległo się pukanie, a w chwilę potem otworzyły się drzwi. Do sali wpadł przerażony asystent Watanabe. Przepraszał gęsto za to, że przeszkadza.

- Och, tak mi przykro, Watanabe-san, przepraszam, Watanabe-san...

- O co chodzi? - przerwał mu ostro Watanabe.

- Przybyły siły komitetu, Watanabe-san, Kasigi-sa-ma! Proszę spojrzeć! - Pobladły młodzieniec wskazywał okna wychodzące na teren przed frontem budynku.

Kasigi pierwszy dopadł okna. Przed głównym wejściem stała ciężarówka wypełniona

rewolucjonistami. Za nią nadjeżdżały następne, a także samochody osobowe. Wyskakiwali z nich mężczyźni i łączyli się w przypadkowe grupy.

Akurat zbliżył się do nich Scragger. Przystanął, a potem ruszył w kierunku drzwi; zatrzymano go jednak

448

wymachiwaniem rąk, gdy przed wejście zajechał duży mercedes. Z tylnego siedzenia podniósł się zwałisty mężczyzna z białą brodą, w czarnych szatach i czarnym turbanie.

Towarzyszył mu młodszy mężczyzna z wąsami, w cienkiej koszuli bez kołnierzyka. Obaj nosili okulary. Watanabe wstrzymał oddech.

214

- Kim oni są? - zapytał Kasigi.

- Nie wiem, ale ajatollah oznacza kłopoty. Mul-łowie noszą białe turbany, ajatollahowie czarne. - Obaj mężczyźni, otoczeni szóstką strażników, weszli do budynku. - Przyprowadź ich tu, Takeo, z całym ceremoniałem. - Młodzieniec natychmiast wypadł z sali. - Tylko raz odwiedził nas ajatollah, w zeszłym roku, po pożarze w Abadanie. Zwołał wszystkich irańskich pracowników, przemawiał do nich trzy minuty, a potem, w imieniu Chomeiniego, kazał strajkować. - Twarz Watanabe wyglądała jak maska. - Od tego właśnie zaczęły się nasze kłopoty.

- Co teraz? - zapytał Kasigi.

Watanabe wzruszył ramionami, podszedł do biurka, wziął fotografię Chomeiniego, której Kasigi przedtem nie zauważył, i powiesił ją na ścianie.

- To po prostu grzeczność - wyjaśnił Watanabe z sardonicznym uśmiechem. - Może usiądziemy? Oni oczekują przestrzegania form. Proszę zająć miejsce u szczytu stołu.

- Nie, Watanabe-san. Pan tu dowodzi. Ja jestem tylko gościem.

- Jak pan sobie życzy. Watanabe zajął swe zwykłe miejsce i spojrzał na drzwi.'

Ciszę przerwał Kasigi.

- O co chodziło z tym pożarem w Abadanie?

- Och, przepraszam - powiedział grzecznie Watanabe, choć zdumiał się, że Kasigi nie wiedział o tak ważnym wydarzeniu. - To było w sierpniu, podczas ramadanu, gdy żaden wierny nie może jeść ani pić od wschodu do zachodu słońca. Trudno w takich warunkach o jakąś specjalną aktywność. Protesty przeciwko Szachowi przycichły. Jak zwykle, działo się coś w Tehe-449

ranie i Komie, ale to nie było nic poważnego; SAVAK i policja radziły sobie bez trudu.

Piętnastego sierpnia podpalacze podłożyli ogień w kinie "Rex" w Abadanie. "Przypadkiem"

wszystkie drzwi były zamknięte lub zablokowane, "przypadkiem" straż pożarna i policja jechały długo na miejsce wypadku. Powstała panika; stratowano na śmierć prawie pięćset osób, w większości kobiety i dzieci.

- To straszne!

- O, tak! Cały naród zawrzał gniewem. Natychmiast obwiniono SAVAK, a tym samym Szacha. Szach z kolei obwinił lewaków i przysiągł, że SAVAK nie miał z tym nic wspólnego.

Oczywiście zarządził dochodzenie, które wlokło się tygodniami. Niestety nie wyjaśniono kwestii odpowiedzialności. - Watanabe nasłuchiwał odgłosu kroków. - To była iskra, która zjednoczyła wokół Chomeiniego zwalczające się frakcje opozycji i zrzuciła Pahlawich z tronu.

- Jak pan sądzi, kto podpalił kino? - spytał po

chwili Kasigi.

- A kto chciał obalić Pahlawich? Tak łatwo zrzucić winę na SAVAK! - Watanabe usłyszał

odgłos zatrzymującej się windy. - Dla fanatyków pięćset kobiet i dzieci nie ma znaczenia.

Asystent Takeo otworzył drzwi. Ajatollah i cywil weszli pewnym krokiem w otoczeniu sześciu uzbrojonych ludzi. Watanabe i Kasigi grzecznie wstali i uklonili się.

- Witajcie - powiedział po japońsku Watanabe, choć świetnie znał farsi. - Jestem Naga Watanabe, a to pan Kasigi z naszego kierownictwa w Japonii. Do kogo mam przyjemność się zwracać?

Takeo, który mówił świetnie w farsi, zaczął tłumaczyć, ale cywil zdążył już usiąść i przerwał mu:

- Vous parlez français? - odezwał się niegrzecznie do Watanabe.

- Iye. Nie - odparł po japońsku Watanabe.

- Bieñ sur, M'sieur - odezwał się z wahaniem Kasigi w nie najlepszej francuszczyźnie. - Je parle un peu, mais je parle anglais mieux, et M'sieur Watanabe aussi. M6-215

450

wię trochę po francusku, znam jednak lepiej angielski, . tak jak i pan Watanabe.

- Świetnie - rzucił oschle mężczyzna z wyraźnym perskim akcentem. - Mówmy więc po angielsku. Nazywam się Muzadeh. Jestem wiceministrem do spraw rejonu Abadan w rządzie premiera Bazargana...

- Ale Bazargan nie stanowi prawa, tylko imam - przerwał ostro ajatollah. - Imam mianował

tymczasowo Bazargana premierem, do czasu, gdy z pomocą Boga zbudujemy nasze islamskie państwo. - Ajatollah miał prawie siedemdziesiąt lat, okrągłą twarz i brwi tak białe jak brodę. -

Pod przywództwem imama - dodał z naciskiem.

- Tak, oczywiście - odparł Muzadeh, a potem mówił dalej tak, jakby mu wcale nie przerwano: - Informuję pana oficjalnie, że Iran-Toda przechodzi pod naszą bezpośrednią kontrolę. Za trzy dni odbędzie się zebranie, na którym omówimy formy kontroli i przyszłe operacje. Wszystkie kontrakty inspirowane przez Szacha, a zatem nielegalne, zostają unieważnione. Ja sam mianuję nową radę nadzorczą. Będę przewodniczącym, a członkami przedstawiciele robotników, jeden robotnik japoński i pan...

- A także ja i mułła z Bandar Dejlamu - dodał Ajatollah, przesywając mówcę wzrokiem.

Muzadeh ze złością przeszedł na farsi.

- Skład komitetu możemy omówić później. - W jego głosie dała się słyszeć nerwowość. -

Ważne jest to, aby byli tam reprezentowani robotnicy.

- Ważne jest to, aby wykonywać bożą pracę.

- W tym wypadku boża praca i praca ludu to jedno i to samo.

- Nie, jeśli "praca ludu" jest przykrywką dzieła szatana!

Wszyscy irańscy strażnicy poruszyli się niespokojnie. Nieświadomie podzielili się na dwie grupy: cztero- i dwuosobową. W milczeniu wodzili wzrokiem po ludziach siedzących przy stole. Jeden z mężczyzn po cichu odbezpieczył broń.

451

- Co pan powiedział? - spytał szybko Watanabe. Z poczuciem ulgi zauważył, że uwaga zebranych skupiła się znowu na nim; miał ochotę powiedzieć: banzai. - Zamierza pan utworzyć nowy komitet?

- Tak. - Muzadeh z trudem oderwał wzrok od ajatollaha i mówił dalej: - Przygotujcie do wglądu wszystkie księgi. Będziecie odpowiedzialni za wszelkie problemy, przeszłe lub przyszłe, oraz za zbrodnie przeciwko Iranowi, przeszłe lub przyszłe.

- Jesteśmy współnikami rządu irańskiego od początków...

- Szacha, a nie ludu irańskiego - uciał Muzadeh. Siedzący za nim brodaci młodzieńcy, niektórzy nastoletni, zaczęli pomrukiwać.

- To prawda, panie Muzadeh - odparł z niezmaconym spokojem Watanabe. W ciągu kilku ostatnich miesięcy odbył już wiele podobnych rozmów. - Ale my jesteśmy Japończykami.

Iran-Toda buduje wszystko przy pomocy japońskich techników, irańskich praktykantów i robotników. W całości za japońskie pieniądze.

- To nie ma nic do...

- Tak, wiemy - odezwał się głośno, zgodnym tonem, Ajatollah. - Wiemy to. Jesteście mile widziani w Iranie. Wiemy, że Japończycy nie są ani podłymi Amerykanami, ani zdradzieckimi Brytyjczykami. Choć wasze oczy, ze stratą dla was, nie są jeszcze otwarte na Allacha, witamy was. Teraz jednak, gdy odzyskaliśmy nasz kraj, musimy poczynić...

poczynić pewne przygotowania do dalszych działań. Nasi ludzie zostaną tu i będą zadawać pytania. Proszę, współpracujcie z nimi; nie macie się czego obawiać. Pamiętajcie, że tak samo jak wy chcemy, żeby te zakłady zostały wybudowane do końca i rozpoczęły działanie.

Nazywam się Esma'il Ahwazi i jestem ajatollahem tego regionu. - Wstał tak gwałtownie, że kilku mężczyzn aż podskoczyło. - Wrócimy tu za trzy dni!

216

Muzadeh zaczął z przejęciem:

- Są inne rozkazy dla tych cudzo...

452 |

Ajatollaha już jednak nie było. Obrażony Muzadeh wstał i również wyszedł, a jego ludzie za nim.

Gdy zostali sami, Kasigi pozwolił sobie na otarcie potu z czoła. Młody Takeo był nadal przerażony. Watanabe wyciągnął paczkę, ale nie było już w niej papierosów. Zgniółł ją.

Takeo powrócił do rzeczywistości, podbiegł do szuflady, znalazł paczkę papierosów, otworzył ją i podsunął szefowi.

- Dziękuję, Takeo. - Watanabe usiadł i pozwolił, aby asystent podał mu ogień. - Możesz już odejść.

- Spojrzał na Kasigiego. - A więc - powiedział - znowu się zaczyna.

- Taaa - odparł Kasigi, myśląc o możliwych następstwach powołania nowego komitetu, który pragnął będzie zakończenia budowy. - Nie mogło być lepiej. W Japonii nareszcie odetchną. -

W gruncie rzeczy, myślał z rosnącym podnieceniem, te wiadomości odwrócą uwagę od sprawozdań Watanabe. Być może Hiro Toda i ja zneutralizujemy jakoś Gyokotomo. A gdyby Hiro przeszedł na emeryturę, to już by było wspaniale!

- Co takiego? - zapytał, widząc, że Watanabe na niego patrzy.

- Nie chciałem powiedzieć, że zaczyna się praca, Kasigi-san - rzucił ostro główny inżynier. -

Nowy komitet na pewno nie będzie lepszy. W gruncie rzeczy będzie gorszy. W wypadku wspólników wiadomo było przynajmniej, że piszkesz otwiera wszystkie drzwi. A z tymi amatorskimi fanatykami?

Watanabe ze złością zmierzwił sobie włosy. Oby wszystkie duchy i bogowie dali mi siłę, i obym nie sklął tego idioty za jego bezdenną głupotę! - pomyślał. Bądź mądry, uspokój się. To tylko głupia małpa i nie jest tak dobrze urodzony jak ja, który pochodzę bezpośrednio od panów północy.

- Zatem ajatollah kłamał? - Dobry nastrój Kasigiego ulotnił się.

- Nie. Ten biedny głupiec wierzy w to, co mówi, ale to niczego nie zmienia. Policja i SAVAK, niezależnie od tego, jak się teraz będą nazywać, nadal kontrolują 453

Abadan i cały region zamieszkały przez sunnitów arabskich, a nie szyickich Irańczyków.

Zabójstwa rozpoczną się znowu. - Watanabe wyjaśnił, o co chodziło w kłótni, która odbyła się w farsji. - Teraz będzie znacznie gorzej; wszystkie frakcje zmierzają do przejęcia władzy.

- Ci barbarzyńcy nie posłuchają Chomeiniego? Nie oddadzą broni?

- Twierdzą, że tacy lewcy, jak Muzadeh, będą kontynuować wojnę, wspierani przez Sowieców, którzy zawsze chcieli i chcą nadal dostać Iran. Nie z powodu ropy, ale cieśniny Ormuz. Jeśli położą łapę na cieśninie, posiadą Zachód i Japonię. Zachód i Ameryka nic mnie nie obchodzą, ale my będziemy musieli rozpocząć wojnę, jeśli cieśnina zostanie zamknięta dla naszych statków.

- Zgoda, tak, zgoda. - Kasigi był również rozzłoszczony. - To wiemy. To oczywiście oznacza wojnę, gdyż jesteśmy zależni od ropy.

- Tak. - Watanabe uśmiechnął się ponuro. - Dziesięć lat, nie więcej.

Obaj mężczyźni wiedzieli o ogromnym wysiłku, wkładanym przez ich kraj w poszukiwanie alternatywnych źródeł energii, które uniezależniłyby Japonię. Chodziło o projekt narodowy: wykorzystanie energii słonecznej i energii morza.

- Dziesięć lat, tylko dziesięć. - Kasigi zapatrywał się na to z ufnością. - Wystarczy dziesięć lat pokoju i wolnego dostępu do rynku USA. Potem będziemy mieli alternatywną energię i staniemy się panami świata. Ale na razie - dodał z wzrastającym gniewem - przez dziesięć lat musimy bić pokłony przed barbarzyńcami i wszelkiego rodzaju bandytami!

- Czyż Chruszczow nie powiedział, że Sowieci nie muszą niczego robić w sprawie Iranu, gdyż jest on "zgniłym jabłkiem, które samo wpadnie nam w ręce"? - Watanabe był wściekły. -

Założę się, że te gównojady potrząsają drzewem z całych sił.

- Kiedyś ich pobiliśmy - powiedział Kasigi, przypominając sobie wojnę rosyjsko-japońską 1904 roku,

454

w której brał udział jego dziadek. - Możemy powtórzyć ten sukces. A ten Muzadeh? Może jest po prostu po- stepowy i nie lubi mułłów. Nie wszyscy Irańczycy są fanatykami popierającymi Chomeiniego.

- Zgoda, Kasigi-san, ale niektórzy są równie fanatyczni na punkcie marksizmu-leninizmu. I równie głupi. Założę się jednak, że Muzadeh jest jednym z tych tak zwanych intelektualistów, byłym studentem francuskiego uniwersytetu, który skończył studia dzięki dotacjom Szacha i dał się skaptować lewicowym wykładowcom we Francji. Spędziłem dwa lata na Sorbonie, na studiach doktoranckich. Znam tych "intelektualistów", tych kretynów, i niektórych wykładowców. Próbowali mnie przekabacić. Kiedyś...

Urwał, gdyż z zewnątrz dobiegł odgłos salwy karabinowej. Obaj mężczyźni zamarli, a potem podeszli do okna. Trzy piętra niżej, na frontowych schodach, stali ajatollah i Muzadeh. Z

dziadzińca mierzył do nich mężczyzna z automatycznego karabinu; otaczali go inni uzbrojeni ludzie, tworzący półkole. Pozostali stanęli w pobliżu ciężarówek; niektórzy z nich wznosili wrogie okrzyki. Scragger znajdował się nieco dalej. Na oczach Japończyków zajął pozycję dającą szansę obrony. Ajatollah uniósł ramiona i przemawiał do wszystkich. Watanabe nie słyszał jego słów. Ostrożnie otworzył okno i wychylił się.

- On mówi: "W imieniu Boga, złożcie broń zgodnie z rozkazem imama. Słyszeliście wszyscy wezwanie nadawane przez radio. Powtarzam: usłuchajcie go i złożcie broń!"

Rozległy się gniewne okrzyki; mężczyźni wygrażali pięściami. Japończycy zobaczyli, że Scragger, korzystając z zamieszania, zniknął za rogiem budynku. Watanabe wychylił się jeszcze bardziej, aby lepiej słyszeć.

- Ten, który mierzy z karabinu... Nie widzę, czy ma zieloną opaskę... Nie, nie ma. To musi być fedain albo człowiek z Tude...

Na dziedzińcu zapadła cisza. Mężczyźni zaczęli nieznacznie zajmować dogodniejsze pozycje.

Wszyscy mieli

455

broń, wszyscy obserwowali innych, nerwy wszystkich były napięte. Człowiek mierzący z karabinu uniósł wyżej lufę i krzyknął do ajatollaha:

- Każ swoim ludziom złożyć broń!

Muzadeh wysunął się do przodu. Nie chciał walki, wiedział, że przeciwników jest więcej.

- Przestań, Hasan! Zostań...

- Nie walczyliśmy po to, żeby oddać władzę muł-łom. Nie po to zginęli nasi bracia!

- Rząd sprawuje władzę! Rząd! - Muzadeh krzyczał jeszcze głośniejszym głosem. - Niech wszyscy zachowają broń, albo złożą ją w moim biurze! Reprezentuję nowy rząd i...

- Nie! - zaprotestował ajatollah. - Po pierwsze, w imieniu Boga, wszyscy poza strażnikami islamskimi niech położą broń na ziemi i odejdą w pokoju. Po drugie, rząd podlega Komitetowi Rewolucyjnemu, kierowanemu bezpośrednio przez imama, a ten człowiek, Muzadeh, nie został jeszcze zatwierdzony i nie ma żadnej władzy! Usłuchajcie albo zostaniecie rozbrojeni!

- Ja tu jestem rządem!

- Nie jesteś!

Ktoś krzyknął: Allahu Akbar\ i ściągnął spust. Hasan, młodzieniec stojący w samym środku grupy, zatańczył swój taniec śmierci z kulą, która rozerwała mu plecy. Natychmiast rozległy 218

się następne strzały; mężczyźni padali na ziemię, szukając osłony, albo atakowali swych sąsiadów. Walka była krótka i zażarta. Wielu poległo, lecz ludzie Muzadeha ulegli liczebnej przewadze. Zielone Opaski były bezlitosne. Kilku z nich schwytało Muzadeha i rzuciło go na kolana.

Wyżej, na stopniach, leżał ajatollah, podtrzymywany przez jednego ze swych ludzi. Seria pocisków rozerwała mu pierś i brzuch; krew splamiła szaty, a jej strumyczek wyciekał z ust, barwiąc na czerwono brodę.

- Bóg jest wielki... Bóg jest wielki... - wyszeptał, a potem jęknął, ogarnięty falą bólu.

456

- Panie! - prosił trzymający go człowiek, po którego policzkach ciekły łzy. - Powiedz Bogu, że próbowaliśmy

-cię obronić, powiedz prorokowi...

- Bóg jest wielki... - zamruczał ajatollah.

- Co z tym Muzadehem? - zapytał ktoś. - Co mamy z nim zrobić?

- Wykonajcie bożą pracę. Zabijcie go... Zabijcie go, gdyż musicie zabić wszystkich wrogów islamu. Nie ma innego Boga...

Rozkaz wykonano natychmiast. Okrutnie. Ajatollah skonał z uśmiechem i imieniem Boga na ustach. Inni płakali. Zazdrościli mu raj.

14:32. Manuela Starke przygotowywała chili w kuchni bungalowu. Muzyka country wydobywająca się z kasetowego magnetofonu na parapecie wypełniała małe pomieszczenie.

Na butanowej kuchence stał duży garnek z rosółem. Gdy rosół zaczął się gotować, Manuela przykręciła gaz i spojrzała na zegarek. Doskonale, pomyślała. Zjemy koło siódmej przy stole ozdobionym świecami.

Do klopsa trzeba było przygotować cebulę i zemleć kozie mięso. Pracowała z zadowoleniem, nucąc lub wykonując drobne taneczne kroki w rytm muzyki. W małej kuchence trudno było się poruszać, nie tak jak w ogromnej, wysoko sklepionej kuchni w starej kochanej hacjendzie w Lubbock, którą jej rodzina posiadała prawie od stu lat i w której dorastali ona, jej brat 458

i siostra. Manueli jednak nie przeszkadzała ani ciasnota, ani nie najlepsze wyposażenie kuchni. Była zadowolona, że może robić coś, co odwraca jej myśli od pytania, kiedy znów zobaczy męża.

Conroe wyjechał z mułłą do Bandar Dejlamu w sobotę, myślała, próbując się uspokoić. Dziś jest wtorek, to znaczy minęły dopiero trzy dni, dzisiejszy nawet jeszcze nie całkiem. Zeszłego wieczoru Conroe odezwał się przez krótkofalówkę.

- Cześć, kochanie. Wszystko w porządku, nie ma powodów do zmartwienia. Przepraszam, ale muszę kończyć; na razie czas rozmów jest tu ograniczony. Kocham cię. Spotkamy się niedługo.

Mówił wesołym i pewnym siebie głosem, ale wydało się jej, że słyszy w tym jakąś nerwowość, która nie dawała jej odtąd spokoju. Tylko o tym pomyśl: niedługo wróci! Zresztą, zostawmy sny nocy i popracujmy nad jawą, która też nie jest zła. Skoncentrujmy się na gotowaniu!

Z Londynu zabrała ze sobą paczuski chili w proszku z dodatkiem innych przypraw, paprykę, imbir, świeży czosnek, suszone chili i suszoną fasolę. Wzięła też koszulę nocną i papier toaletowy - tyle zmieściło się w torbie, którą mogła wnieść na pokład 747. Chili było niezbędne, gdyż Starke przepadał za meksykańską kuchnią, a zwłaszcza chili. Oboje uznali, że poza curry tylko chili mogło dokonać cudu i sprawić, że kozie mięso nadawało się do jedzenia. Manuela nie musiała przywozić ze sobą ubrań, gdyż były one nadal w mieszkaniu w Teheranie. Przywiozła więc jeszcze małą butelkę marmite; wiedziała, że Genny i Duncan 219

McIver przepadają za tym na grzankach polanych roztopionym masłem, zrobionych z chleba, który Genny piekła, gdy tylko miała mąkę i drożdże.

Dziś chleb upiekła Manuela. Trzy bochenki stygły pod muślinową siateczką nie dopuszczającą much. Muchy są okropne, pomyślała. Mogą latem obrzydzić życie, nawet w Lubbock... Ach, Lubbock; ciekawe, co słyhać u dzieci.

Billyjoe, Conroe junior i Sarita. Siedem, pięć i trzy lata. Och, moje piękne, pomyślała radośnie. Jak to dobrze, że wysłałam was do domu. Możecie tam łązić po naszych dziesięciu tysiącach akrów.

Obok dziadek Starke. "Ale włóż długie buty, słyszysz?" - mówił swym szorstkim, lecz tak czułym głosem.

- Tylko Teksas - powiedziała na głos i zaśmiała się do siebie. Jej zręczne palce kroili, siekały, nabierały na łyżkę jedzenia, żeby mogła go popróbować, dodać trochę soli lub czosnku. Przez okno zobaczyła Freddy'ego Ayre'a, który zmierzał przez mały placyk w kierunku wieży radiowej. Był z nim Pawud, główny urzędnik. To miły człowiek, pomyślała. Mamy szczęście: nasz personel jest lojalny. Za Ayre'em i Pawudem widziała główny pas startowy i dużą część pokrytej śniegiem bazy. Chmury zasłaniały szczyty gór. Kilku pilotów i mechaników niedbale kopało piłkę, wśród nich Marc Dubois, który przywiózł z powrotem mułkę z Bandar Dejlamu.

Od niedzielnego ataku na bazę i buntu innych lotów nie było; tylko sprawdzanie maszyn, mycie, malowanie. W niedzielę wieczorem sąd wojenny skazał na śmierć trzech buntowników - jednego lotnika i dwóch sierżantów z regimentu pancernego. Rozstrzelano ich o świcie. Wczoraj i dzisiaj w bazie panował spokój. Poprzedniego dnia spostrzegli na niebie dwa myśliwce, ale poza tym nic nie latało. To było dziwne, gdyż w bazie szkoleniowej panował zwykle duży ruch. Teraz prawie nic się nie działo. Zaledwie parę ciężarówek; żadnych czołgów, defilad, gości. W nocy trochę strażaków i krzyków, które o świcie ucichły.

Krytycznym wzrokiem spojrzała na swą twarz w lustrze wiszącym na haku nad zlewem pełnym brudnych patelni, garnków, miarek i filiżanek. Zbadła twarz i tę część figury, którą mogła dojrzeć. - Jesteś ładna, kochanie - powiedziała do swego odbicia - lepiej jednak rusz tyłek i trochę pobiegaj. Poza tym odstaw chleb, chili, wino, tostadas, burrito, taco, fasolę i naleśniki mamy,

460

polane domowym miodem, jajecznicę, smażony boczek i frytki...

Zawartość patelni zaskwierczała, co oderwało Ma-nuelę od wyliczanki. Zmniejszyła gaz i spróbowała zawiesistej, czerwonej masy, nadal jeszcze zbyt ostrej, gdyż za krótko gotowanej. - O rany - powiedziała z zachwytem - Conroe ucieszy się jak głupi... -

Posmutniała. Ucieszyłby się, pomyślała, gdyby tu był. Nic nie szkodzi, chłopcom też będzie smakować.

Zaczęła zmywać, ale nie mogła oderwać myśli od Bandar Dejlamu. Czowała, że do oczu napływają jej łzy. Cholera, weź się w garść!

- CASEVAC! - Usłyszała i wyjrzała przez okno. Mecz się zakończył. Wszyscy mężczyźni wpatrywali się w Ayre'a, który zbiegał po zewnętrznych schodach wieży i krzyczał. Manuela widziała, jak wszyscy zgromadzili się wokół niego, a potem rozeszli. Ayre skierował się do bungalowu.

Szybko zdjęła fartuch, przyczesła włosy, otarła łzy i stanęła w drzwiach.

- Co się dzieje, Freddy? Rozpromienił się.

- Pomyśl tylko: ich wieża właśnie złapała mnie telefonicznie. Powiedzieli, żeby szykować 212 do natychmiastowego CASEVAC do Isfahanu: dostali zezwolenie z IranOil.

- To nie jest za daleko?

220

- Och, nie. Tylko trzysta dwadzieścia kilometrów, parę godzin. Światła dziennego wystarczy aż nadto. Marc przenocuje tam i wróci jutro. - Ayre uśmiechnął się. - Dobrze jest mieć robotę.

O dziwo, poprosili, żeby poleciał właśnie Marc.

- Dlaczego on?

- Nie wiem. Może dlatego, że jest Francuzem, a oni pomagają Chomeiniemu? Świetnie pachnie to twoje chili. No dobra, muszę już iść. Marc nie chce się spóźnić.

Poszedł w kierunku biura, wysoki i przystojny. Manuela została w drzwiach. Mechanicy wytaczali 212 z hangaru, a Marc Dubois, zapinając zimowy kom-461

binezon lotniczy, pomachał jej wesoło ręką. Szedł w kierunku maszyny, aby przyrzeć się kontroli technicznej. Chwilę później Manuela ujrzała kawalkadę czterech samochodów zbliżających się obwodnicą.

Freddy Ayre też zobaczył samochody. Zmarszczył brwi i wszedł do biura.

- Czy przygotował pan zezwolenie, panie Pawud?

- Tak, ekscelencjo. - Pawud wręczył mu dokument.

Ayre nie zauważył, że Irańczyk jest spięty i drżą mu ręce.

- Dziękuję. Niech pan lepiej też wyjdzie, na wypadek, gdyby trzeba było mówić w farsji.

- Ale, ekscel...

- No prędzej.

Ayre wyszedł, zapinając lotniczą kurtkę. Pawud wytarł spocone dłonie. Inni Irańczycy, równie niespokojni, patrzyli na niego.

- Bóg tak chce - powiedział jeden z nich, dziękując w myślach Bogu za to, że padło na Pawuda, a nie na niego.

Kontrola techniczna 212 trwała. Ayre dotarł na miejsce równocześnie z samochodami. Jego uśmiech zniknął. W pojazdach siedzieli uzbrojeni mężczyźni. Zielone Opaski otoczyły helikopter; wśród nich znajdowało się kilku lotników w mundurach.

Muła Hosejn Kowissi wysiadł z pierwszego samochodu. Miał śnieżnobiały turban, nowe czarne szaty i stare sfatygowane buty. Na jego ramieniu wisiał na pasku AK47. Widać było, że Hosejn dowodzi. Inni mężczyźni otworzyli tylne drzwiczki pierwszego samochodu i niemal wypchnęli z niego pułkownika Peszadiego, a potem jego żonę. Peszadi krzyknął na nich i zaklął. Nieco się odsunęli. Wyglądził swój płaszcz mundurowy i poprawił spiczastą czapkę. Jego żona miała na sobie grube zimowe palto, rękawiczki i kapelusik. Trzymała torbę. Była blada, lecz, podobnie jak mąż, spoglądała dumnie i unosiła głowę wysoko.

Sięgnęła po leżącą w samochodzie małą to-

462

rebkę, lecz jeden z Zielonych Opasek chwycił ją pierwszy. Po chwili wahania oddał torebkę kobiecie.

Ayre próbował nie dać po sobie poznać, jak wstrząsnęła nim ta scena.

- Co tu się dzieje, proszę pana?

- My... Odsyłają nas pod strażą do Isfahanu! Pod strażą! Moja baza... moja baza została zdradzona i dostała się w ręce buntowników! - Pułkownik zwrócił się z wściekłością do Hosejna. Mówił w farsi: - Powtarzam pytanie. Co ma z tym wspólnego moja żona? Co?

- ryknął. Jeden z Zielonych Opasek przyłożył mu do pleców karabin. Pułkownik odtrącił lufę, nie oglądając się za siebie. - Ty suczy synu!

- Dość! - rzucił Hosejn w farsi. - To rozkaz z Isfahanu. Pokazałem panu ten rozkaz. Pan i pańska żona macie być natychmiast odesłani do...

- Rozkaz? To jakiś zasrany świstek papieru, na którym nabazgrał coś jakiś analfabeta, a podpisał to jakiś ajatollah, o którym nigdy nie słyszałem!

221

Hosejn podszedł bliżej.

- Wsiadajcie oboje albo będę musiał siłą wpakować was do środka!

- Kiedy śmigłowiec będzie gotowy? - Pułkownik nerwowym gestem wyjął papierosa. - Podaj mi ogień

- poleciał najbliższemu stojącemu mężczyźnie, a gdy ten się zawahał, warknął: - Głuchy jesteś?

Ognia!

Mężczyzna uśmiechnął się słabo i wyciągnął zapalniczki. Jego koledzy skinęli głowami; nawet mułła nie protestował. Podziwiali odwagę w obliczu śmierci i w obliczu piekła, gdyż taki człowiek Szacha na pewno pójdzie do piekła. Jasne, że do piekła! Czyż nie krzyczał "Niech żyje Szach!", gdy kilka godzin temu, w nocy, wdarli się do bazy i opanowali obóz oraz piękny dom pułkownika, wspierani przez wszystkich żołnierzy z bazy i niektórych oficerów?

Pozostali oficerowie byli teraz zamknięci w celach. Bóg jest wielki! To z woli Boga, to Bóg uczynił cud! Generałowie załamali się jak ściany z gówna, którym byli, zgodnie z tym, co mówili mułłowie. Imam znów miał rację. Niech Bóg go ochrania!

463

Hosejn podszedł do Ayre'a, który był spięty i przerażony tym, co się działo, a co próbował zrozumieć. Obok niego stał równie wstrząśnięty Marc Dubois. Przegląd maszyny ustał.

- Salam - powiedział mułła, próbując zachować się grzecznie. - Nie macie się czego obawiać.

Imam rozkazał, aby wszystko wróciło do normy.

- Normy? - powtórzył gniewnie Ayre. - To jest pułkownik Peszadi, dowódca czołgistów, bohater waszego korpusu ekspedycyjnego wysłanego do Omanu, aby pomóc w zgnieceniu rebelii wspieranej przez marksistów i w odparciu inwazji z Południowego Jemenu! -

Wydarzyło się to w 1973 roku, gdy sułtan Omanu poprosił Szacha o pomoc. - Czyż pułkownik Peszadi nie otrzymał Zolfagharu, waszego najwyższego odznaczenia, przyznawanego tylko za odwagę wykazaną w bitwie?

- Zgadza się, teraz jednak pułkownik Peszadi powinien odpowiedzieć na pytania dotyczące zbrodni przeciwko ludowi Iranu i przeciwko prawom boskim! Salam, kapitanie Dubois.

Cieszę się, że zamierza pan nas

odwieźć.

- Miałem obsłużyć wezwanie CASEVAC. To nie

jest CASEVAC - powiedział Dubois.

- To nadzwyczajna ewakuacja. Pułkownik i jego żona mają być ewakuowani do Kwatery Dowództwa w Isfahanie. - Hosejn uśmiechnął się sardonicznie. - Może oni są nadzwyczajni.

- Przykro mi, ale nasze maszyny są wynajęte Iran-Oil. Nie możemy spełnić tej prośby -

odezwał się Ayre.

Muła odwrócił się i krzyknął:

- Ekscelencjo Esfandiari!

Kuram Esfandiari lub też "Ważniak", jak go przezywano, miał trzydzieści parę lat. Wśród cudzoziemców cieszył się dużą popularnością; był bardzo sprawny i dobrze wyszkolony -

stypendium Szacha pozwoliło mu na przejście dwuletniego szkolenia w siedzibie S-G w Aberdeen. W pierwszej chwili nikt z pracowników S-G nie poznał kierownika stacji. Zwykle ubierał się

464

starannie i golił; teraz miał czterodniowy zarost, byle jaki strój, zieloną opaskę i M16 na ramieniu.

- Lot jest zatwierdzony - powiedział, podając Ayre'owi zwykle formularze. - Już je podpisałem. Pieczętki też mam.

- Ale, Ważniak, wiesz, że to nie jest sytuacja uzasadniająca CASEVAC?

222

- Nazywam się Esfandiari, pan Esfandiari - oznajmił Ważniak z ponurą miną, a Ayre poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. - A to jest prawne polecenie IranOil, czyli waszego pracodawcy w Iranie. - Spojrzał twardo. - Jeśli odmawia pan wykonania prawnego polecenia w dobrych warunkach pogodowych, łamie pan warunki kontraktu. Jeśli robi to pan bez odpowiedniej przyczyny, możemy zająć wasze aktywa, statki powietrzne, hangary, części zamienne, budynki i wyposażenie, a także wydalić was natychmiast z Iranu.

- Nie możesz tego zrobić.

- Jestem tu teraz głównym przedstawicielem IranOil - poinformował sucho Esfandiari. -

IranOil należy do rządu. Komitet Rewolucyjny pod przywództwem imama Chomeiniego, pokój niech będzie z nim, jest rządem. Proszę przeczytać wasz kontrakt z IranOil, a także kontrakt zawarty przez S-G z Iran Helicopters. Leci pan, czy odmawia?

Ayre pohamował gniew.

- A co z premierem Bachtialem i rządem...

- Bachtiar? - Esfandiari i muła wlepili w pilota wzrok. - Wy jeszcze nie wiecie? Podał się do dymisji i uciekł, a generałowie skapitulowali wczoraj rano. Rządem irańskim jest teraz imam i Komitet Rewolucyjny.

Ayre, Dubois i stojący bliżej cudzoziemcy wytrzeszczyli oczy. Muła powiedział w farszi coś, czego nie zrozumieli. Ktoś z jego otoczenia wybuchnął śmiechem.

- Skapitulowali? - To było wszystko, co Ayre mógł wykrztusić.

- Bóg sprawił, że generałowie się opamiętali - powiedział z błyskiem w oku Hosejn. - Zostali aresztowani. Cała generalicja. Wszyscy. Tak jak będzie się 465

teraz aresztować wszystkich wrogów islamu. Dostaliśmy także Nasiriego; słyszeliście o nim? -

zapytał z naciskiem. Nasiri był znienawidzonym szefem SAVAK-u. Szach aresztował go kilka tygodni wcześniej. Oczekiwał na rozprawę sądową. - Nasiri został uznany winnym zbrodni przeciwko ludzkości i rozstrzelany razem z generałami: Rahimim, gubernatorem stanu wojennego w Teheranie, Nadżim, generalnym gubernatorem Isfa-hanu, i dowódcą spadochroniarzy Chosrowdadem. Marnuje pan czas. Polecicie czy nie?

Ayre nie mógł zebrać myśli. Jeśli to wszystko jest prawdą, to Peszadi i jego żona mogliby równie dobrze już teraz być martwi. To wszystko stało się tak szybko.

- Oczywiście... obsłużymy legalny lot czarterowy. Czego dokładnie chcecie?

- Natychmiastowego przetransportowania jego ekscelencji małżonki Hosejna Kowissi do Isfahanu, razem z jego personelem - przerwał niecierpliwie Esfandiari. - Oraz razem z więźniem i jego żoną.

- Oni... Pułkownik i pani Peszadi nie figurują na liście przewozowym.

Esfandiari wydarł dokument z rąk pilota, dopisał coś i oświadczył:

- Teraz figurują! - Gniewnym ruchem wskazał ręką stojącą z tyłu Manuełę. Zauważył ją już w chwili, gdy przybył - kuszącą i niepokojącą jak zawsze. - Powinienem aresztować ją za nielegalne przebywanie tutaj - rzucił ochryplym głosem. - Ani reguły bazy, ani S-G nie dopuszczają przebywania rodzin na terenie bazy.

Pułkownik Peszadi, stojący koło 212, krzyknął gniewnie po angielsku:

- Polecimy wreszcie czy nie? Marzniemy. Pospiesz się, Ayre. Mam już dosyć tej hołoty!

Esfandiari i małżonka poczerwienieli. Ayre poczuł się pewniej w obliczu odwagi pułkownika i zawołał:

- Tak jest, proszę pana. Przepraszam. W porządku, Marc?

- Tak - odparł Dubois i zwrócił się do Waźniaka: - Gdzie jest moje wojskowe zezwolenie?

466

- Załączone do listu przewozowego. Obejmuje też jutrzejszy powrót. Proponuję, żeby wszedł pan na pokład, ekscelencjo - dodał Esfandiari w farsi do małżonki.

Muła ruszył. Strażnicy gestami nakazali Peszadiemu i jego żonie, aby weszli do helikoptera.

Małżonkowie zrobili to bez wahania, z podniesionymi głowami. Za nimi weszli na pokład uzbrojeni mężczyźni. Muła zajął miejsce z przodu, obok Dubois.

- Chwileczkę - zaczął Ayre, który odzyskał sprawność umysłu. - Nie przewozimy uzbrojonych ludzi. To wbrew przepisom, waszym i naszym!

Esfandiari wykrzyknął rozkaz i wskazał kciukiem Manuelę. Otoczyło ją natychmiast czterech uzbrojonych ludzi. Inni przysunęli się bliżej Ayre'a.

- Daj Dubois znak, żeby startował.

W ponurej świadomości niebezpieczeństwa Ayre usłuchał. Dubois potwierdził i poderwał maszynę w powietrze.

- Teraz do biura - polecił Esfandiari, przekrzykując ryk silnika. Odwołał ludzi otaczających Manuelę i wysłał ich z powrotem do samochodów. - Zostawcie tu jeden samochód i czterech strażników. Mam jeszcze inne rozkazy dla tych cudzoziemców. Ty - dodał twardo pod adresem Pawuda - ty spiszesz wszystkie maszyny, części zamienne, środki transportu, zapiszesz, ile jest benzyny, także liczbę personelu, cudzoziemskiego i Irań-czyków, nazwiska, funkcje, numery paszportów, zezwolenia na zamieszkanie i pracę, licencje lotnicze.

Zrozumiałeś?

- Tak, tak, ekscelencjo. Tak, na pewno...

- Jutro chcę też zobaczyć wszystkie paszporty i zezwolenia. No, ruszaj się!

Mężczyzna pospiesznie odszedł. Esfandiari skierował się do biura Starke'a i zajął miejsce za biurkiem. Ayre wszedł za nim.

- Proszę usiąść! - Usłyszał.

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony - wycedził Ayre, zajmując miejsce po przeciwnej stronie biurka.

^ 467

Obaj mężczyźni byli w tym samym wieku; obserwowali się uważnie. Irańczyk wyjął papierosa i zapalił.

- Od dziś to będzie moje biuro - oznajmił. - Teraz, gdy Iran jest wreszcie znowu w rękach Irańczyków, możemy zacząć wprowadzać konieczne zmiany. Przez najbliższe dwa tygodnie będziecie pracować pod moim osobistym kierownictwem, dopóki nie upewnię się, że dobrze się rozumiemy.

Jestem najwyższą władzą IranOil w Kowissie; będę wydawał zezwolenia na loty. Nikt nie wystartuje bez pisemnego zatwierdzenia i bez uzbrojonego strażnika, który...

- To jest sprzeczne z prawem lotniczym. Jest też zakazane przez prawo irańskie. Poza tym to cholernie niebezpieczne. Koniec, kropka!

Zapadła cisza. Potem Esfandiari skinął głową.

- Będziecie latać ze strażnikami, którzy będą mieli broń, ale bez amunicji. - Uśmiechnął się. -

Proszę, możemy iść na kompromis. My potrafimy być rozsądni, och, tak. Zobacz pan. Nowa epoka będzie dobra także dla was.

- Mam nadzieję, że dla was też.

- To znaczy?

- To znaczy, że każda rewolucja, o jakiej czytałem, zaczyna pożerać samą siebie. Przyjaciele szybko stają się wrogami i jeszcze szybciej umierają.

- Z nami tak nie będzie. - Esfandiari był dziecinnie ufny. - Z nami tak się nie stanie. To prawdziwa rewolucja ludowa, rewolucja całego ludu. Wszyscy pragnęli odejścia Szacha i jego cudzoziemskich panów.

- Mam nadzieję, że pan się nie myli. - Ty biedny skurwysynu, pomyślał Ayre, który kiedyś lubił tego człowieka. Jeśli twoi przywódcy mogli osądzić, skazać i rozstrzelać czterech najważniejszych generałów, poza Nasirim dobrych ludzi, w ciągu mniej niż dwudziestu czterech godzin, mogli aresztować i uprowadzić takich patriotów jak Peszadi i jego żona, to tylko Bóg może ci pomóc. - Czy to na razie wszystko?

224

- Prawie. - Esfandiari poczuł gniew. Przez okno zobaczył Manuelę, wracającą do bungalowu w towarzyszy-468

stwie kilku pilotów; nie spełniona żądza tylko ten gniew rozpałała. - Dobrze by było, gdybyście nauczyli się 'dobrych manier i zapamiętali, że Iran jest krajem azjatyckim, orientalnym i potęgą na skalę światową. Już nigdy nie będzie eksploatowany przez Brytyjczyków, Amerykanów czy nawet Sowieców. Już nigdy. - Osunął się niżej na krześle i położył nogi na biurku, tak jak Starke i Ayre robili to setki razy na jego oczach; mierzył

podeszwami butów w Ayre'a, co w tej części świata było zniewagą. - Brytyjczycy byli gorsi niż Amerykanie. Byli naszą narodową hańbą przez sto pięćdziesiąt lat. Traktowali nasz Pawi Tron i kraj jak swoje lenno, usprawiedliwiając to wykrętnie koniecznością obrony Indii.

Rozkazywali naszym władcom, trzykrotnie nas okupowali, wymuszali korzystne dla siebie traktaty, korumpowali naszych przywódców, aby uzyskać koncesje. Przez sto pięćdziesiąt lat Brytyjczycy i

Rosjanie dzielili nasz kraj. Brytyjczycy pomogli tym drugim hienom ukraść nam nasze północne prowincje, nasz Kaukaz, i pomogli w osadzeniu na tronie Rezy Chana.

Okupowali nas razem z Sowietami w czasie waszej wojny światowej. Tylko kosztem największego wysiłku rozerwaliśmy łańcuchy. - Nagle na twarzy Esfandiariego pojawił się grymas. Mężczyzna ryknął: - Prawda?!

Ayre nie poruszył się ani nawet nie mrugnął.

- Ważniaku, nigdy więcej już cię tak nie nazwę - powiedział spokojnie. - Nie chcę słuchać wykładów, tylko wykonywać swoją pracę. Jeśli nie wypracujemy metody satysfakcjonującej wszystkich, to zobaczymy. Chcesz mieć to biuro - świetnie. Chcesz narobić zamieszania -

doskonale. Masz prawo do świętowania. Wygrałeś. Masz karabiny, masz władzę; teraz ty za wszystko odpowiadasz. Poza tym masz rację: to twój kraj. Poprzestańmy na tym, co?

Esfandiar wlepił w niego wzrok. Głowa pękała mu od nienawiści, którą aż dotąd latami musiał tłumić. Choć Ayre nie ponosi żadnej winy, był pewien, że strzeliłby do niego i innych, gdyby nie usłuchali i nie zabrali mułły, i tego zdrajcy Peszadiego, aby został

469

osadzony i wysłany do piekła, na które zasługuje. Nie zapomniał o żołnierzu, którego Peszadi zamordował, o tym, który chciał otworzyć bramę. Nie zapomniał o innych zamordowanych dwa dni temu, gdy Peszadi ich pokonał: zginęły setki ludzi, także brat Esfandiariego i dwóch najlepszych przyjaciół. A setki, tysiące, może dziesiątki tysięcy tych, którzy zginęli w całym Iranie... Nie zapomniał o nich, o żadnym z nich.

Poczuł na brodzie kropelkę śliny. Otarł ją wierzchem dłoni i odzyskał panowanie nad sobą, przypominając sobie o wadze swej misji.

- Dobrze, Freddy. - To "Freddy" wyrwało mu się niechcący. - Dobrze, ja... także po raz ostatni tak cię nazwałem. W porządku. Na tym poprzestaniemy.

Wstał. Był zmęczony, lecz dumny ze sposobu, w jaki zapanował nad bazą. Wiedział już, że potrafi zmusić tych cudzoziemców do pracy i poprawnego zachowania do czasu, gdy zostaną wydalen z kraju. To już niedługo, pomyślał. Nie będę miał trudności ze zrealizowaniem dalekosiężnego planu wspólników. Walik miał rację. Mamy wielu własnych pilotów i nie potrzebujemy tu cudzoziemców. Mogę przeprowadzić tę operację jako wspólnik. Dzięki Bogu, Walik zawsze skrycie popierał Chomeiniego! Już wkrótce będę miał duży dom w Teheranie, a obaj moi synowie pójdą na tamtejszy uniwersytet i tak samo moja kochana mała Fatmeh, choć ona może powinna postudiować przez rok czy dwa lata na Sorbonie.

- Wrócę o dziewątej. - Nie zamknął za sobą drzwi.

- Cholerne gówno - mruknął Ayre. O szybę obijała się mucha. Nie zauważył jej ani nie usłyszał hałasu, jaki robiła. Tknięty nagłą myślą przeszedł do większego pomieszczenia biura.

- Pawud!

- Tak... tak, ekscelencjo?

225

Ayre zauważył, że twarz wezwanego przybrała szarawy odcień i że w tej chwili wyglądał on znacznie starzej niż zwykle.

- Czy wiedziałeś o generałach, o tym, że się poddali? - zapytał, czując, że jest mu przykro.

470

- Nie, ekscelencjo - skłamał gładko Pawud, nawykły do kłamstw. Rozmyślał nad tym, czy przypadkiem w ciągu ostatnich trzech lat nie zdradził się czymś przed Esfandiarim. Nigdy, ani przez chwilę, nie podejrzewał, że Esfandiari może być utajnionym strażnikiem islamskim.

- My... słyszeliśmy plotki o ich kapitulacji, ale wie pan, ile już było plotek...

- Tak, chyba masz rację.

- Czy mogę... mogę usiąść?

Pawud opadł na krzesło, czując się bardzo starym człowiekiem. Przez cały ostatni tydzień źle sypiał; poranny trzykilometrowy dojazd rowerem z małego, czte-ropokojowego domku w Kowissie, który zajmował razem z rodziną brata - pięciu dorosłych i sześcioro dzieci - okazał

się bardziej męczący niż zwykle. Oczywiście, on i wszyscy mieszkańcy Kowissu słyszeli o potulnym poddaniu się generałów. Najpierw wiadomość ta dotarła z meczetu: mułła Hosejn powiedział, że otrzymał ją przez tajne radio z Kwatery Głównej Chomeiniego w Teheranie; musiała to więc być prawda.

Ich przywódca z Tude zwołał natychmiast zebranie. Wszystkich zdumiało tchórzostwo generałów.

- To tylko obniża knowania Amerykanów, którzy zdradzili ich i omamili tak, że generałowie sami się wykastrowali i popełnili samobójstwo, gdyż oczywiście oni wszyscy muszą umrzeć.

Albo zrobimy to my, albo ten wariat Chomeini!

Wszyscy poczuli, że nadszedł czas ważnych decyzji. Poczuli też strach przed nadchodzącą bitwą z fanatykami i mułłami, tym całym opium dla ludu. Pawud aż się spocił, czując ulgę, gdy ich przywódca powiedział, żeby nie wychodzili jeszcze na ulice, tylko czekali skrycie, aż nadejdzie rozkaz ogólnego powstania.

- Towarzyszu Pawud. Ważne jest, abyś utrzymywał jak najlepsze stosunki z zagranicznymi pilotami. Będziemy potrzebować ich i ich helikopterów albo przynajmniej należy przeszkodzić wrogom ludu w

ich wykorzystaniu. Teraz musimy się przyczaić i cierpliwie czekać. Gdy wreszcie otrzymamy rozkaz wyjścia na ulice i roz-471

poczęcia walki z Chomeinim, nasi towarzysze z północy tłumnie przekroczą granicę...

Pawud zauważył, że Ayre na niego patrzy.

- Nic mi nie jest, kapitanie. Martwię się jedynie tym wszystkim... tą nową epoką.

- Po prostu rób to, o co prosi Esfandiari. - Ayre zastanowił się. - Idę teraz na wieżę, żeby zawiadomić Kwaterę Główną o tym, co się stało. Na pewno nic ci nie jest?

- Nie, nie. Dziękuję.

Ayre zmarszczył brwi i ruszył korytarzem w kierunku schodów. Wstrząsnęła nim zdumiewająca przemiana Esfandiariego, który przez całe lata był uprzejmy i przyjacielski; nigdy nie przejawiał nawet cienia niechęci do Brytyjczyków. Ayre po raz pierwszy poczuł, że ich przyszłość w Iranie rysuje się ponuro.

Stwierdził ze zdziwieniem, że w wieży nikogo nie ma. Od czasu niedzielnego buntu trzymano tu nieustannie straż. Major Czangiz, w mundurze poplamionym krwią, wrzucił wtedy ramionami.

- Na pewno zrozumie pan "stan wyższej konieczności". Zabito dziś wielu lojalnych wobec nas ludzi, a na razie nie znaleźliśmy zdrajców. Aż do odwołania będziecie nadawać tylko w porze dziennej i tylko w granicach absolutnej konieczności. Wszystkie loty są zawieszane aż do odwołania.

- W porządku, panie majorze. A przy okazji, gdzie

226

jest nasz radiowiec, Masil?

- Ach, ten Palestyńczyk? Jest przesłuchiwany.

- Czy mogę zapytać, dlaczego?

- Powiązania z OWP i działalność terrorystyczna. Wczoraj Ayre'a poinformowano, że Masil przyznał się i został rozstrzelany. Ayre'a nie zaznajomiono z dowodami, nie mógł porozmawiać z Masilem ani nawet go zobaczyć. Biedny sukinsyn, pomyślał, zamykając drzwi i włączając radio. Masil był zawsze lojalny wobec nas i wdzięczny za to, że ma pracę. Miał nawet zbyt wysokie kwalifikacje: ukończone studia inżynierii radiowej na uniwersytecie w Kairze. Nie miał jednak gdzie prak-472

tykować, był bezpaństwowcem. Cholerne gówno! Paszport jest dla nas czymś tak naturalnym!

Jak by to było, gdybym nie miał paszportu i był, dajmy na to, Palestyńczykiem? To paskudne uczucie, nie wiedzieć nigdy, co się wydarzy na granicy; każdy urzędnik imigracyjny, policjant, biurokrata lub

pracodawca jest potencjalnym śledczym.

Dzięki Bogu w niebiosach urodziłem się Brytyjczykiem. Nie może mi tego zabrać nawet królowa angielska, choć, z drugiej strony, ten cholerny rząd labourzystów niszczy nasze zamorskie dziedzictwo. Żeby ich syfilis zeżarł za wszystkich Australów, Kana-dów, Nowozelandów, Południowych Afrykańców, Kenijczyków, Chińczyków i tych Brytyjczyków, którzy dostaną wkrótce cholerną wizę wyjazdową i wrócą do domu! - Dupy wołowe - mruknął. Czy oni nie rozumieją, że chodzi o synów i córki ludzi, którzy zbudowali imperium i umierali za nie przy różnych okazjach?

Czekał, aż rozgrzeje się nadajnik wysokiej częstotliwości i pozostały sprzęt. Sprawiał mu przyjemność wydawany przez niego szum oraz miganie czerwonych i zielonych lampek; nie czuł już, że jest odcięty od świata. Trzeba mieć nadzieję, że u Angeli i młodego Fredricka wszystko w porządku. Co za cholerstwo: brak poczty i telefonów, nieczynny teleks! No cóż, może to wszystko zacznie wkrótce działać.

Sięgnął do przełącznika nadawania, mając nadzieję, że McIver lub ktoś inny będzie na miejscu. Potem zauważył, że z przyzwyczajenia oprócz nadajnika włączył także radar.

Pochylił się, żeby go wyłączyć. W tym właśnie momencie na zewnętrznym okręgu pojawił się mały punkcik, niemal niewidoczny na tle odbicia gór: trzydzieści kilometrów na północny zachód. Ayre przyjrzał się dokładnie. Doświadczenie wypowiedziało mu, że to helikopter.

Upewnił się, że dostroił wszystkie częstotliwości odbioru; gdy znowu spojrzął na ekran, punkcik zniknął. Ayre poczekał, lecz punkt się już nie pojawił. Albo wylądował, albo go zestrzelono, albo

473

zszedł niżej, poza zasięg radaru, pomyślał. Ciekawe, co się naprawdę stało...

Mijały sekundy. Żadnej zmiany, tylko biała obracająca się linia przeczesująca teren. Nadal ani śladu punktu. Zniknął.

Włączył nadawanie, przysunął bliżej mikrofon, zawahał się i z powrotem przesunął dźwignię do uprzedniej pozycji. Nie będzie alarmował operatorów w wieży bazy, jeśli w ogóle jacyś są na służbie, pomyślał. Powrócił do ekranu. Miękką czerwoną kredką świecową zaznaczył

możliwe położenie śmigłowca, przyjmując, że zbliża się on z szybkością osiemdziesięciu węzłów. Mijały minuty. Ayre mógł przełączyć urządzenie tak, aby zwiększyć jego moc kosztem zasięgu, lecz nie zrobił tego, na wypadek, gdyby punkt się nie przybliżał, lecz krążył

gdzieś w ich rejonie.

Teraz helikopter powinien być oddalony o osiem czy dziewięć kilometrów, pomyślał. Wziął

lornetkę i zaczął badać przez nią niebo: od północy, poprzez zachód, do południa. Usłyszał

cichy odgłos kroków na kilku najwyższych stopniach schodów. Serce zabiło mu szybciej;

błyskawicznie wyłączył radar. Gdy otworzyły się drzwi, ekran zaczął ciemnieć.

227

- Kapitan Ayre? - zapytał lotnik w schludnym mundurze.

Miał dobrą perską twarz, był gładko ogolony. Wyglądał na mniej niż trzydzieści lat. Trzymał amerykański karabinek.

- Tak, to ja.

- Sierżant Wazari, pański nowy kontroler ruchu powietrznego. - Mężczyzna oparł karabin o ścianę i wyciągnął rękę, którą Ayre uścisnął. - Cześć, jestem wojskowym kontrolerem lotów.

Szkoliłem się przez trzy lata w USA. Pracowałem nawet pół roku na lotnisku w Van Nuys. -

Spojrzał na wyposażenie. - Fajny zestaw.

- Tak, aha, dziękuję. - Ayre udał, że bawi się lornetką i odłożył ją na bok. - Co takiego dzieje się na lotnisku w Van Nuys?

474

- To tylko małe lotnisko w Dolinie San Fernando w Los Angeles, ale zarazem trzeci najbardziej zatłoczony port w Stanach. Największe wariactwo! - Wazari uśmiechnął się promiennie. - Tam latają głównie amatorzy. Większość żartownisiów dopiero się uczy odróżniać własną dupę od śmigła. Zawsze jest ich ze dwudziestu naraz i wszyscy chcą to robić jak Richthofen. - Zaśmiał się. - To wspaniałe miejsce do uczenia się kontroli lotów, ale po sześciu miesiącach ma się dość.

Ayre zmusił się do uśmiechu; nie chciał, aby ten człowiek zaczął oglądać niebo.

- Tutaj jest całkiem spokojnie, nawet kiedy latamy. Teraz, jak wiesz, wcale nie ma lotów.

Obawiam się, że nie będziesz miał nic do roboty.

- Jasne. Chciałem tylko rzucić na to okiem, zanim jutro zaczniemy. - Sięgnął do kieszeni munduru, wyjął spis i wręczył go Ayre'owi. - Macie zaplanowane trzy loty do miejscowych szybów. Zaczynamy o ósmej, dobra?

Bez zastanowienia wytarł ekran radaru i uporządkował rzeczy na biurku. Czerwona kredka trafiła na swoje miejsce obok innych.

Ayre spojrzał na spis.

- Czy Esfandiari zatwierdził te loty?

- A kto to jest? Ayre wyjaśnił.

Sierżant wybuchnął śmiechem.

- Kapitanie, te loty zlecił osobiście major Czangiz. Może pan postawić w zakład własną dupę, że są potwierdzone.

- On... on nie został aresztowany razem z pułkownikiem?

- Jasne, że nie, kapitanie. Mułła Hosejn Kowissi mianował majora tymczasowym dowódcą bazy, do czasu otrzymania zatwierdzenia z Teheranu. - Jego palce nieomylnym ruchem przełączyły apart na częstotliwość bazy głównej. - Halo, baza, tu Wazari z S-G. Czy potrzebujemy kontrasygnaty Esfandiariego z IranOil do tych jutrzejszych lotów?

475

- Nie. - To słowo, wypowiedziane z amerykańskim akcentem, zabrzmiało w głośniku. - Czy wszystko w porządku tam u was?

- Aha. Odlot obył się bez incydentów. Jestem teraz z kapitanem Ayre'em. - Sierżant mówiąc spoglądał na

niebo.

- To dobrze. Kapitanie Ayre, to jest starszy kontroler lotów. Wszystkie loty zatwierdzone przez majora Czangiza są automatycznie zatwierdzone przez IranOil.

- Czy mógłbym dostać to na piśmie?

- Sierżant Wazari przyniesie dwa egzemplarze jutro o ósmej. W porządku?

- Owszem. Dziękuję panu.

- Dziękuję, baza główna - powiedział Wazari, chcąc zakończyć rozmowę. Nagle utkwiał

wzrok w jednym punkcie. - Chwileczkę, baza. Mamy tu jakiegoś ptaszka! Helikopter, dwieście siedemdziesiąt stopni...

228

- Gdzie? Gdzie... Widzę go! Jak, u diabła, przedostał się poza zasięgiem radaru? Włączyłeś go?

- Nie. - Sierżant wyregulował ostrość w lornetce. - Bell 212, rejestracja... nie widzę, jest przodem do nas. - Włączył nadajnik wysokiej częstotliwości. - Tu Wojskowa Kontrola w Kowissie! Nadlatujący helikopter, podaj swoją rejestrację, port docelowy i miejsce startu!

Cisza, przerywana tylko trzaskami w odbiorniku. To samo wezwanie powtórzyła baza główna.

Odpowiedzi

nie było.

- Ten sukinsyn robi nam kłopoty - mruknął Wazari. Znowu przyłożył do oczu lornetkę.

Ayre, z sercem walącym jak młot, wziął drugą. Gdy śmigłowiec zaczął podchodzić do lądowania, odczytał rejestrację: EP-HBX.

- Echo Piotr Hotel Boston Iks - powiedział w tym samym momencie sierżant.

- HBX - zgodziła się baza główna. Spróbowali ponownie nawiązać kontakt radiowy.

Odpowiedzi nie było. - Podchodzi w zwykły sposób do lądowania. Czy on jest stąd?

Kapitanie Ayre, czy to jeden z waszych?

476

- Nie, nie jeden z naszych - odparł Ayre i dodał ostrożnie: - Ale HBX to może być rejestracja S-G.

- Gdzie stacjonuje?

- Nie wiem.

- Sierżancie, gdy tylko ten dowcipniś wyląduje, proszę go aresztować razem z wszystkimi pasażerami i przysłać pod strażą do Kwatery Głównej. Proszę też o szybki raport: kto, dlaczego i skąd.

- Tak jest.

Wazari wybrał z namysłem czerwoną kredkę i wykreślił na ekranie radaru taką samą linię, jaką narysował Ayre, a on sam ją wytarł. Przyglądał się jej przez chwilę, wiedząc, że Ayre na niego patrzy. Nic nie powiedział; wytarł po raz drugi ekran i powrócił do obserwowania 212.

Obaj mężczyźni widzieli, jak maszyna zatacza koło, prawidłowo zmienia kurs i kieruje się na nich. Pilot nie próbował jednak lądować; zaczął zataczać mniejsze koło na prawidłowej wysokości, przechylając się z boku na bok.

- Radio nie działa. On czeka na zielone - powiedział Ayre i sięgnął do reflektora sygnalizacyjnego. - W porządku?

- Jasne, zaświeć mu, ale jego dupa jest nadal w wyżymacze.

Ayre sprawdził, czy silny reflektor sygnalizacyjny ustawiony jest na zielone, wycelował go w helikopter i zapalił. Śmigłowiec potwierdził odebranie sygnału kołysaniem i rozpoczął

podejście. Wazari wziął swój karabinek i wyszedł. Ayre znów chwycił lornetkę, ale nadal nie mógł

się zorientować, kim jest pilot ani też siedzący obok niego człowiek, gdyż obaj mieli na sobie gogle i ciepłe zimowe ubrania. Po chwili zbiegł po schodach.

Inni pracownicy S-G, piloci i mechanicy, zgromadzili się, aby popatrzeć. Od głównej bazy, obwodnicą, pędził samochód. W drzwiach bungalowu stała Manuela. Lądowiska położone były naprzeciwko budynku biurowego. W jego cieniu stało czterech ludzi z Ziolo-477

nych Opasek. Był już z nimi Wazari. Ayre zauważył, że jeden z nich jest bardzo młody, ledwie nastolatek, i że manipuluje przy swoim pistolecie maszynowym. Podniecony dzieciak przeładowując broń upuścił ją na ziemię, lufą w kierunku Ayre'a. Broń na szczęście nie wypaliła. Dzieciak podniósł karabin za lufę, uderzył kolbą w ziemię, aby strząsnąć z niej śnieg i nieuważnie przetarł dłonią bezpiecznik. Młody człowiek miał na pasku kilka grantów -

zaczepionych za zawlecзки. Ayre pospiesznie dołączył do mechaników, którzy schronili się w bezpiecznym miejscu.

229

- Cholerna gnida! - zauważył jeden z nich. - Wysadzi się w powietrze i zabierze nas ze sobą.

Wszystko w porządku, kapitanie? Słyszeliśmy, że Waźniak dostał miesiączki.

- Rzeczywiście. Benson, skąd jest HBX?

- Z Bandar Dejlamu. - Benson był grubawym Anglikiem o rumianej twarzy. - Zakład o pięćdziesiąt fun-ciaków, że to Duke.

Gdy 212 dotknął ziemi płozami, a pilot wyłączył silniki, Wazari podbiegł do niego na czele strażników; niektórzy z nich krzyczeli: Allahu Akbarrń Otoczyli maszynę i wycelowali w nią broń.

- Cholerne czubki - powiedział nerwowo Ayre. - Zachowują się jak gliniarze z Keystone.

Nadal nie widział wyraźnie pilota, toteż wyszedł z ukrycia, modląc się, żeby to był Starke.

Drzwi kabiny otworzyły się. Z wnętrza wyskoczyli uzbrojeni ludzie. Nie zwracali uwagi na wirujące jeszcze śmigło, wykrzykiwali słowa powitania i mówili strażnikom, aby opuścili broń. Wśród tego zamieszania, ktoś wystrzelił na wiwat w powietrze. Natychmiast wszyscy się rozbiegli, a potem przy akompaniamencie okrzyków zebrali się znowu przy drzwiach, gdy nadjechał samochód, z którego wyskoczyli inni uzbrojeni ludzie. Wyciągnęły się ręce, które chwyciły mułłę. Był ciężko ranny. Potem pojawiły się nosze, a na nich kolejni ranni. Ayre zobaczył, że Wazari biegnie w jego kierunku.

478

- Macie tu jakichś medyków? - zapytał nerwowo.

- Tak. - Ayre odwrócił się i złączył dłonie wokół ust. - Benson! Dawaj doktora i sanitariusza.

- Potem poszedł z sierżantem i zapytał: - Co tu się, do cholery, dzieje?

- Oni są z Bandar Dejlamu. Tam była kontrrewolucja, przekłęci fedaini...

Ayre dostrzegł, że z kokpitu wychodzi Starke. Nie słuchając już sierżanta, podbiegł do kolegi.

- Cześć Duke, stary draniu. - Specjalnie zachował obojętny wyraz twarzy i powiedział to po cichu, choć czuł się tak szczęśliwy i podekscytowany, że aż go rozsadzało. - Gdzie byłeś?

Starke uśmiechnął się. Był przyzwyczajony do angielskiej flegmy.

- Na rybach, stary draniu - odparł. W tym momencie Manuela przedarła się przez tłum i objęła męża. Podniósł ją bez trudu do góry i zakręcił. - Co jest, złotko? Widzę, że mnie jeszcze lubisz!

To płakała, to znów się śmiała i trzymała go mocno za szyję.

- Och, Conroe, zamarłam, gdy cię zobaczyłam...

- To tak jak my, tylko że z innego powodu - wyrwało się Starke'owi, lecz na szczęście Manuela tego nie usłyszała. Uścisnął ją jeszcze raz, i postawił na ziemi.

- Poczekaj chwilkę, muszę coś załatwić. Chodź, Freddy.

- Ruszył przez tłum. Ranny mułła leżał na ziemi. Był półprzytomny; oparto go o płożę.

Człowiek na noszach był już martwy. - Połóżcie mułłę na jego noszach

- polecił Starke w farsi.

Mężczyźni z Zielonych Opasek, którzy z nim przylecieli, usłuchali od razu. Wazari, jedyny obecny tu człowiek w mundurze, a także inni ludzie z bazy byli zdumieni. Nie wiedzieli, że Zataki, rewolucyjny przywódca sunnitów, który przejął komendę nad Bandar Dejlamem, opiera się teraz niedbale o helikopter, przebrany dla niepoznaki w kurtkę lotniczą S-G, i uważnie wszystko obserwuje.

479

- Przepuść mnie, Duke. - Lekarz ciężko dyszał. Na szyi miał stetoskop. - Cieszę się, że wróciłeś. - Doktor Nutt miał pięćdziesiąt parę lat, ważył zbyt dużo, miał przerzedzone włosy i nos człowieka, który za dużo pije. Przyklęknął przy mulle i zaczął badać jego zbroczoną krwią klatkę piersiową. - Zabierzmy go jak najszybciej do ambulatorium. Innych też.

Starke polecił dwóm najbliższym mężczyznom, aby wzięli nosze i poszli za lekarzem. I znowu ludzie, którzy z nim przylecieli, przyjęli polecenie bez dyskusji. Inni członkowie Zielonych Opasek wytrzeszczyli oczy. Teraz, razem z Wazarim, było ich dziewięciu.

230

- Jest pan aresztowany - powiedział Wazari. Starke spojrział na niego.

- Niby dlaczego? Wazari zawahał się.

- Rozkazy przełożonych, kapitanie. Ja tu tylko

pracuję.

- Ja też. Będę na miejscu, gdyby ktoś chciał ze mną porozmawiać, sierżancie. - Starke uśmiechnął się uspokajająco do poblądłej Manueli. - Wracaj do domu, kochanie. Nie ma się czym przejmować. - Odwrócił się i podszedł do bocznych drzwi, żeby zajrzeć do środka.

- Przykro mi, kapitanie, ale jest pan aresztowany. Proszę wsiąść do samochodu. Ma pan natychmiast pojechać do bazy.

Gdy Starke się odwrócił, spojrział prosto w lufę karabinka. Dwaj ludzie skoczyli z tyłu i chwycili go za ręce. Ayre ruszył do przodu, lecz musiał przystanąć, gdyż jeden z mężczyzn przystawił mu lufę do brzucha. Dwaj mężczyźni zaczęli ciągnąć Starke'a w stronę samochodu. Ponieważ klął i wrywał się, inni ruszyli prowadzącym na pomoc. Manuela patrzyła na to skamieniała z przerażenia.

Nagle rozległ się gniewny ryk. Zataki przerwał kordon, wyrwał karabin z rąk sierżanta i cisnął broń, kolbą do przodu, w kierunku głowy Wazariego. Tylko szybki 480

refleks, wyćwiczony przy uprawianiu boksu, sprawił, że sierżantowi udało się zrobić unik.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Zataki krzyknął:

- Co ten pies robi z karabinem? Czy nie słyszeliście, idioci, że imam nakazał rozbrowanie wszystkich wojskowych?

Wazari zaczął z werwą:

- Posłuchaj, ja jestem upoważniony... Urwał, gdyż poczuł lufę pistoletu na gardle.

- Nie jesteś nawet upoważniony, żeby się wysrać, dopóki nie otrzymasz zezwolenia miejscowego komitetu

- oświadczył Zataki. Był teraz schludniejszy, ogolony.

- Czy zostałeś upoważniony przez komitet?

- Nie, ale...

- Więc, na Boga i proroka, jesteś podejrzany! - Zataki naciskał lufą gardło swej ofiary.

Jednocześnie machnął wolną ręką. - Pozwólcie pilotowi odejść i opuśćcie broń albo, na Boga i proroka, pozabijam was wszystkich!

Już wtedy gdy wyrwał Wazariemu karabin, jego ludzie wymierzili broń w pozostałych.

Mężczyźni trzymający Starke'a puścili go.

- Dlaczego mielibyśmy cię słuchać? - zapytał ponuro jeden z nich. - Co? Kim ty jesteś, żeby nam rozkazywać?

- Jestem pułkownik Zataki, członek Rewolucyjnego Komitetu Bandar Dejlamu, dzięki niech będą Bogu. Ten Amerykanin ocalił nas przy kontrataku fedainów. Przywiózł tutaj mułkę i innych, którzy potrzebowali pomocy lekarza. - Zataki dłużej nie wytrzymał. Popchnął

Wazariego, tak że sierżant wylądował na ziemi. - Zostawcie pilota w spokoju! Nie słyszeliście? - Wycelował i ściągnął spust. Kula rozdarła kołnierz kurtki z owczej skóry, która okrywała jednego z mężczyzn stojących koło Starke^ . Manuela prawie zemdlął; mężczyźni natychmiast odsunęli się dalej. - Następnym razem strzelę między oczy! Ty! - warknął pod adresem Wazariego. - Jesteś aresztowany. Uważam, że jesteś zdrajcą. Zaraz to ustali-481

"w Reszta niech odejdzie z Bogiem. Powiedzcie wa-Semu komitetowi, że z przyjemnością z mm w* spot-kanOtoliStił ich ruchem dłoni. Mężczyźni zaczęli szeptać pomiędzy sobą. Ayre podszedł do Manueh i objął ją

ramieniem.

231

mieniem.

- Trzymaj się - szepnął. - Już wszystko w porządku. - Zobaczył, że Starke daje im znaki, aby odeszli. Skinął głową. - Chodź. Duke mówi, żebyśmy sobie poszli.

- Nie... proszę, Freddy. Ja... czuję się dobrze, słowo. Z wysiłkiem przywołała uśmiech na twarz. Modliła

się, żeby człowiekowi z pistoletem udało się zapanować nad innymi, i żeby to wszystko się skończyło. Boże, spraw, żeby już było po wszystkim.

Wszyscy patrzyli w milczeniu. Zataki czekał z pistoletem w ręku. Sierżant leżał na ziemi u jego stóp. Mężczyźni wpatrywali się w niego. W samym środku grupy stał Starke. Nikt nie był pewien, czy Zataki zwycięży. Zataki sprawdził magazynek.

- Idźcie z Bogiem. Wszyscy - powtórzył z narastającym gniewem. - Jesteście głusi?

Niechętnie odeszli. Sierżant wstał i poprawił na sobie mundur. Był blady. Ayre widział, że z trudem ukrywa

przerażenie.

- Zostaniesz tutaj, dopóki nie każę ci odejść. - Zataki spojrzał na Starke'a, który patrzył na Manuelę. - Pilocie, musimy dokończyć rozładunek. Potem moi ludzie muszą coś zjeść.

- Tak. Dziękuję.

- Głupstwo. Ci ludzie nic nie wiedzą; nie można ich winić. - Przeniósł spojrzenie na Manuelę. - To twoja kobieta, pilocie? - zapytał.

- Moja żona - odparł Starke.

- Moja nie żyje. Zginęła w pożarze w Abadanie, razem z dwoma synami. To była wola Boga.

- Niekiedy trudno pogodzić się z taką wolą.

- Wola Boga jest wolą Boga. Musimy dokończyć rozładowywanie.

482

- Dobrze. - Starke wszedł do kabiny. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane tylko chwilowo; Zataki wybuchał łatwo jak nitrogliceryna. W kabinie było jeszcze dwóch rannych. Starke przyklęknął nad jednym z nich.

- Jak się czujesz, stary? - zapytał cicho po angielsku.

Jon Tyrer otworzył oczy i drgnął. Jego głowę opasywał zakrwawiony bandaż.

- W porządku... aha, w porządku. Co... co się stało?

- Widzisz mnie?

Tyrer wyglądał na zdziwionego. Spojrzał na Starke^, potem przetarł oczy i czoło.

- Jasne. Jesteś.... jesteś trochę niewyraźny, poza tym cholernie boli mnie głowa, ale widzę cię dobrze. Oczywiście, widzę cię, Duke. Co się, u diabła, stało?

- Podczas kontrataku fedainów dziś o świcie dostałeś się w krzyżowy ogień. Kula drasnęła cię w głowę, upadłeś, a potem wstałeś i zacząłeś biegać w kółko jak kurczak z obciętym łebkiem. Krzyczałeś: "Nie widzę, nie widzę!" Potem znowu upadłeś; odzyskałeś przytomność dopiero teraz.

- Dopiero? Cholera! - Amerykanin wyjrzał przez drzwi kabiny. - Gdzie, do cholery, jesteśmy?

- Kowiss. Pomyślałem sobie, że lepiej odstawić cię tu jak naprędzej.

Tyrer był nadal zdumiony.

- Nic nie pamiętam. Nic! Fedaini? Na Boga, Duke, nie pamiętam nawet, że leciałem jakimś helikopterem.

- Trzymaj się, stary. Później ci wszystko opowiem.

- Starke odwrócił się i zawołał: - Freddy, niech ktoś zanieś Jona Tyrera do doktora. - Po czym dodał w farsi do Zatakiego, który zaglądał do kabiny: - Ekscelencjo Zataki, niech pan każe komuś przenieść pańskich ludzi do ambulatorium. Mój zastępca, kapitan Ayre, załatwi dla wszystkich jakiś posiłek. Czy chce pan zjeść ze mną w moim domu?

232

Zataki uśmiechnął się smutno i potrząsnął głową.

- Dziękuję, pilocie - powiedział po angielsku.

- Zjem razem z moimi ludźmi, a wieczorem porozmawiamy, pan i ja.

483

- Kiedy tylko pan sobie życzy. - Starke wyskoczył z kabiny. Mężczyźni zaczęli już przenosić wszystkich rannych. Pilot wskazał bungalow. - To jest mój dom. Jest pan w nim mile widziany, ekscelencjo.

Zataki podziękował i odszedł, popychając przed sobą sierżanta Wazariego.

Ayre i Manuela dołączyli do Starke'a. Manuela wzięła męża za rękę.

- Kiedy nacisnął spust, myślałam... - Uśmiechnęła się słabo i przeszła na farsi. - Ach, ukochany, jak to dobrze, że jesteś już bezpieczny i mam cię obok siebie.

- A ja ciebie. - Starke odwzajemnił uśmiech.

- Co się stało w Bandar Dejlami? - zapytała po angielsku.

- W bazie odbyła się całkiem spora bitwa pomiędzy ludźmi Zatakiego a mniej więcej pięćdziesięcioma lewakami. Wczoraj Zataki przejął naszą bazę w imieniu Chomeiniego i rewolucji. Miałem z nim małe starcie, gdy tam przyleciałem, ale teraz Zataki jest już w porządku, choć to psychopata, niebezpieczny jak grzechotnik. W każdym razie o świcie lewicowi fedaini zaatakowali lotnisko ciężarówkami i na piechotę. Zataki i jego ludzie spali, nie było żadnych posterunków, niczego. Słyszeliście, że generałowie skapitulowali, a Chomeini został czymś w rodzaju komendanta kraju?

- Tak, dowiedzieliśmy się o tym przed chwilą.

- Atak wywołał piekielne zamieszanie; kule przelatwały przez ściany kontenerów, padały wszędzie. Ja, znasz mnie przecież, padłem na podłogę i wyczołgałem się z kontenera... Zimno ci, kochanie?

- Nie, nie. Chodźmy do domu, napiłabym się czegoś... Och, mój Boże!

- O co chodzi?

Manuela biegła już w kierunku bungalowu.

- Chili! Zostawiłam chili na kuchence!

- Jezu Chryste! - mruknął Ayre. - Myślałem, że za chwilę ktoś nas zastrzeli czy coś w tym rodzaju.

Starke promieniał.

- Mamy chili?

484

- Tak. No i co z tym Bandar Dejlmem!

- Nie ma wiele do opowiadania, Freddy. - Ruszyli -w kierunku domu. - Ewakuowałem kontener. Myślę, że

napastnicy liczyli na to, że Zataki i jego ludzie będą spać w kontenerach, ale Zataki rozmieścił

wszystkich w hangarach, żeby pilnowali helikopterów. Mówię ci, Freddy, oni mają obsesję na punkcie śmigłowców. Boją się, że nimi odlecimy albo wykorzystamy do wywiezienia generałów, ludzi z SAVAK-u lub wrogów rewolucji. W każdym razie Rudi i ja leżeliśmy za starym zbiornikiem, gdy niektórzy z tych nowych sukinsynów, fedainów - nie można odróżnić jednych od drugich, z tym że ludzie Zatakiego krzyczą: Allahu Akbar, gdy umierają

- ostrzelali z karabinu maszynowego hangary właśnie w chwili, gdy Jon Tyrer ewakuował

swój kontener. Zobaczyłem, jak upadł na ziemię, i wściekłem się jak cholera - nie opowiadaj tego Manueli. Wyrwałem jednemu z nich karabin i rozpocząłem małą prywatną wojnę, aby wydostać Jona. Rudi... - Starke uśmiechnął się. - To skurczybyk! Też złapał karabin! Byliśmy jak Butch Cassidy i Sundance Kid...

- Boże wszechmogący! Ale musiało wam odbić! Starke skinął głową.

233

- Owszem, ale wydostaliśmy Jona z pola ostrzału. Potem Zataki na czele trzech ludzi wypadł

z hangaru i zaatakował główną grupę, która strzelała jak Wild Bunch. Ale zabrakło im amunicji! Te biedne sukinsyny mogły tylko czekać; nigdy nie widziałem kogoś bardziej bezbronnego. - Wzruszył ramionami. - Rudi i ja pomyśleliśmy sobie, że strzelanie do kaczek, które nie są w locie, nie jest fair. Zataki był w porządku, odkąd zabrakło przy nim muły Hosejna. Zawarliśmy umowę. Wystrzeliliśmy nad głowami atakujących, co dało Za-takiemu i innym czas na znalezienie kryjówek. - Ponownie

wzruszył ramionami. - To już właściwie wszystko - zakończył opowieść. Zbliżali się do bungalowu. Pociągnął nosem. - Naprawdę mamy chili, Freddy?

- Tak, chyba że się przypaliło... To już wszystko?

485

- Jasne, z tym że gdy strzelanina ustała, pomyślałem, że powinniśmy jak najszybciej dostać się do Kowissu i doktora Nutta. Mułła kiepsko wyglądał, i bałem się o Jona. Zataki powiedział, że jasne, dlaczego nie, i tak musimy dojechać do Isfahanu. A więc jesteśmy. Po drodze wysiadło radio. Słyszałem cię, ale nie mogłem odpowiedzieć. Nic groźnego.

Ayre zobaczył, że Starke znowu pociąga nosem, usiłując wyczuć zapach chili. Freddy był

zdziwiony. Wiedział, że ten psychopata Zataki nigdy nie dałby Starke'owi takiej władzy, jaką dał, ani też nie chroniłby go w zamian za udzielenie tak niewielkiej pomocy, jak to przedstawił Starke.

Teksańczyk otworzył drzwi bungalowu. Natychmiast poczuł wspaniały korzenny zapach, który przypominał mu dom w Teksasie, bożym kraju, i tysiące posiłków, które tam zjadł.

Manuela przygotowała mu drinka; takiego jak lubił. Nie wypił go od razu; wszedł do kuchni, wziął dużą drewnianą łyżkę i spróbował potrawy. Manuela wstrzymała oddech i czekała.

Druga łyżka.

- Jak ci się to udało? - zapytał z zadowoleniem w głosie. To było najlepsze chili, jakie kiedykolwiek jadł.

DEZ DAM, 16:31. Helikopter 212 Locharta był zaparkowany przed hangarem stojącym na dobrze utrzymanym lądowisku, obok brukowanego podwórka od frontu domu. Lochart stał na dachu kabiny, badając kolumnę rotora: wszystkie sprzęgła, zawlecзки i inne newralgiczne punkty. Nie znalazł niczego podejrzanego. Ostrożnie zszedł na ziemię i otarł z dłoni smar.

- W porządku? - zapytał Ali Abbasi, który wygrzewał się w promieniach słońca. Był tym młodym, przystojnym pilotem irańskim, który pomógł uzyskać zwolnienie Locharta z bazy lotniczej w Isfahanie, co nastąpiło na krótko przed świtem. Przyleciał tu z Lochar-tem. -

Wszystko w porządku?

- Jasne - odparł Lochart. - Czysty i gotów do drogi.

487

Pogoda była ładna: bezchmurne niebo i ciepło. Za jakąś godzinę zajdzie słońce i wtedy temperatura spadnie o mniej więcej dwadzieścia stopni, ale to nieważne. Wiedział, że będzie mu ciepło, gdyż generałowie zawsze o sobie dbają - od tego zależy ich życie. Chwilowo jestem potrzebny Walikowi i generałowi Seladiemu. Tylko chwilowo, pomyślał.

Z domu doleciał stłumiony śmiech; słysząc też było śmiechy ludzi opalających się lub kąpiących w czystej błękitnej wodzie pobliskiego jeziora. Pusty dom wydawał się nie na miejscu - nowoczesny parterowy bungalow z czterema sypialniami i oddzielnymi pomieszczeniami dla służby. Budynek stał na wzniesieniu; z okien rozpościerał się widok na jezioro i tamę. Było to jedyne zamieszkane miejsce w całej okolicy. Jezioro i tamę otaczało pustkowie - niewielkie, skaliste wzgórza wyrastające ponad płaskowyż całkowicie pozbawiony roślinności. Można się było tu dostać tylko na piechotę lub drogą powietrzną: helikopterem albo lekkim samolotem, który mógłby wylądować na krótkim i wąskim pasie startowym, wytyczonym wśród nierówności gruntu.

234

Dwusilnikowiec, nawet lekki, nie zdołałby chyba tu wylądować, pomyślał Lochart, gdy po raz pierwszy zobaczył lądowisko. Najwyżej maszyna z jednym silnikiem. Poza tym nie można dwa razy podchodzić do lądowania; gdy się już zacznie, trzeba skończyć. Ale za to można się tu świetnie ukryć; po prostu doskonale. Ali wstał i wyprostował się.

Przybyli tu dziś rano; lot przebiegał bez zakłóceń. Kierując się wskazówkami i poleceniami generała Sela-diego, modyfikowanymi po cichu przez kapitana Alego, Lochart leciał nisko, unikając miasteczek i wsi. Przez cały czas prowadzili nasłuch radiowy. Usłyszeli tylko zjadliwy komunikat nadawany wielokrotnie z Isfahanu; mówiono w nim o 212 pełnym zdrajców, którzy uciekali na południe i których należało przechwycić i zestrzelić. - Nie podali ani naszych nazwisk, ani numeru rejestracyjnego - powiedział podnieconym głosem Ali. -

Musieli tego nie odnotować.

488

- Co to, do cholery, za różnica? - zdziwił się Lochart. - Na pewno jesteśmy jedynym 212 na całym niebie.

- Nie szkodzi. Pozostań na maksymalnym pułapie trzydziestu metrów i skręć na zachód.

Lochart zdziwił się. Oczekiwał, że polecą do Bandar Dejlamu, niemal dokładnie na południe.

- Dokąd lecimy?

- Do Bagdadu. - Ali wybuchnął śmiechem.

Nikt nie zdradził Lochartowi celu lotu, dopóki nie zaczęli szykować się do lądowania. Do tego czasu znaleźli się nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od Isfahanu, lecąc bardzo nisko i walcząc z przeciwnym wiatrem, co zwiększało zużycie paliwa i groziło wyczerpaniem się zapasu. Ali modlił się na głos, żeby to nie nastąpiło.

- Gdybyśmy musieli wylądować na tym wygwiz-dowie, to jak zdobędziemy paliwo?

- Tam, dokąd lecimy, jest tego od czorta... Chwała Bogu! - wykrzyknął Ali, gdy wyłoniło się przed nim jezioro i tama. - Chwała Bogu!

Lochart powtórzył te słowa i szybko wylądował. Nie opodal lądowiska znajdował się podziemny zbiornik zawierający 5000 galonów benzyny. W hangarze były narzędzia, cylindry ze sprężonym powietrzem, uchwyty do nart wodnych i elementy wyposażenia łodzi.

- Zaparkujemy go - powiedział Ali.

Razem wtoczyli 212 do hangaru i unieruchomili koła klinami. Gdy Lochart zablokował rotor, zauważył trzy lotnie, podwieszane na uchwytych pod dachem hangaru. Były pokryte kurzem i postrzępione.

- Czyje to jest?

- To był prywatny domek weekendowy generała Cesarskich Sił Powietrznych, Hosejna Arjaniego. Lotnie należały do niego.

Lochart gwizdnął. Arjani był legendarnym dowódcą lotnictwa, o którym mówiło się też, iż jest kimś w rodzaju dowódcy pretorianów, zausznikiem Szacha i mężem jednej z jego sióstr.

Zabito go na lotni dwa lata temu.

489

- Czy to tutaj zginął?

- Tak. - Ali wskazał drugą stronę jeziora. - Powiedziano, że wpadł w turbulencję i rozbił się na tamtych

skałach.

Lochart wpatrywał się w niego uważnie.

- "Powiedziano"? Ty w to nie wierzysz?

- Nie. Jestem pewien, że go zabito. Wszyscy lotnicy są tego pewni.

- To znaczy, że ktoś majstrował przy jego lotni? Ali wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może tak, a może nie. Wiadomo jednak, że on był zbyt dobrym i ostrożnym pilotem, aby wpaść w turbulencję. Nigdy nie latał przy złej pogodzie. - Wyszli z hangaru.

Słyszeli dochodzące z oddali głosy i śmiechy niektórych towarzyszy podróży, w tym dzieci 235

Walika, które bawiły się nad jeziorem. - Startował za pomocą ślizgacza. Jechał na nartach wodnych, które zrzucił, gdy osiągał już dostateczną prędkość. Wznosił się w powietrze na wysokość stu pięćdziesięciu-trzystu metrów. Potem opuszczał się spiralnie w dół i lądował

obok tratwy na jeziorze.

- Był taki dobry?

- Był. Był za dobry i dlatego go zamordowali.

- Kto?

- Nie wiem. Gdybym wiedział, on lub oni zginęliby o wiele wcześniej.

- Znałeś go osobiście?

- Byłem przez rok jego adiutantem; to znaczy jednym z adiutantów. Był najwspanialszym człowiekiem, jakiego znałem: najlepszym generałem, najlepszym pilotem, sportowcem, narciarzem - wszystkim. Gdyby żył, Szach nie wpadłby w pułapkę cudzoziemców, zwłaszcza naszego arcywroga Cartera. Szach by nie wyjechał, Iran nie pogrążyłby się w otchłani; nie pozwolono by generałom na zdradę. - Ali Abbasi gniewnie wykrzywił twarz. - Gdyby on żył, taka zdrada nie byłaby możliwa.

- Zatem kto go zabił? Zwolennicy Chomeiniego?

- Nie. Nie dwa lata temu. Był znanym nacjonalistą, szyitą, choć człowiekiem nowoczesnym.

Kto? Tude,

490

fedaini lub inni fanatycy prawicy, lewicy lub centrum, którzy chcieli osłabić Iran. - Ali spojrzał na Locharta. - Znaleźli się nawet tacy, którzy mówili, że bardzo wysoko postawione osoby obawiały się rosnących wpływów i popularności generała. Lochart zamrugał

powiekami.

- Masz na myśli to, że Szach mógł kazać go zabić?

- Nie. Oczywiście, że nie. Chodzi o to, że generał stanowił zagrożenie dla ludzi, którzy źle doradzali Szachowi. Był farmandehem, przywódcą ludu. Zagroził wszystkim: Brytyjczykom, gdyż popierał premiera Mo-saddegha, który znacjonalizował Anglo-Iranian Oil; popierał

Szacha i OPEC, gdy podniosła czterokrotnie cenę ropy. Był proizraelski, choć nie antyarabski, zatem zagroził OWP i Arafatowi. Mógł być uważany za zagrożenie interesów amerykańskich - dla każdej z osobna i wszystkich razem Seven Sisters, ponieważ nie dbał o nie i w ogóle o nikogo. Nikogo. Przede wszystkim był patriotą. - Twarz Alego przybrała dziwny wyraz. - Zabójstwo jest starożytną sztuką irańską. Czyż Ibn as-Sabbah nie był jednym z nas? - Uśmiechnął się, lecz oczy pozostały nieruchome. - My tutaj jesteśmy trochę inni.

- Przepraszam, kim był Ibn as-Sabbah?

- Hasan ibn as-Sabbah, ismailski przywódca religijny, który w jedenastym wieku stworzył

Assasinów i uprawiany przez nich kult politycznego zabójstwa.

- Och, jasne, jakoś od razu tego nie skojarzyłem. Czy to on miał być przyjacielem Omara Chajjama?

- Tak mówią niektóre legendy. - Twarz Alego wyglądała jak z akwaforty. - Arjani został zamordowany. Nikt nie wie przez kogo. Na razie.

Razem zasunęli wrota hangaru.

- Co teraz? - zapytał Lochart.

- Teraz poczekamy, a potem polecimy dalej.

Na wygnanie, pomyślał Ali. Trudno. To tylko chwilowe, a poza tym przynajmniej wiem, dokąd jadę, nie tak, jak ten biedny wygnaniec Szach. Mogę pojechać do Stanów.

491

Tylko on i jego rodzice wiedzieli, że ma amerykański paszport. Cholera, pomyślał, stary sprytnie to załatwił.

- Nigdy nie wiadomo, synu, co Bóg trzyma dla nas w zapasie - powiedział poważnie ojciec. -

Radzę ci, żebyś postarał się o paszport, póki jeszcze możesz go dostać. Dynastie nie są 236 wieczne, liczy się tylko rodzina. Szachowie przychodzą i odchodzą, obalają jeden drugiego.

Dynastia Pahlawich trwa tylko pięćdziesiąt cztery lata! Kim był Reza Chan, zanim obwołał się Królem Królów? Żołnierzem awanturnikiem, synem niepiśmiennych wieśniaków z Mazandaran nad Morzem Kaspijskim.

- A jednak, ojcze, Reza Chan był niezwykłym człowiekiem. Bez niego i Rezy Mohammada bylibyśmy nadal niewolnikami Brytyjczyków.

- Rzeczywiście, ród Pahlawich był dla nas pożyteczny, synu. Pod wieloma względami.

Jednak Reza Szach zawiódł; zawiódł siebie samego i nas. Był głupi; wierzył, że Niemcy wygrają wojnę i popierał Axisa. Tym samym dał okupantom, Brytyjczykom, pretekst do zdeponowania go i wygnania.

- A jednak, ojcze, Mohammad Szach nie może zawieść. Jest silniejszy, niż jego ojciec był

kiedykolwiek. Cały świat zazdrości nam naszych sił zbrojnych. Mamy więcej samolotów niż Wielka Brytania, więcej czołgów niż Niemcy, więcej pieniędzy niż Krezus. Ameryka jest naszym sprzymierzeńcem; jesteśmy największą potęgą militarną, policjantem Środkowego i Bliskiego

Wschodu, a przywódcy państw biją przed Szachem pokłony, nawet Breżniew.

- Tak. Nie wiemy jednak, jaka jest wola Boga. Załatw paszport.

- Ale paszport amerykański może być bardzo niebezpieczny. Wiesz przecież, że przez SAVAK wszystko dociera do Szacha! Co będzie, jeśli dowie się on albo generał Arjani? To by zniszczyło moją karierę w lotnictwie.

- Dlaczego? Oświadczysz im z dumą, że zdobyłeś właśnie paszport i odkładasz go do dnia, gdy będziesz mógł go użyć dla dobra Pahlawich. Co o tym myślisz?

492

- Oczywiście!

- Otwórz swe oczy, synu, na to, jak działa ten świat. Obietnice królów nie mają żadnej wartości. Królowie mogą zawsze je złamać, powołując się na stan wyższej konieczności. Jeśli ten Szach albo następny, albo nawet twój wspaniały generał musieliby wybrać pomiędzy twoim życiem a czymś, co będzie dla nich miało większą wartość, jaki będzie ich wybór? Nie pokładaj wiary w księciach, generałach czy politykach: sprzedadzą cię, twoją rodzinę i twoje dziedzictwo za łyżkę soli do przyprawienia ryżu, którego nie będzie się im nawet chciało spróbować...

Jakież to prawdziwe! Carter sprzedał nas i swych generałów, potem Szacha i jego generałów, a nasi generałowie zrobili to samo z nami. Jak jednak mogli być aż tak głupi, żeby zabić siebie samych? - pomyślał, wzдры-gając się na samą myśl o tym, jak bliski był śmierci w Isfahanie. Oni wszyscy musieli zwariować!

- Zimno jest tu, w cieniu - odezwał się Lochart.

- Tak, rzeczywiście.

Ali spojrzał na Toma i otrząsnął się z niepokoju. Wszyscy generałowie są tacy sami; ojciec miał rację. Nawet te dwa sukinsyny, Walik i Seladi. Sprzedadzą nas wszystkich, gdy tylko będzie im to do czegoś potrzebne. Teraz mnie potrzebują, gdyż tylko ja umiem pilotować helikopter, jeśli nie liczyć tego biedaka, który nie wie nawet, że jest spisany na straty.

- Pozbądźmy się tego Locharta - proponował Seladi. - Po co zabierać go w bezpieczne miejsce? Powinien opuścić nas w Isfahanie. Dlaczego nie zostawić go tutaj? Martwego. Nie możemy pozostawić go przy życiu. Zna nas wszystkich i może zdradzić.

- Nie, ekscelencjo wujku - zaprotestował Walik. - On może być dobrym podarunkiem dla Kuwejtczyków lub Irakijczyków; mogą go aresztować lub wydalić. To właśnie on ukradł

irański helikopter i zgodził się zabrać nas za pieniądze. Nieprawdaż?

- Tak, ale może podać nasze nazwiska rewolucjonistom.

- Do tego czasu będziemy już bezpieczni, my i nasze rodziny.

237

- Myślę, że jednak powinniśmy się go pozbyć, albo on nas wyda. Zlikwidować go i polecieć do Bagdadu,

a nie do Kuwejtu.

- Proszę to jeszcze raz rozważyć, ekscelencjo. Lo-chart jest bardzo doświadczonym pilotem...

Ali spojrział na zegarek. Tylko trzydzieści minut do startu. Zauważył, że Lochart spojrział na dom, w którym naradzali się Walik i Seladi. Ciekawe, który z nich postawi na swoim? Co jest przeznaczone temu nieborakowi: więzienie w Kuwejcie lub Iraku czy kulka w łeb? Ciekawe, czy go zakopią, czy po prostu zostawią sępom

na pożarcie?

- O co chodzi? - zapytał Lochart.

- Nic takiego, kapitanie, myślałem tylko, jakie mieliśmy szczęście uciekając z Isfahanu.

- O, tak! Nadal uważam, że zawdzięczam ci życie.

Lochart był pewien, że gdyby Ali i major nie uwolnili go, skończyłby przed sądem kapturowym komitetu. A gdyby złapano go teraz? To samo. Nie pozwalał sobie na myśli o Szahrazad czy Teheranie. Niczego nie planował. Przyjdzie na to czas, powtarzał sobie. Gdy tylko sytuacja się trochę wyjaśni.

Dokąd oni chcą polecieć? Kuwejt? A może tylko krótki skok przez granicę do Iraku? Irak jest wrogo nastawiony do Irańczyków; to mogłoby przedstawiać pewne ryzyko. Stąd można łatwo dolecieć do Kuwejtu, a większość Kuwejtczyków to sunnici, a zatem przeciwnicy Chomeiniego. Z drugiej strony, aby się tam dostać, trzeba się przemknąć przez wiele niebezpiecznych terenów - irańskich i irackich - gdzie się roi od nerwusów, łatwo pociągających za spust. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów znajduje się tu chyba ze dwadzieścia baz lotnictwa wojskowego, z myśliwcami w pełnej gotowości bojowej i przerażonymi pilotami pragnącymi dowieść swej lojalności wobec nowego reżimu.

A co z daną McIverowi obietnicą, że nie przekroczy

W Isfahanie zostałem naznaczony; rewolucjoniści na pewno nie zapomną ani mojego nazwiska, ani numeru rejestracyjnego maszyny. Czy ktoś zapisywał moje nazwisko? Nie, chyba nie. Chociaż... Nawet jeśli nie, to i tak lepiej uciekać, dopóki jest to możliwe. Jestem zamieszany w ucieczkę; w Isfahanie zginęli ludzie. Tak czy inaczej, jestem naznaczony. A co z Szahrazad? Nie mogę jej zostawić. Mogę. W Teheranie jest bezpieczna. A może przyjdą po mnie; Szahrazad otworzy drzwi, a oni wezmą ją zamiast mnie?

- Napiłbym się czego zimnego - powiedział, czując, że ma wyschnięte usta. - Myślisz, że mają tam colę albo coś w tym rodzaju?

- Pójdę sprawdzić.

Obejrżeli się, gdy dzieci Walika wypadły z hałasem ze ścieżki prowadzącej do jeziora.

Annusz szła za nimi:

- Ach - powiedziała ze swym uroczym uśmiechem, który łagodził fakt, że miała podkrążone oczy. - Piękny dzień, prawda? Mieliśmy tyle szczęścia.

- O, tak! - przytaknęli jednocześnie, zastanawiając się, jak taka kobieta mogła wyjść za mąż za Walika. Przyjemnie było na nią popatrzeć. Wyglądała najlepiej, jak tylko matka mogła wyglądać.

- Kapitanie Abbasi, gdzie jest mój mąż?

- W domu, wasza wysokość, razem z innymi - odparł Ali. - Czy mogę panią odprowadzić?

Właśnie wybierałem się w tym kierunku.

- Czy mógłby pan go odnaleźć i poprosić, żeby się do mnie przyłączył?

Ali nie chciał zostawić jej samej z Lochartem. Była przy tym, gdy Walik i Seladi powiedzieli mu o swych zamierzeniach, pytając o radę w sprawie celu wyprawy, choć nie w kwestii wyeliminowania Locharta, która wyłoniła się później.

- Nie chciałbym sam przeszkadzać generałowi, wasza wysokość. Może moglibyśmy pójść tam razem?

- Proszę go dla mnie znaleźć. - Była tak władcza jak sam generał, choć mówiła grzeczniej, a w tonie jej głosu nie było nic obraźliwego.

Ali wzruszył ramionami. In sza'a Allah, pomyślał i odszedł. Gdy Annusz i Lochart zostali sami - dzieci bawiły się w chowanego, biegnąc wokół hangaru - kobieta dotknęła łagodnie pilota. - Nie podziękowałam ci jeszcze za ocalenie nam życia, Tommy.

Lochart drgnął. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Zawsze nazywała go "kapitanem Lochartem" albo "drogim szwagrem", albo "ekscelencją mężem Szahrazad".

- Pomogłem z przyjemnością.

- Wiem, że ty i drogi stary Mac zrobiliście to dla dzieci i dla mnie. Nie patrz z takim zdziwieniem, mój drogi. Znam mocne i... i słabe strony mojego męża. Jaka żona ich nie zna? -

Jej oczy napełniły się łzami. - Wiem, co to dla ciebie oznacza. Naraziłeś na niebezpieczeństwo swe życie, Szahrazad, swą przyszłość w Iranie, być może swoją spółkę.

- Szahrazad nie. Ona jest całkowicie bezpieczna. Jej ojciec, ekscelencja Bakrawan, zadba o jej bezpieczeństwo do czasu, gdy będzie mogła wyjechać. Oczywiście, nic jej nie grozi.

Spojrzał w brązowe oczy Annusz, wyczytał z nich

wiele i przeraził się.

- Modłę się o to z całego serca, Tommy, i błagam Boga, aby spełnił to życzenie. - Otarła łzy. -

Jeszcze nigdy nie byłam tak smutna. Nie wiedziałam nawet, że można być tak smutnym; smutnym z powodu ucieczki, z powodu żołnierza umierającego na śniegu, z powodu wszystkich krewnych i przyjaciół, którzy musieli zostać, smutnym dlatego, że w Iranie nikt już nie jest bezpieczny. Tak się boję, że my wszyscy zostaniemy oskarżeni przez mułłów.

Zawsze byliśmy tacy... zbyt nowocześni i postępowi. Nikt już nie jest bezpieczny, nawet sam Chomeini.

Lochart usłyszał własne słowa: In sza'a Allah, ale nie słuchał jej, sparaliżowany myślą, iż być może nie ujrzy nigdy Szahrazad, nie będzie mógł ani powrócić do Iranu, ani jej wydostać.

496

- Niedługo wszystko wróci do normy; będzie można podróżować i sytuacja się wyjaśni.

Oczywiście. W ciągu kilku miesięcy. Na pewno się uspokoi.

- Mam nadzieję, Tommy, gdyż kocham twoją Szahrazad i nie mogę znieść myśli, że mogłabym nie zobaczyć jej i maleństwa.

- Co takiego?!

- Och, ty oczywiście nie wiesz - powiedziała, a potem otarła resztki łez. - Jest jeszcze za wcześnie, żebyś wiedział. Szahrazad powiedziała mi, że jest pewna, iż nosi w sobie swe pierwsze dziecko.

- Ale... ale ona... - Urwał bezradnie. Osłupiał, lecz jednocześnie poczuł uniesienie. - Ona nie może!

- Och, nie była jeszcze pewna, Tommy, czuła jednak, że tak. Czasami kobieta może to wyczuć; czuje się tak inaczej, tak bardzo inaczej i tak pięknie. To takie spełnienie - dodała radośnie.

Lochart próbował zebrać myśli. Wiedział, że Annusz nie mogła wiedzieć, jakie wrażenie wywarły jej słowa. Boże w niebiosach, pomyślał. Szahrazad?!

- Zostało jeszcze kilka dni do chwili, w której będzie można się upewnić - mówiła. - Myślę, że trzy lub cztery. Daj mi pomyśleć. Tak, włącznie z dzisiejszym jeszcze cztery dni. To by nastąpiło nazajutrz po wizycie u jej ojca - dodała delikatnie. - Miałeś odwiedzić go w piątek, szesnastego. Prawda?

239

- Tak - odparł Lochart. Tak, jakbym mógł zapomnieć. - Wiedziałaś o tym?

- Oczywiście. - Annusz zdumiało to pytanie. - My wszyscy musieliśmy przecież wiedzieć o tak ważnej decyzji. Och, czy to nie wspaniale? Czyż nie mówiłaś ekscelencji Bakrawanowi, że chcesz mieć dzieci? Tak pragnę, aby Bóg pobłogosławił Szahrazad dzieckiem. Spędziłaby tak szczęśliwe dni i noce, dopóki nie będziemy mogli jej wydostać. Kuwejt nie jest daleko.

Żałuję tylko, że ona nie leci z nami; wtedy już wszystko byłoby wspaniałe!

- Kuwejt?

497

- Tak, ale nie zatrzymamy się tam. Pojedziemy do Londynu. - W jej głosie znowu pojawiła się udręka. - Nie chcę opuszczać domu i przyjaciół, i... nie...

Lochart zobaczył, że otwierają się drzwi domu. Wyszli przez nie Walik i Seladi, za nimi Ali.

Pilot zauważył, że wszyscy trzej mieli broń osobistą. Musieli tu mieć skrytkę z bronią, pomyślał obojętnie, gdy Ali zasalutował i pospieszył w kierunku jeziora. Uradowane dzieci wypadły zza hangaru i rzuciły się Walikowi w objęcia. Generał podrzucił dziewczynkę do góry i postawił ją na ziemi.

- Tak, Annusz? - zwrócił się do żony.

- Chciałeś, żebym była tu z dziećmi dokładnie o tej porze.

- Przygotuj Setarem i Dżalalą. Niedługo odlatujemy. - Dzieci natychmiast pobiegły do domu.

- Kapitanie, czy śmigłowiec gotowy?
- Tak, oczywiście. p ; ś. ; Walik spojrzał na żonę. i;w -
- Proszę, kochanie, przygotuj się. t.vv* Uśmiechnęła się i nie ruszyła z miejsca.
- Muszę tylko wziąć palto. Jestem gotowa. "• :||| Podeszli pozostali oficerowie. Kilku z nich trzymało pistolety maszynowe.

Lochart oderwał się od myśli o Szahrazad, piątku i czterech pozostałych dniach; przerwał milczenie:

- Na czym polega plan?
- Bagdad. Startujemy za kilka minut - odpowiedział Walik.
- Myślałam, że polecimy do Kuwejtu - wyraziła zdziwienie Annusz.
- Postanowiliśmy lecieć do Bagdadu. Generał Seladi uważa, że to bezpieczniejsze niż kierowanie się na południe. - Walik obserwował Locharta. - Chciałbym za dziesięć minut być już w powietrzu.
- Radziłbym poczekać do drugiej lub trzeciej nad ranem i...
- Tutaj możemy wpaść w pułapkę - przerwał mu chłodno Seladi. - W pobliżu jest baza lotnictwa. Mogą

498

wysłać patrol. Nie rozumie pan spraw wojskowych. Natychmiast lecimy do Bagdadu!

- Kuwejt byłby lepszy i bezpieczniejszy, choć w obu krajach helikopter nie mający irańskiego zezwolenia zostanie obłożony sekwestrem - powiedział Lochart.
- Może tak, a może nie - odparł spokojnie Walik.
- Bakszysz i pewne znajomości mogą działać cuda.
- Ty intruzie, pomyślał bez śladu złości, ty i ten twój 212 będziecie wspaniałym podarunkiem, który usatysfakcjonuje nawet Irakijczyków. Wiemy wszyscy, tak dobrze jak ty, że prowadzisz go nielegalnie. Nawet zezwolenie uzyskane w Teheranie nie było legalne. Irakijczycy to rozumieją i nie zrobią nam krzywdy. Większość z nich nienawidzi Chomeiniego i jego sposobu pojmowania islamu. Dlaczego mieliby mi narobić kłopotów? Dostaną ciebie, 212 i coś ekstra na boku. Zauważył, że Lochart na niego patrzy. - Tak?
- Uważam, że wybranie Bagdadu jest błędem.

- Wyruszamy - zadysponował oschle generał Seladi. Lochart, wobec takiej niegrzeczności, poczerwieniał

240

na twarzy. Niektórzy oficerowie poruszyli się nerwowo. Odleciecie, gdy będą do tego gotowi i helikopter, i pilot.

- Latałeś kiedyś w tych górach? - spytał Walika.

- Nie... nie latałem, ale 212 może osiągnąć taki pułap. Lecimy do Bagdadu. Teraz!

- Powodzenia. Nadal doradzam Kuwejt i czekam. Róbcie, co chcecie, ale beze mnie.

Zapadła cisza. Seladi poczerwieniał.

- Proszę szykować się do startu, już! >. ;' Lochart zwrócił się do Walika:

- Po drodze do Isfahanu powiedziałem ci, że nie wezmę udziału w ostatnim etapie. Dalej nie lecę. Może was zawieźć Ali; ma po temu wszelkie kwalifikacje.

- Ale ty jesteś teraz tak samo zagrożony jak każdy z nas. - Walika zdumiewała głupota Locharta. - Oczywiście, że polecisz.

- Nie. Wrócę stąd na piechotę. Oczywiście, nie możecie tracić czasu, żeby mnie gdzieś podrzucić. Ali może

499

poprowadzić śmigłowiec; stacjonował w tym rejonie i zna radar. Zostawicie mi tylko karabin, a ja sobie pójdę do Bandar Dejlamu, w porządku?

Mężczyźni przenosili spojrzenia z Locharta na Sela-diego i Walika. Czekali.

Walik zastanawiał się nad nowym problemem. Sela-di także. Obaj doszli do tego samego wniosku: In sza a Allah! Lochart postanowił zostać i tym samym zgodził się na wszystkie skutki tej decyzji.

- Doskonale - powiedział spokojnie Walik. - Ali będzie pilotował. - Uśmiechnął się, a potem, ponieważ cenił Locharta jako pilota, dodał szybko: - Ponieważ jesteśmy narodem demokratycznym, proponuję głosowanie: Irak czy Kuwejt?

- Kuwejt - natychmiast wypaliła Annusz, a inni jej zawtórowali, zanim Seladi zdążył się wtrącić.

Dobrze, pomyślał Walik. Przedtem zgodziłem się, gdyż Seladi twierdził, że zna szefa policji w Bagdadzie. Powiedział, że bezpieczeństwo moje, mojej rodziny i jego będzie kosztowało nie więcej niż 20000 dolarów w banknotach amerykańskich, co byłoby nieporównanie tańsze od Kuwejtu. Suma, którą musieliby zapłacić inni, jest ich sprawą. Mam nadzieję, że mają pieniądze albo mogą je szybko

zdobyć.

- Oczywiście zgadzasz, się, ekscelencjo wuju? Kuwejt. Dziękuję, kapitanie. Niech pan powie Alemu, że będzie pilotował. Jest nad jeziorem.

- Jasne. Zaraz skompletuję sobie wyposażenie na drogę. Zostawicie mi karabin?

- Oczywiście.

Lochart zniknął w hangarze.

- Wytoczcie helikopter - rozkazał Seladi. Oficerowie udali się wypełnić polecenie. Lochart wyszedł, położył swe torby przy drzwiach i ruszył ścieżką nad jezioro. Seladi odprowadził go wzrokiem, a potem niecierpliwie podszedł do 212.

Walik zauważył, że żona mu się przygląda.

- Tak, Annusz?

- Co zamierzacie zrobić z kapitanem Lochar-tem? - zapytała cicho, choć i tak nikt nie mógł ich słyszeć.

- On... słyszałaś, co powiedział. Odmawia lotu i chce tu zostać. Odejdzie.

- Zbyt dobrze cię znam, mój drogi. Czy chcecie go zabić? - Uśmiechała się miło. -

Zamordować?

- Morderstwo to nie najlepsze określenie. - Uśmiechnął się także. - Na pewno się zgodzisz, że Lochart stanowi teraz wielkie zagrożenie. Zna nas wszystkich, zna nasze nazwiska; wszyscy nasi krewni ucierpieliby, gdyby go schwytano, torturowano i skazano. To wola Boga. Sam wybrał. Seladi chciał to zrobić, tak czy inaczej; wojskowa decyzja. Ja powiedziałem: nie.

Proponowałem, żeby to Lochart pilotował.

241

- Po to, żeby móc go zdradzić w Kuwejcie albo Bagdadzie?

- To Seladi wydał rozkaz Alemu. Nie ja. Lochart jestznaczony, biedny człowiek. To tragiczne, ale konieczne. Zgadzasz się z tym, prawda?

- Nie, kochanie. Przykro mi, ale nie. Jeśli coś mu się tutaj stanie, jeśli ktoś tknie go choć palcem, wielu tego pożałuje. - Annusz nie przestawała się uśmiechać. - Ty także, kochanie.

Poczerwieniał. Z tyłu mężczyźni wytoczyli już 212 z hangaru i rozpoczęli załadunek. Walik zniżył

głos.

- Nie rozumiesz, Annusz?! Chodzi o nasze życie! On nie jest jednym z nas. Dżared ledwie go toleruje, a ja cię zapewniam: on stanowi dla nas poważne niebezpieczeństwo! Także dla tych, których zostawiamy: dla twojej i mojej rodziny.

- Słyszałeś, co powiedziałam, mężu? Ja też wiem, co jest niebezpieczne, ale obiecuję: jeśli on zostanie zamordowany, ty także zginiesz!

- Nie bądź śmieszna!

- Kiedyś zaśniesz i już nigdy się nie obudzisz. To będzie wola Boga. - Uśmiech nie zniknął z jej twarzy ani nie zmienił się łagodny ton głosu.

500

501

Walik zawahał się. Potem ze ściągniętą twarzą pobiegł w kierunku ścieżki. Dzieci wypadły z domu i podbiegły do Annusz.

- Poczekajcie tu, kochane - powiedziała. - Zaraz wrócę.

Nad jeziorem, na pomoście osłoniętym daszkiem, umieszczono rożen i bar. Do wody prowadziły stopnie ułatwiające start narciarzom wodnym i umożliwiające schodzenie do motorówki, którą zacumowano pod znajdującą się w pobliżu wiatą.

Lochart stał z podniesionymi rękami nad samą wodą. Ali mierzył do niego z automatu.

Rozkaz Seladiego był jasny: idź nad jezioro i czekaj. Albo cię odwołamy, albo przyślemy po ciebie pilota. Jeśli przyjdzie pilot, zabij go i od razu wracaj.

Nie podobał mu się ten rozkaz. Bombardowanie lub strzelanie do rewolucjonistów i zdrajców z karabinu maszynowego helikoptera nie było morderstwem, ale to tutaj - tak. Miał twarz w kolorze popiołu; nigdy przedtem nikogo nie zabił, teraz prosił Boga o wybaczenie; rozkaz jednak jest rozkazem.

- Przepraszam - wykrztusił i zaczął ściągać spust. W tym momencie wydało mu się, że nogi odmówiły

Lochartowi posłuszeństwa; okręcił się tak, że stanął twarzą w kierunku wody i runął. Ali automatycznie, jak na strzelnicy, wycelował w środek pleców; wiedział, że z tej odległości nie może chybić. Ognia!

- Stój!

W ciągu ułamka sekundy zdał sobie sprawę ze znaczenia tego okrzyku i odetchnął z ulgą.

Poczuł, że jego palec spoczywający na spuście rozluźnia się. Walik podbiegł. Obaj spojrzeli na powierzchnię wody, która w tym miejscu była głęboka i nieprzenikniona. Czekali; Lochart się nie pojawił.

- Może jest pod podłogą albo pod tratwą - powiedział Ali, ocierając pot z czoła i dziękując Bogu za to, że krew pilota nie obciąży jego sumienia.

Walik także się spocił, ale ze strachu. Nigdy nie widział u żony takiego spojrzenia, uśmiechu, który zwi-

stawał śmierć. To jej podli przodkowie, pomyślał. Jest z Kadzarów, pochodzi od Kadzarów, którzy bez wahania mogli oślepić lub zamordować swych rywali do tronu albo ich dzieci. Czy choć jeden szach z trwającej 146 lat dynastii Kadzarów umarł naturalną śmiercią? Walik rozejrzał się wokół, zobaczył, że żona stoi w górze, na ścieżce, i zwrócił się do Alego.

- Daj mi karabin.

242

Trzęsącymi się rękoma położył karabin na podłodze i krzyknął:

- Lochart, zostawiam ci broń. To była pomyłka. Kapitan się pomylił.

- Ależ, generale...

- Idź do helikoptera - polecił głośno Walik. - Seladi jest głupcem. Nie powinien kazać ci zabić tego biednego człowieka. Natychmiast startujemy i lecimy do Kuwejtu, a nie do Bagdadu. Ali, idź i uruchamiaj silnik!

Ali odszedł. Gdy mijał Annusz, spojrzął na nią ze zdziwieniem, a potem ruszył pośpiesznie dalej. Annusz zeszła niżej i stanęła obok męża.

- Widziałaś? - zapytał.

- Tak.

Czekali. Wokół panowała cisza, woda nie chlupotała. Było pięknie i spokojnie; powierzchnia jeziora gładka i bezwietrzna.

- Ja... ja modłę się, żeby był gdzieś ukryty - powiedział, czując w duszy pustkę. Nadszedł

czas, aby załagodzić sytuację. - Cieszę się, że jego krew nie splamiła naszych rąk. Seladi to potwór.

- Wracajmy już.

Od domu i helikoptera nie było ich widać. Walik wyjął pistolet i wystrzelił, celując w ziemię.

- Na użytek Seladiego! Powiem, że trafiłem Lochar-ta, gdy się wynurzył. Niegłupie, co?

Wzięła go pod rękę.

- Jesteś mądrym i dobrym człowiekiem. - Zgodnie wchodzili na wzniesienie. - Bez ciebie, twojego sprytu i odwagi nigdy nie ucieklibyśmy z Isfahanu. Ale wygnanie? Dlaczego...

503

- Tylko chwilowe wygnanie - powiedział jowialnie, czując ulgę na myśl, że złe chwile minęły. - Potem wrócimy do domu.

- To by było wspaniale - odparła, zmuszając się, żeby uwierzyć. Musiałam to zrobić albo zwariowałabym. Musiałam to zrobić dla dzieci! - Cieszę się, że wybrałeś Kuwejt. Nigdy nie lubiłam Bagdadu i tych Irakijczyków! - Nadal miała cienie pod oczami. - Dlaczego Lochart nie miał racji, gdy mówił o czekaniu do zmroku?

- O kilka kilometrów stąd jest baza lotnictwa. Mogliby złapać nas radarem albo reflektorami umieszczonymi na wzgórzach. W tej sprawie Seladi ma rację: baza wyśle patrol, żeby nas szukał. - Osiągnęli szczyt wzniesienia. Dzieci czekały na nich w drzwiach kabiny, wszyscy inni byli już w środku. Przyspieszyli kroku. - Kuwejt jest o wiele bezpieczniejszy. Już dawno postanowiłem przekonać tego zadufanego głupca, Seladiego. Nie można mu ufać!

W ciągu kilku minut znaleźli się w powietrzu; maszyna leciała na północ, nad wzgórzami, kryjąc się w wąwozach i rozpadlinach. Ali Abbasi był niezłym pilotem i dobrze znał teren. W

jednym z wąwozów skręcił na zachód i przeskoczył przełęcz, aby uniknąć krańca lotniska.

Granica z Irakiem znajdowała się mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów dalej. W górze, nad sobą, widzieli ośnieżone szczyty gór; śnieg leżał też na położonych wyżej stokach, choć gdzieniegdzie w dolinach zielona roślinność łagodziła dzikość skał. Przelecieli niespodziewanie nad jakąś wioską, a potem zawrócili niemal dokładnie na południe, znów wzdłuż strumienia, który płynął równolegle do granicy znajdującej się daleko z prawej strony.

Lot nie powinien trwać dłużej niż dwie godziny, zależnie od wiatru, a wiatr im sprzyjał.

Pasażerowie wyglądali wesoło przez okna; dzieci dostały najlepsze miejsca; major trzymał

Dżalalę, a Wa-lik, siedzący koło Annusz, swą córkę. Wszyscy byli zadowoleni, niektórzy modlili się w myślach. Zbliżała

504

się pora zachodu słońca; niebem płynęły przyjazne, zabarwione na czerwono chmury.

- Kiedy czerwien o zachodzie, pasterz wie już o pogodzie - nuciła po angielsku Annusz na ucho Setarem.

Silnik pracował równomiernie; wszystkie wskaźniki na kolorze zielonym.

243

Alego cieszył ten lot. Cieszył się też, że nie zabił Locharta, który stał przed nim w milczeniu, nie błagał o litość i nie modlił się; po prostu stał z rękami nad głową i czekał. Dzięki Bogu, na pewno schronił się pod pomostem...

Zerknął na mapę, żeby odświeżyć pamięć. Właściwie nie musiał tego robić, gdyż spędził tu wiele lat i odbył niezliczoną liczbę lotów w górach. Niedługo wydostaną się nad bagniste równiny Tygrysu i Eufratu. Pozostaną na małej wysokości, kierując się na Dezful, potem Alwaz i Chorranszahr. Potem skok przez Szatt el-Arab i granicę. Do Kuwejtu i wolności.

Przed oczami pilota wyłoniła się grań, nad którą dominował wyższy szczyt. Uniósł maszynę wyżej, wypadł z doliny i zapadł w następną, czerpiąc przyjemność z lotu. Nagle słowa:

"HBC, wejdź na trzysta metrów i zmniejsz szybkość!" zadźwięczały mu w słuchawkach i mózgu. Byli w powietrzu dopiero od sześciu minut.

Rozkaz padł w farsy i został powtórzony po angielsku; potem znowu w farsy i znowu po angielsku. Pilot przez cały czas utrzymywał maszynę nisko nad ziemią, próbując gorączkowo zebrać myśli.

- Helikopter HBC, jesteś nielegalny. Wznies się nad wąwóz i zredukuj prędkość!

Ali Abbasi spojrział w górę, na niebo; nie zobaczył żadnego samolotu. Dolina uciekała do tyłu. Z przodu widniała następna grań, a dalej kolejne doliny i granie, prowadzące w dół, na równiny. Granica i Irakiem biegła w odległości jakichś sześćdziesięciu kilometrów -

dwadzieścia minut lotu!

- Helikopter HBC, powtarzam po raz ostatni: jesteś nielegalny. Do góry i wolniej!

505

Alemu huczało mu w głowie: masz trzy możliwości: posłuchać i umrzeć, próbować uciec lub wylądować i przycząć się do świtu - jeśli przetrzymasz ich rakiety i pociski.

Z przodu, z lewej, zobaczył drzewa, przy których ziemia uciekała w dół; boki doliny robiły się strome, tak że dolina zmieniała się w wąwóz. Skierował tam maszynę, postanawiając uciec. Teraz jego umysł pracował już sprawnie. Zdjął słuchawki, poleciał się Bogu i poczuł

lepiej. U wylotu parowu zwolnił, przeskoczył kępę drzew i zapadł w następną dolinkę, jeszcze bardziej redukując prędkość i kierując się ostrożnie wzdłuż łożyska strumienia.

Prześliznął się między jakimś drzewem a nawisem skalnym.

Nisko i powoli, oszczędzaj benzynę i kieruj się na południe, pomyślał, czując, że jest coraz bardziej

pewny siebie. Blisko granicy, a potem wybrać właściwy moment. Jeśli będziesz mądry, nie złapią cię. Niedługo zapadnie mrok; zgubisz ich w ciemnościach, a wiesz tyle o lataniu według instrumentów pokładowych, że trafisz do Kuwejtu. Ale jak nas wykryli? To tak, jakby specjalnie czekali! Może namierzyli nas, gdy dochodziliśmy do Dez Damu?

Uwagaaa!

Drzewa były tu potężniejsze; okrążył pnie wyrastające na zboczu, zbliżył się do skał, wspiął nad grań i skierował do następnej doliny. Leciał nisko, pod osłoną skał, szukając przez cały czas dogodnego lądowiska na wypadek, gdyby zawiódł silnik. Był skoncentrowany, spokojny i wykonywał dobrze swą pracę. Wskazówki wszystkich instrumentów pokazywały, że urządzenia śmigłowca działają prawidłowo. Mijały minuty; choć Ali obserwował niebo, nie zauważył niczego niepokojącego. W najwyższym punkcie następnej doliny powoli okręcił maszynę o 360 stopni, starannie badając wzrokiem niebo. Nic.

Jestem bezpieczny! Zgubiłem go! In sza'a Allah! Wziął głęboki oddech i skierował maszynę na południe. Za następną grań. Potem za jeszcze jedną, za którą leżały równiny.

Czekały tam dwa myśliwce FI4.

506

LOTNISKO W TEHERANIE, BIURO S-G, 17:48.

244

- ... nie masz zezwolenia na lądowanie! - Rozległo się po raz kolejny wśród trzasków odbiornika. Nachyleni nad nim Gavallan, McIver i Robert Armstrong nasłuchiwali w napięciu. Za oknami monotony, ponury widok, wieczór blisko.

Znowu odezwał się żywy głos Johna Hogga, dochodzący falami radiowymi z nadlatującego 125.

- Echo Tango Lima Lima, mamy zezwolenie na lądowanie od radaru na Kiszu, tak jak wczoraj...

- ETLL, nie wolno ci lądować! - Kontroler ruchu był najwyraźniej wystraszony, a McIver cicho zaklął. - Powtarzam: nie ma zezwolenia. Cały ruch cywilny jest wstrzymany, a zezwolenia na lądowanie unieważnione do czasu dalszych rozkazów imama... - Słyszeli w tle rozmowy prowadzone w farsy; na tej częstotli-507

wości działało wiele radiostacji. - Wracaj do miejsca startu!

- Powtarzam: mamy zezwolenie od radaru na Ki-szu, który przekazał nas do kontrolera ruchu w Isfaha-nie, a ten potwierdził nasze zezwolenie. Niech żyje Ajatollah Chomeini i zwycięstwo islamu. Jestem o sześćdziesiąt kilometrów na południe od punktu kontroli Waramin, przewidywany pas 29 lewo. Proszę potwierdzić, że twój system naprowadzania działa. Czy masz w powietrzu inne

maszyny?

Przez chwilę głosy w farsji zagłuszały wieżę; potem dało się słyszeć:

- Nie ma ruchu w powietrzu, odmawiam, ETL, nie wolno ci...

Kontroler mówiący w amerykańskiej angielszczyźnie nagle urwał, a rozległ się głos z kiepskim akcentem:

- Nie ma lądowań! Komitet daje rozkazy w Teheran! Kisz nie Teheran, Isfahan nie Teheran, my dajemy rozkazy w Teheran! Jak wylądować, ty aresztowany!

John Hogg odpowiedział natychmiast wesołym głosem:

- Echo Tango Lima Lima! Zrozumiałem, że nie chcecie, żebyśmy lądowali, i odrzucacie nasze zezwolenie, co jest chyba błędem w myśl przepisów lotniczych. Zostań na nasłuchu. -

Potem, natychmiast, w prywatnym paśmie radiowym S-G zabrzmiał rzeczowy głos pilota: -

Kwatera Główna, proszę o radę!

McIver natychmiast zmienił kanał i powiedział do mikrofonu:

- Trzy sześćdziesiąt, zostań na nasłuchu. - Oznaczało to, że samolot ma krążyć i czekać na odpowiedź. McIver spojrzał na Gavallana, który siedział z ponurym wyrazem twarzy. Robert Armstrong cicho pogwizdywał. - Lepiej go odprawmy. Jeśli wyląduje, mogą go przymknąć, a samolot zasekwestrować - wyraził obawę McIver.

- Z oficjalnym zezwoleniem? - zaprotestował Ga-vallan. - Powiedziałeś przecież tym z wieży, że mamy list

ambasadora brytyjskiego, potwierdzony przez biuro Ba-zargana...

- Ale nie przez samego Bazargana - odparł Robert Armstrong. - Poza tym, praktycznie rzecz biorąc, te skurczybyki w wieży decydują w tej chwili o wszystkim. Sugerowałbym... - Urwał i wyciągnął rękę. - Proszę tam spojrzeć!

Dwie ciężarówki i samochód kontroli radiowej z kołyszącą się wysoką anteną pędziły obwodnicą lotniska. Wjechały na pas 29 lewo i zatrzymały się na samym środku. Uzbrojeni mężczyźni z zielonymi opaskami wyskoczyli i zajęli pozycje obronne. Samochód kontrolny pozostał na miejscu.

- Gówno! - mruknął McIver.

- Mac, czy sądzisz, że słuchają na naszej częstotliwości?

- Na wszelki wypadek lepiej to zaszyfrować, Andy. Gavallan wziął mikrofon.

- Zrezygnuj. B, powtarzam: B.

- Echo Tango Lima Lima! - A potem na częstotliwości wieży grzecznie i przyjacielsko: -

Wieża w Teheranie: zgadzamy się na waszą prośbę o unieważnienie naszego zezwolenia.

245

Prosimy oficjalnie o wasze zezwolenie na lądowanie jutro w południe w celu dostarczenia części zamiennych potrzebnych pilnie IranOil i zabrania personelu na zaległy urlop. Potem niezwłoczny start.

McIver chrząknął.

- Johnny miał zawsze szybki refleks. - Zwrócił się do Armstronga: - Umieścimy...

Przerwał mu głos kontrolera z wieży:

- Echo Tango Lima Lima.

- Umieścimy pana na liście pasażerów, gdy tylko będziemy mogli, panie Armstrong.

Niestety, dzisiaj nie ma pan szczęścia. Co z pana dokumentami?

Armstrong oderwał wzrok od nadjeżdżającego samochodu.

- Właściwie wolałbym być specjalnym konsultantem S-G wyjeżdżającym na urlop, gdyby nie miał pan

509

nic przeciwko temu. Oczywiście nie będę pobierał wynagrodzenia. - Spojrzał na Gavallana. -

Co to znaczy: B, powtarzam: B?

- Jutro spróbuj znowu, o tej samej porze.

- A jeśli zgodzą się na prośbę ETLL?

- Wtedy zostanie pan specjalnym konsultantem.

- Dziękuję. Miejmy nadzieję, że jutro się uda. - Armstrong spojrział na nadjeżdżający samochód i dodał szybko: - Czy będzie pan w domu koło dziesiątej, panie Gavallan? Może mógłbym do pana spaść i porozmawiać, o niczym ważnym...

- Oczywiście, będę na pana czekał. Już kiedyś się

spotkaliśmy, prawda?

- Tak. Gdybym nie dotarł do dziesiątej piętnaście, wie pan, jak to jest, spróbuję jutro rano. -

Armstrong

wstał. - Dziękuję.

- W porządku. Gdzie się spotkaliśmy?

- W Hongkongu.

Robert Armstrong skinął grzecznie głową i wyszedł, wysoki i szczupły. Zobaczyli, że skierował się do drzwi prowadzących do hangaru i tylnego wyjścia na parking S-G, gdzie pozostawił swój nie wpadający w oko samochód. Wóz McIvera stał od frontu.

- Zachowuje się tak, jakby już kiedyś tu był - zauważył z namysłem McIver.

- Hongkong? Nie pamiętam go. A ty?

- Nie. - McIver zmarszczył brwi. - Zapytam Gen. Ona ma pamięć do nazwisk.

- Nie jestem pewien, czy ten cholerny Armstrong mi się podoba. Niezależnie od tego, co mówi o nim Talbot.

W południe wybrali się do Talbota, żeby wypytać go o Armstronga. George Talbot powiedział tylko:

- Och, on jest, no, raczej porządny, naprawdę, a my bylibyśmy wdzięczni, gdybyście go panowie podrzucili i nie zadawali mu zbyt wielu pytań. Oczywiście, zostanieie na lunchu?

Mamy jeszcze całkiem dobrą solę z Dover, świeżo zamrożoną, i masę kawioru, i wędzonego łososia, co chcecie. Poza tym trzymamy w lodzie parę butelek La Doucette, rocznik 76. Albo: parówki

510

z puree, a do tego domowe claret, które bardzo polecam. Pudding czekoladowy, bita śmietana z czereśniami. Mamy też jeszcze pół całkiem dobrego stiltona. Świat płonie, ale możemy przynajmniej obserwować to jak dżentelmeni. Co sądzicie o różowym dżinie przed lunchem?

Obiad był rzeczywiście bardzo dobry. Talbot uważał, że ustąpienie przez Bachtiaara pola Bazarganowi i Chomeiniemu może zaoszczędzić wielu kłopotów.

- Teraz, gdy nie grozi już przewrót, sytuacja powinna się w końcu unormować.

246

- Dlaczego "w końcu"?

- To znaczy wtedy gdy skończy się im amunicja. Kimkolwiek "oni" są. Ale, staruszkule, moja opinia

naprawdę nie ma znaczenia. Ważne jest to, co myśli Chomeini.

Gavallan przypomniał sobie przeraźliwy rechot Talbota śmiejącego się z własnego żartu i też się uśmiechnął.

- O co chodzi? - spytał McIver.

- Przypomniałem sobie zachowanie Talbota podczas lunchu.

Samochód musiał jeszcze pokonać sto metrów.

- Talbot ukrywa cały wór tajemnic. Jak sądzisz, o czym chce pogadać Armstrong?

- Prawdopodobnie chce trochę odwrócić naszą uwagę od siebie. W końcu, Mac, poszliśmy do ambasady, żeby zasięgnąć o nim języka. To dziwne! Zwykle nie zapominam... Hongkong?

Może wyścigi w Szczęśliwej Dolinie? Przypomnę sobie. Można o nim powiedzieć jedno: jest punktualny. Powiedziałem mu, że o piątej, i był, choć wydawało się, że ledwie zdążył. - Oczy Gavałlana błysnęły pod grubymi brwiami; potem zwrócił spojrzenie na samochód, który zajeżdżał już przed biuro. - Armstrong nie chciał spotkać się z naszymi przyjaciółmi z komitetu; to jasne, jak to, że Bóg stworzył Szkocję. Zastanawiam się dlaczego?

Komitet składał się z dwóch uzbrojonych młodzieńców, mułły - innego niż wczoraj - i Sabolira, spoco-511

nego urzędnika imigracyjnego, który był nadal zdenerwowany.

- Dobry wieczór ekscelencjom - powiedział grzecznie McIver, choć jego nozdrza buntowały się przeciwko zapachowi zastarzałego potu. - Czy napiją się panowie herbaty?

- Nie, dziękujemy - odparł Sabolir. Nadał był przestraszony, choć skrywał to pod maską arogancji. Usiadł na najlepszym krześle. - Mamy dla was nowe przepisy.

McIver miał z nim do czynienia już od paru lat. Czasem dawał mu karton whisky, benzynę do samochodu, a nawet bezpłatne przeloty i zakwaterowanie w miejscowościach wypoczynkowych nad Morzem Kaspijskim dla niego i jego rodziny. "Zarezerwowaliśmy pokoje dla naszych szefów, a oni nie mogą z nich skorzystać, drogi panie Sabolir. Szkoda, żeby się zmarnowały, prawda?" McIver załatwił kiedyś dwuosobową wycieczkę do Dubaju.

Dziewczyna była młoda i bardzo piękna; Sabolir zaproponował bezczelnie, żeby zaksięgować ją w rachunkowości S-G jako irańskiego eksperta.

- Czym możemy panu służyć?

Ku ich zdziwieniu, Sabolir wyjął paszport Gavallana i stare zezwolenie. Położył dokumenty na biurku.

- Oto pański paszport i zezwolenie. Są... zatwierdzone - powiedział oficjalnym głosem. -

Imam rozkazał, aby lotnisko zaczęło natychmiast normalnie działać. Islamskie państwo irańskie wraca do normy, a lotnisko będzie za trzy dni otwarte dla zwykłego, uzgodnionego ruchu. Wy też zaczniecie teraz normalnie działać.

- Wznawiamy szkolenie Irańskich Sił Powietrznych? - zapytał McIver, starając się ukryć radość; chodziło o ogromny, bardzo zyskowy kontrakt.

Sabolir zawahał się.

- Tak, sądzę, że tak...

- Nie - wtrącił twardo mułła, który mówił świetnie po angielsku. - Nie, dopóki nie wyrazi na to zgody imam albo Komitet Rewolucyjny. Spodziewam się, że 512

dostaniecie zdecydowaną odpowiedź. Nie sądzę, aby przywrócono tę część waszych działań.

Na razie tylko zwykłe zadania: dostarczanie części do waszych baz i loty, które pomogą IranOil w podjęciu produkcji. Poza tym Iran-Timber i tak dalej. Loty mogą się rozpocząć pojutrze: oczywiście, muszą być z góry zatwierdzone.

- Doskonale - odparł Gavallan, a McIver mu zawtórował.

247

- Przewóz ludzi, jeśli loty będą zatwierdzone z góry, a dokumenty pasażerów w porządku -

ciągnął mułła. - Też pojutrze. Wydobycie ropy jest najważniejsze. Gwardia Islamska obsadzi wszystkie loty krajowe.

- Pod warunkiem, że w każdym wypadku wpłynie do nas odpowiednia prośba. I bez broni -

przerwał grzecznie McIver, przygotowując się do nieuchronnej kłótni.

- Uzbrojeni strażnicy islamscy będą was chronić, aby zapobiec porwaniom maszyn przez wrogów państwa! - ostro zaprotestował mułła.

- Będziemy z przyjemnością współpracować, ekscelencjo - oznajmił Gavallan. - Naprawdę z przyjemnością. Jestem jednak pewien, że nie chcecie spowodować zagrożenia życia pasażerów ani też dezorganizacji państwa islamskiego. Zwracam się do pana oficjalnie, aby poprosił pan imama o wyrażenie zgody na loty bez broni; na pewno ma pan do niego dostęp.

Zresztą na razie i tak nie możemy latać.

- Ale wkrótce będziecie mogli. - Mułła był już bardzo zły.

- Może przyjmujemy rozwiązanie kompromisowe, które imam będzie mógł później zatwierdzić: strażnicy zachowają broń, ale w czasie lotu pilot będzie przechowywał amunicję.

Zgoda?

Muła zawahał się. Gavallan naciskał:

- Imam rozkazał, aby złożyć całą broń, prawda?

- Tak, dobrze. Zgadzam się.

- Dziękuję. Mac, przygotuj dla ekscelencji dokument do podpisania. To załatwi tę sprawę. A teraz,

513

ekscelencjo, potrzebujemy odpowiednich dokumentów lotniczych. Mamy tylko stare, to znaczy bezużyteczne, wystawione przez stary reżim. Czy da nam pan konieczne upoważnienia? Pan sam, ekscelencjo? Widać, że jest pan bardzo ważnym człowiekiem i że jest pan wprowadzony we wszystkie bieżące sprawy. - Gavallan obserwował mężczyznę, który wydawał się rosnąć pod wpływem pochlebstwa. Muła miał trzydzieści parę lat, za-tłuszczoną brodę i stare, wyświecone ubranie. Sądząc z akcentu, musiał studiować w Anglii; był jednym z tysięcy Irańczyków, których Szach wysłał na zagraniczne stypendia. -

Oczywiście, zechce pan wydać nam od razu nowe dokumenty, aby zalegalizować nas u progu nowej epoki?

- My... będziemy wystawiać nowe dokumenty dla każdej z naszych maszyn, tak. - Muła wyjął ze sfatygowanej teczki jakieś papiery i założył stare okulary o grubych szklach, z których jedno było pęknięte. Dokument, którego szukał, był na samym dnie. - Powierzono wam trzynaście irańskich 212, siedem 206 i cztery alouette. Są w różnych miejscach i mają irańską rejestrację. Stanowią własność Iran Helicopter Company. Zgadza się?

Gavallan potrząsnął głową.

- Niezupełnie. W gruncie rzeczy są w tej chwili własnością S-G Helicopters z Aberdeen. Iran Helicopter Company, nasi wspólnicy, nie mają prawa własności, dopóki nie zapłacą za maszyny.

Muła zmarszczył brwi, a potem przysunął dokument bliżej twarzy.

- Kontrakt daje prawo własności Iran Helicopter, spółce irańskiej. Tak tu jest napisane, prawda?

- Tak, jest to jednak uzależnione od płatności, które są... opóźnione.

- Imam powiedział, że wszystkie długi zostaną spłacone, a więc będą spłacone.

- Oczywiście, ale na razie prawo własności zależy od dokonanych już spłat - ostrożnie kontynuował Gaval-lan, mając wbrew rozsądkowi nadzieję, że wieża udzieli jednak jutro Johnny'emu Hoggowi

wanie. Ciekawe, czy ten pokrętny typek może nakazać wydanie zezwolenia? - zastanawiał

się. Skoro Chomeini rozkazał, aby wszystko wróciło do normy, to pewnie wróci, a ja będę mógł spokojnie pojechać do Londynu. Przy odrobinie szczęścia udałoby mi się do weekendu zamknąć kontrakt ExTex, który obejmuje najem nowych X63. - Przez całe miesiące płaciliśmy z własnych pieniędzy w imieniu IHC za wszystkie te maszyny, wraz z odsetkami, opłatami bankowymi i tak dalej...

- Islam zakazuje lichwy i płacenia odsetek - oświadczył mułła z powagą, która sparaliżowała Gavallana i McIvera. - Banki nie mogą pobierać oprocentowania. Żadnego. To jest lichwa.

Gavallan spojrział na McIvera, a potem niespokojnie zwrócił się do mułły:

- Gdyby banki nie mogły pobierać odsetek, jak można by było prowadzić krajowe i zagraniczne operacje gospodarcze?

- Zgodnie z prawem islamu. Tylko z prawem islamu. Koran zakazuje lichwy. - Mułła dodał z niesmakiem: - To, co robią zagraniczne banki, jest złem. Właśnie przez to Iran ma tyle kłopotów. Banki są diabelskimi instytucjami i nie będą tolerowane. A co do Iran Helicopter Company, Islamski Komitet Rewolucyjny kazał zawiesić wszystkie joint ventures do czasu, gdy zostaną one sprawdzone. - Mułła zamachał plikiem papierów. - Wszystkie te maszyny są irańskie! Mają irańską rejestrację i są irańskie! - Po raz drugi spojrział na dokumenty. - Tutaj, w Teheranie, macie trzy 212, cztery 206 i jeden 47G4; tutaj, na lotnisku, prawda?

- Mamy helikoptery w różnych miejscach - powiedział ostrożnie McIver. - Tutaj, w Doszan Tappeh i Galeg Morghi.

- Ale wszystkie są tu, w Teheranie?

McIver próbował rozgryźć mułłę, podczas gdy Gavallan mówił, starając się jednocześnie przeczytać dokładnie dokument. Ten, który mułła trzymał w ręku, zawierał spis wszystkich maszyn wraz z numerami rejestracyjnymi i był kopią listy przewozowej, którą trzyma-515

no na wieży i która powinna być na bieżąco uaktualniana przez S-G. Gavallan zauważył z niepokojem, że litery EP-HBC zostały zakreślone czerwonym kółkiem. Litery te oznaczały 212 Locharta. Podobne kółko otaczało EP-HFC - 206 Pettikina.

- Wypożyczyliśmy jeden 212 do Bandar Dejlamu - oświadczył, uznając, że tak będzie bezpieczniej, klnąc w myśli Walika i mając nadzieję, że Tom Lochart jest albo w Bandar Dejlami, albo już stamtąd wraca. - Reszta jest na miejscu.

- Wypożyczony? To ten EP, EP-HBC? - zapytał mułła. Był zadowolony z siebie. - A zatem, co...

Przerwał mu głos kontrolera lotów:

- Echo Tango Lima Lima, odmawiam. Wezwij Is-fahan na 118,3. Życzę dobrego dnia.

- Słusznie. Dzień jest dobry. - Mułła z satysfakcją skinął głową.

Gavallan i McIver zakleli w duchu, a Sabolir, który przez cały czas słuchał w milczeniu i widział wyraźnie, w jaki sposób obaj Brytyjczycy próbują zwodzić mułłę, zaśmiał się do siebie, starannie unikając spojrzeń i na wszelki wypadek wpatrując się w podłogę. Przed chwilą, gdy mułła nie zwracał na nich uwagi, spojrzął na McIve-ra i uśmiechnął się do niego zachęcająco, udając przyjaźń. Dziś rano rzecznik Islamskiego Komitetu Rewolucyjnego przemawiał przez radio. Wezwał wszystkich lojalnych obywateli, aby denuncjowali wszystkich, którzy popełnili zbrodnie przeciwko islamowi. Już tego samego dnia aresztowano trzech jego kolegów, co sprawiło, że całe lotnisko zatrzęsło się ze strachu. Islamscy strażnicy nie potrzebowali jakichś szczególnych powodów; po prostu zabierali ludzi i umieszczali ich w areszcie Ewin - ponurym więzieniu SAVAK-u - gdzie, jak głosiła plotka, rozstrzelano dziś pół setki "wrogów islamu" po przeprowadzeniu doraźnych procesów. Jednym z aresztowanych był podwładny Sabolira, który przyjął wczoraj 10000 riali i trzy pięciogalonowe kanistry benzyny z magazynku McIvera. Jeden kanister 516

249

zatrzymał na miejscu, a dwa pozostałe, zgodnie z obyczajem, oddał Sabolirowi, który zabrał je do domu. Och, Boże, żeby tylko nie przeszukali mojego mieszkania!

W głośniku radia rozległ się wesoły głos Johnny'ego Hogga:

- Echo Tango Lima Lima, dziękuję. Niech żyje rewolucja i dobry dzień. - Potem dodał rzeczowym tonem na ich własnym kanale: 4 - Kwatera Główna, proszę o potwierdzenie.

McIver przełączył aparat na właściwy kanał.

- Gotowość Jeden! - rozkazał, świadom obecności mułły. - Czy uważasz...

- O! Rozmawia pan bezpośrednio z samolotem. Prywatny kanał? - Chciał wiedzieć mułła.

- Kanał firmy, ekscelencjo. To zwykła praktyka.

- Zwykła. Tak. A więc EP-HBC jest w Bandar Dejlamie? - upewniał się mułła i odczytał z dokumentu: - "Dostawa części". Tak?

- Tak - odparł McIver.

- Kiedy maszyna ma powrócić?

McIver niemal fizycznie czuł na sobie ciężkie spojrzenie mułły.

- Nie wiem. Nie mogłem wywołać Bandar Dejlamu. Odpowiem, gdy tylko będę w stanie. A teraz, ekscelencjo, co do naszych zezwoleń na różne loty, czy uważa pan...

- EP-HFC. EP-HFC jest w Tebrizie?

- Jest na małym lądowisku Forsza - odrzekł Mc-Iver.

Nie czuł się dobrze. Modlił się, aby nikt nie zgłosił jego wyczynów przy zaporze drogowej w Kazwinie. Znowu pomyślał o tym, gdzie może być teraz Erikki. Miał się z nim spotkać o trzeciej w mieszkaniu, żeby pojechać na lotnisko, ale się nie pojawił.

- Lądowisko Forsza?

McIver zobaczył, że muła się w niego wpatruje. Skoncentrował uwagę na rozmowie.

517

- EP-HFC poleciał do Tebrizu w sobotę, żeby dostarczyć części i zabrać zmianę załogi.

Wrócił wczoraj wieczorem. Jutro znajdzie się w nowym liście przewozowym.

Muła spojrział ponuro.

- Ale przecież wszystkie loty trzeba natychmiast zgłaszać. W dokumentach nie ma żadnej wzmianki o wczorajszym lądowaniu.

- Kapitan Pettikin nie mógł wczoraj wywołać kontroli lotów w Teheranie. Chyba wojsko pełniło wtedy dyżur. Próbował przez całą drogę. - McIver dodał szybko: - Skoro mamy podjąć działanie, kto teraz będzie zatwierdzał nasze loty dla IranOil? Nadal pan Darius?

- Hmm... tak sędzę. Dlaczego dziś nie zgłosiliście tego przylotu?

Gavallan zmusił się do mówienia lekkim tonem.

- Ekscelencjo, jestem pod głębokim wrażeniem pańskiej sprawności. Szkoda, że wojskowi kontrolerzy, którzy pełnili wczoraj służbę, nie są tak sprawni. Widzę, że nowa republika islamska prześcignie Zachód. Praca tutaj będzie prawdziwą przyjemnością. Niech żyje nowe!

Czy możemy poznać pańskie nazwisko?

- Jestem Mohammad Tehrani. - Muła znów dawał się zagadać.

- Zatem, ekscelencjo Tehrani, czy mogę poprosić, aby pozwolił nam pan skorzystać ze swego zezwolenia? Gdyby mój ETLL uzyskał pańską zgodę na jutrzejsze lądowanie, moglibyśmy ogromnie zwiększyć naszą sprawność, tak aby odpowiadała waszej. Mogę zapewnić, że moja firma zagwarantuje Ajatollahowi Chomeiniemu i jego pomocnikom, takim jak pan, taką jakość usług, jakiej macie prawo oczekiwać. Części zamienne, które znajdują się na pokładzie ETLL, pozwolą na

uruchomienie dwóch dalszych 212, a ja będę mógł powrócić do Londynu, aby udzielać tam wsparcia waszej wielkiej rewolucji. Oczywiście, wyraża pan zgodę?

- To niemożliwe. Komitet...

- Jestem pewien, że komitet postąpi według pańskiej rady. Och, widzę, że nieszczęśliwie stłukł pan okulary.

518

250

To straszne. Ja bez okularów ledwie widzę. Może mógłbym poprosić, żeby 125 przywiózł jutro z Asz Szargaz nowe?

Muła drgnął. Miał bardzo zły wzrok. Ogarnęła go przemożna chęć posiadania nowych dobrych okularów. Och, to byłby skarb; dar Boga. Jasne, że to Bóg natchnął cudzoziemca tą myślą.

- Nie sądzę... nie wiem. Komitet nie może spełnić tak prędko pańskiego życzenia.

- Wiem, że to trudne, na pewno jednak wysłuchaliby pana, gdyby się pan za nami wstawił.

To by nam ogromnie pomogło; bylibyśmy pańskimi dłużnikami

- dodał Gavallan, posługując się wyrażeniem, które w każdym języku oznaczało: co chcesz w zamian? Zobaczył, że McIver przestawił radio na częstotliwość wieży i podaje mulle mikrofon. - Proszę nacisnąć ten guzik, ekscelencjo, gdyby zaszczycił nas pan swoją pomocą...

Muła Tehrani zawahał się, nie wiedząc, co robić. Gdy spojrział na mikrofon, McIver znacząco zerknął na Sabolira.

Sabolir zrozumiał natychmiast.

- Oczywiście, cokolwiek pan postanowi, ekscelencjo Tehrani, komitet to zatwierdzi - powiedział uroczyście.

- Ale jutro... zrozumiałem, że ma pan odwiedzić inne lotniska i sprawdzić, ile cywilnych helikopterów znajduje się na pańskim terenie, to znaczy w Teheranie. Tak?

- Takie otrzymałem polecenie - zgodził się muła.

- Jutro odwiedzę niektóre inne lotniska razem z kilkoma członkami mojego komitetu.

Sabolir głęboko westchnął, udając rozczarowanie; McIver omal się nie roześmiał.

- Niestety, nie będzie pan mógł objechać samochodem tych wszystkich lotnisk i zdążyć z powrotem,

żeby osobiście nadzorować lądowanie i bezzwłoczny start tego jednego samolotu, który, nie z własnej winy, został zawrócony przez aroganckich kontrolerów z Kiszu i Isfahanu, którzy ośmielili się nie uzgodnić tego z panem.

- To prawda - zgodził się mułła. - Zawinili!

519 ~

- Czy 7:00 panu odpowiada, ekscelencjo Tehrani? - zapytał natychmiast McIver. - Z

przyjemnością pomożemy naszemu komitetowi. Wyznaczę najlepszego pilota; będzie pan miał aż zbyt wiele czasu, żeby móc nadzorować lądowanie i start. Ilu ludzi jedzie z panem?

- Sześciu... - odparł mułła, pochłonięty myślą o tym, że będzie mógł wykonać rozkazy. Boża praca; tak wygodnie i luksusowo, jakbym był jakimś ajatollahem. - To... to można zrobić?

- Oczywiście! - wykrzyknął McIver. - Tutaj o 7:00. Główny kapitan Nathaniel Lane przygotowuje 212. Siedmiu pasażerów, razem z panem! Pan poleci w kokpicie, obok pilota.

Może pan uważać, że to już załatwione.

Mułła latał tylko dwa razy w życiu: do Anglii, na uniwersytet, i z powrotem, w tłoku, specjalnym studenckim czarterem Iran Air. Rozpromienił się i sięgnął po mikrofon.

- O 7:00. - Upewnił się.

McIver i Gavallan nie dali po sobie poznać poczucia ulgi. Sabolir też.

Sabolir był zadowolony, że mułła dał się podejść. Bóg tak chciał! Teraz, powiedział sobie, gdyby mnie fałszywie oskarżono, mam już sprzymierzeńca. Ten głupiec, ten psi syn, ten fałszywy mułła, czyż nie przyjął łapówki? To nie tylko pizkiesz. Właściwie dwie łapówki: nowe okulary i marnotrawcza, bezprawna przejażdżka helikopterem. Czyż nie pozwolił

wystrychnąć się na dudka tym wygadany i zdradzieckim Anglikom, którzy nadal myślą, że mogą kusić nas świecidełkami i kupić za kilka riali nasze dziedzictwo? Patrzcie, jak ten głupiec daje cudzoziemcom to, czego pragną!

Spojrzał na McIvera. Wymownie. Potem znów skierował wzrok na podłogę. A teraz ty, arogancki, zachodni synu psa, pomyślał, jak odwdzięczysz się za moją pomoc?

W KLUBIE FRANCUSKIM, 19:10. Gavallan wziął od francuskiego kelnera kieliszek czerwonego wina, McIver - białego.

251

520

Stuknęli się lekko kieliszkami i z przyjemnością pili wino. Byli zmęczeni po podróży z lotniska. Siedzieli w saloniku razem z innymi gośćmi, mężczyznami i kobietami, w większości Europejczykami. Mieli widok na pokryte śniegiem ogrody i korty tenisowe. Fotele były wygodne i nowoczesne, bar dobrze zaopatrzony. W tym pięknym budynku, który stał w najlepszej części Teheranu, mieściły się jeszcze sale bankietowe, taneczne, jadalne, i do gry w karty oraz sauna. Klub Francuski-był jedynym klubem cudzoziemców, jaki jeszcze działał.

Klub Służb Amerykańskich, wraz ze swym ogromnym kompleksem urządzeń rekreacyjnych, sportowych i boiskiem do baseballa, a także kluby brytyjski i niemiecki były nieczynne; zniszczono bary i porozbijano butelki z trunkami.

- Mój Boże, jakie to dobre - westchnął McIver, próbując zimnego, klarownego wina. - Nie mów Gen, że tu wpadliśmy.

- Nie będę musiał, Mac. I tak będzie wiedziała. McIver skinął głową.

- Masz rację; nic nie szkodzi. Udało mi się zarezerwować miejsca na wieczór, na kolację. To kosztuje fortunę, ale warto. Zwykle o tej porze mają już tylko wejściówki... - Obejrzał się, słysząc śmiech jakiegoś Francuza. - Przez chwilę myślałem, że to Jean-Luc. Zdaje się, że całe lata upłynęły od dnia, w którym urządził tu przyjęcie przed Bożym Narodzeniem. Ciekawe, czy będziemy jeszcze kiedyś na takim...

- Jasne, że tak - powiedział Gavallan, chcąc go pocieszyć, zatroskany tym, że stary przyjaciel zaczyna tracić ikrę. - Nie pozwól, żeby ten muła miał na ciebie taki wpływ.

- On sprawił, że ciarki mnie przechodziły. Armstrong też, jeśli się nad tym zastanowić. I Talbot. Ale masz rację, Andy. Nie powinienem tak się tym wszystkim przejmować. Jesteśmy w lepszej sytuacji niż dwa dni temu... - Kolejny wybuch śmiechu zwrócił jego myśli w inną stronę. Pomyślał o wszystkich wspaniałych chwilach, które spędził tu z Genny i Pettikinem, i Lochar-521

tem; lepiej teraz o nim nie myśleć; i z wszystkimi innymi pilotami, i innymi przyjaciółmi: Brytyjczykami, Amerykanami, Irańczykami. To wszystko minęło, prawie wszystko.

Bywało tak: "Gen, wpadnijmy dziś do Klubu Francuskiego na finały tenisowe"... Albo:

"Walik wydaje koktajlparty o ósmej w Klubie Irańskich Oficerów"... Albo: "Jest mecz polo, baseballowy, przyjęcie nad basenem, przyjęcie narciarskie"... Albo: "Przepraszam, w ten weekend nie mogę, jedziemy na przyjęcie do ambasadora nad Morze Kaspijskie"... Albo:

"Bardzo bym chciał, ale Genny nie może. Kupuje dywany w Is-fahanie"... - Kiedyś ciągle tu bywaliśmy, Andy. Tu było najlepiej, nie ma dwóch zdań - stwierdził. - Teraz trudno skontaktować się nawet z naszymi radiotelegrafistami, a co dopiero ze znajomymi. Gavallan skinął głową.

- Mac - rzekł uprzejmie. - Prosta odpowiedź na proste pytanie: Czy chciałbyś wyjechać z Iranu i pozwolić, żeby ktoś inny zajął się tu wszystkim?

McIver wlepił w niego wzrok.

- Dobry Boże, skąd ten pomysł?! Nie, oczywiście, że nie! Chodzi ci o to, że jestem trochę przygnębiony? Dobry Boże, nie - odpowiedział, ale jednocześnie zadał sobie to samo pytanie, co było nie do pomyślenia jeszcze kilka dni temu. Czy tracisz zaciętość, wolę trwania? Czy nie nadszedł czas, żeby zrezygnować? Nie wiem, pomyślał z bólem, choć nadal się uśmiechał.

- Wszystko w porządku, Andy. Nie ma o czym mówić.

- Dobrze. Przepraszam. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego pytania. Ucieszyło mnie to, co mówił mułła; poza kwestią o "irańskich maszynach".

- Tak naprawdę, to Walik i wspólnicy już od podpisania kontraktu zachowywali się tak, jakby nasze helikoptery należały do nich.

- Dzięki Bogu, ta umowa podlega prawu brytyjskiemu.

252

Gavallan spojrział ponad ramieniem McIvera i otworzył oczy trochę szerzej. Wchodząca do sali dziewczyna miała mniej niż trzydzieści lat, ciemne włosy i oczy; 522

była uderzająco piękna. McIver podążył za spojrzeniem przyjaciela, uśmiechnął się i wstał.

- Witaj, Sajado - powiedział, dając jej znak ręką. - Czy mogę ci przedstawić Andrewa Gavallana? Andy, to jest Sajada Bertolin, przyjaciółka Jean-Luca. Czy usiądziesz z nami?

- Dziękuję, Mac, ale nie. Przepraszam, nie mogę. Będę grała w saūasha. Świetnie wyglądasz.

Miło pana poznać, panie Gavallan. - Wyciągnęła rękę, a Gavallan ją uścisnął. - Przepraszam, pozdrów Genny.

Mężczyźni usiedli.

- Kelner, to samo - zamówił Gavallan. - Mac, tak między nami, ten kociak sprawił, że zrobiło mi się słabo.

McIver roześmiał się.

- Ona jest bardzo lubiana. Pracuje w ambasadzie Kuwejt. Jest Libanką, a Jean-Luc jest nią bardzo oczarowany.

- Daję słowo, że mu się nie dziwię... - Uśmiech Gavallana przygasł. Do sali wchodził Robert Armstrong z wysokim, pięćdziesięcioletnim Irańczykiem. Dostrzegł Gavallana, skinął mu głową, a potem wrócił do rozmowy z nieznajomym i poprowadził go w kierunku schodów wiodących do innych pomieszczeń. - Ciągłe myślę, co za diabeł... - Gavallan urwał, gdyż nagle go olśniło. - Robert Armstrong, szef Wydziału Śledczego w Koulunie. Oto, kim jest!

Albo był.

- Wydział Śledczy? Jesteś pewien?

- Tak, albo Oddział Specjalny... Poczekał chwilę... On, tak, on był przyjacielem Iana. To tam go spotkałem, w Wielkim Domu na Szczycie, nie na wyścigach, choć tam też mogłem go widzieć z Ianem. Jeśli dobrze pamiętam, to było wtedy, gdy Quillan Gornt przybył jako wysoce niepożądany gość... Dokładnie nie pamiętam, ale to było chyba przyjęcie w rocznicę ślubu Iana i Penelope, przed moim wyjazdem z Hongkongu... mój Boże, to prawie szesnaście lat temu; nic dziwnego, że nie poznałem go od razu.

- Miałem wrażenie, że on cię poznał od razu, gdy spotkaliśmy się wczoraj na lotnisku.

523

- Ja także.

Dopili wino i wyszli, obaj dziwnie zaniepokojeni.

UNIWERSYTET TEHERAŃSKI, 19:32. Zebranie "onad tysiąca lewicowych studentów na dziedzińcu uniwersytetu było hałaśliwe i niebezpieczne; zbyt wiele frakcji, zbyt wielu fanatyków, niektórzy uzbrojeni. Było rimno i wilgotno, jeszcze nie ciemno, choć w zapadają-ym zmierzchu rozbrzysły już gdzieś latarki.

Rakoczy stał z tyłu, wmieszany w tłum, ubrany jak mni i podobny do innych. Nie występował tu jako Smith czy Fedor Rakoczy, rosyjski muzułmanin, islam-sko-marksistowski sympatyk rewolucji. W Teheranie był Dimitrim Jazernowem, przedstawicielem sowieckim w Komitecie Centralnym Tude. Było to stanowisko, jakie sprawował od czasu do czasu w ciągu kilku ostatnich lat. Stał w rogu dziedzińca razem z pięcioma studenckimi liderami Tude, osłonięty przed wiatrem nękającym zebranych. Miał na ramieniu gotowy do strzału karabin bojowy; czekał, aby oddać pierwszy strzał.

- Już za chwilę - powiedział cicho.

- Dimitri, kogo najpierw? - zapytał nerwowo jeden z liderów.

- Mudzaheddina, tego sukinsyna, który tam stoi - tłumaczył cierpliwie, pokazując człowieka z czarną brodą, znacznie starszego od innych. - Skorzystaj z właściwego momentu, Farmad, i rób to co ja. On jest zawodowcem z OWP.

Pozostali spojrzeli na Rakoczego ze zdziwieniem.

253

- Dlaczego jego, skoro jest w OWP?! - zapytał Farmad. Był krępy, niemal zniekształcony; miał dużą głowę i małe, inteligentne oczy. - OWP to od lat nasi przyjaciele. Szkolili nas, udzielali nam wsparcia, dostarczali broń...

- Dlatego, że teraz OWP będzie popierać Chomei-niego - wyjaśnił cierpliwie. - Czy Chomeini nie zaprosił tu Arafata na następny tydzień? Czy nie udostępnił OWP budynku misji Izraela? OWP może dostarczać wszystkich techników potrzebnych Bazarganowi i Cho-524

meiniemu, żeby zastąpili Izraelczyków i Amerykanów, zwłaszcza na polach naftowych. Nie chcemy przecież, żeby Chomeini się wzmocnił, prawda?

- Nie, ale OWP...

- Iran to nie Palestyna. Palestyńczycy powinni zostać w Palestynie. Wygraliście rewolucję.

Po co oddawać cudzoziemcom to zwycięstwo?

- Ale OWP to nasi sprzymierzeńcy - upierał się Farmad.

- Sprzymierzeńcy, którzy stali się wrogami, nie mają żadnej wartości. Pamiętaj o naszym celu.

- Zgadzam się z towarzyszem Dimitrim - wtrącił chłopak o zimnym, twardym spojrzeniu. -

Nie chcemy, żeby OWP tu rządziła. Jeśli nie chcesz się nim zająć, Farmad, ja to zrobię.

Zajmę się nimi wszystkimi i tymi psami z Zielonych Opasek też!

- Nie możemy ufać OWP - ciągnął Rakoczy, powtarzając te same argumenty, siejąc to samo ziarno.

- Zwróćcie uwagę na to, jak oni się wahają, jak zmieniają się ciągle, nawet u siebie w domu.

Raz mówią, że są marksistami, innym razem, że muzułmanami, potem flirtują z tym arcyzdrajcą Sadatem, a później go atakują. Mamy dokumenty, które to potwierdzają - dodał, gdyż pasowało to świetnie do dezinformacji, jaką szerzył.

- Mamy też dokumenty, które dowodzą, że oni planują zabicie króla Husajna, przejęcie Jordanii i zawarcie separatystycznego pokoju z Izraelem i Ameryką. Już odbyli tajne spotkania z CIA i Izraelem. Nie są naprawdę antyizraelscy...

Och, Izraelu, pomyślał, pozwalając, żeby dobrze wyuczone słowa automatycznie spływały dalej z jego ust. Jesteś tak ważny dla Mateczki Rosji. Leżysz w samym środku koła i gwarantujesz wieczny gniew wszystkich muzułmanów, zwłaszcza szejkanatów naftowych.

Nastawiasz wszystkich muzułmanów przeciwko chrześcijanom, przeciwko naszym wrogom, a swym sprzymie-jzeńcom: Amerykanom, Brytyjczykom i Francuzom. Stanowisz przeciwwagę dla ich siły, a jednocześnie destabilizujesz i ich, i Zachód, co pozwala nam wygrać:

525

w tym roku w Iranie, także w Afganistanie, w przyszłym Nikaragua, potem Panama i inne kraje. Plan jest jeden: objęcie w posiadanie cieśniny Ormuz, Panamy, Konstantynopola i skarbów Afryki

Południowej. Jesteś, Izraelu, naszym atutem w światowej grze w Monopol.

Nigdy tego atutu nie wyłożymy ani nie sprzedamy! Nigdy nie porzucimy! Może pozwolimy, abyś przegrał kilka bitew, ale nigdy wojny! Pozwolimy głodować, ale nie umrzeć!

Pozwolimy, aby nasi ziomkowie, bankierzy, finansowali nas, a zatem na swą własną zgubę.

Pozwolimy, żebyś odciągał z Ameryki krew. Wzmocnimy naszych wrogów, ale nie za bardzo. Pomożemy cię zgwałcić, ale nie obawiaj się: nigdy nie pozwolimy, abyś zniknął. Nie, nigdy! Jesteś dla nas zbyt wiele wart.

- Ci z OWP to zarozumialcy - powiedział ponuro wysoki student. - Nigdy nie są grzeczni; nie doceniają roli, jaką Iran odgrywa w świecie, i nie znają naszej pradawnej historii.

- To prawda! To są gnidy, które pasożytują na całym Środkowym Wschodzie i nad naszą zatoką. Zajmują najlepsze miejsca pracy...

- Oni są gorsi niż Żydzi... - podsumował inny. Rakoczy uśmiechnął się nieznacznie. Bardzo lubił

254

swoją pracę, lubił pracować ze studentami, być nauczycielem. Właściwie jestem nauczycielem, pomyślał z zadowoleniem, profesorem terroryzmu, władzy i jej przejmowania.

Albo raczej rolnikiem: sieję ziarno, podlewam je, chronię i zbieram plon. Pracuję przez cały czas, we wszystkich porach roku, tak jak rolnik. Niektóre lata są dobre, niektóre złe, ale co rok posuwam się trochę do przodu, jestem coraz bardziej doświadczony, lepiej poznaję glebę, może nawet robię się coraz cierpliwszy. Wiosna, lato, jesień, zima, na tej samej farmie, w Iranie, w tym samym celu: aby Iran stał się rosyjską glebą, a przynajmniej satelitą Rosji, aby chronił świętą ojczyznę, Rosję. Gdy położymy rękę na cieśninie Ormuz...

Och, pomyślał, czując, że nagle ogarnia go religijne uniesienie, gdybym mógł dać Iran Mateczce Rosji, przeżyłbym życie nie na próżno.

526

Zachód zasługuje na przegraną, zwłaszcza Amerykanie Są tacy głupi, tacy egocentryczni, ale głupi przede wszystkim. To nie do wiary, że Carter nie widzi, jaką katastrofą dla Zachodu byłaby utrata cieśniny Ormuz i Iranu. Wszystko jednak na to wskazuje: on właściwie oddaje nam Iran.

Rakoczy pamiętał szok i niedowierzanie, które dotarte do samego szczytu, gdy ich najbardziej zaufani inżynierzy w Waszyngtonie szepnęli, że Carter zamierz i porzucić Szacha. Och, jak bardzo Carter nam pomógł! Gdybym wierzył w Boga, modliłbym się: Wielki Beże, Wielki Boże, weź w opiekę naszego najlepszego sojusznika, Orzeszkowego Prezydenta, i pozwól, aby sprawował swój urząd także przez drugą kadencję! W drugiej kadencji dostaniemy Amerykę i zapanujemy nad światem! Wielki Boże...

Nagle drgnął. Tak długo udawał muzułmanina, że to wcielenie zaczynało wypierać jego własną osobowość. Zaczął zadawać sobie pytania i mieć wątpliwości.

Czy jestem jeszcze Igorem Mzytrykiem, kapitanem KGB, mężem mojej ukochanej Delaurah, mojej, och, tal: pięknej Armenki, która czeka w Tbilisi na mój powrót? Czy ona jest teraz w domu, ona, która tak skrycie wierzy w Boga, Boga chrześcijan, który jest też Bcgiem muzułmanów i żydów?

Bóg. Bóg o tysiącu imion. Czy Bóg istnieje?

Boga nie ma, powtórzył jak zakłęcie i wrócił myśleni do swego zadania, do rozruchów, które miał wywołać.

Wokół narastało napięcie. Stłoczeni studenci krzyčili:

- Nie przelewaliśmy krwi za mułłów, którzy przejęli całą władzę! Zjednoczmy się, bracia i siostry! Zjednoczony się pod sztandarami Tude...

- Precz z Tude! Zjednoczmy się wokół świętej islam-sko-marksistowskiej sprawy! My, mudzaheddini przelewaliśmy krew; jesteśmy męczennikami imama Alego, Pana Męczenników, i Lenina...

- Precz z mułłami i Chomeinim, arcyzdrajcą Iranu...

527

Po tym okrzyku zagrzniały oklaski, pośród których rozległ się głos:

- Jednoczcie się, bracia i siostry, jednoczcie wokół prawdziwych przywódców rewolucji, wokół Tude! Jednoczcie się, aby chronić...

Rakoczy mierzył tłum krytycznym spojrzeniem. Ten tłum był podzielony, bezkształtny. Nie był jeszcze tłumem, który można wykorzystać jako broń. Obok stały grupki islamistów, którzy słuchali okrzyków i byli w większym lub mniejszym stopniu obrażeni i zagniewani.

Nieliczni umiarkowani pokręcili głowami i odeszli, ustępując pola większości: zagorzałym przeciwnikom Chomeiniego.

Wokół tłumy wznosiły się wysokie ceglane ściany budynku uniwersytetu, wybudowanego przez Reżę Szacha w latach trzydziestych. Pięć lat temu Rakoczy spędził tu kilka semestrów udając Azerbejdżanina, choć Tude znała go jako Dimitriego Jazernowa, którego przysłano, aby organizował rewolucyjne komórki na uczelni. Już od samego początku uniwersytet był

255

siedliskiem opozycji, najpierw przeciw Szachowi, choć Mohammad Szach, bardziej niż jakikolwiek inny monarcha w historii Persji, hojnie popierał edukację. Studenci teherańscy byli awangardą rebelii na długo przedtem, zanim Chomeini stał się jej ośrodkiem.

Bez Chomeiniego, pomyślał, nigdy by się nam nie udało. Chomeini był płomieniem, wokół

którego mogliśmy wszyscy się zebrać i zjednoczyć, aby strącić Szacha z tronu i wypędzić Amerykanów. Chomeini nie jest starcem bigotem, za jakiego uważa go wielu ludzi, lecz bezlitosnym przywódcą, dysponującym niebezpiecznie jasnym planem, niebezpiecznie ogromną charyzmą i niebezpiecznie potężną władzą wśród szytów. Nadszedł czas, aby dołączył do Boga, który nie istnieje.

Rakoczy nagle się roześmiał.

- O co chodzi? - zapytał Farmad.

- Myślałem o tym, co powie Chomeini i wszyscy mułlowie, gdy odkryją, że nie ma żadnego Boga i nigdy

528

nie było, że nie ma nieba, nie ma piekła, nie ma hurys, że wszystko to jest tylko mitem.

Słuchający także wybuchnęli śmiechem. Wszyscy oprócz jednego, Ibrahima Kijabiego. Nie było w nim już miejsca na wesołość, tylko pragnienie zemsty. Gdy poprzedniego dnia po południu wrócił do domu, zastał matkę we łzach, zrozpaczonych braci i siostry. Właśnie dotarła wiadomość, że jego ojciec, inżynier, został zamordowany przez strażników islamskich przed siedzibą IranOil w Ahwazie i że jego ciało pozostawiono sępom.

- Za co? - krzyknął.

- Za... za zbrodnie przeciwko islamowi - powiedział przez łzy jego wuj, Dewar Kijabi, który przyniósł do domu tę straszną wiadomość. - Tak nam powiedzieli oni, mordercy, fanatycy z Abadanu, przeważnie analfabeci. Powiedzieli, że był sługusem Amerykanów, że od lat współpracował z wrogami islamu, pomagając im kraść naszą ropę, że...

- Kłamstwa, same kłamstwa - krzyknął Ibrahim. - Ojciec był przeciwnikiem Szacha, patriotą, wiernym! Kim były te psy? Kim? Obróć w popiół ich i ich ojców! Jak oni się nazywają?

- Zrobili to, bo taka była wola Boga, Ibrahim. In sza'a Allah! Och, mój biedny brat! Wola Boga...

- Boga nie ma!

Wszyscy wlepili w niego spojrzenia; byli wstrząśnięci. Ibrahim wypowiedział po raz pierwszy na głos myśl, którą pielęgnował w sobie od lat, myśl karmioną przez przyjaciół, studentów powracających z dalekich krajów, kolegów z uniwersytetu, myśl podsycaną przez niektórych nauczycieli, którzy nie wypowiadali jej jednak otwarcie, ale tylko zachęcali chłopca, aby podawał wszystko w wątpliwość.

- In sza'a Allah jest dobre dla głupców - powiedział wtedy. - To przesąd, za którym kryje się głupota!

- Nie możesz tak mówić, synu - rozplakała się przerażona matka. - Idź do meczetu, błagaj Boga o przebaczenie. Śmierć twojego ojca to wola Boga, nic więcej. Idź do meczetu!

529

- Pójdę - odparł, choć wiedział już, że jego życie całkowicie się odmieniło. Bóg nie pozwoliłby, aby stało się to, co się stało. - Kim byli ci ludzie, wuju? Opisz ich.

- Byli zupełnie zwyczajni, Ibrahimie, już ci mówiłem. Młodszy od ciebie. Nie było z nimi żadnego przywódcy czy mułły, choć jeden mułła przyleciał cudzoziemskim helikopterem z Bandar Dejlamu. A jednak mój biedny brat skonał, przeklinając Chomeiniego. Gdybyż nie powrócił helikopterem cudzoziemców, gdy-byż... ale potem, In sza a Allah. Czekali na niego.

- W helikopterze był mułła?

- Tak, był.

- Pójdiesz do meczetu, Ibrahimie? - zapytała znowu matka.

256

- Tak - skłamał jej po raz pierwszy w życiu. Odnalezienie uniwersyteckich przywódców Tude

i Dimitriego Jazernowa nie zabrało mu wiele czasu. Złożył ślubowanie, dostał pistolet maszynowy oraz poprosił nowych przyjaciół, aby się dowiedzieli, jak nazywał się mułła latający helikopterem w Bandar Dejlame. Teraz stał tu i czekał. Pragnął zemsty. Jego dusza krzyczała na wspomnienie ohydnej czynu, jakiego dopuszczono się na ojcu w imię fałszywego Boga.

- Dimitri, zaczynajmy! - powiedział. Jego furia wzrosła pod wpływem okrzyków tłumu.

- Musimy poczekać, Ibrahimie - oświadczył łagodnie Rakoczy. Był bardzo zadowolony z obecności młodzieńca. - Nie zapominaj, że tłum jest tylko środkiem do osiągnięcia celu.

Pamiętaj o naszym planie! - Jeszcze godzinę temu, gdy przedstawiał im ten plan, byli zdumieni.

- Napad na ambasadę amerykańską?

- Tak - potwierdził. - Szybki rajd, wpaść i wypaść, jutro albo pojutrze. Dziś wieczorem wiecujący staną się tłumem. Rozruchy są doskonałą przykrywką dla tego wypadu.

Pozwolimy, żeby mudzaheddini i fedaini zaczęli się nawzajem wyrzynać, a sami przejmujemy inicjatywę. Dziś wieczorem zasiejemy więcej ziarna. Jutro lub pojutrze napadniemy na ambasadę USA.

- Ale to niemożliwe, Dimitri. Niemożliwe!

- To łatwe. Tylko rajd, bez opanowania budynku; na to przyjdzie czas później. Rajd będzie

niespodziewany, prosty do wykonania. Można łatwo utrzymać ambasadę przez godzinę, przetrzymać ambasadora i personel. Amerykanom brak woli stawiania oporu. To właśnie jest do nich kluczem! Mam tu plany budynków i rozmieszczenia strażników z piechoty morskiej.

Będą tam, aby nam pomóc. Przewrót, który zrobicie, będzie niebywałym wydarzeniem. Trafi na nagłówki gazet całego świata i załatwi Bazargana i Chomeiniego, a jeszcze bardziej Amerykanów. Nie zapominajcie, kto jest prawdziwym wrogiem! Musicie teraz działać szybko, żeby odebrać inicjatywę Chomeiniemu...

Łatwo było ich przekonać. Łatwo będzie zmontować dywersję, pomyślał. Łatwo też będzie pójść prosto do biura CIA w piwnicy i do pokoju radiowego, wysadzić sejf, zabrać wszystkie dokumenty i książki kodów. Potem na górę, na drugi podest, w lewo, trzeci pokój po lewej -

sypialnia ambasadora. Sejf za obrazem olejnym, wiszącym nad łóżkiem; opróżnić go.

Szybkość, zaskoczenie i przemoc, gdybyśmy napotkali opór.

- Dimitri! Patrz!

Rakoczy odwrócił się. Drogą szły setki młodych ludzi, z Zielonymi Opaskami i mułami na czele.

Rakoczy wrzasnął: - Śmierć Chomeiniemu! - i wystrzelił w powietrze. Strzał wyzwolił szal

tłumu. W powietrzu krzyżowały się okrzyki. Padły następne strzały, a tłum zaczął rozbiegać się po dziedzińcu; oszaleli ludzie tratowali się nawzajem.

Rakoczy, zanim zdołał powstrzymać Ibrahima, zobaczył, że ten celuje do nadbiegających ludzi z Zielonych Opasek i strzela. Niektórzy padli na ziemię, inni wpadli w furję. W

kierunku Ibrahima i Rakoczego posypały się kule. Rakoczy klnąc przypadł do ziemi. Seria pocisków minęła go, ale trafiła Farmada i innych studentów stojących w pobliżu. Ominęła Ibrahima i trzech pozo-530

531

stałych przywódców Tude. Rakoczy krzyknął, a oni przypadli do ziemi, gdy ogarnięci paniką studenci otworzyli ogień z pistoletów i karabinków.

257

Wielu ludzi odniosło rany, zanim wysoki mudzahed-din, którego Rakoczy przeznaczył na śmierć, zebrał swych ludzi, poprowadził atak i odepchnął islamistów. Inni ruszyli mu z pomocą; odwrót zamienił się w ucieczkę, a tłum stał się teraz naprawdę agresywny.

Rakoczy chwycił Ibrahima, który chciał ruszyć do ataku.

- Za mną! - zakomenderował, wpychając Ibrahima i innych za osłonę budynku. Potem, gdy upewnił

się, że wszyscy tam są, rzucił się do ucieczki. Zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech, przy skrzyżowaniu ścieżek w pokrytym śniegiem ogrodzie. Wiatr był zimny; zapadły już ciemności.

- Co z Farmadem? - wydyszał Ibrahim. - Był ranny!

- Nie - odparł Rakoczy. - Był umierający. Dalej! Znowu nieomylnie poprowadził

ucieczkę: przez

ogród, wzdłuż uliczki obok wydziału nauk ścisłych, przez parking... Nie zatrzymał się, dopóki odgłosy rozruchów nie oddaliły się dostatecznie. Kłuło go w boku, dyszał ciężko. Gdy odpoczął na tyle, aby móc mówić, wykrztusił:

- Niczym się nie przejmujcie. Wracajcie do domów i akademików. Niech wszyscy będą gotowi do wypadu; jutro albo pojutrze. Komitet wyda rozkaz. - Zniknął w coraz gęstszych ciemnościach.

W MIESZKANIU LOCHARTA, 19:30. Szahrazad leżała w wannie, w pianie, z głową opartą na specjalnej poduszce kąpielowej. Miała zamknięte oczy, a głowę owiniętą ręcznikiem.

- Och, Azadeh, kochanie - westchnęła sennie. - Taka jestem szczęśliwa.

Azadeh też leżała w wannie, opierając głowę z drugiej strony, i rozkoszowała się ciepłem, poczuciem intymności, zapachem perfumowanej wody i luksusem; 532

także jej długie włosy spowijał śnieżnobiały ręcznik. Wanna była duża; obie mieściły się w niej wygodnie. Azadeh miała nadal cienie pod oczami; nie otrząsnęła się jeszcze z przerażenia, jakie wywołały w niej wczorajsze przygody przy zaporze drogowej i w helikopterze. Za zasłoniętym firanką oknem zapadł zmrok. Z oddali dochodziło echo wystrzałów. Kobiety nie zwracały na to uwagi.

- Chciałabym, żeby Erikki już wrócił - odezwała się Azadeh.

- To nie potrwa długo, mamy jeszcze masę czasu, kochanie. Kolacja jest dopiero o dziewiątej; prawie dwie godziny, aby się przygotować. - Szahrazad otworzyła oczy i położyła dłoń na smukłych udach Azadeh. - Nie martw się, kochana Azadeh. Ten twój rudy olbrzym niedługo wróci! Nie zapominaj, że będę nocowała u rodziców; możecie przez całą noc biegać tu sobie na golasa! Ciesz się kąpielą, bądź szczęśliwa. Możesz omdleć z rozkoszy, gdy on wróci. - Roześmiały się. - Teraz wszystko jest wspaniałe. Jesteś bezpieczna, my wszyscy jesteśmy, i Iran też. Z pomocą Boga, imam zwyciężył. Iran jest wolny.

- Chciałabym w to wierzyć. Chciałabym wierzyć tak jak ty - odparła Azadeh. - Nie mogę ci nawet wytłumaczyć, jacy straszni byli ci ludzie przy zaporze. To było tak, jakby dusiła mnie ich nienawiść. Dlaczego oni nas nienawidzą? Dlaczego nienawidzą mnie i Erikkiego? Co im zrobiliśmy? Przecież nic, a jednak nas nienawidzą.

- Nie myśl o nich, kochanie. - Szahrazad stłumiła ziewnięcie. - Wszyscy lewacy to wariaci: twierdzą, że są muzułmanami, a jednocześnie marksistami. Występują przeciwko Bogu i dlatego są przeklęci.

Wieśniacy? Wiesz dobrze, że to niewykształceni, prości ludzie. Nie martw się, to już przeszłość. Teraz wszystko będzie lepiej, zobaczysz.

- Mam nadzieję; och, tak chciałabym, żebyś się nie myliła. Nie musi być lepiej, wystarczy tak, jak było zawsze.

533

- Och, będzie. - Szahrazad czuła się tak dobrze; jedwabista woda otulała ją miękko. Ach, pomyślała, jeszcze tylko trzy dni, żeby się upewnić, a potem Tommy powie ojcu, że...

oczywiście, chce mieć synów i córki, potem, właściwie jestem pewna już teraz. Czyż do tej 258

pory nie miałam bardzo regularnej miesięczki? Będę mogła dać Tommy'emu mój prezent od Boga, a on będzie taki dumny! - Imam wykonuje bożą pracę. Jak mogłoby nie być dobrze?

- Nie wiem, Szahrazad, nigdy jednak nie można wierzyć mułłom; oni tylko pasożytują na wieśniakach.

- Teraz jest inaczej - odparła Szahrazad, której nie chciało się ciągnąć tego poważnego tematu. - Teraz mamy prawdziwego przywódcę, który rzeczywiście panuje nad krajem. Czyż on nie jest najpobożniej-szym z ludzi, najlepszym znawcą islamu i prawa? Czyż nie wykonuje bożej pracy? Czyż nie osiągnął tego, co wydawało się niemożliwe? Wyrzucił Szacha, przerwał tę wstrętną korupcję, uniemożliwił generałom dokonanie przewrotu razem z Amerykanami. Ojciec mówi, że jesteśmy teraz bezpieczniejsi niż kiedykolwiek dotąd.

- Czyżby? - Azadeh przypomniała sobie Rakoczego i to, co powiedział w helikopterze o Chomeinim. Wiedziała, że mówił prawdę. Drapała go, nienawidziła i pragnęła jego śmierci, gdyż był w stanie posłużyć się łatwowiernymi mułłami do zniewolenia innych ludzi. -

Chciałabyś podlegać prawu islamu z czasów proroka? On żył prawie tysiąc pięćset lat temu!

Chciałabyś nosić czador i stracić prawo do głosowania, pracy, do bycia równą?!

- Nie chcę ani głosować, ani pracować, ani być równą. Jak kobieta może się równać z mężczyzną? Chcę tylko być dobrą żoną dla Tommy'ego, a po ulicy i tak wolę chodzić w czadorze. - Szahrazad stłumiła następne ziewnięcie; ciepło sprawiało, że robiła się senna. - In sza'a Allah, Azadeh, kochanie. Oczywiście, że będzie tak jak dawniej, z tym że, jak mówi mój ojciec, będziemy teraz panami u siebie; będziemy posiadać naszą ziemię, 534

naszą ropę i wszystko inne. Nie będzie wstrętnych zagranicznych generałów i polityków, którzy okrywali nas hańbą. Razem z Szachem odejdzie zło, a my wszyscy będziemy żyć szczęśliwie: ty z Erikkim, ja z moim Tommym i z całą masą dzieci. Jak mogłoby być inaczej?

Bóg jest z imamem, a imam z nami! Jesteśmy tacy szczęśliwi! - Uśmiechnęła się do przyjaciółki i objęła ręką jej nogi. - Tak się cieszę, Azadeh, że zamieszkałaś u mnie. Tak długo nie było cię w Teheranie.

Przyjaźniły się od wielu lat. Najpierw w Szwajcarii, gdzie poznały się w szkole, choć Szahrazad została tam tylko przez jeden semestr, tęskniąc bardzo do rodziny i Iranu, potem na uniwersytecie w Teheranie. Teraz, od ponad roku, stały się sobie jeszcze bliższe, gdyż wyszły za mąż za cudzoziemców z tej samej firmy i pomagały sobie wzajemnie w dostosowaniu się do obcych obyczajów.

- Czasami nie mogę w ogóle zrozumieć Tommy'ego, Azadeh - mówiła zapłakana Szahrazad w początkach swego małżeństwa. - On lubi być sam, to znaczy zupełnie sam, tylko on i ja.

Dom pusty, ani jednego służącego. Powiedział mi nawet, że czasem lubi być całkiem sam, czytać sobie, zamiast rozmawiać z rodziną czy przyjaciółmi. Och, czasem to jest straszne!

- Erikki jest taki sam - odparła wtedy Azadeh. - Cudzoziemcy nie są tacy jak my. Są bardzo dziwni. Ja chcę spędzać dni z przyjaciółmi, dziećmi i rodziną, a Erikki nie. To dobrze, że Erikki i Tommy pracują przez cały dzień. Ty jesteś i tak w lepszej sytuacji; przez dwa tygodnie Tommy'ego nie ma i wtedy możesz żyć normalnie. I wiesz co, Szahrazad?

Miesiącami nie mogłam się przyzwyczaić do spania w łóżku...

- Ja do tej pory nie mogę! To tak wysoko! Tak łatwo spaść! Poza tym z jego strony robi się wgłębienie; jest niewygodne i gdy się budzę, zawsze bolą mnie plecy. Łóżko jest takie niewygodne w porównaniu z kobiercami na podłodze, które są takie cywilizowane.

- Tak, ale Erikki upiera się, żeby spać w łóżku. Nawet nie spróbował inaczej! Mogę się dobrze wyspać dopiero wtedy, gdy wyjeżdża.

535

- Och, my śpimy teraz prawidłowo, Azadeh. Zlikwidowałam ten nonsens z łóżkiem już po pierwszym miesiącu.

- Jak ci się udało?

259

- Wzdychałam całymi nocami i nie dawałam mu usnąć. Potem odsypiałam to w ciągu dnia i mogłam znowu wzdychać w nocy. - Szahrazad roześmiała się z zadowoleniem. - Mój ukochany załamał się po siedmiu nocach; teraz sypia już jak człowiek cywilizowany, nawet w Zagrosie! Dlaczego ty tego nie spróbujesz? Gwarantuję, że ci się uda, kochanie. Ponieważ bolą cię plecy, możesz także prosić, żeby uważał, gdy się kochacie.

Azadeh wybuchnęła śmiechem.

- Erikki jest trochę sprytniejszy od twojego Tommy'ego. Gdy Erikki próbował spać na dywanach, to on wzdychał i przez całą noc przewracał się z boku na bok. Po trzech nocach byłam tak zmęczona, że prawie polubiłam łóżko. Śpię w cywilizowany sposób, gdy odwiedzam rodzinę, chyba że Erikki jest ze mną. Wiesz, kochanie, jest jeszcze inny problem: kocham mojego Erikkiego, ale on jest czasem tak

niegrzeczny, że prawie umieram. Gdy pytam go o coś, odpowiada "tak" albo "nie". Jak można w takich warunkach prowadzić rozmowę?

Teraz uśmiechnęła się do siebie. Tak, życie z nim jest bardzo trudne, ale życie bez niego byłoby w ogóle nie do pomyślenia. Tak mnie kocha, jest zawsze w takim świetnym humorze, jest taki duży i silny i zawsze robi to, co chcę, choć to trochę za łatwe; nie mam okazji do przeciwiczenia swoich sztuczek.

- Obie jesteście bardzo szczęśliwe, Szahrazad prawda?

- O tak, kochanie. Czy możesz tu zostać tydzień lub dwa? Zostań, nawet gdyby Erikki musiał wcześniej wracać, dobrze?

- Chciałabym. Gdy Erikki będzie wyjeżdżał... może poproszę, żeby pozwolił mi zostać.

Szahrazad przekręciła się w wannie, odpychając od piersi banieczki z piany.

- Mac powiedział, że jeśli będą spóźnieni, to przyjadą z lotniska tutaj. Genny przyjedzie prosto z domu, ale nie przed dziewiątą. Zaprosiłam też Paulę, tę Włoszkę, ale nie ze względu na Noggera, tylko Charliego. - Zachichotała. - Charlie prawie mdleje, gdy ona na niego spojrzy!

- Charlie Pettikin? Och, to wspaniale. To bardzo dobrze. Powinniśmy mu pomóc; tyle mu zawdzięczamy. Pomóżmy mu usidlić tę seksowną Włoszkę!

- Cudownie! Przygotujmy plan. Jak mu ją dać?

- Jako kochankę czy żonę?

- Kochankę. Daj mi pomyśleć. Ile ona ma lat? Chyba przynajmniej dwadzieścia siedem. Czy myślisz, że byłaby dla niego dobrą żoną? On powinien mieć żonę. Zawsze, gdy ja i Tommy pokazywaliśmy mu jakąś dziewczynę, tylko uśmiechał się i wzruszał ramionami. Kiedyś przyprowadziłam nawet moją piętnastoletnią kuzynkę; myślałam, że ona go skusi, ale nic z tego nie wyszło. Och, dobrze. Teraz musimy coś wymyślić. Mamy dużo czasu, żeby to zrobić i jeszcze zdążyć się ubrać. Mam dla ciebie do wyboru kilka ładnych sukienek.

- Tak dziwnie się czuję, Szahrazad. Nie mam niczego. Niczego. Pieniądzy, dokumentów... -

Azadeh przypomniał się rangę rover koło zapory drogowej, a potem nalana twarz mudzaheddina, który ukradł im dokumenty, pistolet maszynowy i jak Erikki zderzakiem rozgniół, niczym karalucha, mężczyznę o drugi samochód i jak z jego ust popłynęła krew... -

Niczego nie mam - z wysiłkiem odsunęła od siebie wspomnienia.

- Nawet szminki.

- Nic nie szkodzi. Ja mam wszystko w dużych ilościach. Tommy jest tak zadowolony, że ma tu ciebie

i Erikkiego. Poza tym nie chce, żebym była osamotniona. Kochanie, nie martw się.

Jesteś teraz bezpieczna.

Wcale nie czuję się bezpiecznie, powiedziała sobie w duchu Azadeh, nienawidząc strachu, który był tak

536

537

260

obcy całemu jej wychowaniu. Strach nawet teraz wydawał się sprawiać, że woda w wannie była chłodniejsza. Nie czuję się bezpiecznie, odkąd zostawiliśmy Rakoczego na tej ziemi, choć przez chwilę byłam szczęśliwa - gdy wyrwaliśmy się temu diabłu: ja, Erikki i Charlie.

Nawet odnalezienie przy lądowisku samochodu z benzyną nie usunęło strachu. Nie lubię się bać.

Zanurzyła się głębiej, a potem odkręciła kran z gorącą wodą.

- Tak mi dobrze - mruknęła Szahrazad; piana była obfita, a woda rozkoszna. - Tak się cieszę, że chcesz zostać.

Poprzedniego wieczoru, gdy Azadeh, Erikki i Charlie dotarli do mieszkania McIvera, było już ciemno. Zastali tam Gavallana, zatem nie było już dla nich miejsca. Azadeh była zbyt przerażona, żeby zostać w mieszkaniu ojca, nawet z Erikkim, poprosiła więc Szahrazad, żeby udzieliła im gościny do powrotu Lo-charta. Szahrazad zgodziła się natychmiast, ciesząc się z towarzystwa. Wszystko było już dobrze, gdy nagle, podczas kolacji, usłyszeli strzały. Azadeh, zdenerwowana, aż podskoczyła.

- Nie ma się czym przejmować, Azadeh - powiedział McIver. - Pewnie paru zapaleńców strzela sobie na wiwat. Nie słyszałaś, że Chomeini kazał wszystkim złożyć broń?

Wszyscy obecni potwierdzili jego słowa, a Szahrazad dodała:

- Imama wszyscy słuchają. - Zawsze nazywała Cho-meiniego "imamem". Niemal łączyła go z dwunastoma imamami szyickimi, bezpośrednimi zstępnymi proroka Mahometa, co oznaczało prawie boskość. - To, co zrobił imam, graniczy z cudem, nieprawdąż? -

powiedziała Szahrazad z czarującą niewinnością. - Przecież nasza wolność to podarunek Boga?

Potem było tak ciepło i przytulnie w łóżku z Erikkim, choć on sam był jakiś obcy i zatopiony w ponurych myślach. Nie był tym samym człowiekiem, którego znała.

538

- Co się stało?

- Nic takiego, Azadeh, nic. Jutro coś wymyślę. Dziś nie było czasu, żeby porozmawiać z Makiem czy Gaval-ianem. Jutro coś wymyślimy, a na razie śpij, kochanie.

Dwukrotnie obudziła się w nocy z powodu dręczących ją sennych koszmarów.

- Wszystko w porządku, Azadeh, jestem tutaj - uspokajał ją Erikki. - To tylko sen. Jesteś zupełnie bezpieczna.

- Nie, nieprawda. Wcale nie czuję się bezpiecznie, Erikki. Co się ze mną dzieje? Wracajmy do Tebrizu albo gdzieś wyjedźmy. Gdzieś daleko od tych okropnych ludzi.

Rano Erikki zostawił ją, by spotkać się z McIverem i Gavallanem, a ona jeszcze trochę pospała, choć niewiele jej to dało. Spędziła resztę poranka drzemiąc lub słuchając opowieści Szahrazad o wyprawie do Galeg Morghi albo plotek służby: wielu generałów rozstrzelano, wielu aresztowano. Tłum otworzył więzienia, zachodnie hotele spalono lub ostrzelano.

Mówiono też, że Bazargan przejmuje ster rządów, że mudzaheddini prowadzą otwartą rebelię na południu, Kurdowie na północy, że Azerbejdżan ogłasza niepodległość, a koczownicze szczepy Kaszkajów i Bachtiarowie zrzucają jarzmo Teheranu, że wszyscy składają broń albo że nikt jej nie składa. Krążyła plotka, że premier Bachtiar został schwytany i rozstrzelany, a jednocześnie inna, że uciekł do Turcji albo Ameryki; prezydent Carter przygotowywał

inwazję albo też uznawał rząd Chomeiniego; sowieckie oddziały koncentrowały się przy granicy i szykowały do natarcia albo Breżniew przyjeżdżał do Teheranu, aby pogratulować Chomeiniemu; Szach, wspierany przez amerykańskie oddziały, lądował w Kurdystanie albo umierał na wygnaniu.

Potem Azadeh poszła z rodzicami Szahrazad na obiad do domu Bakrawana przy bazarze.

Włożyła cza-dor dopiero po usilnych naleganiach Szahrazad; nienawidziła tego stroju i wszystkiego, co sobą reprezentował. W wielkim rodzinnym domu usłyszała dalsze plotki; nie 539

261

obawiano się jednak niczego i z ufnością patrzono w przyszłość. Zwyczajne bogactwo, jak w jej domu rodzinnym w Tebrizie, uśmiechnięci służący. Dżared Bakrawan powiedział jowialnie, że teraz, gdy bazar ma zacząć działać, a wszystkie zagraniczne banki są zamknięte, interesy rozwiną się tak dobrze, jak w czasach, gdy nie było jeszcze bezbożnych praw narzuconych przez Szacha.

Po obiedzie Azadeh i Szahrazad wracały do domu pieszo. Były szczelnie zawinięte w czadory. Nie miały żadnych problemów; ludzie na ulicy zachowywali się ulegle. Bazar był

zatłoczony. Towarów brakowało, ale wszyscy kupcy zapowiadali ich obfitość, która ma przybyć ciężarówkami, pociągiem lub samolotem. Porty pękają w szwach od statków wyładowanych towarami, mówili. Ulicami przechadzały się tysiące ludzi. Wszyscy powtarzali imię Chomeiniego albo skandowali: Allahu Akbarr. Prawie wszyscy chłopcy i młodzi mężczyźni nosili broń; starsi nie.

W niektórych miejscach ludzie z Zielonych Opasek kierowali po amatorsku ruchem, zastępując policjantów, lub stali w groźnie wyglądających grupkach. Gdzie indziej policja była obecna jak zwykle. Przetoczyły się dwa czołgi oblepione cywilami pozdrawiającymi wiwatujących przechodniów.

Lecz pod cienką warstewką radości wszyscy byli napięci, zwłaszcza kobiety, owinięte w swe czadorzy. Gdy Azadeh i Szahrazad skrzyły za róg, zobaczyły grupę młodych ludzi otaczających ciemnowłosą kobietę w zachodnim ubraniu. Drwili i szydzili z niej, wykrzykiwali obelgi i robili nieprzyzwoite gesty. Kilku z nich obnażyło się; odwróceniem do niej przodem wymachiwali penisami. Kobieta miała trzydzieści parę lat; była schludnie ubrana; krótka kurtka narzucona na sukienkę. Miała długie nogi i długie włosy, które spływały spod małego kapelusika. Przez tłum przepchnął * się do niej jakiś mężczyzna.

Zaczął krzyczeć, że są Anglikami i żeby pozostawiono ich w spokoju. Młodzieńcy nie zwracali na niego uwagi; kobieta była przerażona.

540

Azadeh i Szahrazad nie miały którędy obejść szybko rosnącego zbiegowiska. Tłum zamknął się wokół nich tak, że musiały patrzeć. Po chwili pojawił się mułła. Wezwał tłum do rozejścia się i wygłosił do cudzoziemców tyradę, z której wynikało, że powinni przestrzegać obyczajów islamu. Gdy obie kobiety dotarły wreszcie do domu, były zmęczone i czuły się jakby zbrukane. Rozebrały się i rzuciły na posłanie.

- Cieszę się, że wyszłam z domu - powiedziała zaniepokojona Azadeh zmęczonym głosem. -

Ale my, kobiety, powinnyśmy jakoś zaprotesować, dopóki nie jest za późno. .Powinnyśmy zorganizować manifestację; wyjść bez czadorów na ulicę i przekonać mułłów, że nie jesteśmy meblami w mieszkaniach mężów, że mamy swoje prawa, a noszenie czadorów zależy od naszej, a nie ich woli.

- Tak, rzeczywiście. My także przyczyniłyśmy się do zwycięstwa. - Szahrazad ziewnęła. -

Och, jestem taka zmęczona.

Drzemka dobrze im zrobiła.

Teraz Azadeh obojętnie obserwowała banieczki piany. Woda była już gorąca; unosiła się z niej para o przyjemnym zapachu. Azadeh usiadła w wannie i strzepnęła pianę z piersi i ramion.

- To dziwne, Szahrazad, ale byłam dziś zadowolona z tego, że jestem w czadorze. Ci mężczyźni byli tacy okropni.

- Mężczyźni na ulicy zawsze są okropni, kochana Azadeh. - Szahrazad otworzyła oczy i spojrzała na przyjaciółkę, której złota skóra błyszczała, a twarde suty sterczały dumnie. -

Jesteś taka piękna, kochanie.

- Och, dziękuję, ale to ty jesteś naprawdę piękna.

- Azadeh położyła dłoń na brzuchu przyjaciółki. - Młoda matka, co?

- Och, mam nadzieję. - Szahrazad westchnęła, zamknęła oczy i zaczęła znowu rozkoszować się ciepłem.

262

- Trudno mi to sobie wyobrazić. Za trzy dni dowiem się na pewno. Kiedy ty i Erikki zamierzacie mieć dzieci?

- Za rok albo dwa lata.

541

Azadeh powtórzyła spokojnie to samo kłamstwo co zwykle. Bała się bardzo, że jest bezpłodna. Od ślubu nie stosowała żadnych środków antykoncepcyjnych i pragnęła dać Erikkiemu dziecko. Dręczył ją zawsze strach, że aborcja odebrała jej możliwość zajścia w ciążę, wbrew temu, co mówił ten niemiecki lekarz. Jak mogłam być taka głupia?

Tak łatwo. Byłam zakochana. Miałam tylko siedemnaście lat i byłam zakochana, och, jak bardzo. To nie było tak jak z Erikkim, któremu z radością oddaję całe moje życie. Z Erikkim to jest prawdziwe i na zawsze, i podniecające, i bezpieczne. Z Johnnym ."Jasne Oczy" to było jak sen.

Ach, gdzie teraz jesteś, co robisz, ty, taki wysoki i przystojny, o błękitnoszarych oczach, i taki, och, taki brytyjski? Z kim się ożeniłeś? Ile serc zламаłeś, tak jak zламаłeś moje, kochanie?

Tamtego lata on uczył się w szkole w Rougemont, w miejscowości sąsiadującej z wioską, w której Azadeh uczęszczała do ostatniej klasy, rzekomo po to, by lepiej poznać francuski.

Szahrazad już wyjechała. Azadeh poznała go w Sonnenhof, skąpanym w słońcu, wychodzącym na piękne Gstaad w kotlinie wśród gór. Johnny miał wtedy dziewiętnaście lat, a ona od trzech dni siedemnaście. Przez całe lato chodzili po górach, tak pięknych. Wchodzili na szczyty, przemierzali lasy, kapali się w strumieniach, bawili, kochali, co było jeszcze większą przygodą niż wędrówki ponad chmury.

Było tam więcej chmur, niż zdołałam zauważyć, pomyślała sennie. Tamtego lata miałam głowę w chmurach; wiedziałam coś o mężczyznach i życiu, ale nie znałam ani ich, ani jego.

Potem, na jesieni, powiedział: "Przepraszam, ale muszę wyjechać na uniwersytet. Wrócę na Boże Narodzenie". Nie wrócił nigdy. A jeszcze na długo przed świętami wiedziała.

Paraliżujący strach, * a powinno być tylko szczęście. Bała się, że odkryją to nauczyciele i zawiadomią rodziców. W Szwajcarii prawo nie zezwalało na aborcję bez zgody rodziców.

Wyjechała do Niemiec, gdzie było to możliwe. Jakoś znalazła 542

uprzejmego lekarza, który tłumaczył jej, że to nie boli i nie wywołuje żadnych skutków.

Tylko trochę kłopotu z pożyczaniem pieniędzy. Nadal kochała Johnny'ego. Potem, następnego roku, skończyła się szkoła, wszystko pozostało tajemnicą, a ona wróciła do Tebrizu. Macocha jednak jakoś się dowiedziała; na pewno wydała mnie Nadzud, przyrodnia siostra. To przecież ona pożyczyła mi pieniędzy. Potem dowiedział się i ojciec.

Przez rok więził mnie jak przyszpilonego motyla. Potem przebaczenie, spokój - pozory spokoju. Błagała go, żeby pozwolił jej studiować na uniwersytecie w Teheranie. "Zgodzę się pod warunkiem, że przysięgniesz na Boga: żadnych romansów, absolutne posłuszeństwo.

Wyjdiesz za mąż za kogoś, kogo ja wybiorę", powiedział chan.

Ukończyła studia, z wyróżnieniem. Potem błagała o pozwolenie na wstąpienie do Korpusu Nauczycielskiego. To był jedyny sensowny sposób, żeby wydostać się z pałacu.

Wielu mężczyzn z Tebrizu pragnęło ją poślubić, ale ojciec odmawiał; wstydził się, że nie była dziewczicą. Potem Erikki.

- A co będzie, gdy ten cudzoziemiec, ten... zubożały, wulgarny, źle wychowany i kochający tylko spirytus potwór, który nie mówi słowa w farsi ani po turecku, który nie zna naszych obyczajów ani historii, który nie wie, jak się zachować w cywilizowanym społeczeństwie, który potrafi tylko wypijać całe jeziora wódki i latać helikopterem, kiedy dowie się, że nie jesteś dziewczicą, że jesteś brudna, zhańbiona i być może popsuta w środku już na zawsze?

- Już mu o tym powiedziałam, ojczy - wyznała przez łzy. - Wie też o tym, że nie mogę wyjść za mąż bez twojego pozwolenia.

263

Potem cud: atak na pałac, ojciec ociera się o śmierć, Erikki jak wojownik-mściciel ze starożytnej legendy. Pozwolenie na ślub - następny cud. Erikki ją rozumie - jeszcze jeden. Ale dotąd nie mają dziecka. Stary doktor Nutt mówi, że jestem zdrowa, normalna i że 543

trzeba czekać. Z pomocą Boga zacznę wkrótce nosić w sobie syna, a tym razem będzie już tylko szczęście, takie jak Szahrazad, która jest tak piękna z tą cudną twarzą, piersiami, biodrami, jedwabistymi włosami i atłasową skórą.

Poczuła pod palcami gładkość ciała przyjaciółki, i sprawiło jej to ogromną radość. Zaczęła machinalnie ją pieścić: tonęła w ciepłe i czułości. To cudowne, że jesteśmy kobietami, pomyślała. Możemy kąpać się razem, spać razem, całować się i dotykać bez poczucia winy.

- Ach, Szahrazad - zamruczała, poddając się pieszczotom. - Tak lubię, kiedy mnie dotykasz.

STARE MIASTO, 19:52. Mężczyzna przeszedł szybkim krokiem przez pokryty śniegiem plac obok

starego meczetu Mehrid. Przez główną bramę wszedł na zadaszony bazar; przenikliwie zimno ustąpiło przed tłokiem, ciepłem i znajomym półmrokiem. Miał

pięćdziesiąt parę lat, był korpulentny; po szybkim marszu ciężko oddychał. Nosił przechyloną na bakier astrachańską czapkę i kosztowne ubranie. W wąskim przejściu zagroził mu drogę obładowany osioł. Mężczyzna zaklął, cofnął się, żeby zwierzę i jego właściciel mogli przejść, a później znów ruszył szybko naprzód, skręcił w lewo, w pasaż, a potem w uliczkę sprzedawców ubrań.

Korzystaj z okazji, powtarzał sobie w kółko; kłuło go w płucach, bolały nogi. Jesteś już bezpieczny, zwolnij. Strach był jednak silniejszy od rozsądku; mężczyzna rzucił się naprzód, aby zniknąć w ogromnym labiryncie. Za nim, w pewnej odległości, postępowała grupa uzbrojonych bojowników z Zielonych Opasek. Oni się nie spieszyli.

Wąską uliczkę handlarzy ryżu blokowały większe niż zwykle tłumy; żywności było mało, a wszyscy chcieli coś" kupić. Zatrzymał się na chwilę, otarł pot z brwi i ruszył znowu. Bazar przypominał ul. Tętnił życiem w setkach brudnych alejek i przejść, wzdłuż których ciągnęły się niezliczone mroczne wnętrza sklepików, niekiedy pięć-544

rowych, stragany i stoliki, przy których można było zakupić najróżnorodniejsze dobra i usługi: od artykułów żywnościowych do zagranicznych zegarków, od mięsa do sztab srebra i złota, byli tam lichwiarze i handlarze bronią; wszyscy czekali na klientów nawet wtedy, gdy nie mieli dużo do sprzedania. Cały ten zgiełk okrywał wysoko sklepiony dach, w którym pozostawiono świetliki, pełniące też funkcję wentylatorów. W powietrzu wisiał specyficzny zapach bazaru: dymu i zjełczałego tłuszczu, gnijących owoców i pieczonego mięsa, przypraw, moczu i nawozu, kurzu i benzyny, miodu, daktyli i odpadków, a wszystko zmieszane z zapachem potu tych, którzy tutaj się urodzili, tu mieszkali i umierali.

Uliczki wypełniali ludzie wszelkich narodowości: Turcy, Kurdowie, Kaszkajowie, Armeńczycy i Arabowie, Libańczycy i Lewantyńczycy. Mężczyzna nie zwracał jednak uwagi na nikogo ani na nic. Przepychał się przez tłum, przeciął swą własną uliczkę złotników, biegnącą za uliczką jubilerów, wcisnął się jeszcze głębiej w tłum. Włosy pod astrachańską czapką sklejał mu pot, twarz poczerwieniała. Ujrzeni go dwaj sklepikarze i wy-buchnęli śmiechem.

- Na Boga! - powiedział jeden z nich. - Nigdy przedtem nie widziałem, żeby Paknuri tak pędził. Widocznie ten stary pies śpieszy się, żeby odebrać od jakiegoś biedaka dziesięciorialowy dług.

- Raczej jakiś soczysty chłopak czeka rozłożony na dywanie na tego sknerę. Coś mi to pachnie chłopięcym tyłeczkiem!

Żarty urwały się, gdy sklepikarze zobaczyli grupę Zielonych Opasek. Gdy bojówkarze byli już w bezpiecznej odległości, ktoś mruknął:

- Co te psy tu robią?

- Szukają kogoś. Na pewno. Szkoda, że ich ojców szlag nie trafił, zanim ich spłodzili. Nie słyszałeś, że przez cały dzień aresztowali ludzi?

- Aresztowali? Co z nimi robią?

- Zamykają w więzieniu. Teraz oni mają więzienia. Nie słyszałeś, że wyłamali bramę więzienia Ewin, wypuś-

545

ciii wszystkich więźniów, a zamiast nich zamknęli strażników? Teraz rządzą więzieniami.

Słyszałem, że mają już własne plutony egzekucyjne i sądy. Rozstrzelili wujka generałów i policjantów. A teraz są rozruchy na uniwersytecie.

- Niech Bóg nas chroni. Mój syn, Farmad, tam jest, młody głupiec! Mówiłem mu, żeby tam dzisiaj nie chodził.

Dżared Bakrawan, ojciec Szahrazad, znajdował się w swym prywatnym pokoju na piętrze, nad sklepem przy uliczce lichwiarzy, który należał do jego rodziny od pięciu pokoleń.

Specjalnością Bakrawana były bankowość i finanse. Siedział na grubym stosie kobierców i pił

herbatę ze swym starym przyjacielem Alim Kia, któremu udało się wcisnąć do rządu Bazargana. Najstarszy syn Bakrawana, Meszang, siedział z tyłu. Słuchał i uczył się. Był

przystojnym, gładko ogolonym mężczyzną. Miał trzydzieści parę lat i skłonność do otyłości.

Ali Kia także nie nosił zarostu. Używał okularów. Bakrawan miał siwą brodę i był gruby.

Obaj mieli po sześćdziesiąt parę lat i znali się niemal od urodzenia.

- Jak będzie spłacana pożyczka, w jakim czasie? - zapytał Bakrawan.

- Z dochodów z ropy, jak zwykle - wyjaśniał cierpliwie Kia. - Tak jak za Szacha. Okres ponad pięcioletni, jeden procent miesięcznie, normalnie. Mój przyjaciel Mehdi, Mehdi Bazargan, mówi, że parlament zatwierdzi pożyczkę, gdy tylko się zbierze. - Uśmiechnął się i dodał, lekko przesadzając: - Ponieważ jestem nie tylko członkiem rządu Mehdiego, ale także jego wewnętrznego gabinetu, mogę osobiście dopilnować ciała ustawodawczego. Wiesz oczywiście, jak ważna jest ta pożyczka i dla nas, i dla bazaru.

- Oczywiście. - Bakrawan pociągnął brodę,* aby powstrzymać się od wybuchnięcia śmiechem. Biedny Ali, pomyślał, nadęty jak zwykle! - To na pewno nie moja sprawa, stary przyjacielu, ale niektórzy ludzie z bazaru pytali mnie, co z tymi milionami w złocie, które 546

już dali, aby wesprzeć rewolucję. Z tymi wpłaconymi na fu#dusz Ajatollaha Chomeiniego, niech Bóg ma go w swojej opiece - dodał grzecznie, myśląc w duchu: oby Bóg usunął go jak najszybciej z tego

świata teraz, gdy jua wygraliśmy rewolucję, dopóki on i te jego drapieżne, zaślepione pasożyty, mułłowie, nie zdążyli narobić wielu szłód! Co do ciebie, Ali, stary przyjacielu, naginaczu pr wdy, przekonany za bardzo o ważności swojej osoby to możesz być moim najstarszym przyjacielem, ale jeśli myślisz, że zaufam ci bardziej niż w sprawie nawozu wldbłada... Tak jakby ktokolwiek z nas mógł zaufać komukolwiek spoza najbliższej rodziny, a i to z zachowaniem najwyższej ostrożności. - Wiem oczywiście, że Ajatollah nigdy nie zobaczył, nie potrzebował ani nie domął nawet jednego riala - powiedział, rzeczywiście tal myśląc. - Ale jednak my, kupcy z bazaru, przekazaliśmy ogromne ilości gotówki, złota i walut, finansując jego kampanię na chwałę Boga i naszego ukochanego Iranu.

- Tak, wiemy. Bóg was za to pobłogosławi. Ajatol-lal też. Oczywiście, te pożyczki będą spłacone, gdy ty ko zdobędziemy pieniądze. To może nastąpić w każdej chwili! Pożyczki udzielone przez kupców z Teheranu będą spłacone w pierwszej kolejności! My w rządzie wiemy, jak ważna była wasza pomoc. Ale, ekscelencjo Diared, stary przyjacielu, zanim będziemy mogli cokolwiek zrobić, musimy podjąć produkcję ropy, a żeby to zrobić, musimy mieć trochę gotówki. Trudno teraz o pięć milionów dolarów, które są potrzebne natychmiast, gdy wszystkie zagraniczne banki będą albo przez nas kontrolowane, albo zamknięte.

- Iran nie potrzebuje zagranicznych banków. My, k"pcy z bazaru, możemy zrobić wszystko, co będzie potrzebne, jeśli zostaniemy o to poproszeni. Wszystko. Jeili dobrze poszukamy, to 265

być może, na chwałę Iranu, ockryjemy, że mamy wszystkie potrzebne umiejętności i powiązania. - Bakrawan z wystudiowaną elegancją pociągnął łyk herbaty. - Mój syn, Mieszang, ukończył Sakołę Biznesu Uniwersytetu Harvarda. - Żaden z nich 547

nie przejął się tym kłamstwem. - Z pomocą tak wybitnych studentów jak on... - Pozwolił, aby jego rozmówca domyślił się sam, co można osiągnąć. Ali Kia natychmiast podjął ten wątek.

- Na pewno nie myślałeś o tym, żeby pozwolić nam, w moim Ministerstwie Finansów i Bankowości, na skorzystanie z jego usług? Na pewno jest zbyt ważny dla ciebie i twoich kolegów? Na pewno!

- O, tak. Ale dobro naszego ukochanego kraju musi być dla nas ważniejsze od naszych osobistych pragnień, -jeśli oczywiście rząd chciałby wykorzystać jego rzadkie zdolności.

- Rano wspomnę o tym Mehdiemu. Tak, podczas codziennego porannego spotkania z moim starym przyjacielem i kolegą - powiedział Ali Kia, zastanawiając się jednocześnie, kiedy wreszcie dojdzie do spotkania z premierem, o które zabiegał już od chwili, gdy został

wiceministrem finansów. - Czy mogę powiedzieć mu także, że zgadzasz się udzielić pożyczki?

- Natychmiast skonsultuję się z kolegami. Oczywiście, decyzja należy nie do mnie, ale do nich - dodał Bakrawan ze smutkiem, który nie był przekonujący. - Będę popierał twoją prośbę, stary przyjacielu.

- Dziękuję ci. - Uśmiechnął się Ali Kia. - My w rządzie i Ajatollah bardzo sobie cenimy pomoc ludzi z bazaru.

- Jesteśmy zawsze gotowi pomóc. Jak wiesz, robiliśmy to zawsze - rzekł łagodnie Bakrawan, wspominając ogromne wsparcie finansowe udzielane całymi latami przez kupców z bazaru mułom i Chomeiniemu, a także każdemu politykowi, który, podobnie jak Kia, pozostawał w opozycji wobec któregoś z szachów.

Niech Bóg przeklnie Pahlawich, myślał Bakrawan. To oni są przyczyną wszystkich naszych kłopotów, kłopotów wywołanych ich upartym, zbyt pospiesznym dążeniem do nowoczesności, uporczywym lekceważeniem naszych rad i wpływów, zapraszaniem cudzoziemców - w zeszłym roku samych Amerykanów było tu aż pięćdziesiąt tysięcy; dostawali najlepsze posady i trzy-548

mali w ręku całą bankowość. Szach odtrącał naszą pomoc, złamał nasz monopol, dusił nas i odrzucał dziedzictwo naszej historii. Wszędzie, w całym Iranie.

Wzięliśmy jednak na nim odwet. Zaryzykowaliśmy i rzuciliśmy wszystko na szalę nienawiści Chomeiniego i jego brudnych niepiśmiennych mas. Wygraliśmy. A teraz, gdy minął czas zagranicznych banków i cudzoziemców, będziemy bogatsi i bardziej wpływowi niż kiedykolwiek przedtem. Nie trudno będzie załatwić tę pożyczkę, ale nie zaszkodzi, jeśli Ali Kia i jego rząd trochę się spocą. Tylko my możemy zdobyć pieniądze. Oferowana zapłata nie jest dostatecznie wysoka; właściwie nie kompensuje nawet strat wynikających z zamknięcia bazaru przez te wszystkie miesiące. Co będzie teraz? - Bakrawan zadał sobie pytanie, zadowolony z przebiegu negocjacji. Może oprocentowanie powinno...

Drzwi otworzyły się nagle; do pokoju wpadł emir Paknuri.

- Dżared, oni chcą mnie aresztować! - krzyknął. Po jego twarzy spływały łzy.

- Kto? Kto cię chce aresztować? Za co? - pytał nerwowo Bakrawan.

Spokój, zachowywany tradycyjnie w tym miejscu, zniknął. Przerażeni pomocnicy, urzędnicy, chłopiec do parzenia herbaty i kierownicy zaczęli tłoczyć się przy wyjściu.

- Za... za zbrodnie przeciwko islamowi! - Paknuri otwarcie płakał.

- To niemożliwe! Jakaś pomyłka!

- Tak, niemożliwe, ale oni... oni przyszli do mojego domu, mieli moje nazwisko... Pół

godziny temu my...

266

- Ale kto? Podaj mi nazwiska, a zniszczę ich ojców! Kto przyszedł?

- Mówiłem już! Strażnicy, strażnicy rewolucji, Zielone Opaski, oczywiście, że oni - dyszał, nie zauważając ciszy, która nagle zapadła. Ali Kia zbladł, a ktoś mruknął: - Boże, ratuj nas!

- Jakies pół godziny temu. Mieli moje nazwisko zapisane na kartce... moje nazwisko, emir Paknuri,

przewodniczący ligi złotników, który dał miliony riali... Przyszli do mojego domu, oskarżyli mnie, ale służba... moja żona tam była, i ja... Na Boga i proroka, Dżared - krzyknął, padając na kolana. - Nie popełniłem żadnego przestępstwa, jestem starostą bazaru, dałem miliony i... -

Nagle urwał na widok Alego Kia. - Kia, Ali Kia, ekscelecjo, wiesz dobrze, co zrobiłem dla rewolucji!

- Oczywiście. - Kia miał kredowobiałą twarz, waliło mu serce. - To na pewno jakaś pomyłka.

- Znał Paknurię jako bardzo wpływowego kupca. Był to szanowany ogólnie człowiek, pierwszy mąż Szahrazad i jeden z jego długoletnich sponsorów. - Na pewno pomyłka!

- Oczywiście, pomyłka! - Bakrawan objął ramieniem nieszczęśnika i próbował go uspokoić. -

Podać natychmiast świeżą herbatę! - rozkazał.

- Poproszę o whisky. Masz whisky? - wymruczał Emir. - Herbatę wypiję później. Masz whisky?

- Nie tutaj, mój biedny przyjacielu, ale oczywiście jest wódka.

Podano ją natychmiast. Paknuri wypił do dna; za-krztusił się. Odmówił, gdy zaproponowano mu następną. Po chwili trochę się uspokoił i zaczął opowiadać o tym, co zaszło. Zorientował

się, że coś jest nie w porządku, gdy usłyszał podniesione głosy w holu swego okazałego domu, położonego tuż przy bazarze. Był na górze z żoną; przygotowywali się do kolacji.

- Przywódca strażników, było ich pięciu, przywódca wymachiwał kawałkiem papieru i żądał, żebym wyszedł. Oczywiście, służący nie ośmielili się mi przeszkadzać ani też nie chcieli wpuścić do środka takiej mały. Major-domus powiedział, że sprawdzi, czy jestem, i wszedł

na górę. Powiedział nam, że dokument podpisał ktoś o nazwisku Uwari w imieniu Komitetu Rewolucyjnego. Na Boga, kto jest w tym komitecie? Kto to taki Uwari? Czy słyszałeś o nim, Dżared?

- To dość pospolite nazwisko - odparł Bakrawan, przestrzegając irańskiego zwyczaju udzielania odpowie-550

ołkLi nawet wtedy, gdy nie ma się nic do powiedzenia. -----k ty, ekscelecjo Ali?

- Jak powiedziałaś, to nazwisko spotyka się często. Ł ty ten człowiek wspomniał jeszcze o kimś innym, e- Jicelencjo Paknuri?

- Może. Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Ale kim cmbbu są, ten Komitet Rewolucyjny?

Ali Kia, pan na prawo wie?

- Wymieniano wiele nazwisk - oświadczył uroczy-ś-"^e Kia, starannie skrywając niepokój.

Komitet Rewolucyjny był tajemniczym ciałem. Tak jak inni członka-iwie rządu i zwykli ludzie, pomyślał z niesmakiem, nie cMBsponuję żadnymi pewnymi informacjami co do jego s ładu albo miejsca spotkań. Wiadomo tylko, że komi-t"e powstał, gdy Chomeini wrócił do Iranu, zaledwie cl^Bia tygodnie temu, a od wczoraj, gdy Bachtiar zaczął s- i ukrywać, działał, jakby sam był prawem, rządząc \ imieniu Chomeiniego, pośpiesznie mianując nowych s-dziów, zwykle bez wykształcenia prawniczego, stojąc / taresztowaniami, rewolucyjnymi sądami i natychmias-t wymi egzekucjami, działając całkowicie poza prawem

-----1 przeciwko naszej konstytucji! Oby spłonęły domy ich v=" -izystkich, a oni sami trafili do piekła, na które za-sssi-tgują! - Właśnie dziś rano mój przyjaciel Mehdi...

-----laczał znacząco, a potem urwał, udał, że dopiero teraz i ____ uważa stłoczony przy drzwiach personel i odprawił go 267

i ____ pchnięciem ręki. Gdy wyproszeni wyszli i niechętnie knęli drzwi, zniżył głos i przekazał plotkę, jakby sslnowiła ona część jego głębokiej wiedzy. -

Właśnie z3.ś rano, z naszym błogosławieństwem, poszedł do r ' łątollaha i zagroził rezygnacją, jeśli Komitet Rewolu-i |my nie przestanie omijać jego i jego uprawnień. W ten ^sspsób osadził ich na właściwym miejscu.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął z ulgą Paknuri. - Nie

]____i to wygraliśmy rewolucję, żeby bezprawie zajęło miej-

> a SAVAK-u, cudzoziemców i Szacha!

- Oczywiście! Dzięki Bogu, rząd panuje już nad

;-----tuacją. Proszę jednak, ekscelencjo, niech pan opowia-t-----i dalej.

551

- Nie ma już wiele do opowiadania, Ali - odparł Paknuri, który poczuł się znacznie pewniej w towarzystwie tak potężnych przyjaciół. - Ja, ja zszedłem na dół, żeby od razu powiedzieć tym intruzom, że chodzi o fatalną omyłkę. Ak ten cymbał, ten niepiśmienny kawał psiego gówna, tylko wymachiwał mi przed nosem papierem, powtarzał, że jestem aresztowany i mam z nimi pójść. Powiedziałem, żeby poczekali, i poszedłem po dokumenty; moja żona jednak... żona poradziła mi, żebym im nie ufał, bo może to przebrani mudża-heddini, fedaini czy Tude.

Uznałem, że ma rację, i postanowiłem przyjść tutaj, by naradzić się z tobą i innymi.

Zataił prawdziwy przebieg zdarzenia. To, że uciekł już w chwili, gdy przywódca grupy oświadczył w imieniu Komitetu Rewolucyjnego i Uwariego, iż Paknuri odpowie przed Bogiem za zbrodnie przeciwko Bogu.

- Mój biedny przyjacielu - odezwał się Bakrawan. - Jakże musiałeś cierpieć! Trudno. Teraz jesteś już bezpieczny. Zostań tu na noc. Ali! Jutro od razu po pierwszej modlitwie idź do biura premiera i upewnij się, że ta sprawa jest załatwiona, a ci głupcy ukarani. Wszyscy wiemy, że Emir Paknuri jest patriotą, że on i złotnicy wsparli rewolucję oraz że odgrywają pierwszoplanową rolę przy pożyczce, o której mówiliśmy.

Wysłuchał ze znużeniem wszystkich banałów, jakie Ali Kia czuł się w obowiązku wygłosić.

Przypatrywał się Paknuriemu, który był nadal lekko pobladły i miał włosy sklezione potem.

Biedny facet; to musiał być dla niego szok. Co za wstyd! Z jego bogactwem i nazwiskiem!

Koneksje z Kadżarami przez An-nusz, żonę kuzyna Walika! A cała moja praca dla Szahrazad spełzła na niczym. Co za wstyd, że nie spłodził z Szahrazad dzieci i nie scementował w ten sposób naszych rodzin! Ani jednego dziecka! Jedno wystarczyłoby, żeby nie doszło do rozwodu i związania się z tym cudzoziemcem Lochartem, który próbuje nauczyć się naszych zwyczajów, ale któremu nigdy się to nie uda. A ile kosztuje jego utrzymanie na poziomie, 552

który nie kompromituje rodziny! Muszę porozmawiać z kuzynem Walikiem i poprosić go jeszcze raz, żeby załatwił Lochartowi jakieś dodatkowe pieniądze. Walika i jego pazernych współników z IHC na pewno na to stać teraz, gdy już zarobili miliony w obcej walucie! Co by to ich kosztowało? Nic! Koszty można by było przerzucić na Gavallana i S-G. Wspólnicy tyle mi zawdzięczają! Przez całe lata doradzałem im, jak zdobyć tak wielką władzę i majątek kosztem niewielkiego tylko wysiłku!

- Sam płać Lochartowi, ekscelencjo Dżared - powiedział niegrzecznie Walik, gdy Bakrawan zwrócił się do niego ostatnio z tą sprawą. - To twój interes. Masz udział we wszystkich naszych zyskach. Co znaczy tak drobna kwota dla mojego kochanego kuzyna, najbogatszego kupca w Teheranie?

- Koszty powinni ponosić wszyscy współnicy. Możemy przecież wykorzystywać Locharta, sprawując stuprocentową kontrolę nad firmą. Wraz z nowymi planami co do IHC spółka będzie bogatsza niż kiedykolwiek.

- Muszę to omówić z innymi współnikami. Oczywiście, to oni decydują, a nie ja...

268

Kłamca, pomyślał Bakrawan, pociągając łyk herbaty, ale ja na jego miejscu odpowiedziałbym tak samo. Stłumił ziewnięcie. Był już zmęczony i głodny. Drzemka przed kolacją dobrze by mi zrobiła.

- Tak mi przykro, ekscelencjo, tak mi przykro, ale muszę teraz załatwić bardzo pilne sprawy.

Paknuri, stary przyjacielu! Cieszę się, że wszystko się wyjaśniło. Zostań tu na noc. Mieszang załatwi kobierce i poduszki. Nie martw się! Ali, przyjacielu! Odprowadź mnie do bramy bazaru. Czy masz jakiś środek transportu? - zapytał, wiedząc, iż głównym przywilejem wiceministra jest samochód z szoferem i nieograniczony dostęp do benzyny.

- Tak, dziękuję, PM nalegał, żebym to załatwił, szczególnie nalegał. Myślę, że chodzi o znaczenie

naszego departamentu.

- Wedle woli Boga! - odparł Bakrawan.

553

Wszyscy byli zadowoleni. Zeszli wąskimi schodami do korytarzyka prowadzącego do sklepu.

Tam przestali się uśmiechać i poczuli suchość w gardłach.

W sklepie czekało pięciu ludzi z Zielonych Opasek. Siedzieli w niedbałych pozach na krzesłach i stołach. Wszyscy trzymali amerykańskie karabinki, wszyscy mieli nie więcej niż po dwadzieścia parę lat, byli nie ogoleni, brodaci, w ubogich i brudnych ubraniach, niektórzy w dziurawych butach, niektórzy bez skarpetek. Dowódca dłużył w zębach, reszta paliła, strącając niedbale popiół na bezcenne dywany Bakrawana. Jeden z młodzieńców brzydtko kaszłał.

Bakrawan poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Cały personel stał jak sparaliżowany pod jedną ze ścian. Wszyscy, nawet jego ulubieniec, chłopiec od parzenia herbaty. Z ulicy nie dochodziły żadne odgłosy. Wydawało się, że zniknęli nawet właściciele lombardów z naprzeciwka.

- Salam Agha, niech Bóg cię błogosławi - powiedział Bakrawan nieswoim głosem. - Czym mogę służyć?

Dowódca nie zwrócił na niego uwagi. Wpatrywał się w Paknurię. Jego przystojną twarz szpeciły blizny po

- niemal endemicznej w Iranie - chorobie wywołanej pasożytami przenoszonymi przez muszki. Miał dwadzieścia parę lat, ciemne oczy i włosy, stwardniałe od pracy ręce, które teraz bawiły się karabinem. Nazywał się Jusuf Senwar - Jusuf Murarz.

Napięcie rosło; Paknuri nie mógł już dłużej go znieść.

- To pomyłka - zaskowyczał. - Popelniacie błąd!

- Myślałeś, że uciekając unikniesz zemsty Boga?

- Jusuf mówił cicho, prawie grzecznie, choć z okropnym wiejskim akcentem, którego Bakrawan nie znał.

- Jaka zemsta Boga? - pisał Paknuri. - Nie zrobiłem niczego złego, niczego.

- Niczego? Czyż nie pracowałeś latami dla cudzoziemców, pomagając im w okradaniu naszego narodu?

- Nie w okradaniu. W tworzeniu miejsc pracy i rozwoju gospo...

554

- Niczego? Czyż nie służyłeś przez całe lata szatańskiemu Szachowi?

- Nie! - krzyknął Paknuri. - Byłem w opozycji! Wszyscy o tym wiedzą! Byłem...

- I służysz mu nadal, wykonujesz rozkazy? Paknuri wykrzywił twarz; poruszał ustami, ale nie mógł wydobyć głosu. Potem wychrypiał:

- Wszyscy mu służyli, on był Szachem, ale pracowaliśmy dla rewolucji. Szach to Szach; wszyscy musieli mu służyć, gdy był u władzy...

- Imam nie służył - uciął ponuro Jusuf. - Imam Chomeini nigdy nie służył Szachowi.

Powiedzcie w obliczu Boga: służył?

Powoli przenosił wzrok z twarzy na twarz. Nikt nie odpowiedział.

269

Bakrawan zobaczył, że mężczyzna sięga do podartej kieszeni, wyciąga kawałek papieru i spogląda na niego. Wiedział, że jest jedynym z obecnych, który może przerwać ten koszmar oczekiwania.

- Rozkazem Komitetu Rewolucyjnego - zaczął Jusuf - i Alillaha Uwariego: Paknuri Skąpcze, jesteś powołany przed sąd. Poddaj...

- Nie, ekscelencjo - przerwał mu grzecznie, lecz zdecydowanie Bakrawan. - Jesteśmy na bazarze. Wiesz, że bazar rządzi się własnymi prawami i ma własnych przywódców. Emir Paknuri jest jednym z nich. Nie można go aresztować ani wyprowadzić stąd wbrew jego woli.

Jest tu nietykalny. To pradawne prawo bazaru.

Spojrzał odważnie na młodzieńca; wiedział, że Szach, a nawet SAVAK nigdy nie ośmielili się naruszyć kupieckiego sanktuarium.

- Czy prawo bazaru jest ważniejsze od prawa Boga, lichwiarzu Bakrawan?

Bakrawan poczuł, że spływa po nim lodowaty pot.

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze. Ja przestrzegam prawa bożego i wykonuję bożą pracę.

- Ale nie możesz areszt...

555

- Przestrzegam prawa bożego i wykonuję tylko bożą pracę. - Oczy mężczyzny były brązowe i szczerze. Wskazał swój karabin. - Nie jest mi potrzebny. Żaden z nas nie potrzebuje broni, aby wykonywać

bożą pracę. Modłę się z całego serca, aby zginąć męczeńską śmiercią za Boga, gdyż pójdę wtedy prosto do raju i nie będę sądzony; moje grzechy zostaną wybaczone. Gdyby zdarzyło się to dziś, umarłbym, błogosławiąc swego zabójcę, albowiem wiedziałbym, że umieram, wykonując bożą pracę.

- Bóg jest wielki - powiedział jeden z jego towarzyszy, a inni mu zawtórowali.

- Tak, Bóg jest wielki. A ty, lichwiarzu Bakra-wan, czy modlisz się pięć razy dziennie, jak nakazał prorok?

- Oczywiście, oczywiście - potwierdził Bakrawan wiedząc, że to kłamstwo nie jest grzechem z powodu taghijji - zatajenia; prorok pozwolił każdemu muzułmaninowi na kłamstwa w sprawach islamu w razie zagrożenia życia.

- To dobrze. Bądź milczący i cierpliwy, później się tobą zajmę. - Bakrawan poczuł kolejny dreszcz, widząc, że mężczyzna zwraca się do Paknuriego. - W imieniu Komitetu Rewolucyjnego i Alillaha Uwariego: Paknuri Skąpcze, odpowiedz przed Bogiem za zbrodnie przeciwko Bogu.

Usta oskarżonego drżały.

- Ja... ja... nie możesz... to...

Zabrakło mu słów, w kącikach ust pojawiła się piana. Oczy obecnych skierowane były na niego; ludzie z Zielonych Opasek patrzyli obojętnie, inni z przerażeniem.

Ali Kia odchrząknął.

- Niech pan posłucha: może byłoby lepiej odłożyć to do jutra - rozpoczął, starając się przemawiać oficjalnym tonem. - Emir Paknuri jest bardzo zmartwiony tą pomył...

- Kim jesteś? - Oczy dowódcy świdrowały Alego, tak jak przedtem Bakrawana i Paknuriego.

- Co?

556

- Jestem wiceministrem Alim Kia - odparł, wytrzymując spojrzenie tamtego. - Z

Departamentu Finansów, członkiem gabinetu premiera Bazargana. Sugeruję, aby wstrzymał się pan...

- W imieniu Boga: ty, twój Departament Finansów, twój gabinet i twój Bazargan nie mają z nami nic wspólnego. Wykonujemy rozkazy mułły Uwariego, który wykonuje rozkazy komitetu, który wykonuje rozkazy imama, który wykonuje rozkazy Boga. - Mężczyzna 270

podrapał się i ponownie zwrócił do Paknuriego. - Na ulicę! - polecił łagodnym głosem. - Albo

wyciągniemy cię siłą.

Paknuri opadł z jękiem na ziemię i znieruchomiał. Wszyscy patrzyli bezradnie. Ktoś mruknął:

"Wola boska", a chłopiec od parzenia herbaty zaczął pochlipywać.

- Uspokój się, chłopcze - rzucił gniewnie Jusuf.

- Czy on nie żyje?

Jeden z mężczyzn podszedł do leżącego i przyklęknął. - Żyje. Bóg tak chciał.

- Bóg tak chciał, Hasan. Podnieś go i wsadź mu głowę do wody. Jeśli się nie obudzi, wyniesiemy go.

- Nie - przerwał odważnie Bakrawan. - On tu zostanie. Jest chory i...

- Czy jesteś głuchy, starcze? - W głosie Jusufa dało się słyszeć niebezpieczną nutę. W sklepie zapanował strach. Chłopiec zatkał ręką usta, żeby nie krzyknąć. Jusuf patrzył na Bakrawana, gdy potężnie zbudowany mężczyzna, nazwany Hasanem, z łatwością podniósł Paknuriego i wyniósł go ze sklepu. - Bóg tak chciał

- powiedział Jusuf, nie odrywając spojrzenia od Bakrawana. - Co?

- Gdzie... proszę, dokąd go zabieracie?

- Oczywiście do więzienia, a dokąd by?

- Do... do którego więzienia? Jeden z mężczyzn roześmiał się.

- A co za różnica?

Dżared Bakrawan i inni czuli się jak w więziennej celi, choć sklep nie miał od frontu ściany.

557

- Chciałbym wiedzieć, ekscelencjo - poprosił Bakrawan, starając się, aby jego głos nie zabrzmiał wrogo. - Proszę.

- Ewin.

W Teheranie właśnie to więzienie cieszyło się najgorszą sławą. Jusuf wyczuł kolejną falę strachu. Oni wszyscy muszą być winni, skoro się boją, pomyślał. Rzucił przez ramię do młodszego brata:

- Daj mi dokument.

Brat miał zaledwie piętnaście lat. Był brudny i brzydko kaszłał. Wyciągnął pół tuzina kartek i zaczął je przeglądać. Wreszcie znalazł tę, której szukał.

- Oto on, Jusuf.

Dowódca spojrział na dokument.

- Jesteś pewien, że to ten?

- Tak. - Chłopak wodził palcem po kartce papieru. Powoli wysylabizował: Dż-a-r-e-d B-a-k-r-a-w-a-n.

Ktoś wyszeptał:

- Boże, ochraniaj nas!

W ciszy, jaka zapadła, Jusuf wziął kartkę i wręczył ją Bakrawanowi.

Oddychając z trudem, starzec ujął kartkę trzęsącą się dłonią. Przez chwilę nie mógł skupić na niej wzroku. Potem ujrzał słowa: Dżared Bakrawan z bazaru w Teheranie. W imieniu Komitetu Rewolucyjnego i Alillaha Uwariego jesteś wezwany przed Trybunał Rewolucyjny jutro, natychmiast po pierwszej modlitwie, aby odpowiadać na pytania. Papier podpisał

niewprawną ręką Alillah.

- Jakie pytania? - zapytał tępo Bakrawan.

- Zgodne z wolą Boga. - Dowódca założył karabin na ramię i wstał. - Przed świtem. Weź ze sobą wezwanie i nie spóźnij się. - Naraz zauważył srebrną tacę, kieliszek ze rżniętego szkła i opróżnioną do połowy butelkę wódki. Na niskim stoliczku była dotąd niemal niewidoczna, lecz teraz błysnęła w świetle świecy. - Na Boga i proroka! - powiedział ze złością. - Czy zapomniałeś o bożych prawach?

271

Zebrani zeszli mu z drogi, gdy podchodził do stoliczka. Wylał wódkę na brudną podłogę i odrzucił butelkę.

558

Trochę wódki kapnęło na dywan. Chłopiec od parzenia herbaty odruchowo padł na kolana i zaczął wycierać plamę.

- Zostaw to!

Przerażony chłopiec odskoczył. Jusuf niedbale rozmazał mokrą plamę butem.

- Niech ta plama przypomina ci o prawach ustanowionych przez Boga, starcze - rzucił. - Jeśli zostanie plama. - Przez chwilę przyglądał się dywanowi. - Jakie kolory! Piękny! Piękny! -

Westchnął, a potem zwrócił się do Bakrawana i Kia: - Gdyby zebrać cały majątek nas wszystkich,

k którzy tu przyszedliśmy, majątek naszych rodzin i rodzin naszych ojców, i tak nie byłoby nas stać na kupienie nawet rożka tego dywanu. - Jusuf uśmiechnął się krzywo. - Ale gdybym był tak bogaty jak ty, lichwiarzu Bakrawan - wiesz, że także pożyczanie pieniędzy jest sprzeczne z boskim prawem - i tak nie kupiłbym takiego dywanu. Nie potrzebuję skarbów. My nic nie mamy i niczego nie potrzebujemy. Tylko Boga.

Wyszedł.

W POBLIŻU AMBASADY USA, 20:15. Erikki czekał już prawie cztery godziny. Przez okno położonego na parterze mieszkania przyjaciela, Christiana Tallone-na, widział wysoki mur otaczający oświetlony dziedziniec ambasady amerykańskiej, przytupujących z zimna marines, pilnujących ogromnej żelaznej bramy, a dalej duży budynek ambasady. Na ulicy panował jeszcze spory ruch; tworzyły się zatory, kierowcy trąbili i usiłowali przeć do przodu, przechodnie jak zwykle beztrudnie wchodziły na jezdnię. Światła nie działały, nie było policji.

Zresztą co za różnica, pomyślał. Teherańczycy i tak nie przejmują się przepisami drogowymi.

Nigdy się nie przejmowali i nigdy nie będą. Tak jak ci wariaci, którzy zginęli tam, w górach.

Tak jak mieszkańcy Teb-rizu czy Kazwinu.

Na myśl o Kazwinie zacisnął swe wielkie pięści. Dziś rano w ambasadzie Finlandii widział raporty o rewolcie

559

w Kazwinie, o drugiej już rewolcie nacjonalistów azer-bejdżańskich w Tebrizie i o walkach z siłami lojalnymi wobec rządu Chomeiniego. Cała prowincja, bogata w złoża ropy i położona przy granicy, a więc o dużym znaczeniu strategicznym, powtórnie zadeklarowała swą niezależność od Teheranu, niezależność, o którą walczyła od wieków, zawsze podjudzana i wspomagana przez Rosję, odwiecznego wroga Iranu, żadnego jego terytorium. Na pewno w Azerbejdżanie roi się od ludzi takich jak Rakoczy.

- Oczywiście, że Sowietci chcieliby nas dostać - powiedział ze złością Abdollah-chan z Gorgonów podczas kłótni przed wyjazdem do Teheranu. - Oczywiście ten twój Rakoczy i jego ludzie są tutaj silni. Spacerujemy po najcieńszej linie na świecie; jesteśmy kluczem, który może im otworzyć drogę do zatoki i cieśniny Ormuz, jesteśmy tętnicą Zachodu. Gdyby nie my, Gorgoni, nasze powiązania szczepowe i niektórzy z naszych kurdyjskich sprzymierzeńców, byłibyśmy teraz sowiecką prowincją przyłączoną do tej połowy Azerbejdżanu, którą Sowietci skradli nam już dawno temu przy pomocy podstępnych Brytyjczyków. Och, jak ja nienawidzę Brytyjczyków, nawet bardziej niż Amerykanów, którzy są tylko głupimi i źle wychowanymi barbarzyńcami. Przyznaj, że to prawda!

- Oni nie są tacy. Przynajmniej ci, których znam. A S-G traktuje mnie dobrze.

- Na razie. Ale oni cię zdradzą. Brytyjczycy zdradzą każdego, kto nie jest Brytyjczykiem, a nawet Brytyjczyka, jeśli to im odpowiada.

- In sza'a Allah. Abdollah-chan zaśmiał się kwaśno.

- In sza a Allah! W 1946 roku armia sowiecka wycofała się za granicę, a my wytlukiliśmy zdrajców i rozpędziliśmy tę ich "Demokratyczną Republikę Azerbejdżanu" i "Kurdyjską Republikę Ludową". Podziwiam jednak Sowietów. Grają tak, żeby zwyciężyć; zmieniają 272

reguły gry stosownie do swoich celów. Prawdziwym zwycięzcą waszej wojny światowej był Stalin.

560

Był olbrzymem. Czyż nie zdominował wszystkiego w Poczdamie, Jałcie i Teheranie? Czyż nie wymanewrował Churchilla i Roosevelta? Czyż Roosevelt nie mieszkał z nim w Teheranie w ambasadzie sowieckiej? Jak my, Irańczycy, śmieliśmy się wtedy! Wielki prezydent oddał

Stalinowi przyszłość, choć mógł wtedy zamknąć go za jego własnymi granicami! Co za geniusz! Przy nim ten wasz sprzymierzeniec, Hitler, to tchórzliwy nedorajda. Bóg tak chciał, co?

- Finlandia szła z Hitlerem tylko po to, żeby walczyć ze Stalinem i odzyskać nasze ziemie.

- Ale przegraliście. Stanęliście po niewłaściwej stronie i przegraliście. Każdy głupiec mógłby przewidzieć, że Hitler przegra. Jak Reza Chan mógł być tak głupi? Ach, kapitanie, nigdy nie rozumiałem, dlaczego Stalin pozostawił Finów przy życiu. Na jego miejscu potraktowałbym Finlandię jako przestrożę dla innych. Zdziesiątkował przecież ze dwanaście innych krain.

Dlaczego dał wam przeżyć? Dlatego, że odparliście go w waszej wojnie zimowej?

- Nie wiem. Być może. Zgadzam się z tym, że Sowietci nigdy nie dadzą za wygraną.

- Nigdy, kapitanie. Ale my także nie. My, Azerbejdżanie, zawsze ich wymanewrujemy i będziemy trzymać na dystans. Jak w czterdziestym szóstym.

Wtedy jednak Zachód był silny; wobec Sowietów obowiązywała doktryna Trumana, rozmyślał ponuro Erikki. A teraz? Teraz u steru jest Carter. Jak steruje?

Erikki pochylił się i napełnił ponownie swą szklankę. Chciałby już wrócić do Azadeh. W

mieszkaniu było zimno, a on siedział w kurtce. Ogrzewnie nie działało, od okien ciągnęło chłodem, ale pokój był duży i ładny; stały tam stare fotele, ściany zdobiły małe, lecz cenne perskie kilimy i wyroby z brązu. Wszędzie, na stołach, krzesłach i półkach, leżały książki, magazyny i czasopisma, fińskie, rosyjskie, irańskie. Na jednej z półek wałała się para damskich pantofli. Erikki pociągnął łyk wódki, rozkoszując się ciepłem, jakie mu dawała, a potem jeszcze raz spojrzął przez okno na ambasadę. Przez 561

chwilę zastanawiał się, czy warto wyemigrować z Aza-deh do USA. Twierdze padają, zamruczał,

Iran nie jest już bezpieczny. Europę tak łatwo zranić, a Finlandia zawsze balansowała na krawędzi...

Wyrzał przez okno. Ruch był już całkowicie zablokowany przez tłumy młodych ludzi gromadzących się po obu stronach jezdni. Kompleks budynków ambasady amerykańskiej wzniesiono na rogu Tachte Dża-mszid i ulicy Roosevelta. Dawniej Roosevelta, pomyślał. Jak ta ulica teraz się nazywa? Ulica Chomeiniego? Rewolucji?

Drzwi mieszkania otworzyły się.

- Hej, Erikki - powiedział z uśmiechem młody Fin. Christian Tollonen miał na sobie futrzaną papachę i podbite futrem palto, które kupił w Leningradzie podczas pijanego weekendu, spędzonego tam z kolegami z uniwersytetu. - Co nowego?

- Czekam od czterech godzin.

- Nieprawda. Trzy godziny dwadzieścia dwie minuty i pół butelki mojej najlepszej wódki moskiewskiej z przemytu, jaką w ogóle można kupić. Uzgodniliśmy, że to potrwa trzy-cztery godziny.

- Christian Tollonen miał nieco ponad trzydzieści lat; kawaler, jasnoszare oczy, zastępca attache kulturalnego ambasady fińskiej. Byli przyjaciółmi od kilku lat, od przyjazdu do Iranu. - Nalej mi jednego, na Boga. Bardzo tego potrzebuję. Tam się kitłasi kolejna demonstracja; musiałem się cholernie długo przedzierać. - Nie zdejmując palta, podszedł do okna.

Obie części tłumu zdążyły już się połączyć; ludzie kłębili się przed frontowym wejściem do ambasady. Wszystkie bramy zamknięto. Erikki zauważył z niepokojem, że wśród młodych ludzi nie było mułłów. Tłum wznosił okrzyki: "Śmierć Ameryce, śmierć Carterowi!"

273

Christian tłumaczył. Znał dobrze farsi, gdyż jego ojciec także był tu dyplomatą; Christian przez pięć lat chodził do szkoły w Teheranie.

- Zwykle gówno: precz z Carterem i amerykańskim imperializmem.

562

- Żadnego Allahu Akbar - zauważył Erikki. Powrócił na chwilę myślą do zapory drogowej i poczuł skurcz żołądka. - Żadnych mułłów.

- Aha, nie widziałem żadnego. - Na ulicy wydarzenia nabrały tempa. Różne grupy demonstrantów przepychały się do bramy ambasady. - To w większości studenci. Myśleli, że jestem Rosjaninem i powiedzieli mi, że na uniwersytecie odbyła się całkiem regularna bitwa: lewacy kontra Zielone Opaski. Dwudziestu czy trzydziestu zabitych i rannych. Zresztą podobno jeszcze teraz walczą. - Pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu młodzieńców zaczęło łomotać w bramę. - Pałają się do bitki.

- I nie ma policji. - Erikki podał koledze szklanę.

- Co byśmy zrobili bez wódki? Erikki roześmiał się.

- Pilibyśmy brandy. Masz wszystko?

- Nie, ale zawsze coś. - Christian usiadł naprzeciw Erikkiego w jednym z foteli stojących obok niskiego stolika i otworzył teczkę. - Oto kopie twojego świadectwa ślubu i aktu urodzenia; dzięki Bogu, przechowujemy kopie. Nowe paszporty dla was obojga; udało mi się załatwić w biurze Bazargana ostemplowanie twojego. Masz zezwolenie na pobyt czasowy.

Trzy miesiące.

- Jesteś magikiem!

- Obiecali, że wydadzą ci nową irańską licencję pilota, ale nie powiedzieli kiedy. Powiedzieli za to, że wystarczy ci fotokopia licencji brytyjskiej razem z legitymacją S-G. A teraz paszport Azadeh. Jest tymczasowy. - Christian otworzył paszport i zademonstrował Erikkiemu. -

Zdjęcie nie jest standardowe; wykorzystałem fotkę zrobioną polaroidem, którą mi dałeś.

Powinno na razie wystarczyć. Niech Azadeh podpisze paszport, gdy tylko się z nią zobaczysz.

Czy wyjeżdżała z kraju od czasu, gdy zostaliście małżeństwem?

- Nie, a dlaczego?

- Hm. Gdyby wyjeżdżała z fińskim paszportem... Nie wiem, jak to się ma do jej irańskiego statusu. Władze zawsze były nieco przeczulone, zwłaszcza w wypadku ich własnych obywateli. Chomeini cierpi na jesh-563

cze większą ksenofobię, więc jego urzędnicy będą chyba bardziej rygorystyczni. Mogą sobie pomyśleć, że zrzekła się obywatelstwa. Sądzę, że nie wpuszczą jej z powrotem.

Głośniejsze okrzyki tłumu za oknem przykuły na chwilę uwagę Finów. Setki ludzi wymachiwały zaciśniętymi pięściami. Ktoś przemawiał przez megafon.

- Na razie chcę ją stąd wyciągnąć, a reszta mnie nie obchodzi - stwierdził Erikki.

Christian obrzucił go uważnym spojrzeniem. Po chwili zaproponował:

- Może trzeba jej o tym powiedzieć, Erikki. Nie mogę dla niej wykombinować żadnych zastępczych dokumentów ani irańskiego paszportu, W tej sytuacji wyjazd będzie ryzykownym przedsięwzięciem. Dlaczego nie poprosisz jej ojca, żeby to załatwił? Jemu udałoby się to z łatwością; jest przecież właścicielem prawie całego Tebrizu.

Erikki niechętnie skinął głową.

- Tak, ale znowu się pokłóciliśmy. Jemu nadal nie podoba się nasze małżeństwo.

- Może dlatego, że jeszcze nie macie dziecka - powiedział po chwili Christian. - Wiesz, jacy są Irań-

czycy.

- Mamy jeszcze czas - odparł Erikki z bólem serca. Będziemy mieć dzieci w lepszych czasach, pomyślał. Nie ma pośpiechu, a doktor Nutt mówi, że ona jest zdrowa. Psiakrew! Jeśli powtórzę jej słowa Christiana, na pewno nie zgodzi się wyjechać, a jeśli nie powtórzę, a potem nie będzie mogła wrócić, nigdy mi nie wybaczy. Zresztą i tak nie wyjedzie bez 274

pozwolenia ojca. - Żeby dostać nowe dokumenty, musielibyśmy tam wrócić. A ja nie chcę wracać!

- Dlaczego, Erikki? Zwykle nie mogłeś się doczekać wyjazdu do Tebrizu.

- Rakoczy.

Erikki opowiedział wszystko, co się wydarzyło. Prawie wszystko. Nie wspomniał, że zabił mudżaheddina przy zaporze ani że Rakoczy pozabijał wielu ludzi 564

podczas ucieczki. O niektórych szczegółach nie warto mówić, pomyślał ponuro.

Christian Tollonen pociągnął łyk wódki.

- O co chodzi naprawdę?

- O Rakoczego. - Erikki wytrzymał spojrzenie rozmówcy.

Christian wzruszył ramionami i rozlał wódkę do końca.

- Prosit!

- Prosit! Dziękuję za dokumenty i paszporty. Znowu dobiegły ich okrzyki z ulicy. Tłum był

zdys-

cyplinowny, choć coraz bardziej hałaśliwy. Działanie ambasad oświetlono dodatkowymi reflektorami; widać było twarze ludzi stojących w oknach.

- Dobrze, że mają własne generatory.

- Tak, i własne ogrzewanie, stację benzynową, pocztę, wszystko. - Christian podszedł do barku i wydobyl z niego nową butelkę. - To oraz ich szczególny status w Iranie, nie potrzebują wiz, nie podlegają prawu irańskiemu, potęguje nienawiść.

- Jezu, ale tu zimno, Christian! Nie masz drewna?

- Ani kawałeczka, a to cholerne ogrzewanie jest wyłączone od chwili, gdy się tu wprowadziłem. Przez trzy miesiące. To prawie cała zima.

- Może masz inne sposoby. - Erikki wskazał parę damskich pantofli. - I tak jest ci ciepło, co?

Christian uśmiechnął się.

- Czasami. Muszę przyznać, że jeśli chodzi o pewne przyjemności, Teheran jest, to znaczy był, jednym z najwspanialszych miejsc na świecie. Ale teraz, przyjacielu... - Nachmurzył się.

- Teraz Iran nie będzie rajem. Te biedne sukinsyny na dole wierzą, że zwyciężyły, ale tak naprawdę, to zacnie się dla nich piekło. Zwłaszcza dla kobiet. - Pociągnął łyk wódki. Tłum na ulicy ożywił się. Jakiś chłopak z przewieszonym przez ramię amerykańskim karabinem wspiał się na mur ambasady. - Zastanawiam się, co bym zrobił, gdyby to był mój mur, a te sukinsyny zaczęłyby przez niego przełazić.

565

- Skopałbyś im głowy z karków, co byłoby zresztą zupełnie legalne, prawda?

Christian nagle się roześmiał.

- Kwestia legalności wchodziłaby tylko wtedy w grę, gdyby potem udało się uciec. - Spojrzał na Erikkiego. - Co z tobą? Masz jakiś plan?

- Nie mam. Najpierw muszę porozmawiać z McIve-rem, a rano nie było okazji. On i Gavallan byli zajęci. Próbowali odnaleźć naszych irańskich współników, a potem mieli spotkanie w ambasadzie brytyjskiej. Chyba z jakimś Talbotem...

Christian usiłował ukryć swe nagłe zainteresowanie.

- George'em Talbotem?

- Rzeczywiście. Znasz go?

- Tak. Jest drugim sekretarzem. - Christian nie dodał, że Talbot jest też od wielu lat tajnym szefem wywiadu brytyjskiego w Iranie oraz ważnym pracownikiem operacyjnym. - Nie wiedziałem, że on jest jeszcze w Teheranie. Myślałem, że parę dni temu wyjechał. Czego mogli od niego chcieć McIver i Andrew Gaval-lan?

275

Erikki wzruszył ramionami i odwrócił się do okna, patrząc bez zainteresowania, jak kilku następnych młodych ludzi próbuje sforsować mur. Myślał, co zrobić w sprawie dokumentów Azadeh.

- Mówili, że chcą się czegoś dowiedzieć o jego przyjacielu, którego spotkali wczoraj na lotnisku. O jakimś Armstrongu, Robercie Armstrongu.

Christian Tollonen omal nie upuścił szklanki.

- Armstrong? - zapytał, usiłując zachować spokój. Był zadowolony, że Erikki widzi tylko jego plecy.

- Tak. - Erikki odwrócił się. - To ci coś mówi?

- To dość pospolite nazwisko - odparł Christian, ciesząc się, że jego głos brzmi rzeczowo.

Robert Armstrong, MI6, były Wydział Specjalny. Przebywał od wielu lat na kontrakcie w Iranie. Prawdopodobnie wypożyczony od rządu brytyjskiego. Prawdopodobnie główny doradca bardzo tajnego irańskiego Wydziału Wywiadu Wewnętrznego. Człowiek rzadko widywany publicznie,

566

znany tylko nielicznym wtajemniczonym z kręgów wywiadowczych. Tak jak ja, pomyślał.

Zastanawiał się, co by powiedział Erikki, gdyby wiedział, że jego przyjaciel jest ekspertem irańskiego wywiadu, że wie dużo o Rakoczym i wielu innych zagranicznych agentach, że jego zadaniem jest wiedzieć wszystko o Iranie, ale nigdy niczego nie robić, nie wtrącać się do żadnych walk, wewnętrznych czy zewnętrznych. Tylko czekać i obserwować, dowiadywać się i zapamiętywać. Dlaczego Armstrong jeszcze tu jest? Wstał, żeby ukryć niepokój; udał, że chce przyrzec się tłumowi na dole. - Dowiedzieli się czegoś? - zapytał.

Erikki jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałem potem z nimi... - Urwał i spojrzał uważnie na rozmówcę. - Czy to ważne?

- Nie, jasne, że nie. Jesteś głodny? Może zjemy razem kolację, ty, Azadeh i ja?

- Przepraszam, ale nie dziś. - Erikki zerknął na zegarek. - Muszę już wracać. Dziękuję za pomoc.

- Drobiazg. Mówiłeś coś o McIverze i Gavallanie? Chcą wprowadzić tu jakieś zmiany?

- Nie sędzę. Miałem się z nimi spotkać o trzeciej, żeby pojechać razem na lotnisko, ale ważniejsza była wizyta u ciebie. - Erikki wstał i wyciągnął rękę. - Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. - Christian uściśnął rękę Erikkiego. - Do zobaczenia jutro.

Na ulicy zapanowała nagle złowieszcza cisza. Mężczyźni podbiegli do okna. Na dole wszyscy patrzyli w głąb dawnej ulicy Roosevelta. Rozległo się przeciągłe: Allahuuu Akbarr!

- Czy jest tylne wyjście? - mruknął Erikki.

- Nie, nie ma.

Nadciągającej hordzie przewodzili mułlowie i Zielone Opaski. I oni, i ciągnący za nimi młodzi ludzie byli w większości uzbrojeni. Wszyscy krzyčili unisono: "Bóg jest wielki, Bóg jest wielki". Przewyższali liczebnością uzbrojony tłum pod ambasadą.

567

Lewacy natychmiast zajęli dogodnie pozycje obronne w bramie i za zablokowanymi na ulicy samochodami. Mężczyźni, kobiety i dzieci, których samochody ugrzęzły w korku, powyskakiwali z aut i zaczęli uciekać. Zwolennicy islamu zbliżali się szybko. Gdy ich przednie szeregi rozlały się na chodnikach i pomiędzy samochodami, jeszcze bardziej zwiększyli tempo, szykując się do ataku. Wtedy, o dziwo, studenci zaczęli się wycofywać. W

milczeniu. Zaskoczeni ludzie z Zielonych Opasek

zawahali się.

Odwrót był spokojny i to wyciszyło napastników. Wkrótce miejsce poprzednich demonstrantów pod ambasadą zajęli nowi. Mułowie i Zielone Opaski próbowali pokierować ruchem i rozładować korek. Ci, którzy przedtem uciekli ze swych pojazdów, odetchnęli z

ulgą, dziękując Bogu za jego wstawiennictwo, i pojawili się znowu. Rozległy się klaksony i przekleństwa; wszyscy jednocześnie próbowali ruszyć i przebić się do przodu. Wielkie żelazne wrota ambasady nie drgnęły, choć boczna furtka tak.

Christian czuł, że zaschło mu w gardle.

- Założyłbym się o wszystko, że wybuchnie prawdziwa wojna.

Erikki był równie zdumiony.

- To wyglądało tak, jakby wiedzieli z góry, kto ich zaatakuje, skąd nadejdzie i kiedy. Prawie jak próba...

- Urwał i zbliżył nagle ściągniętą twarz do szyby.

- Patrz! Tam, w drzwiach! To Rakoczy!

- Gdzie? Ten facet w kurtce lotniczej, który rozmawia z niskim strażnikiem? - Christian wpatrywał się w ciemności panujące pod murem. Dwaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni i wyszli z cienia. To był Rakoczy, jasne. - Jesteś pewien, że...

Ale Erikki był już na schodach. Christian zdążył jeszcze zauważyć, jak jego przyjaciel wyciąga w biegu nóż pukoh i wsuwa go do rękawa.

- Erikki, nie bądź głupi! - krzyknął, ale obrzymi Fin już zniknął. Christian podbiegł do okna akurat na czas,

568

ż"y zobaczyć, jak Erikki wybiega z budynku i rzuca się \tłum. Rakoczego nie było nigdzie widać.

Yokkonen jednak go dostrzegł. Rakoczy znajdował się o pięćdziesiąt metrów od niego i zniknął

właśnie za r"giem ulicy Roosevelta. Gdy Erikki dotarł do rogu, uufzał Rosjanina oddalającego się szybkim, ale nie za s3'bkim krokiem. Dzielilo ich wielu przechodniow i ja-d_pe powoli hałasliwe samochody. Omijając jakieś ciężarówki, Rakoczy wszedł na jezdnię, poczekał, aż minie g:< poobtlukiwany, trąbiący volkswagen i rozejrzał się wjkół. Zauważył Erikkiego. Nie dało się go przeoczyć; b"l o trzydzieści centymetrów wyższy od otaczających g: < ludzi.

Rakoczy bez wahania odwrócił się, przepchnął p"eez tłum, skręcił i pobiegł boczną uliczką.

Erikki popędził za nim. Przechodnie skłęli ich obu; jakiś staru-sak wylądował na brudnej ziemi, gdy Rakoczy brał n_stępny zakręt.

Na wąskiej i zaśmieconej uliczce nie było teraz żjlnych straganów ani otwartych sklepów, żadnych lsarni. Nieliczni zmęczeni przechodnie wracali do do-rrn"w, pokonując płataninę drzwi, przejść, klatek schodowych. W powietrzu wisiała woń moczu, odpadków nęcnych i zgniłych warzyw.

Rakoczy miał przewagę czterdziestu paru metrów. SŁ-Iręcił w ciasną alejkę, demolując po drodze stragan u_fczny, w którym spał właściciel z rodziną, zmienił kominek, wbiegł do pasażu, do następnego, potem vuicolejną alejkę i w jeszcze jedną - stracił już orientację. Nigle stanął jak wryty - alejka kończyła się ślepo. SŁfgnął po pistolet, ale dostrzegł z boku pasaż.

Ruszył b"fgiem.

Ściany były tak blisko siebie, że mógł dotknąć obu jelnocześnie. Biegł, czując ból w płucach.

Przed nim jsłaś staruszka chciała wypróżnić się nad ohydny śmierdzącym wgłębieniem gruntu; przywarła do ściany, ż^>y usunąć się z drogi. Teraz Erikkiemu brakowało już t^ko dwudziestu metrów. Gniew dodawał mu sił. Przesączył nad przykucniętą staruszką i zdwoił

wysięk,

569

pragnąc jeszcze bardziej zmniejszyć dystans dzielący go od ściganego. Za zakrętem jego przeciwnik zatrzymał się i zagroził drogę jakimś starym straganem. Erikki nie zdążył

zahamować; wpadł na stragan i potoczył się na ziemię. Zerwał się, ryknął gniewnie, przeszedł

przez zdemolowany stragan i pobiegł dalej z nożem w ręku. Ale pasaż był pusty. Erikki przystanął. Dyszał ciężko; był zlany potem. Z trudem koncentrował wzrok, choć nie było zbyt ciemno. Wreszcie zauważył małe przejście. Zagłębił się w nie ostrożnie, trzymając nóż w 277

pogotowiu. Przejście prowadziło do pokrytego gruzem podwórka, pośrodku którego tkwiła zdemolowana karoseria samochodowa- Wokół znajdowały się liczne drzwi i otwory, a za nimi mroczne pomieszczenia i koślawe klatki schodowe. Było cicho, a cisza wydawała się złowieszczą. Czuł, że jest obserwowany. Spod kupy śmieci wybiegły szczury i zniknęły w gruzie.

Z boku ujrzał sklepione przejście, nad którym bardzo stary napis W farsii głosił coś, czego nie

rozumiał. Wydawało się, że ciemności w przejściu jeszcze bardziej się zagęszczają. W jego głębi Erikki natknął się na otwarte, na wpół wyrwane z zawiasów drewniane drzwi ze starymi żelaznymi okuciami. Domyślił się, że za nimi jest jakiś pokój, ódy wszedł, zobaczył migającą świecę.

- Czego chcesz?

Głos, który zabrzmiał w ciemności, sprawił, że Erikki drgnął. Ktoś mówił po angielsku - nie był to Rakoczy - z obcym akcentem. Głos był ochrypły, tajemniczy.

- Kto... kto to? - zapytał niepewnie Erikki, badając wzrokiem ciemność. Zastanawiał się, czy Rakoczy nie udaje kogoś innego.

- Czego chcesz?

- Chcę... ścigam kogoś - odparł, nie wiedząc, gdzie znajduje się jego rozmówca; głos odbijał się echem od niewidocznego wysokiego sklepienia.

- Człowieka, którego szukasz, nie ma tutaj. Odejdź.

- Kim jesteś?

- To nieważne- Odejdź.

Nikły płomyk świecy tylko pogłębiał mrok.

570

- Czy widziałeś kogoś, kto tędy przebiegł? Mężczyzna zaśmiał się cicho i powiedział parę słów

"T farsi. Coś zaszeleściło, ktoś cicho się roześmiał. Erikki Jbronny ruchem wysunął przed siebie nóż.

- Kim jesteś?

Szelest nie ustawał. Wszędzie wokół. Gdzieś kapłała ^ioda. W powietrzu wisiała wilgoć i zapach pleśni. Słysząc było odgłosy dalekiej strzelaniny. Następny selest. Erikki znów poczuł, że obok niego jest ktoś, logo nie widzi. Pot spływał mu po twarzy. Ostrożnie jodszedł

do drzwi i oparł się plecami o ścianę. Był już jewien, że Rakoczy tu jest. Cisza narastała.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - zapytał. - Czy widziałeś kogoś?

Znów chichot.

- Odejdź. Potem znów cisza.

- Dlaczego się boisz? Kim jesteś?

- Nie powinno cię obchodzić, kim jestem, a jedynym strachem jest twój strach. - Głos brzmiał tak tajemniczo jak przedtem. Mężczyzna dodał coś w farsy. Ifowarzystał temu następny wybuch wesołości.

- Dlaczego mówisz do mnie po angielsku?

- Dlatego, że żaden Irańczyk ani też nikt, kto zna j (Zyk Księgi, nie przyszedłby tu ani za dnia, ani w nocy. Kógł tu przyjść tylko głupiec.

Erikki zauważył k[^]tem oka, że ktoś przesuwają się rriędzy nim a świecą. Ścisnął mocniej nóż.

- Rakoczy?...

- Czy to imię tego, kogo szukasz?

- Tak. On tu jest, prawda?

- Nie.

- Nie wierzę ci, kimkolwiek jesteś! Cisza, potem głębokie westchnienie.

- Skoro Bóg tak chciał...

Ciche polecenie w farsy, którego Erikki nie zrozumiał.

278

Rozległy się trzaski pocieranych zapalek, rozbłyły świece i małe lampki oliwne. Erikki wciągnął głęboko

571

powietrze. Wszędzie pod ścianami i kolumnami wysoko sklepionego pomieszczenia leżały bezkształtne postaci owinięte w łachmany. Całe setki mężczyzn i kobiet. Chorzy. Pokryte wrzodami ruiny mężczyzn i kobiet, leżących na słomie albo posłaniach z gałganów. Osadzone w strzępach twarzy oczy wpatrywały się w Fina. Kikuty kończyn. Jakaś staruszka leżała prawie u jego stóp; wycofał się w panice do przejścia.

- My wszyscy jesteśmy trędowaci - wyjaśnił mężczyzna opierający się o kolumnę. Wyglądał

jak sterta łachmanów. Obwiązana wokół głowy szmata kryła oczodoły. Z jego twarzy nie pozostało prawie nic oprócz ust. Pomachał niemrawo kikutem ręki. - Jesteśmy trędowaci.

Nieczyści. To dom trędowatych. Czy widzisz wśród nas tego człowieka?

- Nie, nie. Bardzo mi przykro - wykrztusił Erikki.

- Przykro? - Głos mężczyzny nabrzmiał ironią. - Tak. Nam wszystkim jest przykro. In sha'a Allah!

Erikki chciał odwrócić się i uciec, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Ktoś sucho zakaszłał. Yokkonen usłyszał własne słowa:

- Kim... kim jesteś?

- Kiedyś byłem nauczycielem angielskiego. Teraz jestem nieczysty. Jestem jednym z żywych trupów. Bóg tak chciał. Odejdź. Błogosław Boga za jego łaskę.

Zdrętwiały ze zgrozy Erikki zobaczył, że mężczyzna macha tym, co zostało z jego ręki.

Wszyscy posłusznie gasili świece.

Na zewnątrz, na świeżym powietrzu, Erikki musiał powstrzymać się przed paniczną ucieczką.

Czuł się brudny. Chciał zrzucić ubranie, zanurzyć się w wodzie, namydlić i znowu zanurzyć.

Przestań, mruknął do siebie, nie ma się czego bać.

W WIĘZIENIU EWIN, 6:29. Więzienie nie różniło się od innych nowoczesnych więzień, w dobrych czy ałych czasach. Było szare, ponure, otoczone wysokim murem i wstrętne.

Dzisiejszy pozorny świt był dziwny, łuna bijąca ponad horyzont zadziwiająco czerwona. Po raz pierwszy od wielu tygodni niebo było bezchmurne i choć na razie panował chłód, zapowiadał się niezwykle piękny dzień. Ćmie było smogu; jakby dla odmiany powietrze było świeże i przejrzyste. Łagodny wiatr odegnał dymy dogasających wraków samochodów i barykad pozostałych po nocnych starciach pomiędzy legalnymi teraz Zielonymi Opaskami a już nielegalnymi lojalistami i lewa-iami, podejrzaną policją i wojskiem. Wiatr rozwiał też dym milionów ognisk rozniecanych przez mieszkańców

575

Teheranu; ogniska służyły do ogrzewania i gotowania pożywienia.

Nieliczni przechodnie, mijając mury więzienia i ogromną, wyrwaną z zawiasów bramę, strzeżoną przez Zielone Opaski, odwracali wzrok i przyspieszali kroku. Na jezdni ruch był

niewielki. Kolejna ciężarówka wypełniona strażnikami i więźniami zatrzymała się przy bramie. Prowizoryczna zaporą otworzyła się i zamknęła, gdy pojazd wjechał do środka po pobieżnej inspekcji. Za murami gruchnęła salwa. Pilnujący bramy przeciągali się i ziewali.

Wraz z pojawieniem się słońca z minaretów rozległy się nawoływania muezzinów. Ich głosy były w większości nagrane na kasety i wydobywały się z głośników. Wszędzie tam, gdzie były słyszalne, wierni przerywali swe czynności i zwracali się w kierunku Mekki.

Dżared Bakrawan zatrzymał samochód. Razem ze swym szoferem i innymi padł na kolana i zaczął się

modlić. Przez całą noc próbował skontaktować się ze wszystkimi ważniejszymi przyjaciółmi i znajomymi. Wiadomość o bezprawnym aresztowaniu Paknuriiego i o równie bezprawnym wezwaniu Bakrawana na przesłuchanie rozeszła się po całym bazarze. Wszyscy wpadli w gniew, lecz nikt nie spróbował zorganizować protestu, strajku czy zamknięcia bazaru. Bakrawan otrzymał mnóstwo dobrych rad: powinien zwrócić się osobiście do 279

Chomeiniego i Bazargana; nie stawić się na przesłuchanie; stawić, ale odmawiać odpowiedzi na niektóre pytania albo na wszystkie. Nikt jednak nie zaproponował, że z nim pójdzie, nawet jego wielki przyjaciel, jeden z najważniejszych teherańskich adwokatów, który przysięgał, że będzie lepiej, jeśli porozmawia o tej sprawie z sędziami Sądu Najwyższego. Nikt z nim nie poszedł oprócz żony, syna i trzech córek, które modliły się teraz razem z nim na ich własnym modlitewnym dywaniku.

Zakończył modlitwę i niepewnie wstał. Szofer zwinął dywanik. Dżared zadrżał. Dziś rano ubrał się starannie; włożył garnitur, ciepłe palto i astrachańską czapkę, ale żadnej biżuterii.

576

- Ja... pójdę dalej pieszo - oświadczył.

- Nie, Dżared - zaczęła jego zapłakana żona, ledwie słysząc odległy trzask broni palnej. -

Powinieneś zjawić się tak jak przystoi przywódcy. Czyż nie jesteś najważniejszym kupcem w Teheranie? Nie wypada ci chodzić nu. piechotę.

- Tak, masz rację. - Zajął miejsce na tylnym siedzeniu dużego granatowego mercedesa.

Samochód był no- i dobrze utrzymany. Jego żona, tęga matrona ukrywająca kosztowną fryzurę pod czadorem, który przykrywał także długie futro z norek, usiadła obok i wzięła rączki za rękę. Łzy zniszczyły jej makijaż. Ich syn, Nleszang także płakał. I córki - wszystkie, także Szah-r-aad, w czadorach. - Tak... tak, masz rację. Bóg przeważnie tych rewolucjonistów!

- Nie martw się, ojczu - pocieszała go Szahrazad. - Bóg cię ochroni. Strażnicy rewolucji słuchają tylko inama, a imam tylko Boga. - W jej głosie brzmiała gęboka wiara we własne słowa, wyglądała jednak na tak przygnębioną, że Bakrawan zrezygnował z pokoszenia jej, żeby nie nazywała Chomeiniego ima-nmm.

- Oczywiście - przytaknął. - To pomyłka.

- Ali Kia przysięgł na Koran, że premier Bazargan p jcerwie ten nonsens - dodała żona. -

Przyrzekł, że sptka się z nim wieczorem. Odpowiednie rozkazy są już prawdopodobnie...

prawdopodobnie już tutaj.

Wczoraj wieczorem powiedział Alemu Kia, że bez P knuriego nie będzie pożyczki i że jeśli on sam wpad-ndi w kłopoty, bazar podniesie bunt i wstrzyma wszystka wypłaty na rzecz rządu,

Chomeiniego, meczetów i osobiście Alego Kia.

- Ali nie zawiedzie - oznajmił ponuro. - Nie ośmieli si ą Za duzo wiem o nich wszystkich.

Samochód zatrzymał się przy bramie. Strażnicy spojrzeli obojętnie. Dżared Bakrawan zebrał całą odwagę.

- To nie potrwa długo.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece. Poczekamy tirtfj.

577

Żona ucałowała go, ucałowały dzieci. Polało się jeszcze więcej łez, a potem stał już przed strażnikami.

- Salam - powiedział. - Jestem... jestem świadkiem vw sądzie mułły Alillaha Uwariego.

Dowódca posterunku wziął od niego wezwanie, obejrzał je dokładnie i wręczył innemu strażnikowi, który umiał czytać.

- On jest z bazaru - wyjaśnił młody mężczyzna. - Dżared Bakrawan.

Dowódca wzruszył ramionami.

- Pokaż mu drogę.

Młodzieniec przeszedł przez zrujnowane wrota, a Bakrawan za nim. Gdy zamknięto wejście, resztki pewności siebie Bakrawana zniknęły. Mały, brudny dziedziniec pomiędzy murem i głównym kompleksem fcudynków był zatęchły i ponury. W powietrzu wisiał smród.

Po stronie wschodniej stłoczono setki mężczyzn; siedzieli lub leżeli na ziemi, obejmując się bezładnie ramionami w obronie przed zimnem. Wielu a nich miało na sobie mundury oficerskie. Strona zachodnia była pusta. Na wprost otworzyła się przed lim wysoka, okuta żelazem brama. W poczekalni |całe tuziny zmęczonych, wystraszonych mężczyzn.

280

Stali i siedzieli na ławkach lub wprost na podłó-ize. Wśród nich kilku oficerów; Bakrawan zobaczył nawet jednego pułkownika. Rozpoznał też kilka osób, które znał z widzenia: ważnych przedsiębiorców, bywalców dworu, pracowników administracji, deputowanych. Kilku obecnych rozpoznało Bakrawana. Zapadła cisza.

- Szybciej - rzucił poirytowany strażnik, obsypany irądziem wyrostek. Podszedł do biurka, za którym siedział zapracowany urzędnik. - Następny do ekscelencji mułły Uwariego.

Urzędnik wziął wezwanie i zwrócił się ostro do Bakrawana:

- Proszę czekać. Zostaniesz pan poproszony, gdy przyjdzie na to czas.

578

- Salam, ekscelencjo - powiedział Bakrawan wstrząśnięty niegrzecznością tamtego. - Kiedy to będzie? Miałem się stawić dokładnie po pierwszej modli...

- Jak Bóg zechce. Proszę czekać. - Urzędnik odprawił go gestem.

- Jestem Dżared Bakrawan z baz...

- Umiem czytać, agha! - odparł urzędnik jeszcze bardziej niegrzecznie. - Zostaniesz pan wezwany, gdy będziesz potrzebny! Iran jest teraz państwem islamskim: jedno prawo dla wszystkich, dla bogaczy i dla ludu.

Bakrawan został odepchnięty przez ludzi przeciskających się do urzędnika. Osłabł z gniewu i podszedł do ściany. Z boku jakiś człowiek oddawał mocz do pełnego już wiadra. Ludzie patrzyli na Bakrawana. Niektórzy mruknęli: "Pokój boży z tobą". W poczekalni unosił się smród. Bakrawanowi waliło serce. Ktoś zrobił mu miejsce na ławce.

- Niech Bóg was błogosławi, ekscelencje.

- I ciebie, agha - odpowiedział jeden z oczekujących. - Jesteś oskarżony?

- Nie, nie. Zostałem wezwany jako świadek - pospiesznie wyjaśnił Bakrawan.

- Czy ekscelencja ma złożyć zeznania przed mułłą Uwarim?

- Tak, ekscelencjo. Kim jest ten mułła?

- Sędzią, rewolucyjnym sędzią - mruknął rozmówca. Miał pięćdziesiąt parę lat, był niski, o bujnej czuprynie. Nerwowo skubał brodę. - Nikt z obecnych tu nie wie, co się stało, dlaczego został wezwany i kim jest ten Uwari. Wiadomo tylko, że sędzi w imieniu ajatollaha, który go mianował.

Bakrawan spojrzał mężczyźnie w oczy i dostrzegł w nich strach. Nie podniosło go to na duchu.

- Ekscelencja także jest świadkiem?

- Tak, tak, jestem, choć nie wiem, dlaczego wezwali akurat mnie. Jestem tylko kierownikiem poczty.

- Poczta jest bardzo ważna. Prawdopodobnie chcą

579

zasięgnąć pańskiej rady. Jak pan myśli, czy będziemy długo czekać?

- In sza'a Allah. Byłem wezwany na wczoraj, po czwartej modlitwie, i nadal czekam.

Trzymali mnie tu przez całą noc. Musimy czekać, aż nas wezwą. To jedyna toaleta -

powiedział mężczyzna, wskazując kubeł. - To była najgorsza noc w moim życiu, straszna. W

nocy oni... słyhać było strzały. Mówi się, że rozstrzelali trzech następnych generałów i z tuzin funkcjonariuszy SAVAK-u.

- Pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu - odezwał się siedzący obok mężczyzna, wyrwawszy się z odrętwienia.

- Raczej sześćdziesięciu. W więzieniu jest tylu ludzi co pluskiew w materacu wieśniaka.

\Vs2ystkie cele pękają w szwach. Dwa dni temu Zielone Opaski wyłamały bramę, obezwładniły strażników i pozamykały ich w lochach. Wypuścili prawie wszystkich więźniów i zaczęli napełniać cele nowymi. - Zniżył głos jeszcze bardziej.

- Wszystkie cele są pełne; jest znacznie więcej więźniów niż w czasach Szacha. Bóg go przeklnie za to, że nie... Co godzinę Zielone Opaski przywożą nowych: fedai-nów, 281

mudzaheddinów i członków Tude, a razem z nimi nas, niewinnych wiernych... - Zaczął

szeptać; wywracał oczami, ukazując białka. - I dobrych ludzi, których nie powinno się nawet tknąć i... Gdy tłum opanował więzienie, znaleźli elektrody i baty, i... i łoża tortur, i...

- W kącikach ust zebrała mu się piana. - ... Mówi się, że nowi strażnicy tego używają i... i że jeśli się już tu trafi, ekscelencjo, to na zawsze. - Łzy napłynęły do oczu osadzonych w tłustej twarzy. - Jedzenie jest straszne, więzienie straszne i... ja mam wrzód żołądka, a ten psi syn, urzędnik, on... on nie rozumie, że muszę być na specjalnej diecie...

W odległej części poczekalni powstało jakieś zamieszanie. Drzwi otworzyły się z hukiem.

Weszło sześciu ludzi z Zielonych Opasek; torowali sobie drogę karabinami. Za nimi strażnicy otaczali oficera lotnictwa kroczącego dumnie, z wysoko podniesioną głową. Lotnik miał

skrępowane z tyłu ręce, mundur w nieładzie, wy-

580

rwane epolety. Bakrawan wstrzymał oddech. To był pułkownik Peszadi, komendant bazy lotniczej w Kowis-sie, a poza tym jego kuzyn.

Inni też poznali pułkownika, który wślawił się dowodzeniem zwycięską ekspedycją irańską na Dhofar w po-• łudniowym Omanie, odparciem niemal śmiertelnego ataku marksistów z Jemenu Południowego na Oman, a także szczególną odwagą w głównej bitwie, gdy dowodził

brawurowo irańskimi czołgami.

- Czy to nie bohater z Dhofar? - zapytał ktoś z niedowierzaniem.

- Tak, to on.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Jeśli nawet jego aresztowali...

Jeden ze strażników niecierpliwie popchnął Peszadie-go, chcąc go ponaglić. Pułkownik natychmiast rzucił się na niego, nie zważając na związane ręce.

- Psi synu! - krzyknął gniewnie. - Idę tak szybko, jak mogę. Oby twego ojca szlag trafił! -

Strażnik sklął go i uderzył w brzuch kolbą karabinu. Pułkownik stracił równowagę i upadł, nadal jednak przeklinał swych oprawców. Klął, gdy stawiali go na nogi i wyprowadzali z poczekalni i dalej na dziedziniec od strony zachodniej. W pustej części dziedzińca przeklął

strażników, Chomei-niego i fałszywych mułłów, przywołując wszystkie imiona Boga, a potem krzyknął: - Niech żyje Szach! Nie ma innego Boga niż... - Uciszyły go dopiero kule.

W poczekalni zapadła straszliwa cisza. Ktoś jęknął. Jakiś staruszek zwymiotował. Inni zaczęli szeptać pomiędzy sobą, wielu się modliło, a Bakrawan był pewien, że to wszystko jest tylko jakimś sennym koszmarem; jego zmęczony umysł nie mógł już znieść rzeczywistości.

Cuchnące powietrze było zimne, ale Bakrawanowi wydawało się, że siedzi w piecu; dusił się.

Czy ja umieram? Pomyślał i rozpiął kołnierzyk koszuli. Potem ktoś go dotknął. Otworzył

oczy. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Leżał na podłodze, a zaniepokojony niski mężczyzna klęczał obok niego.

- Jak się pan czuje?

581

- Tak, tak, dobrze - odparł słabym głosem.

- Zasłabł pan, ekscelencjo. Czy na pewno dobrze się

pan czuje?

Ktoś pomógł mu usiąść. Podziękował, choć był jeszcze otumaniony. Wydawało mu się, że jego ciało jest ciężkie, a powieki jak z ołowiu.

- Proszę posłuchać - szeptał człowiek z wrzodem żołądka. - To jest jak rewolucja francuska: gilotyna i terror. Nie rozumiem tylko, jak Ajatollah Chomeini mógł do tego dopuścić?

- On o niczym nie wie - wtrącił się równie przerażony niski mężczyzna. - Na pewno nie wie.

Czyż nie jest bożym człowiekiem, najpobożniejszym i najmędrszym z wszystkich ajatollahów?

Bakrawana ogarnęła fala zmęczenia. Oparł się o ścianę i zasnął.

282

Obudził się, gdy czyjaś ręka szorstko nim potrząsnęła.

- Bakrawan, wzywają cię. Dalej!

- Tak, już - wybełkotał i wstał, stwierdzając, że mówienie sprawia mu trudność. Poznał

Jusufa, dowódcę oddziału Zielonych Opasek, który przyszedł wczoraj na bazar. Potykając się poszedł za nim. Wyszli z poczekalni, przemierzali korytarz, weszli po schodach na piętro i ruszyli dalej innym zimnym korytarzem, obok drzwi z judaszami. Mijali strażników i więźniów, którzy patrzyli na nich dziwnym wzrokiem; ktoś płakał.

- Dokąd... dokąd mnie prowadzisz?

- Oszczędzaj siły. Będziesz ich potrzebował. Jusuf zatrzymał się przy jakichś drzwiach, otworzył

je i popchnął Bakrawana. Klaustrofobicznie mały pokój był zapełniony ludźmi. Pośrodku, przy drewnianym stole, siedział mułła i czterech młodych ludzi. Na stole leżały jakieś papiery i duży egzemplarz Koranu. Pod sufitem, przez małe zakratowane okienko, widać było skrawek błękitu nieba. Ludzie z Zielonych Opasek stali oparci o ściany.

- Dżared Bakrawan, kupiec z bazaru, lichwiarz

- zaanonsował Jusuf.

582

Mułła uniósł wzrok znad spisu, który właśnie przeglądał.

- Ach, Bakrawan, salam.

- Salam, ekscelencjo - powiedział trzęsącym się głosem Bakrawan. Mułła miał czarne oczy i brodę, biały turban i wytarte czarne szaty. Siedzący obok niego mężczyźni mieli po dwadzieścia parę lat, kilkudniowy sarost lub brody. Byli ubogo odziani; za nimi stały sparte o krzesła karabiny. - Jak... jak mogę panu pomóc? - zapytał Bakrawan, próbując zachować spokój.

- Nazywam się Alillah Uwari. Komitet Rewolucyjny mianował mnie sędzią. Ci ludzie też są sędziami. Są rieruje się Słowem Bożym i Świętą Księgą. - Mułła mówił szorstko; miał

akcent kazwińczyka. - Znasz tego Paknuriego, znanego jako Paknuri Skąpiec?

- Tak, ale, ekscelencjo, zgodnie z naszą konstytucją prawnym prawem bazaru...

- Lepiej odpowiedz na pytanie - przerwał mu jeden z młodzieńców. - Nie mamy czasu na przemówienia! Knasz go czy nie?

- Tak, tak, oczy...

- Ekscelencjo Uwari - zapytał Jusuf. - Kto będzie następny?

- Paknuri, a potem... - Mułła spojrzał na listę nazwisk. - ...Potem sierżant policji Dżufrudi.

- Ten pies został już wczoraj wieczorem osądzony przez inny Trybunał Rewolucyjny i rozstrzelany dziś rano - odezwał się jeden z mężczyzn siedzących przy stole.

- Wedle woli Boga. - Mułła wykreślił nazwisko. Wszystkie nazwiska wyżej były również przekreślone. - Więc przyprowadź Hosejną Turlaka z celi 573.

Bakrawan stłumik okrzyk. Turlak był znanym dziennikarzem i pisarzem, pół-Irańczykiem, pół-Afgańczykiem, odważnym i gorliwym krytykiem reżimu Szah. Z powodu swych opozycyjnych przekonań spędził nawet kilka lat w więzieniu.

Nie ogolony młodzieniec podrapał się po krostowatej twarzy.

583

- Kim jest ten Turlak, ekscelencjo? Mułła przeczytał z listy:

- Dziennikarzem.

- Szkoda czasu na przesłuchanie: oczywiście jest winny - zauważył inny młodzieniec. - Czy to nie ten, który twierdził, że można zmienić Słowo, że słowa proroka nie odpowiadają dzisiejszym czasom? Oczywiście, że jest winny.

- Wedle woli Boga. - Mułła zwrócił się do Bakrawana. - Ten Paknuri. Czy zajmował się lichwą?

Bakrawan oderwał myśli od Turlaka.

283

- Nie, nigdy. On...

- Czy pożyczał pieniądze na procent?

Bakrawan poczuł skurcz w żołądku. Widział utkwione w siebie spojrzenie czarnych oczu i próbował się skoncentrować.

- Tak, ale w nowoczesnym społeczeństwie odset...

- Czyż nie jest jasno napisane w Świętym Koranie, że pożyczanie pieniędzy na procent to lichwa, sprzeczna z prawem boskim?

- Tak, lichwa jest sprzeczna z boskim prawem, ale w nowoczesnym społeczeństwie...

- Święty Koran nie ma skaz. Słowo jest jasne i obowiązuje zawsze. Lichwa jest lichwą, prawo prawem. Czy popierasz prawo?

- Tak, ekscelencjo, oczywiście popieram.

- Czy praktykujesz pięć filarów islamu?

To był obowiązek wszystkich muzułmanów: odmawianie szahady, rytualne modły pięć razy dziennie, dobrowolne płacenie zakatu, rocznego podatku, poszczenie od świtu do zmroku podczas świętego miesiąca, rama-danu, i wreszcie hadżdż, rytualna podróż do Mekki, raz w życiu.

- Tak, tak, robię to, poza ostatnim. Jeszcze nie byłem w Mekce.

- Dlaczego nie? - zapytał młodzieniec z krostami na twarzy. - Masz więcej pieniędzy niż much na wysypisku śmieci. Mogłeś nawet polecieć samolotem! Dlaczego nie?

584

- To przez... przez moje zdrowie - wykrztusił Bakrawan, modląc się, żeby to kłamstwo zabrzmiało przekonująco. - Mam słabe... słabe serce.

- Kiedy ostatnio byłeś w meczecie? - zapytał mułła.

- W piątek, ostatni piątek. W meczecie na bazarze.

- Rzeczywiście tam był, tyle że po to, by omówić interesy.

- A ten Paknuri? Czy on praktykuje pięć filarów jak prawdziwy wierny? - zapytał jeden z młodych ludzi.

- Ja... myślę, że tak.

- Wszyscy wiedzą, że nie. Wszyscy wiedzą, że popierał Szacha. Co?

- Jest patriotą, patriotą, który wspierał finansowo rewolucję, wspierał Ajatollaha Chomeiniego, niech go Bóg błogosławi. Przez wiele lat wspierał finansowo mułłów i...

- Ale zna angielski i pracował dla Amerykanów Szacha. Pomagał im wydobywać z ziemi i kraść nasze bogactwa. Nie robił tego?

- On, on jest patriotą; pracował z cudzoziemcami dla dobra Iranu.

- Gdy szatański Szach nielegalnie utworzył partię, Paknuri do niej wstąpił i służył Szachowi w Medzlesie, czyż nie? - zapytał mułła.

- Był deputowanym, tak - odpowiedział Bakrawan.

- Ale pracował dla rewolucji...

- I głosował za tak zwaną Białą Rewolucją Szacha, która odebrała meczetom ziemię, zadekretowała równouprawnienie kobiet, wprowadziła cywilne sądy i państwowe szkoły wbrew nakazom Świętego Koranu...

Oczywiście, że za tym głosował, miał ochotę wykrzyknąć Bakrawan; po twarzy i plecach spływał mu pot. Wszyscy za tym głosowaliśmy! Czyż nie głosował tak prawie cały lud, włącznie z niektórymi ajatollahami i mułłami? Czyż Szach nie sprawował kontroli nad rządem, policją, żandarmerią, SAVAK-iem, wojskiem? Czyż nie był właścicielem niemal całej ziemi? Szach był najwyższą władzą! Niech będzie przeklęty, pomyślał gniewnie.

Przeklęty on i ta jego Biała Rewolucja sześć-

585

dziesiątego trzeciego roku! Od tego zaczął się rozkład, to wtedy mułłowie dostali szału. Te jego wszystkie "nowoczesne reformy"! To dzięki nim jakiś Chomeini mógł tak wyrosnąć!

284

Czyż my, kupcy z bazaru, nie ostrzegaliśmy tysiące razy doradców Szacha? Tak jakby te reformy miały jakieś znaczenie, tak jakby...

- Tak czy nie?

Zaklął w duchu. Skoncentruj się! - pomyślał spłoszony. Ten zdraziecki syn trędowatego psa chce cię schwytać w pułapkę! O co on pyta? Ostrożnie, od tego zależy życie. Ach tak, Biała Rewolucja.

- Emir Paknuri...

- W imieniu Boga: tak czy nie! - krzyknął ostro mułła.

- On, tak, on głosował za Białą Rewolucją, gdy był deputowanym w Medzlesie. Tak, głosował.

Mułła westchnął, a młodzieńcy poruszyli się na krzesłach. Jeden z nich ziewnął, drapiąc się bezmyślnie w genitalia.

- Ty jesteś deputowanym?

- Nie, nie! Zrezygnowałem, gdy nakazał to Ajatollah Chomeini...

- Chciałeś powiedzieć: imam Chomeini; że nakazał imam Chomeini?

- Tak, tak - rzucił niespokojnie Bakrawan. - Zrezygnowałem od razu, gdy imam rozkazał. Od razu - dodał, ale nie powiedział, że wszyscy postąpili tak za radą Paknuriego, gdy niczym to już nie groziło, gdy było już wiadomo, że Szach odejdzie, przekazując władzę umiarkowanemu i rozsądnemu premierowi Bachtiarowi. Nie wiedzieliśmy wtedy, że władzę zagarnie Chomeini, miał ochotę krzyknąć, to nie było zaplanowane! Niech Bóg przeklnie Amerykanów, którzy nas sprzedali, generałów, którzy nas sprzedali, i Szacha, który jest za to wszystko odpowiedzialny! - Wszyscy wiedzą, jak wspierałem imama, oby żył wiecznie.

- Niech Bóg go błogosławi - powiedział mułła wraz z innymi. - Ale ty, Dżaredzie Bakrawanie z bazaru, czy ty uprawiałeś lichwę?

- Nigdy! - odpalił natychmiast Bakrawan, schwytny w szpony strachu. Przez całe życie pożyczałem pieniądze, pomyślał, lecz procent był zawsze umiarkowany i rozsądny, nie jakaś lichwa, nigdy. Zawsze, gdy doradzałem różnym ludziom, ministrom, gdy załatwiałem prywatne i publiczne pożyczki, prywatne i publiczne transfery pieniędzy z Iranu, gdy zarabiałem, dobrze zarabiałem, był to tylko dobry interes, a nie coś niezgodnego z prawem. -

Sprzeciwiałem się Białej Rewolucji, gdy tylko mogłem. I Szachowi. Wszyscy o tym wiedzą...

- Szach popełnił zbrodnie przeciwko Bogu, islamowi, Świętemu Koranowi, przeciwko imamowi, niech Bóg go ochrania, przeciwko wierze szytów. Wszyscy, którzy mu pomagali, są równie winni. - Mułła spoglądał bezlitośnie. - Jakie zbrodnie przeciwko Bogu i przeciwko Słowu Bożemu ty popełniłeś?

- Żadnych! - krzyknął, będąc u kresu sił. - Przysięgam na Boga, że żadnych!

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł Jusuf z Pak-nurim. Bakrawan omal znowu nie zasłabł. Paknuri miał ręce związane na plecach. Jego spodnie pobrudzone były moczem i kałem, a z przodu przylgnęły do palta resztki wymiocin. Rzucił na boki głową, nie kontrolując tego odruchu. Miał brudne i zmierzwiłone włosy, nie panował nad swym umysłem. Gdy zobaczył Bakrawana, wykrzywił twarz w dziwnym grymasie.

- Ach Dżared, Dżared, stary przyjacielu i kolego, ekscelencjo, czy przyszedłeś, żeby dołączyć do nas w piekle? - Zatrząsał się ze śmiechu. - Nie tak to sobie wyobrażałem. Diabłów jeszcze nie ma, nie ma wrzącego oleju i płomieni. Nie ma też powietrza, tylko smród i ścisk.

Nie można się położyć ani usiąść; trzeba stać. Potem znowu krzyki i strzały, a przez cały czas jest się jak sardynka w puszcze, ale, ale... - Na wpół świadome bredzenie ustało, gdy Paknuri ujrzał mułłę. Ogarnęło go przerażenie. - Czy jesteś... czy jesteś Bogiem?

- Paknuri - powiedział łagodnie mułła. - Jesteś oskarżony o zbrodnie przeciwko Bogu. Ten świadek oskarżenia mówi...

- Tak, tak, popełniłem zbrodnię przeciw Bogu, jestem winny - zawył Paknuri. - W

przeciwnym razie, jak trafiłbym do piekła? - Zalany łzami opadł na kolana i zaczął bełkotać: -

Nie ma Boga oprócz Boga, nie ma Boga, a Mahomet jest jego prorokiem, nie ma Boga i...

- Nagle urwał. Jeszcze bardziej wykrzywił twarz; podniósł wzrok. - Ja jestem Bogiem, a ty szatanem!

Jeden z młodzieńców przerwał milczenie.

- On jest bluźniercą. Opętał go szatan. Sam powiedział, że jest winny. Bóg tak chciał.

Pozostali kiwnęli głowami. Mułła dodał:

- Bóg tak chciał.

Skinął, a jeden ze stojących pod ścianą ludzi podniósł Paknurię na nogi i wyprowadził go, spoglądając na Bakrawana, który wpatrywał się w odchodzącego przyjaciela, przerażony tym, jak szybko, dosłownie w ciągu jednej nocy, można było go zniszczyć.

- Teraz, Bakrawan...

- Przed salą czeka ten Turlak - przerwał mulle Jusuf.

- Dobrze - zgodził się Uwari.

Spojrzał na Bakrawana, a ten wiedział już, że jest zgubiony tak jak Paknuri, i że otrzyma taki sam wyrok. Widział, że mułła mówi, ale nie słyszał słów.

- Przepraszam? - zapytał tępo. - Nie usłyszałem, co pan, co pan powiedział?

- Możesz odejść. Na razie. Wykonywać bożą pracę.

- Mułła skinął niecierpliwie na wyższego od innych, brzydkiego człowieka. - Ahmed, wyprowadź go!

- Potem zwrócił się do Jusufa: - Po Turlaku kapitan policji Mohammad Dezi, cela 917...

Bakrawan poczuł, że ktoś chwyta go za ramię; odwrócił się i wyszedł. W korytarzu omal nie upadł, ale Ahmed podtrzymał go i... zaskakująco uprzejmie pomógł mu oprzeć się o ścianę.

- Proszę chwilkę odpocząć, ekscelencjo - powiedział.

- Czy ja... Czy ja jestem wolny?

- Jestem tak samo zdziwiony jak pan, agha - odparł mężczyzna. - Klnę się na Boga i proroka, że jestem zdumiony. Jest pan pierwszym z oskarżonych i świadków, któremu pozwolono odejść.

- Ja... Czy mogę dostać wody?

- Nie tutaj. Może pan napić się na zewnątrz. Lepiej niech pan już idzie. - Ahmed ściszył głos.

- Najlepiej wyjść, póki można. Proszę się na mnie oprzeć.

Bakrawan zrobił to z wdzięcznością; z trudem chwycił oddech. Powoli pokonywali drogę powrotną. Bakrawan ledwo zauważał mijanych strażników, więźniów i świadków. Z

korytarza prowadzącego do poczekalni wyszli bocznymi drzwiami na zachodnią część dziedzińca. Stał tam pluton egzekucyjny, naprzeciw niego trzech przywiązanych do słupków mężczyzn. Czwarty słupek był wolny. Bakrawan mimowolnie oddał kał i mocz.

- Pospiesz się, Ahmedzie! - zawołał zniecierpliwiony dowódca.

- Bóg tak chciał - stwierdził Ahmed. Zaciągnął Bakrawana do pustego słupka. Do sąsiedniego przywiązany był Paknuri, nadal bredzący o swym własnym piekle. - Więc jednak nie uciekniesz. To prawda, wszyscy słyszeliśmy twoje kłamstwa, kłamstwa wygłaszane w obliczu Boga. My cię znamy, wiemy, co robisz, i znamy twoją bezbożność. Próbowaleś nawet kupić sobie drogę do nieba podarunkami dla imama, niech Bóg go chroni. Jak zdobyłeś te wszystkie pieniądze, jeśli nie lichwą i złodziejstwem?

Salwa nie była celna. Dowódca niedbale dobił z rewolweru jednego ze skazanych, potem Bakrawana.

- Nie poznałem go - powiedział. - To dowód na to, jak kłamią gazety.

- To nie jest Hosejn Turlak - wyjaśnił Ahmed. - On będzie następny.

Dowódca wlepił w niego wzrok.

286

- Zatem kim był ten?

- Kupcem z bazaru - odparł Ahmed. - Kupcy to lichwiarze i bezbożnicy. Wiem o tym.

Pracowałem wiele

589

lat dla Farazana zbierając nawóz, tak jak mój ojciec. Potem zostałem murarzem i poznałem Jusufa. Ale ten...

- beknął - ten był najbogatszym lichwiarzem. - Nie pamiętam, jaki on był, pamiętam tylko, że był bogaczem. Pamiętam też jego żonę. Nigdy nie wziął jej w karby, zawsze paradowała bez czadoru. Pamiętam jego diabelską córkę, która przychodziła czasami na bazar. Była prawie naga, skóra jak świeża śmietanka, długie włosy, kołyszące się piersi, zachęcający tyłek.

Nazywała się Szahrazad i wyglądała tak, jak powinna wyglądać hurysa. Pamiętam ją i to, jak ją przeklinałem, że zasiała we mnie diabła, w nas wszystkich, że nas kusila. - Podrapał się w jądra, czując, że mu staje. Oby Bóg przeklął ją i wszystkie kobiety, które nie przestrzegają jego praw i wywołują w nas myśli sprzeczne ze Słowem Bożym. Och, Boże, pozwól, abym ją posiadał, albo uczynił mnie męczennikiem, abym poszedł prosto do nieba i zrobił to tam. - On był winny wszystkich zbrodni

- powiedział, odwracając się, żeby odejść.

- Ale... ale czy on został skazany? - zawołał za nim dowódca plutonu egzekucyjnego.

- Bóg go skazał. Na pewno. Słupek był wolny, a ty powiedziałaś, żebym się pospieszył. To była wola Boga. Bóg jest wielki. Teraz przyprowadzę Turlaka, bluźnier-cę. - Ahmed wzruszył

ramionami. - Wola Boga.

OKOLICE BANDAR DEJLAMU, 11:58. Nadchodził czas południowej modlitwy.

Rozklekotany, przeładowany autobus zatrzymał się na poboczu. W ślad za mułłą, który był

jednym z pasażerów, wysiedli inni muzułmanie, rozłożyli modlitewne dywaniki i polecili swe dusze Bogu. Poza rodziną hinduską, która obawiała się, że straci miejsca siedzące, wysiedli też inni pasażerowie, a wśród nich Tom Lochart. Wszyscy chcieli rozprostować nogi i odpocząć. Byli tam chrześcijańscy Armeńczycy, orientalni Żydzi, para z koczowniczego szczepu Kaszkajów, który, choć także muzułmański, zwolniony był mocą pradawnego obyczaju z południowej modlitwy, a jego kobiety z noszenia czadorów, dwóch Japończyków i kilku Arabów chrześcijan. Wszyscy zdawali sobie sprawę z obecności samotnego cudzoziemca.

591

Dzień był gorący i parny; wilgoć brała się z bliskości zatoki. Tom Lochart oparł się o maskę przegrzanego silnika. Bolała go głowa, czuł także ścięgna i mięśnie. Odbył długi marsz z położonego niemal o trzysta kilometrów na północ Dez Damu, a potem siedział ściśnięty w zatłoczonym, hałaśliwym autobusie. Przez całą drogę z Ahwazu, gdzie udało mu się dostać do autobusu, siedział razem z dwoma innymi mężczyznami na wąskiej ławeczce, którą tylko z trudem można było uznać za dwuosobową. Jednym z nich był młody człowiek z Zielonych Opasek, trzymający na kolanach dziecko i karabin M14, podczas gdy jego ciężarna żona stała wraz z trzydziestoma innymi pasażerami w przejściu, które od biedy było dobre dla piętnastu osób. Wszystkie siedzenia były równie zatłoczone mężczyznami, kobietami, dużymi i małymi dziećmi. W powietrzu wisiał smród, mieszały się rozmowy prowadzone w różnych językach.

Wszędzie, nad głową i pod nogami, piętrzyły się torby i zawiniątka, kosze wypełnione warzywami i

ledwie żywymi kurczakami, były nawet dwie małe spętane kózki. Bagażnik na dachu ugiął się od ciężaru.

Mam jednak cholerne szczęście, pomyślał, słysząc melodyjne słowa szahady.

Wczoraj, przed zachodem słońca, gdy usłyszał, że 212 wystartował, wyszedł spod małego pomostu, dziękując Bogu za to, że udało mu się uciec. Woda była lodowata; dygotał z zimna.

Podniósł pistolet maszynowy, sprawdził, czy działa, i ruszył w kierunku domu. Drzwi były 287 otwarte. W lodówce podłączonej do generatora znalazł jedzenie i picie. W domu było ciepło.

Lochart zdjął ubranie i wysuszył je nad grzejnikiem, klęcząc Walika i Seladiego i życząc im, żeby skończyli w piekle.

- Skurwysyny! Co im, u diabła, zrobiłem, oprócz tego, że uratowałem ich pieprzone głowy?

Ciepło i luksus domu wabiły. Tom był zmęczony aż do bólu. Ostatnią noc w Isfahanie spędził prawie bezsennie. Mógłbym się przespać i wyruszyć o świcie, pomyślał. Mam kompas i mniej więcej znam drogę:

592

ominać lotnisko Alego Abbasiego, potem prawie dokładnie na wschód, do głównej drogi Kermanszah-Ah-waz-Abadan. Tam bez trudu złapię jakiś autobus albo ktoś mnie podwiezie.

Albo wyruszę teraz i pójdę w świetle księżyca. Z bazy lotniczej mogą rzeczywiście przysłać tu patrol. I Ali, i Seladi bardzo się tego obawiali. Wojsko mogło nas łatwo wykryć. Łatwo.

Ale tak czy inaczej, co powiem, jeśli ktoś mnie zatrzyma?

Myślał o tym, przygotowując sobie brandy z wodą sodową i coś do zjedzenia. Walik i spółka otworzyli półkilowe puszki najlepszego czarnego kawioru, napoczęli i zostawili je na stole w salonie. Lochart jadł ze smakiem, a potem wyrzucił puszki do pojemnika stojącego na zewnątrz, koło tylnego wyjścia. Zamknął dom i wyruszył.

Forsowny marsz przez góry był ciężki, ale nie aż tak, jak się spodziewał. Niedługo po świcie dotarł do szosy. Prawie od razu zatrzymał samochód wiozący koreańskich robotników budowlanych, którzy likwidowali stalownię, budowaną na mocy kontraktu w Kermanszah; cudzoziemcy w Iranie tradycyjnie pomagali sobie na drodze. Robotnicy jechali na lotnisko w Abadanie, spodziewając się, że odlecą stamtąd z powrotem do Korei.

- Dużo walki w Kermanszah - powiedzieli łamaną angielszczyzną. - Wszyscy mają armaty.

Irańczycy zabijają drugich Irańczyków. Wszyscy wariaci, barbarzyńcy, gorsi nawet od Japończyków.

Podrzucili go na dworzec autobusowy w Ahwazie. Jakoś udało się mu dostać do autobusu przejeżdżającego przez Bandar Dejlam.

Tak, ale co dalej? Przypomniawszy sobie ponuro, jak wyrzuciwszy puszkę po kawiorze, wyciągnął je z powrotem z kosza na śmieci i zakopał, a potem wrócił do domu, wytarł szklanekę, z której pił, a potem nawet kłamekę. Chyba powinienem pójść do psychiatry! Akurat będą sprawdzać odciski palców! Wtedy jednak myślałem, że lepiej nie pozostawiać śladów.

Wariat! Jesteś wpisany do teherańskiego zezwolenia na lot. Bezprawnie zabrałeś Walika z rodziną, uciekłeś

593

z Isfahanu oraz przewiozłeś "wrogów państwa i pomogłeś im w ucieczce", wszystko jedno czy przed SA-VAK-iem czy Chomeinim. A jak S-G, czy McIver, rozliczy się z brakującego irańskiego helikoptera, który znajdzie się potem w Kuwejcie albo Bagdadzie. Gdzie zgłosić taki lot?

Co za cholerne zamieszanie!

Tak. I jeszcze Szahrazad...

- Nie martw się, agha. - Usłyszał. - Wszyscy jesteśmy w rękach Boga. - Zobaczył, że uśmiecha się do niego młody, brodaty mułła, który razem z żoną i trójką dzieci wsiadł do autobusu w Ahwazie. Przez ramię miał przewieszony karabin. - Kierowca powiedział, że mówisz w farsy, że jesteś Kanadyjczykiem i człowiekiem Księgi?

- Tak, tak, agha - przytaknął Lochart, natężając uwagę. Zauważył, że modlitwa dobiegła już końca, a pasażerowie tłoczą się przy drzwiach.

- Zatem ty także trafisz do nieba, jeśli będziesz tego wart, choć nie do naszej części. Tak powiedział prorok. - Mułła uśmiechnął się nieśmiało. - Iran będzie pierwszym od czasów proroka prawdziwym państwem islamskim. - Znów nieśmiały uśmiech. - Jesteś pierwszym człowiekiem Księgi, jakiego spotkałem. Nauczyłeś się farsy w szkole?

288

- Chodziłem do szkoły, ekscelencjo, ale przede wszystkim miałem prywatnych nauczycieli.

Lochart podniósł swą lotniczą torbę, którą na wszelki wypadek zabrał ze sobą, i ustawił się w kolejce. Jego miejsce było już zajęte. Niektórzy pasażerowie wypróżniali się przy drodze: mężczyźni, kobiety i dzieci.

- Ekscelencja pracuje przy nafcie?

Mułła stanął w kolejce obok Locharta. Ludzie odsunęli się natychmiast, aby go przepuścić. W

autobusie pasażerowie zdążyli już wszczać kłótnię; kilku krzyczało na kierowcę, żeby się pospieszył.

- Tak, dla waszej wspaniałej IranOil - odparł Lochart.

594

Zauważył, że wszyscy starają się słyszeć rozmowę. Już niedaleko, pomyślał. Do lotniska może być tylko kilka kilometrów. Przed samym południem dostrzegł wracający z zatoki helikopter 212. Nie widział z oddali, czy to wojskowa, czy cywilna maszyna, ale leciała mniej więcej w kierunku lotniska. Wspaniale będzie zobaczyć Rudiego i innych, wyspać się i...

- Kierowca powiedział, że był pan na urlopie koło Kermanszahu?

- W Luristanie, na południe od Kermanszahu.

- Lochart natężył uwagę. Jeszcze raz powtórzył przygotowaną wcześniej historyjkę, tę samą, którą opowiedział kasjerowi w Ahwazie i Zielonym Opaskom. Oni także chcieli wiedzieć, kim jest i co tu robi. - Chodziłem po górach na północ od Luristanu. Śnieg uwięził mnie na tydzień w jakiejś wiosce. Pan jedzie do Szirazu? - Tam właśnie jechał autobus.

- W Szirazie znajduje się mój meczet. W Szirazie się urodziłem. Usiądźmy razem. - Mułła zajął miejsce obok jakiegoś ojca, wziął na kolana jedno z jego dzieci i odłożył karabin, pozostawiając Lochartowi dość miejsca. Lochart niechętnie usiadł. Nie chciał podróżować koło gadatliwego i dociekliwego mułły, jednocześnie jednak cieszył się, że ma siedzące miejsce. Autobus zapełnił się szybko. Ludzie próbowali przejść do tyłu, żeby zdobyć więcej przestrzeni. - Twój kraj, Kanada, graniczy z Wielkim Szatanem, prawda?

- Kanada graniczy z Ameryką - odparł zniecierpliwiony Lochart. - Ogromna większość Amerykanów to ludzie Księgi.

- No, tak, ale jest też wielu żydów i syjonistów, a żydzi, syjoniści i chrześcijanie to wrogowie islamu, a zatem Boga. Czyż nie jest prawdą, że żydzi i syjoniści rządzą Wielkim Szatanem?

- Jeśli masz na myśli Amerykę, agha, to nie, nie rządzą.

- Ale skoro tak mówi imam, to musi być prawda.

- Mułła był ufny i łagodny. Zacytował Koran: - Gdyż

595

gniew Boga jest z nimi i w mękach trwać będą wiecznie. - Potem dodał: - Skoro imam...

W tyle autobusu powstało jakieś zamieszanie. Odwrócili się i zobaczyli, że jeden z Irańczyków gniewnie ściąga z siedzenia Hindusa w turbanie, chcąc zająć jego miejsce.

Hindus uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem i wstał. Normalnie, wedle zwyczaju, gdy ktoś już

zajął miejsce, miał do niego prawo. Znów wybuchł rozgardiasz, a inny mężczyzna stojący w przejściu zaczął głośno przeklinać wszystkich cudzoziemców. Był ubogo ubrany, uzbrojony, i stał obok dwóch Japończyków, stłoczonych na siedzeniu razem ze starym Kurdem w łachmanach.

- Dlaczego cudzoziemcy i niewierni siedzą, gdy my stoimy? Na Boga, nie jesteśmy już lokajami niewiernych! - krzyknął protestujący i wycelował palcem w Japończyków. - Jazda stąd!

Żaden się nie poruszył. Jeden z nich zdjął okulary i uśmiechnął się do mężczyzny. Ten zawahał się, zaczął wrzeszczeć, ale potem zmienił zdanie; odwrócił się i krzyknął na kierowcę, żeby prędzej ruszał. Japończyk, wkładając okulary, napotkał spojrzenie Locharta.

Skinał głową i uśmiechnął się.

289

Lochart odwzajemnił uśmiech. W Ahwazie, gdy przepychali się do autobusu, jeden z Japończyków odezwał się do Locharta w znośnym angielskim:

- Niech pan idzie za nami. W Tokio, w godzinach szczytu, jest znacznie gorzej.

Obaj Japończycy grzecznie, ale szybko utorowali przejście i zajęli dla siebie i Locharta miejsce z tyłu. Rozmawiali chwilę podczas przystanku w południe. Powiedzieli, że są inżynierami Iran-Tody, i że wracają z urlopu.

- Ach - powiedział z zadowoleniem mułła, widząc, że kierowca wśliznął się już na swoje miejsce. - Dzięki Bogu, zaraz ruszamy.

Kierowca z namaszczeniem uruchomił silnik i autobus ruszył.

596

- Następny przystanek w Bandar Dejlami, jeśli Bóg pozwoli.

- Bóg pozwoli. - Mułła był bardzo zadowolony. Spróbował przekrzyczeć hałas: - Agha, mówiłeś coś o Wielkim Szatanie?

Lochart miał zamknięte oczy; udał, że nie słyszy. Mułła dotknął go.

- Mówiłeś, agha, o Wielkim Szatanie?

- Nic nie mówiłem, agha.

- Co? Nie usłyszałem.

Lochart zachował grzeczny wyraz twarzy; wiedział, że temat rozmowy jest niebezpieczny.

Powiedział głośniejszym głosem:

- Nic nie mówiłem, agha. Podróż jest męcząca, nieprawdaż? - Znowu zamknął oczy. - Myślę, że się trochę zdrzemnę.

- Dlaczego nic nie mówisz? - krzyknął stojący obok młody człowiek. - Ameryka jest odpowiedzialna za wszystkie nasze kłopoty. Gdyby nie Ameryka, na całym świecie panowałby pokój!

Lochart nie otworzył oczu i próbował nie słuchać. Miał ochotę kogoś palnąć. Żałował, że nie ma w kieszeni pistoletu, a jednocześnie cieszył się, że broń leży ukryta bezpiecznie w torbie.

Poczuł, że mułła nim potrząsa.

- Zanim zaśniesz, agha: czy nie uważasz, że świat byłby znacznie lepszy bez amerykańskiego diabła?

Lochart opanował gniew i nie otwierał oczu. Następne potrząśnięcie, tym razem brutalne.

Stojący mężczyzna krzyczał mu do ucha:

- Odpowiedz, ekscelencjo!

Lochart poczuł nagle, że ma po dziurki w nosie całej ten antyamerykańskiej propagandy i ciągłych kłamstw. Poblądł z gniewu, otworzył oczy, odtrącił rękę intruza i wyrzucił z siebie po angielsku:

- Podziękuj lepiej, mułło, Bogu za to, że Ameryka istnieje, bo bez niej wszyscy bylibyśmy w jakimś pieprzonym gułagu albo wachałibyśmy kwiatki od spodu. Ty, ja, ten palant i nawet Chomeini!

597

- Co?

Zauważył, że mułła wpatruje się w niego tępo i zdał sobie sprawę z tego, że mówi po angielsku. Pohamował gniew i odezwał się w farsi, wiedząc, że logiką niczego nie wskóra.

- Cytowałem po angielsku Świętą Biblię. Cytowałem słowa rozgniewanego Abrahama. Czyż Abraham nie powiedział: Zło zakrada się na ziemię pod wieloma postaciami. Obowiązkiem wierzącego jest... zwalczać zło, wszelkie zło! Czyż nie tak?

Mułła spojrzał na niego dziwnie i zacytował Koran: / Bóg rzeki do Abrahama: uczynię cię wodzem ludzkości, a Abraham rzeki: I moje potomstwo! Bóg rzeki: moje przymierze nie obejmuje tych, co źle czynią.

290

- Zgadza się z tym - powiedział Lochart. - A teraz muszę pomyśleć o Bogu, Jedynym Bogu, Bogu Abrahama i Mojżesza, Jezusa i Mahometa, niech jego imię będzie chwalone!

Lochart zamknął oczy. Waliło mu serce. Zastanawiał się, czy wściekły młodzieniec nie wyrzuci go w twarz kolbą karabinu albo czy mułła nie krzyknie, żeby zatrzymać autobus. Nie spodziewał się, że mu

to wybaczą, czas jednak mijał, a oni nie przerywali jego rzekomej modlitwy.

Muła westchnął; z powodu ciasnoty musiał dotykać tego niewiernego. Ciekawe, jak niewierni się modlą, pomyślał. Co mówią Bogu? Nawet ludzie Księgi? Jakże są godni pożałowania!

LOTNISKO W BANDAR DEJLAMIE, 12:32. Samochód lotnictwa irańskiego z łopoczącym zielonym proporczykiem Chomeiniego przemknął obok zaspanych strażników pilnujących bramy i w chmurze pyłu zajechał przed biurowy kontener Rudiego. Wsiadło z niego dwóch oficerów w zgrabnie skrojonych mundurach i trzech ludzi z Zielonych Opasek.

Rudi Lutz wyszedł do oficerów - majora i kapitana. Na widok kapitana rozpromienił się.

598

- Witaj, Huszang. Zastanawiałem się, jak ci leci...

- Jestem major Kazani z wywiadu lotnictwa - przerwał mu ze złością starszy oficer. -

Dlaczego helikopter irański, którym pan zarządza, usiłuje opuścić irańską przestrzeń powietrzną, nie słucha poleceń samolotów przechwytyjących i całkowicie ignoruje rozkazy kontroli naziemnej?

Rudi wytrzeszczył oczy.

- Tylko jeden z moich helikopterów jest w powietrzu. Obsługuje wezwanie CASEVAC; ma zezwolenie od kontroli radarowej z Abadanu.

- Numer rejestracyjny?

- EP-HXX. O co w ogóle chodzi?

- Właśnie to chciałbym wiedzieć. - Major Kazani wszedł za Rudim do kontenera i usiadł.

Ludzie z Zielonych Opasek czekali. - Dalej! - zirytował się major. - Niech pan usiądzie, kapitanie Lutz.

Rudi zawahał się, a potem usiadł za biurkiem. Przez otwory po kulach wpadało trochę światła. Ludzie z Zielonych Opasek i drugi oficer weszli i zamknęli drzwi.

- Ten HXX to 206 czy 212? - zapytał major.

- 206. Co...

- Ile ma pan tu 212?

- Dwa. HXX i HGC. Radar w Abadanie dał wczoraj zezwolenie na lot CASEVAC do Kowissu. Chodzi o przewiezienie rannych po ataku fedainów, którzy wczoraj o świcie...

- Tak, słyszeliśmy o tym. I o tym, że pomógł pan strażnikom wysłać ich do piekła, na które zasługują. Za to pięknie dziękujemy. Czy EP-HBC to rejestracja 212 S-G?

Rudi zawahał się.

- Nie mogę odpowiedzieć tak od razu, majorze. Nie mam tu spisu naszych 212, ale mogę to sprawdzić, jeśli uda mi się skontaktować z bazą w Kowissie. Radio przez cały dzień nie działa. Zrobię, co będę mógł, ale proszę mi wyjaśnić, o co chodzi?

Major Kazani zapalił papierosa i chciał poczęstować Rudiego, ale ten odmówił.

599

- Chodzi o 212, EP-HBC, uważamy, że należącego do S-G, z nieznaną liczbą osób na pokładzie, który przekroczył przed świtem granicę z Irakiem. Nie miał zezwolenia i, jak już mówiłem, zignorował rozkaz lądowania.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Rudi starał się szybko myśleć. Doszedł do wniosku, że chyba ktoś uciekł. - To nie nasz ptaszek. My nie możemy nawet włączyć silników bez zezwolenia kontroli w Abadanie. To zwykła procedura.

- Zatem, jak może pan wyjaśnić rejestrację HBC?

291

- To mogła być maszyna Guerneya wywożąca personel, Bella albo jakiejś innej spółki helikopterowej. Ostatnio z trudem rejestrowano plan lotów. Wie pan, jak, hmm, płynna była kontrola radarowa podczas kilku ostatnich tygodni.

- "Płynna" to nie jest właściwe określenie - zauważył kapitan Huszang Abbasi. Był bardzo przystojnym mężczyzną o zręcznych ruchach. Miał przystrzyżone wąsy i ciemne okulary.

Przez ostatni rok stacjonował na Chargu, gdzie poznali się z Rudim. - A jeśli to była maszyna S-G?

- Wtedy na pewno znajdziemy jakieś wyjaśnienie.

- Rudi cieszył się, że Huszang przetrwał jakoś rewolucję, zwłaszcza że krytykował zawsze mułłów wtrącających się do rządzenia krajem. - Jesteś pewien, że ten helikopter był

nielegalny?

- Jestem pewien, że legalne maszyny mają zezwolenia, stosują się do przepisów, i nie uciekają przez granicę

- powiedział Huszang. - Poza tym jestem prawie pewien, że widziałem godło S-G, Rudi.

Rudi przymknął oczy. Huszang był bardzo dobrym pilotem.

- To ty go przechwytywałeś?

- Ja prowadziłem lot alarmowy. W kontenerze zapadła cisza.

- Czy mogę otworzyć okno, majorze? Ten dym... Boli mnie głowa.

Major powiedział poirytowanym głosem:

600

- Jeśli ten HBC należy do S-G, to nie skończy się na bólu głowy.

Rudi otworzył okno. To rzeczywiście wygląda na naszą rejestrację. Co się, do cholery, dzieje?

Jakby ktoś się na nas wziął. Najpierw ten psychopata Za-taki i zabójstwo naszego mechanika, potem śmierć biednego starego Kijabiego, potem atak tych przeklętych przez Boga lewicowych fedainów, którzy omal nas nie pozabijali, i którzy zranili Jona Tyrera -

Chryste, mam nadzieję, że jakoś się wyliże! - a teraz jeszcze to!

Usiadł. Czuł, że jest bardzo zmęczony.

- Najlepiej będzie, jeśli zapytam.

- Jak daleko latacie na północ? - zapytał major.

- Zwykle? Ahwaz, najdalej Dezful... - Zadzwoił interkom bazy. Podnosząc słuchawkę, Rudi nie dostrzegł wymiany spojrzeń między oficerami.

- Halo?

Dzwonił Fowler Joines, główny mechanik.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję. Nie ma strachu.

- Krzycz, stary, gdybyś potrzebował pomocy. Przylecimy prędziuchno. - Odłożył słuchawkę.

Rudi odwrócił się do majora. Poczłł się znacznie pewniej. Od czasu gdy sprzeciwił się Za takiemu, wszyscy podwładni traktowali go tak, jakby był samym "dziedzicem" Gavallanem.

Do tego od wczoraj, od potyczki z fedainami, nawet podporządkowani komitetowi ludzie z Zielonych Opasek zrobili się ulegli - wszyscy oprócz kierownika bazy, Jemeniego, który nadal próbował utrudniać mu życie.

- Maksymalny zasięg to Dezful. Tylko w jedną stronę. Kiedyś poleciełiśmy... - Urwał. Chciał

powiedzieć: "Kiedyś poleciliśmy z naszym kierownikiem obszaru do Kermanszahu", ale wspomnienie brutalnego i bezsensownego morderstwa, dokonanego na Kijabim, odżyło i odebrało mu głos.

Zobaczył, że major i Huszang wpatrują się w niego uważnie.

601

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że kiedyś mieliśmy lot czarterowy do Kermanszahu. Z tankowaniem po drodze. Jak wiecie, jesteśmy ruchliwi.

- Tak, kapitanie Lutz, wiemy. - Major zgasił papierosa i zapalił następnego. - Premier Bazargan, oczywiście po uzyskaniu zgody Ajatollaha Chomeiniego - dodał ostrożnie, nie dowierzając Abbasiemu ani ludziom z Zielonych Opasek, którzy mogli znać angielski, ale się do tego nie przyznawać - wydał bardzo surowe rozkazy dotyczące wszystkich statków powietrznych w Iranie, a zwłaszcza helikopterów. Wywołajmy teraz Kowiss.

Przeszli do pokoju radiowego. Jemeni od razu zaprotestował. Powiedział, że nie może zgodzić się na użycie radiostacji bez zezwolenia lokalnego komitetu, do którego on sam należy, jako jedyny członek umiejący czytać i pisać. Jeden z mężczyzn z Zielonych Opasek wyruszył na poszukiwanie członków komitetu, nie było jednak to potrzebne; major postawił

na swoim i wywołał Kowiss. Odpowiedzi nie było.

- Bóg tak chciał. Spróbujemy po zmroku, agha - powiedział w farsi radiotelegrafista Dżahan.

- Tak, dziękuję - odparł major.

- Czego chcesz, agha? - zapytał niegrzecznie Jemeni, wściekły z powodu najścia. Widok mundurów wojsk Szacha doprowadzał go do szału. - Może ja to załatwię?!

- Nie potrzebuję twojej pomocy, psi synu - krzyknął major. Wszyscy drgnęli, a Jemeni zamarł. - Jeśli będziesz mi przeszkadzać, oskarżę cię przed naszym trybunałem o utrudnianie pracy premierowi Bazargano-wi i samemu Chomeiniemu! Wynocha!

Jemeni uciekł. Ludzie z Zielonych Opasek wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich zapytał:

- Czy mam mu urwać łeb w pana imieniu, agha?

- Nie, dziękuję. On znaczy tyle, co mucha zjadająca wielbłądzie gówno.

Major Kazani zaciągnął się dymem i spojrzał z namysłem na Rudiego. Wieść o tym, jak ten Niemiec uratował Zatakiego, najważniejszego dowódcę strażni-602

ków rewolucji w tym regionie, dotarła także do ich bazy lotniczej.

Wstał i podszedł do okna. Zobaczył samochód z zielonym proporczykiem Chomeiniego i leżących obok ludzi z Zielonych Opasek. Szumowiny, pomyślał. Psie syny, wszyscy. Nie po to pozbyliśmy się Amerykanów i pomogliśmy w osaczeniu Szacha, żeby oddać nasze losy i nasze piękne samoloty w ręce tych wszystkich mułłów, nawet jeśli niektórzy z nich są odważni.

- Poczekaj tu, Huszang. Zostawię ci dwóch strażników - powiedział. - Poczekaj, a potem spróbuj połączyć się z Kowissem przez radio. Przyślę po ciebie samochód.

- Tak jest.

- Major spojrział twardo na Rudiego. Przeszedł na angielski:

- Chcę wiedzieć, czy HBC jest śmigłowcem S-G, gdzie stacjonuje, jak dostał się w ten rejon i kto był na pokładzie.

Wydał rozkazy swoim ludziom i odjechał w chmurze pyłu.

Huszang wysłał strażników, żeby powiedzieli innym, co mają robić. On i Rudi zostali sami.

- A więc - uśmiechnął się, wyciągając rękę - cieszę się, że cię widzę, Rudi.

- Ja także. - Wymienili uścisk dłoni. - Zastanawiałem się, jak sobie poradziłeś.

Huszang wybuchnął śmiechem.

- Chodzi ci o to, że mnie nie rozstrzelali? Och, nie wierz w te wszystkie opowieści, Rudi.

Wszystko idzie wspaniale. Gdy opuściłem Charg, spędziłem trochę czasu w Doszan Tappeh, a potem przeszedłem do bazy lotniczej Abadanu.

- A potem?

- Potem? - Huszang zastanawiał się przez chwilę. - Potem, gdy Jego Wys... gdy Szach opuścił Iran, komendant zebrał nas wszystkich i powiedział, że unieważnia naszą przysięgę.

Wszyscy składaliśmy przysięgę na wierność Szachowi, ale gdy on wyjechał, to tak, 603

jakby zwolnił nas z danego słowa. Komendant stwierdził, że musimy dokonać wyboru: zostać lub odejść. W tej bazie, mówił, przekazanie władzy nowemu legalnemu rządowi odbędzie się 293

w sposób uporządkowany. Dał nam dwanaście godzin. - Huszang zmarszczył brwi. - Kilku odeszło, zwłaszcza wyższych oficerów. Co ty byś zrobił na moim miejscu, Rudi?

- Zostałbym oczywiście. Heimat ist immer Heimat.

- Co?

- Ojczyzna jest zawsze ojczyzną.

- Ach tak. Właśnie tak sobie pomyślałem. - Huszang nachmurzył się. - Gdy już się namyśliliśmy, komendant wezwał Ajatollaha Ahwaziego, naszego głównego Ajatollaha, i formalnie przekazał władzę. Potem się zastrzelił. Zostawił list: Przez całe życie służyłem Mohammadowi Rezie Szachowi, tak jak mój ojciec służył Rezie Szachowi, jego ojcu. Nie mogę służyć mułom lub politykom i żyć w cieniu zdrady, która opanowała nasz kraj.

- Miał na myśli Amerykanów? - zapytał Rudi z wahaniem.

- Major uważa, że chodziło mu o generałów. Niektórzy z nas sądzą, że miał na myśli...

zdradę islamu.

- Dokonaną przez Chomeiniego?

Rudi spostrzegł, że Huszang wpatruje się w niego szczerym spojrzeniem brązowych, głęboko osadzonych oczu. Wydawało mu się przez chwilę, że to już nie jest jego przyjaciel, tylko ktoś inny, kto pożyczył sobie jego twarz. Ktoś, kto mógłby go złapać. W jaką pułapkę?

- Taka myśl byłaby zdradą stanu, prawda?! - odparł Huszang. Zabrzmiało to nie jak pytanie, lecz stwierdzenie faktu. Rudi znów poczuł niepokój. - Boję się o Iran, Rudi. Jesteśmy tak wyeksponowani, tak cenni dla obu supermocarstw, tak znienawidzeni przez wielu zawistnych sąsiadów.

- Aha, ale wasze siły zbrojne są w tym regionie raywiększe i najlepiej wyposażone. W

rejonie zatoki jesteście potęgą. _ Podszedł do małej, wbudowanej w ścianę lodowki. - Co sądzisz o butelce zimnego piwa?

604

- Nie, dziękuję.

Zwykle obaj przepadali za piwem.

- Jesteś na diecie? - zapytał Rudi.

Huszang potrząsnął głową i dziwnie się uśmiechnął.

- Nie. Przestałem pić. To mój podarunek dla nowego reżimu.

- Więc napijmy się herbaty, jak w dawnych czasach. - Poszedł do kuchni i nastawił wodę w czajniku. Przez cały czas intensywnie myślał. Huszang naprawdę się zmienił. Co w tym dziwnego? Cały jego świat wywrócił się do góry nogami; to prawie tak jak Zachodnie i Wschodnie Niemcy. - Co słychać u Alego? - zapytał.

Ali był ukochanym starszym bratem Huszanga, pilotem helikopterowym, którego Rudi nigdy nie spotkał, lecz którego znał z opowiadań. Huszang ze śmiechem opowiadał o jego legendarnych przygodach i podbojach w Teheranie, Paryżu i Rzymie w dawnych dobrych czasach.

- Wielki Ali czuje się świetnie - odpowiedział Huszang, uśmiechając się z zadowoleniem.

Jeszcze przed ucieczką Szacha naradzili się ze sobą i postanowili, że zostaną, niezależnie od tego, co się stanie. - Nadal jesteśmy elitą wojska. Nadal będziemy spędzać urlopy w Europie!

- Rozpromienił się. Był dumny z brata. Nie zazdrościł mu sukcesów; chciałby tylko odnosić choćby ich dziesiątą część. - Ale teraz będzie musiał trochę przyhamować, przynajmniej w Iranie.

Woda zagotowała się. Rudi zrobił herbatę.

- Nie obrazisz się, jeśli zapytam o HBC? - Spojrzał na przyjaciela. - W porządku?

- Co chcesz wiedzieć?

- Co się wydarzyło?

Po chwili Huszang opowiedział mu, jak było.

294

- Dowodziłem patrolem lotniczym. Otrzymaliśmy rozkaz przechwycenia helikoptera, który przemykał się przez nasz teren. Okazało się, że jest cywilny. Chował się w dolinach koło Dezful. Nie odpowiadał na wezwania radiowe w farsy ani po angielsku. Czekaliśmy i obserwowaliśmy. Gdy wyleciał na otwartą przestrzeń, przele-605

ciałem nad nim; wtedy właśnie rozpoznałem znak S-G. Nie przejął się mną; skręcił w kierunku granicy i dodał gazu. Mój skrzydłowy prawie się o niego otarł, ale on tylko zwiększył szybkość.

Huszang przymknął oczy, przypominając sobie podniecenie, jakie go wtedy ogarnęło.

Podniecenie myśliwego. Upojny ryk silników i komendy: "Uzbroić pociski!" Posłuszne dłonie i palce.

Nacisnął spust. Za pierwszym razem rakietą chybiła celu; zwinny jak ważka helikopter nurkował, rzucał się w lewo i prawo. Skrzydłowy także odpalił raketę i chybił o włos; pociski nie miały urządzeń samonaprowadzających. Kolejne pudło. Teraz śmigłowiec był już nad granicą. Za granicą, bezpieczny. Ale nie przede mną. Nie umknie sprawiedliwości. Naprzód, z błyskami strzelających działek, twarze w okienkach; zmienił się w kulę ognia, a gdy zrobiłem zwrot, żeby jeszcze raz spojrzeć, zniknął. Pozostał tylko obłok dymu. I przyjemność.

- Dopadłem go - powiedział. - Po prostu zdmuchnąłem z nieba.

Rudi odwrócił się, by ukryć przerażenie. Myślał, że HBC uciekł, ktokolwiek nim leciał.

- Nikt... nikt nie przeżył?

- Nie, Rudi. On eksplodował - wyjaśnił Huszang, starając się mówić spokojnie. I rzeczowo. -

To było... Po raz pierwszy zabiłem. Nie wiedziałem, że to takie trudne.

Trudno to nazwać uczciwą walką, pomyślał Rudi. Opanował go gniew i niesmak. Rakiety i działa przeciwko bezbronnej maszynie. Rozkaz to rozkaz, ktokolwiek był w helikopterze, na pewno wiedział, czym grozi ucieczka. Powinien się zatrzymać. Ja... ja bym się zatrzymał. Na pewno? A gdybym był pilotem myśliwca w Niemczech, a jakiś helikopter uciekałby przez wrogą granicę z Bóg wie kim na pokładzie i dostałbym rozkaz... Chwileczkę, czy Huszang zrobił to już nad Irakiem? No

cóż, nie będę go pytał. Jeśli tak było, Huszang na pewno mi tego nie powie. To pewne jak to, że Bóg nie rozmawia z Chomeinim. Ja też bym nie powiedział.

606

Z ponurą miną napełnił filiżankę i przypomniał sobie inną, z dzieciństwa. Potem wyrzwał

przez okno. Jakiś stary autobus zatrzymał się na drodze przylegającej do lotniska. Rudi zobaczył, że wysiada z niego wysoki mężczyzna. Nie poznał go od razu. Potem krzyknął z radości, przeprosił Huszanga i wybiegł.

Spotkali się przy bramie. Strażnicy przyglądali się im ze zdumieniem.

- Tom! Wie gehts? Jak się masz? Co tu, u diabła, robisz? Dlaczego nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz? Co słyhać w Zagrosie i u Jean-Luca?

Był tak szczęśliwy, że nie zauważył zmęczenia Lo-charta, jego podartego i brudnego ubrania.

- Długo by o tym mówić, Rudi - powiedział Lo-chart. - Bardzo długo, ale na razie jestem wykończony. Muszę się napić herbaty i przespać, dobra?

- Oczywiście. - Rozpromienił się Rudi. - Jasne, chodź. Otworzę ostatnią zachomikowaną butelkę whisky. Musiałem nawet przed sobą udawać, że już jej nie mam... - Nagle zauważył, w jakim stanie jest jego przyjaciel, i spowaźniał. - Co ci się stało? Wyglądasz jak przekreślony przez wyżymaczkę.

Dostrzegł spojrzenie, jakim Lochart obrzucił strażników, którzy z ciekawością przysłuchiwali się tej rozmowie.

- Nic takiego, Rudi, nic. Najpierw kąpiel, co? - rzekł Lochart.

- Jasne, tak, oczywiście. Możesz skorzystać z mojego kontenera.

295

Wzburzony ruszył obok Locharta. Nigdy nie widział Toma wyglądającego tak staro i z takim trudem stawiającego kroki. Robił wrażenie, jakby... ledwo uszedł z jakiejś katastrofy.

Gdy przechodzili obok hangaru, Rudi zauważył, że Jemeni patrzy na nich przez okno w biurze. Fowler Joines i inni mechanicy przerwali pracę i ruszyli w ich kierunku. Jednocześnie z kontenera Rudiego wyszedł Huszang. Rudi aż podskoczył.

- Och, Jezu - wydyszał. - HBC?

607

Lochart przystanął; nagle pobladł.

- Skąd, u diabła, o tym wiesz?

- Ale on powiedział, że HBC został zestrzelony! Jak się wydostałeś, jak?!

- Zestrzelony? - Lochart był wstrząśnięty. - Jezu, kto... kto to powiedział?

- Irański oficer, który stoi w drzwiach. Nie patrz na niego, na Boga. To on prowadził FI4. On go zestrzelił. - Rudi przywołał na twarz sztuczny uśmiech, chwycił Locharta za ramię i poprowadził go w kierunku najbliższego kontenera. - Prześpisz się u Jona Tyrera - powiedział

z wymuszoną jowialnością, a w chwili gdy zamknął za sobą drzwi, wyszeptał pospiesznie: -

Huszang zdradził, że wczoraj o zachodzie słońca zestrzelił HBC koło granicy z Irakiem!

Rozwalił go na kawałki. Jak się wydostałeś? Kto był na pokładzie? Szybko, powiedz mi, co się stało. Szybko!

- Ja... ja nie leciałem na ostatnim etapie. Nie byłem na pokładzie - odpowiedział Lochart, starając się zmusić mózg do pracy i mówić cicho, gdyż ściany kontenera były bardzo cienkie.

- Zostawili mnie w Dez Damie. Ja wró...

- Dez Dam? Co tam robiłeś? Kto cię zostawił? Lochart zawahał się. Wszystko działo się tak szybko.

- Nie wiem, czy powinienem, czy...

- Na rany Chrystusa, on tu przyjechał właśnie w sprawie HBC. Musimy natychmiast coś wymyślić. Kto był na pokładzie?

- Sami Irańczycy uciekający z Iranu, lotnicy z Is-fahanu: generał Seladi, ośmiu pułkowników i major z Isfahanu, nie znam ich nazwisk, generał Walik, jego żona i... - Lochartowi ledwie przeszło to przez gardło. - ...I dwoje dzieci.

Rudi był wstrząśnięty. Znał ze słyszenia Annusz i dzieci, a samego Walika kilkakrotnie spotkał.

- To straszne, straszne. Co, do cholery, mam mu powiedzieć?

608

- Co? O czym?

- Major Kazani i Huszang. Przyjechali pół godziny temu. Major właśnie odjechał, a ja mam sprawdzić, czy HBC należał do S-G, gdzie stacjonował i kto był na pokładzie. Mam wywołać Kowiss i o to zapytać. Huszang będzie słuchał, a on nie jest głupi. Jestem pewien, że widział

emblem S-G, zanim rozwalił helikopter na kawałki. Kowiss będzie musiał odpowiedzieć, że to nasza maszyna. Zawiadomią Teheran i wtedy koniec.

Lochart usiadł drętwo na jednym z wbudowanych łóżek.

- Ostrzegałem ich! Mówiłem, żeby poczekali do zmroku! Co mam, do cholery, zrobić?

- Zwiewać. Ja... - Zamarli, gdyż rozległo się pukanie do drzwi.

- Szefie, to ja. Fowler. Przyniosłem herbatę, pewnie Tom chciałby się napić.

- Dzięki. Za chwilę, Fowler - krzyknął i zniżył głos: - Tom, co opowiadasz ludziom?

- Najlepsze, co mogłem wymyślić, to to, że wracam z wakacji w Luristanie, na południe od Kerman-szahu. Chodziłem po górach, z powodu śniegu utkwilem na tydzień w jakiejś wiosce, a teraz właśnie się wydostałem.

- Dobra. W której bazie teraz jesteś? Lochart wzruszył ramionami.

- Zagros.

- Dobra. Pokazywałaś już komuś dokumenty?

296

- Tak. Kasjerowi na dworcu w Ahwazie i paru Zielonym Opaskom.

- Scheisse!

Rudi otworzył drzwi.

Fowler Joines wniósł tacę z herbatą.

- Co słysząc, Tom? - zapytał z uśmiechem.

- Miło cię widzieć, Fowler. Nadal klniesz?

- Nie tak jak Effer Jordon. Jak się czuje mój stary kumpel?

609

Locharta ogarnęła fala zmęczenia. Oparł się o ścianę. Zagros i Effer Jordon, Rodrigues, Jean-Luc, Scot Gavallan i inni wydawali się czymś tak odległym.

- Ma jeszcze swój kapelusz - odpowiedział z wysiłkiem.

Z wdzięcznością przyjął herbatę. Była gorąca, gęsta, aromatyczna, ze słodkim mlekiem skondensowanym. Najlepszy stawiacz-na-nogi na świecie. Co powiedział Rudi? Mam zwiewać? Nie mogę, uznał, zasypiając. Nie bez Szahrazad...

Rudi szybko przekazał Fowlerowi historyjkę Locharta.

- Puść to w obieg. Mechanik zamrugał powiekami.

- Łażenie po górach? Tom Lochart? Po jakichś górach? Upadłeś na głowę, Rudi, stary draniu?

Rudi spojrzał na niego.

- Właśnie tak, stary. - Fowler chciał zapytać Locharta, ale ten już spał, z twarzą wykrzywioną zmęczeniem. - Psiakrew! On... - Zwrócił na Rudiego przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu, osadzonych głęboko w po-brużdżonej twarzy. - Puszczę to w obieg, jakbym głosił jakąś ewangelię. - Wyszedł.

Zanim zamknęły się drzwi, Rudi zobaczył, że koło kontenera czeka Huszang. Żałował, że zostawił go samego na tak długo. Spojrzał na Locharta. Biedny stary Tom. Co on robił w Isfahanie? Boże, co za zamieszanie! Co, u diabła, mam teraz zrobić? Delikatnie wyjął

filiżankę z dłoni Locharta, ale Kanadyjczyk natychmiast się obudził.

Przez chwilę Lochart nie wiedział, czy już się zbudził, czy jeszcze śni. Waliło mu serce, głowa pękała z bólu. Wydawało mu się, że stoi na pomoście, nad wodą. Rudi wyglądał jak Ali. Lochart nie wiedział, czy rzucić się na niego, czy do wody. Chciał krzyknąć: "Nie strzelaj!"

- Chryste, myślałem, że to Ali - wydyszał. - Przepraszam. Już wszystko w porządku.

610

- Ali?

- Pilot. Pilot z HBC. Ali Abbasi. Miał mnie zabić. Na wpół rozbudzony Lochart opowiedział, co się wydarzyło. Zobaczył, że twarz Rudiego zrobiła się biała jak kreda.

- O co chodzi?

Rudi wskazał kciukiem na drzwi.

- Ten za drzwiami to jego brat. Huszang Abbasi. To on zestrzelił HBC...

TEHERAN, 16:17. Obaj mężczyźni patrzyli z niepokojem na teleks zainstalowany w biurze S-G, usytuowanym na dachu budynku.

- Prędzej, na Boga! - mruknął McIver i spojrzał na zegarek. 125 miał przylecieć o piątej trzydzieści. - Zbierajmy się, z ruchem ulicznym nigdy nic nie wiadomo.

Gavallan bujał się w starym, trzeszczącym fotelu.

- Tak, ale nie ma jeszcze Genny. Wyruszymy, gdy tylko ona dotrze. Jeśli dojdzie do najgorszego, mogę wywołać Aberdeen z Asz Szargaz.

- Jeśli Johnny Hogg przebrnie przez kontrolę Kiszu i Isfahanu, a także w Teheranie.

- Tym razem wylądaje. Czuję, że nasz mułła Teh-rani bardzo chce mieć nowe okulary. Mam nadzieję, że Johnny je kupił.

297

612

- Ja też.

Dopiero dzisiaj komitet pozwolił codzoiemcom na powrót do budynku. Przed południem sprzątałi i uruchamiali generator, w którym oczywiście zabrakło paliwa.. Niemal natychmiast teleks ożył: Pilne! Proszę potwierdzić, że teleks działa i poinformować pana Mchera, że mam teleks z Avisyard dla szefa. Czy on jest jeszcze w Teheranie? Teleks nadała z Aberdeen Elizabeth Chen. Słowo "Avisyard" było kodem spółki, używanym rzadko, oznaczającym ściśle tajną wiadomość przeznaczoną tylko dla McIvera, który powinien w takim wypadku osobiście obsługiwać teleks. Dodzwonił się do Aberdeen za czwartym razem.

- Jak dotąd go nie straciliśmy - powiedział Gaval-lan, modląc się w duchu.

- Ja też tak myślałem. - McIver rozluźnił ramiona. - Domyślasz się, o co chodzi z tym Avisyard?

- Nie.

Gavallan ukrył smutek, myśląc o prawdziwym Avi-syard, zamku Avisyard, gdzie spędził tyle szczęśliwych lat z Kathy, która wymyśliła ten kod. Nie myśl o Kathy, upomniał się. Nie teraz.

- Nie znoszę tych cholernych teleksów. Zawsze nawalają - powiedział McIver.

Był niespokojny, głównie z powodu wczorajszej kłótni z Genny, kiedy to nalegał, żeby odleciała dziś 125, a także z powodu braku wiadomości o losach Locharta. Na domiar złego żaden z irańskich pracowników biurowych nie przyszedł dziś do pracy; stawili się tylko piloci. McIver odesłał ich wszystkich, poza Pettikinem, któremu wyznaczył dyżur. Nogger Lane przyszedł koło południa. Powiedział, że jego lot z mułłą Tehranim, sześcioma członkami Zielonych Opasek i pięcioma kobietami przebiegał bez zakłóceń.

- Myślę, że nasz przyjaciel mułła chciałby się przelecieć także jutro. Oczekuje cię punktualnie o siedemnastej trzydzieści na lotnisku.

- W porządku, Nogger. Zmień Charliego.

613

- Daj spokój, Mac, chłopie. Pracowałem ciężko przez cały ranek, a Paula jest jeszcze w mieście.

- Świetnie o tym wiem, "chłopie". Na razie wygląda na to, że zostanie jeszcze przez tydzień!

- odparł McIver.

- Zmienisz Charliego, usiądziesz dupą na krześle i uaktualnisz nasze księgi. Jeszcze słowo, a wyślę cię do jakiejś cholerniej Nigerii!

Czekali, mając ponurą świadomość, że teleksy biegły częściowo liniami telefonicznymi.

- Między nami a Aberdeen jest cholernie dużo drutu

- mruknął McIver.

- Ruszamy, gdy tylko będzie tu Genny - powiedział Gavallan. - Upewnię się, że radzi sobie w Asz Szargaz, zanim odjadę do domu. Masz rację, że się przy tym upierasz.

- Ja to wiem, ty wiesz i cały Iran wie, a ta cholernica nie.

- Te kobiety... - zauważył dyplomatycznie Gavallan. - Czy mogę jeszcze coś zrobić?

- Chyba nie. Przyciśnięcie dwóch pozostałych współników bardzo nam pomogło.

Wytropił ich Gavallan. Nazywali się Mohammad Siamaki i Turiz Bachtiar; to ostatnie nazwisko było w Iranie bardzo częste, gdyż pochodziło od bogatego i potężnego, ludnego szczepu Bachtiarów, którego jednym z wodzów był były premier. Gavallan wyrwał od nich 5

milionów riali w gotówce - trochę ponad 60 tysięcy dolarów - co było tylko ułamkiem tego, co się S-G należało. Wymusił też obietnicę wpłacania następnych kwot co tydzień, w zamian za przyrzeczenie i odręcznie napisane zobowiązanie, że zwróci te pieniądze osobiście "poza krajem, gdyby było to konieczne, oraz zapewni przelot 125, gdyby było to konieczne".

- Dobrze, ale gdzie jest Walik? Jak mogę się z nim skontaktować? - zapytał Gavallan, udając, że nie wie o jego ucieczce.

298

- Już mówiliśmy: jest z rodziną na wakacjach - odparł Siamaki niegrzecznie i arogancko jak zwykle.

614

- Skontaktuje się z panem w Londynie lub Aberdeen w sprawie naszych funduszy na Bahamach.

- Naszych wspólnych funduszy, drogi współniku. Chodzi o prawie cztery miliony za już wykonaną pracę, niezależnie od zaległych od dawna opłat leasingowych za nasze helikoptery.

- Gdyby działały banki, mielibyście już te pieniądze. To nie nasza wina, że sprzymierzeńcy Szacha zrujnowali Iran. My nie odpowiadamy za tę katastrofę. A co do należności, czyż dawniej nie płaciliśmy?

- Tak. Zwykle z sześciomiesięcznym opóźnieniem, ale rzeczywiście, drodzy przyjaciele, w końcu wyszar-pywaliśmy od was nasze pieniądze. Skoro jednak, jak powiedział mułła Tehrani, wszystkie joint ventures zostały zawieszony, jak będziemy teraz działać?

- Niektóre joint ventures, a nie wszystkie. Pańskie informacje są przesadzone i niedokładne, Gavallan. My mamy wrócić jak najszybciej do zwykłej pracy. Załogi mogą wyjechać, gdy tylko dotrą tu ich zastępcy. Pola naftowe muszą podjąć pełną produkcję. Nie będzie żadnych problemów. Aby jednak zapobiec ewentualnym kłopotom, wzmocniliśmy jeszcze bardziej naszą spółkę. Jutro mój czcigodny kuzyn, minister finansów Ali Kia, wejdzie do rady nad...

- Chwileczkę! Ja zatwierdzam wszelkie zmiany w składzie rady!

- Zatwierdzał pan; teraz jednak rada przegłosowała zmianę regulaminu. Jeśli chce pan wystąpić przeciw radzie, może pan wnieść tę sprawę na najbliższym zebraniu w Londynie, lecz na razie taka zmiana jest konieczna i rozsądna. Minister Kia zapewnił nas, że uzyskamy zwolnienie... Oczywiście, pobory i odsetki ministra Kia pochodzą z pańskiego udziału...

Gavallan próbował nie patrzeć na teleks, było to jednak trudne. Starał się wymyślić, jak można by uniknąć tej pułapki.

- Chwilami wydaje się, że wszystko idzie dobrze, a potem znowu wali się na głowę.

- Tak, tak, Andy. Masz rację. Dzisiaj był Talbot.

615

Wczesnym rankiem spotkali się na krótko z Talbotem.

- Och, tak stary. Joint ventures to teraz już ostatecznie niepotrzebny balast, przykro mi -

powiedział sucho. - "Góra" zadekretowała zawieszenie działania wszystkich do chwili podjęcia decyzji. Nie raczono mnie poinformować, jakich decyzji i czyich, a także, o jaką

"górze" chodzi. Zakładamy, że ten dekret z Olimpu pochodzi od starego kochanego komitetu, ktokolwiek wchodzi w jego skład. Odwrotna strona medalu, stary, jest taka, że ajatollah i premier Bazargan powiedzieli, iż wszystkie zagraniczne długi będą honorowane. Oczywiście Chomeini przebijają Bazargana i wydaje do jego przepisów kontrprzepisy, a Komitet Rewolucyjny przepisy Bazargana uchyla. Komitety lokalne składają się ze strażników, którzy swą własną wersję prawa traktują jak ewangelię; żaden łobuz nie złożył jeszcze broni.

Więzienia się zapełniają, głowy spadają, a już nawet poza tymi wszystkimi szafotami słychać stary znajomy dzwonek, który zdaje się sugerować, że powinniśmy na razie wycofać się do Margate.

- Mówisz poważnie?

- Nasze zalecenia wycofania tej części personelu, która nie jest absolutnie niezbędna, są nadal aktualne. Trzeba czekać na otwarcie lotnisk, które nastąpi Bóg wie kiedy, choć jest obiecanie na

sobotę. Współpracujemy z British Airways; mają dać czarterowe 747. Co do czcigodnego Alego Kia, jest on mniej znaczącym urzędnikiem, naprawdę mniej; nie ma ani władzy, ani dobrze ustawionych przyjaciół. Przy okazji: dowiedzieliśmy się właśnie, że ambasador amerykański w Kabulu został porwany przez antykomunistę, szyickiego fundamentalistę, mudżaheddina, który próbował wymienić go za innego mudżaheddina, 299

przetrzymany przez prosowiecki rząd. Zginął w strzelaninie, jaka się z tego powodu wywiązała. Robi się trochę gorąco...

Teleks zgrzytnął. Zamarli, ale maszyna nie zaczęła działać. Zaklęli.

616

- Gdy dotrę do Asz Szargaz, będę mógł zatelefonować do biura i dowiedzieć się, o co chodzi...

Gavallan spojrział na otwierające się właśnie drzwi. O dziwo, był to Erikki, który, razem z Azadeh, miał się z nimi spotkać na lotnisku. Erikki uśmiechał się jak zwykle, ale tym razem w jego uśmiechu nie było wesołości.

- Dzień dobry, szefie, cześć Mac.

- Witaj, Erikki. O co chodzi? - McIver rzucił mu ostre spojrzenie.

- Drobną zmianą planów. My, to znaczy Azadeh i ja, jedziemy najpierw do Tebrizu.

Poprzedniego dnia po południu Gavallan radził, żeby Erikki i Azadeh wyjechali natychmiast.

"Znajdziemy jakieś zastępstwo. Polećcie jutro ze mną. Może w Londynie uda się załatwić dokumenty dla Azadeh"...

- Skąd ta zmiana, Erikki? - zapytał. - Azadeh nie chce wyjeżdżać bez irańskich dokumentów?

- Nie. Godzinę temu otrzymaliśmy wiadomość. Ja dostałem wiadomość od jej ojca. Masz, sam przeczytaj.

Erikki wręczył napisaną ręcznie notkę Gavallanowi, który przeczytał ją razem z McIverem: Od Abdolla-ha-chana do kapitana Yokkonena. Wymagam, aby moja córka wróciła tu natychmiast i proszę cię o udzielenie jej na to pozwolenia. U dołu widniał podpis: Abdollah-chan. Na odwrocie ten sam tekst w farszi.

- Jesteś pewien, że to jego pismo? - zapytał Gaval-lan.

- Azadeh jest pewna; zna też posłańca - odparł Erikki i dodał: - Posłaniec niczego więcej nam nie powiedział. Poinformował tylko, że toczą się tam walki.

- Szosa nie wchodzi w rachubę. - McIver zwrócił się do Gavallana. - Może nasz mułła Tehrani dałby Erikkiemu zezwolenie? Nogger mówił, że podczas porannej przejażdżki zachowywał się jak dziecko

w lunaparku. Moglibyśmy wyposażyć 206 Charliego w zbiorniki paliwa dalekiego zasięgu. Erikki poleciałby razem z Nog-gerem albo kimś innym, kto odprowadziłby maszynę z powrotem.

617

- Erikki, wiesz, jakie to ryzykowne? - odezwał się Gavallan.

- Tak. - Erikki nie powiedział im jeszcze o zabójstwach.

- Wzięłaś wszystko pod uwagę? Rakoczego, zaporę drogową, samą Azadeh? Moglibyśmy na przykład podrzucić Azadeh, ciebie wsadzić do 125, a ją odesłać sobotnim lotem.

- Daj spokój, szefie. Nigdy byś tak nie postąpił. Nie mogę zostawić jej samej.

- Oczywiście, ale trzeba to było omówić. Dobrze, Erikki, zajmij się dodatkowymi zbiornikami, a my spróbujemy załatwić zezwolenie. Radzę, żebyście wrócili jak najszybciej do Teheranu i wyjechali w sobotę 125. Oboje. Byłoby dobrze przenieść cię na przykład do Australii, Singapuru, może Aberdeen, choć tam mogłoby być dla Azadeh za zimno. Daj mi znać, gdy się na coś zdecydujesz. - Gavallan uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Powodzenia w Tebrizie.

- Dziękuję. - Erikki zawahał się. - Są jakieś wieści o Tomie Locharcie?

- Nie, jeszcze nie. Nie możemy wywołać Kowissu ani Bandar Dejlamu. A co? Szahrazad się niepokoi?

- Gorzej. Jej ojciec jest w więzieniu Ewin...

- Jezu Chryste! - wybuchł McIver. Gavallan był równie wstrząśnięty; słyszał pogłoski o aresztowaniach i plutonach egzekucyjnych. - Dlaczego?

- Miał być przesłuchany przez komitet. Nikt nie wie po co i jak długo będą go trzymać.

- No cóż, jeśli to tylko przesłuchanie... - zaczął z niepokojem Gavallan. - Co się stało, Erikki?

300

- Szahrazad przysłała do domu jakieś pół godziny temu, cała we łzach. Gdy wczoraj wieczorem wróciła po kolacji do domu rodziców, zastała tam istne piekło. Dowiedziała się, że jakiś oddział Zielonych Opasek przybył na bazar, schwycił emira Paknuriego - pamiętacie jej byłego męża - za "zbrodnie przeciwko islamowi", a Bakrawanowi rozkazał stawić się o świcie na przesłuchanie. Powodu nikt nie zna. - Erikki westchnął.

618

- Odprowadziła go dzisiaj do więzienia, ona, jej matka, siostry i brat. Byli tam od świtu.

Czekaliby nadal, ale o drugiej przepędzili ich strażnicy.

Zapadło ponure milczenie. Przerwał je Erikki.

- Mac, spróbuj połączyć się z Kowissem i poproś, żeby skontaktowali się z Bandar Dejlmem. Tom powinien wiedzieć o tej sprawie z ojcem Szahrazad. - Zauważył wymianę spojrzeń pomiędzy McIverem i Gavalla-nem. - Co się dzieje z Tomem?

- Jest na czarterze do Bandar Dejlamu.

- Już to mówiłeś. Mówił to Mac i Szahrazad. Tom powiedział jej, że wróci za kilka dni. -

Erikki czekał. Gavallan tylko na niego spojrzał. - No cóż - rzekł

- musisz mieć jakieś powody...

- Tak sędzę - odparł Gavallan.

I on, i McIver byli przekonani, że Tom Lochart nie poleciałby dobrowolnie do Kuwejtu, niezależnie od wysokości proponowanej mu przez Walika łapówki. Obaj obawiali się, że został do tego zmuszony.

- W porządku, ty jesteś szefem. Dobra, już idę. Przykro mi, że przyniosłem złe wieści, ale uznałem, iż powinniście wiedzieć. - Erikki uśmiechnął się z przymusem. - Szahrazad nie była w dobrej formie. Do zobaczenia w Asz Szargaz!

- Im szybciej, tym lepiej, Erikki.

- Gdybyś wpadł na Gen, nie mów jej o ojcu Szah-razd, dobrze? - poprosił McIver.

- Oczywiście.

Gdy za Erikkim zamknęły się drzwi, McIver powiedział:

- Bakrawan jest zbyt ważnym kupcem, jak na takie przyspieszone aresztowanie.

- Właśnie. - Po chwili Gavallan dodał: - W Bogu nadzieja, że Erikki nie wpadnie w jakąś pułapkę. Ta wiadomość śmierdzi, bardzo...

Obaj podskoczyli z wrażenia, słysząc stukot teleksu. Czytali wiersz po wierszu, gdy tylko się wyłaniały. Gavallan zaczął kłąć i nie przestał, dopóki maszyna się nie zatrzymała.

619

- Żeby Imperial Helicopters szczyła w piekle! Oderwał wydruk, a Mac potwierdził odbiór.

Gaval-

lan jeszcze raz przeczytał tekst, nadany ponownie przez Liz Chen: Drogi Szefie, próbowaliśmy

kontaktować się z tobą co godzinę od chwili, gdy Johnny Hogg powiedział, że zostałeś w Teheranie. Niestety mam złe wiadomości. W poniedziałek, wczesnym rankiem, Imperial Air i Imperial Helicopters ogłosiły wspólnie "nowe rozwiązania finansowe" przyjęte w celu wzmocnienia ich pozycji konkurencyjnej na Morzu Północnym.

IH uzyskała zgodę na odpisanie 17,1 miliona z pieniędzy podatników i skapitalizowanie następnych 48 milionów z ich 68-milionowego długu poprzez wystawienie weksła spółce głównej zamiast spłaty zadłużenia. Dowiedzieliśmy się już poufnie, że 18 spośród 19

kontraktów z Morza Północnego, które miały być przedłużone przez różne firmy, przyznano IH po kosztach rzeczywistych. Thurston Dell z ExTex pragnie pilnie z tobą pomówić. Nasi operatorzy w Nigerii potrzebują pilnie trzech, powtarzam: trzech 212 - czy możesz je dać z nadwyżek w Iranie? Zakładam, że polecisz dzisiaj z Johnem Hoggiem do Asz Szargaz albo Dubaju. Proszę o radę! Mac, jeśli Wielki Szef już wyjechał, poradź mi ty. Pozdrowienia dla Genny.

301

- Wydmuchali nas! - powiedział Gavallan. - To jest cholerny rozbój w biały dzień! Pieniądze podatników!

- Więc wnieśmy sprawę do sądu - rzekł nerwowo McIver, zaniepokojony barwą twarzy Gavallana. Nieuczciwa konkurencja!

- Nie mogę, na Boga! - Potem wykrzyknął jeszcze głośniej: - Dopóki nie ucichnie wrzask w rządzie, mogę się najwyżej wybrandzlować! Skoro nie muszą spłacać swego prawnego długu, mogą wysuwać oferty niższe nawet od naszych kosztów! Dew neh loh moch z Callag-hanem i jego całą lewicową bandą!

- Daj spokój, Andy, nie wszyscy są lewicowi!

- Wiem, na Boga! - ryknął Gavallan. - Ale prawie! - Potem jego łagodne usposobienie wzięło górę nad furją; roześmiał się, choć serce nadal waliło mu mocno.

620

- Ten cholerny rząd - dodał kwaśno. - Nie odróżniają własnej dupy od dziury w ziemi.

McIver czuł, że jemu także trzęsą się ręce.

- Chryste, Andy, myślałem, że krew cię zaleje. - Dobrze wiedział, co oznacza ten teleks. Sam ulokował wszystkie posiadane pieniądze w akcjach i udziałach S-G. - Osiemnaście kontraktów na dziewiętnaście; to godzi w całość naszych operacji na Morzu Północnym!

- To godzi w nas wszędzie. Z takimi odpisami IH może nas wygryźć na całym świecie.

Thurston pragnie ze mną porozmawiać? To by oznaczało, że ExTex chce przynajmniej renegecować z nami warunki umowy z powodu nowej, "poprawionej" oferty IH. A ja podpisałem kontrakt na nasze

X63. - Gavallan wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Zobaczył, że w drzwiach stoi Nogger Lane. - Czego chcesz, do cholery?

- Niczego specjalnego, proszę pana. Myślałem, że wybuchł pożar... - Nogger Lane pośpiesznie zamknął drzwi.

- Andy - powiedział cicho McIver. - Struan... Czy oni nie mogliby ci pomóc?

- Struan tak, choć w tym roku nie tak łatwo, ale nie Linbar. - Gavallan także ściszył głos. -

On zatańczy z radości, kiedy się dowie. Terminy wydarzeń nie mogły ułożyć się dla niego lepiej.

Uśmiechnął się krzywo, myśląc o telefonie lana Dunrossa i jego przestrofach. Nie mówił o tym McIverowi; McIver nie należał do Struana, choć był także przyjacielem lana. Skąd, u diabła, lan wytrzasnął tę informację?

Wyglądził teleks. Problemy z Imperial Helicopters osiągnęły punkt kulminacyjny. Sześć miesięcy temu IH skaptowała rozmyślnie jednego z wyższych urzędników firmy, który dzielił

z Gavallanem wiele sekretów S-G. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu Gavallan stracił na rzecz IH bardzo ważną ofertę Rady Handlowej Morza Północnego - po całym roku pracy nad tą ofertą i dokonaniu dużych inwestycji. Specyfikacje rady handlowej 621

miały rozwinąć elektroniczne wyposażenie powietrz-no-morskich operacji ratunkowych, prowadzonych przez helikoptery we wszystkich warunkach pogodowych w dzień i w nocy, tak aby śmigłowce mogły bezpiecznie i szybko przebyć sto kilometrów Morza Północnego, zawisnąć w powietrzu, zabrać ośmiu ludzi z morza i wrócić - w sztormie, w warunkach zero-zero. W zimie, nawet w specjalnym kombinezonie ratunkowym, maksymalny czas przetrwania rozbitka nie przekracza godziny.

Wobec entuzjazmu lana Dunrossa - "Nie zapomnij o tym, Andy. Taka wiedza i sprzęt pasowałyby też świetnie do naszych zamierzonych przedsięwzięć na morzach chińskich" -

Gavallan poświęcił pół miliona funtów i rok pracy nad skonstruowaniem elektronicznych systemów naprowadzania, wspólnie ze spółką zajmującą się elektroniką. Potem, gdy nadszedł

Wielki Dzień, pilot przeprowadzający oficjalne próby stwierdził, że nie może posługiwać się wyposażeniem, choć sześciu pilotów S-G, włącznie z Tomem Lochartem i Rudim Lutzem, 302

nie miało z tym później żadnych kłopotów. Zresztą S-G i tak nie uzyskałaby na czas koniecznego certyfikatu.

Ten cały śmierdzący interes jest dlatego nie fair - napisał McIverowi - że IH dostała kontrakt, posługując się 661 Guerneya z duńskim nie dopuszczonym sprzętem na pokładzie. Nas zwodzili, a im dali fory. Poza tym len sukinsyn, pilot przeprowadzający test, musiał być ich; nie mogę tego udowodnić, ale założyłbym się o grube pieniądze: został wysłany na "długi wypoczynek". Och, odzyskalibyśmy w jakiś rok zainwestowane pieniądze, gdyż nasz sprzęt był lepszy, bezpieczniejszy i

wytwarzany w Wielkiej Brytanii. Tymczasem Imperial działa na poziomach bezpieczeństwa, którym, według mnie, wiele jeszcze brakuje.

To właśnie liczy się naprawdę, pomyślał, jeszcze raz przebiegając wzrokiem teleks.

Bezpieczeństwo i jeszcze raz bezpieczeństwo.

- Mac, mógłbyś wysłać do Liz odpowiedź? Przekaż: "Wyruszam do Asz Szargaz, zatelefonuję, gdy tam do-622

tre". Wyślij też teleks do Thurstona i zapytaj, co by zaoferował, gdybym podwoił liczbę zamówionych X63...

- Co takiego?

- No cóż, samo pytanie nic nas nie kosztuje. IH usłyszy wkrótce o naszych problemach tutaj, a ja nie chcę dopuścić, żeby ci sodomici zaczęli się do nas dobierać; lepiej wytrącić ich trochę z równowagi. Zawsze możemy wykorzystać dwa X63, które są tutaj, żeby obsłużyć wszystkie kontrakty Guerneya, gdyby coś się zmieniło. Nadaj teleks. Do zobaczenia wkrótce.

- W porządku.

Gavallan usiadł w fotelu, gromadząc siły. Muszę teraz być bardzo silny. I sprytny. To wszystko może wykończyć i mnie, i S-G, a także dać Linbarowi wszystko, czego potrzebuje.

To i Iran razem wzięte. Głupio tak stracić panowanie nad sobą. Przydałoby mi się Drzewo Krzyków Kathy. Ach, Kathy, Kathy.

Drzewo Krzyków wiązało się ze starym obyczajem klanu. Specjalne drzewo, wybrane przez seniora klanu, gdzieś w pobliżu, gdzie można było pójść samotnie, gdy diijabeł - jak nazywała to Babcia Dunross, babcia Kathy - "gdy diijabeł w tobie siedział; można tam kłąć, wrzeszczeć i znowu kłąć, aż wyczerpie się wszystkie przekleństwa; potem nigdy nie klnie się już przy mężu, żonie, kochance czy dziecku. Drzewo, tylko drzewo, może znieść wszystkie klątwy, a nawet samego diijab-ła".

Po raz pierwszy skorzystał z Drzewa Krzyków w Hongkongu. To była jakaranda w ogrodzie Wielkiego Domu, rezydencji tajpana Struana. Tajpanem był wtedy Ian, brat Kathy. Gavallan pamiętał dokładnie datę: to była środa 21 sierpnia 1963 roku - noc, w której mu powiedziała.

Biedna Kathy, moja Kathy, pomyślał. Ciągle jeszcze ją kochał. Kathy, urodzona pod nieszczęśliwą gwiazdą. Straciłaś głowę dla Johna Selkirka, porucznika RAF-u, udekorowanego Krzyżem Lotniczym. Natychmiast wyszłaś za niego, nie miałaś jeszcze osiemnastu lat; gdy owdowiałaś, nie byłaś nawet o trzy miesiące starsza.

623

Pozostała po nim tylko pustka na niebie. Cholerna wojna! Potem następna tragedia: dwóch ukochanych braci zabitych w akcji, jeden z nich - twój bliźniak. Poznałem cię w czterdziestym

szóstym w Hongkongu. Pokochałem cię od razu; pragnąłem z całego serca przynieść ci choć trochę szczęścia. Wiem, że udało się to Melindzie i Scotowi - okazali się tacy wspaniali. A potem, w sześćdziesiątym trzecim, przed twoimi trzydziestymi ósmymi urodzinami, stwardnienie rozsiane.

Wróciliśmy do Szkocji, czego zawsze pragnęłaś; ja, żeby zrealizować plany lana, ty, żeby odzyskać zdrowie. Ale to się nie udało. Widziałem, jak umierasz. Widziałem twój słodki uśmiech, którym skrywałaś piekło, taka odważna, łagodna, mądra i kochająca. Ale odchodziłaś, z miesiąca na miesiąc, tak powoli, a jednocześnie prędko, nieubłaganie. W

303

sześćdziesiątym ósmym siedziałaś już w fotelu na kółkach; umysł nadal sprawny, głos czysty, ale reszta bezwładna, trzęsąca się skorupa. Potem 1970.

Spędzali Boże Narodzenie w Castle Avisyard. Drugiego dnia nowego roku, gdy inni wyjechali, a Melinda i Scot byli na nartach w Szwajcarii, Kathy powiedziała:

- Andy, kochanie. Nie przetrwam tego roku, miesiąca ani dnia.

- Tak - odrzekł po prostu.

- Przykro mi, ale będę potrzebowała pomocy. Muszę odejść i... I jest mi przykro, że to tak długo trwa... Ale teraz muszę odejść, Andy. Powinam zrobić to sama, ale potrzebuję pomocy. Dobrze?

- Dobrze, kochanie.

Przez cały dzień i wieczór rozmawiali. Mówili o dobrych rzeczach i dobrych czasach, i o tym, co powinien zrobić dla Melindy i Scota. Chciała, żeby ożenił się po raz drugi; mówiła mu, jak cudownie żyło się razem z nim. Śmiali się, a ona nie płakała, dopiero później. Podtrzymał

jej sparaliżowaną rękę, w której trzymała pigułki nasenne, pomagał opanować drżenie głowy, podał szklankę wody - z odrobiną whisky. Nie puścił jej, dopóki drżenie nie ustało.

624

Lekarz powiedział grzecznie:

- Nie winię jej. Na jej miejscu zrobiłbym to już wiele lat wcześniej. Biedna pani.

Gavallan poszedł wtedy do Drzewa Krzyku. Nie krzyczał jednak, niczego nie mówił, tylko płakał.

- Andy?

- Tak, Kathy?

Podniósł wzrok i zobaczył Genny. McIver stał koło drzwi; oboje patrzyli na niego.

- Och, witaj, Genny. Przepraszam, byłem myślami bardzo daleko. - Wstał. - Myślę, że to Avisyard obudził we mnie wspomnienia.

Genny spojrzała uważnie.

- Och, ten teleks? Nikt nie zginął?

- Nie, nie, dzięki Bogu. To tylko stare sztuczki Imperial Helicopters.

- Och, dzięki Bogu - westchnęła z ulgą Genny. Miała ha sobie grube palto i ładny kapelusz.

Duża walizka została w drugim pokoju, w którym czekali też Nogger Lane i Charlie Pettikin.

- No dobrze, Andy - rzekła. - Skoro udało ci się przekonać McIvera, sądzę, że powinniśmy już wyjść. Jestem gotowa i zawsze będę.

- Daj spokój, Gen, nie... - McIver urwał, gdy władczy gestem nakazała mu milczenie.

- Andy - powiedziała słodko. - Przekaż, proszę, McIverowi, że bitwa się rozpoczęła.

- Gen, czy ty...

- Rozpoczęła, na Boga! - Z furią odprawiła Nog-gera od swojej walizki, podniosła ją, lekko zachwiała się pod jej ciężarem i ruszyła do wyjścia z jeszcze większą furią. - Dziękuję bardzo, ale mogę nieść swoją walizkę.

Zostawiła za sobą pustkę. McIver westchnął, Nogger Lane z trudem zachowywał powagę.

Gavallan i Charlie Pettikin uznali, że najlepiej zachować neutralność.

- No cóż, nie musisz z nami jechać, Charlie - odezwał się szorstko Gavallan.

- Chciałbym pojechać, jeśli można - odparł Pettkin. Naprawdę to nie chciał, ale McIver poprosił go prywatnie o wsparcie w utarczce z Genny.

625

- Masz ładny kapelusz, Genny - pochwalił Pettikin, gdy zjedli już razem z Paulą dobre śniadanie. Genny uśmiechnęła się słodko.

- Nie próbuj mi schlebiać, Charlie Pettikin. Tak naprawdę mam już dość mężczyzn w ogóle...

Gavallan włożył parkę. Wziął teleks i schował do kieszeni.

304

- W gruncie rzeczy, Charlie - powiedział, nie skrywając zatroskania - gdybyś nie miał nic przeciwko

temu, a chyba nie masz, muszę jeszcze pogadać o czymś z Makiem.

- Jasne, oczywiście. - Pettikin wyciągnął rękę, starannie skrywając radość. Nie jadąc na lotnisko, zyskiwał kilka dodatkowych godzin z Paulą. Jasna Paula, tak nazywał ją w myślach od śniadania, choć była brunetką. Do McIvera rzekł: - Spotkamy się w domu.

- Dlaczego nie miałbyś tu zostać? O zmroku chcę wywołać wszystkie bazy. Potem możemy wrócić razem. Chciałbym, żebyś wszystkiego dopilnował. Nogger, jesteś wolny.

Nogger Lane promieniał, a Pettikin klął w myślach. McIver prowadził samochód, Gavallan siedział obok niego, a Genny z tyłu.

- Mac, pomówmy o Iranie.

Omówili krótko wszystkie możliwości. Każda prowadziła do tego samego ponurego wniosku: musieli mieć nadzieję, że sytuacja wróci do normy, banki zaczną działać, wypłacą im należności, że ich joint venture zostanie wyłączone z zakazu, i że nie zostaną załatwieni.

- Musisz po prostu ciągnąć to wszystko dalej, Mac. Gdy będziemy mogli działać, musisz kontynuować, niezależnie od problemów, jakie napotkasz.

McIver był równie poważny.

- Wiem, ale jak mam działać bez pieniędzy? Co z opłatami leasingowymi?

- Jakoś podrzucę ci pieniądze na bieżące wydatki. W ciągu tygodnia wykombinuję w Londynie gotówkę. Mogę też wytrzymać bez opłat leasingowych za helikop-626

tery i części przez następnych kilka miesięcy; mógłbym nawet zrobić to samo z X63, jeśli uda mi się przełożyć płatności, ale, hmm, nie wiedziałem, że stracę tak wiele kontraktów na rzecz IH; może uda mi się niektóre odzyskać. Tak czy inaczej, na razie będzie trochę cienko, ale nie martw się. W Bogu nadzieja, że Johnny wreszck wylądjuje. Muszę dostać się do domu. Tak wiele jest do zrobienia...

McIver ledwie uniknął zderzenia z samochodem, który wypadł z bocznej uliczki, omal nie rzuciło go do rowu, ale zdołał wjechać z powrotem na drogę.

- Cholerny kretyn! Wszystko w porządku, Gen?

Spojrzał w lusterko i drgnął na widok jej kamiennej

twarzy.

Gavallan także wyczuł chłód Genny. Zaczął coś do niej mówić, ale wkrótce zamilkł.

Ciekawe, czy mógłbym skontaktować się z Ianem; może on wyciągnąłby mnie z tej przepaści.

Ta myśl przypominała mu tragiczną śmierć Davida MacStruana. Tak wielu z nich: Strua-nów,

Dunrossów, ich wrogów: Gorntów, Rothwellsów, Brocksów w zamierzonych czasach zginęło gwałtowną śmiercią, zaginęło bez wieści na morzu lub zmarło w następstwie dziwnych wypadków, łan na razie przeżył. Ale na jak długo? Ile razy może się udać?

- Chyba doszedłem do swojego ósmego razu, Andy - powiedział Dunross, gdy widzieli się ostatnio.

- Co tym razem?

- Nic wielkiego. Bomba podłożona w jakimś samochodzie w Bejrucie. Wybuchła zaraz potem, gdy koło niego przeszedłem. Nie ma się czym przejmować. Jak już ci mówiłem, nie układa się to w żaden logiczny ciąg. Po prostu w życiu spotykają mnie różne atrakcje.

- Jak w Makau?

Dunross uwielbiał wyścigi samochodowe; startował w wielu Grand Prix w Makau. W

sześćdziesiątym piątym, gdy wyścig był jeszcze amatorski, wygrał go, ale opona prawego przedniego koła strzeliła na mecie. Wpadł na barierę, odbił się i wrócił z powrotem na tor; inne samochody musiały go omijać; jeden nie zdążył.

627

305

Wyciągnęli kierowcę z samochodu, posługując się palnikami; był cały i zdrowy, poza tym, że stracił lewą

stopę.

- Jak w Makau, Andy - powiedział Dunross ze swym dziwnym uśmiechem. - Po prostu dwa niewinne wypadki. Za drugim razem eksplodował silnik, ale kierowcy nic się nie stało.

Szeptano, że ktoś majstrował przy silniku, wskazując, nie publicznie jednak, jego wroga, Quillana Gornta.

Quillan nie żyje, lecz łan tak, pomyślał Gavallan. Ja także. I Linbar - ten sukinsyn będzie trwał wiecznie... Chryste Panie, te moje rozmyślenia są już chorobliwe i głupie; trzeba z tym skończyć. Mac ma prawdziwe zmartwienia; musimy znaleźć jakieś wyjście z tej pułapki.

- W nagłych wypadkach, Mac, będę przysyłał wiadomości przez Talbota. Ty rób tak samo.

Na pewno wrócę za kilka dni; do tego czasu będę już miał przygotowane odpowiedzi na twoje pytania. Na razie zostawię w bazie 125; Johnny może być naszym kurierem. W tej chwili to najlepsze, co mogę zrobić...

Genny, która nie wypowiedziała ani jednego słowa i - choć grzeczna - nie dała się wciągnąć w rozmowę, słuchała jednak z uwagą i była bardziej niż zmartwiona. To oczywiste, że nie ma tu dla nas

przyszłości. Chętnie wyjechałabym, gdyby Duncan wyjeżdżał ze mną. Nie możemy po prostu podwinąć ogonów pod siebie i uciec, pozwolić, żeby praca Duncana i jego wszystkie oszczędności zostały skradzione. To by go zabiło tak pewnie jak kula. Uff!

Chciałabym, żeby zrobił to, o co go prosiłam: przeszedł na emeryturę w zeszłym roku, jeszcze za czasów Szacha. Mężczyźni! Cholerni idioci! Wszyscy! Chryste Panie, jacy mężczyźni są głupi!

Jechali teraz bardzo wolno. Dwukrotnie musieli omijać wzniesione na drodze barykady, strzeżone przez uzbrojonych mężczyzn, choć nie z Zielonych Opasek, którzy gniewnie zatrzymywali samochody i nakazali objazd. Gdzieś, wśród zwałów śmieci, poniewierały się zwłoki. Widać było wypalone skorupy samo-628

chodów, a nawet jeden spalony czołg. Wśród odpadków krążyły głodne psy. Raz rozległy się strzały; skręcili w boczną uliczkę, żeby nie dostać się w sam środek walki toczonej przez Bóg wie kogo. Zbłąkany pocisk z bazooki trafił w pobliski budynek, ale nie wyrządził im krzywdy. McIver ominął wypalony kadłub autobusu. Cieszył się, że namówił wreszcie Genny do wyjazdu z Iranu. Znowu spojrzął w lusterko wsteczne; zobaczył bladą twarz pod kapeluszem i pomyślał o żonie serdecznie. Ona jest cholernie dobra, stwierdził z dumą, taka odważna, choć z drugiej strony uparta jak osioł. Do diabła z tym jej kapeluszem. Kapelusze do niej nie pasują. Dlaczego, do diabła, nie robi tego, co jej każe, tylko zawsze się spiera?

Biedna, stara Gen. To taka ulga, że będzie wreszcie bezpieczna.

W pobliżu lotniska utknęli w korku. Setki samochodów wypakowanych ludźmi. Wielu Europejczyków, mężczyzn, kobiet i dzieci, wyruszyło na lotnisko, gdy tylko rozeszła się pogłoska, że jest znowu otwarte. Rozzłoszczeni ludzie z Zielonych Opasek zawracali wszystkich. Do drzew i płotów poprzybijano prymitywne tabliczki z napisami w farsi i po angielsku, z błędami: Lotnisko zakazane teraz. Lotnisko otwarte poniedziałek - Za biletami i wizami wyjazdowymi.

Pokonanie bariery zabrało im pół godziny. Udało się to wreszcie za sprawą Genny. Podobnie jak większość żon, które musiały robić zakupy i porozumiewać się ze służącymi, znała trochę farsi. Choć milczała przez całą drogę, teraz wychyliła się przez okno i powiedziała coś grzecznie do strażników. Od razu pozwolono im przejechać.

- Mój Boże, Gen, to było wspaniałe! - oświadczył McIver. - Co powiedziałaś temu sukinsynowi?

- Andy - rzekła zadowolonym tonem. - Powiedz, proszę, panu McIverowi, że poinformowałam ich, iż on jest nosicielem ospy i ma opuścić kraj.

306

Bramy prowadzącej do obszaru frachtowego i ich biura pilnowali inni członkowie Zielonych Opasek, tym razem jednak poszło łatwiej; widać było, że oczekuje się 629

ich przybycia. 125 stał już na pasie startowym; był otoczony Zielonymi Opaskami i ciężarówkami. Dwaj motocykliści nakazali im jechać za sobą i ruszyli przodem z rykiem silników.

- Dlaczego się spóźniliście? - zapytał ze złością mułła Tehrani, schodząc po schodkach 125 w towarzystwie dwóch uzbrojonych rewolucjonistów. Gavallan i McIver zobaczyli, że ma nowe okulary. Dostrzegli też Johna Hogga w kabinie i jednego rewolucjonistę siedzącego u szczytu schodni z karabinem automatycznym wycelowanym poziomo. - Samolot musi natychmiast startować. Dlaczego jesteście spóźnieni?

- Tak mi przykro, ekscelencjo, te korki na ulicach. In sza a Allah, tak mi przykro -

odpowiedział ostrożnie McIver. - Z tego, co mówił kapitan Lane, zrozumiałem, że pańska praca dla Ajatollaha, oby żył wiecznie, przebiegała bez zakłóceń?

- Nie starczyło czasu na wykonanie całej pracy. Bóg tak chciał. Trzeba polecieć jeszcze jutro.

Niech pan to załatwi. Na dziewiątą.

- Z przyjemnością. Oto dzisiejsza lista przewozowa załogi i pasażerów.

McIver wręczył mu dokument. Figurowali na nim Gavallan, Genny i Armstrong; ten ostatni jako wyjeżdżający na urlop.

Tehrani bez trudu odczytał listę; widać było, że jest zachwycony okularami.

- Gdzie jest ten Armstrong?

- Och, myślałem, że już czeka na pokładzie.

- Na pokładzie nie ma nikogo oprócz załogi - wyjaśnił zniecierpliwiony mułła. Radość z odzyskanego wzroku była tak wielka, że górowała nad zdenerwowaniem wynikającym z tego, iż zezwolił na lądowanie. Cieszył się z tej decyzji. Okulary były darem bożym. Do tego pilot obiecał, że przywiezie mu za tydzień drugą parę na wypadek, gdyby pierwsza się stłukła, i trzecią do czytania... Och, Bóg jest wielki. Jest wielki: sprawił, że pilot o wszystkim pomyślał, i że ja mogę tak dobrze widzieć. - Samolot musi natychmiast wystartować.

630

- Pan Armstrong zwykle się nie spóźnia, ekscelencjo - powiedział Gavallan, marszcząc brwi.

Armstrong nie odezwał się od wczoraj ani do niego, ani do McIvera; nie przyszedł też wieczorem do niego do domu. Dziś rano Talbot się tym nie zmartwił. Przypuszczał, że coś musiało Armstronga zatrzymać, ale nie ma się czym przejmować, na pewno stawi się na lotnisku. - Może czeka w biurze - zasugerował Gaval-lan.

- Nie ma tam nikogo, kogo nie powinno być. Samolot musi lecieć. Nie będzie czekał. Proszę na pokład! Samolot odlatuje.

- Świetnie - odparł Gavallan. - Bóg tak chciał. Przy okazji: chcielibyśmy dostać zezwolenie na powrót 125 w sobotę i na lot 206 na jutro do Tebrizu. - Uroczyście wręczył mulle starannie

wypełnione formularze.

- Ten 125 może wrócić, ale nie ma lotu do Tebrizu. , Może w sobotę.

- Ale ekscelencjo, czy...

- Nie! - odparł mułła, świadom obecności innych Irańczyków. Poleciał usunięcie ciężarówki blokującej pas startowy, spojrzał na wysiadającą z samochodu Genny i skinął z aprobatą głową. Gavallan i McIver byli zdumieni, gdy zauważyli, że Genny schowała teraz włosy pod woalką spływającą z kapelusza, co w połączeniu z obszernym paltem sprawiało niemal wrażenie, że ma na sobie czador. - Proszę na pokład.

- Dziękuję, ekscelencjo - odparła w dobrym farsi, powtarzając z należytą powagą frazę, którą doskonalila przez cały ranek ze słownikiem w ręku. - Ale za pańskim pozwoleniem zostanę.

Mój mąż chwilowo nie myśli tak spójnie, jak powinien, pan jednak, człowiek tak inteligentny, 307

zrozumie, że choć żona nie może sprzeciwiać się mężowi, to napisane zostało, że ktoś musi się opiekować nawet prorokiem.

- To prawda, prawda - odparł mułła i spojrzał z namysłem na McIvera. McIver, nic nie rozumiejąc, tylko wytrzeszczał oczy ze zdumienia. - Może pani zostać.

631

- Dziękuję - powiedziała Genny głosem nabrzmiałym szacunkiem i uległością. - Zatem zostanę. Dziękuję panu, ekscelencjo, za zgodę i mądrość. - Ukryła wesołość i dumę z własnej przebiegłości. Przeszła na angielski: - Duncan, mułła Tehrani zgadza się, że powinnam zostać. - Dostrzegła jego dzikie spojrzenie i dodała pospiesznie: - Poczekam w samochodzie.

Dotarł do samochodu przed nią.

- Właż, cholero, na pokład - krzyknął. - Albo wsadzę cię siłą do samolotu!

- Nie bądź głupi, Duncan, kochanie! - poprosiła.

- I nie krzycz; to źle wpływa na twoje ciśnienie. - Dojrzała zbliżającego się Gavallana i to odebrało jej trochę pewności siebie. Zauważyła brudny śnieg, brudne niebo i wpatrzonych w nią skwaszonych młodych ludzi.

- Wiesz, tak naprawdę to kocham ten kraj - powiedzia-.. ła radośnie. - Jak mogłabym wyjechać?

- Ty, ty, cholera, wyjeżdżasz i...

McIverowi ze złości odebrało mowę. Przez chwilę Genny przestraszyła się, że posunęła się za daleko.

- Wyjadę, Duncan, jeśli ty wyjedziesz. Od razu. Nie będę tego powtarzać. Jeśli spróbujesz zawlec mnie do samolotu siłą, zrobię takie piekło, że ten samolot i całe lotnisko trafią do królestwa niebieskiego! Andy, wytłumacz to temu... tej osobie! Och, wiem, że możecie wprowadzić mnie do samolotu siłą, ale jeśli to zrobicie, straciecie twarz, a znam was obu jak zły szeląg! Andy!

Gavallan wybuchnął śmiechem.

- Mac, dograłeś się!

Mimo gniewu McIver także się roześmiał, a mułła potrząsnął z niedowierzaniem głową, myśląc o dziwactwach niewiernych.

- Gen, ty... ty to zaplanowałaś - wybuchnął McIver.

- Kto? Ja? - Była chodzącą niewinnością. - Co za pomysł!

- Dobrze, Gen - powiedział McIver ze szczęką nadal wysuniętą do przodu - dobrze, wygrałaś, ale straciłaś nie tylko twarz, ale wszystko, z ogonem włącznie.

632

- Na pokład! - wrzasnął mułła.

- Co z Armstrongiem? - zapytał McIver.

- Zna reguły gry. - Gavallan uściskał Genny i wymienił uścisk dłoni z McIverem. - Do zobaczenia i uważaj na siebie.

Wszedł na pokład, odrzutowiec wystartował, a podczas długiej jazdy samochodem do biura ani Genny, ani Duncan McIver nie zauważyli upływu czasu. Oboje byli zamyśleni. Genny siedziała z przodu, z rękoma na kolanach. Była zmęczona, ale zadowolona.

- Jesteś dobrą kobietą, Gen - powiedział w chwili, gdy zostali sami - ale nie wybaczam ci tego.

- Tak, Duncan - odpowiedziała ulegle, jak odpowiadają dobre kobiety. - Od czasu do czasu.

- Wcale ci, do cholery, nie wybaczam.

- Tak, Duncan.

- I nie powtarzaj ciągle: Tak, Duncan! - Skupił się chwilę na prowadzeniu, a potem rzucił

szorstko: - Wolałbym, żebyś była bezpieczna w Asz Szargaz, ale cieszę się, że tu jesteś.

Nie odpowiedziała, wiedząc, że tak będzie mądrzej. Tylko się uśmiechnęła. I położyła dłoń na jego kolanie. Zawarli pokój.

Droga powrotna też nie była łatwa: następne objazdy, strzały, ciała i psy, wściekłe tłumy, śmieci; ulic nie sprzątało już od miesięcy, rowy od dawna zatkałe. Szybko zapadła noc i zrobiło się jeszcze zimniej. Dziwne samochody i wojskowe ciężarówki wyładowane ludźmi przemykały obok nich, nie przejmując się przepisami drogowymi.

- Jesteś zmęczony, Duncan? Może ja poprowadzę?

- Nie, dziękuję - odparł.

Był wyczerpany i ucieszył się, gdy wreszcie skręcili w swoją ulicę, ciemną i złowieszczą jak inne; jedyne światło sączyło się z okien ich podniebego biura. Wolałby zostawić samochód na ulicy, wiedział jednak, że wtedy ktoś ukradłby benzynę, mimo iż bak był zamknięty na klucz. Wjechał do garażu, zamknął samochód, zamknął garaż i ruszył za Genny schodami.

633

Na podeście czekał Charlie Pettikin.

- Cześć, Mac, dzięki Bogu... - Ujrzał Genny i urwał. - Och, Genny! Co, co się stało? 125 nie dotarł?

- To ona nie dotarła - wyjaśnił McIver. - Co się, u diabła, dzieje, Charlie?

Pettikin zamknął drzwi biura; spojrzał na Genny, która powiedziała zmęczonym głosem:

- Dobra, idę do toalety.

Chryste Panie, pomyślała, to wszystko jest tak cholernie głupie. Czy oni nigdy się niczego nie nauczą? Duncan i tak powtórzy mi wszystko, gdy będziemy sami; byłoby prościej, gdybym usłyszała to z pierwszej ręki. Powlokła się w stronę drzwi.

- Nie, Gen - rzekł McIver, a ona zatrzymała się z niedowierzaniem. - Postanowiłaś zostać, więc...

- Wzruszył ramionami. Zauważyła w nim jakąś zmianę; nie wiedziała jeszcze, czy na lepsze, czy gorsze. - Wal, Charlie.

- Rudi telefonował do nas niecałe pół godziny temu

- mówił pospiesznie Pettikin. - HBC został zestrzelony, nikt nie przeżył i...

Genny i McIver zbledli.

- Och, mój Boże! - Opadła na krzesło.

- Nie rozumiem, co się dzieje - powiedział bezradnie Pettikin. - To się nie trzyma kupy i jest jak w jakimś zwariowanym śnie, ale Tom Lochart nie dostał. Jest z Rudim w Bandar Dejamie. On...

McIver odetchnął.

- Tom żyje?! - wykrzyknął. - Wydostał się?

- Nie można się wydostać z zestrzelonego helikoptera. Jeśli to wszystko jest prawdą, to nic nie ma sensu. Tom przewoził części, a nie pasażerów, ale ten oficer twierdzi, że w śmigłowcu było wielu ludzi, a Rudi powiedział: "Przełącz panu McIverowi, że kapitan Lochart wrócił z urlopu". Nawet sam z nim rozmawiałem.

McIver wlepił w niego wzrok.

- Rozmawiałeś z nim? Nic mu się nie stało? Jesteś pewien? Z jakiego urlopu, na Boga?!

634

- Nie wiem, ale w każdym razie z nim rozmawiałem. Był przy aparacie.

- Poczekaj chwilkę, Charlie. Jak Rudi nas złapał? On jest w Kowissie?

- Nie, powiedział, że dzwoni z Kontroli Ruchu Powietrznego w Abadanie.

McIver wymruczał jakieś przekleństwo. Czuł ulgę na myśl o Locharcie, ale jednocześnie niepokoił go los Walika i jego rodziny. Dużo ludzi? Powinno być tylko czworo! Chciałby znać odpowiedź na dziesiątki pytań; wiedział też, że nie ma wyjścia z pułapki, w jaką wpadli on i Tom. Nie zdradził nikomu oprócz Gavallana prawdziwego zadania Locharta ani też swego dylematu i decyzji, jaką wreszcie podjął.

- Zaczniemy od początku, Charlie. - McIver spojrzał na zeszytniała Genny. - Dobrze się czujesz, Gen?

309

- Tak, tak. Zrobię herbaty.

Obu mężczyznom wydało się, że mówi z trudem. Pettikin przysiadł niepewnie na krawędzi biurka.

- O ile pamiętam dokładnie, Rudi powiedział: "Mam tu oficera lotnictwa irańskiego i muszę wiedzieć oficjalnie..." Przerwał mu inny głos: "Tu major Kazani z Wywiadu Lotnictwa!

Wymagam natychmiastowej odpowiedzi. Czy HBC to rejestracja 212 S-G, czy nie?" Żeby zyskać trochę na czasie, powiedziałem: "Chwileczkę, wezmę rejestr". Czekałem na jakąś wskazówkę od Rudiego, ale on się nie odezwał; uznałem więc, że wszystko w porządku.

Powiedziałem: "Tak, to jeden z naszych 212". Rudi natychmiast się wkurzył. Zaklął tak, jak jeszcze nigdy nie słyszałem, i powiedział coś w tym rodzaju: "Na Boga, to straszne. HBC

próbował uciec do Iraku, i irańskie lotnictwo słusznie go zestrzeliło. Wysłało go razem z wszystkimi,

którzy byli na pokładzie, do piekła, na które zasługiwali. Kto, do cholery, pilotował i kto był na pokładzie?" - Pettikin starł z czoła kropelkę potu. - Wtedy, Mac, zląkłem się, nie bardzo wiedziałem, co zrobić, a potem powiedziałem coś w tym rodzaju: "To straszne! Poczekaj, wezmę książkę lotów". Miałem nadzieję, że mój głos brzmi 635

mniej więcej tak jak powinien. Wziąłem książkę i zobaczyłem wykreślone nazwisko Noggera, z adnotacją "chory", a dalej Toma Locharta i twój podpis zatwierdzający czarter. - Spojrzał

bezradnie na McIvera. - Było jasne, że Rudi nie chciał, żebym zakapował Toma, powiedziałem więc tylko: "Według naszej książki lotów, maszyna nie była nikomu przydzielona"... McIver poczerwieniał.

- Ale jeśli...

- A co. lepszego mogłem na poczekaniu wykombinować? Rudi znowu zaczął kląć, ale tym razem miałem wrażenie, że słyszę w jego głosie ulgę. "Co ty, do cholery, wygadujesz?"

zapytał. "Właśnie panu mówię, kapitanie Lutz, że zgodnie z książką HBC jest teraz w hangarze w Doszan Tappeh. Ktoś musiał go porwać", powiedziałem, mając nadzieję, że to brzmi przekonująco. Poruszałem się w ciemnościach, Mac. Nadal nie wiem, o co chodzi.

Potem rozległ się ten drugi głos: "Ta sprawa zostanie natychmiast poddana badaniu właściwymi kanałami". W końcu powiedział, żebyśmy zabezpieczyli naszą dokumentację i że otrzymamy dalsze polecenia. Potem odezwał się Tom. Powiedział coś takiego: "Kapitanie Pettikin, proszę przekazać moje przeprosiny panu McIverowi. Wróciłem z urlopu później, gdyż z powodu śniegu nie mogłem się wydostać z wioski na południe od Kermanszahu.

Wyruszę do domu, gdy tylko będę mógł". - Pettikin odetchnął głęboko, spojrział na Genny, a potem znów na McIvera. - To wszystko. Co o tym myślisz?

- O Tomie? Nie wiem.

McIver podszedł do okna. Pettikinowi i Genny zdawało się, że widzą przygniatający go ciężar. Na parapecie leżał śnieg; wiatr wzmógł się trochę. Z oddali dobiegały sporadycznie odgłosy strzałów, ale żadne z nich nie zwracało na to uwagi.

- Genny?

- Ja... to nie ma sensu, żadnego, Charlie. Żadnego sensu, jeśli chodzi o Tommy'ego. - Zaczęła przygotowywać filiżanki, zadowolona, że ma co zrobić z rękoma.

636

Czuła, że jest bezradna. Miała ochotę płakać, krzyczeć o niesprawiedliwości wszystkiego.

Wiedziała, że Tom i Duncan są w pułapce. Duncan podpisał plan lotu. Wiedziała, że nie może nawet wspomnieć o Annusz, dzieciach czy Waliku. Czy byli na pokładzie? Musieli być. Ale w takim razie,

kim był pilot? - Porwanie... W zezwoleniu jest wyraźnie napisane, że leciał

Tom, jest podpis Duncana. Historyjka o porwaniu nie ma sensu.

- Teraz to wiem, ale wtedy brzmiało dobrze. - Pettikin czuł się okropnie. Wziął do ręki książkę. - Mac, co by było, gdybyśmy ją zgubili?

- Kontrola w Teheranie ma oryginał, Charlie. Tom uzupełniał paliwo. To będzie w papierach.

310

- W normalnych czasach na pewno. Ale teraz? W tym całym bałaganie?

- Być może.

- Może moglibyśmy odzyskać oryginał?

- Daj spokój, nie ma szans, dopóki piekło nie zamrznie.

Genny nalewała herbatę do filiżanek. Cisza stawała się nieznośna. Pierwszy odezwał się zrozpaczony Pettikin:

- Nadal nie rozumiem, jak Tom wystartował z Doszan Tappeh i potem... chyba że helikopter został porwany w drodze albo podczas tankowania. - Ze zniecierpliwieniem przebiegł palcami po włosach.

- To musiało być porwanie. Gdzie uzupełniał paliwo? W Kowis-sie? Może oni mogliby pomóc?

McIver nie odpowiedział; wpatrywał się w mrok za oknem. Pettikin czekał, przeglądając książkę lotów. Znalazł właściwą kopię i spojrzał na jej odwrotną stronę.

- Isfahan? - zdziwił się. - Dlaczego Isfahan? McIver i tym razem nie odpowiedział.

Genny dodała do herbaty skondensowanego mleka i podsunęła filiżankę Pettikinowi.

- Uważam, że postąpiłaś słusznie, Charlie - powiedziała, nie mogąc nic lepszego wymyślić.

Drugą filiżankę podała McIverowi.

637

- Dziękuję, Gen.

Zobaczyła w jego oczach łzy i sama też przestała powstrzymywać się od płaczu. Otoczył ją ramieniem, rozmyślając o Annusz i o bożonarodzeniowym przyjęciu, które on i Genny wydali dla wszystkich dzieci przyjaciół. To było tak niedawno! Mała Setarem i Dża-lal wygrywali wszystkie konkursy. Takie wspaniałe dzieci; teraz zamieniły się w popiół albo pokarm dla sępów.

- To dobrze, że Tom żyje, prawda, kochanie? - powiedziała przez łzy, zapominając o Pettikinie.

Zakłopotany Pettikin wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Żadne z nich tego nie zauważyło. - Dobrze, że żyje - powtórzyła. - To jedyna dobra wiadomość.

- Tak, Gen. Jedyna.

- Co możemy zrobić?

- Czekać. Poczekamy i zobaczymy. Możemy mieć nadzieję... choć, coś mi mówi, Genny, że oni jednak byli na pokładzie. - Czułym gestem otarł jej łzy. - W niedzielę, Gen, gdy przyleci 125, wsiądziesz do niego - powiedział łagodnie. - Przyrzekam, że wrócisz, jeśli tylko uda się nam to wszystko załatwić, teraz jednak musisz wyjechać.

Skinęła głową. McIver spróbował herbaty. Bardzo mu smakowała. Uśmiechnął się do żony.

- Robisz świetną herbatę, Gen - zauważył, ale nie odwróciło to jej uwagi od ponurych myśli: od strachu, smutku, wreszcie od furii wywołanej tym zabójstwem, jego bezsensownością, tą tragedią, która wdzierала się w ich życie i postarzała jej męża. Troski go zabijają, myślała z narastającym gniewem. Potem nagle znalazła odpowiedź.

Rozejrzała się, aby sprawdzić, czy w pokoju nie ma Pettikina.

- Duncan! - szepnęła. - Jeśli nie chcesz, żeby te sukinsyny skradły naszą przyszłość, dlaczego nie decydujesz się wyjechać i zabrać wszystkiego ze sobą?

- Co?

- Śmigłowce, części zamienne i personel?

638

- Nie możemy, Gen. Już sto razy ci to mówiłem.

- Ależ, tak. Możemy. Wystarczy chcieć i mieć dobry plan. - Powiedziała to z zaraźliwą pewnością siebie. - Jest Andy do pomocy. Andy może sporządzić plan, a my nie. Ty możesz go zrealizować, a on nie. Nie chcą nas tutaj, więc dobrze, wyjedziemy, ale zabierzemy ze sobą samoloty, części zamienne i szacunek do siebie samych. Musimy utrzymać wszystko w ścisłej tajemnicy. Możemy to zrobić; możemy! Wiem, że możemy.

C-m

311

cv cv

Sobota

17 lutego 1979

W KOWISSIE, 6:38. Mułła Hosejn siedział po turecku na cienkim materacu i sprawdzał

kałasznikowa. Sprawnym ruchem założył nowy magazynek.

- W porządku - powiedział.

- Czy dzisiaj będziesz jeszcze walczył? - zapytała go żona.

Stała w przeciwległym kącie izby, przy piecyku opalonym drewnem; grzała wodę na poranną kawę. Czarny czador maskował jej kolejną ciążę.

- Jak Bóg zechce.

Powtórzyła te słowa, próbując ukryć strach. Zastanawiała się, co z nią będzie, gdy jej mąż osiągnie męczeństwo, którego tak żarliwie szuka. Miała ochotę wejść na minaret i krzyczeć, że Bóg nie powinien wymagać takiego poświęcenia od niej i jej dzieci. Siedem lat małżeństwa, a w tym czasie troje żywych dzieci

645

i czworo martwych oraz nędza - to zbyt wielki kontrast z życiem, jakie przedtem prowadziła.

Jej rodzina miała jatkę na bazarze. Zawsze było co jeść, dużo śmiechu, wychodzenia z domu bez czadom, pikniki, nawet kino. Teraz troski pobruździły jej ładną kiedyś twarz. Bóg tak chciał, ale to niesprawiedliwe! Kto zechce pomóc rodzinie martwego mułły?

Ich najstarszy syn, Ali, mały, sześciolatek, przykucnął przy drzwiach jednoizbowej chatki wzniesionej obok meczetu i z uwagą naśladował ruchy ojca. Jego dwaj maleńcy bracia, trzy- i dwuletni, zasnęli na swych materacach ze słomy na brudnej podłodze, otuleni starym wojskowym kocem. Zwinęli się w kłębek jak kocięta. W izbie były poza tym: prymitywny drewniany stół, dwie lampy, kilka rondli, duży i mały materac, rozłożone na starych dywanach, lampka oliwna. Myli się w rowie i do rowu wyrzucali odpadki. Żadnych ozdób na wypłowiałych ścianach z wysuszonej gliny. Kran z wodą czasami działał. Muchy i owady. W

niszy, na honorowym miejscu, wysłużony egzemplarz Koranu.

Ledwie minął świt chłodnego, pochmurnego dnia, a Hosejn zdążył już wezwać wiernych na poranną modlitwę w meczecie, starannie wyczyścić i naoliwić broń oraz założyć nowy magazynek. Teraz będzie sprawny jak zawsze, pomyślał z zadowoleniem, gotów do wykonania bożej pracy. Karabinek będzie miał masę roboty. Mój kałasznikow jest o wiele lepszy niż M14: prostszy, mocniejszy, doskonały w ciasnych uliczkach. Głupi Amerykanie.

Jak zwykle popełnili głupotę. Zrobić dla piechoty zbyt skomplikowany karabin, precyzyjny na odległość tysiąca metrów, podczas gdy zwykle dystans jest krótki, prawie nigdy nie przekracza trzystu. Kałasznikowa można przez cały dzień taplać w błocie, a on nadal będzie robił to, co ma robić: zabijać. Śmierć wszystkim wrogom Boga!

Były już starcia pomiędzy Zielonymi Opaskami a islamskimi marksistami i innymi lewakami w Kowissie, a jeszcze więcej w Gaczsaranie, pobliskim miasteczku z rafinerią naftową, w kierunku północno-zachodnim.

646

Wczoraj, po zmroku, poprowadził Zielone Opaski na jedną z kryjówek Tude. Zdradził, licząc na wybaczenie, jeden z uczestników zebrania, które się tam odbywało. Wybaczenia nie było.

Rozgorzała krótka, krwawa bitwa. Jedenastu zabitych - miał nadzieję, że byli wśród nich przywódcy. Jak dotąd, Tude nie wystąpiła jeszcze otwarcie całą swą siłą, zwołano jednak masową demonstrację na jutro po południu, aby udzielić wsparcia innej demonstracji Tude w Teheranie, choć Chomeini wyraźnie przed tym przestrzegał. Konfrontacja była już zaplanowana. Obie strony o tym wiedziały. Wielu umrze, pomyślał ponuro. Śmierć wszystkim wrogom islamu!

312

- Proszę - powiedziała żona, podając mu gorący, słodki nektar, czarną kawę, jedyny luksus, na jaki sobie pozwalał, choć nie w piątki i święta, nie mówiąc już o świętym miesiącu ramadan, kiedy to z radością wyrzekał się kawy.

- Dziękuję, Fatima - odparł grzecznie.

Gdy został mułłą, ojciec i matka znaleźli ją dla niego, a jego mentor, Ajatollah Isfahani, powiedział mu, żeby się ożenił. Usłuchał.

Wypił z rozkoszą kawę i oddał żonie małą filiżankę. Małżeństwo nie sprowadziło go z jego drogi, choć od czasu do czasu lubił zasypiać obok niej, przy jej dużych pośladkach, dających ciepło w mroźne zimowe noce. Czasami odwracał ją, posiadał, a potem znów zasypiał, choć nigdy w spokoju. Spokój osiągnę w raju, tylko tam, pomyślał z rosnącym podnieceniem. To już tak niedługo. Bogu dzięki, zostałem nazwany na cześć imama Husajna, Pana Męczenników, który zginął w bitwie pod Kerbelą trzystaście stuleci temu, drugiego syna imama Alego Wielkiego Męczennika, zamordowanego w Kufie.

Nigdy go nie zapomnimy, pomyślał niemal z ekstazą, która łagodziła ból aszury, dziesiątego dnia muhar-ranu - to tylko kilka tygodni temu - rocznicy męczeństwa, najświętszego dla szyitów dnia żałoby. Hosejn jeszcze dziś miał na grzbiecie czerwone pręgi. Tamtego 647

dnia był znowu w Komie, tak jak w zeszłym roku i jeszcze w poprzednim, biorąc udział w procesjach aszury, oczyszczających pochodach. Wraz z dziesiątkami tysięcy innych Irańczyków okładał się batem oraz łańcuchem i szarpał ciało hakiem, aby przypomnieć sobie o świętym męczeństwie.

Odzyskanie zdrowia, ustąpienie bólu, trwało zwykle wiele tygodni. Jak Bóg chce, powiedział

sobie z dumą. Ból jest niczym, świat jest niczym. Stałem naprzeciw Peszadiego w bazie lotniczej, przejąłem tę bazę i opanowałem ją, a jego związanego wysłałem zgodnie z rozkazem do Isfahanu. A teraz, dziś, najpierw pójdę znowu do bazy, aby przesłuchać cudzoziemców i wziąć ich w karby

razem z tym sunnitą Zatakim, który myśli, że jest Dżyngis-chanem. Po południu znów poprowadzę wiernych przeciwko tym ateistom z Tude i wykonam bożą pracę, słuchając imama, który słucha tylko Boga. Modlę się, aby wpuszczono mnie dzisiaj do raju i abym mógł tam wyciągnąć się na poduszkach obrobionych brokatem, gdzie w zasięgu ręki wiszą owoce obydwu ogrodów. Znajome słowa Koranu stale były obecne w jego myślach.

- Nie mamy jedzenia - przerwała te rozmyślania żona.

- Dziś będzie jedzenie w meczecie - odparł. Jego syn Ali nastawił ucha i przestał nawet oganiać się od much. - Od dziś ani ty, ani dzieci nie będziecie głodni. Będziemy codziennie wydawać potrzebującym chareszt i ryż, jak to robiliśmy na przestrzeni wieków. - Uśmiechnął

się do Alego i poczochnął mu włosy. - Bóg wie, że my też jesteśmy potrzebujący.

Od powrotu Chomeiniego meczety powróciły do pradawnego obyczaju wydawania prostych, lecz pożywnych posiłków, które stanowiły formę zakatu, jałmużny czy dobrowolnego podatku płaconego przez wszystkich muzułmanów albo też były kupowane za pieniądze pochodzące z zakatu, który stał się znowu jedynym przywilejem meczetów. Hosejn posłał

serię klątw pod adresem Szacha, który zniósł dwa lata temu 648

doroczne subsydia dla meczetów i rúułów, wpędzając ich w nędzę i wywołując cierpienia.

- Przyłącz się do ludzi czekających przed meczetem

- powiedział. - Gdy wszyscy zostaną już nakarmieni, weź tyle, żeby starczyło dla ciebie i dzieci. Możesz to robić codziennie.

- Dziękuję ci.

- Podziękuj Bogu.

- Tak, na pewno podziękuję. Wciągnął buty i zarzucił na ramię karabin.

313

- Czy mogę pójść z tobą, ojcze? - zapytał Ali cienkim, piskliwym głosem. - Ja też chcę wykonywać bożą pracę.

- Oczywiście. Chodź ze mną.

Fatima zamknęła za nimi drzwi i usiadła na ławie. W brzuchu burczało jej z głodu. Czowała, że jest chora i słaba, zbyt słaba, żeby opędzić się od much siadających na twarzy. Już od ośmiu miesięcy nosiła w sobie dziecko. Akuszerka powiedziała, że tym razem będzie ciężej niż zwykle, gdyż dziecko jest źle ułożone. Fatima zaczęła płakać; przypomniała sobie agonię czworga swoich dzieci.

- Nie martw się - pocieszała ją stara akuszerka

- jesteś w rękach Boga. Trochę świeżego nawozu wielbłąda na brzuchu zabierze od ciebie ból.

Rodzenie dzieci to obowiązek kobiety, a ty jesteś młoda.

Młoda? Mam dwadzieścia dwa lata i jestem stara, stara, stara. Wiem o tym i wiem dlaczego.

Mam oczy i mózg; umiem się nawet podpisać. Wiem, że byłoby nam lepiej, wiem to od imama, gdyby wyrzucić wszystkich cudzoziemców i pozbyć się ich diabelskich obyczajów.

Imam, niech Bóg go chroni, jest mądry i dobry. Rozmawia z Bogiem i słucha tylko Boga, a Bóg wie, że kobieta nie jest tylko rzeczą, własnością mężczyzny, nad którą można się do woli znęcać, jakby tego chcieli niektórzy fanatycy. Imam ochroni nas przed ekstremistami i nie pozwoli na uchylenie Ustawy o Rodzinie, wydanej przez Szacha, która dała nam prawo głosu i ochronę przed uproszczonym rozwodem. Imam nie

649

pozwoli, aby odebrano nam nasze prawo do głosu i uzyskaną swobodę, także prawo do noszenia czadorów tylko wtedy, gdy ma się na to ochotę. Nie pozwoli, gdyż widzi, jak bardzo jesteśmy temu przeciwni. Nie pozwoli, widząc naszą wierność.

Fatima otarła łzy i poczuła się lepiej na myśl o planowanej za trzy dni demonstracji. Ból trochę ją opuścił. Tak, my, kobiety, będziemy demonstrowały na ulicach Kowissu, dumnie wspierając nasze siostry w wielkich miastach: Teheranie, Komie i Isfahanie. Z powodu Hosejna włożę oczywiście czador. Och, jak pięknie będzie okazać naszą solidarność jednocześnie z kobietami i rewolucją.

Wiadomości o planowanych w Teheranie marszach obieły cały Iran. Nie były sprawdzone, ale kobiety wiedziały swoje. Wszędzie postanowiły zrobić to samo; wszystkie były za, nawet te, które nie śmiały tego powiedzieć.

W BAZIE LOTNICZEJ, 10:20. Starke obserwował z wieży S-G lądujący z wysuniętym podwoziem odrzutowiec 125. Maszyna dotknęła ziemi i hamowała pełną mocą silników. W

wieży byli także Zataki, teraz gładko ogolony, Esfandiari i dwóch ludzi z Zielonych Opasek.

- Skręć w prawo na końcu pasa. Echo Tango Lima Lima - rzucił gardłowym głosem do mikrofonu sierżant Wazari, młody kontroler lotów, wyszkolony w Siłach Powietrznych USA.

Nie nosił schludnego munduru, tylko jakieś cywilne łachy. Miał pokiereszowaną twarz, rozbity nos i spuchnięte uszy, brakowało mu trzech zębów. Pobił go Zataki. Teraz Wazari nie mógł oddychać przez nos. - Zatrzymaj się przed główną wieżą bazy.

- Odebrałem - rozległ się w głośniku głos John-ny'ego Hogga. - Powtarzam: mamy zezwolenie na zabranie trzech pasażerów, zostawienie pilnie potrzebnych części zamiennych i natychmiastowy odlot do Asz Szar-gaz. Proszę o potwierdzenie.

650

Wazari zwrócił się z obawą do Zatakiego.

- Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo, ale co mam odpowiedzieć?

- Nic nie mów, glisto. - Zataki wziął swój krótki pistolet maszynowy. Odezwał się do Starke'a: - Powiedz swojemu pilotowi, żeby zaparkował, wyłączył silniki i wysadził

wszystkich z samolotu. Odrzutowiec będzie przeszukany. Jeśli go zwolnię, będzie mógł

polecieć dalej, a jeśli nie, to nie będzie mógł. Pójdiesz ze mną. I ty też - dodał pod adresem Esfandiariego i wyszedł.

314

Starke chciał podążyć za nim, ale młody sierżant chwycił go za ramię i wyszeptał patetycznie:

- Na miłość boską, kapitanie, niech mi pan pomoże dostać się na pokład. Zrobię wszystko, wszystko...

- Nie mogę. To po prostu niemożliwe - odparł Starke ze współczuciem w głosie. Dwa dni temu Zataki zebrał wszystkich i na ich oczach zbił sierżanta za "zbrodnie przeciwko rewolucji", zmusił do zjedzenia nieczystości, po czym bezmyślnie zbił go po raz drugi. Tylko Manueli i ciężko chorym pozwolono nie wziąć udziału w tym wydarzeniu. - Niemożliwe!

- Proszę, błagam pana. Zataki to wariat, on mnie żabi...

Wazari odwrócił się przerażony, gdy w drzwiach stanął jeden z Zielonych Opasek. Starke wyszedł za nim, skrywając niepokój. Freddy Ayre czekał przy dziapie, w którym siedzieli już Manuela, jeden z brytyjskich pilotów i Jon Tyrer z bandażem na oczach. Manuela miała na sobie luźne spodnie i długi płaszcz. Włosy ukryła pod lotniczą czapką.

- Jedź za nami, Freddy - powiedział Starke i usiadł obok Zatakiego na tylnym siedzeniu oczekującego samochodu. Esfandiar zwinął sprzęgło i ruszył ostro, aby dogonić 125, który skręcał właśnie z głównego pasa startowego. Towarzyszyły mu ciężarówki z ludźmi z Zielonych Opasek i dwa motocykle z kierowcami wymachującymi niebezpiecznie rękoma. -

Wariaci! - mruknął Starke.

651

Zataki błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- Entuzjaści, pilocie, nie wariaci.

- Wedle woli Boga.

Zataki spojrzał na Starke'a; przestał już żartować.

- Mówisz naszym językiem, czytałeś Koran i znasz nasze obyczaje. Nadszedł czas, abyś odmówił szahadę wobec dwóch świadków i został muzułmaninem; byłbym zaszczycony, będąc świadkiem.

- Ja też - wtrącił szybko Esfandiari; on także chciał pomóc w zbawieniu duszy, choć z innego powodu: IranOil potrzebowało pilotów, żeby wznowić produkcję, jeszcze zanim wyszkoli się lotników irańskich, a muzułmanin Starke mógłby być jednym z nich. - Ja też byłbym zaszczycony.

- Dziękuję - odparł Starke w farsi.

Już kiedyś wpadła mu do głowy podobna myśl. Pewnego dnia, gdy w Iranie panował spokój, a on sam musiał latać tylko tyle, ile chciał, opiekować się swymi ludźmi i żartować razem z Manuela i dziećmi. Czy to mogło być zaledwie pół roku temu? Powiedział do Manuela:

- Wiesz, w islamie jest tak wiele wspaniałych rzeczy.

- Czy masz na myśli posiadanie czterech żon, kochanie? - zapytała słodkim głosem, a on natychmiast stał się czujny.

- Daj spokój, Manuelo. Mówiłem poważnie. W islamie jest wiele dobrego.

- Dla mężczyzn, ale nie dla kobiet. Czyż Koran nie mówi: Wszyscy wierni, to znaczy wszyscy mężczyźni, będą leżeć na jedwabnych poduszkach i będą hurysy, których nie tknął

ani człowiek, ani dzin? Conroe, kochanie, nigdy nie mogłam się w tym połapać. Dlaczego one powinny być wiecznymi dziewicami? Czy to ma takie znaczenie dla mężczyzn? I czy kobiety też zrobią taki dobry interes: młodość i tylu jurnych młodzieńców, ilu zapragną?

- Czy zaczniesz wreszcie słuchać tego, co mówię? Chodzi o to, że gdybyś żyła na pustyni, w Arabii Saudyjskiej czy na Saharze... pamiętasz, jak wybraliśmy się w Kuwejcie na pustynię? Tylko ty i ja. Gwiazdy wielkie jak ostrygi i ten ogromny spokój, noc tak czysta i nieskończona. My byliśmy tak mali i znaczyliśmy tak mało. Pamiętasz, jak poruszyła nas Nieskończoność? Pamiętasz, jak powiedziałem, że rozumiem już, że gdybym był nomadą i mieszkał w namiocie, islam by mną oświadczył?

- A pamiętasz, kochanie, jak ci odpowiedziałam, że nie urodziliśmy się w jakimś cholernym namiocie?

315

Uśmiechnął się na wspomnienie tego, jak objął ją wtedy i pocałował. Posiedli się pod gwiazdami i czuli siebie nawzajem. Później wyjaśnił:

- Chodziło mi o to, jak czysta jest nauka Mahometa, jak wobec ogromnej przestrzeni, tak przerażającej w swym ogromie, człowiek potrzebuje bezpiecznego nieba. Islam może dać takie niebo. Tylko islam, według oryginalnej nauki Mahometa, a nie tego, co z nią zrobili fanatycy.

- Jasne, dlaczego nie, kochanie? - odparła swym najbardziej słodkim głosem. - Nie żyjemy jednak na

pustyni, nigdy nie będziemy, a ty jesteś Conroe "Duke" Starke, pilot helikopterowy.

W chwili gdy zaczniesz kombinować coś z tymi czterema żonami, ja odejdę, ja i dzieci; nawet Teksas nie będzie na tyle duży, żebyś uciekł przed tym niebываłym wygaworem, który otrzymasz od Manueli Rosity Santa de Cuellar Perez, słodki baranku, kochanie...

Starke spostrzegł, że Zataki wpatruje się w niego; wciągnął w płuca smród benzyny przemieszany z zapachem śniegu i wiatru.

- Może któregoś dnia to zrobię - zwrócił się do Zatakiego i Esfandiariego. - Może zrobię, ale wtedy, gdy Bóg tak zechce, nie ja.

- Może Bóg to przyspieszy. Marnujesz się jako niewierny.

Teraz jednak Starke skoncentrował myśli na 125 kołującym na miejsce postoju i Manueli, która musiała dziś wyjechać. To dla niej trudne, cholernie trudne, ale musi.

652

653

Tego dnia wczesnym rankiem McIver powiedział Starke'owi przez radio, że 125 ma zezwolenie na lądowanie w Kowissie, pod warunkiem, że Kowiss także wyrazi na to zgodę.

Powiedział, że samolot przywiezie części zamienne i będzie mógł zabrać z powrotem trzech pasażerów. Major Czangiz i Esfandiariego zgodzili się, choć dopiero wtedy, gdy Starke w obecności Zatakiego powiedział poirytowanym głosem:

- Wiecie, że zmiana naszych załóg jest już bardzo spóźniona. Jeden z 212 od dawna czeka na części, a dwa 206 powinny przejść przegląd po tysiącu pięciuset godzinach lotu. Jeśli nie dostanę części i świeżych załóg, nie będę mógł działać, ale to wy będziecie odpowiedzialni za niewykonywanie rozkazów Ajatollaha Chomeiniego, a nie ja.

Samochód zatrzymał się przy wygaszającym silniku 125. Drzwi nie były jeszcze otwarte; Starke widział Johna Hogga, który wyglądał przez okno kokpitu. Maszynę otaczały ciężarówki i karabiny; ludzie z Zielonych Opasek niespokojnie kręcili się wokół niej.

Zataki spróbował krzyku, a potem wystrzelił w powietrze.

- Odsunąć się od samolotu - rozkazał. - Na Boga i proroka, tylko moi ludzie będą go przeszukiwać! Odsunąć się! - Ludzie z Zielonych Opasek niechętnie cofnęli się o kilka kroków. - Pilocie, powiedz im, żeby szybko otworzyli drzwi. Niech prędko wysiadają, bo zmienię zdanie i każę im odlecieć!

Starke pokazał Hoggowi uniesiony kciuk. Po chwili drugi pilot otworzył drzwi. Opadła schodnia. Zataki natychmiast wbiegł na górę z pistoletem maszynowym gotowym do strzału.

- Ekscelencjo, to nie jest potrzebne - krzyknął Starke. - Wszyscy wychodzić. Jak najszybciej, dobra?

Pasażerów było ośmiu: czterech pilotów, trzech inżynierów i Genny McIver.

- Mój Boże, Genny! Ciebie się tu nie spodziewałem.

- Witaj, Duke. Duncan pomyślał, że tak będzie najlepiej i... zresztą nieważne. Czy Manuela...

- Zoba-

654

czyta żonę Starke'a i podeszła do niej. Uścisnęły się. Starke ruszył za Zatakim do pustego, niskiego wnętrza maszyny. Umieszczono tam dodatkowe fotele. Z tyłu, koło toalety, stało kilka koszy.

316

- Części zamienne i zapasowy silnik, o który prosiłeś - zawołał Johnny Hogg z fotela pilota, wręczając Zatakemu list przewozowy. - Cześć, Duke!

Zataki wziął manifest i kciukiem pokazał Hoggowi drzwi.

- Wychodź!

- Gdyby nie miał pan nic przeciwko temu... jestem odpowiedzialny za samolot, przepraszam

- odparł Hogg.

- Mówię po raz ostatni. Wychodź.

- Wstań na chwilę z fotela, Johnny. On chce tylko sprawdzić, czy nie ma tu broni.

Ekscelencjo, byłoby bezpieczniej, gdyby pilot mógł tu zostać. Ręczę za niego - wtrącił się Starke.

- Wychodź!

John Hogg niechętnie wyszedł z małego kokpitu. Zataki upewnił się, że w bocznych kieszeniach niczego nie ma, gestem nakazał pilotowi wrócić na miejsce i zajął się kabiną.

- To są te części, których potrzebujecie?

- Tak - odparł Starke i grzecznie się odsunął. Zataki wyszedł na podest schodni, aby przywołać

kilku ludzi i nakazać im zniesienie koszy na płytę lotniska. Mężczyźni zrobili to, beztrąsco tłukąc pakunkami o schody, co sprawiło, że pilot aż podskoczył. Następnie Zataki przeszukał

dokładnie samolot, nie znajdując niczego, co mogłoby go rozżłościć. Poza winem i trunkami.

- Żadnego alkoholu w Iranie. Skonfiskowane! Rozbił butelki na płycie lotniska i kazał

otworzyć

kosze. Jeden silnik turbo i dużo części zamiennych. Wszystko wykazane w liście przewozowym. Starke spoglądał na to wszystko stojąc w drzwiach kabiny, starając się nie rzucać w oczy.

- Kim są pasażerowie? - zapytał Zataki.

655

Drugi pilot wręczył mu listę opatrzoną nagłówkiem wypisanym po angielsku i w farsii: Czasowo zwolnieni piloci i inżynier, wszyscy z zaległym urlopem. Zataki zaczął sprawdzać listę i ludzi.

- Duke. - Johnny Hogg odezwał się ostrożnie z kokpitu. - Mam dla ciebie trochę pieniędzy i list od McIvera. Czy to jest bezpieczne?

- Chwilowo.

- Dwie koperty w wewnętrznej kieszeni mojego munduru. Podwieszono. Mac powiedział, że list jest prywatny.

Starke chwycił koperty i wsunął je do wewnętrznej kieszeni parki.

- Co się dzieje w Teheranie? - zapytał niespokojnie.

- Lotnisko zamieniło się w dom wariatów. Tysiące ludzi próbowało się dostać do trzech czy czterech samolotów, którym pozwolono odlecieć. - Hogg dodał gwałtownie: - A przynajmniej sześć jumbo jetów czeka na zezwolenie na lądowanie. Ja, no, po prostu przeskoczyłem kolejkę. Przyleciałem bez prawdziwego zezwolenia i powiedziałem: "Och, przepraszam.

Myślałem, że mam zezwolenie". Zabrałem ładunek i prysnąłem. Ledwie zdążyłem zamienić dwa słowa z McIverem - otaczali go jacyś rewolucjoniści, którzy marzyli, żeby sobie postrzelać, i mułła czy dwóch - ale zdaje się, że u niego wszystko w porządku. Także u Pettikina, Noggera i innych. Stacjonuję w Asz Szargaz od ponad tygodnia i latam tam i z powrotem. - Asz Szargaz leżało niedaleko Dubaju, gdzie S-G miało swoją siedzibę po tamtej stronie zatoki. - Mamy zezwolenie od teherańskiej kontroli lotów na przewożenie części i tylu ludzi, ilu zamierzamy wywieźć. Wygląda na to, że chcą, żeby zostało nas mniej więcej tyle samo. Loty są zaplanowane na soboty i środy. - Urwał, żeby zaczerpnąć oddechu. - Mac prosi, byś znalazł jakiś pretekst, żebym mógł od czasu do czasu tu wpadać. Mam być czymś w rodzaju kuriera, dopóki nie będzie można normalnie...

317

- Uwaga - ostrzegł Starke, który zauważył, że Zataki patrzy do góry, na samolot. Zataki przerwał spraw-656

dzanie dokumentów pasażerów i przyzywał gestem Starke^ . Starke zszedł na dół.

- Tak, ekscelencjo?

- Ten człowiek nie ma wizej wyjazdowej. Człowiekiem tym był Roberts, jeden z monterów, w średnim wieku, bardzo doświadczony. Jego pobladła już wcześniej twarz przybrała zaniepokojny wyraz.

- Powiedziałem mu, że nie mogłem tego załatwić, kapitanie Starke. Nie mogliśmy tego załatwić; biura imigracyjne są nadal zamknięte. W Teheranie nie było z tym problemu.

Starke spojrział na dokument; okres ważności upłynął zaledwie cztery dni wcześniej.

- Może mógłby pan tym razem darować, ekscelencjo. To prawda, że biura...

- Nie ma ważnej wizej wyjazdowej, nie ma wyjazdu. On zostaje!

Twarz Roberta przybrała barwę kredy.

- Ale Teheran mnie wypuścił. Muszę być w Londy... Zataki chwycił go za parkę i popchnął.

Roberts

upadł, a potem, wściekły, poderwał się na nogi.

- Wypuścił, mówię...

Urwał. Jeden mężczyzna z Zielonych Opasek przystawił mu lufę do piersi, drugi do pleców.

Obaj gotowi byli pociągnąć za cyngle.

- Poczekaj przy dziapie, Roberts, poczekaj, do cholery! - rozkazał Starke.

Jeden z mężczyzn brutalnie popchnął mechanika w kierunku pojazdu, a Starke starał się ukryć niepokój. Jon Tyrer i Manuela także nie mieli ważnych wiz.

- Nie ma wizej wyjazdowej, nie ma wyjazdu - powtórzył ze złością Zataki i wziął do ręki dokumenty kolejnego pasażera.

Genny, następna w kolejce, bardzo się bała. Nienawidziła Zatakiego, przemocy i unoszącej się wokół aury strachu. Żałowała Roberta, który musiał wracać do Anglii, gdyż jedno z jego dzieci było bardzo chore - podejrzenie polio - a nie działała poczta i telefony; teleks tylko od czasu do czasu. Patrzyła, jak Zataki

657

powoli wodzi wzrokiem po dokumentach stojącego obok niej pilota. Cholerny sukinsyn! -

pomyślała. Muszę się dostać do tego samolotu, muszę. Och, jak bardzo bym chciała, żebyśmy wszyscy wyjechali. Biedny Dun-can, on po prostu nie będzie o siebie dbał, nie będzie się prawidłowo odżywiał i na pewno odezwią się znowu jego wrzody.

- Moja wiza wyjazdowa nie jest przedłużona - powiedziała, aby zabrzmiało to nieśmiało.

Postarała się także o kilka łez.

- Moja także nie - odezwała się ciekim głosem Manuela.

Zataki spojrział na nie. Zawahał się.

- Kobiety nie są odpowiedzialne. Mężczyźni są odpowiedzialni. Wy, dwie kobiety, możecie wyjechać. Tym razem. Na pokład.

- Czy pan Roberts nie mógłby także polecieć? - zapytała Genny, wskazując mechanika. - On naprawdę...

- Na pokład!

Zataki dostał swego maniakalnego napadu wściekłości, krew napłynęła mu do twarzy. Obie kobiety wbiegły na schodki, wszyscy inni także się przestraszyli; nawet ludzie z Zielonych Opasek poruszyli się niespokojnie.

- Miał pan rację, ekscelencjo - powiedział w farsi Starke, starając się zachować pozory spokoju. - Kobiety nie powinny dyskutować.

318

Czekał, a razem z nim czekali inni. Wstrzymał oddech. Spojrzenie czarnych oczu niemal przewierciło go na wylot, nie spuścił jednak wzroku. Zataki skinął głową i wrócił do badania dokumentów, które trzymał w ręku.

Poprzedniego dnia Zataki wrócił z Isfahanu, a Es-fandiari wydał zezwolenie na lot jutrzejszego popołudnia, aby przerzucić go znowu do Bandar Dejlamu. Im wcześniej, tym lepiej, pomyślał ponuro Starke.

Poza tym go żałował. Zeszłej nocy zastał Zatakiego opartego o helikopter. Irańczyk przyciskał dłonie do skroni; cierpiał.

- Co się stało, agha?

658

- Moja głowa. Ja... to moja głowa.

Starke namówił go do odwiedzenia doktora Nutta. Zaprowadził go do bungalowu lekarza.

- Doktorze, proszę tylko o aspirynę lub kodeinę, co pan ma - powiedział Zataki.

- Byłoby lepiej, gdybym pana zbadał i...

- Zadnego badania! - krzyknął Zataki. - Wiem, co mi dolega. Dolega mi SAVAK, dolega mi więzienie...

Później, gdy kodeina złagodziła ból, Zataki powiedział Starke'owi, że mniej więcej rok wcześniej został aresztowany i oskarżony o sianie proopagandy skierowanej przeciwko Szachowi. Pracował wtedy jako dziennikarz w jednej z gazet w Abadanie. Przebywał w areszcie osiem miesięcy. Zwolniono go po pożarze w Abadanie. Nie powiedział Starke'owi, co mu tam zrobili.

- Wedle woli Boga, pilocie - rzucił gorzko. - Ale od dnia zwolnienia codziennie błogosławię Boga za każdy dzień życia, za każdy dzień, w którym mogę załatwić kolejnych ludzi SAVAK-u, ludzi Szacha, jego służalczych policjantów i żołnierzy, i w ogóle każdego, i wszystkich, którzy pomagali w szerzeniu zła. Kiedyś go popierałem. Czyż nie opłacił mojej nauki, tu i w Anglii? Lecz to on ponosi winę za SAVAK! Ponosi winę! Ta część mojej zemsty należy tylko do mnie, a nie zacząłem jeszcze się mścić za żonę i synów zamordowanych w pożarze w Abadanie.

Starke zachował spokój. To, jak lub dlaczego albo kto dokonał podpalenia, które pociągnęło za sobą pięćset ofiar śmiertelnych, nigdy nie wyszło na jaw.

Patrzył, jak Zataki starannie i powoli zmniejsza kolejkę oczekujących. Starke nie wiedział, jak wielu nie miało ważnych dokumentów; wszyscy byli zdenerwowani, przejęci coraz większą grozą. Wkrótce nadejdzie kolej Tyrera, a Tyrer musi polecieć. Doktor Nutt powiedział, że Tyrer powinien jak najszybciej przejść badania w Asz Szargaz lub Dubaju, gdzie szpitale były świetnie

wyposażone.

- Jestem pewien, że nie dzieje się nic groźnego, ale powinien na razie oszczędzać oczy. Poza tym, posłuchaj,

659

Duke. Na miłość boską, schodź z drogi Zatakiemu i powiedz innym, żeby też schodzili. On dojrzał do wybuchu i Bóg jeden wie, co się wtedy stanie.

- Co się z nim dzieje?

- Jaki jest jego stan fizyczny, nie wiem. Natomiast jego stan psychiczny powoduje, że jest niebezpieczny. Bardzo niebezpieczny. Nazwałbym to psychozą mania-kalno-depresyjną, z pewnością paranoją, prawdopodobnie wywołaną jego przejściami więziennymi. Powiedział

ci, co mu zrobili?

- Nie, nie powiedział.

- Gdyby to zależało ode mnie, zaleciłbym środki uspokajające i absolutny zakaz zbliżania się do broni palnej.

319

Świetnie, pomyślał bezradnie Starke. Jak, do diabła, mam to zorganizować? Przynajmniej Genny i Manuela są już na pokładzie. Wkrótce będą w Asz Szargaz, to znaczy w raju w porównaniu z...

Strzał ostrzegawczy przerwał te rozmyślenia. Za 125 widać było mułę Hosejna na czele Zielonych Opasek. Wynurzyli się zza wyjścia głównej wieży i wyglądali na bardzo wrogo usposobionych.

Zataki natychmiast zapomniał o pasażerach. Zsunął z ramienia pistolet maszynowy: trzymając go luźno w jednej ręce, ruszył, aby odgrodzić Hosejna od samolotu. Za nim poszło dwóch jego ludzi, a inni przysunęli się bliżej maszyny, zajmując pozycje obronne.

- Co za cholera? - mruknął ktoś.

- Uwaga, zaraz zrobimy "padnij" - powiedział cicho Ayre.

- Kapitanie - szepnął Roberts - muszę się dostać do samolotu. Muszę. Moja dziewczynka jest bardzo chora. Czy nie może pan czegoś zrobić z tym sukinsynem?

- Spróbuję.

Zataki obserwował Hosejna. Nienawidził go. Dwa dni wcześniej pojechał do Isfahanu na rozmowy z tamtejszym tajnym komitetem. Komitet składał się z jedena-tu członków, z których wszyscy byli ajatollahami i muł-łami. Tam po raz pierwszy ujrzał prawdziwą twarz 660

rewolucji, o którą tak bardzo walczył i za którą tak wiele wycierpiał. "Heretycy odejdą w zapomnienie. Będziemy mieli tylko Rewolucyjne Sądy. Sprawiedliwość będzie szybka i ostateczna, bez prawa apelacji..." Muł-łowie byli tak pewni siebie, tak pewni swego świętego prawa do rządzenia i wymierzania sprawiedliwości, jakby tylko oni byli wyrocznią w sprawie Koranu i szari'at. Zataki ukrył przerażenie i nie ujawnił własnych myśli, wiedział jednak, że znowu został zdradzony.

- Czego chcesz, mułło? - zapytał, jakby go przeklinał.

- Po pierwsze, chcę, abyś zrozumiał, że nie masz tu żadnej władzy. To, co robisz w Abadanie, jest sprawą ajatollahów z Abadanu, ale tutaj nie masz władzy w bazie, nad tymi ludźmi czy samolotem.

Hosejna otaczało dwunastu uzbrojonych młodzieńców o zaciętych twarzach; wszyscy nosili zielone opaski.

- Żadnej władzy, tak? - Zataki obraźliwie odwrócił się do mułły plecami i krzyknął po angielsku: - Samolot natychmiast startuje! Wszyscy pasażerowie na pokład!

- Ze złością odprawił pilota gestem dłoni, potem odwrócił się znowu do Hosejna: - Tak? A po drugie?

- zapytał.

Z tyłu pasażerowie rzucili się ochoczo, aby wykonać polecenie. Ponieważ ludzie z Zielonych Opasek

wpatrywali się w Zatakiego i Hosejną, Starke kazał Robert-sowi wejść na pokład, a potem skinął na Ayre'a, aby spróbował zatuszować ucieczkę mechanika. Razem pomogli Tyrerowi wydostać się z dżipa.

Zataki bawił się karabinem; był skoncentrowany na Hosejnie.

- No? Co po drugim? - powtórzył pytanie. Hosejn był całkiem zbity z tropu; on i jego ludzie zdawali sobie sprawę z obecności wycelowanej w nich broni. Silniki odrzutowe ożyły. Mułła zobaczył pasażerów wbiegających w pośpiechu po schodni, Starke'a i Ayre'a pomagających wejść po schodkach człowiekowi z bandażem na oczach, a potem wracających do dżipa. Ryk silników narastał; gdy tylko ostatni pasażer zniknął

661

we wnętrzu maszyny, schodki podjechały do góry, drzwi się zatrzasnęły, a samolot rozpoczął kołowanie.

- No co, agha? Co po drugim?

320

- Po drugim... po drugim, komitet z Kowissu rozkazuje, abyś opuścił miasto razem ze swoimi ludźmi.

Zataki, przekrzykując ryk silników odrzutowca, zawołał szyderczym tonem do swych ludzi.

Stał twardo na betonowej płycie, gotów do walki, gdyby zaszła taka potrzeba, gotów na śmierć, gdyby zaszła taka potrzeba; owiewał go gorący podmuch z dysz odrzutowych silników.

- Słyszycie? Komitet z Kowissu każe nam odejść!

Jego ludzie wybuchnęli śmiechem, a jeden z mężczyzn Hosejną, nastolatek bez brody, stojący na obrzeżu grupy, podniósł karabin i zginął na miejscu, prawie przecięty na pół dokładnie wymierzonymi seriami kul z karabinów ludzi Za takiego. Zapadła cisza, zmacona jedynie odległym pomrukiem silników. Hosejn był oszołomiony nagłością tego zdarzenia i powiększającą się kałużą krwi wypływającej na beton lotniska.

- Wedle woli Boga - odezwał się Zataki. - Czego chcesz, mułło?

Właśnie wtedy zauważył małego przerażonego chłopca, zerkającego na niego spoza szat mułły, których uczepił się, szukając schronienia. Chłopiec tak bardzo przypominał jego własnego syna, najstarszego, że Zataki powrócił na chwilę do szczęśliwych dni przed pożarem, gdy wydawało się, że wszystko jest w porządku i gdy istniała jakaś przyszłość.

Biała Rewolucja Szacha była tak wspaniała, reforma rolna, poskromienie mułłów, edukacja dla wszystkich i wiele innych spraw. Dobre dni, gdy byłem ojcem. To już nie wróci. Nigdy.

Elektrody i szczypce zniszczyły taką możliwość.

Nagły ból przeszył jego lędźwia i głowę okrutnym wspomnieniem. Chciał krzyknąć. Nie krzyknął. Jak zwykle zapanował nad okrutnym cierpieniem i skoncentrował się na bliskim zabijaniu. Widział nieprzejednany wyraz twarzy mułły i przygotowywał się. Zabijanie z pistoletu maszynowego sprawiało mu ogromną ra-

dość. Gorące staccato, karabin ożywiony potężnymi seriami, cierpki zapach kordytu, płynąca krew wrogów Boga i Iranu. Mułłowie są wrogami, a największym Chomeini, który popełnia świętokradztwo, pozwalając, aby czczono jego fotografię i nazwano go imamem. Odgradza nas od Boga mułłami. To sprzeczne ze wszystkim, czego nauczał prorok.

- Pospiesz się - ryknął - tracę cierpliwość!

- Ja, ja chcę tego człowieka - powiedział Hosejn, wskazując ręką.

Zataki rozejrzał się. Mułła wskazywał Starke'a.

- Pilota? Dlaczego? Po co? - pytał z niedowierzaniem.

- Przesłuchanie. Chcę go przesłuchać.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie ucieczki oficerów z Isfahanu.

- Co on może o tym wiedzieć? W tym czasie był ze mną w Bandar Dejlami, setki mil od Isfahanu. Walczył po stronie rewolucji z wrogami Boga! - Zataki dodał z jadem w głosie: -

Wrogowie Boga są wszędzie. Wszędzie! Świętokradztwo jest wszędzie. Wszędzie bałwochwalstwo, nieprawdaż?

- Tak, tak, całe mrowie wrogów, a świętokradztwo jest świętokradztwem. Ale on jest pilotem helikopterowym, a niewierny pilot uciekał helikopterem. On może coś o tym wiedzieć. Chcę go przesłuchać.

- Nie. Dopóki ja tutaj jestem.

- Dlaczego? Dlaczego nie? Dlaczego...

- Nie przesłuchasz go, dopóki tu jestem, na Boga! Nie, gdy ja jestem tutaj! Później, jutro, pojutrze, jak Bóg zechce, ale nie teraz.

Zataki zmierzył Hosejną wzrokiem. Zobaczył w jego twarzy i oczach rezygnację. Mułła nie stanowił już zagrożenia. Starannie badał wzrokiem ludzi Hosejną; nie wykrył żadnego niebezpieczeństwa. Jak zwykle, nagła śmierć jednego z nich zniechęciła resztę, pomyślał.

- Na pewno chcesz wracać do meczetu. Czas na modlitwę.

Odwrócił się i ruszył w kierunku dżipa, wiedząc, że jego ludzie będą go chronić. Skinął na Starke'a i Ayre'a i usiadł na przednim siedzeniu. Nadal trzymał pistolet maszynowy, ale już nie tak otwarcie. Jego ludzie, jeden po drugim, wycofywali się do samochodów. Ruszyli.

Twarz Hosejna była szara jak popiół. Jego ludzie z Zielonych Opasek czekali. Jeden z nich zapalił papierosa; nad wszystkimi ciążyła świadomość leżącego u ich stóp ciała. I krwi, która sączyła się nadal.

- Dlaczego pozwoliłeś im odejść, ojcze? - zapytał chłopczyk.

- Nie pozwoliłem, synu. Musimy teraz załatwić ważniejsze sprawy. Potem wrócimy.

W ZAGROSIE TRZY, 12:05. Scot Gavallan wpatrywał się w głąb lufy odbezpieczonego stena. Właśnie wylądował na 212 po pierwszym tego dnia locie do Wierceń Rosa, gdzie dostarczył ładunek stalowych rur i cementu. W chwili gdy wyłączył silnik, uzbrojeni bojownicy Zielonych Opasek wybiegli z hangaru i otoczyli pilota.

Nienawidząc strachu, który go opanował, oderwał wzrok od lufy i spojrzał w czarne, wrogie oczy.

- Co... czego chcecie? - zapytał chrapliwie, a potem dodał w łamanym farski: - Czeh karboreh?

Człowiek z karabinem ze złością wyrzucił z siebie potok niezrozumiałych słów. Scot zdjął słuchawki.

- Man zaban-e szamora chub nemidonam. Agha! - krzyknął ponad rykiem silnika. - Nie znam waszego

języka, ekscelencjo. - Powstrzymał się od dodania jakiegoś przekleństwa. Znowu potok gniewnej wymowy; mężczyzna nakazał mu gestem wyjść z kokpitu. Zobaczył Nasiriego, kierownika bazy z ramienia IranOil. Nasiri miał posiniaczoną twarz, a włosy w nieładzie.

Strażnicy rewolucji wyprowadzili go z biura i popychali w kierunku 212. Scot wychylił się nieco przez okno.

- Co się tu dzieje, do cholery?

- Oni... oni chcą, żeby pan wyszedł z helikoptera, kapitanie - krzyknął Nasiri. - Oni proszą, żeby się pan pospieszył.

- Muszą poczekać, aż wyłączę silniki! - Scot nerwowo zakończył procedurę wyłączania. Lufa stena nie drgnęła, a otaczająca pilota wrogość nie zelżała. Rotor wirował coraz wolniej; gdy zatrzymał się, pilot odpiął pasy i wysiadł. Natychmiast odsunięto go na bok. Podnieceni, pokrzykujący mężczyźni otworzyli szerzej drzwiczki kokpitu i zaglądali do środka, podczas gdy inni odsunęli drzwi kabiny i wdrapali się do wnętrza śmigłowca. - Co ci się, u diabła, przydarzyło, agha

- zapytał Nasiriego, przyglądając się jego siniakom.

- Nowy... nowy komitet popełnił błąd - odparł Nasiri, próbując zachować godność. -

Pomyśleli, że jestem zwolennikiem Szacha, a nie człowiekiem rewolucji i imama.

- Kim są, u diabła, ci ludzie? Nie są z Jazdek... Zanim Nasiri zdążył odpowiedzieć, mężczyzna ze steniem przepchnął się przez tłum.

- Na biuro! Teraz! - rzucił w kiepskim angielskim i chwycił Scot'a za rękaw lotniczego kombinezonu.

Scot odruchowo wyrwał rękę. Lufa karabinu dźgnęła go w zębra.

- No, dobra - mruknął i z ponurym wyrazem twarzy powędrował do biura.

W biurze Niczak-chan, kalendar wioski, stał obok starego muły przy biurku. Opierali się plecami o ścianę przy otwartym oknie. Pozdrowił ich, a oni niezręcznie skinęli głowami. Do pokoju, za Gavallanem i Nasirim, weszło wielu mężczyzn z Zielonych Opasek.

666

322

- Czeh karboreh, kalendarze? - zapytał Scot. - Co się dzieje?

- Ci ludzie są... twierdzą, że są naszym nowym komitetem - odpowiedział z trudem Niczak-chan. - Przesłano ich z Szarpuru. Mają przejąć naszą... naszą wioskę i nasze lotnisko.

Scot był całkowicie zdezorientowany. To, co powiedział przywódca wioski, nie miało sensu.

Choć Szarpur był najbliższym miasteczkiem i tam formalnie mieściły się władze regionu, zwyczajowo zawsze pozostawiano autonomię górskiemu szczepowi Kaszkajów, byle tylko uznawał Szacha i Teheran, przestrzegał prawa, nie zbroił się i nie naruszał pokoju.

- Ale wy zawsze rządziście się...

- Spokój! - krzyknął przywódca Zielonych Opasek, wymachując steniem.

Scot zauważył, że Niczak-chan poczerwieniał. Przywódca nosił brodę, miał trzydzieści parę lat. W jego czarnych oczach kryło się coś niepokojącego. Odciągnął Nasiriego na bok i powiedział coś w

farsi.

- Ja, ja mam tłumaczyć, kapitanie - powiedział zdenerwowany Nasiri. - Przywódca, Ali-sadr, mówi, że ma pan odpowiedzieć na następujące pytania. Ja już odpowiedziałem na większość z nich, ale on chce...

Ali-sadr sklął go i zaczął odczytywać z kartki pytania; Nasiri tłumaczył.

- Czy pan tu dowodzi?

- Tak, chwilowo.

- Narodowość?

- Brytyjska. Co do...

- Czy są tu jacyś Amerykanie?

- O ile wiem, to nie - odparł natychmiast Scot, starając się zachować obojętność.

Miał nadzieję, że Nasiri, który wiedział, że mechanik Rodrigues jest Amerykaninem z fałszywymi dokumentami brytyjskimi, nie musiał odpowiadać na to pytanie. Nasiri przetłumaczył bez wahania. Jakiś inny mężczyzna notował odpowiedzi.

- Ilu jest tu pilotów?

667

- W tej chwili tylko ja.

- Gdzie są inni, kim są, ich narodowość?

- Nasz starszy pilot, kapitan Lochart, Kanadyjczyk, jest w Teheranie. Teraz obsługuje lot czarterowy poza Teheran, lada dzień wróci. Drugi, jego zastępca, kapitan Sessonne, Francuz, musiał dzisiaj polecieć do Teheranu. Pilny czarter dla IranOil.

Przywódca podniósł wzrok. Rzucił twarde spojrzenie.

- Co było takie pilne?

- Wiercenia Rosa przygotowują nowy szyb. - Czekał, aż Nasiri wyjaśni, co to oznacza, i to, że wszyscy wiertacze potrzebowali pilnie pomocy ekspertów Schlumbergera, przebywających teraz w Teheranie. Tego ranka Jean-Luc wywołał ich kontrolę lotów w Szira-zie, aby podjąć beznadziejną próbę uzyskania zezwolenia na lot do Teheranu. Ku jego zdumieniu i zachwycie, natychmiast uzyskał zgodę.

- Imam postanowił, że trzeba podjąć produkcję ropy - odpowiedzieli. - Więc podejmujcie.

Jean-Luc w ciągu kilku minut znalazł się w powietrzu. Scot Gavallan uśmiechnął się do siebie. Znał prawdziwy powód radości Jean-Luca i wiedział, dlaczego ten wykonał trzy gwiazdy po drodze do kokpitu. Mógł teraz odwiedzić Sajadę, na co od dawna czekał. Scot kiedyś ją poznał. "Czy ona ma siostrę?" - zapytał wtedy z nadzieją w głosie.

Przywódca słuchał niecierpliwie słów Nasiriego, a potem mu przerwał. Nasiri się wzdrygnął.

- On, Ali-sadr, on mówi, że w przyszłości wszystkie loty będą zatwierdzane przez niego albo przez tego człowieka. - Nasiri wskazał młodego mężczyznę, który zapisywał odpowiedzi Scot'a. - Na pokładzie będzie zawsze jeden z ich ludzi. Żadnych startów bez ich zezwolenia.

Za godzinę ma pan zabrać jego i jego ludzi do wszystkich wierceń w okolicy.

323

- Wyjaśnij mi, że to niemożliwe, gdyż musimy dostarczyć rury i cement do Wierceń Rosa.

Jeśli tego nie zrobimy, nie będą gotowi, gdy jutro wróci Jean-Luc.

668

Nasiri zaczął to tłumaczyć. Przywódca przerwał mu ostro i wstał.

- Powiedz niewiernemu pilotowi, żeby był gotów za godzinę... A właściwie powiedz mu, że idzie z nami do wioski, gdzie będę miał go na oku. Ty też idziesz. I powiedz mu, żeby był

posłuszny, gdyż, choć imam rzeczywiście chce, aby podjąć prędko produkcję ropy, wszyscy ludzie w Iranie podlegają prawu islamu, czy są Irańczykami, czy nie. Nie potrzebujemy tu codzoiem-ców. - Mężczyzna spojrzał na Niczak-chana. - Idziemy do naszej wioski -

oświadczył i wyszedł.

Niczak-chan poczerwieniał. Razem z mułłą ruszył w kierunku wyjścia.

- Kapitanie, mamy z nimi iść - powiedział Nasiri. - Do wioski.

- Po co?

- No cóż, jest pan tu jedynym pilotem i zna pan okolicę - odparł Nasiri, zastanawiając się, jaki jest prawdziwy powód. Był bardzo zaniepokojony. Nic nie zapowiadało tych złowieszczych zmian. Mieszkańcy wioski nie wiedzieli nawet, że droga po ostatnich opadach śniegu jest przejezdna. A jednak rano ciężarówka z dwunastoma Zielonymi Opaskami dotarła do wioski. Przywódca "komitetu" pokazał kartkę podpisaną przez Komitet Rewolucyjny Szarpur, który dawał im władzę nad Jazdek i "wszystkimi urządzeniami i helikopterami IranOil w okolicy". Gdy, na prośbę Niczak-chana, Nasiri powiedział, że połączy się przez radio z IranOil i poprosi o złożenie protestu, jeden z mężczyzn zaczął go bić. Przywódca kazał mu przestać, ale nie przeprosił. Nie okazywał też Niczak-chanowi szacunku, który mu się należał jako kalandarowi tej części szczepu Kasz-kajów. Nasiri

znowu poczuł strach; chciałby teraz być w Szarpur, z żoną i rodziną. Niech Bóg przeklnie wszystkie komitety i fanatyków, i cudzoziemców, i Wielkiego Amerykańskiego Szatana, który był przyczyną wszystkich problemów. - Lepiej... lepiej chodźmy - powiedział.

669

Wyszli na zewnątrz. Pozostali byli już daleko na drodze wiodącej do wioski. Scot, mijając hangar, zobaczył sześciu mechaników obrzucanych czujnym spojrzeniem pilnującego ich uzbrojonego wartownika. Wartownik palił, co sprawiało, że Scot drgnął. Wszędzie wokół

wisiał tablice z napisem w farsy i po angielsku: PALENIE WZBRONIONE -

NIEBEZPIECZEŃSTWO! Drugi 212 przechodził już ostatni etap przeglądu po tysiącu pięciuset godzinach lotu, ale bez dwóch 206 hangar wydawał się pusty i opuszczony.

- Agha - powiedział do Nasiriego, dając znak ich własnym strażnikom. - Powiedz im, że muszą przygotować śmigłowiec. I niech ten kretyn nie pali w hangarze.

Nasiri zrobił to, o co został poproszony.

- Powiedzieli, że w porządku, ale ma się pan pospieszyć.

Wartownik leniwym ruchem rzucił papierosa na cementową podłogę. Jeden z mechaników szybko go zdeptał. Nasiri wolałby zostać, ale strażnicy popchnęli go do wyjścia. Niechętnie ruszył w drogę.

- Zatankujcie FBC i sprawdźcie go - powiedział ostrożnie Scot, nie wiedząc, czy któryś ze strażników nie zna angielskiego. - Za godzinę zabieram nasz komitet do miejsc wierceń.

Wygląda na to, że mamy nowy komitet z Szarpur.

- Och, gówno - mruknął ktoś.

- Co z ekwipunkiem dla Wierceń Rosa? - zapytał Effer Jordon.

Obok niego stał Rod Rodrigues. Scot widział jego niepokój.

- To musi poczekać. Zatankujcie tylko FBC, Effer, i sprawdźcie wszystko. Rod - rzucił, żeby dodać starszemu człowiekowi odwagi - teraz, kiedy wszystko wraca do normy, już wkrótce wyjedziesz na urlop do Londynu, capito?

- Jasne, dzięki, Scot. Wartownik wskazał Scotowi drzwi.

324

670

- Baleh, Agha, tak, już, ekscelencjo - powiedział Scot i dodał pod adresem Rodriguesa: -

Rod, sprawdź go starannie.

- Jasne.

Scot wyszedł w towarzystwie strażników. Jordan zawołał niespokojnie:

- Co się dzieje? Dokąd idziesz?

- Idę na spacer - rzucił sarkastycznie. - Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Rano przez cały czas latałem.

Powlókł się drogą. Czuł, że jest zmęczony i bezradny. Wolałby, żeby na jego miejscu znalazł się Lochart lub Jean-Luc. Cholerny sukinyński komitet! Banda cholernych zbirów.

Nasiri był już ze sto metrów z przodu, szedł szybko. Inni właśnie zniknęli za zakrętem szlaku, który wił się między drzewami. Temperatura spadła poniżej zera, śnieg skrzypiał pod nogami.

Choć Scotowi było ciepło w lotniczym kombinezonie, w lotniczych butach szło mu się ciężko. Człapał ponuro, chcąc dogonić Nasiriego, ale nie mógł tego osiągnąć. Śnieg leżał

zwałami obok ścieżki, przyginał gałęzie drzew; w górze niebo było czyste i błękitne. Wioska leżała pół kilometra dalej, na końcu wijącej się ścieżki.

Jazdek zajmowało niewielkie wzniesienie, przyjemnie osłonięte od wichrów. Chaty i domy wybudowano z drewna, kamienia i cegieł. Grupowały się one wokół placu przed małym meczetem. Inaczej niż większość wiosek, Jazdek była wsią zasobną; nieograniczone ilości drewna opałowego, dużo łownej zwierzyny, ptactwa i ryb, należące do całej wioski stada owiec i kóz, kilka wielbłądów, trzydzieści koni i stado kłaczy, którymi wioska się szczyciła.

Dom Niczak-chana był piętrową, czteropokojową siedzibą, krytą dachówką, był większy od innych i wyrastał obok meczetu.

Sąsiedował z nim budynek szkoły, najbardziej nowoczesnej budowli w wiosce. W zeszłym roku Tom Lochart zaprojektował prostą budowlę i namówił McIvera do jej sfinansowania.

Jeszcze parę miesięcy temu szkołę prowadził młody człowiek z Korpusu Nauczycielskiego 671

Szacha - w wiosce mieszkali prawie sami analfabeci. Gdy Szach odszedł, młody człowiek zniknął. Od czasu do czasu Tom Lochart i inni mieszkańcy bazy prowadzili tam pogadanki, odpowiadali na pytania. Chodziło o utrzymanie dobrych stosunków z wioską, a także o zajęcie się czymś w przerwach między lotami. Na spotkania te przychodzili dorośli i dzieci, zachęceni przez Niczak-chana i jego żonę.

Gdy Scot zszedł ze wzniesienia, zobaczył, że wszyscy kierują się do budynku szkoły. Obok stała zaparkowana ciężarówka, która przywiozła Zielone Opaski. Wieśniacy stali w grupkach i patrzyli w milczeniu. Mężczyźni, kobiety i dzieci, żadnej broni. Kobiety Kaszkajów nie nosiły czadorów i nie

osłaniały twarzy. Miały na sobie kolorowe ubrania.

Scot wszedł po schodkach do szkoły. Ostatnio był tutaj kilka tygodni wcześniej; opowiadał

mieszkańcom wioski o Hongkongu, który poznał, odwiedzając podczas ferii szkolnych pracującego tam ojca. Trudno było wyjaśnić, co to jest Hongkong z jego tętniącymi życiem ulicami, cyklonami, pałeczkami do jedzenia ryżu i znakami ideograficznymi, potrawami i pirackim kapitalizmem, z ogromem całych Chin. Cieszę się, że wracamy do Szkocji, pomyślał. To dobrze, że staruszek utworzył S-G, firmę, którą któregoś dnia poprowadzę.

- Ma pan usiąść, kapitanie - powiedział Nasiri. - Tam.

Wskazał krzesło w tyle nisko sklepionej, zatłoczonej sali. Ali-sadr i czterej inni mężczyźni z Zielonych Opasek siedzieli za stołem, zajmowanym zwykle przez nauczyciela. Niczak-chan i mułła zajęli miejsca naprzeciw nich. Mieszkańcy wioski stali wokół stołu.

- Co się dzieje?

- To jest... zebranie.

325

Scot widział, że Nasiri się boi. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli Zielone Opaski zaczną go bić.

Powinienem mieć czarny pas albo być bokserem, myślał ze znużeniem, próbując zrozumieć farsi przywódcy intruzów.

*- Co on mówi, agha? - szepnął do Nasiriego.

672

- Ja... on... on mówi... on tłumaczy Niczak-chano-wi, w jaki sposób wioska będzie zarządzana. Przepraszam, później wytłumaczę.

Nasiri odszedł.

Gdy potok wymowy ustał, wszyscy spojrzeli na Niczak-chana, który wstał. Miał ponure spojrzenie i wypowiedział tylko kilka słów, które zrozumiał nawet Scot:

- Jazdek należy do Kaszkajów.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia; za nim poszedł mułła.

Przywódca warknął komendę i dwóch ludzi stanęło im na drodze. Niczak-chan odsunął ich pogardliwym ruchem; inni go chwycili. Napięcie w sali rosło; Scot zauważył, że jeden z wieśniaków wymknął się ukradkiem na zewnątrz. Zielone Opaski doprowadziły Niczak-chana do stołu przed Ali-sadra i pozostałą czwórkę. Wszyscy stali i wykrzykiwali coś z wściekłością. Nikt nie tknął starego

człowieka, który był mułłą. Mułła podniósł rękę i zaczął

przemawiać, ale przywódca go zakrzyczał. Wieśniacy westchnęli. Niczak-chan nie wrywał się trzymającym go ludziom. Spojrzał tylko na Ali-sadra, a Scot poczuł nienawiść ostrą jak cios.

Przywódca powiedział coś do wszystkich zebranych i oskarżycielsko wymierzył palec w Niczak-chana. Ponownie wezwał go do posłuszeństwa, a chan ponownie udzielił spokojnej odpowiedzi:

- Jazdek należy do Kaszkajów. Jazdek pozostanie własnością Kaszkajów.

Ali-sadr usiadł. Jego czterej ludzie także usiedli. Znów Ali-sadr wysunął palec i powiedział

kilka słów. Wieśniacy znów westchnęli. Czterej ludzie skinęli głowami. Ali-sadr wypowiedział jedno słowo, które zabrzmiało w ciszy jak świst kosy:

- Śmierć!

Wstał i wyszedł, a za nim wieśniacy i Zielone Opaski prowadzące Niczak-chana. O Scocie zapomniano. Ukrył się za krzesłem. Wkrótce został sam.

673

Na zewnątrz ludzie z Zielonych Opasek zaciągnęli Niczak-chana pod ścianę meczetu. Na placu nie było już mieszkańców wioski. Inni wychodzący z budynku szkoły szybko odchodzili na bok. Mułła pozostał. Wolno zbliżył się do kalandara i stanął obok niego, naprzeciw ludzi z Zielonych Opasek, którzy dwadzieścia metrów dalej szykowali broń. Na rozkaz Ali-sadra dwaj z nich odciągnęli starca na bok. Niczak-chan stał pod ścianą w milczeniu, dumnie. Splunął na ziemię.

Rozległ się strzał. Ali-sadr był martwy, zanim jeszcze zważył się na ziemię. Nagle zapadła cisza; mężczyźni z Zielonych Opasek odwrócili się z przerażeniem w oczach. Potem zamarli w bezruchu, gdy rozległ się

okrzyk:

- Allahu Akbarr, rzućcie broń!

Nikt się nie poruszył. Po chwili jeden z mężczyzn z plutonu egzekucyjnego wymierzył broń w Niczak-chana. Zginął, zanim zdążył nacisnąć spust.

- Bóg jest wielki, rzućcie broń!

Jeden z mężczyzn rzucił karabin, za nim drugi; trzeci ruszył biegiem w kierunku ciężarówki, ale zginął, zanim pokonał dziesięć metrów. Teraz już wszystkie karabiny znalazły się na ziemi. Nikt nie drgnął.

Drzwi domu kalandara stanęły otworem. Żona przywódcy wioski wyszła, trzymając w rękach

karabin. Za nią stał młodzieniec, także z karabinem.

326

Była zapamiętała w swej dumie, o dziesięć lat młodsza od męża. Brzęk jej kolczyków i bransolet oraz szelest długiej szaty były jedynymi dźwiękami rozlegającymi się na placu.

Wąskie oczy Niczak-chana, osadzone w twarzy o wystających kościach policzkowych, zwęziły się jeszcze bardziej; zmarszczki w kącikach oczu pogłębiły się. Nie odezwał się do żony; spojrzął na ośmiu pozostałych mężczyzn z Zielonych Opasek. Bezlitośnie. Dostrzegli to spojrzenie; jeden z nich sięgnął po broń. Gdy wpakowała mu kulę w brzuch, wył z bólu i wił

się na śniegu. Odczekała chwilę i dobiła go drugim strzałem. Teraz zostało siedmiu.

674

Niczak-chan uśmiechnął się. Z domków i chat wychodzili dorośli mężczyźni i kobiety.

Wszyscy uzbrojeni. Zwrócił się do siódemki napastników.

- Do ciężarówki. Połóż się z rękami na plecach.

- Mężczyźni niechętnie usłuchali. Chan kazał ich pilnować czterem mieszkańcom wioski, a potem zwrócił się do młodzieńca, który wyszedł z jego domu. - Jeden został na lotnisku, synu.

Weź jeszcze kogoś i zajmij się nim. Przynieście tu jego ciało, osłońcie jednak twarze chustami, tak żeby niewierni was nie rozpoznali.

- Wedle woli Boga. - Młody człowiek wskazał budynek szkoły. Drzwi były nadal otwarte, ale nie było widać Scota. - Niewierny - powiedział cicho. - On nie jest z naszej wioski.

Szybko odszedł.

Wioska zamarła w oczekiwaniu. Niczak-chan z namysłem drapał się po brodzie. Potem skierował spojrzenie na Nasiriego, który ukrywał się za schodkami prowadzącymi do szkoły.

Nasiriemu krew odpłynęła z twarzy.

- Ja... ja niczego nie widziałem. Niczego, kalandarze

- wychrypiał. Wstał i obszedł ciała zabitych. - Ja zawsze, przez dwa lata, które tu spędziłem, robiłem dla wioski wszystko, co mogłem. Ja, ja nie widziałem niczego - powtórzył głośniejszym błagalnym tonem.

Owładnął nim strach. Chciał uciec z placu i zginął; strzelało do niego kilkunastu wieśniaków.

- Tak. Jedynym świadkiem zła wyrządzonego przez tych ludzi powinien być Bóg.

Niczak-chan westchnął. Lubił Nasiriego, ale on nie był jednym z nich. Gdy żona podeszła do Niczaka, uśmiechnął się do niej. Wyjęła papierosa i dała mu, potem schowała paczkę i zapalki 'do kieszeni. Z namysłem wypuszczał dym. Zaszczekał jakiś pies, zapłakało dziecko, ale po chwili zamilkło.

- Zejdzie mała lawina, która zasypie drogę, aby nikt inny nie dotarł tu przed odwilżą -

powiedział wreszcie Niczak-chan. - Włożymy ciała do ciężarówki, oblejemy ją benzyną i stoczmy z drogi do Wąwozu Umarłych

675

Wielbłądów. Wygląda na to, że komitet postanowił, iż możemy rządzić się sami, jak zwykle.

Odeszli, zabierając ze sobą ciało Nasiriego. Niestety, w drodze powrotnej mieli wypadek.

Wszyscy wiedzą, że ta droga jest bardzo niebezpieczna. Prawdopodobnie zabrali ciało Nasiriego, żeby udowodnić, że wykonali swój obowiązek. Oczyszczili nasze góry ze znanego zwolennika Szacha i zastrzelili go, gdy próbował uciekać. On na pewno popierał Szacha, gdy ten jeszcze rządził.

Mieszkańcy wioski kiwali głowami, wyrażając zgodę. Czekali. Wszyscy chcieli poznać odpowiedź na ostatnie pytanie: co z ostatnim świadkiem? Co z niewiernym, przebywającym nadal w budynku szkoły?

Niczak-chan drapał się w brodę. To zawsze pomagało mu przy podejmowaniu trudnych decyzji.

- Wkrótce przybędzie tu więcej Zielonych Opasek. Przyciągną ich jak magnes latające maszyny zrobione przez cudzoziemców, pilotowane przez cudzoziemców i służące cudzoziemcom. Ropa wydobywana z naszej ziemi służy wrogom w Teheranie, wrogom-poborcom podatków i innym cudzoziemcom. Gdyby nie było szybów naftowych, nie byłoby 327

cudzoziemców, a zatem nie byłoby też Zielonych Opasek. Gdzie indziej też jest ropa. Łatwo ją wydobywać, a naszą trudno. Nasza nie jest tak ważna. Dostęp do naszych jedenastu miejsc wierceń jest trudny i niebezpieczny. Czyż cudzoziemcy nie musieli kilka dni temu wysadzić w powietrze wierzchołka góry, aby uchronić się przed lawiną?

Wszyscy obecni zgodzili się z tym rozumowaniem. Niczak-chan powoli zaciągnął się dymem.

Ludzie patrzyli na niego z ufnością. Był kalandarem, wodzem, który rządził mądrze przez osiemnaście dobrych i złych lat.

- Gdyby nie było latających maszyn, nie mogłoby być wierceń. Zatem, gdyby cudzoziemcy odeszli - ciągnął tym samym szorstkim i spokojnym głosem - wątpię, czy inny przyszliby tu, żeby naprawić i uruchomić te jedenaście baz. Z pewnością bazy uległyby szybko ruinie, może nawet zostałyby złupione przez bandytów

i zniszczone. Tak więc, nas zostawiono by w spokoju. Bez naszej życzliwości nikt nie może działać w naszych górach. My, Kaszkajowie, chcemy żyć w pokoju. Będziemy wolni, będziemy żyć zgodnie z naszymi obyczajami. Zatem cudzoziemcy muszą zniknąć.

Dobrowolnie. Zniknąć szybko. Tak samo szyby naftowe i wszystko, co cudzoziemskie. -

Starannie zgasił niedopałek w śniegu. - Zaczniemy. Spalmy szkołę.

Posłuchano go natychmiast. Za pomocą benzyny i krzesiwa sprawiono, że budynek stanął w płomieniach. Wszyscy czekali, ale niewierny się nie pojawił. Przeszukali pogorzelsko, lecz nie odnaleźli jego szczątków.

OKOLICE TEBRIZU, 11:49. Erikki Yokkonen prowadził 206 nad wysoką przełęczą wiodącą do miasta. Nogger Lane siedział obok niego, Azadeh z tyłu. Na narciarski kombinezon zarzuciła pikowaną kurtkę lotniczą, ale na wszelki wypadek w leżącej obok torbie spoczywał

czador.

- Na wszelki wypadek - wyjaśniła.

Miała na głowie trzecią parę słuchawek, dorobionych specjalnie dla niej przez Erikkiego.

- Tebriz Jeden, słyszysz mnie? - powtórzył. Czekali. Nadal nie było odpowiedzi, choć znajdowali się już od dawna w zasięgu radia. - Baza może być porzucona, może tam być pułapka, tak jak z Charliem.

- Lepiej przed lądowaniem naprawdę dobrze się rozejrzyjmy - rzucił niespokojnie Nogger, badając wzrokiem niebo i ziemię.

Na niebie nie było chmur. Temperatura spadła dobrze poniżej zera, góry pokrywał śnieg. Bez żadnych trudności uzupełnili zapas paliwa w magazynie IranOil na przedmieściach Bandar-e Pahlawi, za zgodą teherań-skiej kontroli lotów.

- Chomeini dostał wszystko od ręki. Teraz kontrola lotów jest pomocna, a lotniska otwarte - powiedział Erikki, próbując odegnać przygnębienie, jakie ich opanowało.

Azadeh nie doszła jeszcze do siebie po wstrząsie, jakim była wiadomość o egzekucji Emira Paknuriego "za zbrodnie przeciwko islamowi", oraz po jeszcze okropniejszej wieści o ojcu Szahrazad.

- To morderstwo - wykrzyknęła ze zgrozą, gdy o tym usłyszała. - Jakie zbrodnie mógł popełnić on, który od zawsze wspierał Chomeiniego i mułłów?

Nikt nie potrafił udzielić na to odpowiedzi. Rodzinie wydano ciało. W domu, zamkniętym teraz nawet dla Azadeh i Erikkiego, panowała żałoba, a Szahrazad zapamiętała się w smutku.

Azadeh nie chciała wyjechać z Teheranu, ale jej ojciec przysłał Erikkiemu kolejną wiadomość identycznej treści: Kapitanie, wymagam, aby moja córka znalazła się niezwłocznie w domu.

Teraz byli już prawie w domu.

Kiedyś to był dom, pomyślał Erikki. Teraz nie jestem pewien.

W okolicach Kazwinu przeleciał nad miejscem, w którym zabrakło im paliwa w rangę roverze, a Pet-tikin i Rakoczy uratowali Azadeh i jego przed tłumem. Rangę rovera już tam 328

nie było. Potem przelecieli nad nędzną wioską, gdzie natknęli się na zaporę drogową, skąd Erikki uciekł, najeżdżając na mudzaheddina o nalanej twarzy, tego, który zabrał ich dokumenty. Nasz powrót to wariactwo, pomyślał.

- Mac ma rację - błagała go Azadeh. - Jedź do Asz Szargaz. Niech Nogger zawiezie mnie do Tebrizu, a zabierze z powrotem, gdy będzie odbywał następny lot. Dołączę do ciebie w Asz Szargaz niezależnie od tego, co powie mój ojciec.

679

- Zawiozę cię do domu i przywiozę z powrotem - odparł. - Koniec, kropka.

Wystartowali w Doszan Tappeh wkrótce po świcie. Baza była prawie pusta. Z wielu budynków i hangarów zostały tylko wypalone szkielety. Wszędzie poniewierały się wraki samolotów Irańskich Sił Powietrznych, ciężarówek, a nawet jednego wypalonego czołgu z emblematem Nieśmiertelnych na burcie. Nikt tego nie uprzytał, nie było wartowników.

Wywleczono z bazy wszystko, co nadawało się na opał. Nadal brakowało oleju opałowego i żywności. Utarczki pomiędzy Zielonymi Opaskami a lewakami wybuchały kilka razy na dobę.

Hangar i warsztat S-G były bardzo zniszczone. W ścianach widniało wiele otworów wywierconych przez kule, nie uszkodziły one jednak niczego ważnego. Kilku mechaników wraz z nielicznym personelem biurowym pracowało mniej więcej normalnie. Zatrzymało ich wypłacenie części zaległych poborów z pieniędzy, które McIver wycisnął z Walika i innych współników. McIver dał Erikkiemu trochę gotówki i poprosił go, żeby wypłacił pensje w Tebrizie Jeden.

- Módl się, Erikki! Dzisiaj mam spotkanie w ministerstwie w sprawie pieniędzy, które są nam winni - powiedział im przed ich odlotem - i w sprawie przedłużenia naszych przeterminowanych licencji. Talbot z ambasady mi to załatwił. On uważa, że istnieje więcej niż szansa, iż Bazargan i Chomeini zaczną w pełni kontrolować kraj i rozbroją lewaków.

Musimy tylko zachować spokój.

Łatwo mu mówić, pomyślał Erikki.

Minęli przełęcz. Pochylił maszynę i pognął w dół.

- Jest baza! - Obaj piloci wyteżyli wzrok. Poruszał się tylko rękaw wskazujący kierunek wiatru. Żadnych pojazdów, żadnego dymu. - Powinien być dym. - Zatoczył ciasne koło na wysokości dwustu metrów. Nikt nie wyszedł, aby ich powitać. - Przyjrzę się dokładnie.

Zatoczyli drugie koło nad bazą. Znow żadnego ruchu. Wrócili na trzysta metrów. Erikki zastanawiał się.

680

- Azadeh, mogę go posadzić na dziedzińcu pałacu albo za murem.

Azadeh potrząsnęła głową.

- Nie, Erikki. Wiesz, jacy nerwowi są strażnicy i jak nie lubią, gdy ktoś przybywa bez zaproszenia.

Ale my jesteśmy zaproszeni, przynajmniej ty. Tak naprawdę, to wezwani. Moglibyśmy tam polecieć, zatoczyć koło i spojrzeć. Gdyby wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, moglibyśmy lądować.

- Możemy wylądować dalej i dojść pieszo.

- Żadnych spacerów bez broni. - Nie udało mu się zdobyć broni w Teheranie. Każdy cholerny chuligan ma jej tyle, ile zapragnie, pomyślał z irytacją. Muszę coś zdobyć. Nie czuję się bezpiecznie.

- Polecimy, zobaczymy, a potem podejmę decyzję.

Przerzucił radio na częstotliwość Tebrizu i wywołał wieżę. Odpowiedzi nie było. Spróbował

jeszcze raz, potem pochylił maszynę i skierował się do miasta. Gdy mijali wioskę Abu Mard, Erikki wskazał ją ręką. Azadeh zobaczyła maleńki budynek szkoły, w której przeżyła tyle szczęśliwych chwil, okoliczne polanki rozrzucone to tu, to tam, także nad strumieniem, gdzie po raz pierwszy spotkała Erikkiego. Pomyślała wtedy, że jest leśnym olbrzymem i zakochała 329

się. Nastąpił cud; olbrzym wyrwał ją z pełnej cierpienia wegetacji. Wyciągnęła rękę przez małe wewnętrzne okienko i dotknęła męża.

- W porządku? Jest ci ciepło? - Uśmiechnął się do niej.

- Och, tak, Erikki. W tej wiosce byliśmy bardzo szczęśliwi, prawda? - Trzymała rękę na jego ramieniu, co sprawiało przyjemność im obojgu.

Wkrótce dostrzegli lotnisko i szlak kolejowy prowadzący na północ, do sowieckiego Azerbejdżanu, odległego o kilka kilometrów, i dalej, do Moskwy. Na południowym wschodzie tory zawracały do Teheranu, leżącego pięćset sześćdziesiąt kilometrów od nich.

Miasto było duże. Mogli już dostrzec cytadelę. Błękitny meczet i zanieczyszczające środowisko stalownie. Chaty, budy

i domy, w których mieszkała sześćsettyśięczna ludność miasta.

- Popatrz, tam!

Tliła się część stacji kolejowej. Unosiły się kłęby dymu, choć nie było widać płomienia.

Dostrzec też było można inne pożary niedaleko cytadeli; wieża Tebriz milczała, na lotnisku nic się nie poruszało, choć stało tam kilka małych samolotów. W bazie wojskowej panowało ożywienie; ciężarówki i samochody osobowe wjeżdżały i wyjeżdżały, ale z tego, co mogli zobaczyć, nikt nie strzelał, na ulicach nie było tłumów, a cały obszar wokół meczetu był

zadziwiająco pusty.

- Nie będę schodził zbyt nisko - powiedział Erikki. - Nie chcę prowokować jakiegoś uzbrojonego czuba.

- Lubisz Tebriz, Erikki? - zapytał Nogger, aby ukryć zaniepokojenie. Był tu po raz pierwszy.

- To wspaniałe miasto: stare i mądre, otwarte i wolne. Najbardziej kosmopolityczne miejsce w całym Iranie. Przeżyłem tu wspaniałe chwile. Jedzenie z całego świata, tanie i dostępne: kawior i rosyjska wódka, szkocki wędzony łosoś, a raz w tygodniu, w starych, dobrych czasach, Air France dowoziła świeże francuskie pieczywo i sery. Towary z Turcji i Kaukazu, brytyjskie, amerykańskie, japońskie, wszystko. Miasto słynie z dywanów, Nogger. I z piękna swych dziewcząt... - Poczul, jak Azadeh uszczypnęła go w ucho i roześmiała się. - To prawda, Azadeh. Czyż nie jesteś z Tebrizu? To piękne miasto, Nogger. Mówią w dialekcie farsi, który jest najbardziej turecki ze wszystkiego, co istnieje. Przez całe wieki Tebriz był dużym ośrodkiem handlu; częściowo irańskim, a częściowo rosyjskim, tureckim, kurdyjskim i armeńskim. Zawsze buntownicze i niezależne, zawsze pożądane przez carów, a teraz Sowietów....

Gdzieniegdzie ludzie zatrzymywali się na ulicach i spoglądali na helikopter.

- Nogger, widzisz jakąś broń?

- Od cholery, ale nikt do nas nie strzela. Na razie. Erikki ostrożnie okrążył miasto i skierował

maszynę

na wschód. Teren wspinał się ku podnóżu wzniesienia;

na szczycie widniał otoczony murami pałac Gorgonów, do którego prowadziła droga. Na drodze nie było żadnego ruchu. Wiele akrów ziemi pomiędzy wysokimi murami: sady, wytwórnia dywanów, garaże dla dwudziestu samochodów, owczarnie, domki i przybudówki dla około setki służących i ochroniarzy, a wreszcie rozłożysty, pięćdziesięciopokojowy budynek główny o kopulastym dachu

oraz mały meczet z miniaturowym minaretem. Obok głównego wejścia stało kilka samochodów. Erikki zatoczył krąg, schodząc na dwieście metrów.

- Niezła chałupa - wykrztusił z podziwem Nogger Lane.

- Została wybudowana dla mojego dziada przez księcia Zergajewa na rozkaz Romanowów, Nogger, jako piszkesz - wyjaśniła Azadeh, badając wzrokiem teren pałacu. - To było w 1890, gdy carowie ukradli nasze kaukaskie prowincje i ponownie próbowali oderwać Azerbejdżan 330

od Iranu. Chcieli uzyskać pomoc chanów z Gorgonów. Nasza rodzina była jednak zawsze lojalna wobec Iranu, choć dążyła do utrzymania równowagi wpływów. - Obserwowała pałac.

Z głównego budynku i innych budowli wychodzili ludzie, służba i uzbrojeni strażnicy. -

Meczet wybudowano w 1907, aby uczcić podpisanie nowego porozumienia rosyjsko-brytyjskiego o podzieleniu nas i stref wpływów... Och, patrz, Erikki. To chyba Nadżud i Fazulia, i Zadi... i, och, patrz, Erikki, to chyba Hakim. Co Hakim tu robi?

- Gdzie? Tak, widzę go, Nie, nie sądzę...

- Może... może Abdollah-chan mu przebaczył? - wykrzyknęła podniecona. - Och, to by było cudowne!

Erikki spojrzał na ludzi w dole. Spotkał brata Azadeh tylko raz na ich ślubie, bardzo go jednak polubił. Abdollah-chan zawiesił wtedy banicję Hakima na jeden dzień, a potem odesłał

go z powrotem do Choju w północnej części Azerbejdżanu, niedaleko granicy z Turcją, gdzie miał duże udziały w przemyśle górniczym. "Jedynym marzeniem Hakima był wyjazd do Paryża i nauka gry na fortepianie", opowiadała wtedy Azadeh, "ale 683

mój ojciec nie chciał nawet go wysłuchać. Przeklął go i wygnał za spiskowanie..."

- To nie jest Hakim - powiedział Erikki, który miał lepszy wzrok niż Azadeh.

- Och! - załkała Azadeh. - Och. - Przeżyła ogromne rozczarowanie. - Tak, tak, masz rację, Erikki.

- Jest sam Abdollah-chan! - Teraz nie było mowy o pomyłce. Korpulentny mężczyzna ogromnej postury i z długą brodą pojawił się na schodach wiodących do głównego wejścia.

Za nim stało dwóch uzbrojonych strażników, obok niego jeszcze dwóch innych mężczyzn.

Wszyscy mieli na sobie grube palta. - Kim oni są?

- To obcy - wyjaśniła, próbując przewyciężyć uczucie rozczarowania. - Nie mają broni i nie są mullahami, więc nie mogą być z Zielonych Opasek.

- To Europejczycy - powiedział Nogger. - Masz jakąś lornetkę, Erikki?

- Nie. - Yokkonen przerwał krążenie i zszedł na sto pięćdziesiąt metrów. Posadził helikopter i obserwował z namysłem Abdollah-chana. Zobaczył, że ten wskazuje helikopter ręką i mówi coś do jednego z mężczyzn. Przed dom wyległy siostry, służba i inni członkowie rodziny, niektóre kobiety w czadorach, niektóre opatulone szczelnie w obronie przed chłodem. Erikki zszedł niżej o dalsze pięćdziesiąt metrów, zdjął ciemne okulary i odsunął szybę w bocznym okienku. Zachłysnął się mroźnym powietrzem, wystawił głowę na zewnątrz tak, aby można było go widzieć, i pomachał ręką. Wszyscy zgromadzeni na ziemi spojrzeli na Abdollah-chana. Po chwili chan także pomachał ręką. Zrobił to bez entuzjazmu.

- Azadeh, zdejmij hełm i zrób to, co ja. Usłuchała go od razu. Niektóre siostry zamachały do niej żywo, rozprawiając o czymś pomiędzy sobą. Abdollah-chan nie dał po sobie poznać, że ją widzi. Po prostu czekał. Matierjebiec, pomyślał Erikki. Wychylił się z kokpitu i wskazał

ręką wolną przestrzeń za mozaikowym zamarzniętym basenem; było oczywiste, że prosi 684

o pozwolenie na lądowanie. Abdollah-chan skinął głową i wskazał to miejsce. Rzucił kilka słów do strażników, odwrócił się i wszedł do domu. Pozostali mężczyźni poszli za nim; jeden ze strażników pozostał na zewnątrz. Ruszył w kierunku miejsca lądowania, sprawdzając zamek swego kałasznikowa.

- To nie wygląda jak przyjazny komitet powitalny - mruknął Nogger.

- Nie ma się czego obawiać, Nogger - powiedziała Azadeh, śmiejąc się nerwowo. - Ja wyjdę pierwsza, Erikki. Tak będzie dla mnie bezpieczniej.

Wylądowali. Azadeh otworzyła drzwi i wyszła, aby powitać siostry i macochę - trzecią żonę ojca, młodszą od niej samej. Jego pierwsza żona, Chanan, miała tyle lat, co on; teraz, przykuta do łóżka, nie opuszczała swojego pokoju. Druga żona, matka Azadeh, zmarła wiele lat temu.

331

Strażnik zatrzymał Azadeh. Grzecznie. Erikki odetchnął z ulgą. Był zbyt daleko, żeby usłyszeć ich rozmowę, zresztą ani Erikki, ani Nogger nie znali farsy czy tureckiego.

Ochroniarz wskazał ręką śmigłowiec. Azadeh skinęła głową, a potem dała im znak, aby wysiedli. Erikki i Nogger zakończyli procedurę wyłączania silnika, obserwując strażnika, który najwidoczniej ich pilnował.

- Nie lubisz broni, tak jak ja, Erikki? - zapytał Nogger.

- Jeszcze bardziej, ale ten człowiek przynajmniej wie, jak się nią posługiwać. Najbardziej boję się amatorów.

Yokkonen wyjął przerywacze i schował do kieszeni kluczyk zapłonu.

Chcieli podejść do Azadeh i jej sióstr, ale strażnik stanął na ich drodze. Azadeh zawołała:

- On mówi, że mamy iść od razu do sali przyjęć i tam poczekać. Proszę za mną.

Nogger szedł na końcu. Jedna z ładnych sióstr pochwyciła jego spojrzenie, uśmiechnęła się do siebie i ruszyła schodami, przeskakując po dwa stopnie naraz.

685

Sala przyjęć była ogromna; hulały po niej lodowate przeciągi, w powietrzu unosił się zapach wilgoci. Stały w niej ciężkie, wiktoriańskie meble, rozpościerały się niezliczone dywany z rozrzuconymi tu i ówdzie poduszkami. Widać też było staroświeckie wodne grzejniki.

Azadeh stanęła przed jednym z luster i poprawiła włosy. Miała na sobie eleganckie i modne ubranie narciarskie. Abdollah-chan nie wymagał nigdy od żadnej ze swych żon, córek czy domownic noszenia czadoru, którego nie pochwalał. Dlaczego więc Nadżud ubrana jest dziś w czador? - zadała sobie pytanie. Była coraz bardziej zdenerwowana. Służący wniósł herbatę.

Czekali pół godziny. Potem wszedł inny strażnik i powiedział coś do Azadeh. Nabrała głęboko powietrza w płuca.

- Nogger, masz tu poczekać - powiedziała. - Eriki, ty i ja mamy z nim pójść.

Eriki ruszył za Azadeh. Był napięty, ale ufał, że pełen wzajemnej wrogości pokój, jaki udało mu się zawrzeć z Abdollah-chanem trwa. Poczul się jeszcze pewniej, gdy dotknął swego noża pukoh. Wartownik otworzył drzwi na końcu korytarza i nakazał im gestem, aby weszli.

Abdollah-chan leżał, wsparty na kilku poduszkach na dywanie naprzeciw drzwi. Za nim stali strażnicy. Wystrój sali był bogaty: wiktoriański i oficjalny, ale w jakiś sposób dekadentcki, z aurą zepsucia. Obok gospodarza siedzieli po turecku dwaj mężczyźni, których widzieli przedtem na schodach. Jeden z nich był Europejczykiem. Zwalisty, dobrze zakonserwowany sześćdziesięciolatek o szerokich ramionach i słowiańskich oczach osadzonych w przyjacielskiej twarzy. Drugi młodszy: miał trzydzieści kilka lat, azjatyckie rysy i żółtawą skórę. Obaj mieli na sobie grube zimowe ubrania. Eriki natężył uwagę; czekał przy drzwiach, gdy Azadeh podeszła do ojca, uklękła, pocałowała jego tłuste, ozdobione biżuterią dłonie i go pobłogosławiła. Ojciec leniwym ruchem odprawił ją na bok i utkwiał spojrzenie swych czarnych oczu w Erikkim, który pozdrowił go grzecznie, ale nie ruszył się od drzwi.

Skrywając wstyd i strach, Azadeh ponownie uklękła na dywanie. Yok-686

konen dostrzegł, jak obaj obcy obrzucili ją pełnymi uznania spojrzeniami; temperatura podskoczyła mu o kilka kresiek. Cisza stawała się z każdą chwilą coraz bardziej wymowna.

Przed chanem stał talerz chałwy; przepadał za nasyconymi miodem plastrami tego tureckiego przysmaku. Zjadł kilka kawałków; światło tańczyło na pierścieniach zdobiących jego palce.

- A więc - powiedział szorstko - wygląda na to, że zabijasz kogo popadnie jak wściekły pies.

Eriki nie odpowiedział. Lekko zmrużył oczy.

- No?

- Jeśli zabijam, to nie jak wściekły pies. Kogo niby zabiłem?

- Staruszka w tłumie koło Kazwinu. Zgruchotałeś mu pierś, uderzając łokciem. Są świadkowie. Potem trzech mężczyzn w samochodzie i jednego, który stał na zewnątrz -

ważnego bojownika wolności. Jest więcej świadków. Dalej, na drodze, pięciu zabitych i ranni 332 ułożeni za helikopterem, który cię uratował. Też są świadkowie. - Znowu zapadła cisza.

Azadeh nie drgnęła, choć krew odpłynęła jej z twarzy. - No i?

- Skoro są świadkowie, to wiesz także, że próbowaliśmy spokojnie dostać się do Teheranu.

Nie byliśmy uzbrojeni. Zaatakował nas tłum, a gdyby nie Charlie Pettikin i Rakoczy, byłibyśmy już...
- Erikki urwał na widok szybkiej wymiany spojrzeń pomiędzy dwoma obcymi mężczyznami. Potem mówił dalej, zachowując jeszcze większą ostrożność. -

Prawdopodobnie byłoby już po nas. Nie byliśmy uzbrojeni. Rakoczy też nie był, najpierw strzelano do nas.

Abdollah-chan także dostrzegł zmianę w wyrazie twarzy mężczyzn. Z namysłem spojrział na Erikkiego.

- Rakoczy? Ten sam, który napadł na twoją bazę z islamsko-marksistowskim mułłą?

Sowiecki muzułmanin?

- Tak. - Erikki obrzucił groźnym spojrzeniem obu mężczyzn. - Agent KGB, który twierdził, że przybył z Gruzji, z Tbilisi.

687

Abdollah-chan uśmiechnął się cierpko.

- KGB? A skąd to wiesz?

- Widziałem ich w życiu tyłu, że wiem.

Obaj mężczyźni spoglądali obojętnie; starszy uśmiechnął się przyjaźnie, co zmroziło Erikkiego.

- Ten Rakoczy. Jak dostał się do helikoptera? - zapytał chan.

- W niedzielę schwytał w mojej bazie Charliego Pettikina, jednego z naszych pilotów, który przyleciał do Tebrizu, żeby zabrać Azadeh i mnie. Moja ambasada poprosiła, żebym skontaktował się z nią w sprawie paszportu. To było wtedy gdy większość rządów, w tym mój, nakazała, aby

wszyscy cudzoziemcy, którzy są niezbędni, opuścili Iran - wyjaśnił. Ta przesada nie brzmiała niewiarygodnie. - W poniedziałek, gdy stąd wyjeżdżaliśmy, Rakoczy zmusił Pettikina, żeby ten zawiózł go do Teheranu. - Opisał krótko przebieg wypadków. -

Gdyby jednak nie zauważył fińskiej flagi na dachu samochodu, byłibyśmy martwi.

Człowiek o azjatyckich rysach zaśmiał się cicho.

- To by była ogromna strata, kapitanie Yokkonen - powiedział po rosyjsku.

Starszy mężczyzna o słowiańskich oczach odezwał się w nienagannym angielskim:

- Gdzie jest teraz ten Rakoczy?

- Nie wiem. Gdzieś w Teheranie. Czy mogę zapytać, z kim mam przyjemność?

Erikki grał tylko na zwłokę; nie oczekiwał odpowiedzi. Próbował zgadnąć, czy Rakoczy jest przyjacielem czy wrogiem tych dwóch, którzy musieli być Sowietami z KGB lub GRU, tajnej policji sił zbrojnych.

- Przepraszam, jak on ma na imię? - zapytał uprzejmie starszy mężczyzna.

- Fedor, jak rewolucjonista węgierski.

Erikki nie zauważył żadnej reakcji. Mógł coś jeszcze dodać, ale był zbyt mądry, aby zdradzać coś dobrowolnie KGB lub GRU. Azadeh siedziała nieruchomo na dywanie. Trzymała ręce na kolanach. Usta odcinały się

688

czerwienią od bladości twarzy. Nagle bardzo się o nią zaniepokoił.

- Czy przyznajesz, że zabiłeś tych ludzi? - zapytał Abdollah i zjadł następny kawałek przysmaku.

- Przyznaję, że zabiłem człowieka jakiś rok temu, ratując pańskie życie, Wasza Wysokość...

- I właśnie - rzucił ze złością Abdollah-chan. - Ci zabójcy dopadliby także ciebie. To Bóg sprawił, że obaj przeżyliśmy.

- Nie rozpocząłem tej walki ani do niej nie dążyłem.

333

- Erikki próbował mądrze dobierać słowa, lecz czuł, że nie są ani mądre, ani bezpieczne, ani odpowiednie.

- Jeśli nawet zabiłem tych innych, to nie dlatego, że tego chciałem, ale po to, aby ochronić twoją

córkę, a moją żonę. Nasze życie było zagrożone.

- Więc uważasz, że możesz zabijać, gdy tylko, według ciebie, twoje życie jest w niebezpieczeństwie?

Erikki dostrzegł, że chan poczerwieniał na twarzy; czuł też spojrzenia obu mężczyzn.

Pomyślał o swym dziedzictwie, o dziadku, który opowiadał o dawnych czasach na ziemiach Północy, gdy olbrzymy, trolle i gule zaludniające ziemię nie były mitem. To było dawno temu, gdy ziemia była czysta: zło było złem, dobro dobrem, a ziele mogło nosić maski.

- Zabiję każdego, jeśli życie Azadeh lub moje będzie zagrożone - dodał spokojnie.

Jego trzej słuchacze poczuli przenikający ich chłód. Azadeh przeraziła się tą groźbą, a strażnicy, którzy nie znali ani rosyjskiego, ani angielskiego, poruszyli się niespokojnie, czując atmosferę przemocy.

Abdollah-chan zmarszczył groźnie czoło.

- Pójdiesz z tym człowiekiem - oświadczył ponuro.

- Pójdiesz z nim i wykonasz jego polecenia.

Erikki spojrzał na mężczyznę o azjatyckich rysach.

- Czego ode mnie chcesz?

- Tylko pańskich umiejętności pilota i pańskiego 212 - odparł grzecznie mężczyzna.

Powiedział to po rosyjsku.

689

- Przykro mi. 212 przechodzi przegląd, a ja pracuję dla S-G i Iran-Timber.

- 212 jest już sprawny, dokładnie sprawdzony przez waszych mechaników. Iran-Timber odstąpił pana nam... mnie.

- Żeby co zrobić?

- Latać - rzucił mężczyzna z irytacją w głosie. - Czy ma pan kłopoty ze słuchem?

- Nie, ale pan chyba tak.

Mężczyzna syknął z niedowierzaniem. Starszy dziwnie się uśmiechnął. Abdollah-chan zwrócił się do Aza-deh, a ta niemal podskoczyła ze strachu.

- Pójdiesz do Chanan i złożysz jej wyrazy szacunku!

- Tak... tak, ojciec - odparła, jękając się, i gwałtownie wstała. Erikki zrobił krok, ale strażnicy byli czujni. Jeden z nich wymierzył w niego broń. Azadeh była bliska łez. - Nie, Erriki, to...

ja... muszę iść...

Wybiegła, zanim mógł ją zatrzymać. Ciszę przerwał człowiek o twarzy Azjaty.

- Nie ma się pan czego obawiać. Potrzebujemy tylko pańskich umiejętności.

Erikki Yokkonen nie" odpowiedział. Był przekonany, że znalazł się w pułapce, że Azadeh też jest w tej pułapce. Wiedział, że gdyby nie strażnicy, rzuciłby się bez wahania na Abdollah-chana i zabił go, a prawdopodobnie tamtych dwóch także. Ci trzej mężczyźni o tym wiedzieli.

- Dlaczego wezwałeś moją żonę, Wasza Wysokość? - zapytał tym samym spokojnym głosem, choć znał już odpowiedź na o pytanie. - Wysłałeś wiadomość dwukrotnie.

Abdollah odpowiedział z uśmiechem na ustach:

- Ona nie ma dla mnie wartości, ale ma dla moich przyjaciół. Dzięki niej wróciłeś i będziesz posłuszny. I na Boga i proroka: będziesz posłuszny. Zrobisz to, czego oczekują ci ludzie.

Jede°mZe strażników poruszył swym pistoletem ma-"(tm) o krótkiej lufie, a hałas odbił się echem od szynowym ścian sali. Sowiet

o azjatyckiej twarzy wstał.

690

- Przede wszystkim poproszę o pański nóż.

334

- Podejdz i sam go weź. Jeśli naprawdę chcesz...

Mężczyzna zawahał się. Nagle Abdoll-chan wybuchnął śmiechem. Ten śmiech był okrutny; odczuli to wszyscy.

- Zostaw mu jego nóż. W ten sposób życie będzie ciekawsze. - Potem dodał pod adresem Erikkiego: - Byłoby mądrzej, gdybyś był posłuszny i robił to, czego się od ciebie wymaga.

- Byłoby mądrzej zostawić nas w spokoju.

- Chciałbyś zobaczyć, jak wieszamy twojego kolegę pilota za kciuki? - Fin opuścił wzrok.

Starszy Sowiet nachylił się i szeptał coś do Abdollaha, który nie spuszczał wzroku z Erikkiego i bawił się sztyletem wysadzonym drogimi kamieniami. Gdy mężczyzna skończył

mówić, chan skinął głową. - Erikki, powiedz swojemu koledze, że on też musi być posłuszny podczas pobytu w Tebrizie. Wyślemy go do bazy, ale twój mały helikopter zostanie tutaj. Na razie. - Odprawił gestem Azjatę.

- Nazywam się Cimtarga, kapitanie. - Mężczyzna nie był tak wysoki, jak Erikki, ale silnie zbudowany, z szerokimi ramionami. - Najpierw...

- Cimtarga to nazwa góry, na wschód od Samar-kandy. Jakie jest pańskie prawdziwe nazwisko? I stopień?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Moi przodkowie wyruszali na wyprawy z Tamer-lanem, Mongołem, tym, którego bawiło wznoszenie gór z czaszek. Najpierw udamy się do pańskiej bazy. Pojedziemy samochodem.

Otworzył drzwi, Erikki jednak nie drgnął; nadal patrzył na Abdollaha.

- Wieczorem spotkam się z żoną.

- Spotkasz się z nią, gdy... - Abdollah-chan urwał, gdyż starszy z mężczyzn znowu nachylił

się i coś szepnął. Chan skinął głową. - Dobrze. Tak, kapitanie, spotkasz się z nią dziś wieczorem. Będiesz ją widywał co drugą noc, pod warunkiem...

691

Pozwolił, aby nie wypowiedziane słowo wywarło właściwe wrażenie. Erikki odwrócił się i wyszedł.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, napięcie opuściło salę. Starszy mężczyzna zachichotał.

- Wasza Wysokość, był pan doskonały, doskonały jak zwykle.

Abdollah-chan poruszył lewym ramieniem; złościł go artretyczny ból, jaki w nim odczuwał.

- On będzie posłuszny, Petr - powiedział - ale tylko dopóty, dopóki moja nieposłuszna i niewdzięczna córka pozostanie pod moją władzą.

- Córki są zawsze trudne - odparł Petr Oleg Mzyt-ryk. Pochodził z za północnej granicy, z Tbilisi - Tiflis.

- Nie aż tak, Petr. Inne są posłuszne i nie sprawiają mi kłopotów, ale ta... ta wprawia mnie w furję.

- Zatem wyślij ją gdzieś, gdy tylko Fin zrobi to, czego od niego wymagamy. Odeślij ich oboje. - Słowiańskie oczy osadzone w poczciwej twarzy zamrugały; ich właściciel dodał

lekkim tonem: - Gdybym miał o trzydzieści lat mniej, a ona byłaby wolna, zrobiłbym wszystko, żeby

ją od ciebie zabrać.

- Gdybyś poprosił o to, zanim zjawił się ten szaleniec, mógłbyś ją mieć razem z moim błogosławieństwem - odparł kwaśno Abdollah-chan; zauważył w głosie rozmówcy nutę nadziei, postanowił jednak zastanowić się nad tym później i ukrył zdziwienie. - Żałuję, że mu ją dałem; myślałem, że jego też zdenerwuje. Żałuję swej przysięgi złożonej przed Bogiem, że zostawię go przy życiu. To była chwila słabości.

- Może nie. Dobrze jest być wspaniałomyślnym. Czasami. Ocalił ci życie.

- In sza'a Allah! Uczynił to Bóg, on był tylko Jego narzędziem.

- Oczywiście - powiedział zgodnie Mzytryk. - Oczywiście.

, , ~ Ten człowiek jest diabłem, ateistycznym diabłem, który cuchnie żądzą krwi. Sam widziałeś: gdyby nie strażnicy, musielibyśmy walczyć o życie.

335

692

- Raczej nie. Nie, dopóki ona jest w twoich rękach i może być traktowana... nieodpowiednio.

- Petr dziwnie się uśmiechnął.

- Jeśli Bóg zechce, oboje znajdą się wkrótce w piekle

- rzucił chan.

Nadal nie mógł przeboleć, że musi zostawić Erik-kiego przy życiu, aby pomóc Petrowi Olegowi Mzyt-rykowi. Mógł oddać Fina w ręce lewicowych mudżahed-dinów i w ten sposób pozbyć się go na zawsze. Mułła Mahmud, jeden z przywódców islamsko-marksistowskiej frakcji mudżaheddinów w Tebrizie, którzy napadli na bazę, przyszedł do niego dwa dni wcześniej i opowiedział, co zaszło przy zaporze drogowej.

- Oto ich dokumenty, które stanowią dowód - powiedział opryskliwie mułła. - Należą do obu cudzoziemców, którzy na pewno są z CIA, i do pani, twojej córki. Gdy on powróci do Tebrizu, natychmiast postawimy go przed naszym komitetem, skazemy, zabierzemy do Kazwinu i wydamy na śmierć.

- Na proroka, nie zrobicie tego bez mojej zgody

- rzucił władczo Abdollah, biorąc dokumenty. - Ten wściekły pies, cudzoziemiec, jest mężem mojej córki. On nie jest z CIA i znajduje się pod moją ochroną, dopóki tego nie odwołam.

Jeśli spadnie mu włos z głowy, choć jeden przeklęty czerwony włos, albo jeśli bez mojej zgody stanie się coś jemu lub bazie, wycofam całe swoje tajne wsparcie; nic nie powstrzyma wtedy

Zielonych Opasek od wypędzenia lewaków z Tebrizu! Odam ci go wtedy, gdy ja będę tego chciał, a nie ty!

Muła niechętnie odszedł, a Abdollah natychmiast wciągnął Mahmuda na swą listę spraw do załatwienia. Gdy starannie obejrzał dokumenty i ujrzał paszport, dowód tożsamości i inne papiery Azadeh, był zadowolony; dawało mu to dodatkową przewagę nad nią i jej mężem.

Tak, pomyślał, spoglądając na Sowietę, ona zrobi teraz wszystko, czego od niej zażądam.

Wszystko.

- Będzie, jak zechce Bóg, ale ona może już wkrótce zostać wdową.

693

- Miejmy nadzieję, że nie tak od razu! - Śmiech Mzytryka był zaraźliwy. - Jej mąż musi wypełnić swoje zadanie.

Abdollah-chan cieszył się z obecności tego mężczyzny i z jego dobrych rad; wiedział, że Mzytryk zrobi to, co powinien. Ja jednak muszę poruszać sznurkami jeszcze lepiej niż dawniej, pomyślał, jeśli mam przeżyć i jeśli Azerbejdżan ma przetrwać.

Obecnie sytuacja w Tebrizie i całej prowincji była niezwykle delikatna; wszędzie wybuchały powstania, a poszczególne frakcje walczyły ze sobą. Dziesiątki tysięcy żołnierzy radzieckich czekały na samej granicy. I czołgi. I nic, co mogłoby ich zatrzymać, aż do zatoki. Oprócz mnie, pomyślał. Gdy tylko zdobędę Azerbejdżan - Teheran się nie obroni; historia dowodziła tego raz po raz - Iran wpadnie w ich ręce jak zgniłe jabłko, o którym mówił Chruszczow, razem z Iranem zatoka, światowe zasoby ropy i Ormuz.

Chciało mu się wyc z gniewu. Niech Bóg przeklnie Szacha, który nie słuchał, nie czekał i nie miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby dwadzieścia lat temu zdławić małe powstanie inspirowane przez mułłów i wysłać Ajatollaha Chomeiniego do piekła, jak mu radziłem. No i proszę: rozluźnił dławiący, bezwzględny uścisk, w jakim trzymaliśmy cały świat oprócz Rosji, carskiej czy radzieckiej, naszego prawdziwego wroga.

Byliśmy już tak blisko: USA jadły nam z ręki, przypocholebiały się i wpychały swą najbardziej nowoczesną broń. Błagali, abyśmy pilnowali zatoki i dominowali nad zdradzieckimi Arabami, wchłaniali ich ropę, zrobili wasali z nich i ich nieczystych sunnickich szej-kanatów, od Arabii Saudyjskiej do Omanu. Mogliśmy pokonać Kuwejt w jeden dzień, Irak w tydzień, a szejkowie saudyjscy i z Emiratów uciekliby z powrotem na te swoje pustynie i błagali o litość! Moglibyśmy dostać każdą technologię, której byśmy zapragnęli: statki, samoloty, 336

czołgi - na każde żądanie, nawet bombę, na Boga! Nasze reaktory wybudowane przez Niemców pozwoliłyby nam ją uzyskać!

694

Byliśmy tak blisko wypełnienia woli Boga, my, szyjci Iranu, z naszą wyższą inteligencją, starożytną historią, naszą ropą i władaniem nad zatoką, które rzuciłoby w końcu na kolana wszystkich ludzi Lewej Ręki. Tak blisko do wzięcia Jerozolimy i Mekki, najświętszego ze świętych miejsc.

Tak blisko stania się Pierwszymi na Ziemi, co jest naszym prawem. Ale teraz, teraz to wszystko jest zagrożone i musimy zaczynać od nowa. Od nowa wymanewrować szatańskich barbarzyńców z Północy, a to wszystko przez jednego człowieka.

In sz'a Allah, pomyślał, i to go nieco uspokoiło. Mimo wszystko, gdyby w sali nie było Mzytryka, krzyczałby i szalał, zbiłby kogoś, kogokolwiek. Ale ten człowiek tu jest; trzeba coś z nim zrobić, trzeba zrobić coś z problemami Azerbejdżanu. Kontrolował więc swój gniew i starannie planował następne posunięcie. Chwycił ostatni kawałek chałwy i włożył go do ust.

- Czy chciałbyś ożenić się z Azadeh, Petr?

- A ty chciałbyś, żebym ja, starszy od ciebie, był twoim zięciem? - zaśmiał się niechętnie Mzytryk.

- Gdyby taka była wola Boga - odparł z odpowiednią dozą szczerości w głosie i uśmiechnął się do siebie, gdyż dojrzał błysk w oczach przyjaciela, który ten starał się ukryć.

A więc, pomyślał chan, gdy ją ujrzałeś, zapragnąłeś ją mieć. Gdybym dał ci ją naprawdę, kiedy już pozbędę się tego potwora, co by mi to dało? Bardzo wiele! Jesteś odpowiednim kandydatem na męża, jesteś potężny. Z politycznego punktu widzenia byłoby to mądre, bardzo mądre, a ty nauczyłbyś ją rozumu i traktował tak, jak powinna być traktowana; nie tak jak Fin, który się przed nią płaszczy. Byłbyś instrumentem mojej zemsty. To rozwiązanie ma wiele zalet...

Trzy lata wcześniej Petr Oleg Mzytryk przejął ogromną daczę i ziemie należące do jego ojca, także starego przyjaciela Gorgonów, niedaleko Tbilisi, gdzie, od pokoleń, Gorgonowie posiadali bardzo ważne koneksje handlowe. Od tego czasu Abdollah-chan poznał go 695

bardzo dobrze, zatrzymując się w tej daczce podczas podróży, jakie odbywał w interesach.

Stwierdził, że Petr Oleg, jak wszyscy Rosjanie, jest skryty i trochę nieużyty, w przeciwieństwie jednak do innych bardzo pomocny i przyjacielski, najpotężniejszy ze znanych mu Sowietów. Oleg był wdowcem; miał zamężną córkę, syna w marynarce, wnuki i... rzadkie zwyczaje. W ogromnej daczce mieszkał sam, jeśli nie liczyć służby i zaskakująco pięknej, zaskakująco zjadliwej trzydziestoparoletniej rosyjskiej Eurazjatki nazwiskiem Wertyńska, którą pokazał tylko dwukrotnie w ciągu trzech lat, jak jakiś rzadki, prywatny skarb. Zdawało się, że jest ona trochę niewolnicą, trochę więźniem, trochę kompanem do wypitki, trochę dziwką, trochę męczennicą, a trochę dzikim kotem.

- Dlaczego nie zabijesz jej i w ten sposób z nią nie skończysz, Petr? - zapytał kiedyś, gdy wybuchła gwałtowna kłótnia, a Mzytryk wypchnął ją z pokoju; kobieta pluła, klęła i wyrывała się służącym, którzy ją odciągali.

- Nie... jeszcze nie - odparł Mzytryk, któremu trzęsły się ręce. - Ona jest za... zbyt cenna.

"- Ach tak, tak, rozumiem - powiedział Abdol-lah-chan równie podekscytowany; on czuł to samo wobec Azadeh: nie chciał się jej pozbyć, dopóki nie będzie naprawdę poniżona, naprawdę upokorzona, dopóki nie będzie się czołgać. Pamiętał, jak zazdrościł Mzytrykowi tego, że Wertyńska była nałożnicą, a nie córką, tak że mógł się dokonać ostateczny akt zemsty.

Niech Bóg przeklnie Azadeh, pomyślał. Przeklnie ją, bliźniaczo podobną do matki, która dała mi tyle rozkoszy, przypominającą mi ciągle, co utraciłem. Ona i jej występny brat! Oboje przypominają matkę rysami i sposobem bycia, ale nie jakością. Ona była jak hurysa z Ogrodu 337

Boga. Myślałem, że nasze dzieci będą mnie kochać i czcić, ale nie: gdy tylko Naftala odeszła do raj, jej dziedzictwo zaczęło przemijać. Wiem, że Azadeh spiskowała z bratem, żeby mnie zamordować. Czyż nie mam na to dowodu? Och, Boże, chciałbym móc ją zabić, tak jak Petr swą nemezis, ale nie mogę, nie mogę.

Gdy tylko podnoszę na nią rękę, widzę mą ukochaną. Niech Bóg wtrąci Azadeh do piekła...

- Bądź spokojny - powiedziała łagodnie Mzytryk.

- Co?

- Wyglądasz na zmartwionego, przyjacielu. Nie troskaj się, wszystko pójdzie dobrze.

Znajdziesz sposób, aby się jej pozbyć razem z diabłem, który w niej zamieszkał.

Abdollah-chan ponuro skinął głową.

- Tak dobrze mnie znasz.

To prawda, przyznał w duchu, zamawiając dla siebie herbatę, a dla Mzytryka wódkę; tylko w jego towarzystwie czuł się naprawdę dobrze.

Zastanawiam się, kim jesteś naprawdę, pomyślał, patrząc na przyjaciela. W dawnych czasach, za życia twojego ojca, w dacy, w której się poznaliśmy, mówiłeś, że jesteś na urlopie; nigdy jednak nie powiedziałeś na urlopie od czego, a ja, choć próbowałem, nie zdołałem się tego dowiedzieć. Na początku zakładałem, że jesteś sowieckim wojskowym, gdyż kiedyś, po pijanemu, powiedziałeś, że dowodziłeś czołgiem w czasie II wojny światowej w Sewastopolu i potem aż do Berlina. Później jednak zmieniłem zdanie i uznałem, że ty i twój ojciec pracujecie raczej w KGB lub GRU, gdyż nikt inny nie może mieć takiej dacy, z taką ziemią, w Gruzji, najlepszej części cesarstwa. Mówisz, że jesteś teraz na emeryturze. Emeryturze po jakiej pracy?

Usiłując zbadać zakres potęgi Mzytryka wtedy, w dawnych czasach, Abdollah-chan wspominał, że tajna komórka komunistycznej Tude w Tebrizie chce go zabić i że chciałby się jej pozbyć. Była to prawda tylko częściowo; chodziło o to, że do grupy tej należał syn człowieka, którego chan skrycie nienawidził i przeciwko któremu nie mógł wystąpić otwarcie. Po tygodniu głowy wszystkich członków grupy widniały nadziane na wbitych w ziemię kołkach koło meczetu; umieszczono tam napis: "Tak zginą wszyscy wrogowie Boga".

Abdollah ocierał łzy na pogrzebie, a w duchu się zaśmiewał. To, że Petr Mzytryk mógł wyeliminować jedną z ich własnych

696

697

komórek, świadczyło o naprawdę potężnej władzy i - Abdollah-chan dobrze to wiedział

- o tym, jakie on sam ma dla niego znaczenie. Spojrzał na przyjaciela.

- Jak długo Fin będzie ci potrzebny?

- Parę tygodni.

- A jeśli Zielone Opaski uniemożliwiają mu latanie albo go schwytają?

Sowiet wzruszył ramionami.

- Miejmy nadzieję, że zdąży wykonać zadanie. Wątpię, czy ktoś przeżyje, on albo Cimtarga, jeśli zostaną odnalezieni po tej stronie granicy.

- Dobrze. Wróćmy do tego, na czym nam przerwano. Zgadzasz się, aby Tude nie otrzymała tu dużego wsparcia, dopóki Amerykanie trzymają się z dala, a Chomeini nie rozpoczyna kampanii przeciwko nim?

- Azerbejdżan zawsze znajdował się w polu naszego zainteresowania. Zawsze mówiliśmy, że powinien być niezależnym państwem. Jest tu więcej niż dość bogactwa, władzy, zasobów mineralnych i ropy, żeby utrzymać takie państwo i... - Mzytryk uśmiechnął się - i jego oświeconych przywódców. Mógłbyś ponieść sztandar, Abdollah. Jestem pewien, że otrzymałbyś wszelkie wsparcie, jakiego byś potrzebował, żeby zostać prezydentem, a także nasze natychmiast uznanie.

338

A potem zostaną zabity, gdy tylko czołgi przetoczą się przez granicę, pomyślał bez złości chan. O nie, mój wspianiały przyjacielu: zatoka to zbyt wielka pokusa, nawet dla ciebie.

- To świetna myśl - powiedział poważnie - ale potrzebowałbym na to czasu. A na razie, czy mogę liczyć także na to, że komunistyczna Tude zwróci się przeciwko powstańcom?

Uśmiech Petra Mzytryka nie zmienił się, zmienił się jednak wyraz jego oczu.

- Ludzie z Tude byliby zdumieni, gdyby mieli zaatakować swych braci. Wielu muzułmańskich intelektualistów popiera islamski marksizm. Słyszałem, że nawet ty go popierasz.

698

- Zgadzam się z tym, że w Azerbejdżanie powinna panować równowaga sił. Kto jednak rozkazał lewakom zaatakować lotnisko? Kto im rozkazał, aby zaatakowali i spalili naszą stację kolejową? Kto nakazał podpalenie rurociągu? Oczywiście, nie był to nikt rozsądny.

Słyszałem, że to mułła Mahmud z meczetu Hodżasta - uważnie obserwował Petra - jeden z waszych.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Ach - powiedział Abdollah-chan, udając jowialność i nie wierząc rozmówcy - cieszę się, Petr, gdyż jest on fałszywym mułłą. Ten podżegacz nie jest nawet prawdziwym islamskim marksistą. To on napadł na bazę Yokkonena. Niestety, popiera go aż pięciuset bojowników, którzy są równie niezdyscyplinowani, jak on sam. No i ma skądś pieniądze. I pomocników, takich jak Fedor Rakoczy. Co ci mówi to nazwisko?

- Niewiele - odparł natychmiast Petr, nie zmieniając tonu głosu i nie przestając się uśmiechać; był zbyt sprytny, żeby uchylać się od odpowiedzi. - To inżynier od rurociągu z Astary przy granicy, jeden z naszych muzułmanów, o którym mówi się, że przystąpił do mudzaheddinów jako Bojownik Wolności bez zezwolenia czy zgody.

Petr nie dawał niczego po sobie poznać, ale w duchu denerwował się i przeklinał; miał ochotę krzyknąć. Mój synu, mój synu, czy nas zdradziłeś? Wysłano cię, żebyś szpiegował, infiltrował

mudzaheddinów i składał raporty. To wszystko! Tym razem miałeś spróbować skap-tować Fina, a potem pojechać do Teheranu i zorganizować studentów. Dlaczego sprzymierzyłeś się z tym wściekłym psem, mułłą? Dlaczego napadasz na lotniska? Dlaczego zabiłeś te szumowiny przy drodze? Zwariowałeś? Ty przeklęty głupcze! Co by było, gdybyś został

ranny albo gdyby cię schwytano? Ile razy powtarzałem ci, że oni, tak jak my, mogą złamać każdego i wydobyć wszystkie tajemnice? Podejmowanie takiego ryzyka to głupota! Fin jest na razie ważny, ale nigdy na tyle, żeby postępować wbrew rozkazom i ryzykować własną przyszłość, a także przyszłość twojego brata i moją!

699

Jeśli syn jest podejrzany, to ojciec także. Jeśli podejrzany jest ojciec, to również cała rodzina.

Ile razy powtarzałem ci, że KGB działa według Księgi i niszczy tych, którzy nie są posłuszni Księdze, którzy sami myślą, ryzykują i przekraczają instrukcje.

- Ten Rakoczy nie jest ważny - powiedział łagodnie. Zachowaj spokój, nakazał sobie, rozpoczynając litanię: Nie ma się czym martwić. Znam zbyt wiele tajemnic, żeby mogli mnie ruszyć. Mój syn także. To dobry chłopak, oni musieli się co do niego pomylić. Był

wielokrotnie sprawdzany, przeze mnie i innych ekspertów. Jestem bezpieczny, silny, zdrowy.

Mogę zbić i zaciągnąć do łóżka tę śliczniutką Azadeh, a tego samego dnia zgwałcić Wertyńską. - Ważne jest to, przyjacielu, że cały Azerbejdżan spogląda na ciebie - ciągnął tym samym łagodnym

głosem - otrzymasz takie wsparcie, jakiego potrzebujesz, a twoje poglądy o islamskich marksistach dotrą do właściwego źródła. Będziesz miał równowagę, której pragniesz.

- To dobrze. Liczę na to - odparł chan.

339

- Tymczasem - dodał Mzytryk, powracając do kwestii, która spowodowała jego nagłe przybycie - co z brytyjskim kapitanem? Czy możesz nam pomóc?

Przedwczoraj do jego domu pod Tbilisi dotarł ściśle tajny, zaszyfrowany teleks z Centrali, z którego dowiedział się, że tajna stacja nasłuchowa CIA na północnym stoku Sawalanu została wysadzona w powietrze przez sabotażystów przed przybyciem zaprzyjaźnionych miejscowych oddziałów, które miały zabrać wszystkie księgi szyfrów, maszyny szyfrujące i komputery. Natychmiast skontaktować się z Iwanowiczem, nakazywał teleks, posługując się kryptonimem Abdollah-chana. Powiedzieć mu, że sabotażyści to Brytyjczyk, kapitan, dwóch Gurkhów i agent CIA Rosemont (kryptonim Abu Kurd). Prowadził ich jeden z naszych najemników; zamordowali go, zanim mógł wprowadzić ich w zasadzkę. Jeden z żołnierzy i agent CIA zostali zabici podczas ucieczki, a dwaj, którzy przeżyli, kierują się prawdopodobnie w kierunku sektora Iwanowicza. Zapewnić jego współpracę. Paragraf 700

16ja. Potwierdzić. Rozkaz Paragraf 16 oznaczał: ta osoba lub osoby są wrogami o najwyższym priorytecie. Trzeba ich przechwycić i skierować na przesłuchanie wszelkimi dostępnymi środkami. Litera a oznaczała: jeśli nie da się tego zrobić, trzeba ich wyeliminować. Mzytryk pociągnął łyk wódki. Czekał.

- Byliśmy ci wdzięczni za udzielenie pomocy.

- Zawsze możecie liczyć na moją pomoc - odparł Abdollah - ale odnalezienie w Azerbejdżanie dwóch świetnie wyszkolonych sabotażystów, którzy na pewno dobrze się już zamaskowali, jest prawie niemożliwe. Na pewno dysponują kryjówkami - w Tebrizie jest brytyjski konsul. W górach są całe tuziny dróg, którymi mogą nas omijać. - Wstał, podszedł

do okna i wyjrzał. Z tego miejsca mógł widzieć strzeżony przez wartownika 206. Na niebie nadal nie było chmur. - Gdybym to ja prowadził tę operację, udałbym, że zdążam do Tebrizu, a potem zawrócił i wydostał się przez Morze Kaspijskie. Jak oni się tu dostali?

- Przez Morze Kaspijskie. Ale ich wytropiono. W śniegu odnaleziono dwa ciała, a ślady pozostałych prowadzą do Tebrizu.

Niepowodzenie operacji na Sawalanie wywołało prawdziwe trzęsienie ziemi. Tak wiele najtajniejszego sprzętu CIA znajdowało się niemal w zasięgu ręki! Przez wiele lat działało to jak magnes. Podczas dwóch ostatnich tygodni informacje o tym, że niektóre z posterunków radarowych zostały ewakuowane, że w czasie panicznego odwrotu nie zniszczono sprzętu, skłaniały jastrzębie do natychmiastowej akcji, do przejęcia siłą całego tego bogactwa.

Mzytryk, główny doradca w tym regionie, zalecał ostrożność, posłużenie się raczej miejscowymi oddziałami, a nie radzieckimi. Chodziło o to, aby nie antagonizować Abdollah-chana - jedyne go kontaktu i najcenniejszego agenta - oraz o to, aby nie ryzykować i nie wywoływać międzynarodowego incydentu.

- Ryzykowanie konfrontacji byłoby czymś całkowicie niemądrym - powiedział wcześniej, postępując

701

w myśl Księgi i swego prywatnego planu. - Co uzyskamy z bezpośredniej akcji, jeśli to w ogóle nie jest dezinformacja, a Sawalan nie jest jedną wielką makietą, co zresztą może być prawdopodobne? Kilka księzek szyfrów, które może i tak już mamy? A co do komputerów, operacja "Zatopek" może doprowadzić do ich zdobycia.

Chodziło o bardzo kontrowersyjną i innowacyjną tajną operację KGB, nazwaną tak od nazwiska czeskiego długodystansowca, rozpoczętą w 1965 roku. Przy początkowym budżecie 10 milionów dolarów - waluty, której zawsze brakowało - operacja "Zatopek" miała doprowadzić do uzyskania stałego dostępu do najnowocześniejszych i najlepszych technologii zachodnich poprzez zwykłe zakupy za pośrednictwem sieci lipnych spółek. Miała zastąpić kosztowne, konwencjonalne metody kradzieży i szpiegostwa.

340

"Te wydatki nic nie znaczą w porównaniu z korzyściami, jakie uzyskamy", brzmiały słowa jego ściśle tajnego raportu wstępnego, złożonego w Centrali po powrocie z Dalekiego Wschodu w 1964 roku. "Istnieją dziesiątki tysięcy skorumpowanych biznesmenów i naszych sympatyków, którzy sprzedadzą nam to, co najlepsze, byle tylko osiągnąć zysk. Nawet ogromny zysk jakiejś osoby to dla nas drobiazg, gdyż w ten sposób na samych zadaniach zaoszczędzimy miliardy, które będziemy mogli przeznaczyć na marynarkę, lotnictwo i armię lądową. Poza tym, co równie ważne, unikniemy całych lat wysiłku, ciężkiej pracy i niepowodzeń. Tanim kosztem będziemy im dorównywać we wszystkim, co tylko potrafią wymyślić. Kilka dolarów wsuniętych w odpowiednie łapy odda w nasze ręce wszystkie ich skarby".

Petr Mzytryk poczuł ukłucie dumy, gdy przypomniał sobie, jak jego plan został

zaakceptowany, choć naturalnie i zgodnie z obowiązującymi zasadami przejęli go jego zwierzchnicy i przedstawili jako własny pomysł, podobnie zresztą jak on sam przejął go od jednego ze swych głęboko zamaskowanych agentów w Hongkongu, 702

Francuza Jacques'a de Ville'a. Jacques, zatrudniony w ogromnym konglomeracie Struana, otworzył mu oczy: "Prawo amerykańskie nie zakazuje wysyłania technologii do Francji, Niemiec Zachodnich i tuzina innych krajów. Z kolei prawo tych krajów nie zabrania wysyłania technologii do jeszcze innych państw, których prawo nie zakazuje, tak jak szwajcarskie, sprzedawania towarów do Związku Radzieckiego. Interes jest interesem, Gregor, a pieniądze rządzą tym światem. Tylko poprzez Struana możemy dostarczyć wam całe tony wyposażenia, którego USA wam odmawia. Pracujemy dla Chin, dlaczego by nie dla was? Gregor, wy, żeglarze, nie znacie się na interesach..."

Mzytryk uśmiechnął się do swych myśli. W tamtych czasach znano go jako Gregora Susłowa, kapitana małego sowieckiego frachtowca krążącego między Włady-wostokiem a Hongkongiem. W rzeczywistości wykonywał ściśle tajne zadanie jako zastępca szefa pierwszego zarządu KGB do spraw Azji.

W ciągu tych wszystkich lat, począwszy od 1964, gdy zgłosiłem ten pomysł, myślał z dumą, operacja "Zatopek", przy nakładach wynoszących jak dotąd łącznie 85 milionów dolarów, zaoszczędziła mateczce Rosji miliardy i zapewniła stały, a nawet rosnący napływ gadżetów, elektronicznych cudeniak, oprzyrządowania, oprogramowania, planów, robotów, obwodów scalonych, mik-roczęści, leków z NASA, Japonii i Europy: wszystkie te cuda możemy teraz wytwarzać u nas, na maszynach wynalezionych przez wroga, kupionych i opłaconych z ich kredytów, których nigdy nie spłacimy. Co za głupcy!

Nieomal roześmiał się głośno. Co ważniejsze, "Zatopek" daje mi wolną rękę i swobodne manewry w tym regionie; mogę rozgrywać Wielką Grę, którą głupi Brytyjczycy wypuścili z rąk.

Spojrzał na stojącego przy oknie Abdollah-chana; czekał cierpliwie, aż ten zdecyduje się, co pragnie otrzymać w zamian za pomoc w ujęciu sabotażystów. No dalej, Zły Grubasie, pomyślał ponuro, obaj wiemy, że

703

jeśli zechcesz, to złapiesz tych matierjebców, jeśli są jeszcze w Azerbejdżanie.

- Zrobię, co będę mógł - odezwał się Abdol-lah-chan, nadal stojąc przodem do okna.

Mzytryk nie musiał skrywać uśmiechu. - Jeśli ich złapię, co dalej?

- Powiedz Cimtardze. On wszystko załatwi.

- Bardzo dobrze. - Abdollah-chan pokiwał głową, podszedł i zajął swe miejsce. - Zatem to jest ustalone.

- Dziękuję - powiedział Petr.

Był bardzo zadowolony. Tak zdecydowane sformułowanie gwarantowało, że Abdollah obiecuje rychły sukces.

341

- Ten muła, o którym mówiliśmy, Mahmud - ciągnął chan - on jest bardzo niebezpieczny.

On i jego zbiry. Uważam, że są zagrożeniem dla wszystkich. Powinno się skłonić Tude, żeby się nim zajęła. Oczywiście dyskretnie.

Mzytryk zastanawiał się, jak wiele Abdollah wie o ich tajnym wsparciu udzielanym Mahmudowi, jednemu z najlepszych i najbardziej fanatycznych nawróconych.

- Tude musi być strzeżona. Ich przyjaciele także. - Dostrzegł gniew na twarzy rozmówcy i natychmiast dodał ugodowo: - Może ten człowiek mógłby zostać przeniesiony i zastąpiony kimś innym; ogólny rozłam i bratobójstwo pomogłyby wrogowi.

- Ten mulla jest fałszywy. Tak naprawdę to w nic nie wierzy.

- Zatem powinien odejść. Szybko.

Petr Mzytryk uśmiechnął się. Abdollah-chan nie.

- Bardzo szybko, Petr. Na zawsze. A jego grupa powinna być rozwiązana.

Cena była wygórowana, ale rozkaz Paragrafu 16/a upoważniał go do podjęcia takiej decyzji.

- Dlaczegoż by nie szybko i na zawsze, skoro uważasz, że to konieczne? Zgadzam się, hmm, przekazać twoje zalecenie.

Mzytryk uśmiechnął się; tym razem Abdollah-chan także.

704

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia, Petr. Zostań muzułmaninem. Zrób to dla swej nieśmiertelnej duszy.

Petr Mzytryk wybuchnął śmiechem.

- Może z czasem... Na razie ty zostań komunistą. Zrób to dla swych doczesnych przyjemności.

Chan roześmiał się, nachylił i ponownie napełnił kieliszek Petra.

- Nie mógłbyś zostać tu kilka dni?

- Nie, ale dziękuję. Po posiłku będę się zbierał. - Uśmiechnął się szerzej. - Mam wiele do zrobienia.

Abdollah był bardzo zadowolony.

- Mogę już zapomnieć o kłopotliwym mulle i jego bandzie. Ten zepsuty ząb zostanie usunięty. Zastanawiam się jednak, Petr, co byś zrobił, gdybyś wiedział, że ten twój kapitan i żołnierz-sabotażysta czekają po drugiej stronie mojej posiadłości na możliwość bezpiecznego wyjazdu?

- Wyjazdu dokąd? Do Teheranu czy do ciebie?

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Och, wiedziałem, że mnie o to poprosisz.

- Po cóż miałbym ich chronić, po cóż spotykać się z nim potajemnie w Tebrizie dwa dni temu, po cóż przywozić ich po kryjomu tutaj, jeśli nie dla ciebie?

- Być może.

- Szkoda, że zginął Vien Rosemont. Był bardzo pożyteczny. I tak informacje i ostrzeżenie zawarte w kodzie, który przekazał mi przez kapitana, są bardziej niż pożyteczne. Trudno będzie znaleźć kogoś na jego miejsce.

Tak, prawdą jest również to, że jeśli korzysta się z czyjejś uprzejmości, trzeba ją odwzajemnić. Chan zadzwonił, a gdy zjawił się służący, powiedział:

- Przekaż mojej córce, Azadeh, że ma z nami usiąść do posiłku.

TEHERAN, 13:17. Jean-Luc Sessonne walił mosiężną kołatką w drzwi mieszkania McIvera.

Obok niego stała Sajada Bertolin. Teraz, gdy nie byli już na ulicy, pogładził przez palto jej piersi i pocałował ją.

- Przrzekam: to nie potrwa długo. Potem z powrotem do łóżka!

Roześmiała się.

- Dobrze.

- Zarezerwowałaś stolik w Klubie Francuskim?

342

- Oczywiście. Mamy dużo czasu!

- Tak, cheri.

Miał na sobie elegancki płaszcz przeciwdeszczowy narzucony na mundur lotniczy. Lot z Zagrosu nie był spokojny: nikt nie odpowiadał na jego częste wezwania radiowe, choć w eterze krzyżowały się podniecone głosy w farsy, którego nie rozumiał.

706

Trzymał przepisową wysokość i rozpoczął standardowe podejście do międzynarodowego lotniska w Teheranie. Nadal nikt nie odpowiadał na wezwanie. Rękaw pokazywał silny wiatr boczny. Koło dworca lotniczego stały cztery jumbo jęty, kilka innych odrzutowców i jeden wypalony wrak. Pilot zauważył, że niektóre samoloty przyjmują na pokład pasażerów; otaczały je tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci. Dziobowe i ogonowe schodnie były niebezpiecznie przeciążone; wszędzie walały się porzucone torby i walizki. Żadnych policjantów ani pracowników lotniska; to samo z drugiej strony budynku terminalu, gdzie wszystkie drogi dojazdowe były zablokowane przez samochody.auta od czasu do czasu posuwały się trochę do przodu. Duży parking był całkowicie zastawiony, ale kolejne pojazdy próbowały się tam wcisnąć. Na chodnikach tłoczyli się ludzie objuczeni pakunkami.

Jean-Luc podziękował Bogu za to, że jest w powietrzu, a nie w tym tłumie, i wylądował bez trudu na

pobliskim lotnisku Galeg Morghi. Wprowadził 206 do hangaru S-G i za pomocą dziesięciodolarowego banknotu załatwił sobie natychmiastowe podwiezienie do miasta.

Wstąpił do biura Schlumbergera, gdzie zgłosił powrót do Zagrosu o świcie. Potem pojechał prosto do mieszkania Sajady. Czekąca. Jak zwykle, gdy spotykali się po długim rozstaniu, byli niecierpliwi, szorstcy, samolubni i eksplodowali podnieceniem.

Poznał ją na przyjęciu bożonarodzeniowym w Teheranie rok, dwa miesiące i trzy dni temu.

Dokładnie pamiętał tamten wieczór. Panował tłok, dojrzał ją jednak od razu, jakby w pokoju oprócz nich nie było nikogo. Była sama, popijała drinka, ubrana w gładką białą suknię.

- Vaus parlez francais, madame? - zapytał uderzony jej urodą.

- Niestety, m'sieur, tylko kilka słów. Wolałabym angielski.

- Niech będzie angielski. Jestem szczęśliwy, że panią spotkałem, ale mam poważny problem.

707

- Och, tak?

- Chciałbym się natychmiast z panią kochać.

- Co?

- Pani jest ucieleśnieniem moich marzeń... - Zabrzmiałoby to o wiele lepiej po francusku, ale trudno, pomyślał. - Zawsze szukałem kogoś takiego jak pani i muszę się z panią kochać. Pani jest tak... godna pożądania.

- Ale... ale mój... mąż jest gdzieś tutaj. Jestem

mężatką.

- To stanowi pewną okoliczność, madame, ale nie

przeszkodę.

Roześmiała się, a on już wiedział, że należy do niego. Do pełni szczęścia brakowało już tylko jednego:

- Czy umie pani gotować?

- Tak - odparła z takim zaufaniem, że miał już pewność, iż będzie wspaniała; w łóżku będzie boska, a on nauczy ją tego, czego jeszcze nie umie. Jakie ona ma szczęście, że mnie spotkała, pomyślał z radością i znowu załomotał w drzwi.

Miesiące, które spędzili razem, mijały jak w bajce. Jej mąż rzadko przebywał w Teheranie.

Był Libań-czykiem francuskiego pochodzenia, bankierem w Bejrucie.

- Zatem musi być cywilizowany - powiedział z zaufaniem Jean-Luc - i na pewno zaakceptuje nasz związek, cheri, gdyby kiedyś go odkrył. W porównaniu z tobą jest całkiem stary; na pewno zaakceptuje.

343

- Nie jestem tego taka pewna, cheri, poza tym on ma tylko pięćdziesiąt lat, a ty...

- Boski - odpowiedział jej właściwe według niego słowo - jak ty. Naprawdę tak myślał.

Nigdy nie spotkał kogoś z taką skórą, jedwabistymi włosami, długimi nogami. Kogoś tak zapamiętałego w miłości, że było to darem niebios. - Mon Dieu - wydyszał któreś nocy, gdy zastygł na szczycie, zniewolony jej magią. - Umrę w twoich ramionach.

Potem pocałowała go, podała mu nagrzaną ręcznik i wślizgnęła się z powrotem do łóżka. Byli wtedy na

708

wakacjach w Istambule, jesienią zeszłego roku; wszechogarniająca zmysłowość tego miasta całkowicie nimi zawładnęła.

Dla niej była to podniecająca przygoda, ale nie coś jedyne i ostateczne. Powiedziała o Jean-Lucu mężowi w nocy, po przyjęciu, na którym go poznała.

- Ach - rzekł ubawiony - to dlatego chciałaś się z nim spotkać!

- Tak. Pomyślałam sobie, że jest interesujący, choć to Francuz, egocentryk jak oni wszyscy.

Podniecił mnie, tak, naprawdę.

- No cóż, będziesz w Teheranie jeszcze przez dwa lata, a ja nie mogę przyjeżdżać na dłużej niż kilka dni w miesiącu. To zbyt niebezpieczne, a byłoby wstyd, gdybyś spędzała samotnie wszystkie noce, prawda?

- Więc mam twoje błogosławieństwo?

- Gdzie jest jego żona?

- We Francji. On spędza dwa miesiące w Iranie, a potem jeden z nią.

- Może ten związek to bardzo dobry pomysł, dobry dla twojej duszy, dobry dla twojego ciała i dobry dla naszej pracy. Co ważniejsze, odwróci uwagę.

- Tak, jak też o tym pomyślałam. Powiedziałam mu, że nie znam francuskiego, a on ma wiele zalet: jest członkiem Klubu Francuskiego!

- Ach, zatem zgoda. Dobrze, Sajado. Powiedz mu, że jestem bankierem pochodzenia francuskiego, co zresztą częściowo odpowiada prawdzie. Czyż mój prapra-dziadek nie wziął

udziału w wyprawie Napoleona na Środkowy Wschód? Powiedz swojemu Francuzowi, że jesteśmy Libańczykami od wielu pokoleń, a nie od kilku lat.

- Dobrze. Jak zwykle jesteś mądry.

- Niech ci załatwi członkostwo Klubu Francuskiego. To byłoby doskonałe! Tam zbierają się bardzo wpływowi ludzie. Trzeba jakoś złamać przymierze Iranu z Izraelem, powstrzymać Szacha, oderwać Izrael od irańskiej ropy, żeby powstrzymać tego diabła Begina od inwazji na Liban i wyparcia naszych bojowników. Ma-709

jąc irańską ropę, odniesie zwycięstwo, a to byłby koniec kolejnej cywilizacji. Męczy mnie ten ruch.

- Tak, tak, zgadzam się z tym.

Sajada była bardzo dumna. Tak wiele udało się osiągnąć w ciągu roku; to nie do wiary, jak wiele! W tydzień później Jasir Arafat został zaproszony do Teheranu na triumfalne spotkanie z Chomeinim. Było to podziękowanie za pomoc, jakiej udzielił rewolucji: eksport ropy do Izraela został wstrzymany, a fantastycznie antyizraelski Chomeini zastąpił proizraelskiego Szacha, który musiał uciekać w niesławie. Taki postęp od czasu, gdy po raz pierwszy spotkała Jean-Luca. Postęp wprost niewyobrażalny! Wiedziała też, że pomogła swojemu mężowi, wysokiemu funkcjonariuszowi OWP, działając jako specjalny kurier, przewożąc wiadomości i kasety do i ze Stambułu, do i z Klubu Francuskiego w Teheranie - och, jak ciekawe było zadanie wytłumaczenia Irakijczykowi, żeby pozwolili Chomeiniemu poszukać bezpiecznego schronienia we Francji, gdzie nie musiał już milczeć - wszędzie w towarzystwie mojego przystojnego kochanka. Och, tak, pomyślała z zadowoleniem, przyjaźnie i kontakty Jean-344

Luca były takie użyteczne. Pewnego dnia, już niedługo, wrócimy do Gazy. Odzyskamy nasze ziemie, domy, sklepy i winnice...

Drzwi mieszkania McIvera otworzyły się. Za nimi stał Charlie Pettikin.

- Dobry Boże, Jean-Luc, co tu, u diabła, robisz? Cześć Sajado, wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle! Wejdźcie!

Uścisnął dłoń Jean-Luca i i pocałował Sajadę w oba policzki; poczuł bijące od niej ciepło.

Długie, grube palto z kapturem skrywało jej postać. Znała niebezpieczeństwa Teheranu i ubrała się stosownie.

- To oszczędza wielu kłopotów, Jean-Luc. Jasne, że to jest głupie, ale nie chcę, żeby na mnie pluto albo żeby jakiś zbir masturbował się i wymachiwał kutasem, gdy przechodzę. To nie jest i nigdy nie

będzie Francja.

Rzeczywiście, to nie do wiary, że muszę teraz nosić w Teheranie coś w rodzaju czadom, a jeszcze miesiąc temu nie musiałam. Cokolwiek powiesz, cheri, stary Teheran odszedł na zawsze...

Swoją drogą szkoda, myślała, wchodząc do mieszkania. Teheran łączył to, co najlepsze na Zachodzie, z tym, co najlepsze - i najgorsze - na Wschodzie. Teraz jednak... teraz żałuję Iranczyków, zwłaszcza kobiet. Dlaczego muzułmanie, a przede wszystkim szyici, mają tak ciasne horyzonty i nie pozwalają kobietom ubierać się nowocześnie? Czy to dlatego, że są tak opętani myślą o seksie i nie chcą tego ujawnić? Dlaczego nie mogą być tacy jak my, Palestyńczycy, albo Egipcjanie, Szargazyjczycy, Dubajczycy lub Indonezyjczycy, Pakistańczycy i jeszcze wiele innych narodów? To musi być impotencja. Nic mnie nie powstrzyma od udziału w kobiecym marszu protestacyjnym. Jak Chomeini śmiał zdradzić nas, kobiety. Przecież dla niego szłyśmy na barykady!

W mieszkaniu było zimno; elektryczny kominiek nadal działał tylko na pół gwizdka. Pozostała w palcie; rozpięła je tylko i usiadła na jednej z sof. Miała na sobie ciepłą paryską sukienkę z rozcięciem sięgającym uda. Obaj mężczyźni to zauważyli. Była tu już wielokrotnie; mieszkanie wydawało się jej ponure i niewygodne, ale bardzo lubiła Genny.

- Gdzie jest Genny?

- Poleciała rano do Asz Szargaz na pokładzie 125.

- Mac też wyjechał? - zapytał Jean-Luc.

- Nie, tylko ona. Mac jest w...

- Nie wierzę! - wykrzyknął Jean-Luc. - Przysięgała, że bez starego Duncana nie wyjedzie!

Pettikin roześmiał się.

- Ja też nie wierzyłem, ale pojechała potulnie jak baranek. - Zdążę jeszcze powiedzieć Jean-Lucowi o prawdziwym powodzie jej wyjazdu, pomyślał.

- Było tutaj aż tak źle?

- Tak i robi się coraz gorzej. Coraz więcej egzekucji. - Pettikin pomyślał, że lepiej nie wspominać przy Saja-710

711

dzie o ojcu Szahrazad. Nie ma potrzeby jej martwić. - Co sądzicie o herbacie? Akurat zaparzyłem. Słyszeliście dzisiaj o więzieniu Kasr?

- Co takiego?

- Wdarł się tam tłum - wyjaśnił Pettikin, idąc do kuchni po dodatkowe filiżanki. - Wyłamali bramę i

uwolnili więźniów. Powiesili kilku funkcjonariuszy SAVAK-u i policjantów. Plotka głosi, że Zielone Opaski powołały sąd kapturowy i napełniają cele Bóg wie kim, a potem opróżniają je również szybko przy pomocy plutonów egzekucyjnych.

Sajada powiedziała, że więzienie zostało wyzwolone i że wrogowie rewolucji, wrogowie Palestyny, ponoszą zasłużoną karę. Zachowała jednak spokój i słuchała z uwagą słów Pettikina.

345

- Rano pojechaliśmy na lotnisko z Genny, potem do ministerstwa, a potem tutaj. Mac wkrótce wróci. Jak wygląda dojazd do lotniska, Jean-Luc?

- Wielokilometrowe korki.

- Staruszek zatrzymał na kilka tygodni 125 w Asz Szargaz, żeby wywieźć naszych ludzi, gdyby było to konieczne, albo dowozić świeże załogi.

- To dobrze. Scotowi Gavallanowi należy się urlop. I jeszcze kilku mechanikom. Czy 125 może dostać zezwolenie na lądowanie w Szirazie?

- Spróbujemy w przyszłym tygodniu. Chomeini i Bazargan chcą znów wydobywać ropę, więc chyba będą skłonni do współpracy.

- Czy będziesz mógł sprowadzić nowe załogi, Char-lie? - zapytała Sajada, dziwiąc się, że pozwala się na tak wiele brytyjskiemu odrzutowcowi. Cholerni Brytyjczycy, zawsze coś knują!

- Taki mamy plan, Sajado. - Pettikin wlał do dzbanka trochę gorącej wody; nie zauważył

grymasu na twarzy Jean-Luca. - Ambasada brytyjska kazała nam ewakuować cały personel, który nie jest niezbędny. Wywieźliśmy kilku pracowników i Genny, a potem Johnny Hogg poleciał do Kowissu, żeby zabrać Manue-lę Starke.

712

- Manuela jest w Kowissie? - Sajada była równie zdumiona, jak Jean-Luc.

Pettikin opowiedział im o tym, co się zdarzyło, i o tym, jak McIver ją tam wysłał.

- Tyle się dzieje, że trudno mieć oko na wszystko. Co tu robisz i co słyhać w Zagrosie?

Zostaniecie na kolacji. Dziś ja gotuję.

Jean-Luc ukrył swe przerażenie.

- Przepraszam, mon vieux, dzisiaj to niemożliwe. Co do Zagrosu, wszystko w porządku, jak zwykle. W końcu to sektor francuski. Jestem tu, żeby przywieźć Schlum-bergera. Wracam jutro o świcie.

Będę musiał odwieźć ich z powrotem za dwa dni; jak mógłbym się oprzeć możliwości dodatkowego polatania? - Uśmiechnął się do Sajady, a ona odwzajemniła uśmiech. - W gruncie rzeczy, Charlie, od dawna należy mi się wolny weekend. Gdzie jest Tom Lochart? Kiedy wróci do Zagrosu?

Pettikin poczuł skurcz żołądka. Od czasu gdy trzy dni temu Rudi Lutz wywołał ich z wieży w Abadanie i powiedział, że HBC został zestrzelony podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy, a Tom Lochart "wrócił z urlopu", nie mieli żadnych informacji poza oficjalnym potwierdzeniem przekazanym przez Kowiss, że Lochart wyruszył do Teheranu drogą lądową.

Jak dotąd, nie było żadnego oficjalnego dochodzenia w sprawie porwania maszyny.

Chciałbym, na Boga, żeby Tom już wrócił, pomyślał Pettikin. Gdyby nie było tu Sajady, opowiedziałbym o tym wszystkim Jean-Lucowi, w końcu przyjaźni się z Tomem bardziej niż ja. Ale nie wiem nic o Sajadzie. Poza tym ona pracuje dla Kuwejtczyków, a ta cała sprawa z HBC może być nazwana zdradą stanu.

W zamyśleniu napełnił filiżankę i podał ją dziewczynie; drugą przysunął do Jean-Luca. Obie zawierały gorący, czarny napój z cukrem i kozim mlekiem, którego żadne z nich nie lubiło; nie odmówili tylko z grzeczności.

- Tom zrobił to, co miał zrobić - powiedział ostrożnie, starając się, żeby zabrzmiało to lekko.

- Przed-

713

wczoraj wyruszył łądem z Bandar Dejlamu. Bóg wie, ile czasu zajmie mu droga, ale powinien już tu dotrzeć. Miejmy nadzieję, że zjawi się dzisiaj.

- Byłoby wspaniale - zauważył Jean-Luc. - Mógłby zabrać ludzi Schlumbergera do Zagrosu, a ja miałbym kilkudniowy urlop.

- Urlop już miałeś. Poza tym ty tam teraz dowodzisz.

- No cóż, w końcu mogłyby wrócić ze mną i przejąć bazę, a ja wróciłbym tutaj w niedzielę. -

Jean-Luc spojrział na Sajadę i rozpromienił się. - Voila, wszystko ustalone. - Odruchowo 346

wypił łyk herbaty i prawie się zakrztusił. - Dieu, Charlie! Kocham cię jak brata, ale to jest merde!

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, a Pettikin pozazdrościł koledze. A jednak, pomyślał z sercem bijącym odrobinę szybciej, samolot Alitalii z Paulą na pokładzie może tu przylecieć każdego dnia. Cóż bym dał, żeby jej oczy tak pojaśniały na mój widok, jak oczy Sajady dla tego m'sieur uwodziciela.

Daj lepiej spokój, Charlie Pettikin. Mógłbyś wyjść na cholernego głupca. Ona ma dwadzieścia dziewięć lat, a ty pięćdziesiąt sześć i tylko kilka razy z nią rozmawiałeś. Tak, a jednak ona działa na

mnie tak jak nikt od lat. Rozumiem teraz, dlaczego Tom Lochart szaleje za Szahrazad.

Zaalarmował ich brzęczyk aparatu nadawczo-odbiorczego wysokiej częstotliwości. Pettikin wstał i zwiększył głośność.

- Kwatera Główna w Teheranie, dalej!

- Kapitan Ayre z Kowissu do kapitana McIvera. Pilne.

Trzaski w eterze pogarszały słyszalność.

- Tu kapitan Pettikin. Kapitana McIvera chwilowo nie ma. Słyszać cię dwa do pięciu. - Jeden do pięciu stanowiło miarę siły sygnału. - W czym mogę pomóc?

- Gotowość Jeden. Jean-Luck chrząknął.

- Co jest z Freddym i tobą? Tytułujecie się kapitanami?

- To tylko kod - wyjaśnił Pettikin, wpatrując się w aparat radiowy. Sajada natężyła uwagę. To oznacza, że ktoś słyszy rozmowę. Ktoś, kto nie powinien słyszeć. Wróg. Równie oficjalna odpowiedź oznacza, że ta informacja dotarła.

- To bardzo sprytne - wtrąciła Sajada. - Często używacie kodów, Charlie?

- Nie, ale zaczynam tego żałować. To jest cholerna sprawa, kiedy się nie wie, co się naprawdę dzieje. Brakuje osobistego kontaktu, nie ma poczty i telefonu. Teleks ledwie dyszy, a tylu świrów wtrąca się w nasze sprawy bez zaproszenia. Dlaczego nie oddadzą tych swoich karabinów i nie zostawią nas w spokoju?

Odbiornik wydawał z siebie miły szum. Za oknami dzień był pochmurny i szary, chmury zapowiadały dalsze opady śniegu; światło późnego popołudnia sprawiało, że dachy wyglądały ponuro, góry piętrzące się na horyzoncie również. Czekali niecierpliwie.

- Tu kapitan Ayre z Kowisu... - Głos zanikał; musieli bardzo się skupić, żeby coś zrozumieć.

- ...najpierw przekazuję wiadomość z Zagrosu Trzy od kapitana Gavallana sprzed kilku minut.

- Jean-Luc zeszywniał. - Wiadomość brzmi: "Pan, pan, pan". - Był to międzynarodowy sygnał lotniczy oznaczający niebezpieczeństwo, prawie Mayday. - "Miejscowy komitet powiedział mi właśnie, że jesteśmy niepożądani w Zagrosie i że mamy ewakuować wszystkich cudzoziemców z okolicy, w tym z terenów wierceń, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Proszę o natychmiastowe instrukcje". Koniec wiadomości. Zapisał pan?

- Tak - rzucił Pettikin i rzeczywiście coś nabazgrał.

- To wszystko, co powiedział. Wyglądało na to, że jest w kropce.

- Poinformuję kapitana McIvera i wywołam was, gdy tylko będę mógł.

Jean-Luc nachylił się, a Pettikin oddał mu mikrofon.

714

715

- Tu Jean-Luc. Freddy, wywołaj Scota i powiedz mu, że wrócę zgodnie z planem: jutro przed południem. Cieszę się, że mogłem cię usłyszeć, dziękuję, oddaję mikrofon Charliemu.

Oddał mikrofon. Nie był już ani wesoły, ani dobroduszny.

- Przekażę, kapitanie Sessonne. Miło było z panem rozmawiać. Następna wiadomość: 125

zabrał naszych wyjeżdżających razem z panią Starke, w tym kapitana Jona Tyrera, który został ranny przy kontrataku tych poronionych lewaków w Bandar Dejlami...

- Co za atak? - mruknął Jean-Luc.

347

- Słyszę o tym po raz pierwszy. - Pettikin był równie zatroskany.

- i, zgodnie z planem, przywiezie za kilka dni nowe załogi. Następna: kapitan Starke. -

Usłyszeli w jego głosie wahanie i niepokój, a także pewną nienaturalność, jakby czytał z kartki: - Kapitan Starke został zabrany przez komitet w Kowissie na przesłuchanie...

- Obaj mężczyźni gwałtownie nabrali powietrza w płuca

- ...aby potwierdzić fakty zbiorowej ucieczki sprzyjających Szachowi oficerów lotnictwa z Isfahanu, we wtorek trzynastego, helikopterem pilotowanym prawdopodobnie przez Europejczyka. Następna: operacje lotnicze przebiegają coraz lepiej pod ścisłym nadzorem nowego kierownictwa. Pan Esfandiari jest teraz naszym kierownikiem z ramienia IranOil; chce, abyśmy przejęli wszystkie kontrakty Guerneya. Aby to zrobić, potrzebne są dodatkowe trzy 212 i jeden 206. Prosimy o radę. Potrzebujemy części zamiennych do HNB, HKJ i HGX

oraz pieniędzy na zaległe płace. To na razie wszystko.

Pettikin rysował esy floresy na kartce, nie mógł zebrać myśli.

- Ja... ech... zanotowałem wszystko i poinformuję kapitana McIvera, gdy tylko wróci.

Powiedział pan, że... no, że "atak na Bandar Dejlam". Proszę podać więcej szczegółów.

Rozległy się tylko trzaski. Czekali. Potem usłyszeli głos Ayre'a, tym razem normalny: 716

- Wiem tylko, że nastąpił atak przeciwników Ajatollaha Chomeiniego, a kapitanowie Starke i Lutz pomogli go odeprzeć. Potem kapitan Starke przywiózł tu rannych na leczenie. Z naszego personelu ucierpiał tylko Tyrer. To wszystko.

Pettikin starł z czoła kroplę potu.

- Co... co się stało Tyrerowi? Cisza. A potem:

- Lekka rana głowy. Doktor Nutt mówi, że wszystko będzie w porządku.

- Charlie, zapytaj go, o co chodziło z Isfahanem - odezwał się Jean-Luc.

Pettikin, jak we śnie, widział swoje palce przełączające aparat na nadawanie.

- O co chodziło z Isfahanem? Czekali w milczeniu. Potem padły słowa:

- Powiedziałem już wszystko, co wiem.

- Ktoś dyktuje mu, co ma powiedzieć - mruknął Jean-Luc.

Pettikin nacisnął guzik nadwania; postanowił już o nic więcej nie pytać, gdyż było oczywiste, że Ayre

nie będzie mógł odpowiedzieć.

- Dziękuję, kapitanie - rzekł, zadowolony, że jego głos zabrzmiał bardziej zdecydowanie. -

Niech pan poprosi Ważniaka, żeby sformułował na piśmie swoją prośbę o dodatkowe helikoptery. Niech uwzględni czas trwania kontraktu i terminarz opłat. Może to przesłać 125, przy okazji dostawy części. Proszę... proszę nas informować o kapitanie Starke'u. McIver odezwie się do was, gdy tylko będzie mógł.

- Dobrze. Kończę.

Słysząc było już tylko trzaski. Pettikin bawił się przełącznikami. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie, nie interesując się Sajadą, która siedziała w milczeniu na sofie i której uwagi nic nie mogło umknąć.

- "Ścisły nadzór"? To nie brzmi dobrze, Jean-Luc.

- Tak. To prawdopodobnie oznacza, że muszą latać z uzbrojonymi Zielonymi Opaskami. -

Jean-Luc pocił się ze zdenerwowania, myśląc o Zagrosie i o tym, jak

młody Scot Gavallan da sobie radę bez niego. - Mer de! Dziś rano, gdy wyjeżdżałem, wszystko było pięć na pięć; kontrola w Szirazie zachowywała się jak szwajcarski hotelarz poza sezonem. Merde!

Pettikin przypomniał sobie nagle Rakoczego; nieszczęście było tak blisko. Przez chwilę rozważał, czy powiedzieć o tym Jean-Lucowi, ale rozmyślił się. Stare wiadomości!

- Może powinniśmy poprosić o pomoc kontrolę lotów z Szirazu?

348

- Mac mógłby mieć jakiś pomysł. Mon Dieu, to nie brzmi dobrze także dla Duke'a. Te komitety mnożą się jak wszy. Bazargan i Chomeini powinni się nimi szybko zająć, dopóki nie jest za późno.

Jean-Luc wstał. Był bardzo zatroskany i napięty. Zobaczył, że z sofy, zza nie tkniętej filiżanki herbaty, Sajada uśmiecha się do niego.

Natychmiast powrócił mu dobry nastrój. W tej chwili nie mogę niczego zrobić ani dla Scota, ani dla Duke'a. Za to mogę dla Sajady.

- Przepraszam, cneri - powiedział z promiennym uśmiechem na twarzy. - Widzisz, beze mnie w Zagrosie zawsze są jakieś problemy. Charlie, my już idziemy. Muszę sprawdzić mieszkanie, ale wrócimy przed kolacją, powiedzmy o dwudziestej. Do tego czasu Mac powinien już wrócić, co?

- Tak. Nie chcecie drinka? Przepraszam, ale nie mamy wina. Whisky? - zapytał bez przekonania, gdyż chodziło o ostatnią butelkę, pełną tylko w trzech czwartych.

- Nie, dziękuję, mon vieux. - Jean-Luc włożył palto i spojrzął w lustro, stwierdzając, że wygląda

wystrzałowu jak zwykle. Pomyślał o skrzynkach wina i puszkach sera zmagazynowanych w jego mieszkaniu; przezornie poprosił żonę, żeby to zrobiła. - A bientót.

Przyniosę ci trochę wina.

- Charlie - odezwała się Sajada, obserwując uważnie obu mężczyzn, co robiła od chwili, gdy ożyła radiostacja. - O co chodziło Scotowi z tą helikopterową ucieczką?

718

Pettikin wzruszył ramionami.

- Ciągłe rozchodzą się pogłoski o jakichś ucieczkach: lądem, morzem i powietrzem. Zawsze mówi się o udziale "Europejczyków" - powiedział, mając nadzieję, że zabrzmii to przekonująco. - Obwinia się nas o wszystko.

Dlaczego by nie? To wy jesteście odpowiedzialni, pomyślała bez złości Sajada Bertolin. Z

politycznego punktu widzenia była zadowolona, oglądając, jak się poca. Osobiście nie. Lubiła ich obu, jak zresztą większość pilotów, zwłaszcza Jean-Luca, który dostarczał jej rozkoszy i rozrywki. Mam szczęście, że jestem Palestynką i Koptyjką pradawnego pochodzenia, powiedziała sobie. To daje mi siłę, której im brakuje, świadomość dziedzictwa sięgającego czasów biblijnych, zrozumienie życia, którego oni nigdy nie osiągną. Także zdolność do oddzielania polityki od przyjaźni i łóżka, przynajmniej wtedy, gdy jest to niezbędne i rozsądne. Czyż nie wprawialiśmy się przez trzydzieści wieków w sztuce przeżycia? Czyż Gaza nie jest zamieszkała już od trzech tysięcy lat?

- Mówi się, że Bachtiar wymknął się z kraju i uciekł do Paryża.

- Nie wierzę w to, Charlie - odparła dziewczyna. - Wierzę jednak w coś innego - dodała, gdyż zauważyła, że nie odpowiedział na jej pytanie o helikopter w Isfaha-nie. - Wygląda na to, że twój generał Walik uciekł razem z rodziną i przyłączył się do innych współników Iranian Helicopters w Londynie. Prawdopodobnie za-chomikowali sobie miliony dolarów.

- Wspólnicy? - rzucił pogardliwie Jean-Luc. - To zbójce. Wszyscy, tu i w Londynie. Gorszi z roku na rok.

- Nie wszyscy są tacy źli - zauważył Pettikin. Jean-Luc zaprotestował.

- Ci cretins kradną pot z naszego czoła, Sajado. Jestem zdumiony tym, że staruszek Gavallan pozwala im z tym zwać.

- Zejdz z tego, Jean-Luc - powiedział Pettikin. - On ich zwalcza na każdym centymetrze swojej drogi.

719

- Każdym centymetrze naszej drogi, stary przyjacielu. My latamy, on nie. Co do Walika... -

Jean-Luc wzruszył ramionami z galijską ekstrawagancją. - Gdybym był bogatym Irańczykiem, wyjechałbym już kilka miesięcy temu z wszystkim, co zdołałbym zgromadzić.

Już od dawna było wiadomo, że Szach stracił kontrolę nad krajem. Powtarza się tu Rewolucja 349

Francuska z jej terrorem, ale bez naszego stylu, sensu, cywilizacyjnego dziedzictwa i dobrych manier. - Z niesmakiem potrząsnął głową. - Co za marnotrawstwo! Jeśli pomyśleć o całych stuleciach nauki i pieniędzy, które my, Francuzi, wkładaliśmy, aby pomóc tym ludziom wyczołgać się z mroków średniowiecza... Czego oni się nauczyli? Nie potrafią nawet upiec porządnego bochenka chleba!

Sajada wybuchnęła śmiechem; wspięła się na palce i pocałowała Francuza.

- Ach, Jean-Luc, kocham ciebie i twoją pewność siebie! Teraz, mon vieux, powinniśmy już iść. Masz tyle do zrobienia!

Po ich wyjściu Pettikin podszedł do okna i zapatrzył się na dachy domów. Jak zwykle, rozleżały się pojedyncze strzały z broni palnej, a w okolicy Żaleh unosiło się trochę dymu.

Niewielki pożar, ale zawsze... Silny wiatr rozpraszał dym. Chmury przysłaniały szczyty gór.

Z okien wiało zimnem, śnieg i lód pokryły parapet. Na ulicy widać było wiele Zielonych Opasek; pieszo lub na ciężarówkach. Z minaretów rozległo się nawoływanie do popołudniowej modlitwy. Pettikinowi wydało się, że te głosy otaczają go coraz ciaśniej.

Nagle poczuł, że ogarnia go przerażenie.

W MINISTERSTWIE LOTNICTWA, 17:04. Znużony Duncan McIver siedział na drewnianym krześle w kącie zatłoczonej poczekalni wicepremiera. Było mu zimno, czuł głód i irytację. Zegarek powiedział mu, że czeka już prawie od trzech godzin.

W różnych kątach pokoju siedziało jeszcze ze dwunastu mężczyzn: Irańczyków, kilku Francuzów, Amerykanin, Brytyjczyk i Kuwejczyk w długiej galabii i turba-720

nie. Kilka minut wcześniej Europejczycy przerwali grzecznie rozmowy, gdy w odpowiedzi na nawoływanie muezzinów muzułmanie uklękli przodem do Mekki i zmówili popołudniową modlitwę. Modlili się krótko i pospiesznie. Potem znów rozpoczęły się zdawkowe rozmowy; omawianie ważnych zagadnień w biurze rządowym nie było rozsądne, szczególnie w takich czasach. Poczekalnia była nieprzytulna, panował w niej chłód. Wszyscy petenci pozostali w paltach, wszyscy byli zmęczeni. Paru przyjęło stoicką postawę, inni, którzy tak jak McIver powinni już od dawna być gdzie indziej, denerwowali się.

- In sza'a Allah - mruknął, ale nie poczuł się od tego lepiej.

Przy odrobinie szczęścia Genny powinna już być w Asz Szargaz, pomyślał. Jestem cholernie zadowolony, że wy dostała się z kraju i jest bezpieczna, cholernie zadowolony, że sama znalazła sobie powód do wyjazdu z tego miejsca.

- Porozmawiam z Andym. Nie możesz wysłać niczego na piśmie.

- To prawda - odparł na przekór swym wątpliwościom. Niechętnie dodał: - Może Andy opracuje plan, który moglibyśmy zrealizować. W Bogu nadzieja, że nie będziemy musieli. To cholernie niebezpieczne. Zbyt wielu chłopaków, zbyt wiele maszyn rozproszonych po całym kraju. Cholernie niebezpieczne. Gen, zapominasz, że nie prowadzimy wojny, choć znajdujemy się w samym jej środku.

- Tak, Duncan, ale nie mamy nic do stracenia.

- Możemy stracić ludzi i latadła.

- Zamierzamy tylko zobaczyć, czy to jest możliwe, prawda, Duncan?

Stara Gen jest na pewno najlepszym posłańcem, jakiego moglibyśmy wysłać - gdybyśmy tego naprawdę potrzebowali. Miała rację. Rzeczywiście, nie byłoby bezpieczne napisanie takiego listu: "Andy, jedynym sposobem na bezpieczne wyrwanie się z tego bałaganu jest sprawdzenie, czy nie moglibyśmy opracować planu wy-721

ciągnięcia naszych maszyn i części zamiennych. Helikoptery mają teraz irańską rejestrację i z technicznego punktu widzenia stanowią własność firmy irańskiej o nazwie HIC..."

- Chryste! Czyż nie jest to spisek zmierzający do zagarnięcia mienia?

350

Wyjazd nie jest rozwiązaniem. Musimy tu zostać, pracować i dostać nasze pieniądze, gdy banki zaczną działać. Zmuszę jakoś współników, żeby nam pomogli, albo może ten minister coś nam ułatwi? Gdyby pomógł, nieważne, ile by to kosztowało, moglibyśmy przeczekać burzę tutaj. Każdy rząd pomógłby, żeby móc wydobywać swoją ropę. Oni muszą mieć śmigłowce, a my nasze pieniądze...

Podniósł wzrok, gdy otworzyły się wewnętrzne drzwi, a jakiś urzędnik poprosił do środka jednego z oczekujących. Po nazwisku. Wyglądało na to, że kolejnością przyjęć interesantów nie kierowała żadna logika. Nawet w czasach Szacha nie obowiązywała kolejność. Tym bardziej teraz. Liczyły się tylko wpływy. Albo pieniądze.

Talbot z ambasady brytyjskiej załatwił mu spotkanie z wicepremierem i zaopatrzył w list polecający.

- Przepraszam, staruszkule, ale nawet ja nie mogę dostać się do premiera. Jego zastępca, Antazam, jest w porządku. Dobrze zna angielski i nie jest jednym z tych rewolucyjnych czubasów. Powinien ci wszystko załatwić.

McIver wrócił z lotniska akurat przed obiadem; zaparkował samochód tak blisko ministerstwa, jak mógł. Gdy pokazał strażnikowi list polecający, napisany po angielsku i w farsy - co zajęło dużo czasu - ten odesłał go z innym strażnikiem do następnego budynku, gdzie McIver był też odpowiednio długo indagowany. Stamtąd musiał przejść do trzeciego budynku, a tutaj, chodząc od pokoju do pokoju,

dotarł wreszcie, zły i spóźniony o godzinę, do właściwej poczekalni.

- Och, niech się pan nie martwi, agha, ma pan dużo czasu - usłyszał z ulgą dobrą angielszczyzną przyjaźnie

722

nastawionego urzędnika. Wręczył mu kopertę z listem polecającym. - To właściwe biuro.

Proszę wejść i usiąść w poczekalni. Minister Kia przyjmie pana, gdy tylko będzie mógł.

- Nie chcę iść do niego - niemal wykrzyknął.

- Mam umówione spotkanie z wicepremierem Antaza-mem!

- Ach, wicepremier Antazam, tak, agha, ale on już nie jest w rządzie premiera Bazargana, In sha Allah

- powiedział uprzejmie młody człowiek. - Minister Kia zajmuje się wszystkim, to znaczy cudzoziemcami, finansami i samolotami.

- Muszę jednak nalegać... - McIver urwał, gdyż wciągnięto jego nazwisko na listę oczekujących. Pamiętał, co Talbot mówił o Kia, i jak pozostali wspólnicy IHC umieścili tego człowieka w zarządzie, dając mu ogromne wynagrodzenie i nie żądając żadnych gwarancji pomocy z jego strony. - Minister Ali Kia?

- Tak, agha. Minister Ali Kia przyjmie pana, gdy tylko będzie mógł. - Recepcjonista był

miłym, dobrze ubranym młodzieńcem, w garniturze i białej koszuli z niebieskim krawatem; przypominał dawne czasy. McIver przewidująco włożył pizkesz - pięć tysięcy riali

- do koperty z listem polecającym, tak jak w dawnych czasach. Pieniądze zniknęły.

Być może sytuacja rzeczywiście wraca do normy, pomyślał McIver. Wszedł do poczekalni, wybrał krzesło w kącie i rozpoczął oczekiwanie. Miał w kieszeni dodatkowy plik riali; zastanawiał się, czy powinien znów włożyć do koperty odpowiednią sumę. Dlaczego nie, pomyślał. Jesteśmy w Iranie. Niżsi urzędnicy potrzebują drobniejszych sum, wyżsi poważniejszych, to znaczy pizkeszu. Upewnił się, że nikt go nie obserwuje, po czym włożył

do koperty kilka banknotów o wysokich nominałach. Potem na wszelki wypadek dołożył

jeszcze trochę. Może ten sukinsyn naprawdę nam pomoże. Wspólnicy zawsze zatykali pieniędzmi gęby ludziom z dworu Szacha; być może robią to samo z Bazarganem.

723

Od czasu do czasu urzędnicy z dokumentami w rękach przechodzili przez poczekalnię i znikali w

pokoju ministra, by pojawić się znowu po chwili. Starali się wyglądać na bardzo 351

ważnych. Niekiedy zapraszano do środka kogoś z oczekujących. Wszyscy bez wyjątku wychodzili już po kilku minutach, zdenerwowani, źli, niekiedy czerwoni na twarzy. Było oczywiste, że niczego nie załatwili. Ci, którzy czekali, wpadali w coraz bardziej ponury nastrój. Czas upływał w żółtym tempie.

- Agha McIver! - Stojący w otwartych drzwiach urzędnik przyzywał go gestem.

Ali Kia siedział za ogromnym biurkiem, na którym nie było żadnych papierów. Uśmiechał się, ale jego małe oczy spoglądały twardo; McIver poczuł, że go nie lubi.

- Ach, panie ministrze, jak to uprzejmie z pana strony, że zechciał mnie pan przyjąć - powiedział McIver, wyciągając rękę na powitanie i zmuszając się do uśmiechu.

Ali Kia grzecznie odwzajemnił uśmiech i słabo uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Niech pan siada, panie McIver. Dziękuję za przybycie. Ma pan list polecający, prawda?

Władał dobrze angielskim, z akcentem z Oksfordu, gdzie uczęszczał na uniwersytet przed II wojną światową, korzystając ze stypendium Szacha, i gdzie pozostał na czas wojny.

Niedbałym gestem odprawił urzędnika stojącego przy drzwiach.

- Tak, to znaczy list jest skierowany do wicepremiera Antazama, rozumiem jednak, że powinien być skierowany do pana.

McIver wręczył rozmówcy kopertę. Kia wyjął list polecający, dostrzegł natychmiast pieniądze, bezbłędnie oszacowując sumę, niedbale rzucił kopertę na blat biurka, dając do zrozumienia, że pieniędzy powinno być więcej, przeczytał uważnie skreśloną ręcznie notkę i położył przed sobą list.

- Pan Talbot jest honorowym przyjacielem Iranu, choć przedstawicielem wrogiego rządu - powiedział ła-

724

godnym głosem Kia. - Jakiego rodzaju pomocy mogę udzielić przedstawicielowi tak znamienitej osoby?

- Chodzi o trzy sprawy, panie ministrze, ale być może będzie mi wolno powiedzieć, jak bardzo my z S-G jesteśmy zadowoleni, że zgodził się pan pozwolić nam na skorzystanie z pańskich cennych doświadczeń i wszedł do naszej rady nadzorczej.

- Nalegał na to bardzo mój kuzyn. Wątpię, czy mogę być pomocny, skoro jednak Bóg tak chce...

- Wedle woli Boga. - McIver obserwował uważnie rozmówcę, próbując przeniknąć jego myśli. Nie mógł wykryć przyczyny nagłej niechęci, jaką odczuł na jego widok i którą z trudem ukrywał. - Po pierwsze, mówi się, że wszystkie joint ventures są zawieszane do chwili podjęcia decyzji przez Komitet Rewolucyjny.

- Przez rząd - poprawił go sucho Kia. - A zatem?

- Jaki ma to wpływ na naszą wspólną firmę IHC?

- Wątpię, czy ma to jakikolwiek wpływ, panie McIver. Iran potrzebuje usług helikopterowych, aby wydobywać ropę. Guerney Aviation uciekła. Wygląda na to, że przyszłość naszego przedsiębiorstwa rysuje się lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

McIver odezwał się ostrożnie:

- Nie zapłacono nam jednak za wiele miesięcy pracy w Iranie. Zalegamy z opłatami za najem maszyn z Aber-deen, a tutaj należy się nam wiele za pracę wykazaną w księgach firmy.

- Jutro banki... Bank Centralny ma zostać otwarty. Na polecenie premiera - i oczywiście Ajatollaha. Jestem pewien, że część należności zostanie wypłacona.

- Czy mógłby pan, panie ministrze, sformułować przypuszczenie co do tego, na ile możemy liczyć? - McIver poczuł przypływ nadziei.

- Na więcej, niż jest potrzebne, aby... aby kontynuować działalność. Załatwiłem już dla was możliwość wywiezienia załóg, gdy tylko przybędą ich zmiennicy.

Ali Kia zdjął z półki cienką teczkę i wręczył Meyerowi dokument. Było to polecenie skierowane do władz imigracyjnych na lotniskach w Teheranie, Abadanie 352

725

i Szirazie, aby wypuszczać z kraju pilotów i mechaników IHC jednocześnie z wpuszczeniem nowych. Jeden za jednego. Dokument napisano na zdezelowanej maszynie, był on jednak czytelny, sporządzony w farsy i po angielsku, podpisany w imieniu komitetu odpowiedzialnego za IranOil. Nosił datę poprzedniego dnia. McIver nigdy o nim nie słyszał.

- Dziękuję. Czy mógłbym też uzyskać pańską zgodę na przynajmniej trzy loty 125

tygodniowo przez kilka tygodni, oczywiście, jeśli wasze lotniska międzynarodowe nie zaczną działać, aby przywozić nowe załogi, części zamienne, wyposażenie i tak dalej i - dodał

rzeczowo

- wywozić zbędny personel?

- Zatwierdzenie tego byłoby możliwe - odparł Kia. McIver wręczył mu komplet dokumentów.

- Pozwoliłem sobie ująć to na piśmie, aby oszczędzić panu kłopotu, panie ministrze.

Załączyłem kopie adresowane do kontroli lotów na Kuszy, w Kowissie, Szirazie i Teheranie.

Kia przeczytał uważnie dokumenty. Były napisane w farsy i po angielsku, prostym, jasnym językiem z niezbędną dozą urzędowych formułek. Ministrowi zadrżała ręka. Podpisanie tego wszystkiego przekraczało jego uprawnienia, teraz jednak, gdy wicepremier popadł w niełaskę wraz z bezpośrednim przełożonym Kia

- obaj zostali prawdopodobnie zwolnieni przez ten nadal tajemniczy Komitet Rewolucyjny -

oraz wobec rosnącego bałaganu w rządzie, wiedział, że musi podjąć ryzyko. On sam, jego rodzina i przyjaciele potrzebowali dostępu do prywatnego samolotu, zwłaszcza odrzutowca.

Ryzyko to warto było podjąć.

Zawsze mogę powiedzieć, że mój zwierzchnik kazał mi to podpisać, pomyślał, starając się nie okazać zdenerwowania. Odrzutowiec 125 jest podarunkiem od Boga, podarunkiem, który sam wpada mi w ręce. Przeklęty Dzared Bakrawan! Przyjaźń z tym psem z bazaru omal nie uwikłała mnie w zbrodnię zdrady stanu; nigdy nie pożyczałem pieniędzy, nie spiskowałem z cudzoziemcami ani nie popierałem Szacha.

Aby wytrącić McIvera z równowagi, rzucił niemal ze złością papiery na biurko, obok listu polecającego.

- Można to zatwierdzić. Opłata za jedno lądowanie wynosiłaby pięćset dolarów. Czy to już wszystko, panie McIver? - zapytał, dobrze wiedząc, że nie. Zdradziecki brytyjski psie!

Myślisz, że zrobisz ze mnie idiotę?

- Tylko jedno, ekscelencjo. - McIver wyjął ostatni dokument. - Mamy trzy maszyny, które koniecznie trzeba wyremontować. Potrzebuję podpisanej wizej wyjazdowej, żeby móc je wysłać do Asz Szargaz. - Wstrzymał oddech.

- Nie ma potrzeby wywożenia z kraju cennych śmigłowców, panie McIver. Wyremontujcie je tutaj.

- Och, zrobiłbym to, gdybym mógł, ekscelencjo, lecz nie jest to możliwe. Nie mamy tu części zamiennych i inżynierów, a każdy dzień postoju naszych helikopterów kosztuje współników fortunę. Fortunę - powtórzył.

- Oczywiście może pan naprawić je w kraju, panie McIver. Wystarczy przywieźć inżynierów i części z Asz Szargaz.

- Poza samym samolotem trzeba by jeszcze opłacić załogę. To wszystko jest bardzo drogie.

Być może powinienem wspomnieć, że obciąża to irańskich współników. To było w umowie...

zapewnianie niezbędnych wiz wyjazdowych. - McIver próbował dalszych pokrętnych argumentów. - Musimy mieć na chodzie cały sprzęt, jeśli mamy przejąć kontrakty Guerneya, a dekret Aja... rządu nakazuje wznowienie produkcji ropy. Bez sprzętu...

Pozwolił, żeby ciąg dalszy pozostał nie dopowiedziany i znowu wstrzymał oddech, modląc się, aby przynęta chwyciła.

353

Kia zmarszczył brwi. Wszystkie wydatki irańskich wspólników obciążały teraz częściowo jego własną kieszeń.

- Jak długo trwałby ten remont?

- Gdybym mógł wywieźć je w ciągu kilku dni, dwa tygodnie, może trochę dłużej lub krócej.

726

727

Kia zawahał się. Kontrakty Guerneya, wraz z obecnymi kontraktami IHC, helikopterami, sprzętem i innym mieniem, warte były miliony, z których jedna szóstka należała teraz do niego. Bez żadnych inwestycji z mojej strony, pomyślał z głęboko skrywanym zadowoleniem.

Wszystko jest dostarczane bezpłatnie przez tych cudzoziemców! Zezwolenie na wywóz trzech helikopterów? Spojrzał na zegarek od Cartiera wysadzany drogimi kamieniami -

piszesz od pewnego bankiera, który dwa tygodnie temu potrzebował półgodzinnego dostępu do działającego teleksu. Kia miał spotkać się za kilka minut z szefem kontroli lotów; mógł

łatwo uwikłać go w podjęcie tej decyzji.

- Doskonale - powiedział, ciesząc się swą potęgą, mogąc pomóc w realizacji rządowej polityki w dziedzinie wydobywania ropy, a jednocześnie zaoszczędzić trochę pieniędzy wspólników. - Dobrze, ale wizy wyjazdowe będą ważne tylko przez dwa tygodnie, a opłata za zezwolenie wyniesie - zastanawiał się przez chwilę - wyniesie pięć tysięcy dolarów w gotówce za jedną maszynę, płatne przed wyjazdem. Helikoptery muszą wrócić w ciągu dwóch tygodni.

- Nie mogę zdobyć na czas tyle gotówki. Mogę wystawić weksel albo czeki do zrealizowania w banku w Szwajcarii. Po dwa tysiące dolarów za maszynę.

Targowali się przez chwilę; stanęło na 3100.

- Dziękuję panu, agha McIver - powiedział grzecznie Ali Kia. - Wychodząc, niech pan wygląda na przygnębionego, żeby nie zachęcić tych hultajów z poczekalni.

Gdy McIver znalazł się w swym samolocie, wyjął dokumenty i spojrzał na podpisy i pieczęcie. To

niemal zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, mruknął. 125 jest teraz legalny, Kia powiedział, że zawieszenie działalności nas nie dotyczy, no i mamy zezwolenie na wywóz trzech 212 potrzebnych w Nigerii; 9310 dolarów wobec ich wartości, trzech milionów, to więcej niż ucziwie! Nigdy bym nie pomyślał, że tyle dostanę! Należy ci się szkocka, McIver! Bardzo duża szkocka!

728

PÓLNOCNE PRZEDMIEŚCIA, 18:50. Tom Lo-

chart wysiadł ze starej, zdezelowanej taksówki i wręczył kierowcy dwudziestodolarowy banknot. Płaszcz przeciwdeszczowy Locharta i jego mundur lotniczy były wygniecione; on sam bardzo zmęczony, nie ogolony i brudny, ale radość z tego, że dotarł do domu i znajduje się wreszcie niedaleko Szahrazad, wynagradzała wszystko. Prosił śnieg, pilot jednak ledwie to zauważył, wbiegając do klatki schodowej. Pospiesznie wchodził na górę; próbowanie uruchomienia windy nie miało sensu, gdyż nie działała od miesięcy.

Wczoraj w połowie drogi do Teheranu skończyła się benzyna w samochodzie, który pożyczył od jednego z pilotów w Bandar Dejlami; wskaźnik poziomu paliwa nie działał. Lochart zostawił pojazd w garażu, utorował sobie drogę do wnętrza autobusu, potem następnego i jeszcze jednego. Po licznych awariach i opóźnieniach dotarł wreszcie dwie godziny temu do Głównego Dworca w Teheranie. Nie mógł się tam umyć; nie było bieżącej wody, a toalety, jak zwykle, brudne, zapchane dziury w ziemi.

Ani na postoju, ani na ulicy nie było taksówek. Żaden autobus nie jechał w kierunku domu.

Zbyt daleko, aby iść na piechotę. Potem pojawiła się taksówka. Zatrzymał ją, choć była prawie pełna. Zgodnie z miejscowym obyczajem otworzył drzwiczki i na siłę wepchnął się do środka, prosząc innych pasażerów, żeby pozwolili mu skorzystać z ich środka transportu.

Osiągnięto rozsądny kompromis. Oni byliby zaszczyceni, gdyby z nimi pojechał, a on byłby 354 zaszczycony, gdyby mógł za nich zapłacić. Miał być podwieszony na końcu i zapłacić kierowcy w gotówce. Amerykańskiej gotówce. To był ostatni banknot.

Wyjął klucz i przekręcił go w zamku, drzwi jednak były zablokowane od środka; nacisnął więc dzwonek i czekał niecierpliwie, aż pokojówka otworzy drzwi. Szahrazad nigdy nie otwierała ich sama. Bębnił wesoło palcami, przepelniony miłością do żony. Ożywił się jeszcze bardziej, słysząc kroki pokojówki i trzask od-729

suwanego rygla. Drzwi uchyliły się na centymetry, a w szczelinie pojawiła się twarz obcej kobiety w czadorze.

- Czego pan chce, agha? - Jej głos brzmiał tak nieprzyjemnie, jak jej farsi.

Lochart odczuł bolesną pustkę.

- Kim pani jest? - zapytał równie szorstko. Kobieta chciała zatrzaskać drzwi, ale włożył stopę w szczelinę. - Co pani robi w moim domu? Jestem ekscelecja Lochart, a to mój dom! Gdzie jest Jej Wysokość, moja żona?

Kobieta spojrzała spode łba; ruszyła przez hol w kierunku drzwi saloniku i otworzyła je.

Lochart ujrzał obcych ludzi, mężczyzn i kobiety, a także oparte o ścianę karabiny.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - mruknął po angielsku i wszedł do swego salonu.

Dwaj mężczyźni i cztery kobiety wlepili w niego spojrzenia. Siedzieli po turecku na jego dywanach lub wspierali się na jego poduszkach; najwyraźniej spożywali właśnie posiłek.

Ogień na jego kominku płonął wesoło. Jedli z jego talerzy, w niedbałych pozach, bez butów, z brudnymi nogami. Starszy z mężczyzn, chyba czterdziestoletni, trzymał rękę na automatycznym pistolecie przymocowanym do pasa.

Locharta opanował ślepy gniew; obecność obcych w tym pokoju była gwałtem i świętokradztwem.

- Kim jesteście? Gdzie jest moja żona? Na Boga, wynocha z moje.... - Urwał. Lufa pistoletu była wymierzona w jego kierunku.

- Kim jesteś, agha?

Nadludzkim wysiłkiem Lochart opanował się; czuł klucie w piersi.

- Jestem... jestem... to jest... to jest mój dom. Jestem właścicielem.

- Ach, właściciel! To ty jesteś właścicielem? - Mężczyzna o imieniu Tejmur parsknął

śmiechem. - Cudzoziemiec, mąż kobiety Bakrawana? Ty... - Mężczyzna odwiódł kurek pistoletu, gdy Lochart chciał się na niego

730

rzucie. - Nie rób tego! Umiem strzelać szybko i dokładnie. Przeszukaj go - rzucił do drugiego mężczyzny, który natychmiast wstał. Sprawnie przebiegł rękoma po ubraniu Locharta i przesukał jego lotniczą torbę.

- Broni nie ma. Lotnicze podręczniki, kompas... Jesteś lotnikiem, Lochart?

- Tak - odparł Lochart. Serce waliło mu jak młot.

- Siadaj tam! Już!

Lochart usiadł w fotelu, daleko od kominka. Mężczyzna odłożył pistolet na dywan i wyciągnął jakiś papier.

- Daj mu to.

Drugi z intruzów zrobił, co mu kazano. Dokument napisano w farsji. Wszyscy wpatrywali się w Locharta, któremu odczytanie pisma zabrało trochę czasu: Nakaz konfiskaty. Za zbrodnie przeciwko państwu islamskiemu konfiskuje się cały majątek Dżareda Bakrawana poza jego domem rodzinnym i sklepem na bazarze. Pismo nosiło datę sprzed dwóch dni; podpisane było nieczytelnie w imieniu komitetu.

- To jest... to śmieszne - rozpoczął bezradnie Lochart. - Jego... Jego ekscelencja Bakrawan był wielkim zwolennikiem Ajatollaha Chomeiniego. To musi być jakaś pomyłka!

355

- To nie jest pomyłka. On został aresztowany, uznany winnym lichwy i rozstrzelany.

Lochart wlepił w mężczyznę wzrok.

- To jakieś nieporozumienie!

- Nie, agha, żadne nieporozumienie - odparł Tejmur. Nie był nieuprzejmy; obserwował

uważnie Locharta, czując, że cudzoziemiec może być niebezpieczny. - Wiemy, że jest pan Kanadyjczykiem, pilotem, że nie było tu pana i że jest pan mężem jednej z córek zdrajcy, ale nie odpowiada pan za jego zbrodnie albo jej, jeśli jakieś popełniła. - Zobaczył rumieniec na twarzy Locharta i sięgnął do pistoletu. - Powiedziałem "jeśli", agha. Panuj nad swym gniewem. - Czekał, nie podnosząc krótkiego, dobrze utrzymanego lugera, choć gotów był to zrobić w każdej chwili. - Nie jesteśmy niewyszkolo-731

nymi ludźmi z tłumu. Jesteśmy Bojownikami Wolności, zawodowcami. Pilnujemy tego mieszkania dla ważnych osobistości, które przybędą później. Wiemy, że nie jest pan wrogiem. Niech pan zachowa spokój. Rozumiemy oczywiście, że to musiał być dla pana szok, mamy jednak prawo wziąć to, co nasze.

- Prawo? Co za prawo daje wam...

- Prawo podboju, agha. Czyż kiedykolwiek było inaczej? Wy, Brytyjczycy, powinniście coś o tym wiedzieć. - Mówił spokojnym głosem. Kobiety spoglądały chłodnymi oczyma. - Niech pan się uspokoi. Żadna z pańskich rzeczy nie została nawet ruszona. Jeszcze. - Machnął ręką.

- Niech pan sam zobaczy.

- Gdzie jest moja żona?

- Nie wiem, agha. Gdy przybyliśmy, nikogo nie było. Jesteśmy tu od rana.

Lochart ze zmartwienia niemal odchodził od zmysłów. Skoro uznano winnym jej ojca, czy rodzina także ucierpi? Wszyscy? Chwileczkę! Skonfiskowane wszystko "...poza jego domem rodzinnym".

Czyż nie tak było napisane w dokumencie? Ona na pewno tam jest... Chryste, to cholernie daleko, a ja nie mam samochodu...

Próbował zebrać myśli.

- Powiedział pan, że nic nie zostało ruszone Jeszcze". Czy chodzi o to, że niedługo zostanie?

- Mądry człowiek chroni swoją własność. Byłoby rozsądnie, gdyby zabrał pan rzeczy w bezpieczne miejsce. Wszystko, co należy do Bakrawana, zostaje tutaj, ale pańskie rzeczy? -

Wzruszył ramionami. - Oczywiście, może je pan zabrać. Nie jesteśmy złodziejami.

- A rzeczy mojej żony?

- Jej także. Oczywiście. Rzeczy osobiste. Powiedziałem, że nie jesteśmy złodziejami.

- Ile... ile mam czasu?

- Do jutra, do siedemnastej.

- To zbyt krótko. Może do pojutrze?

- Do jutra, do siedemnastej. Czy chce pan dostać coś do jedzenia?

- Nie... nie, dziękuję.

732

- Zatem do widzenia, agha. Poproszę o pańskie klucze.

Lochart poczerwieniał wbrew swemu postanowieniu. Wyjął klucze i podał je mężczyźnie, który siedział bliżej.

- Powiedział pan "ważne osobistości". O kogo chodzi?

- Ważne osobistości, agha. To mieszkanie należało do wroga państwa; teraz stanowi własność państwa i może być przyznane temu, kogo państwo wybierze. Przykro mi, ale oczywiście pan to rozumie.

Lochart spojrział na niego, potem na drugiego mężczyznę. Przygniatało go zmęczenie. I poczucie bezradności.

- Ja... zanim pójde, chciałbym się przebrać i ogolić. Dobrze?

356

- Dobrze - odparł Tejmur po chwili. - Hasan, idź z nim.

Lochart wyszedł, nienawidząc ich wszystkich i tego, co się wydarzyło. Hasan ruszył za nim.

Lochart przeszedł korytarzem do swojego pokoju. Nie brakowało niczego, choć otwarte były wszystkie szafy i szuflady, a w powietrzu unosił się zapach dymu tytoniowego. Żadnych śladów pospiesznej ucieczki czy przemocy. Widać było, że w łóżku ktoś spał. Zbierz się do kupy i coś wymyśl. Nie mogę. W porządku: ogol się, weź prysznic, ubierz i idź do Maca. To niedaleko, a on będzie mógł ci jakoś pomóc. Pożycz pieniądze i samochód. Pojedź do żony i nie myśl o Dżaredzie. Po prostu nie myśl.

OKOLICE UNIWERSYTETU, 20:10. Rakoczy przesunął oliwną lampkę bliżej stosu papierów, dzienników, akt i dokumentów, które ukradł z sejfu na piętrze ambasady amerykańskiej, i powrócił do ich porządkowania. Był sam w małym czynszowym pokoiku, jednym z wielu podobnych, przeznaczonych w większości dla studentów. Pokój wynajął dla niego Farmad, studencki przywódca Tude, który zginął podczas nocnych rozruchów.

Pomieszczenie było brudne i odrapane,

733

bez ogrzewania. Mieściło tylko łóżko, chybrotliwy stół i krzesło. Szyby jedyne małego okienka popękały, a ubytki zastąpiono tekturą.

Roześmiał się. Taka zdobycz tak małym kosztem. Grunt to dobre planowanie. Zaplanowane rozruchy odwróciły uwagę, potem niespodziewane strzały z dachów budynków przyległych do ambasady, panika, szybkie sforsowanie bramy, na drodze tylko marines ze strzelbami, których nie wolno im było użyć. Czasu akurat tyle, żeby zwolennicy Chomeiniego nie zdążyli przybyć i opanować rozruchów: zabić nas lub schwytać. Pod osłoną piekła, jakie się rozpętało, obiegnięcie budynku, wyłamanie bocznych drzwi, a potem samotnie na górę, podczas gdy moja kadra na zewnątrz prowadziła dalszą dywersję, strzelając w powietrze, krzycząc i wyjąc. Uważali, żeby nikogo nie zabić, ale za to narobić dużo hałasu. Jeden podest, drugi, bieg korytarzem. Krzyk: "Na podłogę albo wszyscy zginą!" Dwie starsze przerażone Amerykanki i jeden młodzieniec.

Podporządkowali się gorliwie; inni też. To nie ich wina: atak był tak nagły, a oni tak nie przygotowani, bez broni; starannie doprowadzeni do stanu paniki. Do sypialni. Nikogo poza przerażonym irańskim służącym, obejmującym rękami głowę i na wpół schowanym pod łóżkiem. Szybkie otwarcie sejfu ładunkiem wybuchowym, cała zawartość do torby. Potem w dół po trzy stopnie naraz i na zewnątrz, w kłębiący się tłum. Kryli mnie Ibrahim Kijabi i jego koledzy, doskonały odwót, wszystkie cele osiągnięte.

Source będzie pod wrażeniem, pomyślał znowu. A-wans na majora pewny, a ojciec będzie ze mnie dumny. Na Boga i Jego proroka, wyrwało się mu, gdy poczuł kolejny przyływ ekstazy; nie zauważył nawet, co powiedział, nigdy jeszcze nie czuł takiego spełnienia.

Radośnie powrócił do pracy. Jak dotąd, nie znalazł skarbów, tylko wiele dokumentów o działaniach CIA w Iranie, prywatne pieczęcie ambasadora, książkę kodów, która mogła być ważna, prywatne rachunki, trochę biżuterii niewielkiej wartości i kilka starych monet.

Nie szkodzi, pomyślał. Zostało jeszcze dużo: dzienniki i dokumenty osobiste.

Czas szybko mijał. Niedługo zjawi się Ibrahim Kijabi, aby omówić marsz kobiet. Chciał

wiedzieć, jak można go zakłócić, aby wesprzeć cele Tude i zniszczyć Chomeiniego oraz szyitów. Chomeini to prawdziwe niebezpieczeństwo, pomyślał. Jedyne niebezpieczeństwo.

Ten dziwny starzec, on i jego wprost granitowa nieelastyczność. Im szybciej stanie przed niby-Bogiem, tym lepiej.

Przez rozbite szyby wpadł strumień mroźnego powietrza. To mu nie przeszkadzało; miał na sobie grubą skórzaną kurtkę i sweter, ciepłą bieliznę, grube skarpety i mocne buty. "Zawsze używaj dobrych butów na wypadek, gdybyś musiał uciekać", mawiał jego nauczyciel.

"Zawsze bądź gotów do uciezki..."

357

Przypomniał sobie z rozbawieniem ucieczkę przed Erikkim Yokkonenem. Wprowadził go do labiryntu i zgubił koło leprozorium. Kiedyś będę musiał go zabić, na pewno, pomyślał. I jego ostrą żonkę. Co z Azadeh? Co z córką Abdollah-chana Okrutnego, który, choć cenny jako podwójny agent, staje się zbyt arogancki, zbyt niezależny i zbyt groźny dla naszego bezpieczeństwa? Tak, teraz jednak chciałbym, żeby oni oboje, mąż i żona, byli z powrotem w Tebrizie i robili to, czego od nich wymagamy. Co do mnie, chciałbym być znów na urlopie, znów bezpieczny. Igor Mzytryk, kapitan KGB, bezpieczny w domu z Delaurah, obejmować ją w naszym wspaniałym łóżku, w najlepszej pościeli z Irlandii, jej zielone oczy, skóra jak śmietanka i... och, jaka ona jest piękna. Już za siedem tygodni przybędzie na świat nasz pierworodny. Mam nadzieję, że to będzie syn...

Usłyszał mimochodem - jak zwykle jego słuch nastrojony był na częstotliwość niebezpieczeństwa - muez-zinów wzywających na wieczorną modlitwę. Zaczął uprzątać blat małego stoliczka. Ibrahim Kijabi zaraz tu będzie; nie ma potrzeby, aby młody człowiek oglądał coś, co go nie dotyczy. Papiery zniknęły szybko w torbie. Rakoczy podniósł deskę podłogi i wsunął torbę do

735

środku. W torbie, obok łupu z ambasady, spoczywał starannie zawinięty w naoliwiony papier zapasowy pistolet i pół tuzina brytyjskich granatów. Zamaskował szpary w podłodze odrobiną kurzu. Przykręcił lampę tak, że niemal nie dawała światła i odsunął zasłony. Na parapecie zebrało się trochę śniegu. Rakoczy czekał. Minęło pół godziny. Spóźnianie się nie leżało w zwyczaju Kijabiego.

Usłyszał odgłos kroków; wymierzał lufę pistoletu w drzwi. Pukanie było dokładnie takie, jak się umówili; mimo to ukrył się za ścianą i gwałtownie otworzył drzwi, gotów zaatakować wroga, gdyby to był wróg. Za drzwiami stał jednak Ibrahim Kijabi, ciepło ubrany i zadowolony, że już tu dotarł.

- Przepraszam, Dimitri - powiedział, strząsając śnieg z butów; płatki śniegu przyczepiły się do jego

czarnych, kręcących się włosów - ale autobusy właściwie nie istnieją.

Rakoczy zamknął drzwi.

- Punktualność jest bardzo ważna. Chciałeś wiedzieć, który mułła był w helikopterze w Bandar Dajlamie, gdy został zamordowany twój ojciec. Zdobyłem dla ciebie jego nazwisko.

- Dostrzegł błysk w oczach młodzieńca i skrył uśmiech. - To Hosejn Kowissi. Jest mułłą w Kowissie. Wiedziałaś o tym?

- Nie, nigdy tam nie byłem. Hosejn Kowissi? Świetnie, dziękuję.

- Sprawdziłem go dla ciebie. Pozornie jest fanatycznym antykomunistą i fanatycznym zwolennikiem Cho-meiniego. Tak naprawdę, to tajny agent CIA.

- Co?

- Tak - potwierdził Rakoczy i sprawnie uzasadnił tę dezinformację. - Spędził wiele lat w USA, wysłany tam' przez Szacha. Mówi płynnie po angielsku. Skaptowali go, gdy studiował.

Jego wrogość do Ameryki jest równie fałszywa jak fanatyzm.

- Jak ty to zrobiłeś, Dimitri? W jaki sposób mogłeś dowiedzieć się aż tyle w tak krótkim czasie? Bez telefonów, teleksu...?

736

- Zapominasz, że w każdym autobusie jedzie kilku naszych ludzi; są w każdej taksówce, ciężarówce, wiosce, na każdej poczcie. Nie zapominaj - dodał, i sam uwierzył w to, że masy są po naszej stronie. My jesteśmy masami.

- Tak.

Dostrzegł zapal i gorliwość w oczach młodzieńca. Wiedział, że Ibrahim jest właściwym narzędziem i że jest już gotowy.

- Mułła Hosejn rozkazał Zielonym Opaskom zastrzelić twój ojca. Oskarżył go o sprzyjanie cudzoziemcom, którzy wystrychnęli go na dudka.

358

Z twarzy Kijabiego odpłynęła krew.

- Zatem... zatem chcę go dostać. On jest mój.

- Powinni to zrobić zawodowcy. Załatwię wszyst...

- Nie, proszę. Muszę się zemścić.

Rakoczy, skrywając zadowolenie, udał, że się zastanawia. Od jakiegoś czasu Hosejn Kowissi był przeznaczony na odstrzał.

- Za kilka dni załatwię broń, samochód i ludzi, którzy z tobą pojedą.

- Dziękuję, ale wystarczy mi to. - Kijabi trzęsącą się ręką wyjął z kieszeni scyzoryk. -

Wystarczy to, godzina lub dwie i trochę drutu kolczastego. Pozna, co to zemsta za ojca.

- Dobrze. A teraz marsz kobiet. Wiadomo już na pewno, że odbędzie się za trzy dni... - Urwał

nagle, rzucił się do bocznej ściany i pociągnął za ledwie widoczny węzeł. Ruchoma część ściany ustąpiła, otwierając dostęp do ażurowych zdezelowanych schodów pożarowych. -

Jazda! - krzyknął cicho i popędził w dół, ku wolności.

Kijabi rzucił się za nim do panicznej ucieczki. W tym momencie drzwi otworzyły się, omal nie wypadając z zawiasów, a dwaj mężczyźni, którzy wyważyli je ramionami, wpadli do pokoju. Za nimi inni. Wszyscy byli Irańczykami, wszyscy nosili zielone opaski. Pobiegli za uciekinierami, trzymając w rękach gotową do strzału broń.

737

Pędzili schodami, przeskakując po trzy stopnie naraz, zwierzyna i myśliwi, tupiąc i z trudem utrzymując równowagę. Wybiegli na ulicę, w ciemność i tłum. Rakoczy wpadł prosto w zasadzkę; schwytali go. Ib-rahim Kijabi bez wahania zmienił kierunek, przebiegł przez ulicę i zagłębił się w zatłoczoną aleję; rozplątał się w ciemnościach.

Ze starego samochodu zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy, na którą wychodziły boczne drzwi, Robert Armstrong widział swych ludzi, schwytanie Rakoczego i ucieczkę Kijabiego. Rakoczego wrzucono do oczekującej furgonetki, zanim przechodnie zorientowali się, co się stało. Dwaj mężczyźni z Zielonych Opasek podeszli do Armstronga. Obaj ubrani byli lepiej niż zwykle. Obaj mieli mauzery w kaburach na pasie. Ludzie usuwali się im z drogi i udawali, że na nich nie patrzą; nie chcieli mieć kłopotów. Mężczyźni wsiedli do samochodu i Armstrong ruszył; pozostali ludzie z Zielonych Opasek wmieszali się w tłum przechodniów.

Już po chwili samochód Armstronga wtopił się w uliczny ruch właściwy godzinom szczytu.

Mężczyźni zdjęli zielone opaski i schowali je do kieszeni.

- Przepraszam, Robercie. Zgubiliśmy tego młodego sukinsyna - powiedział starszy z nich płynnym angielskim z amerykańskim akcentem.

Był gładko ogolonym, pięćdziesięcioletnim mężczyzną - pułkownik Haszemi Fazir, zastępca szefa Wywiadu Wewnętrznego, wyszkolony w USA i służący w SAVAK-u przed utworzeniem tego

wydziału tajnej służby.

- Nie ma się czym przejmować, Haszemi - uspokoił go Armstrong.

Młodszy mężczyzna odezwał się z tylnego siedzenia:

- Sfilmowaliśmy Kijabiego podczas rozruchów pod ambasadą, agha. I na uniwersytecie. -

Miał dwadzieścia kilka lat; usta pod bujnymi węsami wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu. -

Zdejmujemy go jutro.

- Na pana miejscu nie robiłbym tego, poruczniku, teraz, gdy ucieka - powiedział Armstrong, ostrożnie

738

prowadząc samochód. - Jest już namierzony. Wystarczy za nim pochodzić, a doprowadzi pana do grubszej ryby. Zaprowadził już nas do Dimitriego Jazernowa. Mężczyźni roześmiali się.

- Tak, tak, doprowadził.

- A Jazernow doprowadzi nas do bardzo interesujących ludzi i miejsc. - Haszemi zapalił

papierosa, potem poczęstował pozostałych mężczyzn. - Robert?

359

- Dziękuję. - Armstrong zaciągnął się dymem i wykrzywił twarz. - Mój Boże. Haszemi, one są okropne. One cię naprawdę zabiją.

- Wedle woli Boga. - Potem Haszemi zacytował w farsii: Ej, towarzysze moi, napójcie mię winem, Ażeby lic tych bursztyn zapłonął rubinem, A gdy już żyć przestanę, w winie mię omyjcie, I złożcie na spoczynek w winnych łóż wiklinę*.

- To papierosy cię zabiją, a nie wino - rzucił Armstrong, któremu spodobał się piękny rytm słów wypowiedzianych w farsii.

- Pułkownik cytował Rubajaty Omara Chajjama - odpowiedział po angielsku młody człowiek z tylnego siedzenia. - To znaczy, że...

- On wie, co to znaczy, Mohammad - przerwał Haszemi. - Pan Armstrong świetnie zna farsii, a ty musisz się jeszcze wielu rzeczy nauczyć. - Palił papierosa, oglądając ruch uliczny. -

Zatrzymaj się na chwilę, dobrze, Robercie? - Gdy samochód stanął, Haszemi powiedział: -

Mohammad, wracaj do Kwatery Głównej i zaczekaj tam na mnie. Dopilnuj, żeby nikt, powtarzam: nikt nie zajmował się przede mną Jazernowem. Powiedz chłopakom, żeby tylko upewnili się, czy

wszystko jest przygotowane. Chcę zacząć o północy.

- Tak jest, panie pułkowniku. - Wsiadł z samochodu.

Haszemi patrzył, jak młody człowiek znika w tłumie.

* Przekład Andrzeja Gawrońskiego (Omar Chajjam: Rubajaty, Ossolineum 1971) 739

- Chętnie bym wypił dużą whisky z wodą sodową. Jedźmy już, Robercie.

- Jasne. - Armstrong zwolnił sprzęgło i spojrzał na pasażera, wyczuwając coś znaczącego w jego głosie. - Jakiś problem?

- Wiele. - Haszemi spokojnie obserwował samochody i przechodniów. - Nie wiem, komu ufać.

- A co w tym nowego? - Armstrong uśmiechnął się smutno. - To ryzyko zawodowe -

powtórzył to, czego nauczył się podczas jedenastu lat pracy jako doradca Wywiadu Wewnętrznego, a przedtem w ciągu dwudziestu lat przepracowanych w policji Hongkongu.

- Chcesz być obecny przy przesłuchiowaniu Jazer-nowa, Robercie?

- Tak. Jeśli nie wyjadę.

- Czego od niego chce MJ6?

- Jestem tylko byłym detektywem z Wydziału Specjalnego na prywatnym kontrakcie, żeby pomóc wam, kumplom, utworzyć taką samą służbę. Pamiętasz?

- Bardzo dobrze pamiętam. Dwa pięcioletnie kontrakty; drugi radośnie przedłużony do przyszłego roku, do twojej emerytury.

- Kiepska sprawa - odparł z niesmakiem Armstrong. - Chomeini i jego rząd wypłacą mi emeryturę? Kiepska sprawa. - Wiedział, co mówi. Teraz, gdy cała jego służba w Iranie poszła na marne, a dolar Hongkongu stracił dużo na wartości od chwili, gdy Armstrong wycofał się ze służby w 1966 roku, realna wartość emerytury stała się śmiesznie mała. - Emeryturę mogę właściwie skreślić.

Ciemne oczy spojrzały twardo.

- Robert, czego chce MJ6 od tego sukinsyna? Armstrong zmarszczył brwi. Stało się coś bardzo

złego. Młody Kijabi nie powinien był wymknąć się z sieci, a Haszemi zachowywał się tak nerwowo, jak niedoświadczony młodzieniec, który po raz pierwszy złamał reguły gry.

- O ile wiem, oni niczego nie chcą. To ja się nim interesuję. Ja - rzucił obojętnie.

- Dlaczego?

To długa historia, pomyślał Armstrong. Czy powinienem ci powiedzieć, że Dimitri Jazernow to lipne nazwisko Fedora Rakoczego, Rosjanina, islamskiego marksisty, którego już od miesiący próbujesz schwytać? Czy powinienem zdradzić ci prawdziwy powód, dla którego 360

kazano mi pomóc ci w jego ujęciu? To, że MJ6, całkiem przypadkowo odkryło, dzięki Czechowi, który zdradził, że Jazernow nazywa się naprawdę Igor Mzyt-ryk i jest synem Petra Olega Mzytryka, znanego dawniej, gdy służyłem w Hongkongu, jako Gregor Susłow, wielkiego szpiega, o którym myśleliśmy od dawna, że nie żyje?

Nie, nie chcemy Jazernowa. Chcemy - ja chcę - dostać jego ojca, który mieszka prawdopodobnie gdzieś na północ od granicy, w zasięgu ręki. Och, Boże, spraw, aby on żył i znajdował się w naszym zasięgu, abyśmy mogli czegoś się o nim dowiedzieć, o tym skurczybyku, wszelkimi dostępnymi środkami. Był szef wywiadu na Dalekim Wschodzie, starszy wykładowca szpiegostwa na Uniwersytecie we Władywostoku, wyższy funkcjonariusz partyjny i Bóg wie, jakie jeszcze funkcje sprawował.

- Myślę, my myślimy, że Jazernow jest kimś ważniejszym niż tylko łącznikiem Tude ze studentami. Przypomina do złudzenia waszego kurdyjskiego dysydenta. Ali ben Hasana Karagoze.

- Chodzi ci o to, że to on?

- Tak.

- To niemożliwe.

Armstrong wzruszył ramionami. Rzucił kość; jeśli jego rozmówca nie chce chwycić jej zębami, to jego sprawa. Ruch uliczny ponownie się zwiększył; kierowcy naciskali klaksony i klęli. Duży mężczyzna nie wsłuchiwał się w ten hałas. Zgasił irańskiego papierosa.

Haszemi, obserwując go, zmarszczył brwi.

- Dlaczego interesujesz się Karagoze i Kurdami, jeśli to, co powiedziałaś, jest prawdą?

- Kurdowie siedzą okrakiem na wszystkich granicach: sowieckiej, irackiej, tureckiej i irańskiej - wyjaśnił

741

gładko. - Cały ruch narodowy Kurdów to mieszanka wybuchowa, którą Sowietci mogą wykorzystać, a to z kolei może mieć bardzo poważne konsekwencje w Azji Mniejszej. Jasne, że to nas interesuje.

Pułkownik, zagłębiony w myślach, patrzył przez okno. Prószył śnieg. Jakiś rowerzysta przeciskający się pomiędzy samochodami beztrąsko wałnął w drzwiczki ich pojazdu. Ku zdumieniu Armstronga - zwykle Ha-szemi panował nad sobą - pułkownik z furią otworzył

okno i skłął młodzieńca wraz z całą jego rodziną. Ponuro wyrzucił papierosa.

- Wysadź mnie tutaj, Robercie. Zaczniemy z Jazer-nowem o północy. Będiesz mile widziany. -
Zaczął otwierać drzwiczki.

- Poczekaj, stary - powiedział Armstrong. - Chłopie, zawsze byliśmy przyjaciółmi. Co się, do cholery, dzieje?

Pułkownik zawahał się. Zatrzasnął drzwiczki.

- Rząd zdelegalizował SAVAK i wszystkie wydziały wywiadu, w tym nas. Mamy się natychmiast rozwiązać.

- Tak, ale biuro premiera kazało ci nadal działać. Nie masz się czego obawiać, Haszemi.

Jesteś czysty. Powiedzieli ci, że masz zwalczać Tude, fedainów i islamskich marksistów...

Pokazałeś mi rozkaz. Przecież dzisiaj właśnie to robiłeś?

- Tak, tak było. - Haszemi urwał. Jego twarz nie wyrażała niczego, głos brzmiał pewnie. -

Było tak, ale... Co wiesz o islamskim Komitecie Rewolucyjnym?

- Tylko to, że składa się z ludzi wybranych osobiście przez Chomeiniego - rozpoczął

rzeczowo Armstrong. - Uprawnienia komitetu nie są wyraźnie określone, nie wiemy, kto tam jest, ilu ich jest, kiedy się spotykają, a nawet tego, czy Chomeini przewodniczy obradom.

- Teraz już wiem, że za zgodą Chomeiniego komitet ma dostać całą władzę. Bazargan jest tylko chwilowym figurantem, do momentu, gdy komitet wyda nową islamską konstytucję, która sprowadzi nas znów do czasów proroka.

742

361

- Cholerne gówno - mruknął Armstrong. - Nie będzie wybieralnego rządu?

- Żadnego. - Haszemi nie posiadał się z gniewu. - Znamy już warunki.

- Może ta konstytucja zostanie odrzucona, Haszemi. Ludzie będą musieli to przegłosować, a nie wszyscy są fanatycznymi...

- Na Boga i proroka, nie rób z siebie idioty, Robercie - rzucił ostro pułkownik. - Ogromna większość to fundamentaliści, a tylko tego oni muszą się trzymać. Nasi bourgeois, bogaci i klasa średnia, są tylko w Teheranie, Tebrizie, Abadanie i Isfahanie. Tylko oni byli wspierani przez Szacha. To garstka w porównaniu z pozostałymi trzydziestoma sześcioma milionami, z których większość nie potrafi

nawet czytać i pisać. Jasne, że będą głosować na to, co zatwierdzi Chomeini! Obaj wiemy, jak on rozumie islam, Koran, Szari'at...

- Kiedy... kiedy opracują tę konstytucję?

- Czy po tych wszystkich latach naprawdę tak mało rozumiesz? - zżymał się Haszemi. - Gdy tylko my, Irańczycy, przejmujemy władzę, korzystamy z niej, póki się nam nie wyśliźnie.

Nowa konstytucja weszła w życie w chwili, gdy tego biednego sukinsyna Bachtiaara zdradził

Carter, zdradzili generałowie i gdy musiał uciekać. A Bazargan, ten pobożny, uczciwy demokratą mianowany przez Chomeiniego, prawomocny premier do czasu wyborów...

Wystawiają po prostu tego biednego sukinsyna, żeby obwinie go za wszystko, co złe.

- To znaczy, że będzie kozłem ofiarnym? Że zrobią mu proces?

- Proces? Jaki proces? Nie mówiłem ci, na czym według komitetu polega proces? Jeśli go oskarżą, będzie rozstrzelany. In sza'a Allah! Wreszcie najważniejsze. To, co mnie tak rozzłościło, że nie mogę sensownie myśleć. Dziś po południu ktoś powiedział mi bardzo prywatnie, że reorganizuje się w tajemnicy SAVAK. Teraz ma się to nazywać SAVAMA, a szefem został Abrim Pahmudi!

- Chryste Panie! - Armstrong czuł się tak, jakby ktoś uderzył go w żołądek. Abrim Pahmudi był od

743

dziecka jednym z przyjaciół Szacha. Chodził z nim do szkoły w Iranie, a potem w Szwajcarii.

Był wychowywany na ważnego członka Rady Imperialnej. Należał do SAVAK-u; krążyły pogłoski, że był najbardziej poszukiwanym doradcą Szacha, zaraz po jego rodzinie. Rzekomo ukrywał się, czekając na możliwość negocjowania z rządem Bazargana w imieniu Pahlawiego sprawy utworzenia monarchii konstytucyjnej oraz abdykacji Szacha na rzecz jego syna, Rezy.

- Boże wszechmogący! To wiele wyjaśnia.

- Tak - odparł gorzko Haszemi. - Od lat ten skurwysyn uczestniczył we wszystkich ważniejszych naradach wojskowych i politycznych, w każdej konferencji państwowej, w zawieraniu każdej tajnej umowy, a w ostatnich dniach we wszystkich spotkaniach z amerykańskim ambasadorem, z amerykańskimi generałami... był obecny zawsze tam, gdzie omawiano groźbę zamachu stanu. - Pułkownikowi ze złości popłynęły po policzkach łzy. -

Wszyscy zostaliśmy zdradzeni: Szach, rewolucja, naród, ty, ja, każdy! Ileż razy meldowaliśmy mu o zagrożeniu przez te wszystkie lata? Podawaliśmy spisy nazwisk, rachunków bankowych, łączników, tajemnic, które tylko my mogliśmy poznać. Wszystko, wszystko było na piśmie, ale tylko w jednym egzemplarzu, taki mieliśmy rozkaz. Wszyscy zostaliśmy zdradzeni.

Armstrong poczuł chłód. Oczywiście, Pahmudi wiedział wszystko o jego pracy w Wywiadzie

Wewnętrzny. Pahmudi musiał wiedzieć wszystko, co ważne, o George'u Talbocie, o Mastersonie, jego odpowiedniku w CIA, o Lawenowie, odpowiedniku sowieckim. Wszystko o naszych planach na wypadek różnych ewentualności, o planach inwazji, o operacjach mających zneutralizować najtajniejsze stacje radarowe CIA, o ludziach takich jak kapitan Ross.

- Cholerne gównu - mruknął.

362

On też był zły, gdyż ich własne źródła nie ostrzegły na czas. Pahmudi - dobre maniery, inteligencja, trzy języki i dyskrecja. Nigdy przez te wszystkie lata nie wzbu-744

dził żadnego podejrzenia. Nigdy. Jak mu się udało pozostać czystym, nawet w oczach Szacha, który ciągle sprawdzał, sprawdzał i jeszcze raz sprawdzał swych głównych współpracowników? Normalnie, pomyślał. Pięć usiłowań zamachów, kule w ciele i twarzy; czyż nie panował nad ludem znanym ze stosowania przemocy wobec swych władców i z doznawania od nich przemocy? Chryste! Czym to wszystko się skończy?

W TYM SAMYM RUCHU ULICZNYM, 9:15.

McIver przeciskał się w kierunku południowym, zmierzając do okolic bazaru, gdzie mieścił się rodzinny dom Dżareda Bakrawana. Obok niego szedł Tom Lochart.

- Wszystko jakoś się ułoży - powiedział McIver, niemal chory z niepokoju.

- Jasne, Mac. Nie ma strachu.

- Tak, nie ma się czym przejmować.

Gdy McIver, dumny z tego, czego dokonał, wrócił do domu z ministerstwa od Alego Kia, zastał Toma Locharta, który przybył chwilę wcześniej. Radość McIvera z powodu szczęśliwego powrotu Toma prysła jak bańka mydlana na widok miny Eocharta i wskutek sprawozdania, jakie złożył mu Pettikin o rozmowie radiowej ze Scotem Gavallanem z Zagrosu i o zabranii Starke'a przez komitet z Kowissu na przesłuchanie w sprawie "ucieczki z Isfahanu".

- To moja cholerna wina, Mac, to wszystko, co się stało - powiedział Tom Lochart.

- Nie, nie twoja, Tom. Obaj wpadliśmy w potrzask. W każdym razie ja zatwierdziłem lot, choć to nie pomogło Walikowi. Czy oni wszyscy byli na pokładzie? Jak się, u diabła, wydostałeś? Opowiedz nam, co się wydarzyło, a potem wywołam Freddy'ego. Chcesz się napić?

- Nie, dziękuję. Posłuchaj, Mac, muszę znaleźć Sza-hrazad. Nie było jej w domu. Mam nadzieję, że jest u starych. Muszę...

- Ona tam jest. Wiem, że tam jest, Tom. Powiedział mi Eriki rano, przed odlotem do Tebrizu. Słyszałeś o jej ojcu?

- Tak, to straszne, cholernie straszne! Jesteś pewien, że ona tam jest?

- Tak. - McIver podszedł ciężkim krokiem do kredensu i nalał sobie drinka, mówiąc: - Nie była w waszym mieszkaniu od czasu, gdy wyjechałeś. Czują się dobrze aż do... Erikki i Azadeh widzieli ją przedwczoraj. Wczoraj...

- Czy Erikki mówił, jak ona się czuje?

- Powiedział, że tak jak można było się spodziewać: wiesz, jak ważne są w Iranie więzi rodzinne. O jej ojcu wiemy tylko to, co powiedział Erikki. Wezwano go do więzienia jako świadka, a potem poinformowano rodzinę, że może odebrać ciało. Rozstrzelano go "za zbrodnie przeciwko islamowi". Erikki powiedział, że oni... no, odebrali ciało, a wczoraj po prostu rozpaczali. Tylko tyle. - Pociągnął duży łyk wspaniałego drinka i poczuł się trochę lepiej. - Ona jest bezpieczna w domu. Powiedz nam najpierw, co się przydarzyło. Potem wywołam Freddy'ego, a potem pójdziemy i znajdziemy Szahrazad.

Lochart opowiadał szybko; jego słuchacze byli przerażeni.

- Kiedy Rudolf powiedział mi, że to właśnie ten oficer Sił Powietrznych Iranu, Abbasi, zestrzelił HBC, zrobiło mi się słabo. Chyba upadłem. Obudziłem się dopiero następnego dnia.

Abbasiego już wtedy nie było, a to wszystko to zwykła procedura. Mac, ten pomysł Charliego z "porwaniem" nie da się obronić. Nie da rady!

- Wiemy o tym, Tom - zauważył McIver. - Skończ najpierw to opowiadanie.

- Nie mogłem dostać zezwolenia na lot, więc pożyczyłem samochód. Wróciłem parę godzin temu i pojechałem prosto do domu. Sukinsyństwo polega na tym, że mieszkanie zostało 363

skonfiskowane przez Zielone Opaski, razem z całym majątkiem pana Bakrawana, poza sklepem na bazarze i domem rodzinnym. - Lochart opowiedział, co się wydarzyło, i dodał: -

Jestem teraz jak samotny listek miotany burzą. Niczego nie mam. Nie mamy niczego, Szahrazad i ja. - Roześmiał się. To był zły śmiech; McIver widział niemal, co dzieje 746

się w duszy Toma. - To prawda, że budynek należał do Dżareda, mieszkanie i całe wyposażenie, choć... chociaż to był posag Szahrazad... Chodźmy. Dobra, Mac?

- Pozwól mi najpierw skontaktować się z Freddyem. On...

- Och, oczywiście, jasne, przepraszam. Ze zmartwienia nie mogą zebrać myśli.

McIver dopił swego drinka i podszedł do nadajnika. Wlepił w niego wzrok.

- Tom - zapytał ponuro - co chcesz zrobić z Za-grosem?

Tom Lochart zawahał się.

- Mógłbym zabrać Szahrazad ze sobą.

- To zbyt niebezpieczne, chłopie. Przykro mi, ale tak to już jest.

McIver zobaczył, że Lochart zastanawia się nad sobą, i westchnął, czując się bardzo staro.

- Jeśli z Szahrazad jest wszystko w porządku, wrócę jutro rano z Jean-Lukiem i uporządkujemy sprawy w Zagrosie. Ona poleci najbliższym samolotem do Asz Szargaz -

powiedział Lochart. - Zależnie od tego, co zastaniemy w Zagrosie... gdybyśmy musieli zlikwidować interes, In sz'a Allah. Podrzucimy naszych wiertaczy do Szirazu, żeby mogli wyjechać samolotami rejsowymi. Ich firma powie im, dokąd mają polecieć. My przeprowadzimy wszystko do Kowissu: maszyny, części zamienne i personel. W porządku?

- Tak. W tym czasie ja - to będzie pierwsza rzecz, którą zrobię jutro rano - pojadę do ministerstwa i zobaczę, może uda się wszystko wyprostować. - McIver włączył nadajnik. -

Kowiss, tu Kwatera Główna. Słyszycie mnie?

Odpowiedź padła niemal natychmiast:

- Kwatera Główna, tu Kowiss. Kapitan Ayre. Proszę mówić, kapitanie McIver.

- Po pierwsze, sprawa Zagrosu Trzy. Proszę przekazać kapitanowi Gavallanowi, że kapitanowie Lochart i Sessonne wrócą jutro koło południa. Na razie proszę przygotować plany zastosowania się do decyzji komite-747

tu. - Zastrane skurwysyny, pomyślał i kontynuował, kierując słowa pod adresem tych, którzy przysłuchiwali się z tamtej strony rozmowie. - Kierownik bazy IranOil w Zagrosie powinien przypomnieć komitetowi, że Ajatollah i rząd nakazali powrót do normalnego wydobywania ropy. Zamknięcie Zagrosu poważnie przeszkodzi prawidłowemu wydobywaniu na tym terenie.

Proszę poinformować kapitana Gavallana, że omówię to natychmiast osobiście z ministrem Kia, który godzinę temu potwierdził rozkaz Ajatollaha i udzielił mi pisemnego zezwolenia na dowożenie nowych załóg odrzutowcem 125 do czasu...

- Chryste, Mac, to wspaniała nowina - wyrwało się jego rozmówcy.

- Tak... naszym własnym 125 do czasu wznowienia zwykłych rejsowych lotów. Mamy wymieniać załogi i maszyny, aby wykonywać dodatkową pracę przejętą po Guerneyu, o co poprosił nas rząd. Nie mogę więc zrozumieć działań lokalnego komitetu. Zrozumiał pan, kapitanie Ayre?

- Tak. Wiadomość odebrana pięć na pięć.

- Czy kapitan Starke już wrócił? Zapadła cisza. Potem:

- Odpowiedź przecząca, Kwatera Główna.

Głos McIvera stał się jeszcze bardziej chłodny i oficjalny.

- Proszę mnie natychmiast poinformować, gdy wróci. Kapitanie Ayre, tak między nami i żeby tego już dłużej nie ciągnąć: gdyby on miał jakiegokolwiek problemy i nie wrócił do bazy przed świtem, przerywam wszystkie operacje w Iranie i wycofuję sto procent naszego personelu za granicę.

364

- Dobrze, Mac - powiedział cicho Pettikin. McIver był zbyt skupiony na prowadzeniu rozmowy, żeby go usłyszeć.

- Kowiss, zrozumieliście? Cisza, a potem:

- Tak, potwierdzam.

748

- A co do was - dodał McIver, rozwijając dalej tę myśl w prośbę poinformować majora Czangiza i Waż-niaka, że nakazuję wam wstrzymanie wszystkich operacji, włącznie z wszelkimi CASEVAC, do chwili powrotu |• Starke'a do bazy. Zrozumiano?

Cisza, a potem:

- Tak, potwierdzam. Wiadomość zostanie natychmiast przekazana.

- Dobrze. Ale tylko ta wiadomość, która odnosi się do waszej bazy. Reszta pozostaje do świtu prywatną informacją. - Uśmiechnął się ponuro i dodał: - Gdy tylko wróci 125, przylecę na inspekcję, żeby się upewnić, czy wszystkie listy przewozowe są uaktualnione. Coś jeszcze?

- Nie, szefie. Na razie nic. Czekamy na pana i pozostajemy jak zwykle na nasłuchu.

- Kwatera Główna wyłącza się i kończy.

- To powinno podzielać, Mac. To tak, jakby im wsadzić do dupy szerszenia - odezwał się Pettikin.

- Może tak, a może nie. Nie możemy zawiesić CASEVAC. Poza powodami humanitarnymi to by nas postawiło poza prawem. Mogliby wtedy wszystko ukraść. - McIver dopił drinka i spojrzał na zegarek. - Chodź, Tom. Nie będziemy czekać na Jean-Luca. Poszukajmy Szahrazad.

Ruch na ulicach był już trochę mniejszy, ale nadal posuwali się wolno. Śnieg zasypywał przednią szybę. Nawierzchnia drogi była śliska, na poboczach leżały zasypy brudnego śniegu.

- Za następnym rogiem skręć w prawo - powiedział Lochart.

- Dobra, Tom. - Jechali dalej, nie rozmawiając. McIver skręcił. - Tom, czy podpisywałeś coś przy tankowaniu w Isfahanie?

- Nie, nic.

- Czy ktoś z tobą rozmawiał, pytał o nazwisko czy coś w tym rodzaju? Zielone Opaski? Ktoś inny?

Lochart oderwał myśli od Szahrazad.

749

- Nie. O ile pamiętam, nie. Byłem tylko "kapitanem" i częścią krajobrazu. O ile pamiętam, nikomu mnie nie przedstawiono. Walik i... i Annusz, i dzieciaki... poszli na obiad, gdy tylko wylądowaliśmy. Z innym generałem - Jezu, nawet nie pamiętam, jak się nazywał - ach tak, Seladi. Wszyscy mówili do mnie "kapitanie", byłem tylko elementem wyposażenia.

Właściwie przez cały czas tkwiłem przy helikopterze; patrzyłem, jak nalewają benzynę i sprawdzają maszynę. Przynieśli mi nawet coś do jedzenia, na tacy. Jadłem w kabinie. Byłem w kabinie przez cały czas, dopóki te cholerniki z Zielonych Opasek nie wywlokły mnie na zewnątrz i nie zamknęły w pokoju. Nie było żadnego ostrzeżenia, Mac. Po prostu opanowali bazę; musiał im pomóc personel, musiał. Te skurczybyki, które mnie złapały, wykrzykiwały, że jestem Amerykaninem z CIA. Tego się trzymali, ale troszczyli się bardziej o podporządkowanie sobie bazy niż o mnie. Skręć w lewo, Mac. To już niedaleko.

McIver prowadził niespokojnie. Okolica nie wyglądała zbyt dobrze, a przechodnie gapili się na nich.

- Może moglibyśmy się tym wykręcić, udawać, że HBC został porwany w Doszan Tappeh przez Bóg wie kogo. Być może nie śledzili maszyny już od Is-fahanu?

- Wiec dlaczego zgarnęli Duke'a Starke'a?

365

- Rutyna. - McIver ciężko westchnął. - Wiem, że to naciągane, ale może podziałać. Może wystarczy im jakiś "Amerykanin z CIA" i na tym się skończy? Zapuść wąsy albo brodę. Na wszelki wypadek.

Lochart potrząsnął głową.

- To nic nie da. Figuruję na pierwszym zezwoleniu. My obaj... Na tym polega problem.

- Kto widział, że startujesz z Doszan Tappeh? Lochart zastanowił się.

- Nikt. To chyba Nogger pilnował tankowania poprzedniego dnia.

- Tak. Teraz sobie przypominam. Kląłem, że dałem mu za dużo roboty właśnie wtedy, kiedy Paula była

w mieście. Czy byli tam jacyś Irańczycy? Strażnicy? Czy zapłaciłeś komuś bakszysz?

- Nie, nikogo nie było. Ale mogą mnie mieć na włączanym automatycznie magnetofonie... -

Lochart wyrzwał przez okno; jego podniecenie wzrosło. Wskazał ręką: - Tam jest zakręt, jesteśmy już prawie na miejscu.

McIver skręcił w wąską uliczkę, na której ledwie mogły się minąć dwa samochody. Po obu stronach piętrzyły się zasy, utrudniające dostęp do drzwi i bram. McIver był tu po raz pierwszy. Dziwiło go to, że Bakrawan, bogacz, mieszkał w tak ubogiej okolicy. Był

bogaczem, przypomniał sobie i mimo woli zadrzał. Teraz jest jak najbardziej martwy "za zbrodnie przeciwko państwu". Co jest zbrodnią przeciwko państwu? Ponownie zadrzał.

- To te drzwi, z lewej.

Zatrzymali się obok zasy, rozwalającej się od nadmiaru śmieci. Nie wyróżniający się niczym otwór drzwiowy wykuto w wysokiej, pokrytej pleśnią ścianie. Drzwi okuto żelazem, teraz już zardzewiałym.

- Chodźmy, Mac.

- Poczekam chwilę. Jeśli wszystko będzie w porządku, pojedę. Jestem bardzo zmęczony. -

Jest tylko jedno wyjście, pomyślał McIver. Chwycił Locharta za rękaw i zatrzymał go. - Tom, mamy zezwolenie na wywóz trzech 212. Weźmiesz jednego. Jutro. Do diabła z Za-grosem; Jean-Luc poradzi sobie. Nie wiem, czy pozwolą wyjechać Szahrazad, ale ty lepiej się stąd wynoś tak szybko, jak możesz. To jedyne, co ci pozostaje: wyjechać tak szybko, jak można.

Szahrazad wyjedzie przy następnym kursie 125.

- A ty? Co z tobą, Mac?

- Ja? Nie ma strachu. Ty wyjedziesz, a jeśli pozwolą wyjechać Szahrazad, to zabierzesz ją ze sobą. Jean-Luc poradzi sobie w Zagrosie. Tak czy inaczej, wygląda na to, że te bazę zlikwidujemy. W porządku?

Lochart spojrział na niego.

- Daj mi pomyśleć, Mac. W każdym razie dziękuję. - Wsiadł. - Będę zaraz po świcie. Nie pozwól Jean-751

Lucowi wystartować beze mnie. Możemy podjąć decyzję później. Dobra?

- Tak.

McIver zobaczył, jak jego przyjaciel stuka staroświecką kołatką. Hałas był duży. Obaj mężczyźni czekali. Lochart, niemal chory z niepokoju, przygotowywał się do spotkania z rodziną, do łez, powitań i niezliczonych pytań. Muszę być grzeczny, choć chciałbym tylko zabrać ją do pokoju, obejmować, czuć się bezpiecznie, wiedzieć naprawdę, że koszmar minął.

Stał przed drzwiami. Potem zakołatał głośniej. Czekał. McIver wyłączył silnik, aby oszczędzić benzynę. Zapadła cisza, która sprawiała, że oczekiwanie było jeszcze bardziej denerwujące. Śnieg zaczął pokrywać szybę. Ludzie mijali ich jak cienie, wszyscy podejrzliwi i wrodzy.

366

Rozległ się przytłumiony odgłos zbliżających się kroków. Uchyliła się zasłona na zakratowanym okienku w drzwiach. Oczy patrzyły na Locharta zimno i twardo, a on nie rozpoznawał nikogo, widząc tylko fragment twarzy.

- To ja, ekscelencja Lochart - zaczął w farsi, starając się, żeby głos brzmiał normalnie. - Moją żonę, lady Szahrazad, jest tutaj.

Oczy zbliżyły się do otworu. Starannie sprawdziły, czy Lochart jest sam, czy w towarzystwie, oszacowały samochód i McIvera.

- Proszę zaczekać, agha.

Okienko zamknęło się. Znowu czekanie, przytupywanie z zimna, czekanie, ponowne zniecierpliwione kołatanie. Miał ochotę wyważyć drzwi, lecz wiedział, że nie może. Znowu kroki, uchylenie okienka. Inne oczy, inna twarz.

- Jak pan się nazywa, agha? Lochart miał ochotę zawyć.

- Nazywam się agha pilot Thomas Lochart. Jestem mężem Szahrazad. Proszę otworzyć. Jest zimno i jestem zmęczony. Przyszedłem do żony.

Okienko zamknęło się. Po chwili, która dłużyła się w nieskończoność, usłyszał z ulgą łoskot odsuwanych

752

rygli. Drzwi otworzyły się. Służący trzymał wysoko oliwną lampkę. Za nim widniało otoczone wysokim murem podwórze z piękną fontanną pośrodku, z owiniętymi słomą drzewami i krzewami. Po przeciwnej stronie znajdowały się kolejne okute żelazem drzwi.

Były otwarte. Lochart dojrzał jej sylwetkę; pobiegł i już po chwili była w jego ramionach.

Płakała.

Drzwi od ulicy zatrzęsły się, a rygle powróciły na swoje miejsce.

- Poczekaj! - krzyknął Lochart do służącego, pamiętając o McIverze. Usłyszał jednak odgłos ruszającego samochodu.

- O co chodzi, agha? - zapytał służący.

- Już nic - odparł.

Poprowadził Szahrazad ku ciepłemu wnętrzu domu. Gdy zobaczył ją w pełnym świetle, jego radość zniknęła; poczuł, że ma w żołądku kulę lodu. Miała zapuchniętą i brudną twarz, brudne, posklejane włosy, nie widzące spojrzenie. Jej ubranie było wymięte.

- Jezu Chryste... mruknął, ale nie zwróciła na to uwagi. Przywarła do niego, zawodząc w mieszaniu słów farski i angielskich. Po policzkach spływały jej łzy. - Szahrazad, już dobrze, już wszystko dobrze... - powiedział, próbując ją uspokoić. Nie zareagowała; dalej monotonicznie zawodziła i bełkotała. - Szahrazad, Szahrazad, moje kochanie. Już wróciłem... już wszystko w porządku... - urwał. Równie dobrze mógłby nic nie mówić. Nagle poraziła go myśl, że żona straciła rozum. Potrząsnął nią delikatnie, nie przyniosło to jednak żadnych skutków.

Zauważył, że obok schodów stoi stary służący oczekujący na polecenia. - Gdzie... gdzie jest Jej Wysokość Bakrawan? - zapytał, czując na szyi uścisk rąk Szahrazad.

- Jest na pokojach, agha.

- Proszę jej powiedzieć, że tu jestem i... i że chcę się z nią zobaczyć.

- Och, agha, ona teraz nie przyjmuje nikogo. Nikogo. Widać Bóg tak chciał. Nie rozmawiała z nikim od tamtego dnia. - W oczach staruszka błysnęły łzy. - Wa-753

sza Ekscelencja wyjechał: być może nie wie pan, że Jego Eksce...

- Słyszałem o tym. Tak, słyszałem.

- In sza'a Allah, Agha. In szaa Allah, ale jakie zbrodnie mógł popełnić nasz pan? In sza'a Allah, widocznie było mu pisane. In sza'a...

- In szaa Allah. Powiedz, proszę, Jej Wysokości... Szahrazad, przestań! Przestań, kochanie! -

Przeszedł na angielski; jej zawodzenie doprowadzało go do szału.

- Przestań! - Potem zwrócił się w farski do służącego.

367

- Poproś Jej Wysokość, żeby mnie przyjęła.

- Och, tak, poproszę, agha, ale Jej Wysokość nie otwiera drzwi i nie odpowiada. Ale spróbuję, agha.

Ruszył w głąb domostwa.

- Poczekaj. Gdzie są wszyscy?

- Kto, agha?

- Rodzina. Gdzie jest reszta rodziny?

- Aha, rodzina. Jej Wysokość jest w swoich pokojach, lady Szahrazad tutaj.

Lochart poczuł znów, że jęki żony doprowadzają go do szaleństwa.

- Chodzi mi o to, gdzie jest ekscelencja Mieszang, jego żona i dzieci. Gdzie są moje szwagierki i ich mężowie?

- Gdzie mogliby być, jeśli nie w swoich domach, agha?

- Zatem powiedz ekscelencji Mieszangowi, że tu jestem.

Mieszang, najstarszy syn, właściwie mieszkał w tym domu wraz z rodziną.

- Oczywiście, agha. wedle woli Boga. Sam pójdę na bazar.

- On jest na bazarze? Staruszek skinął głową.

- Tak, agha, dzisiaj tam jest. On i jego rodzina. Teraz on jest szefem i prowadzi cały interes.

Wedle woli Boga, agha, jest teraz głową rodu Bakrawanów. Pójdę od razu.

754

- Nie, wyślij kogoś innego. - Bazar był blisko, więc taka prośba nie była nadużyciem. - Czy jest ktoś... Szahrazad, przestań! - rzucił szorstko, lecz ona zdawała się go nie słyszeć. - Czy jest w domu gorąca woda?

- Powinna być, agha. Mamy bardzo dobry piec, ale nie jest włączony.

- Nie macie paliwa?

- Och, powinno być paliwo, agha. Czy chciałby pan, żebym się upewnił?

- Tak. Rozpal w piecu i przynieś nam coś do jedzenia i herbatę.

- Oczywiście, agha. Co Wasza Ekscelencja chciałby zjeść?

Lochart z trudem nad sobą panował; jęki żony sprawiały, że znalazł się na granicy poczytalności.

- Cokolwiek. Albo nie. Podaj ryż i choreszt, cho-reszt z kurczaka - poprawił się, podając

prawidłową nazwę popularnego i łatwego do przyrządzenia dania. - Choreszt z kurczaka.

- Jak pan sobie życzy, agha, ale kucharz jest bardzo dumny ze swojego choresztu z kurczaka i będzie to przygotowywał godzinami, żeby było odpowiednie.

Staruszek grzecznie czekał, przenosząc wzrok z Lo-charta na Szahrazad.

- Wiec lepiej... więc, och, na miłość boską, tylko owoce. Owoce i herbatę. Takie owoce, jakie są...

Lochart nie mógł już tego dłużej znieść. Wziął Szahrazad na ręce, wszedł po schodach i ruszył korytarzem w kierunku pokoi, z których korzystali zwykle w tym dwupiętrowym domu z płaskim dachem, domu, który swym bogactwem przypominał pałac. Otworzył drzwi i zamknął je za sobą kopnięciem.

- Szahrazad, posłuchaj... Słuchaj, Szahrazad! Na rany Chrystusa, słuchaj!

Ona jednak tylko opierała się o niego, jęcząc i bełkocząc. Zaniósł ją do położonego w głębi dusznego pokoju, z pozamykanymi dokładnie oknami i okiennicami, i zmusił, aby usiadła na nie poświadym łóżku.

755

Potem wszedł do łazienki, która była nowoczesna, a w każdym razie dotyczyło to prawie całej instalacji hydraulicznej - poza toaletą.

Nie było ciepłej wody. Zimna była; zdawało się, że jest dość czysta. Znalazł jakieś ręczniki, zmoczył jeden i wrócił do sypialni. Oddychał ciężko, zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z problemem, który go przerasta. Szahrazad nie poruszyła się. Próbował obmyć jej twarz, lecz 368

broniła się i zaczęła głośno łkać, przez co stała się jeszcze brzydsza. Z kącika ust ciekła jej ślina.

- Szahrazad... Szahrazad, kochanie, na miłość boską, kochanie... - Podniósł ją i przytulił, ale nic do niej nie docierało. Przez cały czas słyszał jej jęki, które doprowadzały go do granic wytrzymałości. - Weź się w garść - powiedział bezradnie i wstał.

Złapała go za ubranie i próbowała przytrzymać.

- Panie Boże, dodaj mi sił... - Jakby był kimś innym, ujrzał, że uderza ją ręką w twarz.

Zawodzenie ustało; spojrzała na niego z niedowierzaniem, lecz już po chwili znów zaniósła się głośnym płaczem. Wpiła się rękoma w jego ubranie. - Boże, pomóż mi - powiedział

złamanym głosem.

Zaczął bić ją otwartą dłonią po twarzy, coraz mocniej, próbując desperacko być twardym i zdecydowanym mężem, ale nie za twardym. Potem przycisnął jej twarz do łóżka i bił ją mocno w pośladki, aż rozboleła go dłoń i cała ręka. Wreszcie usłyszał krzyk, który nie był

tym beznadziejnym zawroźdzeniem, lecz prawdziwym krzykiem.

- Tommyyyy... przestań och, proszę, Tommy, proszę, przestań!... Tommy, to boli! Co ja zrobiłam! Przysięgam, że o nikim nawet nie myślałam, och, Boże, Tommy, przestań... .

Przestał. Miał w oczach łzy, pomięte ubranie. Ciężko dysząc, odszedł chwiejnym krokiem od łóżka. Ona wiała się z bólu; miała purpurowe poślądki i purpurową twarz, ale jej łzy były teraz normalnymi łzami, oczy jej własnymi oczami, a jej mózg jej własnym, zdrowym mózgiem.

756

- Och, Tommyyy, skrzywdziłeś mnie, skrzywdziłeś

- płakała jak zbite dziecko. - Dlaczego? Dlaczego? Przysięgam, że cię kocham.. Nigdy nie zrobiłam niczego... niczego... żeby cię zranić... i niczego, co by było powodem... żebyś ty mnie krzywdził... - Schwytana w szpony bólu i wstydu, że go rozgniewała, nie rozumiejąc dlaczego, wiedząc tylko, że musi go jakoś ubłagać, zsunęła się z łóżka i przypadła do jego stóp, błagając przez łzy o przebaczenie. Płacz ustał, gdy powróciło jej poczucie rzeczywistości; spojrzała w górę na niego.

- Och, Tommy - rozpoczęła łamiącym się głosem.

- Tata nie żyje... zamordowany... zamordowany przez Zielone Opaski... zamordowany...

- Tak, tak, kochanie ty moje, wiem, wiem... tak mi przykro...

Podniósł ją; jego łzy zmieszały się z jej łzami. Trzymał ją mocno, przekazując swą siłę i przywracając do życia tak, jak ona dawała mu siłę i przywracała do życia. Potem usnęli przytuleni do siebie; budzili się, a potem znów spokojnie zasypiali, gromadząc siły potrzebne do życia. Płomień oliwnej lampki rzucał łagodne cienie. Na krótko przed północą obudził się, czując jej spojrzenie. Ostrożnie przybliżyła twarz, chcąc go pocałować, ale przeszył ją ból.

- Dobrze się czujesz? - Objął ją natychmiast.

- Och, uważaj... przepraszam, tak... to... - Spróbowała spojrzeć na swe poślądki i zauważyła, że jej ubranie jest brudne. Skrzywiła się. - Boże, to ubranie. Proszę, wybacz mi, kochanie... -

Wstała chwiejnie i zdjęła ubranie. Wykrzywiając się z bólu, sięgnęła po mokry ręcznik, wytarła twarz. Potem, gdy podeszła bliżej do lampki, zobaczył, że wokół jednego oka tworzy się siniec; miała też sine poślądki. - Wybacz mi, proszę... co, co zrobiłam, że się na mnie gniewałeś?

- Ależ nic - odparł przerażony i opowiedział, w jakim stanie ją zastał.

Spojrzała na niego pytająco.

- Ale... mówisz, że ja... ja nic nie pamiętam... pamiętam tylko... tylko bicie.

757

- Przepraszam, ale tylko w taki sposób mogłem... Przepraszam.

- Ależ, dlaczego przepraszasz, kochany. - Z wysiłkiem wróciła do łóżka i ostrożnie położyła się na brzuchu. - Ale ty... Wedle woli Boga, ale jeśli byłam taka jak mówisz... dziwna... i niczego nie pamiętam, niczego, od czasu gdy... - Jej głos załamał się trochę; potem mówiła 369

dalej, starając się panować nad sobą. - Może, gdyby nie ty, już zawsze byłabym niepoczytalna. - Przynęła się bliżej i pocałowała go. - Kocham cię, mój kochany

- szepnęła w farsi.

- Kocham cię, moja ukochana - odpowiedział zdławionym ze wzruszenia głosem.

Po chwili odezwała się znowu; jej głos brzmiał dziwnie.

- Tommy, wiesz, od czego wariowałam... widziałam ojca... widziałam go wczoraj, przedwczoraj... nie pamiętam... był taki mały po śmierci, taki malutki, martwy, podziurawiony, dziury w twarzy i głowie. Nigdy nie był taki mały, a oni go zmniejszyli, oni zabrali jego...

- Nie - powiedział łagodnie, widząc płynące łzy.

- In szaa Allah. Nie myśl o tym.

- Dobrze, mój mężu, skoro tak mówisz - odparła natychmiast w farsi oficjalnym tonem. -

Oczywiście, Bóg tak chciał, tak, ale to jest dla mnie ważne. Muszę ci o tym powiedzieć, muszę wyjaśnić ci moją hańbę... zastałeś mnie w... Muszę ci to kiedyś powiedzieć.

- Zatem powiedz teraz. Szahrazad. Będziemy mieć to już na zawsze za sobą - odpowiedział równie oficjalnie. - Proszę, powiedz mi teraz.

- Chodzi o to, że oni sprawili, iż największy człowiek na świecie - po tobie - stał się niczym.

Bez powodu. On zawsze występował przeciwko Szachowi, gdy tylko mógł, i zawsze popierał

tego mułłę Chomeiniego. - Powiedziała to spokojnie, używając słowa "mułła", a nie ajatollah lub imam, lub farmandeh; drgnął, przeczuwając coś złego.

- Zamordowali mojego ojca bez powodu, bez procesu, bezprawnie, i sprawili, że stał się mały. Zabrali wszystko, co miał jako mężczyzna, ojciec, jako ukochany ojciec.

758

Powinam sobie powiedzieć, że Bóg tak chciał, i spróbuję. Nie mogę jednak uwierzyć, że właśnie taka była wola Boga. Może to była wola Chomeiniego? Nie wiem. My, kobiety, wkrótce to odkryjemy.

- Co? Co masz na myśli?

- Za trzy dni, my, kobiety, urządzamy marsz protestacyjny; wszystkie kobiety z Teheranu.

- Przeciwno czemu?

- Przeciwno Chomeinemu i mułom, którzy zwalczają prawa kobiet. Gdy zobaczy nas, maszerujące bez czadorów, nie będzie już czynił zła.

Lochart słuchał nieuważnie, wspominając żonę taką, jaką była jeszcze kilka dni temu. Czy rzeczywiście ten koszmar zaczął się zaledwie kilka dni wcześniej? Szahrazad była tak z siebie zadowolona, włożyła czador, tak szczęśliwa, że jest tylko żoną, a nie nowoczesną kobietą jak Azadeh. Spojrzał jej w oczy; zobaczył w nich zdecydowanie i wiedział już, że poświęciła się całkowicie jednemu celowi.

- Nie chcę, żebyś brała udział w tym proteście.

- Tak, oczywiście, ale wszystkie kobiety z Teheranu będą demonstrować. Jestem pewna, że nie chcesz, abym okryła się wstydem wobec pamięci mojego ojca przed przedstawicielami jego morderców, prawda?

- Marnujemy czas - stwierdził Lochart, wiedząc już, że przegra. Brnął jednak dalej. -

Obawiam się, moja kochana, że nawet marsz wszystkich kobiet Iranu czy całego świata islamu nie dotknie Chomeiniego ani trochę. W jego islamskim państwie kobiety nie dostaną niczego, czego nie przyznaje im Koran. Niczego. Ani nikt inny. On nie jest elastyczny; czyż nie na tym polega jego siła?

- Oczywiście, masz rację, ale odbędziemy marsz protestacyjny, a Bóg otworzy oczy Chomeinemu i wszystko mu wyjaśni. Ma być według woli Boga, a nie Chomeiniego. My w Iranie wypracowaliśmy sobie historyczne sposoby postępowania z takimi ludźmi.

Obejmował ją ramionami. Protestowanie nie jest żadnym rozwiązaniem, pomyślał. Och, Szahrazad! Tyle

370

759

decyzji trzeba podjąć już, teraz, tyle sobie powiedzieć, tyle wyjaśnić, a czasu brakuje. Jest Zagros i jest 212, którym można wyjechać. Wtedy jednak Mac zostanie sam i sam będzie musiał dźwigać ten ciężar - jeśli zostanie jeszcze coś do dźwigania. A może zabrać go ze sobą? Nie da rady, chyba że siłą.

- Szahrazad, może będę musiał odbyć lot. Zabrać 212 do Nigerii. Polecisz ze mną?

- Oczywiście, Tommy. Na jak długo wyjedziemy? Zawahał się.

- Kilka tygodni, może dłużej. - Poczul, że poruszyła się w jego ramionach.

- Kiedy chcesz wyruszyć?

- Niedługo. Może nawet jutro. Uwolniła się z jego objęć.

- Nie mogę zostawić mamy, nawet na trochę. Ona... ją rozdziera smutek, Tommy i... i gdybym pojechała, martwiłabym się o nią. Jest też biedny Meszang; musi prowadzić interesy, trzeba mu pomagać. Tak wiele jest do zrobienia i tylu spraw trzeba doglądać.

- Wiesz o nakazie konfiskaty?

- Jakim nakazie?

Powiedział jej. W jej oczach znów błysnęły łzy; usiadła, zapominając na chwilę o bólu.

Wpatrywała się w lampkę oliwną i rzucane przez nią cienie.

- Zatem nie mamy domu, niczego. Wedle woli Boga

- stwierdziła tępo. Dodała niemal od razu innym tonem:

- Nie, nie Boga! Zielonych Opasek! Musimy teraz trzymać się razem, żeby ocalić rodzinę. W

przeciwnym razie ojciec będzie naprawdę pokonany. Nie możemy pozwolić, żeby go najpierw zamordowali, a potem jeszcze pokonali! To byłoby straszne!

- Tak, zgoda, lecz ta podróż rozwiązałaby nasze problemy na kilka tygodni...

- Masz rację, Tommy, jak zawsze, tak, tak, byłoby tak, gdybyśmy musieli wyjechać, to jest jednak nasz dom tak samo jak przedtem, jeśli nie bardziej. Och, jacy będziemy tu szczęśliwi!

Rano wezmę służbę i przywieziemy nasze rzeczy z mieszkania. Phi, cóż znaczy kilka 760

dywanów i świecidełek, skoro mamy ten dom dla siebie. Wszystko zorganizuję. Och, będziemy tu szczęśliwi!

- Ale, jeśli...

- Ta kradzież... teraz to jeszcze ważniejsze, żebyśmy tu byli, stawiali opór, protestowali.

Marsz jest teraz jeszcze ważniejszy. - Chciał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach.

- Skoro musisz odstawić ten helikopter - a oczywiście musisz, to twoja praca - zrób to, kochanie, ale wracaj szybko. Za kilka tygodni Teheran będzie normalnym miłym miastem.

Wiem, że tego właśnie chce Bóg.

Och, tak, pomyślała z zaufaniem - radość tłumiła fizyczny ból - będą wtedy w drugim miesiącu, a Tommy będzie ze mnie dumny, a tymczasem wspaniale będzie tu mieszkać w otoczeniu rodziny. Ojciec pomszczony, dom znów pełen radości.

- Wszyscy nam pomogą - powiedziała, wtulając się w jego ramiona, zmęczona, lecz szczęśliwa. - Och, Tommy, tak się cieszę, że jesteś w domu, że jesteśmy w domu, będzie cudownie, Tommy. - Mówiła coraz wolniej pod wpływem ogarniającej ją fali snu. - Wszyscy pomożemy Meszangowi... i ci z zagranicy powrócą, ciocia Annusz i dzieci... oni pomogą...

wujek Walik będzie doradzał Meszangowi...

Lochart nie zdobył się na to, żeby powiedzieć jej prawdę.

fnn*-1

Niedziela

18 lutego 1979

!

i

371

W PAŁACU CHANA, TEBRIZ, 3:13. W ciemnościach małego pokoju kapitan Ross otworzył skórzany futerał swego zegarka i zerknął na świetliste cyferki.

- Wszystko gotowe, Gueng? - szepnął w języku Gurkhów.

- Tak, sahib - odparł Gueng, zadowolony, że oczekiwanie już się zakończyło.

Obaj mężczyźni ostrożnie i po cichu wstali z sienników leżących na starych, cuchnących dywanach, rozłożonych na przybrudzonej ziemi podłodze. Byli ubrani; Ross zbliżył się do okna i wyjrzał. Ich strażnik spał, wsparty plecami o ścianę, z karabinem na kolanach.

Dwieście metrów dalej, za pokrytymi śniegiem sadem i zabudowaniami, widniał trzypiętrowy pałac chana z Gorgonów. Noc była ciemna i zimna, trochę chmur; 765

jedna z nich zasłaniała księżyc, który przeświecał od czasu do czasu.

Jest więcej śniegu, pomyślał, i otworzył drzwi. Zatrzymali się i badali ciemności wszystkimi zmysłami. Żadnych świateł. Ross podszedł bezszelestnie do strażnika i nim potrząsnął; mężczyzna nie obudził się jednak z narkotycznego snu, który potrwa jeszcze przynajmniej dwie godziny. Łatwo było podać mu narkotyk, częstując czekoladą, przechowywaną właśnie na wypadek takiej potrzeby w ich zestawie sprzętu niezbędnego do przeżycia; niektóre czekoladki zawierały narkotyki, inne truciznę. Jeszcze raz skupił się na obserwacji terenu, czekając cierpliwie, aż księżyc skryje się za chmurą.

Podrapał miejsce, w które ugryzła go pluskwa. Był uzbrojony w kukri i jeden granat.

- Jeśli nas zatrzymają, Gueng, wybraliśmy się na spacer - powiedział wcześniej. - Lepiej zostawić tu broń. A dlaczego kukri i granat? Stary zwyczaj Gurkhów; być nie uzbrojonym to przestępstwo przeciwko zasadom naszego regimentu.

- Myślę, że byłoby lepiej zabrać całą broń, uciec w góry i pójść dalej na południe, sahib.

- Jeśli to nam nie wyjdzie, będziemy musieli, ale to cholernie ryzykowne - odparł Ross. -

Cholernie. Na otwartym terenie znajdziemy się w potrzasku; psy gończe nie spoczną, dopóki nas nie schwytają. Nie zapominaj, że z trudem udało się nam dotrzeć do tej kryjówki. Gdyby nie ubrania, byłoby po nas. - Gdy Vien Rose-mont i Tenzing zginęli w zasadzce, on i Gueng zdarli z martwych napastników szczepowe szaty i włożyli je na mundury. Ross zastanawiał

się, czy nie wyrzucić mundurów, uznał jednak, że nie byłoby to mądre. - Jeśli nas złapią, to złapią i koniec.

Gueng uśmiechnął się.

- Zatem zostań lepiej szybko Hindusem. Jeśli cię zabiją, to nie będzie koniec, ale początek.

- Jak mam to zrobić, Gueng? Zostać Hindusem? Uśmiechnął się krzywo, wspominając zmieszany wyraz twarzy Guenga i wzruszenie ramionami. Starannie 766

ułożyli w śniegu ciała Viena Rosemonta i Tenzinga, zostawiając je zgodnie ze zwyczajem Górskiej Krainy: "To ciało jest bezwartościowe dla ducha, a z powodu niezmienności ponownych narodzin niech zostanie przekazane zwierzętom i ptakom, w których tkwią inne dusze, walcząc w swej własnej karmie o Nirwanę - krainę Niebiańskiego Spokoju".

Następnego ranka wykryli tych, którzy niestrudzenie podążali za nimi. Gdy zeszli ze wzgórz do dalekich przedmieść Tebrizu, ich prześladowcy znajdowali się zaledwie o pół kilometra z tyłu. Uciekających ocalił tylko kamuflaż; wmieszali się w tłum, w którym wielu członków szczepu przypominało ich wzrostem, miało niebieskie oczy i nosiło broń. Szczęście ich nie opuszczało; odnaleźli tylne wejście małego brudnego garażu; gdy powołali się na Viena Rosemonta, człowiek z garażu ich ukrył. Owej nocy Abdollah-chan przyszedł w otoczeniu ochroniarzy. Był nastawiony wrogo i pełen podejrzeń.

- Kto wam powiedział, żebyście o mnie pytali?

- Vien Rosemont. Powiedział nam też o tym miejscu.

- Co za Rosemont. Gdzie on teraz jest?

Ross opowiedział, co się im przydarzyło w zasadzce; dostrzegł w spojrzeniu rozmówcy coś nowego,

choć ten nadal zachowywał się wrogo.

- Skąd mogę wiedzieć, że mówicie prawdę? Kim jesteście?

- Vien poprosił mnie przed śmiercią o przekazanie panu wiadomości. Miał ciężką śmierć i prawie bredził, ale żeby się upewnić, czy dobrze zapamiętałem, poprosił mnie, abym powtórzył ją trzy razy. Powiedział: "Powiedz Abdollah-chanowi, że Peter poluje na głowę Gorgona, a syn Petera jest gorszy niż Peter. Syn bawi się twarogiem i serwatką, a robi to też ojciec, który spróbuje użyć Meduzy do złapania Gorgona". - Ross zobaczył, że oczy jego rozmówcy rozbłysły, choć nie z radości. - Czy to coś dla pana znaczy?

- Tak. To znaczy, że znasz Viena. A więc Vien nie żyje. Wedle woli Boga, a jednak szkoda.

Vien był dobry,

767

bardzo dobry i wielkim patriotą. Kim jesteście? Jakie macie zadanie? Co robicie w naszych górach?

Ross zawahał się, gdyż pamiętał, że Armstrong powiedział mu, aby nie wierzył zbyt temu człowiekowi. Ale Rosemont, któremu ufał, zapewnił umierając: "Możesz powierzyć temu staremu sukinsynowi swoje życie. Ja powierzyłem z pół tuzina razy i nigdy się nie zawiodłem. Idźcie do niego, on pomoże wam się wydostać..."

Abdollah-chan uśmiechnął się: jego usta miały tak okrutny wyraz jak oczy.

- Możecie mi zaufać. Chyba nawet musicie.

- Tak. - Ale nie za bardzo, dodał w myślach; nie lubił słowa "ufać", słowa, które kosztuje życie milionów istnień, wolność milionów i od czasu do czasu spokój ducha każdego dorosłego. - Chodziło o zneutralizowanie Sawalanu - wyjaśnił i opowiedział, co się tam wydarzyło.

- Bogu niech będą dzięki! Wspomnę o tym Wes-sonowi i Talbotowi.

- Komu?

- Ach, nieważne. Wyślę was na południe. Chodźcie ze mną, tu nie jest bezpiecznie. Trwa polowanie z nagonką; wyznaczono nagrodę za "dwóch brytyjskich sabotażystów, dwóch wrogów islamu". Kim jesteście?

- Ross. Kapitan Ross. A to jest sierżant Gueng. Kto chce nas dostać? Irańczycy czy Sowieci?

A może ktoś inspirowany przez Sowietów?

- Sowieci nie działają otwarcie w moim Azerbejdżanie. Jeszcze nie. - Chan wydał usta w dziwnym uśmiechu. - Mam tu furgonetkę. Wsiądźcie szybko i połóżcie się z tyłu. Ukryję was, a gdy zrobi się bezpieczniej, przerzucę do Teheranu. Musicie jednak stosować się do moich poleceń. Dokładnie.

Tak było dwa dni wcześniej, potem jednak przybycie obcych Sowietów i przylot helikoptera odmieniły sytuację. Ross zobaczył, że księżyc chowa się za chmurę. Dotknął ramienia Guenga. Niski mężczyzna rozplątał się w mroku. Gdy z ciemności dobiegł sygnał „jest 768

czysto”, Ross ruszył do sadu. Posuwali się skokami, ubezpieczając się nawzajem. Szybko dotarli do rogu północnego skrzydła domostwa. Nie natknęli się jak dotąd ani na strażników, ani psy wartownicze, choć Gueng dostrzegł dobermana na łańcuchu.

Pokonanie balustrady tarasu na parterze nie przedstawiało trudności. Prowadził Gueng.

Przebiegł połowę długości tarasu, mijając rząd zamkniętych okiennic, i dotarł do schodów prowadzących na wyższy taras. Na górze poczekał, próbując zorientować się w rozkładzie budynku. Gdy pojawił się Ross, Gueng wskazał następny rząd okien i wyjął kukri. Ross jednak potrząsnął przecząco głową i pokazał ukryte głęboko w cieniu boczne drzwi. Nacisnął

klamkę. Drzwi głośno zaskrzypiały. W sadzie zerwały się do lotu jakieś nocne ptaki. Obaj mężczyźni skupili uwagę na miejscu, z którego odleciały, spodziewając się pojawienia 373

patrolu. Nikt się nie zjawił. Jeszcze chwila, żeby się upewnić, a potem Ross wszedł do budynku; adrenalina wzmagająca jego napięcie.

Korytarz był długi, po obu stronach niezliczone drzwi, kilka okien, wychodzących na południe. Ross zatrzymał się przy następnych drzwiach i ostrożnie nacisnął klamkę. Te drzwi ustąpiły cicho; szybko wśliznął się do środka, za nim Gueng z dobytym kukri i granatem w ręku. Pomieszczenie wyglądało na salon: dywany, ozdobne poduszki, staroświeckie, wiktoriańskie meble i kanapy. Mieli przed sobą dwoje drzwi. Modląc się, aby to był

prawidłowy wybór, Ross otworzył drzwi bliższe rogu budynku i wszedł. Zastłony były zaciągnięte, ale przez szparę padało światło księżyca, ukazując wyraźnie łóżko, na którym leżeli poszukiwany mężczyzna oraz kobieta, oboje przykryci grubą kołdrą. To był ten mężczyzna, który powinien być, nie spodziewali się jednak kobiety. Gueng zamknął drzwi.

Bez wahania stanęli po obu stronach łóżka. Ross wziął na siebie mężczyznę, Gueng kobietę.

Równocześnie zakneblowali śpiących chustami; przyciskali ich do łóżka na tyle mocno, żeby stłumić krzyki.

769

- Jesteśmy przyjaciółmi, pilocie. Nie krzycz - szepnął Ross do ucha Erikkiego. Nie znał jego nazwiska, nie miał pojęcia, kim jest kobieta. Wiedział tylko, że mężczyzna jest lotnikiem.

Ross zauważył, że zaskoczenie z powodu nagłego przebudzenia zmieniło się w gniew, a olbrzymie dłonie sięgnęły, aby rozerwać napastnika na strzępy. Uchylił się i nacisnął mocniej nos Erikkiego, z łatwością utrzymując mężczyznę w pozycji leżącej. - Chcę cię uwolnić, pilocie, nie krzycz. Jesteśmy przyjaciółmi, Brytyjczykami. Jesteśmy żołnierzami brytyjskimi.

Daj znak, że obudziłeś się już i rozumiesz. - Czekał. W końcu raczej poczuł, niż zobaczył

skinienie głowy olbrzyma. W jego oczach wyczytał jednak niebezpieczeństwo. - Nie pozwól jej krzyczeć, Gueng, dopóki nie załatwię wszystkiego z tej strony - rzucił cicho w języku Gurkhów, a następnie zwrócił się do Erikkiego: - Pilocie, nie obawiaj się. Jesteśmy przyjaciółmi.

Zwolnił nacisk i odskoczył, gdy Yokkonen rzucił się na niego, a potem okręcił w łóżku, żeby dostać Guenga. Znieruchomiał, gdy światło księżyca błysnęło na ostrzu kukri, przystawionym do jego gardła. Azadeh spoglądała z przerażeniem w szeroko rozwartych oczach.

- Nie! Zostaw ją! - zachrypiał Erikki po rosyjsku; widząc tylko orientalne oczy Guenga, zdezorientowany i przestraszony, myślał, że to człowiek Cimtargi. Nie otrząsnął się jeszcze z resztek snu, po wielu godzinach latania w złych warunkach, tylko za pomocą instrumentów pokładowych, bolała go głowa. - Czego chcecie?

- Mów po angielsku. Jesteś Anglikiem, prawda?

- Nie. Jestem Finem. - Erikki zerknął na Rossa. Widział tylko niewyraźną sylwetkę. - Czego, do cholery, chcecie?

- Przepraszam za taki sposób budzenia, pilocie - rzucił pośpiesznie Ross, nieco się przybliżając. - Przepraszam, ale muszę porozmawiać z panem w tajemnicy. To bardzo waż...

- Powiedz temu sukinsynowi, żeby puścił moją żonę! Już!

770

- Żonę? Och, tak... tak, oczywiście, przepraszam. Ona... ona nie będzie krzyczeć? Proszę jej powiedzieć, żeby nie krzyczała. - Widział, jak ogromny mężczyzna zwraca się do kobiety, która leżała nieruchomo pod grubą kołdrą, z zakneblowanymi ustami, pod trzymanym żelaznym uściskiem kukri. Zobaczył, że olbrzym dotknął jej delikatnie, ze wzrokiem utkwionym w kukri. Jej głos brzmiał uspokajająco i łagodnie, ale to nie był ani angielski, ani farsi, tylko jakiś inny język. Zdezorientowany Ross pomyślał, że to może rosyjski.

Spodziewał się brytyjskiego pilota S-G, bez partnera w łóżku, a zastał Fina z żoną Rosjanką.

Był przerażony. Wprowadziłem Guenga w pułapkę? Spojrzenie olbrzyma powróciło do niego; wyraz jego oczu był jeszcze bardziej niebezpieczny.

- Powiedz mi, żeby pozwolił mojej żonie odejść

374

- powiedział Erikki po angielsku, z trudem koncentrując myśli. - Ona nie będzie krzyczeć.

- Co jej powiedziałaś? Co to było po rosyjsku?

- Tak, po rosyjsku. Powiedziałem: "Ten skurwysyn za chwilę cię puści. Nie krzycz. Schowaj się tylko za mną. Nie rób gwałtownych ruchów. Nie rób niczego, dopóki nie zajmę się drugim skurwysynem, a wtedy walcz o życie".

- Jesteś Rosjaninem?

- Powiedziałem ci, że Finem. Nie mam cierpliwości do ludzi, którzy chodzą po nocy z nożami. Do Brytyjczyków, Rosjan, a nawet Finów.

- Czy jesteś pilotem S-G Helicopters?

- Tak. Pospiesz się i daj jej odejść, kimkolwiek jesteś, albo coś zrobię.

Ross nie mógł się uspokoić.

- Czy ona jest Rosjanką?

- Moja żona jest Iranką. Zna rosyjski, tak jak ja

- wyjaśnił zimno Erikki. Poruszył się nieznacznie, próbując odsunąć się od wąskiego pasma poświaty księżyca. - Stań w jaśniejszym miejscu; nie widzę cię. Po raz ostatni powtarzam, żeby ten skurwysyn zostawił moją żonę. Mów, czego chcesz, a potem się wynoś.

771

- Przepraszam za to wszystko. Gueng, puść ją. Gueng nie drgnął; nie drgnęło też zakrzywione ostrze. Powiedział w języku Gurkhów:

- Tak, sahib, ale najpierw wyjmij nóż spod poduszki mężczyzny.

Ross odpowiedział w tym samym języku:

- Jeśli po niego sięgnie, bracie, choćby tylko go dotknie, zabij ją. Ja zajmę się nim. - Po angielsku zaś rzekł uprzejmym głosem: - Pilocie, ma pan pod poduszką nóż. Proszę go nie dotykać. Przepraszam, ale jeśli pan to zrobi, zanim się wszystko wyjaśni... proszę o trochę cierpliwości. Puść ją, Gueng. - Całą uwagę skupiał na mężczyźnie. Kątem oka dostrzegł

niewyraźny zarys jej twarzy, rozrzucone w nieładzie długie włosy, które prawie ją zakrywały.

Schowwała się za ogromnymi plecami męża, owijając ciasniej ciepłą koszulą nocną z długimi rękawami. Ross stał tyłem do światła; nie widział jej wyraźnie, ale nawet w ciemnościach dostrzegł nienawiść w jej spojrzeniu. - Przepraszam za to, że przybyliśmy w nocy jak złodzieje. Przepraszam - powiedział pod jej adresem. Nie odpowiedziała. Powtórzył

przeprosiny w farszi. Nadal nie odpowiadała. - Proszę przeprosić w moim imieniu żonę.

- Ona zna angielski. Czego, do cholery, chcecie? - Teraz, gdy Azadeh była względnie bezpieczna, Erikki poczuł się trochę pewniej, nadal jednak pamiętał o obecności drugiego mężczyzny z zakrzywionym nożem.

- Jesteśmy czymś w rodzaju więźniów chana, pilocie. Przyszedłem, żeby cię ostrzec i poprosić o pomoc.

- Ostrzec przed czym?

- Kilka dni temu ja pomogłem jednemu z waszych pilotów. Charlesowi Pettikinowi.

Dostrzegł, że olbrzym znał to nazwisko i nieco się odprężył. Prędko opowiedział Erikkiemu o Doszan Tappeh, o ataku SAVAK-u i o ich ucieczce. Dokładnie opisał Pettikina, tak że nie mogło być żadnych wątpliwości.

- Charlie opowiedział nam o panu - odparł zdziwiony Erikki. Już się nie bał. - Nie wspomniał jednak, że

772

wysadził was w Bondar-e Pahlawi. Mówił tylko, że jacyś brytyjscy spadochroniarze ocalili go przed SAVAK-iem.

- Poprosiłem go, żeby zapomniał, jak się nazywam. Ja, eee, my mieliśmy pewną pracę.

- Na szczęście dla Charliego, wy... - Ross dostrzegł, że kobieta szepcze coś mężowi do ucha.

Mężczyzna skinął głową. - Pan może mnie widzieć, ja pana nie. Proszę bliżej do światła... Co 375

do Abdollaha: gdybyście byli jego więźniami, skulby was łańcuchem albo wtrącił do lochu.

Nie chodzilibyście sobie sami po pałacu.

- Powiedziano mi, że chan nam pomoże, gdybyśmy mieli kłopoty. Mieliśmy kłopoty.

Obiecał, że nas ukryje, a potem wyśle do Teheranu. Na razie trzyma nas w szopie pod strażą.

- Ukrywa was przed kim?

- My, eee, nasza praca miała, eee, poufny charakter. Potem nas ścigano.

- Co za "poufny charakter"? Nadal cię nie widzę. Przesuń się do światła.

Ross zrobił krok, ale nadal pozostawał w ciemnościach.

- Musieliśmy zniszczyć tajne wyposażenie pewnej amerykańskiej stacji radarowej, żeby nie dostało się w ręce Sowietów lub ich zwolenników. Ja...

- Sawalan?

- Skąd, u diabła, wiesz?

- Zmuszają mnie do wożenia jakiegoś Sowietą i kilku lewaków, którzy chcą splądrować stacje radarowe przy granicy. Potem mam odstawić cały chłám do Asta-ry na wybrzeżu.

Jedna z tych stacji, na północnym stoku, została trochę zdemolowana. Tam niczego nie znaleźli, a o ile wiem, w innych nie było nic wartościowego. Przed czym chciałeś mnie ostrzec?

- Zmusili cię?

- Moja żona jest zakładniczką chana i Sowietów. Żebym "współpracował i zachowywał się właściwie" - wyjaśnił Erikki.

- Chryste! - Ross usilnie myślał. - Ja, eee, rozpoznałem znak S-G, gdy krążyłeś nad pałacem.

Chciałem

773

cię ostrzec, że są tu Sowietci. Przybyli wczesnym rankiem. Mają zamiar cię porwać, korzystając z przyjacielskiej pomocy Abdollaha. Wygląda na to, że on gra na obie strony, jest podwójnym agentem. - Dostrzegł zdumienie Erikkiego. - Nasi ludzie powinni się o tym prędko dowiedzieć.

- Porwać mnie? Po co?

- Nie wiem dokładnie. Po lądowaniu twojego helikoptera wysłałem Guenga na mały zwiad; wyszedł tylnym oknem. Opowiedz im, Gueng.

- Oni zjedli właśnie wtedy obiad, sahib, chan i Sowietci. Stali przy samochodzie, a ja leżałem za krzakami i wszystko słyszałem. Na początku nie mogłem ich zrozumieć, ale potem Abdollah powiedział: "Mówmy po angielsku, żeby służba nie podsłuchiwała". Sowiet podziękował "za wszystkie informacje i za propozycję". Chan powiedział: "Zatem zgoda? Na wszystko, Patar?", a Sowiet odparł: "Tak, zalecę wszystko, czego chcesz. Dopilnuję, żeby pilot już nie sprawiał ci kłopotów. Gdy skończy, zabierzemy go na północ..." - Gueng urwał, gdyż Azadeh głośno wypuściła powietrze z ust. - Tak, memsahib?

- Nie, nic.

Gueng skupił się, aby jak najdokładniej powtórzyć podsłuchaną rozmowę.

- Sowiet powiedział: "Dopilnuję, żeby pilot już nie sprawiał ci kłopotów. Gdy skończy, zabierzemy go na północ, na zawsze". Potem... - Zastanawiał się przez chwilę. - Ach, tak!

Potem powiedział: "Muła też nie będzie sprawiał ci kłopotu. W zamian za to złapiesz dla mnie brytyjskich sabotażystów? Żywych. Chciałbym, żeby byli żywi, jeśli to możliwe". Chan

odpowiedział: "Tak, złapię ich, Patar. Czy ty..."

- Petr - poprawiła go Azadeh: trzymała rękę na ramieniu Erikkiego. - nazywa się Petr Mzytryk.

- Chryste! - mruknął Ross, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów.

- Co takiego? - zapytał Erikki.

- Później ci opowiem. Dokończ, Gueng.

774

376

- Tak, sahib. Chan powiedział: "Schwytam ich, Patar, jeśli będę mógł, to żywcem. Co dostanę za to, że będą żywi?" Sowiet roześmiał się. "Wszystko w granicach rozsądku. A co ja dostanę?" Abdollah odparł: "Zabiorę ją ze sobą przy następnej wizycie". To wszystko, sahib.

Sowiet wsiadł do samochodu i odjechał.

Azadeh zadygotała.

- O co chodzi? - zapytał Erikki.

- On miał na myśli mnie - odparła drżącym głosem. Włączył się Ross.

- Nie rozumiem.

Erikki zawahał się; czuł, że coś ściska go w gardle. Żona opowiedziała mu wcześniej o tym, jak ojciec kazał jej zjeść z nimi obiad i o tym, jak Petr Mzytryk zaprosił ją do Tbilisi.

"Oczywiście z mężem, jeśli będzie wolny; marzę o tym, żeby pokazać pani nasz kraj..."

Opowiedziała o tym, jak Sowiet jej nadskakiwał.

- To... to sprawa osobista. Nic ważnego - powiedział Erikki. - Wygląda na to, że wiele wam zawdzięczam. A jak ja mogę pomóc? - Uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem i wyciągnął

dłoń. - Nazywam się Yok-konen, Erikki Yokkonen. A to moja żona, Az...

- Sahib! - syknął ostrzegawczo Gueng.

Ross zatrzymał swoją rękę w połowie drogi. Zobaczył, że Erikki włożył drugą rękę pod poduszkę.

- Nie waż się nawet drgnąć - powiedział, wyrrywając gwałtownie kukri z pochwy. Powiedział

to takim tonem, że Erikki usłuchał. Kapitan ostrożnie odsunął poduszkę. Ręka Fina spoczywała daleko od noża. Ross chwycił nóż Erikkiego. Ostrze błysnęło w świetle księżyca.

Zastanowił się i podał nóż pilotowi, rękojeścią do przodu.

- Przepraszam, ale muszę dbać o bezpieczeństwo.

- Uścisnął wyciągniętą dłoń, która przez cały czas nie drgnęła, i poczuł jej ogromną siłę.

Uśmiechnął się i po raz pierwszy pozwolił, aby poświata księżycowa padła na jego twarz. -

Nazywam się Ross. Kapitan John Ross. A to jest Gueng...

Azadeh głośno westchnęła i spojrzała w górę. Wszyscy na nią patrzyli. Dopiero teraz Ross po raz pierwszy

775

zobaczył wyraźnie jej twarz. To była Azadeh, jego Azadeh sprzed dziesięciu lat. Azadeh Gorden - znał ją wtedy pod takim nazwiskiem - Azadeh Gorden z Górskiej Krainy wpatrywała się w niego, piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem, oczy większe niż kiedykolwiek przedtem, dar niebios.

- Mój Boże, Azadeh, nie widziałem twojej twarzy...

- Ani ja twojej, Johnny.

- Azadeh... dobry Boże - wydukał Ross.

Promieniał, ona także. Usłyszał głos Erikkiego i zobaczył, że olbrzym wpatruje się w niego, trzymając w dłoni ogromny nóż. Przeszył go strach, ten sam, co Azadeh.

- To ty jesteś Johnny "Jasne Oczy"? - zapytał

spokojnie Erikki.

- Tak, tak, to ja... Miałem zaszczyt znać twoją żonę wiele lat temu... Dobry Boże, Azadeh, jak wspaniale jest znów cię widzieć!

- I ciebie... - Nie zdjęła ręki z ramienia Erikkiego. Erikki czuł dotyk jej dłoni. Ten dotyk go palił, lecz Fin nie poruszył się, zahipnotyzowany widokiem człowieka, który przed nim stał.

Powiedziała mu kiedyś o Johnie Rossie, o ich lecie i o wyniku tego lata. O tym, że mężczyzna nie wiedział o jej ciąży, że nie próbowała go odnaleźć ani nie chciała nawet, żeby się dowiedział.

377

- To była moja wina, Erikki. Nie jego - powiedziała po prostu. - Byłam zakochana. Dopiero skończyłam siedemnaście lat, a on dziewiętnaście. Nazywałam go Johnny "Jasne Oczy"; nigdy przedtem nie widziałam człowieka z tak niebieskimi oczami. Byliśmy w sobie bardzo zakochani, ale

to była miłość na jedno lato, nie tak jak nasza, na zawsze, przynajmniej moja.

Tak, poślubię cię, jeśli ojciec na to pozwoli, och, tak, proszę o to Boga, ale tylko wtedy, jeśli będziesz mógł być ze mną szczęśliwy, wiedząc, że kiedyś, dawno, dawno temu, dorastałam.

Musisz mi przyrzec, przysiąc, że będziesz szczęśliwy jako mężczyzna i jako mąż, gdyż być może kiedyś go spotkamy. Będę się cieszyć z tego

776

spotkania, uśmiechać do Johnny'ego, ale moja dusza pozostanie twoja, moje ciało twoje, moje życie twoje i wszystko, co mam...

Przyrzekł, jak sobie tego życzyła, szczerze i z całej duszy, radośnie odsuwając jej troski. Był nowoczesny, wyrozumiały. Był Finem, a czyż Finlandia nie była zawsze postępową, czyż nie przyznała jako druga, po Nowej Zelandii, praw wyborczych kobietom? Nie martwił się.

Wcale. Współczuł jej tylko z powodu gniewu ojca, gniewu, który mógł zrozumieć.

A teraz był tu ten właśnie mężczyzna: przystojny, silny i młody. Bardziej odpowiadał jej wzrostem, wiekiem. Erikkiego zżerała zazdrość.

Ross próbował jakoś się pozbierać; jej obecność całkowicie zawiązała jego myślami.

Oderwał od niej wzrok, oderwał się od wspomnień i spojrzął na Erikkiego. Mógł wyczytać wszystko z jego oczu.

- Dawno temu znałem twoją żonę, w Szwajcarii, w... chodziłem tam przez krótki czas do szkoły.

- Tak, wiem - odparł Erikki. - Azadeh powiedziała mi o tobie. Jestem... jestem... to... to jest trochę niespodziewane spotkanie dla nas wszystkich. - Wstał z łóżka, przytłaczając swym wzrostem Rossa. Nadal trzymał nóż; wszyscy byli świadomi obecności tego noża. Zobaczył, że stojący z drugiej strony łóżka Gueng też trzyma kukri. - A więc, kapitanie, jeszcze raz dziękuję za ostrzeżenie.

- Powiedziałaś, że zmusili cię do wożenia helikopterem Sowietów?

- Azadeh jest rękojmnią mojego posłuszeństwa - oświadczył Erikki.

Ross z namysłem skinął głową.

- Niewiele możesz zrobić, skoro chan jest wrogiem. Chryste, ale bałagan! Kombinowałem tak, że skoro ty też jesteś zagrożony, to chciałbyś uciec i że podrzucisz nas śmigłowcem.

- Zrobiłbym to, gdybym mógł, tak, oczywiście. Ale gdy latam, pilnuje mnie zawsze dwudziestu strażników, a Azadeh... żona i ja jesteśmy pod ścisłym nadzorem, 777

gdy przebywamy tutaj. Jest jeszcze inny Sowiet, niejaki Cimtarga, który nie odstępował mnie na krok, a Abdol-lah-chan jest... bardzo ostrożny. - ' Erikki nie wiedział jeszcze, co zrobić z tym Rossem. Zerknął na Azadeh i poczuł, że jej uśmiech nie kłamie, że jej dotknięcie nie kłamie, że ten człowiek nie jest teraz dla niej niczym więcej niż tylko starym przyjacielem.

Czuł jednak, że to zbyt mało, że zaraz wpadnie w szal. Zmusił się do uśmiechu. - Musimy być ostrożni, Azadeh.

- Bardzo. - Czuła, jak drgnął, mówiąc Johnny "Jasne Oczy". Wiedziała, że z całej trójki tylko ona może zapanować nad tym dodatkowym niebezpieczeństwem. Jednocześnie zazdrość Erikkiego, którą tak bardzo starał się ukryć, podniecała ją, tak samo zresztą, jak otwarty podziw dawno utraconego kochanka. Och tak, pomyślała, Johnny "Jasne Oczy", jesteś piękniejszy niż kiedykolwiek, szczuplejszy, silniejszy, bardziej podniecający z tym zakrzywionym nożem, nie ogoloną twarzą, w tym brudnym ubraniu przesiąkniętym męskim zapachem. Jak mogłam cię nie rozpoznać? - Przed chwilą, gdy poprawiałam to "Patar" na

"Petr", widziałam, że to coś dla ciebie oznacza. Co?

378

- Chodzi o zakodowaną wiadomość, którą przekazałem chanowi - wyjaśnił Ross, boleśnie świadom czarodziejskiego uroku, jaki nadal na niego rzuciła. - "Powiedz Abdollah-chanowi, że Peter..." - to mógł być Patar Guenga lub Petr, Sowiet - "że Peter poluje na głowę Gorgona, a syn Petera jest gorszy niż Peter. Syn bawi się twarogiem i serwatką, a robi to też ojciec, który spróbuje użyć Meduzy do złapania Gorgona".

- Czy to łatwe, Erikki? - zapytała Azadeh.

- Tak - odparł zbity z tropu Erikki. - Ale co to jest "twaróg i serwatka"?

- Może to - odparła z rosnącym podnieceniem. - "Powiedz Abdollah-chanowi, że Petr Mzytryk z KGB poluje na jego głowę, że syn Mzytryka - założmy, że też z KGB - jest gorszy niż jego ojciec". Syn bawi się twarogiem i serwatką. Może to znaczy, że syn jest 778

zamieszany w sprawy Kurdów* i ich powstanie, które zagraża władzy Abdollah-chana w Azerbejdżanie, że KGB, w osobach ojca i syna, też jest w to zamieszane. Petr Mzytryk

"spróbuje użyć Meduzy do złapania Gorgona". - Zastanawiała się przez chwilę. - Może to kolejna gra słów, może to oznacza "posługuje się kobietą", złą kobietą, aby schwytać mojego ojca? Ross był wstrząśnięty.

- Chan... Mój Boże, chan jest twoim ojcem?

- Tak, niestety. Moje panięńskie nazwisko brzmi Gorgon - wyjaśniła Azadeh. - Nie: Gorden.

Dyrektor szkoły w Chateau d'Or powiedział mi pierwszego dnia, że miałabym ciężkie życie z nazwiskiem Gorgon; wszyscy by sobie ze mnie żartowali. Zostałam więc po prostu Azadeh Gorden.

Mnie to tylko śmieszyło, a dyrektor uważał, że tak będzie dla mnie lepiej...

Ciszę przerwał Erikki.

- Jeśli tak, to chan nie będzie już ufał tym matierjeb-com.

- Tak, Erikki, ale mój ojciec i tak nikomu nie ufa. Nikomu. Jeśli gra na dwie strony, jak uważa Johnny, nie wiadomo i tak, co zrobi. Johnny, kto prosił o przekazanie tej wiadomości?

- Agent CIA, który powiedział też, że mogę zawierzyć twojemu ojcu własne życie.

- Zawsze wiedziałem, że ci z CIA są... są stuknięci - odezwał się wrogo Erikki.

- Ten był w porządku - odparł Ross ostrzej, niż zamierzał. Zobaczył, że Erikki poczerwieniał, a Azadeh przestała się uśmiechać.

Znów zapadła cisza. Jeszcze bardziej pełna napięcia. Księżyc schował się za chmurą i ogarnęły ich złowieszcze ciemności. Gueng, który patrzył i słuchał, poczuł się niespokojnie.

Wezwał w myślach wszystkich bogów, żeby ocalili ich przed Meduzą, pogańskim diabłem z wężami zamiast włosów, o którym mówili misjonarze

* Gra słów: Kurd - curds (ang.) - twaróg.

779

w szkole w Nepalu. Potem wyczuł szóstym zmysłem zbliżające się niebezpieczeństwo; syknął ostrzegawczo, podszedł do okna i wyjrzał. Po schodach wchodzili dwaj uzbrojeni strażnicy z dobermanem na smyczy.

Pozostali także zeszywnieli. Usłyszeli ciche kroki strażników na tarasie i węszenie psa naprężającego smycz. Strażnicy podeszli do zewnętrznych drzwi, które ustąpiły skrzypiąc.

Mężczyźni weszli do budynku.

Stłumione głosy za drzwiami sypialni i węszenie psa coraz bliżej drzwi prowadzących do salonu. Gueng i Ross ukryli się z dobytymi kukri w rękach. Po chwili strażnicy odeszli korytarzem, wyszli z domu i zeszli po schodach. Azadeh poruszyła się nerwowo.

- Oni zwykle tu nie przychodzą. Nigdy.

- Może widzieli, jak tu szliśmy - szepnął pośpiesznie Ross. - Znikamy. Jeśli usłyszycie strzały, nie znacie nas. Gdybyśmy jutro byli jeszcze wolni, przyjdziemy tutaj, powiedzmy, po północy. Moglibyśmy coś zaplanować?

379

- Tak - odparł Erikki - ale przyjdźcie wcześniej. Cimtarga uprzedził mnie, że być może wyruszymy przed świtem. Umówmy się koło jedenastej. Lepiej zaplanujmy kilka wariantów; wydostanie się stąd będzie naprawdę bardzo trudne.

- Jak długo masz dla nich pracować?

- Nie wiem. Może trzy czy cztery dni.

- Dobrze. Jeśli się nie skontaktujemy, zapomnijcie o nas. Dobra?

- Niech Bóg cię strzeże, Johnny - rzuciła niespokojnie Azadeh. - Nie ufaj mojemu ojcu. Nie pozwól mu... nie pozwól jemu albo im, żeby cię złapali.

Ross uśmiechnął się, a ten uśmiech rozjaśnił pokój, nawet Erikki to dostrzegł.

- Nie ma problemu. Życzę wam powodzenia. Machnął ręką na pożegnanie i otworzył drzwi.

W ciągu kilku sekund on i Gueng zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Erikki wyrwał przez okno i zobaczył ich tylko jako zbiegające po schodach cienie; zauważył, jak sprawnie i cicho obaj mężczyźni poruszali się w ciemno-780

ściach; zazdrościł Rossowi niedbałej elegancji jego zachowania i ruchów.

Azadeh stała przy mężu; niższa o głowę, obejmowała go w pasie. Ona także patrzyła. Po chwili objął jej ramiona. Czekali, spodziewając się krzyków i strzałów, ale nic nie zakłóciło spokoju nocy. Księżyc znów wyszedł zza chmur. Żadnego ruchu. Erikki popatrzył na zegarek.

Była 4:23.

Spojrzał w niebo; jeszcze nie świtało. O świcie musiał polecieć. Tym razem nie na północny stok Sawalanu, lecz do innych stacji radarowych, dalej na zachód. Cimtarga powiedział mu, że CIA utrzymywało jeszcze stacje przy granicy tureckiej, ale dziś rząd Chomeiniego kazał je zamknąć, ewakuować i pozostawić w całości.

- Nigdy tego nie zrobią - powiedział wtedy Erikki.

- Nigdy.

- Może tak, a może nie - zaśmiał się Cimtarga.

- W chwili gdy otrzymamy rozkazy, ty i ja po prostu polecimy tam z moimi "członkami szczepu" i poprosimy, żeby się pospieszyli...

Johnny "Jasne Oczy" przybywa, żeby skomplikować nam życie. W każdym razie, dzięki wszystkim bogom, że nas ostrzegł. Co Abdollah chce zrobić z Azadeh? Powiniennem zabić tę starą świnię i

skończyć z tym. Tak, ale nie mogę. Złożyłem wobec antycznych bogów przysięgę, której nie mogę złamać, tak jak on przysiągł na Jedynego Boga, że nie będzie nam przeszkadzał. On znajdzie sposób, żeby złamać słowo. Czy mogę zrobić to samo? Nie, przysięga pozostaje przysięgą. Podobnie jak inna: przysiągłeś jej, że możesz być szczęśliwy, wiedząc o nim. O nim, prawda? Mieszały mu się myśli; był zadowolony z panujących ciemności.

A więc KGB chce mnie porwać. Jeśli to prawda, to już po mnie. Azadeh? Co ten diabeł

Abdollah chce z nią zrobić? A teraz przybywa ten Johnny, żeby nękać nas wszystkich. Nie myślałem, że tak dobrze wygląda, że jest taki twardy. On i ten jego pieprzony nóż, nóż do zabijania...

781

- Wracaj do łóżka, Erikki - poprosiła Azadeh. - Jest bardzo zimno.

Skinął głową i zajął swe miejsce w łóżku. Był bardzo zakłopotany. Gdy znaleźli się pod ogromną kołdrą, wtuliła się w niego. Nie na tyle, żeby sprowokować reakcję, lecz na tyle, żeby wszystko wyglądało jak zawsze.

- Jak niezwykle było stwierdzenie, że to on, Erikki! John Ross. Na pewno nie poznałabym go na ulicy. Och, to było tak dawno temu, że już o nim zapomniałam. Tak się cieszę, że ożeniłeś się ze mną, Erikki - powiedziała łagodnym i rozkochanym głosem, pewna, że mąż ściera teraz w myślach jej dawno utraconego kochanka na proch. - Z tobą czuję się tak bezpiecznie.

380

Gdyby nie ty, umarłabym z przerażenia. - Powiedziała to tak, jakby oczekiwała odpowiedzi.

Nie oczekuję jednak, moje kochanie, pomyślała z zadowoleniem i westchnęła.

Usłyszał to westchnienie i zastanawiał się, co ono oznacza, czuł ciepło jej wtulonego w niego ciała; nienawidził gniewu, który go opanował. Czy ona żałuje, że uśmiechnęła się do kochanka? A może jest na mnie wściekła; musiała dostrzec moją zadróść. Może jest smutna, myśląc, że zapomniałem o przysiędze, a może nienawidzi mnie za to, że ja nienawidzę tego człowieka? Przysięgam, że odegnam od niej jego obraz...

Ach, Johnny "Jasne Oczy", myślała, jakie uniesienia przeżyłam w twoich ramionach, nawet za pierwszym razem, gdy miało boleć, ale nie bolało. Po prostu ból, który przemienił się w płomień rozrywający moje życie po to, by powróciło do mnie piękniejsze niż przedtem. Och, o ileż piękniejsze! A potem Erikki...

Pod kołdrą zrobiło się gorąco. Dotknęła dłonią biodra Erikkiego i skryła uśmiech; była pewna, że jej ciepło dotarło także do niego. Tak łatwo można go rozgrać. Ale nierozsądnie.

Bardzo nierozsądnie; wiedziała, że wzięłby ją, mając ciągle przed oczami John-ny'ego, że nie robiłby tego z miłości, lecz na przekór uimtemu. Może nawet pomyślałby sobie, że czuje się winna i próbuje zmazać swoją winę. Och nie, mój

kochany, nie jestem głupiutkim dzieckiem; to ty jesteś winny, a nie ja. Choć byłbyś tym razem silniejszy niż zwykle i brutalniejszy, co zwiększyłoby moją przyjemność, tym razem nie, gdyż, czy ci się to podoba, czy nie, musiałabym przełamywać swoje opory jeszcze bardziej od ciebie, świadoma mojej innej miłości. A więc, kochany, będzie dziesięć tysięcy razy lepiej, jeśli poczekamy. Do świtu. Wtedy, kochany, jeśli będę miała szczęście i powiesz sobie, że się myliłeś w swej nienawiści i zazdrości i będziesz znów moim Erikim... A jeśli nie? Wtedy zacznę od nowa; istnieje dziesięć tysięcy sposobów uleczenia mojego mężczyzny.

- Kocham cię, Erikki - powiedziała i pocałowała kołdrę okrywającą jego pierś. Ułożyła się na boku, wtulając plecami w męża, i uśmiechnięta zasnęła.

W BAZIE LOTNICZEJ W KOWISSIE, 8:11. Freddy Ayre zacisnął pięści.

- Nie, na Boga! Słyszałeś rozkazy McIvera. Jeśli Starke nie wróci do świtu, nie ma żadnych lotów. Jest już po ósmej, a Starke nie wrócił, więc nie ma...

- Musisz wypełniać moje rozkazy! - Esfandiari, kierownik z IranOil, krzyczał. Jego głos rozbrzmiewał na całą bazę. - Poleciałem wam dostarczyć nowy zbiornik na glinkę i rurę, zgodnie z kontraktem Guerneya do Wierceń Si...

- Nie ma latania, dopóki nie wróci kapitan Starke! - warknął Ayre. Stali obok trzech 212, które Esfandiari wyznaczył do dzisiejszych operacji. Trzej piloci w pełnym ekwipunku oczekiwali od świtu, a pozostali cudzoziemcy przyglądali się całej scenie; byli w różnym stopniu zdenerwowani lub źli. Otaczał ich tłumek Zielonych 784

Opasek i irańskich pracowników bazy, których Esfandiari przywiózł właśnie ciężarówką.

Czterech ludzi Za takiego kucalo koło helikopterów; żaden z nich nawet nie drgnął od chwili wybuchu kłótni, obserwowali jednak wszystko uważnie. - Nie ma żadnych lotów - powtórzył

Ayre.

Esfandiari zawołał w farski ze wściekłością w głosie:

- Ci cudzoziemcy odmawiają wykonania prawnego polecenia IranOil. - Wśród zwolenników Esfandiariego dał się słyszeć gniewny pomruk; lufy karabinów spojrzały na cudzoziemców, a Esfandiari wymierzył palec w Ayre'a. - Trzeba ukarać go przykładowo.

Brutalne ręce chwyciły Ayre'a bez ostrzeżenia i rozpoczęło się bicie. Jeden z pilotów, Sandor Petrofi, ruszył, aby interweniować, ale odepchnięto go i odesłano kopniakiem do kolegów, bezradnych pod lufami karabinów.

- Przestańcie! - krzyknął poblady jak kreda, wysoki kapitan Pop Kelly. - Zostawcie Ayre'a.

Będziemy latać!

- Dobrze. - Esfandiari powiedział swym ludziom, aby przestali, a ci postawili Ayre'a na nogi.

- Startować! Natychmiast! - Gdy maszyny były już w powietrzu, szorstko odprawił

cudzoziemców. - Nie będzie już żadnych buntów przeciwko islamskiemu państwu. Na Boga, wszystkie polecenia IranOil muszą... muszą być natychmiast wykonywane.

Zadowolony, że stłumił bunt, tak jak obiecał komendantowi obozu, wszedł do głównego biura i przeszedł do biura Starke'a i zarekwirował je. Stanął przy oknie i przyglądał się swemu królestwu.

Zobaczył w oddali dwa śmigłowce; trzeci unosił się sześć metrów nad zbiornikiem na glinę; pilot czekał, aż personel naziemny przyczepi hak helikoptera do dużego stalowego pierścienia umocowanego do lin owiniętych wokół zbiornika. Naprzeciw biura doktor Nutt udzielał

pomocy Ayre'owi; otaczali ich cudzoziemcy. Ten cholerny sukinsyn sprawia mi tyle kłopotu, pomyślał Esfandiari, i spojrzał z zachwytem na swój zegarek. Był to 785

złoty rolex kupiony dziś rano na czarnym rynku; odzwierciedlał obecną potęgę Esfandiariego; pieniądze pochodziły z pieszkeszu kupca z bazaru, który chciał, żeby jego syn wstąpił do IranOil.

- Czy potrzebuje pan czegoś, ekscelencjo? - zapytał z namaszczeniem Pawud, który właśnie pojawił się w drzwiach. - Czy mógłbym pogratulować sposobu, w jaki obszedł się pan z cudzoziemcami? Już wiele lat temu potrzebowali dobrego bicia, które osadziłoby ich na właściwym miejscu. Bardzo mądrze pan postąpił.

- Tak. Teraz wszystko w bazie będzie szło gładko. Gdy powstanie jakiś problem, ten cudzoziemiec, który będzie miał służbę, posłuży jako przykład. Dzięki Bogu, ten psi syn, Zataki, wyjeżdża za godzinę do Abadanu razem ze swoimi zbirami.

- Ten lot na pewno rozpocznie się punktualnie, ekscelencjo. - Obaj mężczyźni roześmiali się.

- Tak. Przynieś mi herbaty, Pawud.

Esfandiari specjalnie zrezygnował z grzecznego tonu i zauważył z zadowoleniem, że jego rozmówca zaczął się zachowywać jeszcze bardziej uniżenie. Ponownie wyjrzał przez okno.

Doktor Nutt przecierał rozcięcie nad okiem Ayre'a. Z przyjemnością patrzyłem, jak biją Freddy'ego, pomyślał. Tak, z przyjemnością.

Wiał zimny wiatr. Doktor Nutt owinał Ayre'a zapasową parką.

- Chodź lepiej do ambulatorium, chłopcze - powiedział.

- Nic mi nie jest - odparł Ayre, czując wszędzie ból. - Nie sędzę... nie sędzę, żeby coś ważnego było uszkodzone.

- Sukinsyny - powiedział ktoś. - Freddy, pokombinujmy lepiej, jak się, kurde, stąd wydostać.

- Lecę pierwszym samolotem... Nie zamierzam ryzykować...

Wszyscy patrzyli, jak rotor śmigłowca wiszącego nad zbiornikiem zwiększa obroty.

Podniesienie ciężkiego ładunku to była prawdziwa sztuka, zwłaszcza na silnym 786

wietrze, ale dla takiego zawodowca jak Sandor nie stanowiło to problemu. Najpierw napiął

linę, a w chwili, gdy personel naziemny puścił ładunek, pilot zwiększył obroty; silniki zawyły i maszyna uniosła ciężar w powietrze. Strażnik siedzący w kokpicie obok Sandora pomachał

ręką; to samo zrobił drugi, zajmujący miejsce w kabinie.

- Świetnie, kapitanie... z panem nie ma strachu

- usłyszał Sandor w słuchawkach głos Wazariego dochodzący z wieży.

Sandor oceniał dystans, nabierał wysokości; prowadził maszynę idealnie skoordynowanymi ruchami dłoni i stóp. Widział Esfandiariego w oknie biura; nadal miał przed oczami brutalną scenę pobicia Ayre'a przez uzbrojonych mężczyzn na rozkaz tchórza. Scena ta sprawiła, że powróciły koszmarnie wspomnienia dzieciństwa w Budapeszcie, wspomnienia rewolucji węgierskiej. Wtedy był bezradny, teraz już nie.

382

- W porządku, HFD, ale jesteś za blisko - ostrzegł go głos Wazariego. - Jesteś za blisko, kieruj się na południe...

Sandor zwiększył moc, nalatując na wieżę, która górowała nad budynkiem biura.

- Czy wszystko w porządku z ładunkiem? - zapytał.

- Czuję coś dziwnego.

- Wygląda dobrze, nie ma strachu, lecz nabierając wysokości skręć na południe. Wszystko pięć na pięć... na południe! Słyszysz mnie?

- Jesteś pewien, do cholery? Nie bardzo słucha sterów...

Igła wskaźnika wysokości minęła trzydzieści metrów. Sandor ściągnął usta i przesunął drążek w prawo, przekładając jednocześnie gwałtownie stery na prawą burtę. Helikopter zakołysał

się niebezpiecznie. Strażnik z przedniego siedzenia stracił równowagę; rąbnął w drzwiczki, a potem chwycił Sandora, usiłując złapać równowagę; przesunął przy tym drążek. Sandor przesadnie wyrównał, klnąc przerażonego mężczyznę, tak jakby naprawdę zachowywał się niebezpiecznie.

Przez chwilę wydawało się, że pogłębiające się przechyły sprawią, iż śmigłowiec runie na ziemię. Sandor odepchnął przestraszonego strażnika.

- Mayday, ładunek zmienił położenie - krzyknął. Nie słuchał Wazariego, koncentrując uwagę na ziemi. Nie istniało dla niego nic, oprócz żądy odwetu. - Ładunek przesunięty!

Pociągnął dźwignię awaryjnego zrzucania ładunku; hak puścił, a stalowy zbiornik runął z nieba prosto na biuro. Półtorej tony stali wpadło przez dach, zmieniając belki stropowe, ściany, szyby i meble w jedną miazgę; po zdemolowaniu całego rogu budynku zbiornik zatrzymał się na ruinie pozostałej po ścianie działowej.

Nabrzmiała przerażeniem cisza zapadła na chwilę w całym obozie; potem zawyły silniki wznoszące raptownie w niebo uwolniony od ciężaru helikopter. Sandor odruchowo walczył z przyrządami sterowniczymi; nie dbał o to, czy je opanuje i czy uda mu się wylądować.

Wiedział tylko, że dokonał zemsty nad bestią. Strażnik wymiotował, a w słuchawkach rozległo się dobiegające z wieży:

- Jeży Chryste... Jezu Chryste...

- Jezu, uwagaaa! - wrzasnął ktoś, gdy śmigłowiec, okręcając się wokół własnej osi, runął na grupę ludzi. Wszyscy rozbiegli się w popłochu, ale Sandor wykonał po mistrzowsku awaryjne lądowanie. Płozy zahaczyły o śnieg na krawędzi trawnika i... nie pękły. Helikopter skoczył do przodu i nietknięty zatrzymał się czterdzieści metrów dalej.

Ayre był pierwszy; szarpnął drzwi. Sandor miał kredowobiałą twarz. Siedział jak sparaliżowany, z nieobecnym spojrzeniem.

- Ładunek przesunięty... - wychrypiał.

- Tak. - To było wszystko, co przeszło Ayre'owi przez gardło; wiedział, że pilot skłamał.

Nadbiegli inni; wyciągnęli Sandora z kokpitu. Z tyłu, koło budynku, Ayre dostrzegł ludzi z Zielonych Opasek wpatrzonych w rumowisko. Pawud z jakimś urzędnikiem wyszli przez frontowe drzwi, zataczając się nieprzytomnie. Część

budynku wraz z oknem, w którym stał Esfandiari, była już tylko kupą gruzów. Doktor Nutt przepchnął się przez tłum i pospieszył w kierunku tego pobojuwiska, a Wazari zszedł na dół

po awaryjnych schodkach zewnętrznych wieży. Schodki były niebezpiecznie powyginane i oderwały się częściowo od ściany. Chryste, pomyślał Ayre, Wazari musiał wszystko widzieć.

Uklęknął obok przyjaciela. - W porządku, Sandy?

- Nie - odparł drżącym głosem Sandor. - Chyba zwariowałem. Nie mogłem się powstrzymać.

Wazari przepychał się przez tłum w kierunku kokpitu. Nie uspokoił się jeszcze po całym wydarzeniu. Wiedział, że pilot rozmyślnie zlekceważył jego polecenia.

- Zwariowałeś, do kurwy nędzy? - ryknął do Sandora poprzez cichnący warkot silnika.

383

- Przesunął się ten pieprzony ładunek! Wszyscy to widzieliśmy. Ty też! - wykrzyknął Ayre.

- Pieprzona racja. Widziałem i ty też. - Wazari przebiegał gorączkowo wzrokiem, szukając kogoś z Zielonych Opasek, ale żadnego z nich nie było w pobliżu. Potem dojrzał Zatakiego zbliżającego się od strony jednego z bungalowów. Przeraził się jeszcze bardziej. Rany zadane mu przez Zatakiego wciążyły się nie zagoiły: złamany nos, ból po trzech wybitych zębach.

Wiedział, że przyzna się do wszystkiego, byle tylko uniknąć kolejnego bicia. Przyklęknął

obok Sandora i pociągnął Ayre'a na ziemię. - Słuchaj - szepnął desperacko. - Przysięgasz na Boga, że mi pomożesz? Przysięgasz?

- Powiedziałem już, że zrobię, co będę mógł!

Ayre ze złością wyrwał obolałą rękę z uścisku tamtego. Podniósł się i stwierdził, że stoi twarzą w twarz z Zatakim. Zmroziła go nagłość tego spotkania i wyraz twarzy Irańczyka.

Wszyscy inni odsunęli się.

- Pilocie, zrobiłeś to, żeby zabić Esfandiariego. Tak? Sandor spojrzał w górę.

- Przesunięcie ładunku, pułkowniku.

Zataki zerknął na Ayre'a, który pamiętał, co doktor Nutt powiedział o tym człowieku. Jego samego bolała głowa, krocze i w ogóle wszystko.

789

- To... eee... operacja była trudna, ten wiatr... Wola boska, ekscelencjo.

Wazari odskoczył do tyłu, gdy Zataki zwrócił się do niego.

- To prawda, ekscelencjo - powiedział natychmiast.

- W górze wiatr wieje gwałtownie...

Krzyknął, gdy pięść Zatakiego grzmotnęła go w brzuch i zgiął się wpół. Zataki chwycił go i rzucił na burtę helikoptera.

- Teraz powiedz mi prawdę, śmieciu!

- To prawda - zaskamlał Wazari, z trudem przewyciężając mdłości. - To prawda! To była In sza'a Allah! - Zobaczył, że Zataki podnosi pięść i krzyknął, mieszając słowa w farsy z angielskimi: - Jeśli mnie uderzysz, powiem wszystko, co chcesz, wszystko. Nie zniosę drugiego bicia i powiem wszystko, ale przysięgam, ładunek się przesunął, na Boga, ładunek się przesunął. Przysięgam na Boga, że ładunek się przesunął...

Zataki spojrział na niego z namysłem.

- Bóg wrzuci cię na wieczność do ognistej kadzi, jeśli skłamałeś, przysięgając na Niego - powiedział.

- Przysięgasz, że to była tylko wola Boga? Ze ładunek się przesunął? Przysięgasz, że to była wola boska?

- Tak, tak, przysięgam! - Wazari dygotał. Próbował nadać swemu spojrzeniu niewinny wyraz. Wiedział, że ma szansę przeżyć tylko dzięki Ayre'owi, dowodząc, że jest mu potrzebny. - Przysięgam na Boga i proroka, że to był wypadek... Wola Boga... In sza'a Allah...

- Wedle woli Boga. - Zataki skinął głową i puścił Wazarię, który osunął się w śnieg i zwymiotował. Wszyscy obecni dziękowali Bogu, chińskim bożkom, niebiosom lub przeznaczeniu za chwilowe zażegnanie kryzysu. Zataki wskazał kciukiem gruzy. -

Wyciągnijcie stamtąd to, co zostało z Esfandiariego.

- Tak... tak, już - odparł Ayre.

- Przed powrotem kapitana zabierze pan mnie i moich ludzi do Bandar Dejlamu.

Zataki odszedł, a jego ludzie ruszyli za nim.

- Chryste! - mruknął ktoś.

790

Wszystkich niemal obezwładniało uczucie ulgi. Pomogli wstać Sandorowi i Wazariemu.

- W porządku, sierżancie? - zapytał Ayre.

384

- Nie, do cholery. Nie w porządku! - Wazari wypluł trochę wymiocin. Na widok oddalającego się Zatakiego nienawiść wykrzywiła mu twarz. - Co za skurwysyn! Mam nadzieję, że usmaży się w piekle!

Ayre odciągnął sierżanta na bok i zniżył głos.

- Nie zapomniałem. Powiedziałem, że spróbuję ci pomóc. Będziesz bezpieczny, gdy Zataki wyjedzie. Ja nie zapomnę.

- Ani ja - dodał słabym głosem Sandor. - Dziękuję, sierżancie.

- Zawdzięczasz mi swoje pieprzone życie - oświadczył młody człowiek i znów splunął; dygotały mu kolana. Czuł ból w piersi. - Mnie też mogłeś zabić tym cholernym zbiornikiem!

- Przepraszam. - Sandor wyciągnął rękę. Wazari spojrzał na tę rękę, potem na twarz lotnika.

- Wymienimy uścisk dłoni, gdy wydam się z tego cholernego kraju. - Odszedł kulejąc.

- Freddy! - Doktor Nutt, który w towarzystwie kilku mechaników usuwał belki stropowe i odgarniał gruz, skinął na niego ręką. Przyglądali się temu ludzie z Zielonych Opasek. - Pomóż nam, dobrze?

Wszyscy ruszyli na pomoc, choć nikt nie chciał być pierwszym, który zobaczy Esfandiariego.

Znaleźli go wciśniętego w załom pod jedną ze ścian zbiornika. Doktor Nutt niezręcznie usiłował go zbadać.

- Żyje - krzyknął, a Sandor poczuł, że wywraca się mu żołądek. Szybko usunięto z drogi strzaskaną belkę stropową oraz resztki biurka Starke'a i delikatnie wydo-byto Esfandiariego. -

Chyba nic mu nie jest - rzucił ochryple doktor Nutt. - Zanieście go do ambulatorium. Ma brzydko stłuczoną głowę, ale ręce i nogi wyglądają nieźle; chyba nie ma złamań. Niech ktoś przyniesie nosze.

Wszyscy ruszyli, aby wykonać te polecenia; nienawidzili Wazniaka, ale mieli nadzieję, że się wyliże.

791

Sandor ukradkiem przeszedł na drugą stronę budynku; czuł taką ulgę, że chciało mu się płakać. Odczuwał mdłości.

Gdy wrócił, czekali tylko Ayre i Nutt.

- Sandy, ty też chodź do ambulatorium. Lepiej będzie, jeśli na ciebie spojrzę - powiedział

Nutt. - Mamy teraz coś w rodzaju jakiegoś cholernego ostrego dyżuru.

- Jesteś pewien, że Wazniak z tego wyjdzie?

- Właściwie tak. - Niebieskie, nieco wodniste oczy lekarza nabiegły krwią. - Co się stało, Sandy? - zapytał cicho.

- Nie wiem, doktorze. Chciałem tylko dostać tego sukinsyna, a zrzucenie zbiornika wydało mi się

najlepszym sposobem.

- Wiesz, że to by było morderstwo?

- Doktorze, nie uważa pan, że lepiej już tego nie roztrząsać? - wtrącił się zaniepokojony Ayre.

- Nie, nie uważam. - Głos lekarza zabrzmiał twardziej. - Sandy, czy wiesz, że było to umyślne usiłowanie morderstwa?

- Tak. - Sandor odwzajemnił spojrzenie. - Tak, rozumiem to i jest mi przykro.

- Przykro, że on nie umarł?

- Przysięgam na Boga, doktorze. Dziękuję Bogu, że przeżył. Nadal uważam, że to podła kreatura, i wiem, nie cierpię go i wiem, że nie przebaczę mu... nie przebaczę tego, że kazał

stłuc Freddy'ego, ale to mnie nie usprawiedliwia. Zrobiłem coś zwariowanego, coś, czego nie można usprawiedliwić; naprawdę cieszę się, że żyje.

- Sandy - powiedział doktor Nutt jeszcze bardziej ściszone głosem - lepiej nie lataj przez dzień lub dwa dni. Przekroczyłeś pewną granicę, choć nie ma się czym przejmować, skoro sam to zrozumiałeś. Po prostu odpocznij z jeden dzień. Dziś wieczorem możesz się nie najlepiej czuć, ale nie martw się. Ty także, Freddy. Oczywiście, to wszystko tylko tak, między 385

nami, bo ładunek się przesunął. Sam widziałem. - Przejechał palcami po kępkach włosów otaczających łysinę, który-792

mi bawił się wiatr. - Życie jest dziwne, bardzo dziwne. To tylko tak między nami. Bóg był

dziś z tobą, Sandy, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. - Odszedł w workowatym pomiętym ubraniu.

Ayre spoglądał na oddalającą się postać.

- Doktor ma rację, mieliśmy cholerne szczęście; tak blisko katastrofy...

Usłyszeli krzyk i obejrzel się. Jeden z pilotów, stojący koło głównej bramy, krzyknął po raz drugi i wskazał ręką. Ich serca wywinęły koziołka z radości. Droga, od miasteczka, nadchodził Starke. Był sam. O ile mogli stwierdzić z tej odległości, nie był ranny. Pomachali żywo rękoma, a on odwzajemnił ten gest. Wiadomość rozeszła się po obozie lotem błyskawicy, a Ayre, zapomniawszy o bólu, już pędził na spotkanie. Może jednak w niebie jest Bóg, myślał z radością.

W LENGEH, 14:15. Scragger opalał się na dużej tratwie zakotwiczonej sto metrów od brzegu. Przycumowany do tratwy mały gumowy ponton kołysał się na falach. Tratwa zbudowana była z desek umocowanych do blaszanych beczek po ropie. W pontonie leżały wędka i walkie-talkie, a za burta zwieszał się do wody mocny druciany kosz z tuzinem ryb, które Scragger i Willi Neuchtreiter zdążyli już złapać na kolację. W zatoce roiło się wprost od krewetek, hiszpańskich makreli, tuńczyków, morskich okoni, babek czarnych i tuzinów innych gatunków ryb.

Willi, inny pilot, leniwie pływał w płytkiej ciepłej wodzie. Na brzegu znajdowała się ich baza

- pół tuzina kontenerów, kuchnia, sypialnie dla personelu irańskiego, pomieszczenia biurowe z wieżą radiową i anteną, hangary, mogące pomieścić tuzin 212 i 206.

794

Obecnie załoga bazy składała się z pięciu pilotów, siedmiu mechaników, piętnastu pracowników irańskich, dochodzących robotników, kucharzy i chłopców do sprzątanania, a także z kierownika z IranOil, Kormaniego, który właśnie chorował. Spośród pozostałych pilotów dwóch było Brytyjczykami, a ostatni, Ed Vossi, Amerykaninem.

W bazie znajdowały się teraz trzy helikoptery 212, przy czym do wykonania pracy wystarczyłby jeden, oraz dwa jet rangers 206, dla których właściwie pracy nie było. Poza kontrahentami Francuskiego Konsorcjum na Siri, gdzie ich partnerem był Georges de Plessey, wszystkie inne zostały albo rozwiązane, albo zawieszane, do czasu gdy skończą się obecne kłopoty. Nadal krążyły pogłoski o trudnej sytuacji w dużej bazie marynarki wojennej Bandar Abbas i o walkach toczących się wzdłuż całego wybrzeża. Dwa dni wcześniej wydarzenia te rozprzestrzeniły się tak, że po raz pierwszy objęły bazę. Teraz mieli swój miejscowy komitet Zielonych Opasek, policję i jednego mułłę.

- Aby chronić bazę przed lewakami, ekscelencjo kapitanie.

- Ale, ekscelencjo mułło, chłopie, nie potrzebujemy ochrony.

- Wedle woli Boga, ale nasze niezwykle ważne instalacje naftowe na wyspie Siri zostały zaatakowane i ucierpiały od tych psich synów. Nasze helikoptery mają dla nas ogromne znaczenie i nie możemy dopuścić do ich uszkodzenia. Proszę się jednak nie obawiać; niczego tu nie zmienimy. Rozumiemy, że niepokoi was latanie z bronią na pokładzie, a więc nie będziemy uzbrojeni, jeden z nas jednak będzie zawsze na pokładzie po to, żeby was chronić.

Scraggera i innych uspokoiło to, że w skład komitetu wszedł miejscowy policjant, sierżant Keszemi, z którym utrzymywali zawsze dobre stosunki. Tutaj, nad cieśniną Ormuz, nie było takich kłopotów jak w Teheranie, Komie czy Abadanie. Strajkowano w niewielkim zakresie, utrzymując porządek. De Plessey płacił ra-795

386

chunki EPF, tak więc poza brakiem pracy nie mogli na nic narzekać.

Scragger spojrział leniwie na brzeg. Baza wyglądała schludnie; widać było ludzi zajmujących się swoją pracą, sprzątających, dokonujących drobnych napraw. W cieniu rozsiadło się leniwie kilku członków komitetu. Ed Vossi sprawdzał 206.

- Po prostu nie ma wystarczająco dużo pracy - mruknął Scragger.

Tak było już od miesiący, a on wiedział aż za dobrze, ile to kosztuje i jak poważne pociąga za sobą

skutki. To właśnie brak stałych czarterów - obok potrzeby zakupu nowoczesnego sprzętu

- sprawił, że wiele lat temu sprzedał swe Sheik Aviation Andrew Gavallanowi.

Nie żałuję, pomyślał. Andy jest świetny i obszedł się ze mną uczciwie. Jestem właścicielem części firmy i mogę latać, dopóki jestem w stanie to robić. Ale Iran jest teraz dla Andy'ego straszny; nie płacą nawet za wykonaną pracę, z wyjątkiem tylko naszej bazy, a to właściwe się nie liczy. Banki nie działają już chyba od czterech czy pięciu miesięcy, a więc Andy opłaca całą działalność z własnej sakwy. Coś trzeba z tym zrobić; pieniądze z Siri nie zwrócą nawet połowy kosztów.

Trzy dni wcześniej, gdy Scragger przywiózł Kasigie-go z zakładów Iran-Toda koło Bandar Dejlamu, Kasigi poprosił de Plesseya o lot czarterowy śmigłowcem 206 do Asz Szargaz lub Dubaju.

- Muszę natychmiast skontaktować się teleksem z biurem mojej firmy w Japonii, aby potwierdzić nasze ustalenia co do ceny i zwiększenia przyszłych dostaw.

De Plessey zgodził się od razu. Scragger postanowił sam obsłużyć czarter i nie żałował tej decyzji: w Asz Szargaz spotkał się z Johnnym Hoggiem i Manuela. I z Genny.

Opowiedziała mu o ostatnich wydarzeniach, zwłaszcza o Locharcie.

- Boże wszechmogący! - wykrzyknął wtedy. Przeżył szok, gdy dowiedział się, jak ucierpiały ich interesy i jak

796

rewolucja zaczęła wciągać ich osobiście. - Biedny stary Tom.

- Tom miał wrócić z Bandar Dejlamu na dzień przed moim wyjazdem, ale nie wrócił. Nadal nie wiemy, co się naprawdę wydarzyło. Przynajmniej ja nie wiem - oświadczyła. - Scrag, Bóg wie, kiedy będziemy mogli znowu porozmawiać bez świadków. Jest jeszcze coś, tylko między nami, dobra?

- Jeśli puszczę parę z gęby, możesz mnie posiekać.

- Nie sądzę, żeby rząd zamierzał kiedykolwiek unormować sytuację. Chciałam cię zapytać: nawet jeśli tak, to czy nasi wspólnicy, z pomocą czynników oficjalnych lub sami albo IranOil mogliby nas zmusić do opuszczenia kraju, zatrzymując nasze helikoptery i cały sprzęt?

- Dlaczego mieliby to robić? Muszą mieć śmigłowce... ale gdyby chcieli, to jasne, że tak -

odpowiedział i gwizdnął, gdyż taka możliwość nigdy nie przyszła mu do głowy. - Jasny gwint, gdyby uznali, że nas nie potrzebują, to byłoby to takie proste, Genny. Mogą zatrudnić innych pilotów, Irańczyków albo zagranicznych najemników, takich jak my. Jasne, że mogą kazać nam się wynosić i zatrzymać sprzęt, a jeśli to wszystko stracimy, to S-G leży.

- Tak właśnie pomyślał Duncan. Czy moglibyśmy wyjechać, zabierając helikoptery i sprzęt,

gdybyśmy tego spróbowali?

Roześmiał się.

- To by był nowy napad stulecia, wielki skok. Ale nie da rady, Genny. Gdyby nas na tym złapali, znaleźliby sto paragrafów... Nie da rady. Nie bez zgody irańskiego CAA.

- Powiedzmy, że chodziłoby o Sheik Aviation?

- Co za różnica, Genny?

- Pozwoliłbyś im tak po prostu, żeby ukradli dorobek całego twojego życia, Scrag? Scrag Scragger, DFC and Bar, AFC and Bar? Nie wierzę.

- Ja też nie - odparł bez namysłu - choć Bóg wie, co mógłbym zrobić.

797

387

Spojrzał na jej miłą twarz, ciemne okulary przesunięte na czoło, niepokój w oczach. Wiedział, że nie martwi się tylko o McIvera i wszystko to, co on zbudował, nie tylko o własne akcje i emeryturę, która, podobnie jak jego własna, związana była nierozzerwalnie z S-G, lecz także o Andy'ego Gavallana i innych.

- Co bym zrobił? - powiedział z namysłem. - No cóż, nasze części zamienne w Iranie są warte prawie tyle, co same śmigłowce. Musieliby zacząć je wywozić, choć nie wiem, jak można to robić i nie wzbudzić podejrzeń. Nie dalibyśmy rady zabrać wszystkich, ale moglibyśmy dużo wyrwać. Potem musielibyśmy wyjechać wszyscy jednocześnie. Wszyscy i wszystkie helikoptery - z Teheranu, Kowissu, Zagrosu, Bandar Dejlamu i stąd.

Musielibyśmy... - zastanowił się. - Musielibyśmy kierować się tutaj, do Asz Szargaz... Ale, Genny, każda baza miałaby do przebycia inną odległość, a niektóre maszyny musiałyby po drodze tankować, może nawet dwa razy. Gdybyśmy nawet dotarli do Asz Szargaz, i tak mogliby zasekwestrować maszyny z powodu braku zezwoleń.

- Badał wzrokiem jej twarz. - Czy Andy uważa, że tak właśnie chcą postąpić wspólnicy?

- Nie, jeszcze nie. Duncan też nie. Nic nie jest pewne. Ale istnieje taka możliwość, a w Iranie jest z każdym dniem coraz gorzej. Właśnie dlatego tu jestem, żeby zapytać Andy'ego. Nie...

nie można przecież pisać o tym w liście czy teleksie.

- Telefonowałaś do Andy'ego?

- Tak. Powiedziałam tyle, ile ośmieliłam się powiedzieć. Duncan radził, żeby uważać. Andy obiecał, że spróbuje sprawdzić w Londynie, a kiedy przyjedzie za kilka dni, podejmie decyzję co do planu

działania.

- Zsunęła okulary na nos. - Powinniśmy być przygotowani, prawda, Scrag?

- Zastanawiałem się, dlaczego opuściłaś Duncana. To on cię wysłał?

- Oczywiście. Andy będzie tu za parę dni. Scragger miał w głowie zamęt. Jeśli zwiejemy, ktoś na tym ucierpi. Co zrobić z radarami na Kiszu, Lawanie 798

i w Lengeh, które mogą w ciągu paru minut wysłać za nami dwadzieścia myśliwców, jeśli wystartujemy bez zezwolenia?

- Czy Duncan uważa, że oni chcą nas tak załatwić?

- Nie - odparła. - On nie, ale ja tak.

- W takim razie, Genny, tak między nami, lepiej przygotujmy jakiś plan.

Przypomniawszy sobie, jak pojaśniała jej twarz; pomyślał znów, jak szczęśliwym człowiekiem jest Duncan McIver, choć to ktoś tak prostacki i uparty, jak tylko prostacki i uparty może być mężczyzna.

Obserwował morze, gdy usłyszał start 206 i spojrzał w kierunku równiutko wznoszącej się maszyny. Ed to niekiepski pilot, pomyślał.

- Hej, Scrag!

- Tak, Willi?

- Teraz ty popływaj, a ja popilnuję. - Willi wdrapał się na tratwę.

- Dobra, stary.

Oprócz różnych jadalnych ryb w morzu pływały ryby drapieżne: rekiny, płaszczki i inne.

Zdarzały się też trujące meduzy, choć nie było ich wiele na tych płytkich wodach. Jeśli tylko miało się oczy otwarte, można było dostrzec ich cień na tyle wcześnie, żeby dotrzeć spokojnie do tratwy. Scragger jak zwykle odpukał w nie malowane drewno tratwy, zanim skoczył do głębokiej na dwa metry ciepłej wody.

Willi Neuchtreiter, niski, krępy mężczyzna w wieku czterdziestu ośmiu lat, był także nagi.

Miał brązowe włosy i wylatał na helikopterach ponad pięć tysięcy godzin. Przez dziesięć lat latał w armii niemieckiej, a osiem w S-G. Pracował w Nigerii, na Morzu Północnym, w Ugandzie i tutaj. Włożył swą leżącą na tratwie spiczastą czapkę i okulary słoneczne, zerknął

na 206, który wylatywał nad zatokę, a potem skierował wzrok na Scraggera. W mgnieniu oka słońce osuszyło mu skórę. Lubił opalanie, kąpiele, lubił Lengeh.

799

To tak inaczej niż w domu, pomyślał. Dom był w Kieł, w północnych Niemczech, nad Bałtykiem, gdzie panował surowy klimat i zwykle było zimno. Jego żona wraz z trójką dzieci wyjechała w zeszłym roku do Niemiec z powodu szkoły, a on spędzał na zmianę dwa miesiące tutaj i jeden w Kieł. Miał powrócić na Morze Północne, żeby być bliżej rodziny. W

przyszłym miesiącu, po urlopie, nie wróci już do Lengeh.

Niech szlag trafi Morze Północne razem z jego kaprysami i ciągłym niebezpieczeństwem.

Nędzne miejsce i bezgraniczna nuda latania przez dwa tygodnie na platformę wiertniczą, żeby spędzić jeden tydzień w domu w Kieł i zarobić zaledwie na spłatę hipoteki i chesne dla dzieci.

Na rozrywki nie pozostaje już wiele. Będiesz jednak blisko Hildy, mamy i ojca. Ojczyzna to zawsze ojczyzna. Tak, a przy odrobinie szczęścia chyba już wkrótce wszyscy Niemcy będą mogli się spotkać. Mama będzie odwiedzać rodzinę w Schwerin, kiedy tylko zapragnie, a samo Schwerin i wszystkie nasze Schweriny nie będą już okupowane. Och, Boże, chciałbym dożyć tego dnia.

- Scrag, zbliża się cień.

Scragger zobaczył cień niemal w tej samej chwili; podpłynął do tratwy i wspiał się na jej pokład. Cień zbliżał się dość szybko. To był rekin.

- O, kurcze blade, zobacz, jaki duży!

Rekin zwolnił, potem zaczął leniwie zataczać kręgi; duża płetwa grzbietowa przecinała gładką powierzchnię wody. Ciemnoszary, śmiertelnie niebezpieczny i chwilowo powolny.

Obaj mężczyźni obserwowali go w milczeniu, niemal z nabożnym szacunkiem. Scragger zachichotał.

- Co o nim sądzisz, Willi?

- No, nie taki, jak ze Szczęk, ale to największe bydlę, jakie widziałem. Chyba go weźmiemy, na Boga, Harry! - Wesoło wyciągnął z pontonu sprzęt wędkarski. - A przynęta? Co damy na przynętę?

- Morskiego okonia. Dużego!

800

Śmiejąc się, Willi sięgnął do kosza po wijącą się rybę i uzbroił hak na rekiny. Na dłoniach miał krew; obmył je w wodzie, obserwując swą zdobycz. Wstał, sprawdził krótki łańcuch przymocowany do haka, starannie przywiązał do niego grubą nylonową linkę z kołowrotka wędkarskiego.

- Trzymaj, Scrag.

- Nie, stary. Ty zobaczyłeś go pierwszy!

Willi otarł wierzchem dłoni czoło oblepione solą morską, przekrzywił zawadiacko czapkę i spojrzał na rekina, który nadal zataczał kręgi o promieniu dwudziestu metrów. Ostrożnie rzucił przynętę dokładnie na jego drodze i delikatnie napiął linkę. Rekin minął przynętę i nadal zataczał krąg. Obaj mężczyźni zakłęli. Willi zaczął zwijać linkę kołowrotkiem. Okoń morski rzucał się gwałtownie; szybko uciekało z niego życie. Pozostawił za sobą krwawy ślad. Willi ponownie rzucił przynętę. Znow nic się nie wydarzyło.

- Cholera jasna - powiedział Willi.

Tym razem zostawił przynętę na miejscu i obserwował, jak ryba pogrąża się coraz głębiej, aż wreszcie spoczęła na dnie, mając zaledwie tyle siły, aby naciągać linkę. Rekin dotknął jej niemal brzuchem, lecz i tym razem nie ruszył.

- Może nie jest głodny.

- Te sukinsyny zawsze są głodne. Może wie, że na niego czekamy, i chce nas wykiwać.

Scrag, weź mniejszą rybę i rzuć koło przynęty, gdy będzie nadpływał.

389

Scragger wybrał babkę czarną. Rzucił ją zręcznie. Ryba wpadła do wody dziesięć metrów przed nosem rekina, poczuła niebezpieczeństwo i uciekła na piaszczyste dno. Rekin nie zwrócił uwagi ani na nią, ani na przynętę. Trzepnął tylko ogonem i dalej zataczał krąg.

- Niech okoń zostanie na miejscu - powiedział Scragger. - Ten drań chyba stracił węch.

Mogli teraz zobaczyć żółte oczy rekina i trzy małe rybki piloty płynące nad jego głową, cienką linię ogromnej paszczy pod tęnym nosem, gładką na oko skórę

i potężny ogon. Kolejne okrążenie; tym razem trochę

bliżej.

- Bydlak ma raczej ze dwa i pół metra, a nie

półtora, Willi.

- Ten sukinsyn na nas patrzy, Scrag - rzucił niespokojnie Willi. Jego rybacki zapach ulotnił się; zastąpiło go uczucie niepewności.

Scragger zmarszczył brwi, odnosząc takie samo wrażenie. Oderwał wzrok od oczu rekina i spojrzał na ponton. Żadnej sensownej broni, tylko mały nóż w pochwie, lekki aluminiowy harpun z trzema

zębami i wiosła. Mimo to ściągnął cumę, uklęknął i sięgnął po nóż i harpun.

Chciałbym mieć karabin, pomyślał.

Usłyszał ostrzegawczy krzyk Willego i odskoczył, mając zaledwie tyle czasu, żeby zobaczyć rekina pędzącego na niego z pełną prędkością. Rekin uderzył w burtę gumowego pontonu i z rozdziawioną paszczą walnął w blaszane beczki, sprawiając, że dziób pontonu uniósł się nad wodę. Potem na oczach przerażonych mężczyzn wycofał się.

- Na Boga, Harry... - krzyknął Willi i wskazał ręką. Rekin atakował przynętę. Wziął ją razem z hakiem i odpłynął, rozwijając linkę z kołowrotka. Willi wstrzymał oddech, napiął linkę, a potem trzymając oburącz wędzisko, mocno zaciął.

- Gotttt heemmm! - wrzasnął, przyjmując na siebie napięcie.

Kołowrotek terkotał, wypuszczając linkę; hak tkwił już mocno.

- Cholerny sukinsyn, prawie mnie dostał - powiedział Scragger, wpatrując się w napiętą linkę. Serce waliło mu jak młot. - Nie pozwól, żeby ten drań cię wykiwał.

Willi napiął mocnej linkę i zaczął walczyć.

- Uwaga, Willi, on zawróci i zaatakuje...

Ale rekin tego nie zrobił. Zwolnił tylko i szarpnął linkę, wzbijając kaskady wody, na wpół wyskakując z niej, kręcąc się i klucząc. Hak jednak trzymał, a linka była dostatecznie mocna.

Willi dał rybie trochę luzu,

802

a potem znów zaczął zwijać linkę. Mijały minuty. Walka z tak wielką rybą, bez pasów i krzeselka, bez możliwości wykorzystania siły nóg, była niemal beznadziejna. Willi jednak nie ustępował. Rekin zaprzestał nagle walki i znów rozpoczął krążenie. Tym razem jeszcze wolniej.

- Twoje na wierzchu, Willi. Masz go, Willi.

- Scrag, jeśli będzie szybko nadpływać, pilnuj, żeby linka się nie poplątała, i dziabnij go harpunem.

Willi czuł ból w plecach i rękach, ale już poweselał; czekał na następny ruch przeciwnika. Nie trwało to długo.

Rekin zwinął się w miejscu i popędził na nich. Willi gorączkowo kręcił kołowrotkiem, żeby wybrać luz linki. Rekin znów zmienił kierunek i spróbował przegryźć linkę. Potem dał nurka pod tratwę. O dziwo, linka się nie splątała. Gdy ryba wynurzyła się z drugiej strony i parła w kierunku głębszej wody, Willi pozwolił jej odpływać, zwiększając stopniowo napięcie.

Rekin jeszcze raz spróbował strząsnąć hak w paroksyzmie gniewu, ubijając wodę na białą pianę, a Willi jeszcze raz go utrzymał. Wiedział jednak, że jego mięśnie słabną i że sam nie da rady.

390

- Pomóż mi, Scrag - poprosił.

- W porządku, stary.

Teraz trzymali wędzisko razem. Willi pracował kołowrotkiem, przyciągając rekina coraz bliżej. Rekin zwolnił.

- On jest już zmęczony, Willi.

Przyciągnęli go centymetr po centymetrze. Teraz rekin znajdował się trzydzieści metrów od tratwy, utrzymując tylko kierunek. Jego wielki ogon poruszał się leniwie; ryba prawie przewalała się w wodzie. Aby oddychać, rekin musi płynąć do przodu. Jeśli się zatrzyma, utonie.

Walczyli cierpliwie; ogromny ciężar ryby sprawiał im ból. Mogli ją już widzieć w całej okazałości; żółte oczy, zaciśnięte szczęki, ryba pilot. Jeszcze dwadzieścia pięć metrów, dwadzieścia, osiemnaście, siedemnaście...

803

A potem stało się... Rekin zbudził się do życia i popędził w kierunku morza z nieprawdopodobną szybkością; linka na kołowrotku wprost wyła. Potem przy pełnej szybkości zmienił kierunek o dziewięćdziesiąt stopni. Willemu udało się jakoś ściągnąć linkę, tak że zmusił rybę do zataczania kręgu, nie mógł jednak ściągnąć jej bliżej. Następne okrążenie. Willi użył całej siły, żeby nie dać jej odpłynąć. Przy następnym okrążeniu trochę ją ściągnął. Jeszcze centymetr, jeszcze. Obaj mężczyźni zachwiali się i omal nie wpadli do wody, gdy linka pękła.

- Straciliśmy go, na Boga, Harry...

Obaj dyszeli ciężko; odczuwali ból i byli gorzko rozczarowani. Po rekinie nie było już śladu.

- Cholerna lina - powiedział Willi, zwijając kołowrotek. Przeklinał w dwóch językach. Nie chodziło jednak o linę, ale o łańcuch. Ogniwa najbliższe haka były rozgniecione.

- Ten drań musiał rozgryźć łańcuch! - zauważył ze zdumieniem w głosie Scragger.

- On się z nami bawił, Scrag - powiedział zniechęcony Willi. - Mógł to zrobić, kiedy chciał.

Dawał nam nauczkę. - Badali wzrokiem wodę, nigdzie jednak nie było go widać. - On irloże czaić się gdzieś przy dnie - dodał z namysłem.

- Raczej jest o trzy kilometry stąd, zły jak wściekły dingo.

- Zakład, że on jest stuknięty, Scrag. Ten hak też nie poprawi mu nastroju.

Znów spojrzeli na wodę. Ani śladu. Potem zauważyli, że gumowy ponton zanurzył się do połowy w wodzie. Scragger pochylił się i uważnie zbadał go dłońmi, nie odrywając wzroku od morza i zaglądną pod tratwę.

- Popatrz - powiedział. Ścianka jednej z komór wypornościowych była rozdarta. - Drań musiał to zrobić, gdy po raz pierwszy zaatakował. - Powietrze wylatywało szybko. - Nie ma problemu. Damy radę dotrzeć do brzegu. Jazda.

Willi obrzucił wzrokiem tratwę, potem morze.

804

- To sobie popłyn, Scrag. Ja poczekam na drewnianą łódkę. Na dziobie niech siedzi ktoś z karabinem maszynowym.

- Nie ma problemu, na Boga. No chodź.

- Scrag - odezwał się łagodnie Willi. - Kocham cię jak brata, ale ja się stąd nie ruszam. To bydlę nieźle mnie nastraszyło. - Usiadł na środku tratwy, obejmując rękami kolana. - To miłe stworzenie zaczęło się tu gdzieś i czeka. Chcesz płynąć, w porządku. Co do mnie, kieruję się wskazaniem Księgi: jeśli masz wątpliwości, przeczekaj. Zamów łódź, korzystając z walkie-talkie.

- Sam ją przyprowadzę. - Gdy Scragger ostrożnie postawił nogę na pontonie, coś zachlupotało, a ponton niemal się przewrócił. Scragger klnąc wdrapał się z powrotem na tratwę, prędzej niż zamierzał. - Z czego się, do cholery, śmiejesz?

- Usiądź tyłkiem na meduzie, może pójdzie ci lepiej.

391

- Willi nie przestawał się śmiać. - Scrag, dlaczego nie popłyniesz wpław?

- Wypchaj się.

Scragger spojrział na brzeg. Dziś wydawało się, że jest bardzo odległy, choć zwykle miało się wrażenie, że jest tak blisko.

- Nie odstawiaj wariata z tym pływaniem - powiedział Willi, teraz już poważnie. - Nie rób tego.

Scragger nie zwracał na niego uwagi. Wiesz co?

- pomyślał. Jesteś przerażonym wypierdkiem. Ten skurczybyk był bardzo mały. Złapałeś go na hak, a on uciekł i teraz jest gdzieś w zatoce, o całe kilometry stąd. Tak, ale gdzie?

Zanurzył próbnie w wodzie koniuszek stopy. Coś w głębi przykuło jego wzrok. Przyklęknął

na skraju tratwy i wyciągnął kosz. Kosz był pusty. Brakowało całej ścianki.

- Jasny gwint!

- Wezwę łódź - powiedział Willi, sięgając po walkie-talkie. - Z karabinem maszynowym.

- Nie ma potrzeby, Willi - rzucił brawurowo Scragger. - Ścigamy się do brzegu.

805

- Nigdy w życiu! Scrag, na Boga, nie...

Willi zobaczył z przerażeniem, że Scragger skacze do wody. Pilot wypłynął na powierzchnię i silnie odbił się od tratwy. Potem natychmiast wrócił i wdrapał się na pokład, dławiąc się od śmiechu.

- Nabrałem cię, co? Masz rację, synu: tylko czubek popłynąłby do brzegu! Wzywaj łódź, a ja złowię coś na kolację.

Gdy przypłynęła łódź, jeden z mechaników sterował, a dwaj podnieceni chłopcy z Zielonych Opasek czuwali na dziobie. Inni przyglądali się z plaży. Pokonali połowę drogi do brzegu, gdy nie wiadomo skąd pojawił się rekin i zaczął zataczać kręgi. Chłopcy otworzyli ogień, a jednego z nich tak pochłonęła ta czynność, że wypadł za burtę. Scragger chwycił jego broń i wygarnął do rekina, który pędził jak strzała w kierunku stojącego w płytkiej wodzie przerażonego człowieka. Pociski przeszły głowę rekina, trafiły w oczy; choć był już właściwie martwy, nie przyjmował tego do wiadomości. Pracując ogonem, parł do przodu po swój łup. Pozbawiony węchu i wzroku nie trafił na człowieka i zarył w piach. Rzucił się konwulsyjnie, częściowo zanurzony, częściowo wystając z wody.

- Scrag - odezwał się Willi, gdy już mógł mówić. - Masz diabelskie szczęście. Dostałby cię, gdybyś popłynął. Masz diabelskie szczęście.

WIERCENIA ROSA - ZAGROS, 15:05. Tom Lo-

chart rozprostował kości po ciasnocie kabiny 206 i uściśnął rękę Mimma Sery, "człowieka firmy", który przywitał go gorąco. Razem z Lochartem przyleciał ekspert od Schlumbergera, Jesper Almqvist, wysoki, niespełna trzydziestoletni Szwed. Almqvist dźwigał specjalną walizkę z narzędziami do badania szybów. Pozostały sprzęt był już tu, na miejscu.

- Buon giorno, Jesper, miło cię widzieć. Ona już na ciebie czeka.

- W porządku, panie Sera. Zabieram się do roboty. Młody człowiek ruszył w kierunku wieży wiertniczej.

To on obsługiwał większość szybów na tym polu.

- Wejdz na chwilę, Tom. - Sera torował przez śnieg drogę do kontenera pełniącego funkcję biura. W środku było ciepło, a pod przeciwległą do wejścia ścianą, na 807

pękatym żelaznym piecyku opalany drewnem stał im-bryk z kawą. - Kawy?

- Dziękuję, jestem zmachany. Lot z Teheranu był śmiertelnie nudny.

Sera wręczył mu filiżankę.

- Co się, u diabła, dzieje?

- Dzięki. Nie wiem dokładnie. Wyrzuciłem tylko Jean-Luca w bazie, zamieniłem słówko ze Scotem, a potem pomyślałem, że lepiej dowieźć Jespera od razu i zobaczyć się z tobą. Nie 392

widziałem jeszcze Ni-czak-chana; spróbuję się z nim spotkać, gdy tylko wrócę, Scot jednak sformułował to bardzo jasno: Ni-czak-chan powiedział mu, że komitet daje nam czterdzieści osiem godzin na zwinięcie manatków. Mci...

- Ale dlaczego? Mamma mia, jeśli wy wyjedziecie, będziemy musieli zamknąć na amen całe pole.

- Wiem. Mój Boże, ale dobra ta kawa! Dawniej Niczak zawsze zachowywał się rozsądnie.

Słyszałeś, że ten komitet zastrzelił Nasiriego i spalił szkołę?

- Tak, to straszne. To był fajny facet, choć zwolennik Szacha.

- Wszyscy popieraliśmy Szacha, gdy był u władzy - powiedział Lochart, myśląc o Szahrazad, Dżaredzie Bakrawanie, Emirze Paknurim i HBC - zawsze myślał o HBC i Szahrazad. Opuścił

ją o świcie, choć z bólem serca. Spała głębokim snem. Zastanawiał się, czy jej nie obudzić, ale i tak nie wiedziałby, co powiedzieć. Odpowiadał za Zagros. Ona wyglądała na taką wyczerpaną; siniak na twarzy nabrał intensywnej barwy. Lochart zostawił kartkę: Wracam za kilka dni. W razie problemów kontaktuj się z Makiem lub Charliem. Kocham. Spojrzał na Serę. - McIver spotkał się dziś rano z kimś z rządu. Przy odrobinie szczęścia może uda się mu wszystko wyprostować. Powiedział, że gdy tylko wróci, przekaże nam wiadomość. Wasze radio działa?

Sera wzruszył ramionami.

- Jak zwykle: od czasu do czasu.

- Jeśli czegoś się dowiem, dam ci znać albo dziś wieczorem, albo zaraz po powrocie. Mam nadzieję, że to

808

tylko burza w kubelku z gównem. Gdybyśmy jednak musieli się zwijać, McIver powiedział, że chwilowo przeniesiemy bazę pod Kowiss. Stamtąd za cholere nie moglibyśmy was obsługiwać. Co o tym myślisz?

- Jeśli was wyrzucą, będziemy musieli zwinąć interes. Musielibyście przerzucić nas do Szirazu.

Mamy tam siedzibę firmy; mogą nas przechować do chwili, gdy będziemy mogli wrócić. Madonna, trzeba by zamknąć jedenaście baz, dwuzmianowych.

- Nie ma strachu, możemy wykorzystać dwa 212.

- Jest cała masa strachu. Tom. - Sera był bardzo zmartwiony. - Zwinięcie tego wszystkiego i wywiezienie ludzi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin jest niemożliwe. Mowy nie ma.

- Może to nie będzie konieczne. Miejmy nadzieję, co? - Lochart wstał.

- Gdybyśmy musieli się ewakuować, większość załogi byłaby zachwycona. Już od tygodni nikt nas nie zmienia; wszyscy mają zaległe urlopy. - Sera wstał i wyjrzał przez okno, za którym blask popołudniowego słońca migotał na szczycie górującym nad Bellis-simą. -

Słyszałeś o robocie, jaką odwalił Scot razem z Pietro?

- Tak. Chłopaki nazywają go teraz Pietro Bombardier. Przykro mi z powodu Maria Guineppy.

- Che sara, sara\ Wszyscy lekarze to stronzi. W zeszłym miesiącu przeszedł badania, które wypadły świetnie. Stronzo! - Włoch spojrzał uważnie na Locharta. - Co się dzieje, Tom?

- Nic.

- Jak tam w Teheranie?

- Niedobrze.

- Czy Scot powiedział ci coś, czego ja nie wiem?

- Chodzi o powód wydania tego polecenia przez komitet? Nie, nie powiedział. Może dowiem się czegoś od Niczak-chana.

Lochart pożegnał się uściskiem dłoni i wyszedł. Gdy znalazł się już w powietrzu, pomyślał o opowieści Scota o tym, co wydarzyło się w wiosce po skazaniu 809

Niczak-chana na śmierć. Scot opowiedział to jemu, Jean-Lucowi i Jesperowi.

393

- W chwili gdy wyprowadzali Niczak-chana ze szkoły, zostałem sam. Wskoczyłem przez tylne okno i schowałem się w lesie, najciszej jak mogłem. Po kilku minutach usłyszałem strzały i pobiegłem do bazy. Muszę przyznać, że miałem niezłego pietra. Zabrało mi to sporo czasu przez ten cholerny śnieg; w niektórych miejscach zasy były głębokie na trzy metry.

Gdy tam dotarłem, wkrótce pojawił się stary Niczak-chan, mułła i kilku mieszkańców wioski.

Mój Boże, odczułem taką ulgę! Myślałem, że Niczak i mułła zostali rozstrzelani. Oni też

wytrzeszczali na mnie oczy; nie spodziewali się, że żyję.

- Dlaczego? - zapytał Tom.

- Niczak powiedział, że ludzie z komitetu przed odjazdem podpalili szkołę; ja niby byłem w środku. Powiedział, że nakazali wszystkim cudzoziemcom opuścić Zagros do jutra wieczorem. Wszystkim, a zwłaszcza nam, razem z naszymi helikopterami.

Lochart spojrział na ziemię: baza nie była zbyt oddalona, nie opodal niej znajdowała się wioska. Popołudniowe słońce, chowając się za góry, rzucało ostatnie promienie. Było jeszcze jasno, ale chłodno. Na krótko przed odlotem do Wierceń Rosa z Jesperem, gdy nikt nie słyszał, Scot zdradził mu, co się naprawdę stało.

- Widziałem wszystko, Tom. Tak naprawdę to nie uciekłem. Nie powiedziałem o tym nikomu. Widziałem wszystko z okna szkoły; byłem przerażony jak cholera. Wszystko stało się tak szybko. Mój Boże, szkoda, że nie widziałeś żony starego Niczaka z karabinem; prawdziwa tygrysica. A jaka twarda! Postrzeliła faceta w brzuch, dała mu trochę pokrzyczeć, a potem... paf i go uciszyła. Założę się, że to ona zastrzeliła pierwszego sukinsyna, tego ich przywódcę. Nigdy przedtem nie widziałem takiej kobiety. Nie uwierzyłbym, że ona może być taka.

- A co z Nasirim?

- Nasiri nie miał żadnych szans. Po prostu uciekał, a oni go zastrzelili. Jestem pewien, że zabili go tylko

810

dlatego, że był świadkiem spoza wioski. Dało mi to do myślenia, więc wzięłem nogi za pas.

Uciekłem przez okno, tak jak opowiadałem; gdy Niczak przyszedł do bazy, udawałem, że wierzę w jego historyjkę. Ale klnę się na Boga, Tom: te wszystkie sukinsyny z komitetu były już martwe, gdy opuszczałem wioskę. To kalendar musiał kazać podpalić szkołę.

- Niczak-chan nie zrobiłby tego wiedząc, że jesteś w środku. Ktoś musiał widzieć, jak zwiewałeś.

- Mam nadzieję, że się mylisz, gdyż jeśli tak, to jestem jedynym świadkiem i zagrożeniem dla wioski.

Lochart wylądował i poszedł do wioski. Sam Niczak-chan i mułła czekali na niego w kawiarni, gdzie się umówili. Siedziało tam wielu wieśniaków, żadnych kobiet. Kawiarnia była zwykłym miejscem spotkań; jednoizbową budowlą z pni spojonych zaprawą z glinki, ze spadzistym dachem i prymitywnym kominkiem; belki stropowe osmalił palony tam od lat ogień. Zgrzebne dywany do siedzenia.

- Salam, kalendarze, pokój z tobą - odezwał się na powitanie Lochart, używając honorowego tytułu w celu podkreślenia, że Niczak-chan jest także przywódcą bazy.

- Pokój z tobą, kalendarze latających ludzi - odparł grzecznie starzec. Lochart usłyszał jakiś nowy ton

i stwierdził, że oczy rozmówcy nie spoglądają przyjaźnie, jak w dawnych czasach. -

Proszę, usiądź tu wygodnie. Czy twoja podróż była udana?

- Wedle woli Boga. Tęskniłem za moim domem tutaj, za Zagrosem i za moimi przyjaciółmi z Zagrosu. Niech Bóg cię błogosławi, kalandarze.

Lochart usiadł na niewygodnym dywanie. Wymieniali nie kończące się grzeczności; Lochart czekał, aż będzie mógł przejść do rzeczy. Pomieszczenie było klaustrofobicznie małe, wypełnione zjełczałym zapachem. W powietrzu unosił się smród ludzkich ciał, kóz i owiec.

Pozostali ludzie przyglądali się im w milczeniu.

394

- Co sprowadza ekscelencję do naszej wioski? - zapytał Niczak-chan, a słuchacze poruszyli się z ożywieniem.

811

- Byłem przerażony, słysząc, że jacyś obcy wtargnęli do naszej wioski i byli na tyle bezczelni, żeby wyciągnąć po ciebie swe nieczyste ręce.

- Wedle woli Boga. - Oczy Niczaka nieco się zwęziły. - Obcy przyszedli do naszej wioski, odjechali jednak, pozostawiając ją taką, jaka zawsze była. Niestety nie dotyczy to twojego obozu.

- Dlaczego, kalandarze? Żyliśmy ze sobą dobrze, dawaliśmy pracę wielu waszym lu...

- Nie mogę kwestionować decyzji naszego rządu lub komitetów czy też naszego Wodza Ludu, samego Ajatollaha. Młody pilot wszystko widział i słyszał; nie ma tu nic do dodania.

Lochart zauważył pułapkę.

- Młody pilot słyszał i widział tylko to, co wydarzyło się w szkole, kalandarze. Proszę tylko, żebyśmy, jako starzy i znani goście... - starannie dobierał słowa - aby dano nam czas na odwołanie się od decyzji, która wydaje się sprzeczna z interesami Zagrosu.

- Zagros rozciąga się na tysiąc kilometrów, obejmując ziemie Kaszkajów, Bachtiarów i ziemie stu innych szczepów. Jazdek to Jazdek - powiedział nieprzyjemnym tonem Niczak, a potem zacytował z Rubajatów:

Smutną niebo zgotowało ludziom ziemską dolę, Wciąż obsiewa i wciąż kosi obsiewaną rolę...

Gdyby ludzie przyszłych wieków wiedzieli, co cierpim, O, na pewno by nie zesłi żyć na tym padole!*

- To prawda, jednak Omar Chajjam napisał też:

O dobroć i zło w ludzkiej naturze tkwiące, O radość i ból ze zrzążeń losów płynące. Nie wiń niebios nierozumnie, bo niebiosy w górze Bezradniejsze, niż ty jesteś, są razy tysiące...**

Wieśniacy zaszemrali. Stary muła z zadowoleniem pokiwał głową i nie odezwał się. Oczy Niczak-
chana

* Przekład Andrzeja Gawrońskiego (Omar Chajjam: Rubajaty, Ossolineum 1971). ** jak wyżej.

812

rozbłysły, choć usta pozostały surowe. Lochart wiedział, że teraz powinno już pójść łatwiej.

Błogosławił Szah-razad za to, że uczuliła go na Rubajaty; ten poemat w farsi był szczytem elegancji.

Wszyscy czekali. Niczak-chan podrapał się w brodę, sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Lochart niedbałym ruchem wyciągnął pizkesz - pozłacaną zapalniczkę dunhill, którą kupił od Effer Jordana właśnie w tym celu. "Effer, zabiję cię, jeśli nie zapali za pierwszym razem!" Płomień pojawił się od razu, a Lochart odetchnął z ulgą. Dłoń, którą podawał ogień, nie drżała.

Niczak-chan zawahał się, potem zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

- Dziękuję.

Zmrużył oczy, gdy Lochart położył zapalniczkę przed nim na dywanie.

- Być może przyjmiesz ten podarunek od wszystkich z naszego obozu w podziękę za opiekę i ochronę. W końcu, czyż nie wyłamałeś bram i nie objąłeś bazy w posiadanie w imieniu ludu?

Czyż nie wygrałeś wyścigu na sankach, zwyciężając najlepszych z nas swą odwagą?

Przez izbę przeszedł kolejny szmer; wszyscy obserwowali z zainteresowaniem spór, który stawał się coraz bardziej poważny, choć niewierny powiedział tylko szczerą prawdę. Zapadła pełna napięcia cisza. Chan podniósł zapalniczkę i przyjrzał się jej uważnie. Sękatym kciukiem nacisnął urządzenie, tak jak zaobserwował to u ludzi z obozu. Płomień pojawił się od razu, a wszystkich ucieszyło to tak jak jego samego, zadowolonego z jakości pizkeszu.

- Jakiego rodzaju opieki potrzebuje pan, ekscelencjo?

395

- Nic szczególnego, naprawdę nic, ekscelencjo kalandarze - zastrzegł się Lochart, ciągnąc grę według starodawnego obyczaju.

- Musi jednak istnieć coś, co może poprawić sytuację ekscelencji?

Starzec zgasił o ziemię niedopałek papierosa.

Lochartowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

- No cóż, skoro ekscelencja tak wspaniałomyślnie pyta, czy ekscelencja nie mógłby wstawić się za nami i poprosić komitet, żeby dał nam trochę więcej czasu? Byłbym bardzo wdzięczny.

Ekscelencja zna te góry jak wnętrze własnej miski i wie, że nie możemy wykonać polecenia obcych, którzy najwidoczniej nie wiedzieli, że nie jesteśmy w stanie ani zebrać personelu, ani zabezpieczyć szybów - własności znamienitego odgałęzienia szczepu Kaszkajów, Jazdek - ani też wywieźć naszych maszyn i części zamiennych do jutrzejszego zachodu słońca.

- To prawda, ci obcy niczego nie wiedzą - odparł zgodnie Niczak-chan. Tak, pomyślał, obcy niczego nie wiedzą, a te psie syny, które ośmieliły się próbować zaszczepić tu swe brudne obyczaje, zostały prędko ukarane przez Boga. - Być może komitet doda jeszcze jeden dzień.

- To więcej niż ośmieliłbym się poprosić. Ale, ka-landarze, to za mało, żeby pokazać im, jak niewiele wiedzą o Zagrosie. Może trzeba udzielić im lekcji. Trzeba im powiedzieć, że przynajmniej dwa tygodnie. W końcu jesteś kalandarem Jazdek i wszystkich jedenastu terenów wierceń. Cały Zagros zna Ni-czak-chana.

Niczak-chan, podobnie jak pozostali wieśniacy, mile połączony pochlebstwem, poddał się logice niewiernego. Wyjął papierosa i zapalniczkę. Zapaliła się za pierwszym razem.

- Dwa tygodnie - powiedział. Wszyscy byli zadowoleni, nie wyłączając Locharta. Potem kalandar dodał, aby zyskać czas na zastanowienie się, czy dwa tygodnie to nie za długo. -

Wyślę posłańca i poproszę o dwa tygodnie.

Lochart wstał i kwieciście podziękował chanowi. Dwa tygodnie dawały McIverowi dość czasu. Powietrze na zewnątrz smakowało jak wino. Odetchnął z rozko-

szą, zadowolony ze sposobu, w jaki poprowadził te delikatne negocjacje.

- Salam, kalandarze, pokój z tobą.

- I z tobą.

Po przeciwnej stronie placu wznosił się meczet, a obok widać było zgliszcza pozostałe po budynku szkoły. Z drugiej strony meczetu znajdował się piętrowy dom Niczak-chana. W

drzwiach stała jego żona, dwoje z jego dzieci i kilka kobiet z wioski, wszystkie kolorowo ubrane.

- Dlaczego szkoła została spalona, kalandarze?

- Słyszano, jak jeden z członków komitetu mówił: "Tak powinno zniknąć wszystko, co zagraniczne. Tak powinna zniknąć baza i wszystko, co zawiera. Nie potrzebujemy tu cudzoziemców i nie chcemy

ich".

Lochart posmutniał. Tak myśli większość z was, jeśli nie wszyscy, pomyślał. A jednak wielu z nas próbuje stać się częścią Iranu, mówiąc waszym językiem. Chcemy być akceptowani, ale nigdy nie będziemy. Dlaczego tu zostajemy, dlaczego próbujemy? Może z tych samych powodów, co Aleksander Wielki. Dlaczego on i dziesięć tysięcy jego oficerów poślubiło Iranki podczas jednej ogromnej ceremonii? Chyba z powodu nieokreślonej magii Iranu, obsesji, która pochłania tak, jak pochłonęła mnie.

Kobiety otaczające żonę Niczak-chana wybuchnęły śmiechem, słuchając czegoś, co powiedziała.

- Lepiej, kiedy żony są szczęśliwe, prawda? To dar boży dla mężczyzny, co? - jowialnie zauważył chan.

Lochart skinął głową, myśląc o tym, jak fantastycznie szczęśliwy jest Niczak-chan i jakim podarunkiem od Boga jest jego żona. Tak jak Szahrazad dla niego. Myśląc o niej, jeszcze raz 396

odczuł grozę zeszłej nocy: to, jak się bał, że ją traci, jej szaleństwo i rozpacz, potem bicie i sińce, podczas gdy pragnął tylko tego, aby była szczęśliwa na tym świecie i na następnym, jeśli następny istnieje.

815

- Tak, mam też szczęście, że tak dobrze strzela, prawda?

- Tak - odparł odruchowo Lochart, zanim zdążył ugryźć się w język. Poczł gniecenie w żołądku i skłął się za osłabienie uwagi. Dostrzegł wpatrzony w siebie zwężone oczy i szybko dodał: - Strzela? Twoja żona? Przepraszam, ekscelencjo, ale nie dosłyszałem. Chodzi o to, że z karabinu?

Starzec nie odpowiedział; przyglądał mu się tylko, a potem z namysłem pokiwał głową.

Lochart nie odwrócił wzroku; zastanawiał się, czy to rozmyślnie zastawiona pułapka.

- Słyszałem, że wiele kobiet Kaszkajów umie posługiwać się karabinem. Wygląda na to, że Bóg, hmm, Bóg pobłogosławił was na wiele sposobów, kalan-darze.

Po chwili Niczak-chan powiedział:

- Jutro dam ci znać, ile czasu zostawił wam komitet. Pokój z tobą.

Wracając do bazy, Lochart zadawał sobie ciągle to samo pytanie: czy wpadłem w pułapkę?

Jeśli powiedział to przypadkiem, bo po prostu był z niej dumny, wtedy może... może jesteśmy bezpieczni, szczególnie Scot. W każdym razie mamy czas, być może mamy. A może Scot jest zagrożony?

Promienie słońca nie padały już na tę część płaskowyżu, a temperatura szybko spadała poniżej zera.

Zimno pomogło mu w zebraniu myśli, ale nie usunęło zdenerwowania ani zmęczenia.

Tydzień, dwa tygodnie czy kilka dni... I tak nie ma zbyt wiele czasu, pomyślał. W Teheranie McIver powiedział mu o zdobyciu licencji eksportowych na trzy 212, które miały odlecieć

"do remontu" do Asz Szargaz.

- Tom, zabiorę jednego z waszych, jednego stąd i jednego z Kowissu. Do Nigerii, ale na Boga zatrzymaj tę wiadomość dla siebie. Dokumenty wyjazdowe są ważne od środy. Myślę, że powinieneś sam polecieć i spróbować wydostać się, póki można. Zatrzymasz się 816

w Asz Szargaz; tam jest wielu pilotów, którzy zabiorą maszynę dalej.

Mac po prostu nie rozumie, pomyślał.

Wyszedł z lasu i zobaczył bazę. Scot i Jean-Luc czekali na niego koło 212.

Cokolwiek się wydarzy, wyślę Scotą, pomyślał Lochart. Gdy już to postanowił, trochę się uspokoił. Najważniejszą decyzję miał jednak przed sobą. Rozpocząć ewakuację czy nie. To zależy od tego, jak dalece mogą zaufać Niczak-chanowi. Chyba nie za bardzo.

W SIEDZIBIE WYWIADU WEWNĘTRZNEGO,

18:42. Minęły zaledwie dwadzieścia trzy godziny od schwytania Rakoczego, a już go złamali; trzeci stopień sprawił, że wybełkotał prawdę. Dwa pierwsze stopnie wydobyły tylko dezinformacje złożone z półprawd, które wszyscy zawodowi agenci powtarzają do znudzenia tak, aby zapadły w podświadomość, w nadziei, że te częściowe prawdy odwiodą przesłuchujących od dalszych prób lub doprowadzą ich do przekonania, że już poznali prawdę. Na nieszczęście dla Rakoczego przesłuchujący go byli ekspertami, zdecydowanymi próbować do końca. Oni musieli uważać, żeby tortury nie zabiły przesłuchiwanego. On walczył o to, by umrzeć szybko.

Gdy pojmano go wieczorem poprzedniego dnia, od razu spróbował nagryźć tę część kołnierzyka, w której

818

zaszyto fiolkę z trucizną - wytrenowany odruch. Nie zdążył: prześladowcy odchyłili mu głowę do tyłu, oszołomili chloroformem, a potem starannie rozebrali i sprawdzili, czy w którymś z zębów nie ukryto trucizny. Zajrzeli do odbytu, szukając kapsułki.

397

Spodziewał się bicia i narkotyków. "Jeżeli użyją tego wobec pana, kapitanie Mzytryk, to już koniec", mówili jego nauczyciele. "Wtedy można tylko próbować umrzeć, zanim zdradzi się tajemnice. Nie zapominaj, że na pewno cię pomścimy. Mamy długie ręce i na pewno dostaniemy tych, którzy cię wydadzą".

Nie spodziewał się jednak takiego stanu agonii, do jakiego doprowadzili go tak szybko, ani wszystkiego tego, czego nie da się opisać: elektrod w nosie, ustach, odbytnicy, na jądrach i gałkach ocznych. Wstrzykiwali mu narkotyki, żeby go obudzić, uspić, znowu obudzić, tylko na kilka minut, sen, przebudzenie, sen, przebudzenie, dezorientacja, i jeszcze raz...

- Jezu Chryste, Haszemi - powiedział Robert Armstrong, którego zemdliło już dawno, na początku - dlaczego nie dasz mu po prostu pastylek prawdy? Masz je przecież. Po co to całe gówno?

Pułkownik Haszemi Fazir wzruszył ramionami.

- Odrobina okrucieństwa jest dobra dla duszy. Na Allaha, widziałeś akta, widziałeś, co KGB zrobiło wielu naszym obywatelom, którzy nie byli nawet szpiegami.

- To nie jest usprawiedliwienie.

- Na Boga, musimy wydostać z niego informacje już teraz, szybko. Musimy osiągnąć trzeci stopień, o którym zawsze tyle głośniliście. Nie ma czasu na twoją pokręconą moralność, Robercie. Jeśli nie możesz na to patrzeć, to odejdz.

Armstrong został. Starał się nie słuchać wycia; nie znosił brutalności. Zresztą nie ma potrzeby, nie w dzisiejszych czasach, powiedział sobie, wiedząc, że on sam już dawno by umarł.

Przez szybę zamaskowaną lustrem oglądał dwóch mężczyzn pracujących nad Rakoczym w małej, ale dobrze wyposażonej izbie. Mimo wszystko żałował go 819

w jakiś pokrętny sposób. Rakoczy był zawodowcem, podobnie jak on sam, odważnym człowiekiem, który stawiał nadzwyczajny opór.

Nagle wycie ustało, a Rakoczy opadł bezwładnie. Haszemi krzyknął do mikrofonu połączonego ze słuchawkami człowieka w izbie poniżej:

- Martwy? Mówiłem wam, wy głupie psie syny, żeby uważać!

Jeden z dwóch mężczyzn był lekarzem. Słuchawki, które miał na uszach, odcinały go od wszystkich dźwięków, oprócz głosu przesłuchującego. Z irytacją odchylił Rakoczemu powieki i zajrzał w oczy; potem, posługując się stetoskopem, osłuchiwał serce.

- On żyje, pułkowniku. On... ma jeszcze długą drogę do przejścia.

- Daj mu pięć minut, a potem obudź. I nie zabij go, dopóki nie powiem. - Haszemi ze złością wyłączył mikrofon i zaklął. - Nie chcę, żeby umarł, zanim go wyczyścimy. - Z błyskiem w oku spojrzął na Armstron-ga. - To najlepszy, jakiego kiedykolwiek mieliśmy, co? Na Boga, Robercie, to prawdziwa żyła złota.

Rakoczy już dawno sprzedał swoje dwie lipne historyjki, potem zdradził swe prawdziwe nazwisko, numer KGB; powiedział, gdzie go szkolono, gdzie się urodził, ożenił, mieszkał.

Podał nazwiska znanych sobie zwierzchników w Tbilisi, powiedział o ich zaangażowaniu w Iranie, w Tude, u mudzaheddinów, o tym, jak i gdzie wspierali ruch niepodległościowy Kurdów, zdradził swe kontakty.

- Kto jest szefem KGB w Azerbejdżanie?

- Ja... proszę, już nie... nieeeeeee... Abdollah-chan z Tebrizu... on, tylko on jest ważny i on...

on... był... ma być być być pierwszym prezydentem, gdy Azer... Azerbejdżan sta... stanie się niepodległy, ale teraz on jest jest zbyt... niezależny... więc... więc teraz Paragraf 16/a.

- Nie mówisz nam całej prawdy. Daj mu nauczkę!

- Aaaaa mówięmówięmówięproszęęę...

Potem ocucili go i znów popłynął bełkot. Mówił o Ibrahimie Kijabim, o ojcu Ibrahima, o mulle Kowis-398

sim, o tym, kim są przywódcy studenckiej Tude, o własnej żonie, o ojcu, gdzie ojciec mieszka w Tbilisi, i o dziadku, który służył w tajnej policji carskiej, zanim został jednym z twórców Czerezwyczajki, późniejszej OGPU, NKWD i wreszcie KGB, utworzonej przez Chruszczowa w 1954 roku po rozstrzelaniu Berii jako zachodniego szpiega.

- Wierzysz, że Beria szpiegował na naszą rzecz, Mzytryk?

- Tak... tak... tak, naprawdę, KGB ma dowód, o tak... proszę przestańcieeeee... proszę przestańcieeeee... powiem wszystkoooo...

- Jak mogli udowodnić to kłamstwo?

- Tak, to kłamstwo, ale musieliśmy w to wierzyć... musieliśmymusieliśmy... dośćcc...

bbłagaaaam!

- Przestańcie go męczyć, diabły - rozległ się w głośniku głos Armstronga. - Nie ma potrzeby, dopóki współpracuje. Ile razy mam wam powtarzać! Dopóki mówi prawdę, nie wolno go tknąć. Dajcie mu szklankę wody. A teraz, Mzytryk, powiedz nam wszystko, co wiesz, o Gregorze Susłowie.

- On... on jest szpiegiem... chyba.

- Nie mówisz prawdy! - ryknął Haszemi. - Dajcie mu nauczkę!

- Nie... nie... nie proszę.... przesssstanie, Boga prrrroszę, to Petr Oleg Mzytryk, mój ojciec, mój ojciec... Susłow to jego... jego pseudonim na Dalekim Wschodzie z bazą we Wład...

Władystoku i inny psseudo-nim Brodnin... i on mieszka w Tbilisi, i jest komisarzem, i starszym do... doradcą do spraw irańskich, i kon... kontrolerem Abdollah-chana...

- Znów kłamiesz. Skąd znalazłbyś takie tajemnice? Daj mu naucz...

- Proszę, nie, błagam, nie kłamię, ja... ja czytałem jego tajne dossier i wiem, że to prawda...

Brodnin to ostatnie, a potem... Allahu, pomóż miiiii... - Ponownie stracił przytomność. Oni ponownie go ocucili.

- Jak Abdollah-chan kontaktuje się ze swoim kontrolerem?

820

821

- On... mój... spotykają się różnie, cza... czasem w daczy, czasem w Tebrizie.

- Gdzie w Tebrizie?

- W... w pałacu chana...

- Jak umawiają się na spotkania?

- Kodem... zakodowanym teleksem z Teheranu... z Kwatery Głównej...

- Jaki kod?

- G16... G16...

- Kryptonim Abdollah-chana?

- Iwanowicz.

- A jego kontrolera? - Armstrong uważał, żeby nie przypomnieć torturowanemu, że chodzi o jego ojca.

- Ali... Ali Choj...

- Kontakty Brodnina?

- Nie... nie... nie pamięt... pamiętam...

- Pomóż mu odzyskać pamięć!

- Proszę, o Boże, o Boooooże, muszę pomyśleć, to było, to było... czekaj, on powiedział, byyyło trzech... coś jak jak jak to, jeden był kolor kolor... czekaj, tak, Grey, tak, Grey, to był, a drugi, to i i... drugi coś szerokiego Broad... chyba... Julian Broad...

- Kto jeszcze? - zapytał Armstrong, ukrywając wstrząs, jaki przeżył. - Kto trzeci?

- Ja nie pamięć... nieee... dajcieeee pomyśleć... był, jeszcze był, powiedział, był, o... o o czwartym, jeden był... Ted... Ever... Ever coś... Everly... i inni byli, jeśli, prrroszę, dajcie pomyśleć, Peter nie Percy... Percy Smed-ley, tak, Smedley Tailler albo Smidley...

Armstrong zbladł.

399

- ...to, to wszystko, co, co mi powieedział...

- Powiedz, co wiesz o Rogerze Crossie! Rakoczy nie odpowiedział.

Patrzyli przez szybę, jak człowiek wije się na stole, szarpie druty, gdy oprawcy zadają mu ból.

Poprzez jęki zaczęły się przebijać słowa.

- On, on... dooooooooość, on był szefem, nie, zastępcą MI6 i naszym prawie najwyższym angielskim tajnym agentem przez przez przez... dwadzieścia lat lub więcej 822

dla nas i... i Brodnin, Bród, mój ojciec, odkrył... odkrył, on był podwójnym... potrójnym agentem i kazał dla niego Paragraf 16/a... Crosse oszukiwał nas przez lata, oszukiwał, oszukiwał...

- Kto wskazał Brodninowi Crosse'a?

- Nie wiem, przysięgam, że nie wiem, nie mogę wiedzieć wszystkiego, wszystkiego, tylko to, co było w jego dossier, i co co mi powiedział...

- Kto był kontrolerem Rogera Crosse'a?

- Nie wiem, nie wiem, skąd mam wiedzieć, wiem tylko to, co przeczytałem w ojca doss...

musicie mi wieeeeerzyć!

- Powiedz mi o wszystkim, co było w dossier - odezwał się Haszemi. Interesowało go to nie mniej niż Armstronga.

Słuchali, starając się oddzielić słowa od krzyków i bełkotu. Z niespójnej mieszaniny rosyjskiego i farsi wyłaniały się nowe nazwiska i adresy, pseudonimy i stopnie. Pamięć Rakoczego ożywiały kolejne fale bólu, aż wyczerpał się i powtarzał po raz drugi to samo, mylił się i tracił wartość. Potem, wśród bełkotu, usłyszeli:

- ...Pah... mud... Pah... mud... Pah... mudi.

- Co z Pahmudim? - zapytał gwałtownie Haszemi.

- Ja... on... na pomoc...

- Co z Pahmudim? To agent sowiecki? Odpowiedzią był tylko bełkot i rozpaczliwy płacz.

- Lepiej daj mu odpocząć, Haszemi. Pamięć może mu się ulotnić. Możemy dowiedzieć się jutro, kim jest Pahmudi, i wrócić do tego wszystkiego. - Armstrong skrywał zdumienie ogromem informacji wyduszonych od Rakoczego. - Doradzam odpoczynek. Niech pośni z pięć godzin, a potem zaczniemy od nowa.

Dwaj mężczyźni z izby czekali na polecenia. Lekarz spojrział na zegarek. Pracował tu już od sześciu godzin bez chwili przerwy. Bolały go plecy i głowa. Był jednak długoletnim specjalistą SAVAK-u; cieszyło go bardzo, że doprowadził Rakoczego do poziomu prawdy.

Ateistyczny syn cholernego tatusia! - pomyślał z niesmakiem.

823

- Dajcie mu pospać przez cztery godziny, a potem kontynuujemy - padło przez głośnik.

- Tak jest, pułkowniku, świetnie. - Zajrzał delikwentowi pod powieki, a potem powiedział

wyraźnie do swego pomocnika, który był głuchoniemy, ale potrafił czytać z warg: - Zostaw go tak, jak jest. To zaoszczędzi czasu, gdy wrócimy. Będzie potrzebował zastrzyku, żeby się obudzić.

Mężczyzna skinął głową, a gdy z zewnątrz otworzono drzwi, obaj wyszli.

W pokoju za lustrem powietrze było gęste od dymu i wysuszone.

- Co z Pahmudim?

- On miłsi być związany z Mzytrykiem, Petrem Olegiem. - Armstrong, oniemiały ze zdumienia, porządkował w myślach informacje dostarczone przez Rakoczego.

Haszemi oderwał wzrok od leżącego na stole mężczyzny, zatrzymał taśmę magnetofonu i nacisnął przycisk przewijania. W nie domkniętej szufladzie spoczywało siedem innych kaset.

- Czy mogę dostać kopie? - zapytał Armstrong.

- Dlaczego nie? - Haszemi miał zaczerwienione oczy, a na jego twarzy pojawiła się szczecina zarostu, choć ogolił się zaledwie kilka godzin wcześniej. - Co było takiego ważnego z tym 400

Brodninem i innymi nazwiskami: Grey, Julan Broad coś tam, Ted Ever coś tam i Percy Smedley czy Smidley Tailler?

Armstrong wstał, żeby rozprostować kości i zyskać trochę czasu do namysłu.

- Brodnin był sowieckim biznesmenem, człowiekiem KGB, ale pracował jednocześnie dla nas. Nigdy nie podejrzewaliśmy, że robi nas w konia. Julan Broad coś tam to musi być Julian Broadhurst. Nigdy nie mieliśmy nic na niego, nawet cienia podejrzenia, dosłownie nic. Jest luminiarzem

Towarzystwa Fabianów, wysoce poważanym członkiem Partii Pracy. Wchodzi do gabinetu lub nie, według swojego widzi-824

misie; jest doradcą i zausznikiem premierów. - Dodał z niesmakiem: - Patriota.

- Więc już go masz. Zdrajca. Połóż go na stole na parę godzin, wydój do sucha i utop w Tamizie. Grey?

- Lord Grey, pochodnia lewicy, były związkowiec, zaciekły lider lobby antychińskiego i zwalczającego Hongkong, grzeczny antykomunista. Kilka lat temu mianowany na lorda, chyba po to, żeby robił jeszcze więcej kłopotów. Jakiś czas temu prowadziliśmy w jego sprawie dochodzenie, z którego wyszedł czysty jak łąza - nic poza jego polityką. - Mój Boże, pomyślał Armstrong, skoro oni obaj są szpiegami i zdrajcami, a my będziemy mogli to udowodnić, to labourzyści są załatwieni, nie mówiąc już o bombie, którą Percy podkłada torysom. Jak jednak tego dowieść i pozostać żywym? - Nigdy niczego na niego nie mieliśmy.

- A więc teraz masz także jego. Zdrajca. Wystarczy wyczyścić z informacji i zastrzelić. Ted Ever coś tam?

- Everly. Złoty chłopak TUC; przygotowują go do obejmowania wysokich urzędów.

Nienaganny polityk centrum. Nawet nie różowy, a cóż mówić o komunizmie...

- Już go masz. Na tortury. Smedley lub Smidley Tailler?

Robert Armstrong wyciągnął papierosy. Percy Smedley-Taylor: ziemiaństwo, bogaty.

Trinity College. Apolityczny zboczeniec, któremu udaje się trzymać swe aberracje w tajemnicy. Znany krytyk baletowy, wydawca erudycyjnych magazynów. Nienaganne, nietykalne koneksje z najwyższymi i najdelikatniejszymi źródłami władzy w Anglii. Boże wszechmogący, jeśli on jest sowieckim szpiegiem... To niemożliwe! Chociaż, nie bądź głupi; przepracowałeś tyle lat i poznałeś tyle tajemnic, że nie powinieneś dziwić się niczemu.

- Nie mówię, że zełgał, ale muszę to jeszcze sprawdzić, Haszemi - odparł, nie chcąc dzielić się swą wiedzą przed zastanowieniem się, co powinien zrobić.

825

Magnetofon wyłączył się automatycznie, gdy taśma przewinęła się do końca. Haszemi wyjął

kasetę, dołożył do pozostałych i starannie zamknął szufladę.

- Możesz pogadać z nimi naszym sposobem: wyślij do nich emisariusza, Robercie, i do ich wysoko postawionych przyjaciół. Na pewno dadzą ci duży pisz-kesz, który wynagrodzi utratę emerytury. - Fazir roześmiał się bezlitośnie, wkładając nową kasetę. - Ale nie idź sam, bo dostaniesz nożem w plecy w ciemnej uliczce albo ktoś dosypie ci trucizny do piwa. Te sukinsyny na stanowiskach są wszystkie takie same. - Był bardzo zmęczony, ale radosne podniecenie wywołane bezcennymi

informacjami Rakoczego odeгнаło senność. - Już teraz wydobyliśmy z niego tyle, że możemy podminować Tude, kontrolować Kurdów, zatrzymać powstanie w Azerbejdżanie, opanować sytuację w Teheranie i Ko-wissie. A także umocnić władzę Chomeiniego - dodał bardziej do siebie niż pod adresem rozmówcy.

- Czy tego właśnie chcesz? Co z tym Abrimem Pahmudim?

Haszemi spojrzał ponuro.

- Allah pozwoli mi załatwić się z nim odpowiednio! Rakoczy dał mi złoty klucz, może nawet do niego.

- Spojrzał na Armstronga. - Dla ciebie też złoty, co? Ten Susłow - Petr Oleg - który zamordował wielkiego Rogera Crosse'a? Co?

401

- Tak. Także dla ciebie. Teraz już wiesz, kto jest twoim głównym wrogiem.

- Kim jest dla ciebie Mzytryk, ten Susłow?

- Spotkałem go przed laty w Hongkongu. - Armstrong wypił trochę zimnej kawy. Szykował przynętę.

- On mógłby dać tobie - i mnie - więcej złota niż jego syn. Mógłby wystawić Abrima Pahmudiego, a jeśli jego, to Bóg jeden wie kogo jeszcze - może Komitet Rewolucyjny? Dużo bym dał, żeby móc przesłuchać Susłowa. Jak możemy to zrobić?

Fazir przestał myśleć o Pahmudim i skoncentrował się na niebezpieczeństwie, jakie zagrażało osobiście jemu i jego rodzinie.

826

- Za to załatwisz mi brytyjski paszport, bezpieczny wyjazd i dużą emeryturę, gdybym jej potrzebował?

Armstrong wyciągnął rękę.

- Stoi - oświadczył.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Żaden z nich nie wierzył, że gest ten, poza zwykłą grzecznością, ma jakieś znaczenie. Wiedzieli, że każdy z nich dotrzyma słowa, jeśli będzie mógł i jeśli będzie to dla niego korzystne.

- Jeśli go dostaniemy, Robercie, ja będę prowadził przesłuchanie i zapytam najpierw o to, co mnie interesuje.

- Oczywiście, ty jesteś szefem. - Armstrong skrywał podniecenie. - Czy możesz go dostać?

- Może mógłbym namówić Abdollah-chana, żeby załatwił spotkanie po tej stronie granicy.

Rakoczy dał nam tyle, że mogę go dobrze przycisnąć, choć muszę być ostrożny... on jest też jednym z naszych najlepszych agentów!

- Sprzedaj mu wiadomość o Paragrafie 16/a. Założę się, że on nie wie, że go zdradzili.

Haszemi skinął głową.

- Gdybyśmy złapali Petra Olega na granicy, nie musielibyśmy przywozić go tutaj. Możemy go wyczyścić w naszym lokum w Tebrizie.

- Nie wiedziałem, że macie tam jakieś lokum.

- W Iranie jest jeszcze wiele rzeczy, o których nie wiesz, Robercie. - Fazir zgasił papierosa.

Ile czasu mi pozostało, zastanawiał się nerwowo. Nie był przyzwyczajony do roli zwierzyny, tylko myśliwego. - Wpadło mi coś do głowy. Daj mi paszport jutro.

- Jak szybko "przekonasz" Abdollah-chana?

- Nadal musimy być ostrożni. Ten sukinsyn ma ogromne wpływy w Azerbejdżanie. -

Spojrzeli na Rakoczego, który poruszył się gwałtownie, jęknął i zapadł w sen, pełen koszmarów. - Musimy być bardzo ostrożni.

- Kiedy?

- Jutro. Gdy tylko skończymy z Rakoczym, odwiedzimy Abdollaha. Załatw samolot albo helikopter. Jesteś zaprzyjaźniony z IHC, prawda?

827

Armstrong uśmiechnął się.

- Wiesz wszystko, co?

- Tylko o sprawach Teheranu, islamu, Iranu. - Ha-szemi zastanawiał się, co zrobiłby McIver i inni cudzoziemcy pracujący przy ropie, gdyby wiedzieli, że wicepremier Ali Kia, który wszedł właśnie do zarządu ATC, kilka dni temu zalecał natychmiastową nacjonalizację wszystkich zagranicznych firm związanych z wydobyciem ropy, wszystkich zarejestrowanych w Iranie statków powietrznych i firm lotniczych, a także natychmiastowe wydalenie wszystkich zagranicznych pilotów i innego personelu.

- Jak zamierza pan załatwić obsługę pól roponoś-nych, ekscelencjo premierze? - zapytał, gdy się o tym dowiedział.

402

- Nie potrzebujemy cudzoziemców. Nasi piloci będą obsługiwać nasze pola. Czyż nie mamy setek pilotów, którzy muszą dowieść swej lojalności? Zakładam, że ma pan tajne akta wszystkich zagranicznych pilotów, kierownictwa i tak dalej. Eee, komitet ich potrzebuje.

- Nie sędzę, żebyśmy coś mieli, ekscelencjo. Te akta są dziełem SAVAK-u - powiedział gładko Haszemi.

- Sędzę, że wie pan, iż ci okropni ludzie mieli obszerną teczkę z danymi o Waszej Ekscelencji?

- Jaką teczkę? O mnie? SAVAK? Pan na pewno się myli.

- Być może. Nigdy tych akt nie czytałem, ekscelencjo, ale powiedziano mi o ich istnieniu.

Podobno sięgają dwudziestu lat wstecz. Prawdopodobnie zawierają same kłamstwa...

Zostawił roztrzęsionego wicepremiera Kia z obietnicą, że spróbuje po cichu dostać te akta i oddać mu je. Śmiał się przez całą drogę do kwatery Wywiadu Wewnętrznego. Akta Alego Kia - akta wicepremiera

- rzeczywiście obejmowały okres dwudziestu lat i zawierały niepodważalne dowody wszelkiego rodzaju brzydki pachnących interesów, lichwy, tego, że głosował na Szacha i donosił, a także fotografie wymyślnych

828

praktyk seksualnych, które wprawiłyby konserwatywnych fundamentalistów w szal.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Armstrong.

- Z życia, Robercie. Kilka tygodni temu, gdyby zaszła potrzeba, dysponowałbym całym lotnictwem wojskowym, a teraz muszę cię prosić o załatwienie czarteru. Ty załatwisz czarter, a ja zezwolenie. - Uśmiechnął się. - Dasz mi paszport brytyjski, bardzo cholernie ważny, jakby powiedział Talbot, jeszcze przed startem. Zgoda?

- Zgoda. - Armstrong stłumił ziewnięcie. - Skoro czekamy, czy mógłbym wysłuchać ostatniej kasyty?

Haszemi sięgnął po klucz; wstrzymał się, słysząc pukanie do drzwi. Wstał ociężale i otworzył. Natychmiast wyparowało z niego zmęczenie. Za drzwiami stało czterech mężczyzn: jeden z jego ludzi, poblady, i trzech z Zielonych Opasek. Byli uzbrojeni. Fazir znał najstarszego.

- Salam, generale - powiedział grzecznie, choć ze ściśniętym sercem. - Pokój z tobą.

- Salam, pułkowniku. Pokój z tobą. - Generał Dża-nan miał twardą, brutalną twarz, przeciętą wąską linią ust. SAVAK. Spojrzał chłodno na Armstronga, wyjął jakiś dokument i wręczył go Haszemiu.

- Masz natychmiast przekazać mi więźnia Jazernowa.

Haszemi wziął do ręki dokument, dziękując Bogu, że zaryzykował, schwycił Rakoczego i prędko doprowadził go do trzeciego stopnia.

Do pułkownika Haszemiego Fazira, Wywiad Wewnętrzny. Pilne. Z upoważnienia Komitetu Rewolucyjnego. Wydział Wywiadu Wewnętrznego zostaje natychmiast rozwiązany, a cały personel przechodzi pod komendę generała Dżanana. Jest pan zawieszony w pełnieniu obowiązków do czasu otrzymania dalszych rozkazów. Natychmiast przekazać pan generałowi Dżananowi więźnia Jazernowa i wszystkie taśmy z przesłuchań [podpisano] Abrim Pahmudi, Dyrektor SAVAMA.

- Ten szpieg jest na razie na drugim stopniu. Będzie pan musiał poczekać. Przeniesienie go byłoby niebezpieczne...

829

- Pan już za niego nie odpowiada.

Generał skinął na jednego ze swych ludzi, który wyszedł, dał znak pozostałym czekającym w korytarzu, i szedł po schodkach do izby, gdzie siedział pobladły i zdenerwowany lekarz. Gdy ludzie z Zielonych Opasek zobaczyli człowieka na stole, narzędzia i sposób, w jaki podłączono mu elektrody, rozbliły im oczy. Lekarz zaczął zdejmować elektrody.

W pokoju przesłuchań na górze Haszemi spojrzał na generała.

403

- Oświadczam oficjalnie, że przenoszenie go jest niebezpieczne. Pan ponosi za to odpowiedzialność.

- In sza'a Allah. Proszę o taśmy.

Haszemi wzruszył ramionami, otworzył górną szufladę i wręczył generałowi tuzin niemal bezużytecznych kaset z pierwszego i drugiego stopnia.

- Pozostałe też. Szybko!

- To już wszystkie.

- Otworzyć drugą szufladę!

Fazir ponownie wzruszył ramionami, wybrał klucz i starannie włożył go do zamka. Jeśli przekręcało się go odpowiednio, uruchamiał magnes, który kasował taśmy. Tylko on i Armstrong znali tę tajemnicę; wiedzieli też o zainstalowanym potajemnie drugim magnetofonie.

- Nigdy nie wiesz, Haszemi, kto i kiedy cię zdradzi - powiedział Armstrong wiele lat temu, gdy razem instalowali to urządzenie. - W razie czego możesz wyczyścić taśmy, a potem wymienić te tajne za wolność. W tej grze nie można być zbyt ostrożnym.

Haszemi otworzył szufladę, modląc się, żeby oba urządzenia działały. In sz'a Allah, pomyślał

i wyjął osiem kaset.

- Są nie nagrane, już mówiłem.

- Jeśli tak, to przepraszam, a jeśli nie... In sza a Allah! - Generał spojrział na Armstronga twardym jak granit spojrzeniem. - Niech pan szybko opuści Iran. Daję panu dzień i noc, w uznaniu pana dawnych zasług.

830

W DOMU BAKRAWANA, OKOLICE BAZARU,

20:57. Szahrazad leżała na brzuchu w swym łóżku, poddając się masażowi. Trochę pojękiwała, a jednak odczuwała przyjemność, gdy stara kobieta wcierała oliwę w posiniaczone ciało.

- Och, ostrożnie, Dżari...

- Tak, tak, moja księżniczko - mruknęła Dżari. Jej ręce, silne, lecz delikatne, usuwały ból.

Była

niańką, a potem służącą Szahrazad; karmiła ją piersią, gdy zmarło jej własne dziecko urodzone tydzień wcześniej. Karmiła ją przez dwa lata, a potem, ponieważ była miłą i spokojną kobietą - teraz już wdową - powierzono jej opiekę nad Szahrazad. Gdy ta wyszła za mąż za Emira Paknuriego, towarzyszyła jej w jego domu, a potem, gdy małżeństwo się rozpadło, zadowolone wróciły razem do Bakrawana. To głupota wydawać tego kwiatuszka za człowieka, który woli chłopców, choćby był niewiadomo jak bogaty, myślała zawsze Dżari, ale nigdy nie powiedziała tego głośno. Nigdy. Niebez*piecznie jest sprzeciwiać się woli pana domu i rodziny, tymbardziej jeśli jest tak pazernym skąpcem jak Dżared Bakrawan, myślała; nie żałowała go, gdy stracił życie.

Gdy Szahrazad wyszła za mąż po raz drugi, Dżari nie zamieszkała z nią. Nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż jej ulubienica spędzała tu czas, gdy niewierny wyjeżdżał.

Wszyscy domownicy tak go nazywali, ale tolerowali, gdyż dawał żonie szczęście, które tylko kobieta może zrozumieć.

- Eeee, co za diabły z tych mężczyzn - powiedziała i skryła uśmiech, rozumiejąc wszystko bardzo dobrze.

Domownicy słyszeli wczoraj krzyki i płacz, a choć wiedzieli, że mąż ma prawo zbić swoją żonę i że Bóg pozwolił, aby ciosy niewiernego uleczyły ich panią, Dżari sama usłyszała nad ranem inne krzyki, krzyki jej i jego w Rajskim Ogrodzie.

Dżari nigdy tam nie była. Słyszała o tym od innych, także od Szahrazad, ale te nieliczne wypadki, gdy jej mąż kładł się z nią do łóżka, służyły tylko jego przyjemności. Jej udziałem był ból i sześcioro

ukończyła dwadzieścia lat; czworo umarło zaraz po urodzeniu. Potem umarł mąż, wybawiając ją od śmierci, która byłaby nieuchronna, wiedziała to, w razie kolejnych porodów. Wedle woli Boga! Och, tak, powiedziała sobie z zadowoleniem, Bóg mnie uratował zabijając męża, który teraz na pewno smaży się w piekle, gdyż był bluźniercą i modlił się zaledwie raz dziennie.

Bóg dał mi też Szahrazad!

Spojrzała na piękne, delikatne ciało i długie czarne włosy. Eeee, powiedziała sobie, jak dobrze być tak młodą, tak wilgotną, tak prężną i gotową do wykonywania bożej pracy.

- Odwróć się, księżniczko, ja...

- Nie, Dżari, to tak boli...

- Tak, ale muszę pomasować ci mięśnie brzucha i doprowadzić je do porządku. -

Zachichotała. - Już niedługo będą musiały być silne.

Szahrazad odwróciła się i spojrzała na nią, zapominając o bólu.

- Och, Dżari, jesteś pewna?

- Tylko Bóg wie na pewno, księżniczko, ale przecież nie miałaś nigdy spóźnionego okresu?

Czyż nie nadszedł już czas, abyś miała syna?

Obie kobiety roześmiały się. Szahrazad poddawała się masażowi i rozmyślała o przyszłości, o szczęśliwej chwili, gdy powie: "Tommy, mam zaszczyt oświadczyć..." Nie, tak nie będzie dobrze. "Tommy, Bóg pobłogosławił nas..." Nie, tak też nie, chociaż to prawda. Gdyby był

muzułmaninem i Irańczykiem, byłoby o wiele łatwiej. Och, Boże i proroku Boga, spraw, żeby Tommy został mużułmaninem i w ten sposób uniknął piekła. Spraw, żeby mój syn był silny i pozwól mu dorosnąć, żeby on sam miał synów i córki, a one synów... Och, jak bardzo Bóg nas pobłogosławił...

Dała się ponieść myślom. Wieczów był cichy i spokojny; spadło trochę śniegu i nie słychać było wielu strzałów. Już niedługo zjedzą swój wieczorny posiłek, a potem zagra w tryktraka z kuzynem Karimem albo

z Zarah, żoną brata Meszanga. Potem pójdzie spać, zadowolona z dobrze spędzonego dnia.

Gdy rano obudziła ją Dżari, słońce stało już wysoko na niebie, a choć popłakała trochę z bólu, oliwa i masaż szybko go złagodziły. Potem rytualne ablucje i pierwsza modlitwa dnia, klęczenie przed małym relikwiarzem w kącie sypialni z Sadżadeh, kwadratowym pięknym gobelinem i czarką świętego piasku z Kerbeli, różańcem i pięknie zdobionym egzemplarzem Koranu. Potem szybkie śniadanie złożone z herbaty, jeszcze gorącego chleba prosto z pieca, masła, miodu i mleka oraz jajka na miękko; jajek rzadko brakowało, mimo ogólnie złego zaopatrzenia. Po śniadaniu od razu na bazar, w czado-rze i z zasłoniętą twarzą, żeby spotkać się z Meszangiem, ukochanym i podziwianym bratem.

- Och, Meszang, kochany, wyglądasz na zmęczonego. Słyszałeś już o naszym mieszkaniu?

- Tak, tak, słyszałem - odparł ponuro. Miał podkrążone oczy. Przez te cztery dni od czasu aresztowania ojca bardzo się postarzał. - Psie syny, wszyscy! Ale to nie nasi ludzie.

Słyszałem, że to ludzie z OWP, działający według instrukcji tego Komitetu Rewolucyjnego.

- Zadygotał. - Wedle woli Boga.

- Tak, wedle woli Boga, ale mój mąż powiedział, że człowiek o imieniu Tejmur, dowódca, kazał nam zabrać nasze rzeczy przed dzisiejszą popołudniową modlitwą.

- Tak, wiem. Twój mąż zostawił dla mnie wiadomość, zanim wyruszył do Zagrosu.

Wysłałem już Alego i Hasana, i kilku innych służących. Powiedziałem im, żeby udawali tragarzy i zabrali wszystko, co się da.

- Och, dziękuję, Meszang. Jesteś bardzo sprytny.

- Odczuła ogromną ulgę. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby pójść tam sama. Jej oczy napełniły się łzami.

- Wiem, że to wola Boga, ale czuję się taką pustkę bez ojca.

405

- Tak, tak samo jest ze mną... In sz'a Allah. Niczego więcej nie mógł już zrobić. To, co mógł, zrobił prawidłowo. Nadzorował umycie ciała i owinięcie 833

go w najlepszy muślin; potem pogrzeb. Pierwsza część żałoby już minęła. Czterdziestego dnia odbędzie się następna ceremonia na cmentarzu; wszyscy będą płakać i rozdzierać szaty, będą niepokieszeni. Potem jednak, podobnie jak teraz, każdy z nich znów podejmie ciężar życia.

Trzeba będzie odmawiać szahadę pięć razy dziennie i podporządkować się pięciu filarom islamu, żeby trafić do nieba, a nie do piekła - jedyny naprawdę ważny powód życia. Ja na pewno pójdę do raj, pomyślał z niezachwianą pewnością siebie.

Siedzieli milcząc w małym pokoju nad sklepem, który jeszcze niedawno stanowił prywatne królestwo Dżareda Bakrawana. Nie do wiary, upłynęły dopiero cztery dni od czasu, gdy ojciec

negocjował z Alim Kia nową pożyczkę - będziemy musieli jakoś jej udzielić - a Paknuri wpadł do środka i rozpoczęły się te wszystkie kłopoty. Psi syn! To jego wina! On przyprowadził Zielone Opaski! Tak, już od lat był prawdziwym przekleństwem. Gdyby nie jego słabość, Szahrazad miałyby już pięcioro czy sześcioro dzieci, a ludzie z bazaru nie drwiliby z nich za plecami. Dostrzegł siniec wokół lewego oka siostry, lecz tego nie skomentował. Dziś rano podziękował Bogu i zgodził się z żoną, że bicie dobrze jej zrobiło.

- Dobre bicie od czasu do czasu nie zaszkodzi, Zarah - powiedział z zadowoleniem.

Wszystkie kobiety potrzebują teraz dobrego bicia, pomyślał, z tym ich ciągłym gderaniem, głędzeniem, krzykami i sprzeczkami, z zazdrością i wtrącaniem się we wszystko i całym tym bezbożnym gadaniem o głosowaniu, marszach i protestach. Przeciwno czemu? Przeciwno prawom Boga?

Nigdy nie zrozumie kobiet. Nawet prorok, niech jego imię będzie chwalone, nawet on, najdoskonalszy człowiek, jaki kiedykolwiek żył, nawet on miałby problemy z kobietami.

Dziesięć kolejnych żon, po Chadidży, jego pierwszej, zmarło po urodzeniu mu szóstki dzieci; jaka szkoda, że nie przeżył go syn, tylko córka, Fatima. Nawet po tych wszystkich doświadczeniach z kobietami

834

napisane jest, że nawet prorok, nawet on, musiał od czasu do czasu od nich odpocząć.

Dlaczego kobiety nie zadowolają się siedzeniem w domu, nie są posłuszne i spokojne, nie przestają być wścibskie?

Jest tak wiele do zrobienia. Trzeba wykryć i zapobiec tylu zagrożeniom, poznać tyle tajemnic, poradzić sobie z zaległymi rachunkami, nie załatwionymi promesami i nie spleconymi długami. A czasu tak mało. Nasze mienie skradzione, wioski, posiadłość nad Morzem Kaspijskim, domy, mieszkania i budynki w całym Teheranie. Te diabły wiedzą o wszystkim!

Diabły! Komitet Rewolucyjny, mułłowie i Zielone Opaski to diabły na ziemi. Jak mam sobie poradzić z nimi wszystkimi? Jakoś jednak muszę. Muszę, a w przyszłym roku udam się na pielgrzymkę do Mekki.

-Wedle woli Boga - powiedział i poczuł się trochę lepiej. To Bóg chciał, żebym objął

wszystkie sprawy o wiele wcześniej, niż się spodziewałem. To trudne, choć jestem tak wyszkolony, jak tylko może być wyszkolony syn do przejęcia imperium, nawet imperium Bakrawana.

Bóg chciał także, abym wiedział już wcześniej, na czym polega większość tajemnic. Ojciec wprowadzał mnie w nie w ciągu ostatnich lat, gdy odkrył, że można mi ufać, że jestem sprytniejszy, niż przypuszczał. Czyż to nie ja zasugerowałem skorzystanie z numerowych rachunków banku szwajcarskiego już prawie siedem lat temu, z amerykańskich bonów skarbowych. Doradziłem inwestowanie w nieruchomości w Ameryce Łacińskiej, a przede wszystkim w Seven Sisters.

Zarobiliśmy miliony, a wszystkie dzięki Bogu poza zasięgiem tych psych synów! Bezpieczne. Ulokowane w Szwajcarii w złocie, ziemi, pewnych, 406

gwarantowanych akcjach, w dolarach, markach niemieckich, jenach i frankach szwajcarskich...

Spostrzegł, że Szahrazad patrzy na niego z wyczekiwaniem.

- Służący zrobią wszystko przed zachodem słońca, Szahrazad, nie martw się - powiedział.

Kochał ją, lecz chciał, żeby już sobie poszła i żeby mógł wrócić do 835

pracy. Nadszedł jednak czas, aby zagrać na innej strunie. - Ten twój mąż zgodził się zostać muzułmaninem, prawda?

- Jak to miło z twojej strony, że pamiętasz, kochany Mieszangu. Mój mąż zgodził się to rozważyć - odparła broniąc się. - Nauczam go, gdy tylko mogę.

- To dobrze. Gdy wróci, powiedz mu, proszę, że chcę z nim porozmawiać.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała gorliwie. Mieszang był teraz głową rodziny, a jako takiemu należał się mu bezwzględny posłuch.

- Rok i dzień już minął, czyż nie tak? Szahrazad rozpromieniła się.

- Mam zaszczyt powiedzieć ci, kochany Mieszangu, że być może Bóg nas pobłogosławił.

Jestem spóźniona o kilka dni...

- Bogu niech będzie chwała. Trzeba to uczcić. Ojciec byłby zadowolony. - Dotknął jej dłoni.

- Dobrze. A co z nim, z twoim mężem? To doskonały moment, żeby się rozwieść, prawda?

- Nie! Och, jak możesz coś takiego mówić? - wybuchnęła gniewem, którego nie zdołała opanować. - Och, absolutnie nie, och, nie, to by było straszne. Umarłabym. To by było strasz...

- Uspokój się, Szahrazad! Pomyśl! - Mieszanga zdumiał jej brak dobrego wychowania. - On nie jest Irańczykiem, nie jest muzułmaninem, nie ma pieniędzy, nie ma przyszłości. Nie jest wart pozostawiania w rodzinie Bakrawanów, zgodzisz się chyba?

- Tak, oczywiście, ja... zgadzam się z wszystkim, co mówisz, gdybym jednak mogła dodać...

- mówiła chaotycznie, nie podnosząc wzroku, aby ukryć wstrząs, jaki przeżyła. Przeklinała się za to, że nie doceniła niechęci, jaką Mieszang odczuwał wobec jej Tommy'ego. Teraz jest wrogiem, przed którym trzeba było się bronić. Jak mogłam być tak naiwna i głupia? - Wiem, że mogą powstać problemy, mój kochany, i zgadzam się ze wszystkim, co mówisz... -

Słyszała swój uprzejmy, słodki głosik, a jednocześnie jej umysł pracował z szybkością 836

światła, analizując wszystko, odrzucając różne wersje, próbując obmyślić jakiś plan - na teraz i przyszłość

- gdyż bez dobrej woli Mészanga życie byłoby bardzo trudne. - Jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam... ale, może będzie wolno mi powiedzieć, że Bóg postawił go na mojej drodze, a ojciec zgodził się na to małżeństwo, zatem, dopóki Bóg nie zabierze go z mojej drogi i...

- Teraz ja jestem głową rodziny i wszystko się zmieniło. Ajatollah wszystko zmienił - uciał

ostro. Nigdy nie lubił Locharta, miał do niego uraz jako do niewiernego, przyczyny wszystkich ich obecnych i dawniejszych kłopotów. Gardził nim jako natrętem i uważał, że jest przyczyną nieuzasadnionych wydatków. Nie mógł jednak w niczym przeszkodzić, a wobec cichej zgody ojca, nie ujawniał tych uczuć. - Nie zaprzataj sobie tym swojej pięknej główki, ale rewolucja wszystko zmieniła. Żyjemy teraz w innym świecie. Muszę to uwzględnić, myśląc o przyszłości twojej i twojego syna.

- Masz rację, Mészangu. Błogosławię cię za to, że myślisz o mnie i o moim dziecku. Jesteś wspaniałą. To cudowne, że jesteś tutaj i możesz się o nas troszczyć

- odparła, całkowicie już nad sobą panując. Wypowiadała dalsze pochlebstwa, przymilała się, zacierając wrażenie, jakie wywarło jej poprzednie nieodpowiednie zachowanie. Przywołała cały swój spryt, żeby nie pozwolić mu na mówienie o innych sprawach. Potem, we właściwym momencie, powiedziała: - Na pewno jesteś bardzo zajęty. - Wstała i uśmiechnęła 407

się. - Czy ty i Zarah przyjdziecie do domu na kolację? Będzie kuzyn Karim, jeśli uda mu się wyrwać z bazy. Czyż to nie miłe? Nie widziałam go od czasu... - w porę ugryzła się w język

- chyba przez cały tydzień. Ale najważniejsze jest to, Mészangu, że kucharz przygotowuje twój ulubiony cho-reszt właśnie w taki sposób, jak lubisz.

- Tak? Och, dobrze, tak, będziemy, ale powiedz mu, żeby nie dawał za dużo czosnku. A co do twojego męż...

- Och, to mi coś przypominało, kochany Mészangu

- zagrała swą ostatnią jak na razie kartą. - Słyszałam, że 837

pozwoleń Zarah wziąć udział w marszu protestacyjnym; to miło, że jesteś taki wyrozumiały.

- Zobaczyła, że poczerwieniał i zaśmiała się w duchu, wiedząc, że Zarah równie uparcie wybiera się na tę demonstrację, jak on się temu sprzeciwia. To sprawiło, że wpadł w furję.

Słuchała go cierpliwie, spoglądając niewinnym wzrokiem, kiwając potakująco głową i wyczekując właściwego momentu. - Mój mąż zgadza się z tobą całkowicie, kochany Mészangu - wtrąciła z odpowiednim zapałem. - Tak, całkowicie, najdroższy braciszku, a ja na pewno przypomnę Zarah, jeśli mnie o to zapyta, o twoich uczuciach... - Choć niczego to nie zmieni, dodała w myślach, gdyż my i tak pójdziemy. Pocałowała go lekko. - Do widzenia, kochany. Spróbuj nie pracować zbyt ciężko.

Dopilnuję, żeby choreszt był taki jak powinien.

Od razu poszła do Zarah i ostrzegła ją, że Meszang jest nadal wściekły z powodu marszu.

- To śmieszne! Będą tam wszystkie nasze przyjaciółki, Szahrazad. Czy on chce, żebyśmy musiały się wstydzić?

Razem przygotowały plan. Zabrało to sporo czasu; ponieważ było już późne popołudnie, pospieszyła do domu, żeby kazać przyrządzić choreszt.

- Dokładnie taki, jak lubi pan... jeśli dodasz za dużo czosnku i wszystko nie będzie doskonałe, to ja... ja poproszę starą Aszabageh, czarownicę, żeby rzuciła na ciebie zły urok!

Idź na rynek i kup kawony, on je bardzo lubi!

- Ale, panienko, kawonów nie można dostać już od...

- Zdobądź jednego! - pisnęła i tupnęła nogą. - Jednego na pewno uda ci się kupić!

Potem przyglądała się, jak Dżari układa ubrania jej i Tommy'ego. Od czasu do czasu roniła łzę; nie z powodu utraty mieszkania, na którym bardziej zależało Tom-my'emu niż jej, lecz z radości, że jest znów w domu. Odpoczynek, ostatnia modlitwa, potem kąpiel, a teraz masaż.

838

- Już, księżniczko - powiedziała Dżari, której omdlewały ręce. - Teraz powinnaś przebrać się do kolacji. Co chciałabyś włożyć?

Włożyła ubranie, które Meszangowi podobało się najbardziej: kolorową wełnianą spódnicę i bluzkę. Jeszcze raz sprawdziła choreszt i polo - rozpływający się w ustach, przygotowany na sposób irański ryż ze złotą zasmażką - oraz inny przysmak Meszanga, kawon, wonny, soczysty i perfekcyjnie obrany.

Czekała na przybycie kuzyna, Karima Peszadiego. Bardzo- go kochała. Pamiętała wspaniałe dni, gdy razem dorastali - ich rodziny przebywały często razem - latem wyjeżdżali do posiadłości nad Morzem Kaspijskim, pływali i żeglowali, a zimą narty w okolicach Teheranu; ciągłe przyjęcia, tańce i śmiechy, Karim, wysoki, tak jak jego ojciec, pułkownik, komendant bazy w Kowissie, i tak samo przystojny. Karim przypominał jej zawsze ten pierwszy wieczór we wrześniu, gdy zobaczyła dziwnego wysokiego cudzoziemca o niebieskoszarych oczach, które rozgorzały na jej widok niebiańskim ogniem, o którym pisali starożytni poeci...

- Wasza Wysokość, Jego Ekscelencja kuzyn, kapitan Karim Peszadi, prosi o pozwolenie spotkania się z panią,

Radośnie wybiegła na jego spotkanie. Wyglądał przez okno mniejszego salonu. Ściany, małe lustra i okna zdobione artystycznym wzorem perskim. Jedyne umeblowanie stanowiła tradycyjnie niska sofa ciągnąca się wzdłuż ścian. Kilkanaście centymetrów od niej 408

rozpościerał się miękki dywan pokryty poduszkami ze wspaniałej perskiej tkaniny, takiej jak na oparciach przymocowanych do ścian.

- Kochany Karimie, jak wspaniale... - Urwała. Widziała go po raz pierwszy od czasu, gdy tydzień temu pojechali razem oglądać rozruchy w Doszan Tappeh. Teraz patrzyła na kogoś obcego: ściągnięta skóra opinająca wystające kości policzkowe, przeraźliwa bladość, podkrążone oczy, zmierzwiona broda i ubranie w nieła-839

dzie. Zwykle był nienagannie ubrany i zadbany. - Och, Karimie, co się stało?

Poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Spróbował powtórnie.

- Ojciec nie żyje, rozstrzelany za zbrodnie przeciwko islamowi. Ja jestem podejrzany i zawieszony w obowiązkach; mogą mnie w każdej chwili aresztować - powiedział gorzko. -

Podejrzewają większość naszych przyjaciół. Pułkownik Dżabani zniknął. Oskarżony o zdradę stanu. Pamiętasz go? To ten, który prowadził lud przeciwko nieśmiertelnym i stracił prawie całą dłoń...

Usiadła. W oniemiaeniu patrzyła na niego i słuchała jego słów.

- ...Nie powiedziałem jeszcze najgorszego, kochana Szahrazad. Wujek... wujek Walik, Annusz, malutki Dżalal i Setarem nie żyją. Zabici podczas próby ucieczki do Iranu cywilnym 212...

Zdało się jej, że serce przestało bić i dopełnia się złowieszczy los.

- ...zostali wykryci i zestrzeleni przy granicy z Irakiem. Byłem dzisiaj w dowództwie i czekałem na przesłuchanie przez nasz komitet, gdy nadszedł teleks z naszej bazy w Abadanie.

Te psie syny z komitetu nie umieją czytać; poprosili mnie o przeczytanie teleksu, nie wiedząc, że jestem krewnym Walika. Teleks był oznaczony jako tajny. Pisano w nim, że ustalono tożsamość zdrajców, generałów Walika i Seladiego na podstawie dokumentów znalezionych w szczątkach 212, podobnie jak innych i... i kobiety, i dwójki dzieci... i poproszono nas o sprawdzenie uprowadzonego helikoptera, prawdopodobnie z firmy Toma, EP-HBC...

Zemdląca.

Gdy odzyskała przytomność, Dżari ocierała jej czoło mokrym ręcznikiem; inni służący przyglądali się niespokojnie. Karim, poblądły i skruszony, stał nieco dalej. Skierowała na niego bezradnie spojrzenie. Powróciły słowa, które wypowiedział, przypomniawszy sobie słowa Erik-kiego i dziwne zachowanie Tommy'ego. Gdy zestawiała te fakty, zaczęła ją ogarniać kolejna fala przerażenia.

840

- Czy... czy ekscelencja Meszang już przybył? - zapytała słabym głosem.

. - Nie, nie, księżniczko. Pomogę ci dojść do łóżka, zaraz poczujesz się lepiej.

- Ja., nie, dziękuję, Dżari. Czuję... czuję się dobrze. Proszę, zostawcie nas samych.

- Ale księż...

- Zostawcie nas samych! Usłuchali. Karima przepełniała udreka.

- Proszę, wybacz mi, kochana Szahrazad. Nie powinienem martwić cię tyloma sprawami, ale... ale dowiedziałem się o ojcu dziś rano. Przepraszam, Szahrazad, to nie dla kobiety...

- Karim, błagam cię, posłuchaj - przerwała mu zdesperowana. - Cokolwiek zrobisz, nie wspominaj o wujku Waliku, nie wspominaj o nim Meszangowi i... i o innych. Jeszcze nie teraz, proszę cię! Nie mów o Waliku!

- Ale dlaczego?

- Ponieważ... ponieważ... - Och, Boże, och, Boże, co ja mam zrobić? - pomyślała; miała ochotę krzyknąć. To na pewno Tommy pilotował HBC, na pewno, och, Boże, spraw, żebym się myliła, jestem jednak pewna, że o tym właśnie mówił Erikki: "Nie martw się, Tommy obsługuje czarter do Bandar Dejlamu. Leci HBC z częściami zamiennymi. To nie potrwa dłużej niż dzień lub dwa". Czyż Bander Dejlam nie leży koło Abadanu, to znaczy blisko granicy? Wujek Walik odwiedził Tommy'ego późną nocą, o wiele za późno, gdyby sprawa 409

nie była bardzo pilna. A potem, gdy wyszedł, Tommy się zmienił. Martwił się i wpatrywał w ogień. Rodzina musi dbać o rodzinę. Coś takiego wtedy mruknął. Och, Boże, pomóż mi...

- O co chodzi, Szahrazad, o co chodzi?

Nie śmiem ci tego powiedzieć, Karimie, choć powierzyłabym ci własne życie. Muszę chronić Tommy'ego. Jeśli Meszang dowie się o Tommym, to wszystko się skończy. On go zadenukuje, nie będzie ryzykował dalszych kłopotów... lub zbrodni przeciwko Bogu! Nie 841

mogę walczyć z rodziną; Meszang każe mi wziąć rozwód. O Boże, co mam robić? Bez Tommy'ego ja... ja umrę, wiem, że tak... Co mówił Tommy o transporcie helikoptera? Do Asz Szargaz? To miało być tam, czy do Nigerii? Nie śmiem ci powiedzieć, Karimie, nie śmiem...

Gdy jednak dojrzała ogrom jego zatroskania, otworzyła usta i wypluła z siebie wszystko, czego nie śmiała powiedzieć.

- To niemożliwe - zająknął się - niemożliwe, w teleksie napisali, że nikt nie przeżył. On nie mógł być w środku.

- Tak, ale był. Jestem tego pewna. Jestem pewna. Och, Karimie, co ja mam zrobić? Pomóż mi, proszę, błagam cię, pomóż miiii! - Po policzkach płynęły jej łzy. Objął ją i próbował

uspokoić. - Proszę, nie mów Meszangowi, proszę, pomóż mi, jeśli mój Tommy... ja umrę.

- Ale Meszang w końcu się dowie! Musi się dowiedzieć.

- Proszę, pomóż mi. Musi być coś, co możesz zrobić, musi być coś...

Otworzyły się drzwi; do salonu wpadł Mieszang, a za nim Zarah.

- Szahrazad, moja droga, Dżari powiedziała, że zemdląłeś. Co się stało? Czy już dobrze się czujesz? Karim, jak się masz? - Urwał, zdumiony wyglądem Karima. - Co się, na Boga, dzieje?

W ciszy, która zapadła, Szahrazad położyła rękę na ustach, przerażona, że znowu się wygada.

Zobaczyła, że Karim się waha. Cisza robiła się coraz bardziej nieznośna. Potem usłyszała, jak Karim pospiesznie wyjaśnia:

- Przynoszę straszne wieści. Po pierwsze... po pierwsze, mój ojciec. Został rozstrzelany, rozstrzelany za... za zbrodnię przeciwko islamowi...

- To niemożliwe! - mruknął Mieszang. - Bohater z Dhofar? Na pewno się mylisz.

- To nie było także możliwe w przypadku ekscelencji Dżareda Bakrawana, a jednak nie żyje.

Mój ojciec nie żyje, podobnie jak on. Są jeszcze inne wieści, wszystkie złe...

842

Szahrazad bezradnie wybuchnęła płaczem. Zarah objęła ją ramieniem. Serce Karima wyrywało się do Szahrazad; zostawił Walikę, jego żonę i dzieci innym.

- In sza'a Allah - powiedział, czując wstręt do tej wymówki, skrywającej bluźniercze zbrodnie popełniane przez ludzi w imieniu Boga, którego tacy ludzie nigdy nie znali.

Prawdziwym darem Boga jest Ajatollah, pomyślał. Musimy tylko pójść za nim i oczyścić islam z tych występnych bluźnierców. Bóg ukarze ich po śmierci, którą my, żywi, musimy im zadać jako sprawiedliwą karę.

- Same złe wiadomości. Jestem podejrzany, tak samo większość moich przyjaciół. Dla całego lotnictwa wybiła godzina próby. Postąpiłem głupio, opowiadając o tym Szahrazad...

Chciałem, żebyś o tym wiedział, Mieszangu, ale to głupie, że powiedziałem jej. Dlatego...

dlatego zemdląłem. Wybaczcie mi, proszę. Niestety nie mogę zostać. Muszę... muszę wracać.

Chciałem tylko wam o tym powiedzieć... musiałem komuś powiedzieć...

W BIURZE McIVERA, 22:20. McIver siedział samotnie w biurze w przybudówce na dachu. Siedział na

I poskrzypującym krześle, z nogami na biurku. Czytał.

Dzięki generatorowi światło paliło się jasno, a w pokoju i było ciepło. Teleks pracował, radiostacja też. Było już

I późno, nie miał jednak po co wracać do domu, gdzie było 410

j zimno i czekała Genny. Podniósł wzrok, słysząc pospieszne kroki na zewnętrznych schodach. Nerwowe pukanie. I - Kto tam?

- Kapitan McIver? To ja, kapitan Peszadi, Karim Peszadi.

Zdziwiony McIver otworzył drzwi. Znał dobrze młodego człowieka, zarówno z kursów pilotów helikop-, terowych, jak i jako kuzyna Szahrazad. Wyciągnął na i powitanie rękę, skrywając zdziwienie wywołane wyglą-

I dem młodzieńca.

- Wejdz, Karimie, czym mogę służyć? Było mi strasznie przykro, gdy usłyszałem o aresztowaniu twojego ojca.

d 843

- Został rozstrzelany dwa dni temu.

- Och, Chryste!

- Tak. Przepraszam, ale nie mam do powiedzenia niczego przyjemnego.- - Karim szybko zamknął drzwi i zniżył głos. - Przepraszam, ale muszę się spieszyć. Jestem już o całe godziny spóźniony. Przed chwilą byłem u Szahrazad. Poszedłem do pańskiego mieszkania, ale kapitan Pettikin powiedział, że jest pan tutaj. Dziś wieczorem przeczytałem tajny teleks z naszej bazy w Abadanie. - Przytoczył treść teleksu.

McIver był przerażony i próbował to ukryć.

- Czy powiedziałaś o tym kapitanowi Pettikinowi?

- Nie. Pomyślałem sobie, że powinienem powiedzieć tylko panu.

- O ile wiemy, HBC został uprowadzony. Żaden *z naszych pilotów nie ma z tym...

- Nie jestem tutaj służbowo. Przyszedłem tylko po to, żeby panu powiedzieć, gdyż nie ma Toma. Nie wiedziałem, co zrobić. Widziałem się z Szahrazad i dowiedziałem się zupełnie przypadkowo o Tomie. - Powtórzył słowa Szahrazad. - W jaki sposób Tom mógł ocaleć, skoro wszyscy zginęli?

McIver poczuł klucie w klatce piersiowej.

- Ona jest w błędzie.

- Na litość boską, proszę powiedzieć mi prawdę! Pan na pewno wie! Tom musiał panu powiedzieć! Może mi pan zaufać - wybuchnął młody człowiek, odchodząc od zmysłów ze zmartwienia. - Musi mi pan zaufać. Może będę mógł pomóc. Tom jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, także Szahrazad i nasze obie rodziny! Musi mi pan zaufać! W jaki sposób Tom się wydostał?

McIver poczuł, że węzeł zaciska się wokół nich wszystkich: Locharta, Pettikina, jego samego.

Nie trać głowy, nakazał sobie, bądź ostrożny, nie waż się do niczego przyznać. Nie przyznawaj się do niczego.

- O ile wiem, Tom był daleko od HBC.

- Kłamca! - wykrzyknął gniewnie młodzieniec i wyrzucił z siebie to, co gruntownie przemyślał po drodze tutaj - idąc, walcząc o miejsce w autobusie, znów idąc.

844

Śnieg, zimno i rozpacz. Świadomość, że ma stanąć przed komitetem. - Musiał pan podpisać zezwolenie, pan albo Pettikin, a nazwisko Toma musiało być na zezwoleniu. Znam was aż za dobrze, pana i to pańskie wbijanie wszystkim do głowy, że trzeba wpisywać się do książki, podpisywać formularze, zawsze mieć podpisany formularz. Zrobił to pan, prawda? Prawda?

- krzyczał.

- Będzie lepiej, jeśli pan już wyjdzie, kapitanie

- uciął McIver.

- Pan jest w to zamieszany nie mniej niż Tom. Nie widzi pan tego? Pan ma kłopoty, jak...

- Niech pan lepiej zostawi to wszystko w spokoju. Wiem, że jest pan zdenerwowany i ta sprawa z ojcem

- powiedział uprzejmie. - Jest mi naprawdę strasznie przykro.

411

Jeśli nie liczyć cichego pomruku radiostacji i generatora umieszczonego na dachu, panowała absolutna cisza. McIver czekał, Karim czekał. Potem młody człowiek nieznacznie skinął głową.

- Ma pan rację - odparł przygnębiony. - Dlaczego miałby mi pan ufać? Zaufanie to coś, co od nas odeszło. Nasz świat stał się piekłem na ziemi, wszystko przez Szacha. Ufaliśmy mu, a on nas zawiódł. Dał nam fałszywych sprzymierzeńców, nałożył kaganiec generałom, uciekł i zostawił nas w pułapce. To wstyd, zostawił nas fałszywym mułom. Przysięgam na Boga, że może mi pan ufać, ale co to znaczy dla pana czy kogokolwiek innego? Zaufanie od nas odeszło. - Wykrzywił twarz.

- Może Bóg też od nas odszedł. - Radiostacja w przyległym pokoju cicho zatrzeszczała -

skutek burzy elektrycznej gdzieś w eterze. - Czy może pan wywołać Zagros? Szahrazad powiedziała, że Tom wrócił tam. dziś rano.

- Próbowałem już wcześniej, ale mi się nie udało

- odpowiedział zgodnie z prawdą McIver. - O tej porze roku to prawie niemożliwe, ale wiem, że dotarli bezpiecznie; nasza baza w Kowissie przekazała informację zaraz po południu.

845

- Niech... niech pan lepiej powie Tomowi o tym, co powiedziałem panu. Niech pan mu powie, żeby uciekał. - Karim dodał głucho: - Wy wszyscy macie szczęście; wszyscy możecie wrócić do domu. - Załamał się; po policzkach popłynęły mu łzy.

- Och, chłopcze...

McIver objął go ramieniem gestem pełnym współczucia; młodzieniec był w wieku jego własnego syna, bezpiecznego w Anglii, bezpiecznie urodzonego w Anglii, bezpiecznego na ziemi, lekarza nie mającego nic wspólnego z lataniem, bezpiecznego... Boże w niebiosach, kto jest naprawdę bezpieczny?

Po chwili poczuł, że młodzieniec odsuwa się od niego. Aby zaoszczędzić mu upokorzenia, odwrócił się i spojrzał na kuchenkę.

- Właśnie chciałem się napić herbaty. Zrobić także tobie?

- Ja... ja tylko wypiję tylko trochę wody i pójdę, dziękuję.

McIver natychmiast poszedł po wodę. Biedny chłopak, pomyślał, jak strasznie postąpiono z jego ojcem. Taki wspaniały facet: twardy, zwolennik ostrego kursu, ale uczciwy i lojalny, żadnych nieuczciwych kombinacji na boku. Straszne. Boże wszechmogący, jeśli rozstrzelali jego, mogą to zrobić z każdym. Wszyscy niedługo umrzemy, nie w ten, to inny sposób.

- Proszę. - Wręczył Karimowi szklanę.

Młody człowiek wziął ją, zawstydzony, że stracił nad sobą panowanie w obecności cudzoziemca.

- Dziękuję. Dobranoc. - Spostrzegł, że McIver patrzy na niego w dziwny sposób. - O co chodzi?

- Wpadła mi do głowy pewna myśl, Karimie. Czy mógłbyś mieć dostęp do wieży Doszan Tappeh?

- Nie wiem, a dlaczego?

- Gdybyś miał, a nikt nie wiedziałby, czego naprawdę chcesz, może mógłbyś wyciągnąć zezwolenie HBC. Powinno być w książce startów, jeśli robili tamtego dnia wpisy. Wtedy moglibyśmy

sprawdzić, kto był pilotem, prawda?

846

- Tak, ale co by nam z tego przyszło? - Karim patrzył w jasne oczy osadzone w pobrużdżonej twarzy.
- Na pewno to się nagrało automatycznie na taśmę.

- Może tak, a może nie. Tam toczyły się walki; może nie byli tacy sprawni. O ile wiemy, ten, kto wziął HBC, nie dostał słownego zezwolenia z wieży. Po prostu wystartował. Może w całym tym zamieszaniu nawet nie odnotowali zezwolenia. - McIver, rozwijając tę myśl, 412

nabierał coraz większej nadziei. - Ślad mógł pozostać tylko w książce, w książce zezwoleń na start. Prawda?

Karim próbował wybadać, do czego zmierza McIver.

- A jeśli to był, powiedzmy, Tom Lochart?

- Nie wiem, jak to by się mogło stać, gdyż wtedy musiałby tam być mój podpis, a to, eee, to by było fałszerstwo. - McIver niechętnie kłamał, jego pospiesznie sklecona historyjka brzmiała z każdą chwilą coraz gorzej. - Podpisałem tylko jedno zezwolenie dla Nog-gera Lane'a na przewóz części do Bandar Dejlamu, ale unieważniłem je, zanim wystartował. Te części nie były ważne, chciałem poczekać, aż uzbiera się więcej, a w tym czasie wprowadzono HBC.

- Zezwolenie jest jedynym dowodem?

- Tylko Bóg jeden wie, czy na pewno. Jeśli zezwolenie jest na Toma Locharta i jest na nim mój podpis, to jest on fałszywy. Takie fałszerstwo może sprawić wiele kłopotu, a więc nie powinno istnieć, prawda?

Karim ociężale pokręcił głową. Myślał już o wieży. Minąć strażników - czy będą tam strażnicy? - odnaleźć książkę i właściwą stronę i zobaczyć... zobaczyć Zieloną Opaskę w drzwiach. Zabić go, zabrać książkę i wybiec równie cicho, jak się weszło. Pójść do Ajatollaha, powiedzieć mu o potwornej zbrodni popełnionej na ojcu. Ajatollah jest mądry, wysłucha, nie tak jak te psy, które nadużywają Słowa. Od razu nakaże odwet w imieniu Jedyne Boga. Potem pójść do Meszanga i powiedzieć mu, że rodzina jest ocalona, a co ważniejsze, wiedzieć, że Szahrazad, którą kochał do szaleństwa i której pragnął do szaleństwa, ale nie mógł nigdy mieć - bliski kuzyn, sprzeczne z prawem Koranu - także jest ocalona.

847

- Zezwolenie nie powinno istnieć - powtórzył, teraz już bardzo zmęczony. Wstał. - Spróbuję.

Tak, spróbuję. Co się przydarzyło Tomowi?

Przerwał im stukot teleksu. Drgnęli. McIver spojrzał na Karima.

- Gdy go spotkasz, zapytaj, czy to, co masz zrobić, jest właściwe, dobrze? Zapytaj Toma.

- Salam.

Uścisnęli sobie ręce. Karim wyszedł, a McIver zamknął za nim drzwi. Teleks nadała Genny w Asz Szargaz. Cześć dzieciaku numer jeden. Rozmawiałam o wszystkim z Chinaboy.

Przyjedzie jutro wieczorem, w poniedziałek, i leci we wtorek 125 do Teheranu. Wyznacza ci spotkanie i konferencję na lotnisku. Wszystko przygotowane do remontu 212 i szybkiego odesłania. Potwierdzić. Rozmawiałam z dziećmi w Anglii; wszystko w porządku. Świetnie się bawię i szaleję w mieście, zadowolona, że cię tu nie ma. Dlaczego cię nie ma? MacAlister.

MacAlister było jej nazwiskiem panięskim, którego używała wtedy, gdy była bardzo znudzona mężem. - Pocziwa stara Gen - powiedział na głos. Myśląc o niej, poczuł się lepiej.

To dobrze, że jest bezpieczna i poza tym całym bałaganem. Dobrze, że zadzwoniła do dzieci; to musiało jej sprawić przyjemność. Po raz drugi przeczytał teleks. O co, do cholery, chodzi z Andym? Już niedługo się dowiem. Przynajmniej jesteśmy w kontakcie przez Asz Szargaz.

Usiadł na miejscu sekretarki i zaczął wystukiwać potwierdzenie.

O zmierzchu przyszedł teleks z Aberdeen, ale był nieczytelny poza podpisem: Gavallan.

natychmiast poprosił o powtórzenie; do tej pory czekał bezskutecznie na odpowiedź. Odbiór radiowy był także zły. Krążyły pogłoski o silnych burzach śniegowych w górach. Serwis Światowy BBC - sygnał zanikał i słyszalność była znacznie gorsza niż zwykle - podawał

wiadomości o potężnych burzach w całej Europie i na Wschodnim Wybrzeżu USA, o powodziach w Brazylii. Wiadomości w ogóle były kiepskie: dalsze strajki w Anglii, ciężkie 848

walki w Wietnamie pomiędzy armiami chińską i wietnamską, zestrzelenie przez partyzantów rodezyjskiego liniowca schodzącego do lądowania. Carter zapowiada racjonowanie benzyny.

413

Sowieci przeprowadzili próbę z rakieta o zasięgu dwóch tysięcy czterystu metrów, a w Iranie

"Przewodniczący Jasir Arafat spotkał się z Ajatollahem Chomeinim wśród wiwatów tłumu, obaj przywódcy uściskali się publicznie, a OWP przejmując siedzibę Misji Izraela w Teheranie. Doniesiono o rozstrzelaniu czterech dalszych generałów. W Azerbejdżanie trwają ciężkie walki pomiędzy siłami sprzyjającymi Chomeiniemu a jego przeciwnikami. Premier Bazargan nakazał zamknięcie dwóch radarowych stacji nasłuchu na granicy irańsko-sowieckiej oraz uzgodnił spotkanie Ajatollaha Chomeiniego oraz ambasadora sowieckiego w celu omówienia pozostałych różnic zdań..."

Przygnębiony McIver wyłączył radio; wyławianie słów z nawału trzasków przyprawiało go o ból głowy. Głowa bolała go zresztą już od rana; zaczęło się po porannym spotkaniu z wicepremierem Alim Kia. Kia przyjął czeki banku szwajcarskiego, "opłaty licencyjne" za odlot trzech 212, a także za

sześć lądowań i startów 125. Przyrzekł też, że zbada sprawę wyrzucenia ich z Zagrosu.

- Proszę na razie powiedzieć komitetowi w Zagro-sie, że ich polecenie zostało zawieszona przez ministerstwo do czasu przeprowadzenia dochodzenia.

Dużo to pomoże, gdy patrzy się w wylot lufy karabinu, pomyślał McIver. Ciekawe, co teraz robią Eriki i Nogger? Po południu przyszedł teleks od Iran-Timber, przekazany przez kontrolę lotów z Tebrizu: Kapitanowie Yokkonen i Lane proszeni są o przybycie w celu wykonywania przez trzy dni pilnych prac. Warunki czarteru normalne. Z podziękowaniem.

Była to zwykła prośba, podpisana jak zwykle przez kierownika rejonu. To dla Noggera lepsze niż siedzenie na tyłku, pomyślał McIver. Ciekawe, po co ojciec wezwał Azadeh?

Wkrótce potem, o 19:30, odezwał się Kowiss, lecz odbiór był bardzo słaby, zaledwie dwa na pięć, tylko

849

tylko żeby coś tam dosłyszeć. Freddy Ayre poinformował, że Starke wrócił i nic mu nie zrobili.

- Dzięki Bogu!

- Powt... Odbiera... jeden na pięć, kap... ver.

- Powtarzam - powiedział wolno i wyraźnie. - Powiedz Starke'owi, że jestem bardzo zadowolony, że wrócił. Jasne?

- ...tan Starke... adał pyt.... pyt... etu...

- Słyszę jeden na pięć. Spróbuj jeszcze raz o 9:00 albo lepiej ja spróbuję jeszcze dziś koło jedenastej.

- Zrozumiałem... żniej... oło... nastej wieczorem?

- Tak, koło jedenastej wieczorem.

- Kapi... hart i Jean-Luc przyby... Zagro... bezpiecznie.

Potem nie można już było niczego zrozumieć. Powrócił do oczekiwania; trochę się zdrzemnął, trochę poczytał, a teraz, siedząc przy teleksie, spojrzął na zegarek: 22:30.

- Jak tylko skończę, wywołam Kowiss - powiedział na głos. Starannie zakończył teleks do żony, dodając informację interesującą Manuelę, to znaczy, że w Kowis-sie wszystko w porządku. Rzeczywiście, pomyślał, skoro Starke wrócił, nic mu nie jest i nikomu nic się nie stało.

Wsunął taśmę perforowaną do urządzenia z kołem zębatym, wystukał numer Asz Szargaz, poczekał denerwująco długo na potwierdzenie i nacisnął guzik nadawania. Urządzenie zaklekotało. Ponowne

długie oczekiwanie; w końcu nadeszło potwierdzenie odbioru z Asz Szargaz.

- Dobra. - Wstał i przeciągnął się. W szufladzie biurka przechowywał proszki. Wziął już drugi tego dnia. - Cholerne ciśnienie krwi - mruknął. Ostatnie badanie wykazało 160 na 115.

Pigułki obniżały je do wygodnego poziomu 135 na 85.

- Posłuchaj jednak, Mac, to nie znaczy, że możesz wlewać w siebie whisky i wino, zreć jajka i śmietankę. Poziom cholesterolu też jest za wysoki...

414

- Jaka, do cholery, whisky i śmietankę, doktorze? To jest Iran...

850

Pamiętał, jak podle się wtedy poczuł, a gdy Genny zapytała:

- No i jak?

- Świetnie - odpowiedział. - Lepiej niż poprzednio. Nie było tego cholernego męczenia! Do diabła z tym! I tak nie mogę robić tego, czego nie wolno mi robić. Na pewno mógłbym wypić jedną czy dwie duże whisky z wodą i lodem. W normalnych czasach miałbym butelkę w sejfie, a lód i wodę w małej lodówce. Teraz nie mam nic. Dostawy na poziomie zero.

Zrobił sobie herbaty. Co z Karimem i HBC? Później się nad tym zastanowię, jest już 23:30.

- Kowiss, tu Teheran, słyszysz mnie? - powtarzał cierpliwie, a potem przerwał. Spróbował za piętnaście minut. Nic, żadnego kontaktu. - Pewnie jest jakaś burza - powiedział, tracąc już cierpliwość. - Do diabła z tym, spróbuję z domu.

Włożył grube palto i wszedł po kręconych schodkach na dach, żeby sprawdzić poziom paliwa w generatorze. Noc była bardzo ciemna i cicha. Niewiele strzałów, a ich odgłos stłumiony przez śnieg. Nie widział żadnych świateł. Śnieg trochę padał; od świtu uzbierało się prawie trzynaście centymetrów. Otarł śnieg z twarzy i skierował światło latarki na wskaźnik. Paliwa było dość, ale w ciągu kilku dni trzeba wykombinować jakąś nową dostawę. Cholerna niewygoda. Co z HBC? Gdyby Karim zdobył książkę i moglibyśmy ją zniszczyć, nie pozostałby żaden dowód, prawda? Tak, ale co z Is-fahanem, z tankowaniem w Isfahanie?

Zatopiony w myślach, wrócił na dół, zamknął biuro i oświetlając drogę latarką, zaczął schodzić na dół. Nie usłyszał już teleksu, który właśnie zaczął stukać.

W garażu podszedł do swego samochodu i otworzył drzwiczki. Serce zabiło mu mocniej, gdy dojrzał zbliżającą się wysoką postać. Pomyślał o SAVAK-u i HBC; z wrażenia prawie upuścił

latarkę, z mroku jednak wyłonił się Armstrong w ciemnym płaszczu i kapeluszu.

- Przepraszam, kapitanie McIver, nie chciałem pana przestraszyć.

851

- Nie chciał pan, ale zrobił to pan cholernie dobrze - odparł ze złością. Waliło mu jeszcze serce. - Dlaczego, do cholery, nie przyszedł pan po prostu do biura, tylko chowa się w jakichś cholernych ciemnościach jak jakiś cholerny czarny charakter?

- Mógł pan mieć więcej gości; widziałem, jak jeden wychodził, więc pomyślałem sobie, że lepiej poczekać. Przepraszam. Niech pan opuści latarkę.

McIver zrobił ze złością to, o co go proszono. Od czasu gdy Gavallan przypomniał sobie Armstronga, on sam zastanawiał się ciągle, czy gdzieś go nie spotkał. Myśl o "Wydziale Specjalnym lub CID" nie zmniejszyła

jego niechęci.

- Gdzie się pan, u diabła, podziewał? Czekaliśmy na lotnisku, a pan się nie pokazał.

- Tak, bardzo przepraszam. Kiedy 125 wróci do Teheranu?

- We wtorek, jeśli Bóg pozwoli, a dlaczego pan pyta?

- Mniej więcej o której?

- W południe, a o co chodzi?

- Świetnie. Doskonale. Muszę polecieć do Tebrizu; czy mógłbym go zaczarterować razem ze swoim przyjacielem?

- Nie ma mowy. Nie dostanę zezwolenia. Kim jest ten przyjaciel?

- Gwarantuję, że zezwolenie będzie. Przepraszam, kapitanie, ale to bardzo ważne.

- Słyszałem, że w Tebrizie toczą się ciężkie walki; podawali w wiadomościach. Przykro mi, ale nie mogę tego zatwierdzić. Byłoby to dodatkowe ryzyko dla załogi.

415

- Pan Talbot chętnie przyłączy się do tej prośby. - Armstrong mówił tym samym cichym i cierpliwym głosem.

- Nie. Przepraszam. - McIver odwrócił się, ale nieoczekiwany jad, który dał się słyszeć w głosie rozpiówcy, osadził go na miejscu.

852

- Zanim pan pojedzie, chciałbym zapytać o HBC i Locharta. O pańskiego wspólnika Walika oraz jego żonę i dzieci.

McIver zdrętwiał. Widział grubo ciosaną twarz i zdecydowanie zaciśnięte usta. Widział błysk oczu w świetle latarki.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

Armstrong sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę papieru i podsunął ją McIverowi pod oczy.

McIver skierował na papier światło latarki. Kartka była fotokopią wpisu do książki zezwoleń, sporządzonego starannym pismem: EP-HBC zwolniony o 0620 na czarter IHC do Bandar Dejlamu, dostawa części; pilot kapitan T. Lochart, lot za zezwoleniem kapitana Mchera. W

dolnej części kartki widniała fotokopia podpisanego przez McIvera zezwolenia. Nazwisko

"Lane" było wykreślone, z adnotacją "chory". Obok wpisano "kapitan T. Lochart".

- To prezent z najlepszymi życzeniami.

- Skąd pan to ma?

- Gdy 125 wejdzie w przestrzeń powietrzną Teheranu, uprzedzi pan przez radio kapitana Hogga o natychmiastowym czarterze do Tebrizu. Zezwolenie dostanie pan we właściwym czasie.

- Nie, nie widzę...

- Jeśli nie załatwi pan tego i nie pozostanie to między nami - powiedział Armstrong tonem, który przeraził McIvera - oryginały trafią do SAVAK-u. Nowa nazwa brzmi: SAVAMA.

- To szantaż!

- Tylko handel. - Armstrong wcisnął McIverowi kartkę do ręki i zaczął się oddalać.

- Chwileczkę! Gdzie... gdzie są oryginały?

- Chwilowo jeszcze nie u nich.

- Jeśli... jeśli zrobię to, o co pan prosi, dostanę je, dobrze?

- Pan chyba żartuje! Oczywiście, niczego pan nie dostanie.

- To nie jest fair. Cholernie nie fair!

Armstrong zawrócił i stanął przed McIverem; jego twarz przypominała maskę.

- Jasne, że to nie fair. Gdyby dostał pan dokumenty, byłby pan wolny, prawda? Wy wszyscy bylibyście wolni, a dopóki to istnieje, musicie robić to, czego od was zażadam, nieprawdaż?

- Cholerny skurwysyn!

- A pan jest głupcem, który powinien dbać o swoje ciśnienie.

McIver westchnął.

- Jak pan się o tym dowiedział?

- Byłby pan zdumiony, wiedząc, co ja wiem o panu, Genevere MacAlister, Andrew Gavallanie i Noble Hou-se. Wiem jeszcze o wielu innych sprawach, choć nie zrobiłem jeszcze z tego użytku. - Armstrong mówił coraz ostrzej; zmęczenie i niepokój brały górę nad jego opanowaniem. - Czy nie możecie, cholera, zrozumieć, że jest bardzo prawdopodobne, iż sowieckie czołgi i samoloty będą na stałe stacjonować po tej stronie cieśniny Ormuz, a Iran stanie się jakąś cholerną sowiecką prowincją? Jestem już zmęczony waszą strusią polityką. Po prostu róbcie bez gadania to, o co proszę, a jeżeli nie, to zapakuję bardzo wielu z was do więzienia.

TEBRIZ, 5:12. Ross obudził się nagle w małej szopie na obrzeżach posiadłości chana. Leżał bez ruchu, pilnując się, żeby nie oddychać szybciej, i wyęzając wszystkie zmysły. Zdawało 416 się, że nie dzieje się nic niezwykłego; tylko owady i wrażenie ciasnoty pomieszczenia.

Widział przez okno, że noc jest ciemna, a niebo zachmurzone. Obok, na drugim pośłaniu, leżał zwinięty w kłębek Gueng; oddychał normalnie. Z powodu zimna obaj mężczyźni spali w ubraniach. Ross bezszelestnie podszedł do okna i wyjrzał. Nic. Usłyszał szept Guenga:

- Co się dzieje, sahib?

- Nie wiem. Chyba nic.

Gueng dotknął go lekko i wskazał ręką. Na werandzie krzesło strażnika było puste.

- Może po prostu poszedł się odlać.

Zawsze pilnował ich przynajmniej jeden strażnik. Przez całą dobę. Zeszłej nocy było ich dwóch, toteż Ross wypchał swoje pośłanie, żeby wydawało się, że na nim leży, zostawił

Guenga, który miał w razie czego odwracać uwagę, i wyslizgnął się przez tylne okno na spotkanie z

Erikkim i Azadeh. W drodze powrotnej natknął się na patrol, ale strażnicy byli tak zaspani i nieuważni, że udało mu się ich ominąć.

- Wyjrzyj przez tylne okno - szepnął Ross. Obserwowali i czekali. Mniej więcej za godzinę będzie świtać, pomyślał Ross.

- Sahib, może to był tylko duch gór - powiedział ściszym głosem Gueng. __

W Kraju na Dachy Świata uważano, że w nocy duchy odwiedzają w dobrych lub złych celach śpiących mężczyzn, kobiety i dzieci, a sny są opowieściami szeptanymi do ucha.

Niski mężczyzna badał wzrokiem i słuchem ciemności.

- Myślę, że powinniśmy przyrzeć się tym duchom. Podszedł do swego posłania, wciągnął buty, wetknął

do kieszeni munduru talizman, który w nocy leżał pod poduszką, a potem owinał się plemienną szatą i włożył turban. Zręcznie sprawdził granaty i karabin, wziął plecak z surowego materiału, zawierający amunicję, granaty, wodę i trochę jedzenia. Nie musiał

sprawdzać kukri, z którym nigdy się nie rozstawał; oliwił go i czyścił co wieczór - i co wieczór ostrzył - przed pójściem spać.

Ross także był już gotów. Ale gotów do czego? - zadał sobie pytanie. Obudziłeś się zaledwie pięć minut temu; kukri gładko wychodzi z pochwy, odbezpieczona broń, ale po co? Gdyby Abdollah chciał nas skrzywdzić, już dawno odebrałby nam broń. Przynajmniej próbowałby odebrać.

Poprzedniego dnia po południu usłyszeli start 206. Wkrótce potem odwiedził ich Abdollah-chan.

- Przepraszam za opóźnienie, kapitanie, ale polowanie jest bardziej zacięte niż kiedykolwiek.

Nasi sowieccy

858

przyjaciele wyznaczyli ogromną nagrodę za wasze głowy

- powiedział jowialnie. - Może taką, że sam bym się skusił.

- Miejmy nadzieję, że nie. Jak długo będziemy musieli czekać?

- Kilka dni, nie dłużej. Wygląda na to, że Sowietom bardzo na was zależy; przybyła do mnie kolejna delegacja z prośbą o pomoc w schwytaniu was. Pierwsza zjawiała się, zanim tu dotarliście. Nie martwcie się tym; wiem, gdzie leży przyszłość Iranu.

Zeszłej nocy Erikkim potwierdził fakt wyznaczenia nagrody.

- Byłem dziś w okolicach Sawalanu przy następnym radarze. Jacyś robotnicy myśleli, że jestem Rosjaninem

- przy granicy wielu ludzi zna rosyjski. Powiedzieli mi, że mają nadzieję, iż to oni złapią wysokiego brytyjskiego sabotażystę i jego pomocnika. Nagrodą jest pięć koni, pięć wielbłądów i pięćdziesiąt owiec. To fortuna. Mogę się założyć, że gdyby wiedzieli, iż jesteście tak daleko na północy, na pewno by tu zajrzeli.

- Czy Sowieci cię pilnowali?

417

- Tylko Cimtarga, ale nawet po tej rozmowie nie wyglądało na to, że się wami zajmuje.

Tylko mną i helikopterem. Ci mówiący po rosyjsku pytali mnie ciągle, kiedy wreszcie przekroczymy granicę.

- Mój Boże, czy mieli jakieś podstawy do takich przypuszczeń?

- Wątpię, chyba tylko plotki. Tutejsi ludzie żyją plotkami. Odpowiedziałem, że nigdy, ale ten facet mnie wyśmiał i powiedział, że wie, iż całe "ligi" naszych czołgów i armie są w pogotowiu, bo on je widział. Nie znam farsi, więc nie wiem, czy to nie był jakiś facet z KGB

przebrany za człowieka ze szczepu.

- Te "rzeczy", które przewozisz? Czy to coś ważnego?

- Nie wiem. Trochę komputerów, masa czarnych skrzynek i papierów. Trzymają mnie z daleka od tego wszystkiego, ale wiem, że nie badają tego eksperci; po prostu odrywają to od ścian, przecinają druty i rzucają

859

na kupę. Robotnicy interesują się tylko magazynami, szczególnie papierosami.

Rozmawiali o ucieczce. Nie można było opracować żadnego planu; zbyt wiele niewiadomych.

- Nie wiem, jak długo mam jeszcze latać - rzekł Erikki. - Ten sukinsyn Cimtarga powiedział mi, że premier Bazargan kazał Jankesom opuścić dwa dalsze miejsca, bardziej na wschód, w stronę Turcji; ostatnie, jakie tu mieli. Kazał im ewakuować się natychmiast i zostawić sprzęt.

Pewnie jutro tam polecimy.

- Czy prowadziłeś dzisiaj 206?

- Nie. To był Nogger Lane, jeden z naszych pilotów. Przyleciał tu z nami, żeby zabrać 206 z

powrotem do Teheranu. Nasz kierownik bazy powiedział mi, że wynajęli Noggera do przyjrzenia się kilku miejscom, gdzie toczą się jeszcze walki. Gdy McIver nie będzie miał od nas wiadomości, zdziwi się i wyśle kogoś na poszukiwanie. To by nam dało jakąś szansę. A co z wami?

- Możemy się wymknąć. Robię się cholernie nerwowy w tej pieprzonej szopie. Pójdziemy w stronę waszej bazy i ukryjemy się w lesie. Skontaktujemy się z wami, jeśli będziemy mogli, ale nie liczcie na to, dobra?

- Tak. Nie ufajcie nikomu w bazie poza dwoma naszymi mechanikami, Dibble'em i Arberrym.

- Czy mogę coś dla was zrobić?

- Czy mógłbyś zostawić mi granat?

- Oczywiście. Rzuciłeś już kiedyś granatem?

- Nie, ale wiem, jak to działa.

- Dobra. To tutaj. Wyciągnij zawleczkę i policz do trzech - nie do czterech - i rzucaj. Chcesz pistolet?

- Nie, dziękuję, mam nóż, ale granat może się przydać.

- Pamiętaj, że one robią trochę hałasu. Lepiej już pójde. Powodzenia.

Ross, mówiąc to, spojrział na Azadeh. Widział, jaka jest piękna, i był boleśnie świadom tego, że ich czas został już wpisany w gwiazdy lub wiatr, lub melodię 860

dzwonów, które były taką częścią lata w Wysokim Kraju, jak same szczyty gór. Zastanawiał się, dlaczego nie odpowiadała na jego listy, a potem dowiedział się w szkole, że wyjechała.

Wyjechała do domu. Wyjechała. Ostatniego dnia powiedziała do niego:

- To, co przemija, nie może nadejść znowu, mój Johnny "Jasne Oczy".

- Wiem. Jeśli nie nadejdzie, umrę szczęśliwy, gdyż wiem już, czym jest miłość. Naprawdę.

Kocham cię, Azadeh.

Ostatni pocałunek. Potem do pociągu. Machała na pożegnanie, aż zniknęła mu z oczu.

Zniknęła na zawsze. Może oboje wiedzieliśmy, że na zawsze, pomyślał, czekając w ciemnościach maleńkiej szopy, próbując podjąć decyzję, co robić: jeszcze poczekać, iść spać 418

czy uciec. Może jest tak, jak powiedział chan, i jesteśmy tu bezpieczni - chwilowo. Nie ma powodów, żeby tak całkiem mu nie ufać. Vien Rosemont nie był głupcem, a powiedział...

- Sahib!

Usłyszał skradające się kroki niemal w tej samej chwili. Obaj mężczyźni przyczaili się za drzwiami, kryjąc jeden drugiego; obaj zadowoleni, że nadszedł już czas działania. Drzwi otworzyły się cicho. Stał w nich upiorny duch gór; zatrzymał się w drzwiach i badał

wzrokiem ciemności, w których tonęło wewnątrz szopy. Ross ze zdumieniem rozpoznał

Azadeh; czador sprawiał, że zlewała się z mrokiem; miała twarz spuchniętą od płaczu.

- Johnny? - szepnęła niespokojnie.

Przez chwilę Ross się nie poruszał; trzymał broń w pogotowiu, spodziewając się wrogów.

Potem szepnął:

- Azadeh, tutaj, obok drzwi. - Próbował nadal przebić wzrokiem ciemności.

- Szybko, za mną. Jesteście w niebezpieczeństwie! Prędkiej! - Natychmiast zniknęła w ciemnościach nocy.

Zobaczył, że Gueng kręci niespokojnie głową, i zawahał się. Potem podjął decyzję. Chwycił swój plecak.

- Idziemy.

861

Wyślizgnął się na zewnątrz i pobiegł za Azadeh. Księżyc niezbyt jasny, Gueng z tyłu i trochę z boku; odruchowo osłaniał kapitana. Azadeh czekała obok kępy drzew. Zanim do niej dotarł, skinęła ręką i nieomylnie prowadziła przez sad, obchodząc jakieś zabudowania gospodarcze.

Śnieg tłumił odgłos ich kroków, lecz pozostawiali w nim ślady; Ross był tego świadom. Szedł

o dziesięć kroków za Azadeh; starannie badał wzrokiem teren, zastanawiając się, jakie grozi im niebezpieczeństwo, dlaczego ona płakała i gdzie jest Erikki?

Chmury pokrywały prawie całe niebo. Kiedy księżyc się pojawiał, dziewczyna zatrzymywała się i nakazywała gestem, żeby oni także poczekali. Potem ruszała naprzód, dobrze wykorzystując osłonę terenu. Ross zastanawiał się, gdzie się nauczyła takiego zachowania w lesie i przypomniał sobie Erikkiego, jego wielki nóż, Finów i Finlandię - kraj jezior i lasów, gór, trolli i polowań. Skoncentruj się, idioto; potem sobie o tym wszystkim pomyślisz, a teraz możesz narazić wszystkich na niebezpieczeństwo. Skoncentruj się!

Jego oczy przeszukiwały teren; oczekiwał kłopotów, chciał, żeby się już wreszcie zaczęły.

Wkrótce dotarli do zewnętrznego muru. Mur miał trzy metry wysokości; zrobiony był z ciosanych kamieni. Pomiędzy murem a drzewami pozostawiono szeroki, niczym nie osłonięty pas ziemi. Azadeh znów zatrzymała ich gestem w ukryciu i ruszyła na poszukiwanie jakiegoś szczególnego miejsca. Gdy je z łatwością znalazła, gestem dała znak. Zanim do niej dotarł, już się wspinała, odnajdując łatwo wgłębienia i szczeliny, niektóre naturalne, niektóre sprytnie wyżłobione, żeby ułatwić wspinaczkę. Księżyc wyłonił się na skrawku nie osłoniętego chmurami nieba. Ross poczuł, że ciemność go nie skrywa, i wspiał się szybko wyżej. Gdy dotarł do szczytu, ona była już za murem w połowie drogi w dół. Przeczłogał się na drugą stronę, wymacał uchwyty i schował głowę, aby poczekać na Guenga. Był coraz bardziej niespokojny, aż wreszcie dojrzał cień towarzysza docierającego bezpiecznie do muru.

862

Schodzenie było trudniejsze; ześliznął się i spadł z wysokości dwóch metrów. Zaklął i rozejrzał się, żeby sprawdzić, gdzie się znajduje. Azadeh przecięła już graniczną drogę i kierowała się na skaliste wzniesienie, wyrastające ze stromego zbocza góry piętrzącej się o dwieście metrów dalej. W dole, nieco w lewo, widział kawałek Tebrizu; w odleglejszej jego części, koło lotniska, płonęły ognie pożarów. Ross mógł już usłyszeć odległą kanonadę.

Gueng opuścił się zręcznie na ziemię, uśmiechnął się i popchnął kapitana do przodu. Gdy Ross dotarł do wzniesienia, stracił Azadeh z oczu.

419

- Johnny, tutaj!

Dostrzegł małą rozpadlinę skalną i ruszył naprzód. Miejsca było zaledwie tyle, żeby jakoś się wcisnąć. Poczekał, aż Gueng dojdzie, a potem ruszył w ciemności szczeliny. Azadeh podała mu rękę i pomogła odnaleźć drogę. Skinęła na Guenga i podała rękę także jemu. Potem zasłoniła szczelinę grubą skórzaną zasłoną. Ross sięgnął do plecaka po latarkę, ale zanim zdążył ją wyjąć, zapłonęła zapałka. Azadeh osłaniała ją dłonią. Uklękła i zapaliła świecę, która stała w małej niszy skalnej. Ross szybko rozejrzał się wokół. Zasłona zdawała się nie przepuszczać światła, grota była obszerna, ciepła i sucha. Kilka koców, stare dywany na ziemi, kilka talerzy i sztuców, jakieś książki i zabawki na naturalnej półce. Aha, dziecinna kryjówka, pomyślał i spojrzał na Azadeh. Klęczała nad świecą, plecami do niego; teraz, gdy zdjęła z głowy czador, stała się podobna do siebie.

- Proszę. - Podał jej butelkę z wodą. Przyjęła ją z wdzięcznością, lecz unikała jego spojrzenia. Spojrzał na Guenga; mógł czytać w jego myślach. - Azadeh, czy moglibyśmy zgasić świecę? Wiemy już, gdzie jesteśmy. Odsuniemy zasłonę i będziemy mogli obserwować otoczenie. W razie czego mam latarkę.

- Och, och, tak... tak, oczywiście. - Odwróciła się do świecy. - Ja... och, tylko chwileczkę, przepraszam... - Na półce stało lusterko, którego przedtem nie zauważył. Wzięła je i przejrzała się. To, co zobaczyła, nie

863

spodobało się jej: strużki potu i zapuchnięte oczy. Pospiesznie otarła twarz, wyjęła grzebień i uczesała się najlepiej, jak mogła. Ostatnie spojrzenie w lusterko. Zgasła świecę. -

Przepraszam - powiedziała.

Gueng zdjął zasłonę, wyszedł i zaczął nasłuchiwać. Odgłos strzałów, dochodzący od strony miasta. W dole i nieco z prawej płonęło kilka budynków położonych za pojedynczym pasem startowym lotniska. Na lotnisku nie paliły się światła, w samym mieście bardzo niewiele.

Nieliczne reflektory samochodów. Pałac nadal ciemny i cichy; nie widać było niczego niebezpiecznego. Wrócił i powiedział Rossowi, co widział. Mówił w języku Gurkhów.

- Lepiej zostanę na zewnątrz. Nie mamy zbyt wiele czasu, sahib - dodał.

- Tak. - Ross usłyszał nutę niepokoju w głosie żołnierza, ale nie zadał żadnego pytania. Znał powód. - W porządku, Azadeh? - zapytał cicho.

- Tak, tak, już tak. To dobrze, że jest ciemno; tak okropnie wyglądam. Tak, już dobrze.

- O co w tym wszystkim chodzi? Gdzie jest twój mąż? - rozmyślnie użył tego słowa, poczuł, jak poruszyła się w ciemności.

- Wczoraj w nocy, zaraz po twoim odejściu, przyszedł Cimtarga ze strażnikiem. Powiedział Erikkiemu, żeby się ubierał. Ten człowiek, Cimtarga, dodał, że przeprasza, ale nastąpiła zmiana planów i chce od razu wyruszyć. I... i ja zostałam wezwana do ojca. Natychmiast.

Zanim weszłam do jego pokoju, usłyszałam, jak wydawał rozkazy. Wy obaj mieliście być schwytani i rozbrojeni zaraz po świcie. - Głos jej zadrżał. - Zamierzał wezwać was obu rzekomo w celu omówienia jutrzejszego wyjazdu. Wpadlibyście w pułapkę koło zabudowań gospodarczych. Mieliście być związani, wsadzeni do ciężarówki i natychmiast wysłani na północ.

- Jaką północ?

- Tbilisi. - Nerwowo mówiła dalej: - Nie wiedziałam, co zrobić. Nie było sposobu, żeby was ostrzec. Jestem pilnowana tak dokładnie jak wy; trzymają mnie 864

z dala od ludzi. Ojciec powiedział, że Erikki nie wróci przez kilka dni, że dziś on, mój ojciec, wyjeżdża w interesach do Tbilisi, i że... że ja mam z nim pojechać. On... on powiedział, że wyjedziemy na dwa-trzy dni, a do tego czasu Erikki skończy i będziemy mogli wrócić do Teheranu. - Była na granicy płaczu. - Tak się boję. Tak się boję, że coś się stanie Erikkiemu.

420

- Na pewno nic mu się nie stanie - odparł uspokajająco. Nie rozumiał, o co chodzi z Tbilisi, próbował zdecydować się co do chana. Jak zwykle pomyślał o słowach Viena: "Zawierz

Abdollahowi swoje życie i nie wierz w kłamstwa, jakie o nim usłyszysz". A jednak Azadeh mówiła coś wręcz przeciwnego. Spróbował na nią spojrzeć; był zły z powodu ciemności, chciał widzieć jej twarz, jej oczy, myślał, że może mógłby coś z nich wyczytać. Jezu, mogła mi to wszystko powiedzieć z tamtej strony tego cholernego muru albo nawet w szopie, pomyślał z rosnącym zdenerwowaniem. Chryste, strażnik! - Azadeh, czy wiesz, co się stało ze strażnikiem?

- Och, tak, ja... ja go przekupiłam, Johnny, przekupiłam, żeby odszedł na pół godziny. Tylko tak mogłam... to był jedyny sposób.

- Boże wszechmogący - mruknął. - Czy możesz mu ufać?

- Och, tak. Ali jest... służy u ojca od lat. Znam go od czasu gdy miałam siedem lat. Dałam mu piszkesz, trochę biżuterii; wystarczy na całe lata dla niego i jego rodziny. Ale Johnny, co do Erikkiego... Tak się boję...

- Nie ma się czym przejmować, Azadeh. Erikki mówił, że mogą go wysłać aż nad granicę turecką. - Dodawał jej odwagi. Niepokoił się o jej bezpieczny powrót. - Nie wiem, jak ci dziękować za ostrzeżenie. Chodź, najpierw odstawimy cię do domu, a...

- Och, nie, nie mogę - wybuchnęła. - Nie rozumiesz? Ojciec zabierze mnie na północ i już nigdy nie wrócę, nigdy. Ojciec mnie nienawidzi i zostawi mnie z Mzytrykiem. Wiem, że tak robi, wiem.

- A co z Erikkim? - zapytał wstrząśnięty. - Nie możesz po prostu uciec!

865

- Muszę, Johnny, muszę. Nie będę czekać, nie pojadę do Tbilisi. Erikki będzie znacznie bezpieczniejszy, jeśli ucieknę. Znacznie.

- O czym ty mówisz? Nie możesz tak po prostu uciec! To szaleństwo! Co będzie, jeśli Erikki wróci dzisiaj i zobaczy, że cię nie ma? Dla...

- Zostawiłam mu kartkę. Umówiliśmy się, że w razie czego zostawię mu wiadomość w skrytce w naszym pokoju. Nie mieliśmy innego sposobu, żebym go mogła poinformować o tym, co ojciec wymyśli, kiedy Erik-kiego nie będzie. Powinien wiedzieć. Jest jeszcze coś.

Ojciec był dzisiaj, koło południa, na lotnisku. Miał spotkać się z kimś z Teheranu. Nie wiem z kim i dlaczego, ale pomyślałam, że może mógłbyś... mógłbyś namówić ich, żeby zabrali nas w drodze powrotnej do Teheranu albo że mogliśmy jakoś dostać się na pokład, albo... albo mógłbyś ich zmusić, żeby nas zabrali.

- Oszalałaś - rzucił ze złością. - To wszystko jest zwariowane, Azadeh. To szaleństwo, uciec i zostawić Erikkiego. Skąd, na Boga, wiesz, że nie jest po prostu tak, jak powiedział twój ojciec? Mówisz, że chan cię nienawidzi. Mój Boże, jeśli uciekniesz w taki sposób, to czy cię lubi czy nie, wścieknie się jeszcze bardziej. Tak czy inaczej, narazisz Erikkiego na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Jak możesz być taki ślepy? Czy tego nie widzisz? Dopóki ja tu jestem, Erikki nie ma żadnych szans, żadnych. Gdyby nie było mnie, mógłby myśleć tylko o sobie. Jeśli się dowie, że jestem w Tbilisi, pojedzie tam i zginie. Nie widzisz tego? Ja jestem przynęta. W imię Boga, Johnny, otwórz oczy! Proszę, pomóż mi!

Usłyszał, że Azadeh płacze, cicho, ale nieprzerwanie. To tylko zwiększyło jego złość. Boże wszechmogący, nie możemy jej zabrać. Nie ma sposobu, żeby to zrobić. To by było morderstwo. Jeśli to, co mówi o ojcu, jest prawdą, w ciągu kilku godzin wpadniemy w sieć.

Będziemy mieć szczęście, jeśli zobaczymy jeszcze zachód słońca. Sieć już jest właściwie zarzucona, na Boga, myśl! Uciezka to jakiś cholerny nonsens!

866

- Musisz wrócić. Tak będzie lepiej - powiedział. Płacz ustał.

421

- In sza'a Allah - rzekła zmienionym głosem. - Niezależnie od tego, co mówisz, Johnny, lepiej wyruszajcie szybko. Nie macie czasu. Którędy pójdziecie?

- Ja... nie wiem. - Tym razem cieszył się z ciemności skrywających jego twarz. Mój Boże, dlaczego to musiała być właśnie Azadeh? - Chodź, dopilnuję, żebyś bezpiecznie wróciła.

- Nie trzeba. Ja... ja zostanę tu jeszcze trochę. Usłyszał w jej głosie fałsz, co jeszcze bardziej zagrało mu na nerwach.

- Wracaj do domu. Musisz wrócić.

- Nie - odparła buntowniczo. - Nie mogę wrócić. Zostaję tutaj. On mnie nie znajdzie. Kiedyś ukrywałam się tu przez dwa dni. Nie martw się o mnie, jakoś sobie poradzę. Ty odejdz. To właśnie musisz zrobić.

Był rozgoryczony, zapanował jednak nad sobą i nie podniósł jej siłą. Zamiast tego usiadł, opierając się o ścianę grotu. Nie mogę jej zostawić, nie mogę odprowadzić z powrotem wbrew jej woli, nie mogę zabrać ze sobą. Nie mogę zostawić, nie mogę zabrać. Och, możesz ją zabrać, ale jak długo to potrwa? A potem, kiedy nas złapią, będzie związana z sabotażystami i Bóg jeden wie, o co jeszcze ją oskarżą. A oni kamienują kobiety.

- Gdy okaże się, że zniknęliśmy, to jeśli ciebie też nie będzie, chan domyśli się, że nas wyprowadziłaś. Jeśli tu zostaniesz, w końcu cię znajdą, a Abdollah i tak będzie wiedział, że nam pomogłaś. To pogorszy sytuację twoją i twojego męża. Musisz wrócić.

- Nie, Johnny. Nie boję się. Jestem w rękach Boga.

- Jezu, Azadeh, rusz głową!

- Właśnie to robię. Jestem w rękach Boga, wiesz przecież. Rozmawialiśmy o tym dziesiątki razy w Wysokim Kraju, nie pamiętasz? Nie boję się. Zostaw mi tylko granat, tak jak Erikkiemu. W rękach Boga jestem bezpieczna. Proszę, idź już.

W dawnych czasach rozmawiali często o Bogu. W Szwajcarii, na górskim szczycie, było to łatwe i nie

867

budziło zakłopotania - nie w towarzystwie ukochanej, która znała Koran, umiała czytać po arabsku i czuła, że jest blisko nieskończoności. Wierzyła absolutnie w islam. Tutaj, w ciemnościach małej grotty, to nie było to samo. Nic nie było takie samo.

- Trudno, In sza a Allah - powiedział i podjął decyzję. - Wracamy. Ty i ja. A ja... ja wyślę Guenga.

- Wstał.

- Poczekaj. - Usłyszał, że ona także wstaje; poczuł jej oddech i bliskość. Jej ręka dotknęła jego ramienia.

- Nie, kochany - powiedziała takim głosem jak dawniej.

- Nie, kochany, to by zniszczyło mojego Erikkiego

- i ciebie, i twojego żołnierza. Nie widzisz tego? Jestem magnesem, który zniszczy Erikkiego.

Usuń magnes, a on zyska szansę. Poza murem mojego ojca ty także masz szansę. Gdy spotkasz Erikkiego, powiedz mu, powiedz mu... powiedz mu.

Co mógłbym mu powiedzieć, zadał sobie pytanie. W ciemności wziął ją za rękę. Czuł jej gorąco i znalazł się w ciemności, razem w wielkim łóżku, ulewa letniej burzy, smagająca okna. Liczyli sekundy mijające od błysku do potężnego grzmotu odbijającego się echem od stromych ścian doliny, czasem tylko jedna lub dwie sekundy, och, Johnny, to musi być prawie nad nami. In sza'a Allah, jeśli nas trafi, nie szkodzi, jesteśmy razem

- trzymali się wtedy za ręce, tak samo jak dziś. Ale nie tak samo, pomyślał ze smutkiem.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

- Sama mu powiesz - oświadczył. - Idziemy razem. Gotowa?

- To znaczy, my, razem?

422

- Tak.

- Najpierw zapytaj Guenga - powiedziała po chwili.

- On robi to, co ja mu każę.

- Tak, oczywiście, ale proszę, zapytaj go. Zrób dla mnie jeszcze to. Proszę.

Podszedł do wąskiego wylotu rozpadliny. Gueng stał oparty o skałę. Zanim Ross zdążył się odezwać. Gueng powiedział cicho w języku Gurkhów:

- Nie ma jeszcze niebezpieczeństwa, sahib. Na zewnątrz.

- Ach, słyszałeś?

- Tak, sahib.

- Co o tym myślisz? Gueng uśmiechnął się.

- To, co myślę, sahib, nie ma znaczenia, nie wpływa na nic. Karma to karma. Zrobię to, co pan każe.

NA LOTNISKU W TEBRIZTE, 12:40. Abdollah--chan stał obok swego kuloodpornego rollsa na pokrytej śniegiem betonowej płycie lotniska, nie opodał dworca lotniczego. Kipiał

gniewem, patrząc na podchodzący do lądowania 125; modlił się, żeby maszyna się rozbiła.

Wczoraj jego kuzyn, pułkownik Mazardi, szef miejscowej policji, przyniósł mu teleks odebrany w komendzie: Proszę wyjechać na spotkanie. Odrzutowiec G-ELTT.ETA 1240

jutro, wtorek [podpisano] Pułkownik Haszemi Fazir. To nazwisko aż nim zatrzęsło, podobnie zresztą jak wszystkimi, którzy mieli dostęp do wiadomości. Wywiad Wewnętrzny zawsze stał

ponad prawem, a pułkownik Haszemi Fazir był wielkim inkwizytorem, człowiekiem legendarnie bezlitosnym nawet w Iranie, gdzie braku litości spodziewano się zawsze, a nawet podziwiano.

- Czego on tu chce, Wasza Wysokość? - zapytał zaniepokojony Mazardi.

- Pomówić o Azerbejdżanie - odparł chan, kryjąc przerażenie i wściekając się z powodu lakoniczności teleksu. Był wytrącony z równowagi nieoczekiwaną i niepożądaną wizytą. -

Chce oczywiście zapytać, jak mógłby mi pomóc; od lat jest moim cichym przyjacielem -

dodał, odruchowo kłamiąc.

- Wystawię wartę honorową, komitet powitalny i...

- Nie bądź głupcem! Pułkownik Fazir lubi dyskrecję. Niczego nie rób, nie zbliżaj się do lotniska. Upewnij się tylko, że na ulicach panuje spokój i... ach, tak, zwiększ nacisk na Tude, a właściwie wykonaj rozkaz Chomeiniego i rozbij ją. Spal dziś wieczorem jej siedziby i aresztuj znanych

przywódców.

868

869

To będzie najlepszy pizkesz, gdybym tego potrzebował, pomyślał zadowolony ze swego sprytu. Czyż Fazir nie jest fanatycznym przeciwnikiem Tude? Bogu dzięki, Petr Oleg wyraził na to zgodę.

Potem odesłał Mazardiego, skłął wszystkich, którzy znaleźli się w jego zasięgu, i ich także odesłał. Czego ten pies Fazir chce ode mnie?

Na przestrzeni lat spotykali się kilkakrotnie, wymieniając informacje z wzajemną korzyścią.

Ale pułkownik Haszemi Fazir był jednym z tych, którzy uważali, iż jedyny sposób chronienia Iranu polega na absolutnej centralizacji władzy w Teheranie i że władza wodzów szczepowych jest czymś archaicznym i niebezpiecznym dla państwa. Fazir był też teherańczykiem; mógł ujawnić zbyt wiele tajemnic. Tajemne, które mogły być użyte przeciwko Abdollahowi. Oby Bóg przeklął wszystkich teherańczyków i wysłał ich do piekła!

A przy okazji Azadeh i jej przekłętego męża!

Azadeh! Czy naprawdę sam spłodziłem tego demona? To niemożliwe! Ktoś musiał... Boże, wybac mi posądzenie mojej ukochanej Naftali! Azadeh opętał szatan. Ale nie ucieknie mi, nie. Przysięgam, że zabiorę ją do Tbilisi i pozwolę Petrowi zrobić z niej użytek...

423

Poczuł w uszach wzrost ciśnienia krwi, a w klatce piersiowej szarpiący ból. Przestań, nakazał sobie, uspokój się. Nie myśl o niej teraz; później się zemścisz. Przestać albo się zabijesz!

Przestań, nie myśl o niej i skup się na Fazirze. Teraz potrzebny ci będzie cały twój spryt, a ona i tak nie może uciec.

Gdy wkrótce po świcie dwaj przerażeni strażnicy przybiegli, żeby powiedzieć, iż obaj więźniowie zniknęli, a niemal jednocześnie wykryto także jej nieobecność, wpadł w bezgraniczny szal. Natychmiast wysłał ludzi do kryjówki córki, o której wiedział od lat, i rozkazał im, aby nie wracali bez Azadeh lub sabotażystów. Kazał obciąć nos strażnikowi, który trzymał wartę w nocy, a pozostałych wychłostać i zamknąć w więzieniu pod zarzutem spisku. Wychłostano też jej służące. Wreszcie

870

wyruszył na lotnisko. W pozostawionym przez niego pałacu zapanował strach.

Niech Bóg przeklnie ich wszystkich, myślał, podejmując ogromny wysiłek, żeby się uspokoić; nie odrywał wzroku od odrzutowca. Po oznaczonym skrawkami błękitu niebie pędziły złowieszcze chmury, a gwałtowne podmuchy wiatru omiały pokryty śniegiem pas startowy. Chan miał na głowie astrachańską czapę, podszyte futrem zimowe palto i buty z kożuszką. Z powodu zimna szkła okularów były zaparowane. W kieszeni spoczywał mały rewolwer. Z tyłu widniał budynek terminalu; pusty, jeśli nie liczyć jego ludzi, którzy zabezpieczali dworzec lotniczy i drogę dojazdową. Na dachu chan umieścił ukrytego snajpera, który miał zastrzelić Fazira, gdyby Abdollah dał mu znak, wycierając nos białą chusteczką. Zrobiłem wszystko, co mogłem, pomyślał. Teraz wszystko zależy od Boga.

Rozbij się, ty synu nieczystego ojca!

125 jednak perfekcyjnie dotknął podwoziem ziemi; spod kół buchał śnieg. Chan bał się coraz bardziej. Słyszał bicie własnego serca.

- Wedle woli Boga - mruknął i zajął miejsce na tylnym siedzeniu samochodu, oddzielony ruchomą, kuloodporną szybą od szofera i Ahmeda, doradcy i goryla, któremu najbardziej ufał.

- Do samolotu - polecił i sprawdził rewolwer, pozostawiając broń odbezpieczoną.

125 dotoczył się do końca pasa, zawrócił pod wiatr i znieruchomiał w ponurym, pustym miejscu, oznaczonym tylko zaspami śniegu. Duży, czarny rolls zatrzymał się obok samolotu.

Otworzyły się drzwi, w których stanął Haszemi Fazir.

- Salam! Pokój z tobą, Wasza Wysokość, proszę na pokład.

Abdollah-chan opuścił szybę i zawołał:

- Salami Pokój z tobą, ekscelencjo. Proszę do mnie. - Chyba masz mnie za głupca, jeśli uważasz, że wsadzę głowę do takiej pułapki, pomyślał. - Ahmed, idź na pokład z bronią.

Udawaj, że nie znasz angielskiego.

871

Ahmed Dursak był muzułmańskim Turkmeńczykiem; silny, bardzo szybki, jeśli w grę wchodziło użycie noża czy pistoletu. Wsiadł z samochodu z półautomatycznym karabinkiem w rękę i zręcznie wbiegł po schodkach; wiatr szarpał jego długie palto.

- Salam, ekscelencjo pułkowniku - powiedział w farsy, stojąc na zewnątrz na najwyższym stopniu.

- Mój pan prosi ekscelencję jak najuprzejmiej, aby raczył pan zająć miejsce w jego samochodzie; on nie czuje się dobrze w kabinach małych odrzutowców. W samochodzie można rozmawiać na osobności i w spokoju, można być zupełnie samemu, jeśli pan sobie tego zażyczy. Mój pan prosi, żeby zaszczycił pan jego skromny dom podczas pobytu tutaj, Haszemi był zdumiony. Abdollah miał czelność

- i zaufanie - wysłać uzbrojonego emisariusza. Nie uśmiechało mu się iść do samochodu: zbyt łatwo można było zostać podsłuchanym lub wysadzonym w powietrze bombą.

- Powiedz Jego Wysokości, że czasem źle znoszę jazdę samochodem i błagam go, aby przyszedł tutaj. Tutaj też możemy porozmawiać spokojnie na osobności; Jego Wysokość 424

wyświadczy mi tym wielką grzeczność. Oczywiście, ty powinienesz przeszukać kabinę, na wypadek gdyby zakradł się do niej ktoś obcy.

- Mój pan wolałby, ekscelencjo, gdyby pan... Fazir zbliżył się do posłańca. Teraz jego usta zwarły się w wąską linię, a głos brzmiał twardo.

- Przeszukaj samolot! Teraz! Zrób to prędko, Ah-medzie Dursak, trzykrotny morderco, w tym kobiety zwanej Nadźmijeh. Rób, co ci każę, bo nie przetrwasz na tej ziemi dłużej niż tydzień.

- Wtedy znalazłbym się szybciej w raju, gdyż służąc chanowi, wykonuję bożą pracę - odparł

Ahmed Dursak. - Przeszukam jednak samolot, tak jak pan sobie życzy. - Wszedł do środka i zobaczył w kokpicie dwóch pilotów. W kabinie siedział Armstrong. Ahmed przymrużył oczy, ale nic nie powiedział; minął go grzecznie i otworzył drzwi toalety, upewniając się, że nikogo tam

872

nie ma. Nigdzie indziej nie można było się ukryć. - Czy żeby umożliwić realizację pańskiej propozycji, ekscelencjo, piloci wyjdą?

Już wcześniej Haszemi zapytał kapitana Johna Hog-ga, czy miałby coś przeciwko temu, gdyby okazało się to konieczne.

- Przykro mi - odparł Hogg - ale wcale mi się to nie podoba.

- Chodziłoby tylko o kilka minut. Może pan zabrać kluczyk zapłonu.

- I przerywacze obwodów - poparł Fazira Robert Armstrong. - Osobiście gwarantuję, że nikt nie wejdzie do kokpitu i niczego nie dotknie.

- Nadal mi się to nie podoba, proszę pana.

- Wiem - zgodził się Armstrong - ale kapitan powiedział, że ma pan robić to, o co poproszę, w granicach rozsądku. A to właśnie leży w granicach rozsądku.

Haszemi dojrzał w twarzy Ahmeda arogancki wyraz; nabrał ochoty, żeby tej twarzy go pozbawić. Na to przyjdzie czas później, obiecał sobie.

- Piloci zaczekają w samochodzie.

- A niewierny?

- Ten niewierny mówi w farsi lepiej niż ty, gnido, a jeśli jesteś mądry, gnido, będziesz dla niego grzeczny i będziesz nazywał go ekscelencją, gdyż zapewniam cię i twoich psich turkmeńskich przodków, że on ma tak długą pamięć jak ja i może być okrutniejszy, niż możesz to sobie wyobrazić.

Ahmed uśmiechnął się.

- A Jego Ekscelencja niewierny także poczeka na dworze?

- Zostanie tutaj, a piloci czekają w samochodzie. Gdyby Jego Wysokość chciał zabrać ze sobą jednego człowieka, żeby upewnić się, iż nie ma tu ukrytych zabójców, oczywiście będzie mile widziany. Jeśli taki układ nie będzie mu odpowiadał, to być może spotkamy się w komendzie policji. A teraz zabieraj się stąd ze swoimi kiepskimi manierami.

873

Ahmed grzecznie podziękował, odszedł i powtórzył chanowi to, co usłyszał, dodając od siebie:

- Myślę, że ten kozi bobek jest bardzo pewny siebie, skoro pozwala sobie na taką niegrzeczność.

W samolocie Fazir powiedział po angielsku:

- Robert, ten psi syn musi być bardzo pewny siebie, skoro posługuje się tak aroganckim służącym.

- Naprawdę mógłbyś zaciągnąć Abdollah-chana, przywódcę wszystkich Gorgonów, do komendy policji?

425

- Mógłbym spróbować. - Haszemi zapalił następnego papierosa. - Nie sądzę, żeby mi się udało. Jego kuzyn, Mazardi, jest nadal szefem policji, a policja ma tu jeszcze dużą władzę.

Zielone Opaski i komitety nie są tutaj najważniejsze. Na razie.

- Z powodu Abdollaha?

- Oczywiście. Przez całe miesiące, na jego rozkaz, policja z Tebrizu skrycie popierała Chomeiniego. Jedyne różnice polega na tym, że teraz portrety Szacha zastąpiono portretami Chomeiniego, a emblematy Szacha usunięto z mundurów. Obecnie Abdollah trzyma wszystko mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Przez na wpół otwarte drzwi wdarł się chłodny podmuch. - Azerowie to zdradzieckie nasienie. I okrutne - szachowie z Kadzarów pochodzili z Tebrizu, także szach Abbas, który zbudował Isfahan i próbował zapewnić sobie długowieczność, zabijając swego najstarszego syna i oślepiając drugiego...

Haszemi Fazir obserwował przez okno samochód, pragnąc, żeby Abdollah-chan wyraził

zgody na jego warunki. Czuł się już lepiej i bardziej wierzył w to, że doczeka przypadającego w tym tygodniu Świętego Dnia, niż w ów niedzielny wieczór, gdy generał Dżanan wpadł do jego siedziby z rozkazem rozwiązania Wywiadu Wewnętrznego i przejął kasety i Rakoczego.

Przez całą noc czuł się zapędzony w ślepy zaułek, a potem, wczoraj o świcie, gdy wyszedł z domu, stwierdził, że jest śledzony, a jego żonę i dzieci potracano na ulicach. Zgubienie tych, którzy za nim chodzili, zabrało mu czas do wczesnego przedpołudnia. W tym czasie jeden z do-874

wódców jego tajnej Grupy Cztery oczekiwał w kryjówce. Tego wieczora, gdy generał Dżanan wysiadł ze swej kuloodpornej limuzyny, żeby wejść do domu, wybuch zaparkowanego w pobliżu wyładowanego plastikiem samochodu rozerwał na kawałki jego wraz z dwoma najbardziej zaufanymi pomocnikami, zmienił jego dom w kupę gruzu i porwał na strzępy żonę generała, trójkę dzieci, siedmiu służących i starego, przykutego do łóżka ojca.

Mężczyźni uciekający z miejsca zamachu wykrzykiwali hasła lewicowych mudżaheddinów, rozrzucali prymitywne ulotki: "Śmierć SAVAK-owi, teraz SAVA-MA".

Dziś we wczesnych godzinach rannych, gdy Abrim Pahmudi opuścił dyskretnie łóżko swej głęboko utajnionej kochanki, złożył jej wizytę jakiś okrutny człowiek. Służba usłyszała lewicowe slogany, a na ścianach pozostały napisy takie jak na ulotkach, namazane jej krwią, wymiocinami i kałem. O dziewiątej rano Haszemi odwiedził Abrima Pahmudiego, aby złożyć mu kondolen-cje; oczywiście, o obu tragediach donieśli mu jego ludzie z Wywiadu Wewnętrznego. Jako piszkesz zabrał ze sobą część zeznań Rakoczego i przedstawił je jako informacje, które zdobył z innych źródeł. Tylko tyle informacji, żeby miały jakąś wartość.

- Jestem pewien, ekscelencjo, że gdybym mógł podjąć pracę, zdobyłbym znacznie więcej takich informacji. A gdyby mój wydział doznał zaszczytu cieszenia się pańskim zaufaniem i mógł dalej działać, podlegając wyłącznie panu i nikomu innemu, być może mógłbym zapobiegać takim występnyom czynom i zmieść te psy, terrorystów, z powierzchni ziemi.

W trakcie tej wizyty przybył zdezorientowany i przerażony pomocnik Haszemiego, żeby donieść, iż inni terroryści zgładzili jednego z najważniejszych Ajatollahów w Teheranie -

znów bomba w samochodzie - oraz że Komitet Rewolucyjny domaga się natychmiastowego stawienia Pahmudiego. Pahmudi od razu wstał, ale zanim wyszedł, odwołał swój wcześniejszy rozkaz.

875

- Zgoda, ekscelencjo pułkowniku. Na trzydzieści dni. Ma pan trzydzieści dni, żeby dowieść swej wartości.

- Dziękuję, ekscelencjo. Pańskie zaufanie głęboko mnie poruszyło. Może pan być pewien mojej lojalności. Czy mógłbym dostać z powrotem Rakoczego?

- Ten pies, generał Dżanan, pozwolił mu uciec.

Potem Fazir pojechał na lotnisko i wsiadł z Robertem Armstrongiem do 125. Gdy maszyna wystartowała, nie przestawał się śmiać. Wtedy po raz pierwszy w Iranie posłużono się bombą samochodową ze zdalnie sterowanym detonatorem.

- Na Boga, Robercie - powiedział jowialnie - ona jest całkiem skuteczna. Czeka się w odległości stu metrów, aż jest się pewnym, że to on, a potem tylko dotknięcie nadajnika, nie większego niż paczka papierosów i... bum! Kolejny wróg odchodzi na zawsze. I jeszcze jego ojciec! - Otarł łzy, które pociekły mu na skutek niepohamowanego śmiechu. - To naprawdę przemówiło do Pahmudiego. Tak, a gdyby nie Grupa Cztery, byłoby już po mnie i mojej rodzinie.

Grupa Cztery wyrosła z sugestii Armstronga, którą Haszemi podjął i dopracował: małe zespoły najstaranniej dobranych mężczyzn i kobiet, doskonale wyszkolone w najnowocześniejszej taktyce działań antyterrorystycznych, bardzo dobrze opłacane i starannie chronione. Żadnego Irańczyka, nikt nie zna nikogo z innej komórki, a wszyscy lojalni tylko wobec Fazira. Ich anonimowość oznaczała, że w razie potrzeby można było użyć jednych przeciw drugim; można było nimi łatwo dysponować, a jeśli trzeba, zastąpić kimś innym. Na Środkowym i Bliskim Wschodzie było zbyt wiele nędzy, zbyt wiele zdradzonych spraw, zbyt wiele nienawiści i poglądów, zbyt wielu bezdomnych, aby nie istniało całe morze mężczyzn i kobiet na tyle zdesperowanych, żeby podjąć się takiej pracy.

Przez całe lata zespół jego Grupy Cztery prosperował, jego akcje pozostawały w tajemnicy; o ich ogromnej większości nie wiedział nawet Armstrong. Spojrzał na niego i uśmiechnął się.

876

- Bez nich byłbym już martwy.

- Prawdopodobnie ja także. Byłem bardzo cholernie przestraszony, gdy ten skurczybyk Dżanan powiedział: "Daję panu dzień i noc na załatwienie spraw". Skurczysyn na pewno nie dałby mi wyjechać.

- Fakt.

Kilkaset metrów niżej ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, a samolot był już wysoko ponad górami; lot do Tebrizu trwał nieco ponad pół godziny.

- A co z Rakoczym? Wierzysz w to, co powiedział Pahmudi o jego ucieczce?

- Jasne, że nie. Rakoczy stał się przedmiotem handlu, pizkieszem. Gdy Pahmudi odkrył, że taśmy są puste, a Rakoczy jest w takim stanie, iż nie stanowi już dla niego wartości - chyba że jako zapłata za dawne przysługi - nie mógł chyba wiedzieć o powiązaniu z tym twoim Petrem Olegiem Mzytrykiem. A może mógł?

- To nieprawdopodobne. Powiedziałbym, że niemożliwe.

- On jest zapewne u Sowietów. Jeśli jeszcze żyje. Sowietci chcieliby wiedzieć, co on powiedział...

Czy mógł im coś powiedzieć?

- Wątpię; był już na krawędzi. - Armstrong potrząsnął głową. - Wątpię. Co zrobisz teraz, kiedy jesteś znowu ważniakiem? Będiesz przez trzydzieści dni karcił Pahmudiego dalszymi informacjami? Jeśli on przeżyje trzydzieści dni.

Haszemi uśmiechnął się nieznacznie i nie odpowiedział. Nie jestem pewien, czy rzeczywiście ważniakiem, pomyślał, ani nawet, czy będę bezpieczny, dopóki Pahmudi nie trafi - w licznym towarzystwie - do piekła. Mogę jeszcze skorzystać z twojego paszportu - Armstrong wręczył mu dokument przed startem. Fazir obejrzał go bardzo starannie.

Potem zamknął oczy i zagłębił się wygodnie w fotelu, rozkoszując się luksusem i wygodą prywatnego odrzutowca, który leciał już nad Kazwinem, tylko o kwadrans drogi od Tebrizu.

Haszemi nie spał. Rozwagał, co zrobić z SAYAMA, Pahmudim i Abdollah-chanem, a także, 877 co zrobić z Robertem Armstrongiem, który za dużo wiedział.

Przez okno kabiny nadal obserwował rollsa: dużego nieskazitelnego, takiego jakiego posiadali tylko nieliczni mieszkańcy tej planety. Na Boga i proroka, co za bogactwo, pomyślał z 427

nabożnym szacunkiem, widząc ten namacalny dowód pozycji i potęgi chana. Jaką trzeba mieć władzę, żeby tak beztrąsko kłuć w oczy zamożnością w obliczu komitetów... i mnie. Abdollah-chana nie będzie łatwo ugiąć.

Wiedział, że tu, w samolocie, stanowiliby łatwy cel, gdyby Abdollah rozkazał swym ludziom otworzyć ogień. Odrzucił jednak tę myśl. Był pewien, że nawet chan nie odważy się na takie otwarte zamordowanie trzech niewiernych i jego w samolocie. Na wypadek jednak, gdyby chan zaaranżował "wypadek", dwa zespoły Grupy Cztery były już w drodze. Jeden, aby zaatakować Abdollaha, drugi - jego rodzinę. Mieli tego zaniechać tylko na hasło podane osobiście przez Fazira. Uśmiechnął się. Kiedyś Robert Armstrong powiedział mu, że w dawnych czasach w Chinach wobec ważnych osób stosowano karę: "śmierć razem z wszystkimi pokoleniami".

- To mi się podoba, Robercie - odpowiedział wtedy. - To ma styl.

Zobaczył, że otwierają się przednie drzwiczki samochodu. Wsiadł przez nie Ahmed, trzymając niedbale półautomatyczny karabinek. Podeszedł do tylnych drzwiczek i otworzył je Abdollahowi.

- Wygrałeś pierwszą rundę, Haszemi - skomentował Armstrong i zgodnie z umową ruszył do kokpitu. - W porządku, kapitanie. Postaramy się załatwić to jak najszybciej.

Obaj piloci niechętnie wygramolili się z małego kokpitu, włożyli parki i wyszli na omiatane zimnem schodki. Grzecznie pozdrowili chana, który podchodząc do schodni, gestem wskazał

im miejsce na tylnym siedzeniu samochodu. Za Abdollahem szedł Ahmed.

- Salam, Wasza Wysokość, pokój niech będzie z panem.

Haszemi czekał przy drzwiach i wypowiedział słowa powitania serdecznym tonem -

ustępstwo, które chan dostrzegł od razu.

- I z panem, ekscelencjo pułkownika. Wymienili uścisk dłoni. Abdollah wszedł za Fazirem do kabiny, spojrział na Armstronga i usiadł w fotelu najbliższej wyjścia.

- Salam, Wasza Wysokość - powiedział Armstrong

- pokój niech będzie z panem.

- To mój kolega - wyjaśnił Haszemi, siadając naprzeciw chana. - Anglik, Robert Armstrong.

- Ach, tak, ekscelencja, który mówi w farsy lepiej niż mój Ahmed i jest znany ze swej pamięci - i okrucieństwa. - Ahmed zaciągnął na drzwiach z tyłu grubą zasłonę i stanął na straży plecami do kokpitu, z karabinem w pogotowiu, tak jednak, że nie było to niegrzeczne. -

Co?

Armstrong uśmiechnął się.

- To tylko komplement pułkownika, Wasza Wysokość.

- Nie zgadzam się z tym. Nawet w Tebrizie słyszeliśmy o ekspercie Wydziału Specjalnego; dwanaście lat w służbie Szacha; pies gończy jego psów gończych.

- Abdollah powiedział to w farsy obelżywym tonem. Z twarzy Armstronga zniknął uśmiech.

Obaj, on i Haszemi, stężeli wobec tak ostentacyjnie złych manier.

- Czytałem pańskie akta. - Zwrócił spojrzenie czarnych oczu na Fazira; był całkowicie pewny skuteczności swego planu: Ahmed zabije ich na jego znak, umieści bomby w samolocie, odeśle pilotów na pokład, pospieszny start i śmierć w płomieniach, z którą on nie będzie miał

nic wspólnego. Wola boska. Dobrze się rozumieli, on sam przyrzekł "całkowite poparcie dla rządu centralnego" i jest przepełniony smutkiem.

- A więc, ekscelencjo - powiedział - znowu się spotykamy. Co mogę dla pana zrobić? Wiem, że niestety nie pozostanie pan już długo z nami.

- Być może, Wasza Wysokość, chodzi o to, co ja mogę zrobić dla pana. Osób...

- Proszę przejść do rzeczy - rzucił szorstko chan, teraz już po angielsku, z absolutną pewnością siebie. - Pan i ja znamy się dobrze. Możemy sobie darować kwiecistość i 428

komplementy i od razu przejść do sedna sprawy. Jestem bardzo zajęty. Gdyby był pan na tyle grzeczny, żeby wsiąść do mojego samochodu, byłoby nam wygodniej i moglibyśmy długo, spokojnie porozmawiać. Jeśli nie, to proszę do rzeczy!

- Chcę pomówić z panem o pańskim kontrolerze, generale pułkowniku Petrze Olegu Mzytryku. - Hasze-mi zaczął ostro, ale przeraziła go nagłe myśl, że wpadł w pułapkę, a Abdollah jest tajnym sprzymierzeńcem Pahmudiego. - A także o pańskim wieloletnim powiązaniu z KGB poprzez Mzytryka, pseudonim Ali Choj.

- Kontroler? Co za kontroler? Kim jest ten człowiek?

Abdollah-chan usłyszał odruchowo wypowiedziane przez siebie słowa i w głowie mu zahuczało. Nie możesz tego wiedzieć, to niemożliwe, to nie jest możliwe. Poprzez walenie własnego serca usłyszał, że pułkownik mówi dalej, i wszystko stawało się jeszcze gorsze.

Znacznie gorsze. A najgorsze było to, że jego plan rozsypał się w gruzy. Jeśli pułkownik mówi tak otwarcie w obecności tego cudzoziemca i Ahmeda, to na pewno te wszystkie tajemnice są zapisane i wpadną w ręce Komitetu Rewolucyjnego i wrogów chana w razie jakiegokolwiek "wypadku".

- Pański kontroler - uderzył Haszemi, a widząc zmianę w twarzy rozmówcy, poszedł za ciosem: - Petr Oleg, który ma daczę nad jeziorem na wschód od Tbilisi, pseudonim Ali Choj, a pański brzmi Iw...

- Chwileczkę - wykrztusił Abdollah, którego twarz nabrzmiała furią; tego nie wiedział nawet Ahmed, nie może tego wiedzieć. - Ja... poproszę o trochę wody.

Armstrong chciał wstać, ale znieruchomiał na widok karabinu Ahmeda.

880

- Proszę usiąść, ekscelencjo, ja przyniosę. Zapnijcie pasy, obaj.

- Nie...

- Wykonać! - warknął Ahmed i uniósł broń. Był zdumiony nagłą zmianą w zachowaniu chana, zmianą taktyki; gotów był sam wcielić w życie inny plan. - Zapiąć pasy!

Usłuchali. Ahmed stał obok kranu. Nappełnił plastikowy kubek i wręczył go Abdollahowi.

Haszemi i Armstrong przyglądali się temu spokojnie. Żaden z nich nie oczekiwał tak szybkiej kapitulacji chana. Na ich oczach człowiek ten skurczył się, zbladł i tracił oddech.

Wypił wodę i spojrzał na Haszemiego oczyma nabiegłymi krwią. Zdjął okulary, próbując odzyskać siły. Wszystko to zdawało się trwać dłużej niż normalnie.

- Poczekaj przy samochodzie, Ahmed.

Ahmed niechętnie usłuchał, Armstrong rozpiął pas i zasunął kotarę. Chan przez chwilę czuł się lepiej; powiew zimnego powietrza dobrze mu zrobił.

- Czego chcecie?

- Pański pseudonim brzmi: Iwanowicz. Jest pan szpiegiem i współpracownikiem KGB od stycznia 1944 roku. Wtedy...

- To same kłamstwa. Czego chcecie?

- Chcę spotkać Petra Olega Mzytryka. Chcę go przesłuchać. W tajemnicy.

Chan zastanowił się nad tymi słowami. Skoro ten psi syn zna pseudonim Petra i mój własny, wie o dacy i styczniu czterdziestego czwartego, gdy udałem się potajemnie do Moskwy, żeby wstąpić do KGB, to może też wiedzieć o innych, jeszcze bardziej zagrożonych karami sprawach. To, że grałem na obie strony dla dobra Azerbejdżanu, nie robi większej różnicy zabójcom z prawicy czy lewicy.

- W zamian za co?

- Za swobodę manewru w Azerbejdżanie - jeżeli będzie się to odbywać dla dobra Iranu, w ścisłej współpracy ze mną. Dam ci informacje, które oddadzą Tude, lewaków i Kurdów w twoje ręce. Poza tym mam dowo-881

429

dy na to, że Sowieci chcą cię zastopować. Uznano na przykład, że podpasz pod Paragraf 16/a.

Chan wytrzeszczył oczy; coraz bardziej szumiało mu w uszach.

- Nie wierzę!

- Do wykonania natychmiast. Petr Oleg Mzytryk podpisał rozkaz - wyjaśnił Haszemi.

- Ddo... ddowód... chcę dowodu - wykrztusił.

- Zwabisz go na tę stronę granicy, a wtedy ci udowodnię. W każdym razie on udowodni.

- To... to kłamstwo.

- Czyż nie wybierałeś się do Tbilisi na jego zaproszenie? Nie wróciłbyś już nigdy. Uznano by prawdopodobnie, że uciekłeś z Iranu. Zostałbyś potępiony, twój majątek skonfiskowany, a rodzina okryta niesławą i rzucona na pożarcie mułom. - Teraz, gdy Fazir wiedział już, że ma Abdollaha w garści, troszczył się tylko o jego zdrowie. Chanowi lekko trzęsła się głowa, zwykle śniada twarz pobladła, a wokół oczu i skroni pojawiły się dziwne czerwone obwódki.

Tętnica na czole uwypukliła się. - Lepiej nie jedź na północ i wystaw podwójne posterunki.

Mógłbym wymienić Petra Ole-ga... Albo jeszcze lepiej: mógłbym pozwolić ci go uratować, a... No cóż, gdybym go miał, znalazłoby się wiele rozwiązań.

- Co... Czego od niego chcesz?

- Informacji.

- A ja... ja mógłbym być twoim partnerem? Haszemi uśmiechnął się.

- Dlaczego nie? Zatem zgoda?

Chan bezgłośnie poruszył ustami. Potem powiedział:

- Spróbuję.

- Nie - odparł szorstko pułkownik, uznając, że nadszedł czas na zadanie decydującego ciosu.

- Nie. Masz cztery dni. Wrócę w sobotę. W sobotę w południe będę w twoim pałacu, żeby odebrać dostawę. Chyba że wolisz sam dostarczyć go potajemnie pod ten adres. - Położył na stoliku kartkę. - Albo jeśli podasz mi czas i miejsce przekroczenia granicy, sam zajmę się 882

wszystkim. - Rozpiął pasy i wstał. - Cztery dni, Iwano-wicz.

Ciśnienie krwi wywołane gniewemomal nie rozerwało bębenków w uszach Abdollaha.

Spróbował wstać, lecz opadł z powrotem na fotel. Wreszcie pomógł mu Armstrong, a Haszemi podszedł do kotary; zanim jednak ją odsunął, wyciągnął pistolet z kabury na ramieniu.

- Powiedz Ahmedowi, żeby nie robił nam trudności. Chan stanął niepewnie w drzwiach i zrobił to, czego

od niego żądano. Ahmed czekał u stóp schodków i trzymał karabin w pozycji poziomej. Wiatr zmienił kierunek; wiał teraz z drugiego końca pasa startowego, znacznie silniej.

- Nie słyszałeś, co powiedział Jego Wysokość? - zawołał pułkownik. - Wszystko w porządku, ale twój pan potrzebuje pomocy - mówił uspokajającym tonem. - Chyba powinien jak najszybciej odwiedzić swojego lekarza.

Ahmed był zdezorientowany; nie wiedział, co zrobić. Widział swego pana, którego stan był

najwyraźniej niepokojący, ale widział też dwóch ludzi, którzy byli tego przyczyną i których trzeba było zabić.

- Pomóż mi dojść do samochodu, Ahmed - rzucił chan i zaklął.

To wyjaśniło sytuację, Ahmed natychmiast usłuchał. Armstrong podtrzymywał Abdollaha z drugiej strony; cała trójka zeszła na płytę lotniska. Piloci szybko wysiedli z samochodu i ruszyli do samolotu, podczas gdy Armstrong pomagał choremu mężczyźnie zająć miejsce na tylnym siedzeniu. Abdollah usadowił się z trudem. Armstrong czuł, że jest odkryty bardziej niż kiedykolwiek przedtem: został sam na zewnątrz, podczas gdy Haszemi stał w bezpiecznym miejscu przy drzwiach kabiny. Odrzutowe silniki ożyły.

- Salam, Wasza Wysokość - powiedział. - Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

430

- Lepiej szybko opuść nasz kraj - odparł chan i rzucił do kierowcy: - Wracamy do pałacu.

883

Armstrong spojrział za odjeżdżającym pędem samochodem i odwrócił się. Zobaczył dziwny uśmiech Fazira i na wpół ukryty pistolet w jego ręku. Przez chwilę myślał, że pułkownik zamierza go zastrzelić.

- Prędeż, Robercie!

Wbiegł po schodkach, czując, że zmarzły mu nogi. Drugi pilot nacisnął już guzik urządzenia wciągającego schodki. Zamknęły się drzwi i ruszyli. W ciepłe kabiny Armstrong doszedł do siebie.

- Ale mróz - zauważył.

Haszemi nie zwrócił na niego uwagi.

- Kapitanie, niech pan startuje najszybciej, jak się da - rozkazał, stając z tyłu za pilotami.

- Będę musiał odkołować. Nie chciałbym startować z takim wiatrem wiejącym w ogon.

Irańczyk zaklął i wyjrzał z kokpitu. Wydawało się, że drugi koniec pasa jest odległy o kilka kilometrów; wiatr rozwiewał śnieg ze szczytów zasp. Żeby skorzystać z prawidłowej rampy startowej, musieliby zbliżyć się do rejonu parkingu terminalu, przeciąć go i skorzystać z przeciwległej rampy jako punktu startu. Rolls pędził w kierunku terminalu. Pułkownik widział uzbrojonych ludzi, wychodzących na spotkanie samochodu.

- Niech pan odkołuje wzdłuż pasa i wykona start z krótkim rozbiegiem.

- To całkowicie sprzeczne z poleceniami wieży - zauważył John Hogg.

- A woli pan kulkę w głowę albo więzienie SA-VAK-u? Tamci ludzie są wrogami. Niech pan robi to, co mówię!

Hogg widział karabiny. Wcisnął guzik transmisji.

- Echo Tango Lima Lima prosi o zezwolenie na kołowanie tą samą drogą - rzucił, nie oczekując żadnej odpowiedzi. Od chwili gdy opuścili przestrzeń powietrzną Teheranu, nikt ich nie pilnował, a z tutejszą wieżą nie mieli żadnego kontaktu. Skierował maszynę na pas startowy, trzymając się nieco bardziej na lewo, równoległe do śladów ich lądowania.

Otworzył nieco szerzej

884

przepustnicę. - Wieża, tu Echo Tango Lima Lima. Wracam.

Gordon Jones, drugi pilot, sprawdzał wszystkie urządzenia, szykując się do powrotu do Teheranu. Maszyną szarpał wiatr; koła nie trzymały się pewnie nawierzchni. Haszemi zobaczył, że rolls zatrzymuje się obok terminalu, a uzbrojeni ludzie otaczają go.

- Niech pan zawraca tak szybko, jak się da. Mamy już kawał pasa - powiedział.

- Gdy tylko się uda, proszę pana - odpowiedział grzecznie John Hogg.

Cholerny czubas, pomyślał, ten pułkownik, kimkolwiek naprawdę jest. Sam chciałbym być już w górze, ale muszę się przecież trochę rozpędzić. Był świadkiem wrogości ludzi w samochodzie, a przedtem w Teheranie zdenerwowania McIvera. Ale wieża w Teheranie natychmiast zezwoliła na start i przydzieliła pierwszeństwo, jakby wieźli samego Chomeiniego. Jasna cholera, czego to się nie robi dla Anglii i kwarty piwa! Spoczywające na przyrządach dłonie i stopy wyczuły oblodzenie nawierzchni; przymknął nieco przepustnicę.

- Patrz! - odezwał się drugi pilot. Helikopter z silnikiem turbo przecinał przestrzeń powietrzną o jakiś kilometr przed nimi. - To 212, prawda?

- Tak. Nie wygląda na to, żeby zmierzał do tego lotniska - odparł Hogg, nie przerywając obserwacji terenu i przyrządów: jakiś inny samochód podjechał do rollsa; z przodu, nieco z lewej, błysnęło światelko: 212 skrył się już za wzgórzem; z prawej stado ptaków; wskaźniki przyrządów bezpiecznie na zielonym; jeszcze więcej mężczyzn obok rollsa i ktoś na dachu budynku terminalu; paliwo w porządku; śnieg niezbyt głęboki, pod spodem warstwa lodu; uwaga na zaspę, trochę w prawo; radio dobrze nastojone; wiatr ciągle w ogon; chmury burzowe rozbudowują się na północy; przechył w lewo!

431

Hogg wyrównał rozkołysany samolot, który na oblodzonej nawierzchni reagował zbyt gwałtownie na ruchy sterów.

885

- Może byłoby lepiej, gdyby pan wrócił na miejsce, pułkowniku.

- Niech pan startuje tak szybko, jak się da. - Hasze-mi podszedł do swojego fotela.

Armstrong patrzył przez okienka na terminal lotniska. - Co oni tam robią, Robercie? Jakieś problemy? - zapytał.

- Na razie nie. Gratulacje. Świetnie umiesz się obchodzić z Abdollahem.

- Skoro ma dostarczyć...

Teraz, gdy było już po wszystkim, Haszemi poczuł lekkie mdłości. Tym razem śmierć była zbyt blisko, pomyślał. Zacisnął pas bezpieczeństwa, wyjął pistolet z bocznej kieszeni, zabezpieczył i wsunął do kabury. Dotknął palcami brytyjskiego paszportu, spoczywającego w wewnętrznej kieszeni. Może mimo wszystko nie będę go potrzebował, pomyślał. Dobrze.

Byłoby straszne, gdybym musiał okryć się hańbą i nim posłużyć. Zapalił papierosa.

- Uważasz, że wytrzyma do soboty? Był tak wściekły, że myślałem, że się przekręci.

- Jest gruby i okrutny już od wielu lat...

Armstrong usłyszał w tym jakąś nutę groźby. Haszemi Fazir zawsze był niebezpieczny, zawsze na krawędzi; fanatyczny patriotyzm łączył się u niego z pogardą dla większości Irańczyków.

- Świetnie umiesz się z nim obchodzić - powtórzył i znów wyjrzał przez okno.

Rolls, drugi samochód i uzbrojeni mężczyźni byli już daleko; częściowo przesłaniały ich zaspy, ale widać było, że od czasu do czasu któryś z nich wskazuje w ich kierunku. Prędszej, na Boga, pomyślał Fazir, startujemy już.

- Pułkowniku - zabrzmiał w interkomie głos Hogg - czy mógłby pan przejść do przodu?

Haszemi rozpiął pasy i ruszył do kokpitu.

- Tam. - Hogg pokazywał odsuniętą nieco od lasu kępę sosen za końcem pasa startowego. -

Co pan o tym myśli? - Znów rozblęskło słabe światelko. - Sygnalizuje SOS.

886

- Robert! - zawołał Haszemi. - Spójrz do przodu i trochę w prawo!

Wszyscy czterej mężczyźni wyteżyli wzrok. Sygnał SOS powtórzył się.

- Nie ma możliwości pomyłki - powiedział Hogg. - Mógłbym odpowiedzieć na sygnał.

Wskazał ciężką latarnię sygnalizacyjną, którą można było w razie niebezpieczeństwa zaświecić na czerwono lub zielono w sytuacji, gdyby zawiodła radiostacja.

- Co o tym sądzisz, Robercie? - zawołał Haszemi w głąb kabiny.

- W porządku, to SOS!

125 pędził pasem startowym w kierunku sygnału. Po chwili ujrzeni trzy maleńkie figurki wylaniające się zza drzew: dwóch mężczyzn i kobietę w czadorze. Zobaczyli też broń.

- To pułapka - powiedział szybko Fazir. - Nie zbliżaj się do nich; natychmiast zawróć!

- Nie mogę - wyjaśnił Hogg. - Za mało pasa.

Otworzył nieco bardziej przepustnicę. Samolot kołował z ogromną prędkością, równoległe do śladów, które zostawił przy lądowaniu. Piloci i pasażerowie widzieli figurki wymachujące karabinami.

- Wynośmy się stąd, do diabła! - zawołał Armstrong.

- Gdy tylko będę mógł. Pułkowniku, niech pan lepiej wróci na miejsce; może nami trochę rzucić - powiedział Hogg; w jego głosie nie było śladu zdenerwowania. Potem przestał

myśleć o pasażerach. - Gordon, uważaj na tych skurczybyków tutaj i na terminal.

- Jasne, nie ma strachu.

Kapitan odwrócił się na chwilę, uznał, że rozbieg będzie jeszcze zbyt krótki, zdławił jednak przepustnicę i wcisnął hamulec. Samolot wpadł w poślizg: pilot zwolnił hamulec i 432

utrzymywał maszynę tak prosto, jak mógł, wobec zmieniającego się wiatru. Figurki przy drzewach powiększyły się.

- Wyglądają raczej podle. Powiedziałbym, że to koczownicy. Dwa karabiny automatyczne. -

Gordon

887

Jones zerknął na terminal. - Rolls odjechał, ale drugi samochód jedzie w naszą stronę.

Znów zdławienie przepustnicy; zbyt duża prędkość, aby zakręcić.

- Chryste, chyba... chyba jeden z koczowników wystrzelił - wykrzyknął Jones.

- Uwaga, teraz - rzucił Hogg do mikrofonu inter-komu.

Zahamował, wyczuł poślizg, częściowo go opanował, a potem zaczął skręcać w prawo, w kierunku środka pasa. Moment pędu wprowadzał maszynę w poślizg; wiatr nadal przeszkadzał.

W kabinie Armstrong i Haszemi z ponurymi minami trzymali się poręczy i wyglądali przez okna. Widzieli, jak jedna z postaci zaczęła biec w ich kierunku, wymachując bronią.

Armstrong mruknął:

- Może walić jak do siedzących kaczek.

Poczuł, że samolot ślizga się i nie może nabrać szybkości. Zaklął.

W kokpicie Hogg niemal bezgłośnie pogwizdywał. Samolot przeciął w poślizgu ślady ich lądowania; zbliżał się do twardych, ciężkich zasp po drugiej stronie pasa. Pilot nie śmiał

jeszcze ruszyć do przodu. Czekał z zaschniętymi ustami, pragnąc, żeby samolot obrócił się wreszcie i ustawił przodem do wiatru. Tak się jednak nie stało: maszyna nadal się ślizgała.

Koła bezużyteczne, hamulce niebezpieczne, ryk silników, pod śniegiem lód.

Zaspy zbliżały się nieubłagane. Hogg widział poszarpane krawędzie brył lodu, które mogły rozerwać na kawałki cienkie poszycie samolotu. Nie można było niczego zrobić, tylko czekać. Nagły podmuch wiatru zagarnął część ogonową i zakręcił nią; maszyna, choć nadal w poślizgu, ustawiła się przodem do wiatru. Pilot delikatnie zwiększył moc obu silników, poczuł, że poślizg się zmniejszyła. Przesuwał powoli dźwignię przepustnicy, aż samolot ruszył

do przodu, coraz szybciej i w sposób bardziej kontrolowany, potem już zupełnie kontrolowany. Gwałtownie przesunął dźwignię do końca. 125 skoczył do przodu, koła oderwały się od ziemi;

888

Hogg wcisnął przycisk urządzenia chowającego podwozie i zaczęli się wznosić.

- Można palić - powiedział lakonicznie do inter-komu. Był z siebie bardzo zadowolony.

Na lotnisku, w pobliżu kępy drzew, Ross zatrzymał się i przestał wymachiwać karabinem.

Czuł klucie w klatce piersiowej.

- Cholerny skurwysynu! - krzyknął pod adresem samolotu. - Nie macie tam jakichś cholernych oczu?

Gorzko rozczarowany ruszył w kierunku drzew, gdzie pozostali czekali cierpliwie na krawędzi lasu. Zapanowała posępna cisza. Tak blisko, pomyślał. Widział przez lornetkę przybycie chana. Potem Abdollah wszedł na pokład, potem Armstrong wyszedł z samolotu z Irań-czykiem.

- Och, daj mi spojrzeć, Johnny - niespokojnie poprosiła Azadeh i dostosowała pokręteł soczewki do swego wzroku. - Och, ojej, ojciec wygląda na chorego. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało - powiedziała. - Lekarze zawsze zalecali mu dietę i spokojniejszy tryb życia.

- On na pewno o sobie zadba, Azadeh - odparł Ross, starając się skryć sarkazm. Ona jednak zauważyła go, zaczerwieniła się i rzekła:

- Och, przepraszam, nie miałam na myśli... Wiem, że on jest...

- Nie miałem niczego na myśli - oświadczył i skupił się na obserwowaniu Armstronga, zachwycony tym, że to właśnie Armstrong. Kombinował, jak dostać się na pokład. To takie proste. Samolot S-G - łatwo zauważalne oznaczenie - i Armstrong. Już jesteśmy bezpieczni!

433

A jednak nie, mówił sobie gorzko, człapiąc przez śnieg. Czuł, że jest brudny. Miał ochotę się umyć i przepelniała go bezradna wściekłość. Musieli zobaczyć SOS. Nie mają przecież oczu na dupie? Dlaczego, do cholery...

Usłyszał, że Gueng sygnalizuje niebezpieczeństwo i obejrzał się. Samochód pędził w ich kierunku; był

889

w odległości kilkuset metrów. Ross ruszył biegiem i wskazał las.

- Tędy!

Wcześniej zaplanował, że jeśli nie uda się im na lotnisku, pójdą do bazy Erikiego. Baza leżała o jakieś sześć kilometrów od nich, na południowy wschód od Tebrizu. Gdy zasłoniły go drzewa, zatrzymał się i obejrzał. Samochód stanął na końcu pasa startowego. Wysiedli z niego mężczyźni i puścili się w pogoń; gdy zauważyli, że śnieg jest zbyt głęboki, zawrócili, wsiedli do samochodu i odjechali.

- Teraz nas nie złapią - powiedział Ross. Prowadził pozostałych w głąb lasu, z konieczności posuwając się niewygodną ścieżką.

Od ściany tej części lasu rozpościerały się skute mrozem pola, które w lecie przynosiły obfite plony. Większość ziemi należała do kilku wielkich właścicieli ziemskich, których nie dotknęła reforma rolna Szacha. Za polami rozpoczynały się slumsy na obrzeżach Tebrizu.

Widzieli minarety Błękitnego Meczetu i rozwiewane wiatrem dymy pożarów.

- Czy możemy obejść miasto, Azadeh?

- Tak - odparła - ale to... dość długa droga. Usłyszeli w jej głosie zatroskanie. Jak dotąd, szła szybko i nie skarżyła się, ale jednak narażała ich na niebezpieczeństwo. Żołnierze włożyli szaty szczerpowe na mundury. Sfatygowane buty ujdą w tłoku, broń też. I jej czador. Spojrzał

na nią; nie oswoił się jeszcze z tym, że w takim stroju wyglądała brzydko. Poczwała jego spojrzenie i spróbowała się uśmiechnąć. Rozumiała. Zarówno sprawę czadom, jak i to, że była dla nich ciężarem.

- Przejdźmy przez miasto - powiedziała. - Możemy trzymać się bocznych uliczek. Mam trochę... trochę pieniędzy. Możemy kupić żywność. Johnny, możesz udawać, że jesteś z Kaukazu, powiedzmy z Astaru. Ja będę udawała twoją żonę. Gueng, mów w języku Gurkhów czy jakimś innym nieznanym tutaj. Bądź nieokrzesany i arogancki, jak ktoś z Turkmenii.

Możesz uchodzić za jednego z nich; oni pochodzą od Mongołów, jak 890

wielu Irańczyków. Albo może kupię jakieś zielone chustki i będą z was Zielone Opaski... To wszystko, co mogę zrobić.

- To dobry pomysł, Azadeh. Lepiej nie trzymajmy się razem. Gueng, idź z tyłu.

- Na ulicy irańskie żony idą za mężami. Ja... ja będę szła trochę z tyłu, za tobą, Johnny -
dodała Azadeh.

- To dobry plan, memsahib - zauważył Gueng. - Bardzo dobry. Niech pani nas prowadzi.

Podziękowała mu uśmiechem. Wkrótce weszli w plataninę uliczek i placyków dzielnicy slumsów. Gdy jakiś mężczyzna potrącił niechący Guenga, ten bez wahania uderzył go pięścią w gardło tak, że nieprzytomna ofiara wylądowała w rowie, i głośno klął w języku Gurkhów.

Na chwilę w tłumie zapadła cisza; potem hałas zyskał zwykle natężenie, a znajdujący się bliżej ludzie spuścili oczy i szybko ruszyli przed siebie. Niektórzy ukradkiem zrobili znak przeciwko złemu spojrzeniu. Wiedziano, że ci, którzy pochodzili z północy, potomkowie dzikich hord nie znających Jedyne Boga, posiadali taką moc.

Azadeh kupowała żywność od ulicznych handlarzy. Kupiła świeży chleb prosto z pieca, kebab z jagnięcia pieczony na węglach i choeszt warzywno-fasolowy z dużą ilością ryżu.

Usiedli na prymitywnej ławce i jedli łąpczywie. Potem wstali i poszli dalej. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Czasem ktoś proponował Rossowi, że mu coś sprzeda, ale Azadeh szybko interweniowała, mówiąc, jak ktoś z gminu, lokalnym tureckim dialektem. Zatrzymała się 434

zaniepokojona, gdy muezzini wezwali do popołudniowej modlitwy. Wszyscy wokół, mężczyźni i kobiety, znajdowali kawałki dywanu czy jakiegoś materiału, stare gazety i kartonowe pudła; klękali na nich i przystępowali do modlitwy. Ross zawahał się; potem, widząc jej błagalne spojrzenie, udał, że się modli i niebezpieczeństwo minęło. Na całej ulicy tylko pięć osób pozostało w pozycji stojącej, w tym Gueng, który oparł się o ścianę. Nikt nie zwracał uwagi na stojących; mieszkańcy Tebrizu stanowili mieszkankę różnych ras, różnych religii.

891

Ruszyli dalej, kierując się na południowy wschód. Znajdowali się teraz na przedmieściach, w dzielnicy nędzy, pełnej śmieci i wynędzniałych, na wpół zagłodzonych psów. Jedyńm urządzeniem kanalizacyjnym był rów. Wkrótce rudery ustąpią polom i sadowi: potem las i główna droga na Teheran, wijąca się zakosami aż do przełęczy, która doprowadzi ich do Tebrizu Jeden. Ross nie wiedział, co robi, gdy tam dotrą, ale Azadeh powiedziała, że zna w okolicy kilka grot, gdzie mogą poczekać, aż wyląduje jakiś helikopter.

Wyszli spomiędzy ostatnich slumsów na wyboisty, obwiedziony zaspami szlak, o pokrytej śniegiem

nawierzchni, zabrudzonej odchodami mułów i osłów. Dołączyli do innych ludzi, którzy szli, prowadząc obładowane zwierzęta lub uginając się pod ładunkami niesionymi na własnych grzbietach. Od czasu do czasu niektórzy z nich - mężczyźni, kobiety i dzieci -

przystawali, żeby się wypróżnić - garść śniegu w lewej dłoni - a potem ruszali dalej, cała mozaika narodowości, różne szczepy, koczownicy, ludzie z miasta. Łączyło ich tylko ubóstwo - i duma.

Azadeh czuła zmęczenie; opadało z niej napięcie - to ona była odpowiedzialna za przejście przez miasto. Bała się, że popełniła błąd, że mogą ich schwytać. Gorączkowo myślała o Erikkim, o tym, jak dostaną się do bazy i co potem. In sza a Allan, powtarzała w kółko w myślach. Bóg nie zapomni o mnie, Erikkim i Johnnym.

Gdy zbliżyli się do skrzyżowania szlaku z drogą na Teheran, zobaczyli Zielone Opaski i innych uzbrojonych ludzi, którzy stali przy skleconej naprędce zaporze i przyglądali się mijającym ich pojazdom i ludziom. Nie można było ich ominąć.

- Azadeh, idź przodem - szepnął Ross. - Poczekaj na nas dalej, przy drodze. Jeśli nas zatrzymają, nie mieszaj się do tego, po prostu idź dalej, do bazy. Rozdzielimy się. Tak będzie bezpieczniej. - Uśmiechnął się. - Głowa do góry.

Skinęła głową, pobladła ze strachu, i poszła. Niosła plecak Rossa. Nalegała na to od dłuższego czasu.

892

- Spójrz na inne kobiety, Johnny. Nie niosąc niczego, bardzo się wyróżniam.

Obaj mężczyźni zatrzymali się, podeszli do zasy i oddali mocz. Mijali ich ludzie. Niektórzy patrzyli na nich ze zdziwieniem, niektórzy przeklinali jako niewiernych - Ross i Gueng nieświadomie siusiali w kierunku Mekki, czego nie zrobiłby żaden muzułmanin.

- Ruszysz, gdy ona przejdzie, Gueng. Ja pójde po dziesięciu minutach.

- Lepiej teraz ty - szepnął Gueng. - Ja jestem Turkmenem.

- Dobrze, ale nie wtrącaj się, jeśli mnie zatrzymają. Skorzystaj z zamieszania i zaopiekuj się nią. Nie zawieź mnie!

Niski mężczyzna błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- To ty nie zawieź, sahib. Masz jeszcze wiele do zrobienia, zanim zostaniesz Panem Gór. -

Gueng spoj-# rzał w kierunku zapory odległej o sto metrów. Zobaczył, że Azadeh właśnie się z nią zrównała. Jeden z Zielonych Opasek powiedział coś do niej; odwróciła wzrok i odpowiedziała, a ten dał znak, że może przejść. - Nie czekaj na mnie przy drodze, sahib.

Może pójde przez pola. Nie ma obawy, na pewno was znajde.

Wmieszał się w strumień ludzi podążających do miasta. Gdy przeszedł jakieś sto metrów, usiadł na odwróconym koszu i rozsznurował buty, jakby ten go uwierał. Skarpety były w 435

strzępach, ale nie miało to znaczenia; podeszwy stóp były twarde jak żelazo. Zyskując na czasie, starannie zasznurował buty; udawanie Turkmiena bardzo go bawiło.

Ross włączył się w strumień ludzi opuszczających Tebriz. Zauważył, że razem z Zielonymi Opaskami stali policjanci. Ludzie byli poirytowani; nigdy nie lubili żadnej władzy i ograniczania ich prawa do chodzenia tam, dokąd zapragną. Wielu nie skrywało gniewu, a niektórzy byli bliscy uruchomienia pięści.

- Ty - odezwał się człowiek z Zielonych Opasek. - Gdzie masz dokumenty?

893

Ross ze złością splunął na ziemię.

- Papiery? Lewicowe psy spaliły mój dom, spaliły moją żonę i spaliły moje dzieci. Został mi tylko ten karabin i trochę amunicji. Wola Boga, ale dlaczego nie pójdziecie i nie wykonacie bożej pracy, paląc tych czcicieli szatana, a zamiast tego zatrzymujecie uczciwych ludzi?

- Jesteśmy uczciwi! - rzucił ze złością mężczyzna. - Wykonujemy bożą pracę. Skąd pochodzisz?

- Astar. Astar na wybrzeżu. - Wybuchnął gniewem: - A ty?

Następny w kolejce mężczyzna i jeszcze jeden za nim zaczęli kląć. Pokrzykiwali na człowieka z zieloną opaską, żeby się pospieszył i nie muszał ich do stania na zimnie. Ross zobaczył zbliżającego się policjanta i postanowił to wykorzystać. Ruszył do przodu z kolejnym przekleństwem na ustach, za nim następny mężczyzna i jeszcze następny. W ten sposób znaleźli się na wolnej przestrzeni. Ludzie z Zielonych Opasek obrzucili ich leniwie przekleństwami i powrócili do obserwowania przechodzących.

Uspokojenie się zabrało Rossowi trochę czasu. Starał się nie przyspieszać i wypatrywał

Azadeh. Ani śladu. Mijały go teraz samochody osobowe i ciężarówki, wspinające się na wzniesienie lub zjeżdżające w dół z nadmierną prędkością. Od czasu do czasu ludzie schodzili im z drogi, puszczając obowiązkowe wiązanki przekleństw. Mężczyzna, który przy zaporze stał z tyłu, szedł teraz obok Rossa; tłum pieszych przeredził się; ludzie skręcali w boczne ścieżki prowadzące do domostw położonych przy drodze lub do ukrytych w lesie wiosek. Mężczyzna, w średnim wieku, z pomarszczoną, bardzo mocną twarzą, był biednie ubrany i niósł wysłużony karabin.

- Ten Zielona Opaska to psi syn - powiedział z silnym akcentem. - Masz rację, agha. Oni powinni wykonywać bożą pracę, a nie pracę Abdollah-chana.

Ross natychmiast zdwoił uwagę.

- Kogo?

- Pochodzę z Astary. Poznają po akcencie, że ty nie pochodzisz z Astary, agha. Ludzie z Astary nigdy nie szcują w kierunku Mekki ani nie odwracają się tyłem do Mekki. My wszyscy w Astarze jesteśmy dobrymi muzułmanami. Według opisu ty musisz być sabotażystą, za którego chan wyznaczył nagrodę.

- Mężczyzna mówił łagodnym, dziwnie przyjacielskim głosem; stary karabin enfield wisiał spokojnie na jego ramieniu.

Ross nie odpowiedział: odchrząknął tylko i nie zmienił tempa.

- Tak, chan daje dobrą nagrodę za twoją głowę. Dużo koni, stado owiec, dziesięć wielbłądów lub więcej. Zwykły okup Szacha dawany zwykłym ludziom. Wyższy za żywego niż martwego - więcej koni i owiec, i wielbłądów, tyle że starczy do końca życia. Gdzie jest kobieta, Azadeh, jego córka. Córka, którą porwałś ty i jeszcze inny człowiek?

Ross skierował na niego zdumione spojrzenie. Mężczyzna zachichotał.

- Musisz być bardzo zmęczony, skoro tak łatwo się poddajesz. - Nagle spojrzał twardo. Jego ręka powędrowała do kieszeni starej kapoty. Wyszarpnął rewolwer i przyłożył Rossowi do boku. - Idź o krok przede mną i nie uciekaj ani niczego nie rób, bo przestrzelę ci kręgosłup.

Gdzie jest kobieta? Za nią także wyznaczono nagrodę.

W tym momencie ciężarówka zjeżdżająca z przełęczy wpadła na zakręcie w poślizg, zjechała na niewłaściwą stronę drogi i popędziła wprost na nich, przeraźliwie trąbiąc. Ludzie rozbiegali się w popłochu. Ross był szybszy: uskoczył w bok i popchnął mężczyznę ramieniem prosto pod koła pojazdu. Przejechały po nim i przednie, i tylne. Ciężarówka zatrzymała się trzydzieści metrów niżej.

- Boże, miej nas w swojej opiece, widziałeś? - odezwał się ktoś. - Zatoczył się pod ciężarówkę.

Ross zwał ciało nieznanego z drogi. Rewolwer zniknął w śniegu.

- Ach, czy Bóg poświęcił twojego ojca agha? - zapytała jakaś staruszka.

- Nie... nie - wykrztusił Ross. - Wszystko stało się tak szybko, gwałtownie. Ja... to ktoś obcy.

Nigdy przedtem go nie widziałem.

- Na proroka, jak nieuważni są przechodnie! Czy nie mają oczu? Czy on nie żyje? - wołał

kierowca ciężarówki, wspinając się drogą do miejsca wypadku. Był prostym, brodatym mężczyzną o ciemnej karnacji skóry. - Bóg świadkiem, że on sam wszedł na moją drogę.

Wszyscy to widzieli! Ty - zwrócił się do Rossa - ty byłeś obok niego. Musiałeś widzieć.

- Tak... tak było. Stałem za nim.

- Wedle woli Boga. - Kierowca był zadowolony: wszystko w porządku i nie ma sprawy. -

Jego Ekszelencja to widział. In sza'a Allah!

Ross przepchnął się pomiędzy nielicznymi podróżnymi, którzy zadali sobie trudu zatrzymania się koło miejsca wypadku. Ruszył pod górę, nie za szybko i nie za wolno, próbując wziąć się w garść. Nie śmiał obejrzeć się za siebie. Na zakręcie zwiększył tempo, zastanawiając się, czy postąpił słusznie, że zareagował tak szybko, prawie bez zastanowienia. A jednak ten człowiek mógł sprzedać ją i ich obu. Trudno, karma to karma. Następny zakręt i nadal nie ma Azadeh.

Niepokoił się coraz bardziej.

Droga wiła się tu licznymi zakrętami, biegnąc ostro pod górę. Ross minął kilka nędznych zabudowań, na wpół ukrytych na krawędzi lasu. Liczne psy wałęsały się, poszukując pożywienia. Te, które podchodziły bliżej, odganiał głośnymi przekleństwami; wiele psów chorowało na wściekliznę. Kolejny zakręt - pot tryskał z Rossa strumieniami - i wreszcie była; kuciała przy drodze, odpoczywając podobnie jak z tuzin staruszek. Zobaczyła go w tej samej chwili, potrząsnęła ostrzegawczo głową, wstała i ruszyła dalej. Posuwał się o dwadzieścia metrów za nią. W dole rozległy się strzały. Wszyscy zatrzymali się i spojrzeli.

Nie można było niczego zobaczyć. Zaporę, odległą już o pół kilometra lub więcej, 896

przesłaniały liczne zakręty drogi. Po chwili ogień karabinowy ustał. Nikt się nie odezwał; wszyscy ruszyli szybciej do przodu.

Droga nie była wygodna. Przeszli jakiś kilometr, ustępując od czasu do czasu miejsca samochodom. Niekiedy przejeżdżał jakiś autobus, ale zawsze przeładowany; nie było mowy, by się zatrzymał. Żeby zdobyć miejsce, trzeba było czekać dzień lub dwa dni, nawet na właściwym przystanku. Ciężarówki czasem się zatrzymywały. Za pieniądze.

Później jedna przemknęła obok Rossa < zwolniła, gdy zrównała się z Azadeh.

- Po co chodzić, skoro przy pomocy Cyrusa kierowcy i Boga można się przejechać? - zawołał szofer, wychylając się w jej kierunku; mężczyzna z ciemną brodą w wieku Rossa.

Obserwował ją od jakiegoś czasu, widząc kołyszące się biodra, których nawet czador nie pozbawił wdzięku. - Dlaczego taki kwiatusek Boga idzie, zamiast siedzieć w ciepłej ciężarówce lub na dywanie mężczyzny?

Spojrzała na niego, rzuciła jakieś rynsztokowe przekleństwo i zawołała do Rossa:

- Mężu, ten trędowaty syn psa ośmiela się mnie obrażać i wygłasza obleśne uwagi sprzeczne z

prawem boskim...

Ross był już przy niej, a kierowca stwierdził, że patrzy w otwór lufy.

437

- Ekscelencjo... pytałem, czy... czy pan i ona chcielibyście... chcielibyście, żebym was podwiózł - bełkotał przerażony kierowca. - Jest miejsce z tyłu... gdyby ekscelencja chciał

wyświadczyć zaszczyt mojemu pojazdowi...

Ciężarówkę wypełnił do połowy złom, ale było to lepsze niż marsz.

- Na twą głowę, kierowco, dokąd jedziesz?

- Do Kazwinu, ekscelencjo, do Kazwinu. Czy zrobi mi pan ten zaszczyt?

Ciężarówka nie zatrzymała się, ale Ross z łatwością pomógł Azadeh przeczołgać się przez tylną klapę. Przy-897

padli nisko, kryjąc się przed podmuchami wiatru. Aza-deh trzęsły się nogi, była zmarznięta i bardzo zdenerwowana. Objął ją ramieniem.

- Och, Johnny, gdyby tu ciebie nie było...

- Nie martw się, nie martw. - Starał się ją rozgrzać. Kaziwn. Kazwin? Czy to nie jest w połowie drogi do

Teheranu? Oczywiście, tak! Będziemy się trzymać tej ciężarówki aż do Kazwinu, powtarzał

w myślach, zbierając siły. Potem możemy znaleźć inną albo autobus, albo ukraść samochód.

Coś takiego zrobimy.

- Do bazy skręca się trzy kilometry stąd - powiedziała, dygocząc w jego ramionach. - W

prawo.

Baza? Ach, tak, baza. I Erikki. A Gueng? Co z Gu-engiem? Myśl. Co zrobić?

- Jaki... jaki tam jest teren? Otwarty i płaski, wąwóz, jeszcze inny? - zapytał.

- Raczej płaski. Wkrótce dojedziemy do naszej wioski, Abu Mard. Miniemy ją, a trochę dalej zaczyna się zalesiony płaskowyż, przez który biegnie nasza droga. Dalej główna droga znów wspina się do przełęczy.

Ross widział meandry drogi wijącej się wzdłuż zbocza.

- Wsiądziemy po drugiej stronie wioski przed płaskim terenem, zatoczmy koło lasem i dojdziemy do bazy. Czy to jest możliwe?

- Tak. Dobrze znam okolicę. Ja... uczyłam w szkole w wiosce i zabierałam dzieci na... na spacer. Znam ścieżki. - Znów dygotała.

- Schowaj się przed wiatrem. Wkrótce się ogrzejesz.

Stara ciężarówka wspinała się na wzniesienie niewiele szybciej niż piesi, ale było to lepsze niż marsz. Ross obejmował Azadeh ramieniem, nawet gdy przestała dygotać. Spojrzał nad klapą i zobaczył szybko doganiający ich samochód osobowy, za którym jechała pomalowana w zielone smugi ciężarówka. Kierowca samochodu trzymał rękę na klaksonie. Ich ciężarówka nie miała miejsca, żeby zjechać z drogi; samochód śmignął na niewłaściwy pas ruchu i wyprzedził ich. Mam nadzieję, cholerniku, że się zabijesz, pomyślał Ross, rozżłoszczony hałasem

898

i niewiarygodną lekkomyślnością tamtego. Zauważył mimochodem, że samochód był

wypełniony uzbrojonymi ludźmi, podobnie jak jadąca za nim ciężarówka, na której skrzyni stali mężczyźni przytrzymujący się żelaznego szkieletu budy. Tylna klapa była otwarta i dziko waliła w skrzynię. Gdy ciężarówka mijała ich z rykiem, Ross dojrzał jakieś ciało, które leżało u ich stóp. Pomyślał zrazu, że to jakiś starzec. Ale nie. To był Gueng. Nie można było się pomylić, widząc resztki munduru. I kukri, które jeden z mężczyzn wbił w jego brzuch.

- Co to jest, Johnny?

Znalazł się obok niej, obojętny na nią i wszystko inne na świecie. Wiedział tylko, że zawiódł drugiego ze swoich ludzi. Jego oczy wypełniły się łzami.

- Co to jest, co się stało?

- Nic, to tylko wiatr.

438

Otarł łzy, przyklęknął i wyjrzał do przodu. Droga nikła za zakrętami i pojawiała się znowu.

Podobnie samochód i ciężarówka. Ross widział już wioskę. Za wsią droga pięła się do góry, a potem biegła płasko, tak jak powiedziała Azadeh. Samochód i ciężarówka przemknęły przez wioskę z pełną prędkością. Ross miał w kieszeni małą, lecz silną lornetkę. Usiłując zachować równowagę, skierował ją na samochód, który przyspieszył na płaskim, a potem skręcił w prawo, w drogę prowadzącą do bazy, i znikł z pola widzenia. Gdy ciężarówka dojechała do skrzyżowania, zatrzymała się, blokując niemal całą drogę. Ze skrzyni zeskoczyło pół tuzina mężczyzn: rozstawili się w poprzek drogi i stanęli twarzami w kierunku Tebrizu. Ciężarówka ruszyła w ślad za samochodem i także skryła się za drzewami.

Ich ciężarówka zwolniła, gdy kierowca wrzucił z hałasem jedynekę. Dokładnie przed nimi wyłonił się krótki, bardziej stromy podjazd. W pobliżu ścieżka, żadnych pieszych.

- Dokąd ona prowadzi, Azadeh? Uklękła i wyjrzała.

899

- Do Abu Mard, naszej wioski - wyjaśniła. - Jest trochę zakrętów, ale tam się kończy.

- Przygotuj się. Zaraz wyskakujemy. Przed nami następca zapor.

We właściwym momencie ześliznął się z boku ciężarówki i pomógł jej zeskoczyć. Potoczyli się w zasłonięte miejsce. Ciężarówka nie zatrzymała się, a kierowca nawet się nie obejrzał.

Wkrótce pojazd był już daleko. Trzymając się za ręce, skoczyli między drzewa.

W ZAGROSIE TRZY, 16:05. Lochart oparł się o kokpit 212. Czekał na kolejny kurs do Wierceń Rosa z ładunkiem elementów rury. Bezchmurne niebo, góry o tak czystych i wyraźnych kontuarach, że zdawało się, iż można sięgnąć ręką i dotknąć szczytów. Lochart spojrział na Rodriguesa, mechanika, który przyklęknął na śniegu i zaglądał do wnętrza maszyny przez klapę umieszczoną nisko w jej brzuchu.

- Wymarzony dzień na narty czy sanki, Rod, a nie na telepanie się gdzieś helikopterem.

- To wymarzony dzień na to, żeby się stąd wynieść, Tom.

- Może nie będziemy musieli - odparł Lochart. Od niedzieli, gdy startł się słownie z Niczak-chanem, nie usłyszał ani słowa od niego ani od innych mieszkańców 901

wioski. - Może komitet zmieni zdanie albo Mac załatwi unieważnienie polecenia. To idiotyczne, żebyśmy mieli się wynosić właśnie wtedy, gdy oni potrzebują każdej baryłki ropy, a nowy szyb w Wierceniach Rosa to prawdziwa bonanza, Jesper Almqvist powiedział, że będzie można stamtąd pompować osiemnaście tysięcy baryłek. To prawie trzysta sześćdziesiąt tysięcy dolców dziennie, Rod.

- Mułowie nie oddadzą za ropę nawet kawałka gówna. Ich obchodzi tylko Allah, Koran i raj.

Sam to powtarzałeś miliony razy. - Rodrigues startł smugę oleju.

- Powinniśmy wszyscy polecieć z Jesperem do Szirazu, a stamtąd za granicę. Nikt nas tu nie chce. Nasiri dostał kulkę w łeb, prawda? Za co? To był miły facet, nigdy nikogo nie skrzywdził. Powiedziano nam, żebyśmy się wynosili, to na co, do cholery, czekamy?

- Może komitet zmienił zdanie. Mamy do obsłużenia jedenaście wierceń.

- Te wiercenia i tak gonią resztkami, a ich załogi chciałyby już wreszcie stąd spieprzyć. Od wielu tygodni nikt ich nie zmienił. - Rodrigues wstał, otrzepał kolana ze śniegu i zaczął

wycierać zabrudzone olejem dłonie.

- To wariactwo zostawać tutaj, skoro nas nie chcą. Młody Scot chce strugać silnego waźniaka i ty też. Pomyśl o tym.

- Gówno - powiedział Lochart.

Nie powtórzył nikomu tego, co według relacji Scota wydarzyło się naprawdę w wiosce. Znow zaczął się niepokoić o Scota, bazę, Szahrazad, HBC i znow, jak zwykle, o Szahrazad.

- Żadne gówno - mówił Rodrigues - odkąd wróciłeś z Teheranu, chcesz tu zostać jak wszyscy diabli. Chcesz zostać w Iranie, Tom, w porządku, ty to co innego: masz tu żonę. Ja chcę wyjechać.

439

Lochart oderwał swe myśli od Szahrazad. W twarzy przyjaciela dojrzał strach.

- O co chodzi, Rod?

Masywnie zbudowany mężczyzna dopiął pasek opinający brzuch i zapiął parkę.

902

- Denerwuję się jak cholera swoimi fałszywymi papierami, Tom. Gówno. Gdy tylko otworzę pysk, od razu wiadomo, że nie jestem Brytyjczykiem. Wszystkie moje zezwolenia są nieaktualne. To samo jest z paroma innymi facetami, ale ja jestem tutaj jedynym Amerykaninem. W szkole walnąłem pogadankę o Stanach, a teraz ci pieprzeni mułłowie i Chomeini mówią, że jestem szatanem. Ja! Cholernie dobry katolik, na rany Chrystusa! Nie mogę w nocy spać!

- Dlaczego, do cholery, wcześniej tego nie powiedziałeś? Nie musisz zostawać, Rod. Jutro leci 212. Może zabierzesz się ze Scotem? Dostaniesz się do Asz Szargaz, a potem przerzucą cię do Nigerii, Kenii czy cholera wie dokąd jeszcze.

Rodrigues przez chwilę nie odpowiadał. Rzucił ponure spojrzenie.

- Chciałbym, Tom. Jasne. Gdybyś to załatwił, zdjąłbyś mi z grzbietu piekielny ciężar.

- Załatwione. Musimy wysłać mechanika - dlaczego nie ciebie, jesteś najstarszy.

- Dzięki. Tak, dzięki, Tom. - Rodrigues rozpromienił się. - Dokręcę tylko pedał i twoja maszynka będzie jak nowa.

Lochart spojrział na lądowisko ładunkowe i stwierdził, że elementy rury są już gotowe do zabrania. Dwóch irańskich robotników czekało w pogotowiu, żeby naprowadzić hak na pierścień. Lochart chciał wejść do śmigłowca, ale zatrzymał się na widok dwóch mężczyzn nadchodzących od strony wioski. Jednym z nich był Niczak-chan, drugim jakiś człowiek z karabinem. Nawet z odległości stu metrów łatwo było dostrzec zieloną opaskę.

Lochart ruszył na spotkanie, przygotowując się do myślenia i mówienia w iarsi.

- Salam, kalandarze, salam, Agha - pozdrowił mężczyznę, który także nosił brodę, lecz był znacznie młodszy od chana.

- Salam - odpowiedział Niczak - mieliście czas do piątego zachodu słońca.

903

Lochart próbował ukryć zdumienie. To był wtorek, a piąty dzień wypadnie w niedzielę.

- Ale, ekscelencjo...

- Do piątego zachodu słońca - rzucił niegrzecznie mężczyzna z Zielonych Opasek. - Nie możecie pracować ani latać w piątek - lepiej podziękujcie wtedy Bogu - a piątego zachodu słońca, licząc od dziś, jeśli nie wyjadą wszyscy cudzoziemcy i maszyny, baza zostanie spalona.

Lochart tylko na niego spojrział. Zobaczył przy okazji, że Jean-Luc wychodzi z kuchni i zmierza w ich kierunku.

- W ciągu czterech dni roboczych będzie nam bardzo trudno, agha. Nie sądzę...

- In sha'a Allah.

- Jeśli odejdziemy, wszystkie wiercenia trzeba będzie zamknąć. Tylko my możemy zapewnić im dostawy. To zaszkodzi Iranowi. To, że my...

- Islam nie potrzebuje ropy. To cudzoziemcy potrzebują ropy. Pięć zachodów słońca. Jeśli zostaniecie, sami będziecie sobie winni. - Niczak-chan zerknął z ukosa na mężczyznę i powiedział do Locharta: - Agha, chcę polecieć z tym człowiekiem i odwiedzić kalan-dara włoskich cudzoziemców. Jeśli można, chciałbym już wyruszyć.

- To dla mnie zaszczyt, kalandarze - odparł Lochart i pomyślał: Mimmo Sera jest w tych górach już od lat. Na pewno będzie wiedział, co zrobić. - Zabieram tam ładunek rury.

Możemy natychmiast startować.

- Rury? - obruszył się młodzieniec. - Nie ma potrzeby. Polecimy bez rury.

440

- IranOil kazał lecieć z rurą. Jeśli rura nie polecą, to wy też nie - rzucił ze złością Lochart. -

Ajatollah Chomeini nakazał podjąć wydobywanie ropy. Dlaczego komitet nie jest mu posłuszny?

Młodzieniec spojrział posepnie na chana, który powiedział spokojnie:

- Wedle woli Boga. Ajatollah jest Ajatollahem. Komitety słuchają tylko jego. Jedźmy, agha.

904

Lochart oderwał wzrok od młodzieńca.

- W porządku. Lecimy od razu.

- Salam, kalandarze - odezwał się Jean-Luc, który do nich dołączył. - Tom, jak brzmi odpowiedź? - zapytał po angielsku.

- Zachód słońca. Niedziela. Do tego czasu ma nas nie być; poza tym nie możemy latać w piątek.

Jean-Luc stłumił przekleństwo.

- Żadnych rokowań?

- Żadnych. Chyba że chcesz się spierać z tą mamuszką.

Młodzieniec z karabinem spojrział obraźliwie na Jean-Luca.

- Powiedz temu synowi psa, że nędznie śmierdzi. Lochart poczuł lekki zapach czosnku.

- On mówi, że twoje potrawy wspaniale pachną. Jean-Luc, posłuchaj, oni chcą odwiedzić Mimma Serę. Wróć, gdy tylko będę mógł, i wtedy zastanowimy się, co zrobić. Kalandarze, wyruszamy. - To ostatnie zdanie powiedział w farsy. Otworzył drzwi kabiny.

- Tam! - krzyknął nagle Rodrigues i wskazał ręką punkt wysoko w górach. W niebo walił dym. - To Maria?

- Może być Bellissima - zauważył Jean-Luc. Niczak-chan przymrużył oczy i spojrział w miejsce, z którego unosił się dym.

- To niedaleko miejsca, gdzie mamy polecieć, prawda?

- Oczywiście. Niedaleko, kalandarze. Starzec wyglądał na bardzo zatroskanego.

- Może byłoby lepiej, pilocie, gdybyś zabrał rurę następnym razem. Już od wielu dni słyszymy, że lewacy infiltrują góry. Chcą uprawiać sabotaż i sprawiać kłopoty. Zeszłej nocy jednemu z moich pasterzy ktoś poderżnął gardło i wyrwał genitalia. Moi ludzie szukają morderców.

Z ponurym wyrazem twarzy wszedł do kabiny. Mężczyzna z zieloną opaską za nim.

- Rod - polecił Lochart - wyprowadź 206. Jean-Luc, prowadź nasłuch. Wywołam cię przez radio.

- Oui. Pas probleme. - Jean-Luc spojrział na dym.

Lochart zostawił w bazie ładunek rury i poleciał na północ. Płonęła Bellissima. Już z daleka pilot widział płomień wzbijające się na dziewięć metrów w górę z jednego kontenera, który, wysuszony na pieprz w pozbawionym wilgoci górskim powietrzu, wypalił się już niemal całkowicie. Obok szybu wiertniczego widać było drugi pożar, a koło składu dynamitu ciało leżące w śniegu. Nad bazą wznosił się ośnieżony szczyt, teraz, po wybuchu dynamitu rzuconego przez Pietra i wynikłej z tego lawinie, zupełnie niegroźny. Wąwóz opadał dwieście dwadzieścia pięć metrów w dół.

Gdy maszyna zbliżyła się do bazy, pilot dojrzał z pół tuzina figurek, zbiegających ścieżką do doliny. Wszyscy uzbrojeni. Bez wahania przechylił śmigłowiec i ruszył za nimi. Miał ich dokładnie przed sobą i przeklinał fakt, że nie leci śmigłowcem bojowym. Mógłby ich bez problemu zdmuchnąć. Sześciu brodatych mężczyzn, w anonimowych szatach szczepowych.

Potem zobaczył, że jeden z nich zatrzymuje się i wymierza broń. Znajome iskierki z lufy.

Robiąc unik zanurkował. Gdy ponownie wzniosł maszynę wyżej na bezpieczniejszy dystans, figurki zniknęły.

441

Lochart odwrócił się i zajrzał do kabiny. Ni-czak-chan i mężczyzna z zieloną opaską wyglądali przez boczne okienka, z nosami przyciśniętymi do szyb. Pilot krzyknął, ale nie mogli go usłyszeć; uderzył w ściankę, żeby zwrócić ich uwagę, i skinął na kalandara. Starzec ruszył do przodu, trzymając się uchwytów; w powietrzu nie czuł się pewnie.

- Widział ich pan? - krzyknął Lochart.

- Tak, tak - odkrzyknął chan. - To nie są ludzie z gór. Na pewno terroryści.

Lochart odwrócił się.

- Jean-Luc, słyszysz mnie?

- Głośno i wyraźnie, Tom. Mów.

Lochart powiedział, co widział, poprosił kolegę, żeby pozostał na nasłuchu, i skupił się na lądowaniu. Ponad ogromem przepaści piętrzyły się niebezpieczne 906

zasy i wiał porywisty wiatr. Lochart był w Bellissimie po raz pierwszy od czasu powrotu z Teheranu. Po śmierci Guineppy Bellissima pracowała na zmniejszonych do minimum obrotach, tylko na jedną zmianę. Gdy maszyna dotknęła ziemi, pilot zobaczył Pietra - teraz najstarszego pracownika, który zajął miejsce Guineppy. Pietro odwrócił się od pożaru i ruszył

w kierunku helikoptera.

- Tom! Potrzebujemy pomocy - krzyknął. Był na granicy łez. - Gianni nie żyje, jest paru rannych z pożaru...

- Jasne, już się robi. - Lochart rozpoczął procedurę wyłączenia silników. - Z tyłu jest Niczak i facet z Zielonych Opasek. Nie przejmuj się, dobra? - Przekreślił się na siedzeniu i wskazał

drzwi. Starzec skinął głową. - Co się tu, do cholery, stało. Pietro? - zapytał Lochart, odnajdując palcami przełączniki.

- Nie wiem... nie wiem, amico. - Pietro zbliżył twarz do okienka kokpitu. - Jedliśmy obiad, gdy ta stronzo butelka z benzyną i płonącą szmatą wpadła przez stron-zo okno i zrobił się pożar... - Obejrzał się, gdy płomienie liźnęły na wpół pełną beczkę ropy i buchnęły wysoko wśród kłębow czarnego dymu. Czterej mężczyźni walczący z ogniem cofnęli się. - Si, w jadalni wybuchł pożar. Wybiegliśmy, a na zewnątrz byli ci ludzie, ban-ditos... Mamma mia, zaczęli strzelać. Rozbiegliśmy się i próbowaliśmy się schować. Gianni zobaczył, że podkładają ogień w pomieszczeniu generatora, blisko dynamitu i... po prostu wybiegł z ukrycia, żeby ich ostrzec, a jeden z nich go zastrzelił. Mamma mia, zastrzelił go bez powodu!

Bastardi, stronzo bastardi...

Lochart i pasażerowie szybko wyskoczyli z maszyny. Słysząc było tylko zawodzenie wiatru, syk płomieni i silnik pompy przeciwpożarowej. Pietro odłączył generatory i pompy oraz dokonał awaryjnego zamknięcia całego szybu. Dach kontenera zapadł się; buchnęły w górę iskry i rozżarzone węgle. Wiele opadło na dachy pobliskich kontenerów, lecz pokrywał je śnieg i nie było to niebezpieczne. Pożar obok szybu nadal nie dawał się 907

opanować, podsycany ropą i jej oparami. To było bardzo niebezpieczne. Mężczyźni polewali ogień pianą, ale płomienie dochodziły do magazynku dynamitu, liżąc ścianę z falistej blachy.

- Dużo tam tego jest, Pietro?

- Za dużo.

- Wyciągnijmy go stamtąd.

- Mamma mia...

Pietro ruszył za Lochartem. Osłaniając twarz dłońmi, wyważyli drzwi; nie było czasu na szukanie klucza. Dynamit spoczywał w starannie ułożonych pudłach. W dwunastu. Lochart chwycił jedno i wyszedł; poczuł uderzenie gorąca. Jeden z mężczyzn odebrał od niego ładunek i zabrał go w bezpieczne miejsce, podczas gdy Lochart wrócił po następny.

Niczak-chan i mężczyzna z zieloną opaską stali w bezpiecznym miejscu, zasłonięci helikopterem od wiatru.

- Wedle woli Boga.

- Wedle woli Boga - zawtórował młodzieniec. - Co teraz zrobimy?

- Trzeba pomyśleć o terrorystach. I o tym zabitym. Młodszy mężczyzna spojrział na kontur ciała, leżącego na śniegu jak zepsuta lalka.

- Gdyby nie przybył w nasze góry, nie byłby martwy. To jego wina. Tylko jego.

- To prawda.

Niczak-chan obserwował pożar i gaszących go ludzi. W czasie gdy Lochart i Pietro wynosili ze składziku dynamit, pozostałym udało się opanować ogień.

Lochart oparł się o ścianę kontenera, żeby złapać oddech.

- Pietro, mamy czas tylko do zachodu słońca w niedzielę. Potem ma nas tu już nie być.

Twarz Pietra ściągnęła się. Spojrział na kalandara i Zieloną Opaskę, stojących obok helikoptera.

- Pięć dni? To zdejmuję ze mnie ciężar podjęcia decyzji, Tom. Ewakuujemy się do Szirazu.

Przez Wiercenię Rosa albo bezpośrednio. - Zacisnął lewą dłoń 908

w pięść, zgiął rękę i ustawiając poprzecznie drugą, wykonał obelżywy gest. - Na razie Bellissima jest w ruinie. Będę potrzebował Almqvista, żeby zaczopować odwierty. Mamma mia, trzeba będzie przewieźć kupę ludu. Co za cholerne marnotrawstwo! Dobrze, że stary Gui-neppa nie może już tego zobaczyć. Chyba polecę i pogadam z Mimmo.

- Natychmiast. Zabierzemy rannych. Co z Gian-nim?

Pietro spojrział na ciało.

- Zostawimy go, mojego biednego brata - powiedział smutno. - Nie zepsuje się.

WIERCENIA ROSA. Mimmo Sera siedział w stołówce naprzeciwko Niczak-chana i mężczyzny z Zielonych Opasek. Przy stole zasiedli także Lochart, Pietro i trzej starsi pracownicy odwiertu. Mimmo, który mówił płynnie w farsy, próbował przez pół godziny przekonać przedstawiciela komitetu, że powinni dać im więcej czasu albo pozwolić na pozostawienie kilku ludzi z załogi, podczas gdy on i Lochart polecą, żeby porozmawiać z szefem IranOil w Szirazie.

- W imię Boga, dość! - przerwał mu zirytowany człowiek z zieloną opaską.

- Ale, ekscelencjo, nie mając helikopterów, będziemy musieli zamknąć całe pole i od razu rozpocząć ewakuację. Z pewnością, ekscelencjo, ponieważ Ajatollah, niech będzie błogosławiony, i wasz premier Bazar-gan pragną wznowienia produkcji ropy, powinniśmy skonsultować się z IranOil w Szi...

- Dosyć! Kalandarze - człowiek z Zielonych Opasek zwrócił się do Niczak-chana - jeśli te owadzie mózdzki nie usłuchają, ty za to odpowiesz! Będziesz skończony, nastąpi koniec Jazdek i wszystkich twoich ludzi! Jeśli choć jeden cudzoziemiec lub jedna latająca maszyna zostanie tu do piątego zachodu słońca, a ty nie spalisz bazy, to my ją spalimy! Potem spalimy wioskę - sami albo z pomocą lotnictwa. Ty! - warknął do Locharta. - Włączaj silnik.

Wracamy. Ale już! - Wypadł na dwór.

909

Wszyscy wpatrywali się z przerażeniem w drzwi, którymi wyszedł członek komitetu.

Lochartowi zrobiło się przykro, gdy pomyślał o ludziach, którzy znaleźli ropę, wybudowali urządzenia wiertnicze i włożyli we wszystko tyle energii, pieniędzy i umiejętności, ryzykując, jak w grze hazardowej. To skandal, pomyślał. Ale nie mamy wyboru. Nie można nic więcej zrobić. Ewakuujemy się. Skreślę wyjazd Scota; wykorzystamy wszystkie maszyny i wykonamy tę pracę. Przez pięć dni będziemy pracować jak wszyscy diabli. Trzeba zapomnieć o Teheranie, Szahrazad i o tym, że dziś ma się odbyć marsz protestacyjny, w którym ona nie powinna brać udziału.

- Kalandarze - powiedział. - Bez twojej dobrej woli i pomocy musimy odejść.

Niczak-chan dostrzegł, że oczy wszystkich zwróciły się na niego.

443

- Muszę wybrać między bazą a moją wioską - oświadczył poważnie. - To znaczy, że nie mam wyboru. Spróbuję odnaleźć terrorystów i oddać ich w ręce sprawiedliwości. Lepiej, żebyście sami tego nie próbowali. W tych górach jest wiele kryjówek.

Z godnością wstał i wyszedł. Wiedział już, że nie będzie musiał spalić bazy, choć, gdyby Bóg tego zechciał, zrobiłby to bez chwili wahania, niezależnie od tego, czy byłaby pusta, czy pełna ludzi.

Pozwolił sobie na cień uśmiechu. Jego plan działał bez zarzutu. Wszyscy cudzoziemcy wzięli Hasana Pasterza Kóz za prawdziwego człowieka z Zielonych Opasek. Nic dziwnego: świetnie naśladował arogancję tamtych. Cudzoziemcy kupili bajeczkę o "terrorystach" mordujących pasterza; chan widział ich strach. Ci sami "terroryści" napadli na bazę wiertaczy, tę najbardziej niedostępną spośród jedenastu. Oni też, gdy robi się ciemno, podpalą dziś część Wierceń Rosa, a potem znikną na zawsze. Wtopią się w codzienne życie wioski, z której pochodzą. Jutro rano, myślał z satysfakcją, fala strachu ogarnie wszystkie tereny wierceń, a cudzoziemcy

910

sami zapragną jak najszybciej odejść. Ewakuacja zapewniona. Do Jazdek powróci spokój.

Ci głupcy grają w grę, której reguły tylko my rozumiemy! Pozostaje jednak problem młodego pilota. Był świadkiem, czy nie był? Starsi zalecali "wypadek", żeby usunąć ewentualne zagrożenie. Wczoraj wszystko poszłoby gładko: młody człowiek samotnie polował. Tak łatwo pośliznąć się i upaść na

strzelbę. Tak, ale moja żona odradzała "wypadek".

- Dlaczego?

- Dlatego, że szkoła była wspaniałą rzeczą - odpowiedziała. - Czyż nie mieliśmy czegoś takiego po raz pierwszy? Bez pilotów nigdy nie mielibyśmy szkoły. Teraz jednak jesteśmy już mądrzejsi i możemy zbudować ją sami. Piloci byli dla nas dobrzy; bez nich nie wiedzielibyśmy tego, co teraz wiemy, ani nie bylibyśmy tak bogatą wioską. Poza tym uważam, że młody człowiek powiedział prawdę. Pozwól mu odejść. Nie zapominaj, jak nas rozśmieszał tymi baśniami o miejscu zwanym Hongkong w kraju zwanym Chiny, gdzie mieszkają tysiące tysięcy tysięcy tysięcy ludzi, gdzie wszyscy mają czarne włosy i czarne oczy i jedzą drewnianymi pałeczkami.

Chan pamiętał, jak razem z żoną zaśmiewali się do łez. Jak w jakimś kraju może być aż tylu jednakowych ludzi?

- Nie możemy jednak być pewni, czy nie skłamał.

- Zatem go sprawdź - odparła. - Jest jeszcze na to czas.

Tak, pomyślał, mam cztery dni na wykrycie prawdy. Pięć, jeśli doliczyć piątek.

TEHERAN, 17:16. Marsz kobiet już się zakończył.

Rozpoczął się rano w takiej samej aurze nadziei, jaka spowijała Teheran od dwóch dni, gdy, nie do wiary, po raz pierwszy w historii same kobiety, jako grupa, miały wyjść na ulice w proteście, aby okazać solidarny opór przeciwko wszelkim naruszeniom ich ciężko zdobytych praw przez nowych władców kraju, nawet samego imama.

Odpowiednim dla kobiety ubraniem jest hedżab, który zmuszają do zasłonięcia włosów, ramion i nóg oraz piersi. Hedżab okrywa ponętne części jej ciała.

- Postanowiłam nosić czador, protestując w ten sposób przeciwko Szachowi, Meszangu -

krzyczała Za-rah, jego żona. - Sama to wybrałam! Tak! Nigdy nie zasłonię twarzy i nie włożę czadoru wbrew własnej woli. Nigdy, nigdy, nigdy...

912

Koedukacja wprowadzona przez szatana Szacha kilka lat temu zakończy się, gdyż zamieniła wiele naszych szkół w przybytki prostytucji.

- Kłamstwa, same kłamstwa! To śmieszne! - tłumaczyła Szahrazad Lochartowi. - Trzeba wykrzyczeć prawdę z dachów. To nie imam wymyślił takie rzeczy, tylko ci fanatycy, którzy go otaczają...

444

Zbrodniczy dekret Szacha o Ochronie Małżeństwa zostaje potępiony.

- To na pewno pomyłka, Hosejnie - powiedziała ostrożnie żona mułły. - Imam nie mógł tak powiedzieć. Dekret chroni nas przed odrzuceniem przez męża i przed poligamią. Przyznaje nam prawo do rozwodu, do głosowania i chroni mienie żony...

W naszym islamskim narodzie wszyscy kierować się będą tylko Koranem i Szari'at. Kobiety nie powinny pracować. Muszą wrócić do domu i tam pozostać, wykonując błogosławione przez Boga obowiązki polegające na noszeniu w sobie, a następnie wychowywaniu dzieci i dbaniu o swych panów.

- Na proroka, Erikki, chcę mieć z tobą dzieci i być dla ciebie najlepszą żoną - powiedziała Azadeh - ale przysięgam, że nie mogę stać z boku i przyglądać się, jak moje mniej szczęśliwe siostry wpycha się siłą w Wiek Ciemności, bez żadnych praw i wolności. To gorliwcy, fanatycy próbują to zrobić, a nie Chomeini. Wezmę udział w marszu, gdziekolwiek będę...

W całym Iranie kobiety przygotowywały marsze solidarnościowe - w Komie, Isfahanie, Meshedzie, Abada-nie, Tebrizie, a nawet w tak małym miastach, jak Kowiss - ale nie w wioskach. W całym Iranie wybuchały sprzeczki i spory pomiędzy większością ojców a córkami, większością mężów a ich żonami, większością braci a siostrami. Wszędzie takie same walki, prośby, przekleństwa, żądania, obietnice, błagania, zakazy i - Boże, miej nas w swojej opiece - nawet bunty, skryte i otwarte. W całym Iranie to samo tajemne zdecydowanie kobiet.

- Cieszę się, że nie ma tutaj mojego Tommy'ego; tak jest znacznie łatwiej - powiedziała tego ranka Szah-913

razad, patrząc na swe odbicie w lustrze. Marsz miał się rozpocząć w południe. - To dobrze, że wyjechał, gdyż niezależnie od tego, co by powiedział, w końcu bym go nie usłuchała. -

Dreszcz podniecenia, przyjemny, a jednocześnie bolesny.

Ostatni raz rzuciła okiem na makijaż, żeby upewnić się, że siniak nie przebija spod pudru. I tak już prawie zniknął. Uśmiechnęła się do siebie, zadowolona z tego, co zobaczyła. Włosy wiły się błyszczącymi falami. Miała na sobie ciepły zielony sweter i zieloną spódnicę, nylonowe pończochy i rosyjskie zamszowe buty. Postanowiła uzupełnić strój pasującym do tego ubrania płaszczem, obwiedzionym futerkiem, i kapeluszem. Czyż zielony nie jest kolorem islamu? - pomyślała z radością, zapominając o bólu, jaki nosiła w sercu.

Na łóżku walały się w nieładzie różne części garderoby, w tym strój narciarski, który zdecydowała odrzucić. W końcu kobiety nigdy jeszcze nie protestowały właśnie jako kobiety; powinnyśmy wyglądać jak najlepiej. Jaka szkoda, że to nie wiosna. Mogłabym włożyć moją jasno-żółtą jedwabną sukienkę, żółty kapelusz i...

Ogarnęła ją nagła fala smutku. Tę sukienkę, wraz z pięknym naszyjnikiem z pereł, podarował

jej w zeszłym roku na urodziny ojciec. Biedny kochany tatuś! - pomyślała z rosnącym gniewem. Niech Bóg przeklnie tych występnych ludzi, którzy go zamordowali. Bóg wtrąci ich na zawsze w otchłań piekielną! Bóg ochroni Meszanga i całą rodzinę, i mojego Tommy'ego oraz nie pozwoli, żeby

nadgorliwcy odebrali nam naszą wolność.

W jej oczach pojawiły się łzy. Otarła je. In sza a Allah, pomyślała. Ojciec jest teraz w raju razem z wszystkimi wiernymi. Nie ma powodu do lamentów. Nie. Chciałabym tylko zobaczyć sprawiedliwość wymierzoną tym przeklętym mordercom. Morderstwo! Wujek Walik. HBC. Annusz i dzieci. HBC! Jak ja nienawidzę tych liter! Co się stało Karimowi? Od niedzieli nie miała żadnych wiadomości. Czy go oskarżono? Śmierć czy wolność? Nic nowego w sprawie teleksu. Można się tylko modlić.

914

Zrobiła to. Znowu. Wyrzucić te sprawy z myśli, powiedzieć o nich Bogu i poczuć się czystsza. Gdy wkładała obwiedziony futerkiem kapelusik, otworzyły się drzwi i wpadła Dżari, także ubrana w to, co miała najlepszego.

445

- Już czas, księżniczko. Przybyła Jej Wysokość Za-rah. Och, jak pięknie wyglądasz!

Przepełniona podnieceniem Szahrazad porwała płaszcz i powiewając spódnicą pobiegła korytarzem na dół, żeby powitać Zarah, która czekała w holu.

- Och, pięknie wyglądasz, Zarah, kochanie - powiedziała, obejmując ją. - Już myślałam, że Meszang zatrzyma cię w ostatniej chwili!

- Nigdy nie miał szansy - odparła, śmiejąc się Zarah. Zgrabna futrzana czapeczka tkwiła zawadiacko na czubku jej głowy. - Wczoraj przy śniadaniu zaczęłam go męczyć o nowe futro z soboli i ciągnęłam to przez cały dzień, noc i poranek. Mówiłam, że jest mi absolutnie niezbędne, że absolutnie muszę je mieć, bo jeżeli nie, to umrę ze wstydu przed moimi przyjaciółkami. Uciekł na bazar i zapomniał o marszu. Chodź, jest już późno. Mam taksówkę.

Przestało padać. Jest zimno, ale zapowiada się piękny dzień.

W taksówce siedziały już trzy inne kobiety, przyjaciółki i kuzynki. Dwie z nich dumnie ukazywały dzinsy, wysokie obcasy, narciarskie kurtki i rozpuszczone włosy; jedna miała narciarską czapkę. Wszystkie były tak ożywione, jakby wybierały się na piknik w dawnych czasach. Żadna nie zauważała gniewnego pomrukiwania kierowcy ani nie zwracała na niego uwagi.

- Na uniwersytet - poleciła Zarah.

Potem rozmawiały, szczebiocąc jak stado ptaszków. Gdy do bramy uniwersytetu, skąd marsz miał wyruszyć, pozostały jeszcze dwie przecznice, taksówka musiała się zatrzymać. Tak wielki panował ścisk. Spodziewano się setek osób, przybyły tysiące. Kobiety ciągle jeszcze napływały ze wszystkich kierunków. Młode i stare, wysoko urodzone i pochodzące z gminu, wykształcone i analfabetki, patrycjuszki i chłopki, bogate i ubogie 915

- dzinsy, spódnice, spodnie, buty, pantofle, łachmany, futra - wszędzie ten sam zapach, nawet u tych,

które przyszły w czadorach. Co bardziej wojownicze już wygłaszały przemówienia, a niektóre wykrzykiwały hasła.

- Żadnych czadorów przemocą...
- Jedność, walka, zwycięstwo...
- Kobiety, jednoczcie się. Nie dajmy się wepchnąć w purdah lub czador...
- Walczyłam w Doszan Tappeh przeciwko nieśmiertelnym - nie po to walczyłyśmy i cierpiałymy, żeby poddać się despotyzmowi...
- Śmierć despotyzmowi pod każdym imieniem...
- Taaaak! Hura, kobiety! - krzyknęła Szahrazad.
- Precz ze zmuszaniem do czadorów i zasłaniania twarzy!

Podobnie jak inne, ją też ogarnął entuzjazm tłumu. Zarah zapłaciła taksówkarzowi i dorzuciła hojny napiwek. Radośnie odwróciła się, łącząc dłonie z Szahrazad i Dżari. Żadna z nich nie usłyszała wrzasku taksówkarza:

- Kurwy! Wy wszystkie!

Wokół kłębił się tłum; nikt nie wiedział, co robić dalej. Oszałamiała ogromna liczba i różnorodność kobiet, strojów i grup wiekowych. Dołączali nawet nieliczni mężczyźni.

- Protestujemy, Zarah, naprawdę tu jesteśmy!

- Och, tak Szahrazad! Jest nas tak wiele... Panował taki zgiełk, że musiały porozumiewać się krzycząc. Słuchały przemówienia dobrze ubranej kobiety, znanej teherańskiej prawniczki i działaczki na rzecz praw kobiet, Nemdżeh Lengehi. Przemówienia słuchały też grupki mężczyzn, studentów i wykładowców, przychylnych i nieprzychylnych, a także kilku mułłów

- nieprzychylnych.

- Niektórzy mułłowie mówią, że my, kobiety, nie możemy być sędziami, nie powinnyśmy być wykształcone i musimy nosić czadory. Od trzech pokoleń nie osłaniałyśmy twarzy, od trzech pokoleń mamy prawo

916

446

do nauki, a od jednego pokolenia także prawa wyborcze. Bóg jest wielki...

- Bóg jest wielki - powtórzyły tysiące głosów.

- Niektóre z nas mają więcej szczęścia niż inne, niektóre są bardziej wykształcone, niektóre nawet lepiej niż niektórzy mężczyźni. Niektóre kobiety znają lepiej nowoczesne prawo, nawet prawo Koranu. Dlaczego te kobiety nie miałyby być sędziami? Dlaczego?

- Nie ma żadnego powodu! Ko-bie-ty sę-dzia-mi!

- skandowała Zarah wraz z setkami innych, zagłuszając mułłów i ich zwolenników, którzy krzyczeli:

- Świętokradztwo!

Gdy hałas nieco przycichł, Nemdžeh Lengehi kontynuowała:

- Wspierałyśmy Ajatollaha całym sercem... - Przerwały jej dalsze wiwaty; wielki wybuch pasji. - Błogosławimy go za to, co zrobił. Walczyłyśmy najlepiej, jak umiałyśmy, ramię w ramię z mężczyznami, dzieliłyśmy z nimi cierpienia i więzienie, pomogłyśmy rewolucji zwyciężyć. Wygnałyśmy despotę i teraz jesteśmy wolne. Iran zrzucił jarzmo despoty i jarzmo obcych krajów, ale nie daje to nikomu, mułłom, a nawet Ajatollahowi, prawa do cofania wskazówek zegara...

Rozległy się potężne okrzyki:

- Nie! Nie! Nie! Precz z despotami! Prawa dla kobiet! Precz z despotyzmem pod wszelkimi przykrywkami! Lengehi do Medżlesu! Lengehi na ministra oświaty!

- Och, Zarah, czyż to nie cudowne? - wykrzyknęła Szahrazad. - Czy kiedykolwiek głosowałaś?

- Nie, kochanie, oczywiście nie. Ale to nie oznacza, że nie chcę mieć do tego prawa, gdybym kiedyś zechciała. Setki razy mówiłam Meszangowi, że oczywiście zapytam go na kogo głosować, ale nadal chcę iść sama do urny. Sama, jeśli tak postanowię!

- Masz rację! - Szahrazad odwróciła się i krzyknęła:

- Niech żyje rewolucja! Bóg jest wielki! Lengehi do Sądu Najwyższego! Kobiety sędziami!

Chcemy naszych praw...

917

Tejmur, wyszkolony przez OWP Irańczyk, który przejął mieszkanie Szahrazad, a teraz miał za zadanie obserwować marsz i wykrywać podżegaczy, poznał ją ze zdjęć, które znalazł w mieszkaniu. Jego gniew wzrósł.

- Kobiety muszą przestrzegać praw boskich - krzyknął. - Kobiety nie mogą być sędziami!

Kobiety do bożej pracy!

Jego krzyk utonął w morzu innych okrzyków i nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Nikt nie wiedział, jak rozpoczął się marsz. Tłum w pewnej chwili ruszył i wkrótce zapełnił ulice od ściany do ściany, zatrzymując samochody, prac radośnie naprzód i stanowiąc siłę nie do przewyciężenia. Ludzie stali przy straganach, w oknach, na balkonach i gapili się na wszystko z otwartymi ustami.

Większość przeżyła wstrząs.

- Popatrz na tamtą młodą kurwę w zielonym płaszczu, który się rozchyła. Patrz, patrz tam!

Bóg ją przeklnie za to, że mnie kusi...

- Patrz na tamtą w spodniach obcisłych, jak druga skóra!

- Gdzie? Ach, widzę. Niebieskie spodnie! Chroń nas Boże! Widać jej całe sinah\ Ona sama się prosi! Tak jak ta, która trzyma za rękę tę w zielonym płaszczu! Nierządnicza! Hej, dziwko, chodź tutaj. Dostaniesz kutasa! Tego wszystkie chcecie...

Mężczyźni patrzyli i podniecali się. Za pochodem ciągnęła się aura pożądania.

Kobiety przyglądały się pochodowi ze zdumieniem. Coraz więcej zapominało o zakupach i przyłączało się do sióstr, ciotek, matek, babć. Śmiało odkrywały twarze i zrzucały czadory.

Czyż nie były mieszkankami stolicy, teherankami, elitą Iranu, a nie jakimiś wieśniaczkami?

447

Tutaj było inaczej, nie tak jak w wioskach, z których często pochodziły. Tam nie ośmieliłyby się wykrzykiwać haseł i publicznie zrzucać czadorów.

- Kobiety razem! Bóg jest wielki! Bóg jest wielki! Zwycięstwo, jedność, walka. Równe prawa dla kobiet! Prawa wyborcze! Precz z każdym despotyzmem...

918

Na trasie marszu, z tyłu, z boku, na promenadach i w bocznych uliczkach, zaczynały się tworzyć grupy mężczyzn. Tych, którzy popierali demonstrację, i tych, którzy byli przeciw.

Kłótnie stawały się coraz gwałtowniejsze - prawo Koranu wymagało, aby muzułmanie sprzeciwiali się wszelkim zamachom na islam. Wybuchaly utarczki. Jakiś mężczyzna wyciągnął nóż i zginał, innemu wbito nóż w plecy. Trochę broni palnej; sporo starć.

Rozproszone zamieszki, walki pomiędzy liberałami a fundamentalistami, pomiędzy lewakami a Zielonymi Opaskami. Kilka rozbitych głów, następna ofiara śmiertelna. Jakies dzieci dostały się pod ostrzał; kilkoro zginęło, inne szukały osłony za zaparkowanymi samochodami.

Ibrahim Kijabi, studencki przywódca Tude, który wymknął się z zasadzki, gdy schwytano Rakoczego,

wybiegł na ulicę i chwycił przerażonego dzieciaka; podczas gdy przyjaciele osłaniali go ogniem, Kijabi dotarł bezpiecznie do rogu. Upewnił się tylko, że dziewczynka nie jest ranna, i krzyknął do przyjaciół: "Za mną". Wiedział, że nie mają tu przewagi liczebnej.

Rzucili się do ucieczki. Było ich sześciu. Biegli alejkami i bocznymi uliczkami. Gdy już nic im nie groziło, skręcili w kierunku alei Roosevelta. Tude miała unikać otwartych starć z Zielonymi Opaskami, maszerować z kobietami, infiltrować ich szeregi i agitować. Kijabi cieszył się, że już się nie ukrywa i może działać.

W ciągu pół godziny od wpadki Rakoczego zameldował o zdradzie swemu kontrolerowi w Kwaterze Głównej Tude. Kontroler powiedział mu, żeby nie wracał do domu, zgolił brodę i skorzystał z kryjówki koło uniwersytetu.

- Nie pokazuj się i nie rób niczego do wtorkowego marszu protestacyjnego kobiet. Dołącz do marszu razem ze swoją komórką, tak jak to było zaplanowane, a następnego dnia wyjedź do Kowissu - to powinno na razie wystarczyć do zapewnienia ci bezpieczeństwa.

- A co z Dimitrim Jazernowem? - Tylko pod takim nazwiskiem znał Rakoczego.

919

- Nie martw się, wyciągniemy go od tych szumowin. Opisz jeszcze raz wygląd tych ludzi.

Ibrahim powiedział o tym, co zdążył zauważyć. Nie było tego wiele. Potem zapytał:

- Ilu ludzi pojedzie ze mną do Kowissu?

- Jedziesz ty i jeszcze dwóch. To powinno wystarczyć na jednego pieprzonego mułę.

Tak, pomyślał, właściwie nie potrzebuję nikogo. Wkrótce mój ojciec będzie pomszczony.

Zacisnął dłonie na M16 skradzionym tydzień temu ze zbrojowni w Do-szan Tappeh.

- Wolność! - krzyknął i wmieszał się w pierwsze szeregi maszerujących kobiet. Jego koledzy rozproszyli się.

O sto metrów dalej odkryta ciężarówka wypełniona młodzieżą posuwała się powoli, otoczona tysiącami ludzi, którzy wymachiwali rękoma i wznosili okrzyki zachęty. Na skrzyni ciężarówki jechali lotnicy bez mundurów, wśród nich Karim Peszadi. Już od wielu godzin poszukiwał wzrokiem w tłumie Szahrazad, ale jej nie dojrzał. On i jego koledzy stacjonowali w Doszan Tappeh, gdzie porządek i dyscyplina właściwie już nie istniały. Rządziły komitety, wydające sprzeczne ze sobą rozkazy. Jeszcze inne rozkazy pochodziły od Naczelnego Dowództwa podległego premierowi Bazarganowi, od Komitetu Rewolucyjnego, a nawet z radia, gdyż Ajatollah Chomeini, ustanawiając prawa, od czasu do czasu przemawiał przez radio.

Podobnie jak inni piloci i oficerowie w całym kraju, Karim musiał stawić się przed komitetem i odpowiadać na pytania dotyczące życiorysu, poglądów politycznych i przedrewolucyjnych powiązań.

Jego życiorys był dobry, a on sam mógł z czystym sumieniem przysiąc, że wspierał

448

islam, Chomeiniego i rewolucję. Prześladowało go jednak widmo ojca; skrył pragnienie zemsty w najtajniejszym zakamarku serca. Jak dotąd, zostawiono go w spokoju.

Wczoraj w nocy próbował dostać się do wieży w Doszan Tappeh, żeby znaleźć książkę zezwoleń startowych HBC, ale zawrócono go z drogi. Zamierzał spróbować 920

dziś; przyrzekał sobie, że tym razem nie zawiedzie. Nie mogę zawieść, myślał, los Szahrazad zależy ode mnie... och, Szachrazad, to ty sprawiasz, że moje życie ma sens, choć jesteś zakazanym owocem.

Niespokojnie wypatrywał jej w tłumie maszerujących kobiet. Wiedział, że gdzieś tu jest.

Zeszłego wieczora wraz z grupą przyjaciół wysłuchał przez radio pełnego pasji przemówienia wspierających Ajatollaha fundamentalistów, którzy gwałtownie przeciwstawili się protestowi kobiet i wzywali do organizowania przez wiernych kontrdemonstracji. Niepokoił się bardzo o Szahrazad, o swoje siostry i krewne, o których wiedział, że wezmą udział w marszu. Jego przyjaciele również martwili się o swe krewne i znajome. Tak więc wzięli rano ciężarówkę i dołączyli do demonstracji. Byli uzbrojeni.

- Wolność dla kobiet! - krzyknął Peszadi. - Niech żyje demokracja! Niech żyje islam! Niech żyje demokracja, prawo i is... - Słowa zamarły mu na ustach.

Z przodu mężczyźni ustawili w poprzek drogi grubą barierę. Maszerujące kobiety zauważyły ich gniew i zaciśnięte pięści. Pierwsze sześć rzędów odruchowo próbowało zwolnić, ale to się nie udało. Z tyłu napierały tysiące, popychając je nieuchronnie naprzód.

- Dlaczego ci mężczyźni są tacy źli? - zapytała Szahrazad. Poczucie szczęścia ulatniało się, nacisk tłumy wzrastał.

- Po prostu ktoś ich oszukał, to w większości wieśniacy - rzuciła odważnie Nemdżeh Lengehi. - Chcą, żebyśmy były niewolnicami. Nie bójcie się! Bóg jest wielki...

- Weźmy się pod ręce! - krzyknęła Zarah. - Nie mogą nas zatrzymać! Allahhu Akbarrrr...

Wśród mężczyzn blokujących drogę znajdował się ten, który poprowadził Dżareda Bakrawana na miejsce kaźni w więzieniu Ewin. Rozpoznał idącą w awangardzie Szahrazad.

- Bóg jest wielki - mruknął w zachwycie. Jego słowa zginęły w ogólnej wrzawie. - Bóg posłużył się mną, aby

921

wysłać występnego kupca do piekła, a teraz oddaje w moje ręce jego nierządną córkę.

Napawał się jej widokiem. Widział ją nagą, na posłaniu, wyprężoną, dumnie sterczące piersi, oczy wypełnione pożądaniem, wilgotne usta, wilgotne wargi. Słyszał, jak go błaga: "Weź mnie, weź mnie, szybko, dla ciebie za darmo, daj mi go, całego, szybko, szybko, wypełnij mnie, dla ciebie wszystko, szybko, szybko... och, szatanie, pomóż mi wyssać Boga z jego organu..."

Wyszarpnął nóż z pochwy, pulsowanie w lędźwiach, dumnie wzniesiona męskość. Rzucił się w kierunku Szahrazad.

- Bóg jest wiellllki...

Jego działanie było nagłe i niespodziewane. Przebiegł przestrzeń dzielącą go od kobiet, obalił

z pół tuzina, starając się jej dosięgnąć, ale w podnieceniu pośliznął się i upadł, wywijając nożem. Te, które zranił, krzyczały przeraźliwie. Zerwał się na nogi, widząc tylko ją, jej rozszerzone strachem oczy; nóż gotowy do uderzenia, jeszcze trzy kroki, dwa, jeden... poczuł

jej perfumy - zapach Wcielenia Zła. Śmiertelny cios rozpoczął się, lecz nie sięgnął celu.

Mężczyzna wiedział już, że szatan postawił na jego drodze złośliwego dzina - poczuł w piersi palący ból, jego oczy przestały widzieć i skonał z imieniem Boga na ustach.

Szahrazad wpatrywała się w ciało leżące bezwładnie u jej stóp; Ibrahim z pistoletem w ręku już stał przy niej. Krzyki, wrzaski i gniewny pomruk tysięcy napierających z tyłu kobiet.

Drugi strzał; drugi mężczyzna zwalił się na ziemię.

449

- Naprzód w imię Boga! - krzyknęła Lengehi, przewyciężając strach. Zawtórował jej Ibrahim, który pociągnął za sobą Szahrazad. - Nie bój się, naprzód, dla kobiet...

Zauważyła jego pewność siebie. Przez chwilę brała go za Karima, tak podobnego wzrostem, budową ciała, nawet rysami twarzy. Potem przerażenie z powodu tego, co się przed chwilą stało, zlało się z gniewem.

922

- Naprzód - krzyknęła. - Za mego ojca... Precz z nadgorliwcami i Zielonymi Opaskami...

precz z mordercami! - Chwyła Zarah za rękę. - Chodź, naprzód!

Wzięła pod rękę ją i Ibrahima, jej wybawiciela, tak podobnego do Karima, że mogliby być braćmi. Podjęli marsz. Dalsi mężczyźni przepychali się do przodu, żeby im pomóc, wysunęła się naprzód ciężarówka z uzbrojonymi lotnikami.

Następny nożownik ruszył z krzykiem do ataku.

- Bóg jest wielki! - krzyknęła Szahrazad, a tłum jej zawtórował.

Wrzeszczący młodzieniec, zanim go obalono, rozciął nożem rękę Nemdżeh Lengehi. Przednie szeregi parły niepowstrzymanie naprzód. Obie strony ryczały: "Bóg jest wielki". Obie strony były równie pewne swej racji. Żywa zaporą rozsypała się.

- Pozwólmymy im przejść - krzyknął jakiś mężczyzna. - Tam są też nasze kobiety... ich jest za dużo... za dużo...

Mężczyźni cofnęli się, inni stanęli z boku. Droga była wolna. Rozległ się tryumfalny ryk maszerujących:

- Allahu Akbarr... Bóg jest z nami, siostry!

- Naprzód - krzyknęła znów Szahrazad. Pochód ruszył dalej. Ranne kobiety wyprowadzono z tłumy lub niesiono w pochodzie. Pozostałe parły do przodu. Znów zapanował porządek.

Nikt już nie próbował ich zatrzymać, choć wielu mężczyzn przyglądało się wszystkiemu ponuro z boku. Tejmur i inni fotografowali najbardziej aktywne uczestniczki marszu.

- To sukces - powiedziała słabym głosem Nemdżeh Lengehi, idąca nadal w pierwszym szeregu z ramieniem obwiązanym chustą tamującą upływ krwi. - Udało się nam. Nawet Ajatollah będzie wiedział o naszym zdecydowaniu. Możemy wracać do domu, do naszych mężów i rodzin. Osiągnęliśmy to, co chcieliśmy, i teraz możemy już wracać.

- Nie - odezwała się Szahrazad; blada i brudna, nie otrząsnęła się jeszcze ze strachu. -

Musimy maszerować

923

jutro i pojutrze, i następnego dnia, aż imam oświadczy publicznie, że nie będzie wymuszania czadorów i odbierania nam naszych praw.

- Tak - zgodził się Ibrahim. - Jeśli się teraz zatrzymacie, mułłowie was zmiażdżą!

- Masz rację, agha. Och, jak mogę podziękować za nasze uratowanie?

- Tak - dodała nadal roztrzęsiona Zarah. - Będziemy maszerować jutro albo ci... ci szaleńcy nas zniszczą!

Pochód posuwał się dalej bez przeszkód. Demonstracje w innych dużych miastach przebiegały podobnie; kłopoty na początku, a potem nie zakłócany niczym dalszy ciąg protestu.

W wioskach i małych miasteczkach marsz został zatrzymany, zanim jeszcze się rozpoczął. W

Kowissie, dalej na południe, na rynku panowała cisza, przerywana tylko świstem bata i krzykami.

Gdy sformował się pochód, był tam już mułła Hosejn.

- Ta demonstracja jest zakazana. Wszystkie kobiety nie ubrane zgodnie z hedżab podlegają karze za pokazywanie się nago w miejscu publicznym, czego zakazuje Koran.

Tylko sześć kobiet spośród dwustu miało na sobie zachodnie ubrania.

- Gdzie jest w Koranie napisane, że nie nosząc czadorów sprzeciwiamy się Bogu? -

Krzyknęła jedna z kobiet.

450

Była żoną dyrektora banku i uczęszczała na uniwersytet w Teheranie. Wyglądała skromnie: płaszcz, długa spódnica; miała jednak rozpuszczone włosy.

- Och, proroku, powiedz ich żonom i córkom, i wierzącym kobietom, żeby zasłoniły się dokładniej... Iran jest państwem islamskim... pierwszym w historii. Imam zadekretował

hedżab. Chodzi o hedżab. Idźcie i ubierzcie się odpowiednio. Natychmiast!

- Ale wierne z innych krajów nie muszą nosić czadorów. Nie zmuszają ich do tego ani przywódcy, ani mężowie.

924

- Mężczyźni zarządzają sprawami kobiet, gdyż Bóg postanowił umieścić jednych nad drugimi... bogobojne kobiety są zatem posłuszne... Upomnij te, które mogą być nieposłuszne; wygnaj je na ich posłania i zbij. Jeśli potem będą posłuszne, nie szukaj przeciw nim innych sposobów. Idźcie i zakryjcie włosy!

- Ja nie pójdę! Przez ponad czterdzieści lat irańskie kobiety nie zasłaniały twarzy...

- Czterdzieści batów poskromi twe nieposłuszeństwo! Bóg jest wielki!

Hosejn skinął na jednego ze swych akolitów. Inni chwycili kobietę i spętali jej ramiona. Bicz szybko przeciął materiał ubrania na jej plecach, w akompaniamencie drwin przyglądających się mężczyznom. Gdy było już po wszystkim, inne kobiety odniosły nieprzytomną. Reszta wróciła do domów. W ciszy.

Hosejn spojrzał na swą ciężarną żonę.

- Jak śmiałaś przyłączyć się do demonstracji nierządnic i kobiet swobodnych obyczajów?

- To... to był błąd - wyjąkała przerażona. - To był wielki błąd.

- Tak. Przez dwa dni nie będziesz jadła. Możesz tylko pić wodę. To ostrzeżenie. Gdybyś nie nosiła w sobie dziecka, na rynku spotkałoby cię to samo, co tamtą.

- Dziękuję ci za łaskę. Niech Bóg cię błogosławi i ochrania. Dziękuję...

LOTNISKO W TEHERANIE, 18:40. Andrew Gavallan siedział z boku. McIver wyprowadził samochód z rejonu frachtów i skręcił w drogę dojazdową, zmierzając do ich 125, ETL, zaparkowanego na przedpolu hangaru, o pół kilometra dalej. Samolot wrócił z Tebrizu mniej więcej przed godziną. Teraz był już zatankowany i gotowy do przelotu nad zatoką. Po wylądowaniu Armstrong podziękował im wylewnie za użyczenie maszyny.

Podobnie pułkownik Haszemi Fazir.

- Kapitan Hogg powiedział, że 125 wraca w sobotę, panie Gavallan - zauważył grzecznie Haszemi. -
Za-925

stanawiam się, czy byłby pan tak dobry i podrzucił nas do Tebrizu. Tym razem tylko w jedną stronę, bez czekania. Możemy wrócić sami.

- Oczywiście, pułkowniku - odpowiedział uprzejmie Gavallan, nie czując sympatii do żadnego z tych mężczyzn. Gdy rano przyleciał z Asz Szargaz, McIver powiedział mu od razu, dlaczego musiał pójść na współpracę.

- Załatwię to jakoś z Talbotem - rzucił, wściekły z powodu szantażu. - Nic mnie nie obchodzi Policja Kryminalna ani Wydział Specjalny!

Zasłonili wszyscy rękami uszy, gdy przesuwiał się koło nich ogromny transportowiec Sił

Powietrznych USA, kołujący do odległego punktu startu - jeden z wielu czarterów rządu USA, którymi wywożono pozostały jeszcze personel amerykański i pracowników ambasady, pozostawiając tylko nieliczną obsadę. Gorące powietrze wydobywające się z dysz ogromnych silników omiatało ich i topiło śnieg. Gdy Gavallan uznał, że można już go usłyszeć, powiedział:

- Talbot zostawił dla pana wiadomość, panie Armstrong. Pyta, czy może się z panem jak najszybciej spotkać.

Dostrzegł wymianę spojrzeń między oboma mężczyznami i zastanowił się, co to może oznaczać.

451

- Czy powiedział gdzie?

- Nie. Tylko to, że chce się z panem jak najprędzej spotkać.

Uwagę Gavallana przyciągnęła wielka, czarna limuzyna z oficjalną flagą Chomeiniego na błotniku. Samochód pędził w ich kierunku. Z limuzyny wysiadło dwóch mężczyzn o brutalnych twarzach. Z szacunkiem zaszalutowali Fazirowi i przytrzymali dla niego otwarte drzwiczki.

- Do soboty. Jeszcze raz dziękuję, panie Gavallan. - Haszemi usiadł na tylnym siedzeniu.

- Jak mamy się z panem skontaktować, pułkowniku, w razie zmiany planów?

926

- Przez Roberta. On może przekazać mi wiadomość. Czy mogę coś dla pana zrobić? Tu, na lotnisku?

McIver natychmiast skorzystał z okazji.

- Dziękuję za załatwienie tankowania. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyśmy mogli zawsze korzystać z tak szybkiej obsługi. I tak łatwo dostawać zezwolenie na start.

- Zajmę się tym. Na sobotni lot korzystacie z pierwszeństwa. Gdyby były jakieś inne problemy, zwróćcie się do Roberta. Wsiadaj, Robercie!

- Jeszcze raz dziękuję, panie Gavallan - powiedział Robert Armstrong. - Zobaczymy się w sobotę, jeśli nie szybciej.

Gdy wcześniej przyszedł Talbot, żeby dowiedzieć się, kiedy Armstrong wraca z Tebrizu, Gavallan odciągnął go na bok. Kipiąc gniewem, poskarżył się na szantaż.

- Na mą duszę - wykrztusił zdumiony Talbot.

- Cóż za straszliwe oskarżenie, strasznie niebrytyjskie, Andrew, jeśli mogę tak powiedzieć!

Rozumiem, że Robert poczynił znaczne starania, żeby wypłacić cię, twoją spółkę, Duncana i Locharta - to fajny facet, bardzo miła żona, przykro mi z powodu jej ojca - z nieszczęścia, które mogło w każdej chwili podnieść swą brzydką głowę. Nieprawdaż? - Uśmiechnął się słodko.

- Rozumiem, że Robert poprosił, tylko poprosił, o skromną przysługę, Andrew. To nie było przecież trudne i nie zdarło ci skóry ze starego nosa.

- On jest z Wydziału Specjalnego, dawny pracownik Policji Kryminalnej z Hongkongu, prawda?

Talbot uśmiechnął się i nie przestał się wdzięczyć.

- Nie wiem, ale wygląda na to, że on chce oddać ci przysługę. To miło z jego strony, nieprawdaż?

- Czy on ma książkę zezwoleń?

- O takich rzeczach to ja nic nie wiem.

- A kim jest ten pułkownik Fazir? Talbot zapalił papierosa.

- Przyjacielem. Warto mieć takiego przyjaciela.

927

- Mogłem się o tym przekonać. Załatwił tankowanie i zezwolenie na start, jakby był jakimś Bogiem

cholernie wszechmogącym.

- Och, nie jest Bogiem. W żadnym razie. Może prawie, ale jednak nie Bogiem. Bóg jest Anglikiem. - Talbot zachichotał. - 1 kobietą. Żaden męski umysł nie byłby w stanie tak zręcznie zonglować światem. Jeszcze słówko, stary: słyszałem, że za radą twojego kolegi z rady nadzorczej, Alego Kia, oni zamierzają znacjonalizować wszystkie zagraniczne firmy lotnicze, a zwłaszcza waszą, jak tylko uda się im zasiąść nad jakąś kartką.

Gavallan był wstrząśnięty.

- Co za oni?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Gdy Talbot odjechał, Gavallan wszedł do biura, w którym było dziś wielu członków personelu. Może jeszcze nie tylu, co zwykle, ale pojawili się operator radia, obsługa teleksu, 452

kierownik biura, magazynierzy i kilku sekretarzy - żadnych kobiet, gdyż te poprosiły o zwolnienie i udały się na marsz protestacyjny.

- Mac, przejdźmy się trochę.

McIver podniósł wzrok znad sterty sprawozdań.

- Jasne - odparł, widząc, jak powaga sytuacji odbija się na twarzy przyjaciela.

Nie mieli dotąd czasu, żeby porozmawiać na osobności. Nie było to możliwe ani w biurze, ani obok niego. Ściany były cienkie, a uszy nawykłe do podsłuchiwania. Od chwili przybycia Gavallana zajęci byli przekopywaniem się przez księgi obrotów gotówkowych, nadal obsługiwane kontrakty, kontrakty odnawiane i wykreślane, sprawozdania z baz - wszystkie napisane jak najostrożniej, minimum pracy i maksimum utrapienia - jedyną dobrą wiadomością stanowiło zezwolenie na wywóz trzech 212, a i to nie było pewne. Jeszcze.

Obaj mężczyźni wyszli na płytę lotniska w rejonie załadunkowym. Na niebie ryczał

odrzutowiec JAL.

- Powiedzieli, że jeszcze ze dwa czy trzy tysiące techników japońskich popycha wózek Iran-Tody - zauważył obojętnie McIver.

928

- Ich konsorcjum dostaje tęgie baty. Dzisiejszy "Financial Times" podaje, że już przekroczyli planowane wydatki o pół miliarda dolarów. Nie ma mowy, żeby skończyli w tym roku, a nie mogą też się wycofać. To i nasycenie światowego rynku shippingowego na pewno daje dobrze Todzie w kość. - Gavallan stwierdził, że nie ma nikogo w pobliżu. - Przynajmniej nasze inwestycje kapitałowe obejmują ruchomości, Mac, w każdym razie większość.

McIver spojrział na niego. Zobaczył pooraną zmarszczkami twarz, bujne, siwe brwi, brązowe oczy.

- To właśnie jest powodem "koniecznej konferencji"?

- To jeden z powodów. - Gavallan powtórzył słowa Talbota. - Nacjonalizacja! To znaczy, że wszystko stracimy, jeśli czegoś z tym nie zrobimy. Wiesz, Genny ma rację. Musimy sami to zrobić.

- Nie sędzę, żeby to było możliwe. Powiedziała ci, że ja tak uważam?

- Oczywiście, ale ja sędzę, że damy radę. Wyobraź sobie: powiedzmy, że dziś mamy Dzień Pierwszy. Cały zbędny personel opuszcza Iran - przeniesienia i urlopy; wywozimy tyle części zamiennych, ile się da, albo naszym 125, albo samolotami rejsowymi, gdy znów ruszą -

wysyłamy to wszystko jako przestarzałe, zbyteczne, wymagające napraw lub jako bagaż osobisty. Zagros Trzy wycofuje się do Kowissu. Tebriz zamykamy "chwilowo", a 212

Erikkiego leci do Asz Szargaz, potem do Nigerii, razem z Tomem Lochartem z Zagrosu i jednym 212 z Kowissu. Ty zamykasz biuro w Teheranie i przenosisz je do Asz Szargaz, żeby prowadzić stamtąd operacje i kontrolować nasze trzy pozostałe bazy - Lengeh, Kowiss i Bandar Dejlam - do czasu "powrotu do normalności". Nadal obowiązuje polecenie naszego rządu, aby ewakuować personel, który nie jest niezbędny.

- To prawda, ale...

- Daj mi dokończyć, chłopcze. Powiedzmy, że możemy wszystko zaplanować i przygotować w ciągu trzydziestu dni. Dzień trzydziesty pierwszy jest Dniem Zero.

929

Dokładnie w wyznaczonym czasie w Dniu Zero - lub Dzień Zero plus jeden czy dwa, zależnie od pogody czy Bóg wie czego jeszcze - nadajemy z Asz Szargaz przez radio. Wszyscy pozostali piloci i maszyny startują jednocześnie i lecą przez zatokę do Asz Szargaz. Potem zdejmujemy rotory, pakujemy śmigłowce do samolotów frachtowych, które gdzieś wyczarterowałem, i lecimy do Aberdeen i mów mi wuju - zakończył z promiennym uśmiechem.

McIver wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Zwariowałeś! Wygadujesz jakieś bzdury! Jest wiele luk w... w twoich bzdurach.

453

- Podaj choć jedną.

- Mogę ci wymienić pięćdziesiąt. Po pierwsze...

- Tylko po jednej naraz, chłopcze, i pamiętaj o swoim ciśnieniu. Skoro o tym mowa, jak się czujesz? Genny prosiła, żebym zapytał.

- Świetnie i nie zaczynaj chrzanić. Po pierwsze, jednoczesny start: maszyny z różnych baz nie mogą startować jednocześnie, bo mają do przebycia różne odległości. Te z Kowissu muszą po drodze tankować. Nie da się zrobić jednego skoku przez zatokę.

- Wiem o tym. Przygotujemy odrębne podrozdziały planu dla każdej z trzech baz.

Komendant każdej bazy sporządzi własny plan wydostania się. My odpowiadamy za nich po ich przybyciu. Scrag może łatwo przeskoczyć przez zatokę, tak samo Rudi z Bandar Dejl...

- Nie może. Rudi z Bandar Dejlamu ani Starke z Kowissu nie dolecą wzdłuż zatoki do Asz Szargaz, nawet gdyby najpierw przelecieli ją w poprzek. Musieliby lecieć przez przestrzeń powietrzną Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej i Emiratów, a Bóg jeden wie, czy te państwa nie aresztują nas wszystkich. Zresztą Asz Szargaz także. Dlaczego mieliby postąpić inaczej? -

McIver potrząsnął głową. - Szejkanaty nie zrobią niczego bez prawidłowych zezwoleń irańskich; trzęsą portkami przed rewolucją Chomeiniego, która może się rozprzestrzenić na te ich kraje, w których mieszkają duże mniejszości szyickie.

930

Poza tym nie mogą się narażać na walkę z armią irańską...

- Jednocześnie - powiedział łagodnie Gavallan. - Masz rację co do maszyn Rudiego i Starke'a, Mac. Powiedzmy jednak, że mieliby zezwolenie na przelot przez te wszystkie terytoria?

- Co takiego?

- Teleksowałem oddzielnie do wszystkich punktów kontroli lotów, prosząc o zezwolenie, i otrzymałem teleksy potwierdzające, że helikoptery S-G mogą przelecieć tranzytem.

- Tak, ale...

- Ale jednocześnie, chłopcze. Dalej. Powiedzmy, że wszystkie nasze maszyny wracają do rejestracji brytyjskiej. One są brytyjskie, to nasze maszyny. Płacimy za nie i są nasze, niezależnie od tego, co próbują wygadywać wspólnicy. Przy brytyjskiej rejestracji Iran czy ktoś inni nic do nich nie ma. Prawda?

- Tak, jeśli już będą za granicą, ale nie dostaniemy zgody Biura Lotnictwa Cywilnego na transfer, a zatem nie możemy ich przerejestrować.

- Powiedzmy, że mógłbym mimo to załatwić im brytyjską rejestrację.

- Jak, u diabła, miałbyś to zrobić?

- Poproś, sam poproś, chłopcze, facetów od rejestracji w Londynie, żeby to zrobili. W

gruncie rzeczy zrobiłem to już przed wyjazdem z Londynu. "W Iranie dość kiepsko się dzieje",

mówię. "Faktycznie, bajzel, chłopie", odpowiadają. "Chciałbym, żebyście chwilowo przestawili moje ptaszki na brytyjską rejestrację", to ja. "Mógłbym wydostać je stamtąd, dopóki sytuacja się nie unormuje. Oczywiście, załatwiłbym to w Iranie, ale na razie nie mogę dostać podpisu na tym cholernym świstku papieru, wiecie, jak to jest". "Jasne, chłopie", odpowiadają, "to samo z tym naszym cholernym rządem, z każdym cholernym rządem. No cóż, to twoje latawce, nie ma dwóch zdań. To trochę wbrew przepisom, ale mogę sobie wyobrazić, że jakoś będzie się zgadzać. Idziesz do Old Boys na piwo?"

931

McIver zatrzymał się i spojrzał z podziwem na rozmówcę.

- Zgodzili się?

- Jeszcze nie, chłopcze. Co dalej?

- Mam jeszcze ze sto "dalej", ale... - McIver ruszył; było zbyt zimno, żeby stać w miejscu.

- Ale co?

454

- Ale jeśli będę ci mówił o każdej sprawie oddzielnie, udzielisz mi odpowiedzi, a to wszystko i tak nie będzie składać się do kupy.

- Zgadzam się z Genny. Musimy sami to zrobić.

- Być może, ale to musi być coś, co działa. Mamy na przykład zezwolenie na wywóz trzech 212. Może moglibyśmy wydostać tak samo resztę.

- Nawet te trzy jeszcze się nie wydostały, Mac. Wspólnicy, nie mówiąc już o ICAA, nie wypuszczą nas z garści. Popatrz na Guerneya - wszystkie ich maszyny są zasekwestrowane.

Czterdzieści osiem, włącznie z 212 - gnije ponad trzydzieści milionów dolarów. Oni nie mogą nawet ich konserwować. - Spojrzeli na pas startowy. Lądował Hercules RAF-u. Gavallan obserwował samolot. - Talbot mi powiedział, że do końca tygodnia wyjedzie cały personel brytyjskiej armii, marynarki i lotnictwa. W ambasadzie zostaną trzy osoby, w tym on. Na przykład w czasie tych awantur pod ambasadą amerykańską ktoś dostał się do środka, wysadził sejfy, zabrał kody...

- Trzymają tu jeszcze coś tajnego? - McIver był przerażony.

- Na to wygląda. W każdym razie Talbot powiedział, że infiltracja sprawia, że wszystkie dyplomatyczne dupki świata chrześcijaństwa, świata Sowieców i świata arabskiego dostają palpitacji serca. Zamyka się wszystkie ambasady. Najbardziej łamią się Arabowie. Żaden z szejków naftowych nie chce mieć chomeinizmu po drugiej stronie zatoki. Chcą i mogą wydać petrodolary, żeby to zahamować. Talbot powiedział: "Pięćdziesiąt funtów przeciwko wygiętej szpilce od kapelusza, że Irak wyciąga po cichu książeczkę czekową, tak samo Kur-932

dowie i wszyscy inni, którzy są Arabami, sunnitami i przeciwnikami Chomeiniego. Cała zatoka znajduje się na krawędzi wybuchu.

- Ale tymczasem...

- Tymczasem on nie jest już tak radosny jak kilka dni temu i nie jest pewny, że Chomeini wycofa się spokojnie do Komy. "To jest wesoły stary Iran dla Irańczyków, chłopie, pod warunkiem, że są albo Cho-meinim, albo mułami", powiedział. "Chomeinizm jest modny, chyba że lewacy zastrzelą Ajatollaha, a stare jest niemodne. Stare, to znaczy my". - Gavallan klasnął rękoma w rękawicach, żeby poprawić krążenie krwi. - Cholernie zmarzłem, Mac. Z

ksiąg rachunkowych wynika, że mamy kłopoty, które mogą nas załatwić. Musimy sami o siebie zadbać.

- To cholernie ryzykowne. Na pewno stracilibyśmy kilka ptaszków.

- Tylko jeśli nie będziemy mieli szczęścia.

- Zbyt dużo wymagasz od szczęścia, Andy. Pamiętasz tych dwóch mechaników w Nigerii, którzy dostali po czternaście lat więzienia tylko za to, że obsługiwali 125, który potem nielegalnie odleciał?

- To było w Nigerii, a mechanicy tam zostali. Tutaj nikogo nie zostawimy.

- Jeśli choć jeden cudzoziemiec zostanie z tyłu, złapią go, wsadzą do pudła i zrobią z niego zakładnika za nas i za maszyny. Chyba że chcesz, żeby ktoś taki przyjął na siebie cały ogień zaporowy. Jeśli nie, to go wykorzystają, żeby zmusić nas do powrotu, a gdy wrócimy, nieźle napsują nam krwi. Co z naszymi pracownikami irańskimi?

- Jeśli nie będziemy mieć szczęścia - upierał się Gavallan - katastrofa nastąpi niezależnie od tego, co zrobimy albo czego nie zrobimy. Myślę, że powinniśmy przygotować bardzo szczegółowy plan, po prostu na wszelki wypadek. To potrwa wiele tygodni. Lepiej utrzymujmy to w ścisłej tajemnicy, tylko między nami.

McIver potrząsnął głową.

933

- Jeśli to ma być poważne, musimy skonsultować się z Rudim, Scraggerem, Lochartem i Starkiem.

455

- Skoro tak mówisz... - Gavallana bolały plecy. Przeciągnął się. - Gdy już wszystko będzie ostatecznie zaplanowane... Nie musimy do tego czasu angażować się w nic nieodwracalnego.

Przez chwilę szli w milczeniu; pod stopami głośno skrzypiał śnieg. Doszli już prawie do końca przedpola hangarów.

- Chłopaki zapytają nas o cholernie dużo spraw - zauważył McIver.

Zdawało się, że Gavallan nie dosłyszał.

- Nie możemy tak po prostu zmarnować piętnastu lat pracy. Nie możemy wyrzucić przez okno wszystkich naszych oszczędności, twoich, Scraga, i w ogóle wszystkiego - powiedział. -

Naszego Iranu już nie ma. Większość facetów, z którymi pracowaliśmy przez te wszystkie lata, uciekła, ukrywa się, nie żyje - albo jest przeciwko nam, niezależnie od własnych chęci.

Działamy na minimalnych obrotach. Pracuje dziewięć śmigłowców spośród dwudziestu sześciu, które mamy tutaj, a nie płacą nam nawet za to, co one robią, żadnych pieniędzy. To wszystko trzeba będzie spisać na straty.

McIver uparcie się przeciwstawiał.

- Nie jest aż tak źle, jak myślisz. Wspólnicy...

- Mac, musisz zrozumieć. Nie mogę spisać na straty pieniędzy, które się nam należą, a do tego helikopterów i części, i pozostać w branży. Nie mogę. Nasze trzynaście 212 to trzynaście milionów dolarów, dziewięć 206 to kolejny milion trzysta tysięcy, trzy alouette to następne półtora miliona. Do tego dochodzą trzy miliony w częściach zamiennych. Razem plus minus dwadzieścia milionów. Nie mogę tego stracić, Ian ostrzegł mnie, że Struan potrzebuje w tym roku pomocy, a nie ma żadnej wolnej gotówki. Linbar podjął kilka błędnych decyzji i... no cóż, wiesz dobrze, co ja myślę o nim, a on o mnie. Ale jest nadal tajpanem. Nie mogę spisać na straty Iranu, nie mogę wycofać się z nowych kontraktów na X63, nie mogę pokonać Imperialu, który przetrzepuje

934

nam skórę na Morzu Północnym, prowadząc tę cholerną nieuczciwą księgowość za pieniądze podatników. Tego się nie da zrobić.

- Chłopaki zadadzą ci wiele pytań, Chińczyku.

- Tobie też, Mac, nie zapominaj o sobie. To będzie zespołowy wysiłek, nie tylko dla mnie, dla nich też. Wóz albo przewóz.

- Większość naszych chłopaków może bez problemów dostać pracę. Rynek desperacko poszukuje pilotów, doświadczonych w pracy przy ropie.

- No, to co? Założę się, że i tak wolą być z nami. Dbamy o nich, płacimy najwyższe stawki i mamy najwyższy wskaźnik bezpieczeństwa. S-G to najlepsza na świecie spółka helikopterowa, a oni o tym wiedzą! Ja wiem i ty wiesz, że jesteśmy częścią Noble House, a to też coś znaczy! - W oczach Gavallana rozbłysły nagle charakterystyczne ogniki. - Bylibyśmy wielkimi pacanami, marnując to wszystko. Przy okazji utrzymamy nosa Linbarowi. We właściwym czasie zapytamy chłopaków, a na razie włączamy wszystkie obwody, co, chłopcze?

- Dobrze - zgodził się bez entuzjazmu McIver. - Jeśli chodzi o planowanie.

Gavallan spojrzał na niego.

- Zbyt dobrze cię znam, Mac. Już wkrótce ty będziesz ponaglał, a ja będę mówił: chwileczkę, a co z tym i owym...

McIver nie słuchał. Jego mózg próbował nakreślić zarys planu, mimo iż było to niemożliwe -

z wyjątkiem brytyjskiej rejestracji. Czy to w ogóle coś zmienia?

- Andy, co do planu. Nadajmy mu jakiś kryptonim.

- Genny powiedziała, że powinniśmy nadać mu nazwę Operacja Whirlwind. To brzmi jak niszcząca siła trąby powietrznej. W to się właśnie pakujemy.